100/XX
Antologia polskiego reportażu XX wieku
TOM 2

pod
redakcją
Mariusza Szczygła

100/XX

Antologia polskiego reportażu xx wieku

Tom 2 1966–2000

pod redakcją Mariusza Szczygła

wydawnictwo czarne

Wołowiec 2014

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne
niż jednorazowe pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie
praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Rada programowa: Hanna Krall, Elżbieta Sawicka, Małgorzata Szejnert,
prof. dr hab. Kazimierz Wolny-Zmorzyński

Wybór tekstów, układ i wstępy © by Mariusz Szczygieł, 2014
Posłowie © by Kazimierz Wolny-Zmorzyński, 2014
Prawa autorskie do tekstów zamieszczonych w antologii przysługują ich autorom
lub następcom prawnym.

Dołożono wszelkich starań, by odszukać wszystkich właścicieli praw autorskich tekstów
wykorzystanych w książce. W przypadku ewentualnych niejasności wydawca zapewnia,
że prawa wszystkich właścicieli będą respektowane.

Projekt okładki: Fajne Chłopaki
Projekt typograficzny: Robert Oleś / d2d.pl

Współpraca, archiwa i materiały: Julianna Jonek
Redaktor prowadzący: Magdalena Budzińska
Redaktor techniczny: Robert Oleś / d2d.pl
Koordynacja pracy: Małgorzata Uzarowicz, Elżbieta Totoń / d2d.pl, Sandra Trela / d2d.pl
Korekta: Magdalena Kędzierska-Zaporowska / d2d.pl, Małgorzata Poździk / d2d.pl,
Zuzanna Szatanik / d2d.pl, Alicja Listwan / d2d.pl, Sandra Trela / d2d.pl

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

ISBN 978-83-7536-723-2 (komplet)
ISBN 978-83-7536-724-9 (tom 2)

WYDAWNICTWO CZARNE SP. Z O.O.
www.czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa, tel. +48 18 351 00 70, e-mail: redakcja@czarne.com.pl
Skład: d2d.pl, ul. Morsztynowska 4/7, 31-029 Kraków, tel. +48 12 432 08 52, e-mail: info@d2d.pl

Audiobooki i ebooki: Izabela Rególska, iza@czarne.com.pl

Wołowiec 2014, wydanie I
Ark. wyd. 50

Cena 49,90 zł

Spis treści

1966 **Andrzej Krzysztof Wróblewski** 9
Prawda – choćby w drobinach dialogu
Kolos z tektury

1966 **Janusz Roszko** 27
Podsłuchiwać i podglądać
Nikifor maluje dom

1967 **Jan Bijak** 41
Niezwykłe w zwykłym
Byle zgrabna i pracowita

1969 **Jan Józef Szczepański** 53
Dociekać we własnych myślach
Rewolucja dzieciaków

1970 **Lucjan Wolanowski** 87
Nie ma nudnych tematów, są nudni reporterzy
Boli, więc jesteś zdrowa...

1971 **Edward Redliński** 103
Ratować od „śmierci zapomnienia”
Sąd nieprzysięgłych

1972 **Jerzy Lovell** 119
Znaleźć materiał do homilii
Człowiek płonie (reportaż z wariacjami)

1973 **Małgorzata Szejnert** 139
Rozsypane drobiazgi zbierać cierpliwie
Mitra pod kapeluszem. Życie książąt oraz hrabiów w PRL

1976 **Ewa Szymańska** 167
Unikać właściwej perspektywy
Junior

1976 **Krzysztof Kąkolewski** 181
Prawo do zakłócania ludziom życia
Baśnie udokumentowane

1976 **Krystyna Jagiełło** 213
Wyciskać kolor z szarości
Dziwny profesor

1977 **Barbara N. Łopieńska** 227
Pisać „w ogóle”
Syn

1977 **Konrad Turowski** 239
Dziwność zapisać koniecznie
Śmiać się nie ma z czego

1979 **Wiesław Łuka** 249
Rozpytywać, nawet na wczasach
Nie oświadczam się

1979 **Grzegorz Nawrocki** 287
Przesiadywać tam, gdzie trzeba
Szpan

1980 **Hanna Krall** 301
Zauważać, co On rozsiewa
Ludzie może i nie są źli...

1980 **Marek Miller z zespołem** 315
Wielu autorów – wielu bohaterów
Kto tu wpuścił dziennikarzy

1980 **Michał Ogórek** 341
Kpić z faktów
Sceny pomnikowe

1981 **Andrzej Mularczyk** 351
Być sekretarzem zdarzeń
Depozyt

1981 **Barbara Pietkiewicz** 379
Nie szukać szczęścia
Gorzki fiolet

1981 **Józef Kuśmierek** 393
Ja wiem lepiej
O czym wiedziałem

1982 **„Karta”** 409
W każdym szukać Historii
W stanie

1982 **Ewa Berberyusz** 425
Nieśmiałość to też metoda
Powrót taty

1983 **Zbigniew Święch** 435
Pisać dla króla
Cień klątw nad wawelskim wzgórzem

1983 **Ewa Owsiany** 455
Przejmować się nie sobą
Dziesięć procent śmierci

1983 **Ryszard Wójcik** 467
Być piewcą i zbawcą
Zatrzymane w kadrze. Notatki ze Studia 2

1984 **Wojciech Pielecki** 499
Dogrzebać się drugiego dna
Na próbę

1984 **Piotr Gabryel** 515
Pogłębić kamuflaż, odjąć jezioro
Zamawiam taczkę dla obywatela M.

1989 **Anna Ostrzycka, Marek Rymuszko** 527
Fakt, tyle że paranormalny
Nieuchwytna siła

1989 **Wojciech Giełżyński** 549
Nie mistyfikować samego siebie
Mord na placu Tiananmen

1990 **Andrzej Bartosz** 583
Prawda z nieprawdy
Król graniasty

1991 **Barbara Seidler** 609
Powściągliwie o zbrodni
Kto kazał strzelać. Grudzień '70

1991/1992 **Agnieszka Ostrowska-Metelska** 625
Być tragarzem (codzienności)
Pokuta po polsku

1991 **Witold Pasek** 639
Polityka opisać jak wyborcę
Przestrzeń życia (Aleksander Paszyński)

1992 **Jerzy Morawski** 651
Podać swoje imię w obcym języku
Ślad kuli

1992 **Barbara Stanisławczyk, Dariusz Wilczak** 671
Rozmawiać między starym a nowym
Pajęczyna

1994 **Paweł Smoleński** 685
Nie zgadzać się
Lekcja wyniesiona z teczek

1993 **Beata Pawlak** 709
W terroryście widzieć człowieka
Umieralnia życia

1995 **Jacek Hugo-Bader** 721
Czasem noga musi się omsknąć
Cały dom bym wziął

1996 **Lidia Ostałowska** 731
Tylko bez płaczu
Bezprizorni

1997 **Irena Morawska** 749
Jeśli słyszeć, to absolutnie
Jak Emilię z Kalabrii od złej pani wykradłam

1998 **Michał Matys** 791
Trzeba patrzeć na ręce
Król powietrza

1998 **Wojciech Tochman** 801
Nie ma reportażu bez wyobraźni
Czekam pod adresem: Berlin

1999 **Włodzimierz Nowak** 837
Reportaż to nie wymiana uprzejmości
Adam z Ewką żyli w raju

1999 **Piotr Lipiński** 855
Krążenie ciągnie się tygodniami
Mięso, a w środku rzeźnik

1999 **Agnieszka Wróblewska** 887
Pisać pozytywnie, ale z olśnienia
Żerania pożycie z Koreą

2000 **Wojciech Jagielski** 913
Nie współczuć, dojść do prawdy
Wieże z kamienia

Podziękowania 931

Posłowie – Kazimierz Wolny-Zmorzyński 933

Dodatki 945
Literatura rzeczowa i źródła cytatów do tomu 2 946
Poprzedniczki naszej antologii 952
Rada programowa antologii 954

1966

Andrzej Krzysztof Wróblewski (1935–2012)

Prawda – choćby w drobinach dialogu

Żona Andrzeja, Agnieszka Wróblewska (patrz s. 887), z którą napisał wspólnie trzy książki, wyciągnęła z czarnej aktówki z tekstami męża cymes. Sam bym może na niego nie trafił, reportaż ten nie ukazał się bowiem w żadnym zbiorze. Wycinek z „Polityki" z odręczną notatką: „marzec 1973". Tekst o tym, jak Polacy zapisują się na fiata 126p, jak w Bielsku-Białej rozpoczyna się produkcja malucha na włoskiej licencji, jak jeden z okazowych egzemplarzy zostaje wystawiony na widok publiczny w Krakowie.

Reportaż ma tytuł *Tylko tak – PKO i FIAT,* zapisy na małego fiata polegały bowiem na wpłacaniu pieniędzy do PKO i czekaniu na szczęście. Bank losował rok zakupu samochodu dla danego klienta. Najwcześniej – za cztery lata. Najpóźniej – za siedem. Dyrektorzy oddziałów banków zostali zaatakowani dziesiątkami telefonów i propozycjami rozmów w cztery oczy. Wszyscy chcieli mieć fiata szybciej niż inni. Reporter notuje argumenty, które wyłuszczano w okienkach:

> Kierownik szkoły odchodzi wnet na rentę, inspektor dźwigów tłucze się PKS-em, żonie kierownika wydziału finansowego lekarz zabronił się męczyć...

Pokaz malucha, którego będzie produkować fabryka w Bielsku, ściągnął tłumy:

– Panie, ten bagażnik to na aktówkę ze śniadaniem.

– Ma być wytłumiony hałas. Bo zatka się uszy kolanami.

– Mają go jeszcze skrócić, żeby do windy wchodził.

– Jeden dostał za darmo, bo wszedł i nie mógł wyjść.

Inżynier Brhel z Behamotu jak dobry kupiec co pewien czas zapuszcza silnik, co chwilę wsiada i wysiada.

– Dlaczego nie mógł wyjść? Ja wychodzę.

– Pan by wszedł do jeszcze mniejszego, ale ten pan niech wejdzie.

Wskazują na mnie. Mam sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Wsiadam i wysiadam. Niektórzy przestają wydziwiać, ale inni dalej atakują:

– Ale gdybyś pan miał jeszcze brzuszek? I żonę taką jak moja? Tego spróbujmy, tego!

Wynajdują w tłumie chłopa jak tur.

– Niech pan odsłoni! – krzyczy fotograf. – Samochodu nie widać!
Tur się przymierza, ale nie wsiada.
– Ja i tak nie mam zamiaru kupować, a jeszcze uszkodzę.

Andrzej Krzysztof Wróblewski – zwany w środowisku dziennikarskim AKW – urodził się w Wilnie, ale od drugiego roku życia wychowywał się w Warszawie. Ojciec – Andrzej Wróblewski – dziennikarz, członek PPS-u prześladowany po zjednoczeniu PPS-u i PPR-u za niewstąpienie do PZPR-u – przed wojną był współzałożycielem Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej na Żoliborzu. Syn ukończył Wydział Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego (1956). Drukował w „Po prostu", w latach 1959–1981 był związany z „Polityką". Jak pisał Urban w swoim *Alfabecie*, na zebraniu w sprawie reaktywowania „Polityki" po wprowadzeniu stanu wojennego AKW wystąpił niespodziewanie jako lider grupy opozycyjnej, był przeciwny wydawaniu tygodnika w nowej sytuacji politycznej. „Uważał – mówi Agnieszka Wróblewska – że pismo wywinęło już za wiele piruetów. Był w »Polityce« zakochany i chciał zachować jej dobre imię".

Gdy mu się to nie udało, z kilkoma osobami odszedł z redakcji i stał się stronnikiem opozycji. Wrócił do „Polityki" piętnaście lat później, w 1996 roku. W latach 1984–1889 pracował dla miesięcznika „Zarządzanie". Od listopada 1990 roku do maja 1995 roku był redaktorem naczelnym „Gazety Bankowej", a przez kolejny rok – „Nowej Europy". Na początku lat dziewięćdziesiątych prowadził program *Kontrapunkt*.

W powszechnym odczuciu specjalnością Andrzeja Krzysztofa Wróblewskiego był reportaż ekonomiczny. W sposób lekki opisywał trudne zjawiska gospodarcze. Tworzył reporterskie portrety załóg wielkich fabryk. W 1975 roku wydał opowieść o budowie Portu Północnego w Gdańsku – *Na głębsze wody*. „Żeby uchronić czytelnika przed nudą, szukam konfliktów. Konflikt sam niesie pióro" – stwierdzał na okładce swojej najciekawszej dla mnie książki *Trudno zmienić skórę* (1978). To zbiór reportaży z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Ich bohaterami są w większości ludzie, którzy w socjalistycznej gospodarce walczą z wiatrakami, czyli z nieracjonalnością. To książka, w której reporter broni ludzkiej indywidualności. Pisze nie o takich – jak sam to sformułował – „co czekają wroga w domu, ale takich, co wychodzą mu naprzeciw".

I tak inżynier Kęcki „postawił się w swojej fabryce okoniem". Fakt ten był niemałą sensacją w środowisku, które zwykło przytakiwać: „Tak jest, panie dyrektorze". „Być posłusznym zwierzchnikom i być wiernym sobie – to kwadratura koła..." – zaczyna AKW w 1970 roku reportaż o inżynierze.

Dalej: Karol Łamacz, robotnik, który wydrukował w lokalnej gazecie fragmenty swoich pamiętników, poświęconych stosunkom w fabryce.

> O dyktaturze proletariatu mówiło się chyba za mało albo za dużo, jeżeli powstało wokół niej tyle nieporozumień. Czy zatem robotnik ma dyktować swoim zwierzchnikom, czy słuchać? Nie ma jednoznacznej odpowiedzi

– zaczyna w 1966 roku AKW reportaż o robotniku.

Jego bohaterowie zawsze stają przed dylematami, które on nazywa wyraźnie i prosto, bez mowy ezopowej. Pierwsze zdanie jednego z tekstów z 1970 roku: „W partii się nie kłamie". I dalej: „Kto może sobie pozwolić na taki luksus?".

> Dlatego prawdziwym miejscem, w którym dzieją się reportaże Wróblewskiego, są ludzkie osobowości – pisał Marek Zieliński w „Kontrastach". – Nie tyle przetrząsa pisarz zakamarki fabryk, place budowy, rampy kolejowe, handlowe lady, co pojedyncze i zbiorowe sumienia. [...]
>
> Andrzej Krzysztof Wróblewski jest dla mnie mistrzem w rozpoznawaniu społecznych schorzeń i w umiejętności widzenia świata jako systemu naczyń połączonych.

Recenzent podkreśla też, że reportaże AKW są wyjściem z literackiego getta, w którym znalazł się polski reportaż.

We wstępie do *Trudno zmienić skórę* autor daje swój wykład o reportażu:

> Reporter, który na chwilę dostąpi zaszczytu, że to nie on pyta, a jego pytają – odpowiada skromnie i z wdziękiem, że stara się pokazywać życie w jego różnych przejawach.
>
> To mniej więcej tyle, jak gdyby krowa powiedziała, że stara się dawać mleko.
>
> Mierzi mnie atmosfera nabożeństwa wokół pisania i czytania reportaży. Teoretyków będzie niebawem więcej niż praktyków, a praktyków więcej niż napisanych przez nich tekstów. Gatunków i rodzajów, w których nie umiem się połapać, więcej niż tytułów. Dawanie mleka jest powinnością krowy, jak powinnością reportera jest pokazywanie życia. Jeżeli tego nie robi, jeżeli jego bohaterowie szeleszczą papierem, a konflikty śmieszą czytelników – należy po prostu zwolnić z pracy, a nie budować teorię o jeszcze jednym, nowym, kreatywno-interwencyjno-psychologiczno-neoklasycystycznym gatunku reportażu. [...]
>
> Czytelnik znajduje w gazetach wiele artykułów mówiących o tym, jak powinno być. I tylko jeden mówiący jak jest. To reportaż właśnie.

Wróblewski pisał szybko, zadziornie i potoczyście. Nie celebrował swej twórczości. Agnieszka Wróblewska opowiada, że potrafił napisać reportaż w jeden wieczór.

> Autor reportaży – tłumaczył w swoim wstępie – jest takim samym pracownikiem jak inni i jeśli nawet zamiast „reporterem" nazywa siebie „reportażystą" albo zapisał się do Związku Literatów – nie daje mu to żadnego immunitetu wobec poleceń służbowych. Redakcje tolerują lunatycznych twórców, co noszą się dwa miesiące z jednym pomysłem, ale wspierają się na takich, którzy potrafią pisać szybko i na temat. „Kolego, trzeba prześledzić bieg karier młodych absolwentów. Towarzyszu, pokażcie reakcję mistrzów w zakładach na zapowiadane zaostrzenie dyscypliny pracy. Stary, zrób kawałek o inflacji festiwali piosenki".
>
> Reporter jedzie i pisze. Jeżeli jest słaby – wystarczy, kiedy do polecenia swojego naczelnego doda nazwiska i parę szczegółów, nadających sprawie rzekomego kolorytu. A jeżeli jest dobry – prawda, choćby wbrew intencjom szefa, choćby z drugiego planu, choćby w drobinach dialogu albo opisu, przekrzyczy fasadę. Czytelnik dowie się – jak powinno być, ale też dowie się – jak jest.

Jego reportaż *Kolos z tektury* to napisana ze swadą opowieść o narodzinach papierni w Świeciu, bo AKW z chęcią portretował nowo powstające zakłady pracy. Był reporterem, który naprawdę sekundował przedsięwzięciom przemysłowym. Mistrz szczerości, jeśli tylko nie przeszkodziła jej cenzura. (W 1967 roku urząd cenzury nie dopuścił do druku całej jego książki o Fabryce Samochodów Osobowych *Kolebka polskiego samochodu*).

Kolos z tektury zawiera jedną z najciekawszych obserwacji o życiu codziennym w PRL-u: nie ma w co pakować mięsa, którego nie ma.

Kolos z tektury

W sklepach brakuje mięsa, a nawet do tego, co jest, brakuje papieru do pakowania. W kioskach brakuje gazet, a nawet w te nieliczne zawija się mięso. W szkołach brakuje książek i zeszytów. Księgarnie swoim ubóstwem też przypominają sklepy mięsne, a wydawnictwa nie wiedzą, czy zmniejszać liczbę tytułów, czy wysokość nakładów. Brakuje papieru.

Kombinat papierniczy, wznoszony od paru lat w Świeciu nad Wisłą, ożywia nadzieje ludzi mających coś wspólnego z pisaniem. Kombinat – słowo zwiastujące ogrom; w założeniach wstępnych i przy wymienianiu wielkości produkcji rocznej padają miliardy, byłaby to więc produkcja odczuwalna. Kombinat – więc może większe nakłady i więcej tytułów, może dziś spod lady sprzedawane książki i czasopisma wywieszać się będzie dla reklamy przed kioskiem?! Kombinat – nareszcie spełnione życzenia czytelników, duża czcionka, dużo zdjęć, dużo radości.

Niestety. Za zwrotem „celulozowo-papierniczy" nie kryje się papier drukarski, ale karton, tektura falista, worki papierowe. Pięć worków na głowę statystycznego Polaka rocznie, ale ani jednej książki czy gazety. Kombinat miał więc bardzo pośredni wpływ na zwiększenie konsumpcji słowa drukowanego: dzięki papierowi ze Świecia może przestanie się używać gazet do pakowania.

Niektórzy złośliwcy twierdzą, że zakłady w Świeciu zostały zrodzone nie tyle przez potrzeby gospodarki narodowej, ile administracji narodowej. Gospodarka narodowa wznosi równocześnie z fabryką w Świeciu wielki kombinat nawozów sztucznych w Puławach, także nad Wisłą. Zapewne puławskie nawozy pakowane będą w świeckie worki. Ale nad tą samą Wisłą, która coraz wyraźniej staje się osią gospodarki polskiej, leży też Warszawa, która od lat nieodmiennie produkuje papierki, a ściślej mówiąc – zapisuje papierki wyprodukowane gdzie indziej. Na papierki potrzeba segregatorów, na segregatory potrzeba tektury. I ten brak, zdaniem złośliwców, najostrzej dał się we znaki, ten brak kazał budować nową fabrykę, a żeby nie dać o sobie zapomnieć, objawił się wyraźnie w początkach budowy. Projekt wstępny opracowywano dwa miesiące, ale zatwierdzano – to znaczy łączono rozmaite opinie w rozmaitych segregatorach – przez rok.

Projekt ten przewidywał wielkość produkcji celulozy, stanowiącej półprodukt dla przemysłu włókien sztucznych, tektury, worków itd., zasady

technologii, dopasowywał założenia do warunków wodnych, komunikacyjnych, klimatycznych, ludnościowych itd., a także określał, co i za jaką granicą trzeba by kupić. Ale zanim jeszcze ten projekt był gotów, to znaczy zanim ostatecznie i nieodwołalnie Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów postawił ptaszek na mapie w tym miejscu, gdzie dziś już stoją mury potężnych zakładów – ożyły nadzieje Świecia i jego okolic. W roku 1961 daleko za nami były już czasy, kiedy ktokolwiek w Polsce bronił się przed lokalizacją przemysłu na swoim terenie.

Władze miejskie na miarę swoich szczuplutkich środków gotowe były nieba przychylić przyszłemu kolosowi, który miał dawać przez dzień produkcję większej wartości, niż wynosiły budżety Świecia przez wszystkie dotychczasowe lata niepodległości. Bo też władze wiedziały, że taki kredyt sowicie się opłaci – jak w bajce, kiedy za szklankę wody podaną królowi zostaje się obsypanym złotem. Władze wiedziały, że przemysł tworzy wartości, a one mogą je co najwyżej dzielić, zaś jak dotychczas do dzielenia miały niewiele. Zdecydowano się więc na podział na razie niesprawiedliwy: odłożono na później pilne potrzeby społeczne, wszystkie środki rzucono na uzbrajanie terenu, na modernizację ulic, słowem – na kokieterię możnego przemysłu. Żeby się nie rozmyślił i nie przeniósł na przykład na drugą stronę Wisły, do Chełmna, które także robiło, co mogło, żeby się pokazać w najlepszym świetle.

Wreszcie klamka zapadła, i to podwójnie korzystnie dla Świecia: postanowiono, że stanie tu nie tylko sam kombinat, ale i zaplecze mieszkaniowo-usługowe. Obawy, że Chełmno zabierze część losu wygranego na loterii inwestycyjnej, okazały się płonne. Co bardziej zadzierzyści działacze miejscy tryumfowali:

– Już pierwsze miesiące budowy kombinatu zwiększyły ludność Świecia o dwa tysiące ludzi!

Wzrost ten został osiągnięty poprzez przyłączenie do miasta wioski Przechowo, właściwego miejsca budowy kombinatu, czyli prostym zabiegiem administracyjnym. Ale nastrój rozpoczynającej się serii tryumfów udzielił się wszystkim.

Ten i ów ze Świecia napisał do tego i owego ze swoich kuzynów, którzy opuścili rodzinne strony w poszukiwaniu lepszego chleba: „Przyjeżdżajcie, u nas też się zaczyna coś dziać!". Wiadomo, że jak wielki przemysł, to i mieszkania, a jak mieszkania, to będą rozgęszczać stare. Do przeładowanych i zgrzybiałych domów ściągała odległa rodzina – na rok, dwa, potem zaczną budować i zaczną rozgęszczać – aby na czas się zameldować. Ściągnął z powrotem ktoś ze służby hotelarskiej, bo jak kombinat, to chyba będzie i hotel. Ściągnął

z powrotem były zawiadowca stacji, którego ambicji nie zaspokajała końcowa stacyjka maleńkiej odnóżki bocznej linii – bo teraz jak kombinat, to chyba będzie i węzeł kolejowy. Zapanował, słowem, ten błogi stan, kiedy jeszcze rzeczywistość nie zaczęła rozwiewać słodkich marzeń.

Nie trwało to długo. Pierwszym potężnym rozczarowaniem był właśnie ów projekt zakładów, opracowany w dwa miesiące, ale przez rok zatwierdzany. Dlatego Świecie długo nie wiedziało, co je właściwie czeka. Otóż projekt przewidywał produkcję na blisko cztery miliardy złotych rocznie, dla której to produkcji w znanych niedalekich zakładach celulozowo-papierniczych (Włocławek, Fordon, Bydgoszcz) trzeba by zatrudnić dwanaście tysięcy ludzi. Ale w Świeciu miały pracować nowoczesne agregaty fińskie o znacznym stopniu zautomatyzowania, obywające się wobec tego znacznie mniejszą liczbą ludzi, za to ludzi wyżej kwalifikowanych. Zamiast dwunastu tysięcy załoga miała liczyć trzy tysiące sześciuset ludzi, z tego siedmiuset pracowników umysłowych z wyższym albo średnim wykształceniem technicznym. Praktycznie oznacza to, że siedmiuset ludzi trzeba będzie ściągnąć spoza Świecia i przygotować dla nich siedemset mieszkań. Praktycznie oznacza to, że jeżeli ktoś z tutejszej ludności może liczyć na pracę w przyszłych zakładach, to na podrzędnych i niezbyt atrakcyjnych stanowiskach: kierowcy, ślusarze, elektrycy. Władza i chwała należeć będą do przybyszów.

Drugim rozczarowaniem były zbawienne dla polityki gospodarczej państwa rygory, jakie wprowadzono po ciężkim roku 1962. Skończyło się rzucanie forsą na prawo i lewo, skończyły się szturmowe odcinki, które trzeba było zdobywać szturmowymi sposobami. Żelazne kleszcze dyscypliny finansowej chwyciły mocno najkosztowniejsze wydatki państwa – inwestycje – i uczyniły bezpłodnymi nadzieje na to, że z czterech miliardów ładowanych w kombinat kapnie coś na miasto i na jego mieszkańców. Nic nie kapie.

Wróćmy do rozczarowania pierwszego. Świecianie mieli pełne prawo się łudzić. Jeszcze niedawno wielkie inwestycje potrzebowały wielkiej liczby ludzi. Jeszcze Tarnobrzeg[1] nie przebierał, nie zaglądał w świadectwa szkolne, wystarczyło, że kandydat łopatę umiał trzymać. Myślano, że w Świeciu będzie tak samo. Że tutejsi będą mogli sobie wybierać między pracą w Bydgoszczy, do której się jedzie godzinę, pracą w Grudziądzu, do którego się jedzie trzy kwadranse, i pracą na miejscu.

Powołana jeszcze w zaraniu budowy dyrekcja zakładów też miała nadzieję, że tak się uda. Badano zgłaszających się kandydatów. Przeważnie okazywało się, że nie umieją czytać rysunku technicznego, że nie bardzo wiedzą, co to jest faza, że koszty normatywne mylą im się z rzeczywistymi. Na głównego

[1] Chodzi o tarnobrzeski zakład wydobywania siarki Siarkopol i pobliskie przedsiębiorstwa Tarnobrzeskiego Okręgu Przemysłowego.

księgowego – ale tylko na głównego – zgłosił się dotychczasowy księgowy bazy przedsiębiorstwa jajczarsko-drobiarskiego. Na specjalistę od kosztów – ekonomista Rejonu Eksploatacji Dróg Publicznych. Jak gdyby różnica między kosztami liczonymi w złotówkach i liczonymi w milionach była tak łatwa do przeskoczenia, jak odległość z siedziby Rejonu do dyrekcji kombinatu.

– Wykonanie planu w połowie zależy od tego, jak się pracuje – mówi dyrektor – a w połowie od tego, jaki jest spec od kosztów. Nie mogę pozwolić sobie na luksus zatrudnienia człowieka przypadkowego.

Rozmowy z pracownikami fizycznymi miały charakter orientacyjny. Z umysłowymi jednak – bardzo konkretny. Już na dwa, trzy lata przed rozruchem pierwszej części kombinatu istnieć musi zarys jego przyszłego kierownictwa. Na rok przed rozruchem było już siedemdziesięciu z przewidywanych siedmiuset sztabowców technicznych. Z tego miejscowych, to znaczy takich, którzy nie zamieszkali w Świeciu jednocześnie z rozpoczęciem pracy – czterech. Co zrobić, jeżeli nawet maszynistki, uprzednio pracujące w wytwórni pasz czy PZGS-ie[2], sadziły takie błędy ortograficzne, które zdolne były wypaczyć treść?

Rozczarowanie drugie to drastyczne ograniczenie finansów. Budownictwo mieszkaniowe, owszem, szło, ale mowy nie było o rozładowaniu dzięki niemu problemów mieszkaniowych miasta. Jak już wiemy, obie strony zdają sobie sprawę z podziału kompetencji: kombinat ma pieniądze, miasto ma tylko władzę, musi więc być realizatorem polityki bogacza, z którym żyje na jednej ziemi. Kombinat ma pieniądze, bo jest twórcą nowych wartości. Każdy dzień produkcji w pełnym ruchu dawać będzie dwanaście milionów złotych, co oznacza koszt zbudowania kilku bloków mieszkalnych. Czasem dzień przyspieszenia rozruchu można zyskać, ściągając jakiegoś specjalistę, który będzie pracownikiem kombinatu. Żeby go ściągnąć, trzeba dać mu mieszkanie, nie będzie przecież mieszkał w namiocie. Za jedno mieszkanie dziś można uzyskać równowartość paruset pojutrze. Miasto ma władzę, ale musi się ugiąć wobec nieubłaganej logiki rachunku. Mieszkania, wznoszone obecnie w Świeciu, przeznaczone są prawie wyłącznie dla kombinatu. Nie znalazło się, obok rzeki z milionami, miejsce nawet na strumyczek z tysiącami dla miasta.

Strumyczki, jak wiadomo, potrafią jednak same sobie żłobić drogę. Ani rząd, ani województwo nie dali specjalnych funduszy na rozwój Świecia. Ale dał je kombinat. Kiedyś z jakiegoś rachunku została jakaś końcówka, może niepodzielna, może niewydana reszta: trzy miliony złotych. „Róbcie coś, byle szybko, bo pieniądze przepadną!" – mówi kombinat miastu, oferując te pieniądze. Ale co można szybko zrobić za trzy miliony złotych? Na jakąkolwiek

[2] PZGS – Powiatowy Związek Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska".

inwestycję komunalną trzeba mieć dokumentację. Zanim przygotowano dokumentację na wodociągi, już pieniądze rozwiały się jak marzenie, jeszcze trzeba było za plany i projekty zapłacić.

Kiedy indziej kombinat dał sześćset tysięcy złotych na oświetlenie ulic. Rzecz miałaby znaczenie nie tylko dla bezpieczeństwa i estetyki, ale dla scalenia przybyszów z tutejszymi. Już i tak rozczarowani dosyć sarkali, że są kolonią, gdzie wszystko jest ich, ale nie dla nich, tylko dla kolonizatorów: kombinat, mieszkania, pieniądze... Lampy uliczne skąpałyby swoim światłem jednych i drugich, nikomu nie pozostawiając kompleksu pasierba. Otóż pieniądze te, z chwilą przekazania ich na oświetlenie, zmieniły w banku szufladkę: z resortu leśnictwa i przemysłu drzewnego, który jest inwestorem kombinatu, przeszły do resortu gospodarki komunalnej. Ten, uważając, że w Świeciu nie jest wcale tak ciemno, przeznaczył je na jakiś zupełnie inny cel w innym województwie. W ten sposób dokonał oszczędności, za które może nawet ktoś dostanie pochwałę od ministra. Skutki w postaci dalszych ciemności, a co gorsza dodatkowej wściekłości tubylców spadły na Świecie. Dla ratowania podupadłego prestiżu władzy, zwłaszcza że nadchodziły wybory, Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy rzuciło na ten cel najostatniejsze swoje rezerwy – sto dwadzieścia pięć tysięcy złotych. Stanie co piąta lampa z zamierzonych.

W roku 1963, kiedy odwiedził Polskę prezydent Finlandii Urho Kekkonen, budowniczowie spodziewali się jego wizyty w Świeciu. Ten kombinat o specjalności zgodnej z fińskim *spécialité de la maison* jest ich eksportowo-inwestycyjną wizytówką. Nigdy jeszcze Finlandia nie zawarła z nikim tak dużej transakcji na dostawę swoich maszyn i urządzeń. Dlatego dostaliśmy reklamowe warunki sprzedaży, dogodne terminy, nadzór autorski przy montażu, dlatego spodziewaliśmy się, że wizytą prezydenta Finowie zechcą przydać swojemu dziełu rozgłosu. Ale wtedy nic jeszcze nie wystawało nad ziemię – zryta ona była przewodami elektrycznymi, wodociągowymi, parowymi o długościach idących w dziesiątki kilometrów. Nie było nawet tła, na którym czcigodny gość mógłby pozować do zdjęcia. Wizyta nie doszła do skutku.

Odbyła się za to inna wizyta, z tym że Świecie nie było w niej gospodarzem, tylko gościem. Oto kilka lat wcześniej w Ostrołęce, na skraju Puszczy Kurpiowskiej, ten sam resort wznosił taki sam – tylko znacznie mniejszy – zakład celulozowo-papierniczy. Wprawdzie przy każdej dużej inwestycji wyłaniają się nieco podobne trudności, a to, co je różni, nie zależy od branży przemysłu, tylko od warunków lokalnych i od przypadkowych charakterów ludzkich. Nasza nauka nie zdobyła się jednak jak dotąd na teoretyczne podsumowanie

doświadczeń od Nowej Huty po Bełchatów i chociaż nieustanna poprawa jest niewątpliwa, wciąż zaskakują nas jakieś niespodzianki, które okazują się mieć dwudziestoletnią tradycję. A skoro nauka tego nie podsumowała, poszczególne resorty i nawet zjednoczenia na własną rękę usiłują wyciągać wnioski z poprzednio popełnionych przez siebie błędów. Zjednoczenie Przemysłu Celulozowo-Papierniczego zorganizowało zatem wycieczkę działaczy miejskich i powiatowych ze Świecia – do Ostrołęki.

Nie ma właściwie sensu opowiadać o zainteresowaniu, jakie wzbudził luksusowy basen ostrołęckich zakładów, ani o zgrozie, z jaką goście z Pomorza przyjęli informację o zachowaniu się w Ostrołęce fachowców angielskich i amerykańskich, przybyłych na montaż urządzeń. Anglicy zażądali każdy oddzielnego pokoju z radiem, telewizorem i telefonem, ale to jeszcze nic, bo Amerykanie w ogóle odmówili mieszkania w Ostrołęce, tylko kazali się co dzień dowozić z Warszawy z hotelu Bristol. Najgłębsze wrażenie na uczestnikach wycieczki wywarły słowa dyrektora zakładów w Ostrołęce, który kierował także ich budową:

– Ja w ogóle nie wiedziałem, że tu istnieje jakaś rada narodowa!

Obie strony mocno wzięły to sobie do serca: i władze miejskie, i dyrekcja kombinatu. Wkrótce po powrocie do Świecia kombinat zorganizował imprezę, która miała zbliżyć przemysł do miasta. W domu kultury wystawiono makietę zakładów, wokół czekali inżynierowie z naostrzonymi kijkami do wskazywania co, gdzie, jak. Pod domem czekały autobusy, które przewieźć miały ciekawych mieszczan na teren budowy i tam, na ledwo widocznych zarysach przyszłego kolosa, ale za to w skali 1:1, miano pokazać to samo, co było na makiecie. Ogłoszono dzień, godzinę. Przyszło siedemnaście osób, w tym nikt z władz miejskich.

Dlaczego prawie nikt nie przyszedł? Ludzie wiedzieli już, że to nie dla nich. Już obiegło Świecie powiedzonko, że są kolonią dla wielkiego kapitału. Ponieważ jednak każde powiedzonko upraszcza rzeczywistość i wszystkiego nie dopowiada, świecąca pustką impreza w domu kultury miała też swoją odwrotną stronę medalu. Mianowicie informacyjne zebrania szkolne, na których rozstrzygać się miały sprawy nie ciekawości, ale rzeczywistej przyszłości.

Dawniej, kiedy jeszcze nie zdecydowano, że kombinat stanie tu, ani jeden uczeń ze Świecia nie uczył się w Technikum Celulozowo-Papierniczym we Włocławku. Seria zebrań informacyjnych w szkołach, a także mądre i przewidujące kroki ze strony zjednoczenia dały natychmiastowe wyniki. Zarezerwowano w internacie miejsca dla uczniów ze Świecia, istniejący dopiero na makiecie kombinat ufundował stypendia. Już w tej chwili Świecie ma

kilkudziesięciu „swoich" uczniów w technikum we Włocławku i w mechanicznym w Grudziądzu. Dzięki temu, zanim jeszcze budowa będzie zakończona, stanie do pracy setka albo i więcej techników tu zamieszkałych.

Podobną, choć na mniejszą skalę zakrojoną politykę stosuje kombinat wobec studentów wyższych uczelni. Stypendia, wizyty w Świeciu i wizyty u nich, na uczelniach. Biurokratyczna machina utrudnia zawarcie umowy ze studentem, który pochodzi z tych stron, nie dopuszcza do bezpośrednich kontaktów, bo sama chce być swatką, a ponieważ swatać nie umie – podtyka ludzi przypadkowych. Ale już i studenci się zwiedzieli i sami wychodzą naprzeciw. Jedna ze studentek z Poznania, która wybiera się po studiach do Świecia, zwróciła się z prośbą o zapomogę na czas pisania pracy magisterskiej. „Zapomogi dać nie możemy – odpisał dyrektor – ale za to możemy pani bezpłatnie przepisać pracę na naszej hali maszyn. Tak czy inaczej to jest kilkaset złotych". Dyrektor oczywiście zataił, że jego maszynistki piszą z błędami.

Obywatele Świecia, oburzając się, że ich miasto jest kolonią, podkreślają upokarzający dla nich podział: my – i tamci. Już kiedyś był taki podział. Przybysze z Kongresówki nazywali ich „Krzyżakami", oni przybyszów: „bose Antki". Przybysze ich za zabór, pod którym się znaleźli nie ze swojej winy, oni zaś przybyszów za biedę, w którą popadli też nie ze swojej winy. Słowa pozostały, chociaż od skończenia zaborów minęło pięćdziesiąt lat. I słowa mają tendencję, żeby żyć nadal. Kiedy podczas uroczystej defilady straży pożarnej, ciągnącej główną ulicą, z okna hotelu ktoś krzyknął: „Krzyżaki!!!", odbył się surowy samosąd. Wesołka wprawdzie odratowano, ale jego sińce i blizny pozostały groźnym memento dla wszystkich, którzy przyjeżdżają budować kombinat, „żeby się nie przezywali".

Może to wydać się trochę dziecinne. Ale tak jak Pomorzanie nie potrafili wchłonąć w siebie przybyszów w okresie międzywojennym, czujnie nasłuchując, czy aby nie krzyknie taki jeden z drugim o Krzyżakach – tak nie potrafią dzisiaj wyobrazić sobie, że za lat dziesięć młodzi inżynierowie, dziś ściągnięci do kombinatu, będą takimi samymi obywatelami Świecia jak oni. Co miesiąc kasa zakładów wypłaci dziesięć milionów złotych, które wejdą w krwiobieg miasta i dadzą zarobek handlowi, usługom, gastronomii, urzędom itd. Razem z inżynierami przyjadą ich utytułowane żony – lekarki, prawniczki, nauczycielki – których w innym wypadku Świecie nigdy by nie miało. Kiedyś staną i latarnie, wyreperuje się dziurawe chodniki, ruszy komunikacja miejska, wiążąca nie tylko Świecie z przemysłowym przedmieściem, ale i leżące po drugiej stronie Wisły Chełmno z węzłową stacją kolejową Laskowice. Każdy będzie mógł po tych chodnikach chodzić albo jeździć autobusem po nowych

ulicach i wtedy mówienie o kolonii będzie takim samym anachronizmem jak dziś mówienie o Krzyżakach czy bosych Antkach.

Jak dotychczas bose Antki niewiele mają wspólnego z życiem miasta. Rano autobus, mikrobus i kilka samochodów osobowych wiozą ich z osiedla do kombinatu. Tam wyładowują z siebie całą energię, jaką człowiek może na dzień przeznaczyć, a i tak jest jej zawsze za mało. Wracają do domu i na nic już nie mają ochoty. Czasem wpadnie sąsiad do sąsiada, żeby zasięgnąć jego opinii, czy wobec zamierzonego powiększenia hali celulozowni wystarczą stare przekroje rur, czasem zaś, żeby pożyczyć cynkanu do posmarowania podwozia syrenki. Rzadko, bardzo rzadko spotykają się w zamkniętym klubie osiedlowym, czymś pośrednim między kawiarnią a świetlicą. To wszystko.

Dyrektor Olszewski, młody człowiek, ściągnięty tutaj po dwóch praktycznych egzaminach w dyrektorowaniu mniejszymi zakładami celulozowymi, wcale się swoim podwładnym nie dziwi. Nie sądzi, żeby ich tryb życia można było tłumaczyć sobkostwem, niechęcią do środowiska, w które weszli, czy też bezideowością, umywaniem rąk od spraw miasta, które ma się stać ich miastem. Nie. Już sama ich praca jest pewną formą ideowości. Zaangażowani na stanowisko na przykład energetyka, szefa produkcji czy zastępcy kierownika wydziału, zarabiają znacznie mniej niż ich odpowiednicy w zakładach będących w ruchu. Tamci mają premię za to, za tamto, za wykonanie planu, podczas gdy ci niczego nie wykonują, a jedyna premia, jaką mogą dostać, to premia od wykonania planu przerobu finansowego. Drożej budujesz – lepiej zarobisz. Przerobisz sto milionów złotych, dostaniesz tysiąc złotych premii.

Cóż, kiedy sztuka polega właśnie na tym, żeby uzyskać ten sam efekt, przerabiając osiemdziesiąt milionów zamiast stu. Tylko że za osiemdziesiąt dostać można najwyżej order. Za sto zaś – premię. Wybór orderu, i to niepewnego, to właśnie ideowość. Ideowość bez wielkich słów i bez zebrań. To jej zasługa, że budowa idzie dobrze i bez przekroczeń finansowych, chociaż rdzeń przyszłej załogi na razie niespecjalnie zarabia. A że potem, kiedy pańskie oko konia utuczy i dobrze doglądana fabryka ruszy, będą zarabiać lepiej? W każdej ideowości jest jakaś cząstka wyrachowania, tyle że to wyrachowanie dalekowzroczne i nieegoistyczne…

Inżynierowie nie udzielali się także w życiu partyjnym. Niejeden zapomniał nawet wyjąć przeniesienie z poprzedniej organizacji, tak pochłonęły go sprawy budowy. Komitet Powiatowy patrzał na to przez palce: ostatecznie to, po co tu przyjechali, to najważniejsze zadanie partyjne. Sprawy budowy szły dobrze, inwestor i wykonawca nie biegli z byle kwestią do wójta na sąd, ale godzili się sami we własnym zakresie, partia na budowie nie miała właściwie co robić.

W zimie 1964–1965, kiedy drogi i pola obsiadły zaspy śnieżne, odbyło się pierwsze zebranie organizacji partyjnych *in corpore*. Przedtem, mimo że drogi były jak po maśle, trudno im było zejść się z sobą. Co się stało? Oto zabiegi Komitetu Powiatowego, żeby ufundować etat sekretarza na budowie kombinatu, okazały się bezskuteczne. Normy przewidują etatowego sekretarza proporcjonalnie do liczebności załogi i nie wnikają w zagadki nowoczesnych technologii, które zakłady o problematyce liczonej w miliardach oddają załodze liczonej w setkach. Ostatecznie partia zajmuje się ludźmi, nie rzeczami. Otóż kiedy Komitet Centralny nie zgodził się na przydział dodatkowego etatu, Komitet Powiatowy sam ze swoich szczupłych kadr wydzielił jednego z instruktorów i skierował na to stanowisko. Sekretarz zaczął od uporządkowania ewidencji i od razu uzyskał, w podobny sposób jak wzrost liczby mieszkańców Świecia, podwojenie szeregów partyjnych – z siedemdziesięciu do stu trzydziestu pięciu członków. Ustalono, kto co poza pracą zawodową robi, a kto miałby ochotę na jakąś pracę społeczną. Ta akcja porządkowa, dopiero zaczęta, może dać w efekcie tendencje i myśli, których się nie spodziewano i nie oczekiwano. Na tym polega największa jej wartość.

Mówiąc o wartościach, działacze partyjni Świecia i kierownictwo budowy mają oczywiście na myśli wartości przeliczalne na dni przyspieszenia terminu budowy czy na tony zaoszczędzonych materiałów. Nikt nie zajmuje się specjalnie wartościami politycznymi, czy, ściślej rzecz biorąc, wartościami moralnymi, o które wzbogacić się może osobowość tych ludzi. O sto kilometrów od Świecia i trzydzieści lat temu, w zakładach celulozowych we Włocławku, dojrzewał i krystalizował się typ średniego działacza partyjnego, robotnika, który przeszedł całą drogę społeczną od zahukanego chłopskiego syna do przedstawiciela nie tylko interesów swojej klasy, ale interesów narodu. Mowa o Szczęsnym. To nic, że żył tylko w powieści, w sławnej *Pamiątce z Celulozy*, która w latach pięćdziesiątych była obowiązkową lekturą szkolną. Jako obowiązkową czytali ją prawie wszyscy dyrektorzy i kierownicy zakładów w Świeciu, przecież w tamtych latach chodzili jeszcze do szkoły, najdalej byli na politechnice. Szczęsny żyje więc życiem więcej niż autentycznym, bo powszechnym. Żyje w świadomości całego tego aktywu.

W *Pamiątce* bohaterem był on właśnie, Szczęsny, bohaterami byli jego towarzysze. Gdyby nie tytuł, nie pamiętalibyśmy, co właściwie produkowała tamta fabryka. Nie było to ważne. Dzisiaj – na odwrót. Dzisiaj wreszcie rządzą Szczęśni i to oni odpowiadają za to, żeby było w co zapakować nawozy sztuczne i żeby było w co zawinąć mięso. Więc najważniejszy jest papier i celuloza, inwestycja i zysk, a ludzie są tłem i wykonawcą tego głównego bohatera.

Czy i oni w trakcie pracy będą się wzbogacać wewnętrznie jak Szczęsny? Czy i im praca w zespole ludzkim będzie podsuwać jakieś niespokojne myśli, jakieś nowe idee, niemieszczące się w ramkach „wniosków racjonalizatorskich" czy „usprawnień zarządzania"? Na te pytania odpowiedzieć może tylko przyszłość.

Na razie ich myślenie jest zogniskowane na bardzo konkretnym punkcie: zmiana pierwotnych założeń. Nie było chyba w historii Polski Ludowej inwestycji przemysłowej, którą by kończono w takim samym kształcie, w jakim zaczęto. Niektórzy twierdzą, że takie jest tempo rozwoju nauki i w ślad za nią techniki, że fabryka pomyślana jako awangardowa, zaplanowana jako nowoczesna, już w trakcie budowy staje się przeciętna, a ukończona zostaje jako przestarzała. Ale w stosunku do czego? Czy do planów, jakie mają ci, co nas wyprzedzili, czy w stosunku do gotowych już obiektów? Jeżeli bowiem wychodzimy z równego startu z jakimiś Francuzami, Rosjanami i Amerykanami, a docieramy do mety mocno spóźnieni, nie zwalajmy winy na przeciwny wiatr.

Zmieniają się więc pierwotne założenia kombinatu, na szczęście tylko ilościowe. Autorzy projektu przestrzennego byli na tyle przewidujący, że zostawili trochę wolnego miejsca. Otóż gdyby w bok od hali celulozowni dobudować jeszcze kawałek, można by pomieścić więcej maszyn i produkować więcej celulozy, która jest bardzo wzięta na rynkach światowych. Jakiś przedsiębiorca angielski proponuje nam dostawę tych dodatkowych maszyn na warunkach kredytowych – spłacimy celulozą na owych maszynach wyprodukowaną. Niebywała okazja! Ale oto z taką samą niebywałą okazją zgłaszają się Finowie, dostawcy całej prawie aparatury kombinatu, a nawet Japończycy. Celuloza jest po prostu międzynarodową walutą, łatwo zbywalną i wszędzie pożądaną. Niebywała okazja okazuje się handlowym chwytem, intratnym dla kraju jak nasz, nieprodukującego takich maszyn, ale nie dobroczynnym.

Decyzji nie podjęto pochopnie. Czy wytrzyma sieć kolejowa? Surowiec, drewno bukowe, dowożone będzie z pobliskiego Olsztyńskiego. Wytrzyma. Transportery wewnętrzne? Wytrzymają. Czy wystarczy wody? Prądu? Pary? Z parą okazują się jedyne komplikacje, zakopane już bowiem w ziemi przekroje rur nie pozwalają na dowolne zwiększanie ilości, mimo że pod bokiem stoi własna elektrociepłownia. Jak obliczono jednak, powiększenie produkcji celulozy zje tylko rezerwę. To znaczy, że w razie awarii czy spiętrzenia zadań życie kombinatu będzie nielekkie. W normalny czas jednak i przy warunkach przeciętnych (choć takie w naszej gospodarce zdarzają się nader rzadko) wszystko będzie grało.

Fińskie maszyny leżą na razie na placu, zabite w solidne skrzynie z egzotycznymi napisami, których nikt nie rozumie: „*laimennus reikaat*". Język

fiński jest jedynym w Europie, obok węgierskiego, językiem z innej zupełnie rodziny. Jakby dla lepszego porozumienia dostawców z budowniczymi załoga gdańskiego Mostostalu montuje obok węgierską suwnicę, która po obłuskaniu drewnianej pokrywy ma rozstawić po hali fińskie maszyny.

Suwnice są od lat słabym punktem naszej gospodarki. Niby robimy konstrukcje stalowe i silniki elektryczne, drabinka do budki operatora też nie jest problemem – a jednak suwnic wciąż brak. Kombinat miał je dostać w 1964 roku, ale wytwórnia w Mińsku Mazowieckim dosyć wyraźnie dawała do zrozumienia, że nici z tego. Tymczasem był już umówiony termin przyjazdu kilkudziesięciu Finów na wiosnę 1965, a punktualni Skandynawowie nie znają słowa „poślizg". Co robić? Zamówione z Węgier suwnice nie rozwiązywały całości sprawy, teren kombinatu jest za duży, żeby można było liczyć je na sztuki. Otóż dyrektor Olszewski postanowił skorzystać ze specjalnego funduszu na nagrody dla innych zakładów kooperujących, przysługującego kombinatowi jako inwestycji priorytetowej. W zamyśle utworzenia tego funduszu o wielkości jednego procenta kosztów inwestycji jest, żeby przedsięwzięciom priorytetowym zapewnić mocniejsze łokcie w tłoku, kiedy się trzeba rozbijać o coś deficytowego.

Nagroda poskutkowała. Dyrekcja wytwórni w Mińsku Mazowieckim wypchnęła widać jakiegoś innego odbiorcę, który nie miał żadnego funduszu na nagrody, bo był mniej ważny niż Świecie. Filozof zadumałby się zapewne nad tym osobliwym planem inwestycyjnym, w którym zakłada się, że nie dla wszystkich starczy. Ale dlatego nie filozofowie, a inżynierowie budują przemysł. Dzięki suwnicom, które przyszły na czas, nie trzeba było skandynawskich gości wozić po Żelazowych Wolach i Wawelach, żeby zyskać na czasie i w pośpiechu zrobić to, co powinno być dawno zrobione. Przyjechali, zmontowali swoje urządzenia i pojechali.

Nauczeni doświadczeniem Ostrołęki, z góry umówiliśmy się z Finami co do warunków ich zakwaterowania w Polsce. Nie będą żądali codziennego dowożenia z Bydgoszczy ani oddzielnych pokoi z telewizorami. Na szczęście zawarliśmy kontrakt z krajem ludzi skromnych, w dodatku żyjących w warunkach nieco podobnych do naszych. Fińskiemu robotnikowi, podobnie jak polskiemu, nie przelewa się. Wykończono dla nich i zamknięto na klucz dwa bloki mieszkalne, które po ich wyjeździe oddane zostaną pracownikom kombinatu.

Te dwa bloki, zamknięte na klucz, są święte. Święte dla wszystkich mieszkańców miasta. Kiedy wykańczano poprzednie bloki, a jest ich już przeszło dwadzieścia, dzień w dzień do prezydium Miejskiej Rady przychodziło po kilka osób i żądało, żeby im te mieszkania przydzielić. Przecież stoją, przecież są

puste. Ze schylonymi głowami wysłuchiwali tłumaczenia, że przecież kombinat, że specjaliści, że są nieodzowni, a potem uparcie wracali do swojego tonu: „Gdybyście mnie jednemu przydzielili, dziura w niebie się nie zrobi". Tak było przy poprzednich blokach. Ale nie przy fińskich.

Czy człowiek przyjeżdżający z południa i mówiący po polsku wydaje się mniej nieodzowny dla życia kombinatu niż człowiek przyjeżdżający z północy i mówiący po fińsku? A może nie żądano mieszkań należnych Finom jako ludziom z innego systemu społecznego? W ustroju burżuazyjnym fakt, że ktoś mieszka w bardzo złych warunkach, do niczego jeszcze nie upoważnia. Fakt, że gdzieś stoją puste domy, tym bardziej nie. Może więc zapowiedziany przyjazd Finów postawił ludziom przed oczy tę prawdę i kazał przyjąć ją do siebie? Niezbadane są drogi ludzkiego myślenia. Można jednak być pewnym, że mimo przysłowiowej pomorskiej dyscypliny natychmiast po wyjeździe Finów zaczęły się znów wędrówki ludzi do rady: teraz już możecie dać...

Ludzie bywali w świecie twierdzą, że pomorska dyscyplina objęła akurat wszystkich sąsiadów powiatu świeckiego, a ominęła środek. Może to jest tak jak z narzekaniem na własne dzieci, które wydają się bardziej od innych rozpuszczone. Dyrektor i ekipa jego współpracowników przyjechała do Świecia z zakładów w Krapkowicach koło Opola. Tamtejsza osada i załoga są prawie w całości złożone z autochtonów. Wstyd powiedzieć, ale widocznie mieszkańcom Świecia zabrakło tych dwudziestu lat wychowania niemieckiego, któremu byli poddani tamci spod Opola, kiedy ci byli już w międzywojennej Polsce. Tak przynajmniej wyraził się jeden z młodych inżynierów. Tam, w Krapkowicach, nie trzeba było sprawdzać, czy wydane polecenie zostało wykonane. Wystarczyło powiedzieć raz – i szlus. Tymczasem w Świeciu ludzi trzeba pilnować, ludzi trzeba zaganiać, kontrolować, czy nie symulują itp.

Sam młody inżynier reprezentuje oczywiście zupełnie inny typ wychowania, niemający nic wspólnego z wpływami zagranicznymi. Jego pojęcie o dyscyplinie ukształtowało się w trakcie pracy między maszynami. Technika i technologia, a nie niemiecki czy polski kodeks pedagogiczny wymagają, żeby robotnik wypełniał polecenia zwierzchników.

Na tle dyscypliny wynikła jedyna – jak dotąd – sprawa, w której dyrekcja kombinatu zwróciła się o pomoc do Komitetu Wojewódzkiego partii. W dyrekcji pracował palacz nazwiskiem Drzazga. Nazwisko nie powinno być podstawą do pretensji, ale w tym wypadku nie kłamało. Drzazga lenił się, nie palił, kiedy miał coś lepszego do roboty, parokrotnie został obklęty nieoficjalnie przez zmarzłych dyrektorów i raz oficjalnie, z wpisaniem nagany do akt. Wreszcie pewnego razu miarka się przebrała i Drzazga został zwolniony z pracy.

Tutaj leń i safanduła nagle się ożywił. Mnie – z pracy?! Wyszły na jaw jakieś nowe okoliczności, choroby, względy rodzinne, o których wcześniej nie było mowy. Dyrektor był niewzruszony. Ostatecznie wynagrodzenie płaci się za pracę, a nie za wyjątkowe przeciwności losu. Drzazga napisał do redakcji regionalnego tygodnika. Tygodnikowi nie chciało się wysłać reportera na miejsce, z Bydgoszczy kawał drogi. Wydrukowano artykuł o pokrzywdzonym palaczu, nie wysłuchując drugiej strony.

Z chwilą ukazania się artykułu w druku rzecz przestała być jednostkowa, stała się precedensowa. Przeceniając może zasięg tygodnika, dyrektor zląkł się, że wszyscy jego tutejsi pracownicy zaczną sobie bimbać, licząc na opiekę ze strony gazety. Zażądał sprostowania faktów, bo i w faktach były pomyłki. Zamiast zgody uzyskał dodatkowego wroga w postaci związku zawodowego, który czuł się w obowiązku wkroczyć i bronić swojego członka.

Tutaj dyrektor nie wytrzymał. Może nie przeraziłaby go tak nagła awaria pomp ujęcia wodnego, chociaż bez wody celuloza nie ma prawa się zrobić. Ale z wodą, pompą, rurami inżynier prędzej da sobie radę. Gorzej z ludźmi, którzy czasem zachowują się jak kulki bilardowe. Raz puszczone w ruch, choćby na przekór logice społecznego myślenia czy linii generalnej partii, angażują się w spór po stronie, po której przypadkiem znaleźli się w jego początkach. Dyrektor, przerażony, że sprawa będzie się toczyła z tą nieubłaganą bezwładnością, zaalarmował Komitet Wojewódzki. Tam sprawę dokładnie rozważono, ale kiedy już zdecydowano się, po czyjej stronie należy stanąć, mowa była krótka.

– Jeżeli nie chcecie pomagać – powiedziano związkowcom – to przynajmniej nie przeszkadzajcie.

Od razu zmiękł też redaktor tygodnika, obiecując na łamach wyjaśnienie. Jeden Drzazga zostanie prawdopodobnie nieprzekonany, uważając siebie za ofiarę rozwoju przemysłu.

Czy to jedyny dramat, jaki się podczas budowy i rozruchu kombinatu, z jego powodu i w jego cieniu rozegra? Na pewno będzie ich wiele i bardziej skomplikowanych niż ten. Ostatecznie sama fabryka, sam przemysł szczęścia nie zapewniają. Z kombinatu mogą wychodzić równie dobrze papiery do pakowania mięsa, ułatwiające życie, jak i tektura na segregatory do papierków, znacznie bardziej uprzykrzająca. Wykorzystanie tego, co się stworzyło, krok w tę czy krok w tamtą stronę, w ostatecznym rachunku zależy zawsze od ludzi.

Andrzej Krzysztof Wróblewski, *Złote ręce*,
Warszawa: Czytelnik, 1966, s. 73–90

1966

Janusz Roszko (1932–1995)

Podsłuchiwać i podglądać

Nie znosił ukrywania bohaterów swoich reportaży pod pseudonimami, zmienionymi nazwiskami i kryptonimami.

Reportaż definiował jako „dramaturgię faktów". Kropka. (Oszczędność tej definicji zaskakiwała jego studentów na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie był starszym wykładowcą, z czego – jak podkreślał – był bardzo dumny). A skoro dramaturgia faktów, to reporter ma zbierać fakty, żeby ujrzeć między nimi związki dramatyczne i napisać utwór literacki. Zawsze podkreślał, że u niego każdy bohater występuje pod swoim nazwiskiem i że prawdziwe są wszystkie informacje. Bo w dzisiejszych czasach (mowa o latach siedemdziesiątych), gdy ludzie nie wierzą w wiele z tego, co wydrukowano, atutem reportażu jest to, że każdy fakt w nim zawarty jest s p r a w d z a l n y. Jeżeli on, Roszko, w reportażu napisze, że na Karmelickiej 57 na drugim piętrze jeden pan hoduje w wannie małego wieloryba, to czytelnik może w każdej chwili iść na Karmelicką, nacisnąć dzwonek i zobaczyć wieloryba. Czytelnik musi być przekonany, że to się n a p r a w d ę wydarzyło.

Słuszne i szlachetne. Tylko że z tego powodu w wielu reportażach Janusza Roszki brakuje przeżyć intymnych bohaterów. Miał tego świadomość:

> Bo jest niewiele przeżyć typu intymnego – przyznawał – o których człowiek występujący pod imieniem i nazwiskiem chciałby reporterowi mówić i zgodzić się na ich opisanie. Najczęściej prawdziwa relacja człowieka o jego osobistych przeżyciach jest opatrzona pseudonimem. [...] Prawdziwy człowiek wtedy się ufikcjonalnia. Jego relacja staje się uniwersalna, ale mniej konkretna. Przekroczenie pewnej strefy intymnej musi automatycznie powodować zatarcie realiów i uniwersalizację treści utworu.

I wcale mu się ta uniwersalizacja nie podobała. „Uniwersalizować to mógł Dostojewski" – mówił studentom.

Ma jednak na swoim koncie reportaż, w którym bohater występował pod prawdziwym nazwiskiem i nie miał nic przeciwko temu, żeby upublicznić jego intymne przeżycia. Kimś takim był sławny na całą Polskę górnik Alojzy Piontek, który w marcu 1971 roku został uratowany z zawału w kopalni w Zabrzu, w którym zginęło jego dziesięciu kolegów. On przeżył pod ziemią sto sześćdziesiąt dwie godziny, pijąc własny mocz i żując stylisko od łopaty. Janusz Roszko

poświęcił temu wydarzeniu książkę *Zawał* (1972), w której zamieścił rozmowę z ocalonym górnikiem:

– Matka, ona bardzo mnie kochała... Tam pod ziemią ją widziałem, ot, tak jak pana teraz widzę.

– Nie bał się jej pan?

– Nie. Ja ją wołałem. Prosiłem, że to moja ostatnia szansa. Czy będę żyć. Parę minut ją widziałem. Powiem panu, że rozmawiałem z nią. Tam pod ziemią to ja złożyłem ślubowanie. Cztery punkty ono miało. Jedno my już dali, drugie jeszcze niecałe, a trzecie i czwarte muszę spełnić.

– Może mi pan powiedzieć, jakie to były ślubowania?

– Tam na dole przyrzekłem, że nikomu tego nie powiem.

– Może coś można. Czy to pierwsze, to było dać na mszę?

– Tak, za ojca i matkę.

– A następne? Może jakoś ogólnie, w przybliżeniu?

– Jak to panu powiedzieć, nie wiem. To jest trudne. Już mnie doradzali, że to nie da się zrobić. Żeby, od niej, od matki skorzystać jedną rzecz. Nie, tego nie da się powiedzieć.

– I to był najtrudniejszy moment tam pod ziemią, jak wołał pan matkę?

– Nie, jeszcze był inny moment. Ja tam się chciałem obwiesić. Tego jeszcze nikomu nie mówiłem.

– Jak to było?

– Był taki moment, kiedy mi zaczęło brakować powietrza. Myślałem sobie – jakie są szanse, żeby stąd wyjść. Jakie są szanse na życie, a jakie... Więcej było szans nie na życie. Dusiłem się.

– Jak w tej ciasnej grocie chciał pan to wykonać?

– Miałem pasek od akumulatora. Obwiązałem go na stojaku i założyłem sobie na szyję. I w tym momencie poczułem, jak idzie do mnie dużo powietrza. To było zimne powietrze, zrobiło mi się chłodno i nie miałem się czym okryć.

Janusz Roszko był reporterem, który mówił szczerze o tajnikach swojego zawodu. Uważał, że można przekraczać granice przyzwoitości, jeśli dzięki temu przekaże się prawdę i uchroni reportaż przed zmianą w opowiadanie.

Tłumaczył, że gdyby chciał napisać reportaż o tym, jakie powodzenie u kobiet miał Jan Kiepura, śpiewak być może opowiedziałby o swoich erotycznych przygodach, ale na pewno by zastrzegł: „Panie, jak pan to napisze z moim nazwiskiem, ja pana zaskarżę i zniszczę". Roszko miał na to swój pogląd:

> Otóż uczeni prawnicy nam powiedzieli, że nie wolno podglądać, podsłuchiwać, publikować pewnych wypowiedzi bez zgody zainteresowanych. Powoływali się na Kartę Praw Człowieka. Jest to szlachtowaniem Kischów w kolebce. Gdyby każdy reporter miał ten dekalog, o którym ci uczeni mężowie rozprawiają, spisany w punktach – powinien wyrzucić maszynę do pisania i nauczyć się innego fachu. Będę podsłuchiwał i będę podglądał: będę przysięgał, że nie złamię słowa, i będę je łamał, dopóki jestem reporterem.

Jego przywiązanie do prawdy, faktów i protokolarnej sprawdzalności doprowadziło go do kilku głośnych procesów. Na przykład w 1958 roku został oskarżony o to, że w swoim reportażu *Limanowa – wioska powiatowa* publicznie znieważył organa MO, cytując jednego z rozmówców:

> Gmach więzienia został niedawno wyremontowany na cele mieszkaniowe, przeniesiono tam milicjantów i dobrze się stało, bo wreszcie właściwi ludzie są na właściwym miejscu.

W 1966 roku były sekretarz Komitetu Powiatowego w Chełmie i jeden z działaczy oskarżyli Roszkę o zniesławienie, poczuli się bowiem skrzywdzeni wypowiedziami w jego reporterskiej książce *Bez korony*.

Roszko pytany o swoje sprawy sądowe, często cytował dziewiętnastowiecznego francuskiego dziennikarza, który mawiał, że format dziennikarza mierzy się liczbą jego wrogów.

> Ja chcę naprawiać świat – powtarzał w 1978 roku Katarzynie Meloch. – Może to trochę idealistyczne wyobrażenie? Wszystko przyrównuję do wzorca, którego nauczyli mnie w ZMP. Zakładałem koła ZMP. Z aparatu zetempowskiego wyszedłem, kiedy chwyciłem bakcyl dziennikarski i zacząłem pisać. [...] Swoje dziennikarstwo uważam ciągle za misję.

Po latach napisał o tym okresie: „Byliśmy pokoleniem zbłąkanym".

Jako młody zetempowiec został w wieku osiemnastu lat przyjęty do redakcji „Dziennika Polskiego" w Krakowie. Urodził się we Lwowie, a w Krakowie znalazł się po wojnie i tam w 1954 roku skończył Wydział Filozoficzno-Historyczny Uniwersytetu Jagiellońskiego. W latach pięćdziesiątych zainteresował się archeologią, podróżując po polskich grodziskach. Tworzenie się państwowości polskiej było tematem jego książek historycznych: *Pogański książę silny wielce* (1970), *Kolebka Siemowita* (1974). W 1968 roku dostał zakaz publikacji i został zwolniony z redakcji, kiedy w „Dzienniku Polskim" odmówił relacjonowania wiecu marcowego. Dopiero w 1970 roku dostał pracę w „Przekroju", ale

publikował też w krakowskim „Życiu Literackim". W 1980 roku osiadł w dworku pod Krakowem i zajął się tylko pracą literacką. W 1984 roku wydał *Ostatniego rycerza Europy*, powieść historyczną o Kazimierzu Pułaskim, a w 1989 roku – *Awanturnika nieśmiertelnego* o Maurycym Beniowskim.

Za tekst o Chełmie – mieście PKWN-u, kolebce Polski Ludowej – w książce *Bez korony* (1965) otrzymał drugą nagrodę w konkursie „Kultury" na reportaż dwudziestolecia PRL-u.

> Ostra strzelanina od Hrubieszowa zamieniła miasto w sam słuch. Z Borku nocą wystrzelił w niebo ognisty słup. [...] Tego ranka nie było już niemieckich wojsk w Chełmie, ale nie było jeszcze radzieckich ani polskich. [...] Książka, którą leżąc na kudłatym kożuchu, Andrzej Tomza czytał – traktowała o czerwonoskórym dżentelmenie Old Shatterhandzie. Czy było to akurat mniej ciekawe miejsce, czy mucha mu usiadła na nosie – dość, że odwrócił głowę w stronę łanu pszenicy, z którego właśnie w tym momencie wyszedł żołnierz z twarzą zasłoniętą gałązką porzeczki. [...] Żołnierz miał trzy paski na naramiennikach, polski mundur i pepeszę w ręku. [...]
>
> – Rany boskie, polski żołnierz! – wrzasnął Andrzej. Wylegli domownicy ze schronu i zaczęli się przyglądać żołnierzowi, który przestał jeść porzeczki, odsłonił twarz i orzełka bez korony na czapce, która przekrzywiła się nad spoconym czołem.
>
> – Bez korony? – zapytała niepewnie Tomzowa.
>
> Ale nie było czasu na dyskusje. Żołnierz wycałowany tylko przez wszystkich, pognał ze swoją gałązką porzeczek dalej, w stronę centrum Chełma. I wtedy uświadomili sobie, że było to coś jak objawienie, ten polski mundur, ich modlitewnego oczekiwania, ten powrót Polski.

Reportaż Janusza Roszki o Nikiforze jest próbą zbliżenia się do artysty owianego tajemnicą.

Nikifor maluje dom

Stary człowiek pochylony nad powierzchnią nowoczesnego biurka ciężko oddycha. Wyciąga rękę w stronę włoskiego radia o seledynowej skali i muzyka *fortissimo* wypełnia pracownię. Radio ma klawisze poplamione fioletową akwarelą. Ołówek w zwykłej ręce, bardzo zwykłej ręce wędruje po brystolu. Ruchy są pełne perfekcji i maestrii. Stary człowiek odwraca się i twarz jego powoli się uśmiecha, jakby wracał z innej krainy. Podaje rękę – trzy palce, z dwóch nie wypuszcza ołówka. Na kartonie jest już fundament i schodki. Radio gra *Pola zielone*, za oknem noc, na deptaku reflektor ukryty w powodzi brązowiejących liści buka. Pomnik jesieni.

– Nikifor, jaki ma być twój dom?

Ciężki oddech zamienia się w potok pośpiesznej mowy. Taki ma być, jak mieszkał trzydzieści sześć roków temu i płacił co miesiąc setkę, i myślał, że dom kupuje na raty, ale źli ludzie kazali mu się wynosić. Ręka pod niedokończonym obrazkiem kreśli wyliczenie: ile lat mieszkał, ile zapłacił, czy za te pieniądze miałby już własny dom. Koło domu rośnie już cerkiew na pagórku, rozkrólewia się cebulkami kopuł. Cerkiew na Krynicy Wsi. Jego cerkiew, centralny punkt krainy Nikifora, jeśli taka istnieje – cerkiew, od której rozchodzą się wszystkie jego drogi.

Malarz[1] przynosi Nikiforowi kolację z baru, jak co dzień. Przynosi mu do pracowni śniadanie i obiad. Mała, ruchliwa twarz Nikifora poważnieje. Za chwilę już kaszle, okropnie kaszle. Odsuwa talerz.

– On myśli, że to jedzenie jest niedobre, że od tego kaszel. Tak mu się to wiąże. Już więcej tego nie będzie jadł – informuje Malarz.

Atak kaszlu przechodzi, stary człowiek wstaje i zaczyna chodzić po pracowni. Niewielki, szczupły – nagle rozmowny i pełen uśmiechu, przyjaznych gestów. Trudno go zrozumieć komuś, kto słyszy go pierwszy czy drugi raz.

Szuka obrazka w szufladzie, wyciąga na stół.

– Jak byli w Brunarach. U popa. A to ten dom. Z Florynki.

Z dość bełkotliwego potoku słów wychwytuję, o co chodzi. Byliśmy w niedzielę w Brunarach, byliśmy w Grybowie i na Florynce – przejechaliśmy z Nikiforem szmat jego krainy. Na obrazku jest domek z dachem dziwacznej konstrukcji. Jakby zaprojektował go sam Nikifor. Ale domek ma lat sporo, nikt wówczas nie snobował się jeszcze na Nikifora. A domy na rynku w Grybowie

[1] Malarzem nazywam w reportażu Mariana Włosińskiego, artystę plastyka, absolwenta krakowskiej ASP, który jest plastykiem zdrojowym w Krynicy oraz równocześnie kuratorem Nikifora z wyboru. Wyboru dokonał sam Nikifor, od lat przychodzący do pracowni Włosińskiego malować [przyp. aut.].

z chodnikami i strzyżonymi drzewkami są takie jak na każdym miejskim obrazku Nikifora. Kolorowo malowane elewacje, podbrązowione jesienią liście okrągłych koron.

– Do Brunar nie doszła dwadzieścia dziewięć roków temu, zaspy były.

Mówi o sobie często Nikifor jako o osobie płci żeńskiej; wydarzenia określa zwykle precyzyjnie w chronologii, często liczy sobie na palcach, aby podać dokładnie, ile roków wstecz rzecz się miała.

Ta kraina jest realna i nierealna. Koło poczty Chrystus jedzie żółtą dorożką i błogosławi tłumowi pijących zubera. Biskup w kapliczce ustawionej na grzbiecie wielkiej ryby płynie przez daleki ocean, nad brzegiem którego nie ma domów, są tylko jedna koło drugiej – same piramidy. Wielkie, przepaściste pasaże, mieszczące kamienice po kilka pięter, przypominające moskiewski Uniwiermag, z cerkwiami na dachu. Dworce z plątaniną torów i świateł. Pensjonaty z galeryjkami misternie wycinanymi z drzewa w stylu pseudoszwajcarskim, zgryzione przez korniki Witoldówki, Białe Róże i inne – jak nowe. Orkiestra gra walce wiedeńskie na galeryjce w pijalni, pan dyrygent się kłania kordialnie. Kiedy wyjdzie zza zakrętu hofrat[2] z białymi bokobrodami? „KRYNICA WILLA POWIAT WIEŚ WSI ROSYTA SEŁO". To podpis pod każdym niemal obrazkiem.

– Nikifor kiedy malował biskupa na rybie?

– Szesnaście roków. Ale to źle. Ryba się ruszy, biskup wypadnie z kaplicy. Kapliczkę pasami przymocować.

– Co to znaczy „rosyta"?

Nikifor mówi długo i zawile. Zdaje się – spodobało mu się słowo „rosyta", może sam je sobie wymyślił. Zresztą Nikifor nie umie pisać. Zapamiętuje tylko kształt graficzny wyrazów, porządek liter. Czasem się pomyli przy odtwarzaniu słowa. Potrafi zrobić błąd nawet w powtarzanym po tysiąckroć wyrazie „Krynica". Najczęściej zmieni na „Krenica". I na każdym obrazie wypisze swoje łemkowskie „seło" – wieś.

Rosną ściany Nikiforowego domu. Proste, z drewnianych bali. Na przodzie zarysowuje się weranda. Zupełnie jakby to nie miał być dom sławnego Nikifora, poety małych akwarel i twórcy dziwnego świata, pełnego kopułek, dziwacznych domów i zaskakujących pejzaży. Rośnie jakiś bardzo zwykły, realistyczny dom. Ale czekamy za jego plecami, co z tego wyniknie. Nikifor znowu kaszle. Ogląda się do tyłu za siebie, czy przypadkiem nie palimy papierosów. Kaszle dalej. Papierosów bardzo nie lubi, wszystkim zwraca uwagę, aby nie palili. Gdy Malarz grzecznościowo robi szarfę dla jakiegoś państwowego czy uzdrowiskowego nieboszczyka z Krynicy, Nikifor zapytuje:

[2] *Hofrat* (niem.) – radca dworu, urzędnik wysokiej rangi w cesarskiej Austrii i w Niemczech.

– Kto umarł? – po czym, usłyszawszy odpowiedź, manifestuje przez kolejne pięć minut absolutne *désintéressement*. Wreszcie rzuca jakby od niechcenia następne pytanie: – A palił papierosy?

Gdy Malarz odpowie „tak", Nikifor nie powstrzyma się nigdy od triumfalnego okrzyku:

– A dobrze mu tak!

A teraz – już drugi raz dzisiejszego wieczora – dostaje ataku kaszlu. To zawsze przychodzi pod wieczór, gdy jest już zmęczony.

Ma wyobraźnię, jakiej mogliby mu pozazdrościć Marc Chagall wespół z Salvadorem Dalí – a jeśli idzie o pracę, ma poglądy austriackiego urzędnika. O dziewiątej rano – gdy jest pogoda – drepce deptakiem, niosąc pod pachą swoją nieodłączną ramkę z okolicznościowym listem proszalnym, gdzie dobrzy ludzie napisali do dobrych ludzi: „Ja Nikifor, sierota, nie mam gdzie mieszkać ani nie mam co jeść...". To wszystko jest już dawno absolutną nieprawdą, ale Nikifor w ramce pod szkłem nosi te swoje listy proszalne, uznając je za jakiś talizman. Na każdym liście w rogu jest wymalowany kredkami miniaturowy obrazek i obok przez samego Nikifora napisana czarną kredką cena: „500 zł".

Wszystko w tym jest już nieprawdą. Bo napisane jest, że zwany Matejką, że bez opieki; stare dzieje. Dziesięć lat temu pamiętam go takiego samego, gdy siedział na murku koło Nowych Łazienek i malował swoje akwarele na pudełkach od papierosów, co chwilę zwilżając pędzel śliną. Oszczędzał także niesłychanie guziczków akwarel – wychodziły z tego tony delikatne, przejrzyste, pełne poezji. Teraz, kiedy ma w banku spore pieniądze, uważa za swój święty obowiązek nie oszczędzać farby. Nakłada warstwy grube, nie rozwadniając, po wyschnięciu bardziej przypomina to temperę niż akwarelę.

Tak, ma sporo pieniędzy na koncie w banku, chociaż nie bierze po pięćset złotych za obrazek tak sztywno, bo Nikifor to nie Miejski Handel Detaliczny. Taksuje sobie gościa, opuści cenę, doda jakiś mniejszy obrazek. Mieszka wcale dobrze – w kamienicy naprzeciwko Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Krynicy, w wielkim pokoju z ogromnym oknem. Stoi tam tapczan, którego Nikifor nie lubi, bo przyzwyczaił się do starego łóżka, stoi telewizor, trzy radioodbiorniki, fotele oraz wielka skrzynia pomalowana w łemkowskie wzory, zawierająca wszelakie skarby Nikifora i z tego tytułu zamknięta na wielką jak burak kłódkę. Mistrz nie uznaje tradycyjnie banku, raczej skrzynię uważa za miejsce najpoważniejsze. „Pieniądze trzeba do skrzyni!" – powiada, gdy wpływa jakiś grosz. Ale ulega perswazjom Malarza – dają do banku. Pięć radioodbiorników w sumie, cztery zegarki, około piętnastu pieczątek w kształcie królewskiego *sigillum* z wizerunkiem

Nikifora pośrodku i biegnącym wkoło napisem „Nikifor Malarz artysta Krynica" – oto bogactwa krynickiego malarza.

Teraz chce mieć swój własny dom, chciałby swój własny samochód. Malarz codziennie wozi go z domu do pracowni swoim wysłużonym mikrusem. Nikifor sadowi się z nieodstępną ramką na przednim fotelu z dość dziarską miną, ale nie tak nonszalancką, jaką demonstrował w Bułgarii, przechadzając się we wzorzystej bluzce pośród pensjonatów nad Morzem Czarnym w kurorcie Słoneczny Brzeg. Uchwycił tę minę na taśmie filmowej Malarz i cieszy się, że tego właśnie razu Nikifor prezentował się niemal jak kapitalista z Wall Street.

Wówczas podróżował nie mikrusem, ale samolotem; przygotowywał się do tej podróży, malował kilkakrotnie – oczywiście za każdym razem inaczej – lotnisko warszawskie. Za każdym razem inaczej, bo Nikifor nigdy jeszcze nie namalował dwóch takich samych obrazków. W samolocie czuł się świetnie dopiero później, bo z początku, gdy byli w chmurach, wypatrywał z niepokojem aniołów, biskupów i wszystkich świętych – co pokrywał ironicznymi odzywkami „lecimy do nieba". Dopiero gdy anioły i święci się nie pojawiali, Nikifor się uspokoił. Zaczął zajadać się winogronami, co uporczywie przez całe wakacje robił, nawet podobno przez sen.

Nikifor jest stary i kaszle. Kiedy kaszel targa zbyt mocno płucami, pozwala sobie na wyrzuty pod adresem matki.

– Niedobra kobieta. Po co mnie urodziła?!

Ale dotąd nie udało się wyjawić nikomu pochodzenia Nikifora – poza legendą, że jest nieślubnym dzieckiem posługaczki z Krynicy-Wsi. Pojechaliśmy do Krynicy-Wsi z Malarzem coś wyjaśnić. Koło sławnej cerkwi, za asfaltową drogą, jest uskok, za uskokiem kotlina, którą do Muszynki spływa krynicki potok. Nad potokiem gospodarstwo Michała z Brodą, a raczej duch tego gospodarstwa. Fundamenty młyna porosłe chaszczami, obok młyńskie koło, omszałe jakieś, choć na oko solidne jeszcze, dalej upiór chałupy, na której gontowy dach zawalił się do środka na kształt naciśniętego z góry kapelusza. Wokoło jest pełno złomu, który zbiera Michał i raz na rok odwozi do składnicy za ekwiwalent pieniężny. Michała z zespołem jego pięciu kóz zastaliśmy na łące w pozycji olimpijskiej; półleżąc, oglądał świat dobrotliwie. Miał wielką siwą brodę i długie włosy jak Bóg Ojciec na popularnych wizerunkach. Właśnie tak wyglądał w mocno poszarpanym roboczym ubraniu: jak Bóg Ojciec utrudzony dziełem tworzenia świata, który legł odpocząć i pomyślał sobie: niech oni tam teraz dają sobie radę, a ja będę uprawiał swoją działkę. Michał kopał właśnie ziemniaki.

– Nikifora pamiętam. Jakem wrócił z wojny, znaczy się tej pierwszej, światowej, Nikifor jeszcze chłopcem biegał koło matki. Mały był zawsze, ale na oko mógł mieć z czternaście, piętnaście lat. Wróciłem z wojny chyba w 1918 roku... – wspomina całkiem rozsądnie Michał, uznany za najbiedniejszego szaleńca w okolicy i jako taki nieprzesiedlony z Łemkami na zachód.

Nikiforowi udało się wrócić i niemal natychmiast zameldować na swoim stałym miejscu w Krynicy. Później zresztą powtarzał swoje ucieczki – dwa razy z sanatorium w Rabsztynie, gdzie leczył astmę i gruźlicę.

– Matka Nikifora nazywała się Onycha – powiada Michał.

Tyle – prócz znakomitej demonstracji jedynego w Polsce kołtuna długiego do kolan, w siedmiu strąkach, którego posiadaczem jest Michał z Brodą – informacji zdobyliśmy. Wynikałoby stąd, że Nikifor, któremu dano sądownie nazwisko Krynicki i wystawiono wreszcie dowód osobisty – ma znacznie mniej lat, niż sam twierdzi. Przyznaje się bowiem do sześćdziesięciu dziewięciu!!!

Wielki artysta o duszy austriackiego urzędnika zaczyna pracę, sprawdzając czas na dwóch co najmniej zegarkach – o godzinie dziewiątej – i pracując z przerwami na posiłki do ósmej wieczór. Gdy jest zmęczony, kładzie głowę na biurku i śpi, nie wypuszczając pędzla z ręki. Gdy budzi się, natychmiast wykonuje ruch pędzla w kierunku zaczętego obrazka. Gdy skończy pracę, lubi opowiadać o swoich wędrówkach po Galicji. Gdzież on piechotą nie zaszedł! Był w Tarnowie, we Lwowie, Tuchowie, gdzieś tam po Słowacji nawet wędrował, żebrząc i sprzedając obrazki, których nikt przecież przed wojną nie traktował serio. Wprawdzie lwowski miesięcznik „Arkady" w artykule Wolfa omawiał obszernie prymitywizm malarski reprezentowany przez Nikifora, ale była to sprawa elitarna. Dopiero w latach pięćdziesiątych zaczęło o Nikiforze być naprawdę głośno w kraju. W latach sześćdziesiątych posypały się wystawy we wszystkich niemal stolicach Europy i za morzami. Polski Utrillo, znakomitość, sława.

W Nowym Domu Zdrojowym jest gablotka, za szkłem kilka obrazków Nikifora i tekst informujący – jeśli tak można powiedzieć – o karierze artysty. Panowie z brzuszkami i panie ze złożami pudru na twarzach wykrzywiają się:

– I to ma być malarstwo?!

Nikifor maluje ukośną kratką lasy na górach. To daje świetny efekt; zresztą jest jego własnym wynalazkiem w malarstwie pejzażowym.

– Co to za malowanie. Taki las!!! – dziwią się pudrowane panie i wykrzywiają usta. Tynk odpada z twarzy po kawałku.

Szczupły, stary człowiek schylony nad biurkiem – po latach ciężkiej pracy maluje własny dom. Stawia pewne kreski ścian, aby był to dom mocny, w którym będzie mógł pracować lata i który później innym jeszcze na całe lata starczy.

Napisałem: po latach ciężkiej pracy. Ktoś powie: jakiej pracy?! Że siedział i malował na murku? Że włóczył się po wsiach i żebrał po sanatoriach? Przecież jeszcze teraz chodzi po deptaku i zbiera pieniądze, pokazując ramkę z listem proszalnym i obrazki. Malarz krzyczał na niego. Nikifor był obrażony.

– Artysta nie żebrała – powiedział. – Artysta pokazywała obrazki.

To dla niego ważna sprawa: pochwalić się obrazkami. Malarz go rozumie.

– Ale żebrałeś!

– Pokazywała obrazki. Ludzie dawali pieniądze. Miała nie brać?!

– To niedobrze...

– Artysta nie lubieć nikogo – gniewa się Nikifor.

– Malarza także?

– Malarza także!

Ale wiadomo, że za chwilę będzie rozejm. Nikifor w nagrodę zrobi porządek w ich wspólnej pracowni pod nieobecność Malarza i będzie udawał, że o niczym nie wie. Że to krasnoludki. Miny pocieszne będzie stroił, gdy Malarz zacznie szukać jakiejś farby czy szkicu – że pojęcia nie ma, kto tu wysprzątał. Malarz przez trzy tygodnie nie będzie mógł niczego znaleźć, ale będzie bardziej lubił Nikifora za ten gest. Tak to już jest między nimi.

A Krynica nie lubi Nikifora. Może za to, że nie potrafiła od razu go docenić – na samym początku. Co drugi kryniczanin mówi: „Przed wojną obrazkami Nikifora paliłem w piecu!". I teraz rzeczywiście nie można odnaleźć tych najwcześniejszych obrazków, sprzed wojny. Nieliczne tylko się dochowały. A pracowity żywot Nikifora obliczyliśmy z Malarzem na jakieś dwadzieścia pięć, trzydzieści tysięcy obrazków. Zakładamy, że dwadzieścia tysięcy przetrwało z tego na pewno. Trzeba powiedzieć, że Nikifor maluje i malował około dwu obrazków dziennie. Skromnie licząc – siedemset na rok. Mniejszych robił więcej. Tytan pracowitości.

Robiła mu Krynica wstręty i robi. W kamienicy, gdzie od roku mieszka, podniósł się niemal zbiorowy bunt: chorego na gruźlicę żebraka między porządnych ludzi?! Skandal! Aranżerem buntu był bardziej zaawansowany gruźlik, dzięki temu protest upadł.

Kiedyś, gdy miał białego psa, którego nazywał Hauka, dzieci gnały go drogą i obrzucały kamieniami. Tylko dlatego że to był pies Nikifora. Nikifora, który ośmielił się być ważniejszym od tych, wśród których wyrósł.

Brzuchaci panowie pod gablotą w Nowym Domu Zdrojowym powiadają:

– Pan myśli, że on to sam tak maluje? Skąd, teraz mu dali zawodowego plastyka, on mu rysuje i wszystko poprawia. Taka heca...

Tymczasem – będąc u Nikifora w domu, około godziny dwudziestej pierwszej trzydzieści – zastałem go, jak jeszcze rysował szkice do przyszłych obrazków. Był to cykl okolicznych miast. Temat główny: rynek i ratusz. Tuchów, Tarnów, Nowy Sącz, Muszyna... Widziałem, jak pod ręką nieomylnie wyrasta kształt znanego mi ratusza nowosądeckiego, może nieco zmieniony, ale na końcu świata poznałbym tę śmieszną budowlę po wygiętym mansardowym dachu i cienkiej jak igła wieżycy. Ale nad podpisem „Muszyna" coś zaskakującego. Jest kapliczka ze świętym Janem, drugiej nie widać – i jest trawnik z ławkami; ale pośrodku rynku, gdzie pusty plac, ratusz nagle wyrósł. Z wieżą, na wieży ganek, na szczycie flaga. Nikifor pokazuje palcem na ganek:

– Fojermany tu mają chodzić!

– Ale w Muszynie ratusza nie ma! – wołam.

– To będzie taki. Bo gmina, poczta, sąd i biblioteka osobno. A na dole sklepy. Prawą stroną – pokazuje palcem na rysunku tor kolejowy – przejeżdżać będzie kolej, lewą samochody.

Nikifor ma pasję poprawiania rzeczywistości. W Bułgarii zaprojektował osobliwe kąpielisko nadmorskie. W plażę i morze wkrojone były przegrody dla osobnych kategorii kąpiących się. W jednej od pięciu do dziesięciu lat. W następnej od dziesięciu do piętnastu i tak dalej, każda przegroda o pięć lat wyżej.

Miał Nikifor gotowy cykl świątków, projektował cykl cerkiewek, nie maluje inaczej, tylko cyklami. Ale nie zdarzyło się jeszcze, aby cały cykl znalazł się w ręku jednego kupującego. Po pierwsze za drogo, po drugie – zanim cykl wykończy, już jest wykupiony przez gwałtownych nabywców, którzy oblegają w sezonie pracownię Nikifora. Malarz zamyka czasem drzwi na klucz przed szturmującym tłumem. Na szczęście nie wszyscy wiedzą, gdzie znajduje się pracownia zdrojowa, zwana inaczej dekoratornią, i nie wiedzą, że to tam właśnie pracuje co dzień Nikifor.

– Artysta nie je chleba, tylko bułki – powiada Nikifor.

I je tylko bułki. Artysta nie chodzi do domu, tylko jeździ. Tylko jeździ! Artysta. Celebruje to słowo, kocha się w nim, korzysta z luksusów z radością dziecka. Artysta nie lubi „czarno-białych" (pielęgniarek). Artysta nie lubi dorożkarzy, bo dorożkarz numer 26 ileś tam roków temu wziął obrazek i nie zapłacił. Artysta musi mieć swój dom pośrodku Krynicy, na deptaku.

Jest więc dom z dachem, z werandą na froncie, niepiękny, masywny i zupełnie przeciętny. Takie domy budowali zamożni gospodarze w zamożnych wsiach. Weranda przeszklona małymi szybkami.

– Kto tu będzie mieszkał?

– Artysta!

Dla zadokumentowania maluje napis: „Nejitor, Artysta, Matejko". W trzech rzędach, jeden pod drugim, na froncie werandy. „Nejitor" – zawsze tak pisze swoje imię. Nigdy normalnie, jak wszyscy.

– Ale ten dom – tłumaczę – zwykły. Powinien być taki, żeby z daleka każdy powiedział: tu mieszka Nikifor.

Myślałem o jakichś charakterystycznych dla niego dzindzibołkach, może o cebulkach cerkiewnych na szczycie, może o dachu takim śmiesznym jak we Florynce, o oknach jakichś dziwnych.

Jako architekt był jednak Nikifor śmiertelnie poważny. Nie dał się zbić z tropu. Narysował taki dom, o jakim naprawdę marzył. Od dzieciństwa, bo nigdy żadnego domu nie miał.

– Ile będzie pokoi? – pyta Malarz.

– Osiem! – powiada artysta Nikifor, pełen godności.

– Czy artysta musi mieszkać aż w ośmiu pokojach?

Milczenie się przeciąga. Nikifor dorysował na dachu pięć wielkich obrazków, które z dala mają sygnalizować, że to dom artysty. Potem kręci się niespokojnie. Uznaje, że tak jest źle.

– Trzeba wymazać gumką! – podpowiadam.

I okazuje się, że Nikifor nigdy w życiu nie używał gumki. Po prostu w rysunkach się nie myli.

– Osiem pokoi. Letnikom wynajmować! – wypala nareszcie artysta.

Jest w tym coś z dziecinnej chytrości. Nie trzeba mu zarabiać na letnikach. Ale takimi powiedzonkami chce zasłużyć sobie na opinię, że jest taki sam jak inni w Krynicy: wszyscy tu zarabiają na letnikach. Może wtedy, gdy będzie wynajmował letnikom, uznają go za jednego spośród swoich?!

Jaki był godny i radosny, kiedy autem przyjechaliśmy do cerkiewki w Brunarach, gdy proboszcz zaprosił go na plebanię i poczęstował winem. Biedny był ten proboszcz, ręce miał uwalane w ziemi, bo w polu pracował, nie było w nim nic z pasibrzucha i Nikifora podejmował z radością winem jak wielkiego malarza. Nikifor to wyczuł. Nigdy nie bywał tak przyjmowany na plebaniach, co najwyżej wystawiono mu na dwór miskę z jedzeniem. Teraz rozmawia z księdzem jak równy z równym. Pewnie za sprawą tych zastępów tysięcy świętych aniołów, których namalował! Rysuje z pamięci cerkiewkę w Brunarach i pięknym zamaszystym gestem wręcza księdzu. Otwiera jeszcze swoją ramkę i pokazuje obrazki świątków. Mówi księdzu, żeby sobie wybrał jeden.

– Nie miała drobnych na ofiara. A popu trzeba dać ofiara! – wyjaśnił na koniec.

W kawiarni w Grybowie wszyscy patrzyli na niego z podziwem, ale on nie zwracał na nikogo uwagi i godnie jadł kanapkę, popijał herbatą. Ręką oganiał się od nacierającego dymu z papierosów. Wydawał się sobie jak na autoportrecie zielonym, gdzie z fryzurą Paderewskiego i miną młodego Wertera oczekuje wielkiej przygody.

Wróciliśmy z krainy cerkiewek i wspaniałych Pantokratorów, ikon i świątków, dziwnych domków i stareńkich pensjonatów, gdzie pośród lesistych gór narodziła się malarska poezja Nikifora. Są jednak ludzie, którzy poza naiwnością i faktem, że Nikifor nie umie zwyczajnie mówić, niczego się nie chcą w nim dopatrzyć. Ich sprawa. Nie można nikogo namawiać, aby uwierzył w jakąkolwiek sztukę – póki ta sztuka sama nie poruszy jego serca. Można ludzi namawiać do jakichkolwiek konwencji estetycznych, ale prawdziwe uznanie sztuki odbywa się tylko poprzez emocje i na to nie ma rady.

Jest noc, wychodzimy z pracowni bocznym wyjściem. Nikifor niesie swoją nieodłączną ramkę z obrazkami i torbę raportówkę przewieszoną przez ramię. Idzie powoli, oddech o tej porze już świszczy, astma odzywa się znów pod jesień.

– Architekt zaprojektował ci dom! – powiadamy.

– Dobrze. Artysta mieć własny, piękny dom. Wszyscy będą robić „pstryk"! Na czterech rogach będzie warta. Żeby nic nie ukradli! – oznajmia mistrz i schodzi po schodkach.

Malarz prowadzi go pod rękę przez szyny, gdzie przejeżdżają dniem wagoniki z borowiną, tuż za torem czeka mikrus. Zimą będzie gorzej, mikrus pójdzie do garażu. Dorożkarze kosić będą spory grosz, wożąc Nikifora saniami do domu. Drą z niego nieludzko, coś trzydzieści złotych za kurs. Inaczej, powiadają, im się nie opłaca. I opowiadają legendy o skarbach Nikifora.

A tymczasem to Nikifor jest skarbem Krynicy.

Nikifor woła mnie, gdy jestem już kilka kroków od mikrusa. Otwiera swoją ramkę nabożnie, widzę w odblasku lamp auta, że jego niebieskie, dobre oczy się śmieją.

– W Brunarach, u popa – chwytam wyrazy.

I wręcza mi obrazek. Jest to ów dziwny domek we Florynce, na który patrzył kilka minut, aby później z pamięci go namalować.

Po chwili artysta pędzi drogą po górskim zboczu koło poczty mikrusem Malarza i błogosławi Krynicy.

Janusz Roszko, *Palenie Judaszów*, Warszawa: Iskry, 1966, s. 183–196

1967

Jan Bijak (1929–2014)

Niezwykłe w zwykłym

Typowa bohaterka reportaży Jana Bijaka mieszkała na wsi, mogła być pracownicą pegeeru. Reporter przyjeżdżał do niej, żeby zapytać na przykład, co to jest miłość albo małżeństwo, albo czy warto wprowadzić soboty wolne od pracy. Seweryna Łokietkowa, robotnica rolna, matka dziesięciorga dzieci, w reportażu *Ja bym nawet przyszła na tę sobotę* (1975) mówi na przykład, że dla niej najważniejsze jest pranie i w wolną sobotę by sobie prała, bo rodzinę ma dużą.

– Normalnie wstaję dziesięć po trzeciej – opowiadała reporterowi. – W niedzielę ja sobie pośpię, czasem nawet do ósmej, bo ja sobie lubię pospać i lubię dobrze pojeść. Kiedyś jeszcze lubiłam się kochać, teraz już nie.

„Śmiejące oczy, zęby, ubytki" – nadmienia po tej wypowiedzi reporter.

– Ma pani jakieś książki w domu?

– Nie, nie mam, ja nie mam kłopotu z książkami. Szwagier jest w technikum, w Złotowie. On mi pożycza.

Chwali się:

– O samochodzie myśmy już nawet myśleli, dla syna, ale jeden się już ożenił, dać drugiemu? Już i trzeci dorasta. Niech sobie kupią sami. Te „komarki" – motorowery – to mają ze trzy. Lodówkę też mogłabym mieć. Ale dzieci małe, jeszcze zepsują.

Rozmowie przysłuchuje się sąsiadka Ceglarska, też z pegeeru, i dodaje z przekonaniem:

– Jedzenie nie takie smaczne z lodówki.

W przeciwieństwie do większości reporterów czasów dzisiejszych Jana Bijaka (ale i wielu reporterów lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych) nie interesowały postacie niezwykłe i sytuacje ekstremalne, ale postacie powszednie, a sytuacje najbardziej typowe. Reporterzy tamtego czasu zwyczajność traktowali jak egzotykę wartą poznania. Życie w swoich najbardziej przaśnych i przyziemnych przejawach było dla nich punktem wyjścia do (zawoalowanej najczęściej) diagnozy społecznej, którą inteligencki czytelnik łączył ze swoją znajomością życia i systemu.

Skąd u Bijaka ta miłość do typowości z prowincji?

Urodził się w Łagiszy, dzielnicy Będzina, która przez kilka lat była samodzielną gminą, a nawet miastem. Zaraz po wojnie, w czasach gimnazjalnych był

korespondentem terenowym – pisywał o swojej okolicy do tygodnika „Nowa Wieś". Po liceum zaproponowano mu pracę w redakcji i mimo że był już przyjęty na medycynę w Krakowie, przyjechał do Warszawy. Studiował prawo, skończył je w 1952 roku. Pracował tylko w dwóch redakcjach: „Nowej Wsi" (do roku 1969) i w „Polityce", w której od 1982 do 1994 roku był redaktorem naczelnym, a później został prezesem spółdzielni wydającej ten tygodnik.

W roku 1970 wydawnictwo Czytelnik wydało głośną antologię pamiętników młodzieży wiejskiej w jego opracowaniu (*W myśli, w mowie, w sercu...*). Cztery z nich stały się podstawą spektakli Teatru Telewizji, pięć innych złożyło się na cykl audycji radiowych. A wiele było dla reportera zaczynem przyszłych reportaży. Wykorzystał je – tak samo jak listy do redakcji – i w *Weselu w taki mróz* (1967), i w *Furą do Arkadii* (1973), i w *Piekłem nie postraszy* (1982).

> Latem 1958 roku – opowiadał – wędrowaliśmy samotnie po Białostocczyźnie propagandową renówką „Prasy", zachęcając do kupna gazet, których i tak próżno szukać w kioskach. Dla wytchnienia od tej zbożnej roboty urządzaliśmy nocne potańcówki na wyszorowanych deskach wiejskich mostów, a gdy była sposobność, uprawiało się ulubiony proceder mężczyzn na delegacji, czyli nawiązywanie znajomości [...]. Tak czy owak dopadliśmy kiedyś trzy dziewczyny, które wyszły z białostockich delikatesów. Twarze dwu moich kolegów wzbudziły w dziewczynach romantyczne porywy, moja – tylko zaufanie. Dlatego oni spędzali popołudnie w lesie pod Supraślem, a ja w kawiarni Podlasianka. Ich towarzyszki obdarzyły hojnie, acz to opinia tylko poszlakowa. Ja obdarzony zostałem zeszytem ze zwierzeniami, i to można sprawdzić, ponieważ manuskrypt trafił w końcu do druku i znalazł się w „Nowej Wsi" z datą 2 listopada 1958 roku: „Mam lat 19. Jestem tylko kobietą, istotą słabą, łaknę wrażeń i szukam prawdziwej miłości, której niestety w życiu mało jest".

Z dalszej lektury wynikało, że Halina, bo tak miała na imię dziewczyna, od której na polskich wsiach zaczęła się moda na pamiętnikarstwo, usiłowała popełnić samobójstwo z powodu odrzucenia przez chłopaka. Czytelnicy – a był to rok 1958, po październikowej odwilży wprawdzie, ale nie panowała jeszcze rozwibrowana bigbitowa swoboda lat sześćdziesiątych – okrutnie oceniali bohaterkę. Kazik S., lat 24, rolnik i ojciec, pisał do „Nowej Wsi", że Halina nie kocha walki i trudu, nie ma żadnej idei, dla której by chciała walczyć, a jej ideałem jest chyba tylko nasycenie się przyjemnościami. Zaś „kobieta prawie czterdziestoletnia" przedstawiała swój wniosek z lektury pamiętnika: „Zabronić młodzieży

przebywania w knajpach po 22.00". Wyznania Haliny opatrzył Jan Bijak wezwaniem, żeby czytelnicy nadsyłali swoje pamiętniki.

Przez dziesięć lat do końca 1968 roku zebrało się ich około dwóch tysięcy.

> Konfrontowałem ich pisanie i wizerunek własny z tym, com sam zobaczył, rozmawiając z nimi, wędrując po wsiach i miasteczkach, gdzie mieszkali – opowiadał w 1979 roku Katarzynie Meloch. – Nie miałem przypadku, żeby moi bohaterowie mieli do mnie żal o sposób, w jaki ich przedstawiłem.

Hanna Krall mówi, że Jan Bijak miał czuły stosunek do swoich bohaterów. Nie było w nim ironii podszytej przekonaniem, że się jest kimś mądrzejszym od bohatera, kimś nieporównanie bardziej udanym. „Czasami było w nim… dobrotliwe rozbawienie. Niestety, był też świetnym redaktorem i nie miał czasu na reportaż".

Jak reporter radził sobie z kamuflowaniem postaci? Przecież listy i pamiętniki zawierały intymne zwierzenia.

> Przestrzegałem anonimowości, zmieniałem imiona i nazwy – opowiadał. – Dodawałem ludziom lat i dzieci, a drogom kilometrów, aby maskować jednostkowe losy i chronić pamiętnikarzy przed ujawnieniem.

Reportaż *Byle zgrabna i pracowita*, który wybraliśmy do antologii, drukowany w „Polityce", otwiera zbiór reportaży Bijaka *Furą do Arkadii*. Jest tekstem ułożonym przede wszystkim z listów dziewczyny, które przekazuje reporterowi młody kawaler ze wsi, poszukujący żony. Nie wypada zdradzać przed początkiem historii jej zakończenia, ale może poeksperymentujmy i sprawdźmy, jak będzie się nam ją czytać, wiedząc, jaki po latach miała finał. Otóż dziewczyna z listów nie została żoną chłopaka. Spotkał się z pięćdziesięcioma pannami, szukał coraz to nowych kandydatek i obniżał kryteria (przypominam: „byle zgrabna i pracowita"). Te najpiękniejsze go nie chciały. Bijak dwa lata później, w 1969 roku, pojechał na jego ślub (napisał o tym do „Nowej Wsi"):

> Widziałem ją: nie była ani lepsza, ani gorsza od innych dziewczyn, z którymi miał do czynienia. Ale on żywił do niej żal; uważał, że była widocznie mniej warta, jeżeli chciała za niego się wydać. Przez decyzję małżeństwa wyraźnie obniżyła swoją rangę w jego oczach.

Po latach w następnym pamiętniku pan młody opisał swoje wesele. Zrobiło na nim wrażenie, że „redaktor z nią tańczy" i że „ona tańczy bardzo dobrze, żadna z kuzynek z miasta nie tańczy od niej lepiej". I jeszcze jedną rzecz chłopak opisał – finał, czyli noc poślubną:

> Piękne są przeżycia erotyczne. Mówią, że okres narzeczeństwa jest najpiękniejszy w życiu. Oczywiście. Ale według mnie najpiękniejsze są dni po ślubie. W narzeczeństwie są pewne zakazy, a jak się je przekroczy – są wyrzuty sumienia, a w małżeństwie – spać z żoną to tak przyjemnie i miło.

A do druku rzecz podał Jan Bijak, który (wiemy o tym) bardzo się cieszył, że właśnie ten jego tekst, złożony z listów, ukaże się w antologii stulecia. Ponieważ narrację „zwyczajnego bohatera" cenił bardziej niż swoją własną.

Byle zgrabna i pracowita

Drogi Janku!

Dowiaduję się, czy jesteś zdrów i czy szczęśliwie wróciłeś do domu. Prosiłeś, abym Ci napisała o mojej sytuacji rodzinnej. Otóż rodzice moi mają dwa hektary pola. Tatuś ma sześćdziesiąt pięć lat i ma astmę i inne choroby, i nie może robić, żeby ta ziemia dobrze rodziła. Tak gospodarzą, aby tylko było oddać obowiązki, podatki i żeby żyć. I bardzo nam ciężko o grosz, a tu jeszcze trzeba to tu, to tam dać łapówkę komuś, potrzeba okryć się, ubrać. Jemy kartofle z niekraszoną kapustą, bo każde jajko czy co uchowamy trzeba sprzedać na sól, na podatek i na naftę. Więc ja wybrałam się na służbę. Ty nie byłeś na służbie, to chyba nie wiesz, jaka to jest podła praca. Nieraz to sobie gorzko popłaczę z żalu, że inne panienki i koleżanki są u rodziców, co chcą, to mają, gdzie chcą, to idą, a ja nie, tylko muszę robić od szóstej rano do jedenastej wieczór i siedzę jak w więzieniu, bo nie wolno mi nigdzie chodzić. I tak robię już trzeci rok, aby się ubrać i coś do domu kupić. Co do braci to mam dwóch. Zenek jest żonaty, ma dwadzieścia trzy lata, ma już syna, a Kazik ma piętnaście lat. Siostry też mam, ale nie rodne. Taty córki, ale z innej matki. Mają po dwadzieścia pięć lat, bo były bliźniaczkami. Więc – jak to się mówi, jest nas pięcioro na te dwa hektary. Niby rodzice chcą, abym została na gospodarstwie, ale ja nie jestem za tym, bobym musiała całe życie robić, żeby pospłacać rodzeństwo. To lepiej nie wychodzić za mąż i panną być, i spokojną głowę mieć. Więc nie wiem, Janku, co Ty sobie myślisz. Bo Twoi rodzice mają dużą gospodarkę, a masz trzy siostry, które też będą chciały to wziąć, co im się należy, a Twoi rodzice na pewno będą chcieli dostać synową z pieniędzmi, a ja Ci, Janku, piszę, że nie mam i nie będę mieć nic, tylko ręce i nogi do pracy. Więc powiedz rodzicom Twoim, jak sprawa stoi, i odpisz mi, co na to mówią, czy będą chcieli taką jak ja. Proszę uprzejmie o odpis,

Zosia

10 stycznia 1966 roku

Kochany Janku!

Na początku listu mego dowiaduję się, jak się czujesz po tym naszym spotkaniu w Twoim rodzinnym domu. Bo ja jestem bardzo zadowolona i cieszę się, że poznałam tak miłą Twoją najbliższą rodzinę. Oraz dziękuję Twoim

rodzicom za tak miłe przyjęcie mnie do swego domu. Nigdy się nie spodziewałam, że ja, taka biedna dziewczyna, tak gościnnie będę przyjęta przez Twoją Mamusię oraz Twoją rodzinę. Nie gniewaj się, że tak mało rozmawiałam z Tobą i z Twoją Mamusią, ale chcę Ci powiedzieć, że mało bywam w towarzystwie i czułam się bardzo nieśmiało. Choć jestem wesoła, ale dużego towarzystwa nie lubię. Wolę rozmawiać w cztery oczy. Zauważyłam, że i Ty jesteś nieśmiały do mnie, więc proszę Cię, nie bądź taki, czuj się ze mną jak ze swoją siostrą. Gdy wyznamy sobie to, co nas dręczy i smuci, a co cieszy, wtedy poznamy się wzajemnie i pokochamy. Prosiłeś, żeby Ci napisać, jakie jest moje zainteresowanie. Otóż bardzo lubię po pracy wieczorem czytać książki historyczne i romanse, podróże po morzach i dzikich krainach, i gazety, jeśli są ciekawe, i nowości o wynalazkach. Lubię chodzić na filmy wojenne i kowbojskie, czyli jazdy na koniach. Radia lubię słuchać, jeśli jest coś ciekawego lub muzyka taneczna. Różne opusy wyłączam. Do teatru nie chodzę i nie lubię Czytam „Przyjaciółkę" i czasem jak zdobędę czasopismo „Plon", to też lubię poczytać, bo interesuje mnie, jak i czym uprawiać ziemię. O Tobie, Janku, tyle wiem, że lubisz czytać książki i gazety. Tylko nie wiem jakie. Napisz mi o tym. Choć nie wiem, czy mi odpiszesz, bo może nie spodobałam się Twojej rodzinie i może to było ostatnie nasze spotkanie. Przebacz, że tak brzydko napisałam i niestarannie, ale spieszę się, bo chcę dziś wysłać. Do miłego zobaczenia,

Zosia

24 stycznia 1966 roku

Kochany Janku!

Mamusia Twoja naprawdę pocieszyła mnie tym listem, co napisała, bo już myślałam, że tylko Ty jesteś za tym, żeby się ożenić ze mną, a teraz widzę, że Twoja Mamusia też życzy sobie, abym była jej synową, więc cieszę się bardzo. Mamusia Twoja pisze mi, że boi się, żeby kiedyś nie musiała uciekać przede mną z domu. Na pewno nigdy tego nie będzie, prędzej ja będę uciekać. Jakim prawem by to mogło zaistnieć? Niech Twoi rodzice żyją jak najdłużej, bo my młodzi jeszcze, mało znamy się na życiu i na gospodarstwie, i oni nam dużo pomogą dobrą radą. Ja jestem młoda i kiepska gospodyni jeszcze ze mnie. Myślę, że Twoja Mamusia będzie tyle uprzejma i pokaże mi, co i jak robić. To jest tak samo, jak gdy idę na służbę, też muszą mi wszystko pokazać i wytłumaczyć każdą świeżą robotę. Ja będę się starać w pracy, byś Ty był zadowolony, no i Twoi rodzice. Ja już czasami wieczorem tak siądę i myślę, i marzę, jak byśmy to sobie oboje życie ułożyli. Może te marzenia się nigdy nie spełnią, ale cóż, jeśli Bóg da i jeśli będziemy dla siebie, to się pobierzemy. Bo ja to wierzę

w przeznaczenie. Zresztą, czy wyjdę za mąż, czy nie, to się nie martwię, panną jestem dopiero rok, do osiemnastu lat byłam jeszcze smarkata, więc mi się tak bardzo nie spieszy. Pa, pa, pa, całusów sto dwa.

Kochająca Zosia

13 lutego 1966 roku

Kochany Janku!

W pierwszych słowach dowiaduję się o Twoim zdrowiu i Twoich rodziców, bo ja, Bogu dzięki, jestem zdrowa, a powodzenie kiepskie. Wczoraj byłam w domu i wróżyła nam Cyganka. Nie wierzę Cygankom, ale w tym wypadku powiedziała prawdę. Mamie powiedziała: miała pani duże przykrości i styczność z papierami sądowymi. Mąż pani lubi trunek, ale nie jest nałogowym pijakiem. Najmłodsze dziecko nie było przyjęte z radością, ale z niego będzie największa pociecha. Myśli pani się spełnią, on zostanie księdzem. Mnie wróżyła tylko z ręki, bo nie chciałam z kart. Tak mi wróżyła: „Będziesz pani żyła siedemdziesiąt trzy lata. Młodo wyjdziesz za mąż. Będziesz szczęśliwa. W domu nie żyjesz w zgodzie z rodziną, chciałaś pani uciec z domu. Wyjedziesz z tej wsi. Na gospodarstwie nie będziesz pani pracowała, będziesz mieć styczność z papierami. Masz powodzenie, koleżanki zazdroszczą tobie, a wredna jest jasna blondynka. Mąż pani będzie wykształconym człowiekiem. Imię jego ma pięć albo sześć liter. Lubi pani stroje, ale starsza osoba nie pozwala na to". Śmiałam się, ale coś prawdy w tym jest. Ostatnio smutna jestem, ale Twoje listy bardzo mnie cieszą. Więc postanowiłam Ci odpisać krótko, bo wiesz, Janku, że nie mam kiedy. Pisałeś mi, że w domu Ci mówią, że ja mam już innego. Otóż nie. O ile Ty się nie zmienisz w swym postanowieniu, to na pewno się pobierzemy i będziemy żyć razem. I nie wiem, dlaczego tak źle o mnie myślą, że „młoda jestem, za innymi będę chodzić, nie będę Cię szanować". Jest mi strasznie przykro, że tak o mnie myślą. Przecież nie jestem bogata ani urodna, żeby inni latali za mną. U nas na wsi na taką jak ja to chłopcy nie patrzą, bo są ładniejsze i bogatsze. Więc, Janku, słuchaj, co Ci mówią rodzice, bo rodziców należy słuchać, ale nie za bardzo, bo mógłbyś mnie jeszcze porzucić. Ja Ci daję decyzję wyboru. Cieszę się, że mnie kochasz i chcesz się żenić ze mną, ale jestem jeszcze niepewna swoich rodziców. Pozdrów ode mnie wszystkich w domu.

Myśląca o Tobie Zosia

27 lutego 1966 roku

Kochany Janku!

Na początku pozdrawiam Cię mile oraz dowiaduję o Twoim zdrowiu i powodzeniu, bo ja, dzięki Bogu, jestem zdrowa, a powodzenie jak w domu, dość się przykrzy, roboty wielkiej nie ma. Co do naszego ślubu, to chcesz w maju, ale maj jest niedobrym miesiącem, bo się wszystko rozwija, rozchodzi w przyrodzie. Starsi tak mówią, że maj jest niedobry. Więc o ile się moi rodzice zgodzą, to możemy brać ślub w kwietniu, w ostatnią niedzielę, albo aż w lipcu. Żal mi tego panieństwa, ale cóż, to kiedyś musi nastąpić, każdy ma swój los wyznaczony. Wesele chciałabym w niedzielę albo nad wieczorem w dzień sobotny. I żeby było duże, bo prezenty ślubne to cały nasz dochód czysty z panieństwa i kawalerstwa, a wesele wyprawiają rodzice. Po Twoim odjeździe od nas rodzice odradzali mi, ale teraz znów mówią, żebym szła za Ciebie. Tylko zapowiedzieli stanowczo, że mi nie dadzą iść za Ciebie, Janku, dopóki rodzice Twoi choć połowy nie zapiszą Tobie. Ja bo co do tego nic nie żądam. Ale musisz, Janku, zrozumieć, że rodzice się boją o mnie, że kiedyś, gdy się pobierzemy, Twoi rodzice i rodzina mogą nam robić różne przykrości i wygonić nas. A wtedy co? Odpowiedz mi! Jeśli ja pójdę za Ciebie bez zgody rodziców, to później powiedzą mi, po coś tam szła. W życiu różnie się zdarza, dobrze i źle. Tak, Janku, trzeba popatrzeć w przyszłość. Bo mam dziewiętnaście lat, ale dużo widziałam, jak żyją małżeństwa i jak teściowe postępują ze swoimi synowymi. Bo matka to zawsze jest za swoją córką, a synowa jej obca i nie ma do niej serca takiego jak dla córki. I żeby mi potem kto nie powiedział: „Ty dziadówko, cóżeś nam przyniosła?". Przepraszam, Janku, że się tak rozpisałam, i nie gniewaj się, jeśli Cię w czymś obraziłam. Bo jak zauważyłam, to masz bardzo spokojną rodzinę i Ty jesteś spokojny – ale nic nie wiadomo, bo jak przysłowie mówi, „cicha woda brzegi rwie". Mnie się podoba Twoja rodzina, bo ja nie lubię ludzi krzykliwych, lubię ciszę i samotność. Więc postaraj się, Janku, zrobić tak, żeby było dla nas obojga dobrze. Chyba że mnie już nie kochasz i nie chcesz, to trudno, szukaj innej, która Cię pokocha, żeń się i zaproś mnie na wesele. Ale lepiej, żebyś mnie nie prosił, tylko żebyśmy prosili oboje. Decyduj, Janku. Napisz list polecony, bo tu ludzie mogą zabrać i przeczytać.

Kochająca Zosia

20 marca 1966 roku

Sympatyczny Janku!

List jak dostanę od Ciebie, to się cieszę, ale gdy przeczytam, to się smucę. Bo Ty w każdym liście to mnie krytykujesz, że taka jestem, a nie taka. Piszesz, że Mamusia się nie zgadza za ślubem w lipcu, że „już potrzebuje pomoc domową". Ja to rozumiem, że Twoja Mamusia jest starsza i nie może robić, i chce mieć pomoc. Ale ja chcę być dla Mamusi Twojej synową, a dla Ciebie żoną, a nie, jak piszesz, pomocą domową, czyli służącą. Tobie nie żony tak pilno potrzeba, tylko służącej. Ja sobie wyobrażam, jakie synowa będzie mieć u was życie, kiedy ja jeszcze nie jestem Twoja, a już tak do mnie piszesz. Za taki list inna panna by Cię kopnęła w duszę i nie pisała do Ciebie. Nie wiem, o co jesteś taki zły i Twoi bliscy. Przecież nie straciłeś wiele przeze mnie ani Ci świata nie zawiązałam! A ja wolę sprawę odciągnąć, dłużej się namyśleć, bo to nie na rok, tylko na całe życie, a nie chcę później płakać i rozchodzić się. Bo wyjść za mąż to też jest duże poświęcenie. Żona musi mężowi służyć wiernie, a czasem, jak się zdarza, w nagrodę jest zbita i sprzezywana. A odejść się nie da, bo się ślubuje „cię nie opuszczę aż do śmierci". Mężczyźni to mało uznają pracę swej żony. Kobieta w domu cały dzień robi, ulata się jak głupia, żeby ugotować, oprać, czystość utrzymać w domu, zrobić koło gospodarstwa, a tej roboty nie widać. Spieszysz się tak do ślubu, a nie wiesz, czy akurat trafisz na taką pannę i żonę, żeby zawsze była zdrowa i mogła robić. Są panny, co przed ślubem zdrowe, a wyjdą za mąż, to chorują. Człowiek nie wie, na co trafi, czy na dobre, czy na złe. Przepraszam Twoją Mamusię, że tak się nadenerwuje na mnie. Mimo wszystko dalej myśląca o Tobie

Koleżanka Zosia

PS Przykro mi, że nie przyjedziesz na Święta Wielkanocne do nas. Ja, panna, do Ciebie nie pojadę, bo mi potem wypomnisz, jeśli będziemy żyć razem. Już rodzice i brat mają mi za złe, że byłam dwa razy u Ciebie, i nie chcą zrozumieć, że to potrzebne było. A może u Was taka moda nastaje, że panny do chłopaków chodzą? Zofia

3 kwietnia 1966 roku

Kochany Janku!

Dzień dobry! Myślę o Tobie i o sobie już trzy miesiące i nic stanowczego nie mogę wymyślić. Na ludziach nie mogę polegać, bo Cię nie znają ani nawet nie widzieli, a rodzice to raz tak, a raz inaczej mówią. Nie myśl, że nie myślę o Tobie, bo nie ma dnia i godziny, żebym o tym nie myślała, bo muszę,

bo to nie na rok, nie na dwa, lecz na całe życie. Ale co do tego kochania, to nie wiem, jak jeszcze można kochać. Nie wiem, czego Ty żądasz ode mnie. Tak naprawdę to będę kochać po ślubie, a teraz to się nikomu nie wierzy, bo świat jest fałszywy i obłudny. Piszesz o miłości tyle razy, a przecież nie ma między nami takiej miłości jak w filmie lub w „Przyjaciółce". Jeżelibyśmy się pobrali, to jedynie z rozsądku. Ty, żeby mieć dobrą i pracowitą żonę, ja, żeby mieć na starsze lata chleb, no i męża, który by mnie szanował w miarę, nie bił, żebyśmy mogli żyć i rozumieć się nawzajem. Pytasz, czy Twoi poprzednicy kochali mnie naprawdę. To ci odpowiadam, że nie było żadnych poprzedników. Jeśli ktoś przyszedł czy spotkaliśmy się, no to normalnie, porozmawialiśmy coś do śmiechu, żeby jakaś rozrywka była. Piszesz, że ja nie wiem, co to jest prawdziwa miłość. Nie wiem. Nas to jedynie łączą te listy, a tak to nic, żadne przyjemne wspomnienie, nawet mi w oczy nie patrzyłeś i nie wiem, jakie masz. Jedno jest źle, że tak jesteś daleko i musimy sobie wszystko mówić listownie. Całkiem inaczej by było, jakbyśmy sobie porozmawiali, a tak to się różnie napisze i pośle, i potem się nieraz żałuje. Papier przyjmie i dobre, i złe, a rozmawiając, można od razu rozsądzić wszystko.

Myśląca o Tobie Zosia

17 kwietnia 1966 roku

Drogi Janku!

Nie odpisywałam Ci tak długo, bo wiesz, że teraz nie ma kiedy myśleć o listach, roboty tyle, że głowa pęka. Nie wiem, czy mi odpiszesz jeszcze, czy zakochałeś się w innej pannie. Rodzice dobrze Ci mówią, miłość miłością, ale z miłości się nie wyżyje. Miłość przemija z czasem, a ludzie żyć muszą i gospodarzyć. Rodzice Twoi przeszli to wszystko i rozumieją. Wiem, że to Cię nie wzruszy, ale po Twoim ostatnim liście tom się popłakała jak nigdy i chodziłam jak obłąkana. Ja na razie pracuję w lesie, a od 15 czerwca idę znowu na służbę. Muszę mieć pieniądze, bo czy pójdę za Ciebie, czy za innego, muszę zarobić na ubranie ślubne i przyjęcie. Piszesz, że masz na oku dziewczynę, ja też mam chłopca, który jest biedny, nie ma nic, a jednak chciałby się żenić ze mną, pracować ze mną, jechać w świat. Jeśli Ty mnie całkiem porzucisz, to kto wie, może pójdę za niego, bo jest dobry, grzeczny, kochający chłopak i rozumiemy się nawzajem. Bogactwo, uroda przeminie, miłość i wierność nie zginie. Mimo wszystko dalej ta sama

Myśląca o Tobie Zosia

Tu korespondencja się urywa i przyjdzie zakończyć słowami Janka.

Zosia w zasadzie zgadza się na ślub, tylko jej rodzicom chodzi o to, żeby moi rodzice zapisali mi grunt. Ona boi się, że gdy nie będę nic miał, to przyjdzie która siostra i wygna nas z domu. Rodzice nie zgadzają się jednak na odpisanie gruntu, boją się, że ich potem wypędzimy albo będziemy dokuczać. I drugie, że jak nie wezmę posagu, to nie będzie czym spłacić sióstr. Zosi wytłumaczyłem co i jak. Napisałem, że siostry nie przyjdą na gospodarkę. Dwie mają gospodarstwa swoich mężów, a trzecia jest w mieście i za nic w świecie nie chciałaby pracować na wsi. Ale Zosia nie słucha głosu własnego serca, tylko słucha rodziców i ludzi. A w domu piekło! Matka przeklina mnie przez to, że się nie ożeniłem i nie żenię. Zachorowała, leży w łóżku i wymyśla mi na każdym kroku, że przeze mnie musi chorować. W gospodarstwie trudna sytuacja, my z ojcem wykonujemy wszystkie babskie prace, a przecież tyle roboty w polu. Matka krzyczy, że wolałaby siedem córek jak jednego syna. Lepiej, żebym się nie urodził albo umarł zaraz po urodzeniu, wtedy jak chorowałem na dyfteryt. Teraz mnie żenią z panną Wacką, mówią, że by nam pasowało. Ale okazuje się, że ona musi zostać w domu, bo jej brat żeni się i odchodzi do teściów. Całe szczęście dla mnie, nikt mnie teraz nie będzie zmuszał. Gospodarstwo Wacki największe we wsi, w domu tylko ona, matka i stara babka, za mało tyle rąk do pracy. A ona mi się nie podoba. Znowu przyjechał wujek i mówi, że zna dobrą pannę na wydaniu w sąsiedztwie. Jest pracowita i zaradna. „Ładna nie jest, ale znów taka brzydka też nie" – mówi wujek. Po jego odejściu matka dobiera się do mnie, żeby się żenić i ulżyć jej w ciężkiej pracy. Mówi, że gdybym był ożeniony, tobym mógł pracować teraz przy budowie drogi, miałbym własne pieniądze, a tak to ja nie zarobię, a inni zarobią. Więc chyba pojadę do wujka w niedzielę. Zobaczę, jaka ta dziewczyna...

„Polityka" 1967, nr 32

1969

Jan Józef Szczepański (1919–2003)

Dociekać we własnych myślach

Pisarz, eseista, reporter, scenarzysta filmowy. Jedyny autor, który znalazł się zarówno w naszej antologii, jak i w antologii polskiego eseju powojennego *Kosmopolityzm i sarmatyzm* (2003). W obydwu zbiorach znajdziemy ten sam typ jego tekstów. Mogą być uznane za przykład obu tych gatunków naraz.

Jeśli eseistyka jest zapisem życia umysłowego społeczeństwa – jak chce autorka antologii eseju Dorota Heck – jeśli eseista raczej bada, niż sądzi; jeśli istotą eseju jest refleksja, to teksty Jana Józefa Szczepańskiego z książki *Koniec westernu* (1971) są esejami. Ale jednocześnie opowiadają o zdarzeniach, których autor był świadkiem, co sytuuje go także w grupie reporterów.

W *Maskaradzie na Oxford Street* z 1975 roku – tekście z książki *Przed nieznanym trybunałem* (1975), zamieszczonym we wspomnianej antologii eseju – pisał o wyznawcach Kryszny:

> Ludzie na Oxford Street nie dziwią się niczemu. Starsi panowie w melonikach, z nieodzownym parasolem zawieszonym na łokciu, brodaci chłopcy w dżinsach, dziewczyny w luźnych sukniach maksi, w sandałach na wysokim koturnie, nadających kaleki rytm krokom. Ledwie roztargnione spojrzenie dla brzęczących, zawodzących skoczków w pomarańczowych szatach. I nawet dzieci, liżące lody, prześlizgiwały się po nich obojętnym wzrokiem. Tego, który szedł na końcu, za gromadką tańczących apostołów, przechodnie omijali łukiem, na odległość jego wyciągniętej ręki, potrząsającej plikiem ulotek. Zażenowany uśmiech, ruch przeczenia głową. Nie, nie. Nie trzeba.
>
> Może i odrobina obrzydzenia w tej odmowie? Tak – ślad uprzejmie skrywanego wstrętu. Instynktowna obawa przed dotknięciem, chociaż tamci czyści, różowi, ładni w swoich powiewnych muślinach koloru brzoskwini. A jednak sposób, w jaki tłum uliczny przepuszczał ich przez siebie – tolerancyjnie, bez najmniejszej chęci zbliżenia – miał w sobie coś z postawy przybieranej przez ludzi normalnych i dobrze wychowanych wobec pewnych chorobliwych wynaturzeń.
>
> Ja też odczuwałem to podobnie [...].

Gatunek w wypadku eseju – pisze znawca współczesnej eseistyki Andrzej Stanisław Kowalczyk – proponuje twórcy i odbiorcy pewien sposób rozumienia samego siebie, innych ludzi, dziedzictwa kulturalnego.

Uważam, że to samo proponuje dobry reportaż.

Szczepański na Oxford Street zauważa łydki wystające chłopcom spod sukienek (porośnięte rudym włosem, bo to nie Hindusi, lecz przebrane za egzotycznych sadhu grubokościste dzieci londyńskich urzędników), ale jednocześnie umieszcza to zjawisko w „Remanowskim nurcie oswajania tajemnicy". Obserwacja plus refleksja, fabuła plus intelektualny kontekst, czyli to, co stawiał reporterom za wzór Ryszard Kapuściński i co, prorokował, będzie przyszłością reportażu: reporterski esej.

Być może pisarz Szczepański – także syn urzędnika – dostrzegał absurd losu urzędniczych synów, pląsających na Oxford Street, lepiej niż ktokolwiek inny. Jego ojciec, ekonomista, był konsulem II Rzeczypospolitej w Zagrzebiu, potem w Bytomiu i Chicago. Szczepańscy często podróżowali. Syn w 1938 roku rozpoczął na Uniwersytecie Warszawskim studia indianistyczne („Ta literatura fascynowała mnie do tego stopnia, że jedyną książką w jukach mojego siodła podczas kampanii wrześniowej była *Bhagawadgita*, której zresztą nie otworzyłem ani razu"), ale przerwała je wojna.

W 1947 roku „Tygodnik Powszechny" opublikował jego na wpół autobiograficzne opowiadanie *Buty*. Stało się sensacją. Autor, były akowiec, przeciwstawiał się tworzeniu heroicznej legendy AK, bo, jak mówił, miała piękne, ale także wstydliwe karty. („Ja, a ze mną Turowicz, uważałem, że nie można lukrować rzeczywistości"). Szczepańskiemu długo nie wybaczono, że *Buty* nie były o martyrologii. Jeszcze przez wiele lat dostawał od byłych akowców listy z pretensjami. Przyszło ich prawie trzysta, wszystkie zachował.

Drukował w „Tygodniku Powszechnym", choć był niewierzący. Nie był jednak komunistą. Często łamał schematy: w 1975 roku podpisał List 59 przeciwko zmianom w Konstytucji PRL, zwłaszcza wpisaniu do niej kierowniczej roli PZPR i przyjaźni z ZSRR. Na zjeździe Związku Literatów Polskich w Katowicach w 1978 roku ogłosił listę pisarzy, których nie pozwalała drukować cenzura.

W 1980 roku został przewodniczącym Związku Literatów Polskich, za jego kadencji związek w stanie wojennym rozwiązano. O zmaganiach pisarzy z rzeczywistością po 13 grudnia napisał głośną faktograficzną książkę *Kadencja* (wydanie drugoobiegowe 1986, wydanie emigracyjne 1988, wydanie oficjalne 1989). „Ma w sobie coś z reportażu i zarazem powieści conradowskiej" – pisał o niej Mariusz Kubik.

Szczepański w drugiej połowie lat pięćdziesiątych zaczął podróżować po świecie. Spitsbergen, Indie, Afryka Wschodnia i Południowa, Ameryka Południowa, USA, Francja, Włochy.

„Potem – jak napisała w świetnym szkicu o Szczepańskim Renata Radłowska – powstały reportaże, w których opisywał miejsca, ludzi, sytuacje. Zawsze z niezwykłą dociekliwością".

Czytelnik może mieć wrażenie, że zadawał dociekliwe pytania spotykanym ludziom albo dociekliwie ustalał stan faktyczny, żeby donieść o wydarzeniach. Otóż – nie. Pisząc na przykład o trzymiesięcznej wyprawie polskich naukowców na Spitsbergen, w której wziął udział jako obserwator i na podstawie której powstała książka *Zatoka Białych Niedźwiedzi* (1960), zaczyna od nietypowego zdarzenia:

> Cały okręt żyje sensacją, jaką było odkrycie pasażerki „na gapę". „Tu siedziała. Pod tym brezentem za windą. Czterdzieści osiem godzin wytrzymała!" Wszyscy szczerze współczują żądnej przygód dziewczynie. Tak niewiele brakowało, znaleziono ją tuż przed wyjściem w morze. Śmiałość zawsze budzi sympatię [...].

Dociekliwy reporter dowiedziałby się, co to za dziewczyna, co mówiła, kiedy ją znaleziono, ile miała lat, skąd była, jak zareagowała, gdy odkryto ją pod brezentem. Jan Józef Szczepański tego nie potrzebuje. „Śmiałość zawsze budzi sympatię" – stwierdza i zatapia się w swoich refleksjach o „naginaniu losu do praw fantazji". A przecież pisze książkę relacjonującą wyprawę! Szczepański jest dociekliwy, lecz w dociekaniu własnych myśli.

Każda zaobserwowana sytuacja uruchamia u niego spust refleksji. Powstaje opis, ale intelektualny.

> Dziwnie niesprecyzowane jest nasze poczucie czasu – pisze pod koniec podróży. – Dopiero co zdawało się nam, że wyprawa ledwo się zaczęła, a oto w rzucanej gwałtowną falą łodzi doznawałem wrażenia, że płyniemy ku kresowi obszaru doświadczeń, rozległego jak życie. [...] Równie dobrze mogliśmy byli siedzieć tu dziesięć lat i wystarczyłoby tego zaledwie na pogawędkę. Na co dzień nie dostrzega się owej męczącej dysproporcji faktów i doznań [...].

W swojej amerykańskiej książce *Koniec westernu* uzyskuje chyba idealną równowagę między opowieścią a refleksją. Pojechał do USA w 1967 roku na roczne stypendium, żeby poznawać życie Amerykanów. Dla czytelników tej książki w 1971 roku, ale i dla nas dziś, niektóre fragmenty brzmią jak bajka:

> Osiadłe życie zacząłem od założenia telefonu. Panienka za biurkiem Telephone Bell Company nie podała mi żadnego formularza do wypełnienia.

> Spytała tylko, jakiego telefonu sobie życzę [...]. Ale czy długo będę musiał czekać, pytałem, bo w końcu mieszkam tu tylko czasowo. [...] – Nie jest to daleko – rzekła – ale w tych dniach mamy mnóstwo zamówień. Niestety, nie mogę panu obiecać, że połączymy pana wcześniej niż za godzinę.

Jak widać, *Koniec westernu* jest osobistą relacją z życia w Stanach Zjednoczonych, życia w łatwej, hamburgerowej cywilizacji. Ale jednocześnie mówi o końcu westernowego, czarno-białego widzenia świata. Szczepański przywiózł do Polski reportaże o wielkich amerykańskich niepokojach. Sportretował amerykańską klasę średnią (*Pionierzy w tuzexach*), pokazał sytuację Afroamerykanów (*Taniec z łańcuchami*), zrelacjonował życie współczesnych Indian (*Dzicy na emeryturze*), opisał, na czym naprawdę polegają ruchy kontrkulturowe 1968 roku (*Rewolucja dzieciaków*). To pamiętnik intelektualisty z pobytu w USA. Stany są jego zdaniem tak skomplikowane, że w niektórych rozdziałach wielokrotnie zabezpiecza się i dodaje: „zapewne...".

Żadnych syntez! Szczepański nie pozwala sobie na kategoryczne pisanie o Ameryce i na dociskanie jej do ściany.

> W ogóle nie lubię błyskotliwości jako takiej. Owej pewności ręki, która pozwala żonglować faktami bez obawy, że mogą kryć w sobie rzeczy naprawdę niezrozumiałe.

Andrzej Szczypiorski po przeczytaniu *Końca westernu* napisał z uznaniem: „Jan Szczepański ani trochę nie jest dziennikarzem".

Rewolucja dzieciaków

Na pustej scenie bez dekoracji siedział, oświetlony punktowym reflektorem, brodaty i długowłosy chłopiec o wyniszczonej twarzy poety lub anarchisty z dziewiętnastowiecznej mansardy Quartier latin. Ubrany był w brudną i wypłowiałą koszulkę trykotową, granatowego niegdyś koloru, i w połatane dżinsy o wystrzępionych nogawkach. Wielki medalion z „kurzą stopką" – symbolem protestu przeciw wojnie w Wietnamie – zwisał mu na piersi na grubym pozłacanym łańcuchu. Chłopak siedział w pozycji „lotusowej", z chudymi nogami zaplecionymi akrobatycznie, z dłońmi złożonymi na bosych, obutych w sandały stopach. Kiwał się rytmicznie, jakby w transie, i monotonnym głosem rzucał sali kolejne inwokacje swojej litanii:

– *End the war!* (Skończyć z wojną!)
– *End violence!* (Skończyć z przemocą!)
– *End capitalism!* (Skończyć z kapitalizmem!)

Wezwania te powracały ku niemu z widowni – początkowo niepewnym mamrotem, który jednak za każdym następnym razem klarował się, nasilał i coraz szerzej wypełniał salę chórem młodych, gorliwych głosów.

Widowiskowa sala Unionu, przepaścista jak stodoła, płaska jak klepisko, zapchana była do ostatnich granic pojemności tłumem studenckiej młodzieży, przeważnie tak samo zarośniętej i obdartej jak zaklinacz na scenie. Ci, co nie pomieścili się na krzesłach, stali stłoczeni ciasno pod ścianami i w przejściach. Jedynie w pierwszych rzędach wypatrzyć można było tu i ówdzie ostrzyżone, a nawet siwe lub łyse głowy profanów – profesorów i „ludzi z miasta".

Powietrze duszne było i mdlące od kadzidła. Zanim bowiem zaczęła się owa litania, postarano się o przygotowanie właściwej atmosfery. W zupełnej ciemności płynął ponad naszymi głowami, gdzieś spod stropu nad wejściem, zmysłowy, aksamitny alt (niewidoczna śpiewaczka na pewno musiała być Murzynką o wilgotnych oczach gazeli), snujący do wtóru gitary melancholijną balladę w niezrozumiałym języku (może suahili?), podczas gdy po scenie krążyły korowody świetlików – utajone w mroku postaci z pęczkami żarzących się sandałowych laseczek w dłoniach. I dopiero gdy sala wypełniona została po brzegi aurą orientalnego mistycyzmu, przystąpiono do rzeczy.

Spektakl Living Theatre[1] zbliżał się do finału. Był to montaż moralitetów o niejasnym sensie i improwizowanych happeningów, których najbardziej

[1] The Living Theatre – amerykański awangardowy zespół teatralny założony w 1947 roku. Jego domeną są eksperymentalne, pacyfistyczne, anarchistyczne, odważne obyczajowo przedstawienia tworzone metodą tzw. kreacji zbiorowej.

frapującą cechę stanowił stosunek reżysera i aktorów do czasu. Wszystko działo się jak w narkotycznym transie, jakby przypadkiem. Wykonawcy – niechlujni młodzi ludzie, obwieszeni hippisowskimi breloczkami – błąkali się po scenie w sennym odurzeniu, nieruchomieli na długie minuty w katatonicznych pozach zniechęcenia, błazeńskiej rozpaczy, szyderstwa lub wyuzdanego erotyzmu, to znów ulegali napadom zbiorowego szaleństwa, miotali się, ogarnięci drgawkami maniakalnych rytmów, wydawali jakieś na pół ludzkie skowyty lęku i pożądania, wili się po ziemi, staczali taneczne walki, odprawiali jakieś groteskowe obrzędy. Publiczność nagradzała ich raz po raz salwami braw, bowiem atmosfera prowokacji i skandalu politycznego, otaczająca imprezę, zobowiązywała do entuzjazmu, ale w nastroju sali można było wyczuć znużenie.

Ekshortacje brodacza z pustej sceny miały zapewne być konkluzją wszystkich tych majaczeń, wynikiem dialektycznego procesu, wyłożonego tajemniczym szyfrem scenicznej metafory.

– *End imperialism!*

– *End imperialism!* – sala odpowiadała teraz gromko i zdecydowanie.

– *Freedom for man!*

– *Freedom now!*

– *Freedom now!*

Rozglądałem się wokół, pełen wątpliwości. Forma tego wyłudzonego dialogu zaczynała budzić moją nieufną czujność. W twarzach widzów znajdowałem tylko uniesienie wspólnie przeżywanej emocji.

– *End culture!* – wzywał brodacz w dżinsach.

– *End culture!* – odpowiadał pełen zapału chór.

Moje wątpliwości zamieniły się w niepokój. Dlaczego? – chciałem zapytać. Jakie są wasze argumenty przeciwko kulturze? Co właściwie macie na myśli? Jakiego rodzaju wolności domagacie się tak natarczywie? Ale wiedziałem, że te pytania mógłbym zadawać tylko w cztery oczy, każdemu z tych kilkuset chłopców i dziewcząt osobno. Tylko indywidualnie można było wymagać od nich odpowiedzialności. Dopóki byli tłumem, nie odpowiadali za nic, nie potrzebowali uzasadniać niczego, nie potrzebowali nawet rozumieć sensu wykrzykiwanych słów. I choćbym miał najwspanialsze włosy do samych ramion i najbardziej malowniczo wystrzępione dżinsy, i jeszcze kolczyk w nosie, nie potrafiłbym dotrzymać pola brodaczowi ze sceny, właśnie dlatego że on nie wyjaśniał i nie żądał wyjaśnień. Siedziałem więc osamotniony, wykluczony ze wspólnoty – może jedyny na tej sali obarczony niewygodnym bagażem doświadczenia. Bo wiedziałem przecież, że retoryka miewa swoje

konsekwencje. Bo hasło: „Skończyć z kulturą!" nie było dla mnie teatralną manifestacją, lecz bolesnym śladem lat przeżytych w ciemności, w pragnieniu, w jałowym świecie przemocy i pogardy.

Brodacz skończył litanię. Rozplątał ścierpnięte nogi, stał pochylony w pokłonie buddyjskiego mnicha, z dłońmi złożonymi u czoła. Na scenę wchodzili gęsiego członkowie zespołu – biali i czarni, dziewczyny i chłopcy, prawie wszyscy smukli i prawie wszyscy piękni jakąś chorobliwą pięknością. Ustawili się w obszerny krąg, objęli się za ramiona. Ktoś zaintonował półgłosem jednostajną, załamującą się na najwyższym tonie wokalizę. Inni podchwycili melodię. W takt tego wzbierającego i opadającego „A a a a!" krąg zaczął kołysać się i obracać powoli. Po chwili na widowni zaczął się ruch. Jakaś dziewczyna z indiańską opaską na rozpuszczonych włosach przeskoczyła rampę i wplotła się pomiędzy ramiona tańczących. Za nią ustylizowany na Che Guevarę chłopak w skórzanej kurtce. Potem inni – już gromadą, już nieustannym przypływem. Krąg podwoił się wkrótce, potroił, zamieniał się w gęstszy z każdą chwilą leniwy wir, falujący sennie, wypełniający całą przestrzeń sceny. Sala pustoszała. Rzędy opuszczonych krzeseł sterczały jak odsłonięte odpływem rafy. Niewielu tylko ludzi opierało się jeszcze. Odurzające „A a a!", ciepło powszechnego miłosnego uścisku i kołysanie tego rytmu, obiecującego wieczność błogiego zapamiętania – przyciągały jak magnes. Zacisnąłem palce na poręczach krzesła. Działo się ze mną coś dziwnego. Wiedziałem, że nie dam się wciągnąć, że nie chcę tego i nie mogę, a przecież trwanie na miejscu stawało się wysiłkiem. Nagle poczułem lęk. W przejmująco jasnym przeczuciu ujrzałem, ku czemu to zmierza. Wszystko było już przygotowane na przyjście zaklinacza, który wie, który krzyknie: „Za mną!". Nie będą mu potrzebne długie włosy ani wisiorki, ani broda. Wystarczy zimne postanowienie narzucenia swej woli rozkołysanym somnambulikom. Nie zauważą niczego. Nawet wąsika pod nosem i kosmyka na czole. Przełamując opór jak gdyby snu, którego nie chce się śnić dalej, wstałem i opuściłem salę Unionu. „Pewnie przesadzam – mówiłem sobie. – To nie tu. Nie teraz. Może ja ich po prostu nie rozumiem".

Elegant na fotografii, w bezbłędnie skrojonej sportowej marynarce, w szerokim modnym krawacie, miał minę nieopisanie głupią. Minę człowieka, który, zainwestowawszy cały swój autorytet w starannie wypielęgnowane pozory, znalazł się pośród dzikusów wyznających jakiś nieznany mu, barbarzyński kodeks godności. Widać było, że elegant próbuje ratować swą miłość własną porozumiewawczym zmrużeniem oka, ironicznie wyrozumiałym uśmieszkiem, przesyłanym obiektywowi ponad głowami barbarzyńców. Ale to zmrużenie

oka za bardzo przypominało nerwowy tik, a uśmieszek był krzywy i bezradny. I nic dziwnego, barbarzyńcami bowiem były obnażone dziewczęta. W dodatku obnażone w sposób przypadkowy i wulgarny. Nie żadna tam wystudiowana nagość *cover girls*, nie żadne aerodynamiczne krągłości i gładzizny – apetyczna galanteria seksu, na której tle ciemna marynarka i jasne spodnie mogłyby zabłysnąć perwersyjną wytwornością. Nic z tych rzeczy. Po prostu golizna. Obwisłe biusty, ciężkie pośladki, nieprzyzwoite kępki uwłosienia.

Zdjęcie ukazało się w szeregu dzienników i tygodników ilustrowanych z komentarzami, których ton wahał się między złośliwą uciechą a świętym oburzeniem, ze wspólnymi wszakże akcentami konsternacji.

To bowiem, co się stało, musiało zaskoczyć nie tylko eleganckiego młodego człowieka, przyłapanego tak bezceremonialnie przez fotoreportera. A stało się to w Grinnell College w stanie Iowa. Ów wytworny gentleman przyjechał tu jako prelegent z ramienia redakcji „Playboya". Miał wygłosić odczyt o wychowaniu seksualnym, a przy okazji (jak sam oświadczył w późniejszym wywiadzie) obejrzeć sobie tutejsze studentki pod kątem widzenia interesów swego magazynu, poszukującego stale kandydatek na modelki i na kelnerki w Playboy Clubs. Ta druga sprawa wymaga objaśnienia. „Playboy Magazine" zamieszcza w każdym kolejnym zeszycie dwustronicową wkładkę – tak zwaną rozkładówkę – z zalotnie upozowaną nagą dziewczyną, przedstawianą czytelnikowi jako *playmate of the month* – towarzyszka zabawy miesiąca. Jeśli zaś chodzi o kelnerki, są to tak zwane *bunnies*, których służbowy strój we wspomnianych klubach ogranicza się do futrzanego czepeczka z króliczymi uszkami.

Niewątpliwie obie misje wysłannika „Playboya" łączyły się ściśle ze sobą. Odczyt miał zapewne osłabić opory ewentualnych kandydatek, zachęcić je do przyjęcia – lukratywnych skądinąd – propozycji.

Można jednak z dużą dozą prawdopodobieństwa przypuszczać, że zainteresowaniu „Playboya" kampusami (Grinnell jest tylko jednym z epizodów szeroko zakrojonej akcji) przyświecają jeszcze inne, bardziej dalekosiężne cele.

O „rynek młodzieżowy" ubiegają się wszyscy. Każda kiełkująca wśród nastolatków czy studentów moda przechwytywana jest natychmiast przez wielki biznes, nawet jeśli ma cechy protestu przeciwko komercjalnemu uniformizmowi. Wszystko, począwszy od narkotyków, a kończąc na ekstrawaganckich łachmanach hippisów, mających być symbolem nonkonformizmu i buntu, staje się gałęzią mniej lub bardziej legalnej ekonomiki. Biznes obrasta walkę pokoleń i tuczy się nią bardzo skutecznie. Nic dziwnego, że „Playboy", zbijający fortunę na propagowaniu nowoczesnego hedonizmu, widzi

tu dla siebie obiecujące pole działania. Nastawiony głównie na trzydziesto- i czterdziestolatków, na dobrze zarabiających *junior executives* i zamożnych intelektualnych snobów, pragnie wysondować możliwości pozyskania nowej klienteli, której zainteresowania wydają się jego redaktorom w gruncie rzeczy zbieżne z kierunkiem pisma. Chodzi – oczywiście – w pierwszym rzędzie o seks. Seks przenika wszystkie dziedziny buntu pokolenia. Stanowi integralny składnik politycznego credo („*make love, not war!*"), jest głównym przedmiotem obrachunku z purytańską obyczajowością, jest naczelnym motywem młodzieżowej estetyki. Freudyzm przeżywa na kampusach renesans popularności, a tak zwana podziemna prasa (nie należy określenia tego brać zbyt dosłownie – owe *underground papers*, wydawane przez różne radykalne grupy młodzieżowe, sprzedawane są jawnie na ulicach i w kioskach) poświęca lwią część swych szpalt sprawom seksu i roi się od pornograficznych rysunków.

Nie wiadomo, czy i jaką koncepcję wykorzystania tej koniunktury opracowali redaktorzy „Playboya". Ale nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby pokusili się o próbę aneksji – próbę zebrania anarchicznych wiatrów we własne żagle. Byłoby to czymś w rodzaju kampanii cywilizacyjnej, mającej obrócić energię przekory w siłę napędową rozrywkowego przemysłu, a przy okazji rozpuścić bunt w syropie pseudofilozofii Hefnera – twórcy, właściciela i „ideologa" „Playboya" – pozującego chętnie na proroka nowoczesnej, konsumpcyjnej cywilizacji. Tak, można się domyślać istnienia podobnych ambicji, bo w końcu „Playboy" ze swym blisko pięciomilionowym nakładem, ze swoimi klubami, ze swoim kapitałem sięgającym pięćdziesięciu milionów dolarów może sobie pozwolić na aspiracje większe niż sama pogoń za czytelnikami.

Wszystkich motywów misyjnej ekspedycji „Playboya" do krainy kampusowych barbarzyńców nikt nie wyjaśnił. Faktem jest tylko, że napotkała ona opór. W Grinnell College apostoł hefnerowskiego stylu życia powitany został nieprzychylnie i szyderczo. Czekały go tu ulotki zaczynające się od słów: „»Playboy Magazine« jest przekupniem w świątyni ciała...", i znacznie mniej górnolotne, choć nie mniej metaforyczne transparenty w rodzaju „*Playmeat of the month*" (przetłumaczenie tego kalamburu, polegającego na zastąpieniu słowa *mate* – partnerka, towarzyszka, słowem *meat* – mięso, nastręcza trudności wynikające z estetyki języka polskiego. Najbliższym ekwiwalentem będzie chyba: „Żywy towar miesiąca"). Treść pozostałych sloganów nie nadaje się do cytowania w tym miejscu. Wreszcie, zamiast dyskusji po odczycie, czekał go zbiorowy striptiz słuchaczy.

Wielu komentatorów tego dziwnego zajścia, które określić chyba można mianem wrogiej konfrontacji erotyzmu komercjalnego z erotyzmem „ideowym", nie potrafiło dopatrzyć się tu żadnego sensu i uznało po prostu incydent za przejaw skrajnego rozwydrzenia młodzieży. A najbardziej zaskoczony wydawał się sam niefortunny apostoł. Przyglądając się jego twarzy, wykrzywionej idiotycznym uśmieszkiem, pocieszałem się, że niekoniecznie trzeba być cudzoziemcem, aby nie rozumieć wielu rzeczy w tym kraju.

O młodych – zwłaszcza studentach – mówi się tu *kids* (dzieciaki). Tak też i młodzi nazywają samych siebie. Jest w tym słowie odcień czułości, chociaż wymawiane bywa z niepokojem, troską, a nawet przerażeniem. Ameryka nie wie, co sądzić o swoich *kids*. Obserwuje ich zafascynowana i zdumiona, jak przysłowiowa kwoka, która wysiedziała kaczątka. [...]

Bywają czarujący, kiedy się ich ogląda pogrążonych w zasadniczych dyskusjach lub śpiewających do wtóru gitar swe egzotyczne songi na murawie kampusowych trawników. Ale potrafią też przerażać nietolerancją, fanatyzmem i barbarzyństwem odruchów.

Są pokoleniem bez precedensu w tym kraju.

Co ich stworzyło? Wojna wietnamska? Dlaczego wojna koreańska nie naznaczyła ich starszych braci w ten sam sposób? To prawda – toczyła się w innym historycznym krajobrazie, jako epilog niedawnej jeszcze wówczas światowej rozprawy, bez osadu doświadczeń długoletnich rozczarowań. Toczyła się oficjalnie pod inną flagą. Ale gorycz upokorzenia narodowej dumy, utrata optymistycznej wiary we własną siłę i w słuszność własnej sprawy nie są na pewno jedyną przyczyną różnicy. Szukanie tych przyczyn, układanie ich w systemy i sporządzanie recept na nowy model międzypokoleniowego współżycia stało się niemal nową gałęzią wiedzy. Przygodnemu obserwatorowi nie pozostaje nic innego poza notowaniem symptomów.

U Boba w West Branch – miejscowości, w której oglądałem dom rodzinny Herberta Hoovera[2] – poznałem Mike'a. Przyszedł spóźniony, kiedy zasiadaliśmy już do przygotowanej przez Sally kolacji. Był jakby w biegu, jakby już w podróży. Szczupły, śniady chłopiec o ruchliwych i wąskich dłoniach intelektualisty. Podniecenie nie pozwalało mu usiąść. Chodził po pokoju, przegarniając ciemne włosy, buty spadochroniarza na grubej gumowej podeszwie resorowały jego kroki – wydawało się, że skacze, na pół niecierpliwie, na pół niedbale.

– Kiedy jedziesz? – zapytała Sally.

– Już jadę. Już zapakowałem graty do wozu.

[2] Herbert Hoover (1874–1964) – prezydent USA w latach 1929–1933.

– Mike dostał powołanie do wojska – wyjaśnił mi Bob – nie stawi się. Wyjeżdża do Kalifornii.

Nie rozumiałem. Czy w Kalifornii obowiązują inne prawa? Nie. To jest ustawa federalna – tłumaczyli – ale w Kalifornii sądy są łagodniejsze. Dają wyroki z zawieszeniem. Wielu ucieka tam przed poborem. I w Kalifornii łatwiej żyć zbiegom. Na farmach potrzebują ludzi do zbierania owoców.

Wypiliśmy czerwonym winem toast za powodzenie Mike'owej eskapady. Oczy mu błyszczały. Był to blask owej dramatycznej radości, jaką daje świadomość rzuconego wyzwania. Odbierałem bez trudu fale, którymi pulsował. Znałem ich źródło. Decyzja pójścia do lasu. Euforia sprawiedliwego buntu. Czystość. Wybór czystości przeciwko zgniliźnie świata. Dla mnie to był składnik tradycji. Wezwanie powstańczej trąbki, zapisane w pamięci pokoleń. Nieodzowna przygoda młodości. Ale dla Mike'a to musiało być wielkie odkrycie. Należał do społeczeństwa, które swój kapitał romantyzmu złożyło w banku historii niczym depozyt złota. Które nie wierzyło w możliwość wyczerpania się tych rezerw, w konieczność ich uzupełniania. I oto przyszedł moment kryzysu. Wracały słowa już prawie zapomniane w tym kraju.

– Rewolucja – mówił Mike. – Jesteśmy rewolucjonistami. To nie tylko o Wietnam chodzi. Od czasu Chicago nic już nie będzie takie, jakie było.

Miał oczywiście na myśli krwawe zajścia w tym mieście w czasie konwencji demokratycznej w 1968 roku[3]. Nie pierwszy raz wymieniano przy mnie tę datę i to miejsce jako granicę, której nie można już przekroczyć z powrotem. Ale tu urywały się moje analogie. Właściwie poza brutalnością sił represji, których furia wymknęła się wszelkiej kontroli, nic tu nie przypominało znanych europejskich wzorów. Szukając w chicagowskim dramacie czystego kruszcu ideowej kontrowersji, wraca się bezradnie do przelanej krwi jako do jedynego przekonującego świadectwa powagi sporu. Poszczególne epizody batalii przywodzą na myśl raczej happeningi Living Theatre niż barykady Paryża. Brodaty Allen Ginsberg, zawodzący hinduskie hymny religijne na czele pochodu przystrojonej w poncza i indiańskie derki młodzieży... Pociski z zawiniętych w papier ekskrementów spadające na głowy policjantów... Zaprzężony w muły plantacyjny wóz czarnych uczestników akcji Breadbasket[4], torujący sobie cierpliwie drogę przez zatłoczone samochodami ulice śródmieścia... Świnia z napisem „Nasz kandydat" na grzbiecie, ganiana ścieżkami parku Lincolna przez koczujących tu *yippies*[5], wśród zgiełku elektrycznych gitar... Bezsensowna barykada, wznoszona przez hippisów na środku jednego z gazonów tegoż parku. Nieprawdopodobny kiermasz groteski, szyderstwa, zbiorowej euforii i przekory, a także utopijnego doktrynerstwa i – tylko gdzieś

[3] Chodzi o brutalne starcie demonstrantów z policją w Chicago 28 sierpnia 1968 roku w trakcie Narodowej Konwencji Demokratów, podczas której członkowie partii mieli wybrać kandydatów na prezydenta.

[4] Operation Breadbasket – organizacja walcząca o poprawę warunków gospodarczych Afroamerykanów w USA kierowana przez Jesse Jacksona.

[5] *Yippie* – członek Youth International Party, amerykańskiego ugrupowania kontrkulturowego powstałego w wyniku protestów antywojennych i akcji promujących wolność słowa.

na marginesach prawdziwego gniewu – zamieniony nagle w rzeczywistą bitwę, w masakrę, przybierającą już teraz rozmiary heroicznej legendy. Rzeczywista bitwa w wojnie pokoleń. [...]

Są właściwie przeciwko wszystkiemu, co legitymuje się jakąkolwiek oficjalną sankcją. „*Yippie* to taki *hippie*, który dostał policyjną pałką po głowie" – mówią sami o sobie. Ich program w czasie chicagowskiej batalii, zatytułowany *Rewolucja na rzecz Wolnego Społeczeństwa*, ujęty został w siedemnastu punktach:

1. Natychmiastowe zakończenie wojny w Wietnamie.

2. Natychmiastowe uwolnienie Huey Newtona[6] z organizacji Czarnych Panter i wszystkich Murzynów. Przyjęcie zasady samorządu w gettach.

3. Legalizacja marihuany i wszystkich innych środków psychodelicznych.

4. System więziennictwa oparty na zasadzie rehabilitacji, a nie kary.

5. Obalenie wszelkich praw odnoszących się do przestępstw, które nie pociągają za sobą ofiar. Czyli zachowanie tylko tych praw, które odnoszą się do przestępstw powodujących krzywdę niewinnej ofiary – jak morderstwo, gwałt, pobicie.

6. Pełne rozbrojenie całego społeczeństwa, zaczynając od policji. Chodzi nie tylko o broń palną, ale i o takie brutalne środki, jak gaz łzawiący, jak MACE (gaz paraliżujący), elektryczne pręty, pałki gumowe itp.

7. Obalenie pieniądza. Obalenie czynszów za mieszkania, opłat za informacje i transport, opłat za żywność, naukę, odzienie, pomoc lekarską i toalety publiczne.

8. Stworzenie społeczeństwa, które będzie aktywnie dążyć ku „pełnemu bezrobociu". Społeczeństwa, w którym ludzie nie będą ogłupiani pracą.

Przyjęcie zasady: „Niech maszyny pracują za nas".

9. Likwidacja skażenia naszego powietrza i wód.

10. Stworzenie warunków do decentralizacji naszych przeludnionych miast. Zachęcanie ludności do życia wiejskiego.

11. Bezpłatna informacja na temat kontroli urodzeń. Udostępnienie możliwości przerywania ciąży.

12. Przebudowa systemu nauczania. Oddanie w ręce studentów decyzji dotyczących organizacji studiów i dopuszczenie ich do wpływu na ogólną politykę oświatową.

13. Swobodny i bezpłatny dostęp do środków informacji. Telewizja kablowa jako metoda powiększenia liczby kanałów i ułatwienie widzowi ich selekcji.

[6] Huey P. Newton (1942–1989) – afroamerykański działacz społeczny, współzałożyciel Partii Czarnych Panter, organizacji walczącej z segregacją rasową w Stanach Zjednoczonych.

14. Koniec wszelkiej cenzurze. Mamy dość społeczeństwa, które nie waha się pokazywać ludziom najrozmaitszych form przemocy, a cofa się przed pokazaniem spółkującej pary.

(W oryginale ta ostatnia kwestia brzmi tak drastycznie, że nie nadaje się do dosłownego przetłumaczenia).

15. Jesteśmy przekonani, że ludzie powinni uprawiać miłość (tu znów ten sam nienadający się do tłumaczenia termin) nieustannie, wszędzie, z kimkolwiek chcą. To nie jest żądanie programowe, lecz proste uznanie rzeczywistości, która nas otacza.

16. System narodowego referendum wyborczego, prowadzonego telewizyjnie i telefonicznie. Decentralizacja władzy na zasadzie samorządu wszelkich grup plemiennych – grup, których członkowie dobierają się swobodnie i współżyją we wzajemnym zaufaniu.

17. Program popierania wszelkich sztuk. Wierzymy zresztą, że w Wolnym Społeczeństwie, do którego dążymy i o które walczymy, wszyscy będą mogli zaktualizować swoje zdolności twórcze. Będzie to dosłownie społeczeństwo składające się z samych artystów.

Polityczne świnie, wasze dni są policzone. Jesteśmy bojownikami Drugiej Amerykańskiej Rewolucji. Zwyciężymy. *Yippie!*

Należałoby może zacytować programy (jeśli takie istniały) wszystkich młodzieżowych ugrupowań wciągniętych w zamieszki i dopiero na tej podstawie dochodzić, o co przelewano krew na ulicach Chicago. Obawiam się jednak, że mogłoby to prowadzić do jeszcze większego pomieszania pojęć. Stanęlibyśmy bowiem wówczas wobec takiej różnorodności koncepcji i dążeń, wobec takiej nierówności intelektualnego ich poziomu, że musielibyśmy zwątpić w możliwość solidarnego działania na tej podstawie. Raczej więc w emocji niż w doktrynalnych przesłankach szukać wypada wspólnego mianownika. I jeśli o to chodzi, „program" *yippies* zawiera wystarczające wskazówki – mimo swych prowokacyjnych (nie wiadomo, w jakiej mierze na serio traktowanych) dziwactw. Przede wszystkim wynika z niego jasno generalna dezaprobata dla tradycyjnego społeczeństwa i jego instytucji. Może nas śmieszyć utopijna wizja „pełnego bezrobocia" – Arkadii zamieszkanej przez samych artystów, spędzających czas na „nieustannym uprawianiu miłości", paleniu marihuany i oglądaniu telewizji (najchętniej na wsi), ale wizja ta jest konsekwencją pewnego istniejącego stanu rzeczy. I tu jesteśmy chyba u sedna sprawy. I tu możemy znowu szukać oparcia w historycznych analogiach.

Jeden z entuzjastów młodzieżowej rewolucji przekonywał mnie, że przypomina ona łudząco czasy europejskiego renesansu. Powoływanie się na odległe precedensy jest efektowną zabawą. Łatwo jednak zauważyć, że każdemu radykalnemu skokowi w rozwoju cywilizacji technicznej towarzyszy kryzys ogólnie przyjętych wartości. I że fermenty te mają niejedną cechę wspólną. [...]

Kiedy chce się ich przekonać o potędze ludzkiego geniuszu lub o nieuniknionych prawach dziejowych konieczności, mówią z szyderczym grymasem: Hiroszima. Mówią: Wietnam, Treblinka, apartheid. Nie wierzą już, aby droga, po której kroczyły poprzednie pokolenia, mogła wieść gdzie indziej niż ku dalszym kłamstwom i zbrodniom.

Głoszą, że nic nie może już być takie, jak było, ale zbawcze granice kontrastowych wizji zatarły się w ich świadomości. Niektórzy sięgają po gotowe doktryny, których sprawdzenia nie usiłują dociekać. Swoimi bohaterami okrzykują Che Guevarę, Fidela Castro, Mao Tse-tunga – przywódców Trzeciego Świata, nieprzedstawiającego żadnych analogii ze światem ich własnych doświadczeń. Porywa ich szlachetny rewolucyjny romantyzm, gdy jednak przychodzi do wcielania go w praktyczne działanie, koleiny schematów są tuż pod stopą. W czasie wielkiego strajku studentów University of Chicago, zorganizowanego i kierowanego przez SDS (Students for a Democratic Society), władze strajkowe ustanowiły cenzurę publikacji i przemówień, godzącą w swobodę innych studenckich ugrupowań. Inni, mniej intelektualnie zdyscyplinowani – jak *yippie* – powracają do mitu Arkadii, włączając jednak w żywioł natury zdobycze technologicznej Schlaraffii[7]. Z cytowanego tu ich programu wyłania się obraz świata, który będąc rajskim ogrodem czystych źródeł, kwiatów i krystalicznego powietrza, jest zarazem jakimś superkoncernem w nadprzyrodzony sposób działającego przemysłu, zaopatrującego „wolne plemiona artystów" (gratis i bez wkładu ludzkiego wysiłku) we wszelkie wygody i rozrywki nowoczesnej cywilizacji.

Nad tym wszystkim unosi się kadzidlany aromat mistyki Dalekiego Wschodu.

Niełatwo doszukać się elementów rzeczywistego zagrożenia starego porządku w rewolucji „dzieciaków". A przecież pałki policyjne, gaz i – nierzadko – strzały, jako argumenty polemiczne, świadczą o powadze konfrontacji. Bunt pokolenia jest jednym z najpoważniejszych problemów współczesnej Ameryki. I nie tylko młodzi prorokują, że „nic już nie będzie takie, jak było". Czyżby obie strony walczyły w imieniu sił przerastających ich świadomość, ich zdolność logicznego formułowania celów i haseł? Można z łatwością wyśmiać ujęte w punkty programy, ale w wyzwaniu rzucanym przez młodych staremu

[7] Schlaraffia, właśc. Schlaraffenland – bajeczny kraj obżartuchów i próżniaków.

światu jest coś śmiertelnie poważnego. Jest to podanie w wątpliwość powagi dotychczasowego porządku rzeczy. Kto wie, czy w tej walce, chaotycznej, instynktownej i nie całkiem zrozumiałej dla samych walczących, nie padł już cios decydujący? Kto wie, jaki pakt z przyszłością pieczętujemy bezwiednie w chwili, gdy człowiek, wykonując rozkazy komputerów, recytując wersety Biblii i żując gumę – dotyka gwiazd? [...]

...Hippisi – dzieci kwiatów – przylgnęli rzeczywiście do Jezusa jako do symbolu. Nie do tradycyjnego Jezusa – ulizanego, świeżo wymanikiurowanego, odzianego w suknie prosto z pralni. Ich Jezus mruga na nich i czyni palcami znak pokoju: „Wróciłem, chłopcy". Jedno z pism podziemnych umieściło na okładce podobiznę wychudzonego, wielkonosego Jezusa, Jezusa ze skołtunionymi czarnymi włosami i nieporządnym uzębieniem. Niektórzy ludzie ze Starej Lewicy myśleli, że to po prostu jakiś *hippie* w słomianym kapeluszu (aureola nie była zbyt dobrze narysowana), co tylko wskazuje, że wielu nie poznałoby Jezusa, gdyby go ujrzało. Ale zresztą Stara Lewica usunęła Jezusa od samego początku. Dopiero Nowa Lewica, dzieci kwiatów – *yippie* i *hippie*, wskrzesili Jezusa jako symbol.

...To jest Jezus, poprzednik hippisów: nie miał domu, a jednak miał wiele domów; nie miał pracy, a jednak miał co jeść; urządzał zebrania, na których żywiono każdego za darmo; prowadził nawet darmową klinikę. Jego zwolennicy rzucali mu pod nogi kwiaty i gałązki palmowe, a on pouczał ich o miłości. („Second City" 1969, nr 5)

Pytanie: 18 lutego 1969 roku radio doniosło, że okręt marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych New Jersey uciszył z powodzeniem gniazdo karabinów maszynowych w Strefie Zdemilitaryzowanej w Wietnamie, wystrzeliwując tonę pocisków ze swych szesnastocalowych dział. Czy istnieje jakiś precedens dla takiej akcji?

Odpowiedź: Oczywiście. 13 sierpnia 1892 roku Jason A. Tennybum z East Squalor, Ohio, ujrzawszy kilka much na placku świeżo upieczonym przez jego żonę Malvidę, działając w obronie swego ogniska domowego, swojej małżonki, swych świętych przekonań, swego konta bankowego i swych politycznych zasad, dał ognia z obu luf dubeltówki do owych zuchwałych, wywrotowych i anarchistycznych owadów. Placek, stół kuchenny i połowa kuchni zostały zniszczone. Los much jest nieznany. („Second City" 1969, nr 5)
[...]

Jeśli drogi twoje i armii rozejdą się, a rozległe, otwarte przestrzenie kraju naszego północnego sąsiada rozpalą twoją wyobraźnię, powinieneś kierować się następującymi zasadami:

Na granicy powiedz, że pragniesz zwiedzać Kanadę jako turysta.

Powinieneś mieć dosyć pieniędzy na bilet powrotny do Stanów, względnie posiadać taki bilet.

Powinieneś mieć po dziesięć dolarów na każdy dzień rzekomej wizyty.

Nie mów, że jesteś dezerterem albo że zamierzasz starać się o status stałego imigranta. W tym wypadku strażnicy kanadyjscy mogą przekazać cię amerykańskiej straży granicznej.

Zabierz ze sobą ile się da następujących papierków: świadectwo urodzenia, paszport, dyplomy, listy polecające, i tyle pieniędzy, ile możesz.

Gdy raz znajdziesz się za granicą, wszystko będzie *okay*. Na ogół Kanada nie wydaje dezerterów, a jeśli nawet odmówi ci statusu stałego imigranta (co jest wstępem do obywatelstwa), będziesz miał dość czasu, by zaplanować wyjazd do Szwecji, Francji lub innego przyjaznego kraju. Oto adresy miejsc, gdzie możesz zwrócić się o pomoc po tamtej stronie… (Następują adresy organizacji antywojennych w szeregu miast kanadyjskich). („The Chicago Seed" 1968, nr 10)

Deklaracja – do naszych współobywateli w Stanach Zjednoczonych, do narodów świata i do przyszłych pokoleń:

1. Jesteśmy oburzeni i przygnębieni zachowaniem się naszego kraju w Wietnamie.

2. W imię wolności uruchomiliśmy przeraźliwy arsenał największej militarnej potęgi świata przeciwko małemu rolniczemu krajowi, zabijając, paląc i kalecząc jego mieszkańców. W imię pokoju obracamy ten kraj w pustynię. W imię bezpieczeństwa igramy z ogólnoświatową katastrofą.

3. My, podpisani pod tą deklaracją, wierzymy, że ta wojna jest niemoralna. Wierzymy, że jest nielegalna. Jesteśmy zdecydowani sprzeciwiać się jej.

4. W Norymberdze po drugiej wojnie światowej osądziliśmy, skazali i straciliśmy ludzi za zbrodnię POSŁUSZEŃSTWA okazanego rządowi, gdy rząd ten wymagał zbrodni przeciwko ludzkości. Dalsze miliony ludzi, którzy nie zostali osądzeni, winne są nadal ZBRODNI MILCZENIA.

5. Mamy zobowiązania wobec praw i zasad, które ustanawialiśmy troskliwie w KONSTYTUCJI AMERYKAŃSKIEJ, w czasie PROCESÓW NORYMBERSKICH

i w karcie narodów zjednoczonych. Nasze głębokie demokratyczne tradycje i nasze przywiązanie do ideałów przyzwoitości w stosunkach między ludźmi nie pozwalają nam milczeć.

Dlatego pragniemy zadeklarować nasze nazwiska Urzędowi Sekretarza Generalnego Narodów Zjednoczonych, zarówno jako trwałe świadectwo naszej opozycji wobec wojny w Wietnamie, jak też jako dowód, że sumienie Ameryki nie umarło. („The Chicago Seed" 1963, nr 12)

[...]

Biała Pantera.

Przede wszystkim musimy stwierdzić, że to oświadczenie, tak samo jak wszystkie oświadczenia, jest g...o warte bez aktywnego programu, który je poprze. Mamy program, wykonalny i całkowity, którego nie należy mieszać z niczym, co się o nim mówi lub pisze.

Naszym programem jest rewolucja kulturalna poprzez totalny atak na kulturę przy użyciu każdego środka i każdego źródła energii, jakie nam zbiorowo wpadną w ręce. Niesiemy nasz program ze sobą wszędzie, gdziekolwiek idziemy, i używamy wszelkich możliwych sposobów, aby poddać ludzi jego działaniu. Nasza kultura, nasza sztuka i muzyka, nasze gazety, książki, afisze, nasze ubrania i mieszkania, sposób, w jaki chodzimy i mówimy, sposób, w jaki rosną nasze włosy, sposób, w jaki palimy marihuanę, w jaki spółkujemy i śpimy – wszystko to jest naszym orędziem, a treścią tego orędzia jest wolność.

...reprezentujemy jedyny współczesny styl życia dla amerykańskich *kids*, a trzeba wiedzieć, że te dzieciaki są gotowe! Gotowe są ruszyć, tylko nie wiedzą jak. Naszą rzeczą jest jedynie pokazać im, że to jest do zrobienia.

Bądźcie wolni, do cholery, mówimy im, i p.....e wszystkich starych ramolów, a oni wiedzą, że mówimy na serio...

...Jesteśmy całkowicie zdecydowani wypełnić nasz program. Oddychamy rewolucją. Jesteśmy absolutnymi maniakami, działającymi na napędzie lsd. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby doprowadzić ludzi do szaleństwa...

...Na razie nie mamy karabinów. W każdym razie nie wszyscy. Ale mamy broń potężniejszą. Bezpośredni dostęp do milionów nastolatków jest jednym z największych naszych atutów, a ich wiara w nas jest następnym z kolei.

Ale jeśli trzeba, będziemy używać karabinów. Jeśli trzeba, chwycimy się każdego środka. Nie mamy złudzeń.

Znając potęgę symboli w abstrakcyjnym świecie Amerykanów, obraliśmy Białą Panterę na nasze godło, aby symbolizowała naszą siłę i arogancję oraz zobowiązanie wobec programu Czarnych Panter. W istocie ich i nasz program są tym samym.

Czyny Czarnych Panter w Ameryce natchnęły nas i dały nam siłę, tak samo jak muzyka czarnej Ameryki...

Oto nasz program:

1. Pełne poparcie i przyjęcie dziesięciopunktowego programu Partii Czarnych Panter.

2. Koniec pieniądza. Żądamy swobodnej wymiany energii i materiałów.

3. Totalny atak na kulturę wszelkimi niezbędnymi środkami, włącznie z rock and rollem, narkotykami i spółkowaniem na ulicach.

4. Uwolnić wszystkich więźniów, gdziekolwiek są.

5. Zwolnić na użytek ludzi wszystkie środki komunikacji i produkcji. Musimy mieć dostęp do naszej technologii, kiedykolwiek chcemy.

6. Bezpłatna żywność, odzież, mieszkania, narkotyki, muzyka, ciała, opieka lekarska – wszystko bezpłatne.

7. Uwolnić natychmiast wszystkich żołnierzy. Koniec armiom.

8. Uwolnić wszystkie szkoły spod oficjalnego kierownictwa. Oddać szkoły uczniom.

9. Zwolnić czas i przestrzeń na użytek wszystkich ludzi. Znieść wszystkie nienaturalne granice.

10. Uwolnić lud od jego przywódców. Przywódcy to pijawki. („The Chicago Seed" 1968, nr 3)

Podróżowanie pociągami towarowymi jest rzeczą fasonową i łatwą. Możesz jechać za darmo i oglądać kraj bez reklam, bez neonów i innego przydrożnego śmiecia.

...oto, co trzeba zrobić. Trzeba iść na torowisko (najlepiej wieczorem) i znaleźć przetokowego. Przetokowi noszą latarnie sygnalizacyjne, łatwo ich wypatrzyć. Zapytaj go, czy coś odchodzi w twoim kierunku, czy nie kręcą się w pobliżu gliny i gdzie pociąg stoi. Na większości dworców możesz wejść do baraku dla załóg, ale najpierw zapytaj przetokowego, czy tam spokojnie. Pytaj śmiało, ludzie lubią gadać... („Kaleidoscope" 1969, nr 8)

Zostałem ostatnio aresztowany pod zarzutem posiadania tego nieszkodliwego i łagodnego halucynogenu, jakim jest marihuana. Zawsze obiecywałem sobie, że jeśli kiedykolwiek będę aresztowany z tego powodu, uczynię

wszystko, co możliwe, aby wykreślić tę bzdurę z kodeksów karnych. W tym duchu zwracam się do was z prośbą o powierzenie mojej sprawy któremuś z adwokatów nowojorskich, zainteresowanych poprowadzeniem mojej obrony. Ponieważ nie mam pieniędzy, a moja żona oczekuje dziecka, będę mógł zapłacić jedynie moim czasem i obietnicą, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby przyczynić się do obalenia tej ustawy... („The East Village Other", marzec 1969, nr 13)

[...]

Zrób właściwy użytek z tych podziemnych książek!

PORANEK MAGIKÓW – Wszelkie dostępne świadectwa na temat doznań ponadzmysłowych, okultyzmu, zaginionych cywilizacji. Wyprawa poza granice wiedzy. Tylko 6 dol. 95 c.

TYBET – Ilustrowane luksusowe wydanie. O odwiecznym kraju ducha, Tybecie. Obszerne studium osiągnięć artystycznych, społecznych i duchowych. Tylko 14 dol. 95 c.

NAUKOWE PODSTAWY ASTROLOGII – Czy gwiazdy mogą rzeczywiście decydować o naszym losie? Przekonaj się sam! Ta książka jest jedną z najlepszych na temat astrologii. Tylko 5 dol. 95 c.

ROZWIĄZANIE WSZYSTKICH PROBLEMÓW ŚWIATOWYCH – Zabawny, lecz poważny tekst, pouczający, jak rozwiązywać problemy, zarówno na skalę globalną, jak i drobną. Ucz się radzić sobie z własnymi procesami mentalnymi. Tylko 5 dol. 95 c.

PROCES JEZUSA – Najpełniejsza analiza postaci Jezusa i Jego czynów, jaka ukazała się kiedykolwiek. Czy Chrystus był łagodnym księciem pokoju? Tylko 6 dol. 95 c. („The Chicago Seed" 1968, nr 4)

Mężczyzna, 22 lata, pragnie miłości z agresywnymi kobietami dowolnego wieku, rasy i budowy. Szuka również ultrakobiecych mężczyzn, którzy uwielbiają nylonowe stroje, w celu przyjemnego obcowania. („The East Village Other" 1969)

Przystojny artysta, Murzyn, szuka sympatycznych białych dziewcząt w wieku 18 lat. Cel – seks. Satysfakcja zapewniona.

Mary, byłbym ci wdzięczny, gdybyś zwróciła moje spodnie. *Okay?* David. („Kaleidoscope" 1969)

> Pokój – po rosyjsku, hebrajsku, angielsku, chińsku, francusku, na medalionie z symbolem świata, rozmiar 2½ cala, złoto tombakowe, łańcuszek. 4 dol. za pobraniem pocztowym. Kagan. Skr. pocz. 1427, Studio City Calif. („Guardian" 1969)
>
> Kartki na Boże Narodzenie z rośliną marihuany i życzeniami świąt w obłokach (nieprzetłumaczalne „*high*" na oznaczenie transu narkotycznego) dla wszystkich. Pełny kolor. 25 c. Ed. Hoffman, 234 E 4th Str. N.Y. („The Chicago Seed" 1968, nr 3)
>
> [...]

Rozmowa z Davidem w redakcji „The Chicago Seed" przy ulicy La Salle. Lokal redakcji jest sutereną, do której schodzi się po paru stopniach wprost z chodnika. Wysoko umieszczone okna, nigdy chyba niemyte, przepuszczają niewiele światła, toteż mimo porannej pory na biurkach palą się lampy, osłonięte zielonymi kloszami. Wzdłuż ścian po sam strop piętrzą się stosy gazet. Biurka zawalone wycinkami, fotografiami, rysunkami. Nadmiar tych materiałów spłynął na podłogę, dzieląc los śmieci z niedopałkami i kapslami od coca-coli. Redaktorzy długowłosi, w okularach, brodaci – wyglądają, jakby nigdy nie oglądali światła dziennego. Podziemni święci, Myszkiny, zatęchli w piwnicznym mroku. Dziewczęta w wystrzępionych, brudnych dżinsach, bose, nieumalowane, z tłustymi włosami, przysiadają na rogach stołów, dyskutują o seksie, o rewolucji obyczajowej – niepowabnie, rzeczowo, jakby chodziło o wylęg kurcząt albo o organizację przedsiębiorstw.

David jest bardzo młody. Osiemnaście, dziewiętnaście lat. Jego broda to na razie tylko pojedyncze miękkie włoski, sterczące niechlujnie między pryszczami pokrywającymi policzki o niezdrowej, ziemistej cerze. Ma duże oczy, smutne i pełne udręki. Robi wrażenie zbiega, który wszędzie czuje się niepewnie i obco.

Rozmowa z nim jest czystym przypadkiem. Po prostu nawinął się jakoś i nazbyt jest uprzejmy, żeby się nas pozbyć. Skończyłoby się pewnie na paru zdawkowych zdaniach, ale mój przewodnik po Old Town Tadeusz przypisuje mojej ciekawości żądzę zdobycia „materiałów", więc nieustannie popycha mnie do akcji.

– Niech pan zadaje pytania. Niech pan zapyta o jego pochodzenie, jego środowisko, jego sposób życia.

Ulegam z zażenowaniem.

– Z czego żyjesz, David? – pytam.

– Z kolportażu „Seed". Fotomontaże dla pisma robię za darmo. Dla idei. Ale z tego, co sprzedam na ulicach, każde dwieście egzemplarzy idzie na mój benefis.

Robię w myśli szybkie obliczenie. Około pięćdziesięciu dolarów miesięcznie.

– To bardzo mało – mówię.

– Wystarcza mi.

– Rodzina ci nie pomaga?

– Nie! Zerwałem z rodziną.

– To zamożni ludzie?

– Nawet bogaci. Mój ojciec jest kapitalistą. Ma fabrykę urządzeń kanalizacyjnych.

– I nie troszczą się o ciebie zupełnie?

– Nie...

Tym razem odpowiedź brzmi mniej stanowczo. David zastanawia się, coraz bardziej udręczony i zakłopotany.

– No, nie całkiem – przyznaje wreszcie. – Raz na miesiąc opłacają moją wizytę u psychoanalityka.

Niedaleko stąd, w samym centrum Old Town, jest księgarnia, w której klientom podaje się za darmo kawę. Uliczki między sięgającymi sufitu regałami zbiegają się ku kwadratowi wolnej przestrzeni, której środek zajmuje niski, okrągły stół. Wokół tego stołu, na przypadkowo dobranych fotelach i taboretach, siedzą obwieszeni amuletami brodacze i ich towarzyszki o włosach rusałek. Wśród nich ogromny młody Murzyn we wzorzystej *dashika*[8], ze sterczącą sprężyście na wszystkie strony fryzurą czarownika z buszu. Czarny *hippie* – zjawisko dość rzadkie, nawet tu, w Chicago. Przy tym i owym leży na podłodze brudny tobołek – śpiwór wyświechtany po towarowych wagonach i farmerskich stodołach. W rozmowie padają nazwy odległych stanów i miast. To przypadkowe spotkanie wędrownych ptaków. Niektórzy spędzą dzisiejszą noc tu, w księgarni, na podłodze.

Obcy witany jest przy stole z życzliwą obojętnością. Najwyżej odrobiną zaciekawienia cudzoziemskim akcentem i konwencjonalnym strojem. Skąd wziął się tutaj ten „sztywny"?

Słyszę, jak jedna z dziewczyn zwraca się do czarnego czarownika słowami: „*You nigger*"[9]. Patrzę z niepokojem, ale olbrzym w *dashika* nie sięga po nóż i żadna twarz nie wyraża ani zakłopotania, ani zdziwienia. Może mi się przesłyszało? Ale nie. Słowo, stanowiące gdzie indziej krwawą zniewagę, tutaj widocznie uległo neutralizacji. Wiadomo, że przy tym stole nikt nie może

[8] *Dashika* lub *dashiki* – luźna kolorowa męska tunika noszona przez Afroamerykanów, mieszkańców Afryki i Karaibów.

[9] *You nigger* (ang.) – Ty czarnuchu.

być rasistą. A poza tym język, którego się tu używa, jest cały rodzajem parafrazy. Utarte w „oficjalnym świecie" znaczenia i konotacje stają się w nim parodią samych siebie lub własnym zaprzeczeniem. Rozmowa toczy się dalej w nastroju leniwej i ezoterycznej zadumy.

Jeden ze sprzedawców przynosi kolejny imbryk kawy, nalewa. Nikt nie dziękuje – rzecz wydaje się należeć do rutyny.

Sprzedawcy w tej księgarni zadziwiają bardziej niż klienci. Są to mężczyźni w sile wieku, niepozorni, ubrani skromnie, prawie ubogo. Ich tanie, źle skrojone garniturki robią wrażenie przebrania. Ich twarze, wymizerowane, poważne i uprzejme, mają jakiś nieuchwytny wyraz pokory i gorliwości. Jak gdyby czuli się zaszczyceni, że mogą obsługiwać tych egzotycznych włóczęgów, jak gdyby ich podziwiali, a równocześnie ukrywali coś przed nimi – troskę, współczucie... może (choć jest to zbyt patetycznie) miłość? W ich sposobie bycia jest coś, co nasuwa myśl o sprzysiężeniu.

Tadeusz przedstawia mnie jednemu z nich – chudemu trzydziestolatkowi o rudych włosach i długiej, piegowatej twarzy.

– Ojciec Patryk – mówi i uśmiecha się, widząc moje zdumienie.

Przygotował sobie ten efekt. Teraz jest uszczęśliwiony, jakby udało mu się spłatać mi figla. A ja nagle rozumiem, dlaczego ci ludzie wydawali mi się przebrani. Ich gesty, ich głosy, ich uśmiechy zostały uformowane przez habit, który tają, powodowani dyskrecją.

– Tak. Księgarnia prowadzona jest przez franciszkanów z Taizée – wyjaśnia Tadeusz.

– Mamy swoją specjalizację – mówi ojciec Patryk, oprowadzając mnie po sklepie. – Wynika ona z zainteresowań naszej klienteli. Właściwie dwa główne działy...

Zapuszczamy się pomiędzy regały po lewej stronie. Kant, Bergson, Bertrand Russell, święty Jan od Krzyża, Mistrz Eckhart, święty Tomasz z Akwinu, Marks, Marcuse, Teilhard de Chardin... Przechodzimy na stronę prawą. Markiz de Sade, Arthur Miller, William Burroughs...

– To dziwne – mówię.

Ojciec Patryk jąka się trochę. Formułowanie myśli przychodzi mu z pewnym trudem, co powiększa jeszcze zmieszanie, towarzyszące wszystkim jego gestom i słowom.

– Dajemy im to, czego chcą – tłumaczy. – Oni są tacy. Krańcowi. Elementarnie krańcowi. Duch i ciało.

Tymczasem Tadeusz konferuje poufnie z innym ojcem przy kasie, po czym oświadcza mi, że jesteśmy zaproszeni na lunch do klasztoru – w każdym razie

do tego, co można by nazwać klasztorem. Po drodze udziela mi bliższych wyjaśnień. To jest rodzaj misji. Ale jej założeniem nie jest katechizacja, lecz obecność w świecie. Tak można to określić. Udział. W tym wypadku udział w życiu hippisów i czarnych z getta. A główna osobliwość przedsięwzięcia polega na tym, że misja jest międzywyznaniowa. Należą do niej katolicy i protestanci. Posoborowy eksperyment.

Dom ojców stoi na skraju wyburzonej parceli. Ceglana rudera, sama przeznaczona do rozbiórki. To już granica Old Town i getta północnego. Tandetny witrażyk w drzwiach. Jakieś secesyjne fioletowe i czerwone kwiaty. W pustej sieni z kamienną posadzką, wyślizganą jak korytarz szpitalny, brzydka gipsowa figura Chrystusa. Pod nią przywiędłe bukiety w słoikach. Wita nas czarniawy, ciężki mężczyzna w dżinsach i grubych, robotniczych butach. Teraz już bez trudu uzupełniam jego flamandzką twarz z zawiesistym nosem trójkątnym obrysem kaptura. Angielskie słowa skaczą mu w ustach, poprzełamywane szybkimi spadkami francuskiej akcentacji. Jest Belgiem. Prowadzi nas najpierw do kaplicy, która mieści się w suterenie, w kotłowni centralnego ogrzewania. Pośród żeliwnych rur, obiegających ściany, stolik z krzyżem i przed nim kilka krzeseł i ławek. Belg wydaje się dumny z tego ubóstwa, jakby i on uciekł od bogatego ojca.

– Czy oni przychodzą tutaj? – pytam.

– Tak... czasem.

W głosie Belga jest ton melancholii – może nawet goryczy. Zgaduję rozczarowanie. Tyle dobrej woli, tyle poświęceń, a „oni" wędrują nadal swoją własną drogą i tylko czasem, może z ciekawości, może z nudy, zaglądają za kusząco uchyloną dla nich furtkę. Ale Belg nie chce współczucia.

– Nie namawiamy ich – dodaje śpiesznie. – To my wychodzimy do nich. Po to tu jesteśmy. Bywamy im potrzebni. To już jest coś. Służymy.

Próbuję sobie wyobrazić, na czym polegają te służby, podczas gdy Belg (jest to chyba przełożony owej dziwnej gminy) prowadzi nas na górę do refektarza, przepraszając zawczasu za skromność posiłku. Rzeczywiście, lunch daleki jest od obfitości. Cienka zbożowa kawa w fajansowych kubkach, odrobina ziemniaczanej sałatki, sucha bułka, parę skrawków serdelowej kiełbasy. Najwyraźniej resztki ze śniadania, a może z wczorajszej kolacji. Wokół długiego, przykrytego kuchenną ceratą stołu jeszcze kilku członków zgromadzenia. Szkot – nadmiernie wyrośnięty chłopak o niezdarnych ruchach, kędzierzawy Irlandczyk, grubokościsty, poważny Niemiec, barczysty Amerykanin w flanelowej koszuli. Stojąc, zmówili szeptem modlitwę, a teraz jedzą nieuważnie i prędko, jak gdyby każdy z nich śpieszył się do jakichś niecierpiących zwłoki

zajęć. Amerykanin postawił koło krzesła skórzaną torbę z narzędziami. Jest elektrykiem. Zaraz po lunchu idzie naprawiać jakąś lodówkę w getcie. Niemiec pracuje jako dentysta. Specjalności innych nie jestem w stanie odgadnąć z przebiegu skąpych, fragmentarycznych rozmów przy stole.

– Rano znów była policja – informuje Irlandczyk przełożonego. Belg kiwa głową bez zdziwienia.

– W sprawie tego chłopca z Nowego Orleanu?

– Wciąż mamy do czynienia z policją – wyjaśnia mi. – Tyle ludzi przechodzi przez ten dom. Przed nikim nie zamykamy drzwi, nikogo o nic nie pytamy. Policja ma do nas pretensje. Nieraz zapewne słuszne. W dodatku z różnych stron oskarża się nas o nielojalną konkurencję. Bo nie żądamy niczego za nasze usługi. Bierzemy, co nam dadzą. – Wzdycha zafrasowany. – Obawiam się, że jak zburzą ten dom, trudno nam będzie o nowe lokum.

Szkot zbiera naczynia – inni rozeszli się już, ledwo połknąwszy ostatni kęsek. I my żegnamy się także. Towarzyskie posiedzenia nie są tutaj w zwyczaju.

Wracając przez wyburzoną parcelę, zastanawiam się, kto kogo usiłuje doścignąć w ucieczce z krainy autorytetów, stabilizacji i materialnego sukcesu. I zasłyszane porównanie tego wszystkiego do renesansu wydaje mi się coraz bardziej wątpliwe. Raczej średniowieczny niepokój millennium. Lęk przeczuwanego końca świata. [...]

Zgorszenie przeciętnego amerykańskiego mieszczucha skupia się w pierwszym rzędzie na hippisach, ponieważ rzucają się w oczy niechlujstwem i ekstrawagancją stroju, ponieważ naruszają konformizm obyczajów i – co jest szczególnie dotkliwe – lekceważą znaczenie pieniądza.

Ubóstwo w tym kraju traktowane jest jak choroba. Jedynie aktywiści Nowej Lewicy otaczają je rodzajem kultu, posługując się nim jako politycznym atutem i wyżywając się społecznie w slumsach lub w gospodarczo zaniedbanych powiatach Appalachów. Przeciętny Amerykanin przypisuje jednak ubóstwo brakom charakteru, alkoholizmowi lub upośledzeniu umysłowemu. Toteż ubóstwo z wyboru, ubóstwo jako snobizm lub życiowy ideał, wydawać się musi obłędem.

Zewnętrzne atrybuty stylu życia *hippie* – rozpowszechnione bardzo szeroko jako moda młodzieżowa – nie są jeszcze wystarczającą wskazówką rzeczywistych postaw. Prawdziwych hippisów jest na pewno znacznie mniej, niż się wydaje. Wśród efektywów rewolucji pokoleniowej hippisi stanowią raczej symbol niż politycznie zorientowaną siłę. Ich protest jest bierny. Zamykają się w kontemplacji, zanurzeni w wizjach swej psychodelicznej poezji ustępują z drogi historii, obojętnym i sceptycznym okiem patrzą, jak przewala się ona

hałaśliwie obok nich. Są dekadentami i derwiszami nowego świata. Łatwo padają ofiarą wszelkiego rodzaju drapieżników, ich utopijne komuny stają się żerowiskiem dla handlarzy narkotykami, dla psychopatów i zwykłych przestępców. Haight-Ashbury, opanowana przez nich dzielnica San Francisco, którą próbowali urządzić po swojemu (bezpłatne jadłodajnie i domy noclegowe, finansowane z dochodów za nagrania *pop-music*), jest obecnie dzielnicą niebezpieczną, omijaną przez spokojnych obywateli. Nawet jej malowniczość straciła charakter poetycznej egzotyki. Długowłose postacie w łachmanach, wystające bezczynnie pod bramami lub siedzące na skraju chodników (jest wśród nich sporo dziewczyn z niemowlętami na rękach), robią po prostu wrażenie wykolejeńców i nędzarzy. [...]

Przed wejściem do Museum of Modern Art w Nowym Jorku zbiegowisko na chodniku. Ludzie utworzyli krąg, przyglądają się czemuś w milczeniu. Twarze zesztywniałe w surowym wyrazie nagany albo uśmiechnięte ironicznie, albo po prostu zaciekawione. Na niektórych widoczny wyraz zakłopotania. Pośrodku kręgu bardzo wysoki, ascetycznie chudy chłopak, z zielonymi lokami (peruki, oczywiście) opadającymi na ramiona, z dziecięco delikatnym, a równocześnie ostrym profilem młodzieńców z obrazów quattrocenta. Porusza się, jak gdyby nieświadomy na pół wrogiego zainteresowania, które go otacza. Pochylony, układa na betonowych płytach kawałki kartonu z wymalowanymi na nich kolorowymi literami. *The Rain* – tytuł kolejnego numeru samotnej pantomimy. Stawiając z taneczną gracją obute w sandały bose stopy, cofa się pod ścianę muzeum, o którą oparty jest jego rower i gdzie we wnęce okiennej złożył swą podręczną rekwizytornię. Nastawia magnetofon. W kamienny chrobot ulicy wsącza się wątła strużka bluesa. Bierze z parapetu papierową torebkę i parasol o pogiętych drutach. Rozpina ten podarty parasol, patrząc trwożnie w niebo, sięga do torebki, rzuca w górę garstkę ryżu. Tańczy miękko, leniwie. Wyrzucany w powietrze ryż opada z szelestem na czarny jedwab parasola, sypie się przez dziury na zielone loki. Przez krąg gapiów przeciska się portier muzeum – przysadzisty starszy mężczyzna w liberii ze srebrnymi guzikami. Jego apoplektyczna twarz napęczniała jest wzgardą i niechęcią. Jest cały po stronie świata serio – po stronie futer, kosztownych garniturów i cadillaców, po stronie niezrozumiałych, ale ubezpieczonych na ciężkie miliony obrazów we wnętrzu gmachu. Te łachmaniarskie wygłupy przed bramą przybytku, który powierzono jego pieczy, obrażają go osobiście. Tym bardziej że nie dają nawet pretekstu do politowania: długowłosy błazen niczego nie chce, nie wyciąga kapelusza po datki. Najwyraźniej kpi tylko z poważnych ludzi. Więc człowiek w liberii staje przed tańczącym *hippie* na

rozkraczonych nogach i warczy: „Idź stąd! Tu nie wolno śmiecić". Długowłosy nieruchomieje we wdzięcznym piruecie. Przechyla lekko głowę, uśmiecha się przychylnie, prawie zalotnie. „Niech się pan nie obawia – mówi głosem cichym i bardzo uprzejmym. – Ja wszystko po sobie posprzątam". W tonie tych słów nie ma ani śladu lęku, ale dźwięczy w nich jakby nutka współczucia. Ktoś w tłumie wybija kilka nieśmiałych oklasków, ktoś śmieje się głośno. Stojący koło mnie facet w wykrochmalonym kołnierzyku, z kokardką czarnej tasiemki, zakończonej skuwkami, zamiast krawata, kreśli palcem kółko na czole, przesyłając mi porozumiewawcze spojrzenie. Dla mnie jednak – jeśli miałem jakieś wątpliwości z początku – przewaga derwisza w zielonej peruce jest w tej chwili całkiem oczywista. Jemu nikt nie kazał nosić liberii, jego nic nie przykuwa do miejsca, on niczego od tych ludzi dokoła nie żąda. Jest bezinteresowny, jest wolny. Nie patrzy nawet w ślad za wycofującym się portierem. Kończy swój deszczowy pląs, odnosi parasol, bierze zamiast niego przezornie przygotowaną miotełkę, zmiata starannie ziarnka ryżu do rynsztoka, po czym układa z kartonowych liter tytuł następnej pantomimy.

Tę drobną scenkę z nowojorskiej ulicy można zinterpretować po prostu jako jedno z dziwactw pleniących się na brukach wielkich miast. Jednakże we współczesnej Ameryce dziwactwa tego rodzaju wiążą się zbyt ściśle z przejawami stylu życia *hippie*, aby można było relegować je na margines społecznej rzeczywistości. „Dzieci kwiatów" mają swoją koncepcję upoetyczniania świata, zmiękczania jego twardych obyczajów. Wywodzi się ona z postaw zupełnie obcych amerykańskim poglądom na życie jako na nieustanny, pełen uporczywego wysiłku marsz ku materialnemu i prestiżowemu sukcesowi. Właśnie radykalna odmienność owych postaw upoważnia do mówienia o konflikcie odrębnych pokoleniowych cywilizacji.

Nocna wędrówka uliczkami Greenwich Village daje o tym niezłe pojęcie. To prawda – ów nowojorski Montmartre uległ w znacznym stopniu komercjalizacji jako miejsce turystycznej egzotyki. Ale ustylizowane na bohemę, drogie knajpy i snobistyczne antykwariaty to tylko jedno z oblicz tej dzielnicy, na której skwerach długowłosi spędzają czas po swojemu, brzdąkając na gitarach, śpiąc pod gwiazdami otuleni w śpiwory. Mają tu oni swoje własne przybytki, rzadko odwiedzane przez intruzów. Do takich należy Electric Circus.

Długi korytarz, smagany błyskawicami zmieniających się świateł o zjadliwych, zimnych kolorach (grynszpanowa zieleń, ulubiony w estetyce pop-artu sinawy róż, neonowy fiolet...), prowadzi do wielkiej sali o półowalnym kształcie. Schodzi się tutaj w dół po kilkunastu stopniach, jak do wnętrza jakiegoś mrocznego basenu, wypełnionego ogłuszającym hałasem i martwą

ciszą. Brzmi to jak bezsensowny paradoks, ale istnieją natężenia dźwięków tak oszałamiające, że nie tylko głos człowieka, ale i szept jego myśli gaśnie jak stratowany łoskotem Niagary i cały świat poza kurtyną tego łoskotu wydaje się nieodwołalnie niemy. Uczucie zanurzenia pod wodospadem wzmaga nieustanne falowanie barwnych kształtów na wklęsłych krzywiznach ścian.

Ukryte nad wejściem projektory rzucają na nie zmienne obrazy – abstrakcyjne kompozycje, fantastyczne panoramy jakichś zjawiskowych miast – molochów i wyśnionych w malignie dżungli. Na estradzie, w lewym krańcu sali, gitarzyści i perkusiści miotają się w szalonych drgawkach, jakby prąd zasilający ich instrumenty szarpał ich mięśnie i nerwy. Sini, niebiescy, czerwoni w smugach przepływających świateł, sieką ciężkie od dymu marihuany powietrze długimi włosami, rozpryskują dokoła krople potu. A na podłodze siedzą w kucki lub leżą pokotem słuchacze – najcichsza, najspokojniejsza publiczność świata. Ćmią skręty swojej odurzającej trawy (*grass* – tak się tutaj potocznie nazywa marihuanę), pustym wzrokiem błądzą wśród kolorowych miraży.

Nawiasem mówiąc, budynek, w którym mieści się Electric Circus, znany jest bywalcom jako „Dom". Ta nazwa figuruje nad wejściem. Ale tylko najstarsi autochtoni potrafią wyjaśnić jej znaczenie. Kiedyś, dawno temu, kiedy Greenwich Village nie było jeszcze dzielnicą artystów i kiedy nikt nie przeczuwał jeszcze pojawienia się hippisów, mieszkali tu emigranci polscy. W tej kamienicy mieli swój klub. Nad bramą widniał wówczas napis: „Dom Narodowy Polski". Może w tej sali wisiały kiedyś portrety Kościuszki i Pułaskiego? [...]

Leżący na podłodze chłopcy, dziewczyny znieruchomiałe, z przymkniętymi oczyma, przeżywają tu swoje jedyne, nieustające „teraz". Patrząc na nich, można pomyśleć, że odpoczywają po jakichś porzuconych raz na zawsze trudach. I myśl ta, chociaż dziwaczna pod kloszem huczącej, pulsującej nienaturalnymi kolorami Niagary, nie jest chyba daleka od prawdy. Odpoczywają w obezwładnieniu, osłonięci tym zgiełkiem od świata jak tarczą. Odpoczywają z trudów swojej epoki, której ciężar uznali za niewart dźwigania. Rzucili absurdalne wyzwanie życiu. Mówią mu: stój! Może udało im się zapomnieć o nadchodzącej nieuchronnie chwili przebudzenia z młodości?

Trudno to pojąć. Geneza ich cywilizacji zdaje się tkwić w jakimś tragicznym samozłudzeniu. Ale szukając przyczyn tej ucieczki w bierność, w nieodpowiedzialność, w kontemplację, znajduje się przecież niejedną wskazówkę.

Spójrzmy na przykład na stereotypy wartości, którym hołdowało i hołduje nadal amerykańskie społeczeństwo. Ideał *competitiveness* – zdolności do współzawodniczenia – stał się tu fetyszem, ostrogą zmuszającą każde

kolejne pokolenie do coraz bardziej wytężonego galopu. Powojenne dziesięciolecia przyniosły rozkwit jego tyranii dzięki modzie na testy psychotechniczne. Stworzono sita, przez które przechodzić musi każdy niemal mieszkaniec tego kraju na każdym kolejnym etapie swojej życiowej kariery – jako uczeń szkoły podstawowej i średniej, jako student, jako rekrut, jako kandydat do tego czy innego zawodu. Powstał cały ogromny przemysł „mierzenia osobowości". [...]

Dziennikarz Martin L. Gross poświęcił temu zagadnieniu interesującą książkę pod tytułem *The Brain Watchers*. Jest ona przeglądem oraz krytyczną analizą stosowanych w Ameryce systemów ankietowania i stawia niejedno ważkie pytanie – dotyczące nie tylko obiektywnej wartości tych systemów, ale i społecznych skutków ich nadużywania. Książka Grossa pozwala jednak przede wszystkim zorientować się we wzorach przyjętych przez amerykańskie społeczeństwo jako wartościowe. Pod tym względem wszystkie systemy i szkoły są zgodne, lansując typ człowieka o pragmatycznym podejściu do życia, o szybkiej, stanowczej decyzji i niezachwianej pewności siebie – człowieka czynu, nieskłonnego do refleksji, skrupułów i marzeń.

Większość ankiet skonstruowana jest na zasadzie alternatywnych pytań. Odpowiedzi na nie wyznaczają „kontur osobowości" ankietowanego.

Oto jeden z przykładów:

Czy jesteś rozmowny na przyjęciach?
Czy wolisz czytać książki, niż spędzać czas z przyjaciółmi?
Czy życie wydaje ci się zabawniejsze w licznym towarzystwie?
Czy wolisz teatr od dansingu?

Prawidłowe odpowiedzi na te pytania powinny brzmieć: Tak. Nie. Tak. Nie. Jak widać, zainteresowania intelektualne nie należą do pożądanych cech pozytywnego członka społeczeństwa, takiego, który nadaje się na sprzedawcę, dyrektora przedsiębiorstwa lub operatywnego funkcjonariusza administracji. Skłonności do introspekcji i samotności, a także upodobania artystyczne oceniane są jeszcze gorzej, niemal na równi z jawnymi odchyleniami od psychicznej normy. [...]

Postulowana przez testy sylwetka „dobrego Amerykanina" zgadza się uderzająco z jego wizerunkiem rozpowszechnionym wśród innych narodów. Ten energiczny ekstrawertyk, towarzyski, wesoły i zdrowy, lojalny, nieskomplikowany wewnętrznie, bezwzględny w walce o byt i skłonny do naiwnej hipokryzji – w sumie zaradny i umysłowo prymitywny dorobkiewicz, to w dalszym ciągu ideał pioniera.

Otóż współczesna młodzież amerykańska odrzuca ten ideał. Nie chce być taka. Pociągają ją raczej przeciwieństwa owego stereotypu. Jej bunt – zarówno w czynnych, agresywnych przejawach, jak w biernych manifestacjach typu hippisowskiej negacji – piętnowany jest przez tradycyjne społeczeństwo jako degeneracja. Jest to jednak chyba protest i ogólniejszy, i głębszy niż szerząca się z jakichś powodów „zaraza zepsucia". Jest to proces historycznego starzenia się narodu. Minęła epoka pionierskiej młodości. Optymistycznie nastrojeni układacze testów osobowości jeszcze tego nie zrozumieli. Ale kampusowi rewolucjoniści i hippisi (chociaż sami błąkają się w świecie fantazji i złudzeń) czują na pewno, że pewien odcinek drogi został już przemierzony do końca.

Jeszcze na zakończenie obrazek z Berkeley, który we wspomnieniu nabiera coraz bardziej symbolicznej wymowy. Był to już któryś z rzędu dzień niepokojów i tego ranka gazety przyniosły wiadomość o śmierci chłopca postrzelonego przez żołnierza Gwardii Narodowej w czasie ostatnich starć na terenie kampusu. Tło zajść (a zwłaszcza bezpośrednia ich przyczyna) wydawało się błahe. Studenci postanowili założyć na jednej z należących do uniwersytetu parcel ogród, nazwany przez nich szumnie Parkiem Ludowym. Coś tam już zaczęli kopać, zasadzili jakieś grządki. Tymczasem władze uniwersyteckie przeznaczyły parcelę do innego użytku. Młodzież nie dała się ewakuować, przepędziła kampusowych policjantów, usiłujących zająć sporny teren. Rektor Hayakawa zwrócił się o pomoc do gubernatora stanu. Gubernator Reagan wezwał Gwardię Narodową. W tej konfrontacji, nacechowanej nieproporcjonalną zaciekłością obu stron, grządki wydawały się oczywistym pretekstem.

Spodziewano się dalszego zaognienia sytuacji. Wizyta w Berkeley, podyktowana zresztą całkiem prozaicznymi względami (umówione spotkanie w Wydziale Slawistyki), musiała w tych warunkach odbiec od zaplanowanej rutyny.

Autobus docierający normalnie do bram kampusu wysadził pasażerów tuż za Oakland Bay Bridge. Taksówkarz nie obiecywał dowiezienia na miejsce. Po ulicach uwijały się policyjne samochody, plutony gwardzistów w pełnym uzbrojeniu ciągnęły ku widocznej na wzgórzu kampanili. Zatrzymywani przez blokujące skrzyżowania posterunki, kluczyliśmy po mieście wśród podnieconych tłumów, które zdawały się świętować w jaskrawym blasku kalifornijskiego słońca.

– Za dobrze im się powodzi – mówił taksówkarz. – Ja bym ich wszystkich ogolił i wykąpał.

W odkrytym sportowym wozie, zatrzymanym obok nas przemarszem oddziału Gwardii, dwie małe dziewczynki w opalaczykach wyciągały ku żołnierzom dłonie z palcami rozstawionymi – za przykładem demonstrantów – w kształt litery V. Ich ojciec za kierownicą, brodaty i w okularach, wyglądał na lewicowego profesora.

Sympatie i antypatie w tym starciu nie układały się prawidłowo, według podziałów klasowych.

Do kampusu dobrnęliśmy w końcu piechotą, przepuszczeni nie bez oporów przez kordon gwardzistów w hełmach, ustawiony na Telegraph Avenue, naprzeciw bramy zwanej Sather Gate.

Nie chcę nużyć nikogo opisywaniem wydarzeń tego dnia, które zresztą znacznie sensacyjniej wyglądały w późniejszych sprawozdaniach prasowych. To, co wydaje mi się godne przekazania, to ich atmosfera, mówiąca może o istocie rewolucji pokoleniowej więcej niż suche fakty.

Za bramami oblężonego kampusu panował nastrój niedzielnego pikniku. Zakochane pary wylegiwały się na trawnikach, liżąc lody lub popijając coca-colę z tekturowych kubków. Pod gmachem Unionu brodaci aktywiści rozdawali ulotki ze stolików, ustawionych niczym jarmarczne stragany. Tłum kolorowej młodzieży, przetykany malowniczymi sylwetkami hippisów, snuł się po asfaltowych ścieżkach. Tyle urody! Egzotycznie przystrojone dziewczyny, smukli chłopcy o wąskich biodrach i dokoła wiosenna zieleń strzyżonych gazonów, wesołe plamy kwietników, nowoczesne budynki audytoriów, odbijające jasność dnia wielkimi płaszczyznami okien, łagodne wzgórza, ostra czerwień dachów wśród srebrnej szarości eukaliptusowych gajów, a w dali połyskliwy błękit wypolerowanej słońcem zatoki. Co za tło dla wspomnień z najlepszych lat życia!

Ten wspaniały uniwersytet, jeden z najlepszych na świecie, jeden z najwszechstronniejszych ze swymi z górą sześćdziesięcioma wydziałami, jeden z najlepiej wyposażonych i najpiękniej usytuowanych – uniwersytet, który wychował tuzin laureatów Nagrody Nobla, wydawał się miejscem mogącym wzbudzać jedynie uczucia lojalności i dumy.

Opinia taksówkarza, podzielana zapewne przez wielu ludzi poza bramami kampusu, brzmiała przekonywająco. Czego im tu brakuje? A przecież nad trawnikami i klombami, nad beztroskim z pozoru, kiermaszowym gwarem rosło w blasku dojrzewającego południa jakieś groźne wyczekiwanie, elektryzujące spojrzenia, nadające głosom ostry, wysilony dźwięk.

Setki studentów gromadziły się koło Sather Gate, naprzeciwko kordonu gwardzistów. Twarze opracowane rozmaitymi technikami wewnętrznych

skupień i zewnętrznych zabiegów – brodate i ascetyczne, szydercze, natchnione i przekorne, twarze dziecinne i dziewczęce, białe i czarne, zuchwałe i lękliwe, twarze nieprzebranie różne w proporcjach i wyrazie, lecz wszystkie naznaczone jakimś wspólnym rysem mandaryńskiego wtajemniczenia, przyglądały się czerwonym, lśniącym od potu twarzom pod hełmami – jednej twarzy, mięsistej i topornej twarzy farmerskiego syna, rozciągniętej długim pasmem identycznych powtórzeń. Dwie Ameryki stały naprzeciw siebie, zdziwione i zaniepokojone swą odmiennością. Próby nawiązania kontaktu oscylowały między propozycjami przyjaźni a kpiną.

– Wy też jesteście młodzi! – padały z tłumu studentów okrzyki.

Ale odzywały się i głosy żartobliwej ironii:

– Ciężkie te karabiny!

– Przydałby wam się prysznic!

Żołnierze milczeli. Było im gorąco i niewygodnie. Czuli się zakłopotani. Wzbierała w nich uraza.

Czas płynął. Znużone staniem oddziały zmieniano na inne. Każdą taką zmianę witały gromkie oklaski. Oklaski nagrodziły też sierżantów roznoszących wzdłuż linii papierowe torebki z samochodu dostawczego. Gwardziści wyciągali z torebek parówki i sandwicze, przyciskając łokciami do boków oparte o asfalt karabiny, posilali się niezgrabnie pod szyderczymi spojrzeniami tłumu.

W tej chwili nikt już pewnie nie myślał o Parku Ludowym czy nawet o wojnie w Wietnamie. W tej chwili sama sytuacja wydawała już plon elementarnych animozji. Kto ją wyreżyserował? Reagan? Kampusowi przywódcy SDS? Rektor Hayakawa? Komu zależało na konfrontacji? A może ta konfrontacja była po prostu w powietrzu, ponad wolą i doraźnymi decyzjami ludzi? Może astrologiczny bełkot jednego z „podziemnych" pisemek o jakichś „emanacjach doświadczanych indywidualnie i zbiorowo" zawierał jednak ziarno prawdy? Bo ta głęboka szczelina, rysująca się teraz wzdłuż granic kampusu i widoczna gołym okiem, nie była jedynie linią wyznaczoną operacyjnym rozkazem. Była pęknięciem w poprzek narodu – i, jak się okazywało, niekoniecznie wzdłuż pokoleniowych słojów. Cóż się więc działo?

Próbowałem tu już dociekać najrozmaitszych – psychologicznych, historycznych i politycznych – przyczyn. Zapomniałem jak dotąd o jednym statystycznym fakcie. Obecnie studia uniwersyteckie odbywa w Ameryce pięćdziesiąt procent młodzieży w wieku studenckim. Ta zupełnie nowa sytuacja jest sama w sobie sytuacją rewolucyjną. Musi pociągać za sobą olbrzymie przemiany mentalności w skali całego kraju. Musi powodować fermenty

i drastyczne zakłócenia równowagi. Jest to przekroczenie jakiegoś progu. I ani gubernatorzy stanowi, ani kampusowi rewolucjoniści nie są w stanie przewidzieć, co ten fakt naprawdę oznacza.

Tak też i dalszy rozwój wypadków w Berkeley zdawał się wynikiem działania jakichś sił, niedających się wyjaśnić kategoriami praktycznej logiki.

Nagle, bez widocznej przyczyny, rozległy się okrzyki rozkazów. Szeregi gwardzistów zakołysały się, nad hełmami błysnęły w słońcu bagnety. Wśród burzy gwizdów żołnierze zatknęli bagnety na lufy i oparli ukośnie karabiny o biodra. Stali tak, odchyleni do tyłu, a ich niewygoda i irytacja wzrastały, zamieniały się we wrogość.

Tłum naprzeciw kordonu zgęstniał. Nie próbował już gestów pojednania. Szydził coraz bardziej zjadliwie, rzucał wyzwiska. Po długiej chwili szeregi ruszyły. Wolnym krokiem przemierzyły jezdnię, zatrzymały się na linii bramy. Studenci rzucili się do ucieczki, lecz, zawstydzeni, opanowali odruch paniki. Front znieruchomiał znowu. Potem nad zielonymi wzgórzami, nad ostrym wierzchołkiem kampusowej kampanili pojawił się terkoczący helikopter. Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu, zalęknione i czujne... I wtedy Gwardia ruszyła ponownie. Przekroczyła bramę, parła ku skwerowi przed Unionem, pędząc przed sobą umykającą ciżbę. Biegliśmy razem z żoną – dwoje starszych ludzi pośród gromady dzieciaków – doświadczając na pół rozweselającego, na pół niepokojącego uczucia udziału w cudzej zabawie, która staje się ryzykowna. Ktoś złapał mnie z tyłu za ramię. Był to brodaty, ciemny chłopak we flanelowej koszuli, o rysach Portorykańczyka.

– Widział go pan? – dyszał mi w ucho, biegnąc obok. – Widział pan tego *kid*? Dźgnęli go bagnetem. O, tu – pokazał ręką pośladek. – Pół ostrza wbił mu ten sk...ysyn.

Musiał widocznie zauważyć, jak fotografowałem przed chwilą gwardzistów, i brał mnie za reportera.

– Niech pan idzie do Unionu – naglił. – Tam go zabrali.

Lecz oto helikopter obniżył lot i zataczał powolny wiraż nad naszymi głowami.

– Uciekajcie! Będzie rzucał gaz! – krzyczano dokoła.

Nieprędko udało nam się wydostać poza teren kampusu. Ze wszystkich stron sunęły najeżone bagnetami tyraliery. W końcu ktoś wskazał nam jedyne wolne jeszcze przejście, koło starego Faculty Club. Za nami sączyły się już przez żywopłoty i krzewy pierwsze fale gryzącego czadu.

W rok później spotkałem w Polsce Franka, młodego poetę z Kalifornii. Tamten dzień w Berkeley, z bagnetami Gwardii Narodowej, z helikopterem i gazami łzawiącymi, wynurzył się z naszych wspomnień. On też tam był. Rozdawał ulotki pod Unionem.

– O co właściwie chodziło – spytałem go – o tę parcelę?

Wzruszył ramionami.

– O wszystko – rzekł. – O wszystko, co dzieje się z tym krajem i z nami. Te grządki to był tylko... symbol.

I nagle symbol rozpalił jego emocje. Pochylił się ku mnie impulsywnie.

– Gdyby pan widział, jak gliny młócili pałkami kwiaty w naszym parku!

– Co się stało z tym waszym ogrodem?

Znów wzruszył ramionami.

– Zabetonowali całą parcelę. Zrobili parking. Nikt tego parkingu nie używa – dodał po chwili.

Jan Józef Szczepański, *Koniec westernu*,
Warszawa: Czytelnik, 1971, s. 181–232

1970

Lucjan Wolanowski (1920–2006)

Nie ma nudnych tematów, są nudni reporterzy

Wisława Szymborska napisała o nim kiedyś, że to chyba najczęściej szczepiony polski dziennikarz. Jako reporter (m.in. „Świata" i „Dookoła świata") wydał dziewiętnaście książek z podróży. (Nim zaczął wyjeżdżać, wydał sześć książek reporterskich o Polsce). Azja Południowo-Wschodnia i zachodni Pacyfik to były jego tereny, ale od połowy lat sześćdziesiątych najwięcej energii poświęcał Australii. Najsłynniejszą jego książką stamtąd jest *Poczta do Nigdy-Nigdy* (1968). Uważał, że świat jest zbyt skomplikowany, żeby znać się na wszystkim, wybrał więc Australię, bo – jak mówił – od czasów Seweryna Korzelińskiego i jego *Opisu podróży do Australii i pobytu tamże od 1852 do 1856 roku* (1858) nie było u nas oryginalnego polskiego reportażu z dołu globusa.

Kiedy Wolanowski wylądował w Australii, wychodzące tam pismo polonijne „Nasza Droga" ostrzegało: *Przyjazd speca reżymowego*.

> Do Australii przybył przedstawiciel prasy reżymowej, redaktor „Świata", tow. Lucjan Wolanowski, celem zbadania nastrojów, działalności i życia emigracji polskiej, na podstawie czego ma napisać książkę dla użytku swych mocodawców, urzędujących obecnie w Warszawie. Ciekawe jest, kto go będzie przyjmować, z kim będzie gadać, oficjalnie i nieoficjalnie, o czym i w jakim (moczarowym) celu? „Nasza Droga" przyjmie wszelkie sprawozdania ze spotkań.

Uznano go za „moczarowca", członka nieformalnej grupy funkcjonariuszy PZPR-u (Wolanowski rzeczywiście był członkiem partii) skupionej wokół Mieczysława Moczara, wiceministra, a potem ministra spraw wewnętrznych, uważanego za najbardziej wpływowego ministra w historii PRL-u, przywódcy frakcji twardogłowych, tak zwanych partyzantów. Zarzuty były nieprawdziwe, choć obawy oddalonych od kraju Polaków zrozumiałe. Jeden z czytelników pół roku później „doniósł" o swoim spotkaniu z reporterem:

> Będąc drugi raz w Australii, mieszkał u mnie w domu i spędziłem z nim wiele godzin na rozmowach. Czy w nim tkwiło coś z Moczara, nie zauważyłem. Zresztą, gdyby Moczar osobiście, będąc w Australii, chciał mnie nakłonić do uwierzenia w „raj sowiecki", nie znalazłby we mnie podatnego materiału. [...] Wolanowski był bardzo zainteresowany losem skazańców w Port

> Arthur, „*ghost town*" w którym poszukiwano osmiridium [osmiryd, minerał], natomiast nie wykazał zupełnie zainteresowania przejawami życia polonijnego. Nie mam zamiaru „wybielania" Wolanowskiego, przypuszczam, że jest on osobą zaufania reżymu, skoro ma zezwolenie i środki na podróże, ale uważam, że zainteresowanie się „łowcami wielorybów i krokodyli" jest całkiem zrozumiałe. Podróżnik piszący książkę szuka efektownych rzeczy, są one może tanie i czasami ponure, ale chwytają czytelnika. [...] Gdy Wolanowski zawitał trzeci raz do Australii, zwrócił się do mnie o wywołanie filmów, plonu swej podróży fotograficznej po Australii. Wywołałem mu ponad 500 negatywów. Było tam wiele zdjęć frapujących każdego zainteresowanego kontynentem australijskim. Nie widziałem ani jednego zdjęcia „domów polskich", natomiast fascynowałem się zdjęciami z polowania na wieloryby, centralnej i północnej Australii. Oglądałem zdjęcia czarnych, zwierząt, drzew i pustyni piaszczystej. Nie mam zamiaru przeprowadzania dyskusji na ten temat, czy inż. Konecki, jako prezes SPK [Stowarzyszenie Polskich Kombatantów], słusznie zrobił, polecając Wolanowskiego innym osobom. Ale przykro mi, że w polskiej prasie w Australii można natknąć się na tego rodzaju ataki osobiste, prowadzone w imieniu „sprawy polskiej". [...] Pisma polskie w Australii, ubogie w materiał i czytelników, stają się nieraz platformami, na których odgrywają się osobiste zapasy, a bronią często staje się zarzut „moczarostwa". Z Wolanowskim kontaktowałem się osobiście i uważam, że w kraju demokratycznym odpowiadam za siebie i nie interesuje mnie to, co inni o tym myślą. [...] Z poważaniem
> JERZY MALCHAREK

Poczta do Nigdy-Nigdy nie była cienką książką, a z biegiem lat – i kolejnych wydań – pęczniała, bo autor dodawał wciąż nowe obserwacje. Pęczniała tak, że jej ostatnie wydanie (1989), które miało pięćset osiem stron drobnym drukiem, ukazało się... skrócone. Wydanie z 1978 roku miało bowiem stron siedemset czterdzieści dwie. Mimo to na pytanie, czy zna Australię, Lucjan Wolanowski odpowiadał: nie. Podkreślał, że ją w i d z i a ł.

> Byłem tam sześć razy, ale jej nie znam. To jest ogromna różnica i skoro mówimy o literaturze faktu, to konieczna jest precyzja.

Pisanie zawsze z nią łączył:

> Od wielu lat zajmuję się literaturą faktu. Wyrabia to nawyk ścisłości wyrażania się i niechęć do górnolotnych ogólników. Z tak zwanymi mieszanymi uczuciami wyczytałem niedawno w sprawozdaniu sądowym, że „oskarżona

nie prowadziła się najlepiej". Co to znaczy? Czy narzeczony skradł jej całusa, kiedy wracali razem z kina, czy też oddawała się odpłatnie przygodnie poznanym panom?

Popularność książek Wolanowskiego może wynikać z jego przekonania, że nie ma nudnych tematów, są tylko nudni reporterzy. „Staram się więc opowiedzieć wszystko tak jak w rozmowie. Nikt nie chce uchodzić za nudziarza, prawda?" Mówił też, że jako reportera interesuje go „*the human side of the story*", ludzka strona opowieści. Wszystko, co opowiada się z punktu widzenia zwyczajnego człowieka, powinno być ciekawe. Mariusz Kubik, znawca twórczości Wolanowskiego, zwraca uwagę na jego często zaskakujący i efektowny sposób mówienia o świecie. Jest to rodzaj komunikatu-rebusu. Z Norwegii pisał na przykład: „W najtłuściejszym mieście świata najwięcej dzieci rodzi się przeważnie w lutym". Co to może oznaczać?

Tyle właśnie – pisze Kubik – że norweskie Sandefjord, nazwane tak z powodu stacjonowania tam sześciu z dziewięciu ówczesnych flot wielorybniczych (z tłuszczu wytapianego tam jednego wieloryba można było uzyskać w tym czasie ćwierć miliona kawałków mydła) – „odradza się do życia corocznie w maju, gdy po wielu miesiącach mężczyźni powracają do domu z wyczerpującego połowu…".

Odpowiedź na pytanie, co znaczy, że pani Sol Willman Jansen w swoim tygodniu roboczym ma dwa wtorki i ani jednej niedzieli, muszą Państwo znaleźć sami w książkach Wolanowskiego.

Praźródła jego świetnego warsztatu pisarskiego szukałbym w szkolnej i okupacyjnej młodości reportera. Lucjan Kon („Wolanowski" to pseudonim) był synem adwokata Henryka Kona i Róży Wolanowskiej. Uczył się w Sanatoryjnym Gimnazjum Męskim w Rabce, gdzie razem z Jackiem Woźniakowskim redagowali pismo „Szczebioty". Studiował w Grenoble na Uniwersytecie Politechnicznym. Do Warszawy wrócił na wakacje latem 1939 roku i tu zastała go wojna. Ze względu na żydowskie pochodzenie ojca ukrywał się wraz z nim i siostrą w podwarszawskich miejscowościach. W 1941 roku nawiązał kontakt z Armią Krajową, dostał radio z londyńskich zrzutów i to była jego pierwsza praca dziennikarska: opracowywanie serwisów informacyjnych dla polskiego podziemia.

Czasu miałem dużo, bo przez te pięć lat praktycznie w dzień nie wychodziłem z domu. Więc ze strachu nauczyłem się niemieckiego, a z potrzeby słuchania BBC – angielskiego.

Debiutował w 1941 roku w piśmie „Kronika Tygodniowa" pod pseudonimem „Wilk", później drukował w wielkonakładowym „Dniu Warszawy".

Do antologii wybraliśmy reportaż z jego książki *Upał i gorączka* (1970) o zwalczaniu chorób tropikalnych, która powstała, kiedy pełnił funkcję doradcy Wydziału Informacji Światowej Organizacji Zdrowia w Genewie, a następnie w rejonie Azji Południowo-Wschodniej i Oceanii. Podtytuł *Upału i gorączki* brzmi: *Reporter wędruje szlakiem cierpienia*.

Boli, więc jesteś zdrowa...

Gorący oddech toczącej się zaraz za miedzą wojny daje się w Korat silniej odczuć niż w południowej części kraju. Ale ta garstka ludzi, która po drogach i bezdrożach wędruje mocno sfatygowanym ambulansem, prowadzi walkę tylko o życie. Jej jedynym wrogiem jest choroba, której sama nazwa od niepamiętnych czasów budziła grozę.

Szpakowaty rubaszny Irlandczyk pan O'Reagan nadzoruje z ramienia Światowej Organizacji Zdrowia akcję oznaczoną umownym skrótem Thailand 30. Zna świetnie miejscowe zwyczaje, język i ludzi. Wyskakuje z samochodu i żartuje z chłopami, ich żonami i dziećmi siedzącymi przed werandą ośrodka zdrowia od rana w oczekiwaniu na powrót z Korat wędrującej po wioskach ekipy. Uśmiechnięci ludzie tworzą roześmianą grupę. Ukradkiem otwieram notatnik: nie, nie pomyliłem się wcale. Thailand 30 to kryptonim akcji walki z trądem. Ci pełni uprzejmości i pogody ducha ludzie w kolorowych strojach to trędowaci. Oni wszyscy: i ta mała dziewczynka z amuletem na szyi, i ten bezzębny chłop z dłonią zniekształconą przez chorobę, i ten młodzieniec z czerwoną chustą na głowie, i ta dziewczynka ze szkarłatnym kwiatem w ręku...

Od najmłodszych lat wpaja się tu uprzejmość, staje się ona stylem bycia. Kiedy w jednej z uczelni Bangkoku odwiedziłem doktora Jana Venuleta z Warszawy, doradcę farmakologicznego skierowanego tu przez Światową Organizację Zdrowia, to ujrzałem na jego biurku miniaturowe kobiałki, zgrabnie sklecone z zielonych listków. W tych kobiałkach o pojemności dwóch kostek cukru – maleńka porcja słodkawej masy, zostawiona jako wyraz sympatii przez któregoś ze współpracowników.

Grzeczność wyszła z murów wielkich miast, weszła na pola ryżowe. Nawet małe dzieci splatają dłonie w geście modlitewnym, który tu jest po prostu ukłonem. Tym bardziej więc zdziwiło mnie, że w zapadłych wioskach Irlandczyk jest jakoś dziwnie tytułowany – ani to imieniem, ani nazwiskiem...

Zagadnięty O'Reagan przełożył mi ten dziwny tytuł. Zwą go po prostu „małym słoniem z rzeki Mun", a w skrócie – „małym słoniem".

– Powiedz, Mike, skąd to się wzięło?

– Długa historia, mam teraz robotę, przejrzyj sobie karty choroby, a potem przełożę ci rozmowy z pacjentami.

Karty choroby prowadzone są po angielsku, ale nie trzeba nawet czytać tekstu. Na karcie naszkicowana jest sylwetka człowieka, czerwonym tuszem zaznaczono nawiedzone miejsca. Teraz patrzysz na rozebranego pacjenta i widzisz, że to z jego żywego ciała naniesiono upiorne znamiona trądu na te mapki cierpienia.

Trąd wcześnie wykryty jest uleczalny. Stosuje się leki chemiczne. Aby nie było za późno, prowadzi się badania kontrolne w szkołach, szuka zarażonych w małych domkach na palach wbitych w dno rzek i kanałów, wzywa na badania ludzi człapiących w wodzie pól ryżowych.

W tych notatkach pisanych naprędce w upalną, napęczniałą wilgocią noc, kiedy nad głową huczą ciężko ładowne samoloty, a o świcie trzeba dalej ruszyć w wędrówkę szlakiem ludzkiej niedoli, nie będę opisywał wszystkich metod wykrywania trądu.

Najprostsza jest chyba ta, która znana jest tak długo, jak długo trąd trapi ludzkość. I ta jest też chyba najbardziej dramatyczna.

Karta choroby tej młodej dziewczyny jest jeszcze czysta. Kto wie, może nawet nigdy nie trafi do kartoteki? Zaraz się to powinno okazać. Brunatna skóra ramienia dziewczyny pokryta jest sporą plamą, jak gdyby wielkim siniakiem. Badania wstępne nie dają podstaw do obaw, ale w jej wiosce było kilka przypadków, trzeba przejść do następnej próby.

Jesteśmy w Azji, ujawnianie uczuć kompromituje tu człowieka. Dziewczyna ma więc twarz idealnie obojętną, czeka na badanie i na wyrok spokojnie. Oddycha tylko szybko, a gdy lekarz naprowadza moje palce na jej puls, czuję wyraźnie, jak serce jej bije niepewnością. Sanitariusz każe jej teraz odwrócić głowę, przegina jej rękę do tyłu, aby sama nie sugerowała się tym, co ujrzy. Sam sięga po igłę i szybko nakłuwa plamy na ramieniu dziewczyny, raz po raz zanurza stal w jej ciele. Badana milczy, tylko wielkie łzy cieką jej ze skośnych oczu. O'Reagan w skupieniu ogląda to widowisko, dziwne dla mnie, a powszednie dla niego. Sanitariusz odkłada igłę, dziewczyna zapina bluzkę.

– Boli, więc jesteś zdrowa – powiada Irlandczyk.

Roześmiana, przyklęka przed obecnymi – kolejno, w dziękczynnym ukłonie, na progu odwraca się raz jeszcze, składa dłonie, a potem wyprostowana rusza w drogę do swej chaty. Trąd objawia się zupełnym znieczuleniem na ból nawiedzonych części skóry. Niesamowita to choroba, kiedy pacjent raduje się, że go boli!

Choroba Hansena, czyli trąd, gnębi miliony ludzi w Azji, dręczy ich w innych częściach świata. Gnębi ciała i dusze, bo przecież wyrywa człowieka

z jego środowiska, odcina od bliskich, stawia poza społecznością. Ludzie ukrywają więc swe cierpienia, aby zostać między swymi, żyją nadzieją, że może to jednak nie trąd, że to jakoś przeminie. Ale trąd sam nie przemija, za to zaraża się otoczenie, sam zaś chory umiera lub zjawia się po pomoc, kiedy jest już zbyt późno. Światowa Organizacja Zdrowia w zasadzie odradza rządom tworzenie leprozoriów, czyli zamkniętych szpitali dla trędowatych. Ludzie, którzy nie będą się bali odosobnienia, będą bardziej skorzy do szukania pomocy, nim jeszcze nie jest za późno. O trądzie nauka wie jeszcze niewiele, ale uważa się, że łatwiej jest zarazić się gruźlicą w tramwaju niż trądem od człowieka z tej samej wsi. Leczenie ambulatoryjne daje niezłe wyniki, ciągle tylko jeszcze brak jest środków na pełne rozkręcenie tej akcji, wymagającej fachowego personelu i zapasów leków. Widziałem wioskę, która była niegdyś kolonią trędowatych, dziś zasieki z drutu kolczastego runęły, trędowaci pracują między bliskimi, nie są skazani na samych siebie.

Ile lat mija od zarażenia do wystąpienia objawów? Jak długo czekać będziemy na stworzenie szczepionki, która wykorzeni zarazę? Wiele pytań, które stawiam mym towarzyszom wędrówki, zostaje bez odpowiedzi. Przynajmniej lżejszy kaliber pytań był skuteczniejszy, kiedy owiani czerwonym pyłem, podskakując na wybojach, wędrujemy do następnej wsi. Zażywny Irlandczyk opowiedział mi wreszcie o genezie swego przezwiska.

Pewnego razu podczas przeprawy przez rzekę utknął mu samochód w mule. Woda zalała silnik, a chłopi czekający na brzegu, widząc, co się święci, popędzili do wsi po roboczego słonia. Wszystko, co żyło – wraz ze słoniem – przybyło na miejsce wypadku. Założono łańcuchy, słoń lekko wyciągnął z wody samochód, a w nim ociekającego wodą pana O'Reagana. „Ho-ho, ha-ha – pokładali się z uciechy chłopi – duży słoń wyciągnął z rzeki Mun małego słonia..." I tak to już pozostało.

Sześciu na tysiąc

Wydaje się, że operacja Thailand 30 jest na dobrej drodze i że pacjent czuje się lepiej... Ilu jest pacjentów w rejonie Korat? Jak mi opowiada pan Sombon Choonhaprasert, który nadzoruje w terenie tę akcję, na tysiąc mieszkańców sześciu ma trąd. Satplain była niegdyś izolowaną wioską trędowatych. Obalone obecnie bariery świadczą wymownie o końcu pewnej epoki, epoki zamykania trędowatych. Pacjentów przeniesiono do Huay Thalae o sześć kilometrów od Korat. Sołtysi wiosek odpowiadają teraz za to, aby chorzy z podległych im domów zjawiali się w określone dni miesiąca na badaniach lekarskich. Po wsiach krążą ekipy szukające tych zarażonych, którzy nie są

jeszcze zarejestrowani. Odwiedza się też tych, u których rozpoznano trąd, aby mieć pewność, że nie dojdzie do nawrotu choroby.

Odwiedziny takie muszą być dyskretne. Zjawiamy się więc w garażu, gdzie pracuje pewien Chińczyk zatrudniony jako elektryk samochodowy. Pan Michael O'Reagan i doktor Joachim Walter rozmawiają z nim na uboczu, ja się przysłuchuję, każdy postronny obserwator tej sceny może mieć wrażenie, że ot, trzej panowie zajechali swym wozem i mają jakieś kłopoty z instalacją elektryczną. Po co ci, którzy pracują z tym Chińczykiem, mają wiedzieć, że był leczony na trąd? Przecież nie jest niebezpieczny dla otoczenia. Chińczyk ten – opowiada pan O'Reagan – przyjął wyrok spokojnie, kiedy przed kilku laty dowiedział się od lekarza, że dziwne zgrubienia skóry nie są wcale wywołane przez grzybicę... Sam pacjent uważa, że trąd zaatakował go, gdyż na co dzień ma do czynienia z silnikami elektrycznymi, które promieniują... Zresztą – dodaje – nie bardzo ma czas na zastanowienie się nad chorobą, musi ciężko pracować, ma siedmioro dzieci do wyżywienia.

Kiedy mowa o promieniowaniu, lekarz nie daje nawet poznać po sobie, jak ocenia tę teorię. Nie dyskutuje z pacjentem, nie wysuwa argumentu, że przecież na trąd ludzie chorowali tysiące lat przed zbudowaniem pierwszej prądnicy. Przekrzykuje natomiast hałas próbowanych silników, aby kilkunastoma pytaniami uzupełnić ankietę. Nic nie notuje, to by zwróciło uwagę, te dane pamięta i potem je wpisze do kartoteki.

– Ile ma lat ten człowiek? – pytam.

– Nie przełożę tego pytania, i tak na nie nie odpowie – powiada spokojnie pan O'Reagan.

Okazuje się, że według wierzeń zamieszkałych w Syjamie Chińczyków człowiek, który się źle czuje, nie powinien głośno podawać swego wieku. Wtedy bowiem może to usłyszeć śmierć i zwrócić uwagę, to bardzo niebezpieczne...

Trzeba uszanować wierzenia tych ludzi, inaczej nie będą mieli zaufania do lekarza. Sprawa tych „promieni" nie jest ważna, ten człowiek choruje, a nie prowadzi badania naukowe. Sprawa wieku nie jest zasadnicza, doświadczony lekarz sam z dużą dokładnością określi wiek pacjenta. A leczenie trądu to nie tylko pastylki czy zastrzyki.

Wielkie znaczenie ma aspekt psychiczny. Człowiek, który się załamie, ten walkę przeciw chorobie przegrał. A załamuje się najczęściej pod wpływem otoczenia, które nagle odwraca się od niego, czasem nawet wyśmiewa jego nieszczęście, jego domniemania i nadzieje. Nie wolno się poddawać. Aptekarz Stanley Stein z San Antonio w stanie Teksas w nieustalony sposób

zaraził się trądem w 1920 roku. Schorzenie nerek zabiło go czterdzieści osiem lat później, całe swe życie walczył o wykreślenie ze słownika słowa „trąd". W 1931 roku przyjęto go do zakładu leczniczego zwanego leprozorium, a wywojował zmianę nazwy na Szpital Zdrowia Publicznego. W 1937 roku zaniewidział, postradał brwi i sześć palców u rąk, a jednak redagował dwumiesięcznik „The Star", mający obalać mity otaczające tę straszną chorobę. Błagał swych rodaków o zrozumienie, o nieodcinanie się od ludzi dotkniętych trądem.

Atmosfera, jaką się wytwarza wokół tej choroby, jest ogromnie ważna. Wędrówka po Filipinach jeszcze pogłębiła we mnie to przekonanie.

Hansen – to brzmi lepiej

Kim jesteś, urocza maseczko? Tańczymy już trzeci taniec, świat nam wiruje wokoło, orkiestra jest niezmordowana.

Lepiej nie stawiać zbyt wielu pytań. Lepiej przez ten jeden jedyny wieczór, tylko raz w roku zapomnieć o tym, gdzie jesteśmy.

To przecież doroczna fiesta w Tala. Kiedy inne *barrios*[1] mają swe fiesty dla uczczenia swych patronów, my obchodzimy w naszej osadzie rocznicę założenia sanitarium. A co to takiego? Ano dawniej zwano zakłady zamknięte dla trędowatych leprozoriami. Potem rząd Filipin kazał zmienić nazwę na sanitaria. Tu mieści się więc sanitarium Luzonu Środkowego. Owszem, biorą udział w obchodach zarówno Kościół katolicki, jak i protestancki, a także Iglesia ni Cristo[2] – ale niewiele jest religijnych akcentów w programie fiesty. Bawimy się i tańczymy, naturalnie ci, którzy tańczyć jeszcze mogą.

W Tala mieszkają przecież tylko trędowaci. W dzielnicy handlowej trędowaci kupcy sprzedają swe towary trędowatym nabywcom. Policja złożona z trędowatych strzeże ładu i porządku. Teraz jest okres wyborów, a więc osada oblepiona jest plakatami zachwalającymi cnoty kandydatów. Bo przecież chorzy na trąd cierpią czasem na naciek strun głosowych, mają charakterystycznie ochrypłe głosy, ale nie tracą głosu, który można wyrzucić do urny wyborczej.

Przepraszam, nie należy używać określenia „trąd". Lepiej brzmi – „choroba Hansena". Na ogół tylko lekarze wiedzą, co to znaczy, a po co mają o tym mówić wszyscy? Dwie literki HD w karcie choroby (*Hansen's Disease*) i już wszystko wiadomo. Te literki należy postawić więc przy nazwisku burmistrza miasta pana Pata S. Singsona, chory jest też wiceburmistrz Juan S. Yumul Junior, chorzy są wszyscy radni. Od 17 maja 1940 roku, kiedy to założono tę osadę, mają tu wstęp chorzy i ci, którzy ich leczą. W latach

[1] *Barrio* (hiszp.) – osada, przysiółek.

[2] Iglesia ni Cristo – Kościół Chrystusa założony na Filipinach w 1914 roku przez Felixa Manalo. Głosi m.in., że Jezus nie jest Bogiem.

wojny było tu bardzo krucho z żywnością, okupanci japońscy nie szczędzili trędowatych, ale i tak było tu lepiej niż w Culion Colony, czyli na wyspie chorych na HD położonej o dwieście mil od Manili. Tam ludzie marli jak muchy, z wyspy nie było ucieczki, a na wyspie był głód. Trędowaci ginęli z wycieńczenia, zresztą HD rzadko sama zabija, dzieła zniszczenia dokonuje gruźlica lub zapalenie nerek.

Wiele tu jest jeszcze zagadek. Takie to dziwne, choroba znana od niepamiętnych czasów, a to nie znaczy wcale, że się o niej wiele wie. *Mycobacterium leprae*, czyli zarazek trądu, zdumiewająco skutecznie strzeże swych tajemnic przed człowiekiem. Nie wiadomo, ile trwa okres wylęgania, ale na pewno jest bardzo długi. Nie wiadomo, dlaczego jedni ludzie są bardziej skłonni do zachorowania niż inni. Wiadomo, że prątki trądu wywołują zwyrodnienie pni nerwowych. Dochodzi do rozkojarzenia zmysłu czucia, najpierw nie czuje się, czy przedmiot jakiś jest gorący, czy zimny, potem nie odczuwa się bólu, wreszcie następuje utrata zmysłu dotyku.

Ludzie mało wiedzą o trądzie. Uważa się, że palce „odpadają", że kości zostają „przeżarte". W istocie rany, skaleczenia, zadraśnięcia nie są leczone, gdyż chory ich nie czuje, stale drażnione stopy „zdzierają się". Często tworzą się obrzęki na stopach, człowiek nie może nosić obuwia, chodzi więc boso. W tym klimacie nie byłoby to nawet tragedią, ale chory nie czuje bólu, a więc zdarzało się, że dwa dni chodził z gwoździem wbitym w piętę, dopiero kawałki odpadającego ciała zwróciły uwagę postronnych na ten wypadek.

Gdyby chorych w porę leczyć znanym od 1942 roku preparatem DDS, to trąd byłby wyleczalny niemal całkowicie. Ale nikt nie wie nawet dokładnie, ilu jest chorych, może jedenaście, a może piętnaście milionów na całym świecie. Ukrywają się ze swym nieszczęściem. Kiedy nawet i dotrą do szpitala, to na leczenie już jest wtedy za późno.

Kamelia HD

Dziwnie kształtuje się nasze podejście do tej choroby. Niewykluczone, że w dobrej wierze zawiniły tu nieco różne organizacje dobroczynne, które dawniej, aby nakłonić ludzi do rozluźnienia sakiewki i sypnięcia groszem, grały na ich uczuciach. Człowiek, który trądu nigdy nie oglądał, patrzy na to raczej jak na przekleństwo niż na chorobę.

Tradycyjne określenie „trędowaty" kształtowało się przez wieki ignorancji i wstrętu do nieszczęśliwych. Właśnie ta dyskryminacja jest najsmutniejszym przejawem nieludzkości człowieka wobec człowieka. Trąd jest uleczalny, ale zabobony i przesądy są trudniejsze do wyleczenia – oto głębokie przekonanie,

które przywiozłem z pobytu między trędowatymi tak w Syjamie czy na Filipinach, jak i w Japonii.

Światowa Organizacja Zdrowia nie ma żadnej władzy. Może tylko zalecać pewne rozwiązania. Jak już wspomniałem, sztab fachowców doradza rządom, aby stopniowo zamykać miejsca odosobnienia dla chorych na trąd, a tym samym umożliwić im powrót do społeczności. Dotyczy to zwłaszcza *arrested lepers*, czyli chorych, u których lekami doprowadzono do zahamowania postępu choroby. Nie uważa się ich jeszcze za wyleczonych, ale już nie zarażają innych. Decyzja tu była trudna. Co lepsze: dyscyplina szpitalna dla trędowatych czy powolne umieranie w nędzy? Ludzie boją się odosobnienia w szpitalu, oderwania od rodzin, zwlekają z kuracją tak długo, aż jest za późno.

Ci, którzy przebywają w Tala, to przeważnie ciężko chorzy. Bo trąd nie zabija – jak już mówiłem – ale strasznie kaleczy. Różne są formy tej choroby, nauka posegregowała to bardzo dokładnie. Są chorzy, którzy nie mogą zamknąć oczu na skutek porażenia dolnych powiek, to z kolei prowadzi do uszkodzenia rogówki, wystawionej stale na światło, i do ślepoty. Są chorzy obdarzeni tak zwaną lwią twarzą, czyli obliczem zniekształconym grymasem niby u wielkiego kota. Kości policzków ulegają martwicy, tkanki miękkie palców resorbują się, pozostawiając na kikutach resztki paznokci. Skóra zmienia kolor, palce rąk wyglądają jak wyłamane w jakimś wypadku. Dochodzi do podziurawienia przegrody chrząstkowej i zapadnięcia nosa.

Zresztą można to zobaczyć w dalszej wędrówce po Tala. Dziś jest *grand bal*. Niezmordowanie gra zespół Tala Rhythm Boys, naturalnie wszyscy to trędowaci.

To już ostatnia impreza taneczna tej fiesty. Na wielkim balu koronacyjnym Pacita Lirio wybrana została Camia, czyli Kamelią Tala – czymś w rodzaju królowej balu. Pacita Lirio (HD) chętnie pozuje reporterowi do zdjęcia, tak jak to się przyjęło po tego rodzaju zabawach.

Kochana, piszę do Ciebie...

„Kochana, piszę do Ciebie w ten upalny dzień. Roboty mam mnóstwo. Nie mam nawet czasu na kino. Tyle tu jest jeszcze do zrobienia. Dziękuję Ci za ostatni list. Zawsze zastanawiałem się, czy naprawdę będziesz na mnie czekać. Z dala od Manili takie myśli raz po raz przychodzą mi do głowy. Pisz więc pod ten adres co zawsze, chyba będę tu musiał zostać tak długo, nim nie zorganizuję całej pracy należycie, oni nie mają nikogo na moje miejsce. Ale już się cieszę na myśl o tym dniu, kiedy wyjdziesz po mnie na dworzec i..."

Młody mężczyzna, który wysyła taki list, nie jest wcale zapracowany. Nie wie, jak zabić czas. Godzinami leży bez ruchu i patrzy w sufit baraku szpitalnego. Jego dni są puste, nigdzie mu się nie śpieszy. Legendę stworzył, kiedy dowiedział się od lekarza, że HD wpisano mu do karty choroby. Gdyby narzeczona znała całą prawdę, odeszłaby, nie czekałaby na trędowatego. Pisze więc do niej, że musi jechać na daleką wyspę, gdzie przyrzekł objąć pewną posadę. Teraz zaangażował się w tę pracę, nie wypada jej porzucać z dnia na dzień. Adres szpitala jest znany na Filipinach, owiany grozą choroby. Ona pisze więc na adres przyjaciela swego narzeczonego, który jest ważnym ogniwem w tej legendzie. On z kolei przeadresowuje i wysyła do niej listy od młodego mężczyzny, aby stempel na znaczku pocztowym nie zdradził przed nią prawdziwego adresu nadawcy. Listy krążą więc między Manilą a szpitalem, skacząc po drodze na inną wyspę niż Luzon, aby tylko zatrzeć ślady.

Jak długo romans da się utrzymać? Nie wiadomo. Ale wiadomo, że na trędowatego ona raczej czekać nie będzie. Jeżeli on się wyleczy, to wróci do Manili. Jeżeli się nie wyleczy, to i tak nie zdecyduje się na wyjazd z Tala.

Romanse, w których jedno z partnerów czy nawet oboje są trędowatymi, wiodą czasem przed ołtarz. A co potem? W niektórych krajach mężczyźni poddawani są zabiegom, aby nie dopuścić do narodzin dziecka z takiego związku.

– Kraje katolickie patrzą na to nieprzychylnie – powiada Artemio F. Runez, dyrektor sanitarium w Tala.

Kiedy pojawia się dziecko, zostaje natychmiast odseparowane od rodziców i umieszczone w osobnym oddziale w Tala. Owszem, raz na dwa tygodnie rodzice mogą przyjść i obejrzeć dziecko przez wielką szybę. Pod opieką zakonnic dzieci rosną na ogół zdrowo, są zresztą szczególnie kontrolowane, aby w porę zatrzymać chorobę. Ich świat oddzielony jest szkłem od świata zewnętrznego, jest aseptyczny, a więc trochę nienaturalny. Mały Juan opowiada mi w języku tagalog, a zakonnica tłumaczy.

– Za murem jest jeszcze jeden mur. Tam żyją tata i mama. Pewnego dnia przyjdą tu po mnie i zabiorą mnie do domu. Dom jest mniejszy od tego, w domu są zwierzęta. Jest pies, kot. Różne tam są zwierzęta. Tam nie ma sióstr, a inne dzieci są w innych chatach...

– Juan – powiada siostra – podaj panu rączkę i pożegnaj się, czas już na obiad...

Juan podaje rączkę i odchodzi wraz z innymi dziećmi. Jego świat marzeń może być zburzony równie brutalnie jak tego dorosłego, który pisuje listy do narzeczonej. Juan nie ma już matki, leży ona na pobliskim cmentarzu dla HD.

Ojciec choruje nadal i nie wiadomo, czy trąd odstąpi od jego łoża, zanim Juan skończy siedem lat. To bowiem jest granica wieku, kiedy kończy się dla dziecka taki pobyt i musi iść w świat. Najpierw przechodzi furtkę w jednym murze, potem w drugim. I oto jest już ten świat, pełen niepokoju i niedostatku, troski o miseczkę ryżu powszedniego.

Praktyka jest taka, że dziecko odsyła się do rodzinnej wioski. Jak *barrio* przyjmie takiego małego człowieczka, to zawsze jest pytanie...

Ołtarz i ekran

Ta kobieta – powiada lekarz – opiekowała się swym mężem, potem zaraziła się sama. Chora nie rozumie naszej rozmowy, spowita jest grubymi bandażami, trochę już przesiąkłymi jakąś wydzieliną, siadają na niej wielkie, czarne muchy. Z trudem tylko dają się odpędzić litościwej pacjentce, znacznie lżej dotkniętej, która opiekuję się tą dogorywającą kobietą.

Tu już pacjenci nie tylko nie tańczą, ale i nie chodzą. Mogą jeszcze przewracać się z boku na bok. To ważne. Z jednej strony sali jest ustawiony niewielki ołtarzyk, z drugiej – stoi na podwyższeniu odbiornik telewizyjny. Człowiek, który tu leży, odwraca się więc na lewy bok, aby się pomodlić, a na prawy – aby obejrzeć *show* w TV.

W następnej sali nie ma ani ołtarzyka, ani telewizora. Tu leżą skazani prawomocnymi wyrokami przestępcy kryminalni. Nie, nikt ich nie pilnuje. Można uciec przed wyrokiem sądu, ale jak uciec przed wyrokiem wydanym przez prątki trądu? Dokąd uciekną? Kto ich ukryje? Co będą robić na swobodzie? Tu mają ryż i dach nad głową, leki i opiekę. W więzieniu brzydzili się ich współwięźniowie, bali dozorcy, bez konwoju przybyli do Tala...

To znowu sala weteranów wojennych. Nie dali się pokonać żołnierzom cesarza Japonii, teraz atakuje ich i czasem zwycięża niewidzialny gołym okiem zarazek. Cisi i spokojni leżą tu, wspominając czasem bitwy z wrogiem, który był widoczny. Tylko na jednym stoliku dostrzegam lusterko. Tu lepiej nie patrzeć na własne oblicze.

W gabinecie zabiegowym stoją ci, którzy mogli przyjść sami. Ci, którzy nie potrafili – przyjechali. Człowiek o „dłoniach-szponach" pomaga popychać wózek z chorą, której amputowano stopę. Jego „szpony" można by operować, są chirurdzy wyspecjalizowani w takich zabiegach, które trędowatym umożliwiają powrót do niemal normalnego życia. Tyle tylko, że jeszcze zbyt mało jest takich specjalistów. Potrzebni są więc lekarze, technicy laboratoryjni, doradcy, którzy wskazywaliby pracę, jaką chorzy potrafią wykonać, aby odzyskać wiarę w siebie, potrzebni są specjaliści terapii zajęciowej, potrzeba...

Na to wszystko potrzeba pieniędzy. „Jeżeli dasz dwadzieścia pięć dolarów, to czyjaś dłoń będzie znów przydatna, za sto dolarów odnowi się dłonie, stopy albo twarz" – nawołują ogłoszenia ludzi dobrej woli. Bo choroba Hansena panoszy się niemal wyłącznie w krajach ubogich. Nie powiodły się dotąd starania w kierunku wyhodowania w laboratorium prątków trądu, kosztowne badania doprowadzą może do sukcesu, wtedy będzie można myśleć o zupełnej likwidacji tej choroby.

Czy świat zapomniał?

Trudno nastarczyć pieniędzy na to wszystko. Nie pomogą zresztą leki, jeżeli w ciasnocie chat wiejskich zdrowe dziecko sypiać będzie na jednym barłogu z chorą matką. Zdają sobie sprawę z tego ludzie, którzy nie chcą być obojętni na los milionów chorych. Szeroko znana jest akcja szlachetnego człowieka, który zjednał sobie nawet przydomek „Ten, który całuje trędowatych". Powiada gniewnie lekarz, który wędrował ze mną po Syjamie:

– Trędowaci nie chcą być całowani, chcą być leczeni...

Kiedy wyjeżdżam z Tala, mam niejasne przekonanie, że zostawiam ludzi, o których zapomniał świat. A przecież to fałszywe wrażenie, to są ludzie, którzy mają leki i opiekę. Wiele z nich pewnie powróci do swych domów w *barrio* czy w ludnym mieście. Ale jaka jest dola tych, którzy nie mają żadnej pomocy? Którzy rzucają swe chaty, aby pod drzewami tropikalnej kniei w samotności czekać na kres życia?

Nie wiemy dokładnie, ilu jest trędowatych na naszej planecie, i nie widać ostatecznego tryumfu nad tą chorobą. Fiesta odbywa się tylko raz w roku, przez pozostałe dni ci, którzy mają wrócić do społeczności, zadręczają się sami pytaniem, jak też ich ta społeczność przyjmie. Czy dostaną pracę, czy nie odepchną ich drogie im istoty? Ich – trędowatych. Trędowatych nie bolą rany, znieczulica chroni ich stopy czy dłonie, za to takie pytania bez odpowiedzi wywołują cierpienia, które nie dadzą się uśmierzyć chemikaliami.

Na tle ich niedoli jakże małe wydają się zmartwienia i troski ludzi niemających HD w dokumentach! Pewne oczywiste fakty nagle jakby rażą swoją normalnością.

Po dalekiej drodze dobrze jest wstąpić na godzinę do Army and Navy Club w Manili. Niegdyś kasyno oficerskie, teraz nie ma już nic wspólnego z tą wojowniczą nazwą. Oferuje swym członkom wspaniałą pływalnię, korty tenisowe, sale lektury, bogatą bibliotekę, świetną restaurację, służbę dostarczającą potrawy i napoje nad sam brzeg basenu.

Odświeżony prysznicem po kurzu podróży rozglądam się wokoło, aby znaleźć partnera do wspólnego pływania. Znajomi i nieznajomi leżą wokoło, chroniąc się pod kolorowymi parasolami przed palącymi promieniami słońca. Mają skórę brunatną, żółtą lub białą. Ale czystą, bez narośli, zgrubień. Mają obie nogi i obie ręce, palce ustawione prawidłowo, nawołują się czystymi głosami. Kiedy wynurzają się z zacienionej szatni, to w pierwszej chwili mrużą oczy w jaskrawym świetle południa. Mrużą, ponieważ powieki też mają.

Lucjan Wolanowski, *Upał i gorączka. Reporter wędruje szlakiem cierpienia*, Warszawa: Iskry, 1973, s. 39–54

1971

Edward Redliński (ur. 1940)

Ratować od „śmierci zapomnienia”

Zasłużył się dla literatury tak jak Marcel Duchamp dla sztuk pięknych. Uszlachcił zwyczajność. Francuz w 1917 roku podniósł pisuar do rangi dzieła sztuki, Polak zaś pod koniec lat siedemdziesiątych nobilitował do rangi literatury to, co piszą obywatele. W książkach skarg i wniosków, jadłospisach, prośbach o łaskę, aktach sądowych, grypsach, notatnikach więziennych, podaniach i skargach, w pamiętnikach.

Ktoś pisał:

> Do Komisji Społeczno-Lekarskiej do spraw Przymusowego Leczenia Alkoholików: Zmuś go, komisjo, żeby był szczęśliwy.

Fabryka zawiadamiała:

> WPHM w Białymstoku niniejszym prosi obywatela o obecność w mieszkaniu w terminie niżej podanym w celu wydania kanapy wrożnej do naprawy i przyjęcia po naprawie.

Widzowie w księdze wystawy fotograficznej aktów kobiecych *Wenus 77*:

> My, niżej podpisani [...] oświadczamy, że przy wystawach o takiej tematyce pani kasjerka nie powinna odbiegać, jako przedstawicielka Krakowskiego Towarzystwa Fotograficznego, od atmosfery wystawy. (Trzy podpisy nieczytelne).
>
> [...] Nigdy nie przypuszczałem, że Wenus może nosić okulary. Za te 10 zł mógłbym kupić dwa losy na loterii. (Janusz z Myślenic).

Redliński swoje znaleziska przez kilka lat drukował w białostockim miesięczniku „Kontrasty” (od połowy lat siedemdziesiątych pismo zajmowało się głównie literaturą faktu). W 1982 roku wyszły w formie książkowej pod tytułem *Nikiformy*. Autor-zbieracz celowo nawiązał do postaci malarza prymitywisty, a zgromadzone dziełka nazwał „folklorem ludzi piśmiennych”. Mamy w *Nikiformach* zbiór listów wysyłanych do urzędów przez schorowanego rencistę, który usiłuje wywalczyć dla siebie osobny pokój w domu opieki społecznej. Mamy dzieje paroletniej walki o wymianę zepsutej kanapy, przedstawione w korespondencji między klientem, sklepem a producentem. Mamy też dziennik kierowcy z pierwszego miesiąca nowej

pracy, która polegała na załatwianiu lewych interesów szefa i dowożeniu alkoholu.

Najsławniejszy chyba rozdział zbioru to dziennik namiętnego romansu księgowej, która odnotowywała każde spotkanie ze swoim kochankiem, skład spożywanych razem posiłków oraz liczbę odbytych stosunków.

> 2.3.65 Wtorek (u mnie) od 16.45 do 19.50. Zapusty. Dobra kolacja. Na kanapie.....1 raz. 28.5.65 Czwartek – Wniebowstąpienie. Przyszedł do mnie zaraz po pracy o 15.30, był do 17.00. Żona chora. Zjadł obiad – jajecznica z sałatą, sałata, czarna kawa, cukierki. Sami w łóżku.....1 raz. 14.7.65 Środa. Wpadł o 19.30 zrobił wódkę (spirytus) na naszą rocznicę. O 22.00 pojechałam do niego, byłam do 5.00 rano. Czyściliśmy razem truskawki z wielkim zapałem i miłością. Spałam bardzo dobrze.....2 razy. [...] 1965: NAJSZCZĘŚLIWSZE DNI MOJEGO ŻYCIA od 27 czerwca 1965 do 22 lipca 1965 ona w szpitalu. 22 razy w ciągu miesiąca, 8 nocy u niego.

Księgowa miała wówczas lat sześćdziesiąt osiem, kochanek – pięćdziesiąt pięć. Stosunku nie odbyła tylko w dniu śmierci, ukochany nie zastał jej w domu, trafiła bowiem do szpitala, a wieczorem zmarła. Jej skrupulatność jest imponująca, a zapisy są obrazem szczęśliwego życia i manifestacją żywotności.

Dlaczego Redliński ocalił te dokumenty?

Uważa, że ratował je od „śmierci zapomnienia", bo są bardziej autentyczne niż literatura tworzona przez pisarzy. Życie i sztuka się oddzieliły: tu my, „normalni", nasze kłopoty, nasza krzątanina, a tam, nad nami, nad szklanym sufitem, oni, artyści, ze swoimi sporami i artystycznym językiem.

> W prozie na przykład – pisał – owa sztuczność denerwuje, między innymi tak zwanym językiem literackim; kto o zdrowych zmysłach myśli, mówi takim językiem na co dzień? Śmieszy wykwintnym, tak zwanym doskonałym stylem. Sami autorzy nie używają go w życiu potocznym. Odstręcza nieprawdziwą, bo oczyszczoną z przypadku, z życiowej wielorakości, z szumów fabułą. Proza za artystyczna... Narodziny i kariera literatury faktu są jedną z wielu reakcji właśnie na nieznośną literackość literatury.

Jednak ratunkiem dla autentyzmu w literaturze – według Redlińskiego – nie jest też reportaż.

> Reporter beletrysta przekazuje z wszechaspektowego faktu jeden – „swój" – aspekt. Chcąc nie chcąc, destyluje fakt, preparuje. I ostatecznie utwór jest zapisem świadomości jego. Autora.

Analizowanie szczegółów tych dokumentów, błędów, przemilczeń, omyłek, odgadywanie prawdziwych cech charakterów i umysłowości, odkrywanie ukrytych motywów – to wszystko zajmuje Redlińskiego (jak sam twierdził) o wiele bardziej niż literatura piękna. Nazywa ją zresztą „tak zwaną literaturą piękną".

Jak czytać *Nikiformy*? – zastanawiał się Piotr Bratkowski w „Gazecie Wyborczej". Można jako zapis absurdów PRL-owskiej codzienności, zwłaszcza że jest to książka niezwykle śmieszna. Jednak przy głębszym wniknięciu ten sposób odczytania może się okazać zbyt łatwy.

> [...] od czasu do czasu nasuwa się pytanie, czy to nie rozpanoszenie PRL-owskiej mowy urzędowej spowodowało zanik umiejętności posługiwania się na piśmie językiem prywatnym. Bo *Nikiformy* to książka o języku właśnie, o języku zdeformowanym, pokaleczonym, nieautentycznym.
>
> Ale przecież zarazem ten kaleki język coś wyraża. Czytana po latach książka Redlińskiego pokazuje, że jej autor powoływał się na Marcela Duchampa nie dla erudycyjnego błysku. Zapisy zgrzebnego życia nagle przestają być tym, czym zdawało nam się, że są. Patrzymy na nie jak na pisuar umieszczony w galerii i odkrywamy, że każdy z tych zapisów staje się dziełem sztuki.

Zanim Edward Redliński doszedł do swoich wniosków o nieprzystawalności wizji pisarza czy reportera do opisywanej rzeczywistości, wydał dwie książki reporterskie: *Ja w nerwowej sprawie* (1969) i *Zgrzyt* (1971). Są mniej znane niż jego proza – *Konopielka* (1973), *Awans* (1973), *Szczuropolacy* (1994) czy *Krfotok* (1998), niemniej ich literacka forma i słuch autora imponują tak samo jak w jego bestsellerach. Oba zbiory reportaży zawierają przede wszystkim teksty pisane do tygodnika „Kultura".

Urodził się we Frampolu pod Białymstokiem. Jest absolwentem Wydziału Geodezji i Kartografii Politechniki Warszawskiej i Studium Dziennikarskiego Uniwersytetu Warszawskiego. Debiutował w 1967 roku tomem opowiadań *Listy z Rabarbaru*. Pracował w „Gazecie Białostockiej" (1964–1968) oraz tamtejszej rozgłośni Polskiego Radia. Współpracował z warszawską „Kulturą". W 1984 roku wyjechał z Polski do USA, wrócił w 1991 roku.

Jego reportaże – pisano – dalekie są od dobrotliwego spojrzenia. Raczej widzi ostro i bezkompromisowo. Wieś – mikrokosmos Redlińskiego – jest często tłem dla okrutnych stosunków sąsiedzkich i rodzinnych. Czasem opisuje walkę o parę hektarów, czasem o nic lub o to tylko, żeby zniszczyć brata. „Większość reportaży Redlińskiego mocno trzyma się ziemi-matki. I te są najlepsze" – pisał Zbigniew Szopiński.

> W dwudziestu zawartych tam reportażach jest materiał na dziesięć powieści, osiem i pół fabularnych pełnometrażowych filmów, trzy sztuki teatralne i sześć słuchowisk radiowych. Przy czym powieści, sztuki, filmy i słuchowiska mogłyby być d o b r e. Zdaniem rasowych prozaików i dramaturgów Redliński z pewnością pisarzem nie jest. [...] Według rasowych Redliński jest od nich czymś zdecydowanie gorszym, bo nie zmyśla, nie komponuje, nie upiększa. On nie upiększa, oni mają go za gorszego, mnie cholera bierze

– wyznał Andrzej Twardochleb w „Głosie Wybrzeża" w 1970 roku.

Sam recenzent przyznawał, że ma na swoim koncie prozę fabularną i po przeczytaniu Redlińskiego jest w kropce: którą drogę wybrać?

> Relacjonować po prostu tak, jak było – wstyd, bo to wzgardzone przez branżę i krytykę opisywactwo. A z palca wszystko wyssać to niby nie wstyd?

Oto dzieło Edwarda Redlińskiego powstałe, zanim przestał pisać reportaże.

Sąd nieprzysięgłych

Wysoki Sąd ogłosił przerwę, dając powodowi czas do namysłu: ma zastanowić się Dmuchała, czy podtrzymywać dotychczasowy pozew o alimenty, czy prosić Sąd, aby zmienił kwalifikację prawną pozwu i prowadził postępowanie o eksmisję pozwanego, to jest syna, z gospodarstwa.

Ostatnia wyszła protokolantka, drzwi klapnęły i zapadła cisza; zanim pojęliśmy nową sytuację, niczym uczniowie po nieoczekiwanym wyjściu nauczyciela w pół lekcji, minęło z pięć sekund – podcięty układ szukał nowego środka ciężkości. Stary, siedemdziesięciopięcioletni Michał Dmuchała siedział w ławie po lewej stronie i ze zdumieniem patrzył na Wysoki Stół i Wysokie Fotele puste pod Godłem. Syn, czterdziestopięcioletni Zygmunt Dmuchała, zastygł w prawej ławie, twarzą do ojca, tak samo zaskoczony.

Gdzieś w piątej sekundzie spojrzał w lewo, na pełne ławy – nas zobaczył czujnie patrzących – i wstał. Stał – wysoki, żylasty, czarno-łysawy: naprężonym podbródkiem wycelował w starego. Zawezwał:

– No teraz, ojciec, p r z y l u d z i a c h: jaka was krzywda spotyka ode mnie? Gadajcie! No!

Stary wstał i zrównoważyło się w sali – mały był i mizerny, ale wąsy miał bujne, nastroszone. Zwrócił głowę nie w lewo, jak dotychczas, lecz w prawo, do nas. Z wolna, przełamując słowa na sylaby, ogłosił:

– Ludzie mają rozum.

– Co ja wam, ojciec, zawiniłem, że mnie po sądach włóczycie?! – zakrzyczał syn cienko.

– Ty wiesz co. Ty, diable, dobrze wiesz co. Niechaj l u d z i e rozsądzą – rzekł godnie stary.

Wyprostowano się w ławach.

Siedzieli tu powodowie i pozwani z rozpraw poprzednich, czekający ogłoszenia wyroków, oraz nieliczni świadkowie.

W pierwszej ławie kiwał się ten, co bije żonę. Przedłożyła ona Sądowi zaświadczenie lekarskie, określające liczbę i miejsce siniaków, guzów i zadrapań, a także datę ostatniego rękoczynu. Pozwany wyjaśnił Sądowi, że te uszkodzenia nie z jego intencji są i nie z jego rąk – ona z domu ucieka, po ludziach nocuje... Ona: Niechby już bił, ale żeby przestał być parobkiem u ojca i u brata. Do roboty go pędzą, do pieniędzy nie dopuszczają, co to za chłop.

Bić to byle mazguj potrafi. Do tego... z bratową żyje. On: A ty piętnaście lat starsza ode mnie, a chodzisz do... ona wie, Wysoki Sądzie, do kogo łazi. Mam elementy płacić, dlatego że jej się nie chce żyć ze ślubnym mężem? O nie!...

W drugiej ławie usadowiła się bratowa, ta, z którą mazguj żyje (a swoją bije, bo od niego ucieka, a ucieka, bo on ją bije). Zeznała bratowa, że winy u szwagra nie widzi.

– Mój też mnie bije, a czy ja uciekam?...

Obok żony mazguja siedzi panna z dzieckiem na ręku, gruba, ondulowana. Pracowała w sklepie tytoniu, miała dobrze, jak to na rządowej robocie; on – ostry blondyn przed trzydziestką, naprzeciwko, w ławie dla pozwanych stał – przyjechał na kurs instruktorów tytoniu. Jak się poznaliśmy? Podszedł do mojej lady i powiedział, że się ze mną ożeni.

– Hm, tak od razu wyraził chęć poślubienia powódki?...

– Tak, powiedział tylko, żeby przedtem się przespacerować.

– Kiedy to było?

– Pierwszego grudnia.

– I tego dnia doszło do stosunku cielesnego?

– Tak. Bo powiedział, że po tym się ożeni.

– Gdzie to było?

– Koło cmentarza.

– Na cmentarzu w grudniu?...

– Ale on wziął koc z kursu...

Dalej drzemie babina, tłusta, ale głucha; czując się niezdolną do pracy, pozwała swoje cztery siostry, aby płaciły jej alimenty, bo one wzięły sobie z ojcowizny, a ona nie wzięła. Do tego są na rządowej robocie, dobrze mają, mogłyby płacić. Z czterech sióstr stawiła się na rozprawie tylko jedna, nazwiskiem Dziwnowska, istotnie dziwna. Każde pytanie Sądu kwitowała odpowiedzią: „Nie wiem". Nie wiedziała, gdzie mieszkają pozostałe siostry. Ile ziemi ma mąż. Czy chodziła do szkoły. Nie pamięta, bo dawno było, a człowiek ma tyle spraw na głowie.

Ramię w ramię z tą, co nic nie wie, siedzi parobek staruszek ze szczęściem w oczach, skurczony w uśmiechu jak noworodek. Za rok służby dostał parę starych ubrań. A miała być gotówka, osiem tysięcy. Rozprawa się nie odbyła, gdyż nie stawił się pozwany.

Z tą, co nic nie wie, poszeptuje siwa kobieta, która żąda podwyższenia alimentów płaconych przez zięcia pijaka. Sąd ustanowił ją opiekunką, gdy wnuczka miała dwa lata. Dziś ma czternaście – trzeba ją nie tylko ubrać, wyżywić, zaopatrzyć w książki, lecz i do szkół pchnąć, dać, żeby przyjęli.

Wysoki Sąd sam rozumie, jak to teraz z tym przyjmowaniem do szkół. A stancję opłacić, a na kino... trzysta złotych to teraz za mało, tym bardziej że wszystko drożeje.

– To ja mogę zabrać córkę do siebie – na to zięć dzieciorób, siny, zamorzony.

– O nie! – sprzeciwiła się kobieta. – Wyhodowałam, wypiastowałam, człowieka zrobiłam i teraz oddawać? Na gotowe każdy łasy. Nie oddam!

Trudno określić, gdzie przebywa kobieta z bielmem na oku – wędruje bowiem z ławy do ławy, depcze nam po nogach, sapie, pomrukuje, drapie się pod pachami, przeklina, nos wyciera. Jej syn obserwuje to spod oka i trąca sąsiadów.

– Widzicie, widzicie! Czy z taką można wyżyć!

Na starość wydzieliła z domu i z gospodarstwa połowę dla siebie: zabrała lepszą krowę, lepsze kury, lepsze garnki i zamieszkała w piwnicy, w jamie po kartoflach, trzy lata siedziała w tej jamie, trzy zimy jemu na złość domarzała. Chodziła od domu do domu i pokazywała odmrożenia. Aż ktoś napisał do gazety i gazeta ją wyśmiała.

Kobieta jest głucha. Już drepcząc do ławy sądowej, zaczęła swój monolog – potem zapatrzyła się gdzieś w okno i gadała: mimo pytań sędziego do niej kierowanych, mimo zeznań syna, bez przerwy:

– Wszystko kupuj, mąkę kup, zapałki kup, żarówkę kup, soli kup, sodoma, on kradnie, wczoraj dwa jajka z kurnika zginęły, ten wyrodek wypił, po trzy złote para, podatek oddaj, krowa nie daje z czwartej cycki, strzela w kolanie, deszcze padają, kartofle wykopać, muchy straszne, trzecie umarło, Adela ma rację...

Raz tylko się ocknęła – gdy Sąd spytał, ile ma prosiaków, zamrugała, podrapała się pod pachą i wskazując na syna, powiedziała:

– Jego jednego.

Czym wywołała na sali niedopuszczalną wesołość. I zapadła się w swoje problemy.

W głębi sali, za naszymi plecami, rozparł się w ławie świadek – chłop na schwał, który o kobiecie podczas jej monologu zeznał, że to jędza chodząca, pokuta na ludzi; dlaczego władze nie tępią takich?

W przedostatniej sprawie wystąpili starszawy blond kawaler i kędzierzawa brunetka z orlim nosem, która przedtem na korytarzu, pokazawszy palcem swój tyłek, a potem głowę, powiedziała do blondyna:

– A co, myślisz, że mnie tu wyjęli, a tu włożyli? Będziesz bulił...

Jest panną z dwojgiem dzieci, z bratem gospodarzy, ale im nie szykuje.

– A ten, o, proszę Sądu, on jest bogaty, budynki u niego jak klasztory, mógłby płacić i pięć tysięcy co miesiąc, takiemu to tyle, co splunąć!

– Nie będę płacił, Wysoki Sądzie. To drugie nie moje. Nie będę płacił za cudzą przyjemność!

I ostatnia sprawa, ta przerwana.

Michał Dmuchała czuje się w domu prześladowany. On, właściciel gospodarstwa – papiery u rejenta są przecież na jego nazwisko – nie ma w domu nic do gadania, bo syn się rządzi jak szara gęś: kupuje, sprzedaje, kasę trzyma, a ty, człowieku, chcesz na papierosy i musisz prosić syna o trzy złote! Albo kraść jajka ze swego kurnika i po kryjomu nieść do sklepu! Do czego to podobne, co za hańba przyszła na ojców, gdzie rządy, sądy, biskupy?

– Pozwany, proszę wstać. Dlaczego pozwany szykanuje ojca? Czy pozwany wie, że ojciec jako właściciel może w każdej chwili zażądać eksmisji syna z gospodarstwa? Dlaczego pozwany traktuje ojca słowami obelżywymi?...

Sąd zadał stronom kilka pytań i ogłosił przerwę, aby stary się namyślił, czy nie żądać eksmisji. Drzwi klapnęły za protokolantką.

– Co ja wam, ojciec, zawiniłem, że mnie po sądach włóczycie?! – krzyknął syn cienko, wychodząc zza sądowej ławki.

– Ty wiesz co. Ty, diable, dobrze wiesz co – rzekł stary godnie i stanowczo. – Niech l u d z i e rozsądzą!

I podszedł do nas blisko. Trzymając lewą dłoń na sercu, zwrócił się do publiczności – mizerny i stary, ale sprężony – prawą rękę wyciągnął w krótkim geście, dłonią do góry i blisko ust, jakby z zagłębienia zdmuchiwał nam prawdę najdelikatniejszą.

– Czy ja kogo zabiłem?... – wyszeptał. – Czy co komu ukradłem? Czy mnie potrzebna czyja krzywda? Czy ja sześcioro dzieci nie wychowałem? Czy może ich ludzie nie szanują?

Opuścił ręce.

– Nie, ludzie... Niepotrzebna mi niczyja krzywda. Moje dzieci są na stanowiskach. Jak do nich zajadę, to mówią: „Tatusiu, może tatuś zje to. Może tamto. Może miększej kiełbasy. Może tatuś położy się na uniwersalce...”.

– Bo „tatuś” jedzie do nich na dzień, dwa! – uciął syn. – Bo „tatuś” jest tam cichutki jak w kościele, bo „tatuś” nadrze gęby w domu. Na mnie!

Ale stary ciągnął swoje, nie słysząc tamtego, jakby mówili na różnych falach.

– Ja nic od niego nie chcę. Tylko żeby był do mnie jak syn do ojca, tylko tyle. Ja go od takiego, o, chowałem. Ja mu ziemię zapiszę. Ale ojciec nie może

być u swego syna za dziada. Ja muszę prosić złoty pięćdziesiąt na sporty. Mężczyzny, rozumiecie? Prosić na palenie! Żeby to na gazety, piwo! Ale na papierosy! Ja, którego jest gospodarstwo!

Siedzieliśmy w ławach skuleni, spiorunowani ich krzyczeniem w tej uroczystej sali z wielkim godłem nad pustymi fotelami.

Syn wzniósł ręce z rozcapierzonymi palcami, przemawiali jak z dwóch ambon obok siebie, głosy się mieszały, przebijały, wyżej wzbił się cienki:

– Ja czterdzieści lat, czterdzieści lat robiłem u ojca, ja z wszystkich dzieci byłem najwierniejszy! To ja pokształciłem siostry. Ja im posagi płaciłem. Ja dom zbudowałem. Ja stodołę postawiłem. Ja maszyny kupiłem! Mam swoje dzieci, mam swoje lata! Ta gospodarka jest moja!

– Milcz! – zachrypiał stary. – Milcz, bo przeklnę!

Spojrzeli na moment po sobie i – zamilkli. Cofnęli się do swoich ławek pod ścianami. Usiedli. I patrzyli na salę, jakby czekali.

Rozparliśmy się w naszych ławkach poważnie. Rozwagę mieliśmy na twarzach wysoką.

Pierwszy zabrał głos ten, co był za tym, że władze powinny jędze tępić. Oświadczył:

– Ja jestem przeciw, panie ojciec. Nie wypada najlepszego syna wyrzucać, i to jak ma późne lata. Pogódźcie się.

– Pogódźcie się – poparła ta, co dziecka nie odda, bo je wypiastowała. – Jakby ludzie sobie nie ustępowali, toby się dawno wyrżnęli.

– Toż to syn, nie żaden obcy – dodał ten, co swoją bije, a z bratową żyje.

– Syn gorzej obcego – uciął stary. – Wiecie, za co mnie pobił? Że dwadzieścia deko kiełbasy żonce kupiłem! Dwadzieścia deko!

– Nie pobiłem, a popchnąłem – przerwał syn. – I to na słomę. No, niech ojciec powie, jak było naprawdę. Jak wysłałem was do miasta po tryb do kosiarki, pilna sprawa. A ojciec mi z kiełbasą, w żniwa, zamiast z trybem z kiełbasą przyjechał!

– Bo renamęt był!

– Ale drugi sklep był czynny!

– Panie młody, tak nie można – powiedziała ta, co dziecka ojcu nie odda, bo je wypiastowała. – Nie kupił, to nie kupił, ale żeby zaraz bić...

– Gołą ręką jeszcze nikt nie zabił – mruknął ten, co swoją bije, a z bratową żyje.

– W żniwa miał prawo się zdenerwować – rzekł bogaty, ten, co nie będzie płacił za cudzą przyjemność, a drugie jest nie jego. – Gorący czas...

– A ty będziesz bulił! – naskoczyła ta, której z tyłka nie wyjęto i do głowy nie włożono.

– Oni zamęczą, oni tylko czekają, żeby stare powymierali – zagadała ta, co trzy lata siedziała w jamie po kartoflach i narzeka, że deszcze padają.

Syn dźwignął się z ławki.

– Pogodzić się... Wy myślicie, że z takim można dojść do ładu? On na oko niby dobry człowiek. A przecież to taka dżuma, taka zgaga piekąca. On gorszy od tej tu... – Wskazał ręką na tę, co w jamie po kartoflach i że deszcze.

– Co-co-co-co-co! – zagdakała wskazana.

– Od nowa zacznie naciskać, żeby płacić tym w mieście, cztery siostrzyczki i braciszek, temu dziesięć tysięcy, tamtej piętnaście. A co to ja bank jestem?

Stary tymczasem wypoczął. Wystąpił uspokojony.

– A czy tamte syny nie są synami, a córki córkami? – zapytał retorycznie. – Czy im się nie należy? Toż ja mu zaraz po wojnie powiedziałem, jak będzie: „Jest czternaście hektarów. Połowę daję tobie, będziesz gospodarzył. A drugą połowę albo sprzedam i dam dzieciom, albo ty weźmiesz i im spłacisz". Nie tak powiedziałem? Gadaj. Gadaj, bo przeklnę!

– Sto dwadzieścia tysięcy spłaciłem, mało im jeszcze? Wyuczyłem, wykształciłem, książki kupowałem, za internaty płaciłem! Dość tego, teraz wszystko moje!

– Twoje? A papiery masz? To nie słyszałeś, co powiedział pan sędzia, że mogę cię wygonić z mojej ziemi jak psa! I wygonię! Tak jest, wygonię. Zabieraj swoje manatki i wynocha! Sprzedam, wszystko sprzedam i będę żył jak profesor! I jeszcze dam ci na drogę parę tysięcy, żebyś, hehehe, żebyś mnie, synku, w rękę pocałował!

– A ja bym na pana miejscu zaryzykowała – powiedziała do młodszego ta, z którą mazguj żyje (a swoją bije). – Zaczęłabym w mieście od niczego i miałabym za pięć lat lepiej niż na gospodarce. Czysto ubrana, wyspana, najedzona. Tłusta! – Co mówiąc, wstała, położyła dłonie na biodrach – wysoka, wąska w talii, biust wypięty.

– Niedziwne – szepnął mi do ucha bogaty, co nie będzie płacił za cudzą przyjemność – że on z tą żyje, a żonę wypędza.

– W mieście ciężko – odezwał się znienacka parobek ze szczęściem w oczach, wszyscy umilkli. – W sklepach wszystko jest, ale za pieniądze. I nie ma gdzie wyszczać się.

– Na gospodarce też trzeba wszystko kupować – zaczęła swoje ta, co trzy lata w jamie po kartoflach i narzeka, że deszcze. – Soli kup, zapałki kup, pekaes kosztuje, kartofle wysychają...

Niektórzy zachichotali.

– Wy nie wiecie, jaki on jest – jęknął syn z głową w dłoniach. – On przez tydzień nie chciał jeść. Chodzi, łazi, nic nie powie, tylko coś burczy. Żeby to był chory... On specjalnie jęczy, żeby nas denerwować. Matko Boska święta, czy ja winien, że starość na ludzi przychodzi!

– Człowiek nie jęczy bez przyczyny – powiedziała ta, którą mazguj bije.

– Zamknij się, jak cię nie proszą! – zgasił ją mazguj.

– Dopóki siłę miałem – przekrzyczał ich stary – to mnie szanował, bom do roboty chodził. A teraz ciężar dla niego jestem!

– Do czego to podobne – przekrzyczał go syn – żebym ja, gospodarz czterdzieści pięć lat, nie mógł sam maszyn kupować, jakie potrzebne, siać, jak uważam, sprzedawać po swojemu, tylko ze wszystkim dopraszać się podpisu takiej zakały!

– Zaraz ci, diable, na zębach podpiszę! – Ruszył stary z pięścią.

– Panie starszy, panie starszy! – zawołał z tylnych rzędów ten, co jest za tym, że władze powinny jędze tępić. – Ustąp pan młodszemu. Daj mu wolną rękę, a będziesz pan pływał w dobrobycie. Toż na oko widać, że to człowiek zdrowy i z charakterem...

Pomiędzy krzyki wśliznął się płacz dziecka, głos tak nowy, że ucichli. Popatrzyliśmy na pannę z dzieckiem od instruktora tytoniu, jak kołysze zawiniątko, odchyla z betów twarzyczkę. Parobek ze szczęściem w oczach zagrał palcami na wargach: brum! brum! brum! Ta, której z tyłka nie wyjęto i do głowy nie włożono, zajrzała pod becik, a potem popatrzyła na tego, co nie chce jej płacić, bo nie będzie płacił za cudzą przyjemność, i ukradkiem pogroziła pięścią.

– Poczekaj, ty – powiedział stary Dmuchała – poczekaj, zobaczysz, jak twoje dzieci będą ciebie dochowywały...

– Niech tylko będą takie dobre, jak ja dla ojca. Wystarczy.

– A niech będą. I niech nazywają ciebie starym skurwysynem, jak ty mnie!

– A ojciec jak do mnie?! Czy ojciec powiedział z raz: „Zygmunt, daj na papierosy"? Nigdy! „Daj, skurwysynie, na papierosy", o, tak ojciec do mnie! Tylko tak.

– A ty do mnie: „Nie płącz się po chacie, stary skurwysynie!".

– A ojciec do mnie: „O, świniaka sprzedałeś, skurwysynie!".

– Boś sprzedał bez mojej wiedzy!

– A czego ojciec spał trzy dni w polu?

– Bom przy tobie, skurwysynie, nie dał rady już wytrzymać!

– Jeszcze raz pytam, co ja winien, że ojciec stary?

– Ludzie, przestańcie – przekrzyczała ich kobieta, ta, co nie odda dziecka ojcu, bo je wypiastowała. – Przestańcie, od czego wy macie rozumy!

– I co panu po alimentach, panie starszy – perswadował ten, co był za tym, że władze powinny jędze tępić. – Do miasta pan z nimi pójdzie? Nie radzę. Jak panu za mało miejsca przy synu na czternastu hektarach, to tym bardziej w dwóch pokojach z kuchnią zadusi się pan na amen. Pogódźcie się. A już broń Boże eksmisja. Syna pan zgubi, gospodarstwo zrujnuje, grzech na wieki!

– Bez gospodarki ciężko – powiedział parobek ze szczęściem w oczach.

– Powiedzcie, czemu sąd, zamiast bronić rolnika, który produkty produkuje, broni takiej zakały, co tylko przeszkadza! – zawołał syn.

– Nie mów na mnie „zakała", bo cię, diable, wydziedziczę!

– Nie rób pan tego, bo będziesz żałował! – zdążył jeszcze krzyknąć syn tej, co trzy lata w jamie, i drzwi się uchyliły.

Wstaliśmy. Sąd zasiadł w fotelach, rozłożył dokumenty. W dotkliwej ciszy sędzia mruknął formułkę o wznowieniu posiedzenia i zapytał, czy powód podtrzymuje sprawę o alimenty, czy na mocy – tu dzienniki ustaw i paragrafy... – wnosi o przekwalifikowanie na eksmisję.

Stary Dmuchała zakręcił się w miejscu, za głowę się złapał. Miał się przecież zastanowić...

Sąd zapytał, czy powód nie przystałby na ugodę.

– Ugoda... eksmisja... elementy – bąkał stary i odwlekając, odciągając decyzję, powtarzał bezsensownie: – Dopraszam się Wysokiego, dopraszam się Wysokiej Łaski, dopraszam się łaski Wysokiego...

Sąd uciął, że tu nie ma czego się dopraszać. Zgadza się powód na ugodę czy nie, proszę się decydować.

– To już nie chcę tych alementów... – machnął ręką stary i wpatrzył się w podłogę. – I nie przepędzę... jeśli on będzie chciał.

Sąd zapytał, co syn ma chcieć.

– To, co nazywają „dochować" – szepnął stary.

Sala zaszumiała przychylnym szmerem.

Sąd zapytał teraz pozwanego, czy zgodzi się dochować ojca po ludzku, bez szykanowania.

– Kiedy ja go nigdy nie szykanowałem, Wysoki Sądzie – rzekł syn. – Między nami było zwyczajnie, jak w każdej jednej rodzinie. Czasem sprzeczka. Ja ojca szanowałem. Szykanować to, proszę Sądu, ja nawet nie wiem, jak to się robi...

Sąd cierpliwie powtórzył pytanie, słowo w słowo.

– Zgadzam się, proszę Wysokiego Sądu. Ale niech on mnie nazywa po imieniu, a nie... A nie, za przeproszeniem, „ty skurwysynie". I niech tak nie dokucza.

Sąd stwierdził, że dokuczać to powód będzie, bo jest stary, a starość jest dokuczliwa. Jeszcze raz zabrał głos stary.

– Ja tak samo domagam się – powiedział – żeby syn do mnie mówił: „ojciec", „tatko" albo coś takiego. Byle nie: „ty stary skurwysynie". Może nawet mówić: „panie Dmuchała"...

Sędzia zamyślił się i po chwili zaczął dyktować do protokołu:

– Powód Michał Dmuchała oświadcza... iż może pogodzić się z pozwanym, to jest synem... o ile pozwany przyrzeknie przed Sądem... że dochowa ojca na zasadach dobrego współżycia rodzinnego... nie będzie bił... oraz nie będzie nazywał starym skurwysynem.

Pozwany Zygmunt Dmuchała oświadcza... że może pogodzić się z powodem, to jest ojcem... o ile ojciec również nie będzie nazywać go...

Następnie sędzia podyktował protokolantce treść ugody i wezwał strony do złożenia podpisów. Gdy podpisali się, przetarł okulary, westchnął: „Ludzie, ludzie, kiedyż wy się nauczycie być ludźmi", i powiedział głosem prywatnym, że nie chce ich tu więcej widzieć. Do roboty, wykopki, kartofle czekają!

– Bardzo dziękuję Wysokiemu Sądowi – ukłonił się nisko stary i zaśmiał się do nas, szczęśliwy, że wszystko zostało po dawnemu. – Bóg zapłać – podziękował nam, publiczności w ławach.

– Dziękuję – powtórzył syn, rad tak samo, że będzie po dawnemu.

Widziałem, jak szli ciemnym korytarzem bez słowa, bez słowa wyszli na rozsłonecznioną ulicę powiatowego miasteczka i milcząc, szli obok siebie. Pod nogi patrzyli. Gdy doszli do pawilonu z szyldem „Restauracja", jednomyślnie skręcili na schodki. Zatrzymali się przed kontuarem. Stary powiedział:

– Pół litra. – I grzebnął w kieszeni, bez przekonania.

Syn z powagą wyjął portfel, rozłożył jak książkę.

Dorzucił:

– I oranżadę. – I zapłacił.

Wtedy stary powiedział:

– I paczkę sportów.

Syn znowu sięgnął do kieszeni, ale stary go ubiegł.

Zapłacił za siebie i zabębnił z zadowoleniem palcami, i jeszcze raz spróbował:

– I zapałki – powiedział.

Znowu syna ubiegł, widać miał przyszykowaną monetę.

Ruszyli do stolika, stary pierwszy, wydawało mi się, że syn patrzy w jego kark z nienawiścią. Usiedli. Butelka stała między nimi, pośrodku stołu. Młodszy nalał po pół szklanki, wolno to robił. Wypili... dolał oranżady... zapili. I wpatrzyli się ciężko w dno butelki. Czasem tylko poruszając powiekami. Muchy łaziły po stole. Syn jeszcze raz rozlał, to było jedyne wyjście... wypili... zapili. Znowu wpatrzyli się w szkło. Jeszcze ciężej. Czerwienieli. Wciąż bez pierwszego słowa. Coraz mocniej skurczeni.

Czekałem, kto pierwszy trzaśnie na odlew w butelkę.

Wtem młodszy spojrzał w stronę drzwi i rozjaśnił się, rozluźnił – wołał ręką do stołu: w drzwiach stał mazguj, co z bratową żyje, a swoją bije, bo ona ucieka (a ucieka, bo ją bije), oraz syn tej, co trzy lata siedziała w jamie po kartoflach i narzeka, że deszcze padają.

Losy nie wymyślone, wybór i oprac.
K. Goldbergowa, Warszawa: Iskry, 1980,
s. 305–315

1972

Jerzy Lovell (1925–1991)

Znaleźć materiał do homilii

Miał zastrzeżenia do *Buszu po polsku*. I to fundamentalne.

> Nigdy nie byłem entuzjastą reportażu impresyjnego, lubującego się w drobnych incydentach, nic nieznaczących wydarzeniach i wypadkach – a gdzie coraz częściej reporterzy szukają schronienia przed ważnymi problemami. Zaczęło się to od słynnego *Buszu po polsku* Ryszarda Kapuścińskiego. Książki naprawdę pięknej i wzruszającej, ale składającej się jedynie ze świetnie napisanych impresji. A tymczasem przy impresyjnym ukazywaniu problemu reporter wymiguje się od jednoznacznego osądu i wzięcia zań odpowiedzialności.

A więc reporter ma osądzać. (Patrz: Zbigniew Kwiatkowski, też, jak Lovell, z Krakowa, też z „Życia Literackiego", bardzo przez Lovella podziwiany). Do tego: reporter ma wyciągać dla czytelnika wnioski, podpowiadać mu ewentualne rozwiązania opisanych problemów.

Sam Lovell mówił, że reporter ma „animować społeczeństwo", „wpływać na stan umysłów", „orientować ludzi w labiryntach życia". Zresztą „mnóstwo osób przychodzi na moje spotkania autorskie. I ciągle pytają mnie: jak żyć? Ciągle żądają nowego dekalogu". Nawet jedna z jego reporterskich książek ma tytuł *Jak żyć?* (1972).

W przeciwieństwie do innych reporterów Jerzego Lovella nie interesowały pojedyncze zdarzenia i jednostkowe historie.

> Nigdy bowiem nie opisuję incydentów – deklarował. – Nie interesuje mnie, że panią X bije mąż czy – że pan Y ma dwie żony. Wkraczam dopiero wówczas, gdy takie wypadki układają się w zjawisko o pewnej powtarzalności. Gdy stają się problemem w odczuciu społecznym, problemem tak ważkim, iż dla uzyskania jako takiego pojęcia o naszym świecie konieczne jest postawienie dlań diagnozy.

Zwróćmy uwagę na słowa „wkraczam" i „diagnoza", a otrzymamy opis postawy reporterskiej Jerzego Lovella.

„Diagnozował" więc macierzyństwo nastolatek (*Reportaż o smarkatych matkach*), egoizm kobiet (*Zabójstwo miłości*), trudne życie mężów histeryczek (*Piekło mężczyzn*), słabość współczesnych mężczyzn (*Koncert na trąbkę*), zbyt

wcześnie rozpoczęte życie seksualne młodzieży (*Traktat o życiu seksualnym*) i mnóstwo innych „współczesnych problemów". Szukał zawsze wielu przypadków typowych (jednostkowych, ale typowych), które ułożą się w obraz możliwy do umieszczenia w szerszym kontekście obyczajowym. Gdy już je zebrał i zsyntetyzował, zaczynał swoją świecką homilię. Na przykład tak:

> Młodzież rozpoczyna życie płciowe [...] często po prostu już od dzieciństwa [...]. Stosunki płciowe, uprawiane bez umiarkowania niemal od najwcześniejszej chwili, od chwili poznania, powodują szybki przesyt [...]. Żałujmy pięknych, powabnych dziewcząt, upitych tanim winem, barłożących się z byle kim i byle jak, goniących za chwilą rozkoszy, której się nazajutrz nie pamięta, a pozostaje tylko jałowość i wstręt; żałujmy mężatek, chutliwych i zarazem biernych, umęczonych; żałujmy mężczyzn, po pijanemu obłapujących przygodne kobiety, niezdolnych już nawet do rozkoszy, nienasyconych i zarazem przesyconych. Produkują bezsens, zaprzeczają swemu ludzkiemu powołaniu.

Wstępy do reportaży Jerzego Lovella, nim przemówili ich bohaterowie, miały czasem po kilka stron. Specyfika jego tekstów – autora kilkudziesięciu książek reporterskich, wydającego czasem po dwie, a nawet trzy rocznie – polegała jeszcze na tym, że ciągle zdradzał czytelnikom kulisy swojej pracy. Relacjonował myśli towarzyszące mu przy zbieraniu materiału, dylematy i wybory.

„Mimo wszystko właśnie im, kobietom, należy pierwszym oddać głos" – napisał w *Piekle mężczyzn*, po tym jak stwierdził, że dotychczas (jest 1977 rok) bardzo dużo mówiło się o piekle kobiet, lecz teraz należy mówić o piekle mężczyzn, skazanych na swoje kobiety. Mimo wszystko właśnie kobietom należy oddać głos (rad nierad reporter oddaje), ale stwarza to nowe problemy:

> Oddać głos – ale którym? Z jakiej generacji? Z jakiego środowiska? Raczej nie nastolatkom, to osobny problem. Ani kobietom zdecydowanie starszym; należą do innej epoki. Więc może tym około czterdziestki: jeszcze w pełni aktywnym, lecz już sumującym pewne doświadczenia...

Podobnie w reportażu *Dlaczego się nie żenią?*:

> Więc mam się popytać chłopców, porozmawiać z pannami? Nie tędy chyba droga. Rocznik statystyczny też mi nic nie powie. Już raczej poprzestać na własnym doświadczeniu, na obserwacjach z bliskiego kręgu.

Potrafił też informować czytelnika, że pani psycholog, która konsultuje dla niego różne tematy, właśnie wyjechała do ministerstwa do Warszawy i wróci za kilka dni, więc trzeba na nią poczekać.

Można się zastanawiać, dlaczego Lovell w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych odniósł tak duży sukces. Co było fascynującego w tym prowadzeniu czytelnika za rękę? Zostawiam to Państwu.

Zastanawiano się, czy teksty Jerzego Lovella w ogóle są reportażami. W 1960 roku Tomasz Łubieński zamieścił w „Twórczości" nieprzychylną recenzję tomu *Cud się zdarzył* (1959), której nadał tytuł *Antyreportaż*. To określenie dowodziło wyraźnej odmienności tekstów Lovella od klasycznego wzorca. W 1974 roku Wiesława Grochola w recenzji innej książki nazwała jego pisarstwo „publicystyką opisującą". W 1976 roku Jan Kurowicki w „Kontrastach" nadał im miano „reportaży moralno-światopoglądowych". Zarzucał im patetyczność – na przykład demonizowanie opisów życia codziennego. A przede wszystkim uleganie stereotypom. Jerzy Lovell „wybiera się w wędrówkę po koleinach społecznych stereotypów, grzmiąc gromko i doniośle", pisał. Na koniec Kurowicki życzył ironicznie: „Wszystkiego najlepszego dla wszystkich, którzy chcą tak samo przez świat podążać".

Źródła pragnienia świata uporządkowanego (a przecież reporter Lovell cały czas relacjonuje właśnie swoje poszukiwania jakiegoś porządku) widziałbym w jego młodości. Był synem inżyniera leśnika, urodził się w Drohobyczu. Prapradziadek był Anglikiem. Sprowadził go do Polski książę Sanguszko, by opiekował się jego stadniną. Wiosną 1940 roku, kiedy w Drohobyczu zaczęły się pierwsze masowe wywózki, ojciec zmobilizowany w kampanii wrześniowej dał znać matce, żeby z córką i synem przedostała się na Węgry, gdzie będą mogli znaleźć schronienie. Tam Jerzy Lovell, bez matki, którą, jak mówił, zgubił po drodze, i bez ojca, który pozostał w kraju, chodził do polskiego gimnazjum w Balatonboglár. Po wojnie trafił do Krakowa, skończył szkołę dziennikarską przy KC PZPR, zaczął od reportażu socrealistycznego w krakowskiej prasie codziennej, a potem osiadł na stałe w „Życiu Literackim". Zadebiutował jako siedemnastoletni poeta w gazetce szkolnej. Mówił, że wiersze te wynikały z jego szczególnej sytuacji życiowej, z zagubienia i przerażenia światem.

> Musiałem szybko dojrzeć, zaprowadzić w tym świecie jakiś ład, porządek i poezja bardzo mi w tym pomogła.

Powtarzanie na głos własnych myśli albo powtarzanie, co się w danej chwili robi – a to praktykuje Jerzy Lovell w swoich reportażach – jest też sposobem porządkowania świata.

Człowiek płonie (reportaż z wariacjami)

1

Informacja z „Echa Krakowa", rubryka *Kronika wypadków* z dnia 25 maja 1970 roku:

„Ofiarą makabrycznej zabawy padł dziewięcioletni Robert S. zamieszkały przy ulicy Wielickiej. Został on przez grupę kolegów owinięty workiem z folii i podpalony. Ciężko poparzonego chłopca przewieziono do kliniki".

(Uwaga: ulica Wielicka mieści się w Płaszowie, prawobrzeżnej w stosunku do Wisły części Krakowa).

Wstęp, wariant I

Pierwszą wiadomość przyniosła moja żona – od kosmetyczki. Miła pani Ewa, przyjazna i rozmowna wobec stałych klientek, ma córkę studiującą na krakowskiej Akademii Medycznej i odbywającą okresowe praktyki w Instytucie Pediatrii w Prokocimiu (bezpośrednie pobliże Płaszowa). Opowiadała, że córka poprzedniego dnia wróciła zupełnie roztrzęsiona: na jej oczach w Dziecięcej Klinice Chirurgicznej (to część Instytutu Pediatrii) lekarze przejmowali z rąk pogotowia małego chłopca na pół zwęglonego, przytomnego przy tym, nieustannie charczącego przez oparzone usta i gardło: „Puśćcie mnie" i „Ratunku". Dusił się, natychmiast trzeba było przeciąć w szyi otwór do tchawicy. Oszalałe oczy. Potworna męczarnia. Z opowiadań pielęgniarzy z pogotowia wynikało, że chłopca przywiózł taksówkarz, który przejeżdżając gdzieś w okolicach ulicy Płaszowskiej, w pustkowiu, obok wysypiska śmieci, zauważył uciekającą bandę wyrostków oraz biegnącą w przeciwnym kierunku, ku szosie, dziwną figurkę otoczoną czymś, co falowało, świeciło i dymiło. Przyhamował i dopiero wtedy pojął, że ma przed sobą c h ł o p c a, k t ó r y p ł o n i e. Żywą pochodnię. Chwycił koc, wybiegł, przydusił dziecko do ziemi, ugasił, zdarł z niego resztki topniejącej folii. Odwiózł na sygnale do pogotowia. Czy chłopak wyżyje? Poparzone, na pół zwęglone dłonie, uda, plecy, głowa. Słaba nadzieja, prawie jej nie ma. Lekarze robią, co mogą. Córka pani Ewy nie spała całą noc... Ciągle majaczyła się jej płonąca figurynka biegnąca skrajem pustkowia i rozpaczliwie charcząca: „Ratunku!" i „Puśćcie mnie!". A potem nagie, czerwono-czarne ciałko, skręcane konwulsjami bólu, z białymi, oszalałymi oczami pośród spalonych brwi i powiek.

Relacji żony wysłuchałem nie ja jeden tylko: to był wczesny wieczór, akurat wpadło do mnie kilku przyjaciół. Dziennikarz. Lekarz. Plastyk. Pierwszy odezwał się lekarz:

– Potworne. I chyba beznadziejna sprawa. Jeśli oparzeniu uległo powyżej czterdziestu procent powierzchni ciała, to właściwie nie ma prawie żadnych szans.

Długo milczeliśmy, po czym odezwał się plastyk:

– Hasior: te jego płonące kompozycje. Zawsze pojmowałem to jako artystyczną przenośnię, a tu nagle... Słuchajcie, ludzie, czy nigdy na tej ziemi nie pojawi się jakiś poczciwy anioł z lilią w dłoni, z gałązką oliwną, z balsamem miłości i dobroci, którym namaści nasze oczy, do jasnej cholery?!

– I z tęgą lagą w drugiej dłoni – zaperzył się dziennikarz. – Żeby lać nią drani i skurwysynów, lać i tylko patrzeć, czy jeszcze dyszą. O Boże, żebym ja dostał w ręce tych hyclów, tych młodych, dobrze się zapowiadających oprawców, tych malutkich katów... Och, żebym ja ich dostał w swoje ręce!

– Chcesz sam zostać katem? – wtrąciłem się. – Zresztą nie przesadzajmy, dzieci zawsze były okrutne.

– Ale nie tak, nie tak – zaprotestowała żona. – Ty nie słyszałeś tych kobiet, tych klientek pani Ewy, które tego słuchały... To są matki, których dzieci też ktoś może spalić.

– Właśnie – dopowiedziałem. – Oni, ci, jak mówicie, mali oprawcy, również mają swoje matki. A te matki żyją w społeczeństwie, w którym my też żyjemy. Może jesteśmy współodpowiedzialni?

– Chcesz powiedzieć, że to Hasior winien, bo podpala swoje rzeźby? – szydził plastyk.

– Nic nie chcę powiedzieć, przynajmniej na razie, za mało wiem. Ostatecznie relacja z zakładu kosmetycznego to jeszcze nie pełnia wiedzy. Może będę wiedział więcej, wtedy powiem. Na razie wiem tylko jedno: że nie pomoże ani cudowny balsam, ani okuta laga. Do zobaczenia niebawem, panowie.

Wstęp, wariant II

Ostatnia sesja Rady Narodowej miasta Krakowa była poświęcona problemom wychowania. Przyznam się, że udawałem się na nią z mieszanymi uczuciami. Uczestniczyłem już kiedyś w podobnej imprezie, co prawda zorganizowanej przez inną instancję, i wyszedłem z niej z przekonaniem, że niczego nie załatwiła, chociaż usiłowała właśnie załatwić. Na mównicy defilowali starsi panowie, na ogół niewiele mający wspólnego z młodzieżą, i przelicytowywali się w wymyślaniu rygorów i haseł, które młodzież miały

natychmiast i bezapelacyjnie uzdrowić i zbawić. Nie wierzę, aby hasła i rygory mogły kogokolwiek zbawić, to po pierwsze; po drugie, na owym konwentyklu zabrakło rzetelnej i nieszablonowej analizy środowisk młodzieżowych, co winno być podstawą jakichkolwiek poczynań i dyskusji; po trzecie wreszcie, każdy, kto zdaje sobie sprawę, jak dziwne i niejednoznaczne zjawiska zachodzą współcześnie szczególnie na styku dzieci–rodzice, ten przyzna, że dyskutowaniu tego tematu musi towarzyszyć atmosfera nieskrępowania, intymności, prawa do własnych przemyśleń, a więc i błędów – od tej zaś atmosfery ów konwentykiel był jak najdalszy. Słowem obawiałem się, że w krakowskim magistracie spotkam się z czymś podobnym, i z góry nastawiałem się na jałowość i nudę...

A było jednak inaczej. Ojcowie miasta są także ojcami własnych dzieci; zabrali się więc do roboty z pasją i po ludzku, ze zrozumieniem istoty rzeczy. Zaczęli od tego, że główny referat na sesji powierzyli tym, którzy się na tym najlepiej znają: wychowawcom, nauczycielom, ściślej – Kuratorium Okręgu Szkolnego. Ci zaś okazali się na tyle mądrzy i niezadufani, iż nie ograniczyli się do własnych tylko doświadczeń, lecz skorzystali z wiedzy wszelkich innych instytucji, mających coś wspólnego z wychowywaniem: organizacji młodzieżowych, milicji, Ligi Kobiet, Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej itd. Zaproszono także ich przedstawicieli na salę obrad. Obracam się tu pośród samych znajomych...

Tytuł referatu (powiedziano skromniej: informacji) brzmiał: *Działalność szkoły, rodziny i środowiska w tworzeniu jednolitego systemu wychowania dzieci i młodzieży na terenie miasta Krakowa*. Ta j e d n o l i t o ś ć, powiązanie wszelkich funkcji wychowawczych, to postulat wojewódzkiej organizacji partyjnej egzekwowany już od roku. Właśnie: szkoła, rodzina i środowisko. Żeby nie było żadnego wymigiwania się, spychania obowiązków i odpowiedzialności. Żeby dziecko stało się najbardziej w s p ó l n ą sprawą. Gra już ten system? Zaczyna. Dociera się. Referat analizuje to punkt po punkcie.

Jest jednak i inny problem, który tu nagle wychynął, który ogniskuje uwagę. Usłyszano, przeczytano i teraz komentuje się na sali i w kuluarach takie na przykład stwierdzenia:

...wysiłki instytucji partycypujących w procesie wychowania, a przede wszystkim szkoły, przyniosły duże rezultaty; ten optymistyczny stan nie może jednak przesłonić faktu istnienia niepowodzeń wychowawczych...

...jednym z podstawowych objawów trudności wychowawczych jest przestępczość nieletnich, której źródłem są czynniki społeczne, środowiskowe i biologiczne...

...szczególny niepokój budzi fakt, że zwiększa się liczba nieletnich dokonujących najcięższych kategorii przestępstw, takich jak rozboje i włamania...

...spośród nieletnich sprawców dziewięćdziesiąt procent to chłopcy, ponad sześćdziesiąt procent przestępstw dokonywanych jest grupowo, aż osiemdziesiąt trzy procent przestępców posiada oboje rodziców...

...z przytoczonych danych wynika bezpodstawność przekonania, jakoby na drogę przestępstwa szła głównie młodzież pozbawiona rodziny i nieucząca się...

...badania przeprowadzone przez Instytut Pedagogiki WSP wykazują, że na przykład spośród społecznie wykolejonych dziewcząt około siedemdziesięciu procent charakteryzuje ociężałość umysłowa...

...w grudniu 1968 roku wydziały oświaty miasta Krakowa ustaliły ponad osiemset dzieci ze znacznymi wadami wymowy i sześć procent uczniów ze skazą nerwicową charakterologiczną lub psychopatyczną...

My – dyskutujący w kuluarach – stwierdzamy: oto istotne *novum* w analizie, chyba po raz pierwszy dostrzeżone w takiej jaskrawości: mimo naszej dobrej woli i niejako poza jej zasięgiem proces z w y r o d n i e n i a wśród części ludzi młodych nie cofa się, lecz zdaje się przybierać na sile... I to nieprawda, że dotyczy tylko jakiegoś marginesu społecznego, środowisk zdegenerowanych, rodzin rozbitych czy łajdackich: nie, dotyczy wszystkich, także naszych własnych dzieci... Aby zaś nasz niepokój się dopełnił, do repertuaru przyczyn i skutków włączył się czynnik najmniej przez nas brany pod uwagę, niezawiniony, ale – okazuje się – przerażająco obecny: czynnik b i o l o g i c z n y. Może jeszcze inaczej: biologiczno-genetyczny. Czyżbyśmy, nie wiedząc o tym, płodzili potencjalne potworki z ukrytymi skazami psychicznymi, gotowymi nagle a niespodziewanie wybuchnąć zbrodnią lub szaleństwem?

– Cóż, to jest cena, jaką w całym świecie płaci się za szybki postęp i cywilizację – mówi znajomy lekarz, radny.

– Straszna to cena – mówi dziennikarz, też radny – jeśli jest nią na przykład fakt, o którym słyszeliśmy niedawno: kilkunastoletni chłopcy stąd, z Krakowa, chcieli spalić żywcem swego dziewięcioletniego kolegę... Czy musimy płacić taką cenę? Chodźcie na salę, panowie: przecież po to zebraliśmy się tutaj i obradujemy, żeby do tego nie dopuścić, prawda?

Nie wróciłem na salę, ponieważ byłem umówiony właśnie w sprawie owego chłopca, który płonął żywcem jak pochodnia. Przebywa w Instytucie Pediatrii; wciąż trwa batalia o jego życie, wciąż chwieją się nad nim języki płomieni, pożerające ciało i duszę.

Materiały z sesji będę miał do wglądu, powrócę jeszcze do nich.

Wstęp, wariant III

Chłopak, dziecko dziewięcioletnie, spalony żywcem przez kolegów? W jednym z pism krakowskich ukazała się taka notatka: czyście jej uwierzyli? Czy nie wywołała ona waszego oburzenia i protestu? Nieodpowiedzialny redaktor dyżurny machnął sobie taką wiadomostkę, posłyszaną zapewne wśród plotkujących bab w tramwaju. Czy zastanowił się, jaką czyni szkodę społeczną? Jaką etykietkę przylepia naszemu młodemu pokoleniu? Szczególnie, że po sprawdzeniu okazała się ona n i e p r a w d z i w a, czy też raczej – niezupełnie prawdziwa, a więc myląca, tym szkodliwsza.

Otóż wasz reporter poszedł śladami tej notatki i dotarł do następujących faktów:

Istotnie, w dniu 23 maja, w sobotę po południu, na wysypisku przy ulicy Płaszowskiej, nieopodal stawów zwanych Bagry, uległ poważnemu poparzeniu chłopak nazwiskiem Robert S., bawiący się tu wraz z kilkoma kolegami. Jak wynika jednak z dochodzeń prowadzonych przez kompetentne organy, mowa tu o nieszczęśliwym p r z y p a d k u, a nie o zamierzonym czynie: chłopak po prostu wpadł do dołu, w którym spalały się różne odpadki, zrzucane tu przez okoliczne zakłady.

Wersję tę zdaje się potwierdzać również sąd dla nieletnich, w którego gestii znajduje się ta sprawa; piszę to w trybie warunkowym, ponieważ dochodzenia jeszcze nie zamknięto, sąd oficjalnie nie wyraził swojego zdania.

Wasz reporter będzie towarzyszył tokowi sprawy i we właściwym czasie powiadomi o jej wynikach. Jedno jednakże już dziś wydaje się pewne: nie pomniejszając tragizmu tego wydarzenia, nieszczęścia dziecka i jego rodziny – trzeba je jednak umieścić w sferze niezawinionych przypadków losu. A jako takie nie podlega społecznej ocenie.

2

Mam do czynienia z jednym faktem s z c z e g ó l n y m oraz z zespołem komentarzy przez ten fakt implikowanych. Istnieje ścisła zależność między tymi dwoma członami: jeśli fakt okaże się nieprawdziwy, komentarze siłą rzeczy staną się zbędne; gdybym zaś mimo wszystko utrzymał je w mocy, rozminą się z prawdą, a więc i celem. Pytanie podstawowe, na które muszę odpowiedzieć, brzmi zatem: czy Robert S. płonął żywcem na skutek własnej nieostrożności, czy też został przez kogoś podpalony – a jeśli tak, to czy stało się to przypadkiem, w sposób niezawiniony, czy też czyn został spełniony z rozmysłem, z premedytacją?

Znalazłem się jako reporter w trudnej sytuacji, ponieważ dochodzenia, prowadzone przez Komendę Dzielnicową MO Kraków-Podgórze oraz sąd dla nieletnich, nie zostały jeszcze ukończone, a nawet powiedziałbym: daleko im do ukończenia. Energiczne z początku, w pewnym momencie jakby straciły rozpęd. To nie jest zarzut pryncypialny: każdy rozumie, że śledztwo w sprawach nieletnich jest szczególnie utrudnione, zeznania dzieci plączą się i zaprzeczają sobie wzajem, stopień prawdomówności bywa względny. A poza tym… mój Boże, niczego nikomu nie wmawiam ani nie insynuuję, ale chyba każdy z nas zawahałby się na moment, zatrzymał tuż przed granicą, za którą rozciąga się prawda potworniejąca, prawda nieludzka; nie chce się z nią pogodzić nasze sumienie, oskarża ono także nas samych… Tak czy inaczej, wypadało mi śledztwo przeprowadzać niejako na własną rękę i na własną odpowiedzialność. Właśnie przed chwilą je zamknąłem. Trwam w przerażeniu.

Umówiłem się na dzisiaj z sędzią sądu dla nieletnich prowadzącą sprawę. Odwołam to spotkanie. Musiałbym sugerować własne wnioski, a nie zamierzam wszak wchodzić w kompetencje ani sądu, ani organów dochodzeniowych. W swoim czasie ustalą one prawdę obiektywną w sposób sobie właściwy. Nie taję: wciąż mam łut nadziei, że pomimo wszystko będzie to prawda inna od mojej. I że będę mógł w nią uwierzyć… Póki co jednak muszę się trzymać własnej ścieżki. Wypisać swój własny

Akt oskarżenia

przeciwko:
Maciejowi B., lat 16, uczniowi zasadniczej szkoły zawodowej
Jerzemu M., lat 14, uczniowi szkoły podstawowej
Krzysztofowi W., lat 9, uczniowi szkoły podstawowej
Adamowi G., lat 10, uczniowi szkoły podstawowej

oskarżonym o to, że działając wspólnie i w porozumieniu w dniu 23 maja 1970 r. około godziny 16.00 z poduszczenia Macieja B., podpalili celowo i z premedytacją Roberta S., lat 9, po to, aby zadać mu śmierć.

Motywacja

W rzeczonym dniu Robert S., powróciwszy ze szkoły do domu, zjadł obiad, po czym, korzystając z nieobecności rodziców będących w pracy (ojciec na delegacji poza Krakowem), udał się wraz z dwoma mieszkającymi w pobliżu kolegami ze szkoły, Krzysztofem W. i Adamem G., na wysypisko makulatury przy ulicy Płaszowskiej w celu wspólnej zabawy oraz, jak oświadczyli

w śledztwie, „zbierania złotka", to jest skrawków srebrzystej folii aluminiowej, po drugiej stronie powlekanej natłuszczonym papierem, które to skrawki są tutaj wywożone przez Zakłady „Telpod". Zajechała właśnie ciężarówka i zrzuciła duże bele tej makulatury. Chłopcy zaczęli w niej grzebać i przebierać. W trakcie tej czynności, traktowanej jako zabawa, dołączyli do nich przebywający w pobliżu Maciej B. oraz Jerzy M; Robert S. był im nieznany, natomiast dobrze się znali z pozostałymi dziećmi, to jest Krzysztofem W. i Adamem G.; Maciej B., jako najstarszy, musiał zapewne przejąć przewodnictwo tych igraszek. „Dla śmiechu" okręcono Roberta S. dokładnie folią i wepchnięto w dół pełen innych, także łatwopalnych odpadków. W pewnej chwili chłopak zaczął odczuwać brak powietrza, wystawił więc głowę na zewnątrz i wołał, aby go oswobodzili, wtedy ktoś zatkał mu usta dłonią i równocześnie usłyszał okrzyk Krzysztofa W.: „On się pali, co będzie?". Odpowiedział Maciej B.: „Niech się spali żywcem". Folię, w której znajdował się Robert S., podpalił tenże Maciej B. posiadaną przez siebie zapalniczką; sam przyznał się do tego w śledztwie, jakkolwiek zastrzegając się, że jakoby nie wiedział, iż w środku znajduje się Robert S. Naiwne to tłumaczenie tym bardziej nie zasługuje na wiarę, iż zaprzeczyło mu dalsze postępowanie oskarżonego: nie rzucił się na pomoc płonącemu, mimo iż był najstarszy w tej grupie, lecz stał spokojnie obok, potem zaś uciekł wraz z innymi chłopcami. Jedynie Jerzy M. usiłował w pierwszej chwili ratować Roberta S., częściowo wyciągnął go za nogi z ognia, ale niebawem też uciekł.

Tymczasem Robert S. zdołał się jakoś wyswobodzić z płonącego dołu; krzyczał: „Ratunku!" i dłońmi zrywał z siebie folię, która miejscami wtopiła się w ciało. W pewnej chwili dopomógł mu w tym zbierający w pobliżu makulaturę starszy człowiek, obywatel Józef Małek. Poradził też chłopcu, aby pobiegł do portierni znajdującego się niedaleko zakładu. Chłopak istotnie pobiegł tam i przede wszystkim wylał na siebie wiadro wody. Portier zaczął dzwonić po taksówkę, ale nie mógł się dodzwonić; tymczasem Robert S., nie wytrzymując bólu (folia dalej się tliła), wybiegł na drogę, skąd zabrała go na pogotowie przejeżdżająca taksówka.

Pozostali chłopcy w tym czasie oddalili się do domów, nie mówiąc nic o zaistniałym wypadku swoim rodzicom...

Nie, nie potrafię utrzymać się w tym beznamiętnym tonie oskarżyciela; zbyt mocno to wszystko przeżyłem, zbyt mocno wbiły mi się w pamięć szczegóły, obrazy, słowa... Z drugiej strony chciałbym się ustrzec przed sądami zbyt pochopnymi, podyktowanymi pasją, zgrozą i oburzeniem. Cóż więc robić? Nie

znajduję innego wyjścia, jak sięgnąć do moich reporterskich notatek, gdzie dzień po dniu, rozmowa po rozmowie, urasta ze szczegółów ów makabryczny p r z e w ó d d o w o d o w y...

Z notatnika reportera

Poniedziałek w czerwcu. Zadzwoniłem rano do docenta doktora Jana Grochowskiego, kierownika Kliniki Chirurgicznej w Instytucie Pediatrii, prosząc o rozmowę oraz możność odwiedzenia leżącego tu Roberta S. Jest dzisiaj bardzo zajęty, ale zgodził się, abym zgłosił się do niego około godziny jedenastej.

Wpadł do gabinetu prosto z zabiegu, jeszcze w gumowych rękawicach i białym kitlu. Od razu, jeszcze przed rozmową, zaprowadził mnie do separatki, gdzie leży Robert.

Zapamiętałem tylko twarz – częściowo odsłoniętą już z bandaży; żywe mięso z zaciekami i strupami, rozbiegane białe oczy bez rzęs i brwi; nie domykają się ponoć nawet w czasie snu. W szyi rurka prowadząca do tchawicy. Na nasz widok płacze, rzuca się.

– Może pan z nim porozmawiać, on już artykułuje słowa – mówi doktor.

Cóż tu mówić? Pocieszam chłopaka, że pewno niedługo, jeszcze tylko troszkę, a pojedzie na wakacje. Przestaje płakać, oczy ożywiają się. Okropnym charkotliwym głosem pyta:

– Kiedy... kiedy ja stąd wyjdę?

Lekarze odsłaniają jego ciało: rozlane rany na udach, w kroczu, na ramionach, obandażowane dłonie i stopy. Odwracam oczy, nie wytrzymuję.

Rozmowa w gabinecie. Mówi doktor Grochowski: początkowo prawie żadnej nadziei. Czterdzieści dwa procent powierzchni ciała oparzone. Zmiany w naczyniach miąższowych (nerki, wątroba) i w mózgu. Lewa dłoń tak zwęglona, że należałoby ją amputować. W tej chwili najcięższy kryzys minął, lecz zawsze jeszcze możliwe są niespodzianki. Pytam, czy nie mówił czegoś w pierwszym okresie, w malignie.

– Owszem – odpowiada doktor – wykrzykiwał: „Puśćcie mnie!", „Zostawcie mnie!" oraz „Ratunku!". W sposób widoczny odnosiło się to do jego niedawnych przeżyć (notuję tę wypowiedź specjalnie dokładnie i podkreślam, ponieważ wydaje mi się szczególnie znacząca jako d o w ó d).

Pytam, czy w jego praktyce w tutejszej klinice zdarzały się podobne – co do okoliczności – przypadki. Pamięta doskonale: wrzesień 1967 roku – sześcioletni chłopak, Piotr Długi z Nowego Targu, przywieziony helikopterem. W czasie zabawy przy ognisku koledzy wrzucili go do ognia i siłą przytrzymywali. Dwa lata pozostawał w leczeniu, również cudem wybroniony od śmierci. Czy są

inne przykłady, może mniej drastyczne, okrucieństwa dzieci? Owszem, dosyć częste, choć trudno określić częstotliwość. Pobicia, okaleczenia. Czy pozostawia to – poza urazami fizycznymi, kalectwem itp. – również jakieś urazy psychiczne? Oczywiście, na przykład ten chłopak z Nowego Targu musiał być leczony także psychicznie. Klinika dysponuje fachowcami: psychiatrami i psychologami. Zamawiam się na rozmowę z panią psycholog, na jutro.

Później pojechałem na Wielicką 82, do rodziców Roberta. Nie zastałem ich w domu. Zlustrowałem okolicę. Mieszkają na drugim piętrze nowoczesnego bloku, jednego z pięciu wznoszących się tuż przy dworcu płaszowskim. Obok, w ogrodach, małe pokraczne domki typowego przedmieścia. Ta dzielnica miała złą sławę. Agresywny, pazerny ludek, ni to półproletariat, ni to półposiadacze. Jak w małym miasteczku. Poza tym alkoholizm, złodziejstwo i w ogóle wszystkie grzechy główne...

Zaczepiłem grupkę chłopców w wieku mniej więcej ośmiu, dwunastu lat, bawiących się przed blokiem. Zapytałem, czy wiedzą o tragedii Roberta. Oczywiście wiedzieli, odpowiadali z przejęciem. Jeden z nich powiedział:

– To taki starszy chłopak, może siedemnastoletni, pchnął Roberta w ogień, my go znamy, ciągle chodzi po Krzemionkach...

Wtorek. Starałem się przez Komendę Wojewódzką MO o możliwość wglądu do akt dochodzeniowych Komendy Dzielnicowej MO Podgórze w sprawie Roberta; pozwolono mi na to w drodze wyjątkowej uprzejmości, bo tego normalnie się nie praktykuje. W KD zostałem przyjęty przez porucznika M. prowadzącego sprawę. Trzymał się trochę w rezerwie, czemu się nie dziwię. W każdym razie dowiedziałem się wielu istotnych szczegółów, takich jak choćby personalia chłopców uczestniczących w zajściu oraz ich adresy.

Z protokołów przesłuchania chłopców wynika – tak przynajmniej referował mi je porucznik – że solidarnie wypierają się jakiegokolwiek współudziału w wypadku. Ot, po prostu bawili się; wszędzie walają się tu odpadki, które się palą, ktoś je podpala – i Robert nieszczęśliwie wpadł do takiego palącego się dołu... a oni przestraszyli się i uciekli.

– Pan temu wierzy? – pytam porucznika obcesowo.

Nie odpowiada wprost.

– Widzi pan, to są dzieci, do ich zeznań zawsze trzeba odnosić się z pewną dozą krytycyzmu...

Zastanawia mnie jeden szczegół – mówię o tym, raczej myślę głośno: niewątpliwie wmieszany był w to wszystko ów najstarszy chłopak, prawie siedemnastoletni Maciej B. Jak to – taki stary koń, a bawi się z dziewięcioletnimi mikrusami? Z przesłuchania wynika, że owszem, miał przy sobie zapalniczkę

i podpalał to i owo. Wymknęło się także porucznikowi – widocznie jego też to zafrapowało – że matka Macieja B. zeznała, że on tak zawsze lubi bawić się z młodszymi od siebie. Infantylizm? Nie, porucznik przeczy: zupełnie normalny chłopak, uczy się w szkole zawodowej, przyzakładowej, wygląda i zachowuje się normalnie, nie był notowany w kartotekach milicyjnych... A więc? Może chęć przewodzenia, podporządkowywania sobie tych maluchów? Może diabli wiedzą jakie skazy charakteru albo i zboczenia?

Takie głośne myślenie nic nie wniesie. Porucznik daje do zrozumienia, że też ma rozmaite wątpliwości, ale przezornie nie wychyla się w osądach ani na włos. Dowiaduję się w końcu jednego ważnego szczegółu: Maciej B. został bezpośrednio po zajściu zatrzymany jako podejrzany, wkrótce jednak zwolniono go na podstawie decyzji sądu dla nieletnich (który w tym wypadku, kiedy chodzi o dzieci, spełnia funkcję prokuratury), ponieważ nie dopatrzono się na razie niezbitych dowodów winy ani dostatecznie umotywowanych poszlak.

Patrzę ze współczuciem na porucznika: czasem rola jego instytucji jest zaiste niełatwa. Mamy się niebawem spotkać w sądzie dla nieletnich.

Środa. Oglądnąłem sobie teren tego wysypiska przy ulicy Płaszowskiej. Bagniste rozlewiska Bagrów, a dalej doły, jamy, góry odpadków, z których niektóre tlą się, żarzą, dymią. Kilku starych ludzi, śmieciarzy, żyjących ze zbierania makulatury, i watahy dokazujących chłopaków, którzy mają tu swój „Dziki Zachód". Na miły Bóg, kto pozwolił na usytuowanie takiego niebezpiecznego wysypiska tuż przy obrzeżu półmilionowego miasta, wśród domostw, o krok od linii tramwajowej?! A skoro już do tego dopuszczono, to dlaczego nie jest to teren kontrolowany przez strażników, jakoś zabezpieczony? Za każdą śmierć i każde kalectwo, które się tu zdarzy, czyniłbym odpowiedzialną przede wszystkim Radę Narodową Podgórza, gospodarza tych terenów.

Dzisiaj także doszło do spotkania z doktorem Zofią Kordyl, psychologiem Instytutu Pediatrii. Jako hasło wywoławcze rozmowy poddałem temat agresywności wieku dziecięcego. Pani psycholog ma i olbrzymie doświadczenie, i interesujące spostrzeżenia. Współczesne cechy tej agresywności wywodzi przede wszystkim z niedowładu życia rodzinnego. Z braku troski rodziców o życie uczuciowe dziecka, o kształtowanie jego wrażliwości w sensie o t w a r c i a wobec innych ludzi. Dziecko na ogół jest przyuczone do tego, aby pamiętać wyłącznie o sobie, o własnych przyjemnościach i wygodach. Rodzi się z tego zjawisko bezmyślności, braku hamulców, żywiołowego stosunku do przedmiotów, zwierząt, ludzi... Właśnie w tej hierarchii: zaczyna się od bezkarnego niszczenia przedmiotów, potem maltretowania i zabijania zwierząt,

a potem... no nie, nie zawsze stopniowanie jest pełne, nie przesadzajmy. Jest i drugi aspekt tej agresywności, z zasady w wieku nieco późniejszym, wśród nastolatków, kiedy bywa sposobem reagowania na bodźce środowiskowe.

Niestety, musiałem szybciej zakończyć tę rozmowę, niżbym chciał, ponieważ od owej psychologii teoretycznej oderwała mnie p s y c h o l o g i a s t o s o w a n a. Mam iść do mieszkania Macieja B.

Nie zastałem go w domu. Była tylko jego matka. W kącie pokoju stoją wędki: tak, mąż jest zapalonym wędkarzem i właśnie wtedy, w tę nieszczęsną sobotę, Maciek poszedł na Bagry, aby nałowić ojcu żywca... Co za nieszczęście, panie, co za nieszczęście! No tak, bywał tam i częściej, w Płaszowie mieszka teściowa, jego babcia, to często ją odwiedzał... Nawet znał dwóch chłopców spośród tych trzech, ale Roberta nie, w ogóle go nigdy nie widział... Czy lubi się bawić z młodszymi? A owszem, jakoś do niego lgną – może dlatego że on sam jest jeszcze trochę dziecinny, taki, no, jak panienka... Dobrze, jak pan sobie życzy, to może się pan z nim zobaczyć niechby jutro, tak o tej porze – może trochę później, jak przyjdzie z pracy, i mąż wtedy będzie...

Czwartek. Zastanę go czy nie zastanę? Przywiązuję dużą wagę do tego spotkania. Przeglądnąłem notatki, zastanowiłem się, przypomniałem sobie jeszcze niektóre pominięte tu szczególiki – no, nie uprzedzajmy wypadków.

Za pierwszym razem – cisza za drzwiami. Poczekałem, potem zszedłem na ulicę, zjadłem lody, powłóczyłem się. Po półgodzinie – znowu dzwonię, dwa razy, jak zwykle dzwonią domownicy. Ktoś się poruszył, drzwi się otwierają. Chłopak może dwudziestoletni, starszy brat? Czy ojciec jest? Nie, nie ma, jeszcze nie wrócił z pracy. Ale ja się przecież umawiałem wczoraj z pana matką, że przyjdę. Czy jest Maciej? A jest, proszę, niech pan wejdzie.

Zostawił mnie samego w pokoju, a za chwilę wszedł on, Maciej. Drobny, szczupły, ładna pociągła twarz, duże oczy – spokojne, ale z wyrazem napięcia. Blondyn. Zagadałem – o tych wędkach, stojących w kącie, o rybach. Że sam też jestem wędkarzem.

– Gdzie ojciec łowi?

– Przeważnie na Dunajcu – odpowiedział nieomal basem, jakże kontrastującym z tą jego szczupłością, chłopaczkowatością...

Ech, mocny i zwinny młody chłopak, żadna tam „panienka". Ale ma w sobie jednak coś dziwnego... Co? Nie wiem. Czuję.

Proszę, aby opowiedział swoją wersję wypadków. Początkowe szczegóły nieważne. Zapisuję, co najważniejsze:

– Tam zwalano z ciężarówki takie bele, szukaliśmy w nich piłeczek gumowych, czasem są takie z „Semperitu"[1]. Kręcili się jacyś chłopcy. Tak, to prawda,

[1] Polskie Zakłady Gumowe „Semperit".

miałem przy sobie zapalniczkę i podpaliłem taką jedną kupę odpadków, ale nie wiedziałem, że tam w środku ktoś jest, dopiero, jak zaczął ruszać się i krzyczeć... Tak, to prawda, że nie poszedłem mu na pomoc. Przestraszyłem się. Uciekłem.

Zapaliłem papierosa, odczekałem chwilę. Maciej B. zapytał:

– A czy on żyje?

– Jak to, nie zainteresowałeś się tym przedtem? Owszem żyje. Może w y ż y j e.

Spodziewałem się ulgi w tych dużych, spokojnych, napiętych oczach. Przeciwnie. Jakby jeszcze bardziej skamieniały.

Zapytałem:

– Czy czujesz się winny?

– Tak, czuję się winny tego, że podpaliłem kupę śmieci.

– A czy nie czujesz się winny, że nie udzieliłeś pomocy, że uciekłeś, mimo że to ty właśnie podpaliłeś i że ty byłeś z tych chłopaków najstarszy, więc powinieneś za nich odpowiadać?

Przedłużająca się chwila milczenia, wreszcie, jakby z wahaniem:

– Tak, za to też czuję się winny.

Odszedłem. Czegóż więcej mogłem oczekiwać? I tak dokonało się wiele. Zyskałem nieomal pewność.

Sumuję tę rozmowę:

a) przyznał się, że zapalił;

b) twierdzi, że nie wiedział, że ktoś tam jest; to przecież nie była jakaś monstrualna góra śmieci, tylko niegłęboki dół; zresztą wokół, jak mówi, kręcili się ci znajomi chłopcy, z którymi był Robert, więc by go uprzedzili, ostrzegli; może to zresztą zarazem dowodzić, że był z nimi w zmowie;

c) wiadomość o tym, że Robert żyje, przyjął bez ulgi, lecz jakby z niepokojem; o co? że Robert po przyjściu do siebie coś opisze, coś w y g a d a?

d) nie wykazał jakiejkolwiek skruchy – to jego przyznanie się do winy było niejako wymuszone;

e) wrażenie ogólne: ten chłopak ma w sobie coś nienaturalnego; coś, co się tylko wyczuwa, co się kryje w tych kontrastach między dorosłością a chłopaczkowatością, między buzią cherubina a kamiennym spokojem oczu... Mój Boże, oczywiście, że to wszystko jest niepewne i niewymierne, opisuję tylko w r a ż e n i a. Aby stwierdzić jego rzeczywisty stan psychiczny, trzeba by było długich i fachowych badań psychiatrycznych.

(*przerwa w notatkach*)

Wtorek. Byłem dzisiaj znowu u rodziców Roberta i wreszcie ich zastałem. Dowiedziałem się czegoś, czego jeszcze nie wie ani milicja, ani nikt w ogóle. Pani S. powiedziała mi, że wczoraj, to jest w poniedziałek 30 czerwca, po południu, około godziny siedemnastej, kiedy przebywała jak co dzień o tej porze w separatce Roberta, ten poczuł się szczególnie dobrze, zelżał jakoś strach, leżący dotąd na nim kamieniem, i w długim monologu (wyobrażam sobie te chrypiące, wyrywane z krtani słowa...) opowiedział jej, jak było naprawdę.

Cytuję prawie dosłownie:

– Głaskałam go, był dzisiaj ożywiony i nie płakał, i w pewnej chwili zapytałam go: „Robuś, jak to się z tobą stało? Bawiliście się czy co?". On chwilę myślał i powiedział: „Tak, mamusiu, bawiliśmy się i oni owijali mnie tą folią, i wepchnęli do dołu, a jak zacząłem krzyczeć, to mi ręką zatykali usta, a potem podskoczył ten starszy chłopak i podpalił, ja strasznie krzyczałem...".

A oto uzupełniająca relacja ojca Roberta:

Wiadomość o wypadku syna zastała go poza Krakowem, był na delegacji służbowej. Wkrótce po przyjeździe odszukał Krzysztofa W., nie w domu, lecz na ulicy, i zapytał go: „Krzysztof, powiedz, jak było naprawdę". Wtedy podszedł do nich jakiś starszy chłopak i oświadczył: „Proszę pana, Krzysztof na milicji wszystko skłamał, bo bał się bicia od ojca; mówił choćby, że nie wie, jak się nazywał ten ich prowodyr, a w gruncie rzeczy wie i ja też wiem, on się nazywał Maciej B. I to ten właśnie chłopak podpalił Roberta, a jak Krzysztof krzyknął, to tamten powiedział: »Niech się spali żywcem«". Pan S. zapytał Krzysztofa, dlaczego kłamał, a ten odpowiedział: „Bo mi B. groził". Ojciec Roberta zaprowadził go natychmiast na milicję, aby zmienił zeznania. Jak Krzysztof W. zeznawał po raz drugi – nie wie, nie był przy tym obecny, bo był zbyt wzburzony i został wyproszony z lokalu MO...

Na koniec obydwoje rodzice podsuwają mi dwie fotografie Roberta: z niedawnej Komunii Świętej oraz z karty tramwajowej. Ładniutkie, wychuchane dziecko. Na tę uśmiechniętą twarzyczkę nakłada mi się obraz tej drugiej, w strupach, zaciekach i nadżerkach, widzianej w separatce kliniki. Te dwie twarze nigdy już nie będą takie same.

Epilog

Spotkali się znowu u mnie: lekarz, dziennikarz, plastyk. Był jeszcze na dokładkę prawnik.

Zreferowałem wynik swego prywatnego śledztwa.

– Czy jesteś pewny ostatecznej konkluzji? – zapytał prawnik. – Ostrzegam cię przed odpowiedzialnością.

– Nie. Nie wyręczam wszak milicji ani sądu. Uznaję tę konkluzję tylko za wysoce prawdopodobną; na tyle prawdopodobną, że mogę na jej podstawie budować dalsze przesłanki rozumowe. Czy też inaczej: komentarze i wnioski.

– A jeśli strona przez ciebie obwiniona – upewniał się – zostanie w toku normalnego przewodu sądowego oczyszczona z zarzutów? Czy odwołasz publicznie swoje oskarżenie?

– Jeśli zostanę przekonany argumentacją i faktami, to tak, oczywiście. Tutaj występuję przecież tylko jako rzecznik własnych przekonań. A także, w jakimś sensie, rzecznik opinii publicznej.

– No to dobra, wal już swoje wnioski i komentarze – zawyrokował prawnik.

– Co z moim balsamem? – wpadł w słowo plastyk.

– Co z moją lagą? – przypomniał sobie dziennikarz.

– Panowie, tylko bez ogólników – skarcił lekarz. – Jerzy zebrał dane bardzo konkretne, a poza tym wszyscy uczestniczyliśmy w sesji rady również bardzo konkretnej; mówmy w dalszym ciągu konkretnie.

– Zgoda zacznijmy od wniosków z sesji – powiedziałem. – Przypomnę z arcyciekawej analizy kuratora Nowaka fakt, który może uszedł waszej uwagi: co dziewiąta, dziesiąta rodzina w środowiskach przemysłowych jest, jak on to określił, m o r a l n i e z a g r o ż o n a. Wśród przyczyn – i ta niebagatelna, którą zacytuję dosłownie: „Rodzina w Krakowie, podobnie jak w innych wielkich miastach, ulega dezintegracji. Typowa dziś jest rodzina mała, na którą w minimalnym stopniu oddziaływa nacisk opinii bliższych i dalszych krewnych: coraz powszechniejsze stają się zjawiska aktywności zawodowej obojga rodziców, indywidualizacji zainteresowań, krzyżowania licznych modeli wzorców osobowych i kulturowych – co nie sprzyja wykształceniu silnego poczucia więzi rodzinnej. Sytuację utrudnia fakt, że współczesne wychowanie, zarówno to rodzinne jak i instytucjonalne, w zasadzie nie przygotowuje młodzieży do przyszłej roli małżonków, ojców i matek. Tymczasem coraz większa liczba rodziców to ludzie młodzi…”. Nic dodać, panowie, ani ująć. Ja tutaj odnajduję odpowiedź na pytanie, dlaczego Robert S. stał się żywą pochodnią i dlaczego, być może, w najbliższych latach takich pochodni spotkamy więcej. Pani psycholog, której zdanie tutaj wam przytoczyłem, ujęła rzecz zwięźlej: „Niedowład rodziny”. Ale wydawała się przy tym zwolenniczką owego cudownego balsamu: że coś przyjdzie z zewnątrz i namaści nasze oczy, oczy matek, ojców i dzieci, miłością i dobrocią. Chrystianizm wierzył w taką magiczną formułę – i z jakim skutkiem? (Na marginesie stwierdzę, że wszyscy chłopcy z kręgu Roberta łącznie z Maciejem B. byli wychowywani jak najbardziej religijnie). Kurator Nowak proponuje coś innego – skoro punktem wyjścia są

małe odosobnione rodziny, absolutnie nieprzygotowane do mądrego i odpowiedzialnego wychowywania dzieci... Powiada mianowicie: trzeba w sposób rygorystyczny, obowiązkowy uczyć rodziców funkcji wychowawczych. Konkretnie: zacząć od rodziców dzieci z przedszkoli, a potem rodziców dzieci z klas pierwszych, piątych i ósmych szkół podstawowych oraz pierwszych i ostatnich klas szkół zawodowych i średnich. To znaczy w okresach, kiedy dziecko przechodzi najważniejsze fazy rozwojowe. I to ma być w Krakowie realizowane z całą sumiennością. Aby w dalszych latach nie było już więcej żywych pochodni...

– I ty to uważasz za jedyne skuteczne panaceum? – powątpiewał dziennikarz. – Też balsam, tylko że inny, mniej poetyczny.

– Od czegoś trzeba zacząć – powiedziałem. – Nie można stać bezczynnie, kiedy człowiek płonie.

– Może i masz rację – powiedział plastyk. – Hasior ci się kłania.

– Obiecałem wam dalsze informacje o toku sprawy Roberta S. Moje obserwacje wzbogaciły się tymczasem o wyniki ostatniej sesji rady miasta Krakowa, poświęconej, jak wiadomo, wychowaniu. Czy zwróciliście uwagę na fakt, podkreślony w sprawozdaniach, że coraz większa liczba dzieci ma najrozmaitsze skazy i odchylenia psychiczne? Dojrzeliśmy do tego, aby spojrzeć prawdzie w oczy. To są uboczne skutki cywilizacji – przede wszystkim postępu higieny i medycyny, która utrzymuje przy życiu dzieci dawniej skazane na nieuchronną śmierć, eliminowane przez naturalną selekcję. A jesteśmy wszak dumni, że stajemy się społeczeństwem wysoce cywilizowanym. W sprawie Roberta S. wychodzą na jaw coraz nowe szczegóły. Nawet gdyby przyjąć, że jego tragiczny wypadek wynikł z okrutnej zmowy grupy dzieci – to niewątpliwie dzieci te należą właśnie do owego marginesu „odpadów cywilizacyjnych". Trzon społeczeństwa pozostaje zdrowy. A o to przecież chodzi...

Jerzy Lovell, *Jak żyć? Zbiór reportaży*, Warszawa: Iskry, 1972, s. 5–34

1973

Małgorzata Szejnert (ur. 1936)

Rozsypane drobiazgi zbierać cierpliwie

To był hit nad hity. Reportaż *Mitra pod kapeluszem* o tym, co porabiają byli arystokraci w ludowym państwie polskim. Małgorzata Szejnert wspomina, jak powstał:

> Jerzy Urban w 1973 roku był w „Polityce" kierownikiem działu krajowego. Zapraszał ludzi z zewnątrz do współpracy, miał listę tematów. [...] Właśnie Urban wymyślił tę arystokrację. Wtykał ją paru osobom, ale nikt nie chciał pisać tekstu, który raczej zdejmą. Spytałam, czy na pewno się nie ukaże. Na to Urban, że Mieczysław Rakowski, naczelny, dostał placet, by „Polityka" miała tylko cenzurę wewnętrzną, i on myśli, że arystokracja przez taką cenzurę przejdzie. Rakowski nie chciał tego tekstu, ale kolegium zadecydowało, że puszcza. Reportaż szedł w dwóch odcinkach. Pierwszy na Wielkanoc 1973 roku, a drugi w tydzień później, 1 maja, tak się układało w kalendarzu. Na trybunie pierwszomajowej ambasador radziecki nawymyślał Jerzemu Łukaszewiczowi, sekretarzowi KC odpowiedzialnemu za propagandę, że to skandal drukować w robotnicze święto tekst o jaśniepanach. I Łukaszewicz, waląc pięścią w stół, pozbawił podobno Rakowskiego nagrody państwowej.
>
> Jak przeżyła ten reportaż autorka?
>
> Kiedy tekst został odsądzony, wydział prasy zorganizował na mnie nagonkę. Wezwali iluś dziennikarzy i zlecili im polemikę. I zaczęły się kolejne brutalne teksty. [...] Dziennikarze zagraniczni zainteresowali się, czemu reportaż wywołuje takie namiętności, przedrukowało go mnóstwo zachodnich gazet. To poruszyło towarzyszy, władze partyjne zrobiły zapis na moje nazwisko i tekst. Nastała głucha cisza. Ale byłam już taka sławna, że kiedy poszłam na pocztę i podałam nazwisko, to panienka odwróciła się do koleżanek i krzyknęła: „Dziewczyny, to ta, co arystokrację napisała!". Gazetę z tym tekstem sprzedawano na „ciuchach" za ciężkie pieniądze, bo wtedy nie było ksero.

Jeden z krytycznych tekstów o tym reportażu zamieściła „Trybuna Ludu" (9 maja 1973):

> W „Polityce" ukazał się ostatnio nieodpowiedzialny i bałamutny tekst z życia książąt i hrabiów PRL [...]. Zadziwia już sam wybór tematu we współczesnych proporcjach polskiego życia zupełnie peryferyjnego, wyzutego

> z jakichkolwiek głębszych znaczeń [...]. Zdecydowany sprzeciw budzi dobrotliwe ujęcie, w którym pewne elementy ironii tak subtelnej, że niemal niedostrzegalnej, zostały „zrównoważone" rozproszonymi w tekście opiniami rewidującymi wykładnię problemu. Pominięcie klasowych ocen uderza tym bardziej, że druga część artykułu ukazała się w numerze pierwszomajowym [...].

Sukces *Mitry pod kapeluszem* zbiegł się z przyjęciem Małgorzaty Szejnert do redakcji „Literatury", gdzie najpierw była reporterką, a potem szefową działu. Wydział Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego skończyła w 1958 roku. Potem pracowała m.in. w „Kurierze Polskim" i „Tygodniku Demokratycznym". Po zamknięciu „Literatury" w grudniu 1981 roku w ramach – jak mówi – samopomocy sąsiedzkiej dostała posadę rzecznika prasowego w Instytucie Psychoneurologii, pół etatu. Robiła też dla zarobku kompozycje z suchych kwiatów. Widywała je potem w różnych domach. Pisała drobne teksty do podziemnych gazet. Uczyli się z synem angielskiego, bo chciała, żeby wyjechał z Polski, „żeby jego dzieci się tu nie rodziły". Miała w Stanach parę tysięcy dolarów spadku i życzliwą ciotkę, więc wyjechała. Pracowała w nowojorskim „Dzienniku Polskim". Wróciła w 1986 roku. Trzy lata później zakładała „Gazetę Wyborczą". Od 1991 roku przez piętnaście lat była w niej szefową działu reportażu. Magdalena Grzebałkowska, Jacek Hugo-Bader, Włodzimierz Nowak, Katarzyna Surmiak-Domańska, Wojciech Tochman i niżej podpisany to jej wychowankowie.

Najciekawsze reportaże Szejnert z lat siedemdziesiątych ukazały się w 2012 roku w tomie *My, właściciele Teksasu*. Czytanie tekstów z tego tomu i odszyfrowywanie, czego Szejnert „nie napisała, pisząc" (w „Literaturze" urząd cenzury nie przepuścił jej kiedyś czterech reportaży z rzędu), może być ciekawą szaradą. To zapis życia w społeczeństwie, które zmusza człowieka do kompromisu ze wszystkim.

Oto pan Stolarek – podczas eksperymentu polegającego na tym, że grupa dzieci z domu dziecka wybiera z grupy dorosłych przyszłych rodziców, okazuje się człowiekiem konfliktowym. „Konfliktowy? – pyta reporterka. – Więc lepszy ojciec, który ze wszystkimi jest w zgodzie?" i słyszy w odpowiedzi:

> Pan Stolarek wymaga od ludzi, żeby postępowali sprawiedliwie w sposób bezwzględny, a życie jest, niestety, bardziej skomplikowane. Dzieci mogą ponosić koszt takiej postawy.

Oto pani Zosia – sprzedawczyni z warszawskiego Supersamu, która pracuje „na tradycji". Supersam miał być wprawdzie samoobsługowy, ale niestety

pewnych wędlin i mięsa ludzie nie mogli brać sami do ręki, bo kończyło się to dramatami, w związku z czym wprowadzono, wbrew postulowanej nowoczesności, tradycyjną ladę. I na nią mówi się tradycja. Pani Zosia z tradycji jest więc u szczytu zmęczenia i zwierza się, że najgorsze jest czekanie.

> Kiedy ludzie nie biorą tego, co jest, ale stoją za lepszą dostawą. Tego nie mogę wytrzymać, nie mogę. Jadąc rano do pracy, aż mam kurcze brzucha.

Oto ogrodnik prywaciarz spod Łodzi, pan Dziomdziora, budzący emocje bogacz, który ponoć lata prywatnym samolotem i lokuje pieniądze w obrazach Picassa – oznajmia, że wchodzi w strelicje, z palmy zaś będzie się wycofywał.

> Myśmy rozpoczęli po wojnie polskie palmiarstwo. I zapotrzebowanie na palmy ciągle trwa. W nowym budownictwie zaraz za telewizorem idzie fikus i ja nawet chciałem pójść ludziom na rękę, wyhodować minifikus, taki w sam raz, co i prestiż daje, i mieści się jakoś. Specjalizacja jest jednak konieczna dzisiaj i ja idę na cięte.

Oto kierowniczka stołówki przyzakładowej, gdzie w ciasnocie i bez podstawowych norm BHP przygotowuje się posiłki dla czternastu tysięcy robotników.

> [...] jest osobą dużą, postawną, a urzęduje w kantorku półtora metra na trzy, razem z dwiema pracownicami. Z początku było jej duszno, a teraz dobrze.

Jak zauważył w 1978 roku jeden z recenzentów, przedmiotem zainteresowania reporterki Szejnert nie jest żadne zdarzenie szczególne. I dlatego – dodam – te teksty mogą być dla nas dzisiaj fascynujące.

Marek Miller w *Reporterów sposób na życie* zauważa, że w książkach Szejnert trudno znaleźć miejsca, w których opowiadałaby o sobie. Zawsze niewidoczna, ukryta za zdarzeniami. „Reporter nie jest tematem. To nie gwiazda filmowa" – powiedziała mu w 1979 roku.

Dziesięć lat po napisaniu tych słów Małgorzata Szejnert pojawia się jednak w swojej książce. Gdy pisze reporterski pamiętnik ze śledztwa. Wielu wielbicieli literatury faktu – w tym ja – uważa go za jej najwspanialszą książkę. Chodzi o *Śród żywych duchów* (Londyn 1990). Jest to zapis półtorarocznych poszukiwań miejsca pochówku ludzi zamordowanych w więzieniu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego na Rakowieckiej w Warszawie. Reporterka robi wszystko, by je odnaleźć, mimo że ślady starannie zatarto. Piotr Lipiński pisał o tej książce, że jest „arcyważna". Autorka pewnie by się z tym nie zgodziła, ale dla mnie to kryminał *non-fiction*. Naszemu pokoleniu – wychowanych przez Szejnert – jej reporterskie śledztwo imponuje niezwykłą cierpliwością (bardzo ważną w tym

zawodzie), starannością i przenikliwością. „Obserwujemy tradycyjny, najlepszy warsztat reportera, który krążąc między ludźmi, układa obraz z porozsypywanych drobiazgów" – pisał Lipiński.

Rozpoczęła to śledztwo w 1988 roku. Komuna co prawda upadła już rok później, ale nim to się stało, nikomu nie przychodził do głowy taki obrót sprawy. Władza i Służba Bezpieczeństwa nadal rządziły twardo, ludzie bali się mówić. Szejnert musiała najpierw przekonać rodziny skazanych. Były nieufne, dziennikarz źle się im kojarzył. To przecież o ich krewnych komunistyczne gazety pisały okrutne słowa: zdrajcy, pachołki, sługusy.

W 1991 roku Marek Miller, wtedy naczelny pisma „Bestseller", ustanowił nagrodę w dziedzinie reportażu Bestseller Roku; w jury zasiedli: Hanna Krall, Ryszard Kapuściński i Krzysztof Kąkolewski. Jednogłośnie przyznali tę nagrodę *Śród żywych duchów*.

Ponad trzydzieści lat temu Małgorzata Szejnert mówiła, że uprawianie reportażu wymaga świeżości, lekceważenia niewygód, wrażliwości, a to się niestety z wiekiem traci. Okazało się, że nie miała racji. Przynajmniej jeśli chodzi o nią samą. Ostatnie lata to wysyp jej książek reporterskich: *Czarny ogród* (2007), obsypany nagrodami, znalazł się w finale Nagrody Literackiej Nike, *Wyspa klucz* (2009), która została nagrodzona Nagrodą Literacką Gdynia, czy *Dom żółwia* (2011) – także w finale Nike. Razem z Hanną Krall są dziś chyba jedynymi aktywnymi reporterkami swojego pokolenia. Małgorzata Szejnert wydaje książki co dwa lata i właśnie pracuje nad następną.

Mitra pod kapeluszem. Życie książąt oraz hrabiów w PRL

Ich przodkowie przez wieki rządzili Polską. Byli hetmanami, wojewodami, marszałkami, mieli pałace nieustępujące królewskim, monarsze samopoczucie, prywatne armie, dobra liczące setki tysięcy hektarów i dusz chłopskich. Oni – mieszkają w M-3, M-4, chodzą z siatkami po zakupy, jeżdżą tramwajami i od innych obywateli PRL tym tylko się różnią, że ich dzieci w szkolnych podręcznikach historii napotykają swoje nazwiska.

Historyczne rody przeszły do historii, tworzyć ją przestały. Więc jak żyje się w Polsce Ludowej Potockim, Czartoryskim, Radziwiłłom, Lubomirskim, Zamoyskim, Tarnowskim?

Ongiś nazwiska te wiązały się ze wzlotami i upadkami Polski. Nastanie władzy ludowej przed prawie trzydziestu laty odebrało ludziom błękitnej krwi to, co jeszcze im w XX wieku zostało: majątki, dominującą pozycję towarzyską i prestiżową. Reforma rolna – pierwsze chronologiczne dokonanie władzy ludowej – na moment zwróciła na nich uwagę opinii publicznej. Byli symbolem czasów i stosunków, które odchodzą w przeszłość. W „Przekroju" co tydzień karykaturalny hrabia Bęc-Walski uosabiał moce wrogie nowym porządkom. Potem zostali zapomniani.

– Więc jak żyje się dziś ekskarmazynom?

Zwyczajnie – i to ma jednak swój ważny sens. [...]

Sześć nazwisk

Jakiegoś hrabiego prawie każdy w PRL mógł oglądać. Byłych arystokratów mamy, zda się, na pęczki. Ale – jak wywodzi Szymon Konarski w książce *O heraldyce i heraldycznym snobizmie* wydanej przez Księgarnię Polską w Paryżu w 1968 roku – rodzin naprawdę utytułowanych mamy tylko sto dwadzieścia cztery, rodzin o fałszywych, kiedyś tam przywłaszczonych tytułach [...] dwieście dwanaście. „Wiemy, że pierwsza grupa stale się zmniejsza przez wymieranie – druga stale powiększa z przyczyn trudnych do wyrozumienia. Mimo woli przychodzi na myśl znana prawda ekonomiczna o tym, że zawsze i wszędzie zła waluta wypiera dobrą" – pisze sentencjonalnie Konarski.

Kogo w 1973 roku zaliczyć w Polsce do arystokracji rodowej? [...]

Pieniądze i władza przychodzą i odchodzą, ale pochodzenie jest przyrośnięte do człowieka. Nie można z niego zrezygnować na rzecz lepszego ani gorszego, co bywa przyczyną smutnych komplikacji ludzkiego losu.

Mogłoby się wydawać, że arystokracja rodowa to termin ścisły. Nie w Polsce jednak. [...]

Jeszcze w latach 1927 i 1923 kancelaria królewska w Madrycie (szefem heroldii był tam ktoś stary i mało podejrzliwy) zarejestrowała następujące polskie rodziny książęce: Jabłonowskich (prawdziwie książęcy ród Jabłonowskich wygasł), Bielskich i Świdrygiełło-Świderskich. A na tym nie koniec. Już po drugiej wojnie światowej hrabia Chebda de Cienie Cieński zarejestrował swój rzekomy tytuł piastowski w londyńskim College of Arms, a Zbigniew Belina-Prażmowski zarejestrował w Edynburgu średniowieczny tytuł barona!

Znam historię kogoś z sygnetem, kto w pierwszych latach Polski Ludowej miał ciągłe kłopoty „ze względu na pochodzenie", a był synem krawca. Wolał tarapaty hrabiego niż porzucenie roli, którą polubił.

Potrzeba szlacheckiego klejnotu jest zadziwiająco aktualna. Grawerzy przy Nowym Świecie w Warszawie nie chcą robić miniaturek Krzyża Grunwaldu, bo zawaleni są bardziej intratną robotą, rzeźbieniem herbów na okach sygnetów. Połowa zleceń pochodzi od błękitnych w kraju, połowa od przyjezdnych, zwłaszcza od Polonii amerykańskiej, poszukującej korzeni nie na chłopskim, lecz na dworskim zagonie. Pracowici historycy, niedopłaceni na posadzie, mogą dorobić produkcją drzew genealogicznych; to także towar bardzo chodliwy w PRL, z dużymi możliwościami eksportowymi. Mecenas Kozdroj z USA zamówił w Polsce wspaniałe drzewo, nie tyle wysokie, ile szerokie, z dwusetką żyjących krewniaków na dolnych gałęziach. Zaopatrzony w rulon ruszył do starego kraju i objechał całą rodzinę rzemiennym dyszlem wraz ze swym polskim sekretarzem i zarazem osobistym heraldykiem. Sekretarz spisał obszerną kronikę podróży, która zamiłowaniem do kulinarnych detali przypomina najlepsze stronice Reja i Paska.

[...] Wszelkie księgi dotyczące heraldyki, genealogii i nazwisk znajdujące się w czytelni Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie są w nieustannym czytaniu.

Wygląda na to, że blisko trzydzieści lat od powstania Polski Ludowej niejeden inteligent miejski, mogąc sobie wybrać pochodzenie, sięgnąłby po arystokratyczne, chociaż dobrze pamiętamy czasy, kiedy lepiej się było do niego nie przyznawać. Fascynacje błękitem przetrwały zły okres w bardzo dobrej formie. [...]

Kto ma jednak stanowić temat tego artykułu? [...] Postanowiłam zapytać błękitnych, kogo by sami wybrali. Okazało się, że są prawie jednomyślni, proponując sześć pierwszych nazwisk. Przy siódmym nazwisku następowały wahania, a do ósmego miejsca kandydowały dziesiątki.

Oto wymieniona szóstka: Radziwiłłowie, Czartoryscy, Potoccy, Zamoyscy, Tarnowscy, Lubomirscy. Część moich rozmówców stawiała na czele Czartoryskich, przyznając im większą rolę historyczną i większą szacowność. Większość jednak wysunęła na pierwszy plan Radziwiłłów dla ich dawnej potęgi. Okazało się więc, że sprawa jest nadspodziewanie jasna. O tym, kto należy dziś w Polsce do najbłękitniejszych, decyduje tradycja historyczna, podręcznikowa. Te same nazwiska zaproponowano by w okresie międzywojennym, dodając jeszcze zapewne Sapiehów i Sanguszków, którzy nie mają dziś w Polsce męskich przedstawicieli.

Tyle historii, i to w takim miejscu

Sami eksksiążęta i hrabiowie twierdzą, że przeżycia wojny i okupacji miały zasadnicze znaczenie dla przystosowania się tej warstwy do zmian, jakie jej przyniosła rewolucja społeczna. Ale upadek zaczął się wcześniej. W XIX wieku arystokracja – niedostosowująca się do gospodarki kapitalistycznej i częściowo wywłaszczana za powstania – podupadła ekonomicznie. Z nastaniem XX wieku skończyła się jako czynnik polityczny. W dwudziestoleciu międzywojennym sfery ziemiańsko-konserwatywne, niemające zaplecza społecznego i wyborców, przestały odgrywać rolę polityczną. Wyjątkiem Janusz Radziwiłł i dwóch Lubomirskich, którzy przez moment liczyli się w grze politycznej marszałka Piłsudskiego. Niedorozwój kapitalizmu polskiego i ciążenie feudalnej obyczajowości oraz historycznych sentymentów trzymało wszakże arystokrację na towarzyskim świeczniku. Od prawdziwych lub przyszywanych hrabiów roiło się w kawalerii i MSZ.

Jan Zamoyski, ostatni ordynat i potomek hetmana, siwy wąs, marynarka szafirowa z lśniącymi guzikami, swobodna życzliwość i tolerancja dla pytań, mówi:

– Wojna nas przeszlifowała.

Jan Zamoyski przez całą wojnę mógł, w ograniczonym wprawdzie zakresie, zarządzać największą w Polsce ordynacją o powierzchni sześćdziesięciu czterech tysięcy hektarów lasu. Dawidgródek i Nieśwież były wprawdzie większe, ale leżały na rubieżach i 1939 rok położył im kres. Po kampanii wrześniowej w Armii „Prusy" Zamoyski wrócił „na gospodarkę" i w 1941 roku miał w swych lasach na fikcyjnych posadach gajowych i robotników leśnych

ponad dwieście osiemdziesiąt osób ukrywających się przed Niemcami (między innymi był tam generał Tatar). Opiera tę liczbę na starych notatkach, które ostatnio miał w ręku. Pracuje bowiem właśnie – rzecz jasna w godzinach pozasłużbowych – nad bilansem ordynacji Zamoyskich. W 1939 roku przypadło trzechsetpięćdziesięciolecie jej ustanowienia.

Z jednym z gajowych wiąże się powojenne już zdarzenie.

– Kiedy byłem bardzo zgnębiony okropnymi warunkami mieszkaniowymi, bo mi się woda na łeb lała, napisałem do premiera Cyrankiewicza, prosząc, „by pierwszy obywatel Polski pomógł ostatniemu ordynatowi". Skierowano mnie do odpowiedniego biura, którego dostojny dyrektor zapytał, czy go pamiętam. Niestety, nie pamiętałem. „Magnat nie raczył zauważyć parweniusza", powiedział dyrektor. Zobaczyłem, jak moje mieszkanie odpływa, odpływa... Dyrektor wytrzymał mnie jeszcze trochę, nie bez satysfakcji, i przyznał, że korzystał w moich dobrach z lewych papierów. Mieszkanie dostałem.

Całą prawie okupację Zamoyski spędził z rodziną w Zwierzyńcu, w niedalekim sąsiedztwie obozu, w którym więziono ludność cywilną ze spacyfikowanych terenów Zamojszczyzny. W potwornych warunkach przebywało tam wraz z dorosłymi trzy tysiące dzieci. Zamoyski, prezes Rady Głównej Opiekuńczej na południową część Lubelskiego, dotarł do Globocnika[1] i uzyskał decyzję o zwolnieniu wszystkich dzieci do siedmiu lat.

– Przygotowaliśmy, służba leśna, chłopi, moja rodzina, cztery prowizoryczne szpitale, transport podwodami, zaopatrzenie. Pierwszego dnia, była to niedziela, wyciągnęliśmy z obozu pięćset dzieci, a potem stopniowo jeszcze tysiąc. Zostały odebrane przez rodziny własne lub obce. Z niektórymi z tych „dzieci" moja żona koresponduje do dziś.

Zamoyski przeszlifowywał się, ratując „spalonych" i dzieci zamojskie. Byt każdego Polaka był wtedy zagrożony i ta więź narodowa stanu wyjątkowego osłabiła niechęć klasową chłopstwa do panów, a nawet jakby nieco zmniejszyła poczucie dystansu panów wobec włościan. [...]

Krzysztof Radziwiłł, zwany Czerwonym Księciem, przeszlifowywał się w obozach koncentracyjnych.

– Trzeciego marca 1940 roku gościłem w moim domu w Sichowie profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego po ich powrocie z Sachsenhausen. Był wśród nich ksiądz rektor Michalski. Czytaliśmy Platona. Był to niezapomniany wieczór. Następnego dnia musiałem zdać sobie sprawę z rzeczywistości. Niemcy aresztowali mnie i żonę. Żona trafiła do Ravensbrück, ja do Buchenwaldu, potem Majdanka, Gross-Rosen, Mauthausen.

[1] Odilo Globocnik (1904–1945) – w latach 1939–1943 dowódca ss i policji na dystrykt lubelski Generalnego Gubernatorstwa.

Niedługo po wieczorze platońskim czeka Krzysztofa Radziwiłła zupełnie inne wzruszenie, które wspomina w obszernym pamiętniku sprzedanym niedawno Bibliotece Narodowej (– Miał być przeznaczony do druku, ale temperament mnie poniósł). Chory na tyfus, wynędzniały, rozpoznany zostaje przez małomiasteczkowego Żyda, który zwraca się doń współczująco: „Oj, oj, tyle historii, i to w takim miejscu!", było to w obozowej latrynie. Przechodzi wszystkie szczeble niedoli. Żeby przeżyć, skacze w głąb kamieniołomu, i rzeczywiście ratuje się, bo biorą go, połamanego, do szpitala. Nie wychodzi z kacetów do końca wojny. W dzień wyzwolenia obozu przez Amerykanów, komuniści niemieccy wyposażają go w glejt na przyszłe czasy: „Książę Krzysztof Radziwiłł, choć nigdy komunistą nie był, pomagał radą i czynem (*mit Rat und Tat*) naszym ludziom i dlatego, gdyby na starość nie miał z czego żyć, może we wszystkich komunistycznych domach partyjnych i sanatoriach Niemiec, Austrii i Węgier bezpłatnie przebywać". Orientacja geopolityczna wystawiających dokument w jednym tylko punkcie zawiodła.

Patriotyczny finał

Teresa Lubomirska, z domu Radziwiłłówna, córka księżnej Biszety, która to Biszeta „miała przed wojną legendarną fortunę, opętane hektary Dawidgródzkiej ziemi, a do tego do papieża mogła wchodzić o każdej porze, nie prosząc o audiencję", przeszlifowywała się w powstańczej Warszawie. Jest już bardzo stara, mieszka za Żelazną Bramą w Warszawie, w mieszkaniu numer 928. Siedzi w fotelu, trzymając w pogotowiu kule, bo nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Zaczesana do tyłu w kukiełkę, wygląda jak wiejska kobiecina, która przyjechała do Warszawy odwiedzić dzieci. Zachowała jednak ze świetnych czasów gardłowe francuskie „r".

– Phoszę pani, dla mnie piehwsza czy dhuga wojna to już wszystko sałata.

W 1939 roku straciła męża, okrutnie zabitego, i dobra na Kresach. Została z mnóstwem dzieci. Udało im się przedostać do Warszawy. W czasie powstania mieszkali przy Foksal. Któregoś dnia pod oknem jakaś kobieta dostała bóli porodowych. Teresa Lubomirska wciągnęła ją do mieszkania i odebrała poród. A miała w tych sprawach wielkie doświadczenie, bo sama urodziła ośmioro. Postanowiła wówczas założyć szpital położniczy. Porozumiała się z władzami powstańczymi, zdobyła lokal, a potem sama już rekwirowała, co się dało, krzesła, łóżka, pościel, kaszę i ludzi do pomocy.

– Przyjęliśmy dwadzieścia cztery porody. Jedno dziecko ochrzciliśmy Aka, ale niestety umarło i nie ma co o tym pisać, bo z AK to niby dobrze, ale różnie się patrzy.

Błękitni, często w rozmowie o współczesności, hojni są w opowieściach z czasów wojny, która zmniejszyła ich społeczne wyobcowanie, przydając wspólnoty narodowemu losowi. Zresztą – bywało różnie. Część wielkich ziemian siedziała na swoich dobrach i choć nikt z tej warstwy nie splamił się polityczną kolaboracją – układała sobie jakoś współżycie z Niemcami, godząc się na gospodarcze, a nawet na towarzyskie związki z okupantem. W Wehrmachcie można było odnaleźć ludzi swojej sfery. Nieliczni ratowali się przed opresjami, wykorzystując koneksje na dworze włoskim, wśród berlińskiej arystokracji i temu podobnymi sposobami. Każdy sposób zresztą wtedy był dobry.

Izabella Radziwiłłowa, z domu... Radziwiłłówna, opowiadała, jak jej ojciec Karol, typ Zagłoby, uniknął niewoli pod Kockiem, bo go miejscowi wieźli furmanką, przykrytego plandeką i gnojem. Jej mąż Edmund, na którego pogrzeb na warszawskiej Sadybie przyjechała pani Kennedy-Onassis, dowodził działalnością konspiracyjną w lasach nieborowskich, a Izabella Radziwiłłowa ukrywała w Nieborowie dzieci żydowskie. Niedawno kazała sobie zrobić broszkę, którą przypina podczas uroczystości rodzinnych. Na metalowej baretce zawieszone są miniaturki jej przedwojennego i powojennego Srebrnego Krzyża Zasługi, Krzyża Walecznych i Medalu Dziesięciolecia PRL.

Stanisław Tarnowski, który wrócił do Polski dopiero w 1961 roku, przedstawił swą europejską marszrutę: kampania francuska w dywizji Prugara-Ketlinga, internowanie w Szwajcarii, ucieczka do Francji, znowu Szwajcaria, wiza włoska dzięki wpływom cioci Biszety, Jugosławia, Brygada Karpacka, Samodzielna Kompania Grenadierów w Anglii, Brygada Pancerna Maczka i Wilhelmshaven.

Ignacy Potocki wspomina, jak w lasach nad Sanem, gdzie się ukrywał, udzielił pomocy pięciu jeńcom francuskim zbiegłym z obozu i jak jeden z nich odnalazł go niedawno przez przedstawiciela polskiej centrali handlu zagranicznego. Inny Potocki – Alfred – urządzał w tym czasie polowania dla Niemców.

Barbara Czartoryska przypomniała dominikanina Jana Czartoryskiego, który, gdy ewakuowano szpital na Powiślu, został z najciężej rannymi i wraz z nimi zginął.

Maria Radziwiłłowa, zwana Księżną Niezłomną, opowiadała o losach swego męża Konstantego i jego brata Artura. Konstanty zamordowany został przez Niemców w okolicach Zegrza. Jego szczątki zidentyfikowano niedawno dzięki zachowanemu przy nich relikwiarzowi od kardynała Sapiehy. Artur zginął w 1939 roku w obronie Warszawy, w tym samym prawie miejscu pod Ożarowem co Marian Buczek[2]. Stanisław Lipkowski mówił o roli szpitala

[2] Marian Buczek (1896–1939) – działacz komunistyczny, zginął w kampanii wrześniowej.

maltańskiego (o Zakonie Maltańskim będzie jeszcze mowa) przy ulicy Senatorskiej w Warszawie, który – dzięki temu, iż pozostawiony został miastu jako szpital szybkiej chirurgii – mógł przyjąć ponad pięciuset rannych w różnych akcjach ruchu oporu, a także chronił wiele osób swymi legitymacjami. Dokumenty te, opatrzone maltańską pieczęcią, jeśli już nie robiły wrażenia na snobujących się oficerach niemieckich, to w każdym razie były argumentem na rzecz czystości rasowej ich posiadaczy.

– Wojna nas przeszlifowała – mówi Zamoyski. – Zmienił się charakter kontaktów „panów" i „ludu". [...]

Arystokracja rodowa w Polsce podzieliła na ogół w czasie wojny losy narodu i także poniosła ciężkie ofiary. Nie jest znany przykład kolaboracji napiętnowany wyrokiem władz podziemnych. Nie udało się okupantowi pozyskać arystokracji do politycznej współpracy, zresztą nie bardzo o to zabiegał. A był to już finał jej istnienia jako klasy – godne przynajmniej stało się zejście ze sceny dziejowej. Z perspektywy lat blednie cień rzucany na błękitnych przez owe niesławne polowania urządzane dla Niemców w Łańcucie czy Jabłonnie. W drugim przypadku trudno zresztą zająć stanowisko potępiające. Znane są przykłady skutecznych interwencji Maurycego Potockiego w Jabłonnie (wyjechał on z Polski tuż po wojnie i umarł w Londynie) na rzecz aresztowanych i fakt, iż uczestniczył on w delegacji do gubernatora Fischera, która interweniowała na rzecz zakładników wziętych w odwet za Igo Syma[3]. [...]

Janusz Radziwiłł jedzie na Berlin

W rozmowie z Fischerem brał także udział Janusz Radziwiłł, najwybitniejszy obok kardynała Sapiehy przedstawiciel arystokracji rodowej w Polsce w owym okresie, senator w ostatnim senacie II Rzeczypospolitej. Zostawił on po sobie ciekawe listy do Głównej Komisji Badań Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. W jednym z nich odpowiada na pytanie komisji dotyczące okoliczności zwolnienia profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Informuje, że w styczniu 1940 roku członkowie tajnego Komitetu Porozumienia Stronnictw Politycznych, między innymi Niedziałkowski i Rataj, znając nadzwyczajne, oszałamiające jak na owe czasy możliwości księcia, nalegali, „bym pojechał do Berlina i przedstawił ówczesnemu marszałkowi (Göringowi) memoriał o stosunkach już wtedy niemożliwych panujących na terenie pozostającym pod władzą GG Franka. Temu naciskowi wreszcie uległem, pod warunkiem że pozostające w Paryżu władze polskie zostaną zawiadomione [...]. Po uzgodnieniu całej sprawy z Paryżem i po uzyskaniu wezwania od M. Göringa już 6 stycznia pojechałem do Berlina. Przyjęty byłem 10 stycznia w mieszkaniu G. na Prinz Albrechtstrasse

[3] Igo Sym, właśc. Julian Karol Sym (1896–1941) – aktor i reżyser pochodzenia austriackiego. Pod koniec 1939 roku zadeklarował się jako Volksdeutsch, a urząd propagandowy Generalnego Gubernatorstwa powierzył mu zarządzanie m.in. Teatrem Komedia, dawnym Teatrem Polskim i kinem *nur für Deutsche*. Za współpracę z okupantem Wojskowy Sąd Specjalny Związku Walki Zbrojnej wydał na niego wyrok śmierci. Zamach przeprowadzono 7 marca 1941 roku. W odwecie za śmierć Syma Niemcy wzięli 118 zakładników, spośród których 21 rozstrzelano 11 marca 1941 w Palmirach.

w willi na tyłach byłego Sejmu Pruskiego. Rozmowa moja była wyczerpująca, bo trwała pełne trzy godziny. W tym czasie przeczytałem M. G. obszerny memoriał napisany przeze mnie jeszcze w Warszawie i zaakceptowany przez wszystkich członków komitetu, do którego należałem. Memoriał omawiał wszystkie sprawy i nadużycia władz niemieckich na terenie okupowanej Polski. Była tam wzmianka o sprawie Anina, ale między innymi i skandaliczne aresztowanie prof. Uniw. Krakowskiego i wywiezienie ich do obozu na terenie Niemiec, do Sachsenhausen. Pamiętam, że po przeczytaniu przeze mnie tej wzmianki G. się zerwał i widocznie poirytowany powiedział dosłownie: cytuję po niemiecku »*in Generalgouv. bin ich ja nicht zustandig aber* (uderzając pięścią w biurko) *hier bin ich doch noch der premier Minister und werde das nicht zulassen*«[4]. Ponieważ zwolnienie profesorów nastąpiło niedługo po tej rozmowie (o ile wiem, w lutym tego roku) miałem podówczas wrażenie, że zwolnienie żyjących jeszcze prof. mogło mieć związek z moją interwencją".

[...] Janusz Radziwiłł i jego żona aresztowani zostali podczas powstania warszawskiego w swoim pałacu przy ulicy Bielańskiej, dzisiejszym Muzeum Lenina. Okoliczności uwięzienia były o tyle niezwykłe, że – jak wspomina Monika Żeromska – księstwo wystąpili w obronie kobiet i dzieci chroniących się w pałacu i kazali siebie aresztować „w zamian za te baby". Kiedy wrócili z berlińskiego więzienia, wojska radzieckie były już w Warszawie. Izabella Radziwiłłowa opowiada:

– Wzięło nas NKWD frontowe, ale nie miało gdzie nas podziać, więc zabrało ze sobą. Jechaliśmy ciężarówką i zdobywaliśmy miasta. Książę Janusz siedział w szoferce, miał binokle na nosie, mapę sztabową na kolanach i wskazywał drogę czerwonoarmiście. Zdobyliśmy Kutno i Gniezno, książę Janusz marzył, żeby wejść do Berlina. I z tej zwycięskiej drogi któregoś dnia zawrócono nas ciupasem do Brześcia i Moskwy.

Pejzaż z podwodami

Kiedy ojciec Janusza Radziwiłła, Ferdynand, były prezes Koła Polskiego w Sejmie Pruskim (na którego tyłach książę Janusz rozmawiał z Göringiem), otwierał jako poseł senior pierwszy Sejm II Rzeczypospolitej, powiedział ze łzami: „Niech w tej naszej Polsce wszystkim dobrze będzie i robotnikom też". Co już świadczyło o niezwykłej demokratyzacji nastroju księcia, tego pana, który do królów pisał per „kuzynie". Krzysztof Radziwiłł, który zapisał te słowa w swym pamiętniku, po drugiej wojnie zasiadał w Sejmie konstytucyjnym Polski Ludowej. Mógłby wykorzystać tę myśl i powiedzieć Sejmowi: „Niech w tej naszej Polsce wszystkim dobrze będzie i arystokracji też". Niestety, o ile

[4] *In Generalgouv. bin ich ja nicht zustandig...* (niem.) – Generalne Gubernatorstwo mi nie podlega, ale tutaj ja jestem jeszcze przecież premierem i do tego nie dopuszczę.

pierwsze życzenie nie mogło liczyć na wspaniałomyślność dziejów, o tyle drugie byłoby jeszcze zupełnie nie na czasie.

Wielu błękitnych zdawało sobie z tego sprawę i nie wróciło do Polski z krajów Zachodu, do których zaprowadziły ich szlaki wojenne. [...] Dołączyli do nich najbliżsi, wyjeżdżający legalnie lub – gdy legalnie było coraz trudniej – przez zieloną granicę. Pomagały w tym „twarde”[5] i biżuteria rodowa. W tych przerzutach na drugą stronę dużą rolę odegrał tajemniczy „biały kapitan”, który dzięki mundurowi Legii Cudzoziemskiej i niezwykłym możliwościom zachował się dobrze w pamięci utytułowanych mieszkańców Krakowa. [...]

W pierwszych latach po wojnie Kraków, niezniszczony, stanowił, jak przed wojną, centrum życia błękitnych i tu rozgrywały się perypetie pierwszych lat przystosowania. Były to zarówno „dramaty” przyziemne – materialne, jak i dramaty postaw. Krzysztof Radziwiłł opowiada, jak w ostatnich dniach wojny, po wyjściu z Mauthausen, spotkał się w Niemczech ze swym bratem Maciejem, uwolnionym właśnie z oflagu w Murnau. Spotkali się i pożegnali. Jeden wybrał powrót do Polski, drugi wyemigrował do Stanów. Minęły lata, zanim Maciej Radziwiłł, wykładowca języków słowiańskich na uniwersytecie w Monterey, mógł odwiedzić Polskę i znowu zobaczyć brata. Każda błękitna rodzina przeżywała podobne rozterki. Opowiada mi dziś Ignacy Potocki, jak udał się ze zmartwieniami do kardynała Sapiehy. Powiedział mu, że chce w Polsce pozostać i w niej pracować. Od jedynego wówczas znaczącego coś księcia uzyskał parę słów otuchy. Warto dodać, że Ignacy Potocki szczyci się dzisiaj nadanym mu przez Polskę Ludową Krzyżem Kawalerskim Orderu Polonia Restituta.

„Bezeci”

Charakterystyczne, że Janusz Radziwiłł, który miałby za granicą bardzo dobre oparcie (u syna Stanisława, żonatego z rodzoną siostrą Jacqueline Kennedy-Onassis), po powrocie ze Związku Radzieckiego w 1947 roku pozostał w kraju i żadnej pomocy z zagranicy nie chciał przyjmować. O ile Alfred Potocki, wywożąc z Polski w ostatnich dniach wojny najcenniejsze wyposażenie pałacu w Łańcucie i tracąc je bezpowrotnie dla kraju (wdowa po nim pod naciskiem emigracyjnej opinii publicznej oddała jedynie po latach kolekcję uprzęży, czyli – niewiele), jak najgorzej się przysłużył opinii błękitnych, o tyle Janusz Radziwiłł za pałac na Bielańskiej dostał małe mieszkanie przy Bałuckiego, które zresztą w zrujnowanej Warszawie było luksusem, i utrzymywał się ze sprzedaży Muzeum Narodowemu złożonych tam w depozycie dzieł sztuki. [...] Synowa księcia Janusza podkreśla, że stary książę miał szczęście, bo

[5] Twarde – tu: potoczne określenie dolarów.

kiedy przyszła zmiana pieniędzy, Muzeum Narodowe zalegało właśnie z dużą wypłatą.

Jak zaważyła reforma rolna na sytuacji życiowej błękitnych? [...]

Dawni ordynaci twierdzą dziś, że zawczasu doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że nastąpi. Nie zabezpieczyli się jednak na tę okoliczność. Jan Zamoyski twierdzi, że podczas wojny nie myślało się o takich sprawach, zresztą racjonalne myślenie o przyszłości i gromadzenie walorów na ciężkie czasy było właściwsze plutokracji niż arystokracji rodowej. Owszem, ten i ów zakopał, co się dało, ale nie zawsze potem doszedł, w którym to było miejscu. A na przykład wspaniała kolekcja numizmatów i biżuteria Zamoyskich, zakopana na Wale Miedzeszyńskim w Warszawie, znaleziona została przez żołnierzy kopiących tam stanowiska podczas oblężenia stolicy i słuch po niej zaginął. Poza tym to, co zakopywano, miało na ogół wartość pamiątkową i niechętnie wymieniano to na chleb codzienny. Lepsza sytuacja była w Krakowie, który nie uległ zniszczeniu i gdzie wiele cennych przedmiotów i obrazów uchowało się po zaprzyjaźnionych klasztorach. Spodziewano się reformy łagodnej, tymczasem przyszła w rewolucyjnej postaci. „Panom" kazano się wynieść i nie pokazywać na terenie, gdzie panowali. [...]

Henryk Słabek w książce *Polityka agrarna PPR* informuje: „W województwie rzeszowskim usunięto (aresztowano) w drugiej dekadzie października 1944 roku około 400 obszarników i zarządców folwarków". [...]

W ramach takich decyzji aresztowany został w Ojcowie, gdzie zjechał z rodziną pod koniec wojny, Jan Zamoyski.

– Z Ojcowem nic nas nie wiązało, ale sądziliśmy, że tam nic nas złego nie spotka. Wynajęliśmy parę pokoi i czekali, co będzie.

Ojców okazał się dla Zamoyskiego gorszym schronieniem niż dla Łokietka, który to – jak głosi legenda rodowa – pochylił się współczująco pod Płowcami nad dzielnym rycerzem Florianem Szarym, przodkiem Zamoyskiego, przebitym trzema nieprzyjacielskimi włóczniami. Wezwano go bowiem (Zamoyskiego) rychło do Kielc i osadzono w areszcie pod zarzutem, iż utrudnia reformę rolną. Stała się rzecz zadziwiająca: chłopi zamojscy zorganizowali podwody z zaopatrzeniem dla jego dzieci i żony. Jechały te podwody z Zamojszczyzny do Ojcowa przez siedem dni i zostawiały produkty. Podczas ośmiomiesięcznego pobytu Jana Zamoyskiego w kieleckim areszcie, przyjeżdżały i wracały sześć razy. Być może, iż działała jeszcze niepewność. A nuż panowie wrócą na swoje? Być może trwała dawna gotowość do służby. A wreszcie – zwykłe współczucie. [...]

Filozofia i świnki

Jan Zamoyski wyszedł z aresztu i trzeba było brać się do jakiejś roboty. Wszyscy błękitni musieli wziąć się do roboty, nie tylko dlatego, że walory prędko topnieją, ale i dlatego, że człowiek niepracujący nie mieścił się zupełnie w nowym modelu społecznym.

Charakterystyczne, że o ile arystokraci rosyjscy po rewolucji radzieckiej popadli dość powszechnie w degrengoladę i można ich było spotkać na emigracji w roli fordanserów i handlarzy kosztownościami, o tyle arystokracja polska może na palcach policzyć tego rodzaju sromy. Powiedziała mi żona Ignacego Potockiego, z domu Mycielska, opiekunka społeczna na Bielanach, iż powojenne trudności bytowania wydobyły z polskiej arystokracji siły moralne. A zatem że rewolucja społeczna oddała arystokracji polskiej pewną przysługę.

Wróćmy jednak do pierwszych lat przystosowania. Pytałam błękitnych, czemu należy przypisać fakt, iż nieźle znieśli utratę majątków i domów. [...] Głoszą z namaszczeniem, że nie majątki były największym kapitałem rodów, lecz to, co po tych rodach zostało w podręcznikach i w muzeach. (Okazuje się przy tym, że ci, którzy mieli niesławnych przodków, ciągle nad tym boleją. Nic dziwnego, przecież jeszcze po pierwszej wojnie, w rocznicę 3 maja, ludność Krakowa tłukła okna w Pałacu pod Baranami, należącym do Adamowej Potockiej, wypominając jej Szczęsnego targowiczanina. Zawsze już wcześniej Potoccy pertraktowali ze szklarzem, żeby było taniej). [...] Poza tym nędza w powojennej Polsce była tak powszechna, że oni, tyle utraciwszy, byli w sytuacji lepszej niż kto inny, zwłaszcza gdy już zaczęli otrzymywać przesyłki od kuzynów urządzonych za granicą. Maria Radziwiłłowa, wysoka siwa dama, surowa i powściągliwa, opowiada, jak pod koniec wojny wyrzucona przez Niemców z gajówki, gdzie mieszkała (ich majątek leżał na terenach włączonych do Rzeszy), wędrowała do Nieborowa z dziećmi, gajowymi, pastuchami, dwoma końmi, trzema krowami. Chłopi rzekomo żałowali księżnej, która tyle straciła.

– Tymczasem – mówi Maria Niezłomna – ja, tracąc sto krów, traciłam przecież mniej niż ten chłop, który stracił jedyną krowinę. A poza tym my wszyscy jesteśmy wierzący i to nam pomaga.

Zdając sobie jednak sprawę, jak bardzo ewangelicznie brzmi ta opowieść, Maria Radziwiłłowa, która ma przy oschłości poczucie humoru, dodaje:

– No i miałam trochę tych złotych świnek[6].

[6] Świnka – tu: popularne określenie złotej pięciorublówki.

Obywatel książę

Zaczęto się więc ugnieżdżać w nowej sytuacji. Pomagało w tym [...] gruntowne wykształcenie, znajomość języków obcych, inteligencja i talenty dyplomatyczne. (Ignacy Potocki: – Przekonałem się nieraz, że takt jest ważniejszy niż rozum). Ale błękitni wychodzą daleko poza to, czego by się po nich można spodziewać, okazują się zdumiewająco elastyczni i po raz pierwszy w dziejach praktykują zasadę, że żadna praca nie hańbi. Arturowa Radziwiłłowa, z domu Platerówna, zdaje na przykład egzamin na czeladnika młynarskiego; zapomniano jej w ogólnym zamęcie upaństwowić młyn. Jako młynarz pani Radziwiłłowa ma warsztat pracy. Księżna Niezłomna uczy się naprędce w Krakowie maszynopisania, zna wprawdzie języki i wykłada angielski w krakowskim gimnazjum, ale dobrze mieć coś jeszcze w zanadrzu. Ignacy Potocki szyje plecaki; w latach wędrówki ludów wielkie jest na ten towar zapotrzebowanie. Przychodzi doń baba stukilowa i żąda plecaka tak wielkiego, jaki tylko udźwignie, jedzie gdzieś bowiem w świat z całym dobytkiem. Pani Potocka zdobywa plandekę, nici jednak są słabe i podczas podróży plecak, już na babie, pęka na dwoje. Krewni poszkodowanej przychodzą z pogróżkami. Ignacy Potocki odczuwa gorycz solidnego rymarza, któremu nie wyszła robota. Teresa Lubomirska pracuje w fabryce w Milanówku jako robotnica. W kolejce do sklepiku daje się któregoś dnia słyszeć uwaga: „Nie zadzieraj pani nosa jak jaka hrabina. U nas pracuje księżna Lubomirska, ta jest dopiero hrabina!". Teresa Lubomirska, rozumiejąca z kresowym współczuciem babskie kłopoty, wybrana zostaje przez załogę na przewodniczącą rady zakładowej, ale wybór nie zostaje zatwierdzony, bo to nie uchodzi, i księżna rychło traci posadę. Idzie pracować na oddział dla wcześniaków w Instytucie Matki i Dziecka; w końcu nie darmo odbierała porody w powstańczej Warszawie. Włodzimierz Czartoryski, po śmierci Janusza Radziwiłła jedyny w Polsce człowiek, do którego – jak oceniają błękitni – trzeba mówić „książę", bo zwykłe „proszę pana" nie przechodzi przez usta, zajmuje się introligatorstwem. Za granicą arystokraci zaczynają podobnie. Stanisław Tarnowski pracuje najpierw w fabryce ołówków w Londynie, a potem jako malarz pokojowy. Dźwigając wiadro i pędzle, natyka się na księżnę Kentu, która zwiedza właśnie remontowane sale Alliance Clubu, a z którą przebywał dawniej w towarzyskich stosunkach.

– Jak się wojna skończyła, tośmy zaraz odczuli, że tak, tak, ale my tu jesteśmy ubodzy krewni. Ja zresztą nie byłem wcale taki ubogi, bo z tego malowania wyciągałem ze sto funtów tygodniowo. Ale mnie się forsa nie trzymała.

Wróćmy do kraju. Jan Zamoyski ma tuż po wojnie normalną posadę, zgodną z jego kwalifikacjami handlowymi i językowymi. Pracuje na Wybrzeżu jako

inspektor do spraw rozładunku towarów UNRRA, a potem jako przedstawiciel amerykańsko-skandynawskich linii okrętowych. Ale błękitni mają także swego człowieka w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Krzysztof Radziwiłł – Czerwony Książę – spotkał się w Mauthausen z Józefem Cyrankiewiczem i Kazimierzem Rusinkiem, podpisał wraz z nimi dokument stwierdzający „konieczność zgodności działania wszystkich Polaków", wstąpił po powrocie do kraju do Stronnictwa Demokratycznego i został szefem protokołu dyplomatycznego u ministra spraw zagranicznych Rzymowskiego.

Czerwony Książę pozwala sobie rzucać ryzykowne dowcipy, które przyjmowane są wyrozumiale.

– Jakie wrażenie robi na panu dzisiejszy Belweder? – pyta prezydent Bierut.

– Jak majątek marszałka Piłsudskiego po licytacji Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego.

Ale i Czerwony Książę jest obiektem dowcipów Minkiewicza i Brzechwy w ówczesnej szopce politycznej:

> Z informacjami ledwo nadążę
> Dygnitarzy tłum u moich drzwi
> Słyszę w kółko: – Obywatel książę
> Niech książę wytłumaczy mi
> Jakie wziąć spodnie i jaką sukienkę
> Na wiec, na bankiet, na raut, *five o'clock*
> Co je się nożem, co można wziąć w rękę
> I w którym miejscu ma zaśpiewać Fogg?
> Czy ambasador Archibald Kerr
> Ma do Gomułki zwracać się *Sir*?
> [...]

Decyzja Czerwonego Księcia o przywdzianiu komunistycznego smokingu została przez wielu błękitnych przyjęta ze zgorszeniem.

Znacznie trudniejsza niż okres zagnieżdżania, okraszony przecież radością z wyzwolenia kraju, była pierwsza połowa lat pięćdziesiątych.

Nazwiska przedstawicieli warstwy obszarniczej bardzo źle się komponują w społeczno-politycznym pejzażu tamtych lat. Teresa Lubomirska traci pracę przy wcześniakach, choć nie jest ich jeszcze w stanie zarazić swym francuskim „r". Dobrze urodzeni mieszkańcy Krakowa otrzymują któregoś dnia nakaz wyniesienia się z miasta, oparty na Dekrecie o publicznej gospodarce lokalami z 1945 roku, pozwalającym władzy w wyjątkowych warunkach cofnąć przydział mieszkania, nie dając zastępczego. Ci, którzy dostali papierek,

są zrozpaczeni, ci, którzy nie dostali – oburzeni, że władza ich zlekceważyła. Podobno kardynał Sapieha załagodził sprawę, oświadczając władzy, że sam wyniesie się z kuferkiem do Mszany Dolnej. Coraz trudniej błękitnym dostać się na studia. Barbara Czartoryska walczy o swoje prawa do przyjęcia na uniwersytet aż w kancelarii Bieruta. Odsyłają ją do Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego, gdzie po długiej dyskusji na temat odwetu klasowego uzyskuje wreszcie, co chciała. Ale nie wszędzie idzie tak gładko. Jan Zamoyski eufemistycznie mówi:

– W styczniu 1949 roku zostałem uwolniony od trosk przyziemnych i w prześlicznej konserwie przetrwałem do połowy 1956 roku, po czym zostałem całkowicie rehabilitowany.

[...] Jednocześnie większość błękitnych pcha spokojnie swój żywot. Wydaje się dzisiaj, że chociaż ich szokujące nazwiska nie ułatwiły sprawy, wczesne lata pięćdziesiąte nie były dla błękitnych gorsze niż dla ogółu ludzi, którzy zdążyli dorobić się jakiegoś pogmatwania w życiorysie.

Droga Ignacego Potockiego

Na tle różnych dróg życiowych charakterystyczna jest zwłaszcza powojenna droga Ignacego Potockiego, pochodzącego z „prymasowskiej" linii Potockich, syna ostatniego właściciela Rymanowa-Zdroju.

Pan Potocki jest na emeryturze. Ma wysoką, prostą sylwetkę i postawę w starych książkach określaną jako szlachetna.

Po uszyciu dziewięćdziesięciu plecaków wzmocnił się finansowo na tyle, że mógł poszukać lepszego zajęcia. Fachowiec balneolog po przedwojennych studiach i praktykach zagranicznych zaraz zresztą po wojnie zapisał się do Związku Zawodowego Hotelarzy, bo uzdrowiskowcy jeszcze związku nie mieli. Okazało się, że nie ma dla niego na razie lepszej roboty niż prowadzenie plaży wiślanej. Plaża jednak zbankrutowała, więc Ignacy Potocki postanowił wyruszyć na Dolny Śląsk. Objechał wszystkie uzdrowiska, ale jego nazwisko i szlachetny wygląd nie robiły dobrego wrażenia. Został więc kierowcą ciężarówki w służbie akcji siewnej, która okazała się dobrze zorganizowaną akcją szabrowniczą. Poszedł wobec tego na szofera w przedsiębiorstwie maszyn rolniczych. Ogromnie lubił szoferowanie od czasu, kiedy w latach 1927 i 1928 uczestniczył w rajdzie afrykańskim na trasie czternastu tysięcy kilometrów. Wtedy jechał wprawdzie fordem osobowym. Okazało się jednak, że przedsiębiorstwo zainteresowane jest z kolei przemycaniem samochodów przez posterunki radzieckie. W tym czasie Ignacy Potocki przeczytał, że pełnomocnik rządu do spraw Ziem Odzyskanych, Piaskowski, potrzebuje kierowcy

i zarazem sekretarza. Poszedł do Piaskowskiego, który huknął, że czternaście uzdrowisk Dolnego Śląska czeka na specjalistów, i powierzył mu od ręki stanowisko głównego inspektora tychże uzdrowisk. Ignacy Potocki pojechał do Szczawna i zaczął to wszystko organizować. W 1946 roku był w teatrze. Jakiś działacz wygłaszał przemówienie, w którym było o zdrajcach narodu, Radziwiłłach, Potockich... Pan Potocki strzelił krzesłem i wyszedł. Kiedy czekał spokojnie na aresztowanie, przyszła doń delegacja z przeprosinami. W 1948 roku Ignacy Potocki zorganizował pawilon uzdrowisk na Wystawie Ziem Odzyskanych we Wrocławiu i dostał pierwszy Krzyż Zasługi.

Niedługo potem otrzymał do wyboru dwie propozycje: zostać dyrektorem okręgowym Uzdrowisk Karpackich w Krynicy albo zastępcą dyrektora naczelnego Przedsiębiorstwa Uzdrowiska Polskie.

– Ja, kochając swoje Karpaty, gdzie się urodziłem, powiedziałem, że chcę do Krynicy.

Ale zaczynają się właśnie lata pięćdziesiąte. Ignacy Potocki odmawia podpisania nieprawnego, jego zdaniem, aktu o wywłaszczeniu kilku obiektów w Krynicy i naraża się na zarzut sabotażu gospodarczego. Po długotrwałych kłopotach decyduje się jechać do Warszawy i przedstawić sprawę Komisji Kontroli Partyjnej KC PZPR. Zapewniają go tam, że włos mu z głowy nie spadnie, ale radzą opuścić Krynicę. Przenosi się do Warszawy, lecz już na szeregowe stanowisko urzędnicze w Uzdrowiskach Polskich. Tymczasem postanawia się dokształcać i kończy geologię na Akademii Górniczo-Hutniczej. W 1957 roku zostaje głównym geologiem resortu zdrowia i opieki społecznej. W rok potem jedzie motocyklem za granicę. Ma sprzed wojny kontakty w uzdrowiskach zachodnich, więc podróż prywatna (tym razem tylko jedenaście tysięcy kilometrów, ale za to na siodełku) zamienia się w służbową. Ignacy Potocki nawiązuje kontakt z prezesem Międzynarodowej Federacji Zdrojownictwa i Klimatyki (FITEC), który godzi się postawić wniosek o przyjęcie Polski do tej organizacji. Od tej pory Polska uczestniczy w kongresach FITEC i wnosi pod obrady ważne zagadnienia, między innymi dotyczące ochrony środowiska naturalnego. Ignacy Potocki wchodzi do władz Federacji. W 1972 roku sześćdziesięcioletni Potocki broni pracy doktorskiej u promotora profesora Świdzińskiego na AGH.

W antycznej szafce w jego mieszkaniu na warszawskich Bielanach leżą medale i odznaczenia.

– Kiedy moja córka, która miała drugą lokatę na swoim roku studiów, nie mogła się dostać na kurs magisterski, zawiozłem na uczelnię swe odznaczenia. Zawstydziłem ich i dostała się na ten kurs.

O szafach i karierach

Jak się żyje błękitnym w Polsce w 1973 roku?

Zacznijmy od mieszkań. Błękitni mieszkają przede wszystkim w Warszawie, w warunkach lepszych niż przeciętny inteligent. Parę rodzin ma własne domki bądź zbudowane przy pomocy krewnych z zagranicy (Izabelli Radziwiłłowej pomógł Stanisław Radziwiłł z Londynu, ale pięterko dobudowała już dzięki hodowli rasowych jamników), bądź za pieniądze ze sprzedaży cennych przedmiotów (Stanisław Tarnowski otrzymał od Muzeum Narodowego w Warszawie pół miliona złotych za obraz Ribery z galerii pałacu dukielskiego, przechowywany w muzeum jako depozyt). Młodsze pokolenie mieszka na ogół w blokach, a nim zdobędzie swoje M-2 czy M-3, boryka się z kłopotami, które nas wszystkich dotyczą.

Kraków przestał być centrum życia arystokracji, a stało się to – jak sami tłumaczą – z powodu szaf. Chodzi o zwykłą szafę meblową, która jednak w Krakowie urosła do symbolu godnego pióra Witkacego lub Gombrowicza. Kiedy zaczęła istnieć publiczna gospodarka lokalami, ogromne mieszkania w krakowskich kamienicach i pałacach podzielone zostały na kawałki. Ten dostał pokój z łazienką, ale bez kuchni, ten znów z kuchnią, lecz bez łazienki, inny znów bez obu, ale za to z hallem. Trzeba było te wielkie pokoje grodzić szafami, by w powstałych kątach urządzić niezależne organizmy gospodarcze i rodzinne. Okazało się, że staroświecka szafa z wianuszkiem działa pobudzająco na konflikty pokoleń. W każdym razie młodzi krakowianie błękitnej krwi uciekli zza szaf do Warszawy, czasem wręcz za granicę. Wprawdzie za jedną z bieliźniarek w mieszkaniu Leonii Lubomirskiej przy ulicy Świętego Marka spotkałam młodego inżyniera Stanisława Lubomirskiego pracującego w Nowej Hucie, ale wydaje się, że został on w Krakowie na okrasę. Młodzież wyjechała z Krakowa, szafy pozostały.

Wszystkie prawie mieszkania, jakie oglądałam, pełne są pięknych przedmiotów, przede wszystkim pamiątkowych. Bardzo dużo fotografii w smakowitych ramkach. Piękne obrazy, nieraz wobec ciasnoty wieszane w przedpokojach i kuchniach, jak portrety Krzysztofa Radziwiłła i jego żony pędzla Mehoffera, ozdabiające ścianę nad kuchennym zlewem w mieszkaniu przy ulicy Odyńca w Warszawie. Ozdoby bez wielkiej wartości, ale związane z przeszłością rodziny, jak u Ignacego Potockiego tkaniny buczackie robione w latach dwudziestych w manufakturze Potockich, a u Izabelli Radziwiłłowej sztychy Napoleona Ordy przedstawiające Radziwiłłowskie pałace. Wspaniałe meble, często od Sasa do Lasa, czasem przechowane z lepszych czasów, nierzadko kupione w Desie. Izabella Radziwiłłowa umeblowała swój domek na Sadybie wyłącznie meblami

z Desy, kupowanymi, gdy były jeszcze tanie jak barszcz. Gdyby ktoś nie wierzył, może przedstawić wszystkie rachunki. [...]

Są także domy zupełnie wyjątkowe, jak z najpiękniejszych kart Sienkiewicza. Nie będzie tu mowy o dworku Beaty Tyszkiewicz, bo – jak głosi książęca opinia publiczna – to jest tylko przedrzeźnianie „naszego prostego wiejskiego życia" – lecz o dworku Jerzego Potockiego na Olszy w Krakowie.

Pieczarkowa ordynacja

Proszę sobie wyobrazić błotnisty trakt, wielki zaniedbany ogród, a w nim stare domostwo z białym kolumnowym gankiem. Ogromna sień, która służy także za jadalnię. Dwa stare kredensy i stół, przy którym siorbie zupę zakonnica. Pod stołem dwa kosze – jeden z fasolą, drugi z kociętami, a na ścianie wspaniałe włoskie gwasze przedstawiające wybuch Wezuwiusza. Dalej wielki salon – ze staroświeckimi fotelami, obrazami, fortepianem, zegarami – w którym mnóstwo dzieci i psów. Jeszcze ze cztery pokoje, kuchnia pełna kobiet i zapachów jadła i na koniec pokój, w którym jest piętrowa szafa z balustradką; na górny poziom wchodzi się po schodkach, jak na organy. Gospodarz, wąsaty, w łatanym półkożuszku, pyta, wieleż mam czasu, bo pokazałby mi chętnie gospodarstwo. Okazuje się, że pan Potocki jest ogrodnikiem. Ma największą i bardzo nowoczesną w kraju prywatną pieczarkarnię. Współpracuje z Akademią Rolniczą w Krakowie. Studenci odbywają w pieczarkarni praktyki i piszą na ich podstawie prace magisterskie.

W ten sposób przechodzimy do następnego tematu: co błękitni dziś robią?

Ciągle opowiadam o niektórych przedstawicielach sześciu rodów, które zresztą mają wiele linii, ale dzieje pozostałych błękitnych są podobne.

Maria Radziwiłłowa – Księżna Niezłomna (linia szydłowiecka) jest dziś wziętą tłumaczką z polskiego na angielski. Wyspecjalizowała się w poszukiwanej dziedzinie biologiczno-chemiczno-medycznej. Nauka pisania na maszynie bardzo jej się przydaje. Ma trzech synów: Krzysztof jest chemikiem i pracuje w Wydawnictwach Naukowo-Technicznych. Jan, po politechnice, pracuje w Instytucie Elektrotechniki, a Albert po Wyższej Szkole Handlowej w Krakowie – jako główny księgowy w Zjednoczeniu Przemysłu Szklarskiego.

Izabella Radziwiłłowa (linia nieświesko-ołycka) pracuje w PEN Clubie. Jej syn Ferdynand jest lekarzem pogotowia ratunkowego w Warszawie, a córka Krystyna Milewska artystką plastyczką.

Krzysztof Radziwiłł (linia szydłowiecka) tłumaczy literaturę piękną z rosyjskiego i niemieckiego. Przełożył między innymi *Zamek* Kafki i *Człowieka bez właściwości* Musila. Jego dzieci: Zofia Skórzyńska jest psychologiem, Maria

Dunin-Wąsowiczowa wizytatorką w Ministerstwie Oświaty, [...] Stanisław – inżynierem kolejnictwa, Anna – wicedyrektorką gimnazjum Lelewela na Żoliborzu. Barbara wyjechała do Francji.

Oczywiście, Radziwiłłów jest znacznie więcej. Jeden [...] – strach powiedzieć – zmienił nazwisko.

Siedmioro dzieci Heleny Czartoryskiej (z Żurawna) radzi sobie, jak następuje:

Jadwiga Brzozowska pracuje w ambasadzie Norwegii, Teresa Rostworowska jest rzeźbiarką i odbudowuje Zamek. Anna Golińska nie ukończyła studiów inżynieryjnych, ma za to dziewięcioro dzieci, przy czym jej wnuk jest starszy od jej najmłodszego syna. Andrzej nie ukończył studiów ogrodniczych, jest kierownikiem zakładów szkoleniowych dla ociemniałych w Laskach. Cecylia jest w tychże Laskach wychowawczynią. Wspomniana już Barbara jest doktorem biochemii. Najstarszy Antoni mieszka w USA.

Włodzimierz Czartoryski (ostatni na Pełkiniach) ma troje dzieci. Elżbieta Kraińska wykłada historię. Paweł jest kierownikiem Pracowni Badań Kopernikowskich Zakładu Historii Nauki i Techniki PAN [...]. Róża Radziwiłłowa mieszka za granicą.

Ignacy Potocki miał troje dzieci. Jerzy, archeolog i alpinista, zginął podczas wyprawy na Noszak. Córka Maria Kinga Świdzińska jest inżynierem zootechnikiem po praktyce we Francji i w Anglii, między innymi w stadninach królowej Elżbiety [...]. Władysław jest inżynierem samochodowym po stażu u Fiata i u Citroëna. Pracuje w handlu zagranicznym.

Jerzy Potocki, inżynier rolnik – jak już wiemy – prowadzi pieczarkarnię, a ostatnio zakontraktował szparagi. Ma czworo dzieci. Najstarsza córka Dorota wyszła za mąż za Korsykanina i stale mieszka na Korsyce, gdzie zamierza hodować krowy, barany i zające. Antoni, Krysia i Natalka jeszcze się uczą.

Ignacy i Jerzy pochodzą ze szczepu Złota Pilawa, podczas gdy Alfred Potocki z Łańcuta, który zmarł bezpotomnie – ze szczepu Srebrna Pilawa.

Jan Zamoyski pracuje w przedstawicielstwie szwajcarskich linii lotniczych Swissair w Hotelu Europejskim w Warszawie. Ma cztery córki i syna. Michał studiuje historię. Elżbieta Daszewska jest historykiem i wraz z mężem archeologiem kopie w Tunisie pod kierunkiem profesora Michałowskiego. Maria Ponińska robi doktorat z geografii. Gabriela skończyła szkołę hotelarską, pracowała w kawiarni Izabella przy Teatrze Żydowskim, ma ugadaną posadę w hotelu Forum. Agnieszka się uczy.

Stanisław Tarnowski (linia dukielska) tłumaczy na angielski, między innymi dla Polskiej Agencji Interpress. Ma siedmioro dzieci. Adam pracował jako

goniec w redakcji „Panoramy Polskiej" w tymże Interpressie. Izabella, Michał, Jan Spytek i Marek jeszcze się uczą. Dwoje jest za granicą: Andrzej – korespondent Reutera w Rzymie, i Aleksandra, która wyszła za mąż za współwłaściciela przedsiębiorstwa eksportu płyt.

Teresa Lubomirska ma ośmioro dzieci. Anna Dernałowicz pracuje w ambasadzie Holandii. Hubert gospodaruje na roli pod Łęczycą, Stanisław jest leśnikiem w Koszalińskiem. Jan, Henryk, Zdzisław, Wanda i Herakliusz są za granicą.

Spotkaliśmy więc najrozmaitsze kariery. Wśród wymienionych nie ma tylko robotnika. Bo jest i rolnik, i farmer-przemysłowiec, i nawet przedstawiciele sektora usług. Z różnorodności zajęć wynika, że błękitne pochodzenie nie decyduje o wyborze określonego zawodu. A poszczególne kariery świadczą o tym, że wspaniałe nazwisko nie musi dziś hamować sukcesu. Wyższe szczeble kariery są jednak dla błękitnych trudno dostępne, unikają oni bowiem, także w młodszym pokoleniu, zaangażowania politycznego.

Młodzież z tego środowiska uznaje i akceptuje, że sprawa pochodzenia jest anachronizmem, a przecież zaznaczyć się stara odrębność. Niektórzy snobują się na abnegację, inni wydają pensję w Desie. W każdym razie odrzucają drobnomieszczański model dorobku materialnego i tym choćby zaznaczają dystans wobec rówieśników. [...]

Za granicą arystokratom (a ciągle jednak ktoś tam wyjeżdża i zostaje) nie wiedzie się lepiej niż w kraju. Mają korzystniejsze warunki materialne, choć to rzecz względna, ale ich sytuacja zawodowa i społeczna jest na ogół gorsza.

– To ciekawe – mówi Barbara Czartoryska – ale myśmy tu lepiej wylądowali w sensie odnalezienia siebie.

Kiedy jeden hrabia, który w Polsce jest redaktorem, odwiedza w Anglii swego brata, który jest ogrodnikiem u lorda, to lord podobno gościa zaprasza do stołu, a brat je ze służbą.

Nareszcie mezalians

Czy arystokratyczne pochodzenie determinuje życie osobiste? Czy istnieje nadal pojęcie mezaliansu?

Karmazyni nie lubią rozmów na ten temat. Patrząc prosto w oczy, zapewniają, że o wyborze partnera nie decyduje z dawien dawna nazwisko, lecz cnota. Fakt, iż wszystkie sześć rodzin skoligaconych jest ze sobą na wszystkie strony, wszyscy niemal ich członkowie mówią sobie „ciociu", „wuju" lub po imieniu, łatwo tłumaczą tym, iż rodziny owe nagromadziły szczególną liczbę cnót. Izabella Radziwiłłowa (z domu Radziwiłłówna, której matka też była

z domu Radziwiłłówna i też Izabella), nieduża despotyczna pani o południowej urodzie, mówi:

– Mój dziadek ożenił się ze zwykłą mieszczką z Barcelony. Mówiono, że pochodzi ona z rodziny Burbonów, ale to nieprawda. [...] Kiedy mój syn ożenił się z Belgijką, poszła fama, że to arystokratka. A jej ojciec był zwykłym urzędnikiem bankowym. My naprawdę jesteśmy wolni od tego rodzaju przesądów.

Deklarację o uwolnieniu się od przesądów traktować trzeba ze zmrużeniem oka. Wprawdzie bieg czasu nadwątla spoistość błękitnych, ale ciągle jeszcze jest ona silna. Umocniła się nawet w okresie pierwszych powojennych trudności i w warunkach lat pięćdziesiątych. Dopiero trzecie i czwarte z żyjących dziś w Polsce pokoleń błękitnych, wychowywane już w normalnych warunkach, może tę spoistość skruszyć, zachowując jednak niektóre jej cechy jako malowniczy relikt.

Średnie pokolenie, jeśli nie pozostało w zamkniętym świecie wielkiej arystokracji, to w każdym razie w kręgu tak zwanych dobrych nazwisk. Synowe Marii Radziwiłłowej to dwie Czartoryskie i Karska. Syn Ignacego Potockiego ożenił się z Czartoryską. [...]

Państwo Potoccy bardzo się cieszą związkiem z Czartoryskimi, ponieważ połączył on dwa rody, poróżnione od wieków na tle politycznym. Spór stracił podstawy jeszcze w XIX wieku, ale – jak słucham – szczęśliwie się stało, że młodzi dali okazję do zupełnego już pojednania. Podkreślono to nawet w mowie weselnej.

Prawdziwe mezalianse popełnili natomiast dwaj Lubomirscy – Stanisław i Hubert. Związki te zadecydowały o tym, że pozostali na wsi i że ich dzieci nie bardzo nawet zdają sobie sprawę ze swego pochodzenia. Rodzina Lubomirskich bardzo cierpi nad taką deklasacją, tym bardziej że i Stanisławowi, i Hubertowi wiedzie się biednie, łatwiej im dyskutować po francusku o Wolterze, niż wziąć się do łopaty. Ale niektórzy kuzyni widzą w tej deklasacji wyższą formę zbratania błękitnych z ludem i kiedy hoża wiejska panienka, przyszła krawcowa, przyjeżdża do Warszawy, chwalą się nią i mówią:

– No i gdzie te przesądy?

Nowe pokolenie książąt

Czy błękitni mają dużo dzieci? Znacznie więcej niż inni ludzie o podobnym statusie społecznym i materialnym. Tłumaczą to przede wszystkim światopoglądem katolickim, który nie pozwala na przerywanie ciąży, a także przywiązaniem do dużych domów i chęcią utrzymania ich atmosfery. Stanisław Tarnowski, który ma siedmioro dzieci, dodaje:

– Wie pani, ja jestem taki lekkomyślny!

Prawie wszyscy powołują się jeszcze na instynkt zachowania rodu. I większą radość sprawia im przyjście na świat męskiego potomka.

Jan Zamoyski ma jednego syna, jeszcze nieżonatego, i w nim tylko szansa. Ignacy Potocki jest zaś bardzo szczęśliwy, bo ze związku jego jedynego syna z Czartoryską urodził się wnuczek.

Każdy ród ma swoją nadzieję. Nadzieją Lubomirskich jest Herakliuszek, syn Herakliusza, wnuczek Teresy. Matka Herakliuszka, Dorota, skończyła filozofię i gwarantuje dziecku staranne wychowanie. I dlatego właśnie Herakliuszek otrzymał ryngraf rodowy. [...]

Najbardziej wielodzietne było pokolenie, które już odchodzi, pokolenie Janusza Radziwiłła. Nie musiało ono jeszcze myśleć o materialnych kłopotach. Następna generacja, która miała kłopoty, też rodziła chętnie. Trzecie pokolenie jest skąpsze, a do czwartego będzie można pewnie odnosić apele o trzecie dziecko w rodzinie.

Dzieci błękitne są podobno chowane surowiej niż ich rówieśnicy zwyczajnego pochodzenia. Muszą się zwracać do starszych w trzeciej osobie i nie wszystko im wolno. W wielu domach przetrwały dawne metody wychowawcze, których pilnują babki, dziadkowie i ciotki. Nic dziwnego, skoro przy stole siada czasem, jak u Księżnej Niezłomnej podczas Wigilii, szesnaście osób. I wszystkie noszą nazwisko Radziwiłł. [...]

Obowiązek dbania o morale błękitnych spoczywał przez wiele lat na Januszu Radziwille, nazywanym przez niektórych szefem klanu. Zwracano się do niego o radę lub o wsparcie swych racji. Janusz Radziwiłł przyjmowany był przez wszystkich z szacunkiem i strachem, bo był satrapą. Tradycjonaliści, którzy nie mieli już ani sługi, ani rezydenta, witali go u progu z kandelabrem w ręku. Ale od śmierci Janusza klan jest bez szefa, nikt bowiem nie dorasta do tej roli indywidualnością, a poza tym szef nie jest już taki potrzebny jak kiedyś.

Coraz rzadsze są skandale, poruszające opinię całego klanu, jak przemyt klejnotów przez Jolantę Radziwiłłową zamieszkałą stale w Argentynie, ujawniony przez kontrolę celną na warszawskim Okęciu, albo jak proces o nazwisko Potockich. Otóż pewien młodzieniec imieniem Żorż podawał się za nieprawego syna Alfreda Potockiego z Łańcuta, licząc na płynące z tej sytuacji korzyści materialne. Alfred już nie żył, inni zaś Potoccy pewni byli oszustwa, znając wyjątkowo arystokratyczny gust kuzyna. Gdy rzekomy Potocki zaczął przychodzić na rodzinne pogrzeby i siadać w pierwszych ławach, a jeszcze szlochać, miarka się przebrała. Sprawa poszła do sądu, Kraków miał sensację, a koronnym dowodem mistyfikacji była tragiczna nieświadomość

pretendenta. Wykazał się on bowiem rodowym rzekomo sygnetem, który miał dziesięć pałek nad herbem.

– Ta dziesiąta pałka toś ty sam, bratku – usłyszał Żorż, pozbawiony świetnego nazwiska i materialnych nadziei.

Życie codzienne

Jak się toczy życie towarzyskie obywateli książąt i hrabiów? Przestaje się ograniczać do klanu i obejmuje coraz szerzej kręgi zawodowe, do których błękitni należą; mowa oczywiście o młodszych. Ci zaś, którzy się starzeją, coraz mniej to życie towarzyskie celebrują. Jeszcze parę lat temu spotykali się na niedzielnej mszy u wizytek albo w Laskach. Jeszcze są święta rodzinne i katolickie oraz wesela w Jabłonnie, choć mniej w cenie, od kiedy odbywają się tam wesela parweniuszy. Jeszcze są uroczyste pogrzeby, chociaż spostponowane groteskową historią z Jackie Onassis *primo voto* Kennedy, uciekającą przed tłumem przez buraczane pole.

Arystokraci spotykają się natomiast w kółkach myśliwskich, na Służewcu, gdzie jeżdżą konno, i na corocznym balu koniarzy organizowanym przez Serża Niemojewskiego, który jest żonaty z Wandą Czartoryską. [...] A jeszcze jeśli chodzi o miejsce, gdzie można spotkać błękitnych, należy do nich zamek Montresor w departamencie Loary, który dostał się w spadku hrabiemu Reyowi i bardzo działa na wyobraźnię błękitnej młodzieży w Polsce. W zamku tym jest puchar, który Mickiewicz dostał od poetów rosyjskich, taca Sobieskiego od miasta Gdańska, portrety sarmackie i broń, ale jego właściciele żyją sobie skromnie.

Chęć oglądania świata od lepszej strony jest jedną z przyczyn, dla której młodzi błękitni przystają do Zakonu Maltańskiego, formalnie w Polsce nieistniejącego. Udowodniwszy szlacheckie pochodzenie szesnastu przodków, uzyskawszy rekomendację biskupa i akcept międzynarodowej komisji maltańskiej, mogą już stawać w Rzymie w hospicjum maltańskim i słać bez obawy bilety wizytowe tym, którzy jeszcze na Zachodzie posiadają arystokratyczne salony. W Polsce jest siedemnastu świeckich kawalerów maltańskich, a najmłodszy ma około trzydziestki.

Wielu magnackich potomków tęskni do stylu życia, jaki kiedyś prowadzili lub o jakim słyszeli od rodziców. Czasem uzewnętrznia się to karykaturalnie. Państwo Plater (ona z domu Radziwiłłówna, on naonczas pracownik TV) przygarnęli byli malowniczego żebraka spod mostu Poniatowskiego, pana Feliksa, czyniąc go rezydentem i kamerdynerem. Tak się zaraz zaczął ubierać, że to jego brali goście za hrabiego i pana domu.

Błękitni odwiedzają, zwłaszcza w Dzień Zaduszny, miejsca rodzinne i zwożą tam dzieci. Nocują wtedy u proboszczów lub u swych dawnych „ludzi". Krzysztof Radziwiłł na przykład nocował raz u chłopa stajennego nazwiskiem Papież. Te odwiedziny budzą różne refleksje dotyczące losu zabytkowych pałaców. Krzysztofowa Radziwiłłowa (z domu Popielówna) łamie na przykład ręce nad stanem zamku w Kurozwękach, a Stanisław Tarnowski nad stanem parku w Dukli. Wielu błękitnych śle listy i monity do konserwatorów. A jeśli ich dawne siedziby są w dobrym stanie – jak Nieborów lub Wilanów – są z tego dumni i chętnie korzystają z kurtuazyjnych zaproszeń kustoszy.

Jak się dalej potoczą losy błękitnych? Czy zintegrują się całkowicie, czy też zachowają odrębności? Wydawałoby się oczywiste, że się zintegrują. Ale z mniejszościami bywają różne niespodzianki. Sienkiewicz prawie sto lat temu przepowiadał, że Polonia amerykańska rychło zapomni języka polskiego, i wcale się to nie sprawdziło. Zrodziło się natomiast nieprzewidziane poczucie etniczności w trzecim i czwartym pokoleniu. Czy sytuacja starej arystokracji w Polsce nie zawiera pewnych analogii? Czy ci, którzy chodzą dzisiaj do szkoły, a noszą nazwiska chronione także przez prawo PRL jako „historyczne" (pan, powiedzmy, Wąsek może zmienić nazwisko na Wąsowski, ale nie na Radziwiłł), nie będą poszukiwać swoich korzeni? Zlikwidowani jako klasa „bezeci" są dla współczesnych ludzi nie tylko jednym z wielu możliwych snobizmów. Stanowią także dla Polski Ludowej bilet wizytowy jako ojczyzny wszystkich. [...]

Kiedy pani Krzysztofowa Radziwiłłowa płaciła na poczcie za telefon, urzędniczka z okienka zapytała:

– To ten ród jeszcze nie wyginął?

Uchowaj Boże. Polska Ludowa na to nie pozwoli.

„Polityka" 1973, nr 16 i 17

1976

Ewa Szymańska (ur. 1950)

Unikać właściwej perspektywy

Recenzent „Trybuny Ludu" pisał w latach siedemdziesiątych, że teksty Ewy Szymańskiej „nie przedstawiają rzeczywistości w całym jej bogactwie" oraz że „są przejawem frustracji charakterystycznej dla mentalności drobnomieszczańskiej".

Tytułowy reportaż z jej książki *Kwity polskie*, wydrukowany w „Kulturze" w roku 1975, zaludniali cudzoziemcy pracujący w naszym kraju. Opowiadają reporterce o regułach gry, innych niż w ich ojczystych krajach, w związku z którymi przybysze ściągają na siebie kłopoty.

> Doktor Bruce Barnett, wykładowca fizyki na uniwersytecie w Arizonie [...] idzie ulicą, miał dobry dzień, więc oczywiście uśmiecha się do ludzi. A tu jakiś facet podchodzi: „Chcesz zmienić pieniądze? Nie? No to czego się tak uśmiechasz, do cholery!". Więc Bruce demonstruje teraz swoją życzliwość ostrożnie, najchętniej w okolicach uniwersytetu, bo tam wydaje się to najbardziej na miejscu.

Herr Pikel, dostawca komputerów z Austrii, nauczył się mówić „chrząszcz brzmi w trzcinie", czym zdobywa podziw Polaków, którzy – jak twierdzi – dopiero po wypowiedzeniu przez niego tego zdania traktują go jak człowieka.

> Taki przykład: Hortex chce od niego kupić komputer, ale w zamian oferuje truskawki. No, to jest coś nowego! *Herr* Pikel obliczał nawet: jeśli każdy z pracowników Univaxu będzie zjadał dziennie kilogram truskawek, to ile lat będą musieli te truskawki jeść? Nie, to się chyba nie da zrobić, więc *Herr* Pikel szuka teraz kontaktów w wiedeńskim biznesie spożywczym, czego jako przedstawiciel firmy elektronicznej nigdy w życiu by nie robił [...].

Mister Nowak, sprzedaje u nas wielkie maszyny firmy Caterpillar do robót ziemnych, w Polsce jest od dziesięciu lat.

> Często zdarza się, dziwi się *mister* Nowak, że kiepski dyrektor ma dobry zespół. I to go zdumiewa, bo u nich w Anglii kiepski dyrektor ma kiepski zespół, a dobry dyrektor ma dobry.

Gdy *Herr* Pikel przychodzi w sprawie sprzedaży komputera, rozmawia z całą komisją.

> Więc jak *Herr* Pikel przedstawił swoje techniczne argumenty, komisja zaczyna dyskutować. O czym, tego dokładnie *Herr* Pikel nie wie, bo jego tłumacz ciągle powtarza: to nieważne. *Herr* Pikel chce teraz zmienić tłumacza, ponieważ gdyby nie było ważne, toby chyba tyle nie mówili.

Reportażom Szymańskiej dostało się jeszcze za to, że „brakuje im właściwej perspektywy". Pytana przeze mnie, skąd wzięły się na okładce jej książki te etykietki, bo wydawnictwo Iskry skwapliwie zacytowało je w 1981 roku jako reklamę, mówi:

> Wśród nadzorców prasy w KC w połowie lat siedemdziesiątych narastało przekonanie, że trzeba nas, reporterów młodego pokolenia, przywołać do porządku, bo teksty drukowane w „Kulturze" pokazują pesymistyczny obraz kraju. Na zamówienie KC publicysta „Trybuny Ludu" Michał Misiorny napisał specjalny tekst krytykujący reportaże „Kultury" właśnie za brak właściwej perspektywy i przejawy drobnomieszczańskiej frustracji, niepozwalającej dostrzec ogromu osiągnięć. Redaktorzy Iskier doskonale wiedzieli, że to dobra reklama.

W 1980 roku ukazała się książka Jacka Snopkiewicza *To ucho! Runda reporterów*. Autor rozmawia z czołowymi reporterami tamtych czasów, ale ostatni rozdział poświęca także najmłodszym w tym zawodzie: Ewie Szymańskiej, Barbarze N. Łopieńskiej (patrz s. 227) i Mariuszowi Ziomeckiemu. Wszyscy z redakcji „Kultury". Snopkiewicz pyta, czy uważają, że mają własny styl. Barbara Łopieńska mówi, że często słyszą: wszyscy piszecie identycznie. Może to dlatego, tłumaczy, że nie przyprawiają tekstów komentarzem, co niektórzy uważają za „brak zaangażowania"? „I – dodaje – że nie ględzimy, kiedy nie ma o czym pisać".

Ewa Szymańska odpowiada, że często słyszą też: macie chorobliwą niechęć do wyrażania własnych myśli i sądów. Widzi w tym tęsknotę za tanią dydaktyką reportaży z lat pięćdziesiątych. „A poza tym – pyta – czy naprawdę trzeba tłumaczyć, że staramy się tak dobierać fakty, żeby i nasz stosunek do opisywanej sprawy był jasny i czytelnikowi dawał do myślenia?"

Szymańska trafiła do „Kultury" w 1974 roku po skończonym handlu zagranicznym w Warszawie. Chciała być asystentką Ryszarda Kapuścińskiego i w dziale zagranicznym PAP-u tłumaczyć teksty ze światowej prasy. Po wyjeździe Kapuścińskiego do Etiopii pracowała w dziale krajowym, którym kierował wtedy Andrzej Kantowicz. Pod jego kierunkiem, a potem pod kierunkiem Jacka Snopkiewicza pisała reportaże z Polski, czasem w duecie z Łopieńską.

Po jakimś czasie przyszło jednak zwątpienie w reportaż. Ale narodziła się z niego wspólna książka Szymańskiej i Łopieńskiej *Stare numery* o ludziach z tygodnika „Po prostu" (patrz t. 1, s. 694).

> Od powstania KOR-u narastały w nas wątpliwości, a rok 1980 był wstrząsem – mówi Ewa Szymańska, dziś Szymańska-Wierzyńska. – Chciałyśmy zrozumieć i opisać rolę dziennikarzy w PRL-u. Niewątpliwie miałyśmy z Baśką kryzys. Polegał na tym, że już nie było dla nas oczywiste, czy te wszystkie reporterskie zabawy z formą, stylem, puszczaniem oka do czytelnika służą dobrej sprawie, czy może są wentylem używanym przez władzę do upuszczania nagromadzonej pary w środowiskach sfrustrowanej inteligencji polskiej. Zaczęłyśmy więc studiować roczniki „Po prostu", spotykać się z bohaterami Października. Ich losy – w tym rozwiązanie redakcji „Po prostu" i rozejście się, również ideowe, czołowych osób z tej ekipy – były pouczające. Ulegli złudzeniu, że są w stanie zmienić twarz „realnego socjalizmu", i zostali za to ukarani. Starałyśmy się zrozumieć, jak to doświadczenie ma się do roku 1980 i Sierpnia. Drukowałyśmy tę opowieść w odcinkach w „Kulturze", a potem w stanie wojennym dokończyłyśmy książkę. Tyle że już nie dało się tego opublikować. Władze zamknęły „Kulturę", a w rzeczywistości stanu wojennego *Stare numery* były całkowicie niecenzuralne. W naprawianie socjalizmu w stylu „Po prostu" ani w ogóle w żadnym stylu nikt już nie wierzył. Obie z Baśką z ulgą rozstałyśmy się z oficjalnym dziennikarstwem. Nasza książka została wydana na emigracji przez londyński Aneks, w Polsce w drugim obiegu, po czym dostałyśmy nagrodę podziemnej Solidarności. Tymczasem mój mąż, też dziennikarz, a w stanie wojennym taksówkarz, miał już dość PRL-u i postanowił wyemigrować. Ja razem z nim.

Ewa Szymańska-Wierzyńska wyjechała do Stanów. Drukowała teksty w nowojorskim „Nowym Dzienniku", jednocześnie pracując kolejno: w ośrodku leczenia schizofreników, w biurze kongresmena Dana Rostenkowskiego, a po upadku komunizmu jako korespondentka „Rzeczpospolitej" z Waszyngtonu. W 1994 roku z Ewą Zadrzyńską założyła w Nowym Jorku agencję reklamową, prowadziły kampanie skierowane do emigrantów ze środkowej, wschodniej oraz południowej Europy. W 2004 roku wróciły do Polski. Od 2006 roku Ewa Szymańska-Wierzyńska pracowała w Muzeum Historii Żydów Polskich, gdzie była zastępczynią dyrektora do spraw rozwoju. Od 2010 roku prowadzi w Muzeum Historii Polski program „Jan Karski. Niedokończona misja".

Wracając do książki *Kwity polskie* („brak właściwej perspektywy”!), z której wybraliśmy reportaż *Junior*. To tekst o fenomenie warszawskiego Cedetu, Domów Towarowych „Centrum”, który dzięki modnej konfekcji dla młodych w połowie lat siedemdziesiątych wniósł w przaśną polską rzeczywistość powiew „wielkiego świata”. Ciuchy z Juniora – kolorowe i trudno dostępne – zaraziły całe pokolenie marzeniami o dorównaniu, przynajmniej wyglądem, Zachodowi.

Junior także ukazał się w „Kulturze”, gdzie – jak mówi autorka reportażu – uprawialiśmy takie raczej w sumie nieśmiałe kpiny z rzeczywistości, która po kilku latach „na kredyt”, zafundowanych społeczeństwu przez rządy Edwarda Gierka, robiła się znów coraz smutniejsza.

Junior

Gdyby dziś – a dzień jest chłodny – odbywała się w Juniorze, powiedzmy, konferencja prasowa, to tak: panowie byliby w zielonych kurtkach z gumką (znajomy zapłacił w Londynie czterdzieści dolarów za prawie identyczną), panie w kufajkach lub sztruksowych lejbach[1]. Tylko pani redaktor Hoff byłaby w czymś zupełnie innym, bo po tym, co przeżyła, żeby zrealizować swoje projekty, nie może już na nie patrzeć.

Zaczęło się, jak to u nas, obiecująco: „Wielkość i celowość budowanego obiektu została szczegółowo przeanalizowana przez zespół Ministerstwa Handlu Wewnętrznego, Instytut Handlu Wewnętrznego i Prezydium Stołecznej Rady Narodowej w projekcie koncepcyjnym programu sieci i usług Ściany Wschodniej".

Potem było trochę śmiesznie. Prasa ogłosiła konkurs na nazwę domu. Propozycje, żeby nazwać go: Kacper, Kaśka, Autostop, Młodzieżowiec, odpadły jako prozaiczne, a propozycje: Teksas, Europa, Narkotyk, Elvis i Zaklina – jako niesłuszne.

Potem były chwile grozy; pół roku przed otwarciem Jerzy Putrament napisał w „Życiu Warszawy": „Nasi handlowcy ślepo naśladują wzory handlowe rozwiniętych krajów kapitalistycznych: tam się robi interes na młodzieży, sztucznie rozdymając jej zamiłowania ubraniowe i podkreślając odrębność gustów".

„Zadanie naszej produkcji polega na tym, aby nie poddając się ślepo dyktaturze mody młodzieżowej panującej na Zachodzie, umiejętnie przenosić i adaptować kierunki mody przystosowane do naszych potrzeb" – bronił się zręcznie ówczesny dyrektor Albin Kostrzewski, dziś wiceminister. I jakoś wybronił.

– To była walka, nie zabawa, a teraz proszę, chyba tylko wróg ustroju może Juniora nie akceptować – mówi dzisiaj.

Na uroczystym otwarciu 16 lipca 1969 roku dyrektor Kostrzewski kręcił film własną kamerą i do dziś może sobie odtworzyć panią Alicję Świerczyńską – dzisiejszą kierowniczkę Juniora – w mini. Albo ówczesnego dyrektora Juniora, Kozakiewicza, w wąskich spodniach. Innym uczestnikom imprezy wbił się w pamięć śliwkowy garnitur dyrektora Kostrzewskiego.

– Wygląda jak prawdziwy menedżer – mówili, a to w sześćdziesiątym dziewiątym roku był już komplement, choć jeszcze nie całkiem.

[1] Lejba – luźna sukienka.

Jeszcze jeden szczegół z dnia otwarcia: do ostatniej chwili nie wiadomo było – wpuszczać czy nie wpuszczać. Temperatura na sali sprzedaży przekraczała trzydzieści stopni, urządzenia klimatyzacyjne nie działały, ponieważ działać mogły tylko na wodę gruntową. A tej w Śródmieściu brak.

– Wpuszczać – zadecydował dyrektor Kostrzewski.

I tak już zostało.

– Jeśli ludzie stoją w kolejce po towar, to jest dla handlowca szczęście – powiedział minister Gawrysiak. – Pani by nie cieszyło, gdyby kandydaci do pani ręki stali w kolejce?

Najszczęśliwszym handlowcem na świecie jest więc pani Alicja Świerczyńska – kierownik Juniora, a właściwie dyrektor, bo tak kazał zatytułować swoich kierowników minister Kostrzewski, kiedy jeszcze był dyrektorem.

– Tłum jest straszny, och, jaki straszny jest tłum! – mówi co prawda dyrektor Świerczyńska, ale usprawiedliwia ją uraz. Jeszcze w Cedecie tłum rzucił się na nią, kiedy zabrakło glazury.

Pani Świerczyńska znana jest z tego, że najlepiej na niej leżą juniorowskie ciuchy. Granatowa garsonka ze sztruksu, którą ma na sobie, to też Junior. Wszystko Junior, poza golfem z Mody Polskiej za czterysta. W Juniorze były potem po sto czterdzieści. Trochę gorsze, ale przecież w sumie chodzi o ten golf.

– Więc jak, przebierzemy panią w fartuszek? – pyta pani dyrektor, bo jest obyta z prasą.

Kozakiewicz, który był dyrektorem Juniora przez sześć lat, jest jeszcze bardziej z nią obyty. Proszę go o rozmowę, a on zastrzega sobie prawo do autoryzacji.

– Coś się powie, to później są tego konsekwencje. – Tak mówi, choć prasa ogłosiła go najpopularniejszym człowiekiem roku siedemdziesiątego drugiego.

Od powstania Juniora magister Kozakiewicz zaspokajał zapotrzebowanie dziennikarzy na młodego prężnego dyrektora, takiego, co chodzi i powtarza, że jak się chce, to nie ma rzeczy niemożliwych.

O Juniorze też pisali.

– Bo to były bardzo śmiałe pociągnięcia – mówi minister Kostrzewski – i wielu było zdziwionych.

Junior dokonuje rewolucji (może raczej kontrrewolucji) w szyciu spodni i zrywa z polskimi normami.

Junior odkrywa dryblasów, czyli młodzież powyżej stu osiemdziesięciu siedmiu centymetrów wzrostu.

W Juniorze banany, fantomasy, hawaje, konkordy, majorki, pacyfiki[2].

[2] Banany – inaczej bananowy, długie sukienki lub spódnice pozszywane z ukośnych klinów. Fantomasy – obcisłe, czarne garnitury męskie z marynarką zapinaną wysoko pod szyję. Hawaje – męskie koszule w kolorowe wzory roślinne i zwierzęce. Konkordy – półbuty na gumowej platformie, tzw. słoninie, z zaokrąglonym czubkiem, wiązane na sznurowadła. Majorki – męskie koszule w stylu wojskowym z krytym zapięciem, kieszeniami-torbami, kołnierzykiem i gumą w talii. Pacyfiki – nazwa pochodzi od produkcyjnej nazwy tkaniny drelichowej Pacyfik, oznacza ubrania uszyte z tej tkaniny, najczęściej były to bluzy.

Te wiadomości chodziły w prasie, radiu i telewizji na prawach wydarzeń. Minister Kostrzewski obliczył, że gdyby chciał kupić pod reklamy powierzchnię, którą zajmowały same tylko zdjęcia zamieszczone w prasie po jednym z pokazów, zapłaciłby siedem milionów złotych. I nawet francuski „Le Monde" wydrukował kiedyś obszerną korespondencję o tym, że jest taki młodzieżowy dom w Europie Wschodniej, że ma młodego dyrektora, no i w ogóle bardzo pozytywnie.

Towar przychodzi nocą, a pierwsza zmiana – o godzinie siódmej. Do otwarcia jeszcze półtorej godziny, a przed domem już stoją klienci. Część obstawia wejście od Marszałkowskiej, część od pasażu.

Z nadchodzącej korespondencji:

> Szanowny Panie Dyrektorze domu Junior!
>
> Wiele razy przejeżdżałam przez Warszawę w nadziei, że kupię popularne sztruksy. Niestety mam pecha. Nawet pan nie wie, jak bardzo mi zależy na tych spodniach, chociażby ze zwykłej chęci podobania się chłopcu, na którym mi zależy. Zresztą wie pan dobrze, jak to jest z młodzieżą. Ja jestem gotowa zapłacić choćby zaraz. Jest to dla mnie jedyny ratunek. Jeśli to, co piszę, wyda się śmieszne czy nierealne, to proszę choćby o krótki odpis, żebym nie czekała...

Przez szklane drzwi obserwuję wnętrze, gdzie odbywa się normalne zamiatanie, krzątanie. Pani Grażyna przebranżawia się na sztruksy, które przyszły w nocy tranzytem. Pani Halina dostała sukienki dżinsowe, ale tak ich mało, że chyba w ogóle nie wyrzuci do sprzedaży. Przyszły wreszcie zagraniczne dżinsy, o których od miesiąca mówi Warszawa: że są już w Gdańsku, że dopiero w Ammanie, że zamokły w Amsterdamie, że są same białe, że są granatowe.

– Eee – mówi pani Basia z koszul, która ma zamówienie na pięć par dżinsów – ja nie biorę, takich już się nie nosi, bez kieszonek, bez zaszewek.

– Winchestery, które sprzedawałyśmy przed miesiącem, też nie miały, a w komisie były po trzy tysiące – zauważa Ela z kosmetyków, która ma zamówienie na sześć par.

– Czy to w ogóle pójdzie za tysiąc dwieście? – powątpiewa Basia.

– Na pewno pójdzie – mówi pani Halina ze spodni. – Jak się klient nastawi, to potem wszystko kupi. Kupi, bo głupi.

Halina znana jest z tego, że wszystko sprzeda. A jak towar nie idzie, zamyka

stoisko, pakuje towar w pojemniki, robi lipne przyjęcie. I znowu idzie interes, bo ludzie myślą, że nowość.

Spiker ogłasza, że za pięć minut początek sprzedaży.

– Teraz najbezpieczniej stanąć za ladą – instruuje Ela z koszul.

Panowie z obsługi technicznej wyjmują bolce blokujące drzwi i uskakują. Wszyscy biegną na pierwsze piętro. Kilka sekund później przy stoiskach z „superatrakcjami" stoją już długie kolejki.

– To nieprawda, że młodzież jest rozhukana – mówi pan Kamer ze straży przemysłowej, który przy otwarciu stoi na zewnątrz i poucza, jak wchodzić.

– Mnie się podoba ich skromność, to, że nie wymagają ekstrarzeczy – dorzuca strażnik Gęsina.

– A mnie ich zdyscyplinowanie – kończy pan Kamer. – Nigdzie nie stoją tak cierpliwie i spokojnie jak w Juniorze. A przecież nikt ich tego nie nauczył.

– Ja to im nawet współczuję – mówi pani Krysia ze stoiska Hoff, która w ogóle lubi ludzi. – Bo w końcu oni się poświęcają, zwalniają z pracy, a potem pewnie muszą odpracować.

– A mnie śmiech ogarnia, że za te marne dwieście złotych ludzie się zabijają – mówi Anna ze spódnic i bluzek. – I co tu jest? Te spodnie? Patrzeć już na nie nie mogę. U Hoff dziadówa się ubiera. A jak już jest coś, co nam się podoba, to wszystkie kupujemy, a potem żadna nie nosi.

Tak mówią – od przesytu – dziewczyny, o których względy stara się pół Warszawy.

Grażyna z kurtek męskich mówi, że chyba ma jakiś kleik w sobie, taki dziwny magnes, że ludzie jej się zwierzają.

– Proszę pani – łapie ją za rękę klient – powiem pani coś. Zapoznałem pannę, rok młodsza od mojej córki, i powiem pani coś: byłem z nią trzy dni, figurka jak u Matki Boskiej, tak dobrze było, że w książkach nie pisali, lepiej nawet. No, niech mi pani poradzi, co ja mam teraz kupić żonie?

– Kwiatki niech pan kupi albo czekoladki – radzi Grażyna.

Kiedyś miała strasznie przykre przeżycie. Przyszła klientka, córka jej zginęła w wypadku i chciała ją ubrać kolorowo, młodzieżowo, tak jak lubiła, w Juniorze.

– I proszę mi wierzyć – mówi Grażyna – płakałam razem z nią, bo akurat nie było co polecić. Nic ekstra.

W ogóle ludzie są przemili. Jadzia z ubrań mówi, że tak potrafią człowieka rozbroić, że gdyby nie wiadomo gdzie miała schowane, toby wyciągnęła. Tylko

że nie ma co wyciągnąć. Nawet mąż Jadzi nie ma przyzwoitego ubrania. Raz tylko mu dobrała garnitur z Bytomia – brązowy diagonal[3], pięknie skrojony, ale to było cztery lata temu i więcej się nie powtórzyło. Ela z koszul ma lepiej, bo ładne koszule bywają często.

– Podchodzą mnie psychologicznie – mówi o klientach, a trzech ma ulubionych.

Jeden jest z telewizji – tego interesuje wszystko: koszula, kurtki i spodnie. Drugi z wytwórni filmów, ale kupuje tylko koszule, bo dżinsy i kamizelki ma zagraniczne. Trzeci przynosi Eli kalkulatorek, zawsze wtedy kiedy Ela robi zestawienia miesięczne.

Są tacy, którzy podchodzą po cichu i mówią: „Pani mi odłoży, to dam pani czekoladę". To nie jest miłe. Czy oni myślą, że jak ktoś pracuje w handlu, to go nie stać na czekoladę? Albo przychodzi, kładzie sto złotych i odchodzi. Wczoraj do Ali podszedł mężczyzna i powiedział: „Jeśli mi pani skombinuje spodnie, to dam pani »Dookoła świata«". I to było tak przykre, że się rozpłakała.

Stoję w stoisku Hoff i sprzedaję z Krysią spódnice z teksasu, spodnie oraz kurtki. Krysia trzyma wartę przy przymierzalniach (już pięć sztuk zginęło od początku tygodnia), ja wieszam na wieszaki, pani kierowniczka wypisuje paragony. Po godzinie jest już tylko jeden najmniejszy rozmiar spódnic i największy spodni.

Tylko jakiś cudzoziemiec, chyba Arab, nie może zrozumieć, dlaczego wszystkie spódnice są w tym samym rozmiarze, i dziwi się po francusku. Krysia żałuje, że nie zna języków, choć właściwie i rodaka trudno czasem zrozumieć.

– Będą jutro rano – informuje klientki, ponieważ wie, że partia spódnic leży w pokoju u kierowniczki, a nie ma zwyczaju uzupełniać towaru na bieżąco.

Ale klientki i tak są wdzięczne, bo rzadko kiedy sprzedawczyni wie na pewno, co będzie jutro. Junior nie ma zaplecza i wszystko zależy od tego, czy magazyn przyśle.

Jest duszno. Krysia wachluje się karteczką. Mnie boli głowa.

– Kwestia przyzwyczajenia – mówi Krysia, która mdleje w lecie przeciętnie raz w miesiącu, ale na początku mdlała częściej. Krysia wiesza, pakuje, wiesza, pakuje.

– Lubię wpadać w trans – mówi – wtedy czas szybko upływa i człowiek zapomina, że nie ma mieszkania, a do wynajętego gospodyni nie pozwoliła wstawić własnych mebli.

– Jak masz na imię? – zagaduje mnie czterolatek. – Bo ja Jacek. Słuchaj, pomóż mojej mamie, bo ona stoi i stoi po te spodnie i pewnie nie zdąży już pójść na lody.

[3] Garnitur diagonal – wykonany z tkaniny o skośnym splocie.

– Przyprowadź mamę – mówię oszołomiona inteligencją dzieci chowanych na telewizji i kolejkach.

Na trzecim piętrze jest bufet. Zaraz po otwarciu Juniora był tam również pokój relaksowy, a w nim relaksowe fotele. Foteli było dziesięć, a dziewcząt trzysta, więc fotele zlikwidowano.

– Nie zdały egzaminu – mówi były dyrektor Kozakiewicz. Ale ma chyba na myśli nie fotele, lecz dziewczęta.

Podobno kiedy otwierali Juniora, Kostrzewski chciał w nim mieć najmłodszą załogę, a Kozakiewicz najładniejszą. I miał w końcu najmłodsze i najładniejsze sprzedawczynie w Warszawie, które z kolei miały takie powodzenie, że nie mogły się skupić w pracy, narobiły mu mank i sto najładniejszych musiał zwolnić.

Siedzimy w bufecie i narzekamy. Jak mówi dyrektor domów Centrum pani Stattler – taki młody zespół ma zawsze swoje racje.

Ireny pekaowska[4] bluzeczka za siedem i pół dolara zafarbowała od fartucha.

– Niech mi teraz zapłacą te siedem dolarów, skoro każą nosić takie świństwa. Założę na gołe ciało, to tak gryzie, że nie mogę obsługiwać klientów. Założę na bluzeczkę, to farbuje, bo człowiek się poci. Który człowiek się nie poci?

– Takie potężne domy Centrum i nie mogą nas ubrać w sukienki dżinsowe? – dziwi się Anna. – Mój chłopak powiedział, że w tym stylonowym wyglądam jak panna służąca.

– A tak, tak, jak staniemy przy toalecie, to klienci nam dają złotówki – oburza się Basia.

– Albo pieniądze. Robimy dwa razy ponad plan – mówi Renata ze spodni – i nic z tego nie mamy. Dla własnej satysfakcji pracujemy.

– Albo klimatyzacja. Żywcem nas duszą. Gdyby nie to, mogłabym tu pracować szczęśliwie do emerytury. No, bo co innego? Uczyć się i być tym marnym gryzipiórkiem? Ciągle te same papiery przewracać? Ela się uczy, ale też tylko dla własnej satysfakcji. Ma na jutro przeczytać *Medytacje o życiu godziwym* i chyba nie zdąży.

– Tam są same wyszukane zwroty. Przyniosę jutro – mówi Ela – to pani zobaczy, przeczyta pani dziesięć zdań i ani jednego pani nie zrozumie.

Halina twierdzi, że dla niej bez Juniora nie ma życia. Ona go ciągle porównuje do innych sklepów. W tych innych sklepach ona w ogóle nie potrafi nic kupić. Zapyta – nikt nie odpowie. Te dziewczyny jakieś malutkie, niegrzeczne,

[4] To znaczy kupiona w Peweksie, które powstały z przekształcenia sklepów dewizowych banku PKO.

nie takie jak nasze. I co im wtedy powiedzieć, przedstawić się, że jest z Juniora? Może inna potrafiłaby, ale ona nie umie tego wykorzystać.

– Ja nie lubię obsługiwać – mówi Hanka.

Ale Hanka jest rozżalona, bo nie dostała premii.

Hanka twierdzi, że nie dostała premii, ponieważ nie chciała jechać do magazynu po jeden garnitur. Myślała, że ten garnitur jest dla znajomego kierownika piętra, a okazało się, że nie dla znajomego, tylko dla ważnego klienta. Tylu jest tych ważnych, mówi Hanka, że człowiek już nie wie, który jest ważny, a który nieważny. I to jest fakt, bo kierownik Żółtowski też się kiedyś pomylił. Weszła mu do pokoju klientka i przedstawiła się, a on na to zgodnie z prawdą, że jest po pracy.

– Gdyby się wyraźnie przedstawiła, tobym skojarzył nazwisko – tłumaczył się Żółtowski. Ale tak naprawdę to myśli, że dobrze się stało, bo w pokoju siedział akurat dziennikarz, a dziennikarze, wiadomo, czyhają na takie szczegóły.

Pewien reporter z „Walki Młodych" opisał w zeszłym roku, jak kupował levisy od tyłu na legitymację prasową: Jak mógł coś takiego napisać? W końcu kupił te spodnie czy nie kupił?

– Przychodzą wolne zawody. Wolne zawody, przede wszystkim aktorzy, dziennikarze, dygnitarze. Zresztą przemili ludzie – mówi pani Ela, zastępczyni kierownika piętra.

– A Irena Karel stała w kolejce – mówi Basia z koszul, bo koszule to jest świetny punkt obserwacyjny.

Pan Żółtowski, kierownik tego piętra, mówi o sobie, że nawet jak na Juniora jest bardzo awangardowy.

– Konfliktowy – mówi pani dyrektor Świerczyńska. – Mówi, co myśli, i starsze pracownice się przy nim nie przyjmują. Ale młodsze go lubią, żłobki dziewczynom załatwia.

Droga Dyrekcjo domu Junior!

Nasza córka ma uszkodzony ośrodek mowy. Jest osamotniona i izolowana. Chcielibyśmy poprawić jej samopoczucie i na wakacje coś jej sprawić. Czy Dyrekcja zechciałaby ułatwić mi nabycie choćby jednego najskromniejszego stroju?

– Trudno powiedzieć: idealny – mówi Krysia. – Zresztą idealny kierownik... nie wyobrażam sobie.

Były dyrektor Juniora – Kozakiewicz – wpada często do kierownika Żółtowskiego, żeby zapytać, jak leci.

– Panie – mówi Żółtowski – powiedz pan lepiej, co mam zrobić. Podobno na bazarze są już dżinsy, chociaż ja ich jeszcze nie rzuciłem na stoiska. Skąd oni je mają?

– Moje płaszczyki dżinsowe z Apisu były tego samego dnia w sprzedaży i na bazarze po tysiąc sześćset – mówi Kozakiewicz.

– Eee, nasze majorki ze sztruksu po dwieście pięćdziesiąt szły w Katowicach po dwa tysiące – przebija Żółtowski.

Kiedy ma czas, Żółtowski chodzi i myśli.

– U Forda też jest taki facet, co chodzi po piętrze i myśli, i on dostaje najwyższą pensję – mówi.

Myśli na przykład, jak tu rozładować w prawym rogu korek przy spodniach. I wymyśla, że kolejkę trzeba poprowadzić w lewo, między kasami, zakręcić przy garniturach i wzdłuż garniturów dalej prosto. Kiedy był remont piętra i dziewczyny nie miały co robić, kierownik Żółtowski zaproponował studentom, że im urządzi stoisko w Rivierze. A oni zapytali, ile zapłaci im za lokal. Więc zrezygnował, przecież nie zależało mu na tym, żeby sprzedać, tylko chciał im pójść na rękę, zrobić taką przyjemność.

Do Dyrektora domu Junior!

Zrządzeniem losu przyszło mi mieszkać daleko od Boga i ludzi. Proszę o spodnie Odra. Jak informuje Polskie Radio, wasz magazyn jest obecnie w posiadaniu ww. towaru.

Czasem pana Żółtowskiego ogarniają sprzeczne uczucia, czy lepiej jest pracować w Sawie i mieć spokój, czy w Juniorze i nie mieć.

Zdarzają się przecież przykre momenty. Wczoraj pan Leszek ze spodni miał grube nieprzyjemności w Hortexie. Za nielegalny handel – przyniósł dwóm znajomym dwie dżinsowe sukienki. Te znajome odkładają dla pana Leszka pyszne makowczyki. A dzisiaj tajniak, który miał sprawę z Leszkiem, dzwonił do kierownika Żółtowskiego, że potrzebuje dwie takie same sukienki.

– I czy to jest normalne? – dziwi się Żółtowski.

– Moja droga do domu jest przez front sprzedaży – mówi dyrektor zakupu domów Centrum, pan Krysiak. Od niego zależy, co można w Juniorze kupić, a czego nie.

– Ja bym tak nie powiedział – zastrzega się dyrektor – przecież na to pracuje cały zespół. – W każdym razie, kiedy pan dyrektor przechodzi przez ten front, to przystaje w miejscach, gdzie są kolejki, posłucha i – jak mówi – to

powoduje, że potem w domu nie może spać. Według dyrektora Krysiaka trzeba sobie powiedzieć, że rynek młodzieżowy jest rynkiem trudnym, bo masowym. A producenci nie mają mocy.

– Przecież codziennie sprzedajemy parę gondol[5] spodni! I ja sobie myślę – kiedy on się skończy, ten towar? Odpukać. Myśmy kalkulowali, że nam starczy do końca sezonu, ale gorzej, bo spodnie to jest teraz towar całoroczny.

Profesor Kotarbiński, z którego opiniami liczy się dyrektor Krysiak, napisał, że jak się założy sto procent, a wykona osiemdziesiąt, to można powiedzieć, że zadanie zostało wykonane. Dyrektor znany z tego, że lubi załatwiać od ręki, posyła po bilans. Bilans przedstawia się tak: niepokrycia młodzieżowe w grupie bluzek, spodni i spódnic dziewczęcych – trzydzieści osiem procent, w grupie spodni chłopięcych – czterdzieści pięć procent.

– I to są sprawy – zamyśla się dyrektor Krysiak – to są takie sprawy.

Ale zaraz przypomina mu się, że przecież była u niego delegacja z RFN i mówili, że polska młodzież ubiera się tak samo jak na całym świecie.

– Jakkolwiek wychodzą luki, a jestem od tego, żeby te luki uzupełniać – mówi dyrektor.

W ramach uzupełniania luk od połowy czerwca będzie w Juniorze stoisko Dunlopa ze sprzętem tenisowym. Pani dyrektor Świerczyńska idzie właśnie organizować stoisko, szczęśliwa, że przed chwilą udało jej się opędzić od: klubu alpinistów, którzy chcieli kupić spodnie, telewizji (zielone kurtki), drużyny piłkarskiej (bluzy Elpo), brygady górniczej (dżinsy Levi's). Stoisko będzie na drugim piętrze.

Przedstawiciel Dunlopa analizuje proponowaną lokalizację.

– Czy nic tu nie będzie nas zasłaniać?

– Nic, absolutnie – zapewnia dyrektor Świerczyńska. – Naprzeciwko jest stoisko z rowerami, więc najwyżej raz w miesiącu przez godzinę.

– I proszę bardzo! – zwraca się do mnie pan Drzazga, dyrektor do spraw sprzedaży Centrum. – Znowu jako pierwsi i jedyni będziemy mieć przyzwoity sprzęt tenisowy. Tam Fibak, tu Dunlop, druga prędkość kosmiczna.

– To oni nas znaleźli – dodaje z dumą dyrektor Krysiak. – Działa firma.

Ewa Szymańska, *Kwity polskie*, Warszawa: Iskry, 1981, s. 86–99

[5] Gondola – tu: obrotowy wieszak na ubrania.

1976

Krzysztof Kąkolewski (ur. 1930)

Prawo do zakłócania ludziom życia

Dzięki niemu zostałem reporterem. Zaraz zrozumieją Państwo dlaczego.

> – Jestem pośredniczką między panem a osobą, która nie może ujawnić nazwiska. Będę ją nazywała „Agnieszką". Chce, żebyśmy ustalili warunki jej spotkania z panem. Chodzi o środki ostrożności, które by zaakceptowała. Ona od dziesięciu lat ukrywa się [...]. (*Zabawa w Agnieszkę*)

Albo:

> – Moje nazwisko nic panu nie powie. Mam coś ważnego do opowiedzenia. To jest aktualne do jutra rana.
> – Proszę przyjeżdżać.
> – Opowiem to, żeby się nie zmarnowało – mówi od wejścia. – Proszę powtórzyć ostatnią część tego, co opowiem, mojej przyjaciółce, której adres podam. Najpierw opowiem panu o panu. Obserwowano pana, ale pan nic nie wiedział. (*Byłam szczęściem*)

Albo:

> O ósmej wieczór pukam do drzwi starej drewnianej willi w zdziczałym ogrodzie. Przejeżdżające pociągi oświetlają odarte z zielonej farby ściany i wiszące między drzewami ogromne obrazy olejne. Cisza, w żadnym oknie światła. Wreszcie słychać, że ktoś idzie do drzwi, uchyla je, to stara kobieta.
> – Są jeszcze zamknięci. Nikomu nie wolno wchodzić, aż sami nie wyjdą. Kiedy to będzie, nie wiadomo [...]. (*Ja, piąty*)

Tak zaczynają się niektóre jego reportaże w książce *Baśnie udokumentowane* (1976). Budował napięcie od pierwszych zdań, żeby potem zaserwować wspaniałą prozę psychologiczną. Jako dziesięciolatek nie mogłem się od tych „baśni" oderwać, dziś są dla mnie tym, co w polskim reportażu najlepsze.

Z *Baśniami udokumentowanymi* – trzynastą książką reporterską w dorobku Kąkolewskiego – krytycy mieli problem. Nie wierzyli w niektóre historie. Były niesamowite, a jak na przaśny PRL wręcz hiperniesamowite. Reporter ogłosił jednak, że do każdego reportażu ma teczkę z dokumentacją i że zaprasza krytyków do siebie do domu.

Pochodzę z rodziny prawniczej – mój ojciec i stryj byli prawnikami, i często rozmowy na te tematy toczyły się przy mnie. Uczyłem się ustalać fakty w sposób prawie policyjny – wyjaśniał.

Zarzucano mu, że stworzył w *Baśniach* galerię ludzi chorych, owładniętych obsesjami i urojeniami. Oto emeryci zakładają nowy Kościół, ich papież ma kancelarię w kuchni. Grupa ludzi czuje się wybrana przez Kosmos do pewnej misji... Rzeczywiście, w czasach budowy Huty „Katowice", gdy nacisk kładziono na reportaże o pracy i szczęśliwym życiu obywateli, historie w typie talk-show *Na każdy temat* (tylko że ten pojawił się dwadzieścia lat później) nie miały społecznego uzasadnienia. Jednak czytając te reportaże dziś, widzę, że wygrywa Kąkolewski: w dziwaczności i nieprzystosowaniu swoich bohaterów odnalazł odwieczne prawdy o człowieku i jego tęsknotach. Chcesz wiedzieć, czego brakuje ludzkości? Pogadaj z szaleńcami.

Kąkolewski wykazał przede wszystkim, jak napisała w 1979 roku Krystyna Goldbergowa, że wojna zakończona przed trzydziestu laty z okładem trwa dotąd w niejednym człowieku i kieruje jego czynami.

Napisał oczywiście o wiele ważniejsze książki niż *Baśnie*. Dziś ma ich na koncie ponad trzydzieści w łącznym nakładzie pół miliona egzemplarzy. Wielkim hitem było *Co u pana słychać?* (1975) i jej następne rozszerzone wydania. Czwarte, z 1981 roku, opatrzono adnotacją: „Ponownie rozszerzone". To sensacyjna opowieść o docieraniu do dawnych zbrodniarzy nazistowskich, którzy wciąż żyli w zachodnich Niemczech. Kąkolewski postanowił, że jeszcze coś im się przydarzy...

W rozmowie z Martą Sieciechowicz, zapytany, czy nienawidzi swoich rozmówców, odparł:

– Nikogo nie nienawidzę, nienawiści nie mogłem w sobie wzbudzić nawet w czasie okupacji niemieckiej. Jechałem po to, aby zebrać materiał, zetknąć się z ludźmi, którzy decydowali o moim życiu. W miarę rozmów oni określali mnie jako nacjonalistę polskiego.

– Z jakimi uczuciami pan od nich wychodził?

– Z triumfem, że rozmowy w ogóle się odbyły. Cieszyłem się, że nigdy nie przepraszali za swoje zbrodnie. Właśnie to mi zarzucano – dlaczego nie przepraszali. Ale co to byłoby warte, oni pozostaliby niezmienni, chodziło o ich psychologię.

Reportaże te nie ukazały się na Zachodzie. Wydawcy zażądali, aby autoryzował rozmowy ze zbrodniarzami. On ten jeden raz nie chciał tego zrobić.

Największym zarzutem wobec Krzysztofa Kąkolewskiego i *Co u pana słychać?* było to, że podawał rękę byłym esesmanom. („Profesor Fleischhacker wyciąga rękę na pożegnanie. Nie przewidziałem tego. Najcięższy moment. Podaję mu rękę"). Zadziwiające, ale wiele osób uważało, że już samo pisanie o ludziach oddanych Hitlerowi jest nobilitowaniem nazistowskich Niemiec. Na temat książki zorganizowano telewizyjną debatę reporterów. W obronie autora stanęli m.in. Melchior Wańkowicz i Stanisław Dygat. „Literatura", z którą Krzysztof Kąkolewski był związany od 1972 roku, nie wydrukowała mu w 1981 roku ostatniego reportażu z „nazistowskiej serii". Po wprowadzeniu stanu wojennego rozstał się z redakcją i od tej pory nigdzie nie miał etatu.

Wcześniej pracował w „Pokoleniu", zaczął tam w wieku dziewiętnastu lat, potem w „Sztandarze Młodych", „Kurierze Polskim", „Świecie", warszawskiej „Kulturze". W 1954 roku skończył dziennikarstwo na Uniwersytecie Warszawskim, od 1962 do 2004 roku był tam wykładowcą.

W swojej pierwszej głośnej książce reporterskiej – *Trzy złote za słowo* (1964) – wpadł na wspaniały pomysł formalny, który powtórzyłem trzydzieści lat później (*Polska z ogłoszeń* w *Niedzieli, która zdarzyła się w środę*, 1996). Otóż postanowił sprawdzić, jakie historie naprawdę kryją się za ogłoszeniami prasowymi. Wprawdzie już Antoni Słonimski podczas swojej podróży do Rosji (patrz t. 1, s. 413) szedł tropem ogłoszenia z gazety, by dotrzeć do prawdziwego życia, zaś czeska dziennikarka Milena Jesenská stworzyła cały reportaż na podstawie ogłoszeń, które dawali wypędzani w 1938 roku z Sudetów Żydzi i niemieccy antyfaszyści, lecz dopiero Kąkolewski pokazał ogłoszenia jako rodzaj literatury. Jest to, jak pisał, jedyny gatunek twórczości, w którym sami autorzy płacą za każde słowo.

> Przymiotniki, rzeczowniki, czasowniki po tej samej cenie. Piszą to sami o sobie, dobierając i odrzucając po wielokroć słowa, aby zyskać precyzję określeń, zagęścić cenne wyrazy.

Ogłoszenie „Duży pokój sublokatorski we wspólnym mieszkaniu, komfort, zamienię na jakikolwiek" okazało się prologiem do tragedii. Ogłoszenie „Gosposi młodej, energicznej, inteligentnej do rodziny zamożnej, jedno dziecko, poszukuję" – wabikiem dla złodziejki, którą chciał odszukać były pracodawca. Ogłoszenie „Za uzasadnione naplucie w twarz, policzki, wyzwanie oraz dopełnienie konserwą inż. Alfonsa Tadeusza D., Warszawa, ul. X przepraszam. Jedna z wielu skrzywdzona narzeczona" – historią z sześcioma tomami akt z sześciu spraw sądowych. I tak dalej.

Na pytanie, kto dał Krzysztofowi Kąkolewskiemu prawo do zakłócania ludziom życia, reporter odparł:

> Reportaż jest to sposób życia, w którym jakaś jednostka mianująca siebie reporterem poszukuje postaci literackich istniejących gdzieś naprawdę lub otacza się nimi. Jest to sposób życia, w którym ta jednostka uzurpuje sobie dość duże prawa, takie jak choćby prawo do zadawania różnych, często drażliwych pytań. I jeśli jest się przez coś ograniczonym, to tylko przez własną wyobraźnię, która nie podsuwa dostatecznie dobrych pytań [...].

Dodał jeszcze, że beletrysta żeruje na swoich nędzach, reporter na cudzych. Kiedyś zastanawiał się, dlaczego tyle pisze o czasach wojny (oba fragmenty w antologii dotyczą tego czasu). Doszedł do wniosku, że nie wie, czy zajmowałby się pisaniem, gdyby nie ona.

> Przeżywałem wojnę jako dziecko i – właśnie jako dziecko – byłem z niej w pewien sposób wyłączony. Oczywiście w każdej chwili mogłem, jak wszyscy wówczas, zginąć, ale byłem wyłączony z akcji, z walki – czyli z tego, co pociągało mnie najbardziej. [...] Moje późniejsze pisarstwo – to były próby przeniknięcia przez cudze losy do wnętrza wojny. Przecież dramaty ludzi, których opisuję, są odwrotnością tego, co sam przeżyłem.

Baśnie udokumentowane

Jak pan żyje?

I

– Trzydzieści lat temu, ten sam czas. Żniwa w Oświęcimiu. Można zjeść kilka ziarenek zboża. Przy wieczornym apelu okazuje się, że brak jednego więźnia z bloku 14A. Wszedł w zboże i wyludnioną wokół obozu okolicą odszedł tak daleko, że pościg go nie dosięgnął. Noc, dzień i noc staliśmy, czekając na selekcję do bunkra głodowego na śmierć, co było karą za ucieczkę więźnia dla tych, którzy zostali.

Niektórzy esesmani noc spędzili z nami, bijąc. Rósł stos nieprzytomnych. Zaczęła się wybiórka. Liczyliśmy, na kogo wypadnie. Oko Fritzscha[1] padło na mnie, potem wskazał ręką i wiedziałem, że po mnie, i rzeczywiście wypowiedziałem te słowa: „Mam żonę i dzieci, żal mi ich, że je osierocę".

Nagle ruch: jakiś więzień wystąpił z szeregu przede mną, zdjął czapkę przed Fritzschem, a on pyta, czego więzień chce, więzień odpowiada: „On ma żonę i dzieci, ma dla kogo żyć, ja jestem samotny i chcę umrzeć za niego". „Za którego ty chcesz iść więźnia?" – zapytał Fritsch. „Za tego". – Odwrócił się. Patrzył na mnie. Poznałem, że to ojciec Kolbe. Mnie kazano wstąpić do szeregu na jego miejsce, a jemu na moje. Jak to się stało, że Fritzsch usłuchał więźnia – nigdy tej zagadki się nie wyjaśni. Nie wierzyłem sobie, że znów będę żył.

– Powiedział pan „znów". Od tej chwili – jak pan żyje?

– W tym życiu czekały mnie zaraz straszliwe chwile... Przechodziłem tyfus.

– Czy nie przeklinał pan tego, że pan żył?

– O, nie. Bardziej jeszcze chciałem żyć, żeby nie zmarnowała się ofiara ojca Kolbego, chroniłem siebie dwa razy bardziej. W ten sposób ratował mnie drugi raz. On mi jeszcze dodawał siły, myślę, że już z nieba. Jak mogłem zaprzepaścić jego życie? On przeznaczył je, żebym żył z moją żoną i cieszył się synami. Do nich szedłem przez lasy pod Schwerinem w czasie ewakuacji: dwanaście dni nie dano nam jeść ani pić. Żywiliśmy się trawami i pokrzywami. Były upały i one były suche. Potem wojska amerykańskie przeszły przez nas. Kazali nam wstać i iść. Poszedłem. Zapisałem się na transport do Polski i wróciłem.

– Potem minęło dwadzieścia pięć lat życia?

– Bez burz, wielki okres spokoju, żadnych zdarzeń.

– Żadnych?

– Nic, zupełnie nic się nie zdarzyło. Rozpoczęło się to życie w Brzegu, nie chcieliśmy wracać do Warszawy, do wspomnień. Przyjechaliśmy tu za

[1] Karl Fritzsch (1903–1945) – *Schutzhaftlagerführer* (szef więźniarskiej części obozu) w obozach koncentracyjnych Auschwitz-Birkenau i Flossenbürg. Zasłynął z wyjątkowego okrucieństwa, w Auschwitz jako pierwszy wykorzystał cyklon B do masowej eksterminacji więźniów.

kuzynką. „Przywiozłaś mnie do miasta umarłych. Tu umarli tylko mieszkają" – powiedziałem żonie. Może trzy tysiące ludzi tu było, łącznie z Niemcami, którzy wyjeżdżali. Miasto zdruzgotane. Ja pracowałem w administracji, żona w handlu. Nie zdobyliśmy wysokich stanowisk ani godności, ani odznaczeń. Nie dokonaliśmy niczego. Pracowałem w opiece społecznej. Jak tylko przyjechaliśmy, garnęli się do nas Niemcy, mały chłopiec, który stracił ojca na froncie, Manfred, dawaliśmy mu chleb, kiedy odjeżdżali do Niemiec, przyniósł prezent: tacę z kieliszkami, obiecał pisać, ale wiedzieliśmy, że nigdy nie napisze ani się nie zobaczymy. A teraz jesteśmy emerytami. Dostaliśmy pierwsze piętro tego domu, kiedy nas nie będzie dawno, będzie spłacone. To miasto emerytów. Ogrody i ogrody, łączą się jedne z drugimi, skwery i parki. Także nasz ogród przy domu, w którym mamy ulubione kwiaty polskie, ludowe: malwy, floksy, cynie. Mamy też róże, mniej kochane, jabłonki, gruszki, kurki, które w lecie zaopatrują nas w jajka. Mamy też króliki na potrawkę, paszy tu całe morze. Jest pies Kruk, bo czarny, i w okolicy zagnieździła się synogarlica, woła: „Jestem tu, jestem tu". Teraz wysiaduje małe. A nasz ogród przechodzi przez park Wolności o niespotykanej przyrodzie, są platany, świerki, klony japońskie, co zrzucają korę na lato. Wierzyć się nie chce, że od dwudziestu pięciu lat jesteśmy w ciszy. Jak jeden rok. Bez burz. Piję dużo mleka, wstajemy teraz, kiedy nie chodzimy do pracy, inaczej: ja później, żona wcześniej. Mam dużo chrześniaków, jest kościół, spacer, kino. Czasem dochodzimy nad Odrę, płynie szybko, cicho. Patrzymy na kobiety, które na skwerach robią na drutach i wyszywają całe popołudnia, aż do zmierzchu, ale całe ukojenie nasze to ten park. Tam rozmawiamy o dzieciach.

– Właśnie, proszę opowiedzieć.

– Jak pan wie – włącza się pani Gajowniczek – byliśmy z mężem rozłączeni. Mąż został aresztowany, gdy na rozkaz podziemnej organizacji przekraczał granicę z Węgrami, i wywieziony do Oświęcimia, ja zostałam z chłopcami. Zachowanie ich dla przyszłości uważałam za najważniejsze. Starszy, Bohdan, uczeń szkoły średniej zamaskowanej jako zawodowa, kiedy na początku roku dostawał nowe podręczniki matematyki, tego samego wieczora rozwiązywał wszystkie zadania. Na egzaminie konkursowym, wypisując jeszcze na tablicy temat zadania, podał rozwiązanie. Był zwolniony od opłat. Pierwszego sierpnia zapytałam młodszego syna: „Co taka dziwna cisza?". Wtedy starszy powiedział: „Mamo, ja idę do powstania". Nie wiedziałam, że należy. „Nie puszczę cię". „To skoczę z balkonu". Był jeszcze szóstego sierpnia. Przyszedł spać, straszny był ten sen, tak twardy. Myślałam: nie obudzę go, ale on obudził

się co do sekundy i poszedł. Ja nie chciałam ruszać się z naszego domu, gdzie było piekło: „Tu zginmy, nasi bliscy choć będą wiedzieli, gdzie nasz grób". Myślałam o mężu i synu. Ale wyszliśmy. Punkt zborny naznaczony był dla wszystkich bliskich u siostry mojej w Rawie Mazowieckiej: dla mnie i młodszego syna, dla starszego, dla męża, cokolwiek by było – tam się spotkamy. Była mała nadzieja, strasznie mała. I wtedy pierwszy zjawił się Bohdan, który kanałami wydostał się na Bemowo. Nie wiedziałam nic o mężu poza tym, że można było mu przysłać paczkę. W połowie stycznia pojechałam do Tomaszowa Mazowieckiego nadać paczkę. W drodze zatrzymano pociąg. Niemcy w czasie rewizji stwierdzili, że wśród nas była pani, która miała ogromną sumę pieniędzy. Myśleli, że grupa przygodnych podróżnych jest grupą konspiracyjną i osadzili nas w więzieniu. Po kilku dniach zauważyliśmy coś, w co nie mogliśmy uwierzyć: strażników nie było, bramy były uchylone. Kiedy przyjechałam do Rawy, synów nie zastałam w domu. Po kilkunastu minutach znalazłam ich na polu pod lasem: leżeli obok siebie, w jednej sekundzie ujrzałam ich wśród masy zabitych. Uciekli z miasteczka i dostali się pod ogień, którym nacierająca armia obłożyła ten odcinek.

– Kiedy znalazłem się w punkcie zbornym naszej rodziny, ocalony, po pięciu minutach rozmowy poszedłem z żoną na cmentarz w Rawie. Tam, w grobie rodzinnym, byli synowie, dla których zostałem ocalony. Gdybym nie żył, żona nie odeszłaby od nich nadawać dla mnie paczkę. Lepiej gdybym ja zginął, a oni żyli, ale takie jest zrządzenie boskie, że ja zostałem wskrzeszony ich imieniem, a oni zginęli. Rozmawiamy ciągle z żoną, jak byłoby, gdyby oni żyli, a gdybym ja nie żył. Starszy syn byłby inżynierem, pewnie znanym, i moje nazwisko byłoby znane w całej Polsce, przypuszczam, że byłby konstruktorem samochodowym, stworzyłby samochód, którego nie ma teraz przez brak jego, a młodszy syn pracowałby w handlu zagranicznym, na jakiejś placówce w Paryżu czy na Kubie, jakie byłoby to proste: mieszkalibyście w Warszawie i czasem wspominalibyście mnie w jakimś parku, dawno nieżyjącego, umarłego w niewyjaśnionych okolicznościach, w obozie. Zajmowaliśmy się z żoną z ramienia opieki społecznej kobietą, która została, na skutek osobliwych powikłań, z trojgiem wnucząt. Żona chciała wziąć najmniejsze: Tereskę, i wychować ją. „Niech pani mi ją zostawi, odpiszę na swoje nazwisko" – prosiła. Ale babka dziewczynki powiedziała, że ją sama wychowa. Po prawie dziesięciu latach babka przyjechała do nas z dziewczynką, komunikując swoją zgodę, ale było za późno, dziewczynka miała już swoją pamięć, swoje życie. Była u nas niedawno, bardzo ładna panienka, nic nie wie o naszym zamiarze, że była u niedoszłych rodziców.

– Powiedziałabym jej dopiero przed ślubem – wtrąca pani Gajowniczek. – Chłopczyka nie chciałam, bo to byłaby zdrada wobec moich synów.

Gajowniczek wyprowadza nas z mieszkania – którego zwykły zapach: mleka, gazu, parzonej herbaty, naftaliny, zamieszkałości nie godzi się z ołtarzem w sypialni, w którego centrum jest ojciec Kolbe, a po bokach synowie Gajowniczka. Usprawiedliwiając się, że nie umie opowiedzieć o swoim życiu, mówi o ojcu Kolbem. W miarę jak wzrasta kult jego jako męczennika i prochy Oświęcimia przez to, że zawierają jego prochy, stają się relikwią – życie samego Gajowniczka wydaje się zanikać, Gajowniczek jest tylko przyczyną świętości ojca Kolbego. Nie dostał odpowiedzi, dlaczego nie ujrzy swoich synów, dla których został zachowany przy życiu. A może – nie śmiem mu tego powiedzieć – nie szło o niego, tylko o upodobnienie swojego życia do życia Chrystusa, było to pragnienie męczeństwa? A może chodziło o to, by odebrać Niemcom poczucie, że życie jest najwyższą wartością i że władza nad nim jest najwyższą władzą?

II

W cztery lata po mojej wizycie w Brzegu przyjmuję u siebie Gajowniczka:

– Ta scena w moim życiu powtarza się ciągle od nowa. Czasem codziennie. Ile mogła trwać?

– Według moich obliczeń czterdzieści pięć sekund – odpowiadam. – Padło w niej dwadzieścia słów. Pięć wypowiedział pan, pięć Fritzsch i dziesięć ojciec Kolbe – odpowiadam.

– Lata zużyto, żeby ją odtwarzać. Tomy napisano. Zmienia się sama cena wydarzenia. Niektórzy w miarę mijania lat przypominają sobie coraz nowe fakty. Jestem bezbronny. Mówią o mnie i piszą, jakbym nie był żyjącym człowiekiem.

– Trochę tak jest.

– Więc robią ze mną, co chcą.

– Przykro mi, ale musimy odczytać ten fragment, żeby go przeanalizować:

– Moja nowa tragedia.

„...Skazany błagał o życie, prosił, że chce wrócić do żony, dzieci, nie chce umierać... Więzień, skurczony u stóp Fritzscha, powtarzał swoje błaganie".

– Pan by obliczył, że to dwadzieścia słów – mówi Gajowniczek. – W Oświęcimiu nie błagało się o życie. To doprowadzało esesmanów do dzikiej wściekłości – było naruszeniem ich władzy. Każdy, kto by tak zrobił (wypadki takie były niezmiernie rzadkie), to po to, żeby zginąć natychmiast. Gdyby błagania istniały w Oświęcimiu, Oświęcim nie byłby Oświęcimiem. Przyznaję, że

wypowiedziałem do siebie słowa, ale to był jęk w pustkę. W tak wielkiej ciszy mogło to być słyszalne. Nie myślałem, że ktoś je usłyszy. To, że je wypowiedziałem, opowiedziano mi potem. Gdybym zginął, nie wiedziałbym, że je wypowiedziałem. Więzień nie mógł zbliżać się do kata, a cóż dopiero przypaść do jego stóp, „kurczyć się" i tak tkwić. Fritzsch cierpliwie słuchający powtarzającego swoją prośbę więźnia?

– Skurczony, co to znaczy?

– Że klęczę.

– Że klęczał pan.

– „Wrócić do żony i dzieci" – jakby zwolnienie z bunkra śmierci głodowej oznaczało szczęśliwy powrót do domu. Oznaczało inną formę śmierci.

– Pan przeżył.

– Nie wolno mi było umrzeć. Tylko mnie było wzbronione samobójstwo, rzucenie się na druty, tylko ja nie miałem wyjścia z Oświęcimia. Więźniowie zmuszali mnie do życia, wielekroć je jeszcze ratowali – podtrzymując czyn ojca Kolbego. Moim obowiązkiem było żyć, żeby nie zmarnowała się jego ofiara. Ojciec Kolbe nie wiedział, kim jestem, nie wiem, czy przyjrzał mi się, gdy zamieniał się ze mną losem.

– W bunkrze śmierci myślał o panu. Mógł zastanawiać się nad dziwnością tego, że narzucił swą wolę Fritzschowi: pierwszy raz esesman usłuchał więźnia. Cieszył się, że pana nie ma tam z nim, bo mogło się tak zdarzyć. Poza tym pan był tylko domknięciem, ukoronowaniem planu świętości, który miał ojciec Kolbe.

– Czy ojciec Kolbe myślał o mnie? To nie pycha: zapewne tak, i modlił się, żebym zniósł życie, którym mnie obdarzył.

– Pewnie jego myśl sięgała do pewnego punktu w pana życiu: do końca obozu.

– Już w Oświęcimiu równolegle do cierpień zadawanych przez oprawców pojawiło się nowe cierpienie w moim życiu. Niektórzy wyrzucali mi, że zgodziłem się, by wielki człowiek poszedł i poświęcił się za mnie. To ja powinienem był pójść za ojca Kolbego. Jakbym był przyczyną jego śmierci, zabójcą. Fritzsch mu się nie sprzeciwił i ja uległem.

– Inaczej ofiara by się nie spełniła.

– W tym jest żal i do ojca Kolbego, że oddał życie za kogoś tak skromnego jak ja. „Gajowniczek to prostaczek – mówią niektórzy – po co go tak eksponować".

– Może zawiść? Nie umarłych, którzy nie zostali ocaleni, ale żywych? Nie dość – może myślą – ocalono go, ale dzięki temu zdobył sławę na cały świat?

– Może to dobrze postawione pytanie. Mnie wszystko jedno. To przestało mnie boleć. Myślę, że za prostaczka powinien oddać życie ojciec Kolbe – nie chodzi tu o mnie, chodzi o kogokolwiek. Ja byłem „kimkolwiek". Ale od czasu „nowych narodzin" zaczęto oczekiwać, że zacznę nowe życie, że stanę się kim innym.

– Kim miał pan zostać w wieku czterdziestu lat? Artystą? Mężem stanu? Marszałkiem? Świętym? Filozofem?

– Miałem stać się kimś równie wartościowym, zastąpić go w świecie, aby zrównoważyć stratę.

– Pozostał pan sierżantem w stanie spoczynku. Każda próba zrównania się, wielki gest, na przykład wstąpienie do klasztoru, próby „rewanżu", „odpłaty" byłyby niesmaczne, bezsensowne. Ofiara ojca Kolbego była bezwarunkowa, nie zobowiązywała pana do niczego, nawet do tego, by pan żył uczciwie.

– Mówiono i o tym, że się rozpiłem, straciłem wiarę, porzuciłem żonę. Nie wolno mi się bronić. Wtedy mówią, że w głowie mi się przewraca, bo uważam się za postać historyczną. Chciałem zachować jedno: honor żołnierza, podoficera odznaczonego krzyżami bojowymi w trzydziestym dziewiątym roku. Teraz mi to odebrano. Zhańbiono mnie. W czasie filmu kręconego dla TV przez Waltera z Wajdą – przesłuchiwano mnie: „Powiedz, przyznaj się, że błagałeś, że klęczałeś". „Nawet we śnie nie pomyślałem" – odpowiedziałem. „To dla nas gorzej" – powiedział jeden z nich. Żona płakała. Odchorowaliśmy to oboje.

Musiałem leżeć. Opadłem z sił, groził mi zawał. Jak mam się wywdzięczyć mojemu Wierzycielowi? Znieść cierpienia, które przyniesie życie mi ofiarowane. Sensem mojego życia jest to, że trwa dzięki ojcu Kolbemu.

– Teraz pan oddał życie za ojca Kolbego.

– Tak nie wolno mówić.

– Ofiara okazała się wzajemna. Pan był konieczny dla świętości ojca Kolbego. Teraz pan cierpi. Trudno to wszystko do końca zrozumieć. Ale jesteście połączeni, przykuci do siebie, bliźniacy świętości. Pan staje się odbiciem, obrazem, podobizną tamtego, żywą rzeźbą. Dlatego wiele ludzi nie traktuje pana jak żywego człowieka.

Gestapowski śnieg

I

Dwa są początki tej historii opowiedziane przez jej bohaterkę Irenę Ch. Ona wie, który jest prawdziwy:

„Po wejściu wojsk niemieckich znalazłam się bez posady. W tym czasie zgłosił się do mnie były podkomendny mojego męża, powiedział, że należy do tajnej organizacji Niepodległość (w innym miejscu Irena Ch. nazywa organizację Polską Niepodległą) i namawiał mnie, bym jako dobra Polka wstąpiła do tej organizacji i z jej ramienia rozpoczęła pracę w gestapo. Złożyłam przysięgę tej treści: »Przysięgam Panu Bogu w Trójcy Jedynemu i Matce Przenajświętszej, że będę pracowała dla dobra Rzeczypospolitej, a jako nagroda czeka mnie niepodległość, a jako kara – śmierć«. Dostać się w aleję Szucha nie było trudno, gdyż Niemcy potrzebowali maszynistek".

„Jesienią 1939 roku pewnego popołudnia przyszło trzech gestapowców oglądać opuszczone mieszkania w domu przy ulicy Nalewki 4. Ponieważ władałam językiem niemieckim dobrze i poprawnie, odpowiadałam na ich pytania, na drugi dzień przyszli powtórnie, zabrali mnie samochodem na aleję Szucha, zaprowadzili na pierwsze piętro i w jednym z licznych biur zapytano mnie, czy przyjmę pracę u nich jako tłumaczka... Gdybym odmówiła, nie mając na razie zatrudnienia, o czym wiedzieli, niechybnie zamknęliby mnie. A co byłoby z moją rodziną? Więc po pewnym zawahaniu się przyjęłam, mając na uwadze, że będę mogła pomagać dużo, dużo..."

Irena Ch. wypełnia formalności: pisze podanie, dołącza metrykę, świadectwo ukończenia szkoły, podpisuje zobowiązanie, że będzie „szczerze i uczciwie pracować na rzecz Niemców, nie zdradzać tajemnic służbowych". W kwietniu dostaje podwyżkę z dwustu pięćdziesięciu złotych na czterysta złotych. Z maszynistki awansuje na sekretarkę Paula Wernera, szefa referatu IV A, obejmującego walkę z komunizmem, partyzantką, wykroczeniami radiowymi, sabotażem, akcjami z bronią w ręku, fałszowaniem dowodów osobistych, spadochroniarzami, organizacjami podziemnymi. Otrzymuje pokój 204, obok pokoju Wernera, i telefon wewnętrzny 320a, sprzężony z telefonem 320, należącym do Wernera. W kwietniu 1940 Irena Ch. podpisuje volkslistę w imieniu swoim i swoich dzieci: szesnastoletniego Tadeusza i piętnastoletniej Tolinki.

Irena Ch. na tle nędzy, żałoby narodowej, kiedy przeważały ciemne ubrania, ubiera się z wyzywającą elegancją, chodzi w jasnym kostiumie ze srebrnym lisem. Jeździ tramwajem *nur für Deutsche*, często odwożona jest do domu samochodem gestapo. Przyjmuje oficerów gestapo i SS u siebie

w domu. Wieczorem w dniu zdobycia Paryża przez Niemców wydaje przyjęcie. Strzelają korki od szampana, wznoszono toasty za zwycięstwo Niemiec, śpiewano pieśni hitlerowskie, patefon gra do późna w noc. Niedługo potem Irena Ch. z córką jadą zwiedzić zdobyte miasto. Wróciwszy, Irena Ch. uważa, żeby wszystkie mieszkania były należycie zaciemnione, strzeże godziny policyjnej. „Ja mam odpowiedzialną pracę – krzyczy przez całe podwórze – jutro wcześnie wstaję, proszę się natychmiast uciszyć, inaczej wezwę żandarmerię". Jeden z mieszkańców podpity nuci w oknie. Irena Ch. wzywa go do uciszenia się, on odpowiada: „Ja się nie boję tej pani z pierwszego piętra". Przyjeżdżają żandarmi, zabierają go, po paru dniach wypuszczają, potem znów aresztują i on więcej nie wraca. Mieszkańcy domu przy ulicy Nalewki 4 zaczynają się bać Ireny Ch., boją się przechodzić pod jej oknami. Irena Ch. w rozmowach z sąsiadami nazywa się „mężem zaufania gestapo"; do dozorczyni mówi: „Polski nigdy nie będzie. Niech pani sobie taką głupotę wybije z głowy". Do sąsiadki, Marianny T.: „Pani nie wie, co my z wami po wojnie zrobimy. Nie powiem pani, bo będzie pani przykro". Do innej sąsiadki, Stanisławy U., mówi: „Niech zginie ta cała śmierdząca inteligencja. To przez nią te wszystkie nieszczęścia".

Dzieci Ireny Ch. zaczynają okazywać dawnym kolegom pogardę. Tolinka zobaczywszy, że córka Marianny T., Alicja, czyta *Lalkę* Prusa, krzyczy na nią: „Dlaczego czytasz to świństwo? Ja jestem dumna z tego, że jestem Niemką i że mamusia pracuje w gestapo. Nigdy nie lubiłam Polaków, teraz ich nienawidzę". Irena Ch. oddaje ją do niemieckiego gimnazjum. Tolinka wstępuje do BDM[2], gdzie szybko się wybija i zostaje dowódcą grupy. Irena Ch. skarży się na przeciążenie córki pracą organizacyjną. Tadeusz wstępuje do Hitlerjugend. Matka załatwia przyjęcie go do specjalnego gimnazjum dla młodzieży niemieckiej w Zakopanem, gdzie robi maturę wiosną 1941 roku. Zgłasza się jako ochotnik do Wehrmachtu, dzięki czemu może wybrać sobie broń. Prosi o przydzielenie go do broni powietrznej. Między zgłoszeniem się a powołaniem do Wehrmachtu Tadeusza mija rok, w którym odbywa on praktykę w gestapo. Umieszczony przez matkę w oddziale IV A bierze udział w szeregu ważnych akcji. W 1942 roku wzięty do wojska, służbę odbywa w Finlandii. Zostaje kapralem. Po roku warszawskie gestapo wyreklamowuje go na prośbę Ireny Ch. z frontu i przydziela do wydziału IV N, jednego z najtajniejszych, zajmującego się kierowaniem siecią szpiclów, wtyczek i donosicieli. Tadeusz Ch. zostaje wyniesiony nawet ponad naród panów, do którego tak niedługo należy.

Stanisława U. opowiada: „Mówię jak pod przysięgą: w środku podwórka domu przy ulicy Nalewki 4 był gazon ze starymi bzami. Tam na największym drzewie mieli wisieć Irena Ch. i Tadeusz. Było już nawet szare mydło, którym

[2] BDM – Bund Deutscher Mädel (Związek Niemieckich Dziewcząt), żeńska sekcja Hitlerjugend.

mieliśmy smarować sznur. Taki był wyrok lokatorów. W pierwszy dzień powstania mieliśmy zamiar ich odnaleźć i ściągnąć tu".

W kartotece wywiadu ruchu oporu założonej Irenie Ch. znajdują się trzydzieści dwie adnotacje. Ogólna charakterystyka:

„Irena Ch. Wdowa po mjr. WP. Jest agentką Go. Bardzo nieprzychylnie ustosunkowana do Polaków. Rysopis: wysoka, szczupła, brunetka. W dniach, kiedy odbywają się obławy, udaje się do urzędu już o godz. 4–5 rano. Jest odwiedzana przez cywilnych i mundurowych Niemców. Bierze udział w rekwizycjach towarów żywnościowych na dworcach. Posiada radio i kartki żywnościowe niemieckie. W przesłuchaniu aresztowanych politycznych brała udział jako główny tłumacz i jakoby namawiała do wsypy".

Jedna z przesłuchiwanych relacjonuje: „...byłam kilkakrotnie przesłuchiwana przez Irenę Ch., która badała, sama będąc w towarzystwie jakiegoś grubego Niemca gestapowca [Paul Werner – przyp. K. K.]. Zachowanie się jej w czasie tych haniebnych czynności było bardzo szkodliwe dla nas. Już przy wstępnej rewizji wyrwała mi torebkę z ręki... »Ja was znam, wiem, co robicie! – krzyczała. – Jak się nie przyznacie, będziecie rozstrzelane«. Na Pawiaku mówiono, że badała tak podstępnie i sprytnie, że większość w krzyżowym ogniu jej pytań się załamywała i przyznawała. Nazywano ją żmiją. W końcowej fazie Irena Ch. usiłowała wymusić na mnie, bym podpisała zeznania wykoncypowane przez nią".

„Irena Ch. – twierdzi Stanisław L., jeden z asów polskiego wywiadu podziemnego, aresztowany na skutek zdrady Kalksteina[3] – była czynną współpracowniczką Mertena[4], niejednokrotnie była przez niego pytana o radę i sama z własnej inicjatywy występowała z pytaniami, które były bardzo niebezpieczne, wykazując dużą rutynę i całkowite oddanie się interesom gestapo... Pytania te, świadczące o znajomości mojej sprawy, wnikliwe, rozświetlały pewne zagadnienia Mertenowi, zmuszały mnie do niekorzystnych dla mnie zeznań... Widziałem, jak przyprowadzono oficera, którego Irena Ch. rozpoznała jako podwładnego jej męża, przyniosła z szafy rocznik oficerski. Data urodzenia aresztowanego zgadzała się z datą urodzenia figurującego w ewidencji pułku, w którym był jej mąż, ale rzadko tam zjawiającego się, pełnił funkcję agenta II oddziału na teren Gdańska i Prus Wschodnich. Zdemaskowany przez Irenę Ch. musiał przyznać się do swojej przeszłości".

Sama Irena Ch. potwierdziła potem, że namawiała osoby podejrzane do przyznania się do zarzucanych im czynów. Ale, że cokolwiek robiła, było dla dobra przesłuchiwanych. Było to w okresie, kiedy Irena Ch., jak twierdzi, „musiała zerwać kontakt z organizacją, która skierowała ją do gestapo". Zerwanie

[3] Ludwik Kalkstein (1920–1994) – żołnierz konspiracji, później agent gestapo w AK. W 1940 roku wszedł w skład wywiadu ofensywnego ZWZ-AK. Wiosną 1941 zorganizował własną grupę zajmującą się wywiadem lotniczym. Aresztowany przez Niemców w kwietniu 1942 roku po wielomiesięcznym śledztwie zgodził się na współpracę. Do zdrady namówił także m.in. Eugeniusza Świerczewskiego i Blankę Kaczorowską. Jego siatka przyczyniła się bezpośrednio do aresztowania generała Stefana Grota Roweckiego i około pięciuset dowódców i współpracowników wywiadu AK.

[4] Erich Merten (1903–?) – *SS-Untersturmführer*, funkcjonariusz warszawskiego gestapo sprawujący bezpośredni nadzór nad grupą Kalksteina.

to, według jednej wersji podawanej przez Irenę Ch., nastąpiło na początku 1941 roku, według innej w lutym czy marcu 1942 roku. Według jej wersji: „Antoni M. wyjechał do polskiego wojska na Zachód i chciał zabrać mojego syna Tadeusza, na co się nie zgodziłam, bo był za młody, by iść w świat. Antoni M. przekazał mnie łączniczce »Hance«, ona z kolei przekazała mnie »Wandzie», ta »Krysi«, »Krysia« – »Krysi II«, w końcu poznano mnie z pewnym kapitanem »Mikołajem« czy »Michałem«. Kiedy ujrzałam go schwytanego i prowadzonego w obrębie gmachu gestapo na Szucha, przestałam się kontaktować z tą organizacją".

W innej wersji: „Cała paczka żon polskich oficerów została zabrana do Pawiaka... Ja jako wdowa po oficerze obawiałam się, że i ja mogę być nakryta, na dłuższy czas przestałam pracować konspiracyjnie.

W trzy miesiące później – relacjonuje Irena Ch. – otrzymałam od tajnej organizacji list, w którym grożono mi, że jeśli nie przestanę pracować w gestapo, zostanę ukarana śmiercią. – Irena Ch. pokazała list Wernerowi. – W związku z tym mój zwierzchnik Werner powiedział mi 22 sierpnia 1943 roku, że radomskie gestapo dowiedziało się przez swojego konfidenta, że wyrok na mnie ma być wykonany tegoż dnia. Oficerowie gestapo z Radomia wraz z konfidentem przyjechali do Warszawy samochodem. Na rogu Marszałkowskiej i Litewskiej ten konfident rozpoznał kobietę, która miała wykonać na mnie wyrok. Schwytano ją, miała przy sobie plan mojego mieszkania. Zabrali ją do Radomia i co się z nią stało, nie wiem. W tym czasie na polecenie gestapo przeprowadziłam się w aleję Szucha".

Nowy adres Ireny Ch. brzmi Polizeistrasse 11 m. 3. Służbowe mieszkanie dzieli z SS-Scharführerem Jahnke, mają wspólny telefon numer 85144.

Raporty wywiadu: 4312 mj/B.I. – „Irena Ch. jako pracownik Go otrzymała ostrzeżenie. Po likwidacji N., którą sama wprowadziła do Go, żyje w strachu, nie wychodzi z domu". 4330 srp/29 nadaje Pstrąg: „Dnia 28.8.43 oświadczyła poufnie jedna z pań, że Irena Ch. otrzymała wyrok śmierci Kom. Sądzącej KWP[5]. Irena Ch. zwróciła się do pań X i Y, żon oficerów, aby te spowodowały cofnięcie wyroku, dając im wskazówki, w jaki sposób mają to uczynić, a jednocześnie wystąpiła z pogróżkami, że jeśli wyrok zostanie wykonany, to za jej głowę poniesie konsekwencje cały szereg osób znajomych, przeważnie żon oficerów z Poznania, jak się wyraziła, poda listę dwóch tysięcy osób do Go. Ponadto Irena Ch. oświadczyła: »W pół godziny po zapadnięciu wyroku w Komisji Sądzącej już zostałam uprzedzona i ostrzeżona, zanim wyrok dotarł do Komisji Wykonawczej«. Wyrok miał być wykonany 22 sierpnia, lecz się nie udał, ponieważ wykonawczynię,

[5] KWP – Kierownictwo Walki Podziemnej, ośrodek dyspozycyjny Komendy Głównej Armii Krajowej, kierował całokształtem walki bieżącej i cywilnej AK (m.in. organizował zamachy na wyższych funkcjonariuszy niemieckich, akcje odbijania więźniów).

młodą dziewczynę, schwytano. Wykonanie wyroku nie uda się, ponieważ ona, Irena Ch., ma ochronę z Go".

Siedem dni dzieli dzień aresztowania dziewczyny, która miała zabić Irenę Ch., od daty raportu. Co Irena Ch. przeżyła w tym czasie – pomiędzy rozmową z Wernerem a paniami X i Y? Były one jej znajomymi, prawdopodobnie też żonami oficerów, o których Irena Ch. mogła wyczytać w aktach gestapo, że są powiązane z ruchem oporu. Prawdopodobnie to właśnie panie X i Y stanowią pierwszy kontakt Ireny Ch. z ruchem podziemnym.

Szef działu sądowo-śledczego KWP podaje: „W jaki sposób Irena Ch. nawiązała kontakt z organizacją – nie wiem. W 1943 roku zacząłem od podwładnego ps. »Mały« otrzymywać informacje z gestapo. Po pewnym czasie »Mały« oświadczył, że pochodzą one od Ireny Ch. Donosiła, że jacyś ludzie mają być aresztowani, podawała ulice i domy, które miały być w ciągu dekady obserwowane. Dwa razy dowiedzieliśmy się przez nią, gdzie przebywają pewne osoby, które nas interesowały... Wszystkie te informacje otrzymywaliśmy od Ireny Ch. po wydaniu wyroku na nią przez sąd podziemny".

„Nie podano mi nawet nazwy organizacji, dla której pracowałam" – stwierdziła Irena Ch. Widać nie była pewna swojej pozycji w tej organizacji, bo zaczyna, przepisując niektóre akta, uczyć się ich na pamięć. „Kilka razy czytałam akta Kalksteina, bo wiedziałam, że kiedyś będą potrzebne moje zeznania w jego sprawie". Przygotowuje się już wtedy do roli świadka oskarżenia przeciw swoim zwierzchnikom i kolegom z gestapo. Ale i to zabezpieczenie nie daje jej pewności.

W drugiej połowie 1943 roku dwie opinie, jak o dwu osobach, zderzają się na mieście. Irena Ch. jest: „Katem, zdrajczynią, zbrodniarką", „osobą nadludzko dobrą i odważną, dobrodziejką". Rośnie legenda, niepojęta plotka: wystarczy zadzwonić do niej, powołać się na kogoś i ona uratuje. Mówi się o „cudownym ocaleniu doktora D.". Nie wiadomo, ilu ludziom ocaliła życie Irena Ch. Ona twierdzi, że „tysiącom", wielu wiarygodnych świadków podaje, że co najmniej dziewiętnaście osób przeżyło dzięki niej. Niektórych ludzi ocalała dwa, trzy razy: miała zasadę, że każdego, kogo raz ocaliła, chroniła potem konsekwentnie. Nie liczy się z Abwehrą, postępując prawie otwarcie.

„Udało mi się zwalniać Polaków za pomocą schlebiania Wernerowi. Werner był pusty i zarozumiały, robiłam mu komplementy, chwaląc jego ubranie, wygląd i mądrość. Był to człowiek pochodzący z gminu, bez znajomości form towarzyskich. Lubił opowiadać, że wszystko sam sobie zawdzięcza. Niski, pękaty, brzydki, włosy przerzedzone, szatyn, niebieskie oczy. Bardzo nerwowy, w pracy niesystematyczny. Dla siebie był mało wymagający. Lubił wypić.

Zasadniczo człowiek dobroduszny... bardzo dobry człowiek. Miał przyjaciółkę Polkę, stąd jego słabość do Polaków. Werner sam miał cztery córki i był czuły na widok łez kobiecych. Zwłaszcza dziewcząt".

Sposób, w jaki Irena Ch. przedstawia Wernera, charakteryzuje ją samą. W czynnościach gestapo chce widzieć zwykłe postępowanie administracyjne, o którego przebiegu decydują cechy osobiste i towarzyskie urzędników. Środowisko warszawskiego gestapo uważane było za kloakę. Pozbywano się tu z Reichu najgorszego elementu. Awanturnicy, sadyści, pijacy, łapownicy, znalazłszy się w tym niebezpiecznym mieście, przeciążeni pracą, zmęczeni okrucieństwem, dzień i noc w dyspozycji, gromadzili się w kasynach, gdzie pili na umór. Paul Werner prześcigał ich, był tematem plotek nawet w środowisku okupantów w Warszawie. Kiedy dotarła do niego informacja, że kapitan von A. z wojskowej komendy miasta źle o nim się wyraża, spowodował wytoczenie mu śledztwa o podważanie dobrego imienia niemieckich władz na terenie okupowanym, a więc o sabotaż na rzecz aliantów. Agenci gestapo szantażem wydobywali oświadczenia od personelu komendy miasta. Wreszcie Werner kazał sprowokować w restauracji Hotelu Europejskiego pijacką awanturę, do której wciągnięto kapitana von A. Mimo to chmury zbierają się nad głową Wernera.

„Werner wezwał mnie do prywatnego mieszkania – relacjonuje Irena Ch. – i dał dokładne dyrektywy, bo wiedział, że i ja będę przesłuchiwana. Przewidywał dla nas najgorsze, bo, jak mówił, oboje jesteśmy winni. Zatrzymano osoby, które pośredniczyły w zwolnieniach Polaków. Aresztowany został właściciel restauracji na Marszałkowskiej, gdzie odbywały się libacje, gdy Werner wypuścił kogoś z więzienia. Ja byłam tam tylko dwa razy. Osoby aresztowane były przesłuchiwane szczegółowo o mnie: ile ja pieniędzy pobieram za zwolnienie więźniów, czy wiedzą coś, że opłaca mnie organizacja".

Przesłuchiwani ukrywają przed władzami niemieckimi fakty, które ujawniają po wojnie. Ocalony w 1943 roku doktor D., podkreślając bezinteresowność Ireny Ch., dodaje, że mimo to „ofiarował jej córce Tolince kolczyki z brylantami". Kto inny mówi o „sumie wręczonej Wernerowi za pośrednictwem Ireny Ch.". Stanisława U., sąsiadka, błagając o zwolnienie córek, wręcza tylko bukiet tulipanów i butelkę wina. Irena Ch. mówi potem: „Dać Wernerowi kwiaty i wino? To mogło Wernera tylko rozwścieczyć. Kiedy nie uratowałam ich, chciałam zwrócić wino, ale kwiaty już zwiędły". Gosposia Ireny Ch., którą zabrała ze sobą z Nalewek na Szucha, pamięta, że w przedpokoju na stoliczku przed lustrem leżała ciężka walizeczka z kosztownościami, gotowa na wypadek nalotu czy ucieczki.

Irena Ch. twierdzi: „Wykorzystywałam słabości Wernera, to, że wiedziałam o jego łapownictwie, żeby uwalniać ludzi". Nigdy nie będzie wiadome, jakie były stosunki między Wernerem a Ireną Ch. Irena Ch., opisując sprawę funkcjonariuszki ruchu oporu, pracującej w magistracie i wystawiającej fałszywe kenkarty żołnierzom organizacji podziemnej, podaje: „Werner przyrzekł mi, że zbada sprawę. Wezwał urzędnika, ale ten ani słyszeć nie chciał o zwolnieniu tej osoby. Wtedy Werner zawezwał mnie do pokoju i powiedział przy mnie do tej pani, że zwolnienie ma mnie tylko do zawdzięczenia, gdyż ja się za nią wstawiłam. Wyraził przy tym życzenie, że może, gdy kiedyś zajdzie potrzeba, wtedy ona ma mi pomóc". O jakiej pomocy mówił Werner? Czy przewrażliwiony na tle swojej opinii szef najważniejszego wydziału warszawskiego gestapo robiłby w rozmowie z członkinią polskiego ruchu oporu aluzję do klęski Niemiec?

Z pewnym prawdopodobieństwem można odtworzyć ich rozmowy po wyroku śmierci na Irenę Ch. Zdawali sobie sprawę, że gestapo nie może jej zapewnić bezpieczeństwa, i Irena Ch. mogła powiedzieć Wernerowi, że jedynym ratunkiem dla niej jest nawiązanie kontaktu z ruchem oporu, i być może on wyraził na to zgodę. Tolerując jawne działanie Ireny Ch., zwalniając na prośbę Ireny Ch. tyle osób, liczył na rozszerzenie się jej kontaktów w środowisku, które zwalczał, zdobycie przez nią opinii wtyczki ruchu oporu w gestapo – bo przygotowywał ją do roli wtyczki gestapo w ruchu oporu?

Niedługo potem został zwolniony za łapownictwo. Nadchodziła Armia Czerwona. Irenie Ch. radzono: „Niech pani spisze nazwiska i adresy wszystkich, których pani uratowała, włoży w butelkę, zalakuje i zakopie w ogródku przy domu, w którym pani mieszka. Po wojnie odkopie pani, odnajdzie świadków i bez trudu będzie pani rehabilitowana". Rodzina Ch. była rozproszona. Tolinkę ewakuowano pierwszą, potem wraz z administracją gestapo wyjechała do Poznania Irena Ch. Tadeusz całe powstanie był w Warszawie, walcząc w szeregach ss. Ostatni raz widziano go koło kościoła na Woli, jak u boku generała ss poszukiwał wśród tłumów ciągnących do Pruszkowa tych, których ocaliła jego matka. Wyglądało to groźnie; straż cofała się posłusznie, gdy zbliżał się, by wyciągnąć ich z tłumu, ludzie zasłaniali ich sobą, nie wiedząc, że bronią ich przed ratunkiem. Tadeusz Ch. aresztował ich, by wyprowadzić za ołtarz, nakarmić niemiecką żołnierską zupą i jeszcze raz ocalonych, zaopatrzonych w przepustki, wypuścić na wolność.

Matka naznaczyła Tadeuszowi i Tolince w wypadku cofania się armii niemieckiej z Polski punkt zborny w Poznaniu. Tadeusz zaopatrzony był od dawna w cywilne ubranie i polską kenkartę na nazwisko Andrzej Kurowski,

z nieco zmienioną datą urodzenia. Kiedy, w jakich okolicznościach zrzucił mundur SS, nie wiadomo. Pojawił się w Poznaniu już jako Polak, w cywilu. 17 stycznia 1945 roku Irena Ch. czekała na niego. Krewnym, u których spotkali się, opowiedzieli, że całą okupację ukrywali się, walcząc w ruchu oporu, i dlatego przez całą wojnę nie mogli dać znaku życia. Mija kilka dni. Rosjanie podchodzą pod Poznań. Irena Ch. otrzymuje rozkaz wyjazdu. Ostatnim samolotem wylatuje do środkowych Niemiec. Tadeusz nie może uciekać z nią. W niewyjaśnionych dotąd okolicznościach zostaje rozpoznany w Poznaniu i wydany w ręce radzieckie. Poddany oględzinom, po znalezieniu tajnych znaków pod pachą i językiem, zostaje aresztowany. „Gdyby powiedział prawdę – mówi jeden z jego stryjów – ukrywalibyśmy go, dokąd nie minie pierwszy gniew. Zbadalibyśmy, jak bardzo jest winien. Jeśli bardzo, wyrzeklibyśmy się go, jeśli nie, wzięlibyśmy adwokata".

Na zachód od Drezna Armia Czerwona zagarnia Irenę Ch. Podaje się za robotnicę polską, wywiezioną na roboty do Rzeszy. Zapisuje się na powrót do Polski. Przyczyny tego kroku nie są znane. Marianna T. i Stanisława U. twierdzą, że motywem zdrady Ireny Ch. była ambicja matki, jej kariera w gestapo służyła tylko jako fundament kariery dzieci. Klęska Niemiec zrodziła w Irenie Ch. poczucie winy wobec dzieci: wróciła, żeby ich szukać, żeby je ratować. Można też przypuszczać, że zaangażowała się w podwójną lub potrójną grę o wiele głębiej, niż to jest wiadome. Jeśli tak było, mogła zostać zmuszona do powrotu przez sztab Werwolfu. Motywem powrotu mogła być też walizeczka z kosztownościami. Irena Ch. mogła bać się zabierać ją w niepewną drogę, wśród rabusiów z SS, i zakopała ją, być może, właśnie w ogródku przy alei Szucha 11.

Pierwszego czerwca 1945 roku Irena Ch. przekracza granicę polską i rejestruje się w PCK w Rawiczu jako Jadwiga Szymańska z Katowic, wracająca z przymusowych robót bez środków do życia. Jedzie do Katowic, odszukuje doktora D., którego ocaliła, i prosi, żeby on ją teraz ratował. Doktor D., mimo wahań, nie odmawia jej. Ukrywa ją, znajduje pracę. Irena Ch. w życiorysie dołączonym do podania o pracę pisze, że w czasie okupacji handlowała. Zostaje maszynistką z nadzieją awansu na sekretarkę. Wyrabia sobie dowody i legitymację służbową na fałszywe nazwisko. Na ulicę wychodzi w ciemnych okularach.

Tego dnia po pracy wychodzi na miasto kupić sobie naczynia kuchenne na nowe gospodarstwo i wraca na obiad z zamiarem, że wieczorem pójdzie do kina.

„Kiedy aresztowano moje córki – opowiada Stanisława U. – cały grudzień stałam w mróz w nieskończonych kolejkach po przepustkę do Pałacu Brühla[6].

[6] Pałac Brühla – w latach okupacji siedziba gubernatora dystryktu warszawskiego Ludwiga Fischera.

Kiedy ją zdobyłam, żołnierz w hełmie skierował mnie do wejścia na dziedziniec. Tam stał znów żołnierz, który przepuścił mnie i kazał ukosem przejść dziedziniec do drzwi, które wskazał. Następny wartownik kazał mi iść długim korytarzem. Ogarniał mnie strach, że nigdy stąd nie wyjdę. Na końcu korytarza stał jeszcze jeden żołnierz, który sprawdził przepustkę, odebrał ją, otworzył przede mną drzwi i znalazłam się znów na ulicy. Wtedy zdecydowałam się upokorzyć, zadzwoniłam do Ireny Ch. i błagałam ją o ratunek. Zaniosłam jej kwiaty, wino. Po kilku dniach Irena Ch. powiedziała mi przez telefon: »Niestety, są winne«. Kiedy we wrześniu 1945 roku szłam ulicą Kościuszki w Katowicach, ujrzałam wysoką, szczupłą kobietę w sukni w drobne kolorowe kwiatki na szarym tle, w ciemnych okularach. Zobaczyłam jej zacięte usta i pomyślałam z odcieniem przykrego uczucia czy wspomnienia: To ktoś znajomy. Po sekundzie wiedziałam, że to Irena Ch.".

Stanisława U. zawróciła i szła ostrożnie za nią w niewielkiej odległości. Irena Ch., idąc pewnie i nie oglądając się za siebie, skręciła w ulicę Zajączka i weszła do trzeciej willi na prawo. Gdy weszła do środka, Stanisława U. zbliżyła się, żeby zobaczyć numer. Pobiegła do milicji, potem do Urzędu Bezpieczeństwa. Dostała trzech ludzi w cywilu uzbrojonych w karabiny. Otoczyli willę, a dowódca patrolu wszedł do środka. Po chwili wyszedł w towarzystwie mężczyzny, który przedstawił się jako doktor D. Oburzony krzyczał: „To jest bezprawie, najście, zakłóca mi się jedzenie obiadu, ja zrobię z tego użytek. Tu nie ma nikogo poza moją rodziną". Dowódca patrolu chciał się wycofać. Stanisława U. powiedziała: „Musi pan przeszukać willę od suteren po strych". Dowódca patrolu zawahał się, ale wszedł jeszcze raz i po chwili wychylił się z okna na piętrze i zawołał: „Tu nikogo nie ma, ale są jakieś zdjęcia". Stanisława U. wbiegła na górę i w ramkach, na toalecie, ujrzała zdjęcie Ireny Ch. z Tadeuszem. Dowódca warty dalej przeszukiwał piętro, potem strych i „tam, za otwartymi drzwiami, przytuloną do ściany, zobaczył kobietę, bladą, o sinych wargach".

„Dzień dobry pani – zawołała Stanisława U. – Sytuacja się zmieniła. Teraz pani się ukrywa".

„Ja pani nie znam" – powiedziała Irena Ch.

„Posyłałam pani tulipany" – odpowiedziała Stanisława U. Ruszyli w stronę Urzędu Bezpieczeństwa. Irena Ch. zwolniła kroku.

„Prędzej, prędzej – krzyczała Stanisława U. – Biegnij, jak w obozie musiały biegać moje córki".

Żołnierze przyśpieszyli kroku i obie kobiety biegły chwilę. „To był mój jedyny odwet na Niemcach. Moje jedyne zwycięstwo. Zaofiarowałam się, że pojadę szukać Tadeusza i Tolinki, ale odpowiedzieli, że zrobią to sami".

Na drugi dzień Irena Ch. przyznała się, że nie jest Jadwigą Szymańską.

Na pytanie, dlaczego wróciła do Polski, wyjaśniła, że w celu przeprowadzenia rehabilitacji. Fałszywe papiery i okres ukrywania się umożliwiłyby jej nawiązanie kontaktów z adwokatem i świadkami, po czym sama oddałaby się w ręce prokuratora.

Na pytanie, kim są świadkowie, Irena Ch. podała długą listę.

Trzeba było w owych czasach dużej odwagi cywilnej, by występować jako świadek obrony w sprawach okupacyjnych. Większość ludzi, którym Irena Ch. ocaliła życie, w okresie jej procesu zachorowała na: ostre zapalenie migdałów, przewlekłe zapalenie mięśnia sercowego, zapalenie opłucnej, zerwanie ścięgna skokowego, gruźlicę płuc. Do zaświadczenia dołączyli krótkie oświadczenia, w których kładli nacisk na prezenty, które Irena Ch. otrzymała po ich wypuszczeniu. Stanisław L. powrócił do Polski z Zachodu specjalnie, by złożyć zeznanie. Stanisława U. stwierdziła przed sądem, że zamiary Ireny Ch. należy odczytywać z tego, jak pokierowała dziećmi. Żadna organizacja nie mogła nakazać jej tego, co z nimi zrobiła. Marianna T. nie zeznawała, ponieważ Irena Ch. nie umieściła jej na liście świadków. Sąd nie dał wiary temu, by jakakolwiek organizacja skierowała Irenę Ch. do pracy w gestapo. Pozorna dwoistość, rozdarcie, praca na dwie strony – jeśli uporządkować fakty według chronologii – wyjaśnia się. Irena Ch. zmieniła się po Stalingradzie i wyroku śmierci na siebie. Nie można jej uważać za członka ruchu oporu, tylko za nielojalnego pracownika gestapo. Jeśli nawet uratowała wiele osób, to stało się to kosztem innych, do których uwięzienia i śmierci musiała przykładać rękę, pracując w zbrodniczej organizacji, choćby przez tak zwykłą czynność jak wybranie i przygotowanie teczek do urzędowania dla Wernera. Irena Ch. skazana została na karę śmierci. W prośbie o łaskę napisała: „Musiałam poświęcić własne dzieci, by móc wyrywać ludzi ze szponów niemieckich. Łaska Ob. Prezydenta może wybawić mnie od śmierci i gorszej od śmierci – hańby". Obrońca z urzędu napisał: „Złagodzenie kary będzie niejako odpłatą za jej dobre uczynki, niezależnie od pobudek, jakimi się kierowała".

Argument ten musiał przeważyć, skoro Bolesław Bierut zmienił Irenie Ch. wyrok śmierci na karę dożywotniego więzienia. Była ona podwójnie dolegliwa.

„Dobrze te wszystkie Polki pamiętam – wspomina Irena Ch. – Siedzenie z nimi w jednej celi było dla mnie gehenną. Żadna się do mnie nie odzywała miesiącami. Rozmawiały między sobą, tak jak ja bym nie istniała. Odwracały się do mnie tyłem, kiedy czasem, a bardzo rzadko to robiłam, o coś się do nich zwróciłam. Czasem padało słowo ordynarne, a czasem takie, którego nie mogę zapomnieć".

Po jedenastu latach, trzech miesiącach, ośmiu dniach i dziewięciu godzinach Irena Ch. zostaje warunkowo wypuszczona na wolność. Zna losy swoich dzieci. Tadeusz, wywieziony w głąb ZSRR do obozu dla esesmanów, zginął, przywalony ścianą w czasie robót budowlanych. Tolinka, znalazłszy się w alianckich strefach okupacyjnych, przedstawia się jako żołnierz jednego z oddziałów AK, który zginął w całości. Poznaje Polaka, byłego więźnia obozu koncentracyjnego, bierze z nim ślub i wyjeżdża do Australii. Irena Ch. zaczyna się starać o prawo emigracji, chce jechać do córki. Tymczasem musi się gdzieś podziać. Zwraca się do siostry. Siostra przyjmuje ją, ale każe mieszkać jej w kącie kuchni i jadać osobno. Nie pozwala jej nawet gotować razem, jeść tych samych potraw. Każdego dnia mówi do Ireny Ch. cztery słowa: „Ty świnio, podpisałaś volkslistę". Irena Ch. próbuje wywołać współczucie tym, że straciła ukochanego syna. Jej siostrzenica mówi: „Szkoda, że Tadzik tylko tak zginął. Powinni byli go powiesić". Irena Ch. odpowiada: „To mnie powinni powiesić, bo ja zrobiłam się Niemką i przez to Tadzik i Tolinka stali się Niemcami". Odpowiada jej milczenie.

„Minęło osiemnaście lat od chwili, kiedy Irena Ch. wbijała we mnie wzrok na stryszku willi w Katowicach – mówi Stanisława U. – kiedy spotkałam na ulicy naszą wspólną dawną sąsiadkę Mariannę T. Podeszła do mnie i powiedziała: »Ma pani pozdrowienia od Ireny Ch.«. Zrozumiałam to jako groźbę. Zmieniłam numer telefonu i zastrzegłam go. Zakazałam komukolwiek podawać mój adres. Kiedy Marianna T. zatelefonowała do mojej bratowej, ta odpowiedziała zgodnie z moją instrukcją, że opuściłam Warszawę. Zastanawiałam się, jakie konsekwencje mojego czynu mogę ponieść, jaki rodzaj zemsty wybierze Irena Ch.".

II

O drugiej w nocy zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę i usłyszałem nieznajomy kobiecy głos:

– Ja nie śpię, niech i pan nie śpi. Pewnie i ona tam nie śpi. Mam listy od niej do pana. Niech pan otworzy książkę na stronie dwieście pierwszej. Napisał pan dziesięć lat temu pewne zdanie. Ja panu odczytam. Niech pan nie odkłada słuchawki. Jeśli pan odłoży, zadzwonię znowu. Musi pan wziąć sobie te listy. Przez to ja dalej mam być ofiarą gestapo?

W dzień wszystko było zwyczajne: blok, klatka, niewielka kawalerka, stolik nakryty obrusem, konfitury, ciasto, tort, mocna herbata. Marianna T. trzyma w ręku szarą teczkę. Wypełnia ją kilkaset stron papieru listowego, zapisanego wyraźnym pismem z tendencją do upiększania liter „t" i „z". Seria zdjęć

jakiegoś grobu. Kobieta i mężczyzna na mostku w Łazienkach. Podpis: „1943". Pocztówka z półnagą pięknością ze szczepu Dajaków.

– Byłam w tramwaju numer cztery. Miałam dojechać do nieskończoności. Można zwariować na myśl o takiej wiecznej nocy. Strażnik myślał, że zwariowałam, bo kiedy otwierał drzwi celi, machałam rękami, odganiając coś niewidzialnego. Przeganiałam muchę, żeby nie uciekła z naszej celi. Mogła odlecieć. Bałam się, żeby nie zdechła wcześniej. Zawołano mnie na górę. Pokażę panu ten korytarz, pokój, tam jest teraz ministerstwo, ale trafię z zamkniętymi oczyma, wejdziemy, choćby tam urzędował minister. Pokażę panu drzwi, którymi wyszedł gestapowiec; powiedział, że śmierć moja i córki Alicji jest postanowiona, i te, którymi wbiegła Irena Ch. rozpromieniona. Uśmiech w budynku gestapo przerażał. Ucałowała mnie. Dziwnie smakował ten pocałunek. Córkę Alicję pogładziła po głowie. Wzięła plik papierków, zauważyłam słowa „*Heil Hitler*", przedarła na pół, jeszcze raz na pół i zaczęła palić nad popielniczką.

„To jest rozkaz rozstrzelania was. Jakbyście były w domu. Bolszewicy są w Mińsku Mazowieckim. Ja was ratuję, wy mnie ratujcie". Myślałam tylko: „Moja córka będzie żyć". Od 12 lipca, dnia naszego ocalenia, do 1 sierpnia Tadeusz Ch. nachodził nas codziennie. Oświadczał się o rękę Alicji, błagał, żeby nie zapominać o nim po wojnie. Płakał, mówił, że nie umiał przeciwstawić się matce. Wstydziłyśmy się jego wizyt, brzydziłyśmy się i trochę to nas śmieszyło. Chciał natychmiastowej spłaty długu wdzięczności. Czy przysyłała go matka, ucząc go, że ma mówić o jej winie? Czułyśmy, że ma zamiar się u nas ukrywać. Ten azyl przygotowała mu Irena Ch. Ocaliła Alicję, żebym ja ratowała jej dziecko. Alicja przygotowywała się do udziału w powstaniu. W październiku usłyszałam przy kościele wolskim krzyk Tadeusza: „Kto z Nalewek cztery, do mnie". Nie chciałam być drugi raz ocalona, byłabym własnością Ireny Ch., bałam się, że Tadeusz przyczepiłby się do mnie, wstydziłam się. Przeszłam schylona. Kiedy w październiku 1946 roku przeczytałam w gazecie: „W mroku, przy blasku jednej świecy, padł wyrok: kara śmierci w procesie zdrajczyni", zrozumiałam, że Irena Ch. myśli, że my z Alicją zginęłyśmy w powstaniu, i dlatego nie wezwała nas na świadków. Zostałam z niespłaconym długiem.

Nadeszły moje osobiste tragedie, kiedy się z nich wydobyłam, przypomniała mi się Irena Ch. Szukałam jej po więzieniach, napisałam do Prokuratury Generalnej. Pytałam, czy gdyby Irena Ch. wyszła na wolność, mogłaby u mnie zamieszkać. Dodałam, że nie znam jej warunków, tylko chcę się wywdzięczyć, a może ona nie zechce mojej pomocy. Kiedy weszła do mojego mieszkania, przywitała mnie pocałunkiem takim jak w gestapo. „Postaram

się o inną ojczyznę, która nie będzie mi macochą" – powiedziała. Na czas starań o paszport zamieszkała u mnie, spała na tym łóżku. Parę dni spędziła w sądzie, przepisując swoje akta i płacząc. Często omawiałyśmy wydarzenia okupacyjne. Mówiłam jej: „Jak myśmy się pani bali".

Pierwszy list Ireny Ch. z Australii zawierał opis jej podróży przez Niemcy, Szwajcarię, Włochy, zwiedziła Mediolan, Genuę, Neapol, Pompeje, Messynę, okolice Wezuwiusza, w Egipcie Kair, piramidy, Suez. „Morzem Czerwonym szafirowego koloru", przez Aden, Colombo na Cejlonie, świątynie Buddy, Dżakartę – dotarła do Melbourne. „Świat jest taki piękny – pisała Irena Ch. – opisuję dokładnie, żeby pani powtórzyła to Stanisławie U., dodając pozdrowienia". Spełniłam to polecenie tylko częściowo, przekazując pozdrowienia. Rozumiałam, że Irena Ch. nigdy nie będzie umiała cieszyć się życiem bez świadomości, że tę radość może zobaczyć Stanisława U. „Przez tę wojnę to człowiek honoru się wyzbył – pisała w jednym z pierwszych listów Irena Ch. – Warto się trochę popłaszczyć, byle coś zyskać". „Polacy to szlachetny naród, tylko o za dużych marzeniach o wolności. Tyle lat niewoli, około stu trzydziestu, tyle powstań. Niczego Polacy się nie nauczyli, tylko marzyli i marzyli. Przecież wiadomym było, gdy Niemcy okupowali kraj w 1939–1944, że cała walka podziemna to było porwanie się z motyką na słońce. Ile milionów Polaków zginęło?

Sześć milionów. I na co? Jakaż byłam szczęśliwa, kiedy nareszcie mogłam wyjechać z Polski... Polacy to najniewdzięczniejszy naród na ziemi. Tak mi się wywdzięczyli".

„Kawał drogi ma pani wnuk do szkoły – pisała innym razem – z Senatorskiej przez Ogród Saski do Jasnej, a przede wszystkim, o Boże, jaka ta Warszawa znów piękna. I jak ja ją kocham mimo całej krzywdy, jakiej tam doznałam. Kochana Warszawa, której już chyba nigdy w życiu nie zobaczę. Serce by mi się załamało".

Oskarża Polaków, że są zdrajcami, bo ją zdradzili. Ubiera się na biało, tak że moje wnuki, dzieci Alicji, które znają ją ze zdjęć, nazywają ją „Białą Ciocią". Irena Ch. wysyła im dużo prezentów, w miarę jak rosną, żąda ich wymiarów, aby rzeczy pasowały.

Już na statku płynącym do Australii zaczęła robić dla mnie bluzkę na drutach, identyczną, jaką miała sama, ażurową, z krótkim rękawem. W jej listach pojawiają się spisy rzeczy, zawartości paczek, które Irena Ch. wysyła do mnie. Na próżno piszę, że to ja jestem jej dłużniczką do śmierci i że to ja powinnam jej pomagać, a nie ona mnie. Jedyne, co chce ode mnie otrzymywać, to książki z dedykacjami według schematu: „Irenie Ch. z wdzięcznością za ocalenie życia – Marianna T.".

Wysyłałam jej książki o wojnie, okupacji, gestapo, Pawiaku, uważając, że ta dedykacja będzie miała większą wartość na książce o zbrodniach niemieckich. Ale Irenie Ch. odbierało to spokój. Może podświadomie chciałam ją dręczyć? Irena Ch. poświęcała całe listy polemice z tymi książkami, pisała z wściekłością: „kłamstwa, kłamstwa, kłamstwa". Kiedy wyszła pana książka *3 złote za słowo*, tam po raz pierwszy pojawiło się jej nazwisko. Na tej książce nie napisałam dedykacji. W odpowiedzi Irena Ch. poleciła mi: odnaleźć pana i wręczyć przeznaczone dla pana listy, a główną odpowiedź wielkości broszury miałam zgodnie z jej rozkazem „przekazać swojemu byłemu szefowi z okresu okupacji, a ten odda to dalej, komu należy". Czy pamięta do dziś z akt gestapo, kto był moim zwierzchnikiem konspiracyjnym? Komu miał oddać drogą służbową jej list? Czy wyobraża sobie Polskę na wzór 1943 roku, że Polacy dalej są tak samo zorganizowani? Że będą zajmowali się sprawą Ireny Ch.?

Polemika Ireny Ch. z panem dotyczy tortur. Na stronie dwieście pierwszej cytował pan jej zeznania na procesie Kalksteina, kiedy twierdziła, że gestapo z aresztowanymi wywiadowcami obchodziło się delikatnie, nie stosując wobec nich tortur. „Gloryfikacja gestapo przez Irenę Ch. odbiera wiarygodność jej zeznaniom". Tym pan ją dotknął: ona do dziś recytuje z pamięci akta gestapo. „Ponieważ Niemcy słyną ze swej dokładności – pisała – więc podwładni gestapowcy domagali się każdorazowo zezwolenia na bicie i torturowanie więźniów... Nie było w aktach Kalksteina zezwolenia na »zaostrzone przesłuchanie«. Starano się obchodzić z aresztowanymi wywiadowcami delikatnie, ażeby dojść do właściwego celu".

Te listy nadchodzą z Berlina Zachodniego. Irena Ch. nakazuje mi zachować tajemnicę, że opuściła Australię. Jako jej adres mam podać „mojemu byłemu zwierzchnikowi" i panu adres Tolinki w Australii. Nie dodaje słowa, dlaczego przeniosła się i konspiruje swój pobyt w Berlinie Zachodnim. W tym samym liście nakazuje mi: „Nigdzie – nikomu – nigdy proszę nie wspominać o Tadziku... To byłaby klęska dla mnie. Niech pani spali ten list natychmiast po przeczytaniu". Następny list wyjaśnia atmosferę ścisłej tajemnicy: Irena Ch. przygotowuje się do rehabilitacji. Przekazuje na moje nazwisko dolary, podaje mi adres i nazwisko adwokata, któremu mam zlecić sprawę, ale nawet on nie może wiedzieć, gdzie mieszka jego klientka. „Proszę o najdalej posuniętą ostrożność – pisze Irena Ch. – gdyż nie chcę, aby zrobił się szum wokół mojej osoby, w żadnym wypadku, żeby cokolwiek przeniknęło do prasy". Jest tak pewna wygranej, że wysyła na moje ręce dokument tej treści: „Zrzekam się niniejszym wszelkiego odszkodowania pieniężnego na rzecz Państwa Polski Ludowej w razie mojego ewentualnego rehabilitowania. Irena Ch., Sydney, 1.12.1965 r.".

Równocześnie podaje mi szereg nazwisk nieznanych mi osób z żądaniem, abym ustaliła miejsce ich zamieszkania, zaznaczając, żebym „pod żadnym pozorem nie kontaktowała się z nimi". Czasem przychodzi codziennie list. Niektórych listów nie otwierałam, tylko od razu darłam, inne tygodniami czekały na odpieczętowanie. Niektórych poleceń nie spełniałam, zasłaniając się tym, że listy giną. „Pani Marianno – pisała Irena Ch. – Myślałam, że oszaleję. Wpadł mi w ręce list siostry, tej, która nie chciała jeść ze mną przy jednym stole: »Irena jest winna, że Tadzik zginął. Irena jest morderczynią własnych dzieci« – pisze o mnie. Mam dość. Odpłacę jej za podłość. Nie pozostaje mi nic innego, jak prosić Panią o pewną rzecz. Skoro ona jest tak wzorową Polką, to niech Państwo Polskie dowie się czegoś o niej. Ona pobiera dwie renty za swojego męża: jedną jako za muzyka, drugą jako za nauczyciela. Pani Marianno Kochana, proszę Panią, niech Pani opisze szczegóły sprawy, na maszynie, ze sfingowanym podpisem i wyśle pod ten sam adres, z którego Pani dostaje rentę". Po miesiącu przyszedł monit: „Dlaczego Pani nie pisze, co Pani zrobiła w wiadomej sprawie?". Nie odpowiedziałam, nie wiem, czy zrobiła to sama, czy posłużyła się kimś innym. Nie to jest najgorsze. Być może zadzwoniłam do pana tylko po to, żeby to komuś powiedzieć.

W kwaterze bohaterów powstania, gdzie leżą moi towarzysze broni, jest symboliczny grób esesmana Tadeusza Ch. Byłam strażniczką i opiekunką tego grobu. Wymogła to na mnie Irena Ch., wyjeżdżając. Mówiła, że przecież nikt nie wie, kto tu leży: „Tadeusz Ch. zginął jako ofiara wojny w Niżny, Syberia". Jej dziecko nie żyje, a moje żyje, dzięki niej. Wykupiłam grób za dolary przysłane przez Irenę Ch., przynosiłam kwiaty. Tylko bratki rosły, tak ciemna jest ta kwatera. Raz starłam swastykę narysowaną kredą. Potem, gdy była szansa wykupienia jeszcze jednego miejsca, wykupiłam je dla Ireny Ch., żeby leżała obok syna. Zbeształa mnie okropnie: „Ja do Polski w żadnym wypadku nie wrócę" – pisała. Ma swój wywiad, otrzymała informacje, że „na grobie Tadeusza była tylko wiązka zwiędłych kwiatów". Innym razem wysłała mi plan, wykazując, że wie, w jakiej odległości od grobu Tadeusza jest grób mojego męża. Ja bywam tam trzy razy w tygodniu. Tyle widzę zieleni, co tam. Niech pan patrzy na moje nogi, na bandaże. Byłam ofiarą eksperymentu rozszczepiania mięśni w gestapo na Szucha. Więc wolno było, właśnie mnie, na okaleczałych nogach, powlec się na grób hitlerowca ukrywany wśród polskiego cmentarza.

W miarę lat więź między mną a Ireną Ch. była coraz silniejsza. Jej listy, polecenia, traktowanie mojego życia jako swojej własności, jej pamięć i pamiętliwość, umiejętność przypominania – powodowały moje rosnące uzależnienie od niej.

Jej mściwość, tajemniczość, przekleństwa, jakie miotała w listach: „oby skończył w szpitalu dla obłąkanych", „śmierć dozorczyni to kara za niewdzięczność wobec mnie", cały hymn radości, gdy umarła jej siostra (może na serce, kiedy dosięgnął ją donos?): „podła, podła, podła!". Cykl śmierci, które Irena Ch. przypisywała sile swojej nienawiści, przerażał mnie, hipnotyzował. Bałam się przechodzić koło skrzynki pocztowej. Kiedy nocami analizuję te listy, widzę, jak wsączała mi poczucie, że się nie różnimy: dwie wdowy skrzywdzone przez wojnę, „czekające na starość", dożywające życia w wielkich miastach nie tak odległych od siebie; porównywała nasze mieszkania, renty, charaktery naszych córek. Pisała – babka do babki – o „naszych wnukach". Nasi bliscy leżą blisko siebie na cmentarzu. Uczyła mnie, jak żyć po przejściu na rentę. „Niech pani sypia w pierwszych tygodniach do południa, zje cośkolwiek, pójdzie sobie na spacerek, do domów towarowych, popatrzeć, wypije kawkę i z powrotem do domu, coś sobie poczyta, poszyje, kolacyjka i spać". Zwiększyła pomoc dla mnie, chciała, żebym chodziła ubrana, wyglądała jak ona. Napisała o zmianach w testamencie na niekorzyść Tolinki, dając do zrozumienia, że na moją korzyść. Za to, że mnie ocaliła? Dlaczego wydziedziczyła córkę? Z rozwojem moich wnuków rosła moja wdzięczność do Ireny Ch.: jej czyn ogromniał z ich wzrostem. Zauważyłam, że podkreślam jak ona czerwonym ołówkiem i w tych stosach listów nie można rozróżnić, które podkreślenia są jej, a które moje. „Widać działa między nami telepatia, bo piszemy do siebie jednocześnie" – pisała. Udzieliła mi się jej dwoistość, złapałam się na tym, że przygotowywałam się, żeby na jej procesie rehabilitacyjnym być świadkiem obrony i oskarżenia jednocześnie.

Sprawa rehabilitacji, o której przestała pisać do mnie, nagle powróciła w listach rok temu. Otrzymałam wiadomość, że Tolinka przyjeżdża do Polski, i polecenie, żeby zaprosić ją do siebie. Niedługo potem otrzymuję pocztówkę z półnagą dziewczyną ze szczepu Dajaków. Tolinka zawiadamia mnie, że przybywa w Niedzielę Palmową do Warszawy. Jej podróż przez pół kuli ziemskiej została opłacona przez Irenę Ch. Same bilety lotnicze kosztowały dwa tysiące dolarów.

Kiedy zobaczyłam Tolinkę, która była śliczną dziewczyną, stwierdziłam, że zachowała urodę i wygląda młodo. Pielgrzymka z drugiej półkuli do ojczyzny, której wyrzekła się przed trzydziestu laty – żeby tu zabiegać o wybaczenie, usposobiła mnie do niej dobrze. Byłam szczęśliwa, że to się skończy i ja spełnię obowiązek wdzięczności.

Tolinka nie wiedząc, co jej matka trzyma przede mną w tajemnicy, ledwie weszła, zdradziła przyczynę nagłego wyjazdu Ireny Ch. z Australii. Najpierw

powiedziała, że Irena Ch. wróciła do Europy wezwana przez Ludwiga Hahna[7], by objąć stanowisko jego sekretarki w koncernie maklerskim. Ale Hahn zwolnił ją, krzycząc: „To nie jest okupacja! To nie jest Polska! Pani nie będzie trzęsła moim biurem". Jeśli nawet tak było, to Hahn zatrudnił Irenę Ch., dowiedziawszy się o jej klęsce w Australii. Nim jeszcze Irena Ch. wyszła na wolność i przyjechała do Australii, Tolinka przedstawiała ją jako ofiarę komunizmu, więźnia politycznego. Nieoczekiwany cios przyszedł z ambony. Ksiądz z Sydney nazwał Tolinkę „ropiejącym wrzodem na organizmie narodu". Irena Ch. zaszkodziła opinii córki, która zdążyła się zakonspirować. Tolinka nie przypuszczała, że znam dalszy ciąg. „Tolinka – pisała do mnie niedługo przed jej przyjazdem Irena Ch. – ma straszny żal do Polaków, że tak nam się wywdzięczyli. Ze swoim mężem i synem Chrisem w domu nie mówi po polsku". Chris domyślił się, że jakaś straszna tajemnica ciąży na rodzinie. Pewnego dnia znikł, od trzech lat nie dał znaku życia. Podobno żyje na pustyni w północnej Australii.

Zaprowadziłam Tolinkę do córki Alicji. Znały się kiedyś, potem przestały się znać. Alicja bała się wtedy odezwać do niej słowem, żeby z czymś się nie wygadać. Dziewczęta w oddziale Alicji torturowały się wzajemnie metodami gestapo. Wbijały jedna drugiej nóż pod paznokieć. „Mów" – mówiła jedna do drugiej, a ta płacząc, odpowiadała: „Nie powiem". Była to próba generalna na wypadek aresztowania. Teraz Alicja nie chciała się pokazywać z Tolinką, wychodziły tylko wieczorem. Alicja pokazywała Tolince odbudowaną Warszawę, Tolinka, ewakuowana przed powstaniem, nie znała rozmiarów zniszczeń. Zwiedzały podniesione z ruin kościoły. Tolinka w jednym z nich modliła się długo przed bocznym ołtarzem. Alicja, żeby jej nie przeszkadzać, wyszła i czekała na ławce przed kościołem. Zauważyła, że Tolinka ma ciągle przy sobie magnetofon i wszystko nagrywa, niektóre rzeczy notuje. Dużo telefonowała.

Pewnego dnia, nakręcając numer, powiedziała do mnie:

„Proszę wyjść, będę telefonowała. Proszę dobrze zamknąć drzwi za sobą i może mi pani zrobić herbaty, będąc w kuchni".

Po pewnym czasie wychyliła się i zawołała:

„Proszę mi przygotować kąpiel". Wyrzucona z pokoju we własnym mieszkaniu byłam służącą gestapówki, jakby wróciła okupacja. Zrobiłam herbatę. Drzwi były zamknięte na klucz. Tolinka wpuściła mnie, umyłam wannę. Tolinka wykąpała się i usnęła natychmiast. Zobaczyłam, że dziurka od klucza zatkana jest watą.

„Pani Marianno – powiedziała nazajutrz – dokąd ja tu jestem, ta komunistka Misia (moja przyjaciółka) nie ma tu wstępu".

[7] Ludwig Hahn (1908–1986) – niemiecki prawnik, *ss-Standartenführer*, zbrodniarz wojenny odpowiedzialny m.in. za eksterminację krakowskiej inteligencji, masowe represje wobec ludności Warszawy oraz deportacje warszawskich Żydów do obozu zagłady w Treblince. Po zakończeniu wojny ukrywał się w Niemczech, używając fałszywego nazwiska. W 1950 roku oficjalnie zaprzestano jego poszukiwań. Wkrótce wyszedł z ukrycia i zamieszkał w Hamburgu, gdzie zajmował stanowisko wicedyrektora jednego z towarzystw ubezpieczeniowych.

„Pani Marianno – powiedziała po kilku dniach – ja muszę mieć od pani i pani dowódcy z okresu okupacji świadectwo, że mama była w konspiracji i walczyła przeciw Niemcom".

„Jakże to zrobić?" – zapytałam.

„Jak nie wy, to kto inny. Dam każdej osobie, która powtórzy pod przysięgą, to co jej podyktuję, poważną sumę. Jeśli ktoś będzie utrudniał, mam drugą broń. Wiadomo, że matka wiele wie. Możemy każdemu strasznie zaszkodzić, rzucić cień, którego nikt nie zdejmie".

„Mogę tylko zeznać, że ocaliła mnie i Alicję" – odpowiedziałam.

„Wy jesteście bez znaczenia. Ratowałyśmy kogoś nieporównanie ważniejszego".

Na drugi dzień zażądała, żebym jej dała do przeczytania listy od matki. Nie wiedziałam, czy chce zdobyć argumenty w rozgrywce z matką, czy otrzymała od niej polecenie zniszczenia kompromitującej korespondencji. W czasie nieobecności Tolinki zebrałam te listy. Mieszkanie było nimi przepełnione, wypełzały ze wszystkich kątów jak robactwo. Wzięłam też wszystkie swoje dokumenty okupacyjne z obawy, żeby Tolinka ich nie ukradła. Od tego dnia nosiłam to ciągle przy sobie, w torbie podróżnej, ważyły kilka kilo.

Zastanawiałam się, czy pod staraniami o rehabilitację nie kryje się tajemnica. Może Tolinka przyjechała po skarby Ireny Ch.? Tolinka odwiedziła ich dawną gosposię, też ocaloną przez Irenę Ch. Kiedy Irenę Ch. ewakuowano, zostawiła pod jej opieką mieszkanie na Szucha. Po wypuszczeniu z więzienia Irena Ch. odwiedziła gosposię i pod pozorem zwiedzania jej domu zrobiła rewizję, czy nie ma tam rzeczy z ich mieszkania na Szucha. Ostatnio spłaciła w dolarach kredyt za nowe mieszkanie gosposi. Ta uczynność Ireny Ch. wobec ocalonych, gotowość utrzymywania ich, czy kryje się za tym wdzięczność za milczenie czy przechowanie skarbu? Niepokoiło mnie, czy Tolinka nie spełnia misji jakiejś mafii byłych gestapowców? Poprosiłam Tolinkę, żeby zameldowała się, odmówiła. Skojarzyłam jej dane z danymi w zaproszeniu: zamiast Teodozji miała na imię Teresa. Imię ojca też było inne. Atmosfera konspiracji niepokoiła mnie od dnia, kiedy Tolinka powiedziała:

„Musi pani zdobyć adres Stanisławy U. Ona wydała moją matkę w ręce bezpieczeństwa. Mamy informację, że obie jej córki wyszły za mąż. Musimy wiedzieć, jak się nazywają. Wiemy, że mąż jednej z nich jest dyplomatą akredytowanym przy ONZ. Kiedy będziemy miały jego nazwisko, matka przez CIA i FBI zniszczy ich. Pozostaje jeszcze pomszczenie Tadzika. Przyjechałam poszukiwać sprawcy aresztowania go. Domyślamy się z matką, kto to był, ale teraz jadę do Poznania, żeby to ustalić".

„Jeśli pani będzie chciała się mścić, wypłynie osoba pani brata, a przecież pani matka obawia się wymieniania nawet jego imienia, to może uniemożliwić starania o rehabilitację" – powiedziałam.

Jednak Tolinka wyjechała do Poznania, niby żeby odwiedzić rodzinę. „Tolinka była zamknięta jak szafa pancerna fabrykacji Kruppa" – określił ją potem jeden ze stryjów, nie domyślając się celu jej wizyty. Kiedy wróciła, nie powiedziała ani słowa. Do mojego mieszkania przyszedł pewnego dnia pan drobny, niewysoki, ubrany na czarno. Tolinka rzuciła się do jego dłoni, chcąc ją ucałować, ale on wyszarpnął rękę i uniósł w górę. Tolinka zrobiła gwałtowny gest w moją stronę. Zdawałam sobie sprawę z wagi rozmowy, jaka toczyła się za ścianą. Kiedy Tolinka otworzyła drzwi i zawołała mnie, gość pakował magnetofon i szykował się do wyjścia.

„Przyszedł czas, żebym powiedziała. Moja matka ostrzegła ojca Kolbego, że ma być aresztowany. Jeśli nie załatwię sobie zaświadczenia z Niepokalanowa, nie mam po co wracać do Australii".

Czarno ubrany pan to był zakonnik, brat L., od lat zajmujący się spisywaniem żywota współczesnego świętego.

Z pewnych działań Tolinki, z tego, że odwiedziła adwokata, któremu przedtem Irena Ch. zleciła sprawę rehabilitacyjną, wywnioskowałam, że zacznie akcję, kiedy Tolinka będzie poza Polską. Wystarczy w jakiejkolwiek zachodniej redakcji czy stacji telewizyjnej przedstawić zaświadczenie, że Irena Ch. z miłości bliźniego i bojaźni bożej chciała uchronić przed śmiercią ojca Kolbego, a on, w pragnieniu świętości, męczeństwa i upodobnienia się do Chrystusa, odrzucił to ostrzeżenie – by Irena Ch. urosła do jednej z głównych osób dramatu. Ułożyłby się w następującą całość: Irena Ch. chce ratować ojca Kolbego, on odmawia i sam ratuje Gajowniczka: ewangeliczny impuls wyszedł od Ireny Ch.

Brat L. miał informacje, że ojciec Kolbe był ostrzegany przed aresztowaniem, a dotąd nie wiadomo, kto to był. Kontakt z Tolinką był szansą wyjaśnienia tej sprawy, skoro brat L. poświęcał jej dużo czasu. Zabrał ją na spotkanie z Franciszkiem Gajowniczkiem do Oświęcimia. Kiedy wróciła, zmęczona zwaliła się na łóżko. Leżałyśmy przedzielone szerokością pokoju.

„Dlaczego pani nie wykonuje moich poleceń? Kazałam pani zdobyć adres Stanisławy U., nazwiska jej córek, gdzie to jest? Co za święty ten Kolbe? Ilu naszych męczenników poległo na froncie? Kto o nich pamięta? Gdzie są ich groby?"

„O dwoje za mało zginęło: o panią i pani matkę" – przerwałam.

„Pani zanadto żyje przeszłością. Pani czyta ciągle o domniemanych winach niemieckich. Ja pani mówię, żeby pani przestała. A jak ja nie dostanę zaświadczenia od brata L., to matka zrobi z tego Gajowniczka kapusia i wtedy

zobaczą. Całe to śmietnisko w Oświęcimiu trzeba zrównać z ziemią i na tym miejscu zasadzić las".

„Ty gestapowskie ścierwo, paszoł won! – krzyknęłam. – Twojej matce udało się, ale ty uważaj, żebyś nie została tu na zawsze".

Gryzłam palce. Chciałam zacisnąć jej ręce koło szyi, ale bałam się, była młodsza, zdrowa, silna. Bałam się, że ona może mi coś zrobić, a potem cichaczem wynieść rzeczy i opuścić Polskę. Spakowała rzeczy. Wyszła. Nie zobaczyłyśmy się więcej. Bałam się. Po co Tolinka naprawdę przyjechała do Polski? Dowiedziałam się, że tak pluła na wszystko, co polskie, że taksówkarz chciał siłą dowieźć ją na komisariat. Kiedy dowiedziała się, że brat L. nie wyda jej zaświadczenia, napisała dwa donosy na niego do władz zakonu. Moje rozdarcie doszło do szczytu, byłam chora na Irenę Ch., jakieś utożsamienie, myślenie o niej ciągle, poddawanie się obsesji, rozdwojenie na nienawiść i wdzięczność, jak ona była rozdarta między Paula Wernera i podziemny wywiad. Myślałam o samobójstwie: wykonam sama na siebie wyrok, od którego ocaliła mnie, i tak anuluję jej czyn.

Wyjęłam z torby te wszystkie listy, czytałam. Zaczęłam układać je latami. Przyszedł mój piętnastoletni wnuk:

„Gestapowski śnieg!" – krzyknął i zaczął wyrzucać w górę listy, żeby spadały jak płatki śniegu.

„Nigdy nie urodziłbyś się, gdyby nie ta kobieta" – powiedziałam. „Co by mnie to obchodziło?" – odparł wnuk, wyprężył się i wrzasnął: „*Heil Irene Ch.!*" – i wyszedł.

Zdecydowałam: pozbędę się ich, dam panu. Córka Alicja powiedziała: „Jesteś bez serca, spal te listy, robisz jej straszną rzecz. Chcesz być jak dozorczyni, która pluła na nią, gdy prowadzono ją pod eskortą na rozprawę?". Teraz kiedy oddaję je panu, czuję się oczyszczona. Trzysta stron rękopisu. Irena Ch. kiedyś uwolniła mnie, teraz chce mnie uwięzić: zagroziła mi procesem, bo ktoś ostrzegł ją o mojej decyzji. Boję się jej zemsty poza Polską, dostałam wezwanie do złożenia zeznań w RFN, ale dlatego chyba nie pojadę. Jak ona musi się strasznie szarpać! Urzędowała na pierwszym piętrze, dochodziły ją krzyki z dołu. Musi je ciągle słyszeć. Wczoraj była rocznica naszego ocalenia. Ona nas, ocalonych, przeklęła do czwartego pokolenia. Modliłam się za nią, żeby Bóg ją oświecił co do niej samej i co do mnie. Za życie dziecka, nie swoje, jestem jej wdzięczna, nigdy nie przestanę. Jeśli jest Bóg, jakaś moc, ja życzę jej dobra.

Krzysztof Kąkolewski, *Jak umierają nieśmiertelni. Baśnie udokumentowane*, Warszawa: Iskry, 1986, s. 213–218 i 244–261

1976

Krystyna Jagiełło (1938–2013)

Wyciskać kolor z szarości

Do urzędu miejskiego w Siedlcach w 1975 roku przyjechał z Warszawy absolwent Szkoły Głównej Planowania i Statystyki.

Wszystko mogło być dobrze, bo naprawdę od samego początku pobyt w Siedlcach stażysty Józefa Gromka układał się wyjątkowo pomyślnie.

Niestety, zamiast do poznawania, a potem reorganizowania administracji zastępca naczelnika urzędu zatrudnił go do kopania buraków w swoim gospodarstwie. A kiedy stażysta buraków już kopać nie chciał, zresztą przeziębił się i była niedziela, naczelnik Wałkuski długo dzwonił do jego drzwi.

– Tak się dobijał – dodaje żona Gromka – że w końcu sama mężowi powiedziałam: „Jest szósta, ludzie o tej porze już nie śpią, nikt nie uwierzy, że nie słyszałeś dzwonka".

Sytuację pogarszał fakt, że zastępca naczelnika nie miał własnej sekretarki.

– I jak tylko przyszedł ktoś z komitetu, zaraz prosił mnie o parzenie kawy – mówi Gromek. – Ostatecznie można to zrobić, ale o wnoszenie kawy do gabinetu prosiłem koleżanki, bo się wstydziłem. Jak to wygląda, żeby mężczyzna kawę podawał.

Potem naczelnik zmusił go do pilnowania swoich dzieci, co absolwent SGPiS-u robił na zmianę ze sprzątaczką z urzędu miasta. Józef Gromek napisał więc skargę do przełożonych i do redakcji „Literatury". Zrobiło to na ludziach w Siedlcach bardzo złe wrażenie. Zastępca naczelnika Wałkuski zostawił w Warszawie żonę i mieszkanie z glazurą, poświęcając wszystkie swoje siły Siedlcom, a stażysta Gromek nie chce pracować dla takiego człowieka. W dodatku robi wokół siebie zamieszanie, mówiąc, że „upomina się o swoją godność". I to jest właściwy temat reportażu Krystyny Jagiełło *Nowy wspaniały świat stażysty Gromka*.

Bo zwłaszcza dziś, kiedy miasto przeżywa swoją godzinę, kiedy stoi w obliczu drugich Siedlec, czy ludzie sprawujący w nim władzę i pracujący po czternaście godzin na dobę – mają siłę na to, by zajmować się jednym stażystą? Stażystą, któremu wszyscy tu przecież dali żyć. A jeśli człowiekowi pozwala się żyć, to o co jeszcze chodzi?

Krystyna Jagiełło na okładce swojego zbioru reportaży *Wszyscy święci na urlopie* (1979) napisała tak:

> Może komuś wydaje się, że reporter nie śpi od nadmiaru przygód. Mnie zawsze otaczało zwykłe życie ludzkie i jeśli nie mogłam zasnąć, to tylko dlatego, że pod oknem pokoju, który mi przeznaczono w hotelu, jeździł tramwaj. Nieraz zastanawiałam się, jak odnaleźć smak tego, co pozornie jest szare. Myślę, że na tym w ogromnym stopniu polega zadanie reportera.

Krystyna Jagiełło wyciskała kolor z szarości. Pracowała wtedy jako reporterka „Literatury", tygodnika, który wychodził od 1972 roku do stanu wojennego i miał ogromny wpływ na kształtowanie się polskiego reportażu. W jednym dziale z jego szefową Małgorzatą Szejnert, także wielbicielką szarych odmian rzeczywistości.

Jagiełło była córką przedwojennego bankowca, w 1960 roku skończyła Wydział Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego. Po studiach pracowała krótko jako redaktorka telewizyjna, od 1963 do 1970 roku – w „Sztandarze Młodych", przez dwa lata w „Dookoła świata", gdzie była szefową działu krajowego i skąd w 1972 roku przeszła do nowo powstałej „Literatury".

W sierpniu 1980 roku pojechała do Stoczni Gdańskiej. Jest jedną z wyróżniających się rozmówczyń w głośnej książce *Kto tu wpuścił dziennikarzy* (patrz s. 319) o dziennikarzach na sierpniowych strajkach. Powtarzała, że praca podczas sierpniowego protestu była dla niej najpiękniejszym doświadczeniem zawodowym. Jej reportaż o gdańskich stoczniowcach *Krzyż i kotwica* (1987) ukazał się równocześnie nakładem wydawnictwa Libella w Paryżu i podziemnego wydawnictwa Prom w Polsce.

Kiedy po 13 grudnia 1981 roku wszyscy dziennikarze mieli obowiązek przejść przez egzamin przydatności ideowej, Jagiełło nie stawiła się przed komisją weryfikacyjną i została zwolniona z „Literatury". Tak wspomina jej przyjaciółka Agnieszka Wróblewska, z którą razem pracowały w „Sztandarze Młodych". Przez lata nie miała stałej pracy, pisywała do prasy katolickiej i do wydawnictw poza cenzurą. W połowie lat osiemdziesiątych przeprowadziła wywiady z ludźmi różnych pokoleń, mniej lub bardziej zaangażowanymi w walkę z panującym systemem. Wszystkich jej rozmówców – jak sama to sformułowała – „łączy tylko to, że nigdy, nawet w czasach największego terroru, nie przestali być wewnętrznie wolni". Te kilkanaście wywiadów zebrała w tomie *Dziedzice bezprawnej wolności*. Ukazały się w drugiej połowie lat osiemdziesiątych w podziemnym wydawnictwie „In plus".

Kiedy w okresie stanu wojennego Krysia pomagała dzielić i rozwozić dary, które do wygłodzonej Polski przychodziły z zagranicy – ciągnie Agnieszka Wróblewska – poznała jednego z bardziej aktywnych organizatorów tej pomocy w RFN – Klausa Kamma. Przyjaźń przeradza się w miłość i w 1989 roku, po pierwszych w PRL-u przegranych przez partię wyborach do Sejmu, Krysia i Klaus biorą ślub na Starym Mieście w Warszawie. Krysia wyjeżdża z mężem do Niemiec. Z pasją obserwuje nowe Niemcy – kraj po upadku muru, z bagażem nierozliczonej do końca dramatycznej historii. Po dwóch latach pobytu za zachodnią granicą wydaje w Polsce książkę *Anioł przemówił po niemiecku*. Pisze tam: „Jeszcze w latach siedemdziesiątych w typowym niemieckim gimnazjum lekcja historii kończyła się na drugiej wojnie światowej, bo nauczyciele nie chcieli wykładać tego przedmiotu. W 1974 roku zaledwie co szósty niemiecki uczeń wiedział o napadzie na Polskę". Ale ta książka nie ma na celu rozliczania kraju – jest o ludziach, którzy, jak jej mąż Klaus, należeli do polskiego lobby w Niemczech. „Chciałam oddać cześć ludziom, którzy przywozili nam żywność, także przemawiali w naszej sprawie do świata – bo na ogół dobro bywa anonimowe i ciche, a zło głośne" – pisała.

Po kilkunastu latach Klaus umiera i Krysia wraca do Warszawy, gdzie mieszka jej córka z rodziną. Jest już na emeryturze, ale dalej pisze, głównie o sprawach niemieckich. Dwa lata temu zaczęła zbierać materiały do nowej książki, tym razem o fenomenie Angeli Merkel. Fundacja polsko-niemiecka obiecała wsparcie finansowe, Krysia była umówiona z ludźmi nauki i polityki w Berlinie, niektóre wywiady już przeprowadziła. I wtedy dopadła ją nieuleczalna choroba, która przekreśliła wszystkie plany...

Do antologii wybraliśmy reportaż Krystyny Jagiełło, który nie jest zwierciadłem czasu, nie rejestruje przaśnego PRL-u. Jest to optymistyczny portret wybitnego pedagoga i pianisty Andrzeja Jasińskiego, nauczyciela i mistrza Krystiana Zimermana – zwycięzcy Konkursu Chopinowskiego z 1975 roku. Pisać reporterowi o pracy muzyków czy o samej muzyce jest bardzo trudno. Reportaż wymaga bowiem obrazów, scenek, dziania się; musi być żywy. Krystyna Jagiełło – znana „wyciskarka z szarości" – wycisnęła z relacji, która łączyła profesora z uczniem, to, co najbarwniejsze i najpiękniejsze.

Wiem, że była szczęśliwa, iż właśnie ten jej tekst znajdzie się w antologii.

Dziwny profesor

– Teraz wszyscy mi gratulują. Ale przecież przed konkursem chopinowskim pytali mnie nieraz: „Czy pan się dobrze zastanowił? Zimerman jest jednak taki młody…”.

(Pani chce o tym wszystkim pisać? Tyle już było wywiadów. Czy taki reportaż wyjdzie?

– Nie wiem. Spróbujmy.

– Wątpię, czy jestem dostatecznie ciekawą postacią).

…No, ja się oczywiście zastanawiałem. Zimermanowi mówiłem: „Nic nie tracisz. Jesteś taki młody, że możesz brać udział w kilku następnych konkursach chopinowskich”. Nie chciałem, aby liczył na sukces. Bo ja przecież wiem, jak to jest. W pięćdziesiątym dziewiątym roku, po dyplomie, brałem udział w eliminacjach do konkursu chopinowskiego. Przeszedłem trzy etapy, ale pod koniec powinęła mi się noga i do ekipy konkursowej nie wszedłem. Moja profesorka pani Markiewiczówna była na szczęście dobrym psychologiem. Wiedziała, że potrzebny mi jest zastrzyk energii, że powinienem się gdzieś sprawdzić, i przygotowała mnie do konkursu pianistycznego w Barcelonie, który odbywał się pół roku później. Pojechałem. Wziąłem pierwszą nagrodę.

Chciałem zwolnić Zimermana z jakiejkolwiek odpowiedzialności. Mówiłem mu: „Mnie nie zależy na tym, żebyś wygrał, ja się obejdę bez niczego”. Pragnąłem, aby miał tylko jedną motywację: pięknie zagrać. Bo przecież motywacje są najważniejsze w każdym ludzkim działaniu. Poza tym tłumaczyłem mu: „Jesteś taki młody, że publiczność wybaczy ci każdą porażkę”.

(– Nieprawda – zaprzeczam. – Nasza publiczność niczego nie wybacza. – Wspominam Harasiewicza i… Jasińskiego).

– Ze mną było inaczej. Być może załamał mnie jeden nieudany koncert. Ale i potem przez wiele lat nie chciałem występować. To było kilkanaście lat temu.

Trzeba wiedzieć, jaki jestem nieśmiały. Jako chłopiec potrafiłem godzinami błądzić po obcym mieście, a wstydziłem się zapytać o ulicę. Zawsze miałem ogromną tremę.

– Teraz zaczął pan występować. Koncert Yves'a w Warszawie, Szeligowskiego w katowickiej telewizji.

– No, choćby po to, by moi uczniowie widzieli, że ich profesor nie uczy tylko „na sucho", a „radzi sobie" na instrumencie.

(– Radzi sobie! Pani nie ma pojęcia, jak on gra, i nikt nie ma o tym pojęcia. Bo on na koncercie publicznym zawsze daje połowę tego, na co go stać naprawdę. Ja jestem stroicielem fortepianów w katowickiej PWSM i od dwudziestu lat znam Jasińskiego. Tylko my w szkole zawsze wiedzieliśmy, że ten człowiek ma ogromny talent, a jest taki, że jak idzie do sklepu po krawat, to przychodzi ze skarpetkami, bo wprawdzie krawatów nie było, ale ekspedientka wmówiła mu skarpetki. Tacy subtelni ludzie mają ciężkie życie na scenie).

– Chciałem uwolnić Zimermana od tremy i od nudy. Dlatego zabrałem go w zeszłym roku na wakacje. A tak nuda też istnieje. Graniem można się przejeść. Ja tak kiedyś zrobiłem przed konkursem w Budapeszcie. Całe wakacje ćwiczyłem.

Mieliśmy małe dziecko. Nigdzie nie wyjechałem. Na konkursie mi się nie powiodło. Bardzo mi przyjemnie, że w tym roku zostałem zaproszony do jury tego właśnie konkursu w Budapeszcie, który mnie sukcesu nie przyniósł.

Zimermana udało mi się ustrzec od przeforsowania. Pojechał z nami nad jeziora. Nie po raz pierwszy zresztą, już jak miał czternaście lat zabraliśmy go nad morze, bo chłopiec był wątły. Nauczyłem go pływać.

(– Poznaje pani?

Biorę jeden ze slajdów pod światło. Dzieci Jasińskiego bawią się w piasku na plaży. Obok nieco wyższy chłopiec buduje zamki na brzegu morza.

– To Krystian. Czy ja wtedy mogłem przypuszczać, że on za sześć lat będzie laureatem?)

– No i co było na tych wakacjach w ubiegłym roku?

– Jak to, co było? Ryby, grzyby. Mieszkaliśmy w namiocie, Krystian z kolegami w drugim. Pływaliśmy po jeziorze. Okropnie lubię wodę.

– I w ogóle nie rozmawialiście o konkursie?

– A nie, przeciwnie. Codziennie mieliśmy lekcję. Krystian musiał powiedzieć mi na pamięć nuty każdego utworu, który grał na konkursie. No, po kolei każdą nutę...

*

„Witamy kolegę. Cześć, Andrzej!" Te słowa słyszałam co krok, wchodząc z profesorem Jasińskim do gmachu Państwowej Szkoły Muzycznej w Częstochowie. Szkoła obchodzi dziś swoje trzydziestolecie i zaprosiła najwybitniejszych absolwentów. Jasiński jest chlubą szkoły, co i konferansjerka podkreśliła, i dyrektor w swym przemówieniu powitalnym, które wygłosił po uroczystym koncercie podczas skromnego bankietu.

Ktoś zabrał głos.

– W imieniu Zakładów Materiałów Ogniotrwałych, które sprawują patronat nad szkołami muzycznymi...

Dalszej części przemówienia nie dosłyszałam, bo jakaś pani zwróciła się, właśnie do Jasińskiego:

– Skoro już mam zaszczyt siedzieć obok pana...

– Niech pani słowo „zaszczyt" zamieni na „przyjemność" – roześmiał się Jasiński.

– ...chciałam panu podziękować za Zimermana. Ten chłopiec to pana wielkie szczęście.

– I szczęście, i kłopot.

(– Jedni mi mówią: „Pan miał się nim opiekować, a chłopak jest przemęczony". Drudzy znów mordują mnie: „Panie profesorze, my Zimermana zawieziemy autem na koncert i przywieziemy z powrotem. Niech tylko zagra". No i bądź tu mądry! A nagrania? Rynek zagraniczny to przecież dżungla. Nie wiadomo, z kim podpisywać umowy. Na szczęście Pagart[1] traktuje Zimermana z odpowiedzialnością i rozwagą).

*

Parter w wieżowcu.

– My sami wybraliśmy to mieszkanie. Tak się szczęśliwie złożyło, że pod nami są sklepy, a nad nami wyrozumiali sąsiedzi. Zresztą najgorszy jest zawsze dźwięk z góry.

Żona profesora też pianistka, absolwentka tej samej Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Katowicach, którą skończył Jasiński, nauczycielka muzyki, w domu już lekcji nie udziela. Prócz fortepianu, który zajmuje cały pokój, w sąsiednim pokoju stoi jeszcze pianino. Uczą się na nim dzieci, zresztą bez większego przekonania. W szkole jest ciasno i profesor Jasiński bardzo często udziela lekcji w domu.

Uczniów nie wybiera. Poza zdolnymi miewa przeciętnych.

[1] Pagart – Polska Agencja Artystyczna powstała w 1957 roku, zajmująca się m.in. promowaniem polskich artystów.

(– Do niego czasem przychodzili studenci na beznadziejnym poziomie. A przy nim dochodzili do przyzwoitych dyplomów. Jako stroiciel często słyszę przecież, jak grają. Jasiński z każdego potrafi coś zrobić, bo on się przygląda człowiekowi).

– Pani jest napięta. Ja to widzę po ustach. – Jasiński siada przy fortepianie. – No, niech mi pani sama zasugeruje charakter tej muzyki. Bardzo proszę, śmiało. Ja będę grał według pani wskazówek. Tak, dobrze, Mozart potrafił oddać radość. Trzeba to pokazać. Czy pani słyszy tę sonatę bez fortepianu? Nie, a to trzeba. Te dwie godziny w pociągu do Bielska proszę wykorzystać na ten cel.

Studentka wychodzi. Jasiński w pośpiechu zjada obiad. Za chwilę następna lekcja.

(– Coś pani pokażę – jako ciekawostkę. Ten plik papierów, który trzymam w ręku, to zaświadczenia o odbytych konsultacjach. Żeby za taką konsultację otrzymać siedemdziesiąt pięć złotych, trzeba napisać sprawozdanie z odbytej lekcji w dwóch egzemplarzach. Nigdy nie miałem na to czasu. Straciłem na tych konsultacjach kilka tysięcy złotych).

– To trzeba grać ciężko. Tak jakby ktoś ustawiał potężne klocki. O, widzi pani. Teraz jest dużo lepiej. Słyszy pani, jak dobrze poszło? A dlaczego? Bo się wyobraźnia wzmocniła. Niech pani teraz zagra Szymanowskiego.

– Przepięknie zagrała to na maturze – zwraca się do mnie Jasiński i, kiedy uczennica gra, szepce: – Widzi pani, z tego najbardziej się cieszę. Bardziej niż z jej techniki. Najbardziej się cieszę, jak się coś w człowieku otworzy.

*

Co wynika z faktu, że muzyka jest sztuką trwającą w czasie? W tym samym czasie, w którym pianista gra, trwa jego życie i życie słuchacza. Te trzy elementy muszą być ze sobą połączone. Ja się nad tym często zastanawiałem. Na ten temat zresztą napisałem pracę habilitacyjną.

(Dokładny tytuł pracy profesora Jasińskiego: *Z zagadnień interpretacji pianistycznej w aspekcie czasu muzycznego*).

– W plastyce nie ma tego problemu, obraz istnieje poza czasem. Pod tym względem roli pianisty najbliższa jest rola aktora teatralnego. On też żyje na

scenie i gra jednocześnie. Toteż pianista ma w sobie coś z aktora. Podobnie jak on ulega mistyfikacjom sztuki. Bo czy pianista gra tylko wtedy, gdy rusza palcami? W sensie fizycznym tak. Ale dźwięk trwa przecież dalej, wówczas gdy ręce pianisty są już nieruchome. Więcej, pianista musi pokonać mechaniczną niedoskonałość instrumentu. Z *forte* gramy *fortissimo*, ale przecież dźwięk w naturalny sposób ścisza się, a nie potężnieje. Dla skrzypka chwila, w której tworzy dźwięk, jest całym czasem trwania dźwięku.

Dla pianisty jest to tylko moment, punkt zaczepienia w czasie, pozostały czas wypełniają długie okresy biernego wybrzmiewania. Czy biernego? Co jest ważniejsze? Ta chwila, w której trwa dźwięk, czy stosunkowo długie momenty pomiędzy nimi? Sądzę, że o ostatecznym efekcie decydują te właśnie momenty pomiędzy dźwiękami. Nie mówię już przy tym o pauzach i przerwach, bo to jest osobny problem.

Czym więc ma być wypełniony czas, gdy dźwięk gaśnie, pomimo że powinien się wznosić lub gdy winien gwałtownie ścichnąć, a tu instrument podtrzymuje jeszcze jego brzmienie? Ten czas musi być wypełniony napięciem psychicznym pianisty. W muzyce nie ma czasu obiektywnego. Jeśli rytm ma trzy czwarte, to nigdy jeden, dwa, trzy nie są jednakowo długie. Pianiście bardzo często wydaje się, że na estradzie grał wolniej, niż trzeba, a w istocie grał szybciej, w rytm przyspieszonego bicia serca. Zresztą: co to znaczy szybciej, co to znaczy wolniej? To też są pojęcia względne.

Paderewski grywał wolno, ale stwarzał taką atmosferę napięcia psychicznego, że czas zdawał się płynąć szybciej. Horowitz gra szybko, ale z taką precyzją, że ta szybkość wydaje się właściwa. Sztuka gry na fortepianie jest sztuką tworzenia napięcia emocjonalnego za pomocą dostępnych pianiście środków artystycznych. Ale nie technika jest tu najważniejsza, lecz przeżycie. Jeśli człowiek nudzi się, grając utwór – i słuchacz się znudzi. Widziałem ludzi, którzy płakali, grając na fortepianie, sam nieraz też płakałem. Oczywiście w samotności. Na scenie pianista chce, żeby płakał już kto inny – słuchacz.

(– Muzyka obnaża charakter człowieka. Ilu było dobrych pianistów? Nawet w tej szkole, pracując, jako stroiciel, iluż ja dobrych wykonawców słyszałem! Ale charakter mają nieraz paskudny. I to w muzyce wychodzi. Ludzie nudzą się z nimi).

– Pan uważa, że muzyka jest formą publicznego zwierzenia?
– Tak.
– Większość muzyków uznałaby to za egzaltację.

– Bo my się dzisiaj wstydzimy uczuć. A jednocześnie ich szukamy. Na przykład Chopina ludzie słuchają chętnie. A przecież Chopin jest agresywny uczuciowo. Tam jest wszystko: bunt, miłość, walka, zwątpienie.

– W jaki sposób chłopiec ma przekazać taką skalę doświadczeń?

– To właśnie jest najtrudniejsze. Przecież te utwory, które Zimerman grał na konkursie, ja godzinami ćwiczyłem na pianinie, żeby zagłębić się w to, co nie może być zapisane na papierze nutowym, a co się odbiera nie tylko słuchem. Sugerowałem Krystianowi, aby podążył tym śladem. I najbardziej cenię ucznia, który potrafi przekazać to, co jest niewytłumaczalne.

– Nie obawiał się pan naśladownictwa?

– W przypadku Zimermana nie. On ma wyobraźnię.

– Co najbardziej ceni pan u pianisty?

– To, co najrzadsze: sugestywność. Hoffman zadziwiał ludzi. Horowitz ich fascynuje. Paderewski podobno czasem nie radził sobie technicznie, ale miał to, co najrzadsze: dar wzruszania.

(Dziś już wybitny pianista nie może być nieporadny w technice. To inna sprawa. Dziś pianista musi mieć znakomitą technikę i sztuka interpretacji zaczyna się dopiero od tego poziomu).

– A więc w końcu najważniejsza jest osobowość pianisty?

– Oczywiście. Przecież najpierw się jest człowiekiem, a dopiero potem pianistą.

*

– Jeden z profesorów, słuchając kiedyś Zimermana, powiedział: „W całej Polsce nie powstydzimy się tego pianisty". A ja – mówi profesor Furmanikowa – odparłam na to: „Zaryzykowałabym twierdzenie, że on jest i na eksport". Bo, proszę pani, i fotogeniczny, i profil ma jakby Chopinowski. To taka roślinka u nas wyhodowana. Nie dzika, tylko wyhodowana. Dziki pianista nikogo dzisiaj nie interesuje. To tak, jak człowiek nieucywilizowany. Myśmy się bardzo cieszyli. Przecież na tym sukcesie wszystkim zależało. I ministerstwu, które chce mieć wyniki, tyle łożąc na edukację pianistów. I szkole. Władze teraz obiecały nam nowy gmach. To dla nas wszystkich bardzo dużo znaczy.

*

– Ciekawe – mówi Jasiński – wczoraj rozmawiałem z matką Zimermana. Zapytałem o zdrowie Krystiana, a nie zapytałem, jak w tym Gdańsku grał. Sam się potem zdziwiłem.

Czy ja lubię muzykę? No, odpowiedź na to pytanie nie jest prosta. Każdy wybiera zawód pianisty dlatego, że kocha muzykę. Ale ja się rzadko wzruszam. Na ogół słucham wykonania. I to mnie już czasem męczy. Rzadko się wzruszam, ale za to bardzo sobie cenię te chwile. I może głębiej niż dawniej je przeżywam. Kiedy? Czasem nawet na egzaminach. Nie, niekoniecznie wtedy, gdy słucham swoich uczniów.

(Zimerman uczy się u Andrzeja Jasińskiego od siódmego roku życia. Ojciec Krystiana uczył go w dzieciństwie początków muzyki i widząc, że ma do czynienia z wyjątkowo zdolnym dzieckiem, przyprowadził je pewnego dnia do rektora Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Katowicach. Wprawdzie rektor oponował: „My nie uczymy małych dzieci", to jednak w końcu wybrano profesora, wówczas dwudziestoczteroletniego asystenta Andrzeja Jasińskiego).

– Może właśnie dlatego że on mnie wychował, potrafi mnie zawsze o wszystkim przekonać – mówi Zimerman. – To jest nawyk dzieciństwa. A zresztą, ileż ja razy miałem możność sam przekonać się w życiu, że mówił prawdę, że miał rację.

Krystian Zimerman wrócił właśnie z Włoch, gdzie wybiera się także latem. Tym razem nie pojedzie z profesorem (tak go zawsze nazywa w obecności innych) na Mazury.

Profesor przymierza okulary słoneczne Zimermana. Włoskie, najmodniejsze. Dziś wpadł tylko na chwilę, lekcja odbędzie się jutro.

(– Dla mnie byłoby największą przykrością, gdyby Krystian nie miał odwagi powiedzieć, że chce się uczyć u kogo innego. Czy się do niego przywiązałem? Ja się nie chciałem przywiązywać i nie chciałem, aby Krystian czuł się do mnie nadmiernie przywiązany. Ani uczniów, ani własnych dzieci nie trzeba zanadto wiązać uczuciowo).

Krystian Zimerman patrzy podejrzliwie na mój notes i długopis. Był czas, kiedy dziennikarze go przytłoczyli.

– Po konkursie byłem załamany. Niech pani sobie wyobrazi: ludzie przysłali mi sześć tysięcy listów. Ojciec poprosił GLOB[2] o wycinki prasowe. Każda gazeta pisała o konkursie i o Zimermanie. Bywały dni, że podchodziło do mnie siedmiu dziennikarzy naraz i każdy zadawał inne pytania.

[2] GLOB – agencja prasowo-informacyjna zajmująca się monitoringiem prasy.

W autobusie nie zdążyłem jeszcze przeciąć biletu, a już wyciągały się ręce po autografy. Zacząłem uciekać od ludzi. Dopiero profesor pomógł mi się tym wszystkim cieszyć.

(– Po jakimś koncercie Zimerman nie chciał wyjść, aby rozdać autografy. Był zmęczony. Ja mu wtedy powiedziałem: „A pamiętasz, jak ci było nieprzyjemnie, gdy Rubinstein nie przyjmował nikogo w Łodzi po koncercie? Ale on ma dziewięćdziesiąt lat! Ci ludzie na ciebie czekają. Przecież to jest wielkie szczęście dla człowieka, jeśli ludzie na niego czekają". Wyszedł i podpisał).

– W jaki sposób pomógł się cieszyć?
– Profesor ma właściwy stosunek do sukcesu.

(On nawet jak otrzymał w tym roku nominację profesorską, to w jakimś sensie pomniejszał ten fakt! Inni przecież też pracują, może więcej. Nie dlatego, żeby nie miał poczucia własnej wartości. Mówiłem pani, że będąc stroicielem w tej szkole, znałem Jasińskiego studenta, asystenta, adiunkta. W każdym wcieleniu jest taki sam. On ma poczucie wartości. Ale za żadną cenę nie chciałby, aby jakikolwiek sukces odsunął go od ludzi).

– To nie jest takie łatwe. Sukces jest bardzo nęcący. No bo czy można przeczytać sześć tysięcy listów? Człowiek przeżywa różne nastroje. Najpierw fascynacja: że do mnie piszą. Później zniechęcenie: znów coś ode mnie chcą. I wreszcie straszliwe wyrzuty sumienia, że nie mogę okazać im wdzięczności, choć chciałbym. Przeczytałem większość z tych sześciu tysięcy listów. I wie pani, że nie było wśród nich dwóch jednakowych? W sensie merytorycznym. To niezwykłe. Ludzie szukają momentów rozładowania. I to jest taka przyjemność, jeśli można im to ofiarować.

(Co to jest sukces? Po koncercie Yves'a w Warszawie otrzymałem bukiet kwiatów z karteczką: „Dla profesora Jasińskiego". Na tej karteczce nie było nazwiska, tylko słowa: „Z głębi serca". Czy może być większa satysfakcja? Po telewizyjnym koncercie Szeligowskiego napisała do mnie pani Szeligowska, że zna w tym koncercie każdą nutę i że swą grą sprawiłem jej przyjemność. Sukcesy mogą być, ale nie muszą, i nie są tak cenne jak życzliwość i aprobata innych).

– Profesor reprezentuje przy pianinie rzadki styl. Nie gra nigdy dla samego efektu.

(On nawet wtedy, gdy ludziom pomaga, nie stara się być efektowny. Stroiciel musi mieć dobry słuch, prawda? Ale wzroku dobrego to ja nie mam. Jak remontowali ulicę, przy której mieszkam, trudno mi było dojść do szkoły. Jasiński codziennie mnie przyprowadzał. Ale robił to tak delikatnie, że zawsze miał tu niby coś do załatwienia albo do mnie jakiś interes).

– Pan ma zbyt dobry wzorzec osobowy – mówię.
– No, właśnie. – Zimerman uśmiecha się ze zrozumieniem.
– Ludzie sukcesu muszą być twardzi.
Zimerman zamyślił się chwilę, po czym rzekł:
– Profesor jest człowiekiem. Ja myślę, że człowiekiem trudniej być niż pianistą.

Krystyna Jagiełło, *Wszyscy święci na urlopie*,
Kraków: Wydawnictwo Literackie, 1979, s. 23–34

1977

Barbara N. Łopieńska (1949–2004)

Pisać „w ogóle”

Nie wiem, czy polskie ogórki kiszone i oscypki budzą w Europie pożądanie. Ale wiem, że trzeci nasz specjał – reportaż – na pewno tak. Otóż w Europie pożądają polskiego reportażu i chcą, żebym opowiadał o jego fenomenie. Skąd się wziął, dlaczego literacki, dlaczego taki dobry, dlaczego nie ma odpowiednika w świecie i czy ja wiem, dlaczego oni go nie mają.

Wiem – mówię. Bo nie było u was komuny.

Wyciągam z zanadrza reportaż Barbary N. Łopieńskiej *Łapa w łapę* z roku 1976, tłumaczę, że jest o tresowaniu tygrysów w cyrku, że powstał na podstawie rozmowy z treserką, panią Haliną, i czytam im na głos fragmenty:

> Jej rada jest taka: karmić przed numerem. Nie za dużo, żeby nie były leniwe, ale i nie za mało. Bo jeden tygrys – cichy i spokojny – będzie się z głodu podlizywał, znów drugi – nerwowy – może skoczyć. [...]
>
> Bić, to jest stara metoda. Teraz, od dziesięciu lat chyba, wszyscy treserzy przeszli na tresurę łagodną. Choć taka tresura jest jej zdaniem bardziej niebezpieczna. Zbytnie spoufalenie nie jest dobre. [...]
>
> Wszystkie naraz jeszcze nigdy się nie zbuntowały. Zresztą zdaniem pani Haliny to one nawet by miały gorzej na wolności. Czy one w ogóle wiedzą, że siedzą w klatce? [...]
>
> Pani Halina mówi, że w każdym państwie wybija się jakiś treser, ale najlepiej mają treserzy w Związku Radzieckim. Tam jest stały cyrk w każdym mieście. Mają dobre warunki i pod względem tresury najwyżej stoją. [...]
>
> Treserem może zostać każdy człowiek z cyrku. Taki, co przeszedł choćby żonglerkę czy, powiedzmy, człowiek guma.

Ponieważ u nas (mówię im) wszystko czytało się między wierszami, polski reportaż był o tym, o czym był, ale jeszcze o czymś innym. Reporterzy musieli nauczyć się pisać tak, żeby przechytrzyć cenzora, być uczciwym wobec czytelnika i móc sobie samym spojrzeć w oczy (w lustrze oczywiście). W związku z tym reportaż, jak mówi Hanna Krall, był oazą przyzwoitości. Reporterzy, jak z kolei mówi Małgorzata Szejnert, nie mogli pisać o ogóle, więc pisali o szczególe. Reporter szlifował w tej sytuacji literacką stronę swoich tekstów. Czytelnik szukał w nich drugiego dna, czasem znajdował siódme.

Tak do gazet zakradła się literatura.

Więc teraz przeczytam państwu (mówię) jeszcze raz te sześć fragmentów. Jeśli chcecie wiedzieć, jak rozumiał je Polak A.D. 1976, wyobraźcie sobie, że tygrysy to obywatele, a treserzy to władza. Na przykład służba bezpieczeństwa lub partia komunistyczna. Czytam, zagraniczna publiczność poruszona. Reportaż (podsumowuję) był w Polsce właśnie sposobem na radzenie sobie z zakazem pisania wprost o systemie.

> Od formy zależało, ile się przemyci. Kiedy nie da się mówić wprost, można się posłużyć cytatem, przenieść informację na barwę słowa, zawieszenie głosu, ironiczną pointę. Barbara Łopieńska była najlepsza z całej grupy w myleniu pogoni. „Basia, krótko mówiąc – wspominał ją Jerzy Pilch – miała wrażliwość graniczącą z pomieszaniem zmysłów". W jej reportażach z lat siedemdziesiątych wrażliwość ta była głównie skierowana na to, by mówiąc o byle czym, nieraz z głupia frant, powiedzieć coś więcej. Na przykład *Wernisaż*, tekst o otwarciu salonu Mody Polskiej w Bydgoszczy, naprawdę był o czymś innym

– napisała Małgorzata Szejnert we wstępie do wznowionej po śmierci Łopieńskiej jej książki *Łapa w łapę* z 1980 roku. Przytacza fragment wypowiedzi reporterki z pracy magisterskiej Justyny Jancewicz o dziennikarzach „Kultury":

> Chodziło mi o to, żeby pokazać ten fałsz, te szminki, to kretyństwo [...]. Szminka kosztowała tyle, co dwie pensje tych ludzi, którzy się pchali na otwarcie. Chodziło mi o zderzenie tego nadęcia ze zwykłymi ludźmi. Uważałam, że to jest tekst „w ogóle", a nie o otwarciu Mody Polskiej.

Łopieńska ukończyła chemię, a potem podyplomowe dziennikarstwo na Uniwersytecie Warszawskim. W latach siedemdziesiątych pracowała w tygodniku „Kultura", w 1981 roku opublikowała pierwszy w Polsce wywiad z byłym cenzorem (w „Tygodniku Solidarność", publikację wywalczył ówczesny szef pisma Tadeusz Mazowiecki).

> – Lubicie tych, których najczęściej zdejmujecie?
> – No pewnie, bo to są dobrzy dziennikarze. A przecież dobre rzeczy się zdejmowało, nie złe. [...]
> – A nigdy nie korciło takiego szeregowego cenzora, żeby coś puścić?
> – Nie. To byłby błąd w sztuce. Dobry cenzor szeregowy to taki, który skreśli, co trzeba, i który rozumie, co czyta.
> – Dla nas dobry to taki, który nie rozumie, co czyta.
> – Zgoła odmienne założenie. Na Mysiej [w siedzibie cenzury] funkcjonowała, przynajmniej za moich czasów, zasada, że jeśli cenzor nie rozumie,

co czyta, to artykuł nadaje się do puszczenia bez skreśleń, bo to znaczy, że czytelnik też tego nie zrozumie. My się uważaliśmy za ludzi bardziej inteligentnych od przeciętnego czytelnika.

– To jest właśnie dramat.

Gdzieś przeczytałem, że w „Kulturze" były trzy dziennikarki, które się umówiły, że będą zadawać bardzo proste pytania. Że to najlepsza metoda na rzeczywistość. Były to: Łopieńska, Torańska i Szymańska (patrz s. 167). Niektóre pytania Barbary Łopieńskiej, która w latach dziewięćdziesiątych zajęła się głównie wywiadami, przeszły do anegdoty. Czesława Apiecionka, księgarza, spytała na przykład, czy ma w swojej księgarni głupie książki. Jej wybitny zbiór rozmów z polskimi intelektualistami o księgozbiorach – *Książki i ludzie* (1998) – otwiera rozmowa z profesor Marią Janion. I w ogóle nie zaczyna się pytaniem.

„O Matko Boska!" – mówi Łopieńska na początek, widząc, jak wygląda zasypana książkami sypialnia pani profesor.

W stanie wojennym, kiedy „Kultura" przestała istnieć, Łopieńska razem z Ewą Szymańską zebrały materiał do książki *Stare numery* o tygodniku „Po prostu" (dwa wydania w 1986 roku – polskie podziemne i londyńskie). Od 1987 roku przeprowadzała wywiady dla „Res Publiki", potem „Res Publiki Nowej" – najpierw były to rozmowy o książkach, a potem cykl rozmów pod wspólnym tytułem *Z życia psychosomatycznego intelektualistów* (wydanie książkowe 2004). Najwybitniejszym umysłom zadaje pytania proste i celne, a uzyskuje portrety ludzi, którzy – jak zauważył Marcin Król – są samotni i świadomi własnych ograniczeń. „Ja się na niczym nie znam" – wyznaje profesor Maria Poprzęcka. To stwierdzenie powraca prawie w każdej z rozmów.

Po śmierci Barbary Łopieńskiej redakcje, w których w ostatnich latach drukowała swoje teksty – „Polityka", „Viva!", „Res Publika Nowa", „Gazeta Wyborcza", „Twój Styl", „Tygodnik Powszechny" – ustanowiły nagrodę jej imienia za najlepszy wywiad prasowy. Zwyciężczynią pierwszej edycji była Teresa Torańska.

Do antologii wybraliśmy reportaż Łopieńskiej *Syn* z 1977 roku, który opowiada, przynajmniej na pierwszy rzut oka, o tym, o czym myślą kobiety tuż przed porodem.

Nie chciały mieć córek – pisze Małgorzata Szejnert. – Obawiały się, że córka będzie powtarzać ich życie. Ale i dla swych synów nie spodziewały się niczego. („Ona powie mu tak: żyj, jak uważasz za stosowne. I tak będzie miał pretensję"). Był to, jednym słowem, reportaż o utracie nadziei. Niczego takiego nie mógł wtedy o społeczeństwie polskim powiedzieć publicysta. Udało się to pomysłowej reporterce.

Syn

Wszystkie chcą mieć syna. Rozmawiały o tym w środę przed obchodem. Pani Kozłowska, technik chemik, lat dwadzieścia siedem, ta, która leży pod oknem, powiedziała:

– Mężczyźnie w życiu lżej.

Dziewczyna zakocha się nie w tym, co trzeba: córka cierpi i matka cierpi. A może to tylko pani Kozłowska spotykała same takie nieszczęśliwie zakochane dziewczyny? Ona nie miała nieszczęśliwych miłości, ale życie ma takie: powrzuca garnki do zlewu, jest już dziewiętnasta, mąż wyżera z lodówki kiełbasę, a pani Kozłowska nie czuje się wolna.

– Syna i tylko jednego. Żeby miał zapewnione życie – powiedziała pani Zawadzka, krawcowa, lat dwadzieścia, ta, która leży pod drzwiami.

Urodzi tego syna, a potem ułożą sobie z mężem takie normalne życie – z wyjazdami na wczasy albo do kwater prywatnych.

Pani Gębala, rolnik spod Warszawy, ta, która leży na dostawce, też szybko się zdecydowała. Wyszła za mąż raczej z miłości z wzajemnością i mąż powiedział: „Nie będziemy się tak o wszystko zabijać, dopiero po dziecku dołożymy sobie trochę tego komfortu".

Środa nie jest dniem odwiedzin, ale mąż pani Wozak, dwudziestodwuletniej kadrowej, jakoś się wkręcił. Miał dla żony ważną wiadomość. Już myśleli, że jak wstawią łóżeczko, to będą musieli zrezygnować z ławy, ale mąż właśnie postanowił, że dorobi nogi na zawiasach, i proszę sobie wyobrazić – ława się zmieści.

Pierwsze dziecko urodzi również pani Zielińska, inżynier, lat trzydzieści. Bardzo się bała ustabilizowanego życia – ona i jej koleżanki ze studiów. A teraz wszystkie jej mówią: „Słuchaj, strasznie ci zazdrościmy".

– Specjalnie nie ma czego – powiedziała sąsiadka z prawej, pani Kujawa, lat trzydzieści sześć, pracownik działu gospodarczego spółdzielni inwalidów.

Pani Kujawa też chciała mieć tylko jedynaka, żeby nie pragnął tego czy tamtego, ale żeby miał wszystko. A tu proszę – trzecie!

– Niepotrzebne mi to dziecko. Niepotrzebne przy mojej chorobie.

Ma tylko dwa i pół miliona czerwonych ciałek i mówi, że to na pewno na tle nerwowym: człowiek się denerwuje, bo nie wie, czy kupić coś do zjedzenia,

czy do ubrania. Owszem, miała kiedyś bogatego, ale on przyprowadził raz kolegę. No i ten bogaty poszedł, a biedny został.

Ale dobry jest. Odwiedził ją wczoraj i mówił, że bardzo na nią czeka. Uczy się do egzaminu na wyższą grupę[1], a bez niej nic mu nie wchodzi do głowy. Jak na jednej stronie ustał – tak stoi.

Drugie dziecko urodzi pani Justyniak, kasjer okienkowy, lat dwadzieścia siedem – ta z największym brzuchem, i pani Żurek, lat trzydzieści jeden – gospodyni drewnianej rudery na Targówku.

Teściowa była przeciwna i wszyscy znajomi bardzo się dziwili, bo państwo Żurkowie w ciągu trzech lat zmienili siedem mieszkań, a raz nawet spali z wózkiem na dworcu.

– Ten własny kąt to jednak dużo w małżeństwie daje – mówi pani Żurek. – Trudno. Przekołowaliśmy się z jednym dzieckiem, to przekołujemy się i z drugim. Co za różnica?

– Zasadnicza – powiedziała pani Kozłowska, technik chemik, ta, która leży pod oknem. – Jedno nauczę, co jest dobre, a co złe. Ale dwojga się nie podejmuję.

– Żeby to można było czegoś nauczyć – wzdycha pani Justyniak, kasjer okienkowy, ta z największym brzuchem.

Ona powie mu tak: „Żyj, jak uważasz za stosowne". I tak będzie miał pretensję.

Dzieciństwo

Będzie chodził do przedszkola i na pływalnię. Będzie grał w tenisa – jeśli moda się utrzyma. Potem pójdzie do szkoły, a pani na pewno będzie lubiła włocławki[2].

Przyjdzie ze szkoły – odgrzeje sobie kartofelki. Skończy szkołę – zacznie się piąć. A potem?

– A potem – mówi pani Justyniak – nic rewelacyjnego go nie spotka.

Rada dla syna

– Nie bądź taki roztentegowany, tylko pracuj. Niestety, ale praca człowieka uszlachetnia – powiedziałaby pani Gębala, rolnik spod Warszawy.

– Dopasuj się do sytuacji. Nigdy nic nie planuj, bo i tak ci nie wyjdzie – powiedziałaby pani Justyniak, kasjer okienkowy.

– Rób, co ci każą – powiedziałaby pani Żurek, gospodyni drewnianej rudery na Targówku.

Jej mąż jest kierownikiem ślusarzy – daje zlecenia. Inżynier działkowicz

[1] Chodzi o wyższą grupę zaszeregowania, tj. grupę stanowisk, którym są przyporządkowane określone kwoty wynagrodzenia.

[2] Włocławki – bogato zdobione fajansowe naczynia w charakterystyczny wzór kwiatowy.

chciał dać swoją robotę poza kolejką. Mąż się nie zgodził i do dziś nie ma trzynastki.

– Nie bądź za wrażliwy, ale kieruj się prawdą – powiedziałaby pani Wozak, kadrowa. Chociaż nigdy mu wprost nie powie: „Słuchaj, to jest nieprawda". Załamałby się i nie wiedział, w co wierzyć. A gdyby spytał, jak jest, to starałaby się go naprowadzić okrężną drogą.

Sam musi wybrać, co uważa za prawdę. A każdy wybiera co innego.

– Kochaj przyrodę – powiedziałaby pani Trepczyńska, ta, która nie może urodzić. To bardzo piękne cieszyć się rosą, a nie przeklinać, że się ma mokre skarpetki. – I bądź dobry jak chleb, co leży na stole. Kto chce, może wziąć.

Pani Trepczyńska pochodzi z katolickiej rodziny, jest wierząca, więc i syna chciałaby pokierować tą drogą.

Tradycja

– Nic takiego u mnie nie ma – pani Wozak, kadrowa, nie przypomina sobie, co jej matce przekazała babka.

Ani pani Zawadzka, krawcowa.

Ani pani inżynier Zielińska.

Co innego tradycje narodowe. Syn musi dobrze znać historię swego kraju. Pani Zielińska będzie to pielęgnować.

– Po co? – dziwi się pani Justyniak, kasjer okienkowy. – Nie można się wzorować na Mickiewiczu czy Słowackim, bo to są odległe czasy.

Za dwadzieścia pięć lat

Ciekawe, ile się będzie czekać na mieszkanie. My żyjemy w Polsce odbudowującej się – dzieciaki będą żyć chyba w odbudowanej. Ale na wszelki wypadek założą dziecku książeczkę, jak skończy rok, góra trzy.

– Bo w naszych warunkach trzeba młodego wyręczyć.

Syn pani Żurek, gospodyni drewnianej rudery na Targówku, będzie mieszkał w ciekawie urządzonym mieszkaniu: dużo poduszek, puszysty dywan, pani Żurek już nie żąda skór tygrysa.

– Pensja pięć tysięcy, własne mieszkanie, a w nim wszystko najedzone i poubierane.

Ale na wszelki wypadek będzie go od maleńkiego uczyła, że bez wielu rzeczy można się w życiu obejść.

Odwrotnie niż pani Wozak, kadrowa. Jej zdaniem, jak się chce – wszystko można osiągnąć.

– Mieliśmy niepraktyczny regał i doszliśmy do wniosku, że przydałaby się komoda. Stolarz powiedział, że nie da się przerobić, a mąż zrobił pięć szufladek i dwie półeczki.

No i proszę, jak się chce – wszystko można.

Pani Justyniak, kasjer okienkowy, bardzo się martwi, że źle się na świecie dzieje: powodzie, głód, kotłuje się wszystko i trzęsie. Ludzie kopią tę ziemię, wiercą, a w środku – wszystko puste! Ludzie są wściekli.

Starsze kobiety mówią, że małżeństw nie będzie, śluby zanikną.

Za dwadzieścia pięć lat więcej będzie ludzi wykształconych i jak jeden z drugim się pogodzi?

W instytucie pani Kozłowskiej już teraz jest ciężko. Przeprowadzono badania nad masami tynkopodobnymi – coś genialnego. Szybko wdrożono do produkcji.

– No, niestety – mówi pani Kozłowska – ale za dwa lata te domy się odbarwią i trzeba je będzie tynkować od nowa. Teraz już nic nie można zrobić, bo wielu ludzi zleciałoby ze stołków. Do instytutu przyszedł młody inżynier po studiach. Miał pomysł na masy tynkopodobne, chciał poprawić; przesunięto go do gipsów.

– Chyba tak nie będzie, żeby człowiek realizował się w pracy. Musiałby się stać wielki cud.

Niech będzie:

– Zwykłym ślusarzem – pani Kujawa chciała do niedawna, żeby był piosenkarzem.

Ale jednak nie. Ciągle wyrastają młode talenty i ci piosenkarze strasznie się denerwują.

– Te piosenkarze mają jeszcze gorzej jak te ślusarze. Żeby robił coś takiego, aby zarobił, a nikt go nie szarpał.

– Ale co by to mogło być? – martwi się pani Kujawa. – Nawet do dozorcy mają pretensje, że niepomyte klatki. Nawet do tego, co kopie dół, przyjdzie kierownik i powie: „Za duży żeś wykopał".

– Więc mógłby być artystą pisarzem – mówi pani Zawadzka, krawcowa, ta, która leży pod drzwiami. – Ale sławnym. I żeby pisał coś z życia wzięte.

– Eee, tam. Nie napisze...

– No to profesorem, podróżnikiem czy czymś w tym rodzaju. Miałby możliwość wyjazdów, zwiedziłby starożytne kraje – marzy pani Justyniak. – Miałby wspomnienia z pracy i urozmaicone życie.

– Życie nie jest monotonne – uważa pani Gębala, rolnik spod Warszawy, ta,

co leży na dostawce. – Wiosna, lato, jesień, zima, niby tak w kółko, ale przecież każdy rok jest inny.

Jej syn będzie mechanikiem w kółku rolniczym. To wcale nie jest monotonna praca. Jednego dnia zreperuje kombajn zbożowy, a drugiego – buraczany. Jeśli akurat będą części.

– To już lepiej inżynier – mówi pani Wozak, kadrowa. – Inżynier elektronik.

Pani Wozak zna wielu elektroników i jak oni rozmawiają, to jest dla niej chińszczyzna, ale naprawdę bardzo ciekawa.

Inżynier elektronik – wynalazca. Żeby odkrył coś dobrego dla ludzi. Mówiliby wtedy: „Ach! Jednak doczekaliśmy się! Jednak znalazło się rozwiązanie!".

Inżynier elektronik, wynalazca – ale nie naukowiec.

Bo pani Wozak słyszała, że naukowcy mają u nas z odkryciami bardzo duże trudności.

Jego dzień

Wyjście do pracy, przyjście, wyjście z żoną do kina, przyjście.

Kariera

Pani Zawadzka, krawcowa, uważa, że gdyby działał, unowocześniał, to może i tym dyrektorem by został.

– Ale czy dyrektor pracuje? Nie. On żeruje na innych i poniża szarego człowieka. – Pani Gębala, rolnik spod Warszawy, nie mówi, że wszyscy są tacy, pokazują ich czasem w telewizji. Ale w dużej ilości to pasibrzuchy. – On, dyrektor? Tak go ta praca dyrektorska rozbodzie, że przyjedzie do matki, ona mu ugotuje rosołek, a on położy się na leżaku. I to byłoby bardzo przykre.

Dyrektor – owszem, ma pieniądze, ma uznanie. Ale on nie mówi szczerze. No, chyba że człowiek starszej daty.

– I współczuć takiemu dyrektorowi należy bardzo. – Pani Justyniak nie chciałaby, żeby syn robił taką karierę.

Ani pani Kozłowska, technik chemik.

Ani pani inżynier Zielińska.

Idea

Co może być takiego, żeby się poświęcić?

Dalej kariera

Przewodniczący w związkach zawodowych? Gdyby chciał – czemu nie? Wszystko jest dla ludzi. Pani Wozak, kadrowa, nie lubi polityki. Nie lubi, nie interesuje się. Gdyby on polubił – no, trudno!

Ale nie daj Boże wtrąciłby się na margines społeczny – tego by nie przeżyła.

Pani Justyniak, kasjer okienkowy, mówi, że dyplomata ma dobre życie. Ale dziś jest, a jutro – co z nim może być?

– Tak, tak – zgadza się pani Gębala, rolnik spod Warszawy, ta, co leży na dostawce. – Nie należy się wtajemniczać w sprawy państwowe, bo tego żaden prywatny mózg nie rozwikła.

U nich w rodzinie nikt takimi sprawami się nie zajmował, choć tato był dwie kadencje sołtysem. Ale zrezygnował.

I jak pani Gębala sobie pomyśli, że syn miałby być naczelnikiem gminy, to aż dreszcze ją przechodzą. Taka martwica panuje w jej naczelniku, że nic nie można załatwić. Matka pani Gębali nie umie się wysłowić i zanim co powie, to już naczelnik nie ma czasu.

Uczciwość

Matka pani Justyniak, tej z największym brzuchem, nawet często używa tego słowa. Ale dla pani Justyniak mogłoby go w ogóle nie być.

– Nie pasuje do nikogo, kogo znam.

A pani Gębala, rolnik spod Warszawy, widzi po sobie, że uczciwością dalej zajedzie niż nieuczciwością. Zajechała właśnie z paszą do pół drogi, kiedy zorientowała się, że kasjerka wydała jej za dużo reszty. Wróciła i dobrze zrobiła. „Kochana, powiedziała kasjerka, ja już do pani wysłałam zawiadomienie: »Jeśli pani nie zwróci, oprze się to w sądzie«".

– Ale czasem człowiek w ogóle nie wie, czego się trzymać – mówi pani Justyniak, kasjer okienkowy. – Na przykład sytuacja: stanąć po stronie człowieka i być wyrzuconym z pracy, czy nie stanąć i zostać.

Pani Zawadzka, krawcowa, uważa, że jest to sytuacja makabryczna.

A może być tak, jak mówi pani Kujawa, że syna wyrzucą, a człowieka zostawią. Nie wtrącaj się w nie swoje sprawy – poradziłaby.

Skoro człowiek, to powinien rozumieć.

– Dlaczego obaj mają płacić, jeśli jeden może? – pyta pani Żurek, która chciałaby, aby syn miał wielu przyjaciół.

– Uczciwy zawsze znajdzie przyjaciół.

– Ale nie można mówić: „Żyj uczciwie", bo dla każdego jest granica.

Pani Justyniak nie powie tak synowi.

Panią inżynier Zielińską czeka teraz przykra sprawa. Będzie musiała zamienić to M-2 Za Żelazną Bramą, a spółdzielnia już od kilku lat nie przyjmuje podań. No, trudno, coś wymyśli, bo przecież w każdym tkwi chęć, żeby sobie ułożyć to życie.

– Stosujemy różne chwyty ze smutkiem, ale martwię się, że syn już mojego smutku nie zrozumie.

Barbara N. Łopieńska, *Łapa w łapę i inne reportaże*, Warszawa: Iskry, 2004, s. 11–18

1977

Konrad Turowski (1938–2005)

Dziwność zapisać koniecznie

Na Konrada Turowskiego z Łodzi zwrócił moją uwagę Ryszard Wójcik (patrz s. 467), reporter, który często pisał o kolegach po piórze. Nazwał Turowskiego odpowiednikiem „malarza naiwnego". Podkreślał jego nadrealizm w widzeniu zdarzeń.

A więc reportaże Turowskiego przypominają dziecięce rysunki? Nie przestrzegają zasad stosowanych przez profesjonalistów? Nie podporządkowują się konwencjom? Używają osobnej techniki? Wyjątkowo cyzelują szczegół? Powstają jedynie z powodu wewnętrznej potrzeby tworzenia?

Trochę tak. I tak jak malarze prymitywiści mają swoje, często zaskakujące tematy, tak miał je Turowski. Zdarzenia marginalne i dziwaczne, na przykład:

> Kolegium do spraw Wykroczeń w Łodzi roztrząsało sprawę: Czy jeśli kierowca się upije i wobec tego nie chce prowadzić auta, więc maszeruje, pchając wóz przed sobą, to jest winien prowadzenia auta po pijanemu? Tak bowiem postąpiła ze swoją limuzyną pewna pani, która wyszła z przyjęcia. Milicja przyznawała, że pijana pani szła, silnik był zimny, nie warczał. Mimo to kolegium pozbawiło ową panią prawa jazdy na rok oraz wymierzyło jej grzywnę.

To pierwsze zdania reportażu *Świadków nie było*. Tekst *Tu mieszka Kostucha* zaczyna się tak:

> „Tu mieszka Kostucha!" – taką wizytówkę wymalował ktoś wielkimi, białymi literami na płocie niczym niewyróżniającej się zagrody we wsi niezbyt odległej od Piotrkowa. Na Dzień Zmarłych nieznana ręka zawiesiła na bramie żałobny wieniec.

Reportaż *Pijawa* ma taki początek:

> – No więc dobrze, będzie pan pierwszą osobą, która wejdzie do tego grobu – zgadza się Waleria Zjawiona. – Bo tam jeszcze nikt nie ma wstępu – mówi dobitnie.

To opowieść o samotnej, poniżanej kobiecie, która buduje sobie za życia grobowiec. Jedyna książka reporterska Konrada Turowskiego *Prawdziwe nieprawdopodobne* (1977) jest galerią historii nietypowych. Często – jak ta, którą

włączyliśmy do antologii – nie wiadomo, zdawałoby się, po co napisanych. Jakby Turowski uznał, że reporter po prostu ma obowiązek zapisać to, co go zaciekawiło.

> Przy całej pedanterii rzetelnego dokumentalisty – pisał Wójcik – jest on opowiadaczem niezwykle fabularnych historyjek „do czytania", owych tak chętnie wysłuchiwanych i oglądanych na ekranie – „opowieści niesamowitych", bajek niezmyślonych, autentycznych „dreszczowców", które zwykliśmy wywodzić z rozwichrzonych głów fantazjopisarzy, a które – jak uparcie dowodzi łódzki reporter paradoksalista – najzwyczajniej w świecie odnaleźć można, powikłane i dziwacznie spiętrzone w samym naokolnym życiu. Trzeba tylko wiedzieć, jak szukać.

Konrad Turowski urodził się w 1938 roku w Warszawie. Z dziennikarstwem związany był od 1956 roku. Na fali odwilży popaździernikowej rozpoczął pracę w „Expressie Ilustrowanym", reaktywowanej łódzkiej popołudniówce (za Stalina prasa musiała być przecież poważna!). Był wieloletnim korespondentem warszawskiego „Kuriera Polskiego". Reportaże publikował w „Odgłosach", „Tygodniku Kulturalnym", „Literaturze". W 1980 roku został przewodniczącym KZ NSZZ „Solidarność" w Łódzkim Wydawnictwie Prasowym Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa". W lutym 1981 roku łódzki komitet międzyuczelniany nadał mu odznakę Za Pomoc Strajkującym Studentom. W stanie wojennym był na rencie chorobowej, ale pojedyncze duże reportaże drukował w „Ekspresie Reporterów" (był to wydawany w postaci książki miesięcznik reporterski). Po upadku komunizmu został zastępcą dyrektora Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego, a także redaktorem naczelnym „Dziennika Łódzkiego".

Pasją Konrada Turowskiego było towarzyszenie strażakom w akcji – wydał nawet książkę dla dzieci *Walczymy z ogniem*. W 1965 roku został inicjatorem Dnia Ojca w Polsce. Jego żona Zofia Turowska opowiada, że uwielbiał słodycze. „Mężczyźni, którzy lubią czekoladę, są dobrymi ludźmi" – mawiał.

Śmiać się nie ma z czego

W wielkanocnym numerze „Dziennika Popularnego" dałem ogłoszenie:

„Osoby, które wyratowały mężczyznę tonącego w szalecie przy zbiegu Politechniki i Cieszyńskiej, proszę o telefon 438-37".

Ukazało się w rubryce „Różne". Zapłaciłem z własnej kieszeni tylko sześćdziesiąt złotych, ponieważ udzielono mi pięćdziesięcioprocentowego rabatu należnego wszystkim etatowym pracownikom RSW „Prasa-Książka-Ruch".

Uciekłem się do tej formy zdobycia informacji, gdy zawiodły inne sposoby. W Prokuraturze Rejonowej Łódź-Górna oświadczono mi autorytatywnie:

– Zdaniem prokuratury pisanie jakichkolwiek reportaży o tym wypadku jest przedwczesne. Będziemy mogli ewentualnie podać interesujące pana nazwiska i adresy po zakończeniu postępowania. Niech pan się zgłosi za miesiąc...

Na nic zdała się argumentacja, że nie jest tu moim celem ani prowadzenie śledztwa na własną rękę, ani ustalenie stopnia czyjejkolwiek winy. Postanowiłem sobie pójść tropem niecodziennego zdarzenia z pogranicza absolutnego nonsensu, możliwie najwierniej odtworzyć okoliczności wypadku właściwie niemającego nic wspólnego z kryminalistyką. Mam też nadzieję, że uda mi się w tym reportażu nie ujawnić żadnych tajemnic, które mogłyby mnie narazić na postawienie w stan oskarżenia za utrudnianie czy wręcz uniemożliwianie śledztwa Prokuraturze Rejonowej Łódź-Górna. Z takim przekonaniem dawałem przytoczone ogłoszenie, nie podzielając opinii prokuratury ani co do terminu publikacji, ani wyboru tematu.

W rezultacie anonsu zgłosiło się kilkadziesiąt osób. Dokładnie trzydzieści cztery – w tym osiemnaście kobiet. Wszystkie rozmowy rejestrowałem na taśmie magnetofonowej. Oto niektóre:

– To pan wpadł do tego szaletu?

– Jestem reporterem, dałem ogłoszenie, by zebrać możliwie najwięcej informacji...

Kobieta wybucha perlistym śmiechem.

– Czy pani była świadkiem tego wypadku?
– Nie, jak tam przyszłam, to już go wyciągnęli. – Znów się śmieje...

– Ja w sprawie ogłoszenia...
– Czy pan ratował tego mężczyznę?
– Nie, ja jestem dziennikarzem i chcę o tym wypadku napisać...
– To ja panu nic nie powiem, bo jak przyszedłem, to już było pogotowie ratunkowe i go zabierali...

– Pan dał ogłoszenie?
– Tak, chcę napisać reportaż...
Gromki śmiech.
– Co pani może powiedzieć o tym wypadku?
– Tam było dużo ludzi, ale kto ratował, to ja nie wiem... Śmierdziało okropnie od tego faceta, wszyscy się odsuwali... To chyba wszystko...

– Czterysta trzydzieści osiem trzydzieści siedem?
– Tak.
– Wiem, że pan jest reporterem. Dlaczego ta sprawa pana interesuje?
– Skąd się pan dowiedział, że jestem reporterem?
– Nieważne, niech pan przyjmie, że odszukałem pana adres w książce telefonicznej. Pytam, bo znajomy mi opowiadał o tej historii i obaj pokładaliśmy się ze śmiechu...
– Czy znajomy zna szczegóły?
– Jakie szczegóły? Czy to nie wystarczy, że facet poszedł kupę zrobić i wszystko się pod nim zarwało? On chyba był pijany?...
– O ile wiem, był trzeźwy. Czy pana zdaniem pijany nie ma prawa do pełnego bezpieczeństwa w szalecie publicznym?

To tylko kilka wiernie przepisanych dialogów z dwóch wypełnionych kaset magnetofonowych typu C-90 – razem trzy godziny nagrania. Trzeciego dnia od ukazania się ogłoszenia, gdy już nieco zwątpiłem w skuteczność tej formy odnalezienia osób, które rzeczywiście wyratowały mężczyznę tonącego w szalecie przy zbiegu ulicy Cieszyńskiej i alei Politechniki, zgłosił się wreszcie adresat mojego anonsu.

Edward Stibbe ma dwadzieścia dwa lata. Jest z zawodu kierowcą. Od kilku miesięcy jeździ wywrotką star A-28 numer rejestracyjny 1781-IF w łódzkim Zarządzie Dróg i Mostów. Od siódmej do piętnastej wozi piasek i szlakę.

Daty zdarzenia już dokładnie nie pamięta. Przypomina sobie, że był chłodny, marcowy dzień, choć świeciło słońce...

– Jechaliśmy od Pabianickiej do alei Politechniki – opowiada. – Na ulicy Cieszyńskiej zatrzymałem się, żeby wpisać do karty drogowej kolejny kurs. Muszę tego pilnować, bo w razie kontroli drogowej zapłaciłbym karę. Stanąłem akurat koło tego ustronnego budyneczku, który jest w parku między ulicą Pabianicką i aleją Politechniki. Obok siedział mój pomocnik Matusiak. Imienia nie pamiętam, bo jeździ ze mną niedługo. Zająłem się swoją „buchalterią", korzystając, że uliczka jest spokojna i nasz postój nie przeszkadza nikomu. Okno miałem lekko uchylone. Nagle usłyszałem dobiegające z parku wołanie:

– Ratunku!

Po chwili powtórzyło się. Spojrzałem na zegarek. Było dziesięć po pierwszej. To niemożliwe, żeby w biały dzień kogoś napadli w parku – pomyślałem. Na wszelki wypadek wziąłem w rękę lewarek i wyszedłem z samochodu. Pomocnik za mną. Koło szaletu stał jakiś mężczyzna.

– Panie, co tu się dzieje? – zapytałem go.

– A bo ja wiem? Co to mnie obchodzi – powiedział, wzruszając obojętnie ramionami, i udał się spokojnie w kierunku ulicy Pabianickiej.

Wtedy znów usłyszałem wołanie.

– Ratunku!

Wyraźnie dochodziło z szaletu.

– Ki czort? – powiedziałem do pomocnika. – Pewnie zboczeńcy się pobili...

Wbiegłem do środka z naszykowanym lewarkiem. Zobaczyłem kurtkę wiszącą na drzwiach, ale nigdzie żywego ducha.

– Panie, tu jestem – usłyszałem jak spod ziemi.

Patrzę, a w pierwszej kabinie dziura w podłodze. Zaglądam i widzę głowę mężczyzny kurczowo uczepionego jedną ręką jakiegoś wystającego pręta.

– Po coś tam właził, człowieku? – chciałem go zapytać, ale on mnie uprzedził:

– Niech mnie pan wyciągnie – prosił.

Był przerażony. Nie chciałbym być na jego miejscu...

Zdałem sobie sprawę, że nie damy rady go sami wydostać. Dziura w podłodze była nieduża. Nie było jak go chwycić, żeby wydobyć na powierzchnię.

– Może jakąś deskę albo drabinę pan przyniesie – zaproponował.

Pobiegłem sprowadzić pomoc. Obok jest baza Łódzkiego Przedsiębiorstwa Ogrodniczego. Wpadłem na podwórze i widzę – stoi drabina. Porwałem ją i wracam biegiem do szaletu. Zobaczył to jeden z robotników i krzyczy:

– Złodziej! Trzymajcie złodzieja!...

Nie zatrzymywałem się, żeby mu tłumaczyć, po co mi ta drabina. Szkoda było czasu. Ten nieszczęśnik przecież ledwie się już trzymał tego pręta...

Właściciel drabiny wpadł za mną do szaletu. W ten sposób było nas już trzech do ratowania. Dziura była tak wąska, że drabina malarska nie chciała wejść. W końcu wsunęliśmy ją odwrotną stroną. Jak wpychaliśmy – dziura się powiększała, odpadały całe kawały podłogi... Mężczyzna położył się na drabinie i tak go wydobyliśmy. Był w szoku. Mówił tylko, że lewa ręka go boli i żeby wezwać milicję... Pobiegłem zadzwonić po pogotowie ratunkowe. W bazie ŁPO jest telefon, ale nie mogłem się dodzwonić. Pobiegłem więc na pocztę, naprzeciw parku, po drugiej stronie alei Politechniki. Pani, która przyjęła telefon w pogotowiu, najpierw słuchała, co ja mówię, aż wreszcie mi przerwała:

– Panie, nie żartuj pan, my mamy poważniejsze sprawy – powiedziała, chcąc odłożyć słuchawkę. Z pięć osób podchodziło do telefonu, by przekonać ją, że nie robimy kawału...

Nikomu o tej historii nie opowiadam, bo i tak by nie uwierzyli. To nielogiczne, żeby pod kimś zarwał się beton grubości chyba z piętnastu centymetrów. Spotkałem siostrę w tramwaju i zacząłem jej opowiadać, a ona mówi:

– Edek, co ty zmyślasz, chyba jesteś pijany...

Nie zastanawiałem się, że pode mną podłoga wtedy również mogła się zarwać. Byłem na górze, więc moim obowiązkiem było pomóc temu człowiekowi. Całe szczęście, że przytomności nie stracił...

Zadzwoniłem do działu remontów Łódzkiego Przedsiębiorstwa Ogrodniczego. Do telefonu poproszono pracownika, który z ramienia tego przedsiębiorstwa sprawuje nadzór nad szaletami publicznymi w łódzkich parkach.

– Ile dokładnie mamy takich szaletów, nie pamiętam – usłyszałem. – Ale na pewno około dziesięciu, w parkach i na cmentarzach, bo te na przystankach tramwajowych należą do Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego. To wszystko są tak zwane szalety suche, czyli nieskanalizowane. Budowano je w pierwszych latach po wojnie. Ten przy ulicy Cieszyńskiej zbudowano w 1950 roku. Remontuje się je, to znaczy odnawia, co roku. Czasem częściej – jak na przykład ktoś ukradnie drzwi albo już jest bardzo brudno. Poważniejszych remontów się nie podejmuje, bo dotąd nie było żadnych pęknięć czy innych sygnałów, że może dojść do wypadku... Miejskie Przedsiębiorstwo Oczyszczania wywozi co jakiś czas nieczystości, nawet co dwa lata, doły są duże i głębokie... przy ulicy Cieszyńskiej ma głębokość co najmniej dwóch metrów dwudziestu centymetrów. Mierzyliśmy po wypadku. Teraz ten szalet

został zaplombowany i jest zamknięty. Już nie będzie otwarty. W pobliżu, przy rondzie Titowa, jest przecież podziemny szalet skanalizowany... Tak, eksperci badają stan techniczny innych szaletów. Zleciliśmy badania ekspertom z NOT-u[1], dokładnie nie wiem, bo to inny dział prowadzi...

Od przedstawiciela ŁPO otrzymałem adres mężczyzny, który stał się ofiarą fatalnego wypadku. Delegacja przedsiębiorstwa odwiedziła go nazajutrz po wypadku. Wyrażono mu ubolewanie z powodu cierpień i poniesionych szkód...

Niech już zostanie, że poszkodowanym jest obywatel „M.R.", skoro pod takimi inicjałami ukrył go łódzki korespondent „Szpilek". Inne organy prasowe – jak na przykład „Kulisy", które również wykorzystały zdarzenie w łódzkim szalecie jako znakomitą okazję do rozbawienia swoich czytelników, nie podały żadnych inicjałów. W gruncie rzeczy nie ma to przecież żadnego znaczenia...

M. R. ma czterdzieści osiem lat i dorastającego syna. Od dwudziestu sześciu lat nieprzerwanie pracuje w jednym z największych przedsiębiorstw budowlanych. Jest z zawodu technikiem i zajmuje stanowisko kierownika działu bezpieczeństwa i higieny pracy w swoim przedsiębiorstwie.

Zastaję go z lewą ręką unieruchomioną w gipsie. Czternasty dzień korzysta ze zwolnienia lekarskiego z powodu wypadku w szalecie. Syn jest w szkole, a żona, księgowa, w pracy. Przysiadamy na tapczanie. M.R. nerwowo zapala papierosa.

– Jeszcze teraz spokojnie nie mogę o tym mówić – notuję jego słowa. – Jak sobie pomyślę, jaki marny koniec mógł mnie spotkać w tym bagnie, to na płacz mi się zbiera. Niech pan pomyśli... w takim gnoju zginąć?!...

Rozmowę przerywa telefon. M.R. odpowiada pojedynczymi słowami:

– Tak, prawda... Byłem krok od śmierci... Do tego jeszcze matka w tym czasie miała zawał serca, a ojciec zachorował na zapalenie płuc... Wpadnij kiedyś, to porozmawiamy...

– Właśnie szwagierka dzwoniła – mówi. – Czytała w gazetach o wypadku, ale nawet się nie domyśliła, że o mnie chodzi. Teraz dopiero się dowiedziała, bo zadzwoniła do żony. Ja nie lubię tego wspominać. To było dla mnie straszne przeżycie...

Rozmawiamy o przedsiębiorstwie, w którym pracuje M.R., i realizowanych budowach o znaczeniu priorytetowym. Jeszcze ktoś dzwoni. Ale nie interesują go szczegóły wypadku. Może nic nie wie? W każdym razie ten telefon i kilka wypalonych papierosów sprawia, że sam podejmuje temat, który mnie sprowadził...

[1] NOT – Naczelna Organizacja Techniczna, zrzeszenie samorządnych stowarzyszeń pracowników naukowo-technicznych, inżynierów i techników założone w 1945 roku. Działa na rzecz rozwoju techniki, zajmuje się dokształcaniem członków, organizuje kongresy, konferencje, targi i wystawy.

– No więc opowiem panu dokładnie, od początku, jak to było. Nie mam przecież niczego do ukrywania. W połowie lutego wziąłem kilkanaście dni urlopu, jeszcze za ubiegły rok. Gdy urlop się kończył, zachorowałem na zapalenie stawów kolanowych. To stara historia. Miałem dwanaście lat, jak w czasie okupacji zacząłem pracować przy myciu butelek w rozlewni wina przy ulicy Piotrkowskiej 175. Od tej pracy zachorowałem na stawy, które co jakiś czas mi dokuczają. Nie chciałem iść na zwolnienie, ale bratowa jest lekarzem i powiedziała, że nie ma żartów. To właśnie był ostatni dzień zwolnienia. Na godzinę dwunastą poszedłem na zastrzyk z penicyliny do przychodni przy ulicy Cieszkowskiego. Później wstąpiłem do apteki – obok przychodni, po raphacholin, który lekarz mi też przepisał. W tej aptece nie było lekarstwa, więc postanowiłem pójść do najbliższej apteki przy ulicy Pabianickiej. Szedłem najkrótszą drogą, przez park. Ja tu znam każdą piędź ziemi. Tu się przecież urodziłem i mieszkam do dziś... Szedłem właśnie przez park, gdy po prostu poczułem naturalną potrzebę... Wie pan, ten budynek wygląda całkiem solidnie. Mówię to już panu jako budowlarz, fachowiec. Nigdy bym nie przypuszczał, że coś takiego może się zdarzyć... Wszedłem do jednej z trzech kabin. Otworzyłem drzwi, powiesiłem na nich kurtkę podbijaną kożuchem, wziąłem ręką za pasek od spodni i w tym momencie się zarwało... Nie wiedziałem, cholera, co się dzieje. W pierwszej chwili myślałem, że to trzęsienie ziemi, że wszystko się zawali... Nie wiem, jakim cudem chwyciłem się prawą ręką wystającego z rumowiska pręta żelaznego. Chciałem pomóc sobie lewą ręką, ale nie mogłem nią ruszyć, tak mnie bolała. Widocznie spadając, uderzyłem nią o beton. Bałem się, że ten pręt, którego się trzymam, urwie się... Zdawałem sobie sprawę, że mojego wołania o ratunek może nikt nie usłyszeć. Niby to centrum miasta, ale tam właściwie nikogo nie ma, bardzo rzadko ktoś przechodzi. Do tego nad głową miałem strop, który tłumił moje wołanie... Byłem zanurzony niemal po szyję. Nogami nie mogłem dosięgnąć dna... Nie wiem, ile razy krzyknąłem „ratunku!", gdy usłyszałem, że ktoś wbiega... Nie widział mnie... Bałem się, że sobie pójdzie, a ja zostanę. Nie miałem już siły krzyczeć, powiedziałem tylko: „Panie, tu jestem, niech mnie pan ratuje, bo utonę...".

Przynieśli drabinę. Jeszcze miałem na tyle przytomności, że powiedziałem, aby starali się wsunąć ją węższym końcem... Resztką sił wciągnąłem się tylko, żeby oprzeć się kolanem o szczebel. Wtedy dopiero puściłem się drutu i chwyciłem drabiny. Gdy już wytknąłem głowę, wiedziałem, że mnie ratują... Ktoś powiedział, żebym wyszedł na dwór. Wstydziłem się, byłem cały utytłany i cuchnący... Oparłem się o drzewo, bo nie miałem siły gdziekolwiek iść. Podeszła jakaś kobieta: „Co pan taki zielony na twarzy?" – zapytała. Inna

powiedziała, żebym poszedł za nią, to dadzą mi wodę do obmycia się. Poszedłem do bazy ŁPO. Wszystko z siebie zrzuciłem. Jakiś mężczyzna polewał mnie wodą, pomagając się obmyć. Później dali mi stare ubranie robocze. Narzuciłem kurtkę, którą mi przyniesiono z szaletu, i tak wsiadłem do karetki pogotowia ratunkowego... Po prześwietleniu lekarz powiedział, że mam złamaną kość w stawie barkowym lewej ręki... Pielęgniarka zadzwoniła do żony. Jak żona usłyszała, że jestem w pogotowiu, omal nie zemdlała. Nie wiedziała, co się stało.

Jak pan widzi nie jestem olbrzymem. Ważę osiemdziesiąt kilo. Ten strop musiał już być mocno nadwerężony, skoro się zarwał. To przecież strop Kleina. Powinien wytrzymywać obciążenie trzystu kilogramów na jeden metr kwadratowy. Pod wpływem wilgoci, a zwłaszcza amoniaku, musiał ulegać korozji. Dziwię się, że nie sprawdzono dotąd wytrzymałości tych stropów. Są przecież odpowiednie aparaty. Mamy je w naszym przedsiębiorstwie...

Nim przyszedłem do M. R., rozmawiałem z kapitanem Ł. z Komendy Dzielnicowej MO Łódź-Górna. Pamięta on, że w 1969 roku w tym samym szalecie utonął starszy mężczyzna. Jego zwłoki znaleziono bodajże w marcu czy kwietniu, gdy brygada MPO przyjechała oczyścić zbiornik kloaczny. Denata zidentyfikowano jako zaginionego, który w grudniu poprzedniego roku wyszedł z domu i wszelki ślad po nim zaginął. Dokładne okoliczności śmierci nie są wyjaśnione do dziś. Poprzestano na hipotezie, że ów mężczyzna zbliżył się do szaletu od strony, gdzie znajduje się otwór do wybierania szamba, w ciemności go nie zauważył, poślizgnął się i wpadł, ponosząc śmierć w mazi kloacznej...

M.R. odprowadza mnie do drzwi. Na pożegnanie mówi:

– Niech pan nie podaje mojego nazwiska, najbliżsi wiedzą o tej historii, ale nie chcę, żeby sąsiedzi się ze mnie śmiali, wytykając palcami: „O, to ten, co w gówna wpadł...".

Konrad Turowski, *Prawdziwe nieprawdopodobne*,
Łódź: Wydawnictwo Łódzkie, 1977, s. 68–77

1979

Wiesław Łuka (ur. 1941)

Rozpytywać, nawet na wczasach

Czy uwierzą Państwo, że w 1979 roku w Polsce – w Sandomierzu – zakończył się proces o zbrodnię, której miara kryminalna, obyczajowa i prawna przerastała wszystko, co znał ówczesny świat?

A co znał?

Zabójstwo Kennedy'ego, porwanie i śmierć Aldo Moro oraz masakrę w Jonestown.

> Ale tamte sprawy – pisał Jerzy Urban – wymierzać trzeba w kategoriach polityki, terroryzmu czy psychoz zbiorowych. Historia z Połańca, jako kryminalna, porównywalna jest z mordem dokonanym przez bandę Mansona w domu Polańskiego, choć pod wieloma względami jest większa, ciekawsza. Truman Capote zrobił światową karierę swoim opisem dwóch rzezimieszków, którzy pozabijali amerykańska familię (*Z zimną krwią*). Ta historia w porównaniu z Połańcem jest po prostu jajeczkiem na miękko [...].

W wigilijną noc 1976 roku we wsi Połaniec w świetle reflektorów autobusu bestialsko zamordowano trzech mieszkańców wsi Zrębin. Potem nieudolnie upozorowano wypadek. Świadkami zabójstwa było co najmniej trzydzieści osób – mieszkańców wsi, którzy siedzieli w autobusie i oglądali zbrodnię przez okna. Jeszcze tej samej nocy wszyscy złożyli śluby milczenia. Sprawcom niemal udało się zataić sprawę.

> Wszystko to opisał jeden Wiesław Łuka – dodawał Urban. – Kto to jest – pojawią się pytania – Wiesław Łuka? Mówię przecież: Wiesław Łuka jest to jedyny człowiek, który to naprawdę opisał.

Wiesław Łuka, dziś wykładowca na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego, ukończył filologię polską na tej samej uczelni. W latach 1964–1970 pracował w Wytwórni Filmowej „Czołówka", potem trafił do redakcji „Walki Młodych". Tam – jak sam mówi – „dzięki dwóm uznanym już reporterom, Lechowi Borskiemu i Jackowi Snopkiewiczowi, panowała atmosfera kultu dla najszlachetniejszego gatunku dziennikarskiego, czemu się poddałem". Potem pracował w „Sztandarze Młodych" i „Prawie i Życiu". Ma na koncie dziesięć książek reporterskich, z których poza *Nie oświadczam się*, najbardziej znane są: *Biniu nie wzywa pomocy* (1979), *Każdy przebiega dystans* (1986) i *Ślizgiem* (1986).

Wygrał także konkurs na scenariusz filmu fabularnego, organizowany przez Telewizję Polską. Scenariusz oparł właśnie na książce o zbrodni w Połańcu. Na jego podstawie powstał film *Zmowa* w reżyserii Janusza Petelskiego. Recenzenci byli jednak zgodni, że nie dorównuje książce. Natomiast świetne recenzje miała sztuka *Świadkowie*, którą reporter o tej sprawie napisał, wystawiona wiosną 1980 roku w Słupskim Teatrze Dramatycznym w reżyserii Janusza Wiśniewskiego.

Czy pisząc *Nie oświadczam się*, miał jakieś wzory? Choćby z *Zimną krwią*, do której książkę Łuki porównywał Urban?

> Owszem, czytałem ją wówczas. Była gruba, solidna od strony dokumentacyjnej, ale mało atrakcyjna formalnie. Nie zaskakiwała pomysłami twórczymi. Miałem wtedy wrażenie, że znanego autora przytłoczył ciężar kryminalny zbrodni i jej przebieg. Że nie był w stanie wyjść poza „fotograficzne", cokolwiek toporne jej odtworzenie.

Od książki Trumana Capote'a książka Wiesława Łuki różni się tym, że polski reporter na bieżąco utrwalał kolejne etapy śledztwa i swoje spotkania ze świadkami. Jego książka jest bardziej dziennikarska, mniej w niej wycyzelowanych zdań, ale ma pewien nerw, którego nie ma monumentalna (a dla mnie nawet nieco ospała) książka Capote'a. Wydaje się bardziej autentyczna i bliższa życiu.

Podkreślano w recenzjach, że żadna redakcja nie dała dotąd reporterowi takiej szansy, jaką Łuka dostał od „Prawa i Życia" – jednej sprawie mógł się przyglądać kilka lat. Podkreślano, że trzeba mieć sporo odwagi, żeby plątać się między ludźmi niezadowolonymi z obecności dziennikarza. Ludźmi zdecydowanymi pozbyć się ze wsi namolnego reportera.

Łukę zawsze fascynowały tematy społeczne i kryminalne. Narkomani, alkoholicy, młodzież z poprawczaka... Dziś tamte jego teksty mogą się wydać ograne, mało odkrywcze, ponieważ podobnymi tematami jesteśmy zalani przez media. Jednak w latach osiemdziesiątych były cenioną próbą psychologicznej analizy źródeł zła. Do tego autor wiedział, jak przyciągnąć ówczesnego czytelnika:

> Nie myślcie stereotypowo. Na nogawce sztruksów Roberta nie szukajcie zaschniętego gówna, na koszuli kwaśnej plamy po pawiu. W ogóle nie szukajcie Roberta w rynsztoku – zaczyna swój reportaż *Rozdwojenie wizji i fonii*. I dalej: – Czyściutki, wygolony, nosi się w stylu „wrangler". Mówi: jestem alkoholikiem od siedemnastu lat.

Krystyna Goldbergowa, zafascynowana *Ślizgiem*, pisała, że ta książka Łuki ma wartość nie mniejszą niż *Nie oświadczam się*. Reporter znów śledził losy swojego bohatera bardzo długo – tym razem siedem lat. Od dnia, kiedy przeczytał w gazecie, że piętnastoletni Olek J. był sprawcą „największego oszustwa popełnionego podczas tegorocznego sezonu letniego w Sopocie", aż do czasu kiedy Olek po pobytach w poprawczakach i zakładach karnych dwa lata jest już na wolności.

Powie ktoś – pisze Goldbergowa w recenzji dwóch książek reportera: *Ślizgiem* i *Każdy przebiega dystans* – to nie recenzja, lecz panegiryk. No cóż, nie udało mi się, choć wyznam – starałam się usilnie – znaleźć w tych książkach choć jedną rzecz, do której mogłabym się przyczepić.

Jak Wiesław Łuka trafiał na tematy?

Gdy jechałem na jeden temat, to się zawsze rozglądałem za innymi. Nawet gdy wyjeżdżałem z żoną i synem na wczasy, szedłem na posterunek milicji czy do sądu w tej wczasowej miejscowości, zresztą w ogóle szedłem, gdzie się dało, i rozpytywałem: co u was w trawie piszczy.

Nie oświadczam się

W sądzie na nas jadą

Cela. Sojda trzynasty miesiąc w areszcie.

– A panowie śledcze dalej nam zarzucają, że my w pasterkę mordowali? Jeśli panowie śledcze i pan dziennikarz sobie życzą, klękam i przysięgam – siedzę niewinnie. Adaś też! A zięciowie, co winne, byli z żonami w kościele, ja w domu kolęd słuchałem. Artystka wyszła z lewego rogu telewizora, chustkę miała – o, tak – zarzuconą i śpiewała. Myślę, jak oni teraz fałszują *Lulajże, Jezuniu*. Aż tu wychodzi artysta z prawego rogu i wszystko głosowo naprawia w *Anioł pasterzom mówił*... Panowie śledcze nam zarzucają w kółko jedno – zamordowaliście... zamordowaliście! Panie dziennikarzu, Sojda jestem, po kursach PCK, komu tylko trzeba w Zrębinie zęby rwałem, ząb dwuodnogowy zawsze odróżnię od trzyodnogowego, dziesięć lat praktyki swoje robi. Ja całe życie w rolnictwie szedłem na nowościach, ja bym miał zabijać dzieci Kalitów? Krysię bardzo lubiłem, nie przeszła koło mnie, żebym jej nie zapytał: „No jak, Krysia, kiedy wujka na wesele prosisz?". My z dziadkiem Krysi, Rojem, byli takie dalsze wujki i zawsze mieli dla siebie uważanie. Prawdę przed panem dziennikarzem powiedziawszy, czasami my się nie uważali. Dziadek od wojny poszedł za teraźniejszą władzą. Nakazywał ludziom maszerować na pierwszego maja, a raz w sobotę w czterdziestym siódmym roku przyprowadził dwóch milicjantów i oni mi odczytali wyrok więzienny. Ja tej Marysi na łąkach nie brałem seksualnie i cieleśnie, jeszcze wtedy chodziłem w krótkich majtkach.

Za co sąd mnie niewinnie skarał? Panie dziennikarzu, powiedziawszy panu jak przed najświętszym obrazem, miałem żal do dziadka Roja, że z milicjantami mnie szukał. Za dwa lata po wsi poszła nowina – zabiłem u siebie na podwórku syna dziadka. Nie ja go zabiłem, tylko niejaki C. Widziałem, jak młodemu Rojowi krew odchodziła od głowy do nóg i on się robił blady. Karabin był mój, dałem go C. dla zabicia wrony. Ludzie we wsi gadali, że to Sojda zabił... Nie wiem, co się z tym C. stało. Milicja mówiła, że za półtora roku zginął w wypadku. Ja się tym nie ciekawiłem. Nie wiem, po co ludzie teraz po dwudziestu siedmiu latach wspominają dawne głupoty. Panu też nagadali tych głupot, że ja z zięciami powybijał wnuczki Roja. Panie dziennikarzu, przy śledczych mogę paść krzyżem... jeżeli tylko panowie życzą... W areszcie trzymam się regulaminu, czytam prasę, teraz padnę krzyżem...

Nikt nie życzył.
Padł.
Rozciął sobie brodę. Wypuścił beret z ręki.
Parę kropli krwi na parkiecie.
I beret.

W akcie oskarżenia: „[...] W miejscu oddalonym o około 120 metrów od zabudowań Zrębina [podczas trwania pasterki w kościele w Połańcu w 1976 roku – przyp. W. Ł.] wszystkie samochody zatrzymały się. Jan Sojda oświadczył, że należy zrobić tak, by wynikało, że śmierć małżonków Krystyny i Stanisława Łukaszków i brata Krystyny Mieczysława Kality była następstwem wypadku drogowego, oraz upozorować, że Krystyna została przed śmiercią zgwałcona. Wyniesiono więc zwłoki Stanisława i Mieczysława oraz nieprzytomną w dalszym ciągu Krystynę, którą ułożono w rowie po prawej stronie drogi, głową w kierunku Połańca. Zwłoki Stanisława i Mieczysława przeniesiono na pewną odległość od Krystyny, układając je w rowie. Miejsce kierowcy w autobusie San zajął Józef Adaś, który wjechał do rowu, najeżdżając na zwłoki. Następnie cofnął autobusem do tyłu, wzdłuż dna rowu, najeżdżając tylnym kołem na leżącą Krystynę. W następstwie tego doznała ona złamania kości miednicy i obrażeń mózgu, które bezpośrednio sprowadziły jej śmierć. [...] Nastąpiło oderwanie uchwytu od torebki damskiej, którą miała przy sobie. Torebkę odrzucono na pobocze, zaś uchwyt odnaleziono w czasie przeszukiwania terenu w późniejszym czasie [...]".

W sali Sądu Wojewódzkiego w Tarnobrzegu z siedzibą w Sandomierzu po dwudziestu jeden miesiącach śledztwa: przewodniczący składu orzekającego sędzia Marek Maciąg:

– Oskarżony Jan Sojda...

– Obecny, wysoki sądzie...

– Czy oskarżony ma jedno imię czy dwa...

– Wysoki sądzie, jestem niewinny...

– O tym będziemy mówili...

– Jedno, jedno imię... Jan Sojda jestem, syn Stanisława i Franciszki, urodzony 20 lipca 1928, wysoki sądzie... w Zrębinie... rolnik... Wysoki sądzie, chciałem zeznać, że jestem niewinny...

– Sąd nie pyta teraz, czy oskarżony jest winien... Oskarżony później będzie składał sądowi wyjaśnienia... Oskarżony Józef Adaś...

– Obecny... Syn Józefa i Anieli z domu Witek, urodzony w Wolicy 15 marca

1942 roku. Posiadam wykształcenie siedem klas szkoły podstawowej i niepełną samochodówkę. Jestem kierowcą…

– Tak, partyjny… Stopień z wojska? Kapral.

– Oskarżony Jerzy Socha…

– Jestem… proszę sądu wysokiego. Rodzice? Józef i Julianna z domu Jarosińska. Wiek? Dwadzieścia dziewięć lat. Mam zasadniczą szkołę zawodową. Tak, tak, żonaty, dwoje dzieci… Zarobki? Taksówkarz, wysoki sądzie, do dziesięciu tysięcy będzie… Czuję się raz lepiej, raz źle, wrzód na żołądku, w wojsku nie służyłem.

– Oskarżony Stanisław Kulpiński…

– Ja… wysoki sądzie… syn Józefa i Antoniny z domu Śmiałek. W Połańcu urodzony w czterdziestym ósmym… Dokładnie? 1948 roku, proszę sądu wojewódzkiego. Ukończyłem zasadniczą szkołę zawodową, pracuję na budowie elektrowni „Połaniec”… Żonaty, troje dzieci… Nie, niekarany… No, raz kolegium za niesprawny silnik, tego nie liczę… Niekarany… Partie i organizacje społeczne? Tak, należę…

– I oskarżony Henryk Witek…

– Obecny, wysoki sądzie… Syn Stefana i Marianny z domu Gaj, urodzony 13 sierpnia 1951 roku w Wolicy. Wykształcenie – szkoła zasadnicza, zawód – ślusarz. Kawaler, bezdzietny… Partie i organizacje społeczne? Należę do ZSMP[1].

– Czy oskarżony Henryk Witek może składać wyjaśnienia przed sądem?

– Lekarz napisał, że mogę… […]

Przed salą rozpraw podczas krótkiej przerwy:

Matka ofiar podtrzymywana pod rękę przechodzi obok żon oskarżonych.

– Wymordowali mi dzieci, wymordowali…

– Wykryją się te kłamstwa – przekazuje doniośle pani Sojdowa.

– Po to jest sąd, żeby rozpatrzył – przekonuje pani Adasiowa – dziś taka technika, że prawda się okaże…

– Na swoje dzieci będę przysięgać wszędzie, że mój chłop niewinny – przysięga młoda Kulpińska.

– Kościuszkę mieliśmy na tych polach, ale jak Połaniec Połańcem, a Zrębin Zrębinem czegoś takiego w historii nie wyczytałam – mówi pani Basia, która zrobiła maturę, ale nie ujawni swego zawodu, bo zaraz każdy będzie wszystko wiedział. – Gdyby Kościuszko przypuszczał, co się tu stanie, nie obiecywałby wieśniakom wolności… […]

[1] ZSMP – Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej.

Z wystąpienia prokuratora Franciszka Bełczowskiego, na którego spogląda między innymi mecenas Zbigniew Dyka, uśmiechając się, ale nie za każdym razem.

Oskarżam: Jana Sojdę, Józefa Adasia, Jerzego Sochę i Stanisława Kulpińskiego, tymczasowo aresztowanych, o to, że:

w dniu 25 grudnia 1976 roku w Zrębinie, województwo tarnobrzeskie, działając wspólnie w zamiarze pozbawienia życia Stanisława i Krystyny Łukaszków oraz Mieczysława Kality, po podstępnym wywołaniu ich z kościoła w Połańcu, udali się za idącymi w stronę Zrębina i po dojechaniu do nich potrącili Mieczysława samochodem Fiat 125 p, a następnie zaatakowali Stanisława i Krystynę, zadając im ciosy kluczem do kół autobusu w okolicy głowy oraz przejechali samochodami Mieczysława i Krystynę, przy czym Jerzy Socha i Stanisław Kulpiński uniemożliwili również udzielenie pomocy atakowanym, w następstwie czego Krystyna doznała złamania czwartego kręgu szyjnego, rozległego złamania kości czaszki [...].

Stanisław złamania kości czaszki z wgnieceniem do mózgu [...].

Mieczysław rozległego złamania kości czaszki ze zmiażdżeniem i stłuczeniem tkanki mózgowej [...].

To jest o przestępstwo przewidziane w artykule 148, paragraf 1 kodeksu karnego.

Henryka Stanisława Witka o to, że:

w dniu 25 grudnia 1976 roku w Zrębinie, województwo tarnobrzeskie, udzielił Janowi Sojdzie, Józefowi Adasiowi, Jerzemu Sosze, Stanisławowi Kulpińskiemu pomocy w pozbawieniu życia Krystyny i Stanisława oraz Mieczysława w ten sposób, że w czasie zaatakowania pokrzywdzonych uczestniczył w pościgu za Krystyną i w momencie zadawania ciosów w okolicę głowy oświetlił ją latarką elektryczną oraz przenosił ofiary w inne miejsce w celu najechania kołami autobusu.

To jest o przestępstwo przewidziane w artykule 18, paragraf 2 w związku z artykułem 148, paragraf 1 kodeksu karnego.

W sali rozpraw zanim po przerwie wszedł wysoki sąd: Jan Sojda z ławy oskarżonych do matki ofiar, która jest w czerni:

– A jak się będziesz czuć, Zdzisia, gdy ja wyjdę z więzienia?

(Za chwilę przed sądem po skardze Zdzisławy Kality:

– Wysoki sądzie, ta kobieta kłamie, nic jej nie wygrażałem).

Z katalogu pytań przewodniczącego kompletu sędziowskiego:

Sędzia:

– Oskarżony Jerzy Socha...

– Obecny...

– Czy oskarżony zdaje sobie sprawę z tego, co się oskarżonemu zarzuca?

– Nie oświadczam się.

– Czy oskarżony przyznaje się do winy?

– Nie oświadczam się.

– Czy oskarżony, proszę oskarżonego, chce składać wyjaśnienia przed sądem?

– Nie oświadczam się.

Po odczytaniu (w myśl artykułu 334, paragraf 1 kodeksu postępowania karnego) wyjaśnień złożonych przez oskarżonego podczas postępowania przygotowawczego sędzia:

– Czy oskarżony podtrzymuje swoje wyjaśnienia złożone podczas śledztwa?

– Wysoki sądzie, powiedziałem, nie oświadczam się.

– Dlaczego w tym wyjaśnieniu z karty trzysta pięćdziesiąt dwa do trzysta pięćdziesiąt cztery oskarżony zeznaje, że milicja i prokuratura prowadzą śledztwo w odwrotnym kierunku?

– Nie oświadczam się...

Sędzia:

– Oskarżony Jan Sojda... Czy oskarżony rozumie treść aktu oskarżenia?

– Wysoki sądzie, jestem niewinny... Nie oświadczam się.

– Czy oskarżony składał wyjaśnienia przed prokuratorem?

– Nie oświadczam się.

– Dlaczego treść tego wyjaśnienia różni się od treści poprzednich?

– Nie oświadczam się...

– Dlaczego oskarżony podczas składania wyjaśnień przegryzł własny palec i przysięgał na krew, że Józef Adaś nie jest winny? Dlaczego oskarżony dokonał samouszkodzeń?

– Nie oświadczam się.

– Oskarżony namawiał świadka Stanisława C. do fałszywych zeznań?

– Nie oświadczam się.

[...]

– W swoim czasie oskarżony chciał od sąsiadów odkupić psa, by go rozpruć i stwierdzić, że ten zjadł kury oskarżonego? Tak?

– Nie oświadczam się...

– Dlaczego oskarżony chodził do komisariatu i twierdził, że posiada ważne dowody w sprawie oraz że wypłacił sto tysięcy złotych za to, aby inny funkcjonariusz prowadził śledztwo?

– Nie oświadczam się.

Sędzia:

– Oskarżony Józef Adaś... Oskarżony przyznaje się do winy?

– Nie, nie przyznaję się... Przepraszam, wysoki sądzie, nie oświadczam się.

– To oskarżony korzysta z prawa odmowy składania wyjaśnień przed sądem?

– Częściowo tak, częściowo nie.

– W jakim zakresie oskarżony chciałby skorzystać z tego prawa?

– Nie oświadczam się.

– Więc jak, oskarżony odmawia zeznań?

– Nie oświadczam się.

– Czy oskarżony podtrzymuje wyjaśnienia złożone do tego protokołu, karta dwieście dziesięć i dalej, spisanego przed prokuratorem?

– Nie oświadczam się.

– Jak wynika z protokołu, oskarżony dowiedział się o wypadku w nocy i przez całe święta nie poszedł kilkaset metrów, aby zobaczyć to miejsce, w którym zginęli ludzie? Krewni?

– Gdybym ja był sprawcą tego wypadku, to sam bym się zabił.

– Czy oskarżony przed aresztowaniem groził, że zabije tych świadków, którzy go oskarżą?

– Mogłem tak powiedzieć lub nie.

– Jaki powód mógł mieć oskarżony Sojda, by przypisywać oskarżonemu sprawstwo tego zabójstwa?

– Nie wiem, zresztą, nie oświadczam się.

– Czy oskarżony słyszał, jak podczas świąt pod oknami oskarżonego ktoś krzyczał: „Bandyto, wymordowałeś tyle ludzi?".

– Nie oświadczam się.

– Dlaczego po aresztowaniu oskarżony starał się nielegalnie skontaktować z żoną i wysyłał grypsy?

– Nie oświadczam się.

Sędzia:

– Oskarżony Stanisław Kulpiński... Czy oskarżony przypomina sobie tekst aktu oskarżenia?

– Tak.

– Czy oskarżony przyznaje się do czynów?

– Nie przyznaję się.

– Czy chciałby składać wyjaśnienia przed sądem?

– Nie oświadczam się.

– Wobec oskarżonego podczas przesłuchiwań używano obelżywych wyrażeń?

– Nie oświadczam się.

– Oskarżony do jednego z protokołów wyjaśniał, że kierowane pod jego adresem podejrzenia są bzdurą, bo sam nie jest żadnym zboczeńcem i, jak się wyraził, nie idzie na inną drogę życia. Prawda to?

– Nie oświadczam się.

– Czy oskarżony brał udział w nakłanianiu świadków do fałszywych zeznań i uczestniczył w nagrywaniu na taśmę informacji świadka Stanisława S.?

– Nie oświadczam się.

– Czy oskarżony widział kiedykolwiek ten żelazny przyrząd?

– Nie oświadczam się.

– Może oskarżony wyjaśni, w jakim celu jeździł wraz z innymi oskarżonymi do Częstochowy, by w klasztorze zamówić mszę o wykrycie sprawcy?

– Nie oświadczam się.

– Czy oskarżony mógłby wyjaśnić, co rozumie przez wyrażenie „nie oświadczam się"?

– Nie oświadczam się. [...]

Nocne zdarzenie w opisie kontynuowanym w śledztwie do protokołu, potwierdzanym, następnie odwoływanym i znów potwierdzanym przed prokuratorem przez Henryka Witka, który najpierw występował w roli świadka, później zaś został aresztowany jako współpodejrzany:

„[...] pragnę ostatecznie zeznać, że te wszystkie okoliczności, które podałem w poprzednich wyjaśnieniach, a dotyczące mego pobytu w Połańcu, spotkania z Adasiem i Sojdą oraz śmiercią małżeństwa Ł. i Mieczysława K., są prawdziwe. Przedstawiają się one następująco.

Szczególnie w dniu 24 grudnia 1976 roku na pasterce byłem w Połańcu. Po wyjściu z kościoła wyszedłem na rynek i zapaliłem papierosa. Stamtąd poszedłem do autobusu marki San koloru niebieskiego. W autobusie tym zastałem Adasia, Sojdę, Tadeusza K., jego siostrę Marię, Wiesława Sz. Adaś siedział za kierownicą, ja usiadłem za siedzeniem po prawej stronie przy drzwiach wejściowych... Osoby, o których poprzednio mówiłem, piły wódkę. Ponieważ wódki nie mieli dużo, to wypiłem chyba z kieliszek... Po wypiciu wódki któryś z chłopców zaproponował, żeby pojechać do Zrębina i tam

kupić wódkę u sołtysa, który nią handluje [...]. Po ich wyjściu [do autobusu przychodzili i wychodzili zeń »pasażerowie« – przyp. W. Ł.] w kilka minut później Adaś kilka razy próbował uruchomić silnik. Wreszcie udało mu się... Moje poprzednie wyjaśnienia na temat jazdy autobusem do miejsca wypadku i przebiegu pozbawienia życia małżeństwa Ł. i Mieczysława K. są prawdziwe. W szczególności autobusem uderzeni zostali Mieczysław K. i Stanisław Ł. W pościgu Krystyny Ł. od szosy na łąkę brali udział Adaś i Sojda. Z tego, co ja zauważyłem, to Sojda trzymał Krystynę Ł. za włosy, a Adaś bił ją tym narzędziem, które przed chwilą zabrał z autobusu [...]. Kiedy Adaś przenosił zwłoki Krystyny Ł., jej mąż próbował podnieść się, ale do pozycji stojącej nie mógł tego zrobić. Słyszałem, jak Stanisław Ł. krzyczał: »Sojda, Sojda, co wy chcecie od mojej żony, od nas wszystkich«. Po tych słowach Stanisława Ł. Sojda z tym narzędziem, które wcześniej miał Adaś, doszedł do Ł. i tak jakby się z nim szamotał. Po ustaniu tego szamotania nie słyszałem już, by Ł. coś mówił albo dawał inne znaki życia [...]. Sojda krzyknął w pewnym momencie do nas, żebyśmy przenieśli Ł. pod autobus, bo z nami stanie się to samo co z tamtymi [...].

Sojda w autobusie powiedział do obecnych, że nie mogą nikomu nic na temat tego zajścia mówić i mamy to potwierdzić przysięgą. Następnie mówił słowa tej przysięgi, a myśmy ją wszyscy powtarzali [...]. Sojda oświadczył, że jeśli ktoś z nas się wygada, to będzie z nami to samo co z tamtymi. Ja odczułem to jako groźbę ze strony Sojdy. Na zakończenie tej przysięgi Sojda dawał do pocałowania każdemu z nas coś jakby krzyżyk od różańca [...].

Kazał nam wtedy Sojda wykombinować sobie jakieś alibi. Do mnie powiedział, że zawiezie mnie fiatem zięcia Sochy do Łubnic i mam mówić, że na pasterce byłem w Beszowej [...]. Kiedy ruszyliśmy fiatem z miejsca, samochód przejechał przez leżącego Mieczysława K. Zanim to się stało, Sojda podpowiedział kierowcy, jak ma jechać, i tak jakby naprowadzał samochód na zwłoki [...].

Ja nie przeciwdziałałem zachowaniu się Adasia i Sojdy, bo się bałem, że zostanę pobity [...]".

Na tym przesłuchanie w dniu 24 sierpnia 1977 roku zakończono o godzinie 13.35.

Prokurator Bełczowski zadał wtedy świadkowi Witkowi pytanie:

– Jakie jest porównanie między waszym strachem i waszą bojaźnią przed paru uderzeniami ze strony Sojdy i Adasia a próbą uratowania życia kobiety w piątym miesiącu ciąży i dwóch mężczyzn?

Brak odpowiedzi. [...]

Wesele przed wysokim sądem opisuje Zdzisława Kalita na siedząco, bo przewodniczący rozprawy na to pozwolił, a sędzia Danuta Stawowska też nie wyraziła sprzeciwu.

Gdyby między Kalitami a rodzinami oskarżonych Sojdy i Adasia było przed weselem źle, pani Zdzisława nie prosiłaby „w kucharki" Helci, żony Adasia. Od czwartku do wesela Helcia sprawiała się bardzo grzecznie. Robiła ciasta, bigos, przyrządzała mięso na pieczony klops. Do wędlin najęło się Zalińskiego, do rządzenia wódką też jego. Wędliny częściowo trzymał on w stodole, kiełbasę zawiesił na dwóch żerdkach. Co napełnił półmisek wędliną, zaraz część ginęła. Więc zapytał matkę weselną: „Gdzie te półmiski z wędliną? Jak nie upilnujeta, zaraz wam zabraknie". Do pani Helci się zwrócił: „Kucharko, tak robić nie będziemy!" (przed sądem masarz wszystkiemu zaprzeczył; ludzie mówią: bał się chłop, że go już nikt nie najmie do przyrządzania weselnego jadła).

Kucharka się zaczerwieniła. Miecio doniósł: „Ciotka Adaśka ma takie teczki wypchane". Pani Zdzisława do synka: „Już nie mam siły na to wszystko".

Po weselu zaraz na pierwszy dzień Helcia Adasiowa panią Zdzisławę poinformowała: „Co wam zostało, ja wezmę". Pani Zdzisława „wstydziła się naprzeciwić". Adasiowa to siostra Sojdy, a Sojda, każdy wie, ma jedyny ciągnik we wsi i rządzi jak Bóg. Kucharce spodobały się dwa dzbanki do kawy („Mogą być do kompotów"), które Krysia wypożyczyła w Połańcu: „Słuchajcie, zabieram dzbanki, wy powiecie, że one się stłukły, i zapłacicie za nie". Pani Zdzisława: „Helciu, jak ja mogę... te dzbanki...". Kucharka: „Nie dasz dzbanków, nasze stosunki już się popsują na zawsze". Pani Zdzisława do Krysi: „Córuniu, ony tacy są, że cała rodzina od nas się odwróci, jak nie dasz im, czego ony chcą".

Pani Zdzisława miała spotkanie z Helcią Adasiową na rynku w Połańcu. „Ale ludzie gadają po tym weselu – mówi pani Adasiowa. – To wy doprowadzili, że ludzie na mnie... że ja kradłam". Pani Helcia zaklęła panią Zdzisławę na jej chorobę, a pani Zdzisława: „Co ja ci jestem, Helciu, winna". Pani Helcia jeszcze tłumaczyła się na rynku w Połańcu: wzięła dzbanki, półtora tysiąca za kucharzenie, wędlinę też, bo jej brat Jan Sojda podarował pięćset złotych jako ślubny prezent dla Krysi. „Słuchaj, Helciu – odrzekła pani Zdzisława – moja córka nie prosiła się o prezenty i może zwrócić pięćset złotych".

Od tego dnia nikt z Sojdów i Adasiów nie odzywał się do Kalitów i ich teściów Rojów... [...]

Boże Narodzenie i co było dalej opowiada przed sądem (niektóre epizody tylko przed redaktorem) Wacław Kalita, któremu szwagier doniósł o ósmej rano w pierwszy dzień świąt: u ciebie wszystkie dzieci wybite.

Pan Wacław miał taki rodzinny zatarg z żoną i siedział jakiś czas u matki. O trochę wódki poszło, bo pani Zdzisława w życiu kieliszka do ust nie doniosła. Miecio przeżywał ten zatarg więcej niż Krysia. Od babci Kalitowej wykradł taty marynarkę i spodnie, żeby tata do nich wrócił. Krysia z mężem odniosła te spodnie i pocieszała Miecia, że tata wróci. Babcia Kalitowa powiedziała Mieciowi: „Ty nie Kalitowej krwi, ty do nas niepodobny" i Miecio ze złości wyrwał babce klamkę, a w domu obiecał: gdy urośnie, mamę zabierze w świat, „żeby te Kality do mamy nic nie mówiły".

Na Wigilię pan Wacław wyjechał do siostry koło Pacanowa. Bardzo mu było smutno. To nieprawda, że Miecio nie jest Kalitowej krwi. Wystarczy spojrzeć na portret odrobiony ze zdjęcia w Kielcach już po morderstwie. Ten portret wisi cały ustrojony kwiatami i każdy zobaczy z łatwością to, co widzi pan Wacław: „Miecio ma cały układ rysów, jak ja mam". Dlatego w Wigilię pod Pacanowem pan Wacław w skryciu zapłakał, że jest sam, ale nic, a nic nie przeczuwał.

O ósmej w święto pod Pacanów przyjeżdżają szwagier i brat. Brat płacze, szwagier siwy na twarzy od tej zmiany; mówią... tak, wszystkie dzieci... Pan Wacław wstał od stołu i upadł. Śniadanie zostało nietknięte, herbata niewypita...

Przybył na to miejsce pod Zrębinem i zobaczył.

– No, tak, w tym rowie śnieg wyżłobiony od ciepłoty główki mego synka! No, tak, to jego krew, mnie nie trzeba lekarza, żeby potwierdzał, bo ja, ojciec, to wiem, co mego synka, a co nie mego.

W Staszowie portier nie puścił pana Wacława do kostnicy. Kazał przynieść pozwolenie od lekarza. Pani doktor nie dała pozwolenia, bo nie chciała brać odpowiedzialności za stan serca pana Wacława. Na drugi dzień dostał pozwolenie. Wszedł do kostnicy. Taki go lęk ogarnął, ale nie za bardzo duży i szło wytrzymać. Córka leżała przykryta. Rękę trzymała – o, tak, nad głową, zastygłą. Parę włosów na twarzy, parę kropelek krwi, dosyć, że była do rozpoznania. Pan Wacław nic, tylko przed swoje oczy wziął tę podniesioną rękę Krysi i rozmyślał: „Córko, jak ty musiałaś ciężko schodzić z tego świata, musiałaś bronić siebie i tego maleństwa, co się jeszcze nie urodziło, bo przebywało w tobie". Troszkę niżej leżał Miecio, a koło jego głowy mózg. Pan Wacław dopiero później sobie przypomniał: „Jak dużo było mózgu u Miecia". Wyżej na wózku leżał zięć... kawał chłopa... cała strona kurtki, aha, chyba prawa strona kurtki wyrwana. Pan Wacław pomyślał: ciekawe, czy w takiej kostnicy jest Pan Bóg, czy go nie ma. Pan Bóg czuje, jak on cierpi? Teraz człowiek widzi tyle cierpienia, że gdy pójdzie do kościoła, to nie wie, czy śpiewać pieśń do Matki Boskiej, czy myśleć: dlaczego Bóg zsyła tyle cierpienia? Później pan Wacław

chciał o tym powiedzieć księdzu na spowiedzi, ale się bał: „Może się coś nie tak wysłowię?". A może, jak to mówią, „w tej ziemskiej zimnicy czuwa tylko anioł śmierci?" – pyta mnie pan Wacław. Ojciec i brat w kostnicy dostali dreszczy, a pan Wacław powiedział do brata: „Co się tak przyglądasz, zakryj już Krysię płótnem, widzisz, że obnażona do kostek".

Nastraszyli pana Wacława, że ten, co ubiera trupy do trumny, przecina ubranie żyletką i tylko podsuwa je pod plecy. Powiedział: „Jak to, na dzieciach pociąć ubranie?". Więc do trumny ubierała siostra pana Wacława. Potem parę razy gadała: „A kto wam dzieci ubierał?". Pan Wacław wreszcie chciał wszystko siostrze uregulować drogą przez pocztę, ale brat Stasiek poradził: „Daj spokój...".

Zaraz po pogrzebie druga siostra podsunęła myśl: Wacek powinien wziąć swój majątek, trzy hektary, walizkę i wrócić do nas. Ma wszystkie dzieci wybite, to co? – już go nic z tymi Rojami nie wiąże!

Za trzy dni siostry i szwagier chcieli wyciągnąć pana Wacława z domu. Jedna mówi: „Syn nie był podobny do ciebie, ale niechby został, taki mądry, dzieciom w geografii pomagał i w religii, ale Krysia...". Pan Wacław: „Tyle Miecio, co i Krysia, co i Stasio...".

Złapał trop w swoich myślach: „Czego oni robią przeciwieństwa między moimi dziećmi?".

Nie lubili żony, bo biedna Rojówna, bo kiedyś ona po cichu przyjechała do niego koleją, po cichu wzięli ślub, tak: ale czemu teraz wyrywają jego z tego domu, który zbudowali z żoną i teściem? Może w tym jest jaka tajemnica? Co to może być?

Gdy śledztwo rozwinęło się już na całego, matka pana Wacława radziła: „Wiesz co, Wacek, Sojda wczoraj przyszedł i za flaszkę miodu pomógł naszej krowie się wycielić. On dobry, daleki kuzyn, on krowę uratował, wy na niego nie gadajta, niełądnie. Dzieci nikt nie wróci, a twoja żona niech nie lata na posterunek...".

Co wychodzi w śledztwie? Że siostrzenica pana Wacława Zosia na polecenie Sojdy wywoływała z kościoła przed rozpoczęciem pasterki Krysię, Stanisława i Miecia. I siostrzenica Zosia dużo wie. Teraz nic nie chce wiedzieć. Odwołała w śledztwie to, co zeznała. Ciekawe, czy przed sądem za dwa dni zezna?

Mama Zosi, Kalitówna z domu, też wie, kto krzyczał pod oknem Adasia: „Bandyto...". Słyszała to, milicji pierwsza kiedyś zeznała. Wtedy jeszcze nie wiedziała, że córka Zosia wywoływała Krysię z kościoła. Teraz w tej sprawie grób, tajemnica... Gdyby mamę Zosi siedem razy przesłuchiwali, nie powie.

„No tak, tak – babcia Kalitowa poucza syna Wacława – ...niełądnie gadać na swoich, Sojda krowie pomógł..."

Widocznie nie chodzi o jego pomordowane dzieci, tylko o krycie żywej Zosi. A i to wnuczki, i to wnuczka – taki trop pan Wacław złapał w swoich myślach.

Babcia Kalitowa zaczęła krzyczeć, że kiedyś coś się tłukło z wieczora. Pewnie teraz nieżywe dzieci otwierają drzwi bez klamki, co ją Miecio wyrwał przed Wigilią. Pan Wacław zaraz naprawił te drzwi, bo jego żona kazała: „Napraw, niech mi teściowa nie wyciąga Miecia z grobu".

Z katalogu pytań sądu do Wacława Kality, który „widzi we wsi takie podjudy, że nie może tego wszystkiego spamiętać i czuje się otumaniony".

– Czy w Zrębinie ludzie chcą rozmawiać na temat sprawy?

– Ludzie się trzęsą, bo oskarżeni mogą wyjść wolni.

– We wsi wiedzą, że Sojda był ławnikiem?

– Tak, Sojda miał ciągnik, liczył się jako Bóg i znawca prawa. Jego ludzie wzywają do tyczenia miedzy... Jak ktoś nie czerpie porady z sądu, to woła Sojdę...

Anonim przesłany do Zdzisławy Kality, której „podobuje się to na charakter pisma...". „...Nie znam, a piszę, bo ludzie o Was dużo, że zgoda buduje, a niezgoda rujnuje, tak, zrujnowała Was, cóż Wam pozostało? Te ładne wymurowane budynki i cóż z tego. Zrobiliście rozwód w rodzinie, Diabeł wszedł w Waszą rodzinę, nie pozostawił Wam nic. Jak twierdzą, Wasze dzieci same podeszły pod pekaes. Dlatego i Wy nie bądźcie niemiłosierni. Bądźcie dobrzy..." [...]

Anonim do prokuratury:

„Zwracam się do prokuratora z prośbą, a zarówno z upomnieniem o zwrócenie uwagi matce Zabitych o powołanki za ludźmi, którzy nie mają nic wspólnego z wypadkiem, tylko są niewinnie wkopane... Matka zginie tak, jak zginęły jej dzieci, to było upomnieniem dla nich wszystkich, dla całej rodziny. Proszę ją upomnieć i to jak najszybciej, bo nie doczekają obydwie z mężem rozprawy sądowej. I nawet nie będą wiedzieć, jak ktokolwiek dostał. Proszę tę sprawę rozstrzygnąć jak najszybciej i proszę ją o to jak najszybciej upomnieć, bo będzie straszna tragedia..." [...]

Przesłuchanie ze śledztwa świadka Zofii W. (ciotecznej siostry pomordowanych), którą oficer śledczy prosi, by mówiła wyraźnie i głośno, bo od tego momentu wszystko utrwali taśma magnetofonowa orwo – typ 120, długość pięćset czterdzieści metrów na ścieżce od 1 do 2...

Sala słucha nagrania magnetofonowego.

„Mnie Jan Sojda nie odgrażał się zemstą, natomiast kiedy mijałam się z nim na drodze, to dziwnie spoglądał on na mnie. To jego spoglądanie było odmienne od normalnego i z tego powodu ja sama domyśliłam się, że może ze mną zrobić to samo, co uczynił z tamtymi. Dokładnie nie pamiętam, ale wydaje mi się, że było to w lutym 1977 roku w godzinach popołudniowych na drodze, kiedy szłam do przystanku pekaes w Zrębinie, spotkał mnie Jan Sojda i zwrócił się do mnie: »Zosiu, zaczekaj, coś ci powiem«, a następnie powiedział: »Nic nie mów«. W tym miejscu prostuję, początkowo powiedział z wyciągniętą ręką w kierunku do mnie: »Masz i nic nie mów«. Ja odsunęłam jego rękę, to on wówczas włożył swoją rękę do kieszeni mojej kurtki [...]. Wypowiedź Jana Sojdy zrozumiałam, że prosił mnie o to, bym nikomu nie mówiła, że wywołałam Krystynę i pozostałych z kościoła na jego polecenie. Po odejściu Sojdy włożyłam rękę do kieszeni kurtki i stwierdziłam, że pozostawił on zwitek okręcony w biały papier... Znajdowało się tam pięć tysięcy w banknotach po tysiąc złotych oraz medalik z łańcuszkiem koloru żółtego... Po aresztowaniu Jana Sojdy ja pieniądze te porą wieczorową wyrzuciłam do ogródka przed dom Jana Sojdy [...]. Wyrażam zgodę na wydanie tego medalika organom śledczym”.

Sędzia śledczy po odtworzeniu nagrania:

– Czy pani podtrzymuje te nagrania?

– Proszę wysokiego sądu – staje świadek Zofia W. – ja tego nie potwierdzam. Na mnie było w śledztwie krzyczane, zeznawałam pod strachem i lękiem...

– Proszę pani, te wszystkie szczegóły skąd się wzięły?

– Świadek Ryszard S. opowiedział mi szczegóły.

– Kiedy? Podczas konfrontacji? No, kiedy?

– Słyszałam zeznania Ryśka...

– Gdzie? No, gdzie... proszę zanotować: brak odpowiedzi. Czy ktoś okazywał pani protokół z zeznaniami Ryszarda S.?

– Nikt.

– Jak mogła pani zeznawać coś, czego pani nie znała?... Proszę zanotować: świadek nie potrafi odpowiedzieć.

– Dla świętego spokoju zmyślałam, żebym była uwolniona. Dali mi coś ciemnego do picia i osłabłam...

Za godzinę podczas konfrontacji z oficerem śledczym Henrykiem Buczkiem sędzia Maciąg:

– Co świadek dostała do picia?

– Herbatę – informuje Buczek.

– Proszę pani – pyta sędzia – czy to była herbata?

– Może i herbata. (Śmiech na sali).

– Dla pani świętego spokoju – pyta dalej przewodniczący – ktoś będzie posądzony o morderstwo. O tym pani myślała?

– W strachu zapomniałam... Organ śledczy kazał mi mówić, zmuszał mnie...

– Do czego panią zmuszał? Do ujawnienia, że pani przyjęła od oskarżonego medalik z Częstochowy, aby dochować tajemnicy?

– Mnie śledcze zmuszali do wszystkiego.

– Do ujawnienia tego, że pani wzięła od oskarżonego dziesięć tysięcy, też?

– Tak.

– Więc czemu pani podała, że wzięła pięć tysięcy? Ze strachu nie potwierdziła pani dziesięciu tysięcy?

– Zmyśliłam, żeby było w spokoju.

– Z nagrania magnetofonowego nie wynika, że pani była straszona. Opowiadała pani spokojnie, spontanicznie, nie tak jak dziś. Czego pani się bała? Świadek nie potrafi tego wyjaśnić, proszę odnotować.

Pełnomocnik oskarżyciela posiłkowego mecenas Rajmund Aschenbrenner:

– Proszę pani, co dla pani znaczy „święty spokój"?

– Żeby mnie już dali spokój...

– Pani jest krewną pomordowanych, pani codziennie przechodzi obok ich domu, czemu ani razu po morderstwie nie wstąpiła pani do ciotki?

– Raz poszłam, zaniosłam kalesonki Miecia...

Sędzia Maciąg:

– Dlaczego pani twierdziła, że na temat swoich zeznań w śledztwie z nikim nie rozmawiała? A przecież na pani powrót z przesłuchania czekali dwaj świadkowie?... Proszę zanotować: świadek nie potrafi wyjaśnić... [...]

Przewodniczący kompletu sędziowskiego do świadka Macieja W.:

– [...] Jeszcze raz uprzedzam pana o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania... złoży pan przyrzeczenie... proszę powstać... Świadomy moich słów i odpowiedzialności przed sądem, przyrzekam uroczyście...

Dialog pana Maćka zarejestrowany jeszcze podczas śledztwa na taśmie magnetofonowej czterościeżkowej przy stanie licznika „zero".

Prokurator Bełczowski:

– […] Dobrze, więc na czym tam żeśmy zakończyli?… Czyli proszę pana, pan twierdzi, że te zeznania z 22 września są prawdziwe, tak?

Pan Maciek:

– Tak.

– No, ale panie W., my sobie raz na zawsze w tej sprawie ustalmy, które zeznania pan uważa za prawdziwe? Z 22 września? Na pewno? Jest pan przekonany, że to tutaj powiedział pan prawdę?

– Tak.

– A ile razy pan będzie jeszcze od tej prawdy odchodził?

– W ogóle, ani razu już. Ani razu już, do końca śledztwa, w ogóle…

– No, nie tylko śledztwa, bo sprawa będzie w sądzie, gdzie jeszcze pan będzie zeznawał. No i tutaj to jestem tylko ja jako przesłuchujący pana. Tam będzie sąd, adwokaci, publiczność, tak… Proszę pana, to ustalmy sobie może najpierw, dlaczego do dnia 22 września, a więc, proszę pana, prawie przez dziewięć miesięcy, ukrywał pan prawdę…?

– No bo gdy w czasie, gdy byłem przesłuchiwany wcześniej, po wypadku, nie byli jeszcze w ogóle ujęci sprawcy wypadku, bałem się w ogóle o zagrożenie swojego życia.

– Proszę pana, nie byli ujęci między innymi dzięki pańskiej postawie… A czego pan się bał?

– No, bałem się zagrożenia w ogóle ze strony rodziny. Panie prokuratorze, druga sprawa to jest taka, że ja mam czworo dzieci. Moje córki co dzień uczęszczają do szkoły, tak że boję się, i w ogóle o życie moich dzieci, żeby… Ja się częściowo obawiałem, bo znów chodzi taka wersja, po wsi taka plotka, że Sojdowie już niedługo wyjdą, to jest pewne na sto procent…

– A nie chodzi taka plotka, kto ich wypuści? Muszą jeszcze znaleźć takiego, który by ich wypuścił… No dobrze, ale dlaczego pan wczoraj powiedział, że to wszystko nie jest prawdą, kiedy ja pana przesłuchiwałem? Że pan nic w tamtą Wigilię nie widział?

– Panie prokuratorze, wynikły takie sprawy, że… że wcześniej, przed przesłuchaniem, umówiliśmy się po prostu ze świadkiem P. i moim szwagrem, świadkiem Z., że będziemy zeznawać jak na pierwszych zeznaniach, tak ogółem żeśmy rozmawiali…

– No, a później z kim pan jeszcze rozmawiał? Z żoną Sojdy pan rozmawiał?

– Wcześniej, właśnie tego dnia rozmawiałem w Połańcu… Sojdowa podeszła do mnie, chociaż ja nie chciałem się w ogóle z nią kontaktować. I wypytywała mnie, czy byłem przesłuchiwany.

– Powoli, niech pan sobie przypomni, co mówiła?

– Tak dziwnie podeszła do tego. I mówi, mieszajcie w zeznaniach, mówi, to wyjdziecie na tym...

– No i co dalej? Przestrzegała was przed odstępowaniem od pierwszych zeznań, kiedyście prawdy nie mówili? Tak?

– Tak. I po chwili rozmowy ja już chciałem odchodzić, ona mówi coś... coś poczułem, jakby mnie szarpnęła za kieszeń... zauważyłem znów, że mam pieniądze w kieszeni...

– Dobrze, proszę pana, czy oprócz tego, co pan powiedział, jeszcze pan chce coś dodać?

– No, chciałem z całego serca przeprosić w pierwszej kolejności.

– Panie, mnie to pan nie musi przepraszać, bo ja się przede wszystkim nie gniewam, ja jestem przyzwyczajony do tego, że wszyscy mnie chcą w pole wyprowadzić...

Monolog pana Maćka w dwadzieścia dwa dni po aresztowaniu go za fałszywe zeznania:

– Pan jest redaktorem w ogóle i pan pisze do gazet? A do telewizji?

Do telewizji nie chciałbym być wzięty ani ujęty na obraz. Może Sz. ma wyższe wykształcenie, niech się ogólnie wypowie na obraz. Jeszcze mam taki fakt do poinformowania pana, że jestem kierowcą. Kierowca ujęty na obraz może poczuć niebezpieczeństwo. Na kierowcę bywa wrogie nastawienie pasażera. Taksówkarza bardziej obstawiają chuligani, ale ja, kierowca autobusu, też jestem czasem obstawiany. Dziś ludzie takie, że do ciężarówki bierzesz ich na łebka, a oni cię czymś ciężkim w głowę. Liczą, że u kierowcy konkretny majątek w kieszeni. Pan widział ten film *Zapis zbrodni*? Czego chuligani szukali u taksówkarza? A co znaleźli?

Słucha pan – kierowca w ogóle musi być przeostrożny. Proszę mi wierzyć, ja nawet żonie nie mówię o tym, co widziałem. No, co się ogółem wydarzyło w Wigilię.

Mnie tu przyjemnie mówić do pana? Nie. My byśmy sobie rozmawiali w pokoju, w cieple, ale żona. Musimy rozmawiać w samochodzie, tu.

Sojda jeszcze długo po tamtym Bożym Narodzeniu lubił z ludźmi gadać. Ze mną i z P. wypił wino i zaczął: „No, Maciek, chyba wiesz, jaka tragiczna sprawa się wydarzyła. Adaś już siedzi, nie bardzo to po naszemu, ale ty, co tam wiesz w tej sprawie, nigdzie nie gadaj".

Dał mi, w ogóle nie chciałem brać, ale dał dziesięć tysięcy. Sojda wtedy jeszcze trochę pokazał uśmiech. W ogóle, panie redaktorze, bałem się tego uśmiechu.

Zaraz w nocy to, co widziałem, wpłynęło na moje sumienie, które mi dyktowało: „Wydaj zbrodnię, gdzie trzeba, masz młodą żonę, czworo dzieci. A gdyby to twoje dzieci tam się znalazły? Jesteś silny mężczyzna, jak możesz z tym chodzić, wydaj tajemnicę".

Miałem wtedy nie jechać na pasterkę do Połańca, a pojechałem służbowym autobusem. Koledzy powiedzieli: jedź z nami. Do kościoła nie wszedłem, tylko zajrzałem do niebieskiego sana, którym jeździł kolega Felek. W sanie na Zrębińskiej zauważyłem Felka, a Adaś i Sojda wraz z innymi ludźmi rozpijali wódkę. Kilkanaście osób oraz zięciowie Sojdy pili, aż im wódki zabrakło. W ogóle, oni pojadą po wódkę – powiedzieli. Sojda dodał: „Muszę z Kryśką Kalitów zrobić porządek, albo tak, albo tak. Nie będą nas dłużej nosić po pyskach jako złodziei mięsa. Od ich wesela do dziś wystarczy".

Dziewczynki, w tym cioteczna siostra zamordowanej, Zosia, wywołały z kościoła Krysię z mężem i bratem Mieciem. „Wracajcie do domu – powiedziały – wasz ojciec robi matce awanturę". Krysia chciała się dostać do sana. Myślała, że san jedzie do Zrębina. Sojda w ogóle na Krysię krzyczał: „Nie wejdziecie, wstydu narobiliście na swoim weselu, od złodziei wyzywa nas cała wieś. Jaką wędlinę kradła wam moja siostra?".

Krysia z mężem i bratem poszła. Za parę minut Sojda z ludźmi ruszył sanem, mnie kazał za sobą jechać autobusem. Myślałem, że jedziemy po wódkę.

Za pół kilometra stanęliśmy. Zobaczyłem, że koło sana coś się wyrabia. Wyszedłem z autosana, a ogólnie wyglądało to tak, że Miecio już leżał na środku asfaltu i jęczał. Sojda i Adaś szarpali się z mężem Krystyny, a potem Adaś z metalowym przyrządem w kształcie kwadratowej litery „S" pobiegł za Krystyną w pole...

Wszystko widziałem – zabijanie, w ogóle. Po zabiciu odbyła się przysięga. Zięć Sojdy stał w drzwiach sana i nie wypuszczał nikogo na śnieg.

Naszło mnie znieruchomienie, gdy ludzie przysięgali na krew i całowali krzyżyk. Potem brali od Sojdy pieniądze ogólnie za milczenie. Do dziś w głowie mam szok, jak to mogło być. Tylu chłopów stało. Gdyby każdy tylko jeden palec dołożył do wspólnoty? Tą wspólnotą można by szwagrów i zięciów unieruchomić...

Jeszcze Sojda kazał mi zawieźć ludzi na pasterkę, żeby każdy miał alibi...

Monolog pana Maćka wypowiedziany do mnie na początku rozprawy, na miesiąc przed jego zeznaniami w sądzie:

– [...] Gdy Sojda wtedy w Wigilię powiedział: „Maciek, jedź z nami", myślałem, że jedziemy po wódkę, bo brakuje. Jadę za nimi, oni stają, ja staję,

wysiadam i widzę: ten mały Kalita leży na szosie i jęczy. Dalej nie patrzyłem, bo sumienie w ogóle nie pozwalało. Z samochodu sam wyraźnie krzyków ludzi nie słyszałem, każdy tylko głośniej wzdychał.

Po przysiędze Sojda kazał zawieźć świadków na pasterkę, zawiozłem. Po pasterce znów wiozłem ludzi do Zrębina. Byli ludzie wymieszani: ci, co przedtem widzieli zabójstwo, i w ogóle nowe osoby też wracały do domu. Obok mnie stał Felek, co mu skradli tego sana. Ja do niego nic nie mówiłem; cóż miałem mówić?

Dojechałem z ludźmi do tego miejsca. Zobaczyliśmy z Felkiem sana w rowie, stanęliśmy. Ludzie wysiedli. Raczej nikt nie sądził, że ciała leżą w pobliżu. Ktoś błysnął latarką, zobaczyliśmy kobietę, nie naświetlałem ludziom, kto to jest. Ci, co godzinę temu widzieli morderstwo, milczeli w strachu. Nikt jej nie poznał. Włosy w ogóle miała na twarzy i trochę zakrwawione. My mówimy, nie podchodzić do tego, bo milicja potrzebuje mieć świeże ślady...

Dialog pana Maćka z panem sędzią w dwadzieścia osiem minut po złożeniu przyrzeczenia, że będzie mówił „prawdę, niczego nie zatajając".

– [...] Byłem cały czas na pasterce, ksiądz chodził z tacą i zapraszał do wejścia do kościoła, nic nie widziałem.

– No, a teraz niech pan powie, jak było w rzeczywistości – prosi sędzia przewodniczący.

– Wysoki sądzie, przyrzekam, że zeznaję prawdę i tylko prawdę, nie widziałem zabójstwa ani wypadku.

– Czy do składania zeznań w prokuraturze był pan zmuszany?

– Nie.

– Czy podtrzymuje pan te zeznania, w których pan opisuje całe zajście i zabójstwo?

– Nie.

– Dlaczego pan podał, że żona Sojdy dała panu w Połańcu pięć tysięcy?

– Cały opis zdarzenia z Sojdową jest zmyślony. Wymyśliłem historyjki, bo się bałem. Ludzie się różnie wyrażali, że Adaś i Sojda wrócą, różne takie pogłoski, dosyć głośno chodziły po wsi takie mowy... Chciałem wrócić do żony i dzieci, więc całkowicie fałszywie zeznawałem.

– Dlaczego pan przepraszał pana prokuratora?

– Fałszywie przepraszałem, bo fałszywie zeznawałem. Ogółem byłem przelęknięty.

– Skoro pan fałszywie zeznawał, fałszywie przepraszał, to czego pan był przelęknięty? Czy nie był pan również fałszywie przelęknięty?

– Częściowo mogłem się obawiać, a częściowo wymyśliłem tę obawę. Te zeznania mi się myliły, bo były jedne prawdziwe, jedne fałszywe i coś mi się źle kojarzyło.

– Dlaczego to, co pan mówił, zgadza się z wynikami ekspertyzy zakładu medycyny sądowej?

– W tym zastraszeniu tak mi się umyśliło. W takim duchowym przerażeniu jedno z drugim mogło się zgadzać...

– A jak pan wytłumaczy to, że stan licznika autosana zgadza się z wszystkimi jazdami, które pan wykonał w czasie tamtej nocy?

– Widocznie licznik więcej nabijał... [...]

Matka się boi – przypuszcza Wiesław. [...]

Podczas konfrontacji patrzył matce w oczy, mówił: „Mamusiu, jak możesz tak kłamać". Mamusia patrzyła w jego oczy, mówiła: „Synu, coś ci się w głowie psuje".

Tłumaczy:

– Siedzę jeszcze pod celą, ale nic mi się w głowie nie psuje, tam wszystko gra, tam porządek.

Po dwóch miesiącach oczekiwania na własny proces za fałszywe świadczenie postanowił powiedzieć prawdę. Wcześniej zeznawał po raz pierwszy: nie widział, kto zabijał „Kalitowe dzieci". Co opisywał w śledztwie, co na wizji pokazał – wszystko nieprawda, przekonywał sąd. Pamięta – sędzia zadawał dużo pytań, prokurator też, a obrońcy oskarżonych o nic nie pytali. Chyba jednak nikt mu nie wierzył. On się zamotał, pomieszał to, co widział w Wigilię, z tym, co wymyślił dla sądu. Wychodził po zeznaniach i ten jego strach był taki: ręce spocone, szorstkie, do kieszeni nie chcą wejść przez szorstkość. Oczy zamglone, ludzie się kręcą, oczy nie odróżniają mężczyzny od kobiety. Przewidywał, że nie będzie strachu, powie sądowi, co sobie zaplanował, ustalił z innymi, i wyjdzie z sali lekki, uda się do domu.

Został jednak aresztowany i nie od razu pomyślał: „Co mi zależy ich kryć, wykolejeńców, zboczeńców, co w roczne święta tak ubili młodych ludzi". Gdy z redaktorem rozmawiał pierwszy raz, zaraz po zamknięciu, jeszcze tak nie myślał. A miesiąc później już tak. Policzył sobie: pierwsze – siostra aresztowana, drugie – jej mały Artur sam zostawiony w domu, trzecie – ja będę ukrywał wykolejeńców?

Myśląc to, poczuł lęk. Połączyły się obrazy, właściwie wszystko mu się pomieszało.

– Nie, Wiesławie, tu mamy czas, przypomnijmy sobie wszystko – proponuję.

Co naprawdę widział Wiesław w Wigilię?

Doszli na pasterkę do Połańca. Wstąpili do kościoła, zaraz wyszli, bo było zimno. Zjawili się na ulicy Zrębińskiej. Stały tam dwa autobusy. Zajrzeli do czerwonego autosana. Z niebieskiego sana dochodziły śmiechy, wybrali sana. W sanie dużo ludzi. Dostali wódki w kubku plastikowym. Oskarżony Witek powiedział: mało wódki. Ruszyli do meliny do Zrębina. Oni w sanie, za nimi autosan.

Sanem kierował Adaś: Adaś był mocno wypity. W światłach autobusu ujrzeli kucającą kobietę. Ktoś krzyknął: kobieta! Adaś skierował na nią sana, kobieta odskoczyła. W świetle reflektorów zobaczyli dwóch mężczyzn, ktoś krzyknął: hamuj! Adaś próbował hamować, nie zdążył. Wyskoczył z autobusu, za nim Sojda. Adaś wrócił po żelazny przyrząd do reperowania kół. Ta kobieta krzycząc: „czemu potrąciliście mi męża i brata", uciekała w pole. Adaś i Sojda pobiegli za nią. Przez szyby było widać ruchy zadawanych ciosów tej kobiecie. W sanie płacz, westchnienia, ktoś krzyknął: trzeba po pogotowie. Nikt z autobusu nie wychodził, jego drzwi obstawił młody mężczyzna. Nazwiska mężczyzny nikt nie wymieniał. Tamci dwaj przywlekli kobietę do szosy. Wyższy potrącony mężczyzna się ruszał, tamci dobili go tym żelazem. Niższy jęczał, najechali na niego fiatem. Fiat, okazuje się, jechał koło sana i autosana, którym kierował Maciej W. Fiatem kierował Socha.

Ciała pomordowanych do sana wnosił Sojda, Adaś i Kulpiński.

Wiesław z kolegą Tadzikiem chcieli zbiec, dzwonić na pogotowie, Sojda z żelazem w kształcie litery „S" ich zawrócił. Ruszył san z trzema trupami i z mniej więcej trzydziestoma świadkami, ujechał kilometr w stronę Zrębina, stanął. Wynieśli ciała ci, co je wnosili. Mężczyzn ułożyli w rowie, Adaś najechał na nich sanem, kobietę ułożyli za pojazdem.

Przysięga odbywała się w ten sposób, że Sojda wyciągnął różaniec i mówił: wszyscy zachowają tajemnicę tego, co widzieli. Każdy pocałował krzyżyk. Wychodzili z sana, Sojda przekłuwał agrafką ich palce. Zygzakiem z własnej krwi na kartce pieczętowali siłę przysięgi.

Sojda rozkazał: autosan Maćka zabierze ludzi z powrotem do Połańca. Niech każdy w kościele szuka sobie alibi: Wiesław i jeszcze parę osób nie wracało do kościoła. Szli do domu, umawiali się – kto się będzie na kogo powoływał podczas zeznań. [...]

Taka rzecz się stała z Wiesławem: kiedy mu się wszystkie obrazy i wszystkie przysięgi zlały w jedno – powiada – zagubił sumienie. Pierwszy raz przed

sądem zeznał fałszywie. W areszcie miał spokój, porozdzielał obrazy, powiedział: ten dobry, ten zły. Odnalazł sumienie.

Co to jest sumienie? Jeżeli człowiek z bałaganu może zrobić porządek w głowie, to jest sumienie. Drugi raz przed sądem zeznał prawdę. Nawet mamę zapytał podczas konfrontacji: „Mamo, dlaczego kłamiesz?". [...]

Gdzie zatyka rodziny oskarżonych?

Ojciec oskarżonego Kulpińskiego (dostanie zaraz od sądu pięćset złotych kary za wyzywanie świadka od chamów) podczas konfrontacji zeznaje przed wysokim trybunałem:

– Wszyscy oskarżeni są niewinni, przysięgam Bogu, że wyjdą, wiem, że są niewinni... Co świadkowie zeznają, że byłem w tym autobusie i wszystko widziałem, to kłamią.

Żona oskarżonego Sochy (na początku procesu wydalona z gmachu sądu za wygrażanie świadkom) zeznaje podczas konfrontacji:

– My cierpimy niewinnie, my o niczym nie wiedzieliśmy, nikogo nie zabijaliśmy... Świadkowie kłamią i nie wiem, jaki mają w tym cel... Byłam na całym nabożeństwie, nic nie widziałam.

Żona oskarżonego Sojdy (podczas śledztwa aresztowana pod zarzutem przekupywania świadków) teraz zeznaje podczas konfrontacji:

– Nie wiem, kto zabił Łukaszków i Kalitę... Świadkowie kłamią, wszyscy chcą chyba ratować siebie, a nas chcą pogrzebać... Kłamią, że mnie widzieli w autobusie w czerwonym skafandrze.

Żona oskarżonego Adasia (podczas śledztwa nosiła do kościoła na mszę „za wykrycie sprawcy") zeznaje podczas konfrontacji:

– Nigdy nie mówiłam, że Pan Bóg potrzebuje dzieci Kalitów w niebie... Świadek kłamie, robi to dlatego, gdyż na pewno sam jest bandytą... Całą noc wigilijną przespałam z mężem, poszłam spać o dziesiątej trzydzieści. Kto miał mnie widzieć w sanie, to kłamie.

Żona oskarżonego Kulpińskiego (na początku procesu wydalona z gmachu sądu za wygrażanie świadkom) zeznaje podczas konfrontacji:

– Józef Adaś podobnie jak mój ojciec byli w czasie pasterki w domu... Świadkowie ci dlatego są winni, gdyż fałszywie mówią na moją rodzinę... Co świadkowie widzieli mnie w autobusie podczas składania przysięgi, to kłamstwo.

Morderstwo czy wypadek?

Do połowy dziewiątego miesiąca procesu, dwa i pół roku po zdarzeniu, dwunastu świadków zeznało przed wysokim sądem: morderstwo.

W noc wigilijną siedemdziesiątego szóstego roku, nawet dwa miesiące po tej nocy, organy ścigania w Połańcu i w Staszowie były przekonane: wypadek drogowy. O „wypadku" donieśli na połaniecki posterunek kierowca autosana Maciej W. i kierowca sana Feliks S. Wszyscy uwierzyli kierowcom. W drugi dzień Bożego Narodzenia biegły sądowy, lekarz anatomopatolog, został powiadomiony w Kielcach: jest natychmiast wezwany do Staszowa, ma wykonać sekcję zwłok, ofiar... wypadku drogowego. Przybył do szpitala, w obecności prokuratora rejonowego dokonał oględzin zwłok. Prokurator – lekarz sobie przypomina – nie był chyba obecny przy całej sekcji, którą on, biegły, wykonał w sposób, wyraża się, rutynowy. Rozpatrywał „zejście" pod kątem wypadku. [...]

Wypadek drogowy czy morderstwo?

Profesor Zdzisław Marek z zespołem specjalistów Zakładu Medycyny Sądowej w pięć miesięcy od zdarzenia nocy wigilijnej po przebadaniu ekshumowanych zwłok odpowiedział na pytanie. Teraz oświadcza przed sądem:

– Nam postawiono pytanie, czy to był wypadek, czy nie. Jeżeli chodzi o wypadek drogowy, to na niego składa się potrącenie osoby spionizowanej i w efekcie potrącenia albo rzucenie jej na maskę, albo przejechanie. Układ ten jest układem dynamicznym i jako taki trzeba go badać. My dysponowaliśmy nie najlepszymi zdjęciami i szkicami. Stwierdzić jednak trzeba, że ułożenie osób nie jest efektem potrącenia ani odrzucenia. Położenie zwłok jest czymś sztucznym, wtórnym... Nie siląc się na badania hipotezy przebiegu zajścia, mogę powiedzieć, że należy wykluczyć, aby takie usytuowanie ciał mogło być efektem potrącenia przez autobus. Konfrontując obrażenia, sposób ułożenia ciał, pozycję autobusu, jest to nielogiczne [...]. Doktor za moją zgodą odbył przeszkolenie w naszym zakładzie. Na podstawie obserwacji nie wydałem mu jednak patentu, że może i że ma wymagane kwalifikacje do wykonywania sekcji sądowo-lekarskiej. Uznałem, że nie może on samodzielnie wykonywać sekcji sądowo-lekarskiej. [...]

– Tak nie może zostać – mówi mi w areszcie Sojda. (Z opinii biegłych psychiatrów: „[...] Odnośnie odchyleń w sferze charakteru, oskarżony posiada skłonność do zadrażnień, trudności w opanowaniu się [...]. Zdolność działań przywódczych [...]. Całe zachowanie koryguje intelektem [...]"). – Te ludzie, panie redaktorze, te świadkowie wystraszyli się, że za moje niewinne siedzenie będą płacić i teraz fałszywie gadają przeciw nam.

Ja tylko wierzę w pana Maciąga, w wysokiego sędziego, bo on powiedział: „Czy to wygodne dla kogoś, czy nie, sprawcy muszą być wykryci". Ja, że jako

byłem ławnikiem, widzę: wysoki sędzia Maciąg ma powołanie na sędziego, bo ma dobrą pamięć. Co kto zezna, on pamięta nawet przez trzy miesiące. Choć jest na mnie zmowa świadków, wysoki sędzia Maciąg ma dobre poglądy o mojej niewinności.

Świadkom materialnie się opłaci jechać na mnie. Identiko na moich zięciów. Bo niech się teraz wycofają z fałszywego obciążenia nas, to płacą za krzywdę rodu Sojdów.

Wiem, dlaczego pan redaktor przyszedł porozmawiać do mnie jako do Sojdy. Tylu świadków na Sojdę, to łaps go w areszcie za słówko – co on myśli, tak? Powiem panu: ja bym swego konia nie dał drugiemu osobnikowi, żeby jechał, a Felek S. miał pożyczać Adasiowi pekaes, żeby Adaś się rozbijał po nocy? To nie Adaś jechał tym pekaesem, to Rysiek S. zapuścił motor i porozbijał dzieci. Ja zaraz w święta wiedziałem, że tym pekaesem jechał Rysiek S., a nie Felek S. Dałem znać na posterunek, identiko. Na taśmę my to nagrali, że nie Adaś, tylko S. kierował, a Adaś spał z żoną.

Pan redaktor mnie teraz zapyta, dlaczego nagrywałem taśmy zeznaniami Stasia S., jeździłem z nimi do wojewódzkiej władzy? Mnie o to pytać? Ławnika Sojdę? Mam szkolenie ławnicze, wiem, co należy do obywatela. Identiko – każdy obywatel Połańca i okolicy powinien pomagać w wykryciu strasznego morderstwa na dzieciach dziadka Roja.

Do rodziny Rojów i jego zięcia Wacka Kality nic nie mam. Roj ostrzegł mego tatusia przed niemiecką łapanką i ja bym odegrał Rojowi taką kobrę z wnuczkami? Tu sprawa przedstawia się całkiem inaczej, musisz pan wiedzieć, panie redaktorze – te bracia Felek i Rysiek S. są zagniewane, bo teść jednego S. jest szwagrem J. i ten J. zagniewał się na mnie jeszcze konkretnością z wojny. Na mnie spada zemsta za wojenny czas. Powiem sądowi, gdy przyjdzie pora, żeby spojrzał na to nie jak na kobrę tylko jak na życie.

Życie w areszcie mam takie, że Heniek, co młotkiem matkę zabił i po nocach spać nie może, zrywa się ze snu z krzykiem, ten Heniek obrał się sędzią głównym i z innymi w celi wydali na mnie wyrok śmierci. Na górnych łóżkach spisali kartkę, podali mi ją na niższe łóżko. Patrzę: na mnie i na zięciów wyroki śmierci, dla szwagra Adasia dwadzieścia pięć lat. Tylko uzasadnienie mnie nie przekonuje, bo krótkie. Wyśmiałem tę sztuczkę więziennego sądu i mówię im: choć prawdziwy wysoki sędzia Maciąg męczy się już jedenaście miesięcy, to Sojda i tak nie oświadcza się.

– Ta komedia tylko ukrzywdza moją rodzinę – przekonuje Stanisław Kulpiński. (Z opinii biegłych psychiatrów: „[…] Nie było konieczności jego obserwacji

w szpitalu psychiatrycznym [...]. Uczucia negatywne niższe w sferze uczuciowej tłumaczą się tym, że oskarżony bardzo łatwo reaguje gniewem [...]").

Komedię mojej rodzinie zrobili śledcze i teść Sojda. Bo pan posłucha – tylko niech to wszystko będzie w prasie, a nie inne głupoty – słucha pan: śledcze świadków przymusili, to świadkowie fałszywie zeznali, że widzieli zabójstwo. Przed sądem to odwołali, „sumienie ich mulało". Zostali aresztowani niby za kłamliwe zeznania. Teraz przychodzą z aresztu i śpiewają, że Sojda z rodziną poubijali tamte dzieci. Każdy świadek liczy: jak zaśpiewa, wyjdzie na wolność – to gdzie pan masz tu sprawiedliwość?

Ja wiem, pan przychodzi do nas, bo zbliża się koniec procesu, pan chce wiedzieć, jak człowiek w celi żyje wnętrznościami. Sąd ma jasno, że był wypadek, a czemu dąży do wykrycia morderstwa?

Słucha pan dobrze – wszystko zło wzięło się od Sojdy, teścia mego kochanego. Po cholerę on nagrywał jakąś taśmę, że to bracia S. mieli spowodować wypadek, i latał z tą taśmą. Tylko teścia winię, bo latał, mieszał. Pana redaktora by serce nie bolało przez teścia siedzieć dwadzieścia siedem miesięcy? Żona młoda została i tego pan prokurator nie bierze pod uwagę! Żona ile razy mi się śni! Dzisiejszej nocy ją widziałem raz w tym miejscu, raz w tym, ale snów nie będę opowiadał, bo to głupoty. Z tego tylko w celi są śmiechy. Żeby się człowiek w celi zatłumaczył na śmierć, to oni i tak bajkują, szydzą i wydają własne wyroki, przeważnie śmiertelne. Z nimi wcale nie rozmawiam, bo to ludzie niewyrozumiałe. Gadają: a miałeś gospodarstwo, a miałeś posadę brygadzisty w elektrowni w Połańcu, to ci się zachciało nocnych polowań na ludzi? Mówię: nie bajkujcie, a oni w śmiech. Raz dłużej dyskutowałem: człowiek ma po to sumienie, aby żyć życiem, jakie mu Polska przekazała. Człowiek powinien mieć czułość do człowieka. Oni po takiej mowie w celi nie dają współżycia.

Panie dziennikarzu, pan jeszcze o to zapyta śledczych: czemu nie pobrali śladów z tego autobusu, co zrobił wypadek, tylko dobry wóz szach-mach poszedł do kasacji.

O szwagra Adasia pan mnie nie pyta – ja za Adasia nie będę nadstawiał głowy.

– Jak moja żona wie, że bracia S. zrobili tę robotę, niech mówi – radzi Józef Adaś. (Z opinii biegłych psychiatrów: „[...] Nie stwierdzamy u niego takich zakłóceń czynności psychicznych, które miałyby wpływ na jego poczytalność. [...] Takie cechy, jak mała samodzielność czy brak indywidualności mogą sprzyjać podporządkowaniu się oskarżonego innym osobom [...]"). – A jak

szwagier Sojda nagrywał na taśmę czyjeś gadki, to niech się teraz sam tłumaczy.

Na początku śledztwa miałem trzy miesiące czasu w areszcie i mogłem się przyznać do spowodowania wypadku. Nie przyznałem się – nie wiem, czy to wypadek, czy zabójstwo. Kurwa mać, a po co ja to panu mówię! Czy ja z panem mam coś do gadania.

Ale niech pan poczeka, człowiek teraz taki wstrząśnięty. Przedtem nie miałem nerwów. Mógłby mi pan wejść na nogę, ja nic. A do nerwów jest podstawa – ojczym mnie i bratu powiedział: „Wyp..... z domu". Brat uciekł do Torunia, ja do Katowic. Matka tak samo była bita przez ojczyma i przez życie.

Teraz się zdenerwowałem na korytarzu aresztu. Koło fryzjera spotkałem świadka Tadeusza K. Mówię mu: „Ty fałszywcze, Judasz sprzedał Pana Jezusa, ty mnie chcesz sprzedać". Lekko wziąłem go palcami pod nos, tak mu przejechałem. Pan dziś słyszał, co on zeznał przed sądem? Że ja mu groziłem, że wyjdę po sześciu latach i go utłukę. Teraz wszystko na oskarżonych, bo oskarżeni to zbiry, już na pewno Zakrzewskie!

Nie wiem, dlaczego ten mały Stasio pod moim oknem krzyczał wtedy w Boże Narodzenie: „Ty bandyto, wymordowałeś tyle ludzi". A czy Stasia nie mógł ktoś nastawić? – to też trzeba przemyśleć.

No tak, wiedziałem, że pan zaraz zapyta o dwudziestu paru świadków, którzy już przed sądem zeznali na mnie: no, jak mi Pan Bóg miły, nie wiem, czemu jest ta zmowa ludzi.

Niech pan nie liczy, że wszystko, kurwa mać, się prosto układa. Jeden spod Krosna w celi opowiadał: jakiś człowiek siedemnaście lat siedział niewinnie. Kobieta źle żyła z sąsiadem i posądziła go o zabójstwo własnego męża, a po siedemnastu latach na łożu śmierci wyznała, że męża zabił jej kochanek. Pan sobie teraz sprawę przemyśli...

– Nie miałem nerwów, nawet tyle co brudu za paznokciem, a tu się nabawiłem tego wszystkiego – skarży się Jerzy Socha. (Z opinii biegłych psychiatrów: „[...] Stwierdzamy, że oskarżony nie wykazuje objawów choroby psychicznej ani niedorozwoju umysłowego. Nie stwierdzamy też innych zakłóceń czynności psychicznych [...]"). – Pan spojrzy na mnie z górnego punktu widzenia i, kurczę blade, pan nie psuje mi opinii w prasie.

Ja mówię za siebie: teść Sojda, tak mi wychodzi z rozprawy, wmieszał się we wszystko i teraz najlepiej niech każdy za siebie odpowiada.

Mnie zamknęli, myślę: mamy dwudziesty wiek, MO tak śledztwo poprowadzi, że na drugi dzień wyjdę. A tu dwa lata siedzę i nie wiem, co się dzieje.

Ludzie wplątali mnie przez zazdrość; że tata kupił mi samochód, chciał mi życie sporządzić na medal. Mam medal – siedzę za darmo! Żeby pan to wziął do gazety, że za darmo! Nie nadaję się do życia w więzieniu. Moja specjalność to życie na wolności, tak pan musi napisać.

Dobrze, że dziś sąd zezwolił rodzinie podać nam masło i pomidory. Trochę tej witaminy człowiek łyknie, może włosy przestaną wypadać. W ostatku, niech włosy lecą, człowiekowi już wszystko jedno. W domu jeszcze się starałem: a to z geografii coś się poczytało, a to politycznie człowiek się uświadomił. Pani psycholog podczas obserwacji sama powiedziała: jak pan Jerzy bardzo ładnie odpowiada, jak pan Jerzy pięknie rozwinięty. Pytała mnie podchwytliwie: „Czy Londyn to stolica Anglii, czy Wielkiej Brytanii". Ja jej: „Pani psycholog, co to pani opowiada takie rzeczy podchwytliwe – Anglia i Wielka Brytania to identiko". Mój teść zawsze tak mówi i ja od niego przechwyciłem to „identiko". W celi człowiek z nudów czyta tylko Kraszewskiego. Tytułów panu nie podam, bo książkom brak początkowych kartek i końcowych.

W celi myślę tak: ustalić prawdę tamtego zdarzenia, to lepiej worek soli wylizać. [...]

Łza wam nie poszła

Jutro pierwsza rocznica rozpoczęcia procesu o zabójstwo „Kalitowych dzieci", dziś 6 listopada, wieje silny wschodni wiatr. Do Połańca na wizję lokalną przybyło pięć do sześciu tysięcy gapiów, dziewięćdziesięciu ośmiu funkcjonariuszy milicji, dziewięć wilczurów milicyjnych w kagańcach, dwudziestu dwóch strażaków w mundurach z ochotniczego oddziału, czternaście samochodów służbowych różnych marek i przeznaczenia, sto czterdzieści dziewięć samochodów prywatnych, sto dziewięćdziesiąt osiem furmanek konnych na gumowych kołach.

Sędzia przewodniczący poleca stronom występującym w procesie:

– Podregulujemy zegarki, jest za siedemnaście dziesiąta...

Stoimy przed kościołem parafialnym. Któryś funkcjonariusz pyta retorycznie: co może oznaczać ta płaskorzeźba na murze, ten rycerz na koniu...? Oskarżony Sojda tłumaczy:

– Jako ja, chrześcijanin, patrzę na tego rycerza na koniu, na tego żebraka pod koniem i rozpoznaję w nagim żebraku Chrystusa, któremu dobry rycerz udziela swego płaszcza. Jako prawidłowy chrześcijanin rozumiem, co znaczy przyodziać nagiego i nakarmić głodnego, ja to wszystko wiem, tylko teraz mnie wrobiono w bandyctwo...

Godzina dziesiąta: oskarżeni Socha i Kulpiński wskazują „swoje" miejsca w kościele podczas pasterki. Socha przypomina – w trakcie mszy zacinał się rzutnik do wyświetlania słów pieśni (ksiądz proboszcz za kilka dni powiedział mi: rzutnik nie mógł się zaciąć, podczas pasterki nigdy nie używamy tego aparatu).

Godzina dziesiąta czterdzieści: odmierzono czas przejścia z kościoła na ulicę Zrębińską, gdzie tamtej nocy stały: niebieski san, czerwony autosan oraz fiat.

Na Zrębińskiej tłumy. Ludzie na drodze, na płotach, na dachach, na słupach telegraficznych, najwyżej ci na drzewach. Oskarżeni w otoczeniu funkcjonariuszy stoją na środku jezdni.

Ta pani siedząca na bramie z siatki rozdarła sobie kożuch.

Ta kobieta w serdaku wyszła z widłami i krzyczy:

– Zostawcie nam bandytów na piętnaście minut, to będzie po sprawie.

Tych trzech z długimi włosami i Jolka w przeciwsłonecznych okularach oburzeni:

– Kurwa, ciemne chłopy ze wsi już trzy lata wodzą wykształconym prokuratorem i sądem...

Ten dziadek, co ma dziewięćdziesiąt dziewięć lat, trzy wojny „widział na własne oko, a z taką zbrodnią nie może się zgodzić". Podczas wojny rosyjsko-japońskiej był w służbie przy kozakach. Dostał szablę, bat, konia, patrzył, jak ludziom ścinali głowy, myślał sobie: po to wojna, żeby się nie dać zgnębić przez wroga. Gdyby wtedy dziadek nie zadawał śmiertelnych ciosów, toby dziadkowi je zadali.

– Kto by wtedy wyszedł na frajera? – pyta.

Teraz duma po swojemu:

– Wyskoczyć z okopu, ściąć Japończykowi głowę, to jest wojenna rzecz, a przejechać samochodem głowę małemu Kalicie, to już nie wiadomo jaka rzecz... Może to świat się wali!

Godzina dziewiąta pięćdziesiąt pięć: dwudziestu czterech świadków potwierdza usytuowanie dwóch autobusów i fiata.

Pan Z., właściciel kiosku gastronomicznego z firankami w oknach i kiełbaskami na szyldzie nie narzeka, że przed kwadransem trzydzieści dwie osoby weszły na dach kiosku i ten dach się zawalił, a rynna się połamała. Pan Z. rozumie – każdy chce zobaczyć te historyczne chwile wizji. Pani Z. na odległość pokazuje mężowi, aby zamknął buzię na kłódkę, ale mąż uważa: „Dziennikarza trzeba poinformować szczerze i prawidłowo, aby nie było gołosłownie". Co do naszej milicji, która zabezpiecza wizję i strzeże oskarżonych,

pan Z. może stwierdzić: bardzo elegancko to załatwia, zupełnie jak policja kanadyjska. Kiedy pan Z. przebywał w Kanadzie i wplątał się w jakąś małą bójkę, jak to mężczyzna, wtedy przyjechała policja, wsadziła go do samochodu i elegancko odwiozła do domu. Odnośnie do oskarżonego Sojdy, jego zięciów oraz szwagra, pan Z. powie: nie widzę dla nich kary. Pani Z. w dalszym ciągu każe mężowi zamknąć buzię na kłódkę, ale mąż jeszcze tylko przypomni, jakie to tortury czekały na zbójów w Kanadzie dwieście lat temu. Teraz można to zobaczyć w muzeum koło wodospadu Niagara: jest duża beczka, ona się obraca w jedną stronę, w środku beczki walec ze stu długimi kolcami obraca się w drugą stronę; do beczki wsadzano zbója no i tak dalej...

Godzina jedenasta pięćdziesiąt pięć: świadek S. pokazuje miejsce, w którym około dwóch tygodni po zbrodni zauważyła plamę krwi. To jest miejsce potrącenia Mieczysława Kality fiatem Sojdy.

Godzina czternasta dwadzieścia: na wniosek obrońców świadkowie pojedynczo wchodzą do autobusu i pokazują siedzenia, które zajmowali tamtej nocy. Żaden następny świadek nie wie, co wskazał jego poprzednik. Czy nie będzie tak, że kilku świadków wskaże te same miejsca? Nie wskazali! Chciałbym zapytać oskarżyciela publicznego i obrońców – co o tym sądzą. Nie mogę.

Godzina szesnasta: pomiar tak zwanego martwego pola widzenia z autobusu.

Godzina siedemnasta czterdzieści: w świetle reflektorów samochodu ułożenie manekina symbolizującego Mieczysława Kalitę. Matka Mieczysława pada zemdlona na łąkę. Za kilka minut wybucha płaczem.

Godzina osiemnasta trzydzieści: za rzeczką widzowie rozpalili trzy ogniska, grzeją się, pieką ziemniaki, wieje silny wiatr wschodni, pięć stopni mrozu, z samochodu wyprowadzają oskarżonych, Adasia i Sojdę. Adaś nad manekinem szamocze się, krzyczy: „Co za komedia! Kto zrobił tę komedię?". On za nią nie odpowiada. Ktoś z tłumu:

– Wyprowadzić z więźniarki wszystkich, chcemy ich tu powitać...

Pan Józef przyjechał dziś do Zrębina z sąsiedniej gminy. Do sąsiedniej gminy na groby rodziców przyjechał z żoną spod Leszna. Dowiedział się, że będzie wizja, więc... każdy wie, jak to się robi... załatwił zwolnienie lekarskie i zostali tydzień dłużej. Z tych stron do Wielkopolski wyjechali dwadzieścia trzy lata temu i – nie – oni już nie potrafią pojąć, „jak ci ludzie tu żyją? Chyba po rozumie zwierzęcym". U poznaniaków pan Józef nie zauważył, aby gospodarz tu miał mieszkanie, a zaraz za ścianą hodował zwierzęta. Jeśli człowiek w dzień je obiad blisko bydła, w nocy śpi blisko bydła, to – panu Józefowi się wydaje – „ten człowiek przechodzi bydlęcym rozumem".

Bydlę myśli tak: najem się, nie zdechnę, co mnie obchodzi drugie bydlę. Pan Józef nie może zrozumieć tego: tylu ludzi za łapówki dało się zastraszyć. U poznaniaków jeszcze takiego łapownictwa nie widać, chociaż już, już... Pan Józef ma kłopot, bo nie wie, skąd się to łapownictwo wzięło – chyba z carskich czasów, czy co...?

Wieje mroźny wiatr wschodni.

Godzina dwudziesta pierwsza pięć: obrońcy wnoszą, aby wykonać wszystkie dalsze czynności; chodzi o dokładny pomiar czasu zdarzenia tamtej nocy.

Eksperyment zakończono o drugiej czterdzieści pięć, jeszcze wtedy towarzyszyło wysokiemu sądowi kilkuset widzów... [...]

Zbrodnia wstrząsnęła krajem – stwierdził w godzinnym przemówieniu prokurator Jacek Świercz. Dokonana z błahego powodu – Kalitowie zarzucili żonie oskarżonego Adasia kradzież mięsa, wędliny i wódki z wesela zamordowanych Łukaszków. Poszła opinia o rodzinie Sojdów. Cóż to za motyw zbrodni!

W wieczór wigilijny człowiek człowiekowi wiele wybacza. Wtedy obcy ludzie składają sobie życzenia długich lat życia w zdrowiu. Trzynastoletniemu Mieciowi życzono wielu piątek w szkole, a w przyszłości podróży zagranicznych, o których marzył. Krystynie życzono pociechy z dziecka, które miało się narodzić za cztery miesiące, a jej Stanisławowi gratulowano ojcostwa. Wyszli z domu i nie wrócili. W rodzinach oskarżonych tego wieczoru nie łamano się opłatkiem. Pamiętamy – Sojda narzekał: „Baranku Boży, co rok to gorzy...". W polskiej tradycji wieczerzy wigilijnej jest obyczaj pozostawiania jednego wolnego miejsca przy stole dla ludzi bezdomnych poszukujących ciepła rodzinnego. Ile miejsc pustych pozostawią przy stole Kalitowie?

Prokurator Świercz przedstawił sądowi stan faktyczny zdarzenia, który, jak wykazał przewód, pokrywa się z aktem oskarżenia.

Świadka można kupić – oświadczył w czterogodzinnym przemówieniu prokurator Franciszek Bełczowski. W Zrębinie można go kupić i oskarżony Sojda plan zbrodni precyzyjnie oparł na mentalności środowiska, które znał. Do kilkudziesięciu świadków dotarł dwoma sposobami – magią i konkretem. Przysięgą w autobusie na krzyż różańca, przysięgą w domu wiejskiego aktywisty również na krucyfiks, wręczaniem medalików przywiezionych z Częstochowy; gestami i słowami „Matka Boska Częstochowska was ochroni" zastraszył świadków zbrodni. Mur milczenia wzmocnił konkretem; wydał około czterystu tysięcy złotych na łapówki. I groził: „Kto puści parę z ust, popamięta!".

Mechanizm docierania do świadków działał skutecznie! Wystarczyło, aby żony oskarżonych nakazały kilku mężczyznom jechać do Warszawy, odwołać w Prokuraturze Generalnej prawdziwe zeznania, poskarżyć się na rzekome wymuszanie zeznań przez wojewódzkie organy ścigania, i grupa tych mężczyzn za wręczone pieniądze jedzie do Warszawy, która, tak się pod Połańcem mniema, „wszystko może".

Zadziwiająca na tym tle jest postawa jedynej zrębińskiej rodziny – czternastoletniego Stasia S., który drugiego dnia po zbrodni pod oknem oskarżonego Adasia krzyczał: „Bandyto..." i jego rodziców, najbiedniejszych ludzi we wsi, którym Sojdowie za milczenie obiecują kupno mebli, krowę i co tylko, a którzy mimo to pouczają syna: przed sądem mów, co widziałeś, prawdę mów...

Przerażające jest zachowanie oskarżonych; ich żon i matek w stosunku do rodziny ofiar. [...]

W oczekiwaniu na wyrok kilkaset osób na korytarzu sądu, kilkaset pod gmachem, gdzie słychać okrzyki młodych: „Dawać ich tu, ustawimy szubienicę na ulicy". W hallu nikt do nikogo nie mówi. Pan Franciszek, lat siedemdziesiąt jeden, wysłuchawszy ostatniego słowa oskarżonych, wyszedł na korytarz i zemdlał. Po piętnastu minutach pan Franciszek:

– Panie redaktorze, oni prosili o uniewinnienie, patrzę, myślę sobie: ani jedna łza wam nie poszła. Ich żonom też nie! Podglądałem te kobiety! Myślę sobie: co za gatunek ludzki. Przez to zemdlałem. Pan jest z Warszawy, pan wie, ile Polak mógł przejść wojen. Dali mi karabin do ręki. Zobaczyłem przed sobą wroga, mówię: toć to też człowiek, karabin mi dęba stanął... A tu tyle ludzi widziało, jak ci mordowali. Teraz ci wstają i łza im nie spłynie...

Wyrok w imieniu Rzeczypospolitej:

Sąd Wojewódzki w Tarnobrzegu z siedzibą w Sandomierzu w II Wydziale Karnym w składzie: przewodniczący sędzia Sądu Wojewódzkiego Marek Maciąg, sędzia Sądu Wojewódzkiego Danuta Stawowska, ławnicy – Jan Klasura, Władysław Maj i Adolf Rammat po rozpoznaniu w dniach od 7 listopada 1978 roku do dnia 10 listopada 1979 roku sprawy [...] uznaje winnych i orzeka na mocy artykułu 148, paragraf 1 kodeksu karnego i artykułu 40, paragraf 1, punkt 1 kodeksu karnego:

– wobec Jana Sojdy karę śmierci oraz pozbawienie praw publicznych na zawsze;

– Józefa Adasia karę śmierci oraz pozbawienie praw publicznych na zawsze;

– Jerzego Sochy karę śmierci oraz pozbawienie praw publicznych na zawsze;

– Stanisława Kulpińskiego karę śmierci oraz pozbawienie praw publicznych na zawsze.

Wobec Henryka Witka na mocy artykułu 252, paragraf 1 kodeksu karnego orzeka karę pięciu lat pozbawienia wolności i na zasadzie artykułu 40, paragraf 2 kodeksu karnego pozbawienia go praw publicznych na okres lat siedmiu...

Proces przeciw społeczeństwu wsi, więc nie tylko przeciw skazanym – ustnie uzasadnia wyrok przewodniczący kompletu orzekającego sędzia Marek Maciąg. W kraju na nieszczęście zdarza się kilkaset zabójstw rocznie. Ale jeszcze nie zdarzyło się, aby społeczność wiejska zanikiem sumienia, korupcją, przekupstwem, strachem, paraliżem woli utkała tak szczelną zasłonę milczenia wokół zbrodni. Że oskarżeni nie złożyli wyjaśnień – to ich prawo, które należy uszanować. Że obywatele wsi milczeli i w wielu wypadkach milczą nadal, tego pojąć nie sposób. Należy się dziwić, iż do tej pory przebywają na wolności ci, którym ten proces mimo woli udowodnił przestępstwa zatajenia zbrodni, fałszowania zeznań, nakłaniania do fałszywych zeznań, dawania i przyjmowania łapówek.

Retoryczne pytanie: ile jest warte ludzkie życie? W okolicach Połańca nabiera ponurego wymiaru konkretnego – może być warte od pięciu do pięćdziesięciu tysięcy złotych łapówek.

Sąd ustalił stan faktyczny zbrodni w noc wigilijną. Najpierw jej motywy: pewne przytłumione nieporozumienia między rodziną Sojdów i Rojów (dziadkowie pomordowanych) datują się od czasów wojny. W latach czterdziestych dziadek Roj, aktywista i działacz społeczny, między innymi udzielił pomocy organom ścigania w aresztowaniu Jana Sojdy po dokonanym przez niego gwałcie. W jakiś czas po tym fakcie na podwórku Sojdy zginął syn Roja, a za półtora roku w niejasnych okolicznościach stracił życie sprawca tego zabójstwa.

Do wesela Krystyny i Stanisława Łukaszków stosunki Sojdów z dziadkami i rodzicami pomordowanych były poprawne, ale kradzież mięsa, wędlin i wódki dokonana przez Helenę Adaś z wesela Łukaszków i wynikła stąd infamia w takim stopniu nadszarpnęły dumę rodziny „króla Zrębina", iż ta rodzina uknuła plan zemsty. „Król" Sojda wciągnął do planu swoich zięciów Sochę i Kulpińskiego oraz szwagra Adasia, a także ich żony.

Przebieg zabójstwa był następujący:

– Sojda nakazał wywołać z kościoła małżonków Łukaszków i Mieczysława.

– Nie wpuścił ich do autobusu san, w którym on, pozostali oskarżeni i liczni świadkowie pili wódkę.

– Łukaszkowie i Mieczysław udali się do Zrębina, a za nimi po dziesięciu minutach ruszyły trzy pojazdy – fiat kierowany przez Sochę, san kierowany przez Adasia i autosan kierowany przez Macieja W.

– Fiat potrąca Mieczysława, z sana wyskakują Adaś i Sojda. Adaś zabiera żelazną korbę, następuje szamotanina z Łukaszkiem, który pada od ciosów zadanych żelazem. Krystyna ucieka na łąkę, gdzie ją dopadają: Adaś, Sojda i Witek świecący latarką. Następuje zabójstwo Krystyny, przywleczenie jej do szosy, dobicie żelazem Stanisława i przejechanie fiatem głowy Mieczysława.

– Zwłoki zostają przewiezione półtora kilometra dalej. Ciała chłopca i mężczyzny ułożono w rowie, najechano na nie sanem, upozorowano wypadek drogowy. Ciało Krystyny ułożono z tyłu za sanem, obnażono, upozorowano gwałt.

– Kilkudziesięciu świadków tymczasem przeszło z sana do autosana i tam złożyło przysięgę. W trakcie pozorowania wypadku Sojda przywiózł z domu większą sumę pieniędzy.

– Po przysiędze i otrzymaniu łapówek liczna grupa świadków udała się autosanem do Połańca w poszukiwaniu alibi pośród ludzi przebywających w kościele. Witek został odwieziony fiatem pod kościół w Beszowej. [...]

Kara poprzez eliminację jest karą wyjątkową, stosowaną wobec ludzi, którzy okazują również wyjątkowy ładunek okrucieństwa w pozbawianiu życia innych. Kara ta ma przypominać, iż człowiek posiada tylko jedno życie i nikt nie ma prawa tego życia przerywać. Zwłaszcza jeśli jest to życie ludzi, którzy, jak Mieczysław, jak Krystyna z nienarodzonym dzieckiem w łonie, jak Stanisław, nie narazili się nikomu.

Wyrok w sprawie, którą sąd rozpatrywał, nie jest prawomocny.

Nie wiemy, kiedy wrócimy

Prasa codzienna i tygodniki doniosły: zakończył się najtrudniejszy w historii polskiego wymiaru sprawiedliwości proces w najbardziej ponurej sprawie, jaką zna polska kryminalistyka.

Zginęły trzy osoby (jedna w ciąży) z powodu kradzieży weselnej wędliny. Zabijali podczas pasterki Jan Sojda, jego szwagier i dwaj zięciowie. Przyglądało się kilkadziesiąt osób...

W śledztwie przesłuchano dwustu trzydziestu dwóch świadków, jednego czternaście razy.

Trzydziestu ośmiu odwoływało swoje zeznania, osiemnastu podejrzanych o fałszywe świadczenie trzeba było aresztować.

W procesie trwającym rok i trzy dni przesłuchano dwustu dwudziestu świadków, najstarsza z nich kobieta liczyła sobie sto dwa lata i powiedziała do dziennikarza: „Co pan mi będzie dupę zawracał".

Przed sądem tylko trzech świadków opisało zbrodnię podczas pierwszego zeznania, jeden, ile razy przechodził koło miejsca zabójstwa, tyle razy płakał.

Z tych, którzy w procesie odwoływali zeznania, dwudziestu czterech znów aresztowano.

Dwudziestu jeden, w tym część z aresztu, poprosiło o powtórne przesłuchanie i dopiero wtedy opisało zabójstwo w relacji indywidualnej, potem podczas konfrontacji, z których do kilku przystąpiło ponad sześćdziesiąt osób naraz.

W trakcie trwania procesu głównego czterech świadków po ich własnych rozprawach skazano za fałszywe zeznania, za nakłanianie do fałszywych zeznań i za ukrywanie zbrodni na kary od czterech do ośmiu lat. Jeden ze świadków, aresztowany po wyjściu z sądu, stwierdził: „Odchodzę na najdłuższy urlop w moim życiu".

Wysoki sąd siedemdziesiąt osiem razy korzystał z prawa nakładania na świadków uchylających się od zeznań kar pieniężnych od pięciuset złotych do dwóch tysięcy, co w sumie czyni osiemdziesiąt pięć tysięcy; do końca procesu uiszczono dwadzieścia sześć tysięcy.

Największe poruszenie na sali wywołał dialog:

Sędzia przewodniczący: – Czy panią nie zainteresowało to, że za autobusem leży obnażona kobieta, którą oświetlają latarkami?

Świadek: – Nie... A co mi tam...

Sędzia: – A gdyby tam leżała krowa?

Świadek: – A, krowa to co innego!

Najbardziej plastyczne porównanie wyszło spod pióra Jana Sojdy, który w grypsie instruował żonę: „Nie lituj się nad szwagrem Adasiem, jak rzeźnik nie lituje się nad świnią, gdy ją przerabia na kiełbasy". [...]

Wiesław Łuka, *Nie oświadczam się*, Warszawa: Iskry, 1981, fragmenty

1979

Grzegorz Nawrocki (1949–1998)

Przesiadywać tam, gdzie trzeba

Wizja lokalna w Cyganerii zaczęła się tak:

– Jestem z redakcji, piszę o dyskotekach...
– Aha, potrzebuje pan stolik na dzisiaj?

Dla studenckiego tygodnika „ITD" badał nocne życie Warszawy. W reportażu *Disco* przeprowadził reporterską wizję lokalną dyskotek, do których wstęp mają wybrani. W reportażu *Nocna robota* został rekwizytorem striptizerki na dancingu w hotelu Warszawa. W reportażu *Chmielna street* z 1979 roku czytelnikom spoza stolicy opisał wszystkie ważne miejsca na kultowej w PRL-u ulicy komisów, prywatnych sklepów i barów:

> Numer 13 – dwa sklepy jubilerskie: ze srebrem i ze złotem. W tym ze srebrem – pustki. W tym ze złotem – kocioł. Panie rozstępują się przed młodym człowiekiem i sprawdzają torebki, bo wiedzą, że na Chmielną lubią przychodzić chłopcy na dolinę.
>
> Skrzyżowanie z Bracką, Hibnera i Szpitalną: Szwajcarska ulubiona kawiarnia bohaterów polskich kryminałów – w remoncie.
>
> Przy domu braci Jabłkowskich bar Donald serwuje *hot dogs*. Na ścianie podświetlany zegar firmowy Marlboro i reklama soku *Florida boy orange*, który najbliżej można dostać na Florydzie.

Grzegorz Nawrocki studiował prawo na Uniwersytecie Warszawskim, w 1972 roku jako student zaczął swoją pierwszą pracę dziennikarską właśnie w „ITD". Reportaże zamieszczał też w „Polityce", „Kulturze", „Literaturze" i „Kontrastach". Jak podaje wydawca na okładce jego książki *Szpan* (1979), Nawrocki pisał o pracy warszawskich sprzątaczek, elektryfikacji ostatniego sołectwa na Białostocczyźnie, perypetiach ze skonfiskowaną willą, którą profesor pewnej uczelni postawił za łapówki, i setce innych spraw, których nie można zaliczyć do kategorii lekkich. Ale pewną popularność – w ograniczonym do „ITD" zakresie – przyniósł mu dopiero cykl reportaży „szpanerskich". *Szpan* zdobył w 1979 roku III nagrodę w konkursie wydawnictwa Iskry na książkę reporterską.

Jak powstał?

> Grzegorz miał młodszego brata Pawła, który chodził do liceum Czackiego na Polnej – opowiada była żona reportera Celina Nawrocka. – Razem

> z kumplami z klasy (oni wszyscy są teraz głównie prawnikami) przesiadywał w szpanerskiej wówczas knajpce przy placu Zbawiciela – Corso. I Grzegorz przesiadywał tam z nimi, zresztą chodziliśmy tam razem. Rozmawiał z nimi, ale to nie były wywiady. Normalne rozmowy, żarty, śmiechy. Grzegorz był fanem reportażu uczestniczącego. Tak powstał *Szpan*. Dla tych chłopców nie było tajemnicą, że Grzegorz ich opisuje, byli z tego bardzo dumni.

Żona żartuje, że reporter nie mógł zaszpanować nawet maszyną do pisania, bo jej nie miał, więc o szpanie pisał ręcznie.

Nie przeprowadzał wywiadów. Jego metodą było „przesiadywanie tam, gdzie trzeba".

> Ciągnęło go miasto i ludzie – dodaje żona w rozmowie z Bereniką Steinberg. – Nie umiał śpiewać, nie umiał tańczyć, tańczył po swojemu jakieś wygibasy, mimo to lubił dyskoteki. Chodziliśmy na imprezy do Remontu, dużo chodził sam. Ale to dlatego, że spotykał tam ludzi i z nimi gadał. Potem, kiedy pisał – bardzo dużo z tego korzystał. Chłonął miasto. Przychodziła sobota i niedziela, ja marzyłam o tym, żebyśmy te dwa dni spędzili w domu. On mi to obiecywał i – proszę sobie wyobrazić – nigdy się to nie udało. W sobotę coś jeszcze musiał napisać, ale w niedzielę to już było: wsiadaliśmy w autobus i Akwarium, Ambasador, Ujazdowskie...

Pod koniec lat siedemdziesiątych podjął współpracę z opozycją – udostępniał mieszkanie do druku i przechowywania „Robotnika", prowadził na uczelniach kolportaż książek NOWEJ. Publikował jednocześnie teksty pod pseudonimami w „Robotniku", „Krytyce", „Biuletynie Informacyjnym". W 1980 roku z przyczyn politycznych został zwolniony z „ITD", więc pojechał jako niezależny reporter na strajki sierpniowe do Gdańska. W stanie wojennym od 1982 roku redagował podziemne „Słowo" oraz kierował założonym przez siebie Wydawnictwem Słowo, w którym ukazało się kilkadziesiąt książek i broszur – m.in. pierwszy zbiór homilii księdza Popiełuszki, wydany kilka tygodni po porwaniu, czy *Cywilizacja komunizmu* Tyrmanda.

> W stanie wojennym zamiast sprzedawać dary w komisach i budować sobie dom na Żoliborzu, robił w podziemiu rzeczy niepoważne, mianowicie własne pisemko, wydawnictwo i kwartalnik, zapełniając go reportażami, opowiadaniami, wywiadami i wierszami pod licznymi pseudonimami, których nie udało się ustalić nawet kompetentnym krytykom z Rakowieckiej
>
> – sam napisał o sobie w jednym ze swoich życiorysów.

W paryskiej „Kulturze", londyńskim „Pulsie", berlińskich „Przekazach" i „Archipelagu" pod pseudonimem Marcin Step publikował opowiadania. Czytała je też na antenie Wolna Europa. Jako fotograf drukował m.in. w „The Observer", „Paris Match" i paryskim „Kontakcie".

W 1987 roku w podziemiach kościoła na Żytniej odbyła się jego wystawa eseju fotograficznego *Pamięć murów*, przedstawiająca ostatnie ślady powstania warszawskiego, za którą otrzymał Nagrodę Dziennikarzy Niezależnych. W roku 1989 zaczął pracę w „Gazecie Wyborczej", ale szybko został kierownikiem działu reportażu w „Tygodniku Solidarność" (1989–1990). W latach dziewięćdziesiątych pisał dramaty, z których sukces odniosła *Młoda śmierć* – trzy etiudy inspirowane notatkami prasowymi o nastolatkach z różnych domów: nowobogackiego, gangsterskiego i inteligenckiego. „Rzeczpospolita" uznała, że od tego tekstu zaczyna się „nowy rozdział historii polskiego teatru", w rankingu „Ruchu Teatralnego" *Młoda śmierć* zaliczona została do najlepszych spektakli roku, zaś w ankiecie „Teatru" oceniającej sezon 1995/1996 – za najlepszą nową sztukę polską.

Po *Szpanie* do literatury faktu Grzegorz Nawrocki powrócił dziesięć lat później – w 1990 roku książką *Polak z Polakiem*. Na okładce nad wizerunkiem Lecha Wałęsy z fajką unoszą się zdania:

> Co robią dziś bohaterowie Sierpnia '80?
> Czy kochają Wałęsę, czy nienawidzą?
> Anna Walentynowicz: „To wielki oszust".
> Krzysztof Wyszkowski: „To zwycięski trybun ludowy. Danton, który nie przegrał".
> Sensacyjne, nieujawnione dotąd fakty, odsłaniające kulisy Sierpnia.
> To wszystko w tej książce.
> Ta książka będzie na cenzurowanym.

Raczej nie była, mimo że Anna Walentynowicz mówi w niej prawdopodobnie po raz pierwszy, że „Leszek to ubek", że jak Joanna Gwiazda dowiedziała się o tym, to koledzy Wałęsy wywieźli ją nad rzekę w niewiadomym celu, że już w sierpniu na murach stoczni pojawiły się napisy „Lechu to zdrajca", że miał kochanki itd. Grzegorz Nawrocki stara się tym opiniom przeciwstawiać opinie przeciwstawne, niemniej *Polak z Polakiem* nie był hitem. Autor wydał książkę we własnym wydawnictwie, wygląda, jakby nie czytał jej żaden redaktor. Za to jego tekst *Szpan* prezentuje doskonały reporterski słuch. Moje ulubione zdanie: „Dobrze jest wypić z Himilsbachem, bo z Himilsbachem już każdy pił".

Szpan

Patrzy pan na dziewczynę i widzi: buty kowbojskie, kożuszek włoski, wiązany jak kimono, z szalowym kołnierzem, cienki elastyczny golfik w tym samym kolorze co kożuszek, zielony, niebieski lub popielaty, spódniczka dżinsowa. Więc pan wie: dziewczyna jest na szpanie.

Dziewczyna patrzy na pana i widzi: dżinsy Levi's klasyczne, żadne tam plecionki, to dobrze, to jest teraz najwyższy szpan, i kurtka Levi's też szpan, ale buty już nie, bo krajowe, i kożuszek chłopski, dziadowski, też już nie, no i robótkowa czapeczka i szaliczek. Więc dziewczyna wie: nie jest pan na szpanie.

Po prostu nie ma pan szans.

Bo każdy ciuch ma swoją cenę i chodzi o to, żeby miał. Żeby na pierwszy rzut oka było wiadomo.

Jedzie dwóch szpanerów w tramwaju. Cały tramwaj – szary tłum: jesioneczki w jodełkę, bułgarskie kożuszki, garniturki bytomskie. I oni dwaj. Obcinają się jak kobiety: jeden w sztybletach żółtych, drugi w czerwonych, jeden w czapce z lisa i drugi, obaj w jasnych skórzanych płaszczach. Badają się, który więcej wart, który ma więcej w kieszeni.

Szpan to buty koniecznie takie, a nie inne: wysokie, kowbojskie, z komisu za cztery tysiące albo sztyblety z wąziutkim noskiem retro od Śliwki, tylko Śliwka na Marszałkowskiej robi to, co się nosi. No i skóra, i dżins. Skóra tylko jasna, bo czarna pospolita. I dżins nie każdy. Nie szmatki i nie to, co bywa w Juniorze, co nosi tłum. Największy szpan to marynarka dżinsowa, kurtka już nie to, w żadnym przypadku motocyklowa, bo motocykl kojarzy się ze wsią i brutalną siłą. A szpan to staranna elegancja. Typ: ładny chłopiec. Typ: ładna dziewczyna.

Dobrze widziany jest styl retro. Dobrze widziany jest garnitur. Dobry krój i dobry gatunek materiału, na przykład tenis, czerń w białe prążki. Na palcu sygnety z pewexu z rubinem za pięćdziesiąt, sześćdziesiąt dolarów. Chłopiec ze złotym sygnetem – to nie jest smaczne, te sygnety poza tym to masówka, nic ładnego, ale tu liczą się dolary na palcu.

Szpan w gruncie rzeczy to styl na cinkciarza i prostytutkę. Może nie na prostytutkę, ale na ładną dziewczynę, która robi brzydkie rzeczy. Na dziewczynę i chłopca, którzy swoje od życia wzięli, przeżyli, co mieli przeżyć, i na

niewiele rzeczy mają jeszcze ochotę. Nuda i zepsucie – to w dobrym tonie. Szpan to styl na dekadencję w amerykańskim wydaniu lat dwudziestych.

Tak mówi Staś, który ma dystans do szpanu i osiemnaście lat.

Ale dystans do szpanu to też szpan. Chodzi o to, żeby mieć, ale nie przykładać wagi. Żeby uśmiechnąć się szeroko, z rozbawieniem, kiedy do Corso wchodzi kumpel w skórzanym płaszczu przywiezionym z Paryża za ponad dwieście dolarów i powiedzieć: „Ale szpan!". W tym „Ale szpan!" jest szczypta kpiny, ale więcej uznania. Bo człowiek ma co nieco w głowie, ale życie takie już jest, że trzeba się liczyć, trzeba być na wierzchu. Więc Staś sprzedaje mi szpan bez skrupułów, ale kiedy wylicza, co ma na sobie, spokojnie, rzeczowo, gdzie kupione, jakiej marki, za ile, za złotówki czy za zielone, to oczy mu się jednak śmieją: że ma.

– Proszę bardzo: kożuszek oficerski, z przemytu, biały – piętnaście tysięcy, kurtka trzy tysiące, kamizelka dwa i pół tysiąca, bo bardzo szpanerska, z klamrą, za spodnie dałem dużo – cztery tysiące, ostatnio potaniały, sztyblety – dwa i pół tysiąca, rękawiczki włoskie, skarpety włoskie – sześć dolarów, ta zapalniczka to ronson, ale większy szpan to zapalniczka piezoelektryczna, zegarek elektronik teraz się liczy, ale za pół roku nie będzie, bo wszyscy wiedzą, że kosztuje parę dolarów, że niedługo nosić to będzie hołota. Prawdziwy szpan to zegarek złoty, gruby, z próbą na wierzchu.

Rzecz jasna, że człowiek, który u nas ma naprawdę dużo i od dawna, nie bardzo się tym chwali, ale dziewczyny lecą nie na tych, którzy naprawdę mają dużo, tylko na tych, którzy wydają. W szpanie liczy się, kto ile może wydać, nikt nikogo nie pyta o źródło.

Ma, bo ma łeb.

Ma, bo w czepku się urodził.

Ma, bo ma.

Rzecz jasna, gdy znajdę dziewczynę, na którą będę mógł liczyć, prawdziwą, to będę z nią. Ale ja się cały tydzień uczę i mam zajęcia dodatkowe, a na sobotę muszę mieć dziewczynę przecież i na to najlepszy sposób – szpan.

Będąc szpanerem, człowiek po prostu czuje się lepiej: kelnerka już nie jest władzą i kłopot z babami odpada.

– Biorę do kawiarni dziewczynę, dżinsówę. Prowadzę na chatę, a ona wyjmuje z torebki wiersze i czyta. Własne. Liryki. Więc jestem subtelny, biorę ją na spacer. Łazienki, Chopin, koncert, alejki, rozmowa o poezji. A ona rzuca okiem w bok raz, drugi. To nie szedł Herbert ani Przerwa-Tetmajer nie wstał z grobu. To szli chłopcy w sztybletach, szpanerzy.

Więc kupiłem sztyblety.

Tak mówi Staś, inteligentny chłopiec z dobrego domu.

– Każda – wykłada dalej jako swoją teorię, która jest stara i znana jak Biblia – ma swoją cenę. Kieliszek wina w kawiarni trzeciej kategorii Rio albo butelka napoleona w Victorii, przejażdżka fiatem albo ford do jej dyspozycji, tydzień w Zakopcu albo Hawaje. Chodzi o to, żeby człowiek znał cenę i żeby było go stać.

– No dobrze – mówię – ale jak się okaże, że ceną mógłby być sam Staś, i Staś będzie znał cenę, ale nie będzie go stać...

Okazuje się jednak, że głowa boli mnie niepotrzebnie, bo Staś wszechstronnie zabezpiecza swoją wartość na rynku. Staś zna angielski perfekt. Staś był na *Barwach ochronnych*. Staś przeczytał nawet Sartre'a na wypadek, gdyby miał znów wrócić do łask. To znaczy, można o Sartrze podyskutować ze Stasiem, jedno zdanie zna nawet na pamięć. Można o Zanussim i o warsztacie Wajdy. Stasia te rzeczy interesują i należy wierzyć, że naprawdę. Gdy pytam Stasia, co zamierza robić po szkole, jaką wybierze uczelnię, Staś mówi, że jeszcze nie wybrał zawodu, ale będzie to najpewniej jakiś rodzaj twórczości.

– Najchętniej – mówi – zająłbym się krytyką, może plastyczną, może teatralną lub filmową, może literacką.

– A sztuką – pytam – nie zająłbyś się, Stasiu, SZTUKĄ?

– Owszem, o tym też myślałem – mówi Staś i ja już nie wiem, kto z kogo kpi: czy ja ze Stasia, czy ze mnie Staś.

Bo Staś mi zaraz wykłada, że szpan to mało wysiłku, a dużo śmietanki. Liczy się liceum, nigdy technikum. Liczą się studia plastyczne, teatralne, nigdy politechnika, bo tam trzeba dużo kreślić.

– Jak napiszesz – mówi Staś, bo przechodzimy ze Stasiem na ty – że siedzimy w Sejmowej, to każdy będzie wiedział, że jestem z Batorego.

Każde liceum ma swoją kawiarnię: Batory – Sejmową, Żmichowska – Świteziankę na Marszałkowskiej, Czacki miał Ulubioną, a teraz ma Arkady, Rej siedzi w Aurorze.

To przed południem, bo wieczorem nasze jest całe miasto: Frascati, barek Piekiełko w podziemiach Akwarium, czyli Na Rozdrożu, Emocja, którą nazywają Retro, Na Trakcie i prawie całe Stare Miasto. Szpanerskie są kluby studenckie, które w dni dyskotek właściwie nie są studenckie: Remont i Stodoła. Szpanerskie są nocne dyskoteki: Maxim i Bristol, chociaż w Bristolu to właściwie same prostytutki i cinkciarze. Szpanerskie są kluby związków twórczych, na przykład SARP-u[1]. Architekci płacą podatki, żeby szpanerzy mieli się gdzie bawić, żebyśmy mogli pić tanią wódkę, bo wódka w SARP-ie jest tania – sto osiemdziesiąt złotych butelka Gorzałki.

[1] SARP – Stowarzyszenie Architektów Polskich.

Tylko taka knajpka jest dobra, w której jest barek z ginem i whisky, spaghetti i pizza, i przyciemnione światło, w której jest tak zwana atmosfera.

– Zapisz – dyktuje Staś – to słowo „atmosfera", bo chodzi o to, żeby w knajpie była atmosfera wyższych sfer, żeby w powietrzu był *high life*.

Są ludzie ze Stodoły, z Remontu i z SARP-u, od czasu do czasu się mieszają. Ludzie wiedzą o sobie tylko tyle, że ojciec Tomasza ma fermę kurzą, ojciec Jędrzeja to Duże Nazwisko, a Marcin ma brykę z inspektów. Nie ma ksywek, mówi się po imieniu: Jędrzej, Tomasz – z przegłosem.

Czasy prywatek, zespołowego słuchania muzyki minęły, chodzi się luzem, swoimi ścieżkami, szpanerską trasą. Ludzie spotykają się w knajpkach i tylko z knajpek się znają. Codziennie godzinka, dwie w jednej kawiarni, w drugiej, przy barku – i sobotni wieczór. Męskie rozmowy o cenach wozów, paszportów, kontach, kursach walut, kto ile puścił na wyścigach i kto miał tę małą, co siedzi pod ścianą.

Dobrze być z kelnerkami po imieniu. „Elu, masz francuski szampan?" Właśnie w tym „Elu, masz?" jest styl. Na ten bajer dziewczyny się biorą.

Należy mieć swojego krawca i swojego fryzjera, z którym jest się po imieniu. Najlepsi fryzjerzy są w hotelach. Za strzyżenie daję zawsze paczkę, czyli stówkę. Dzwonię i mówię:

– Chciałbym teraz wpaść do ciebie.

– Mam trzech klientów, bądź łaskaw za godzinkę.

Dobrze jest rzucić w rozmowie, że znalazło się klienta na castrol, albo choćby przynieść do lokalu pięć par dżinsów lub pięć kombinezonów dżinsowych i zapytać, czy ktoś nie chce. Rzecz nie w tym, żeby sprzedać, ale żeby pokazać, że się ma w ręce towar, który jest ileś wart.

Podchodzisz do dziewczyny i pytasz, czy nie jest jej potrzebny kożuch. „Musiałabym zobaczyć" – powie. Może nie mieć nawet na papierosy i żadnej ochoty na drugi kożuch, ale tak odpowie: „Musiałabym zobaczyć". Tam siedzi Ewa, koleżanka z klasy. Spróbujemy jej sprzedać francuski biały kożuszek.

Staś wstaje, podchodzi do stolika, przy którym dwie dziewczyny wyraźnie nudzą chłopaka w żółtej skórzanej marynarce. Wraca. Mówi:

– Powiedziała, że wpadnie. Ona nie wpadnie, ja nie mam kożucha, więc wszystko jest w porządku.

Umawiamy się na wieczór w barku Na Trakcie. Staś pyta, gdzie mnie teraz podrzucić. Mały, popielaty fiacik.

– Mały fiacik to duży szpan – mówi Staś. – Bryczka liczy się najbardziej, ale gdy jeździsz dużym wozem, to zachodzi podejrzenie, że kluczyki pożyczone od tatki. Mały fiacik – wiadomo, że własny.

Bryczka Stasia rusza cichutko i Stasiowi znów śmieją się oczy, jak chłopcu, który światu zrobił psikusa.

Wieczorem siadamy przy barku. Cały lokal w ciemnej zieleni. Rząd butelek, dobre marki. Staś kładzie przed sobą portfel z żółtej, nielakierowanej skóry, gruby, duży. Dotyka go lekko lewą dłonią, zaznaczając własność. Barmanka szybka i uśmiechnięta. Zamawiam dwa koniaki gruzińskie, trzygwiazdkowe. Staś poprawia:

– Dwa napoleony.

Barmanka jeszcze bardziej uśmiechnięta. Wszyscy troje wiemy, kto tu jest na szpanie, kto nie. Przed Stasiem leżą niebieskie gauloises caporal, bo lubi mocne, męskie papierosy. Staś wyprostowany na stołku, sztywny, ruchy angielskie, ale na luzie.

– Ten portfel odrobinkę śmieszny – mówię.

– Mnie też śmieszy – mówi Staś – ale jak jestem już w domu. W barze to skutkuje. Obsłużyła pięknie, prawda? Trzeba uczyć kultury obsługi. A portfel jest nie po to, żeby się go wstydzić.

Mój przyjaciel – ciuchy, owszem, ma i lubi wydać, ale ceni tak zwane wartości wyższe. Podpadł już wszystkim, bo lubi wykazywać ich umysłową nicość. I z dziewczynami mu nie wychodzi, bo chce na *full*, czyli na całego, u niego albo–albo, dziewczyna jest ze wszystkim, z przyjaźnią do końca, albo nie ma jej wcale. Co przyprowadzi dziewczynę, z którą jest dłużej, to dziewczyna wsiąka w układy, zaczyna szpanować i przyjaciel wycofuje się z gry. Ja mu mówię, że prędzej czy później zacznie dziewczyny wyjmować z knajp. Ja wiem, co jest warte co.

– Nasza koleżanka z klasy, grzeczniutka dziewczynka, na prywatkach dawała tylko od pasa w górę, prymuska w szkole – teraz jest w Maximie dziewczyną od cudzoziemców. Ma swój stolik, chłopców, którzy ją obstawiają, przed Maximem cały wieczór czeka taksówka. Mój przyjaciel odwraca się, jak ją widzi. Ja kłaniam się i pytam, jak leci.

Ładna dziewczyna z buzią i resztą z „Playboya" nie jest ładną dziewczyną, jak nie jest na szpanie. Więc szpanuje, a nie ma za co. Przejdzie przez parę rąk i zaczyna pracować na siebie, i jeszcze jakiegoś chłopca dokarmiać. Czy ja mam jej brać za złe, że matka rencistka nie pokrywa jej potrzeb?

Odwiedziliśmy raz koleżankę ze względów humanitarnych, bo była chora – i co? W domu brud i nędza. A ona szpanuje, jakby była córką magnata przemysłowego. Zamiast obiadku w stołówce szkolnej spaghetti w knajpce, a potem gin z soczkiem.

Dziewczyny nie dojadają, żeby było na paczkę marlboro. Lubią, jak leje się

szampan w dużych ilościach, jak są koniaki. Jak zabieram świeżą dziewczynę do SARP-u, to wiem, że będzie moja.

Dziewczyny to naturalna potrzeba człowieka, więc wydaję dziennie paczkę i w sobotę pół tauzena, czyli pięćset. Każdy, kto chce szpanować, musi mieć przynajmniej tyle na drobne wydatki. A jak staruszkowie nie chcą kupić dżinsów, to też trzeba skombinować. Prawdę mówiąc, wynoszę z domu, co się da. Jak tata jest na placówce, to nigdy nie doliczy się swetrów i magnetofonów, które nawiózł. Mój kumpel opchnął w desie obraz za trzydzieści tysięcy.

Do dzisiaj jego staruszkowie się nie połapali, a on puścił to w miesiąc. Jak tata jest kolekcjonerem, to posądza wszystkich znajomych kolekcjonerów, nie syna.

Mnie płacą za każdą czwórkę trzy paczki, za piątkę pięć paczek, a jestem tak zwanym dobrym uczniem, no i sprzedam trochę swoich ciuchów, co mi przywożą. Ale chłopak sprzedał komplet Gombrowicza, żeby mieć na dżinsy. Najpierw przeczytał – to chociaż dobrze.

Staś przerywa wykład i uśmiecha się w dobrym angielskim stylu, bo podchodzą do nas dwaj chłopcy też na szpanie i na luzie.

– Jak leci? – pyta Staś.

– Stary znika na dłużej do Paryża, wreszcie wyduszę z niego bryczkę – mówi ten wyższy w typie amant brunet.

– A u ciebie, Bolesław? – pyta Staś niższego.

– Nie mogę dogadać się ze starym. Nie dba o przyszłość syna, chce, żebym szedł do woja. No bo ze mnie taka pijawka.

– Pijawka z ciebie? – cieszy się Staś.

– Jeszcze jaka – potwierdza ten niższy w dżinsowej marynarce. – Jak się przypnę, to piję i piję.

Odchodzą, a Staś pyta, czy podobała mi się ta scena żywcem z niedobrej powieści o złej młodzieży. Informuje, jakich dużych nazwisk są to synowie. I każe przypatrzeć się złotemu sygnetowi, jakim błyska ten, co jest pijawką.

– Stasiu – pytam – a ty nie masz sygnetu?

– Jeszcze się nie dorobiłem – śmieje się Staś i trzymając cały czas rękę na portfelu, na blacie baru, wraca do sceny sprzed chwili. – Dobre to było, co? Ten wyższy uchodzi za fizycznego, to znaczy – umięśnionego, ale z niewielkim mózgiem. Ten niższy lubi od czasu do czasu pokazać w knajpce jakąś szprotkę, zagadnąć do niej i powiedzieć do kumpli: „Dałem wczoraj tej małej po buzi, bo słabo pracowała". Słodki brutal – to dobry styl. Przed – żadnej przemocy, żadnego gwałtu. Ale po zużyciu wykopać dziewczynę, bo nie pracowała jak należy, to jest styl dobry.

Niektórzy cinkciują, a ci, którzy nie cinkciują, udają. Mój kumpel pożyczył ode mnie dziesięć dolarów, bo brakowało mu do spodni. Potem pożyczył od naszej kumpelki, żeby mi oddać, potem od kumpla, żeby jej zwrócić, później od drugiego i w końcu znów do mnie trafił, koło się zamknęło, ale obracał zielonymi – i to był szpan.

Z żadnym z nich nie porozmawiam o filmie, bo to niemodne. Intelekt nie jest w cenie. Owszem, dobrze jest wypić z Himilsbachem, bo z Himilsbachem już każdy pił. Dobrze jest wspomnieć, że u taty był wczoraj Głowacki, bo Głowacki znany jest w mieście jako szpaner. Ale nie liczy się, że dziewczyna ma całego Tatarkiewicza w jednym palcu, liczy się, że wczorajszej nocy ćwiczyła z Rafałem kontrolowany poślizg i Rafał stuknął. To jest nic, że ktoś trenuje wioślarstwo albo koszykówkę. Że grywa w tenisa i jeździ konno – to jest coś. Bo każdy wie, ile kosztuje godzina konnej jazdy u pułkownika na Wale Miedzeszyńskim i ile biorą za klepanie blacharki.

– Bo liczy się tylko szmal, nic więcej – mówi Staś, trzymając cały czas lewą rękę na portfelu.

I zaprasza:

– Zapraszam cię jutro do SARP-u. Architekt, który zapomniał karty wstępu, czy jej nie podstemplował, nie wejdzie. My damy po pół paczki od głowy bramkarzowi i wejdziemy. Paczka to niezła karta wstępu, nie trzeba stemplować. Szatniarzowi zawsze daję blaszkę, czyli dychę, i nigdy nie zostawiam mniej kelnerce. Złotówka to na telefon.

Na drugi dzień jesteśmy w SARP-ie. Bramkarz niski, czarny. Paczka. Wstęp wolny.

– Dobrze, że nie masz długich włosów – mówi Staś – bo z długimi włosami nie chcą wpuszczać. Długie włosy pachną brakiem szmalu, a po co w SARP-ie facet z dziurami w kieszeniach? Długie włosy pachną kontestacją, a bramkarz to człowiek inteligentny – po co mu ktoś, kto na Ściek[2] będzie patrzył z góry?

Nie jestem hippem ani gitem. Hippizm się skończył, pacyfy już nie są modne, a gitostwo było zawsze w pogardzie. Teraz jest tylko szpan.

Hippizm to była wspólnota i kontestacja. To było ładne, ten gromadny protest, w którym o coś w końcu chodziło. Gitostwo prymitywne, chamskie i stadne, to też protest.

Szpan dzieli, rozwarstwia, bo na Victorię coraz mniej ludzi stać. Szpan to indywidualizm i nic z protestu. Szmal i jeszcze raz szmal. Nie przeciwko albo obok, ale na wierzchu. To przyjęcie reguł gry. Staram się stosować je jak najlepiej – mówi Staś i wraca do szczegółu: – Słuchaj, jak będą mówili: „tajm" i „miuzik". Jak będą mówili o Zakopcu. Latem mówią o Sopocie i Chałupach,

[2] Ściekiem nazywano w latach PRL-u kilka warszawskich restauracji lub klubów nocnych otwartych najdłużej, m.in. klub Stowarzyszenia Filmowców Polskich, pod koniec lat osiemdziesiątych właśnie restaurację SARP-u. To tam po zamknięciu innych knajp „ściekali" goście.

Starych Jabłonkach i Kadynach, znanych z koni i lancii stratos. Powąchaj, wszystkie dziewczyny pachną masumi, antilope, weil, chanel numer 5.

I już Staś kłania się koleżance z klasy, dziewczynie że hej, niestety z chłopakiem. I już są kumple Stasia. Na dole wszystkie stoliki zajęte, więc siadamy w kawiarence na górze. Tłum młodych i starych, bo szpanować można w każdym wieku. Przy naszym stoliku wątły chłopaczek, na oko – lat piętnaście, w rzeczywistości – osiemnaście, też na szpanie, bo dżinsowa kamizelka, golfik błyszczący i marlboro, kpi ze Stasia:

– Stasiu, ile dałeś za sztyblety? Stasiu, ile puściłeś w tym tygodniu, no, przyznaj się, Stasiu...

Staś jest ponad to. Szepcze:

– On dopiero wchodzi w szpan.

Kręcą się dziewczyny w białych sweterkach w peruwiańskie koziołki i faceci w skórzanych marynarkach. Kilku facetów chce wyjąć chłopakowi w skórze dziewczynę szczupłą, ale ledwo wbitą w indiańską sukienkę z postrzępionego zamszu prosto z Portobello.

– Ale ciało – cmoka wątły chłopaczek i chichocze inteligentnie i z przejęciem.

Pulchna dziewczyna w dżinsowej sukience czeka, kto dzisiaj ją wybierze. Informuje stół, że nie ma żadnych zobowiązań w stosunku do chłopaka, z którym przyszła. Chłopak, z którym przyszła, wychodzi, bo ma do załatwienia jakąś sprawę, i nie wraca. Wątły chłopiec po kilku kieliszkach wyznaje, że jest dziewicą. Pulchna blondyna ofiarowuje mu swoją pomoc. Inteligentny chłopaczek chowa się przed nią w WC na dwie godziny. Staś i jeszcze jeden gładzą co chwila zrolowane jedwabne apaszki, ściśle obwiązane na szyjach. Dziewczyna, która ma w oczach łóżko i ponoć jest na prawie, wędruje od stolika do stolika. Staś informuje, że ona zawsze wabi wszystkich i nikomu nie daje. Chłopak w grubym swetrze prostuje, że nie dała Stasiowi. Staś dodaje, że temu w grubym swetrze też nie. Dziewczyna, która wędruje od stolika do stolika, uśmiecha się do Stasia. Staś kłania się co drugiej dziewczynie, która staje w drzwiach. Co chwila ktoś wraca z dołu i informuje, że ścisk w tym Ścieku, hołoty się naszło. Dziewczyna cała na zielono, w szpanerskim kolorze, chce rozebrać chłopaka, który całuje się z drugą dziewczyną. Na stołach sama gorzałka pomorska, bo taką tutaj się pije. I cola, ale ciepła, bo kto by nastarczył lodu. Staś opowiada o Stanisławskim i o Tadziu Nowaku z Legii, z którymi miał w SARP-ie scysję, a potem o tym drugim chłopaku w apaszce, jak w dniu urodzin wziął bryczkę, osiem tysięcy, kumpla, kilka godzin jazdy i był w Gdańsku, w tamtejszym Metropolu dawał kelnerom po paczce

za podanie ognia, rano wrócił spłukany. Chłopak, który jest bohaterem tej opowieści, krzyczy:

– Stasiu, co ty potrafisz, co ty w życiu zrobiłeś, ty jesteś gówno. I ja jestem gówno. My nic w życiu nie zrobiliśmy i nie zrobimy. Stasiu, ty jesteś bohater, bo szpanujesz, bo puścisz tauzena w Ścieku. Ja puszczam tauzeny i co? Stasiu, co to jest puścić tauzena? Stasiu, co to jest?

Płacze. I zdziera z szyi apaszkę, rzuca w twarz Stasiowi, bo niedobra powieść o złej młodzieży, która w środku nie jest taka zła, dobiega końca. Okazuje się, że życie może być równie banalne jak powieść.

I wtedy Staś, który ma dystans do szpanu, robi gest, który ćwiczył od lat, więc wszedł mu w krew: wyjmuje banknot tysiączłotowy bez słowa i odchodzi. Ten, który jest w grubym swetrze, chwyta Stasia za klapy i proponuje mu spożycie banknotu. Tymczasem któryś inny, rozsądny – widać – chłopak, biegnie do bufetu z banknotem Stasia i przynosi pięć półlitrówek. Awantura rozchodzi się po kościach. Ten, co przed chwilą łapał Stasia za klapy, opowiada, jak prysnął z domu, w którym było wszystko, i pracował przy wyrębie lasu w Bieszczadach. Podaje szczegóły. Dwie butelki zostają opróżnione. Wszyscy idą na dół tańczyć, na straży butelek zostaje ten, co rąbał las w Bieszczadach. Po powrocie okazuje się, że strażnik butelek śpi na stoliku, z którego sprzątnięto wszystko, także trzy nierozpieczętowane flaszki. Kelnerka mówi, że o niczym nie wie, na dowód swojego dobrego serca funduje butelkę coli, a facet, który przedstawia się jako kierownik, radzi nie upominać się za głośno. Z wc wraca chyłkiem inteligentny chłopaczek, który jest dziewicą, ale dziewczynę, która ofiarowała swoją pomoc, już zagarnięto do innego stolika.

Na dziś koniec. Na dworze rześko, więc ten, co płakał, że jest gówno, i zdzierał apaszkę z szyi, wraca do formy.

– Stasiu – mówi – wpadnij do mnie rano, skoczymy na giełdę.

Giełda to plac na Żoliborzu, gdzie handluje się dżinsami, longami i singlami. W każdą niedzielę zjeżdżają się tu chłopcy na szpanie z całego miasta.

Grzegorz Nawrocki, *Szpan*, Warszawa: Iskry, 1980, s. 5–18

1980

Hanna Krall (ur. 1935)

Zauważać, co On rozsiewa

W październiku 2013 roku brytyjski „The Guardian" napisał, że *Król kier znów na wylocie* (2006) Krall to arcydzieło. Niewielu polskim reporterom przydarzył się międzynarodowy sukces. Hannę Krall jednak – od czasu, gdy w 1991 roku jej książka pojawiła się na niemieckiej Bestenliste, liście najlepszych książek układanej przez krytyków, a reportaż *Ta z Hamburga* wydrukował „The New Yorker" – sukces spotkał i został przy niej do dzisiaj.

Przyjrzyjmy się jej reportażom sprzed książek o Polakach, Żydach i Niemcach, choć takie spłaszczające określenie tematu jej pisarstwa raczej by autorki nie usatysfakcjonowało. Kiedyś w Czechach jedna z gazet podsumowała, że Krall pisze o stosunkach polsko-żydowskich. Obruszyłem się, bo to tak, jakby napisać, że *Proces* Kafki jest powieścią o biurokracji w sądach. („Jeśli już piszę o jakichś stosunkach, to raczej żydowsko-boskich" – sama reporterka wyjaśniła mi to żartobliwie).

> Moje książki są właściwie o jednym – przyznała kiedyś. – O tym, jak bardzo człowiek może być dobry i jak bardzo zły. Tego dowiadujemy się wciąż na nowo.

Przed *Królem kier znów na wylocie* (a także przed *Hipnozą*, 1989; *Tańcem na cudzym weselu*, 1993; *Dowodami na istnienie*, 1995; *Tam już nie ma żadnej rzeki*, 1998; *To ty jesteś Daniel*, 2001; *Wyjątkowo długą linią*, 2004 i *Białą Marią*, 2012) Hanna Krall pisała „o ludziach, którzy są zachwyceni życiem, bo udało im się odłożyć osiemdziesiąt złotych na książeczkę albo zdobyć nogi wieprzowe". Jeśli komuś spodobała się ta definicja jej PRL-owskich bohaterów, to zgłaszam, że ułożyła ją sama.

Teksty Hanny Kral o PRL-u ukazywały się głównie w „Polityce", gdzie pracowała do stanu wojennego. „Z drukiem każdego z nich był większy lub mniejszy kłopot, szło trudno, ale przecież jakoś w końcu szło" – pisał Kazimierz Dziewanowski. Kiedy ukazywały się pojedynczo, w dużych odstępach czasu, cenzura wprawdzie niechętnie, ale jednak je akceptowała. Zebrane w książkę i czytane łącznie były już ponad wytrzymałość władzy.

W 1976 roku skład drukarski książki *Szczęście Marianny Głaz* wrzucono do kotła i przetopiono. Miało ją wydać wydawnictwo Iskry. Kolejną, w której było kilka tekstów z tej zniszczonej i teksty nowe, Wydawnictwo Literackie wydało,

ale gotową książkę w 1986 roku pocięto. „Dziesięć tysięcy książek cięli specjalnymi nożami, zawieszonymi jak gilotyna" – to niezwykłe w cywilizowanym kraju zdarzenie Hanna Krall opisała później w innej swojej książce *Okna* (1987), opublikowanej Londynie.

> Od drukarza, który wchodził w skład tnącego komanda, dowiedziały się – one, bowiem bohaterkami *Okien* jest twórczy duet: dziennikarka i fotoreporterka – że znalazły się w niezasłużenie dobrym towarzystwie: poezji Osipa Mandelsztama. Z tym, dodał drukarz, że Mandelsztama cięli wszerz, a ich książkę po przekątnej. Zastanawiały się, jak lepiej. I czy istnieje metafizyka cięcia [...].

Ze stopionych i pociętych książek powstała jednak następna – *Trudności ze wstawianiem*, tym razem wydana w podziemnym wydawnictwie Pokolenie w 1988 roku. Po wprowadzeniu stanu wojennego, gdy kilkunastu dziennikarzy, w tym Krall, opuściło „Politykę", reporterkę drukowały „Wiadomości Wędkarskie". Były przechowalnią niezweryfikowanych dziennikarzy. Miała tam rubrykę *Smutek ryb* – z wywiadami. Na przykład z profesorem Henrykiem Samsonowiczem, który ukończył technikum rybackie, o rybach w średniowieczu, z profesorem Jerzym Szackim – o rybach w myśli społecznej, z kuratorką Galerii Sztuki Polskiej Agnieszką Morawińską – o rybach w sztuce.

> Zawsze szukało się jakiegoś haka, żeby materiały Krall z rybami się wiązały – opowiada Andrzej Zawisza z „Wiadomości Wędkarskich". – Niestety z wędkarstwa Krall spokojnie nie mogła wyżyć, bo jej teksty doprowadzały do wściekłości Komitet Dzielnicowy PZPR Warszawa-Wola, w jego rejonie mieściła się nasza redakcja. Naczelnego wyrzucono w końcu za umożliwianie Krall druku. I on, nie żeby siebie, ale chociaż ją oszczędzić, zatelefonował do Rakowskiego, który wcześniej był naczelnym „Polityki", a teraz wicepremierem. Rakowski napisał list do komitetu na Woli, że Hanna Krall to dobra dziennikarka i może współpracować z „Wiadomościami Wędkarskimi".

Potem i tak jej tam podziękowano. W stanie wojennym pracowała także z Krzysztofem Kieślowskim w Studiu Filmowym Tor. Była to współpraca z pożytkiem dla obojga – jej ślady są w jego *Przypadku* i *Dekalogu VIII*, a jego w jej *Sublokatorce* (1985) i *Białej Marii* (2011).

Do oficjalnego życia literackiego Hanna Krall wróciła w 1989 roku. Już w styczniu 1990 roku otrzymała nagrodę warszawskich księgarzy za nową

książkę *Hipnoza*. Wtedy po raz pierwszy od momentu, kiedy otrzymała zakaz publikacji, wystąpiła publicznie. Po otrzymaniu nagrody podziękowała losowi za to, że trafia na wspaniałych bohaterów, a potem za to, że w ogóle ona, Hanna Krall, jest na tym świecie. W tym momencie wstała starsza pani (okazała się nią sławna wydawczyni Irena Szymańska) i powiedziała: „Haniu, ty powinnaś podziękować za pointy. Do ciebie wszędzie wychodzą życiowe pointy, na każdym rogu czyhają. Podziękuj losowi za wspaniałe pointy". (Krall twierdzi, że pointy On rozsiewa, ona je tylko zauważa).

Reportaż o Annie Walentynowicz napisała jesienią 1980 roku dla „Polityki". Niestety, cenzura nie dopuściła go do druku. Tekst poszedł w „Tygodniku Powszechnym", który jako pismo inteligencji katolickiej miał większą swobodę i często puszczał materiały bez szans w innych tytułach. O kulisach powstania tego tekstu reporterka opowiada tak:

> Wypatrzyłam Walentynowicz od razu, gdy były strajki. Wyglądała jak moje bohaterki – zwyczajne, niewysokie, rzeczowe i dzielne. Bardzo mnie interesowała ta kobieta obok Wałęsy. Jak tylko skończyły się strajki, poprosiłam Jana Józefa Lipskiego, żeby mnie z nią skontaktował. On, że świetnie się składa, bo Ania musi przyjechać na jakieś zebranie do Warszawy, tworzyli, zdaje się, komitet obrony więźniów politycznych. „To ty się nią zajmij, odbierz ją z dworca, mówi, a potem ją przywieź tam, gdzie trzeba". Wsiadłyśmy do taksówki na Centralnym. Jak tylko samochód ruszył, ona zaczęła rzucać ulotki przez okno. A to były pierwsze dni po Sierpniu i mówiło się: wejdą Ruscy czy nie wejdą, zamkną kogoś, nie zamkną. Mówię: „Pani Aniu, ja panią błagam, w tej chwili pisanie o pani jest ważniejsze niż te ulotki, pomogę pani potem, we dwie rozrzucimy szybciej, ale najpierw porozmawiajmy". A ona na to: „Tak, tak", i dalej wyrzuca. Taksówkarz zaniepokojony odwraca się i mówi: „Jeżeli panie się nie uspokoją, to mi zabiorą ten samochód". I to był argument, schowała ulotki. Przychodzimy do mnie domu, wchodzimy do kuchni. Mąż stoi przy kuchence, a na kuchni stoi jakiś pan i majstruje w okapie. Widocznie coś się zepsuło. Pytam: „Kto to jest ten pan?". Jurek mówi, że hydraulik. A Ania: „Wzywali państwo hydraulika?". Mówię: „Mąż chyba wzywał", a Jurek: „Chyba ty...". I ona spojrzała na nas jak na parę debili. Pan zeskoczył zgrabnie, ukłonił się i wyszedł. Myśmy się przeniosły do pokoju, zamknęłyśmy wszystkie drzwi i gadałyśmy.

Tekstem zainteresował się Adam Hanuszkiewicz, wystawił go w Teatrze Narodowym na scenie Teatru Małego.

Tytuł *Relacje* – o trzech wydarzeniach z trojgiem moich bohaterów. Rok 1956 – Lechosław Goździk, 1976 – sekretarz komitetu PZPR w Radomiu, Janusz Prokopiak i 1980 – Anna Walentynowicz. Grała ją Zofia Kucówna – opowiada Krall. – Teatr zaprosił bohaterów na spektakl. Walentynowicz tak usiadła z boku sceny, że światło reflektora padało i na Kucównę, i na Anię wśród publiczności. Kucówna weszła na scenę elegancko ubrana, miała bardzo ładną prywatną biżuterię. Ja tak leciusieńko struchlałam, gdy zobaczyłam te klipsy, te pierścionki, te bransoletki. A Zosia siedziała, uśmiechała się i powoli zaczęła na oczach widzów ściągać tę biżuterię, i chować do torebki. Przy publiczności zamieniać się w Walentynowicz. Tak jakoś nogi inaczej ustawiła, jakoś tak ręce jej się zmieniły, torebkę inaczej trzymała i stała się prawdziwą Walentynowicz. Powiedziała może trzy zdania, a Walentynowicz zaczyna płakać. Kucówna mówi dalej tekst, a Ania zdejmuje okulary, wyjmuje chusteczkę, wyciera szkła, przeciera oczy, nakłada okulary. Widać było, że myśli sobie: nie mogę robić z siebie widowiska. Kucówna mówi dalej, Walentynowicz zalewa się łzami. Kończy się przedstawienie, aktorzy zapraszają bohaterów na scenę. Wchodzi Walentynowicz i zwraca się do publiczności: „Proszę państwa, nie chciałabym, żeby państwo myśleli, że to ja tak płakałam nad sobą, tylko mnie było strasznie żal tej kobiety na scenie". Po niej wszedł Goździk. No ale nie ma trzeciego, nie ma sekretarza, który nie wchodzi, a był. Ania zwróciła się do niego na widowni: „Panie sekretarzu, niech pan tu przyjdzie do nas. Pan jest taką samą ofiarą historii jak my".

Ludzie może i nie są źli...

Anna Walentynowicz na pytanie o początek (bo trzeba, byśmy wiedzieli wszystko od początku, to może zrozumiemy, co się stało. 14 sierpnia co się stało, po dwunastej parę minut, kiedy to, wchodząc do stoczni, Anna Walentynowicz zobaczyła w bramie jakieś panie czekające na nią z kwiatami i usłyszała, że jacyś panowie proszą, by weszła na koparkę i powiedziała parę słów):

– Mam pięćdziesiąt jeden lat, urodziłam się na Wołyniu. Miałam matkę, ojca i brata. Kiedy wybuchła wojna, ojciec poszedł na front, brata wywieźli, a matka umarła na serce. Przygarnęli mnie obcy ludzie. Po powrocie do Polski zaczęłam chodzić po wsiach i najmować się do pracy: latem do żniw, jesienią do sprzedawania noży kuchennych, które gospodarze wyrabiali ze starych kos, a zimą moi państwo pędzili wódkę, więc w nocy pilnowałam, żeby nie rozsadziło kotła, w dzień nosiłam w plecaku butelki na handel. Za tę wódkę i noże dostawałam mąkę, ziemniaki i naftę, które dźwigałam, wracając do moich państwa.

Przyjechaliśmy do Gdańska. Gospodarze dostali z Unry klacz i krowę, panicze poszli do szkół i musiałam zająć się gospodarstwem. Ja do szkoły nie chodziłam, tyle co przed wojną, skończyłam wtedy cztery klasy, choć w papierach podaję, że siedem. Trzeba było wypełnić ankietę na spawacza i wpisałam cztery, ale kolega mówi: „Coś ty, Ania, przerób no na siódemkę". Z czwórki bardzo łatwo siódemeczkę zrobić, więc tak zostało, ale prawda jest taka, że już nigdy nie uczyłam się, tyle co na kursie dla analfabetów w stoczni i na kursach spawania.

Moi państwo bogacili się, mieli już konie, świnie, źrebaki, pięć krów i kury, i już najmowali ludzi do pracy. Ja wstawałam o czwartej, żeby nakarmić stworzenie i przygotować śniadanie pracownikom, o siódmej szłam robić w polu i paść krowy, wracałam o siódmej wieczorem, doiłam krowy, szłam z sierpem i wózkiem po pokrzywy dla świń, przekręcałam je w sieczkarni, kładłam się o dwunastej, wstawałam o czwartej i karmiłam stworzenie.

Nie mówię, żeby oskarżać, tylko żeby oddać wierność moim przeżyciom.

Któregoś dnia zauważyliśmy przed domem w krzakach bukszpanu jakiś grób. Chcieliśmy przenieść go na cmentarz, więc zaczęłam kopać, ale to nie

był grób, tylko zakopane pudełko. Otworzyłam je i zobaczyłam złote zegarki, broszki i pierścionki – jeden piękny zwłaszcza, jak trzykrotny opleciony wąż z niebieskim oczkiem, ale pani przybiegła, zgarnęła wszystko w fartuch i zabrała.

Na Wigilię postawili mi w kuchni talerz i przynieśli opłatek. Nie chciałam siedzieć sama, więc poszłam do koni i podzieliłam się opłatkiem ze Złotką. To była piękna klacz, w kieracie szła jak artystka, krokiem tanecznym – mięśnie naprężone – o, tak – w dwa okrążenia już się pociła, taka była wrażliwa i delikatna. Złożyłam jej życzenia, a Złotka zarżała – jeśli takie rzeczy są niepotrzebne, to proszę skreślić, ja tylko mówię, żeby oddać wierność, bo pani pytała.

W połowie lata postanowiłam iść, gdzie oczy poniosą. Szłam, szłam, usnęłam, dalej idę i myślę sobie: co robić? Życie odebrać by najlepiej, ale jak? Moi państwo wyrabiali z padłego bydlęcia mydło i widziałam, jak soda kaustyczna rozpuszcza wszystkie kosteczki. Byłoby dobrze trochę tej sody zdobyć, ale skąd? No, i nie odebrałam sobie życia, i poszłam dalej.

Trafiłam do piekarni. Zostałam tam, bo wszędzie stały kosze białych bułeczek i niech pani sobie wyobrazi, że mogłam jeść, ile chciałam. Normalnie – bułki stoją, a ja biorę i jem. Nikt nie mówi, żeby nie brać, to ja biorę i ile chcę, to jem.

Ilu ja dobrych ludzi spotkałam w życiu. Tych, co mi pozwolili białe bułki jeść, i tych, co mi oddali za darmo suterynę, i co dali piecyk, żebym sobie do suteryny wstawiła (bardzo dobry jest taki piecyk na odmrożenie, tylko trzeba najpierw nasmarować ciało naftą i grzać przy otwartym ogniu, żeby nafta wyparowała), ale najważniejszy był jeden pan, który powiedział: „Nie siedź tutaj. Idź do stoczni, nauczysz się i staniesz się człowiekiem".

Nie spałam całą noc. Modliłam się do Matki Boskiej Ostrobramskiej i całą noc drżące serce w mej piersi: czy tylko przyjmą mnie do stoczni, czy przyjmą. Ale Matka Boska wysłuchała mnie i w listopadzie 1950 roku przyjęto mnie na kurs spawaczy. 8 listopada dokładnie, tu jest pieczątka, a ta druga, obok, 8 sierpnia 1980 – zwolnienie. Trzydzieści lat, jaki zbieg okoliczności, prawda?

Rok później moje zdjęcie pojawiło się po raz pierwszy w gazecie w artykule *Nasi przodownicy* i odtąd pojawiało się coraz częściej: przed Zlotem Młodzieży w Berlinie, z okazji Kongresu Związków Zawodowych (pojechaliśmy we trójkę – Sołdek, Gołąbek[1] i ja, jako delegaci stoczni) oraz w gablotce przodowników na dziedzińcu. W kombinezonie tam stoję, przy pracy, w jednym ręku trzymam maskę, a w drugiej rączkę spawalniczą. Obok mnie stoi Wiśniewska

[1] Stanisław Sołdek i Władysław Gołąbek – pracownicy stoczni, przodownicy pracy.

Jadwiga – dwieście czterdzieści procent, i Sekuła Emilia – dwieście dziesięć. Ja miałam wykon najwyższy: dwieście siedemdziesiąt procent normy. Gablotka stała przed dyrekcją, a pod nią czerwoną farbą szedł napis: „Przodownice z brygady im. Róży Luksemburg".

Najważniejszym wydarzeniem w tamtych czasach był Zlot Młodzieży w Berlinie w 1951 roku. Najpierw spędziliśmy dwa tygodnie na obozie przygotowawczym, gdzie uczyliśmy się wielu rzeczy: chodzenia krokiem marszowym, śpiewania chórem *Hej, wy konie, rumaki stalowe* oraz odpowiedzi na pytania agentów imperializmu. Zwłaszcza nie należało się dać namówić do pozostania, a najlepiej trzymać się grupy i na niczyje pytania nie odpowiadać w ogóle. Pamiętam, że jakiś młody górnik ze Śląska powiedział wtedy: „Gdyby do mnie podszedł imperialistyczny prowokator, to skąd mogę wiedzieć, jak bym się zachował?". Na co wstał kolega z Olsztyna, wysoki blondyn, i powiedział: „Jeśli już teraz kolega nie wie, jak by się zachował, to cóż dopiero w Berlinie?". I kolega górnik musiał złożyć oświadczenie, że źle się czuje ze zdrowiem, i powrócił na Śląsk.

Co do mnie, to siedziałam cichutko i powtarzałam sobie, że na pewno do żadnego prowokatora nie otworzę ust.

18 sierpnia zwiedziliśmy w Berlinie pierwszą wystawę, czeską. Chodziliśmy po niej dwójkami, a przy wyjściu patrzymy – nie ma naszego kolegi z Olsztyna, tego wysokiego, co nie był pewny, jak zachowa się górnik. Robimy apel, odliczamy – nie ma. Idziemy do kwater, nikomu z nikim rozmawiać nie wolno, a już z obcymi tym bardziej... No i odtąd każdego dnia ubywało po jednym delegacie, po dwóch, tyle że już bez apelu i odliczania. Powiedziano nam tylko surowo, że nikt nie śmie opowiadać w kraju, co się stało, a jeśli zapyta ktoś, to mówimy, że wroga propaganda.

Opowiadam tak szczegółowo o zlocie, bo było to ważne wydarzenie w moim życiu: po raz pierwszy sama zetknęłam się z kłamstwem i po raz pierwszy moja organizacja kazała mi okłamywać innych.

7 września 1952 roku urodził się mój syn. O jego ojcu nie opowiadam, bo nie warto: przed ślubem jeszcze pokazał swoje prawdziwe oblicze i postanowiłam nie wychodzić za mąż.

Mieszkałam z moim dzieciątkiem w Domu Matki i Dziecka jakiś czas, a potem napisałam list do Bolesława Bieruta i dostałam mieszkanie. To jest to mieszkanie właśnie, na Grunwaldzkiej, pokój z kuchnią, pięćdziesiąt trzy metry, latem całe skąpane w promieniach słońca.

Anna Walentynowicz na moją uwagę, że jej historia jest życiem robotnika idealnego, jak Wandy Gościmińskiej albo Apryasa, albo braci Bugdołów[2], z tamtych ludzi nikt jednak nie stał się przywódcą strajku. Czy można wskazać jakiś dzień, jakieś jedno zdarzenie, które uznalibyśmy za trop prowadzący do tej bramy stoczniowej w dniu 14 sierpnia?

– W kolektywie naszego wydziału reprezentowałam Ligę Kobiet. Raz w tygodniu zbieraliśmy się i ustalaliśmy kary i nagrody. Każdy zgłaszał swoich protegowanych do nagród i kiedy przychodziło do moich kobiet, nie było już pieniędzy. Protestowałam i mówiłam, że to niesprawiedliwe.

Kiedyś dostaliśmy trzy tysiące do podziału. Mieliśmy dać dziesięciu osobom po trzysta, ale okazało się, że pieniędzy już nie ma: dostali trzej członkowie rady, każdy po tysiąc. Podobno zresztą dwaj i tak musieli oddać przewodniczącemu, który grał w totolotka i przegrywał. Powiedziałam wtedy publicznie, pierwszy raz, że zabierają pieniądze, które należą się robotnikowi. Na drugi dzień mistrz szeptem zawiadomił mnie: „Pani Aniu, był telefon, ma pani się zgłosić, gdyby pani nie wróciła, co z dzieckiem?".

Pytano mnie, czy słucham zagranicznego radia. Powiedziałam, żeby się nie wygłupiali i że nie o radio chodzi, tylko o wczorajszą naradę. Do pracy wróciłam po paru godzinach. Czy myśli pani, że to można uznać za początek?

Nie, chyba nie. Podobnych historii z premiami, podobnych przesłuchań było tysiące, tylko że ludzie, których na rozmowy wzywano, zwykle potem przestawali zabierać głos, zaś Anna Walentynowicz mówiła dalej.

Anna Walentynowicz na pytanie, czy się nie bała:

– W 1964 roku wyszłam za mąż.

Rok później zachorowałam na raka.

Po operacji naświetlano mnie radem, a kiedy wychodziłam ze szpitala, lekarz powiedział, że mam przed sobą w najlepszym razie pięć lat życia.

Termin, jaki wyznaczyli mi lekarze, mijał w 1970 roku. Zaraz potem wybuchł Grudzień – ten krzyk, ta ślepa rozpacz, z którą ludzie wyszli na ulicę.

Pomyślałam: minęło pięć lat, a ja żyję. Jeśli Pan Bóg darował mi życie, to po to przecież, żebym coś z nim mądrego zrobiła. I zastanowiłam się, co też to powinno być.

Wiedziałam, że sama wielkiej krzywdy nie zwalczę, więc zaczęłam od drobnych spraw. Zebrałam od ludzi na wydziale kartki na mleko, po które musieli chodzić do odległej stołówki, przyniosłam z domu garnek, gotowałam mleko i nosiłam wszystkim na stanowiska pracy. To samo zrobiłam z zupą:

[2] Wanda Gościmińska – łódzka włókniarka, Franciszek Apryas – górnik przodowy z kopalni w Brzeszczach (rekord – ponad sześćset procent normy), Bernard i Rudolf Bugdołowie – górnicy, rębacz i ładowacz, z kopalni w Robaczowie.

dogadałam się z jednym człowiekiem, który mi przywoził zupę na wydział, podgrzewałam ją, a jak zjedli, zmywałam naczynia. Nie kosztem pracy, oczywiście, tylko podczas przerw.

Przyszedł do mnie mistrz i mówi, że ja to robię pod publiczkę i że pracownicy mają chodzić do stołówki. Odniosłam naczynia i znów zastanowiłam się – co robić. Przed halą był kawałek ziemi, skopałam go i zasiałam kwiatki, ale przychodzi mistrz i mówi: „Chce się pani popisać, prawda?". „Ja nic, panie mistrzu, nie chcę – powiadam – tylko żeby kwiatki rosły". Ale zabronił mi i więcej ogródka nie uprawiałam.

Nudziło mi się. Na suwnicy miałam roboty na cztery godziny, nie więcej (przeszłam na suwnicę po operacji), ogródka uprawiać nie wolno, zupy grzać nie wolno, to siedzę na górze i szydełkuję. Któregoś dnia cisza na dole. Daję sygnał, kolega pisze mi na podłodze – „STRAJK". Lecę na dół, a tam już tłum stoi i dyrektor tłumaczy, że podział premii jest taki, jak zarządził premier. Wołam: „Przecież premier obiecał nam, że system podziału opracujemy sami". Jak krzyknęłam, ludzie mówią mi: „Idź do mikrofonu". Powtórzyłam o premiach, ale dodałam też, żebyśmy poszli teraz do pracy, a dyrekcja zawiadomi nas, co postanowiła. Ludzie podjęli pracę. I dopiero tamtego dnia, 20 maja 1971 roku, kierownictwo zwróciło na mnie uwagę. Nie jak wzywałam do strajku, tylko jak do pracy, bo ludzie usłuchali mnie. Nie wezwania kierownika, nie dyrekcji, tylko mnie właśnie usłuchali i to dało do myślenia moim szefom.

Anna Walentynowicz na pytanie, czy się nie bała:

– W październiku 1971 roku umarł mój mąż, a syn poszedł do wojska. Dziesiątego był pogrzeb, dwudziestego piątego wyjechał syn – zostałam sama.

Czego miałam się bać, skoro zostałam sama?

O męża nie musiałam się bać, bo najgorsze już się stało.

O syna nie, bo już dorósł.

O siebie nie, bo wiedziałam, że Bóg darował mi życie, choć wciąż nie rozumiałam dokładnie dlaczego. To czego się bać? Nie, strach tu u mnie nie miał miejsca.

Zresztą zajęta byłam tylko pracą, cmentarzem i dojazdami do syna do Ustki. Na każdą Wigilię brałam w jedną rękę torbę ze zniczami, w drugą wałówkę, najpierw szłam na grób i zapalałam świecę, a potem jechałam do syna. Na grobie mówiłam: „Popatrz, Kazik, jak jest. Wszyscy mają dzisiaj swoich bliskich przy sobie, a wy jesteście w innym świecie każdy i ja nie mogę dotrzeć

do was jednocześnie. Jak kosmonauta krążę między waszymi światami, czy to jest sprawiedliwe?".

Własnoręcznie zrobiłam krzyż mojemu mężowi. Sama go zespawałam, ocynkowałam i pomalowałam na białym tle czarną farbą, że wygląda jak brzoza. Znicze wbiłam bardzo głęboko i czasem poruszałam nimi i czułam, jak dotykają trumny. Mówiłam: „Kaziu, słyszysz mnie? To ja". I opowiadałam o wszystkim, co zdarzyło się tego dnia na wydziale. Kiedy zakończył się strajk, prosto ze stoczni pobiegłam na cmentarz. „Kazik – zawołałam. – Słuchaj! Zwycięstwo!"

Anna Walentynowicz na pytanie, kiedy zrozumiała, co trzeba robić:

– Po grudniu myślałam sobie: teraz się na pewno zmieni, nie jest możliwe przecież, żeby po tych strzałach, po tej krwi wszystko zostało po dawnemu, ale okazało się, że to było możliwe.

Pomagałam wtedy dwóm kobietom, pani Lodzi, sparaliżowanej od dwudziestu lat, z gośćcem postępującym, i pani Alicji, osiemdziesięciotrzyletniej staruszce bez rodziny. Matkę Teresę z Kalkuty pytano kiedyś, co może dać człowiekowi na pół godziny przed śmiercią. Odpowiedziała: „Wiarę, że człowiek nie jest zupełnie sam". Ja nie mogłam nic zrobić dla wielu, dla wszystkich skrzywdzonych naraz, to myślałam, że choć pomogę pani Alicji.

Dwa lata temu usłyszałam pierwszy raz o Wolnych Związkach. Nie wiedziałam, co to jest, ale od razu zakiełkowała we mnie myśl, że gdybyśmy mieli prawdziwe związki, to nie bylibyśmy tacy bezbronni. Zaczęłam szukać ludzi, którzy mogliby mi to wytłumaczyć. Zdziwiłam się, jak ich zobaczyłam pierwszy raz, bo to byli ludzie z inteligencji, którzy chcieli pomóc nam, robotnikom. Opowiedziałam o nich kolegom z wydziału i przyniosłam do przeczytania nielegalne gazetki i różne rzeczy o związkach.

Zaczęto mi robić przykrości. Pracownikom nie pozwolono ze mną rozmawiać, a kierownik wydziału wyznaczył mi teren, po którym miałam prawo poruszać się: od bramy do szatni i od szatni do stanowiska pracy. Na hali miałam wyznaczony odcinek, od wejścia do siatki, a ponieważ toaleta była już poza nim, dorobiono mi klucz do innej, z sąsiedniego wydziału. Każdy krok poza wyznaczonym mi terenem był uważany za opuszczenie przeze mnie stanowiska pracy.

Kiedyś miała przyjechać telewizja. Czterech pracowników przebrano w nowiutkie kombinezony, posadzono na ławce i nie pozwolono pracować, żeby się nie ubrudzili. Zdjęto plandekę z importowanej maszyny do gięcia rur, której nie używano, bo miała pięć razy większą wydajność niż nasze i nie wiedziano

by, co zrobić ze zbędnymi ludźmi, i kiedy przyjechała telewizja, stanęli przy tej maszynie pracownicy w nowych kombinezonach, a mnie kazano iść na suwnicę i w żadnym razie nie pokazywać się, aż telewizja odjedzie. Telewizja odjechała, maszynę nakryto plandeką, robotnicy zdjęli kombinezony i wrócili do pracy.

We wrześniu postanowiłam odejść na emeryturę. Przed emeryturą ludziom daje się zawsze wyższą grupę bez egzaminu, ale mnie zrobiono egzamin. Zdałam go i wtedy kierownik powiedział robotnikom: „Chcecie, żeby dostała grupę? To zdejmijcie plakat". Plakat z portretem papieża wisiał od czerwca, od jego wizyty, i nikt go nie chciał zdjąć, ale jak od tego uzależniono moją podwyżkę, ludzie powiedzieli: „W porządku" i zdjęli plakat.

Wszystko to było dosyć ciężkie do zniesienia, podtrzymywała mnie tylko myśl, że nie jestem sama i że mogę się modlić. Modliliśmy się codziennie po południu, w kościele Najświętszej Marii Panny w Gdyni. Głośno odmawialiśmy różaniec w intencji przyjęcia do pracy zwolnionych ludzi, w intencji sędziów, którzy wydają niesprawiedliwe wyroki, tych, co przychodzą na nasze modlitwy służbowo, a przede wszystkim, żebyśmy mieli zawsze odwagę stawać w obronie drugiego człowieka.

W styczniu przeniesiono mnie na inny dział. Pracowałam tam z trzema osobami, którym wyznaczono zadania: brygadzista miał pilnować, żebym nie wychodziła, grupowy, żebym nie rozmawiała, a pani Jadzia miała ze mną gawędzić po kobiecemu. Przeniesienie to było bezprawne, ponieważ nie wymówiono mi warunków pracy, więc odwołałam się do komisji rozjemczej. Komisja rozjemcza przekazała sprawę komisji odwoławczej, komisja odwoławcza sądowi, sąd odwoławczej i po pół roku prawomocnym wyrokiem przywrócono mnie na poprzednie stanowisko na w-2.

Mijały tygodnie, nikt tego wyroku nie respektował. Wobec tego sama zgłosiłam się na w-2, ale kierownik zastąpił mi drogę i kazał odejść. Następnego dnia w bramie rzuciło się na mnie czterech strażników, chwycili za ręce, zabrali przepustkę i zawlekli do wartowni.

Codziennie przychodziłam do pracy zgodnie z postanowieniem sądu, ale nie pozwalano mi pracować. Jednego dnia zamykano mnie na klucz w szatni, drugiego strażnicy zatrzymywali na wartowni siłą, trzeciego nic się specjalnego nie działo, tylko dyrektor oświadczył, że wyrok sądu go nie obowiązuje – i tak dalej. 9 lipca strażnicy wezwali wóz i zawieźli mnie do działu kadr. Tu po trzydziestu latach pracy w Stoczni Gdańskiej wręczono mi zwolnienie dyscyplinarne, świadectwo pracy i zaległą wypłatę. W świadectwie było napisane: „z artykułu 52., za samowolne porzucenie pracy", choć przychodziłam dzień w dzień i odbijałam kartę.

Urzędniczka, która mnie zwalniała, powiedziała: „Pani Aniu, to straszne, co robią z panią, ja dwie tabletki relanium musiałam wziąć, żeby pani dać to zwolnienie".

Zapytałam: „A dlaczego właściwie pani to robi?". „Zwolnią mnie, jak nie zrobię – powiedziała – a wtedy przyjdzie ktoś inny i zrobi to samo". „To niech ten inny też nie robi. I jeszcze inny. Wszystkich nie zwolnią przecież".

Dlaczego ludzie nie rozumieją tak prostej sprawy, jak pani uważa?

Anna Walentynowicz na pytanie, czy ludzie są źli:

– Kiedy wybuchnął strajk, zaczęły się dziać z ludźmi jakieś dziwne rzeczy. Ludzie zrobili się dobrzy. Od razu, w ciągu jednego dnia. Nawet jeden pan, jeden z moich najgorszych prześladowców, zaczął tak jakoś odważnie przemawiać do mikrofonu, ale tego nie wytrzymałam już i powiedziałam, jak się zachowywał wcześniej. Sytuacja zrobiła się trochę niemiła i Lech musiał salę uspokoić. „Proszę, żeby wszyscy usiedli – powiedział – i zachowali godność, jak przystało na chrześcijanina. Ja sam wyprowadzę tego pana, żeby mu się nie stała krzywda".

I przeprowadził go do bramy, za bramę nawet, poprzez tłum, który czekał na niego.

Ten człowiek był u mnie niedawno i mnie przepraszał.

Wszyscy mnie przepraszają teraz i wszyscy są dla mnie bardzo mili i dobrzy. Strażnicy, którzy wykręcali mi ręce, mówią: „Dzień dobry, pani Aniu". i nawet przepustki nie chcą sprawdzić. Mistrzowie, którzy pilnowali, żebym korzystała tylko z mojej toalety, składają mi gratulacje, a pani Jadzia, która gawędziła ze mną po kobiecemu, powiedziała: „Jestem z panią, pani Aniu". Poszłam do nich któregoś dnia w czasie strajku z dziennikarzem angielskim. Jakże się mną ucieszyli. „Musieliśmy, pani Aniu, to wszystko robić, bo baliśmy się" – powiedzieli mi. „Ale teraz się już nie boicie?" – spytałam. „Nie, teraz nie". – I rzuciliśmy się sobie w ramiona.

Tak że – jak przypuszczam – ludzie może i nie są źli, tylko się bardzo boją.

Anna Walentynowicz na pytanie o dzień 14 sierpnia:

– Rano byłam w naszej przychodni u lekarza. Ktoś powiedział: strajk. Spojrzałam na dźwigi za murem. Stały. Na wszelki wypadek nie wróciłam do domu, tylko do znajomych, pod czterdziestym. Przed dwunastą przybiegła do mnie sąsiadka i mówi: „Dyrektor przysłał po ciebie wóz". Powiedziałam, że nie wyjdę stąd i niech podjadą pod samą bramę. Samochód podjechał, wskoczyłam

i pojechaliśmy. Parę minut po dwunastej weszłam do stoczni. W bramie stały jakieś dwie panie z kwiatami i okazało się, że były to kwiaty dla mnie. Ktoś powiedział, żebym weszła na koparkę. Weszłam i zobaczyłam ogromny tłum, jak podczas wizyty papieża. Nad tłumem zobaczyłam transparent: „ŻĄDAMY PRZYJĘCIA WALENTYNOWICZ".

Starałam się nie płakać.

Powiedziałam: „Dziękuję wam" – i zeszłam z koparki.

Następnie wszyscy poszliśmy do hali BHP, żeby się naradzić, ale resztę już pani pewnie zna, więc nie ma sensu powtarzać.

Hanna Krall, *Wyjątkowo długa linia. Spokojne niedzielne popołudnie*, Warszawa: Świat Książki, 2010, s. 220–231

1980

Marek Miller (ur. 1951) z zespołem

Julian Beck, Tomasz Domański, Małgorzata Golicka-
-Jabłońska, Ewa Kafarska, Anna Kot, Zofia Kraszewska,
Krzysztof Krupski, Jolanta Kwapisiewicz, Ewa Łukaszewicz,
Agnieszka Ostapowicz, Gustaw Romanowski, Tomasz
Soldenhoff, Urszula Surmacz, Paweł Tomaszewski, Zofia
Turowska, Waldemar Wiśniewski, Grażyna Zdrójewska

Wielu autorów – wielu bohaterów

Reportaż zbiorowy to eksperyment, który Marek Miller rozpoczął w roku 1980 książką *Kto tu wpuścił dziennikarzy*. Eksperyment trwa do dzisiaj. Ma swoich zwolenników.

Ma też swoją historię. W Rosji w latach trzydziestych – o czym wspominał z zachwytem Wańkowicz – zbiorowo pisano książki o wielkich budowach. Autorami byli i robotnicy, i pracownicy umysłowi. Każdy opisywał swój „kawałek pracy". Kolejne tomy wychodziły w wydawanej przez Maksyma Gorkiego serii „Historia fabryk i zakładów pracy". Bardzo znaną książką z tej serii stało się zbiorowe dzieło o budowie Kanału Białomorsko-Bałtyckiego *Biełomorsko-Bałtijskij kanał* (1934). Jednak w tym przypadku – na osobiste polecenie Stalina – Gorki zorganizował sześciodniową wycieczkę ponad stu pisarzy i artystów ZSRR, aby zobaczyli zakończenie budowy. Tak powstała książka reporterska napisana przez wielkie pisarskie nazwiska ówczesnych czasów: Michaiła Zoszczenkę, Aleksieja Tołstoja, Wsiewołoda Iwanowa, Wiktora Szkłowskiego, Ilję Ilfa, Jewgienija Pietrowa itd. W założeniu książka miała być „pomnikiem pomnika", jakim był Biełomorkanał. Ma ponad sześćset stron, pełna jest zdjęć, wykresów, statystyk. Są w niej rozmowy z robotnikami i więźniami, którzy go budowali, ich portrety i reporterskie sylwetki.

W Polsce wspólne pisanie książek *non-fiction* reżyseruje (trudno znaleźć lepsze określenie) Marek Miller. Nazywa je pisaniem polifonicznym.

Łodzianin, reporter, pisarz, autor filmów dokumentalnych. Magisterium z socjologii obronił w 1978 roku na Uniwersytecie Łódzkim. Pisał w nim o stylu życia i warsztacie polskich reporterów. Praca rozrosła się potem do rozmiarów książki – *Reporterów sposób na życie* (1983). W latach 1981–1986 pracował dla tygodników „Odgłosy" w Łodzi i „Radar" w Warszawie. W latach 1987–1989 wykładał w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi. Od 1994 roku jest wykładowcą w Instytucie Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego. Dziś prowadzi na uniwersytecie Laboratorium Reportażu, gdzie pod okiem m.in. Janiny Jankowskiej, Tadeusza Słobodzianka czy Macieja Drygasa studenci poszukują „nowych form zobiektywizowanego opowiadania o rzeczywistości".

Poprzedniczką Laboratorium była Pracownia Reportażu. W kwietniu 1980 roku Marek Miller stworzył prekursorskie miejsce zespołowej pracy nad

tekstem. Pierwszy był reportaż pięcioosobowej grupy autorów *Będzie tydzień w mieście Łodzi*. Tekst opisywał tydzień, który miał dopiero nastąpić. Materiał był przygotowany do druku w „Polityce", lecz zdjęła go cenzura.

Jednocześnie w drugim obiegu ukazała się książka Pracowni Reportażu *Kto tu wpuścił dziennikarzy*, czyli historia narodzin Solidarności widziana oczyma dziennikarzy, która w 1986 roku otrzymała Nagrodę Dziennikarzy Niezależnych. Podczas stanu wojennego była czytana w Radiu Wolna Europa, zaś w 1991 roku przeniesiono ją na scenę Teatru Telewizji (reżyserował Mikołaj Grabowski).

W Pracowni Reportażu zrodziła się też idea „powieści dokumentalnej", złożonej ze świadectw, wypowiedzi i dokumentów. Za taką powieść Marek Miller uważa swoją *Filmówkę* (1992) – książkę o łódzkiej szkole filmowej, czy *Arystokrację* (1993) – opowieść o polskiej magnaterii. One – tak jak dzieło o dziennikarzach podczas wydarzeń sierpniowych 1980 roku – także są polifoniczne. Każdy głos rozmówcy w takiej książce jest „samodzielny i równouprawniony względem pozostałych, opowiada o wydarzeniach i faktach, które rzeczywiście miały miejsce i które mają znaczenie dla jakiejś społeczności".

Bohaterów-rozmówców książki polifonicznej jest wielu, autorem całości może być jeden reporter – tak jak w *Filmówce* i *Arystokracji* Marek Miller – lub wielu. Twórcami *Kto tu wpuścił dziennikarzy* było osiemnaścioro reporterów. Po zebraniu materiału wszyscy razem rekonstruują wydarzenia z przeszłości, historię jakiegoś miejsca czy grupy ludzi, ale robią to, używając tylko wypowiedzi rozmówców. Układają zebrane elementy we wspólną opowieść. Nad całością czuwa Miller.

W czym ta metoda jest lepsza od tradycyjnego niepolifonicznego reportażu?

> Prawda nigdy nie rodzi się i nie przebywa w głowie pojedynczego człowieka, prawda rodzi się m i ę d z y l u d ź m i wspólnie jej poszukującymi, rodzi się w procesie ich dialogowego obcowania – pisał Michał Bachtin, teoretyk polifonii literackiej. – [...]. Jeżeli dysponujemy już zgromadzonymi w wyniku dialogu głosami uczestników i świadków wydarzeń, przystępujemy do montażu – rekonstrukcji. Rekonstrukcja ta ma również charakter dialogowy i polifoniczny: zestawiamy ze sobą różne głosy, różne języki, które wchodzą ze sobą w dialogowe relacje.

Ten typ tekstów obfituje w głosy uczestników i świadków wydarzeń (wszystkich stron), ale unika zdania odautorskiego.

> Nie jest to oczywiście metoda w pełni obiektywna – piszą twórcy Laboratorium Reportażu w deklaracji programowej – ale z pewnością nosi mniejsze znamiona subiektywizmu niż klasyczny, homofoniczny reportaż literacki.

Tą metodą, we współpracy ze studentami Laboratorium Reportażu, powstały na przykład książki: *Sekta made in Poland* (2007) – na jej podstawie Maria Spiss wyreżyserowała spektakl *Pani Bóg Halina* w Teatrze Starym w Krakowie; *Uczta grudniowa 1840 roku, czyli dwóch na słońcach swych przeciwnych Bogów* (2007) o spotkaniu Mickiewicza ze Słowackim i ich słynnych improwizacjach w relacjach świadków – na jej podstawie Mikołaj Grabowski wyreżyserował spektakl pod tym samym tytułem; *Europa wg Auschwitz. Litzmannstadt Ghetto* (2009), która z kolei stała się kanwą filmu dokumentalnego *Likwidacja 08.1944* w technice 3D w reżyserii Michała Bukojemskiego i Marka Millera.

Jakub P. Kulawczuk, jeden z absolwentów Laboratorium Reportażu, opublikował w 2009 roku książkę *Czas zatrzymany. 1–8 kwietnia 2005*. Jest to zbiór wyznań osiemdziesięciu osób, które opowiadają o swoich przeżyciach między dniem śmierci a dniem pogrzebu Jana Pawła II. Rozmówcy – od Lecha Wałęsy po właściciela agencji towarzyskiej – wywodzą się z różnych środowisk. Ta polifonia na temat Polski Jana Pawła II jest jedną z najciekawszych książek reporterskich XXI wieku.

Kto tu wpuścił dziennikarzy ma wiele tematów. Do antologii wybraliśmy (nie zaznaczając skrótów, aby tekst czytało się jako całość) wątek o tym, jak pobyt w stoczni wpłynął na samych dziennikarzy, a niektórym z nich pozwolił przewartościować swój zawód. Ze względu na ograniczoną ilość miejsca nie wszyscy rozmówcy zespołu Millera wypowiadają się w tym fragmencie.

Kto tu wpuścił dziennikarzy

Oto lista naszych rozmówców:

Wojciech Adamiecki – „Literatura", Andrzej Bajorek – „Życie Warszawy", Bogusław Biegański – „Na przełaj", Krzysztof Bobiński – korespondent londyńskiego „Financial Times", Henryka Dobosz – „Tygodnik Kulturalny", Irena Dryll – „Trybuna Ludu", Andrzej Drzycimski – „WTK", Kazimierz Dziewanowski – „Literatura", Ireneusz Engler – TV Warszawa, Zbigniew Gach – „Czas", Henryk Galus – „Głos Wybrzeża", Wojciech Giełżyński – współpracownik „Polityki", Artur Hajnicz – emerytowany dziennikarz, Piotr Halbersztat – Polska Kronika Filmowa, Krystyna Jagiełło – „Literatura", Janina Jankowska – Polskie Radio Warszawa, Elżbieta Jaworska – TV Gdańsk, Ewa Junczyk-Ziomecka – warszawski oddział „Panoramy Śląskiej", Ryszard Kapuściński – „Kultura", Adam Kinaszewski – TV Gdańsk, Tadeusz Knade – „Słowo Powszechne", Janusz Kołodziejski – „Prawo i Życie", Bohdan Kosiński – Wytwórnia Filmów Dokumentalnych, Stefan Kozicki – „Kultura", Przemysław Kuciewicz – gdański oddział PAP, Tadeusz Mazowiecki – „Więź", Michał Mońko – „Kultura", Zbigniew Niemcewicz – „Głos Pracy", Adam Orchowski – „Czas", Nina Rasz – „Głos Wybrzeża", Lech Stefański – „Polityka", Tadeusz Strumff – „Trybuna Ludu", Jerzy Surdykowski – „Życie Literackie", Janina Słuszniak – „Kobieta i Życie", Włodzimierz Szymański – „Głos Wybrzeża", Zbigniew Trybek – „Czas", Bogusław Turek – Agencja UPI, Ryszard Wesołowski – „Czas", Mariusz Wilk – Biuletyn Strajkowy Stoczni Gdańskiej, Tadeusz Woźniak – „Wieczór Wybrzeża", Andrzej Zajączkowski – Wytwórnia Filmów Dokumentalnych. [...]

Tadeusz Strumff

W czwartek 14 grudnia... – nie, przepraszam, sierpnia – przyszedłem do redakcji i dowiedziałem się, że w Gdańsku jest strajk. Nie była to może taka nadzwyczajna wiadomość, jako że byliśmy już przyzwyczajeni do pełzających strajków, ale stocznia to był sygnał – przynajmniej dla mnie – innego rozwoju sytuacji.

Wszedłem do Bareckiego. Nie miałem wątpliwości, że kiedy mu powiem, że chcę jechać, on się na to zgodzi, ponieważ zawsze wychodził z założenia, że dziennikarz musi być na miejscu wydarzeń. Powiedział: „Proszę cię bardzo, jedź, pewnie za trzy dni wrócisz". Powiedział mi jeszcze, że według jego

informacji (bardzo nielicznych zresztą) występuje w stoczni nowy element, którego nie było dotychczas, tak zwany postulat nowych związków zawodowych. I towarzysze „na górze" niepokoją się...

Później chyba zastępca naczelnego zadzwonił do sekretarza propagandy w Gdańsku, Demichowicza, i uprzedził, że ja przyjadę. To znaczy był to rodzaj może nawet uzgodnienia, że ja tam będę, bo w końcu wyjeżdżałem na teren podminowany.

Janusz Kołodziejski
Poszedłem do naczelnego prosić o pozwolenie na wyjazd. Odpowiedział mi, że to jest sprawa, która będzie szybko rozładowana, a i tak nie jest do pisania. Wobec tego oświadczyłem, że pojadę prywatnie. Miałem zaległy urlop. Jednak jeszcze tego samego dnia po południu redaktor naczelny zawiadomił mnie, że mogę otrzymać delegację i że funkcjonuje już tam grupa dziennikarzy z „Trybuny Ludu" wysłana przez KC.

Ryszard Kapuściński
Poszedłem do „Kultury". Dowiedziałem się, że pojechał już Kozicki. Powiedziałem, że ja też jadę.

Krystyna Jagiełło
Wojtek Adamiecki i Marta Miklaszewska pojechali do Gdańska. Małgosia Szejnert i Tomek Zalewski – do Szczecina. Wszyscy reporterzy wyjechali sami z siebie, niekierowani przez nikogo.

Andrzej Zajączkowski
Siedzieliśmy w Warszawiance z Bohdanem Kosińskim i mówiliśmy sobie: jak to w ogóle jest? Jaka straszna jest nasza sytuacja – ludzi, którzy powinni dokumentować takie wydarzenia – a my siedzimy tu spokojnie i nie mamy możliwości robienia tego, do czego jesteśmy właściwie zobowiązani. Powiedzieliśmy sobie: „Koniec, musimy jechać". No i złożyliśmy temat u dyrektora programowego. Oczywiście dyrektor wymigiwał się. Przyciśnięty do muru powiedział, że to nie leży w jego kompetencji, tylko w kompetencji ministra.

Ireneusz Engler
Siedziałem w domu i słuchałem zachodnich radiostacji. Dowiaduję się niesłychanych rzeczy – ja, który cały czas jestem najszczęśliwszy w sensie

zawodowym, kiedy mam kawałek taśmy filmowej, ekipę do dyspozycji i dokumentuję rzeczywistość. Ja siedzę w domu, urlop mam. A tam się takie rzeczy dzieją! Przez cały czas płynąłem pod prąd, bo – po pierwsze – nie miałem zgody na robienie zdjęć filmowych w stoczni. Po drugie – ograniczony limit taśmy. W Gdańsku miałem robić reportaż o tym, co się dzieje wokół stoczni, czyli – wszystko z wyjątkiem najważniejszych rzeczy. Podjąłem decyzję: wchodzę do stoczni i robię film, który będzie dokumentacją strajku.

Andrzej Zajączkowski
Jeżeli zastanawialiśmy się w ekipie nad tym, to tylko ze względu na długość taśmy. Wywalczyliśmy dziesięć tysięcy metrów; i to określało długość naszego pobytu.

Wojciech Adamiecki
Wiedziałem jedno, że przyjeżdżam do stoczni, zostaję w niej, cokolwiek by się działo.

Irena Dryll
Jechałam na normalny strajk, a przyjechałam na rewolucję. [...] Maszyna do pisania, magnetofon. Aha! Jeszcze grzałkę i herbatę. Bo ja jestem herbaciarzem i lubię sobie doparzać. No oczywiście szczotkę do zębów... i różne dane na temat naszej sytuacji gospodarczej. Żeby dyskutować czy – powiedzmy – przekonywać.

Zawsze tam, gdzie jadę, staram się zabrać ze sobą najświeższe wiadomości. Szanuję swoich rozmówców i staram się do tych rozmów przygotować. Nie wiedziałam przecież, o co tam chodzi. Nie było żadnych informacji poza Wolną Europą. Strajkują! Ale dlaczego? Można przecież strajkować z tysiąca różnych powodów. Więc na wszelki wypadek... Wzięłam ze sobą również książkę profesora Jana Szczepańskiego *Rozważania o Rzeczypospolitej*, która się ukazała – nomen omen – w 1971 roku na VI Zjeździe Partii. I wówczas rekapitulowała nasze poprzednie kryzysy. A ponieważ jest to mój ukochany profesor, który dał mi dyplom, i do tego z piątką, więc ja sobie zabrałam tę książeczkę do nocnych, że tak powiem, poczytań...

Krystyna Jagiełło
Magnetofonu nie wzięłam, ulegając panice, że tam mogą nas przymknąć i pozabierać takie rzeczy.

Janina Jankowska
Wzięłam dwa magnetofony, w tym uhera[1], i poza tym pięć kaset po sześćdziesiąt minut, i dwie taśmy szpulowe.

Piotr Halbersztat
Normalny ekwipunek, tak jak na każdy wyjazd służbowy. Kamera trzydzieści pięć milimetrów. Duża zawodowa kamera arriflex, ważąca ładnych parę kilogramów. Kiedy się ją włącza, to ona warczy jak traktor i wszyscy wiedzą, że kręcimy. Poza tym tysiąc metrów taśmy i parę zestawów lodowych do oświetlenia. Przygotowywaliśmy się w pośpiechu. To się nazywa wyjazd awaryjny. Nie zabraliśmy więc aparatury dźwiękowej, bo to wymagałoby dłuższego przygotowania. Trzeba było przecież załatwić jeszcze samochód, benzynę, pieniądze. Po dwa tysiące złotych na osobę i cztery tysiące złotych na benzynę. Poza tym każdy miał coś ze sobą.

Wojciech Giełżyński
Maszynkę do golenia, bo nie lubię być nieogolony.

Janina Słuszniak
W podróży już nam główki pracowały. Zdawałam sobie sprawę, że trochę pokpiłam problem, że należało tam pojechać wcześniej. Oby się tylko nie okazało, że przyjeżdżamy na samo zakończenie. Myślałam: czy zdołam zrozumieć to, co się naprawdę stało? Rozmawiałyśmy, jak zrobić ten materiał, która z nas co zrobi. A poza tym to był dzień, kiedy miały się rozpocząć rozmowy z Jagielskim[2], i bardzo nam zależało, żeby tego nie przegapić. Trochę bałyśmy się, czy nas wpuszczą...

Piotr Halbersztat
Myśleliśmy różnie. Obok czysto emocjonalnych wzruszeń – sporo refleksji. Baliśmy się tego, co tam zastaniemy. I trochę byliśmy zdenerwowani sytuacją. Nie mogę powiedzieć, żeby element strachu też w tym nie grał roli. Myślałem, że Grudzień ’70 był ostatnim kryzysem, który mógł się zakończyć w taki sposób, jak się zakończył. To znaczy, że zmieniono gabinet, zmieniono parę osób na górze i życie powoli wróciło do normy. Byłem przekonany, że takiego napięcia już ten kraj nie wytrzyma. Ani za grosz nie wierzyłem w to, że nasze władze będą miały tyle rozsądku, żeby podjąć rozmowy ze strajkującymi. Ani promila nadziei. Więc po prostu jechałem z przekonaniem, że to się rozstrzygnie za pomocą siły. Byłem pełen czarnych myśli, że jadę na pierwszy etap tego,

[1] Uher – niemiecki magnetofon szpulowy.

[2] Mieczysław Jagielski (1924–1997) – w latach 1970–1981 wicepremier, potem członek Biura Politycznego KC, w 1980 roku przewodniczący komisji rządowej, która zawarła porozumienie z Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym w Stoczni Gdańskiej.

co się przerodzi w wojnę domową, że oto zaczyna się najtragiczniejszy etap w dziejach powojennej Polski. [...]

Wojciech Giełżyński

[...] Pojechaliśmy prosto pod Komitet Wojewódzki, żeby złapać pierwszy cynk. Dlaczego najpierw do Komitetu? Nie wiem. Jest taka tradycja, że zawsze jedzie się do Komitetu. Możliwe, że ta tradycja na nas zaciążyła. Znaliśmy nazwisko sekretarza propagandy – towarzyszki Bożeny Janikowskiej. Ale jej nie było. Był pierwszy sekretarz Antoni Polewniak ze swoim sztabem operacyjnym. Zaprosili nas do gabinetu, witali bardzo wylewnie jako przedstawicieli „Polityki". Gadki-szmatki: „Kawy się towarzysze napiją?". Bardzo przyjemnie ogólnie.

Czujemy, że tę kawę już podano, grzeczności sobie nawzajem wymieniliśmy, więc zadaję pytanie: „Towarzysze, myśmy tu przyjechali, żeby się dowiedzieć, jak wygląda sytuacja strajkowa". Na to pierwszy sekretarz Polewniak odpowiada: „Nie powiem ani słowa. Nie mamy jeszcze oceny". Myśmy zbaranieli w tym momencie, a oni dalej: „Nie będziemy referować prasie niczego, co się tu dzieje". Po tym supergrzecznym, eleganckim przyjęciu nagle zupełne zamrożenie. Mówię więc: „No, towarzyszu sekretarzu, nasza wizyta jest zupełnie bezprzedmiotowa. Poprzestaniemy na tych informacjach, jakie mamy". „A jakie macie?", „Że strajkuje dwadzieścia pięć zakładów, w tym »Zamech«". „Nieprawda. W »Zamechu« strajkują tylko dwa oddziały. W mieście strajkuje znacznie mniej zakładów".

W tym momencie sekretarz zorientował się, że już udzielił nam informacji. Po mniej więcej półtoragodzinnej rozmowie stwierdziliśmy, że jutro będziemy chodzić po zakładach. „Nie, towarzysze, nigdzie nie będziecie chodzić. Jest zakaz wstępu prasie, żeby nie zaostrzyć sytuacji". „Co to znaczy: nie zaostrzyć sytuacji?" „Bo u nas sytuacja jest dobra" – stwierdził. „Wszyscy sekretarze i inni pracownicy polityczni Komitetu stale od rana siedzą w tych strajkujących zakładach. Na przykład w zakładach »Truso«, gdzie towarzyszka Janikowska siedzi razem z kobietami. One trochę popłaczą, trochę popracują, trochę podyskutują i znowu pracują. Podobnie jest w innych zakładach". A strajkowało wtedy rzeczywiście cztery czy pięć zakładów. W dwóch zakładach komunikacyjnych dowiedzieliśmy się, że jest twardy strajk okupacyjny. Ponieważ jednak była późna godzina, zawieziono nas w końcu do eleganckiej willi będącej własnością Komitetu, żebyśmy się tam przespali, odpoczęli. To była taka dacza lokalna do użytku władzy, bardzo wytworna – z dywanami, obrazami. Wódki niestety nie było, co nam bardzo doskwierało, ale myśmy mieli trochę własnej. [...]

Włodzimierz Szymański
Szedłem od stoczni w kierunku politechniki i spotkałem Czajkowskiego, kolegę z redakcji, jadącego samochodem. Podwiózł mnie do domu i wtedy dowiedziałem się z niemałym zdziwieniem, że on był na terenie stoczni, że był tam również Szczesiak z „Czasu" i Sarota z „Głosu Wybrzeża".

Doznałem szoku, ponieważ nie wyobrażałem sobie, że można znaleźć się za tą hermetyczną bramą. Wydawało mi się, że tam absolutnie nie można wejść, że można tylko stać na zewnątrz i patrzeć.

Adam Kinaszewski
Teren wokół bramy był nieuporządkowany, wszędzie doły i wyrwy. Już z odległości kilkuset metrów usłyszałem śpiew. Podszedłem bliżej. Widok był taki: zamknięta brama, a za nią grupy robotników w kombinezonach. Przed bramą tłum ludzi. Wmieszałem się w ten tłum, który sprawiał wrażenie ogromnego. Ludzie śpiewali *Boże, coś Polskę*. [...] Tam w środku był ring. Akcja toczyła się według określonych prawideł, których starano się nie naruszać. Właściwie panował spokój. Natomiast pod bramą – szalejąca widownia. Wszystko było możliwe. Wiało grozą. Stłamszenie, przerażenie, ale i nienawiść; krańcowo agresywne zachowania i wypowiedzi.

Irena Dryll
Chodziło teraz o to, żeby przejść przez tę bramę, a była tam straż porządkowa z opaskami biało-czerwonymi.

Ewa Junczyk-Ziomecka
W Warszawie mówiono, że stocznia nie przyjmuje żadnych dziennikarzy, a mnie cholernie zależało, żeby tam wejść.

Irena Dryll
Od razu zrobiłam założenie, że nie będę udawać nikogo innego, niż jestem. Trudno, niech mnie spotka, co ma mnie spotkać, ale nie będę oszukiwać, że mam tylko dowód osobisty, gdzie jest napisane: dziennikarz, ale nie ma, z jakiej redakcji. A w ogóle to idę przecież do swojej stoczni, w swoim kraju. Dlaczego mam tak robić? [...] Przyszedł młody chłopak, blondynek, strasznie sympatyczny. Bardzo miło nas przywitał: „A, państwo z »Trybuny Ludu«, bardzo prosimy". Cały w lansadach. Ja wtedy już poczułam się pewniej, bo sobie myślę: jak nas wpuszczają, to może jeszcze stąd cało wyjdziemy. Pytam go: „Co słychać, co się tam dzieje?". A on: „Proszę pani, bardzo dobrze, bardzo

dobrze". Myślę sobie: co bardzo dobrze, co on ma na myśli? A on: „Sto ileś zakładów już się do nas przyłączyło. Proszę pani, są coraz to nowe zgłoszenia". Był pełen entuzjazmu.

Ireneusz Engler

Każdy mógł wejść. Natomiast moja sprawa była inna, ja byłem z telewizji, która jeszcze tego samego dnia emitowała wywiad Andrzeja Kozery z kobietami, które potępiały strajki. Musiałem długo tłumaczyć się, że nie jestem od bieżącej propagandy, a od rejestrowania rzeczywistości; że to, co się tu dzieje, ma szansę zaistnieć w telewizji tylko wtedy, jeżeli oni wygrają. Usłyszałem „Proszę pana, z Grudnia też robiono filmy i one są do dziś zamknięte w archiwach milicji i KC, one służyły do identyfikowania osób, które uczestniczyły w strajku". Ja: „Panowie, jest dziesięć lat później, są ekipy zachodnie, fotoreportaże na pierwszych stronach zachodnich gazet, w zachodnich dziennikach telewizyjnych długie relacje. Wałęsa jest już znany w australijskim buszu. To śmieszne, że się zasłaniacie takimi argumentami. Jeśli chcecie się przekonać, czy postępuję uczciwie, to po prostu weźcie taśmy ode mnie i oddacie je dopiero po wygraniu strajku". I Gwiazda[3] powiedział: „O, to jest pomysł". Zaryzykowałem, bo przecież ktoś ze zwykłej ciekawości mógł otworzyć pudełko z taśmą i już po wszystkim. Było to moje ryzyko. Zacząłem rozpowszechniać, że mam opiekuna spośród strajkujących, który ma nam pomagać, a jednocześnie zabierać taśmy. Opowiadałem to na prawo i lewo, aż doszło do dziennikarzy zagranicznych. Na jednej z konferencji prasowych zapytali, czy to prawda, że odebrano taśmy telewizji rządowej. „To prawda, ale na ich własną prośbę" – odpowiedziano. Po tej konferencji strajkujący przekonali się, że myśmy oddali taśmy, że nie mamy nic do ukrycia, że chcemy być z nimi, że chcemy pokazywać prawdę. Przełamaliśmy lody. Następnego dnia oddali nam taśmy. Jak się później okazało, nie były prześwietlone. Mieliśmy swobodę poruszania się i wszystko było w porządku.

Ryszard Kapuściński

Okazało się, że są ludzie, którzy na te godziny strajku wzięli ze sobą moje książki, które teraz podpisywałem. To natychmiast ułatwiało mi wejście w środowisko.

Adam Kinaszewski

Czułem się bardzo niepewnie. Czułem się jak pajac. Normalnie dziennikarz, który wchodzi w jakieś wydarzenie, to stara się być od tego wydarzenia

[3] Andrzej Gwiazda (ur. 1935) – związkowiec, opozycjonista, współzałożyciel Komitetu Założycielskiego Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża; w 1980 roku członek Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Stoczni Gdańskiej, w latach 1980–1981 wiceprzewodniczący Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność".

mądrzejszy, szybko je rozumie, nazywa po swojemu. A tu działy się rzeczy, że tego doświadczenia nie starczało.

Zbigniew Gach
Bez przerwy coś ogłaszano.

Z notatek
Komunikat: „W związku z ostrzeżeniem o silnym wietrze sekcja P-l zgłosi się do cumowania statków".

„W którymś z zakładów pracuje małżeństwo: ona strajkuje, on nie. Ona stoi przy bramie i nie wpuszcza go do zakładu".

Lech Wałęsa: „Proszę odpoczywać, bo musimy wytrzymać i przetrzymać tych panów".

„Obowiązuje prohibicja. Kontrabanda wódki idzie z Bydgoszczy".

„Milicja stwierdziła spadek przestępczości prawie do zera".

„Delegaci zakładów elektronicznych »Unimor« przynieśli zebrane przez pracowników pieniądze. Nie są z partii i nie są ze związków zawodowych. Podkreślają, że dyrekcja nie dała im samochodu".

„Lech Wałęsa i Henryka Krzywonos mają ochrypnięte gardła. Prawie nie mogą mówić".

„W męskim wc leży już brudnopis postulatów".

Wojciech Adamiecki
Kiedy wszedłem na tę salę, to zobaczyłem młodzież. Ludzi dwudziesto- i trzydziestoletnich. Tam siedziało nowe pokolenie. Siedziała po prostu nowa klasa robotnicza, z której siły nikt sobie nie zdawał w pełni sprawy. I jeśli czymkolwiek mogłaby się ta władza zatrwożyć, to nie tymi dwudziestoma jeden punktami nawet, lecz tym, że tam zasiadło i przemówiło nowe społeczeństwo, którym się nie da rządzić tak, jak się rządziło, i ono to powiedziało.

Henryka Dobosz
Na tej sali zdarzyły się rzeczy przeróżne. Taki człowieczyna – typowy wygląd partyjniaka, w garniturku brązowym, w białej koszuli, w krawacie. Były delegat na VII Zjazd, były członek władz KW, były sekretarz w zakładzie wstał, przedstawił się i powiedział: „Byłem na zjeździe jako delegat, ale nigdzie nie mogłem mówić prawdy, dlatego zorganizowałem u siebie strajk i przyszedłem tutaj, gdzie się mówi prawdę". I wtedy zaczęli zadawać mu pytania: „Dlaczego przedtem nie walczył? Dlaczego dopiero teraz przejrzał?". A ten Achilewicz

na to: „Byłem Kmicicem", a oni: „Podstawiony! Podstawiony! Wyrzucić go! Wyrzucić! Niech przysięga! Na krzyż!". Podchodzi więc do krzyża, staje na krześle, wyciąga rękę... Mało kto mógł to wytrzymać. Tadzio Knade krzyczy: „Dajcie mu spokój, odczepcie się od niego, bo ja oszaleję!" – i cały się trzęsie. Ja byłam spocona jak mysz. Jedni krzyczeli, inni zupełnie zamarli. To było straszne. Wreszcie ktoś pyta, czy ktokolwiek może zaświadczyć za niego. Na to wstaje dwoje ludzi z Pruszcza i mówią, że to wszystko prawda. A sala, że nie, nieprawda, że trzeba jechać i sprawdzić. Ten człowiek musiał przeżyć straszną rzecz.

Andrzej Bajorek

Dałem pierwszą w prasie centralnej relację z wydarzeń. Nadałem ją, jak tylko odblokowano telefony. Pamiętam, że pobiegłem do strajkowej drukarni i tam, wśród stuku powielaczy, czując, że wszyscy naokoło nadstawiają ucha, podyktowałem materiał. Poprosiłem naczelnego, żeby nie robił żadnych skrótów, a jeśli już, to żeby uzgodnił ze mną ostateczny tekst; absolutnie nie zgadzałem się na wydrukowanie materiału, o którego ostatecznej wersji nie byłbym poinformowany. Umówiliśmy się na telefon za godzinę. Po godzinie okazało się, że poza nazwiskami tekst miał iść bez skrótów. Nie wierzyłem, że ukaże się w mojej wersji. Zadzwoniłem więc następnego dnia rano do żony do Warszawy. Żona nie miała jeszcze „Życia Warszawy", więc poprosiłem ją, żeby zbiegła do kiosku. Po powrocie mówi mi, że sąsiedzi zatrzymali ją i pytali, czy nie ma tego „Życia", bo w kiosku już rozchwytali. Więc ona tłumaczy, że sama chciałaby kupić. Na szczęście kioskarka dała jej spod lady. Żona dzwoniła do mnie jeszcze wieczorem i mówiła, że na spacerze z dziećmi oblegali ją sąsiedzi i wypytywali, co się w tym Gdańsku dzieje, bo dowiedzieli się z tego artykułu, że ja tam właśnie jestem.

Ten pierwszy materiał dał mi psychiczną ulgę. Do stoczni przywieziono kilka egzemplarzy „Życia Warszawy", które kursowały między ludźmi.

Zdołałem zdobyć jeden egzemplarz, nosiłem go przy sobie. Ludzie zaczepiali mnie, prosili, żebym pokazał. Była to pierwsza informacja. Muszę ze smutkiem powiedzieć, że na niej druk moich doniesień się skończył.

Tadeusz Woźniak

Pamiętam, że kiedy pisaliśmy wspólnie z Wojtkiem Święcickim pierwszą relację, sami nie wierzyliśmy, że to przejdzie. Wszyscy się śmiali, maszynistki się śmiały: „Przecież to nigdy w życiu nie będzie wydrukowane". Wojtek mówił: „Człowieku, co my robimy, przecież tu każde słowo jest niecenzurowane, z tego

nawet niczego nie można wyciąć, to się nadaje tylko do kosza!". I potem szok. Okazało się, że wszystko jest w gazecie, wszystko można napisać. Cenzor podpisywał, przynajmniej tak było u nas, na Wybrzeżu. Człowiek nie czuł żadnego oporu. Był to początek prawdziwego dziennikarstwa.

Andrzej Bajorek
Klasyfikowano nas według tytułów. Im te tytuły były mniej polityczne, im pismo było bardziej z boku, jak choćby karykaturalnie przeze mnie cytowany „Głos Chemika", tym dziennikarz miał lepiej.

Wojciech Giełżyński
Robotnicy okazywali nam swą niechęć jako przedstawicielom zawodu. Pociechą dla mnie było to, że mówili wyraźnie: „Wszyscy dziennikarze to skurwysyny, a ci z »Polityki« to skurwysynki, trochę mniej kłamali".

Ryszard Kapuściński
Strajkujący uważali, że prasa kłamie, że jest niewiarygodną sługą reżimu. Trudno im było wytłumaczyć, jaki jest prawdziwy sposób transmisji, obróbki informacji. Dziennikarza identyfikowano z obowiązującym modelem propagandy i było tak dotąd, dopóki nie uzyskał indywidualnego zaufania. Któregoś dnia na salę posiedzeń wpuszczono wszystkich dziennikarzy. Nie pozwolono jednak wejść Strumffowi. On się odróżniał, bo nosił różową, pomarańczową pelerynkę. Wszyscy ze służb porządkowych wiedzieli – ten jest z „Trybuny" i tego nie wpuszczać...

Piotr Halbersztat
Na początku prasy nie chciano. Zwłaszcza w Gdyni, w Stoczni imienia Komuny Paryskiej. Usiłowałem doprowadzić za wszelką cenę, żeby nas wpuszczono do stoczni. Udało się dopiero po trzech dniach.

Było to tak: stał z nami fotoreporter z „Czasu". Zacząłem przekonywać rzecznika prasowego z Komitetu Strajkowego, żeby nas wpuścił. A on: „Proszę pana, ja nie mam nic przeciwko temu, rozumiem, że warto stworzyć dokument strajku, ale zapytamy po prostu ludzi, czy chcą". Wziął mikrofon, wszedł na wózek akumulatorowy i mówi: „Przyszedł tu reporter z »Czasu« i chce robić zdjęcia. Czy zgadzacie się, żeby wszedł?". Tłum krzyczy: „Nieee!!!". „A Kronikę Filmową?" Tłum znów krzyczy: „Nieee!!!". „Panowie, przecież tak nie można, to jest nasza praca i my musimy tu wejść, jeżeli chcecie, żeby kraj coś o was wiedział" – mówi chłopak z „Czasu".

Ryszard Wesołowski
Moja rozmowa z tłumem strajkujących szybko urosła do sensacyjnej historii. Koledzy opowiadali, że stoczniowcy kazali mi się opowiadać z dotychczasowej działalności, ale to nie było tak. Tadeusz Pławiński był tam czymś w rodzaju szefa reklamy i propagandy. Wszedł wtedy na wózek, wziął mikrofon w rękę i powiedział, że jest tu taki jeden i chce robić zdjęcia dla prasy. Robił to tak niemrawo, jakby nie starał się ich przekonać. Może ja go niesłusznie posądzam o brak dobrej woli, ale wtedy takie odniosłem wrażenie. Jeden z robotników obok mnie gwizdnął: „Za bramę z nim, za bramę!". Były odzywki, że później będą robić fotomontaże. „Przecież to będzie dokument, to jest kawał historii..." – argumentowałem z kolei ja. Przewodniczący Komitetu Strajkowego powiedział: „Proszę pana, niech mnie pan nie przekonuje. Proszę mikrofon, niech pan ich przekona".

Piotr Halbersztat
Powiedziałem mniej więcej tak: „Skoro macie ochotę walczyć o sprawę, która jest słuszna, jeżeli wierzycie głęboko w to, o co walczycie, to nie ma powodu, żebyście nas nie wpuścili. To, co chcemy zrobić, to dokument dla waszych dzieci, żeby wiedzieli, o co ich ojcowie walczyli. To jest świadectwo historii. *Człowiek z marmuru* nie powstałby nigdy bez materiałów z Kroniki Filmowej". Wtedy przewodniczący spytał: „To co, wpuszczamy Kronikę?". „Tak". Pierwszy i ostatni raz w życiu, mam nadzieję, byłem zmuszony wygłosić przemówienie do narodu, czyli do strajkujących stoczniowców.

Andrzej Drzycimski
Fatalnie odbierane były informacje telewizji gdańskiej [...]. W pewnym momencie, gdy dziennikarze z telewizji weszli do stoczni, to pojawiła się obawa, że robotnicy mogą ich zlinczować...

Janina Jankowska
Odczytano apel do dziennikarzy znajdujących się w stoczni: „Dziennikarze, jeśli macie pisać kłamstwa, lepiej w ogóle nie piszcie". [...]

Takim momentem, w którym odczułam, że jestem dziennikarzem, do którego nie ma się zaufania, był chyba 23 lub 24 sierpnia. Zwróciłam się do jednego z delegatów, żeby ze mną porozmawiał, żeby powiedział, jak się tutaj znalazł, jak się to wszystko zaczęło. Musiałam bardzo długo go przekonywać. W końcu zaczął opowiadać. Nagrałam to. Mój rozmówca poprosił o zostawienie magnetofonu, bo chciał przesłuchać rozmowę. Musiałam odejść na chwilę,

a kiedy wróciłam, on powiedział: „Bardzo panią przepraszam, niech się pani nie gniewa na mnie, ale ja musiałem tę rozmowę skasować". Zapytałam: „Boże, dlaczego?". A on na to: „Niestety, jeszcze nie wiadomo, jakie będą nasze losy. Moim największym obowiązkiem jest dbać o to, żeby nie zaszkodzić sprawie, dla której wszyscy tu jesteśmy. Ja pani wierzę, ale przecież nie wiem, co się z tą taśmą stanie. Nie wiem, kto ją potnie, kto ją wykorzysta. W tej chwili nie mogę pozwolić na to, żeby cokolwiek zaszkodziło SPRAWIE".

Opadły mi ręce! Wtedy uświadomiłam sobie, że oto osobiście cierpię za to wszystko, co było przez te trzydzieści lat.

Krystyna Jagiełło
Mieliśmy wyrzuty sumienia. Nikt spośród nas nie mógł się poszczycić artykułami, które byłyby całkowicie adekwatne do sytuacji w stoczni, nawet ci, którzy usiłowali zbliżyć się do prawdy. Nasz głos był cichy, cichutki jak pisk. To, o czym pisano, przy prawdzie tego strajku wypadało albo blado, albo zupełnie źle.

Ewa Junczyk-Ziomecka
Trzeba się było jakoś określić. Dziennikarz robi to poprzez pisanie. Tymczasem ukazało się mało publikacji, i to często wrednych.

Przemysław Kuciewicz
Kanały informacyjne były pozapychane. Teksty nam zmieniano albo wcale nie szły. Tkwiłem w tym, bo dawałem relacje codzienne, ale wychodziło z tego zupełnie co innego, bo ktoś mi je poprawiał, skreślał, okrawał, dopisywał – i tak to szło pod moją firmą.

Lech Stefański
To był próg niemożności informowania, a przecież podstawowym obowiązkiem dziennikarza jest informowanie. Byłem już po doświadczeniu. Przywiozłem tekst, który się nie ukazał. Próg niewiedzy, niezrozumienia. Byliśmy psychicznie zupełnie zmordowani. Jednocześnie było oczywiste, że nie otrzymamy wsparcia ze swoich firm. Trzeba było rozpocząć walkę i napór dla utorowania drogi informacji.

Janusz Kołodziejski
Nasi koledzy z zagranicy, w końcu oderwani od swoich krajów i przy blokadzie telefonicznej, mogli szybciutko zamieszczać swoje teksty. One wisiały

na murach, w gablotach, na tablicach ogłoszeń strajkującej stoczni. A my nic. I w końcu zaczęło się. Zaczęły się pretensje strajkujących: „Co wy właściwie tu robicie?”.

Zbigniew Gach
Wypełniałem notatkami kolejne notesy. Zacząłem odczuwać pewnego rodzaju stres, że prawdopodobnie wszystko, co zapisuję, pójdzie do szuflady.

Henryka Dobosz
Było mi okropnie wstyd, że pracuję w tym zawodzie. Czułam się jak zbity pies...

Andrzej Drzycimski
Trzeba było złożyć chociażby jakąś deklarację woli... [...]

Zdawaliśmy sobie sprawę, że przegrywamy wszyscy, że uprawiamy ten najstarszy zawód świata, kurwimy się bez żenady, oddając się każdemu władcy, i kiedy w takim kluczowym momencie możemy być pomostem – nie jesteśmy nawet fragmentem ruchu umożliwiającego wzajemne zrozumienie.

Adam Kinaszewski
Też zacząłem dochodzić do wniosku, że musimy się określić, bo przychodzimy tam, łazimy, słuchamy, oglądamy, a stoczniowcy nie wiedzą, po co to robimy. Czy my donosy piszemy, czy co? Bo w telewizji nie widać, w prasie nie widać, w radiu nie słychać. Przy tym nie odzywamy się do nikogo, robimy tajemne miny, więc doprawdy wyglądamy jak agenci. Najwyższy więc czas, żeby wyprodukować coś w rodzaju stanowiska, w jakiej sprawie my tam przychodzimy, co myślimy o nich i o sobie przy okazji.

Zbigniew Gach
Pamiętam, poniedziałek 25 sierpnia, około godziny czternastej trzydzieści. Przez megafon podano wiadomości, że obecni w stoczni dziennikarze polscy proszeni są do sali wystawowej. Poszedłem na górę z pożyczonym kasetofonem Philipsa. Byłem bodaj jedynym, który nagrywał scenę uchwalenia rezolucji.

Irena Dryll
Wchodzę, naokoło widzę kolegów. Wyróżnia się Kozicki, bo ma siwy łeb i głos basowy. Myślę: cholera, co oni tak tworzą...

Zapis magnetofonowy

– Chodzi o blokadę informacji.

– Aa... tak, to tak...

– Wszystkie inne punkty będą wyglądały na prowokację.

– Uważam, że jest tutaj szeroki front tytułów...

– Nikogo nie można zmuszać. „Trybuny Ludu" nie można...

– Brak informacji.

– No to proszę, notuję... proszę bardzo...

– Nie jestem największym stylistą, ale wspólnymi siłami może... „Dziennikarze uczestniczący..."

– „Polscy dziennikarze..."

– „Dziennikarze obecni w Stoczni Gdańskiej w czasie..."

– „...w czasie dni strajkowych..."

– „...w czasie strajku...", normalnie...

– „...podczas strajku..."

– Tak „...podczas strajku..."

– „My, polscy dziennikarze, obecni na terenie Stoczni Gdańskiej podczas strajku..."

– „...uważamy za stosowne oświadczyć..."

– „...oświadczamy...", normalnie...

– „...że dotychczasowa blokada informacji..."

– „...treść publikacji..."

– „...informacji..."

Lech Stefański

Wydawało mi się to wszystko śmieszne, te nasze spory w sali sąsiadującej z tą, w której dzieją się naprawdę wielkie rzeczy. Wystarczyło się przecież podpisać pod dwudziestoma jeden punktami i powiedzieć: cześć, koniec!

Zapis magnetofonowy

– Tak, tak to jest dobrze...

– „...że treść dotychczasowych informacji, dotyczących tych wydarzeń, nie odpowiada prawdzie..."

– „...zamieszczonych...", no gdzie?

– „...w prasie, radiu, TV nie odpowiada prawdzie..."

Wojciech Adamiecki
Wspólnie z Tadziem redagowaliśmy to oświadczenie na oczach wszystkich. Kto chciał, dorzucał zdanie, słowo, skreślał. Więcej skreślano, niż dopisywano. Cała zabawność sytuacji polegała na tym, że to oświadczenie, nad którym debatowano przez trzy czwarte dnia, ma przecież trzy czy cztery zdania. Jest to jedno z najkrótszych oświadczeń dziennikarstwa polskiego.

Stefan Kozicki
W końcu zdenerwowałem się i złożyłem podpis *in blanco* pod tekstem przed jego ukończeniem...

Andrzej Drzycimski
Kilkanaście osób podpisało się pod tą pierwszą listą. Kiedy tak podpisywaliśmy, patrzymy, a tu rzadko się wokół nas zrobiło. Zupełnie rzadziutko. W każdym razie część podpisała, część nie. Wyjechałem na obiad, wróciłem, a tu patrzę – nowa lista krąży. Podszedłem sprawdzić. Oświadczenie było lekko zmodyfikowane. Mój podpis był, ale innych było niewiele. Zostało nas siedemnastu. Potem: „A gdzie reszta?". Tłumaczono, że część się wycofała, ktoś wyrwał swoje nazwisko, inny zmazał, ktoś się wycofał. Wyniknęła sprawa przy pierwszej redakcji oświadczenia do MKS-u[4], czy mamy się podpisywać w imieniu redakcji, czy nie...

Henryk Galus
To była jedna kontrowersja. Druga dotyczyła treści komunikatu. Zawarte w nim mocne sformułowania pod adresem nas samych były zbyt przesadzone. Na skutek (między innymi mojej) interwencji doszło do zredagowania nowego komunikatu, przy udziale kolegi Pietrzaka, i ta wersja poprawiona, spokojna, a oddająca istotne sprawy, została ostatecznie zaakceptowana przez kolegów.

OŚWIADCZENIE
My, polscy dziennikarze, obecni na Wybrzeżu Gdańskim w czasie strajku, oświadczamy, że wiele informacji dotychczas opublikowanych, a przede wszystkim sposób ich komentowania, nie odpowiadało istocie zachodzących tu wydarzeń. Taki stan rzeczy sprzyja dezinformacji.

Istniejąca blokada telekomunikacyjna oraz brak możliwości publikowania materiałów przedstawiających prawdziwy obraz sytuacji dotyka nas boleśnie i uniemożliwia uczciwe wypełnienie obowiązków zawodowych. Chcemy mieć zawsze możliwość pełnego informowania społeczeństwa.

[4] MKS – Międzyzakładowy Komitet Strajkowy.

Uważamy, że pełne informowanie społeczeństwa o wszystkim, co się dzieje w kraju, może tylko sprzyjać rozwiązywaniu sytuacji konfliktowych, a w przyszłości przyczyniać się do rozwoju społecznego.

Gdańsk, 25 sierpnia 1980 roku

Wojciech Adamiecki
Kilku kolegów z Gdańska prosiło nas o wycofanie swoich nazwisk z list do MKS-u. Wówczas to „Czas" przygotował wspaniałą, bo pierwszą prawdziwą relację o wydarzeniach na Wybrzeżu i jako jedyne pismo w Polsce wydrukował ją.

Adam Orchowski
W którymś momencie dyskusji dołączyła do nas Kuleszowa z Wydziału Prasy KC. Miała legitymację SDP[5], no i weszła na teren stoczni. Słyszała całą dyskusję i zrobiła raban, że ja jestem inspiratorem oświadczenia, że najwięcej gardłuję za wersją do MKS-u. Wezwał mnie naczelny i powiedział, żebyśmy się nie podpisywali na egzemplarzu do MKS-u, bo to zaszkodzi gazecie.

Ewa Junczyk-Ziomecka
Dano do zrozumienia, że być może te podpisy posłużą za pretekst do ataku na redakcję. I oni wycofali swoje nazwiska. Tylko jeden nie wycofał. To był Adam Orchowski.

– Podpisywanie trwało nadal i wtedy... śmieszny, tragikomiczny incydent, zabawna scena.

– Zabawna? To znaczy tragikomiczna, piękna scena.

– Ludzie składali podpisy, tutaj dyskusja, i w pewnym momencie facet podchodzi i prosi o listę. Idę za nim i widzę, że odrywa kawałeczek kartki na dole.

– On podleciał do listy, oderwał od niej kawałek z własnym nazwiskiem. Zaczęto go gonić.

– Podpisałem pierwszą wersję, mimo że budziła moje zastrzeżenie. Po chwili zawahałem się i wydarłem kawałek kartki...

Oni wtedy:

– Naskoczyli na niego...

– Powstało straszliwe oburzenie...

– Śmiali się skonsternowani...

– „To jest skandal!", krzyczeli.

[5] SDP – Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich.

– Jak pan się zachował! Swoje to swoje, ale cudze nazwiska wyrwać!

– To są indiańskie podchody...

– Co za kultura! Kto to widział, żeby dziennikarz w ten sposób...

– Przecież przymusu nie ma, a pan wyrwał...

– Mógł powiedzieć, żeby go skreślić...

– I on tak strasznie stał... Taki bezsilny. Stał bezradny. On się nie bronił. Stał taki zrezygnowany, jakby go ktoś kopał, jakby go ktoś bił. I w końcu odszedł z dziesięć metrów.

– Odszedłem, ochłonąłem, a następnie wróciłem i przeprosiłem za moją reakcję. „Koledzy, przepraszam was, ja się chcę podpisać. Chłopaki – głupi jestem, podpisuję".

Oni wtedy:

– Kozicki chyba powiedział... że my rozumiemy...

– Każdy czuł sympatię, po prostu takie namiętności...

– Zachował się normalnie w tej nienormalnej sytuacji...

– Spór lojalności. Może mu stanęło przed oczyma, że to się nie powiedzie, że zostanie bohaterem jednego oświadczenia.

– On po prostu wszystko powiedział w tym geście...

Wojciech Giełżyński

Kilka dni wcześniej on, ten sam, był na spotkaniu z Pyką[6], który prowadził pertraktacje z czternastoma zakładami i wszystko im obiecywał. Mówił też o cenzurze: „Cenzura była, jest i będzie. Nie w cenzurze rzecz. Dziennikarze są winni. Ci dziennikarze wypisują takie androny. Wszystko chwalą. Wszystko na różowo piszą. Gierka pokazują ciągle z tymi tłustymi krowami. Ta wielka rzeka ciągle płynie, a masła jak nie było, tak nie ma. To kto jest winien? Cenzura? Dziennikarze! Tak, dziennikarze źli!".

Krystyna Jagiełło

Na tle protestów składanych przez inne środowiska, nasz był bardzo skromny, bardzo umiarkowany.

Ewa Junczyk-Ziomecka

Kiedy patrzy się na to z dzisiejszej perspektywy, jest to takie piśnięcie w kolanach.

[6] Tadeusz Pyka (1930–2009) – działacz komunistyczny, ekonomista, wiceprezes Rady Ministrów w drugim rządzie Piotra Jaroszewicza (1975–1980). Od 15 lutego do 24 sierpnia 1980 roku zastępca członka Biura Politycznego KC PZPR.

Ryszard Kapuściński
Dla wielu dziennikarzy ten podpis był jednak ogromną życiową decyzją. Zastanawialiśmy się, czy będą represje. Pamiętam jednego z kolegów, który podpisał, a następnego dnia podszedł do mnie i powiedział: „Panie Ryszardzie, jak pan myśli, ja podpisałem, ale jak to będzie?...". Był strasznie zdenerwowany. Wszyscy mieliśmy poczucie, że decyzja jest słuszna, ale ryzykowna. Dzisiaj to wygląda troszkę groteskowo, ale wtedy... 25 sierpnia... W końcu zaprotestowaliśmy przeciw całej linii propagandy wobec Wybrzeża, wobec tego, co się tam działo.

Ewa Junczyk-Ziomecka
Na wszystkich ciążył rok siedemdziesiąty. Ludzie się bali. Ot, taka historia... W pewnym momencie zniknął człowiek z MKS-u. Uchodził za odważnego. Szukali go wszędzie i wreszcie znaleźli. Był w jakiejś łódce. Słyszał plotki o desancie na stocznię. Bał się. Mówił, że w tej łódce ma watówkę, więc mniej go będzie bolało. Wycofał się potem z Komitetu Strajkowego. Ludzie pamiętali rok siedemdziesiąty.

Andrzej Zajączkowski
Poczucie zagrożenia było do tego stopnia silne, że nawet postanowiliśmy zrobić dyżury. Mieliśmy w stoczni na stałe jeden samochód robur – ciężarowy, ze sprzętem i taśmą. W tym roburze miał dyżur operator plus dźwiękowiec albo ktoś z nas, kto umiał obsługiwać magnetofon nagra. Mieliśmy przygotowany sprzęt. Gdyby się coś w nocy działo, to chcieliśmy chociaż na taśmie magnetofonowej utrwalić akcję. Reszta ekipy spała w hotelu. Ogromnie obawialiśmy się również o taśmę filmową już naeksponowaną. Przechowywanie jej w hotelu mogło być niebezpieczne, wobec tego po każdym dniu zdjęciowym taśmę wywoziliśmy z terenu stoczni naszym drugim samochodem – fiatem z napisem „Polska Kronika Filmowa", który milicjanci drogowi przepuszczali. Dojeżdżaliśmy do miejsca, gdzie stał mój samochód. Tam przepakowywaliśmy materiał i wywoziłem go do prywatnego mieszkania. Tam też go składowaliśmy, a było tego kilkadziesiąt pudełek. Adres znały tylko dwie osoby. To może się wydać w tej chwili dziwaczne, ale wtedy uważaliśmy to za najrozsądniejsze wyjście. W razie jakiegoś wydarzenia materiały należało za wszelką cenę uratować.

Krystyna Jagiełło
Dziennikarz w Polsce jest człowiekiem, w którego warsztat pracy wpisany jest strach, lecz strach w nas zmniejszył się w Sierpniu, dlatego że jeśli człowiek

pożyje trochę wśród ludzi, którzy rzucają na szalę stawkę swego życia, to to działa.

Ryszard Kapuściński
To, co się działo, i nasze rozmowy były wielkim, osobistym przeżyciem. Zdawaliśmy sobie sprawę, że rozstrzygają się sprawy, które wpłyną na nasze osobiste losy reporterskie, na to, co i jak będziemy pisać.

Janina Jankowska
Kiedy 1 września przyjechałam do Warszawy, to moja szefowa kupiła mi piękny kwiat. Jak on się nazywał?... Storczyk chyba. Powiedziała, że to jest za jedność czynów i myśli. Coś takiego. Tak właśnie zareagowała. Istotnie, w pierwszych dniach uchodziłam trochę za bohaterkę. Muszę przyznać, reakcja kolegów była serdeczna, akceptująca. Wiedzieli, że wracam z Gdańska, byli ciekawi. Opowiadałam, co widziałam. Pytali, czy to prawda, że taka anarchia w Gdańsku!

Krystyna Jagiełło
Kiedy się pojawiłam w redakcji, to mnie osaczyli, przynieśli kawę... przynieśli papierosy. Byli mi w stanie wszystko przynieść, bylebym tylko siedziała i opowiadała. [...]

Jerzy Surdykowski
Na publicystyce o Sierpniu położył się długi cień cenzora z nożyczkami.

Zbigniew Niemcewicz
Z tego, co napisałem, uzbierałaby się mała broszurka. Ale nic nie poszło. Dzwoniłem do redakcji. Mówili, że dają tylko za PAP-em. Ciekawa rzecz. Twierdzi się, że przed Sierpniem cenzura wszystko tłamsiła. Ja z nią nie miałem kłopotów. Może dlatego że w stolicy na sprawach morskich się nie znają. Ciężar cenzury poczułem dopiero w Sierpniu. Trzy czwarte moich materiałów z września nie ukazało się.

Wojciech Adamiecki
Warszawa to był lodowiec. Miałem świadomość, że wychodząc ze stoczni, wszedłem znowu w inny świat. Przygotowywałem się, by stanąć z nim do konfrontacji. Nie groziło mi to w redakcji „Literatury", która jest bardzo otwarta. Natomiast zastanawiałem się nad tym, co i ile będziemy mogli pisać. Podzieliliśmy

się pracą z Krysią Jagiełło, bo chodziło o konieczność szybkiego wydrukowania relacji. Ona wzięła początek, a ja koniec. Złożyliśmy dwa materiały. Okazało się, że o Gdańsku może pójść tylko jeden materiał. Zlikwidowaliśmy więc podział na dwie części, podpisaliśmy dwoma nazwiskami, wymyśliliśmy wspólny tytuł.

Krystyna Jagiełło
Ingerencje były duże i właściwie zupełnie idiotyczne. Reportaż, który napisaliśmy, został okrojony przez trzykrotną cenzurę – i to okrojony bzdurnie. Cała prasa już informowała, że stocznia jest umajona kwiatami, że wiszą portrety papieża, a z naszego tekstu to właśnie wyrzucono. Wyleciało również parę zdań na krzyż, które napisałam o Wałęsie.

Janina Słuszniak
Nie ukazał się mój reportaż *Pod wysokim napięciem*. Dobrała się do niego redakcja i na początku zaczęli skreślać akcenty religijne. Później do tego doszły jeszcze skreślenia cenzury.

Zrobiono z tego kadłubek, pofałszowany, z podopisywanymi fragmentami typu: „Wspomniany Wałęsa, który powołuje się na plenum…". Zabrałam ten tekst, nie dałam go do druku…

Stefan Kozicki
Pierwszy tekst napisałem, będąc jeszcze w stoczni. Musiałem czekać, bo nie chciano mi go wydrukować. Ale nie chciano mi go również wydrukować, kiedy skończył się strajk, kiedy już podpisano porozumienie.

Kazimierz Dziewanowski
Reporterzy zajmowali się patologią społeczną, marginesowymi środowiskami albo dziwnymi ludźmi, jakimiś Maciejami, którzy żyli pod lasem. Ponieważ o niczym innym pisać nie mogli, siłą rzeczy zajmowali się właśnie taką twórczością. Niektórzy nawet uwierzyli, że reportaż powinien zajmować się marginaliami, które może mówią o człowieku, ale nie mówią nic o sytuacji społecznej, w której żyje.

Krystyna Jagiełło
Na temat polskiego reportażu, uprawianego zresztą i przeze mnie, miałam krytyczne zdanie. Reportaż gubił się w aluzjach i niedomówieniach. Do takiej formułki, zwanej przez reporterów małym realizmem, zmusiła ludzi konieczność.

Przed Sierpniem większość środowiska wyglądała bardzo źle. Byli jednak dziennikarze, którzy mieli oczy otwarte, wiedzieli, co się w kraju dzieje. Pisali reportaże, które jednak nikły w prasie. Zebrane w zbiory książkowe potrafiły powiedzieć wiele prawdy o sytuacji w kraju. To w książkach. W prasie zaś, jeśli nawet ukazał się jeden reportaż krytyczny, to ginął w ogólnej tonacji, więc wysiłki tych, którzy usiłowali zachować twarz, szły na marne.

Ewa Junczyk-Ziomecka

Kiedy pewnych rzeczy nie mogłam napisać albo mi nie drukowano tekstów, zaczęłam pisać listy do córki. To głupio brzmi – listy do córki. Ona była jeszcze maleńka. Opisywałam jej to, czego nie mogłam drukować. W czerwcu 1979 roku papież przyjechał do Polski i ja pisałam do córki, że są to dla mnie najbardziej upokarzające dni w życiu zawodowym. Powiedziałam mojemu naczelnemu, że chciałabym obsłużyć tę wizytę. Odparł, że chyba zwariowałam i że on jedzie w tym czasie do RFN, i jakby co, to jego tu nie było. To było upokarzające...

Kto tu wpuścił dziennikarzy, według pomysłu Marka Millera, Warszawa: Rosner i Wspólnicy, 2005, fragmenty

1980

Michał Ogórek (ur. 1955)

Kpić z faktów

Czytelnicy długo nie dawali wiary, że nazywa się Ogórek. Do redakcji przychodziły listy zaczynające się od słów: „Ten facet, co się podpisuje Ogórek…". Ma poczucie, że nazwisko przesądziło o tym, czym się zajmuje: przecież pod poważną analizą polityczną nie może się podpisać „jakiś Ogórek".

Dziś znamy dobrze styl jego felietonów. Już na początku lat osiemdziesiątych reportaże Michała Ogórka (wyszły w książce *Wydostać się spod Piły*, 1985) przesycone były przewrotnym, kpiarskim i szyderczym tonem. Tytułowy tekst opowiada o pragnieniu mieszkańców Wronek, by się wydostać z województwa pilskiego, w którym Wronki znalazły się wskutek nowego podziału administracyjnego kraju w 1975 roku. Wronczanie chcieliby wrócić do Poznańskiego. Piła jest poniżej godności Wronek, okrada Wronki, w dodatku ma bardzo niewygodne położenie. Reportaż zaczyna się tak:

> Sekretarz Wełniak potwierdza, że nikt nigdy nie pytał mieszkańców Wronek, w jakim województwie chcieliby się znaleźć w wyniku reformy, i uważa ten pomysł za absurdalny. „Konsultacja wprowadziłaby taki chaos, że do tej pory byśmy z tego nie wyszli" – mówi i jest w tym dużo racji. Gdyby bowiem postawić na pełną anarchię i przepytać ludzi we Wronkach, to nigdy nie udałoby się ich włączyć do województwa pilskiego – a tak już pięć lat temu tego dokonano.
>
> Gdyby spojrzeć na mapę, Wronki nie są wcale od Piły tak daleko i w tym streszcza się ich nieszczęście: ci, co je tu przydzielili, też zapewne spojrzeli na mapę. Na mapie najlepiej widać Poznań i Piłę, pomiędzy nimi Puszczę Nadnotecką znacznie gorzej, a już tego, że przez nią prowadzi tylko jedna droga, nie można dostrzec, bo droga jest drugorzędna. Wronki idealnie nadawałby się do województwa pilskiego, gdyby nie to, że oddzielone są od niego puszczą.

Reportaż o błędzie administracyjnym wciągał jak powieść ironisty Vonneguta. Narracja Ogórka była literaturą inspirowaną prześnymi faktami z życia PRL-u. Ważniejsze od cytowania słów spotykanych ludzi było to, jak reporter łączył fakty i kojarzył rzeczy czasem bardzo od siebie odległe.

Urodził się – jak sam podaje – w Stalinogrodzie. Tak nazywały się wtedy Katowice. Wychowywał się w Warszawie – jego ojciec został tu przeniesiony na

stanowisko dyrektora technicznego Huty Warszawa podczas jej budowy. Potem wrócili na Śląsk, Ogórek tam zaczął studia, jest absolwentem Wydziału Nauk Politycznych Uniwersytetu Śląskiego. Powtarza, że skończył ten wydział z głupoty. („Bo nie wiedziałem, że to najbardziej upolityczniony wydział w kraju, ale nie mogłem wiedzieć, bo to był nowy kierunek, a ja byłem pierwszym rokiem"). Uważa, że tam narodził się jako felietonista. („Bo ukończenie tego kierunku miało dobrą stronę: już nigdy nie traktowałem niczego, co do mnie mówiono, poważnie. Tam kształcono samych felietonistów").

Po studiach w 1979 roku związał się z „Kulturą", w okresie kiedy pracowali tam Kapuściński, Torańska, Głowacki, Snopkiewicz, Wierzyński. Większość jego kpiarskich reportaży z książki *Wydostać się spod Piły* ukazała się pierwotnie w „Kulturze". Tygodnik zamknięto na zawsze po 13 grudnia 1981 roku. Ogórek znalazł się wtedy w „Przeglądzie Technicznym", a potem w miesięczniku „Zdanie". W 1989 roku związał się z „Gazetą Wyborczą", gdzie publikuje do dziś.

Spytałem go, czy reportaż był jego celem, czy znalazł się w tym fachu przypadkiem.

> Wtedy wszyscy pisali reportaże, głównie ze względów cenzuralnych – odpowiedział. – Można było napisać, że w miejscowości N. coś się działo, a wszyscy wiedzieli, że to tylko taka alegoria. Rzecz jasna nie można było napisać, że tak jest w całej Polsce. To było takie dziennikarstwo incydentów. Ale mnie już ciągnęło do syntezy. Uważam, niestety, że mam lepszy rozum niż serce. A przy reportażu trzeba mieć choć pół na pół. Zabiło mnie coś, co zabija wielu reporterów: rutyna. Zanim wyjechałem z Warszawy, już wiedziałem, co na miejscu zastanę. Felieton był jakąś naturalną konsekwencją rozwoju. Zresztą ostatnie moje reportaże to już były właściwie duże felietony.

Taki właśnie był reportaż *Wyjście* z sierpnia 1981 roku o proteście mieszkańców szczecińskiego osiedla. Władzy ich manifestacja jest nie na rękę, co dla Ogórka staje się pretekstem do prześmiewczego opisu życia w tej części miasta. Prześmiewczego wobec stworzonych przez władzę warunków życia, nie wobec mieszkańców. Reportaż zaczyna się tak:

> Marsz protestacyjny, jaki postanowili zorganizować mieszkańcy Osiedla Słonecznego w Szczecinie, został wyznaczony na 1 sierpnia o godzinie 9.00.
>
> Wychodzenie na ulicę, jak pouczały mieszkańców władze osiedla, a potem miasta, jest czymś najgorszym, co można było wymyślić, ponieważ grozi nieobliczalnymi skutkami, jest niewłaściwą, a nawet niedopuszczalną formą protestu.

Jeśli jednak dobrze się zastanowić, to mieszkańcy osiedla wychodzą już na ulicę od dawna [...]. Na Osiedlu Słonecznym trudno jest właściwie mieszkańcom robić wiele rzeczy nie na ulicy, ponieważ zaś tylu ich tu zgrupowano, robią to gromadnie.

Ogromne tłumy wystają codziennie od rana do wieczora przed sklepikiem mięsnym za torami, przy czym demonstracji ulicznych unikają jedynie trzy pierwsze osoby, które mieszczą się w środku. Marsze odbywają się nieprzerwanie na trzykilometrowej trasie od osiedla do sklepu spożywczego i z powrotem; ich uczestnicy noszą ze sobą w pochodzie wypchane wielkie torby, niektórzy zaś przystają i przekładają bagaże z ręki do ręki. Dziesiątki pikietujących zbierają się bez przerwy na przystanku autobusowym, i to nie w jednym miejscu: początkowo na pętli, żeby potem rzucić się do ustawiania powtórnie przy Basenie Górniczym. Żadnemu z mieszkańców nie wystarcza, że autobus podwozi go do Basenu Górniczego, ponieważ tam w istocie nic nie ma. Wszyscy od razu tworzą na ulicy następne zgromadzenie, czekając na tramwaj.

Razem z żoną Iloną Morżoł pod koniec lat osiemdziesiątych pracował nad szczególnym reportażem – opowieścią o Polakach, ale bez rozmów z nimi. *Polska między wierszami* (1991) to próba odtworzenia naszego życia codziennego w PRL-u na podstawie m.in. poradników małżeńskich, tematów prac maturalnych, wytycznych dla bibliotek, planów Warszawy, książek telefonicznych czy nekrologów. Zbieranie materiału trwało kilka lat, zaczęło się jeszcze w Polsce socjalistycznej. Poszczególne rozdziały drukował „Przegląd Tygodniowy", a jeśli były zbyt prześmiewcze jak na oficjalną prasę, publikowała je podziemna jeszcze wtedy „Res Publica".

Sceny pomnikowe, które znalazły się w tej antologii, to reportaż o sporach wokół Pomnika Poległych Stoczniowców 1970. Dziś mało kto pamięta, że forma, jaką miał przybrać, wcale nie była oczywista. Spór, czy przy projektowaniu pomnika naród reprezentuje rada artystyczna, czy stoczniowcy, nie miał końca.

Sceny pomnikowe

Z sierpniowego strajku stoczniowcy wyszli z gotowym projektem Pomnika Poległych w 1970 roku. Wybrali miejsce, w którym ma stanąć, oraz dzień na jego odsłonięcie. Zatwierdzono to wszystko uchwałą Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego 24 sierpnia. Stoczniowcy załatwili swe sprawy między sobą i w tym przekonaniu wrócili do pracy.

3 września zaczęły wyłaniać się nieprzewidziane trudności. Na naradzie w Urzędzie Wojewódzkim okazało się, że choć pomysł wszyscy z całego serca popierają, to zarówno wygląd pomnika, jego lokalizacja, jak i termin postawienia zostały fatalnie wybrane: całość została zaakceptowana jak najbardziej, nie sposób było tylko zaakceptować żadnej z jej części.

Na szczęście znalazła się już grupa osób, która wyręczy stoczniowców w trudnej myślowej pracy, zadba, żeby właściwy projekt stanął na właściwym miejscu i we właściwym czasie, no, po prostu weźmie wszystko na siebie. Wypowiedział się w tej sprawie wojewódzki konserwator zabytków w Gdańsku magister Mirosław Zeidler, który poinformował zebranych, że jest kompetentnym w temacie przedstawicielem resortu kultury i sztuki i pragnie nadać sprawie rangę dyskusji ogólnopolskiej. Zanim zdołano zebrać myśli, dlaczego nieistniejącym jeszcze pomnikiem zająć się ma konserwator zabytków oraz dlaczego ma temu pomnikowi coś nadawać albo odbierać, magister Zeidler zgłosił propozycję.

– Ogłosi się konkurs ogólnopolski na projekt pomnika – poinformował zebranych. – W tej sytuacji oczywiście niemożliwością będzie odsłonięcie go w tym roku, ale – zasugerował mówca – pójdzie się na to, że w rocznicę wydarzeń położony zostanie kamień węgielny.

Gorąco poparł go docent Sitek ze Związku Polskich Artystów Plastyków, pełniący w oddziale gdańskim funkcję drugiego sekretarza.

– Najlepsze rezultaty artystyczne osiąga się w budowie pomników drogą organizowania otwartych konkursów – powiedział.

Pomniki projektowane na zamówienie, jak to określił, nie dają w przekonaniu docenta Sitka oczekiwanych efektów. Wyraził też przekonanie, że autor projektu, pan Pietruszka, nie może być całkowicie usatysfakcjonowany, ponieważ jego projekt nie miał konkurencji.

Architekt miejski i wojewódzki znaleźli inny problem. Dotyczył on miejsca, w którym stoczniowcy proponują postawić pomnik – to jest placu przed drugą bramą stoczni, gdzie w grudniu 1970 roku zginęło trzech robotników. Otóż w planach rozwoju Gdańska plac ten znajduje się pod projektowanym przedłużeniem ulicy Wałowej, przy czym terminu i technicznych szczegółów dotyczących budowy planowanej ulicy Wałowej aktualnie podać nie można. Jest możliwe, że Pomnik Poległych nie będzie kolidować z trasą szybkiego ruchu, istnieje w tym względzie jednak zbyt duże prawdopodobieństwo.

Argumenty te w ogóle nie trafiły do przedstawiciela Społecznego Komitetu Budowy Pomnika. Ogłoszenie konkursu na pomnik nie wchodzi, jego zdaniem, w grę, gdyż termin jest nakazem nadrzędnym. Komitet obstawał przy tym, aby pomnik był dziełem stoczniowców od początku do końca, oraz wyraził życzenie, aby innych pomników w tej sprawie nie stawiano.

Takie nieprzejednane stanowisko spowodowało, że na następne spotkanie w sprawie pomnika, które odbyło się 13 września w Stowarzyszeniu Architektów, stoczniowców nie zaproszono. Było to jedyne wyjście, ponieważ Społeczny Komitet Budowy Pomnika odbył już dwa zebrania, na których nie tylko nie ustosunkował się do rejestru przeszkód, ale zdążył podzielić prace pomiędzy swych członków. Technologią montażu zajmować się mieli pracownicy Mostostalu, palowaniem Energopol, do wykonywania elementów pomnika przygotowywali się stoczniowcy. Geoprojekt zadeklarował nadzór geodezyjny, Gazoprojekt wykonanie palnika do znicza, gdański Polam zgłosił chęć oświetlenia całości. Policzono też wytrzymałość konstrukcji, która okazała się trwała.

Na koniec zaprotokołowano: „Należy zwrócić uwagę, że zostały już przesądzone poniższe sprawy: koncepcja i lokalizacja pomnika oraz utworzenie Społecznego Komitetu Budowy". Przypomniano przy tym, że dyrekcja stoczni przyrzekła robotnikom wybudowanie pomnika już w 1970 roku, natomiast potem zabroniła nawet powieszenia tablicy pamiątkowej. „Uroczystości obchodów rocznicy Grudnia były tłumione. W czasie zgromadzeń uczestnicy byli zatrzymywani i osadzani w aresztach. Pomnik ten ma być symbolem naszego bezpieczeństwa".

W odpowiedzi na to spotkanie w Stowarzyszeniu Architektów zgromadziło nie osoby przypadkowe, jak pierwsze, ale Radę Artystyczną. Była to Rada Artystyczna pomnika stoczniowców, a powołał ją magister Zeidler, wojewódzki konserwator zabytków. W zagajeniu poinformował radę, że zdaniem służb konserwatorskich i architektoniczno-urbanistycznych województwa pomnik powinien być efektem konkursu artystycznego.

Rektor Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku profesor Jackiewicz zgłosił przytomną uwagę, że jest za późno, aby powoływać radę. Poprosił jednocześnie, aby zwolnić go z ingerencji w sprawę, która w swej treści nie może ulec zmianie. Profesor Jackiewicz nie widzi mianowicie możliwości tchnięcia artystycznego ducha w to, co jest. Mimo to ma sugestię, aby symbolika pomnika nawiązywała raczej do krzyża żołnierskiego. Dlaczego zastrzelonych stoczniowców upamiętnić ma krzyż żołnierski, tego profesor Jackiewicz nie powiedział. W każdym razie pomysł, aby pomnik składał się z symboli morskich: wysokich masztów z poprzecznymi kotwicami, które według autora B. Pietruszki „mogą być przez wierzących uznawane za krzyże", a także druga interpretacja, że są to trzy kolejne w Polsce Ludowej ukrzyżowane nadzieje, napawał mówcę głębokim niepokojem.

Architekt miejski, inżynier Wszelaki, był zdania, że debata powinna się zacząć od ustalenia miejsca. W jego przekonaniu nie byłoby możliwe usytuowanie pomnika w środku projektowanej jezdni, która przecież będzie kilkupoziomowa. W związku z tym inżynier Wszelaki ma propozycję: jeśliby pomnik stanął rok później, widziałby jego lokalizację w narożniku koło stacji benzynowej.

Docent Sitek ze Związku Polskich Artystów Plastyków miał dokładnie takie samo zdanie co do terminu odsłonięcia, tyle że oparte na zupełnie innych przesłankach myślowych. Zapytał bowiem na wstępie:

– Czy jesteśmy na etapie rewolucji kulturalnej?

Po czym wyraził przekonanie, że pomniki są własnością narodu, a nie jakiejś grupy. U podstawy tego stwierdzenia leżało przekonanie, że naród reprezentuje Rada Artystyczna, zaś jakąś grupę – stoczniowcy. Na zakończenie docent Sitek powiedział, czego nie można zrobić. Nie można mianowicie stawiać rzeczy bez wartości artystycznej dlatego, że musi być dotrzymany termin tego roku.

Architekci, panowie Jagodziński i Szczepański, zgłosili ostry protest wobec tej wypowiedzi.

Magistra inżyniera Tomasza Partekę z Biura Planowania Przestrzennego obrusza najbardziej czterdziestometrowa wysokość pomnika, czemu dał wyraz w sposób dobitny.

– Pomnik i jego skala – powiedział – powinny być adekwatne do skali czynu: zginęło trzech ludzi i oddanie honoru powinno być odpowiednie do tego.

Magister inżynier Parteka zaprezentował też pogląd, że plan zagospodarowania przestrzennego jest własnością społeczną i nie wolno go złamać. Przez

własność społeczną magister inżynier Parteka rozumie taki rodzaj posiadania, że społeczeństwo coś od władzy dostaje i nic nie może z tym zrobić: ani zamienić, ani oddać, ani wyrzucić; trwa to do czasu, aż społeczeństwu odbierze się poprzednią własność i daruje inną, równie nieodwołalną.

Na koniec magister inżynier Parteka oświadczył, że nie uważa, aby do 16 grudnia pomnik musiał stanąć.

– Może kamień węgielny to za mało, ale jakaś tablica na przykład? – rozważał sobie specjalista z Biura Planowania Przestrzennego.

Nie to co prezes Stowarzyszenia Architektów inżynier Hordyński, który miał trzy gotowe kontrpropozycje. Tak więc po kolei: można by powierzyć rozwiązanie pomnika największemu rzeźbiarzowi w kraju (nazwisko nie padło) albo powierzyć opracowanie kilku wariantów jakiemuś rzeźbiarzowi z Gdańska, wreszcie zadać taki temat rzeźbiarzom na całym świecie. W wypowiedzi prezesa SARP-u[1] imponował rozmach.

Generalny projektant miasta Gdańska, inżynier Jabłoński, doszedł do wniosku po dyskusjach, że realne są dwie lokalizacje. Jedna na osi ulicy dojazdowej z dworca – może w ogrodzeniu z lewej strony bramy, druga – koło ogólniaka numer jeden, na placyku, wewnątrz ogrodzenia szkoły. Nie można było oprzeć się wrażeniu, że inżynierowi Jabłońskiemu zależy na tym, aby pomnik jak najbardziej wtopić w zabudowę, a najlepiej go za nią schować.

W tym miejscu zabrał głos docent Pełczyński z Towarzystwa Urbanistów Polskich. Powiedział, że nie przypomina sobie, aby widział któregoś z dyskutantów w trakcie strajku w stoczni, i tym tłumaczy, że prowadzi się tu dzisiaj takie rozmowy.

Architekci Szczepański i Jagodziński zdołali wtrącić, że należałoby przyjąć lokalizację stoczniowców, bo oni mają prawo nie mieć zaufania do władzy miejskiej, oraz że jest możliwość postawienia pomnika przed bramą numer 2, jak tego sobie życzą, ze względu na dużą przestrzeń.

Profesor Duszeńko ze związku plastyków powrócił jednak do konkursu, którego rozpisanie uznał za wskazane.

– Nie powinno się powierzać jednemu takiego zadania. Nie można ulec presji nieufności i czasu – powiedział.

W dziesiątą rocznicę Wydarzeń zaproponował ustawienie akcentu tymczasowego.

Prezes Hordyński z SARP-u zrozumiał to w ten sposób, żeby postawić zastępczy pomnik w tym roku, a następny w wyniku konkursu, i poparł profesora Duszeńkę. Przypomniał także propozycję profesora Jackiewicza, aby

[1] Patrz s. 293, przyp. 1.

zamiast innych symboli wykorzystać symbolikę krzyża wojskowego, która to zamiana wydała mu się przednia.

Docenta Kruszelnickiego z Instytutu Sztuki PAN zniecierpliwiła dyskusja i zaapelował o podjęcie decyzji.

– Czy idziemy na konkurs, czy przyjmujemy tę propozycję oraz czy lokalizację decydujemy wstępnie, czy też dajemy pod konkurs?

Nie wiadomo, dokąd by jeszcze zaszedł docent Kruszelnicki, gdyby nie magister Zeidler, który przypomniał sobie, że jeśliby nawet rada podjęła jakieś decyzje, nie byłyby one wiążące, niestety. Nie przeszkodziło mu to zakomunikować, że odbył już w sprawie pomnika rozmowy z biskupem, od którego dowiedział się, że symbolika projektu nie jest również teologicznie jasna i klarowna.

– W pojęciu chrześcijańskim ukrzyżowanie nadziei – relacjonował magister Zeidler – jest zagadką przy ogniu, symbolu życia.

W Stowarzyszeniu Architektów powiało grozą. Zaczęło się wydawać, że jakieś fatum zawisło nad stoczniowcami: po prostu nie ma punktu widzenia, z którego nie można by ich napiętnować, a którego magister Zeidler by nie znał.

Ze zrozumieniem wysłuchano więc opinii inżyniera Wciorki ze Stowarzyszenia Architektów, że przed ustaleniem innej koncepcji spotkanie z komitetem budowy pomnika nie będzie sensowne.

Obrady Rady Artystycznej dobiegały końca. W podsumowaniu wojewódzki konserwator zabytków magister Zeidler zapowiedział rozesłanie odezwy do architektów i plastyków w sprawie wzięcia udziału w konkursie na założenia urbanistyczno-plastyczne pomnika. Wskazane jest, jego zdaniem, aby określić ideę literacką pomnika i tutaj magister Zeidler zaproponował takie ujęcie: „Pomnik czynu robotniczego".

Tak tedy okazało się, że pomnik, jaki zamierza wystawić rada, nie tylko inaczej ma wyglądać, gdzie indziej i kiedy indziej stanąć, ale ma być zupełnie czemu innemu poświęcony – niepostrzeżenie z jednego pomnika zrobiły się dwa różne.

Następne posiedzenie Rady Artystycznej nie odbyło się. Wojewódzki konserwator zabytków magister Zeidler został zawieszony w czynnościach.

Na zebraniu w dniu 16 września stoczniowcy oświadczyli, że opieka nad pomnikiem pozostawać będzie w wyłącznej gestii pracowników Stoczni Gdańskiej.

17 września architekt miejski wydał decyzję co do lokalizacji pomnika przed drugą bramą stoczni.

10 października wiceminister kultury i sztuki profesor Zin zatwierdził pod względem plastycznym projekt Pomnika Poległych autorstwa B. Pietruszki, technika budowy okrętów. Przed zatwierdzeniem prosił, aby przedstawić mu powiększone rysunki płaskorzeźb, obrazujące sceny z życia stoczniowców. Chciał im się przyjrzeć bliżej.

Michał Ogórek, *Wydostać się spod Piły*,
Warszawa: Iskry, 1985, s. 81–89

1981

Andrzej Mularczyk (ur. 1930)

Być sekretarzem zdarzeń

Uważa, że początek pracy reportera to godzina i miejsce jego urodzenia.

Reporterem zaczyna się być z chwilą, gdy się człowiek rodzi i coś przeżywa. „To rodzaj otwartych oczu" – mówi. Dlatego pierwsze opowiadanie, które napisał i wydrukował, było według niego reportażem. Autor miał wtedy trzynaście lat.

> Na moich oczach rozstrzelano chłopca z chlebakiem – w odległości stu metrów od mego domu w Konstancinie. Ja z moim kolegą przyczołgaliśmy się i zrobiliśmy mu tabliczkę na grób. Położyliśmy tam krzyż i tej nocy (właściwie tego ranka) – jakby chcąc zostawić ślad tej sprawy – napisałem coś w kształcie trzystronicowego reportażu (?), opowiadania (?) – przerażenia własnego. Napisałem o tym, jak krew wsiąka w piasek, jak mrówki nie mogą tego strumyka przebyć; okrążają go w drodze do mrowiska. Właściwie to było opowiadanie o wilgoci, o mrówkach... Właściwie to mi zostało: widzę wielkie sprawy przez szczegół, przez odwrotność i odbitkę.

Tak opowiadał o swoim debiucie, opublikowanym pod pseudonimem w konspiracyjnym piśmie „Dźwigary", które redagował jego o dziewięć lat starszy brat Roman Bratny.

Reportaże Andrzeja Mularczyka są tak samo świetne jak scenariusze filmów i seriali, które napisał (filmowa trylogia o Kargulu i Pawlaku, *Rodzina Połanieckich*, *Wyjście awaryjne*, *Dom*). Czyta się je ze ściśniętym gardłem. W kluboksięgarni Wrzenie Świata dziewczyna płakała raz nad książką. Siedzący niedaleko reporter Filip Springer zorientował się, że czyta *Polskie miłości* Mularczyka.

Kiedy w 1998 roku w Klubie Księgarza w Warszawie Andrzej Mularczyk odbierał za *Polskie miłości* Nagrodę Warszawskiej Premiery Literackiej, Adam Ferency czytał publiczności reportaż *Pięć i pół człowieka* – o wojennej miłości „chama, pozbawionego ludzkich uczuć, człowieka o kamiennym sercu, co żony nigdy nawet nie pocałował", do Żydówki, której miejsca pochówku szukał wiele lat po jej śmierci – na sali połowa widowni ocierała łzy.

> Tacy oni byli w tej rodzinie: kamienni, pazerni, bez litości. W sercu lód, w kieszeni nóż, a w rękach widły. To przecież nie przypadek, że w ogrodzie ich domu leżą trzy trupy.

Niektórzy mówili, że pięć, a nawet pięć i pół, bo jeden tułów. W stodole ukrywała się Żydówka Sabina, ale wygnana przez ojca bohatera, poszła w stronę frontu. On potem szukał jej wszędzie, ale nie było śladu.

We wsi, gdzie stał spalony czołg, usłyszał, że była tu taka, trzymała się w lesie przy partyzantach, a jak razwiedka ruska przyszła, ona razem z córką tutejszego partyzanta, co była łączniczką przy leśnych, wyszły ich witać, a oni poczęstowali je wódką, wrzucili na ciężarówkę i zgwałcili. Wozili je trzy dni ze sobą. Podobno ta czarna do studni skoczyła i ruscy ją w jakiejś jamie zagrzebali, a ta druga zwariowała, na widok mężczyzny jedną ręką oczy zasłania, drugą zadziera spódnicę. Odnalazł ją, ale nie dowiedział się, gdzie pochowano Sabinę. Na jego widok tak strasznie zaczęła krzyczeć, że jej ojciec błagał go: niech o nic nie pyta, ona nic nie wie, nie pamięta żadnego miejsca i lepiej by było, żeby wszystko zapomniała...

Jeszcze nie wiedział, że będzie ją widywał co roku przez następne dwadzieścia trzy lata... [...] Ani żona, ani synowie nie wiedzieli, dokąd jeździ tak co roku pod sam koniec października. Regularnie raz na rok przed Zaduszkami wybierał się do tej córki organisty. [...] Najpierw do jej domu we wsi, potem do szpitala psychiatrycznego. Trzy przesiadki autobusem. Lekarzom mówił, że krewny. Przywoził jabłka, gruszki z własnego sadu i prosił, żeby sobie przypomniała, gdzie pogrzebano Sabinę. Jaka to była wieś? Co pamięta? Ale ona zawsze oczy zasłaniała, spódnicę poddzierała i krzyczała okropnie, wtedy pielęgniarka wyprowadzała go z sali, bo ten krzyk źle wpływa na pacjentów. A on znowu zjawiał się za rok tuż przez Zaduszkami i starał się ze studni jej niepamięci wydobyć jakiś szczegół, który naprowadzi go na ślad po Sabinie.

Aż pewnego dnia zjawił się z czekoladą, położył ją na poduszce przy jej głowie, bo już nie wstawała. Myślał, że zaraz zasłoni oczy, krzyk się rozlegnie, lecz ona uśmiechnęła się jak Matka Boska na obrazku i powiedziała spokojnie, że jak tamci ją wyciągnęli ze studni, to na kocu ponieśli za kapliczkę przy przepuście wodnym, za białą kapliczką ją pochowali, kamieniem przywalili, a ta wieś nazywa się Stec... [...]

Za plecami Matki Boskiej, tuż za kapliczką, były porośnięte mchem kamienie. Sprawdził to w dzień. Kopał w nocy przy naftowej lampie. Co znalazł, włożył do skrzynki [...]. I teraz ten cham, pozbawiony ludzkich uczuć, co żony nawet nie pocałował, nie może pojąć, dlaczego notariusz nie chce za pieniądze spisać jego ostatniej woli. Jeśli leży tam pięć i pół człowieka, to dlaczego nie może leżeć i on? Miejsce dla siebie koło Sabiny oznaczył. Jego

ojciec i matka leżą osobno. On chce leżeć koło niej. Ziemia wszystko przyjmie, a jak trawa na nich porośnie, to sam pan Bóg nie rozezna, gdzie komisarz leży, gdzie Niemiec, gdzie dwóch ruskich, a gdzie ich trójka. To będzie jeden ogród...

W *Polskich miłościach* znalazły się teksty wybrane z wcześniejszych reporterskich książek Andrzeja Mularczyka (*Co się komu śni*, 1968, i *Czyim ja żyłem życiem*, 1983). Legendarna redaktorka polskich reporterów Krystyna Goldbergowa uważa ten wybór za jedną z najważniejszych pozycji w polskiej literaturze faktu. To opowieść – jak mówi autor – o miłościach, które mogły się zdarzyć tylko w Polsce.

Czasem można mieć wrażenie, że jego reportaże łatwo powodują wzruszenie. Nie można jednak posądzić go o uprawianie taniej literatury, a jego tekstów o łzawość. Szukał historii dramatycznych, a jako reporter uważał się za „cień ludzi niezwykłych". Nie bał się jednak banału. Twierdzi, że banał jest rzeczą wieczną, a sztuka ma się właśnie zajmować rzeczami wiecznymi. Reportaże Mularczyka są więc precyzyjnie skomponowaną mieszanką banału z niezwykłością.

Zawsze – podkreślał w 1981 roku w rozmowie radiowej z Barbarą Syczewską – wychodzę od zdarzenia, nigdy od tezy: „pragnąłbym teraz przedstawić samotność ludzką". Wtedy zajmę się sprawą, kiedy zostanę poruszony autentycznym *story*, zdarzeniem, anegdotą kogoś, komu spojrzę w oczy i zobaczę tę samotność. Żeby to był człowiek albo zdarzenie, które zmusi mnie, żebym chciał się ofiarować mu jako sekretarz tego zdarzenia.

Pracę dziennikarską zaczął jako dziewiętnastolatek w tygodniku „Razem", potem przeszedł do „Pokolenia", a w 1955 roku, kiedy skończył studia dziennikarskie na Uniwersytecie Warszawskim – do tygodnika „Świat", gdzie pracował w dziale razem z Lucjanem Wolanowskim i Krzysztofem Kąkolewskim. Z tym ostatnim wydali w 1963 roku wspólny zbiór reportaży *Metryki do wglądu*. Przez wiele lat realizował słuchowiska radiowe; jest twórcą i nieustannym współscenarzystą emitowanego co tydzień od 1960 roku – z półtoraroczną przerwą na stan wojenny – serialu radiowego *W Jezioranach*. W 2006 roku ukazała się drukiem antologia scenariuszy słuchowisk Andrzeja Mularczyka – *Cicho, szeptem i na ucho*. Scenariusze filmowe wyszły w zbiorze *Jeszcze słychać śpiew i rżenie koni* (1971).

Tytuł ten (zaczerpnięty z wiersza Krzysztofa Kamila Baczyńskiego) był także tytułem filmu fabularnego w reżyserii Mieczysława Waśkowskiego. Scenariusz

powstał na podstawie reportażu *Dziesięć krzyży dla seledynowo-amarantowych*, a reportaż wziął się z historii rodzinnej. W 1966 roku Andrzej Mularczyk kupił swojemu ojcu książkę generała Juliusza Rómmla *Za honor i ojczyznę*. Józef Mularczyk, emerytowany podpułkownik, we wrześniu 1939 roku był dowódcą 2. Pułku Strzelców Konnych, walczącego w ramach Wołyńskiej Brygady Kawalerii, ale teraz leżał unieruchomiony w szpitalu. Z książki dowiedział się, że generał odznaczył go Orderem Virtuti Militari i dał mu do dyspozycji dziesięć orderów dla żołnierzy. Rozkaz jednak do podpułkownika nie dotarł. Dwadzieścia siedem lat później należało odszukać byłych żołnierzy i wykonać rozkaz generała. Syn reporter podjął się roli pośrednika między dawnym dowódcą a żołnierzami, zobowiązał się ich odnaleźć i wręczyć im odznaczenia.

I tak pojawia się dylemat: komu przyznać je po tylu latach? Łączyły się teraz z prestiżem i korzyściami. Andrzej Mularczyk jeździł po Polsce, spotykał się z podkomendnymi ojca i pytał o wydarzenia z września 1939 roku. Ale też o to, komu należą się odznaczenia, jest ich przecież tylko dziesięć.

Reportaż *Depozyt*, który wybraliśmy do antologii, to jeden z najwspanialszych polskich reportaży. Jest w nim wszystko: opresja, miłość, złamane życie, historia, niezłomność, śmierć.

Depozyt

Kto raz ją widział, ten nie mógł jej pomylić z inną. Drugiej takiej nie ma nigdzie.

Papierośnica jest srebrna. Waży dwieście gramów. Na zewnętrznej pokrywie w górnym lewym rogu miniatura naramiennika 22. Pułku Piechoty (umieścił ten emblemat, gdy otrzymał stopień podporucznika); obok szabla ze złoconą rękojeścią; mieczyk lotniczy; odznaka szkoły podchorążych piechoty; monogram R. M. i herb; pięć pałek w koronie (od znajomych); złocony słonik na szczęście (od żony); odznaka lotnicza; stylizowany na pismo ręczne napis „Ziaba" (od żony, którą tak nazywał). W lewym dolnym rogu złocony monogram P. L.; odznaka 22. Pułku Piechoty (Virtuti ze wstążką); imiona „Felek" i „Marjan" (od kolegów); w prawym dolnym rogu miniatura kołnierza munduru w kolorach piechoty: granatowo-żółty z wężykiem.

Od spodu w lewym górnym rogu złocony monogram K. Ł. W prawym rogu złota płytka na dziesięciolecie ślubu: 14 IV 1946; pośrodku inskrypcja: „Spokojna głowa, sztuk nie ma" (jego powiedzonko). W prawym dolnym rogu herb żony – Krzywda: podkowa i krzyż w niebieskim polu (od żony).

„Spokojna głowa, sztuk nie ma" – to mu zamówili u grawera koledzy ze Sztabu Generalnego. Grażyna pamięta, jak się tym cieszył.

Oddając depozyt, nie zwrócili tej papierośnicy. A miał ją przecież przy sobie. Kiedy żona zaniosła na Mokotów spóźnioną świąteczną paczkę, paczki nie przyjęto. Wręczono jej akt zgonu z datą 10 stycznia 1952 oraz rzeczy z depozytu. Papierośnicy wśród nich nie było. Były za to okulary. Czyjeś okulary. Zdzisław nigdy nie używał szkieł.

W każdą rocznicę daty wypisanej na akcie zgonu odbywa się msza za spokój jego duszy. Zawsze spotykają się wówczas ci, którzy naprawdę nie mogą go zapomnieć. Rodzina, koledzy, przełożeni, podwładni. Grażyna S. za każdym razem rejestruje brak kogoś. Przeszło już tyle lat od chwili, gdy po ojcu został tylko depozyt. Nawet nie wiedzą, gdzie spoczywa jego ciało. Zresztą ona myśli o nim wciąż jak o żywym. Przejęta lękiem oblicza, ile czasu potrzeba, by przetrwało tylko zapomnienie. Czy jej dzieci przejmą jakiś ślad z jej pamięci? Wierzy nie tylko w obowiązek pamięci żyjących, ale i w to, że nieżyjący nie zapominają o tych, których opuścili.

Grażyna S. wszystkie istotne życiowe decyzje konsultuje z nieobecnym ojcem: Jak on by postąpił w tej sytuacji? Jaką drogę by wybrał? Daje mu szansę,

by zaistniał choćby poprzez jej wybór. Dopuszczając do udziału w swoim życiu kogoś nieobecnego, czyni go kimś obecnym w czasie teraźniejszym. Czy zawsze by się zgadzał z jej postawą? Czy nie zmieniłby którejś ze swoich zasad, gdyby nie odebrano mu życia?

Czy to możliwe, by nieżyjący wpływali na nasze życie? Czy tylko my, żyjący, możemy tym, co odeszli, dawać dowody, że jesteśmy z nimi? A oni, czy nie mogliby dać jakiegoś znaku?

Po kolejnej mszy w zimny, styczniowy poranek na schodach kościoła Świętego Aleksandra do żony i córki podchodzi znajomy. Z ust bucha para oddechu.

– Widziałem papierośnicę pułkownika.

– Gdzie?

– W desie na Targowej.

– Czy pan jest tego pewien?

– Kto raz widział tę papierośnicę, ten nie może jej pomylić z inną.

Matka i córka patrzą na siebie. Bez słowa przechodzą na drugą stronę placu Trzech Krzyży, stają na postoju taksówek. Grażyna S. uprzytamnia sobie, że w drodze na Osiedle Panieńska, gdzie mieszkała, wiele razy mijała ten sklep Desy. Nigdy nie zatrzymywała się przy wystawie. Mając taki wzrok i tak niewiele by dostrzegła. Ile już razy zdążyła przejść obok tego śladu ojca? To, że źle widzi, też związane jest z jego sprawą. Los wystawił ją na dziwną próbę. Szukając wciąż śladów ojca, mija o krok ten znak, który był jakby właśnie do niej adresowany. Czy zdążą odebrać papierośnicę? Może przejdzie w ręce kogoś, kto ją kupi tylko jako srebrny złom na wagę? A może kolega ojca ze Sztabu Generalnego pomylił się jednak? Nie, raczej ojciec posłużył się nim, by dojrzała znak od niego. Po tylu latach. Jak tam trafiła? Kto ją oddał?

Myślą o tym całą drogę przez most Poniatowskiego, Zieleniecką, Targową.

Targowa 61. Podchodzą do sklepu Desy. Matka Grażyny staje przy wystawie. Grażyna i tak nie liczy na swój wzrok. Popycha żelazne drzwi sklepu. Nie chcą ustąpić. Naciska mocniej. Tkwią twardo w ramie jak przymarznięte. Matka wskazuje jej kartkę, zaczepioną od wewnątrz za kratę: „Awaria świateł. Sklep dzisiaj nieczynny".

Na wystawie nie ma papierośnicy.

Kto mógł ją kupić?

A jeśli jej w ogóle nie było?

Nie musi być na wystawie. Może jest w środku.

Awaria światła. Dzisiaj się tego nie dowiedzą. Muszą poczekać do jutra.

Rozstają się do jutra. Umawiają się tu rano o godzinie otwarcia sklepu.

Każda idzie do swego domu. Do swego życia. Ale każda myśli o papierośnicy. Czy jest jeszcze w sklepie? Kto ją tam dostarczył? Jaką drogą trafiła na ulicę, którą Grażyna S. przechodziła niemal codziennie?

Mają prawie dwadzieścia cztery godziny na różne domysły, na przypuszczenia. Ten znak od niego nie pozwala zasnąć. Konieczność czekania aż do jutra na odpowiedź przypomina Grażynie S. noc na Belwederskiej, gdy trzeba było doczekać do rana, żeby się dowiedzieć, gdzie jest. Dlaczego go zabrali? Co mu zarzucają?

Teraz widzi ten kwietniowy dzień. Skropiona deszczem, wraca z teczką ze szkoły. Dozorca Żbik tak jakoś dziwnie na nią popatrzył, jakby chciał coś powiedzieć. Ale nic nie powiedział. Drzwi otworzył jej ubrany po cywilnemu obcy mężczyzna.

Rewizja trwała od czternastej do dwudziestej trzeciej. Wszyscy byli po cywilnemu. Przedstawili się, że są z komisji specjalnej, walka z nadużyciami. Grażyna do dziś słyszy stuk wywalanych na podłogę szuflad. Rosnące stosy rzeczy. Papiery. Jej album filatelistyczny w ich ręku. Tam były oflagowane znaczki. Ojciec wieczorami pomagał jej układać. Wyciągnęła po niego rękę.

– Niech tego nie ruszają!

– Wszystko jest zakwestionowane – usłyszała.

Więcej już nie widziała tego klasera. Biżuterię mamy też zabrali. Zwrócili dopiero później, kiedy mama dostarczyła dowody i świadków, że to jej własność. W szkatułce były listy, które mama otrzymywała od niego w okresie narzeczeństwa. Zaczęli czytać, a wtedy mama podniosła głos:

– Proszę przeczytać pierwszy i ostatni! To wystarczy, żeby się zorientować. Reszty proszę nie czytać!

Odłożyli.

Potem siedziały we trzy – matka, ona i Ewa. Na podłodze stos rzeczy. Ewa nic nie rozumiała. Miała cztery lata. Grażyna miała już trzynaście, ale też nie mogła zrozumieć, po co do nich przyszli. Dlaczego ojciec nie wrócił z pracy do domu? To jakieś potworne nieporozumienie!

Matka przypomina jej, że już kiedyś przeżyła rewizję. Gdy w 1939 roku w Siedlcach przyszli po porucznika Barbasiewicza, Grażyna miała dwa i pół roku. Nie pamięta tego, że leżała z grypową gorączką, a gestapowiec w poszukiwaniu ojca klęknął i zaglądał pod jej łóżko. Nie znaleźli go. Ukrywał się pod Siedlcami w majątku znajomych.

Matka Grażyny w trakcie tej pierwszej nocy oczekiwania przypomina sobie, że wtedy, w czasie wojny, żeby zapewnić mu bezpieczeństwo, musiała sama doprowadzić do tego, że jej mąż został uznany za nieistniejącego. Zwróciła się

do PCK z prośbą o ustalenie losów porucznika Barbasiewicza, który poszedł na wojnę i odtąd nie dał znaku życia. Uzyskała odpowiedź, że taki nie jest notowany na terenie Rzeszy ani Generalnego Gubernatorstwa.

Nie był notowany, gdyż przebywał w Warszawie na lewych papierach. Dwa razy trafił na Szucha i dwa razy udało mu się stamtąd wyjść. Teraz też mu się nie może stać nic złego.

Przeszłość ma być gwarancją na teraźniejszość. Skoro wyszedł w życiu z tylu opresji, ocalał tyle razy, nic złego nie może go spotkać i teraz.

Matka przypomina dzieciom wszystkie dramatyczne zdarzenia z życia ojca, żeby udowodnić sobie i im, że to, które go teraz spotkało, będzie jeszcze jednym epizodem o szczęśliwym finale.

Wydawało się wtedy, że tylko przetrwać tę noc, a ranek już przyniesie wyjaśnienie. Szuflady wrócą na miejsce. Rzeczy wrócą do szuflad. Ojciec wróci do domu jak zwykle na obiad, a kiedy zaczną go pytać, co się stało, usłyszą jego zwykłe:

– Spokojna głowa, sztuk nie ma.

Pierwsza noc oczekiwania nakłada się na drugą. Ta noc była czekaniem na odpowiedź: Kto to oddał? Jak to tam trafiło?

I tamta noc, wypełniona pytaniami: Dlaczego? Za co? Co może mieć do niego komisja specjalna? O jakie nadużycia mógł być posądzony jej ojciec? On i spekulacja?

Dopiero po latach miała przeczytać fragment raportu, opracowanego na zamówienie Komisji do Badania Odpowiedzialności za Łamanie Praworządności w Sądownictwie Wojskowym. Mieczysław Szerer pisał:

> Ppłk Barbasiewicz (stracony) był aresztowany 17 IV 1950 (notabene płk Skulbaszewski, zgłaszając wniosek aresztowania, zalecał: „Dla zamaskowania istotnej przyczyny aresztu dokonać go przez Prokuraturę Powszechną lub Komisję Specjalną"). W zakończeniu notatki służbowej o tym, że sześciogodzinne przesłuchanie więźnia w dniu 21 IV 1950 roku nie dało nic istotnego, oficer śledczy pisze: „Uważam, że należałoby do obecnego systemu śledztwa pacjenta postawić na nogi, gdyż będzie on stanowił dość trudny orzech do zgryzienia, który by pękł w stosunkowo krótkim czasie". Uwaga nie idzie na marne. Po następnym przesłuchaniu, które rozpoczyna się tegoż dnia 21 kwietnia o godz. 20 i trwa do 3 nad ranem, przesłuchujący notuje: „Zgodnie z poleceniem od godz. 23 przesłuchiwany był na stojąco do godz. 2. Mówiąc o matce i dzieciach, rozpłakał się, że jest niewinny". Po tygodniu takiego traktowania Barbasiewicz siada do

napisania – jak powiada: po przełamaniu wewnętrznego oporu – zeznań, zadowalających Informację[1]. Po skazaniu je odwołał.

Ten tekst jest częścią jej prywatnego depozytu. W noc oczekiwania na otwarcie sklepu Grażyna S. otwiera szufladę, gdzie w teczce złożone są wszystkie dokumenty dotyczące sprawy ojca. Jego zdjęcia. Odznaczenia. Jest tam również fałszywa kennkarta: wzrost – średni, twarz – pociągła, włosy – szatyn, oczy – piwne, znaki szczególne – brak.

Znak szczególny – nieobecność.

Nie musi odczytywać opisu ojca ze starych legitymacji. Oglądać fotografii. Do dziś nie musi nawet zamykać oczu, żeby zobaczyć go takiego, jaki na zawsze już zostanie w jej pamięci: opięty w dobrze skrojony mundur, pas z koalicyjką, buty z cholewami, bo w długich spodniach czuł się „jak pisarz gminny". Niektórzy mówili, że „Zdzisław to chyba urodził się w mundurze". Nawet pracując w Sztabie Generalnym, do końca nosił ostrogi, rogatywkę z orzełkiem w koronie. Spod daszka czapki patrzyły oczy poważne, a przecież skore do uśmiechu.

Takiego musiała go zobaczyć jej matka w 1934 roku w Siedlcach, gdzie porucznik Barbasiewicz był adiutantem dowódcy 22. Pułku Piechoty. Przez dwa lata zbierała listy od niego. Potem ktoś powiedział do jej matki: „Ty, Zosiu, nigdy nie zdążyłaś być żoną. Zawsze byłaś narzeczoną!". Bo ślub wzięli w 1936 roku, trzy lata później wybuchła wojna. Zrobiła wszystko, żeby oficjalnie uznano go za nieistniejącego. W Siedlcach grała rolę wdowy, a trzyletnią Grażynę uczyła grać rolę sieroty. Kiedy na święta wybierały się do Warszawy na spotkanie z nim, Grażyna musiała zdać egzamin z wyuczonego sieroctwa.

– Pamiętaj, nie wolno ci mówić do ojca „tatusiu". Mów „wujku" albo „kotku"...

Przed wyjazdem odbywały się próby, a w drodze powrotnej wielokrotnie była podpytywana:

– Grażynko, czy ty widziałaś się z tatusiem?

Kiedy zaprzeczała – dostawała w nagrodę cukierka. Nie widziała tatusia, nie wie, co się z nim dzieje, nie wie, jak wygląda... Im była starsza, tym łatwiej jej szła ta lekcja zapominania.

Wtedy umiała zapominać. A potem nie mogła.

Może dlatego właśnie, że tak bardzo uczyła go się na pamięć. Że tak bardzo czekała na każde z nim spotkanie. Wiozły wówczas z matką z Siedlec do Warszawy na świąteczne spotkanie przygotowane zapasy: kiełbasę, smalec, bigos w garnku, makowiec. W czasie rewizji w pociągu żandarmi pytali podejrzliwie:

[1] Główny Zarząd Informacji Wojska Polskiego, Informacja Wojskowa – kierowniczy organ kontrwywiadu wojskowego w latach 1945–1957, pełnił funkcję wojskowej policji politycznej, był odpowiedzialny za procesy polityczne, szantaż i torturowanie w śledztwie, kierowany częściowo przez oficerów sowieckich.

– Dla kogo? Po co?

Matka wskazywała na nią:

– Wiozę córkę do lekarzy, do specjalistów. Będzie trzeba czekać kilka dni. Musimy mieć co jeść.

Wymyślała wówczas Grażynie różne choroby, które potem stały się naprawdę jej udziałem.

Kiedy z powrotem włożył swój ukochany mundur, dowiedziała się, co robił i jak się nazywał jej ojciec. Był wykładowcą na podchorążówce AK, miał pseudonim Gryf i Jabłoński, z fałszywą kennkartą był zatrudniony jako inspektor w elektrowni. Pewnego razu zaszedł służbowo na ulicę Filtrową. Zauważył podczas sprawdzania licznika, że właściciel uważnie mu się przyglądał, po czym zniknął w gabinecie. Nie wiedział, co go może spotkać, czy nie powinien zniknąć natychmiast. Za chwilę przed oczyma zobaczył świstek papieru z własnym podpisem: „por. Barbasiewicz". Była to przepustka upoważniająca do poruszania się po terenie 22. pułku, podpisana przez adiutanta dowódcy pułku. Właściciel był inżynierem i kiedyś w Siedlcach prowadził prace budowlane na terenie pułku. W tym mieszkaniu na Filtrowej 55 potem Barbasiewicz – inspektor elektrowni – spotykał się z żoną i córką, tam znajdował schronienie, tam się w końcu zameldował. Kto się z nim zetknął, ten go dobrze wspominał. Lubili go. Potrafił z każdym się dogadać. Z podwładnymi i przełożonymi. Grażyna pamięta opowiadanie matki, że kiedy w pułku szef kompanii zapytał, kto chce iść na ordynansa do porucznika Barbasiewicza – wystąpiło pół stanu. Nawet w trakcie śledztwa w Informacji uzyskał to, że pozwolili dostarczyć nakolannik na chore kolano i oddali rodzinie do podzelowania skórą jego buty, bo nie godził się na zelówki z gumy.

Potrafił zjednywać ludzi. Lubili go. Może przez to miał szczęście w życiu? A może odwrotnie, może przez to, że trzymało się go szczęście, trzymali się go ludzie?

Nieraz mówił, że ta papierośnica jest inwentaryzacją jego dobrego losu: daty upamiętniające rocznicę ślubu, imiona kochanych, monogramy przyjaciół i emblematy wojskowe. Tak więc znaki tego, co było mu najbliższe, miał zawsze przy sobie. Wierzył, że przynosi mu szczęście. Była z nim, gdy trafił z łapanki na Szucha, skąd dwa razy udało mu się wydostać. Była z nim w powstaniu warszawskim.

Matka, przewidując wybuch powstania, chciała być razem z nim w Warszawie. Nie uprzedzając męża, spakowała walizki, żelazne łóżeczko Grażyny i wysłała ciężarówką na holzgaz[2] do Warszawy. Kierowcą był sierżant z 22. Pułku Piechoty. Jemu można było zaufać. Miały nazajutrz pojechać w ślad za

[2] Holzgaz, właśc. *Holzgas* (niem.) – gaz drzewny.

rzeczami. Tego samego dnia wieczorem ciężarówka przywiozła z powrotem rzeczy i polecenie od męża, że mają się przenieść do Węgrowa, gdzie jego ojciec był wieloletnim dyrektorem gimnazjum.

Nazajutrz wybuchło powstanie.

Od wybuchu wojny był to najdłuższy okres, w którym nie było o nim wieści. Pewnego dnia zjawił się w Węgrowie. Grażyna nie pamięta, jak był ubrany, pamięta tylko zapach spalenizny, jakim przesiąknięta była jego odzież.

Od tej chwili pamięta go już w mundurze. Kiedy Zdzisław Barbasiewicz ujawnił się jako kapitan AK, został przez generała Berlinga ściągnięty do Sztabu Generalnego w Lublinie. Wraz ze sztabem przenosi się do Włoch, pod Warszawę, potem na ulicę Rakowiecką do stałej siedziby sztabu. Chodził wówczas w przedwojennym płaszczu oficerskim, który żona przechowywała w czasie wojny w kominie, w stogu siana razem z przedwojennymi guzikami. Wyglądał jak dawniej, kiedy był adiutantem w Siedlcach. Nawet w niedzielę, kiedy wychodził do kiosku po gazety koło dawnej końcowej stacji kolejki wilanowskiej, ubrany był zawsze jak na służbę. Jak na paradę. Grażyna pamięta, że poszła z nim w mroźny dzień po gazety. Trzymała ojca rękawiczki, kiedy płacił. Po powrocie do domu okazało się, że nie ma na palcu obrączki. Gruba, złota obrączka. Bez żadnego popłochu dokończył herbatę. Sam ją po drodze uspokajał, że na pewno się znajdzie. Jak mogła się znaleźć po dwóch godzinach, skoro w tym miejscu przechodziło setki ludzi? Podbiegła do kiosku:

– Czy pani nie znalazła takiej złotej obrączki?!

Widzi przeczący gest kioskarki. Odwraca się zrezygnowana i napotyka spokojnie uśmiechnięte spojrzenie ojca. W palcach trzyma obrączkę. Leżała w rozdeptanym śniegu, tuż koło ulicznego zsypu. I te jego słowa:

– Spokojna głowa, Grażynko, sztuk nie ma.

Jemu się wszystko musiało udać.

Ilekroć Grażyna S. przejeżdża teraz Belwederską, patrzy w okna mieszkania, które kiedyś było ich. Tam wracała z Klonowej z gimnazjum Żmichowskiej. Nie wie nawet, kto tam teraz mieszka. Nie ma już stacji kolejki wilanowskiej. W tym miejscu stoi budynek ambasady ZSRR. Nie ma tego kiosku z gazetami, a jednak ona, przejeżdżając tamtędy, zawsze widzi to, co było, a nie to, co jest: byle jaki budyneczek stacji, kiosk i błysk obrączki w palcach ojca. Jego uśmiech.

Tak, miał szczęście. Wierzył w siebie, bo nikt nie mógł powiedzieć, że on go kiedyś zawiódł. Póki on był obok – wiedziała, że jest bezpieczna, że nic

złego nie może się stać, że świat jest wielką szansą, a ludzie nie muszą być źli. „Spokojna głowa, sztuk nie ma”...

Raz tylko widziała, jak nie zadziałało to zaklęcie. Przeraziło ją to. Ojciec załamany?! Stał przy oknie tyłem do pokoju, a jego ramiona dziwnie kurczyły się do środka, jakby wciąż zapinał sobie kołnierz munduru. Płakał.

On, o którym mówiono, że urodził się w mundurze, w wieku czterdziestu lat musiał odejść z wojska. Też wtedy nie rozumiała – dlaczego? Był szefem I Oddziału Organizacyjno-Mobilizacyjnego Sztabu Generalnego. W wieku trzydziestu ośmiu lat otrzymał stopień podpułkownika. Odznaczenia. Uznanie przełożonych. Szacunek podwładnych. Był lubiany. Kochał wojsko. Dlaczego więc teraz stoi tyłem do pokoju i ramiona drżą mu konwulsyjnie? Czy z dnia na dzień stał się inny? Nie podołał zadaniom?

Wtedy nie mogła tego zrozumieć. Teraz, w czasie nocy oczekiwania na otwarcie sklepu Desy, zatrzymywała wzrok na fragmentach gazet z własnego depozytu i czytała słowa Bolesława Bieruta, które padły w 1949 roku na III Plenum KC: „Nie wolno nam ani na chwilę spuszczać z oczu wroga klasowego i jego chytrych, podstępnych posunięć [...]. Być czujnym. Oto nakaz, który powinien towarzyszyć nieustannie każdemu z nas zarówno w każdym momencie pracy partyjnej, zawodowej i społecznej, jak i na każdym kroku zespołowego czy osobistego życia”...

Odsunięto go od prac koncepcyjnych. Zaproponowano objęcie jednostki w „zielonym garnizonie”[3]. Czuł, że to byłby tylko kolejny stopień na tych schodach, którymi chciano go wyprowadzić z wojska. Podpułkownik Zdzisław Barbasiewicz zostaje kierownikiem administracji Centrali Wynajmu Filmów na ulicy Puławskiej.

A jednak kiedy w tę noc oczekiwania na otwarcie sklepu Grażyna S. przypomina sobie wszystko, co poprzedza tę chwilę, w której ojciec zniknął wraz z papierośnicą, widzi go w mundurze. Tak go zapamiętuje, jak chciałby być pamiętany.

Próbuje teraz odtworzyć ten dzień, od którego zaczęło się życie bez niego. Co było w szkole? Z kim wracała z Klonowej na Belwederską? O czym mówiły z koleżankami? Czy w tym momencie, kiedy ona się śmiała, on był wpychany do samochodu?

Jego aresztowanie przeraziło nie tylko najbliższych. Kiedy po rewizji na Belwederskiej odjechali cywile z rzekomej komisji specjalnej – wiedziano już, że Barbasiewicz nie wrócił do domu. Żona pułkownika Ziemińskiego błagała męża, by zniknął, ukrył się. Ten kręcił tylko głową w poczuciu pełnej bezradności:

[3] Zielony garnizon – potoczne określenie poligonu i osiedla wojskowego zlokalizowanych z dala od większego miasta, zwykle na uboczu i zalesionym terenie.

– Jeśli biorą takich jak Zdzisio, to już nie ma wyjścia.

Ta noc oczekiwania na otwarcie sklepu wciąż przeniknięta jest wspominaniem tamtej nocy. Za co? Dlaczego? Gdzie jest? Gdzie go szukać? Jak pomóc?

Na razie jeszcze świat nie był straconą szansą, ludzie nie zmienili twarzy. Pułkownik Halski swoim samochodem jeździł z matką. Nigdzie nikt nic nie wiedział o losie Zdzisława Barbasiewicza. W żadnym więzieniu nie był rejestrowany. Halski zaproponował inne wyjście:

– Niech pani przygotuje paczkę. Gdzie przyjmą, tam jest!

Nie zdążyła przygotować paczki, kiedy pułkownik Holder, sąsiad z Belwederskiej, powiadomił poufnie:

– Pani mąż jest u nas.

Wiedziała już, gdzie zawieźć paczkę. Na Chałubińskiego w Informacji paczki nie przyjęto. Barbasiewicz? Jest w śledztwie... O co oskarżony? Zobaczy się... Kiedy paczka? Proszę się dowiadywać...

Matka Grażyny wystawała odtąd w kolejkach do okienka. Wiele razy z powrotem przynosiła paczkę do domu. Wreszcie kiedyś przyjęli. Za drugim razem pieniądze. Kiedy się można zobaczyć z mężem? Nie wiadomo... Jest w śledztwie... O co oskarżony? Okaże się...

Minęła wiosna. Najciemniejsza wiosna jej życia.

Grażyna dostrzega wokół siebie inny świat. Okazuje się, że znajomi ludzie mają inne twarze niż dotąd. Nawet ich bliska rodzina unika spotkania z nimi. Odcina się od nich, zagrożonych niejasnym podejrzeniem. Wymazuje wszystko, co łączyło ich w przeszłości, zagradza drogę wspólnej przyszłości.

Ale równocześnie przypomina sobie wizytę generała Petrażyckiego ze Sztabu Generalnego. Doradca radziecki sam zadzwonił do drzwi.

– Barbasiewiczowo droga, ja wiem, że Zdzisio jest niewinny. Myśmy go przecież dobrze prześwietlili, skoro był na tym stanowisku. To się musi wyjaśnić. Może pani potrzeba pieniędzy?

Trzeba im było wiary, że będzie tak, jak mówił gość. Że nie opuści go szczęście. Każdą przyjętą paczkę, pieniądze, zgodę na widzenie przyjmowała jako krok do odzyskania go.

Grażyna widziała go tylko raz. 8 grudnia pozwolili przyjść na widzenie żonie i obu córkom. Szła z nadzieją, że może już na święta go wypuszczą. Ewa po ośmiu miesiącach niewidzenia ojca była trochę speszona. Zawsze widziała go w mundurze. Teraz był w grubym swetrze. Zerkała na siedzącego w rogu pokoju widzeń strażnika. Ojciec wziął Grażynę na kolana jak małą dziewczynkę. Kazał jej pomacać kołnierz swetra. Wyczuła coś sztywnego. Usłyszała szept:

– Tam zaszyłem medalik z łańcuszkiem. Pamiętaj.

Zaniepokoiło ją. Każe jej o tym pamiętać, jakby sam tracił władzę nad własną pamięcią.

Kiedy po czterdziestu pięciu minutach strażnik ogłosił koniec widzenia, usłyszała pożegnalne słowa ojca:

– Nie martwcie się o mnie. Módlcie się tylko. Ja mam wyrok duży...

Wyrok? Jaki wyrok? Spojrzała na matkę. Ta opuściła oczy. Nie była zaskoczona wyznaniem ojca. A więc wiedziała, że odbył się proces, znała wyrok. Wiedziała i nic jej nie powiedziała?!

– Jaki wyrok, tatusiu?

– Duży.

– Bez procesu?

– Proces już był.

– A twoi obrońcy?! Przecież mama opłaciła dwóch adwokatów!

– Oni nic nie wiedzieli o terminie rozprawy – odezwała się matka.

– Nikogo nie było na sali – powiedział ojciec.

Zasypała go pytaniami: Za co go skazali? Czy mu coś udowodnili? Czy nie mógł się bronić? Wywołało to jakby bolesny cień uśmiechu, jego spojrzenie na nieruchomego strażnika i gest ręki, którym pogładził jak dawniej jej włosy.

Czy mógł jej powtórzyć dni i godziny przesłuchań? Noce w celi? Jaką mógł znaleźć odpowiedź na inwektywy, które na sali sądowej padły z ust oskarżyciela? Powtarzały się jak refren na wszystkich podobnych rozprawach: „Plugawe płazy sanacyjnego reżimu i jego faszystowskiej armii... Wykazał ogrom zgnilizny moralnej... Za judaszowe srebrniki sprzedał zdradziecko ojczyznę... Jego działalność była dowodem głębokiej nienawiści do ludowego ustroju... W pobudkach swego działania kierował się nienawiścią do mas pracujących narodu i wolą przywrócenia ustroju wyzysku i rządów zdrady narodowej".

Na chodniku ulicy Chałubińskiego stanęła naprzeciw matki, zagradzając jej drogę:

– Jaki wyrok ma tatuś?

– Kara śmierci.

– Na jakiej podstawie? Jakim prawem?!

– Ty tego nie przyjmiesz, Grażynko, tak jak i ja. Ale tatuś... przyznał się.

– Przyznał się? Więc był winien?

– Nie był winien, ale się przyznał.

Tego nie mogła zrozumieć.

Więc do jej ojca odnosiły się te epitety, których pełne były sprawozdania w gazetach z różnych procesów?

Nic jej wtedy nie mówiły paragrafy: artykuł 86 kodeksu karnego Wojska Polskiego i artykuł 7 małego kodeksu karnego. Usiłowanie obalenia ustroju Państwa Polskiego i szpiegostwo. Nie znała zasady, że przyznanie się jest koroną wieńczącą oskarżenie. Nie wiedziała, że wtedy nie wystarczyło odegrać roli oskarżonego, przyjąć wyrok. Trzeba było jeszcze odegrać rolę świadka w procesie swoich kolegów. Dopiero po latach przeczytała w raporcie Mieczysława Szerera informację, że Barbasiewicz i Roman byli świadkami w sprawie pułkownika Ziemińskiego i potwierdzili jego przynależność do organizacji konspiracyjnej w wojsku. Wedle koncepcji prowadzących śledztwo „Barbasiewicz zorganizował wśród oficerów I Oddziału Sztabu Generalnego komórkę konspiracyjną, do której w końcu 1947 roku zwerbował oskarżonego Ziemińskiego, uprzednio poinformowanego o celach konspiracji (według protokołu konfrontacji Barbasiewicza z Ziemińskim z dnia 21 IV 1950 roku)".

Kiedy na wieść o aresztowaniu Barbasiewicza żona Ziemińskiego błagała go, by się gdzieś ukrył, zniknął – on odpowiedział:

– Jak takich jak Zdzisio biorą, to już nie ma wyjścia.

A potem obaj spotkali się tam, skąd nie było wyjścia.

Pułkownik Roman zeznał, że Barbasiewicz przekazywał mu meldunki Ziemińskiego, dotyczące stanu oficerów z podziałem na wychowanków odrodzonego WP, przedwojennych oraz inne dane statystyczne.

Barbasiewicz nie musiał brać od Ziemińskiego tych danych, gdyż jako szef I Oddziału miał je zawsze do dyspozycji. Ale to nie było żadnym argumentem dla tych, którzy, mając człowieka, szukali dla niego paragrafu.

W chwili rozprawy przeciwko pułkownikowi Ziemińskiemu (23 lutego 1952) pułkownik Barbasiewicz był już stracony.

Cztery dni po wyroku Barbasiewicz odwołał wszystkie zeznania złożone w śledztwie i na rozprawie. W swojej skardze rewizyjnej przedstawił szczegółowo etapy i metody śledztwa prowadzonego przez Główny Zarząd Informacji.

Odwołanie zeznań zachwiałoby konstrukcją aktu oskarżenia przeciwko pułkownikowi Ziemińskiemu. Żywy świadek okazał się niepewny. Lepiej, aby nie było go wcale. Wystarczyły zeznania na papierze. Należy przypuszczać, że właśnie złożenie skargi rewizyjnej i odwołanie zeznań przyspieszyło wykonanie wyroku. Zdzisław Barbasiewicz został rozstrzelany w zadziwiającym pośpiechu. Niektórzy z wyrokiem śmierci czekali i siedemset dni. Jemu dano sześć tygodni.

Tymczasem żona pisze o łaskę dla męża do marszałka Rokossowskiego i Bolesława Bieruta. Nie otrzymuje żadnej odpowiedzi.

Niesie świąteczną paczkę na Chałubińskiego. Odsyłają ją kilka razy: Później… Przed samymi świętami… Po świętach… Piecze świeże ciasto. Jedzie w Nowy Rok. Każą przyjść za tydzień. Z Informacji odsyłają ją do więzienia na Mokotowie. Brama jest nieopodal wejścia do gmachu Sztabu Generalnego. Puka do okienka. Podaje nazwisko: chce zostawić paczkę. Funkcjonariusz sprawdza listę. Odsuwa paczkę na bok. Z okienka wysuwa się ręka wręczająca jej akt zgonu. Musi pokwitować sumę – sześćset dwa złote niewykorzystane przez skazanego.

Grażyna siedziała pochylona nad książką. Matka staje za jej plecami, kładzie na karty podręcznika akt zgonu. Grażyna czyta: „Barbasiewicz Zdzisław, syn Jana…". Kończy czytać i nadal nie dociera do niej to, co się stało. Czyta jeszcze raz. Z aktem w ręce chce wstać i potem już nie wie, co się z nią dzieje. Kiedy otwiera oczy, widzi nad sobą sufit. Leży na podłodze.

Ta noc oczekiwania na otwarcie sklepu przedłuża się w przeszłość. Już sama nie wie, jaki czas jest realny. Jeszcze raz dzieje się to, co już dawno przeszło. Przeszło, lecz trwa. Obrazy napływają same, ona jest wewnątrz nich. Czuje skurcz gardła jak wtedy. Ten znak od ojca ożywił wszystko, co na zawsze stało się jej udziałem od tej pierwszej nocy po aresztowaniu.

Widzi teraz kiwającą się na wietrze latarnię nad bramą więzienia mokotowskiego. Szła z matką po rzeczy ojca. Zapach starzyzny. Worki na półkach. Lada jak w sklepie. Książka, w której trzeba pokwitować odbiór depozytu. Nie ma w nim papierośnicy. I nie ma swetra z krzyżykiem w kołnierzu. Są za to okulary. Czyjeś okulary. Zdzisław nigdy nie używał szkieł…

Jest obrączka, znaleziona w śniegu.

Odtąd w jej pamięci już zawsze będzie się chwiała na wietrze ta skrzypiąca latarnia nad bramą więzienia, choć dawno już jej tam nie ma. Widzi ją także teraz, kiedy myśli o papierośnicy. Wtedy nie było jej w depozycie. Czy będzie jutro w sklepie Desy?

Pierwsze imieniny ojca bez niego. Od tej pory zawsze 29 stycznia, w Zdzisława, stawiały na stole czwarty talerz, jakby zakładając, że może się spóźnić, ale zjawi się na pewno. Że jest z nimi. Mimo aktu zgonu przez długi czas żywiły się nadzieją, że nie stało się to, co ostateczne. Nawet to, że w zwróconym depozycie nie było papierośnicy, którą zawsze miał przy sobie, podsycało tę nadzieję. Powoli jednak dzień imienin Zdzisława stał się ich dniem zaduszn ym. Nie znając miejsca, w którym został pochowany, zamieniły dzień jego imienin w dzień jego pamięci.

Ile już było tych dni? Ile już lat, w których obecna jest jego nieobecność? Grażyna przez tę noc oczekiwania na otwarcie sklepu myśli, czy ojciec mógł

kiedykolwiek przypuszczać, że jego śmierć tak nieodwołalnie zdeterminuje los najbliższych? Dla niej od chwili jego aresztowania zaczęło się inne życie. Czekały na nią choroby, których by uniknęła, gdyby nie ta sprawa; poznała widoki z okien mieszkań, które nigdy nie byłyby jej adresami; jej udziałem były inne zajęcia niż te, o których marzył dla niej ojciec.

Teraz, ogarniając przestrzeń czasu między tamtym dniem aresztowania a tą nocą oczekiwania, Grażyna widzi, że wszystko, co się w jej życiu zdarzyło, było związane ze sprawą ojca. Choć nieobecny, wpływał na kolejne zdarzenia. Wszystko działo się przez niego.

W rocznicę aresztowania rodzina otrzymała nakaz eksmisji z mieszkania przy ulicy Belwederskiej. W ciągu dwudziestu czterech godzin należało opuścić mieszkanie. Opóźnienie groziło wyrzuceniem rzeczy przez okna. Zapowiedział to urzędnik kierujący eksmisją. Otworzył nawet okna. Będą zbierały graty na łopatę!

Spotkała go później na ulicy Śniadeckich jako kierownika Biura Zamiany Mieszkań. Patrzyła przez dłuższą chwilę na tę ugrzecznioną twarz za biurkiem i zastanawiała się, czy przypomnieć mu tamte sceny sprzed lat? Na pewno nic by nie pamiętał. Nie wiedziałby, o co chodzi. Wyprosiłby ją za drzwi. Zrezygnowała z usług biura. Nie chciała mieć z nim do czynienia.

Dozorca Żbik pomagał załadować rzeczy na furgon, a dozorczyni ze łzami w oczach zgłosiła szeptem ofertę, że „będzie od tej pory prać pani pułkownikowej za pół ceny...".

Pierwszy adres, pod którym zameldowała się trzydziestoośmioletnia wdowa z dwiema córkami, był na ulicy Wiktorskiej. Dwa pokoje, w trzecim maszynistka z instytucji wojskowej. W styczniu przeniesiono je do jednego pokoju we wspólnym mieszkaniu. Tam już nie zmieściły się meble z Belwederskiej. Trzeba było część umieścić u znajomych, część sprzedać. Potem przesiedlono je na Koło. Tych baraków przy ulicy Księcia Janusza już nie ma. Stoją tam teraz nowe bloki. Jeden pokój, jedna faza światła, woda na korytarzu, niebo widoczne przez dziury w dachu. Obok mieszkała generałowa Kirchmayerowa, rodzina generała Hermana, siostra Piłsudskiego oraz tacy lokatorzy, którzy budzili się pijani i nigdy na trzeźwo nie zasypiali. Pamięta ich nocne krzyki, awantury. Pamięta bieg do jedynego tramwaju, którym mogła dojechać do gimnazjum Żmichowskiej. Matka załatwiła sobie jakoś pracę kasjerki w domu towarowym. Do obowiązków Grażyny należało odbieranie Ewy z przedszkola. Godzinne wyczekiwania na trzynastkę, ciągnięcie płaczącej Ewy na Koło, szron na ścianie, Ewę pakuje pod kołdrę, sama siada do lekcji, nogi, oparte na wiadrze z węglem, prawie wciska w żelazny piecyk. Rano trzeba było młotkiem

rozbijać w miednicy zamarzniętą wodę. Tam odmroziła sobie nogi, palce sine, spuchnięte, stopy nie mieściły się w butach. Każdy krok wyciskał łzy.

Nie zapomni tego, jak pani Żemajtisowa podeszła do niej w szkole i objęła ramieniem:

– Wezmę cię do swego lekarza.

Jak ciepło było w tej wołdze, którą zawieziono ją do szpitala na Solec. Albo gangrena, albo zerwanie sześciu paznokci!

Porobiły się odczyny alergiczne. Kulejąc, biegła ze szkoły po Ewę. Tramwaj, jazda, palenie w piecu. Zasypiała na lekcjach w szkole. Koleżanki ją zasłaniały, a wychowawczyni udawała, że nic nie widzi. Sama załatwiła jej bezpłatne obiady w szkole.

Szkoła. Tam nosiła plisowaną spódniczkę i bluzkę z marynarskim kołnierzem. Tam była taka jak inne. Ale nie dla wszystkich. Dyrektorka, ustalając listę wyjeżdżających na kolonie letnie, skreśliła jej nazwisko:

– Barbasiewiczówna jako rozsadnik zła nie może jechać...

Miała wtedy piętnaście lat. Siedem lat później, kiedy pracowała w Domach Towarowych, ta sama dyrektorka, powołując się przymilnie na więzi ze swą uczennicą, chciała, by odłożyła jej dywan. Grażyna odmówiła. Wciąż pamiętała spojrzenie tamtej, ruch jej warg, gdy rozdając klasie w 1953 roku świadectwa maturalne, powiedziała do niej:

– Twoje papiery ze szkoły dalej nie wyjdą. Ty się na uczelnię nie masz co starać.

Myśli teraz: kim by była, gdyby nie to wszystko?

Nie byłaby rencistką, dorabiającą chałupnictwem. Skończyłaby stomatologię. On tak chciał.

On miał wyposażyć jej gabinet. Wiadomo, że byłoby tak, jak on chciał.

Nic nie było tak, jak on chciał. Przewidziana przez ojca jej przyszłość odeszła wraz z nim. Żyła teraz innym życiem, niż było dla niej przewidziane.

Miała szesnaście lat, kiedy zrobiła maturę. Ojciec obiecywał, że na ten wielki, maturalny bal pójdzie w pięknej, białej sukience. On sam zatańczy z nią pierwszego walca. Był zaangażowany w prace Koła Rodzicielskiego w liceum. Po maturze zacznie być prawdziwą panną. A prawdziwe życie prawdziwej panny zaczyna się od pierwszego balu w prawdziwej sukni...

Miała już te szesnaście lat, ale nie była na balu. Utknęła w zapachu waleriany, maści i syropów. Została kasjerką w aptece. Zarabiała sześćset dwa złote. Dokładnie tyle, ile kazano pokwitować przy odbiorze pieniędzy, których ojciec nie wykorzystał. Nie zdążył. Po zmianie biegła jeszcze do różnych domów. Dorabiała korepetycjami. Półżywa docierała na Koło.

Była w szpitalu po operacji wyrostka, kiedy dowiedziała się, że nie ma dokąd wracać. Z baraków na ulicy Księcia Janusza rzeczy zostały wystawione na ulicę.

– Dokąd mam się przenieść? – pytała matka.

– W Warszawie nie ma pani prawa zameldowania.

– Co mam robić?

– Może pani znajdzie pracę w jakimś pegeerze.

Reszta rzeczy idzie do znajomych. Ci chętniej się na to zgadzają niż część rodziny, która boi się kontaktu z zadżumionymi. Z walizkami pod pachą przenoszą się we trzy do znajomej w Otwocku. Matka pisze odwołanie do Rady Państwa.

Grażyna S. sięga teraz do teczki depozytu. Wśród innych dokumentów jest tam odpowiedź na to odwołanie: „Decyzja Ministra Gospodarki Komunalnej jest ostateczna i nieodwołalna. Prezydium Rady Narodowej może spowodować przydział lokalu i pracy na terenie woj. koszalińskiego, opolskiego, wrocławskiego, zielonogórskiego. Kier. Wydz. Chmielewski".

Zameldowana w Otwocku, żyła w bezustannych przesiadkach: z pociągu do apteki, z apteki na korepetycje, czasem nocowała u znajomych, czasem u koleżanek. Gdy spóźniła się na pociąg, nocowała w parku na Mokotowie, wsparta o swoją torbę. Właściwie ta torba była jej domem. Miała w niej wszystko: książki, koszulę, wiktuały.

Kiedy tak czasem czekała świtu na ławce, jakoś się nie bała. Miała wrażenie, że ktoś nad nią czuwa.

Potem były jazdy kolejką EKD. Ktoś życzliwy wskazał w Milanówku walącą się ruderę. Wprowadziły się na dziko do mansardy. Nie było światła. Dach przeciekał. Przekonały głównego lokatora, że pilnują mu obiektu, ale gdy ten musiał się wymeldować – znowu zagroziła im bezdomność. Grażyna pracowała już wówczas w sekretariacie spółdzielni „Skala" na Wilczej.

– Co się z panią dzieje? – spytał raz sekretarz partii, widząc, jak trzęsą się jej ręce, jak musi nisko pochylać głowę nad biurkiem, by odczytać nagłówek urzędowego pisma.

Nie pamięta słów, nie wie, czy mówiła, czy płakała, opowiadając o swojej sytuacji mieszkaniowej. Kiedy obiecał pomóc – nie uwierzyła ani jednemu słowu. Dlaczego ma pomóc ktoś obcy, jeśli nawet rodzina odwraca się od nich? Sam pojechał do Pruszkowa. Jego interwencja odniosła skutek. Otrzymały nakaz na owo mieszkanie w Milanówku.

Tak, ta „Skala" to był lepszy okres. Blisko kolejki. W śródmieściu. Ciepło w nogi. Tam chyba pierwszy raz od dłuższego czasu skłoniono ją, by się

uśmiechnęła. By chciało się jej popatrzyć w lusterko. Tam użyła pierwszej szminki do warg. Tam poznała swego przyszłego męża. Wtedy uznała, że jej własne życie nie może być tylko przedłużeniem życia nieobecnego ojca.

Nie nosiła jeszcze wtedy tych ciężkich, grubych szkieł – piętnaście dioptrii. Te wszystkie choroby, które kiedyś wymyślała dla niej matka, wyjaśniając w czasie okupacji przyczyny podróży do Warszawy, były jeszcze przed nią. To przychodziło powoli, ale zbyt wcześnie jak na jej lata. Najpierw rozmywały się litery, potem kontury ludzi widziała jak za brudną szybą. Kontury też zaczęły zanikać. Wtedy już miała dzieci: Piotra i Małgosię. W 1979 roku przestała widzieć ich rysy. Tak zauważalne pogorszenie przyszło po urodzeniu Piotra. Przeszła ospę. To było medyczne kuriozum. Która matka zarazi się ospą dziecka? W tym wieku taki stan nerwów? Kłopoty z krążeniem? Kamica wątrobowa? Czy nie za dużo jak na tak młodą kobietę? Po ospie jeszcze bardziej pogorszyły się oczy. Zaćma. Zaćma w tak młodym wieku? Zaćma jest chorobą wieku starczego! Jedno oko było lepsze. Używała szkła powiększającego. Sama teraz nie wierzy, że mogła z takim wzrokiem liczyć miliony. Bo potem pracowała w Głównej Kasie Zbiorczej Domów Towarowych. Choroba postępowała.

Trzy lata temu, kiedy przenieśli się do nowego mieszkania, stojąc o pięćdziesiąt kroków od bloku musiała pytać, jak trafić pod swój adres. Pytała ludzi o numery autobusów. Stanęła przed komisją. Orzeczono „niewzroczność", skierowano na rentę inwalidzką. Czekały ją operacje. Lekarze kiwali głowami. W pani wieku już operacja? Operacje na zaćmę mają lżejszy przebieg w wieku starczym, usunięcie soczewki jest łatwiejsze, rekonwalescencja szybsza.

Do niej wszystko, co złego mógł ofiarować jej los, przychodziło wcześniej niż do innych. Im mniej widziała przed sobą, tym wyraźniejsze stawało się to, co przeszła. Nie widziała twarzy swych dzieci. Ale pamiętała twarz ojca.

Przeszła dwie operacje. Przez grube szkła może odczytać następny dokument, będący etapem jej życia, choć mówi o ojcu. Pismo adresowane do matki: „Zawiadamiamy Obywatelkę, że postanowieniem Najwyższego Sądu Wojskowego z dnia 24 IV 1956 r. postępowanie karne w sprawie męża Obywatelki, Barbasiewicza Zdzisława Jerzego, s. Jana, zostało wznowione. Najwyższy Sąd Wojskowy po ponownym rozpatrzeniu sprawy stwierdził niewinność męża Obywatelki i uchylił wyrok z dnia 29 X 1951 r. Nr sn 4/51, skazujący go na karę śmierci. Oznacza to całkowitą rehabilitację męża Obywatelki. Prokurator Generalny – Marian Rybicki".

Tylko sześć lat minęło od aresztowania. Od śledztwa. Przyznania się. Tylko pięć lat od wyroku. Odwołania zeznań.

Aż sześć lat. A tyle w nich zdarzeń, których nigdy nie zapomni. To, co zawiera jej archiwum, jest potwierdzeniem, że to były nie tylko jej dramaty. Jest tam numer „Trybuny Ludu" z 1956 roku, a w nim referat Edwarda Ochaba, omawiający XX Zjazd KPZR: „Prawda jest dla nas nieodzowną bronią w walce o zwycięstwo sprawy ludu pracującego". Jest „Express Wieczorny" z datą 6 grudnia 1956. W tę noc oczekiwania na otwarcie sklepu wracają do niej tytuły z pierwszej strony. Na górze: „W Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki młodzi rewolucjoniści obradują nad sprawą konsolidacji młodzieży w walce o pełną odnowę naszego życia"... Poniżej: „Po rozwiązaniu rad rewolucyjnych wzrost napięcia na Węgrzech. Nowe demonstracje w Budapeszcie". Z lewej strony kolumny tytuł: „Niewinnie skazani oficerowie WP. Tragiczna lista [...]. Wszyscy oficerowie zostali skazani za udział w stworzeniu w obrębie swych służb (marynarka, lotnictwo i broń pancerna) komórek wywiadowczo-szpiegowskich, podległych bezpośrednio tak zwanej grupie Tatara, Kirchmayera. Skazani zostali wyłącznie na podstawie swych zeznań, uzyskanych w toku śledztwa, trwającego około dwóch lat pod straszliwym przymusem fizycznym i psychicznym. Żadnego innego dowodu winy nie było. Listę 19 nazwisk rozstrzelanych oficerów otwiera komandor por. Józef Zbigniew Przybyszewski (d-ca baterii nadbrzeżnej w obronie Helu. W Wojsku Polskim pełnił służbę szefa artylerii Marynarki Wojennej) [...]. Ppłk Zdzisław Barbasiewicz (w czasie okupacji działał w AK, po wyzwoleniu pracował w Sztabie Generalnym) [...]. Rodziny otrzymały pełną rehabilitację moralną i materialną. Ale opinia publiczna oczekuje pociągnięcia do odpowiedzialności tych, którzy są odpowiedzialni za śmierć niewinnie skazanych"... Po drugiej stronie tego numeru może przeczytać tytuł: *Proces rehabilitacyjny Kazimierza Moczarskiego, Stanisława Kraka i Alfreda Kuczewskiego*...

To właśnie w tym okresie powstało domowe archiwum, które teraz przegląda. Dokumenty stwierdzające niewinność. Gazety piszące o rehabilitacji. Sprawa jej ojca była jedną z wielu. Z jej osobistej sprawy stała się sprawą publiczną. Czy to przyniosło jej wtedy ulgę?

Ludzie niewinnie osądzeni wychodzili z więzień. Skazani, na których wykonano wyrok, nie wrócą. Nie wiadomo nawet, gdzie ich pochowano. Jedni mówią, że leżą w wykopach na fundamenty, na których teraz stoi potężny gmach, kiedyś przeznaczony na więzienie; drudzy wskazywali daleki Służewiec, inni wymieniali cmentarz Bródnowski, ktoś napomknął o wsi Trojanów

pod Sochaczewem, gdzie na cmentarzu obok poległych żołnierzy września trzydziestego dziewiątego roku przybyły groby oznaczone „NN".

Chciały wiedzieć, gdzie go szukać. Pragnęły mieć miejsce, by się z nim spotykać.

Matka w 1956 roku udała się specjalnie na rozmowę z ministrem sprawiedliwości. Rozłożył ręce w geście autentycznej bezradności.

– My nie wiemy nic pewnego. Kiedy coś da się ustalić, przekażemy rodzinom.

A przecież są ludzie, którzy zabijali drewniane trumny gwoździami, wkładali je na wóz, kopali doły. Ktoś to robił. Są gdzieś protokoły. Przecież instrukcja o wykonywaniu orzeczeń przewidywała podpisanie protokołu wykonania wyroku śmierci przez naczelnika więzienia, prokuratora, lekarza, sędziego oraz dowódcę oddziału egzekucyjnego. Ktoś wskazywał kierunek tym furmanom, którzy przed świtem wyjeżdżali z bramy więzienia.

Chciały znać miejsce, do którego dotarł.

Zdawało się, że będzie to możliwe, gdy w roku 1956 po corocznej mszy w dniu wykonania wyroku podszedł do nich ktoś całkiem im nieznany i powiedział, że jest człowiekiem, który ostatni widział Zdzisława Barbasiewicza. Siedział z nim w celi na Mokotowie. Kiedy drzwi się otworzyły i wyczytano nazwisko „Barbasiewicz" – nie wiedział, po co go wywołują. Już w drzwiach odwrócił się i powiedział:

– Jak będziecie się przenosić do innej celi, zabierzcie ze sobą moje ranne pantofle.

A więc on też nie liczył się z tak rychłym wykonaniem wyroku. Wierzył, że przyjdzie ocalenie. Jak zawsze.

Zna więc ostatnie słowa ojca. Nie zna do dziś miejsca, gdzie leży jego ciało. Na Zaduszki, w dniu jego imienin i w dniu podanym na akcie zgonu chodzą na Cmentarz Komunalny na Powązkach, gdzie staraniem administracji wojskowej postawiono symboliczne nagrobki straconych. W półkolu za grobowcem Świerczewskiego widnieją mosiężne tabliczki: „Ppłk Zdzisław Barbasiewicz, niewinnie stracony"... Obok nazwiska Mossora, Kity, Rypsona...

Tak, wtedy wszystko by zrobiono, żeby ich wskrzesić. Nagrobki. Rehabilitacja. Odszkodowania. Ile wart jest mąż? Ojciec? Wypłacili pięćdziesiąt tysięcy, potem podwoili tę sumę, a gdy rodzina zakwestionowała sprawę zagubionej papierośnicy – pytali z palcem na liczydłach:

– Ile pani chce?

Gotowi byli wyrównać wartość depozytu, prosili o ekspertyzę. Grawer Miecznik z ulicy Nowogrodzkiej, który wielokrotnie miał ją w swej pracowni, oświadczył:

– Nie podjąłbym się odtworzenia tej papierośnicy. Na taką rzecz nie ma ceny. Drugiej takiej nie ma nigdzie.

Nie chodziło im o pieniądze. Chciały odzyskać to, co było zawsze tak blisko niego.

I oto po latach liczy godziny, kiedy noc minie i nadejdzie pora otwarcia sklepów. Czy będzie tam? Jak tam trafiła? Myślą o tym. Grażyna u siebie w mieszkaniu, nad otwartą szufladą z archiwum. Jej matka u siebie. Obie, choć oddzielone kilometrami przestrzeni, myślą o tym samym.

Tylko one dwie tym żyją. Siostra Ewa od lat mieszka w Danii. Jej wystarcza ten ślad po ojcu, jaki jest na Powązkach.

Grażyna S. na te godziny oczekiwania zamknęła się w pokoju jak w celi. Za ścianą jest mąż, córka i syn.

Nie wiedzą, że w tych ścianach wraz z nimi przebywa jeszcze nieobecny. Że on jest wciąż miarą świata. Miarą innych ludzi. Nie wiedzą, że Grażyna porównuje wszystkich, którzy coś dla niej znaczą, do osoby ojca. Czy on by się tak zachował jak jej mąż w chwili, gdy gniewa go odmawiający posłuszeństwa silnik samochodu? Czyby usiadł do kolacji w tak niedbałym stroju jak syn Piotr? Nie wygłaszałby takich bezwzględnych opinii o ludziach. Inaczej by wbijał gwóźdź. Inaczej reagował na podłość. Inaczej witał radość.

Nie mówi im tego. Nie wie nawet, czy orientują się, że odbiera ich jakby poprzez niego. Są dla niej najważniejsi i niezastąpieni, dlatego właśnie pragnie, by odpowiadali obrazom i zasadom jej przeszłości. Ale Małgosia woli chodzić w spodniach, a słysząc o marynarskich kołnierzykach bluzek, jakie matka nosiła u Żmichowskiej, wybucha śmiechem.

Czasem ma wyrzuty sumienia, że dając z siebie najbliższym wszystko – okrada jakby z uczuć kogoś nieobecnego.

Strata ojca kazała jej ocalić jego osobę w pamięci. Wyobraźnia podsuwała przez tyle lat wszystkie zdarzenia, w których mógłby uczestniczyć, gdyby żył: wspólne wakacje, dalekie podróże, jej ślub... W wyobraźni kazała mu przeżywać wszystkie ich troski i radości, odgrywać nadal rolę ojca, potem teścia, wreszcie dziadka jej dzieci. Jego brak uczynił go bardziej obecnym w ich życiu, niż gdyby był obecny naprawdę. Przecież właśnie to, że go zabrakło, decydowało nawet o tych ścianach, w których żyją. Nawet o lekarstwach, które miały ratować jej zdrowie. I o zdrowiu, którym zapłaciła za to, co się z nim stało.

Po rehabilitacji mogła się starać o mieszkanie. Uzyskała specjalne uprawnienia do otrzymywania lekarstw w Ministerstwie Zdrowia. Zaproponowano im wczasy – miejsce do wyboru. W Krynicy kierowniczka Czerwonego Domu FWP[4] oprowadzała je po pokojach, mogły wybrać, który im się spodobał.

[4] FWP – Fundusz Wczasów Pracowniczych.

„Wczasy rehabilitacyjne" miały prawo otrzymywać posiłki do pokoju. Co dzień rano pukano z pytaniem, jakie mają życzenia wobec jadłospisu. Niech się nie krępują, Rada Państwa dopłaca do ich pobytu.

Nie mogła się pozbyć wrażenia, że najpierw on dopłacił swoim życiem. Do wczasów. Do przydzielonego mieszkania. Do lekarstw. Czy ma mu dziękować, że tak ułatwił im życie bez siebie?

Nieraz myśli, jakie byłoby to życie, gdyby przeżył swoją rehabilitację. Miałaby swój zawód. Nie byłaby chora na te choroby, które ją spotkały.

Patrzy w lustro. Nawet jej twarz byłaby inna. Zapewne nie nosiłaby śladów ospy. Jej oczy nie byłyby wyolbrzymione przez grube, ciężkie szkła. Byłaby bardziej podobna do tej, jaką widział ojciec. Pewnie na spotkaniu wychowanek liceum imienia Żmichowskiej w dwudziestolecie matury nie musiałaby przypominać koleżankom swego imienia i nazwiska, by ułatwić im rozpoznanie „tej Grażynki z trzeciej ławki".

Jakże inną barwę by miało to, co już przeszło. Nie zdążyła jeszcze nauczyć się świata, kiedy już się dla niej rozpadł. Od chwili, gdy go zabrakło, żyła innym życiem, niż mogła żyć.

Wciąż przypisuje ojcu siłę i energię wieku, w którym go straciła. Nie uwzględnia czasu, jaki upłynął od daty 10 stycznia 1952 roku. Został dla niej na zawsze czterdziestoletnim mężczyzną. Tym, który trzymał ją na kolanach na ostatnim widzeniu.

Czasem rzeczywistość potwierdza jakby jej widzenie, pozwala traktować ojca jak osobę, która nie dla wszystkich odeszła. W 1966 roku przyszedł list z Rygi od pułkownika Fastowca. Do roku 1946 był w Sztabie Generalnym, potem wrócił do ZSRR i oto pisał ze wzruszeniem, że dopiero teraz przeczytał w „Życiu Warszawy" nekrolog, podający datę mszy za spokój duszy pułkownika. Nic nie wiedział o jego śmierci, zawsze go serdecznie wspominał, bo Zdzisław nauczył go po polsku, pokazywał mu Warszawę i jej pamiątki. Był przekonany, że się niebawem spotkają, bo zatęsknił za Warszawą...

A więc czternaście lat od rozstrzelania ojciec żył jeszcze dla kogoś? To też był dla niej znak, że nieobecni nie odchodzą ze wszystkim i nieodwołalnie.

Wysłały zaproszenie dla autora listu. Emerytowany pułkownik przyjechał z Rygi. Teraz on ich oprowadzał po Warszawie tym szlakiem, jakim przedtem prowadził go Zdzisław. Przypominał jego słowa, z czego się śmiał, o czym mówił poważnie. Potem Grażyna z matką pojechały do Rygi. Były gośćmi przyjaciela ojca i czuły się tam tak, jakby pojechali we troje.

Tak, to, że dla kogoś przeżył swoją śmierć, było znakiem od niego. Jak ta papierośnica.

Czy jutro rano uzupełni ona domowy depozyt dokumentów i rzeczy po ojcu? Jeszcze tylko kilka godzin, zanim otworzą sklepy. Grażyna patrzy na szufladę. Oprócz dokumentów, papierów, zdjęć są tam złożone odznaczenia ojca: Virtuti Militari, Polonia Restituta, Krzyż Walecznych, Krzyże Zasługi – brązowy, srebrny, złoty. Przedwojenny Medal Dziesięciolecia, medale „Za Warszawę", „Za Berlin", „Za Odrę i Nysę", „Za zwycięstwo nad Niemcami".

Powoli zamyka szufladę. Depozyt swojej pamięci. Całe to archiwum przekazała Piotrowi. Syn studiuje prawo. To, co zawiera ta szuflada, jest dokumentacją problemu, do czego może służyć prawo, gdy rządzi bezprawie. Niech teraz będzie to jego depozytem.

W ten sposób Piotr, porównywany wciąż do kogoś, kogo nie znał, przejął od niej sztafetę pamięci. Stworzył wizerunek postaci dziadka poprzez jego nieobecność. Obraz praw czasów sprzed swego urodzenia.

Może jutro przejmie jeszcze jeden rekwizyt do tego depozytu.

Już świta...

Targowa 61.

Umówiła się z matką o godzinie otwarcia sklepu. Obie jednak były już pół godziny przed jedenastą. Krążyły po chodniku. Każdy nadchodzący przechodzień stanowił zagrożenie: może zmierza do desy, może sięgnie po tę papierośnicę?

Zgrzyt kraty. Kierowniczka zaskoczona. Dwie kobiety, ledwo zdążyła zdjąć kłódkę, wchodzą do środka. Pochylają się nad gablotami.

– Jest podobno u pani taka papierośnica pełna emblematów.

– A jest. Rzecz amatorska, bardzo „retro".

Szczęk kluczyków, otwarcie szafki, błysk srebra i Grażyna czuje na swojej dłoni ciężar papierośnicy. Nie musi przybliżać jej do oczu. Opuszkami palców rozpoznaje kształt emblematów, litery inskrypcji. Choć czuje ulgę, z trudem przełyka ślinę. Ucisk w gardle, jakby dobiegła do mety po maratonie. Opiera się o ladę. Matka bierze papierośnicę. Patrzą teraz na siebie bez słowa. Kierowniczka śledzi ich spojrzenia. Coś się kryje za wzruszeniem tych kobiet. Pyta zaniepokojona:

– Może... kradziona?

– W pewnym sensie tak.

– To ja mogę wycofać ją z depozytu na dwadzieścia cztery godziny, a panie mogą natychmiast powiadomić organa ścigania.

Bez porozumienia obie kiwają przecząco głowami. Nie zostawią jej ani na godzinę dłużej. Bały się, że ktoś mógłby to wycofać, odebrać. Już wczoraj

wyjęły z książeczki PKO oszczędności. Kiedy matka odlicza pieniądze, Grażyna pyta:

– Kto to wstawił?

– Wedle przepisów tego mi nie wolno ujawnić. Chyba że na żądanie prokuratora.

Nie wiedziały, która z nich ma nieść papierośnicę.

Dopiero w domu przyglądają się jej dokładnie tak, jak patrzyłyby na twarz człowieka, który wrócił po latach. Musiała upaść albo ktoś uderzył o coś jej spodnią stroną, bo w napisie „Spokojna głowa, sztuk nie ma" w słowie „sztuk" litery „u" i „k" były skrzywione, uniesione do góry.

Przez czyje ręce przeszła? Kto ją zaniósł do sklepu? Kto odbiera pieniądze, które one wpłaciły ze swych oszczędności?

Matka boi się kontaktów z prokuraturą. Znów wraca obraz okienka Informacji na Chałubińskiego, kolejek, obcych twarzy, przeczącego gestu głowy...

Grażyna pisze pismo do Generalnej Prokuratury z prośbą o wyjaśnienie losów papierośnicy, której nie zwrócono z depozytu.

Za dwa dni rozlega się telefon. Dzwoni prokurator. Pojechał na Targową 61, ustalił, że do desy dostarczyła papierośnicę pani Z. Dotarł do niej. Wyjaśniła, że otrzymała ten drobiazg od swego przyjaciela. Kiedy młody człowiek zerwał z nią znajomość, pani Z., potrzebując pieniędzy, oddała przedmiot do desy. Prokurator uzyskał informację, że ów młody człowiek wziął papierośnicę ze zbiorów pewnego rotmistrza kawalerii, który był jego ojczymem. Rotmistrz zaś, doceniając unikalny charakter ozdób, kupił papierośnicę w pierwszym sklepie Desy na MDM-ie prawie ćwierć wieku temu. Nie sposób ustalić, kto ją wtedy przyniósł do sprzedania...

Papierośnica trafia do prywatnego depozytu Grażyny S. Tam, gdzie są wszystkie dokumenty, odznaczenia, gazety. Tam, gdzie są zanotowane ostatnie słowa właściciela papierośnicy: „Jeśli będziecie się przenosić do innej celi, zabierzcie ze sobą moje ranne pantofle".

Andrzej Mularczyk, *Polskie miłości*, Warszawa: Muza SA, 1998, s. 343–384

1981

Barbara Pietkiewicz (ur. 1939)

Nie szukać szczęścia

Nieprzerwanie od 1978 roku pisze dla „Polityki". Jest jedną z najbardziej rozpoznawalnych reporterek w Polsce. W 2000 roku zdobyła Grand Press za tekst o eutanazji. Mimo to zawsze powtarza, że dziennikarstwo nie jest tym, czego pragnęła.

Skończyła Wydział Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego, potem uczyła się śpiewu, chciała zostać śpiewaczką operową. Mówi, że oszalała na tym punkcie. („Dałabym się pokroić, żeby śpiewać"). Niestety, wypadek samochodowy odebrał jej głos, przez jakiś czas nawet nie mówiła, pracowała wtedy jako tłumaczka w Komendzie Głównej Straży Pożarnej. Zapisała się do studium dziennikarskiego, skończyła je w 1969 roku. „Ale do dziennikarstwa podchodziłam zawsze jak do erzacu".

Przez ostatnie dwadzieścia lat kojarzona jest jako ta, która opisuje przemoc, zło i patologię. Wpisanie nazwiska Pietkiewicz do internetowego archiwum „Polityki" powoduje wysyp fragmentów jej reportaży:

> Ostatnią w życiu klasówkę z historii Agnieszka skończyła przed czasem i dała ściągnąć Łukaszowi. Dostała piątkę. Zawsze prymuska. Już nie żyła, kiedy pani oddawała klasówki...
>
> To od początku był złowieszczy trójkąt. Żona, mąż i jego o 42 lata młodsza kochanka. Coś musiało się stać...
>
> Ojciec nie pamięta, kiedy zainteresował się Lilą jako kobietą. Już kiedy miała pięć lat, była bardzo ładna. Ruda, ale ładna. Którejś nocy poszedł do jej pokoju i położył się przodem...
>
> Człowieka najłatwiej zabija się, uderzając nożem w brzuch. Tak pokazują na filmach i w książkach. Zabiły na trzy cztery, nożami do krojenia kurczaków...

Agnieszka Wójcińska w *Reporterach bez fikcji* zapytała Barbarę Pietkiewicz, skąd się w niej wzięło zainteresowanie tematami granicznymi, tragicznymi, związanymi ze śmiercią.

> Nie wiem – odparła reporterka – zawsze mnie to ciągnęło. I nigdy mnie ta tematyka nie nudzi. Piszę o ludziach nieszczęśliwych, zdruzgotanych, chorych, kalekich. Nie znoszę pisać tekstów o ludziach

szczęśliwych. Napisałam ich dużo, ale to mnie nudzi. Bo co jest ciekawego w szczęściu? Nic.

W 2006 roku ukazał się w „Polityce" jej reportaż *Kolejka po dywan* napisany dwadzieścia trzy lata wcześniej. W 1983 roku druk wstrzymał urząd cenzury. Tekst zaczynał się tak:

Numer dywanowy 3271 dostała mieszkanie zastępcze. Nie ma w nim łazienki, rezerwuarku do ubikacji i klamek, okno wychodzi na czarny mur sąsiedniego domu, a na ścianach leży tłusty, przedwojenny brud, ale to nic. 3271 płakała ze szczęścia na ulicy, ściskając w ręku amulet, co robi od pewnego czasu (ona, ekonomistka z Ministerstwa Finansów).

Po ciężkim okresie, gdy umarła nowo narodzona córeczka, a całą pensję trzeba było oddawać za wynajęcie pokoju, wszystko idzie ku dobremu. Widomym tego ostatnio znakiem jest mieszkanie (mój Boże, prawie własne) i firanki. Któregoś dnia, jak zwykle, obiegła na wszelki wypadek sklepy i zauważyła, że personel tajemnie mierzy tkaninę. Stanęła w kolejce świtem następnego dnia, stała sześć godzin, na krok nie oddalając się sprzed sklepu, i kupiła je, a nawet mały kawałek wykładziny.

Pragnie jednakże mieć również dywan. Choć zdaje sobie sprawę z zasięgu tego marzenia. Jest numerem 3271 do dywanów, transakcja będzie więc możliwa za półtora roku lub dwa lata, w czasie których w każdą środę musi się odhaczać przed sklepem Emilia na liście dywanowej, przez co potwierdzać będzie, że wciąż czeka.

Do rezerwuarków i wanny nie trzeba się odhaczać, te należy wystać i wychodzić. Bo 3271 pragnie mieć także wannę, co jest wygórowaną zachcianką wobec braku łazienki, ale to nic, postawi ją w kuchni. Ostatecznie żona numeru dywanowego 1415 postawiła piecyk w łazience (bo oni, odwrotnie, łazienkę mają, a kuchni – nie), smaży naleśniki przy sraczyku i jakoś się przyzwyczaili.

Numer dywanowy 142, któremu systematycznie w nocnej kolejce wysiadają jajniki, powiada, że kolejka sama w sobie tragedią nie jest. Zaczyna nią być, kiedy człowiek się do kolejki przyzwyczaja.

Już z tego fragmentu wynika, dlaczego cenzura nie mogła tekstu przełknąć: Barbara Pietkiewicz napisała cały reportaż tonem akceptującym absurdalną rzeczywistość. Każdy nonsens przedstawia jako sens, wychodzi groteska.

„Numer 3271 na regał jest numerem 6283, więc bez szans, ale może się zdarzyć jakiś cud…" – i dalej autorka opowiada o cudach, które trafiły się innym

numerom, czyli kolejkowiczom, dzięki czemu zdobyli pewne towary poza kolejką. Na ten ton cenzor nie dał się niestety nabrać.

Kiedy Barbara Pietkiewicz zaczęła w 1980 roku zbierać materiał do swojego reportażu *Gorzki fiolet*, jej bohaterowie (homoseksualiści, których znała w swoim otoczeniu, oraz ich znajomi) byli przekonani, że cenzura tego nie puści.

> Byłam sekowana i odganiana – mówi – bo jedni uważali, że jestem wtyką milicyjną, inni nie wierzyli, że mogę o czymś takim napisać, bo przecież nie wolno. Mówiłam im: cenzor się upije i puści. Trwało to kilka miesięcy, zanim udało mi się materiał zebrać. Długo nie wiedziałam, że potem dla niektórych środowisk był to reportaż kultowy, że organizowano wieczory, na których lektorzy czytali ten tekst na głos. Do dziś mi go geje pamiętają.

Krzysztof Tomasik we wstępie do swojej książki *Gejerel. Mniejszości seksualne w PRL-u* pisze o *Gorzkim fiolecie* jako o drugim tekście dziennikarskim na temat homoseksualizmu w powojennej prasie. Pierwszy ukazał się siedem lat wcześniej w „Życiu Literackim", miał tytuł *Homoseksualizm a opinia*, napisał go Tadeusz Gorgol i najprawdopodobniej był to pseudonim. (W obu tekstach opisywani homoseksualiści byli tylko płci męskiej). „Dlaczego jednak to właśnie materiał Pietkiewicz znalazł się w zbiorowej pamięci?" – pyta Tomasik. Może zdecydowała o tym poczytność „Polityki", a może dopiero w 1981 roku polscy homoseksualiści byli gotowi na przyjęcie artykułu o sobie? Tomasik zauważa, że oboje autorzy musieli „rytualnie odciąć się od tematu": jeden z ostatnich akapitów *Gorzkiego fioletu* mówi o tym, że homoseksualistom nie powinny przysługiwać żadne specjalne prawa, na przykład takie, jakie mają Murzyni. Mimo to jeszcze wiele lat po wydrukowaniu reportażu wycięte strony z „Polityki" były przechowywane przez niektórych gejów jak relikwie.

Reporterskie elementy *Gorzkiego fioletu* przeplatane są swego rodzaju wykładem o homoseksualizmie, a całość zaczyna się oczywiście od starożytnej Grecji. Wyobraźmy sobie teraz, że jesteśmy czytelnikami z roku 1981 i po raz pierwszy słowo „homoseksualista" widzimy w gazecie, ale nie w notatce kryminalnej... Pamiętajmy też, że w tamtych czasach wielu osobom „pederastia" myliła się z „pedofilią".

Gorzki fiolet

I

Co dwudziesty piąty mężczyzna odznacza się skłonnością, za którą prawo Mojżeszowe „tych, co sypiają z sobą jak kobieta z mężczyzną", nakazywało karać śmiercią.

Antyczna Grecja i Rzym nie znajdowały w homoseksualizmie niczego, co by należało karać. *Lex Iulia*[1] „tych, co czynią miłość w innej postaci", posyłała na śmierć. Chrześcijaństwo paliło ich na stosach razem z heretykami. Za *coitus contra naturam*[2] w nowożytności groziło więzienie i wygnanie, a w czasach hitleryzmu obóz, pogarda i śmierć.

W latach sześćdziesiątych doradca prezydenta Johnsona zostaje aresztowany za homoseksualizm i okryty hańbą rezygnuje ze stanowiska. W 1979 roku pewien kongresman publicznie przyznaje się do skłonności do chłopców, nie traci poparcia swej partii i zostaje ponownie wybrany. Na konferencji prasowej najbliższy współpracownik Lindsaya oświadcza, że jest homoseksualistą. „Piękny jest błękit i czerwień piękna, ale fiolet jeszcze piękniejszy, bo powstaje z przemieszania czerwieni z błękitem" – piszą homoseksualiści na transparentach i wpinają w butonierki bukieciki fiołków.

W latach siedemdziesiątych większość kodeksów prawnych na świecie przestaje ścigać homoseksualistów za ich życie intymne. Zniesienie paragrafu 175 kodeksu karnego w RFN, na mocy którego za homoseksualizm grożą dwa lata więzienia, dzieli niewiele ponad siedemdziesiąt lat od czasów, kiedy Oskara Wilde'a osadzono w więzieniu w Reading.

II

Homoseksualizm doświadczalnie wywołano u szczurów. W ostatnich dniach ciąży sztucznie zahamowano wytwarzanie się w organizmie samicy androgenów[3]. Niedobór ich spowodował orientację podwzgórza w męskim kierunku, a podjęcie przez organizm normalnej produkcji androgenów w okresie dojrzewania płciowego osobników zaktywizowało odwrócony w życiu płodowym popęd.

Podobny mechanizm działa być może u ludzi. Pewnego dnia tajemnicza chemia układa życie we wzór, którego zmienić nie można.

[1] *Lex Iulia* – korpus ustaw w Imperium Rzymskim wprowadzony przez Oktawiana Augusta w ramach reformy życia społecznego i obyczajów.

[2] *Coitus contra naturam* (łac.) – stosunek wbrew naturze.

[3] Androgeny – męskie hormony płciowe.

III

Dzieje się to zwykle w fazie dojrzewania fizycznego. Akcesoria są te same: kwiaty, książki, wiersze, ale nie o dziewczynę chodzi. Jeszcze przed progiem odporności, przed umiejętnością racjonalizacji zdarzeń wali się na głowę własna inność, przerażenie sobą, wstyd, załamanie i wreszcie podjęcie rozpaczliwej walki o normalność, w którą, jeśli dostrzegą, co się dzieje z chłopakiem, wkraczają rodzice. Używają gróźb i błagań, walczą jak z masturbacją. Ostatnia instancja – lekarz. Trzeba leczyć trędowate dziecko. W gabinecie doktora Lwa-Starowicza matki mówią: „Lepiej, żeby był umarł" i: „Czy można mu zoperować mózg?". Niektóre rezygnują i godzą się z losem. Matka Antoniego Sz. dba, aby sympatiami syna byli przynajmniej chłopcy ułożeni i z dobrych domów. Ułatwiają kontakty i gdy trzeba, wychodzą z domu. Ale tak zdarza się rzadko z matkami, a z ojcami – prawie nigdy. Najczęściej rodzice wyrzekają się, zrywają kontakty albo udają, że nic nie wiedzą, i, bywa, rzeczywiście nie znają prawdy. Do końca życia syn zostaje dla nich nieco dziwacznie żyjącym starym kawalerem.

IV

Antoni Sz. osiągnął był niegdyś sukces erotyczny z kobietą i jest to dla niego źródłem szczególnej satysfakcji. Bo choć świat kobiet nie interesuje go w najmniejszym stopniu, to jednak odchodząc zeń, miał złudzenie wyboru, a nie wygnania. Tylko raj spod sztancy, powiada Antoni, może być szczęśliwy bez wysiłku, każdy inny wymaga niesłychanej pracy, aby go dla siebie stosownie zagospodarować. W przewidywaniu tych trudów człowiek czepia się rozpaczliwie normy. Szuka, jak Antoni Sz., pomocy kobiety. Stosuje romans na siłę i ćwiczenia opornego seksu, aż zbyt już nie do zniesienia wstręt albo nagła fascynacja mężczyzną nie obróci ćwiczeń wniwecz. Upierający się przy normalności za wszelką cenę szybko się żenią i unieszczęśliwiają żony, ponieważ homoseksualizmu nie można się oduczyć, jak nie można oduczyć koloru własnych oczu. Rozwodzą się albo dla dobra dzieci lub ze względu na status służbowy prowadzą podwójne życie. Ich dzieci prawie nigdy nie stają się homoseksualistami, ponieważ tego nie można się także nauczyć ani przez naśladownictwo, ani przez wychowanie [...], ani przez uwiedzenie. Żony tolerują ich, jeśli są bogaci, sympatyczni dla rodziny i w najwyższym stopniu posiedli sztukę kamuflażu. Żon, które by się przyjaźniły i nie czuły pogardy – prawie nie ma.

V

Profesor Fritz Douglas Roeder z Getyngi uważa homoseksualizm za nieprawidłowość biologiczną. Prawdopodobnie w rejonie podwzgórza mieści się ośrodek zachowań seksualnych – rodzaj skomplikowanego komputera, którego działalność może być zakłócona przez urazy z dzieciństwa. Ilość androgenów spada wtedy poniżej tej, której potrzebuje norma, żeńskie hormony zyskują przewagę i seks paczy się w chorobliwym kierunku. Profesor operacyjnie usuwa źródło zła. Do wnętrza czaszki wprowadza elektrodę, która niszczy część podwzgórza homoseksualisty. Operacja kosztuje dziewięćset dolarów i trwa cztery godziny. Pacjent musi być przytomny, dostaje znieczulenie miejscowe.

– Od kilku miesięcy jestem żonaty i szczęśliwy. Odżyłem. Wychodzę z głębokiego tunelu bez światła. Dręczył mnie wstyd. Czułem się wyizolowany, nie mogłem dłużej znieść swej inności – wyznaje dziennikarce Elle Hans pacjent profesora.

– Kraje się mózg, żeby leczyć nas, stąd niedaleko do leczenia lewicowców, pijaków, protestantów. Żydów. Kłania nam się Hitler. Jak można leczyć coś, co nie jest chorobą, ale naturalną skłonnością?

Bo Stowarzyszenie Amerykańskich Homoseksualistów uważa to za naturalną skłonność. Wygrywa walkę ze Stowarzyszeniem Amerykańskich Psychiatrów, żądając, aby ci przestali uważać homoseksualizm za chorobę. Psychiatrzy decydują się na głosowanie, a w jego wyniku homoseksualizm wykreślony zostaje ze spisu chorób psychicznych. Ktoś przeprowadza wśród psychiatrów ankietę, większość przyznaje, że nadal uważa homoseksualistów za chorych. Instytut Kinseya[4] wnosi sprzeciw: ich badania wykazują, że znaczna część homoseksualistów funkcjonuje nie gorzej niż heteroseksualiści i trudno uznać ich za chorych psychicznie. Co do jednego psychiatrzy i badacze są zgodni: ta odmienność wiąże się tajemniczo ze złym dzieciństwem, a zwłaszcza z niekochającym ojcem.

VI

Psychiatria jest wobec niej bezradna. Jedna z prób – leczyć homoseksualizm jak chorobę alkoholową: środki wymiotne i jednoczesne pokazywanie aktów na obrazkach. Ma to prowadzić do obrzydzenia, ale prowadzi do nerwicy. Bo jedynym sposobem leczenia jest pomoc w akceptacji siebie. Jedyne lekarstwo, jeśli nie chce się trafić do kliniki psychiatrycznej albo targnąć się na własne życie. Wśród amerykańskich samobójców jest o czterdzieści osiem procent więcej homoseksualistów niż wśród normalnych. Zgoda na siebie wymaga

[4] Institute for Research in Sex, Gender, and Reproduction – ośrodek badawczy na uniwersytecie stanu Indiana założony w 1947 roku przez seksuologa Alfreda Kinseya.

tu większej odwagi niż walka. Ludzka pogarda, samotność i tragiczne starzenie się są z góry niejako wpisane w los i szanse, że one człowieka ominą, są mniejsze.

VII

Antoni Sz. nie jeździ na wczasy.

– Och, panu Antoniemu ich nie trzeba, chyba z panem Jurkiem – mówi personalna, a biuro się śmieje.

Personalna nie rozumie, jak można było dopuścić, aby człowiek tego pokroju zajmował się księgowością. A nuż kraść zacznie?

Antoni mieszka z przyjacielem, lekarzem. Sąsiedzi wiedzą, że to bracia. Przyjaciel dla kamuflażu przyprowadza czasami znajomą dziewczynę. Nie demonstrują zażyłości: spotkaliby się z wrogością ludzi z bloku i ulicy. Antoni Sz. uważa, że to jest normalne. Większość ma prawo do obrony swoich obyczajów większości. Antoni Sz. nie popełni błędu jawności, co onegdaj zrobił najpierw w szkole, gdzie był nauczycielem, a potem w biurze. Inność może być piękną tajemnicą, demonstracja to piękno niweczy.

Gdyby szli czule przytuleni z przyjacielem po ulicy, przechodnie widzieliby ich natychmiast w łóżku. Widok kobiety z mężczyzną nie odsyła wyobraźni tak od razu do pościeli, podobnie jak czułość dwóch kobiet nie budzi zgorszenia. Lesbijki pokazuje się nawet w kinie: delikatne piękno kwiatów z wyspy Safony. Od 1532 roku płonęły na stosie z czarownicami i heretykami, ale prawo i obyczaj zostawiły je szybko w spokoju, co najwyżej czasem – ścinając.

Miłości mężczyzn na ekranie się nie pokazuje. W filmie polskim homoseksualista kręci tyłkiem i jest śmieszny, ten kamuflaż ukrywa brzydotę sprawy. Dopiero w słowie pisanym homoseksualizm traci wulgarną fizyczność, osłania się dwuznacznością i stając się *rafiné*, łagodnieje jako odstępstwo od reguł. Dla Antoniego Sz. stanowi to źródło uzasadnień na użytek własny. Akceptacja w sobie inności pogardzanej przez ogół wymaga takiego źródła. Antoni Sz. znajduje ją w towarzystwie Doriana Graya, Narcyza Złotoustego, znajomych Swanna. Odmienność nabiera pomazania: oto najwyższe piętro. Błyszczą w nim nazwiska Leonarda da Vinci, Aleksandra Wielkiego, Gide'a, Prousta, Czajkowskiego.

VIII

„Jest to część społeczności ludzkiej potępiona, ale część ważna, podejrzewana tam, gdzie jej nie ma, rozsiadająca się zuchwale i bezkarnie tam, gdzie jej nie odgadują, licząca adeptów wszędzie, wśród ludu, w armii, w świątyniach,

na galerach, na tronie" – pisał Marcel Proust. Już raport z dziewiętnastowiecznej Anglii wykazał, że homoseksualistów spotyka się w każdym środowisku. Wśród robotników jest ich tylu co wśród artystów, z tym że artysta może sobie pozwolić na luksus bycia sobą, a robotnik skrzętnie się ukrywa, bo odstępstwo od zdrowej normy jest mu mniej wybaczalne.

Homoseksualizm skłania jednak ludzi do tworzenia – twierdzi Franco Fornari, dyrektor instytutu psychologii w Mediolanie. Chce zrekompensować niemożność prokreacji – w sztuce, muzyce, poezji. Skłania do uporu i walki o pozycję, której nie dosięgnie już ludzka pogarda, przy której inność staje się upragnieniem i ozdobą. Nie wyposaża w żadne szczególne zdolności. Cierpienia, które przynosi, kształtują jednak być może, jak każde cierpienia, refleksyjny stosunek do świata, a ten sprzyja twórczości. Homoseksualizm jest zawsze źródłem bólu, jak wszystko, co sprowadza na człowieka samotność, nawet wówczas gdy ustawiwszy własny brak normy w rozsądnych proporcjach, funkcjonuje się w sposób niebudzący podejrzeń o nieszczęście.

IX

Scena miłosna ze sztuki Shermana *Różowa gwiazda*.

– Dotykam twoich oczu – mówi bohater do ukochanego.
– Tak – odpowiada ukochany.
– Dotykam twoich włosów.
– Tak.
– Dotykam twoich ramion.
– Tak.
– Twoich nóg.
– Tak.

Coraz bardziej ekstatyczny dialog. Pada strzał hitlerowskiego strażnika choć tych dwóch nie zbliżyło się do siebie o krok, miłość spełnia się w słowach. Bohater sztuki, który nosi na piersiach żółtą gwiazdę, choć nie jest Żydem, ale przypięcie różowej oznacza w obozie stokroć gorszy los, wkłada kurtkę ukochanego mężczyzny z różową gwiazdą – znakiem homoseksualistów.

– Miłość taka sama jak u was – mówi Zbigniew B. – Jeśli siedzimy z przyjacielem oparci o siebie plecami przez cały dzień bez słowa, jeśli piszemy do siebie listy jak wiersze, czy to mniej piękne i warte ochrony?

W Rotterdamie w 1967 roku w kościele katolickim dwaj homoseksualiści zawarli związek małżeński. W rok później w Zeist odbył się zjazd księży katolickich, którzy postanowili, że nie ma się prawa odmawiać homoseksualistom sakramentów i należy „aprobować tego rodzaju trwałe związki oraz pomagać

w organizowaniu spotkań samotnych mężczyzn, aby ułatwić powstawanie solidnych par". Tadeusz A., udzielając takiego ślubu w kościele starozakonnym w Polsce, mówił: „Niech związek wasz trwa jak najdłużej". Nie używa się formuły „aż do śmierci". Ich związki są nietrwałe.

– Para homoseksualna izolowana społecznie zdana jest całkowicie na stosunek interpersonalny, który ze swej natury podlega ciągłej weryfikacji – mówi Francesco Alberoni, socjolog z Katanii.

Nie ma dzieci, rodzinnych kłopotów, zobowiązań prawnych. Jest odarty z codzienności, którą trzeba pokonywać, ale która przez to ludzi łączy, nieustanny duet. Musi być udowadniany świątecznie. Miłość jest jedyną płaszczyzną dowodów. Kiedy ona się kończy, kończy się związek. Kiedy jednak trwa, jej intensywność bywa ogromna, jak zawsze dzieje się z istotą ludzką niepewną tego, co osiągnęła i co posiada.

Kiedy przychodzi starość, zjawia się samotność. Mówi Zbigniew A.:

– Trzeba dopracować się pięknego bagażu ze wspomnień, to ratunek. Wtedy nie ma osamotnienia, którego znieść nie sposób, jest zaledwie samotność, którą znieść można, a tyczy się to każdego bez wyjątku człowieka.

Zbigniew A. jest młody, pełen uroku i ma wiele czasu do starości. Stary homoseksualista – to ciężki bardzo los. Stary i biedny homoseksualista – to los straszny.

x

W międzynarodowym spisie miejsc kontaktowych Spartacus International Gay Guide podane są punkty warszawskie: kawiarnia Alhambra, Antyczna i restauracja Ambasador. Tu można przyjść, wypić kawę, porozmawiać i poznać kogoś nowego. Kierowniczka Alhambry żałuje ich, tłumaczy paniom z personelu: trochę jak chorzy. Panie są pełne obrzydzenia, ale bardzo starają się tego nie pokazać; są to w końcu uprzejmi, bardzo grzeczni klienci, jakby przepraszali, że żyją. Kierowniczka Antycznej chłodna i uprzejma. Stara się zedrzeć z lokalu odium figurowania w przewodniku i dlatego mniej chętnie się już tu przychodzi. Dopiero w barku Ambasadora, wieczorami – zupełnie u siebie. Czerwone światło wśród buduarowych ścian, miękkie ruchy, słodka erotyka. Męski wdzięk stara się tu być ozdobny i koci – ta zewnętrzna ozdobność łączy i pozwala zrzucić dzienne stresy. Przychodzi dwóch facetów.

– Chodźmy zobaczyć kwiat pedałów.

Oni: – Ci panowie z prowincji chcą zobaczyć warszawskich pedałów. A, to prosimy.

Dwóch: – Kto powiedział, że my z prowincji?

Oni chórem: – Ja.

Jeden z dwóch dostaje prztyczka w nos.

– Co z pana, człowieku, za mężczyzna, jeśli pan obrażony nie umie uderzyć?

Faceci wycofują się. Łapią butelkę i walą w szatniarza. On siedzi sam.

Są solidarni i hermetyczni dla obcych. Pomagają sobie – mieszkania, studia. Dzielą się adresami. Unikają agresji, wolą układność. Mają talenty organizacyjne, bo wcześnie uczą się dyplomacji i sztuki uprzedzania ciosów. W przewidywaniu ataku – atakują na zapas.

XI

Pod pisuarem na placu Trzech Krzyży samotnie tokuje starzejący się profesor uniwersytetu, spocony ze wstydu. Jest po raz pierwszy na ulicznym szlaku i nie umie urządzić się w mniej upokarzający sposób: zadzwonić do pana Józia, pana Henia, sympatycznych pośredników, i poprosić o sprowadzenie chłopca.

„Jest to uczucie głębokie starszego mężczyzny do młodszego, uczucie Dawida do Jonatana, uczucie, które jest podstawą filozofii platońskiej, które odnajduje się w sonetach Michała Anioła i Szekspira. To uczucie piękne, wzniosłe, najszlachetniejsze, nie ma w nim nic przeciwnego naturze. Jest ono intelektualne i zdarza się zawsze, ilekroć starszy jest obdarzony intelektem, a młodszy posiada jeszcze radość życia. Świat nie rozumie tego" – pisał Oskar Wilde.

Młodszy jest to zwykle uczeń szkoły średniej albo student, obdarzony, cóż to szkodzi, intelektem. Student przychodzi raczej za dobry stół z alkoholem, za ulgi w egzaminach. Uczeń pragnie zarobić kieszonkowe. Nie pochodzi z nizin, przeciwnie, zna się na dobrach swego stanu. Chce mieć porządny magnetofon stereo, płyty, taśmy, sztruksy, pójść do kawiarni z dziewczyną, kawiarnie teraz drogie, a rodzice nie zawsze zasobni. Pozostaje jeszcze sprawa samopoczucia. Wszystko można jednak w sposób przyjazny dla siebie zinterpretować. Tak więc chodzenie do jednego lub paru starszych panów nie jest prostytucją, ponieważ nie jest to zawód. Zawód jest: uczeń. We Wrocławiu cała klasa zarobiła sobie w ten sposób na bal maturalny.

Starsi panowie też umieścili się w sprzyjającej konwencji. To nie jest płatna miłość, lecz wypłacanie kieszonkowego. Płatną miłość otrzymuje się od prostytutek, a to są jakby wychowankowie, siostrzeńcy, miłośnicy z Platona. Miłośnicy naciągają ich poza taksą – a to chcą na zbitą szybę, a to na skrobankę dla dziewczyny. I trzeba płacić, jeśli się nie chce stracić miłośnika.

Wypożyczają mieszkanie na godzinę dla niego i jego dziewczyny, jest to sposób, by nie przekupił dochodzącego ktoś zasobniejszy. Czasem dziewczyna stoi pod drzwiami i czeka, aż chłopak wyjdzie od starszego pana i będzie już na wstęp do dyskoteki. Nic, co ludzkie, nie jest nam obce. Odkąd kawa jest droga, wranglery modne i łatwo ogólnie się wchodzi do łóżka, życie seksualne starszych, zamożnych panów ułatwiło się, nie jest trudno o chłopca, czyli o „towarek", łatwiej bodaj, niżby szło o dziewczynę.

Miłośnicy z tego wyrastają, kończą szkoły, często zresztą przez protektorów dopingowani do nauki, wspierani lekturami i rozmowami, żenią się i przestają przychodzić. Ale nie wszyscy. Niektórzy rzucają szkołę, znajdując, że to fach lekki i miły, i obdzierają ze skóry panów co zamożniejszych. Przed trzydziestką, tracąc słodycz pierwszej młodości, kończą się seksualnie. Już przywykli do pieniędzy, nigdy nie przywykli do pracy. Mogą jeszcze liczyć na starych i niezamożnych. Ci co jakiś czas odejmą sobie bodaj od emerytury, żeby kupić biedną godzinę od kogoś z ulicy, z pisuaru albo z dworca, ale cóż to za kariera dla kogoś, kto był adorowanym czule miłośnikiem. Powoli stają się skończonymi „lujami", idą na dno albo do więzienia.

XII

Hamburski Związek Lesbijek i Pedałów (*und Schwulen*) za zaliczeniem oferuje czytelnikom pisma „Du&Ich" dokumentacje niegodziwości policji.

Policje gnębiły ich zawsze z upodobaniem – obrażają męskość, malują się i są kłopotliwi, choć skądinąd świetnymi bywają informatorami. Teraz policjanci podchodzą do nich w białych rękawiczkach – tolerancja dla mniejszości, także seksualnych, stała się w policji wpisana do zawodu. Sporządzają jednak ich rejestry. Nasza milicja też ma taki. Nazwiska, zdjęcia *en face* i z boku. Dla śledczych są to twarze potencjalnych ofiar rabunku albo morderstw. Rejestr ułatwia ewentualne dochodzenie. Milicja ma zdjęcia zamordowanych, na przykład robotnika z dużej fabryki warszawskiej, o którym nikt, ani rodzina, ani koledzy z pracy, nie wiedzieli, że jest homoseksualistą.

Są to bardzo trudne śledztwa. Wykrywalność sprawców takich zabójstw w latach 1975–1980 sięga 56,7 procent, podczas gdy zabójstw w ogóle – ponad 90 procent. Ofiary długo leżą w swoich mieszkaniach i rozkładają się. Kiedy się je przypadkiem odkrywa, trudno ustalić ślad mordercy, nie znając skłonności zabitego. Potrzebne jest gigantyczne dochodzenie, a i tak mordercę znajduje się czasem dopiero, gdy ten zabije następnego. Dlatego, kiedy skłonności obywateli odbiegają od normy, milicja lubi o tym wiedzieć. Dopracowała się typowego wizerunku mordercy: smukły, bardzo młody chłopak w młodzieżowym

stylu, dobrze zbudowany, wykształcenie podstawowe lub niepełne średnie. Tak się prezentowali dwaj chłopcy znad morza, z porządnych środowisk, którzy dusili homoseksualistów jak króliki z chęci rabunku i trochę też dla rozrywki, stosując ulubiony chwyt „na pytona".

Piękni chłopcy zjawiają się w innym mieście niż to, w którym mieszkają, idą do miejsc, gdzie mogą być nagabywani, obserwują palce i ubiory kandydatów. Złoto, dobra wełna, prezencja wskazują, że można pozwolić zaprosić się do mieszkania, poddusić właściciela i zabrać cenne przedmioty. Poszkodowani bardzo rzadko informują milicję. Czują się zażenowani. Informacje o takich wydarzeniach rozchodzą się w środowisku natychmiast tajnymi kanałami. Wszyscy ostrzegają się wzajemnie, ale to nie może ustrzec od pomyłek. Zapraszają następnych chłopców z ulicy.

– Homoseksualizm jest jak opium, jeśli się go nie ustawi w rozsądnych – mówi Antoni Sz. – granicach.

XIII

Dyrektorka liceum imienia Lelewela jest oburzona – zwracać się do szkoły z propozycją ankiety na taki temat, no wie pani... W liceum Batorego dyrektorka sama jest ciekawa, co napiszą, bo dotąd takiego tematu w szkole nie było.

„Prześladowanie człowieka za to, z kim i jak śpi, jest głupie. Bo cóż to znaczy: wbrew naturze? Ma się prawo iść do łóżka bodaj z szafą, jeśli się tym nie czyni nikomu krzywdy" – piszą trzecioklasiści. Na ulicy spośród dziesięciu osób w średnim wieku pięć mówi: „Jakbym takiego dopadł, tobym zatłukł". Reszta rysuje kółka na czole, spluwa albo dziwi się – zajmować się brudami, no wie pani...

Badania ankietowe w skali światowej z 1971 roku wykazały, że wśród siedemdziesięciu sześciu społeczeństw czterdzieści dziewięć aprobuje niektóre formy homoseksualizmu. Nie znaleziono ani jednego społeczeństwa, które aprobowałoby homoseksualizm bez zastrzeżeń. Ogólnie jednak rośnie na świecie tolerancja dla homoseksualizmu. Także w Polsce, jak twierdzą seksuolodzy, znawcy problemu, głównie jednak w środowiskach wielkomiejskich i wykształconych. W małych miasteczkach to odchylenie jest źródłem szykan, dlatego dotknięci nim ludzie wyjeżdżają do dużych miast – do Warszawy, Katowic, na wybrzeże. Homoseksualizm przestał już być zboczeniem. Śmieszny, brzydki brak normy, coś jak choroba weneryczna.

XIV

W nielicznych krajach homoseksualizm jest ścigany prawnie. Gdzie indziej karalne jest tylko nawiązywanie stosunków z nieletnimi, niezależnie od płci. Uporawszy się z nieprzyjaznym prawem, homoseksualiści walczą teraz o jawność i akceptację. W 1966 roku pojawiają się pierwsze grupy Gay Movement. W Ameryce, od Kalifornii po Nowy Jork, powstał prawdziwy ruch z własnymi przywódcami, organizacją, siłą, z którą liczą się przywódcy partii politycznych. Prasa zamieszcza ogłoszenia: „Nasza agencja w kulturalny sposób przyśle ci natychmiast miłego chłopca. Napisz albo zadzwoń". „Przyjechałem z Polski i nie znam języka, pragnę nawiązać harmonijną przyjaźń, stały związek niewykluczony". „Kto mnie chce. Jestem młody, dobrze zbudowany, czekam ofert hojnych panów. Warunek: kulturalna atmosfera". Szwedzki psychiatra Ulstram postuluje otwarcie domów publicznych, łaźni, barów dla homoseksualistów, pedofilów, ekshibicjonistów, masochistów i wszelkich seksualnych odmieńców. W Hamburgu odbywa się zjazd nauczycieli pedofilów, którzy naukowo wykazują swą ogromną przydatność w procesie wychowania dzieci. Powstają wciąż nowe przybytki dla lesbijek i homoseksualistów – kluby, biblioteki, łaźnie, kawiarnie. Klub-hotel Commodore ma do dyspozycji gości burdel z Dzikiego Zachodu, komnatę sułtana, łaźnię rzymską i inne atrakcje. Spragniony pan może być tam wykąpany w kalifornijskim szampanie przez trzech uroczych asystentów i pieszczony do upojenia. Kiedy do burmistrza Nowego Jorku zwraca się organizacja Front Oburzonych Matek z żądaniem, aby usunąć nauczycieli homoseksualistów ze szkół, burmistrz powiada:

– Och, wcale nie jest powiedziane, że ci, którzy wolą kobiety, nie umizgują się do małych dziewczynek.

Homoseksualiści domagają się specjalnych chroniących ich ustaw, jak te, które uchwalono dla Murzynów i kobiet. Wraz z tolerancją rośnie sprzeciw społeczny wobec tych żądań. Tolerancja nie może oznaczać aprobaty ani przyznania specjalnych uprawnień.

– Sam fakt, że obecnie można swobodnie dyskutować o homoseksualizmie, świadczy, że cywilizacja przemysłowa staje się bardziej tolerancyjna, gdyż mniej jest uzależniona niż cywilizacja wiejska od problemów demograficznych – mówi profesor Fornari. – Jednak tolerancja, która się naprawdę liczy, niezależnie od złożonych koncepcji socjologicznych, pozostaje sprawą prywatną, kwestią etyki każdego z nas.

„Polityka" 1981, nr 8

1981

Józef Kuśmierek (1927–1992)

Ja wiem lepiej

„Pamiętne teksty polskiej szkoły reportażu?" – spytała Małgorzatę Szejnert Lidia Ostałowska w wywiadzie dla „Dużego Formatu". Na liście pięciu najważniejszych znalazło się *O czym wiedziałem* Józefa Kuśmierka. „Bo opisując zimę stulecia, opisał upadek systemu".

Był to materiał odrzucony przez dwie redakcje. Najpierw autor złożył go w swojej macierzystej „Kulturze". Kiedy tam tekstu nie przyjęto, zaniósł go do „Literatury". Tu naczelny dał zgodę, ale urząd cenzury przesłał reportaż do Komitetu Centralnego PZPR i rozpętało się piekło. Niekończące się rozmowy – jak opowiadał sam reporter – miały różne finały, ale zawsze jeden stały element: „Macie rację, Kuśmierek, napisaliście prawdę, jednak w druku to ukazać się nie może".

Postanowił dotrzeć do czytelnika za wszelką cenę.

W maju 1979 roku zatrudnił kilka, a potem kilkanaście maszynistek, które przepisywały *O czym wiedziałem*, a on udostępniał tekst chętnym za koszty przepisywania.

> Dziś – pisał dwa lata później, w kwietniu 1981 roku – w różnych, często zaskakujących zakątkach kraju, na przypadkowych spotkaniach autorskich, podchodzą do mnie moi czytelnicy z zaczytanymi „na śmierć" maszynopisami, odbitkami ksero *O czym wiedziałem* z prośbą o autograf.

Jacek Snopkiewicz – w latach siedemdziesiątych znany reporter – uważał wtedy, że Kuśmierek jest najwybitniejszym reporterem krajowym i jedynym niezależnym publicystą. „Cechuje go odwaga cywilna: pisze, co myśli" – mówił w 1979 roku.

Kuśmierek tworzył w PRL-u gatunek karkołomny: reportaż ekonomiczny. Diagnoza, którą postawił państwu po zimie stulecia, nie była pierwszym aktem reporterskiej odwagi. Walczył nieustannie. Dopytywał, dlaczego niszczeją maszyny przemysłowe, badał, czemu brakuje sznurka do snopowiązałek, stoczył słynną wojnę z workiem.

> Do wojny z workiem przygotowywałem się całe lata. Odwiedziłem wszystkie branże, które swój produkt pakują w worek. Obliczyłem szacunkowo, że nasza gospodarka pakuje swoją produkcję w przeszło dwa i pół miliarda worków. [...] Obliczyłem, że armia przeszło trzystu tysięcy ludzi zatrudniona jest stale przy dźwiganiu worków, a drugie tyle odrywanych jest dorywczo od produkcji

> i zatrudnianych przy dźwiganiu. [...] Ileż rezerw mogłoby ujawnić budownictwo, górnictwo, transport, gdyby na rynku pracy znalazło się choćby 50–100 tysięcy ludzi gotowych stanąć do produkcji. Tych wolnych ludzi nie ma, bo przykuliśmy ich raz na zawsze do najtańszego z najtańszych miejsc zatrudnienia, jakim jest dźwiganie.

Spierać się można, czy Józef Kuśmierek bardziej był reporterem, czy publicystą. On sam zawsze powtarzał twardo, że tym pierwszym. Odpowiedź jest pośrodku: w publicystyce ekonomicznej używał metody reporterskiej. Analizy ekonomiczne przeprowadzał na podstawie rozmów z ludźmi. Jeżeli pisał o stanie kolei, zaczynał od pojedynczego kolejarza i szedł coraz wyżej, aż do szczebli, na których zapadają decyzje. Inni dziennikarze często zaczynali od „góry", a potem na dole szukali potwierdzenia tezy, którą dostali od władz.

Józef Kuśmierek obliczył, że wojując z workiem, przebył dwanaście tysięcy kilometrów. Uważał nieskromnie (i słusznie), że jest jednoosobowym instytutem naukowo-badawczym. (Nie zawsze było to na rękę jego redakcjom, ponieważ nigdy nie było wiadomo, co wyniknie z awantur Kuśmierka i jaka kara może spaść na zespół). Swoją metodę pozyskiwania kontaktów przedstawił Katarzynie Meloch:

> Kiedy zjawiam się pierwszy raz w terenie, staram się napisać jakąś drobną, interwencyjną korespondencję i przyjechać w zasadniczych sprawach jako ten, który coś już zrobił, jakoś się zaznaczył, dał się poznać. W reportaże trzeba inwestować: czas, siły. Żadna podróż, żadne spotkanie, żadna rozmowa nie jest dla reportera czasem straconym. Zarzuca się młodym reporterom: „Byłeś w terenie, nic nie przywiozłeś, żadnego materiału". Ja uważam, że taki reporter przywiózł znajomość terenu i znajomość obustronną. Bo jeśli on tam wróci, za rok, za dwa, ktoś go sobie przypomni, i wówczas może nawiązać rozmowę od słów: „Ja tu z panem przed dwoma laty gadałem". Rzadko się udaje za pierwszym razem dotrzeć do źródła. Jeżeli się umie inwestować, jeżeli się konsekwentnie inwestuje – ma się efekty. I to cała tajemnica reportera.

Był reporterem egocentrykiem. Wspominano, że w redakcji (jeśli się pojawiał, po powrocie z podróży) wszyscy musieli żyć jego tematem. Angażował otoczenie w sposób nieznośny. Apodyktyczny i drapieżny był też wobec socjalistycznych dyrektorów i funkcjonariuszy. Mówił, że rozmówcy zasypują go najrozmaitszymi dokumentami.

> „My tu, k i e r o w n i c t w o r e s o r t u, wydaliśmy zarządzenie" etc. Ja mówię: „Chwileczkę, ja t a m byłem; widziałem, dotykałem. Ja wiem lepiej, bo wam mówiono, a ja w i d z i a ł e m". Na to nie ma argumentów.

Można mieć wrażenie, że Kuśmierek był w swojej krytyce socjalistycznej gospodarki w jakiś niezrozumiały sposób wolny i bezkarny. Sam twierdził, że po prostu się nie boi. A brak strachu i pokory wziął się u niego z miejsca urodzenia. Otóż urodził się w domu na placu Zamkowym w Warszawie. I od niemowlęcia – jak pisał w *Obecnym* (1991), zbiorze swoich najlepszych reportaży – brał udział w wielkich wydarzeniach historycznych. Widział wjazdy i wyjazdy ambasadorów wizytujących prezydenta Mościckiego. Sam Mościcki wziął go kiedyś na kolana. Przed Piłsudskim mówił wierszyk, za co wódz pogłaskał go po głowie. Patrzył na pogrzeb Marszałka i Dmowskiego.

> Stąd, z placu Zamkowego, bierze się mój stosunek do władzy i decydentów. Nigdy nie odczuwałem wobec nich dystansu, nie popadałem w zachwyty, nigdy mnie władza nie onieśmielała. To plac Zamkowy sprawił, że na historię i jej punkty zwrotne patrzyłem jako na coś, co dzieje się bardzo blisko.

Zawodowym dziennikarzem został w 1946 roku, gdy miał dziewiętnaście lat. Utrzymywał, że skończył tylko pięć klas szkoły podstawowej, a potem wybuchła wojna; jako szesnastolatek zaciągnął się do partyzantki, najpierw do Gwardii Ludowej, potem do Armii Ludowej. W tym samym czasie zapisał się też do PPR-u i był stalinistą („Byłem nim z wyboru. Nie chcę się usprawiedliwiać, nie proszę o wybaczenie").

Po napisaniu *O czym wiedziałem* zaangażował się w prace nieformalnego Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość" (1978–1982), klubu dyskusyjnego założonego przez Stefana Bratkowskiego z myślą o opracowywaniu niezależnych raportów o stanie kraju. Po publikacjach dla KOR-u Józef Kuśmierek stracił pracę w redakcji „Kultury". 13 grudnia 1981 roku został internowany razem z głównymi opozycjonistami. W latach osiemdziesiątych drukował w pismach drugoobiegowych i emigracyjnych. Do pracy w oficjalnej prasie wrócił dopiero w 1989 roku, gdy powstała „Gazeta Wyborcza". Kiedy zmarł, Stefan Bratkowski napisał:

> Jeszcze dwa tygodnie temu, pełen życia i werwy, wykłócał się w redakcji o miejsce dla tego, czym się zajmuje, bowiem w Jego pojęciu ZAWSZE „Gazeta" za mało miała zrozumienia dla spraw gospodarki i przemysłu; jeszcze parę dni temu domagał się, by ktoś z młodszych kolegów przyszedł do szpitala i przejął od niego wszystkie wizytówki, wszystkie kontakty i tematy, które ciągnął od lat, a myśmy zbywali te żądania, mówiąc: „Józiu, szybko zdrowiej, brakuje Ciebie, nie ma drugiego Kuśmierka...".
>
> Nie ma drugiego Kuśmierka.

O czym wiedziałem

Wiosną 1979 roku nie można było, nie wolno już było milczeć. Tekst, którego pierwszą i drugą część napisałem z nadzieją na normalną publikację, został przez ówczesną, a do dziś w personalnym trzonie prawie niezmienioną redakcję „Kultury" odrzucony. Podkreślam – nie przez cenzurę, nie przez Wydział Prasy Komitetu Centralnego, lecz przez redakcję. Pisząc część trzecią i zakończenie, zdawałem sobie sprawę, że dalej milczał już nie będę.

Co to znaczy „milczenie" dla dziennikarza? Wielu z nas, ja także, pisało odważne, to znaczy prawdziwe teksty, które docierały na szczebel cenzorski, a nawet do KC. Formalnie byliśmy usprawiedliwieni. Napisałem, zrzuciłem ciężar z serca. ONI nie dopuścili mego tekstu do publikacji. Ja jestem w porządku. Coraz dotkliwiej odczuwałem, że „nie jestem w porządku". Na takie samozadowolenie nie pozwalali mi czytelnicy. Coraz częstsze, coraz bardziej natarczywe były pytania: „Dlaczego wy, dziennikarze, nie piszecie prawdy?". Nie wystarczało już wyjaśnienie: „Piszę, ale nie dopuszczają".

A wiedza o sytuacji w kraju docierała już do naszych garnków, do zatrzymywanych lub stojących bezczynnie warsztatów pracy.

O czym wiedziałem... Tytuł ten nie oznacza mojego zaufania w swoją wszechwiedzę. Zdaję sobie sprawę, że moje wiadomości są ułamkiem informacji, jakimi dysponują kierownictwa resortów, fachowcy, nie mówiąc już o kierownictwie rządu.

Wiem więcej, dużo więcej niż przeciętny obywatel, czytelnik gazet i telewidz, wiem więcej niż wielu moich kolegów dziennikarzy. Nigdy jednak, stykając się z niezrozumiałymi dla siebie zarządzeniami lub decyzjami, nie uspokajałem się maksymą: ONI wiedzą lepiej. Zawsze starałem się dotrzeć do korzeni decyzji, do tych informacji, na podstawie których decyzje zostały podjęte. Od trzydziestu lat poświęcam temu cały swój czas, zasoby i wykorzystuję wszystkie możliwości, aby te informacje zdobyć. W większości wypadków okazuje się, że mój niepokój i zastrzeżenia były usprawiedliwione. W wielu wypadkach, gdy źródła informacji są dla mnie, i nie tylko dla mnie, hermetycznie zamknięte, czas potwierdza moje „prywatne" racje.

Tytuł *O czym wiedziałem* ma wyrazić moje najwyższe zdumienie i przerażenie. Skoro wiedziałem ja, reporter, a dowiadywałem się w czasie

przypadkowych rozmów i spotkań, to jak mogło o tym nie wiedzieć kierownictwo nawy państwowej, mając w swoim ręku nie tylko informacje o tym, co się działo i dzieje, ale konkretne instrumenty, by kierować tym „dzianiem się" w kierunku pożądanym i pożytecznym dla państwa i narodu.

Od lat niepokoi mnie, że wszystkie kolejne ekipy kierownicze tę wiedzę dziennikarską traktują jako złośliwą krytykę skierowaną przeciwko władzy. Dziś, z perspektywy już historycznej, wystarczy przestudiować prasę lat 1955–1957, 1968–1970, by dostrzec, że to dziennikarze z prawdziwego zdarzenia alarmowali ekipę rządzącą przed nadciągającym kolejnym kryzysem. [...]

Część pierwsza

Niesprzyjające pory roku zrosły się z naszym życiem ekonomiczno-społecznym, tak jak zrosło się z nim – jako przeciwwaga – stałe przekraczanie planów, przedterminowe oddawanie obiektów, połączone zawsze z poświęceniem i ofiarnością ich realizatorów. Najwyższy czas, by brzydką pogodę z jednej i ofiarność z drugiej strony wyrzucić z naszego codziennego słownictwa, zachowując je na te momenty, kiedy ich zastosowanie będzie w pełni uzasadnione.

Wiemy, w jakich szerokościach geograficznych egzystujemy jako naród, państwo od tysięcy lat. Od lat dwustu odnotowywane są najwyższe i najniższe temperatury, wielkość opadów letnich i zimowych, poziom wód w rzekach i siła wiatru. Od czasów staszicowskich do dnia dzisiejszego. Od roku 1851 jest to obowiązkiem powołanych w tym celu urzędów.

Wszystkie te dane meteorologiczne są dokładnie ewidencjonowane i stanowią przedmiot badań naukowców wielu dyscyplin. Na podstawie tych badań – stale uzupełnianych nowymi odkryciami, stosowaniem nowych materiałów i metod, opracowuje się normy dla budownictwa, komunikacji, energetyki, wojska. Do tych stałych zjawisk w naszych szerokościach geograficznych dostosowano parametry smarów i olejów, płynów hamulcowych używanych w motoryzacji, olejów w transformatorach, substancji zabezpieczających zwrotnice przed zamarzaniem, wytrzymałość uszczelek przy zaworach wszelkiego rodzaju. Opracowano zasady izolacji rur i przewodów przebiegających nad powierzchnią, na powierzchni i pod powierzchnią ziemi. Te normy musi wkuwać na pamięć uczeń każdego technikum, a inżynierski nadzór inwestycyjny oraz nadrzędne inspekcje budowlane własnymi podpisami stwierdzają, że wszystkie te normy, będące obowiązującym prawem, zostały dotrzymane i należycie wykonane. [...] Wszystko to – wraz z wiekowym doświadczeniem – zabezpiecza nas przed

kaprysami przyrody, które czasami mogą być przykre, ale nigdy nie powinny być katastrofalne.

Nasza sytuacja jest o tyle lepsza niż innych narodów, że nie żyjemy w strefie trzęsień ziemi i tajfunów, których ani czasu, ani siły przewidzieć się jeszcze nie da.

Nasza sytuacja powinna być o tyle łatwiejsza, że od trzydziestu pięciu, ściśle ewidencjonujemy – dzięki gospodarce planowej – tak moc odbiorników energii elektrycznej, jak i moc wytwarzających ją turbin. Znamy powierzchnię i kubaturę pomieszczeń, które mamy ogrzać, moc instalacji i potrzebne ilości energii, by wymaganą warunkami higieny i bezpieczeństwa temperaturę w pomieszczeniach tych utrzymać. Nawet bez powszechnego systemu komputerowego możemy w każdej chwili przewidzieć, ile kilowatów i kilokalorii w mikroskali lub megawatów i gigakalorii kraj nasz w konkretnych sytuacjach będzie potrzebował. [...]

W ostatnim trzydziestopięcioleciu czterokrotnie użyto określenia „zima stulecia", a od kilkudziesięciu dni wraca się do tego określenia nieodpowiedzialnie – nie sprawdzając, że w żadnej z tych zim nie mieliśmy tak niskich temperatur jak zimą 1929 roku, że w żadnej z tych zim pokrywa śnieżna nie utrzymywała się tak długo jak zimą 1939–1940 oraz w żadnej z tych zim nie mieliśmy non stop czterdziestu kilku dni z temperaturą oscylującą w granicach od minus dwudziestu do minus dwudziestu ośmiu stopni, jak odnotowywana przez wszystkich historyków wojskowości zima 1941–1942. Mimo że tamte zimy były wyjątkowe, nie spowodowały rewizji norm obowiązujących w budownictwie i transporcie, norm, które przewidywały nawet tak wyjątkowe zjawiska jako możliwe w naszym klimacie.

Środki masowego przekazu na początku każdej zimy, i tej łagodnej, i tej ciężkiej, używają obrażającego wszystkich zwrotu „zima nas zaskoczyła". Może ktoś czuje się zaskoczony, że między grudniem a marcem padają śniegi, temperatury spadają poniżej zera, wieją wiatry, a na drogach pojawia się gołoledź. Większość narodu nie jest zaskoczona, czego dowodem jest to, że maluchom kupujemy sanki i łyżwy pod choinkę, otrzepujemy z naftaliny zimowe odzienie, a ci, którzy muszą, zaopatrują się w opał w miesiącach letnich, zgodnie zresztą z apelami tychże środków masowego przekazu.

Każdej zimy, ale to dosłownie każdej, okazuje się, że dwie trzecie pługów śnieżnych, piaskarek jest niesprawnych, a wydziwianie na dozorców domów, że nie czyszczą chodników, jest kpiną ze zdrowego rozsądku. Łatwo można się o tym przekonać z ewidencji posesji i liczby etatów dozorców, przewidzianych w planie etatów naszych miast.

Połączone wysiłki meteorologów, rolników, leśników i pszczelarzy mogą co roku dać nam prognozę długoterminową, tak że słowo „zaskoczenie" wypadłoby z dziennikarskiego żargonu. Nie tylko zresztą dziennikarskiego.

To, co stało się w noc sylwestrową roku 1978 w energetyce, ciepłownictwie i komunikacji, zaskoczeniem być nie może.

Na konferencji prasowej, bodajże w roku 1973, ówczesny wicepremier i zarazem minister górnictwa i energetyki oznajmił (a obecni na konferencji dziennikarze szeroko to rozdmuchali): „że energetyka polska po raz pierwszy uzyskała rezerwę mocy nad szczytowym zapotrzebowaniem". Na tejże konferencji zapoznano nas z uchwałami rządu o szybkiej budowie dwóch wielkich elektrowni – Połańca i tak zwanej Górnej Odry – aby ten zdrowy stan nadwyżki mocy utrzymać jako podstawowy warunek prawidłowej i przewidywanej dynamiki wzrostu całego naszego życia gospodarczego. Zgodnie z wydanymi w owym czasie aktami prawnymi obydwie elektrownie miały włączyć swoje bloki począwszy od roku 1975 i osiągnąć pełną moc w roku 1978. Kto chce, niech sprawdzi w uchwałach rządu podjętych w owym okresie.

Ambicją ówczesnego kierownictwa resortu górnictwa i energetyki, także wykonawców krakowskiego Energoprzemu i szczecińskiego Przedsiębiorstwa Budowy Elektrowni i Przemysłu było skrócenie czasu budowy obydwu tych elektrowni, tak zwanego cyklu inwestycyjnego, do trzydziestu sześciu miesięcy zamiast dotychczas stosowanego cyklu pięćdziesięciu, sześćdziesięciu miesięcy. Kalkulacja była prosta: budowa w ciągu trzydziestu sześciu miesięcy jest droższa niż w ciągu sześćdziesięciu, ale za to wcześniej włączona do sieci elektrownia swoją pracą ten jednorazowy wyższy koszt inwestycji wypłaci z nadwyżką – to jedno, i drugie: przedsiębiorstwa budowlane wraz ze sprzętem będą mogły wejść na następny plac budowy o piętnaście, dwadzieścia pięć miesięcy wcześniej. Tym następnym placem budowy miał być Bełchatów.

Z rozmachem rozpoczęto obydwie budowy. Wtłoczono w fundamenty setki tysięcy metrów betonu i tysiące ton stali. Zgromadzono potrzebny sprzęt i fachowców, wybudowano bocznice i stacje wyładowcze materiałów. I w roku 1974 obydwie budowy przerwano. Wykonawcy przenieśli się na budowę Świnoujścia III, na placu pozostawiając tablicę „Obcym wstęp wzbroniony" i baraki zabite deskami. Pozostawiono w ziemi uwięzione miliardy, które miały procentować już w roku 1975 energią elektryczną i ciepłem dla Opola. W Połańcu zebrano podstawowych wykonawców, zachowując pozory, że się coś robi, tak by pierwsze megawaty – jak z triumfem ogłosiła telewizja, dać... po roku 1980. W związku z tym odwołano w Raciborzu budowę zamówionych

dla tych elektrowni kotłów, wstrzymano rozbudowę wrocławskiego Dolmelu, cofając zamówienia w elbląskim Zamechu.

Teraz budowa Połańca pobije wszelkie rekordy. Jej cykl będzie trwał sto, a Opola sto dwadzieścia miesięcy.

Nie jestem zaskoczony tym, co się stało w noc sylwestrową 1978 roku. W drodze powrotnej z Raciborza, już po tej samobójczej dla naszej gospodarki decyzji z 1974 roku, przez wiele godzin rozmawiałem z „trustem mózgów" naszej energetyki i naszego przemysłu elektromaszynowego.

– Nie chcemy myśleć, co się stanie z naszym krajem po roku 1977 – mówili wtedy czołowi przedstawiciele tego trustu.

Toteż nie myślą... Wszyscy, co do jednego, zostali zdjęci ze swoich stanowisk.

Ówczesny wiceprzewodniczący PKPG[1] minister inżynier Jan Chyliński wyjaśnił mi tak: „Nie zrezygnowaliśmy z budowy tych elektrowni, tylko przesunęliśmy efekty". Jan Chyliński na swoim stanowisku był odpowiedzialny za rozwój energetyki.

Na efekty nie trzeba było czekać do roku 1977. Niepowiadomione o decyzjach energetycznych inne resorty dynamicznie rozwijały swój potencjał, meldując każdego 22 lipca o oddaniu do ruchu nowych zakładów i modernizacji starszych. Już w 1975 roku zaczęto „limitować" energię dla starych i nowych zakładów, a rok później wyłączać energię fabrykom nawozów sztucznych, rolnictwu, zakładom usługowym. W roku 1977 wyłączanie energii stało się nagminne, i to nie w miesiącach zimowych czy szczytowych. Obydwie elektrownie powinny dać siedem tysięcy megawatów. Zgodnie z uchwałą rządu!

2 września 1978 roku przewodniczący Państwowej Rady Energetycznej profesor doktor inżynier Kazimierz Konecki, oświadczył: „Straty, jakie ponosi gospodarka polska z powodu wyłączeń energii elektrycznej, szacować trzeba na około dwadzieścia miliardów złotych rocznie". Podano to w dzienniku wieczornym Polskiego Radia w programie pierwszym, w sobotę 2 września 1975 roku o godzinie dwudziestej. Ministra Chylińskiego już nie ma na tym stanowisku, ale efekty są.

Połaniec budowany w przyspieszonym terminie miał kosztować osiemnaście miliardów. Brak Połańca powoduje utratę wartości jednej elektrowni co dwanaście miesięcy.

Jak twierdzą fachowcy, w roku 1985, kiedy ruszy Bełchatów, katastrofalna przepaść między mocami zainstalowanymi w naszej energetyce i potrzebami kraju będzie jeszcze większa niż w roku 1979. Jeszcze większa nawet niż w noc sylwestrową roku 1978.

[1] PKPG – Państwowa Komisja Planowania Gospodarczego.

Rezygnacja z budowy Opola i Połańca to nie jedyna strata energetyki i całej gospodarki. Na razie jednak nie mówmy o zaskoczeniu i nie mówmy o ofiarności energetyków. Ofiarnością nie nadrobimy strat wywołanych nieodpowiedzialnymi decyzjami z 1974 roku.

Część druga

Temperatury powyżej dziesięciu, piętnastu stopni, oczywiście powyżej zera, wiatry do pięciu metrów na sekundę i widzialność do granic widnokręgu – oto optymalne warunki dla transportu. Potwierdzi to każdy maszynista kolejowy, kierowca ciężarówki, pilot samolotu i kapitan statku.

Przez ile dni w roku mogą panować te maksymalne dla transportu warunki? Piętnaście, dwadzieścia, trzydzieści? Czy takie optymalne warunki mogą wystąpić na obszarze całego kraju? Nie spodziewajmy się od przyrody cudów. Nie zakładajmy z góry, że te wyjątkowo sprzyjające warunki, te dodatnie kaprysy pogody, będą stale sprzyjały człowiekowi i jego poczynaniom.

Przez większą część roku – czasami przez cały rok – trzeba się liczyć z wystąpieniem chociażby jednego z niekorzystnych dla transportu zjawisk. Przez trzy czwarte roku trzeba zakładać, że te zjawiska będą nakładały się na siebie, a ich skutki kumulowały. Deszcz, wiatr i słaba widzialność występują jednocześnie, mróz, śnieg i mgła plus wichura mogą występować łącznie. Nikt nie potrafi określić górnej czy dolnej granicy tych niesprzyjających warunków. Wszystkie te problemy są ważne, skoro w roku 1978 mieliśmy trzysta siedemdziesiąt sześć stacji meteorologicznych dokonujących pomiarów temperatur, wiatrów i opadów, a stacji dokonujących wyłącznie pomiarów opadów aż dwa tysiące dwieście dziewięćdziesiąt osiem. Widać te dane o warunkach atmosferycznych są ważne, skoro odnotowuje się je w tylu punktach kraju, zatrudniając przy tym tysiące ludzi. Jednocześnie korzystamy przy badaniu warunków atmosferycznych z informacji pochodzących z dziesiątków tysięcy stacji meteorologicznych rozsianych po całym świecie, dziesiątków satelitów meteorologicznych i sond stratosferycznych.

Ale nawet wtedy – w czasie jednego z tych dziesięciu dni idealnej pogody w roku – możemy na idealnie suchej ziemi złapać gwoździe, statek może się nadziać na nieoznaczoną w locji rafę podwodną, w setkach tysięcy kół kolejowych może pęknąć obręcz, w jednym z silników samolotowych może spaść ciśnienie oleju... i już mamy katastrofę.

Nie ma idealnych warunków dla transportu. Cały wysiłek ludzkości nastawiony był i jest na to, by pokonywać lub przeciwdziałać warunkom niesprzyjającym. Bohaterami roku nie są ci kierowcy, którzy przekroczyli trzysta

kilometrów na godzinę na Autostradzie Słońca, ale ci, którzy dojechali do mety, chociażby na końcu, w rajdzie Safari, Londyn–Sydney, Monte Carlo czy wzdłuż kontynentu południowoamerykańskiego. Bohaterami są dlatego, że się nie poddali, że przezwyciężyli skrajnie niesprzyjające warunki.

Niesprzyjające warunki dla transportu trzeba traktować jako zjawisko stałe i stale być przygotowanym technicznie, organizacyjnie, psychicznie i propagandowo do przeciwstawienia się tym warunkom.

Mimo różnych teorii i rzekomo idealnych recept jedynym sposobem zabezpieczenia się przed przerwami, zakłóceniami czy dezorganizacją w transporcie jest posiadanie zapasów.

„Zapasy", „rezerwy" – to słowa niemodne. W naszej terminologii, pożal się Boże, „ekonomicznej" do tych rzeczowników dodajemy przymiotniki „nadmierne", „ponadnormatywne", „zbędne". Wysiłek administracji gospodarczej i państwowej skierowany jest na szukanie zbędnych rezerw, likwidację zapasów i tym podobne różnie nazywane akcje. Przez trzydzieści cztery lata istnienia Polski Ludowej nie było ani jednej ogólnokrajowej akcji tworzenia rozumnych i gospodarczo uzasadnionych rezerw.

Żaden dyrektor zakładu, który – mimo awarii czy awaryjnych warunków transportu – ani na minutę nie przerwał produkcji, nie był nagrodzony za gospodarność, sztukę przewidywania, a zawsze mógł się liczyć z oskarżeniem o „chomikowanie" i „zamrażanie środków". Bo zamrażaniem środków nie jest zatrzymanie czy ograniczenie produkcji zakładu miliardowej wartości, gdzie każde stanowisko pracy kosztowało setki tysięcy lub nawet miliony złotych. Bo zamrażaniem środków nie jest ciągłość produkcji wartości kilkunastu milionów na dobę, a zamrażaniem jest posiadanie przez te zakłady zapasów wartości kilkuset czy kilku milionów złotych. Ci dyrektorzy, którzy zatrzymali lub zostali zmuszeni do zatrzymania produkcji w swoich zakładach, do wysłania tysięcy ludzi na „zieloną trawkę" – płacąc im za to – zawsze wytłumaczą się trudnościami efektywnymi, jak na przykład kilkugodzinną zawieją śnieżną. I ci dyrektorzy mogą zawsze liczyć na nagrody, premie i pochwały za „gospodarność". I bywają właśnie tak nagradzani. Czy nie są nagradzani tym samym za ślepe, bezmyślne posłuszeństwo?

Powtarzam – żaden z kierowników zakładów nie zna innego rozwiązania trudności transportowych jak posiadanie odpowiednich zapasów. Powtarzam jeszcze raz z całym naciskiem, że kierownicy takich zakładów, jak elektrownie, ciepłownie i elektrociepłownie, tak jak ich władze nadrzędne byli i są zobowiązani odpowiednimi zarządzeniami do posiadania zapasu paliw przewidzianych normami na okres zimowy. Kto i kiedy zwolnił

ich z tych obowiązków? Kto i kiedy uchylił te zarządzenia, które są aktami prawnymi?

Wiadomo, że efekty ekonomiczne ogrzewania miast centralnym systemem elektrociepłowni, gdzie tę samą ilość kalorii można wykorzystać jednocześnie i do produkcji energii elektrycznej, i celów ogrzewczych, są najwyższe. Wiadomo mi jednak, że kiedy zdecydowano się na budowę w Warszawie ogólnomiejskiego systemu ogrzewczego, opartego na elektrociepłowniach Żerań, Siekierki, Powiśle i ciepłowni Wola, specjaliści od gospodarki cieplnej ostrzegali „odnośne władze" przed likwidacją osiedlowych, wcale wydajnych ciepłowni. Większość z nich wybudowano w latach 1950–1970, więc były całkowicie sprawne. Miały być zabezpieczeniem przed silniejszymi niż przeciętnie mrozami, przed awarią jednego z ogniw centralnego systemu grzewczego. Specjaliści dowodzili, że straty cieplne, gdy temperatura obniża się poniżej trzydziestu stopni i w mieszkaniach nie powinna spaść poniżej dwudziestu stopni, są kilkadziesiąt razy wyższe niż wtedy, gdy temperatury te wynoszą minus siedem i w pomieszczeniach wspomniane dwadzieścia stopni. A te „siedem stopni" poniżej zera to nawet nie połowa przeciętnych wieloletnich miesiąca stycznia na obszarach, które zamieszkujemy – jak udowadniają archeologowie – od paru tysięcy lat. „Przeciętnie" bywa w styczniu cieplej.

Najdoskonalszy, najwydolniejszy centralny system ogrzewczy nie nadrobi strat cieplnych, nie wyrówna ulatniania się kalorii, gdy temperatura spada do minus dwudziestu siedmiu stopni. Rzeczoznawcy ci powoływali się na przykłady krajów i miast, które wcześniej od nas przechodziły na system centralnych ciepłowni, nie likwidując przy tym lokalnych kotłowni, ba, stale utrzymując przy nich dyżury przy, oczywiście, odpowiednim zapasie paliwa. Dzięki temu w Berlinie „nie wysiadł" system grzewczy i nie trzeba było ogłaszać stanu wyjątkowego, mimo że temperatury panowały takie same jak w Warszawie.

Odpowiednie materiały na ten temat – jeżeli nie zostały przedtem skrzętnie zniszczone – można by odnaleźć w odpowiednich instytucjach odpowiedzialnych za gospodarkę cieplną i komunalną.

Każdy ze studentów medycyny czy weterynarii byłby obcięty na egzaminie, gdyby chciał krytykować czy negować funkcjonowanie gruczołów hormonalnych, regulujących gromadzenie zapasów przez organizm w okresie letnio-jesiennym. Dzięki działaniu tych gruczołów żywe organizmy przygotowują się do przetrwania niesprzyjających warunków i do prawidłowej gospodarki cieplnej ludzkiego lub zwierzęcego ciała. Nikt nie śmie krytykować

społeczeństwa pszczelego za to, że bez opamiętania gromadzi zapasy nektaru, pozwalającego nie tylko na przetrwanie okresu zimowego, ale nawet na dokarmianie w tym okresie trutni, potrzebnych w okresie wiosennym. Dzięki tej swojej zapobiegliwości pszczoła stała się symbolem rozumnej, oszczędnej i prawidłowej gospodyni. W różnych wersjach bajki o koniku polnym i mrówce zawsze miała rację mrówka, a nie konik polny, który liczył na to, że zimą „jakoś tam będzie". Genialny Maurycy Maeterlinck – mimo ślepoty – udowodnił, że pszczele i mrówcze społeczeństwo gromadzi na zimę tyle zapasów, ile potrzeba na przetrwanie okresu zimowego bez ogłaszania stanów wyjątkowych.

Skoro mrówcza i pszczela społeczność dysponuje tylko zapisami genetycznymi w chromosomach, to o ile wyżej powinna stać społeczność ludzka, dysponująca zapisami statystycznymi swoich GUS-ów, oczywiście o ile te dla doraźnych celów nie są „aktualizowane".

Cywilizowani badacze społeczeństw prymitywnych nie mogą zrozumieć lekkomyślności plemion zamieszkujących Borneo, dorzecze Amazonki czy Pigmejów w dorzeczu Konga, którzy nie rozumieją korzyści gromadzenia zapasów, żyją z dnia na dzień, raz przejadając się tak, że tracą chęć działania, a częściej głodując tak, że tracą chęć do życia.

Każda z teorii ekonomicznych, wszystko jedno z jakiej ideologii zrodzona i w jakim wieku powstała, tworzenie zapasów traktuje jako działalność pozytywną i twórczą, a brak zdolności czy umiejętności tworzenia takich zapasów (tak przez jednostki, jak i społeczeństwa) porównuje z utratą instynktu samozachowawczego. Jak daleko posunęliśmy się w utracie tego instynktu, niech świadczy wypowiedź – uczyniona oczywiście w tajemnicy i prywatnie – kilku wybitnych wojskowych, którzy autorytatywnie stwierdzają, że w dniach między 31 grudnia 1978 a 5 stycznia 1979 moglibyśmy być całkowicie zawojowani i zaanektowani prawie bez wystrzału przez o wiele słabszego, a tylko trochę lepiej zorganizowanego sąsiada. Na szczęście nie mamy słabych sąsiadów. [...]

Wiadomo mi, że w zakładach montażowych Mercedesa, nawet gdy stan zapasów zmniejsza się do czterdziestopięciominutowego zapewnienia ciągłości pracy, nikogo to nie niepokoi, bo wiadomo, że w ostatnim kwadransie zjawi się kontener z tak rozmieszczonymi wewnątrz częściami, że można je zrzucać wprost na stanowiska montażowe, nie przerywając, nie zmniejszając ani na minutę tempa produkcji. Rutyna!

Wiadomo mi, że w przemyśle okrętowym Japonii, który produkuje dwa razy tyle tonażu co reszta świata, stan zapasów stali i blach w stoczniach nigdy nie przekracza ośmiu godzin. Jest to przemysł, przypomnijmy, który buduje trzystopięćdziesięciotysięczniki w osiem miesięcy... Włączając w to

czas projektowania. Wrodzone zdolności narodowe! Nawet Francuzi i Włosi, nawet Anglicy i Amerykanie nie osiągnęli takiej perfekcji w kooperacji.

Konieczność posiadania zapasów to nasze zabezpieczenie się nie tylko przed niesprzyjającymi warunkami, ale przed wadami naszego charakteru. Nie można narażać rytmiczności pracy Nowej Huty, FSO czy suchych doków stoczni w Gdyni na niebezpieczeństwo, że ktoś tam o czymś zapomniał, coś przeoczył czy na czas nie podpisał.

Konieczność posiadania zapasów musi nas zabezpieczać także przed zjawiskami, które nie mają nic wspólnego ani z cechami narodowymi, ani z kaprysami przyrody. To tylko u nas może się zdarzyć, że minister Wrzaszczyk, chcąc „przyspieszyć" budowę małego fiata, zaanektował i podporządkował Zjednoczeniu Polmo kilkadziesiąt zakładów nie tylko ze swego i innych resortów, ale także z przemysłu terenowego, mimo że zakłady kooperowały – w mniejszym stopniu – z prawie połową polskiego przemysłu. Tylko u nas może się zdarzyć, że gotowe, nowoczesne zaplecze remontowe ciężkiego sprzętu transportowego budownictwa – zakłady w Antoninku pod Poznaniem (i Poznań miał ambicje, tak jak i Katowice, posiadania „własnej" fabryki samochodów) – zostały rozbebeszone i zamiast tego niezbędnego zaplecza mamy tarpana[2]. Tylko u nas się zdarza, ale za to bardzo często, że zaspokajając czyjeś ambicje, „przyspieszamy" wybudowanie jakiegoś kombinatu od sześciu do dwunastu czy nawet dwudziestu czterech miesięcy, pozbawiając setki innych budów sprzętu, wykonawców oraz cementu, stali, kabli i rur. I tylko nasza propaganda może to jeszcze nazywać „gospodarką planową".

Żaden z dyrektorów kombinatu lub wielkich zakładów, kładąc się spać wieczorem, nie wie, o jakich decyzjach, dotyczących jego branży, dowie się w porannym dzienniku radiowym. Dlatego też chce i musi mieć zapasy, by się przed różnymi niespodziankami zabezpieczyć. [...]

Wśród braku rezerw, taranujących raz za razem naszą gospodarkę, brak rezerw w transporcie doprowadził nas już do ekonomicznego chaosu i gospodarczej ruiny. Nie możemy być tym zjawiskiem zaskoczeni, tak jak sylwestrowym spadkiem temperatury do minus dwudziestu stopni. Trudności transportowe występują od piętnastu lat – nie są wprawdzie jak pory roku kapryśne, ale natężają się z groźną regularnością. Już nie co roku, a z miesiąca na miesiąc trudności transportowe coraz bardziej paraliżują naszą gospodarkę.

Czy można ten fakt nazwać zaskoczeniem, jak u nas się to nazywa – śnieg w styczniu lub brak opadów w czerwcu? Nie! Te fakty można było przewidzieć w roku 1945, zakładając już wtedy przekształcenie kraju z rolniczego w przemysłowo-rolniczy. Można było przewidzieć, że w połowie lat

[2] W 1975 roku dawne Wielkopolskie Zakłady Napraw Samochodowych w Antoninku zostały przekształcone w Fabrykę Samochodów Rolniczych „Polmo", producenta tarpana.

sześćdziesiątych powstały przed 1939 rokiem system transportowy „pęknie" i zacznie się ostry kryzys w transporcie, który się będzie stale pogłębiał.

Zacznijmy od zjawisk znanych wszystkim fachowcom z dziedziny motoryzacji.

Przedwojenne doświadczenia krajów wysoko uprzemysłowionych wskazywały niezbicie, że transport kolejowy traci na znaczeniu na rzecz transportu samochodowego. Doświadczenia ostatniej wojny wykazały, że transport samochodowy jest niezastąpiony i najbardziej „manewrowy". Po każdej wojnie pokojowa gospodarka wyciąga pozytywne wnioski, co udowodnił już Hannibal, przedzierając się po raz pierwszy najbardziej dziś atrakcyjną trasą turystyczną przez Alpy. Gdyby nie Napoleon i jego blokada kontynentalna, kto wie, czy do dzisiaj nie słodzilibyśmy herbaty cukrem trzcinowym. Wojna 1939–1945 udowodniła, że ciężarówka to najwspanialszy rodzaj transportu.

Kiedy podejmowano decyzję o budowie wcale dziś niemałego przemysłu motoryzacyjnego, należało sobie zadać pytanie: jaki to ma być samochód, który by, jeżeli nie współzawodniczył, to w każdym razie współpracował z koleją, wyeliminował transport konny z miast i azjatyckie rozwiązanie zaopatrzenia, jakim jest riksza rowerowa.

Jako wielki sukces witaliśmy pierwsze pięć samochodów ze Starachowic na Zjeździe Zjednoczeniowym PZPR. Był to efekt kontynuacji przedwojennych koncepcji i prac naszych konstruktorów. Właśnie przedwojennych!

Trzytonowy samochód to było cudo motoryzacji do roku 1939, choć już wtedy wiele europejskich i amerykańskich firm nastawiało się na samochód rzędu siedmiu, dziesięciu lub piętnastu ton. Zachwyt sukcesem Starachowic zamglił nasze spojrzenie na przyszłość motoryzacji. Był to dobry wóz na potrzeby wojska, ale za mały, za lekki dla transportu międzymiejskiego, natomiast za duży jako samochód dostawczy w miastach.

Dyskutując tę sprawę z konstruktorami w Starachowicach jeszcze w latach sześćdziesiątych, usłyszałem argument, że nasz czterotonowy już wówczas star trafia w europejską „próżnię" przemysłu motoryzacyjnego. Udowadniano mi, że wszystkie wielkie firmy przechodzą na budowę albo wielkiej ciężarówki, albo dostawczego pick-upa z nośnością do półtorej tony. Nie bardzo mi te argumenty przemawiały do przekonania. Skoro tak doświadczone firmy, jak Fiat, Mercedes, Berliet, Volvo, Leyland i nawet maleńki Stayer przechodzą na budowę ciężarówki powyżej dziesięciu ton, to chyba lepiej znają potrzeby rynku – dziś nazywa się to marketingiem – niż nasz młodziutki, choć ambitny zespół ze Starachowic. I rzeczywiście trafiliśmy w lukę europejskiego przemysłu motoryzacyjnego, bo sześciotonowy dziś już star jest sierotą w rodzinie

europejskich samochodów ciężarowych. Fakt, że nikt takiego nie produkuje. I także faktem jest, że nikt go nie chce kupować. Ot, sprzedamy albo podarujemy partię starów do krajów Trzeciego Świata i to wszystko. Dziś star jest przyczyną zapaści w naszym transporcie samochodowym. Choć urósł nam do sześciotonówki, to teraz jest stanowczo za duży jako miejski samochód dostawczy i absolutnie za mały jako samochód uzupełniający transport kolejowy.

Szybko spostrzeżono ten błąd, skoro zdecydowano się na samodzielną konstrukcję, a potem budowę samochodów ciężarowych w Jelczu, najpierw pod nazwą żubr i obecnie jelcz.

Wadą tego samochodu w chwili jego narodzin był silnik Wola, a więc szybko zdecydowano się na zakup licencji Leylanda, silnika wówczas jeszcze o europejskim standardzie. Ale cóż, zarówno żubr z silnikiem Wola, jak i później z silnikiem Leylanda pozostał w dolnej granicy wielkich samochodów ciężarowych i z trudem piął się od swoich początkowych sześciu do obecnych dziesięciu ton. Kupiono jednak licencję na dobry silnik, uruchomiono jego produkcję w Mielcu i Andrychowie, i tu... rzecz przedziwna.

Dwukrotnie odbyłem podróż w trójkącie Starachowice – gdzie próbowano nową wersję silnika właśnie do sześciotonówki – Mielec – gdzie wyduszono dodatkowe konie mechaniczne z licencyjnego leylanda, słusznie przewidując, że kończąca się w 1970 roku kooperacja Škoda–Karosa–Jelcz wywoła potrzebę silnika do dużego autobusu – i Andrychów – gdzie produkowano już licencyjnego leylanda, silnik świetnie nadający się właśnie do napędzania samochodu sześcio-, siedmiotonowego. Że tak było, dowodem współpraca Andrychowa z Sanokiem, który wolał andrychowski, a nie starachowicki silnik do budowanych przez siebie autobusów. Na czym polegała ta „rzecz przedziwna", że żaden z konstruktorów Mielca i Andrychowa nie odwiedził i nie interesował się tym, co robi się w Starachowicach i *vice versa*. Rzecz przedziwna, bo wszystko to odbywało się nie tylko w jednym resorcie, ale nawet w jednym zjednoczeniu. I tak „oficjalnie" jedyną osobą, która wiedziała, co się we wszystkich trzech fabrykach dzieje, byłem ja, reporter. [...]

Zima zaskoczyła nasz transport? Każdy może być zaskoczony, że on jeszcze funkcjonuje. A funkcjonuje tylko dlatego, że Polak potrafi. Jednakże przy aktualności tego hasła tracą swoją aktualność takie hasełka, że „jesteśmy kowalami własnego losu" i że „jutro buduje się dziś". Dziś musimy płacić za błędy popełnione wczoraj. A co będzie jutro, to się dopiero okaże, czy Polak jednak potrafi. [...]

Józef Kuśmierek, *Obecny*, Londyn: Aneks, 1991, s. 219–233

1982

„Karta”

Zbigniew Gluza, Katarzyna Madoń,
Grzegorz Sołtysiak, Alicja Wancerz

W każdym szukać Historii

Trzy tygodnie po ogłoszeniu stanu wojennego, 4 stycznia 1982 roku, zaczęło wychodzić w podziemiu pismo „Karta". (Nieprzerwanie ukazuje się do dzisiaj jako kwartalnik historyczny). Był to początek działalności Ośrodka Karta, który jest teraz niezależną organizacją pozarządową. Dokumentuje i upowszechnia wiedzę o historii Polski i Europy Środkowo-Wschodniej w xx wieku.

W stanie to zapis doświadczenia stanu wojennego. Pod koniec lutego 1982 roku trzyosobowy zespół podjął pracę dokumentującą ten czas. Korzystali tylko z wypowiedzi udzielanych spontanicznie i notatek powstających w naturalnym odruchu, a nie tworzonych na zamówienie redakcji. Także z wydawnictw nielegalnych, tak zwanej bibuły, ale też zapisków znajomych. Z tysięcy tekstów wybierali fragmenty poruszające i żywe, takie, które odsłaniały istotę doświadczenia tamtego czasu. Układali je chronologicznie. Miała to być linearna opowieść dotycząca pierwszego roku stanu wojennego.

> Komponowanie całości dawało takie poczucie, jakbyśmy mogli zapanować nad tym stanem. Stawaliśmy się z ofiar obserwatorami – opowiada Zbigniew Gluza, inicjator przedsięwzięcia. – Jak w eksperymencie: wchodzimy w zły, chory świat po to, by go opisać.

W pierwszym podziemnym wydaniu książki z 1984 roku zastrzegli jednak, że nie daje ona obiektywnego obrazu wydarzeń. Zebrane fragmenty relacji, dzienników, notatek, listów, grypsów, opowiadań, wierszy, spisanych nasłuchów radiowych, wywiadów nie tworzą kompletnego zestawienia faktów. Stanowią emocjonalny obraz „wojny" toczącej się raczej w świadomości (także podświadomości) niż na ulicach miast i w murach więzień.

> Opowieść była nieco jednostronna, tematy zaczęły się powtarzać, a drobiny wywiedzione z różnych źródeł stawały się dość podobne – mówi Zbigniew Gluza. – Popełniliśmy zresztą błąd, nie uwzględniając wypowiedzi osób pogodzonych z „okupacją" czy ludzi władzy. Wydawało się, że po tamtej stronie jest wyłącznie martwota, która nie zasługuje na uwagę. Nie chciało nam się tego dotykać. Braliśmy zapisy opozycyjne, będące świadectwem oporu. W ten sposób zamykaliśmy się na doświadczenie większości społeczeństwa, która wtedy przesądzała, co dzieje się w kraju. Byliśmy przekonani, że zastosowana metoda montażu to uniwersalna forma opisywania wielowymiarowego

świata, szczególnie adekwatna wobec tak absurdalnego jak ten „wojenny”. Ale to był tylko jeden z możliwych kluczy do tamtego czasu, raczej wytrych.

Książce przed drukiem przydarzyło się kilka przygód.

Najpierw Piotr Mitzner maszynopis zostawił w taksówce – opowiada Zbigniew Gluza. – Nie było jak tego odzyskiwać. Odtworzony tekst trafił potem do wydawców z NOWEJ [Niezależnej Oficyny Wydawniczej], którzy przetrzymali go, zrezygnowali z druku i... oddali bez sześćdziesięciu stron, które zgubili. Z uporem zestawialiśmy całość na nowo. Wreszcie ostateczna, wycyzelowana i precyzyjnie ułożona wersja, jeszcze bez paginacji, wieziona przeze mnie na spotkanie redakcji, przebiła dno foliowej torby, a rozsypane bezładnie kartki usłały podłogę zatłoczonego tramwaju... Musiało mi się tam coś zrobić z twarzą, bo stłoczeni wokół pasażerowie, zerknąwszy na mnie kątem oka, odwrócili się plecami (wszyscy!) i z wysiłkiem zrobili krok do przodu. Tramwaj akurat podjeżdżał do przystanku. Rzuciłem się pod nogi i spomiędzy nich, wraz z błotem z roztapiającego się śniegu, zgarnąłem kartki do resztek folii. Gdy tramwaj stanął, miałem już wszystko. Wpadłem w drzwi, a potem sprintem przez ulicę. Niepokój był o tyle racjonalny, że prawie każda kartka miała tytuł typu: „A.Ż., aresztowany w Łodzi”. Gdy na miejscu już wyjaśniałem powody spóźnienia, redakcja dostała ataku śmiechu.

Pierwsze wydanie książki w 1984 roku przygotował Zbigniew Gluza (ur. 1955, dziś wydawca i redaktor naczelny kwartalnika „Karta”, w 1987 roku założyciel niezależnego Archiwum Wschodniego) razem z Katarzyną Madoń (ur. 1957, potem – Mitzner, dziś zastępczynią dyrektora Domu Spotkań z Historią, instytucji edukacyjnej powołanej przez Kartę) i Alicją Wancerz (ur. 1956, potem – Gluzą, m.in. koordynatorką wielu projektów Karty w tym założonej przez Ośrodek biblioteki cyfrowej).

Przy drugim wydaniu książki (1991, poprawionym i znacznie rozszerzonym, na przykład o fragmenty pamiętników ze stanu wojennego) ze Zbigniewem Gluzą i Katarzyną Madoń-Mitzner współpracował historyk Grzegorz Sołtysiak.

W stanie – książka, której ułamek prezentujemy w naszej antologii – jest obok *Nocy generała* (1989) Gabriela Mérétika, francuskiego dziennikarza przez wiele lat mieszkającego w Polsce, najważniejszą pozycją *non-fiction* o stanie wojennym ukazanym z perspektywy społeczeństwa. Postacie reporterów czy też „zapisywaczy” tych historii nie istnieją, są schowane za bezpośrednimi relacjami i świadectwami ludzi, mimo że owi zbieracze relacji wykonali niezwykłą pracę.

W stanie

Mieszkaniec Łodzi

Dzwonek. Za piętnaście minut północ. Patrzę przez wizjer: nieznajomy mężczyzna.

– Kto tam?

– Poczta.

Chwila milczenia.

– Telegram.

– Skąd?

Za drzwiami konsternacja. Wydaje mi się, że mężczyzna porozumiewa się z drugą osobą.

– Z Wrocławia.

Mętna historia.

– To pomyłka, we Wrocławiu nie mam nikogo.

– Chce pan ten telegram czy nie?

– Nie, dziękuję.

Na taką odpowiedź słyszę ostry głos:

– Milicja, otwierać!

Łódź, 12 grudnia

Tomasz Jastrun

Ktoś puka do drzwi. Patrzę na zegarek. Jest pięć po dwunastej. W progu stoi O. Przestępuje z nogi na nogę jak mała dziewczynka przed zabawą w kolory. To, co mówi, nie jest jednak zabawne. Policja dobiera się do mieszkania Celińskiego[1]. Były sekretarz KK stoi na balkonie i krzyczy, żeby zawiadomić o tym region. O. była już w pobliskim mieszkaniu Heleny i Witka Łuczywów, ale ujrzała tylko wyważone drzwi i mrok.

– Na dodatek nie działają telefony – mówi i patrzy na mnie, jakbym mógł jej pomóc.

Zapraszam na herbatę, ale ona roztropnie odmawia i rusza dalej, by dzielić się z innymi swoim niepokojem. Odchodząc, zastrzega, że to przecież nic pewnego.

– Bo przecież trudno sobie wyobrazić, żeby się odważyli...

[1] Andrzej Celiński (ur. 1950) – opozycjonista, sygnatariusz listu w obronie robotników z Radomia i Ursusa z 1976 roku, współpracownik KOR-u i tzw. Uniwersytetu Latającego; współautor apelu intelektualistów o negocjacje i porozumienie między władzą a strajkującymi w 1980 roku. Sekretarz Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność". W 1981 roku internowany, w 1989 – uczestnik obrad Okrągłego Stołu.

– Trudno sobie wyobrazić – potwierdzam.

Zamykam drzwi, ogarnia mnie przemożna chęć, by uznać całą wizytę za przywidzenie i położyć się do łóżka. Wkładam jednak buty. I wtedy już wiem, wszystko wiem.

– Zrobili to, skurwysyny, jednak zrobili – mówię do żony.

Warszawa, 13 grudnia

Szeregowy żołnierz

Czwarta rano. Alarm! Zbiórka przy sprzęcie. Rozkaz: do wozów; każdy jak stoi, często mundur na piżamie. Mróz: minus dwadzieścia. Znowu poligon? Po godzinie jazdy zorientowaliśmy się, że tym razem nie jedziemy na ćwiczenia. Co się dzieje?! Włączamy radio – Głos Ameryki mówi o ogłoszonym w Polsce stanie wyjątkowym. Później Polskie Radio i Jaruzelski. Co to będzie? Wojna? Z kim?

Śląsk, 13 grudnia

Krystyna Kuta, internowana

Na podwórzu autokar z napisem „Wycieczka”, z proporczykami. Powitania – wywoływanie znajomych imion, nazwisk, próby odgadywania, co się właściwie dzieje. Karabiny na plecach powiększającej się co kilka minut eskorty pomagają nam w wyjaśnieniu zagadki. Autokar rusza. Wyjeżdżamy na zachodnią szosę wylotową, zgodnie z kierunkiem do Potulic. Ale dlaczego przed Czesanką skręcamy i wjeżdżamy coraz głębiej w las? Autokar staje. W mroku rysuje się jakiś ciemny szkielet. Lotnisko wojskowe. Silniki milkną, otwierają się drzwi.

Więc to tak. Tutaj. Między sosnami o niewysokich powykręcanych pniach albo pod hangarem, a może jeszcze gdzie indziej. Naukowcy, studenci, urzędniczki, nauczycielki, robotnicy, rolnicy, artyści – my, wybrani tej nocy, choć wybierani dużo, dużo wcześniej… A może myśmy wybrali ten los. Zapala się reflektor – dostrzegam jeszcze kilka ciemnych pudeł. Czyli jest nas znacznie więcej, niż początkowo myślałam. Niech wreszcie, do cholery, padnie ten rozkaz. Podobno to krótko boli… Skurwysyny, przez te szesnaście miesięcy chyba wyszkolili się w celnym strzelaniu.

Toruń–Potulice, 13 grudnia

Marcin Kęszycki

Jest to porównywalne jedynie z odczuciem śmierci kogoś bliskiego. Takie samo przerażenie, taka sama paraliżująca świadomość, że to już koniec, że stało się oto coś nieodwracalnego. Takim zostawił mnie Jaruzelski, gdy skończył swe przemówienie o szóstej rano – siedzącego na łóżku w pokoju hotelowym w Krakowie. Potem jakieś nieskoordynowane czynności, przekleństwa. Otworzyłem okno. Padał śnieg, była zupełna cisza.

Kraków, 13 grudnia

„Jan Kowalski"

O godzinie czternastej zjawił się mój siedemdziesięcioczteroletni ojciec. Od progu zaczął sypać wiadomościami.

– A więc mamy wojnę – relacjonował zdenerwowany. – Jaruzelski mówił już na ten temat w telewizji. Nikt nie może się ruszać z miejsca zamieszkania. Zaczyna się mobilizacja. Wszyscy muszą niezwłocznie, pod karą śmierci oddać swoje radioodbiorniki. Za najmniejsze przewinienie grozi sąd wojenny.

– Wojna? – zapytałem z niedowierzaniem. – Ale z kim?

– Wiadomo, z Niemcami – wyjaśnił ojciec. – Stoją na granicy i w każdej chwili mogą na nas uderzyć. Postanowiłem was odwiedzić, bo może widzimy się po raz ostatni.

Warszawa, 13 grudnia

Maria Chmielewska-Jakubowicz

Najgorsza wiadomość, która mnie zupełnie położyła, to że na czas trwania stanu wojennego zniesiona jest „nietykalność mieszkań". Szalałam dosłownie, co zrobię z mamą, gdy trzeba będzie mieszkanie z jakichś przyczyn opuścić i dadzą zastępcze, co zrobię z jej uciekającym życiem. Jest gaz, jest światło, są ciepłe kaloryfery, ale co będzie, jeśli zabraknie. Nabrałam całą wannę wody. Nie mam zapasów papierosów. Nie mam w ogóle żadnych zapasów jedzenia.

Warszawa, 13 grudnia

Jan Józef Szczepański

Ktoś przyniósł i odczytał deklarację Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego. Była tam mowa o położeniu kresu anarchii i o ratowaniu kraju u progu katastrofy. Następowało długie wyliczenie zarządzeń stanu wojennego. Wśród zakazów, obejmujących wszystkie niemal dziedziny życia społecznego, dziwnie w tym mroźnym, zimowym dniu brzmiał zakaz używania kajaków i wszelkich łodzi na rzekach i jeziorach. Uświadomiło nam to, że

topór, który spadł obecnie na nasze barki, wisiał nad nami gotów do ciosu od wielu miesięcy.

Warszawa, 13 grudnia

Jan M. Ruman

Na placu Na Rozdrożu natknąłem się na wojskowy patrol. W jednym z żołnierzy rozpoznałem kolegę ze szkoły. Zdumienie, konsternacja. Przez chwilę zostaliśmy sam na sam. On próbuje tłumaczyć – to wszystko zastało go w czasie odbywania zasadniczej służby. Podchodzi drugi żołnierz. I on nie ma miny bohatera narodowego. Znajomy ze szkoły zapewnia mnie, że przy nim nadal możemy rozmawiać. Na koniec tego ponurego spotkania mówi:

– Gdybyśmy mieli magnetofon, gdybyśmy mogli nagrać choć jedno szkolenie. Nie wyobrażasz sobie, jak oni chcą nas nastawić do ludzi.

Chwilę później legitymuje mnie zomowiec. Kartkuje mój dowód.

– Gdzie pracuje? – pyta, jakby kogoś innego.

Pokazuję legitymację studencką. Z trudem rozszyfrowuje napis na stemplu: Akademia Teologii Katolickiej. To ostatnie słowo zrobiło na nim wyraźnie jakieś wrażenie.

– Ja też jestem katolikiem – mówi. – Miałem nawet na święta podawać do chrztu siostrzenicę...

Jakby rozczulony zaczyna mi się zwierzać z trudów „służby”. Szybko wtrącam pytanie:

– Jak rozkażą strzelać, wykona pan?

W jednej chwili niknie łezka z oka, zmienia się twarz.

– Oczywiście – pada natychmiastowa odpowiedź.

Warszawa, 13 grudnia

Żołnierz

Niedaleko od miejsca postoju – chałupa, decydujemy się iść z kierowcą i poprosić o coś do picia. Szklanka cienkiej, bardzo słodkiej, ale gorącej herbaty. Wypijam jedną, drugą, trzecią. Nie widzę swojej twarzy, ale musi wyglądać dość przerażająco, skoro ta niemłoda kobieta roztkliwia się nad nami. Jem pierwszą od parunastu godzin kromkę chleba i nie mogę jej przeżuć. Jedzenie sprawia kłopot, nie mam w ogóle apetytu. Próbuję rozmawiać. Kobieta opowiada nam, jak wyglądało tu, kiedy szli Niemcy w 1939, potem Rosjanie. A później zdanie:

– Mój sparaliżowany mąż siedzi w fotelu, patrzy przez okno i płacze.

Gdańsk–Płock, 13/14 grudnia

Mieszkanka dużego miasta

Stoję z dzieckiem na górce w parku, niedaleko przejeżdżają czołgi, chodzą patrole. A tu nagle widzę – idzie kobieta. W ręku ma abażur. Właśnie kupiony, zapakowany w papier. I tego właśnie nie mogłam pojąć. Stan wojenny – a tu dla niej najważniejsze, żeby sobie abażur kupić.

14 grudnia

Teresa Lubkiewicz-Urbanowicz

Znajoma pani z wojskowych bloków mówi, że męża skoszarowano nagle, a ją odwiedził komendant osiedla i poinformował, co należy robić w razie ataku wroga. Gdzie są worki z piaskiem i tak dalej. Komendant uspokoił ją, że są straże wokół bloków, dyżury, poinstruował, jak wszczyna się alarm. Pani mówi mi to w wielkim zaufaniu. Widzę, że wszyscy jej sąsiedzi są umundurowani, a więc i spotykany czasem safanduła-okularnik, i ojciec małych dziewczynek znany z widzenia paradują w krótkich juchtowych butach. Za pasem broń.

– Kto ma na was napaść? – dziwię się, ale znajoma mówi, że nie ma co się śmiać, że coś w tym musi być, o czym my nie wiemy; skoszarowany mąż, samoobrona osiedla...

– Tylko brakuje wroga – przypominam.

– Jeśli zorganizowano aż taką obronę, to musi być i wróg. Tylko że my go nie widzimy – upomina mnie znajoma.

Warszawa, 14 grudnia

Tadeusz Łomnicki

Szedłem Krakowskim Przedmieściem na próbę do Teatru Polskiego. I nagle przed Pałacem Staszica zobaczyłem „suki", do których ładowano wyciągniętych siłą, wynoszonych za ręce i nogi profesorów i naukowców Polskiej Akademii Nauk. Był to widok okropny i żałosny, niewiarygodny. Obok, z długimi pałami, przebiegali rozwścieczeni funkcjonariusze ZOMO. Na ulicy gromadzili się ludzie, otwierano okna mieszkań, zaczęto krzyczeć i skandować: „Gestapo! Gestapo!". Przyłączyłem się do tych głosów. I, patrząc na tę okrutną scenę, przypomniałem sobie rok 1943 i łapankę w Krakowie, gdzie esesmani na środku jezdni kopali każdego młodego człowieka. Było to bardzo przykre skojarzenie. Rozproszono nas, setki ludzi uciekały wylotami ulic. Widziałem, jak za zakratowanym okienkiem „suki" ktoś wzniósł dłoń z palcami rozstawionymi w znak zwycięstwa.

W teatrze dowiedziałem się, kto jest aresztowany – telefony przecież nie działały. I przestała mnie interesować próba. Po powrocie do domu napisałem list tłumaczący, dlaczego opuszczam partię, i zwróciłem legitymację.

Warszawa, 15 grudnia

Andrzej Cedro

Wobec braku łączności telefonicznej i zrozumiałego niepokoju o swoich bliskich odbywają się powszechne pielgrzymki po całym mieście. Zamiast „dzień dobry”, który to zwrot utracił dziś swe pierwotne znaczenie, mawia się: „jak to dobrze, że cię widzę”.

Warszawa, 15 grudnia

Górnik z kopalni „Manifest Lipcowy”

Zwołano zebranie strajkujących do cechowni. Było tam też wiele kobiet, które przyszły po wypłatę. Gdy wszyscy zebrali się w przekonaniu, że chodzi o rozmowy, nagle przez drzwi i okna wtargnęło ZOMO. Ciasnym pierścieniem otoczyli ludzi, odwrócili się tyłem i zaczęli rzucać za siebie petardy i naboje z gazami. Powstała panika, ludzie rozrywali pierścień i uciekali. Wówczas zomowcy odwrócili się i zaczęli bić zgromadzonych. Ludzie uciekali, skacząc przez okna, kaleczyli się o rozbite szyby i wpadali pod pałki zomowców ustawionych na zewnątrz.

Jastrzębie, 15 grudnia

Uczestnik strajku na Uniwersytecie Łódzkim

Profesor do spraw dydaktycznych, przedstawiając się podoficerowi ZOMO: „Ja tu jestem rektorem”, usłyszał w odpowiedzi: „Spierdalaj!”, i dostał pałką. Podobnie postąpiono z pierwszym sekretarzem Komitetu Uczelnianego PZPR. W tym samym budynku od ulicy Lindleya było otwarte wejście do dziekanatu Wydziału Prawa i Administracji. Znajdowali się tam dziekani. Wszedł oficer ZOMO z sześcioma podkomendnymi. Na pytanie: „Po co panowie tu przyszli?”, odrzekł:

– Mamy tu zaprowadzić porządek.

– Porządek to tu był przed wejściem panów.

– No, wie pani, ja to się tu tak spokojnie zachowuję, bo mam zamiar od przyszłego roku studiować prawo – odrzekł trzeźwo zomowiec.

Tymczasem w rektoracie trwało wyłamywanie wszystkich zamkniętych drzwi, zrywanie zasłon, tłuczenie popielniczek, rozbijanie stołów i szaf.

Łódź, 15 grudnia

Zbigniew Gach, strajkujący w Stoczni Gdańskiej

W odległości pięciu metrów od bramy, obok zablokowanego wagonu, rozpalono szerokie, koliste ognisko. Usiadły wokół niego półśpiące młokosy, a było też parę dziewczyn z warkoczami. Pośród studentów roztasowali się chłopcy ze stoczni – i tak oto wyglądał sojusz inteligencko-robotniczy: nie dla propagandy, nie dla władzy, lecz przeciwko niej.

Któryś ze stoczniowców napisał flamastrem na brystolu: „Uwaga, brama pod napięciem 380 V" – a potem powiesił to od strony ulicy. W tym czasie jego kolega przyśrubował do bramy czarny kabel, którego drugi koniec urywał się w mroku. Była to broń psychologiczna, podobnie jak ustawiona pionowo pusta butla po acetylenie.

Bramę kolejową nieopodal „dwójki" również w większości obsadzili studenci. Każdy zaopatrzył się w metrową rurkę trzymaną niczym kostur na biwaku czy rajdzie. Każdy dołączał półgłosem, gdy kolega przy ognisku intonował pieśń. [...]

Wybrali moment, trzeba przyznać – z wyrachowaniem, bo trudno to uznać za przypadek. Mieli być za pięć minut, czyli o 5.35. Ruszyliśmy niemal biegiem pod bramę 11, a potem do stołówki, gdzie szepnęliśmy nowinę kilku osobom. Jakiś chudy blondyn w kapturze wydarł się natychmiast na całą salę: „Alarm", daremnie szukając kontaktu od światła. Około pięćdziesięciu mężczyzn po kotłowaninie rzuciło się do okien, a drugie tyle zbiegło na dół i stanęło w pobliżu bramy. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo i część z nich już się zniecierpliwiła, kiedy nagle zaczął narastać głuchy łoskot i dźwięki nakładających się na siebie samochodowych syren. Moment później na plac przed pomnikiem wjechała pierwsza buda, pierwsza „suka", pierwszy łazik. Następne wyłaniały się bez końca zza zakrętu, rosły w oczach, mnożyły się, wysypując janczarów w kaskach, z tarczami, z siedemdziesięciocentymetrowymi pałkami, od uderzeń których pękają ponoć słabsze kości. Kilku stoczniowców rzuciło się do sikawek, bo – cholera jasna (trzeba było pilnować) – zamarzły! Z trudem odkręcili prądownice od wybrzuszonych wężów i położyli na koksowniku. Tymczasem z wężami też coś trzeba było zrobić. Ktoś zaczął je desperacko okładać „żelaznym kijem", krusząc zalegające w środku kawały lodu. Jeszcze potem trochę podgrzania i węże były również gotowe. Teraz przyszedł czas na próbę – dwie prądnice sprawne, trzeciej nie dało się odmrozić tak od ręki. No nic, w pobliżu leżały także naznoszone gaśnice, tyle że... jakoś nikt się nie kwapił do ich uchwycenia. Zrobiła się nagła cisza i tylko jeszcze przez chwilę na bramie wyła boleśnie nasza strajkowa syrena. Raptem w tej ciszy wywalił się ryk dotąd największy. U wylotu ulicy prowadzącej

do stoczni ustawił się i zastygł czołg. I wtedy my, ludzie z tej strony bramy, zaśpiewaliśmy nasz narodowy hymn. Mazurek to niby, jednak ciągnęliśmy go dostojnie, przedłużając każdą frazę i wynajdując w pamięci dalsze zwrotki. Wreszcie zabrakło nam słów i wtedy wybuchnęliśmy *Boże, coś Polskę*. Tego też nam było mało, wczepiliśmy się więc w *Rotę*. Co jeszcze? Pozostało powtórne odśpiewanie hymnu, a głosy nasze brzmiały coraz słabiej. Oni słyszeli, jak nas było mało, śpiewaliśmy więc niczym straceńcy – do bólu i zdarcia gardeł.

Ale oni wzięli nas na zimno – nie atakowali, kiedy śpiewaliśmy. Czekali na nasze zmęczenie, na ciszę. Kiedy zamilkliśmy, czołg nagle ruszył w naszą stronę. Początkowo jechał wolno, ale już po chwili przyspieszył i runął prosto w nas. Patrzyłem na to z zaciekawieniem, potem ze zdumieniem, ze zgrozą i... nagle pojąłem, że on wcale nie zahamuje ani nie wykręci. On walnie w bramę, rąbnie w ludzi, w barykadę... Jeszcze dziesięć metrów, pięć, trzy, dwa... Zgrzytnęły snopy iskier z metalu o metal – nasza zapora prysnęła niczym ślimak pod butem. Przez sekundę trzymałem się zimnych, metalowych sztachet, zanim nie zacząłem uciekać.

Stocznia Gdańska, 16 grudnia

Edmund Szczesiak

Musztrowano nas, robiono z nas wariatów [w sali BHP, sali Porozumień Gdańskich]. Gdy jeden z naszych się odezwał: „Panowie, wy jesteście Polacy?” – padła komenda: „Brać go”. Stałem twarzą do okna i widziałem w szybie niby w lustrze, jak go biją. Tak długo bili, aż stracił przytomność. Najgorsza ta bezsilność: sam ledwo stałem na nogach, ale było nas przecież tylu i nikt się nie ruszył. [...]

Z przystanku Żabianka idę do domu zwykle osiem minut, wtedy wlokłem się godzinę. Ludzie patrzyli na mnie jak na pijaka wracającego z libacji. Coraz bardziej mnie bolało. W okolicach nerki miałem siniaka wielkości strusiego jaja, na głowie – kurzego. Doczłapałem do domu, ale nie starczyło sił, żeby wejść na pierwsze piętro. Tym razem okazało się za wysokie. Zauważył mnie sąsiad i wyszedł na klatkę.

– Co tobie? – pyta.

– Nic, rozwalili nas w stoczni.

Pomógł mi wejść po schodach. Dopiero w mieszkaniu wybuchł we mnie ból i gorycz. Rozryczałem się jak dziecko. Zdjąłem buty, położyłem się na wersalce i zasnąłem.

Gdańsk, 16 grudnia

Górnik I z „Wujka”

Jeden czołg ustawił się w poprzek ulicy i rozpędził się prosto na bramę, na której wisiał obraz Matki Boskiej i portret papieża. Bramę oczywiście rozwalił, wspiął się na ustawione za nią wózki, lecz nie sforsował tego, zaplątał się w złomie, nawet szpulę z kablem górniczym wyciągnął za sobą. Drugi raz próbował, też bez skutku. Potem odjechał kawałek dalej. Obok bramy wjazdowej był mur, za murem drzewo – w tym miejscu znowu się rozpędził, rozwalił mur, wspiął się na drzewo, drzewo poszło. Jeszcze po tym rumowisku zaczął jeździć, poszerzył otwór, wyjechał i stanął z boku. Wtedy do akcji wkroczyło ZOMO. [...]

Usłyszałem dwie serie z karabinu maszynowego. Myślałem, że to z czołgu, ale nie, bo czołg ma większy kaliber. To był uliczny kaem, jak oni go nazywają. Taki malutki, krótki. Z tej broni zostały oddane dwie serie i sześciu ludzi padło trupem. Ale nikt z nas nie zdawał sobie sprawy, że ci ludzie nie żyją.

kopalnia „Wujek”, 16 grudnia

Górnik II z „Wujka”

I znowu był atak na zomowców. Wtedy posypały się ofiary z ich strony. Podbudowało to nas psychicznie, że oni nie są tacy groźni, na jakich wyglądają.

Okazało się, że nasi chwycili kapitana ZOMO i trzech szaraków zomowców. Jeden z nich był w bardzo ciężkim stanie, to go odesłaliśmy naszą karetką do szpitala. Nie wiadomo, czy żyje. A tych trzech to chcieliśmy normalnie powiesić. Jedni podobno chcieli odciąć im głowy, inni nogi i ręce powyrywać – różne wersje tego były. Zaznaczam, że przed atakiem była msza święta i przyjmowaliśmy komunię. To zaważyło. Paru ludzi, którzy przyjęli komunię, było widocznie bardziej opanowanych i nie dopuściło do tych rzezi. Rozstrzygnie czas, czy my dobrze zrobiliśmy.

kopalnia „Wujek”, 16 grudnia

Żołnierz z grupy szybkiego reagowania

My boimy się tak samo jak inni ludzie. Jak się okazało – boimy się nawet bardziej niż górnicy. W „Wujku” szli wprost na czołgi, wozy pancerne. Z siekierami, łomami, łańcuchami, z absolutną determinacją. Boże, co tam się działo. Blokujące się wzajemnie czołgi, wypadający zza nich zomowcy o wyglądzie bestii – oddział specjalny. Biegli wprost na górników, którzy rzucili się z taką siłą, że początkowo w czasie tej jatki uzyskali przewagę. Sam widziałem jednego, który jakimś metalowym narzędziem zaatakował zomowca, tak że odciął mu rękę wraz z ramieniem.

W potwornym chaosie jeden z czołgów utknął nad szybem i nie mógł się wycofać. Otoczyła go grupa górników i zaczęła polewać benzyną. Na szczęście zauważył to nasz dowódca – wrzeszczał, że w środku są żołnierze. Górnicy zawahali się. Ktoś powiedział, że jeśli to są żołnierze, to nawet pomogą im się wydostać. Ale jeśli tam są zomowcy, to rozszarpią gołymi rękami.

Śląsk, grudzień

Ojciec zabitego w „Wujku”

W Katowicach zawieźli nas do szpitala. Pytali, czy wezmę syna, mówiłem: „Jak to, dziecko miałbym tu zostawić?”. Był na pół nagi, okradli go w szpitalu. Zabrali zegarek, wypłatę, nowy sweter z wełny, który żona mu na andrzejki zrobiła. Po dwóch miesiącach przyjechali do nas, do Niedośpielina, jego koledzy i przywieźli wypłatę, mówili, że się znalazła. Ale gdzie by się znalazła, jak ją ukradli. Oni się na nią złożyli.

Umarł w szpitalu po kilku godzinach. Siostra mówiła, że jeszcze powiedział: „Mamusiu, ratuj!”, dwa razy. Widziałem go w kostnicy. Nawet nie był umyty, tylko przykryli go prześcieradłem. Cała głowa we krwi, jedną kulę dostał w pierś, wyszła z tyłu, tak że miał całe plecy z taką dziurą jak szklanka i jeszcze czarne od bicia. Drugą dostał w krtań i wyszła mu przez głowę, a trzecia też przez głowę, ale po powierzchni. Nie poznałem, że to mój syn.

Katowice, 17 grudnia

Jan Józef Szczepański

Z Łodzi nadeszła wiadomość o zamknięciu Marka Edelmana. Natychmiast poszedłem do ministra Tejchmy[2] interweniować w tej sprawie. Zastałem Tejchmę siedzącego bezczynnie w fotelu w kącie jego olbrzymiego gabinetu. Wyglądał na opuszczonego przez wszystkich. W czasie naszej rozmowy nie weszła żadna sekretarka, żaden urzędnik. Wydawało się, że resort zamarł. Tejchma zgnębiony, z przekrwionymi oczyma, zdawał się nie bardzo rozumieć, co do niego mówię. Wreszcie, znużonym głosem, oświadczył mi, że nic nie może zrobić.

Warszawa, 17 grudnia

Kinga Dunin-Kowalska, internowana

Nie przestawałam walić i kopać w drzwi, krzyczeć, a właściwie wyć. Minął bowiem trzeci, potem czwarty dzień, a nadal nie miałam pojęcia, gdzie znajduje się mój Staś.

[2] Józef Tejchma (ur. 1927) – wicepre-zes rady ministrów w rządzie Piotra Jaroszewicza. W latach 1974–1978 i 1980–1982 minister kultury i sztuki.

Piątego dnia Marzena Kęcik, która siedziała ze mną w celi, została wezwana na przesłuchanie z ważnym podobno pułkownikiem Romanowskim. Znów więc waliłam w drzwi, krzyczałam, domagałam się widzenia z pułkownikiem, z kimkolwiek zresztą, kto poinformowałby mnie, co z moim dzieckiem. Ale klawiszka, która zareagowała na moje hałasy, oświadczyła, że nic z tego – pułkownik nie ma mnie na liście osób przeznaczonych na przesłuchania. Szalałam jednak po celi tak długo, że mnie w końcu do niego zaprowadziła.

Chciał podać mi na powitanie rękę, udałam jednak, że tego nie zauważyłam. On również zaczął jak wszyscy – nic nie wie, pomóc nie może... Znajdowałam się już jednak w takim stanie, że dałam mu ultimatum: jeżeli do ósmej rano następnego dnia nie dowiem się, gdzie jest moje dziecko, popełnię samobójstwo, nie wiem jeszcze wprawdzie jak, ale i w więzieniu są na to sposoby! Dałam mu trochę czasu – widziałam ten potworny bałagan naokoło. Oczywiście, nie byłam wcale zdecydowana. Gdyby nie zajął się sprawą, chciałam rozpocząć najpierw głodówkę. Nie wiem, czy przeraził się ewentualnych kłopotów, w każdym razie obiecał zrobić wszystko, co w jego mocy.

I jeszcze tego samego dnia [...] zaprowadzono mnie do niego. Przyznał z dumą, że niemal siłą wdarł się do gabinetu generała Kiszczaka, który zwolnił mnie na jego osobistą interwencję! Czarną wołgą, czekającą na więziennym gościńcu, pojechaliśmy na Nowogrodzką, do Państwowego Domu Małego Dziecka.

Warszawa, 18 grudnia

Krystyna Jagiełło

Idąc do kościoła świętej Anny na mszę poświęconą Jerzemu Zieleńskiemu[3], przechodziłam na rogu Pięknej i Alej Ujazdowskich obok dwóch żołnierzy rozpalających ognisko. Zimno było jak diabli – chyba ze dwadzieścia stopni mrozu. Stałam pod światłami, przyglądając się twarzom żołnierzy. Takie dzieciaki o miłym wyglądzie. Jeden z nich spojrzał na mnie płochliwie i odwrócił głowę. Po chwili spojrzał znów. Widocznie nie dostrzegł we mnie agresji, bo powiedział:

– Niech się pani ogrzeje przy ognisku.

– Dziękuję. – Uśmiechnęłam się.

Po chwili zapaliło się zielone światło.

Ci chłopcy nie są przecież moimi wrogami. Po prostu mieli pecha.

Warszawa, 18 grudnia

[3] Jerzy Zieliński (1928–19810) – dziennikarz, publicysta, działacz opozycji, współtwórca i pierwszy redaktor naczelny „Tygodnika Mazowsze". Na wiadomość o wprowadzeniu stanu wojennego popełnił samobójstwo.

Górnik I z „Ziemowita”

Na dole ksiądz dawał rozgrzeszenie. Nie pamiętam tego, co mówił, ale samo rozgrzeszenie pamiętam. Dawał je nam na dole na wypadek śmierci. Ludzie klęczeli. Wyglądało to okropnie, mieli łzy w oczach. Bo to tak już wtedy wyglądało, jakby to po prostu byli skazańcy na śmierć, stojący w obliczu nieodwracalnej sytuacji. Że z nami już koniec. Tego się nie da opisać. Mnie na wspomnienie tego aż ciarki przechodzą.

kopalnia „Ziemowit”, 18 grudnia

Krystyna Jagiełło

Jurka Zieleńskiego pochowaliśmy w milczeniu. Dopiero w piątek 18 grudnia po południu zezwolono na pogrzeb publiczny, to znaczy taki, w którym mogą uczestniczyć znajomi, a nie tylko rodzina. [...]

W sobotę o dwunastej trzydzieści zebraliśmy się na cmentarzu Wojskowym. Utworzył się długi kondukt. Czułam, iż wszyscy myślimy to samo, że to nie tylko pogrzeb dziennikarza, ale i dziennikarstwa. Przyszło wielu, bardzo wielu ludzi. Ale dostrzegłam też tych, których brak: kolegów, którzy siedzą w więzieniu albo się ukrywają. Na murze katedry przeczytałam dziś klepsydrę: „Nie mogąc tego znieść, zmarł tragicznie 13 grudnia...”.

Władza zabroniła wygłaszać przemówień. Księdza również nie było, jako że pochówek samobójcy. Staliśmy dokoła grobu w milczeniu, patrząc na pracujących grabarzy. Było tak cicho i tak smutno, jakby poza tym cmentarzem nie było już ani miasta, ani naszych w nim domów.

Warszawa, 19 grudnia

Zbigniew Bujak

Grupa osób całymi dniami przepisywała maczkiem wiadomości na paskach przebitki[4], które potem zwijało się w cienkie ruloniki i przylepiało w toaletach pociągów jeżdżących na Zachód. Mimo tego obmyślanego do najdrobniejszych szczegółów sposobu, żaden z setek ruloników nie dotarł do adresatów. Po prostu nikomu nie chciało się tego odbierać.

Warszawa, grudzień

Marcin Kęszycki

Granicą bezsilności jest desperacja, granicą rozpaczy – odwet. Desperacja i odwet stają się tutaj tylko gestem. W dzienniku telewizyjnym podano wiadomość o mieszkańcu Łodzi, który wykonał szarżę z szablą na patrol wojskowy. Sąd doraźny rozpatruje już jego sprawę.

Poznań, 23 grudnia

[4] Przebitka – cienki papier używany przy pisaniu przez kalkę.

„Jastrzębiec", mieszkanka Warszawy

Ludzie bez cienia uśmiechu, ze ściśniętymi sercami, nie umieją sobie składać życzeń. Patrzą sobie w oczy z opłatkiem w ręku, kręcą głowami, rozkładają ręce. Szczególnie serdecznie stawiają dodatkowy talerz.

Taka niema Wigilia.

Warszawa, 24 grudnia

W stanie, oprac. zespół Zbigniewa Gluzy,
Warszawa: Wydawnictwo Karta, 1991, fragmenty

1982

Ewa Berberyusz (ur. 1929)

Nieśmiałość to też metoda

Wybrany do antologii reportaż o rodzinie Lecha Wałęsy z czasu, kiedy był internowany w Arłamowie, został w „Tygodniku Powszechnym" zdjęty przez cenzurę. Ukazał się dopiero w podziemnym wydaniu książki *Pierwsze wejście* (1984), wydanym przez Niezależną Oficynę Wydawniczą NOWA. Książka była skserowanym maszynopisem (w takiej formie można ją dziś czytać w Bibliotece miasta stołecznego Warszawy na ulicy Koszykowej) i zawierała reportaże Ewy Berberyusz z lat 1980–1981. Pisała je dla warszawskiej „Kultury", „Przekroju", „Tygodnika Solidarność" i „Tygodnika Powszechnego". Po 13 grudnia reportaże te nie miały już szans znaleźć się w oficjalnie wydanej książce.

W 1980 i 1981 roku Ewa Berberyusz poświęcała całą swoją uwagę Wałęsie i Solidarności. Opisywała na przykład jego dzień powszedni (kończąc pointą, że trwał czterdzieści godzin). 9 listopada 1980 roku towarzyszyła obradom Krajowego Komitetu Protestacyjnego w Klubie Inteligencji Katolickiej w Warszawie, z Wałęsą w prezydium. Notowała rzeczy poważne i drobiazgi:

> Przerwa – kawa, herbata, kanapki z margaryną – i dyskusja byle nie o tej najważniejszej sprawie, o której za godzinę, dwie przyjdzie im zadecydować. Więc o Warszawie (niektórzy są w niej po raz pierwszy w życiu); o płci żeńskiej („te wszystkie matki, żony, czyli osoby, które mają na nas, niestety wpływ") i o prasie, która stoi na schodach, niestety niewpuszczona.

9 marca 1981 roku w jednym z reportaży skarży się przewodniczącemu Solidarności:

> – Gorycz przeze mnie przemawia, ale Orianie Fallaci dał pan siedmiogodzinny wywiad, a ja dybię na swój kwadrans w biegu. Czy dlatego, że polscy dziennikarze mają złą sławę?
>
> – Po pierwsze – tłumaczy Wałęsa – ja przyjaciół sobie dobieram. Fallaci zasugerowała mnie czymś, wydała mi się dość dużą kobietą; po drugie, miałem te informacje, że to jest taka wielkość, i chciałem zobaczyć, czy naprawdę. Chciałem ją sprawdzić. Było to w domu, więc w wolnym czasie od normalnych zajęć [...].

Po latach Berberyusz wspominała, że jechała we wrześniu 1980 roku do Gdańska z tremą. Bała się podnieść oczy na Wałęsę: „moje bożyszcze". Popadła bowiem w stan czystego uwielbienia:

> Kiblując całymi dniami w sekretariacie, ocierałam się o jego małostki. Wpychałam je w dno podświadomości. Był dla mnie nadczłowiekiem, do którego nie śmiałam się zbliżyć. Sekretarka Bożenka Rybicka mówiła: „No teraz, teraz proszę", gdy wychodził z kościoła. A ja nic. Mogłam mieć tony wywiadów, zdobyłam się na kilka.

W 2006 roku wyszła książka wspomnieniowa Ewy Berberyusz *Moja teczka*, którą ktoś bardzo trafnie nazwał „wyznaniem autobiograficznym". Jest to momentami bardzo intymne, odważne rozliczenie się z życiem osobistym i zawodowym. (Dla wyjaśnienia – wbrew tytułowi nie jest to książka o teczkach z półek IPN-u). W owym wyznaniu autorka sporo miejsca poświęca swojej nieśmiałości oraz niezrozumiałemu poczuciu winy i niskiej wartości. „Przejmujące samobiczowanie, ale – żeby było jasne – nie tani ekshibicjonizm" – napisał Waldemar Kumór w recenzji dla „Gazety Wyborczej".

Zwierza się, że ludzi interesujących podpatrywała. („Berbero!" mawiał do niej Miron Białoszewski i dedykował jej w latach siedemdziesiątych swoje wiersze). Korcili ją, ale traciła przy nich kontenans. Na kolegiach redakcyjnych zacukiwała się i czuła, że zebrani przestają słuchać.

> Głos mi wiądł, niezauważany przez nikogo. Zjechałam do kategorii „nobodych". Nie relacjonowano moich tekstów, bo ich nie czytano, z góry zakładając ich mierność. Po redakcjach pętają się takie szare myszy. […] Ważni koledzy mówili w mojej obecności o mnie w trzeciej osobie: „Ale wiesz, dziwne, na mieście podobają się jej reportaże…". O, jakże chciałam, żeby na mieście się nie podobały, ale żeby im się podobały!

Warszawianka. Przodek ojca nazywał się Barberius i przybył do Krakowa w świcie Henryka Walezego w 1574 roku. Dostał ziemię na Żmudzi, przyjął herb Pobóg. Brała udział w powstaniu warszawskim. Skończyła Wydział Filologiczny Uniwersytetu Warszawskiego (1952), najpierw była korektorką, tłumaczką, przez sześć lat stewardesą w Skandynawskich Liniach Lotniczych SAS. W 1965 roku wydała bardzo poczytną książkę *Wychodne dla Ewy*, której bohaterka (alter ego autorki?) pracuje jako służąca w pewnym paryskim domu. W 1962 roku związała się z warszawską „Kulturą". Jednym z jej głośnych tekstów był materiał o porodzie – opierając się na własnych doświadczeniach ze szpitala, napisała reportaż *Kto każe kobiecie cierpieć*. Redakcję zalała fala listów od kobiet, w większości anonimowych. Okazało się, że czytelniczki bardzo potrzebowały jej wyznania. Obowiązywał wtedy silny model kobiety, która nie obnosi się z cierpieniem. A ktoś w końcu napisał, że rodzić można by bez bólu.

„Kulturę" opuściła latem 1981 roku dla „Tygodnika Powszechnego". Ponieważ „Tygodnik" był jednym z pierwszych pism, które dostały zgodę na wydawanie w stanie wojennym, pracowała tam nieprzerwanie do 1990 roku. Istnieje anegdota, jak to ówczesny naczelny „Tygodnika" Krzysztof Kozłowski rozmawiał raz z cenzurą – a było to jedyne pismo, które zaznaczało ingerencje cenzorskie. „Nudny numer – usłyszał od cenzora – nie ma co skreślać, nie było Berberyusz".

Za czasów PRL-u krążyła w Maisons-Laffitte koło furtki siedziby paryskiej „Kultury", myśląc: „No i co ja powiem? Jak na mnie spojrzą? Pomyślą »wtyka«", i nie weszła. Korespondentką redakcji z Polski została dopiero po 1990 roku, pisała *Kartki ze skażonej strefy*, równocześnie też drukowała swoje teksty w „Gazecie Wyborczej". Ze znajomości z Jerzym Giedroyciem powstała jej książka *Książę z Maisons-Laffitte* (1995).

Polska deptana to tytuł rozdziału w *Mojej teczce*, który opowiada o jej reporterskiej pasji: pielgrzymkach do Częstochowy. Relacje z pierwszej opublikowała w „Kontrastach", a potem w „Tygodniku Powszechnym". Przeprowadziła też serię rozmów z pielgrzymami, którzy zjeżdżali na mszę z Janem Pawłem II w Częstochowie, podczas jego drugiej wizyty w kraju w roku 1983. Wyszły pod tytułem *Papież Polaków* (1984) w wydawnictwie Michalineum. Ta niewielka objętościowo, ale głęboka książeczka dzięki prostym pytaniom Ewy Berberyusz jest świetnym studium polskiego katolicyzmu.

– Dlaczego my przy nim płaczemy – pyta reporterka.

– Myślę, że bardzo mi odsłania Pana Boga swoją osobą i że ten płacz też jest tym spowodowany, że człowiek czuje Boga przy nim blisko.

Powrót taty

Ani we łzach, ani w trwodze. Mama jest pogodna, nad wyraz trzeźwa, rzeczowa, energiczna i nikogo się nie boi.

– No co, zabiera pani od nas męża? – zagadnął kiedyś strażnik na koniec wizyty.

A ona:

– Dałbyś pan ten pistolet i krótkofalówkę, a już bym go wzięła.

Bać się, nie boi, czego? Zbójców? Umie z nimi rozmawiać; ot ludzie i nie „żadne państwo" – dwie pęknięte części tej samej całości...

Wszyscy chcą dla niej na gwałt coś zrobić, z różnych pobudek: ze społecznego obowiązku, z potrzeby ducha, z hołdu dla symbolu, po starej przyjaźni, z lojalności, a bywa, że i dla własnego prestiżu – w końcu i to jest ludzkie.

Mało kto się zastanawia nad nią jako nad osobą. A niełatwo być żoną taty. Bo jak się w tym wszystkim rozeznać, jaką twarz przybrać? Jak odpowiedzieć sobie, czy to nagłe wyniesienie jest aktem solidarności ludzkiej, czy należną jej od tych ludzi powinnością? A co począć ze wścibstwem, z tym tłumem zagranicznych dziennikarzy, z natręctwem, z zawiścią? Radość ze stanu posiadania – a któż, kto długo był w niedostatku, jej nie odczuje?! – mąci więc zażenowanie, pokrywane energią i pewnością siebie. Oczekuje rad i broni się przed nimi, czujna, bacząca na słowa wbrew właściwej sobie naturalności, otwarta i kryjąca uczucia zarazem.

Gdy patrzę na nią, jak się krząta, otwiera drzwi, przyjmuje telefony, odpowiada na pytania, w stosunkach z ludźmi nie mogąc zdecydować się ani na szorstkość, ani na łagodność, zawsze bardzo dzielna, a gdzieś w głębi coraz bardziej nieufna i okropnie samotna bez męża i jego decyzji – robi mi się jej żal: życie, wtłaczając ją w rolę „pierwszej damy", nie oddało jej dobrej przysługi.

Istnieje wszakże dziedzina, w której mama jest absolutnie suwerenna; gdzie nie doznaje wahań ani rozterki, gdzie nie grozi jej żadne psychiczne ubezwłasnowolnienie – dziedziną tą są dzieci. Na tym gruncie panuje wewnętrzny spokój – choć często z paskiem w ręku! – a decyzje zapadają spontanicznie i nieodwołalnie, niezależnie od jakichkolwiek nacisków. Jak choćby ta, że starsi chłopcy nie wezmą udziału w uroczystej mszy świętej za ojca, który 29 września kończy trzydzieści dziewięć lat. Dlaczego? To proste:

– Już i tak im trochę „odbija". Każdy lubi być uważany, ale dla dzieci to niedobrze.

Ona co innego, musi, choć zamiast odbierać hołd, siadłaby chętniej gdzieś w ławkach między kobietami; jak modlić się, to w ciszy...

Więc „dziatki" nie pójdą „za miasto, pod słup, na wzgórek...". Zostaną w domu.

Dom jest ogromny. W bloku, ale złożony z trzech mieszkań, w których kiedyś było biuro. Gdy w swoim czasie stanęła sprawa nowego mieszkania – nie mieścili się w ósemkę w M-3 – tata zapytał u siebie, czy powinien przyjąć oferowany przydział, otrzymał zgodę i tak się tu znaleźli.

Długo mieszkali w pustych przestrzeniach, meblując się stopniowo, koledzy taty malowali pokoje, instalowali półki, mama dobierała kolory, rozdzielała, gdzie kto ma być ulokowany: ale oto wszystko gotowe. Sześć pomieszczeń i ogromna kuchnia, w której ogniskuje się życie.

Przy długim stole zawsze coś się dzieje: Ania przewraca szklankę z herbatą („A nie mówiłam!"); Przemek („Siemka", „Siemuszka" w języku mamy) ustawia plastykową menażerię, którą z cierpliwą namiętnością demolują mu inne dzieci; Magda („księżniczka moja niedobra", jak mawiał tata) przegląda pamiątkowy album („Tylko nie zabrudź!"), całując podobiznę ojca i powtarzając z konspiracyjnym uśmieszkiem: „Otworzyć Lecha..."; pod nią w „chodziku", popiskuje ośmiomiesięczna Wiktoria („Jaka tam Wiktoria? Misia!"), a w rogu mama, utrzymując względną stabilność tego potwornego tygla, dyktuje kuzynce odpowiedzi do szkolnej ankiety Jarka, który właśnie idzie do zerówki.

– Charakterystyka dziecka – czyta głośno kuzynka.

– Indywidualista, samotnik.

– Ulubione zabawki

– Resorówki! – krzyczy spod stołu zainteresowany, a mama korygując, mówi do kuzynki: – Pisz: „pojazdy zmechanizowane".

Gdy dochodzi do punktu: „Sygnały dotyczące trudności wychowawczych" – odpowiada bez wahania:

– Brak.

„Szalona", powie każdy, kto choć przez pięć minut doświadczy przebywania w domu, kiedy dzieci są w nim *in corpore*, mnie jednak – paradoksalnie – gdy siedzę przy stole, chroniąc szklankę z kawą, omiatana dzikimi harcami, przychodzi na myśl smutek jedynaków i nie muszę pytać, bo wiem, że dla niej ten trud zwielokrotnionego macierzyństwa jest nie tylko źródłem radości, ale i tym, co zapewnia jej wewnętrzny spokój, a w kolejach losu pozwala utrzymać tożsamość i równowagę.

Tutaj, blisko domu, nie funkcjonuje legenda, słyszana w dalszych stronach o adopcji dwójki sierot po poległym w roku 1970 koledze. Jest po prostu za blisko, żeby zmieniać fakty. Są chrzestni i świadkowie.

Dzieci jest siódemka w odstępach równo dwuletnich. Jedno w drugie – dorodne, inteligentne, bez kompleksów, nie mazgaje, nie smutasy; o takich dzieciach mówi się: udane.

Najstarszy Bogdan, lat dwanaście. Z urody wdał się w rodzinę ojca po mieczu (bo sam tata podobny jest do swojej matki). Bogdan jest smukły, w rysach raczej z gór niż z kartoflisk – no, „pańskie dziecko". Poważny, uśmiech na twarzy rzadko, a jeżeli już, to jakby z góry, z dystansu: patrząc, jak Przemek z Jarkiem biją się o plastykowego niedźwiadka z miodem, mówi:

– Na samo słowo „miód" niedobrze mi się robi.

Bo Bogdan ma swoje smaki, lubi sam sobie pitrasić, umie ugotować zupę nic i usmażyć jajka; dba, żeby nie spadać w szkole poniżej średniej, a do poduszki słucha kaset z Pietrzakiem.

Gdy przyjaciele, zniżając głos, oznajmiają, że chcieliby porozmawiać o jednym z dzieci, mama wie, że chodzi o Sławka, lat dziesięć. Sławek jest w rodzinie „ten trudny"; dość skutecznie wymiguje się od pochylenia nad książką. Jeżeli istnieją dzieci, którym nie służy wychowanie w gromadzie rodzeństwa, należy do nich Sławek – na pewno najwrażliwszy ze wszystkich. Nad nim najczęściej pochyla się mama z serdecznością lub ze wzniesionym pasem: „Bo zabiję...", „O rany, daj trochę pożyć...". Sławek ma dowcip, dobre serce i – choć pytanie o ojca nie przechodzi mi przez gardło – chyba jemu najbardziej go brakuje.

Mama mówi, że dawniej chłopcy pytali od progu: „Tata jest?". Gdy był, choćby o kilka ulic dalej, „u siebie", następowało uspokojenie i dzień przebiegał normalnie.

Ja pamiętam taki dialog:

– Udziela się pan dzieciom?

– Nie istnieję dla nich.

– Wyrzuty sumienia?

– Oj, jakie!

I zaraz tłumaczenie, że przecież jego aktywność nie potrwa, istnieją reguły statutowe, więc potem rzuci się z równą siłą „w ten front domowy" i nadrobi braki. Tak niedawno, a jakby wiek!

Po Sławku idzie ośmioletni Przemek. Obowiązkowy, z domu wszystko by wyniósł i rozdał, ale ze starszymi braćmi w konflikcie.

– Nienawidzą się z Bogdanem – mówi mama.

Tu się mówi prosto. Mocne słowa nie są obudowywane łagodzącymi przymiotnikami, nie rozdrabnia się ich znaczenia, dlatego wszystko brzmi jednoznaczniej i uczciwiej.

– Ten pan kłamie? – Pytanie tyczy obrazu w telewizji.

– Tak.

– A ten drugi?

– Też.

– A czy oni wiedzą, że kłamią?

Cisza. Aż dźwięczy. Moment refleksji tak, zdawałoby się, nieprawdopodobny w tym rozhukaniu, w tej gromadzie nastawionej na żywioł i ruch fizyczny.

Za Przemkiem następuje Jarek („indywidualista samotnik").

– Od małego usiadł w kątku i bawił się sam; chce, żeby tylko jego pieścić; z twarzy – tata, z usposobienia dziewczynka.

Dziewczynki są trzy. Niebieskookie, jasnowłose, wygadane, rozgarnięte nad wiek i pięknie ubrane – sam wdzięk. O takich dzieciach, jak Magda, Ania i Wiktoria zwykło się mówić zwodniczo, że dadzą sobie radę w życiu.

Na wakacjach byli u taty. Łazili po drzewach, bo są tam świetne drzewa do włażenia, tata też trochę właził, ale panowie mówili: „Lepiej pan zejdź, bo nogę pan złamie" i radzili tacie, żeby więcej biegał dla zdrowia, bo za mało biega, ale tata powiedział: „Otwórzcie furtkę, to zobaczycie, jak biegam".

Dla mamy wielkim udogodnieniem byłoby, żeby tata był gdzieś bliżej, no i żeby nie był sam. Bo choć ma telewizor, pierwszy program w radio i „Żołnierza Wolności", to nie to samo co koledzy – a wielu zgodziłoby się towarzyszyć mu dobrowolnie. Trzyma się świetnie, wysypia się (zawsze lubił spać); prosił o *Zapiski* prymasa Wyszyńskiego. „Czy też ludzie o tobie tak będą pamiętać?", zastanawia się mama. „A niech nie pamiętają, czy to takie ważne?", odpowiada.

– No i co zamyślacie dalej? – pytam.

– Mamy takie swoje ciche rozmowy, ale to tajemnica...

Na powrót taty kupuje się do domu regał. Czterosegmentowy, dębowy, masywny. W Domu Rzemiosła są dwa, a klientów troje, ale marynarz, który jest pierwszy, odstępuje swój. Regał więc stanie w największym pokoju – zaraz z drzwi, gdzie zawsze siedzieli ludzie u taty – włoży się tam wszystkie jego szpargały, pozamyka, dojdą fotele, wersalka, zasłony pod kolor ścian (jasnopomarańczowy) i będzie czekał.

Jak długo? Mama rozkłada ręce i pyta:

– Może pani wie, kiedy wojna się skończy?

Czekała na 22 lipca, na 15 sierpnia, na 29 września – urodziny taty – już nie czeka, wiadomo, nie przyjedzie, ale w dniu tym nie będzie sam, bo „dopuścili Stacha"– tego brata z Bydgoszczy, co podobni są ze sobą jak sobowtóry.

– Jak raz tu ze mną Stach zajechał – mówi – sąsiadka z płaczem się rzuciła: „Boże, pan wrócił!", aż uciekłam na górę, bo nie mogłam tego znieść...

Wizytę Stacha mama załatwiła sama i bardzo jest z tego dumna. Dla siebie nie poprosi, ale dla brata taty poprosiła:

– Tak typowo prośbowo podeszłam.

I załatwili od ręki.

W dniu urodzin od rana w domu dzwonki, wnoszą kwiaty. Pierwszy wiecheć wnosi Sławek.

– Wyłudziłeś od kwiaciarki?!

– Jakie „wyłudziłeś", sama dała, jeszcze za mną wołała.

Potem od windziarzy z osiedla, potem od wielkich zakładów.

– Zeszłego roku była cała wanna kwiatów, na kościół dałam – mówi mama.

No, ale to było zeszłego roku...

– Czy chciałaby pani odwrócić czas do jeszcze dawniejszych lat?

– Czy chciałabym? Musiałabym się zastanowić – mówi uczciwie. – Nie byłoby tego wszystkiego. – Spojrzenie dokoła. – Ale on by był. On by tu wszystko robił zamiast tych ludzi. Czy potrafiłby? On wszystko potrafi. Jak szłam rodzić Magdę, został sam z czwórką chłopców; pomieszał w pralce białe z kolorami, zaszło na niebiesko... – I mama zamyśla się, co jest u niej rzadkie.

Chodzili z sobą rok. On też nie chciał od razu do ołtarza, traktował ją poważnie, nie jak te pierwsze miłości. Przyszedł do kwiaciarni zmieniać pieniądze, nie, kwiatów nie kupował, i tak się poznali: w kwiaciarni Orchidea, gdzie pracowała. Przez miesiąc codziennie obowiązkowo do kina, aż nudno było, ale się chodziło. Odprowadzał ją potem, blisko miał, z brzegu mieszkał, na pokoju ze stoczni, a ona na pokoju u kuzynki. Po pracy – on wcześnie zaczynał i wcześnie kończył – lubił się zdrzemnąć, od młodu to miał, że lubił spać, potem zachodził po nią. Mówił tak: „Mężczyzna najpierw zakochuje się w matce, potem w innej kobiecie". Bardzo był za matką i ona też najbardziej jego kochała, może dlatego że to dziecko urodziło się w wielkiej nędzy, w wojnę, jak ojca wzięli do Niemiec na robotę; wrócił potem, ale zaraz umarł, płuca miał odbite...

Dzwonek do drzwi i kolejny bukiet. Największy z największych zakładów, z delegacją, ze łzami, z *Konradem Wallenrodem* w ozdobnej szacie („Będzie dla dzieci na lekturę szkolną"), z laurką, w której wyrazy otuchy i zapewnień wykaligrafowane są pięknie i sygnowane wielkim słowem „ZAŁOGA".

– A gdzie podpisy? – pytam

– Trzeba mieć nadzieję – odpowiada. – Robotnicy coś wymyślą.

Ewa Berberyusz, *Pierwsze wejście*, Warszawa: Niezależna Oficyna Wydawnicza, 1984, s. 77–81

1983

Zbigniew Święch (ur. 1943)

Pisać dla króla

Nie pojawił się dotąd w żadnej antologii polskiego reportażu, choć powinien, bo jego misja reporterska jest imponująca. Pewnie – zdaniem wielu redaktorów – nie zajmował się sprawami najistotniejszymi dla Polski ani świata, choć temat jego życia jest tematem jak najbardziej światowym i godnym pozazdroszczenia. I do tego potrzebnym Polsce.

Miałem szesnaście lat i czytałem Święcha z wypiekami na twarzy – w „Literaturze", kiedy pismo jako jedno z pierwszych wznowiono w stanie wojennym. Już nie było tygodnikiem z rewelacyjną grupą reporterów, takich jak Dziewanowski, Jagiełło, Karaś, Kąkolewski, Szejnert, tylko miesięcznikiem poświęconym niemal wyłącznie literaturze, wciąż z tym samym naczelnym – wiernym wyznawcą komunizmu pisarzem Jerzym Putramentem. I ta nowa „Literatura" roku 1982 była dla mnie, czytelnika w małym mieście, bardzo pociągająca: miała nowoczesną typografię, zaskakujące okładki i drukowała w odcinkach książki, które w tych przaśnych, smutnych czasach zapierały dech w piersiach. Najpierw światowe bestsellery literatury faktu: *My, dzieci z dworca zoo* Christiane F. oraz świeżo wydaną w Ameryce w roku 1981 biografię Presleya – *Elvis* Alberta Goldmana. A potem, w 1983 roku, polską rewelację – *Klątwy, mikroby, uczeni* Zbigniewa Święcha.

Książce narkomanki Christiane F. polska *non-fiction* Święcha nie ustępowała sensacyjnością, a solidnemu, choć złośliwemu biografowi Presleya – ogromem zebranego materiału i pracowitością naszego autora.

„Dlaczego i po co piszę tę książkę?" – pytał sam siebie we wstępie do pierwszego wydania z 1989 roku („Literatura" w 1983 roku drukowała fragmenty, które prezentujemy w antologii).

> Wielokrotnie na Wawelu badano i porządkowano groby królów, ale nigdy wcześniej coś takiego się nie wydarzyło... Od wiosny 1974 roku wiele osób z kręgu badaczy grobu Kazimierza Jagiellończyka zmarło gwałtowną śmiercią – na zawał serca i wylew krwi. W ciągu dziesięciu lat ofiar „klątwy Jagiellończyka" było piętnaście! Co najdziwniejsze, umierali ludzie zdrowi, w średnim wieku, ci, którzy byli najbliżej zawartości grobowca. [...] Ta historia jako żywo kojarzy się z „klątwą Tutenchamona", a to przecież jedna z największych tajemnic xx wieku, która bulwersuje umysły od czasów otwarcia grobu faraona przez Howarda Cartera w 1922 roku. Chodzi oczywiście również o serię tajemniczych, nagłych śmierci badaczy grobowca egipskiego władcy. [...]

> Od wielu lat zbieram materiały do swej książki. Odwiedziłem między innymi Dolinę Królów w Górnym Egipcie i grób Tutenchamona, muzea i biblioteki Paryża, Londynu, wielokrotnie Rzymu i czterokrotnie Nowego Jorku. Oczywiście wcześniej poszukiwałem różnorakich źródeł i dokumentów w Polsce. Współpracuję z wybitnymi uczonymi nad rozwiązaniem tej zagadki [...].

Zbigniew Święch swój pierwszy reportaż napisał ze zdenerwowania. W 1962 roku, kiedy miał dziewiętnaście lat.

> Napisałem o podopiecznych Państwowego Zakładu Wychowawczego dla Dzieci Niewidomych przy ulicy Józefińskiej w Krakowie. Wparowałem do redakcji prosto z ulicy i położyłem tekst na biurku któregoś z ważnych redaktorów. Zdobyłem się na taką odwagę, bo dosłownie wkurzyły mnie warunki, w jakich te maluchy muszą egzystować.

Nie wierzył, że tekst wydrukują, więc zdziwił się, kiedy kolega z akademika (Święch studiował polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim) pokazał mu świeży numer „Dziennika" i wypalił nie bez zazdrości: „No, stary, nie wiedziałem, że jesteś dziennikarzem!".

Związany z Krakowem Święch drukował głównie w „Przekroju" i „Krakowie", ale także w „Polityce" i „Życiu Warszawy". Skończył też studia reżyserskie i robił reportaże telewizyjne, ma na koncie filmy dokumentalne oraz dziewięć książek z dziedziny reporterskiego śledztwa historycznego.

Szybko nazwano go reporterem wawelskim.

Kiedy wydrukował w „Literaturze" pierwsze trzy rozdziały *Klątw...*, korespondenci zagraniczni napisali, że polski autor jest na tropie wyjaśnienia wielkiego sekretu „klątwy faraona", w myśl której niezwłocznie rozstanie się z tym światem każdy, kto ośmieli się zakłócić spokój zmarłego. Filmowcy z RFN we współpracy z UNESCO nakręcili o tej sprawie film.

> Trudno się dziwić – pisze Święch – poza Górnym Egiptem i Wawelem podobna historia nigdzie się nie zdarzyła.

Klątwy, mikroby, uczeni to horror medyczny – jak mówi żona reportera i jego wydawczyni Roma Habowska.

> Z jak najbardziej realnym mordercą w roli głównej, a mianowicie grzybem z rodzaju kropidlaków o nazwie *Aspergillus flavus*. Dziś już wiemy, że powoduje on udary, zawały i co najmniej kilkanaście rodzajów nowotworów. Po pięciu wiekach drzemki w królewskiej trumnie zabójca się uaktywnił.

Zbigniew Święch uważał, że praca nad tą książką (która rozrosła się potem do trzech tomów) otworzy czytelnikom oczy na wielkie i bagatelizowane niebezpieczeństwo. Kropidlak żółty znaleziony w grobowcu występuje bowiem powszechnie, grobowiec był tylko „szczególnym przypadkiem ekologicznym".

Klątwy... konsultowali specjaliści z siedmiu dziedzin nauki. Autor podkreślał: „wszystko, co praca ta zawiera, ma wartość wielokrotnie sprawdzanego d o k u m e n t u". Prawdopodobnie przypominał o tym dlatego, że wielu traktowało „wawelską zarazę" jako humbug, a tajemnicze śmierci jako rzecz przypadku, do którego dorabia się niewiarygodne przyczyny.

Pierwszy tom cyklu rozpoczętego *Klątwami...* kończy się opisem ponownego pogrzebu Kazimierza Jagiellończyka i jego żony Elżbiety Rakuszanki, który odbył się na Wawelu 18 października 1973 roku. Przy powtórnym pochówku bodaj najwybitniejszego naszego monarchy i jego żony, zwanej matką królów, nie grały werble. Nie było władz państwowych, ani nawet prezydenta Krakowa. Pochował ich Kościół (przemawiał prymas Wyszyński), a władze świeckie reprezentował... prawnuk królowej Otto von Habsburg (rocznik 1912), który przyjechał z RFN. Poza prasą katolicką nigdzie nie pojawiły się choćby wzmianki o tym wydarzeniu. Prawdopodobnie ekipa Gierka chciała znieważyć hierarchię kościelną z Wyszyńskim i Wojtyłą na czele, którzy zaangażowali się w ekshumację i pogrzeb królewskiej pary. Zbigniew Święch uważa, że po 1978 roku, czyli po wybraniu Wojtyły na papieża, rzecz wyglądałaby zupełnie inaczej.

Dlatego też reporter zamieszcza na końcu swojej książki list do króla:

> Gdyby Cię, o Królu, Najmiłościwszy Panie, wyjęto z grobowca, powiedzmy, siedem lat później...! Mój Boże... Cała Europa i reszta świata wysłałaby do Polski wybitnych przedstawicieli bądź koronowane głowy (wywodzące się wszakoż po kądzieli od Twej małżonki, która w przebogatej Austrii w czas dzieciństwa głodowała i krzywicy się nabawiła [...]). Byłeś wspaniały, choć niepiśmienny, mówiłeś przeważnie po białorusku, mądrze rządziłeś, pośrednio tworząc klimat nadejścia renesansu. Gdyby Cię powtórnie grzebano w 1981 roku, wtedy cały naród z władzą pod rękę szedłby w kondukcie, tak jak szedł w orszaku za trumną prymasa Wyszyńskiego [...].

Co do zagadkowych śmierci reporter pisze:

> Ty najlepiej wiesz, iż sensacyjność wydarzeń przyczynia się do rozsławienia Wawelu, Krakowa i państwa Twego. Ci, którzy odeszli, nie zmarli na próżno.

Reporter obiecuje królowi, że napisze książkę o nim i jego czasach. Co też uczynił.

Cień klątw nad wawelskim wzgórzem

Król Kazimierz Jagiellończyk mści się za otwarcie jego grobu!
Ta wiadomość, ukrywana dotychczas w kręgach pracowników Wawelu, wiosną 1975 roku spłynęła z wawelskiego wzgórza i stugębną plotką obiegła Kraków.

Na przełomie lat 1972/1973 i w ciągu wielu miesięcy roku 1973, podczas prac remontowych i konserwatorskich w kaplicy Świętokrzyskiej, otwarto grób wielkiego władcy Kazimierza Jagiellończyka, a wcześniej jego żony Elżbiety Rakuszanki. Badaniom i robotom zabezpieczającym w grobach i ich otoczeniu przez cały czas towarzyszyły liczne i cenne odkrycia naukowe. Także sekrety, przesądy i przestrogi przed klątwą, grożącą zwolennikom, jak i przeciwnikom decyzji o otwieraniu grobów. Zabobonny strach zajrzał w oczy uczestnikom i świadkom tego wielkiego wydarzenia, gdy niebawem dziać się poczęły dziwne rzeczy: nastąpiła seria nagłych, zgoła tajemniczych śmierci. W pełni sił, w średnim wieku zmarli najpierw czterej świadkowie: Feliks Dańczak (12 kwietnia 1974 roku), doktor inżynier Stefan Walczy (28 czerwca tegoż roku), sześć tygodni po nim inżynier Kazimierz Hurlak (6 sierpnia), a wiosną 1975 roku inżynier Jan Myrlak (17 maja).

Na Wawelu i wokół niego zawrzało. Ludzie nie ukrywali lęku: czyżby miała się powtórzyć historia identyczna jak w przypadku „klątwy Tutenchamona", która zbulwersowała świat w latach dwudziestych i trzydziestych naszego wieku?

Jedni gotowi byli przysiąc, że istnieje średniowieczny dokument, zabraniający otwierania kiedykolwiek grobu akurat tego monarchy, grożący klątwą każdemu, kto ośmieli się zakłócić wieczny sen władcy Rzeczpospolitej Obojga, a ściślej biorąc, Trojga Narodów. Powoływali się przy tym na inne, sprawdzone przez doświadczenie przypadki: pamiętacie, jak przestrzegał przed wiekami Andrzej Bobola, żeby go nie sprowadzać do Polski, bo wraz z eksportacją szczątków spadną na ojczyznę nieszczęścia? I co? Nie posłuchano tych przestróg. Po kanonizacji w 1938 roku przywieziono Bobolę do Warszawy. Długo trzeba było czekać na rezultaty...? A wielki wódz azjatycki Tamerlan nie zabronił otwierania swego grobu, podobnie przestrzegając? A wiecie, kiedy archeolodzy otworzyli miejsce jego pochówku w Samarkandzie? Dokładnie wieczorem 21 czerwca 1941 roku, gdy rozkaz realizacji planu „Barbarossa" został już przez Hitlera podpisany...

Ci, którzy nawet łaciński dokument „widzieli", powoływali się na autorytet najwybitniejszego znawcy dziejów wawelskiej świątyni, sędziwego księdza prałata Kazimierza Figlewicza, który jakoby nawet miał – według ich słów – przestrzegać ówczesnego gospodarza katedry kardynała Karola Wojtyłę przed podjęciem decyzji otwarcia grobu Kazimierza Jagiellończyka.

Poprosiłem więc o rozmowę księdza Figlewicza. Zaprosił mnie do okazałej zakrystii katedralnej, pełnej zabytków przeszłości. Nie tylko zdementował pogłoskę o istnieniu jakowegoś dokumentu zabraniającego otwierania tego grobu, ale wręcz podkreślił, że usilnie prosił i namawiał kardynała Wojtyłę, by skorzystać z okazji remontu mauzoleum pary królewskiej i uporządkować jej szczątki, jak to przecież wielokrotnie w katedrze czyniono z innymi monarszymi grobami. [...]

Przy końcu rozmowy ksiądz prałat Kazimierz Figlewicz, światły świadek wydarzeń w katedrze w całym naszym XX wieku, dorzuca fakt, który śmiało można włączyć do łańcucha niezwykłości:

– Od niepamiętnych lat w katedrze wawelskiej uroczyście celebrowano wielkanocną rezurekcję. Przed wojną zawsze w tym nabożeństwie brała nawet udział asysta honorowa naszego wojska. Księża mansjonarze pilnowali, żeby wszystko szło wedle założonego planu i porządku. Zawsze w pewnej chwili odzywał się dzwon Zygmunta, potem śpiewano *Te Deum laudamus,* potem Zygmunt bił po raz drugi. Proszę sobie wyobrazić, że w kwietniu 1939 roku stało się tak – a nikt nie umiał wytłumaczyć dlaczego – że dzwon Zygmuntowy odezwał się raz, nie odśpiewano *Te Deum,* a potem dzwon już nie bił... Wzięto to za zły znak, parę miesięcy później najgorsze potwierdziło się – z gorzkim uśmiechem dodaje ksiądz prałat. A po chwili dorzuca: – Pamiętam to dobrze. Niestety, to nie wymyślona historyjka.

Trudno nie dowierzać człowiekowi, którego papież Jan Paweł II uważa za swego duchowego ojca.

Klątwa nakłada się na klątwę – uświadomiła mi to rozmowa z wdową po Feliksie Danutą Dańczakową. Przyszedłem do jej domu, by z najbardziej wiarygodnego źródła uzyskać informacje, które pozwoliłyby mi naszkicować bodaj skrótowo sylwetkę jej zmarłego małżonka.

Gdy już zapisałem w notesie najważniejsze fakty z jego – i ich dwojga zarazem – zawodowej biografii, gdy bardzo niezręcznie przychodziło zapytać o pierwszego z czarnej serii „klątwy Jagiellończyka", w pewnej chwili rzecze pani Dańczakowa:

– Nie wiem, czy pan wie, że na Wawelu w związku ze śmiercią męża i jego kolegów mówiło się o tajemniczej klątwie.

– Coś tam słyszałem, ale trudno dawać wiarę – bąknąłem cicho w oczekiwaniu, że oto usłyszę nową wersję zdarzeń.

– Mąż pracował wtedy już od 1971 roku nad realizacją modelu wzgórza wawelskiego z około 1800 roku, a więc nad rekonstrukcją jego wyglądu przy końcu XVIII wieku. Nie wiadomo dlaczego, ale mówiło się, że ci, którzy nad tym ślęczą, nie skończą swej pracy. Mocno w tę robotę zaangażowani byli zwłaszcza dwaj architekci: doktor inżynier Stefan Walczy i inżynier Kazimierz Hurlak. Jak pan wie, wszyscy trzej zmarli, jeden po drugim, w krótkich odstępach czasu. Do dziś nikt nie podjął ich niedokończonego dzieła.

Wtedy zapytałem wprost, czy coś wie o innej klątwie. Potwierdziła z zastrzeżeniem:

– Ale Feliksa nie było przecież przy otwieraniu grobu Kazimierza Jagiellończyka.

– Z relacji innych wiem jednak – powiedziałem – że tam później przychodził. Przecież kto żyw był zaciekawiony tym otwartym grobem.

I nawet trudno się dziwić. Otwarcie grobu królewskiego, a zwłaszcza jednego z najpotężniejszych władców Polski, to magnes nielichy. Wielu umiało pokonać w sobie nawet zabobonny strach.

Po raz pierwszy zaglądnięto do wnętrza grobu królewskiego 13 kwietnia 1973 roku i było to na dodatek w piątek – ten fakt ujawniam po raz pierwszy, z udostępnionego tylko mnie, ręcznie pisanego diariusza głównego archeologa wawelskiego Stanisława Kozieła. Albowiem jako współczesny „dziejopis wawelski" właśnie ze Staszkiem dzielę komnatę w baszcie Złodziejskiej. Gdy dowiedział się, że piszę tę wawelską opowieść, zdecydował się na dorzucenie faktów, których nigdzie nie znajdziecie, w żadnych protokołach ani innych oficjalnych dokumentach.

Pod ową feralną, trzynastopiątkową datą Kozieł pisze: „W myśl poprzednich ustaleń i decyzji profesorów Jerzego Szablowskiego i Alfreda Majewskiego wykonano poziomy otwór o średnicy 2 centymetrów usytuowany w południowej ścianie krypty króla Korybuta Wiśniowieckiego. Stwierdzono, że ogólna grubość muru krypty Wiśniowieckiego i grobowca Kazimierza Jagiellończyka wynosi 90 centymetrów. Dowierciliśmy się do wnętrza komory grobowej Kazimierza Jagiellończyka".

– Gdy tylko ów świder po przewierceniu dziewięćdziesięciu centymetrów trafił w pustkę – opowiada mi Stanisław Kozieł – doszliśmy do wniosku, że jest to właśnie komora grobowa króla. Natychmiast jednak wyłonił się nowy problem: przecież wywiercony otwór miał aż dziewięćdziesiąt centymetrów

długości i raptem dwa centymetry średnicy. Nie udało się nam więc zobaczyć, co jest w środku. Wszyscy byli trochę zawiedzeni. Jednak inżynier Jan Myrlak – ówczesny kierownik Działu Budowy na Wawelu i wielki entuzjasta tych badań, ten sam, który nam przysłał wcześniej dwóch robotników ze świdrem, kamieniarza Władysława Brożka i mistrza Jana Mazura – nie tracił humoru i obiecał skonstruować stosowną lampę. Na drugi dzień pojawił się zdyszany, z długim prętem, cienkim, z przytwierdzoną żaróweczką podłączoną kablem do płaskiej baterii od latarki. Wziernikujemy zatem. Wynalazcy tego „kociego oczka" należało się pierwszeństwo, po nim kolejno zaglądamy do grobowca. I znów rozczarowanie: przez tak długi otwór o małej średnicy widać mniej niż przez dziurkę od klucza. Mała żaróweczka, słaba na dodatek, skąpo oświetlała niewielki wycinek wnętrza grobu i wydobywała z mroku jakieś tajemnicze cienie i coś z drewna. Wziernikowanie powtarzaliśmy kilkakrotnie, doskonaląc technikę posługiwania się lampą, lecz bez większych rezultatów poznawczych. Kierujący pracami profesorowie Jerzy Szablowski i Alfred Majewski zadecydowali, by odkuć jeden z kamiennych ciosów w ścianie grobu, a następnie usunąć go komisyjnie i przeprowadzić wstępne oględziny wnętrza. [...]

– Ta długo oczekiwana chwila nadeszła rankiem 7 maja 1973 roku – kontynuuje Stanisław Kozieł. – Poprzedzała ją nerwowość samych oczekiwań i sprzecznych dążeń. Najpierw Stefan Walczy odwodził wszystkich od myśli o otwieraniu grobu; on, zwykle powolny, celebrujący chód i zachowanie, teraz stał się nazbyt ożywiony i wyraźnie niespokojny. Przyniósł książkę Cerama *Bogowie, groby i uczeni*, na głos odczytywał fragmenty o spełnionej „klątwie Tutenchamona". Na korytarzach opowiadał kolegom o serii ofiar spowodowanej otwarciem grobu egipskiego faraona. [...] W pewnym momencie Walczy zaczął nawet pokpiwać ze swoich niedawnych przeczuć, ale raz powiedział naczelnemu inżynierowi Kierownictwa Odnowienia Wawelu Czesławowi Doboszowi: „Kto pierwszy tam wejdzie, ten pierwszy zejdzie...".

I wszedł jednak pierwszy.

Po nim zaś – Stanisław Kozieł.

– Kiedy przyszła moja kolej – wspomina Staszek – wcisnąłem się głęboko w wykuty wąski otwór. Światło reflektora tworzyło we wnętrzu komory grobowej różne plamy i cienie o przedziwnych kształtach; fragmenty drewna z trumny, przetykane strzępami tkaniny, robiły wrażenie dynamicznego ruchu, który zamarł na moment, wstrzymany niewidzialną ręką. Konstrukcję tej „dekoracji" poznałem za chwilę. Stanowiły ją trzy grube żelazne pręty, osadzone wzdłuż ścian grobowca na wysokości osiemdziesięciu centymetrów od dna. To właśnie na nich spoczywała niegdyś drewniana trumna – po długim czasie

zbutwiała i przełamała się w połowie, opadając na posadzkę. Teraz tylko zagłówek trumny wspierał się nadal na jednym pręcie, a w górze – niczym skrzydło baśniowego smoka – zawisło przekrzywione płaskie wieko trumny, zachowane w całości. Manipulując światłem, rejestrowałem w pamięci nowe szczegóły: pośrodku, ze szczątków trumny rozsypanych na dnie grobowca, wyłaniała się rękojeść miecza, tkwiąca niemal pionowo, a przy niej czaszka patrząca oczodołem spod kawałka deski. Szukałem oczami innych regaliów, złożonych wraz z królem do grobu. Bez rezultatu. Jedno dla mnie nie budziło wątpliwości – przed nami nigdy nie było tu nikogo. Otworzyliśmy grób królewski po bez mała pięciuset latach od pogrzebu monarchy.

„Grobowiec ten usytuowany jest w południowo-zachodnim narożu kaplicy Świętokrzyskiej, bezpośrednio pod sławnym nagrobkiem dłuta Wita Stwosza" – dopisał Stanisław Kozieł dla porządku w swoim pamiętniku eksploracji.

A kaplica Świętokrzyska – dodam mniej zorientowanemu z Czytelników – jest pierwszą po prawej stronie głównego wejścia do królewskiej katedry na Wawelu.

Nie olśnił oczu odkrywców blask bogactw – jak to było w przypadku otwarcia grobu Tutenchamona w Dolinie Królów. Nie ta epoka, nie te zwyczaje. Tu widać było przesadną skromność, a nawet surowość średniowiecza. I – co tu ukrywać – wręcz skąpstwo panów litewskich. Tak wiele mu zawdzięczali, a w ostatnią drogę z Grodna do Krakowa tak ubogo wyposażyli wielkiego księcia litewskiego. Działo się to w roku 1492, a więc tym samym, w którym karawele Kolumba dopływały do brzegów Ameryki. Wraz z zatrzaśnięciem wieka trumny Kazimierza Jagiellończyka zamknął się okres polskiego średniowiecza.

Dlaczego król tak biednie został pochowany? Dlaczego w Krakowie nie zmienili trumny i nie włożyli do niej insygniów grzebalnych? – zastanawiał się, patrząc z rozczarowaniem w otwarty grób królewski, inżynier Czesław Dobosz, który właśnie bezpośrednio pełnił nadzór w zastępstwie profesora Alfreda Majewskiego (był on wówczas generalnym konserwatorem zabytków i rzadziej bywał na Wawelu). Może dlatego że król poważnie chorował przed śmiercią i gdy kondukt, ciągnący od Litwy ponad miesiąc w upałach, dotarł do Krakowa, bano się otworzyć królewską trumnę w strachu przed posianiem zarazy?

Zanim nastąpił ów ważny dzień 19 maja 1973 roku – dzień oficjalnej kardynalskiej decyzji o otwarciu grobu – ekipa techniczna zdążyła skonstruować we wnętrzu kaplicy Świętokrzyskiej drewnianą podłogę i takież stoły robocze do rozłożenia królewskich szczątków i innych znalezisk. Żeby zaś nie zakurzyć

bizantyńsko-ruskich fresków niezwykłej wprost wartości znajdujących się w tej kaplicy zbudowano „namiot", czyli nowy strop z desek nakrytych folią.

Cała akcja badawczo-konserwatorska w kaplicy realizowana była na zlecenie Zarządu Kapituły Katedralnej, którą na co dzień reprezentował administrator bazyliki ksiądz prałat Franciszek Walancik. Postać barwna, pełna rubasznego dowcipu. Ksiądz Walancik, jak przystało na proboszcza najgodniejszej polskiej świątyni, nie tylko punktualnie płacił za wykonane prace, ale także zapraszał zarówno badaczy, jak i robotników na śniadania, a często również kolacje. Całe dnie przesiadywał z badaczami, gdy już robota wewnątrz grobowca i potem obok, na zaimprowizowanych warsztatach, zaczęła się na dobre. Żył tą sprawą. Postacią numer dwa z kręgu duchownych wawelskiej katedry był wtedy ksiądz prałat doktor Stanisław Czartoryski, pełniący nadzór ze strony kapituły. Obaj godzinami nie opuszczali swoistego posterunku, komentując każde odkrycie.

Mistrzowi murarskiemu Janowi Mazurowi koledzy niekiedy dyskretnie zwracali uwagę, żeby – skoro musi regulować krążenie krwi za pomocą „pocieszycielki" – czynił to raczej wieczorem w gościnnych progach „wikarówki" księdza Walancika, bo w obecności majestatu królewskiego – nie przystoi. [...]

Walczy przesiadywał tu długo, wszak kierował pracami. Myrlak nadzorował sprawy budowlane, jego obowiązkiem było bywać jak najczęściej. Hurlak przychodził do przyjaciół, wciągnęła go ta eksploracja bez reszty. [...]

Na co dzień pojawiał się inżynier Leszek Letscher, inspektor nadzoru robót budowlano-konserwatorskich.

– Do grobu zaglądałem czwarty, no, może piąty – powie mi po latach Leszek Letscher. – Gdy w kwietniu 1975 roku znalazłem się z zawałem serca w szpitalu, nigdy wcześniej nie skarżywszy się na zaburzenia krążenia, koledzy skomentowali to jednoznacznie: „Skoro król Kazimierz, podobnie jak Tutenchamon, rzucił klątwę na tych, co do jego grobu zaglądali – uważaj, może to być twoja kolej...". Sam uwierzyłem w tę klątwę i, przestraszony, jak dziecko zacząłem stosować się do wszelkich zaleceń lekarzy, żeby nie zostać ukarany. [...]

Wracajmy zatem do pierwszych, najmocniejszych wrażeń z penetracji krypty królewskiej, opowiedzianych przez wiarygodnego badacza Stanisława Kozieła, któremu 22 maja 1973 roku robocza komisja powierzyła szczególnie zaszczytne kierownictwo całości prac archeologicznych.

– Warunki eksplorowania wnętrza grobowca były bardzo trudne. Niewielka przestrzeń nisko sklepionej krypty była zarzucona resztkami trumny tkwiącymi na różnych poziomach – mówi Stanisław Kozieł – co zmuszało do pracy w pozycji kucznej lub półleżącej. Było bardzo duszno z braku wentylacji.

Do tego dochodziła konieczność wielokrotnego przechodzenia na czworakach przez otwór od sąsiedniej krypty (pustej) króla Korybuta Wiśniowieckiego, a stąd stromymi schodami na poziom kaplicy, z rękami zajętymi pojemnikami z zawartością wypełniska grobowca. Czasami pomagali mi w tym księża prałaci Stanisław Czartoryski i Franciszek Walancik – zawsze obecni, lub inni członkowie naszego zespołu. Ten trud w pełni mi rekompensowała satysfakcja z prowadzonych badań grobu królewskiego. Te badania były okazją wyjątkową. Na coś takiego archeolog może czekać nieraz całe życie. Eksploracje w grobowcu rozpocząłem zatem od usuwania mało charakterystycznych, niewielkich fragmentów drewna, dzięki czemu udało się wyeksponować bardziej okazale zachowane partie trumny, resztki tkaniny z altembasu i przemieszczone kości zmarłego. Co pewien czas przerywałem pracę, a moje miejsce zajmował Stanisław Michta. On właśnie systematycznie sporządzał dokumentację fotograficzną – cóż to za wspaniałe zdjęcia! – rejestrując poszczególne etapy badań.

Moją uwagę od początku zaprzątała myśl – kontynuuje relację Kozieł – jak też wyglądają regalia złożone królowi do grobu. Jak pamiętasz, wstępne spojrzenie było rozczarowujące. Wyjąłem miecz, a ściślej – zachowaną rękojeść zwaną jelcem, tkwiącą przy czaszce zmarłego. Natomiast odkrycie dalszych precjozów było niemałym zaskoczeniem, gdyż pozostawało w jaskrawej sprzeczności z sugestiami płynącymi z rzeźby nagrobnej króla Kazimierza Jagiellończyka, przedstawiającej tego władcę w całej okazałości monarszego przepychu, z klejnotami i drogocennymi atrybutami władzy królewskiej. Zbierając drobne ułamki trumny, w pewnym momencie podniosłem cienki patyk kilkakrotnie rozszczepiony na końcu, z płatkami skóry tkwiącymi w tych rozcięciach. Tak właśnie wyglądało berło wydobyte z grobu królowej Jadwigi, pierwszej żony króla Władysława Jagiełły, ojca Kazimierza Jagiellończyka... Byłem tym nieco rozczarowany. A więc to jest pogrobne berło wielkiego władcy Polski i Litwy? Niebawem pośród kilkunastu fragmentów skóry, powleczonej po jednej stronie żółtą substancją, natrafiłem na kilka nieco większych, kształtem przypominających łupiny z obranej pomarańczy. Po uprzednim doświadczeniu nie miałem już wątpliwości, że trzymam resztki jabłka królewskiego, równie skromnego jak berło. Przyszła teraz kolej na wyjęcie czaszki. Najpierw usunąłem zachowany fragment miecza. Ona sama leżała potylicą ku górze, obok kości miednicy i klatki piersiowej. Uniosłem ją ostrożnie, podnosząc równocześnie jakieś strzępy. Okazało się, iż na czole znajdował się powycinany zębato fragment skóry lakierowanej na żółto. Była to pozostałość grobowego diademu-korony. Pod nim, przysłaniając potylicę, znajdował się pas wzorzystego altembasu opadający na kości policzkowe.

Zaiste, pomyślałem – dodaje Kozieł – panowie litewscy skąpo wyposażyli do grobu tego wielkiego władcę [...], wkładając mu tak podłe imitacje. Ale chyba ostróg nie podrobili ze skóry? Przypuszczenie to sprawdziło się niebawem, nieoczekiwanie... Rzeczywiście nie podrobili, ale tylko dlatego że nie założyli królowi butów. Z rozpoznania całościowego wynikało jasno, że zwłoki króla włożono do trumny bez bielizny i ubrania, zaledwie okryto je lub owinięto płaszczem z wzorzystego altembasu przetykanego srebrną nicią.

Gdy badania grobu Kazimierza Jagiellończyka zbliżały się do końca (te bezpośrednie trwały do 1 czerwca 1973 roku), emocje z wolna opadały. W ostatnim dniu do przegrzebania pozostała już tylko niewielka kupka piasku, którym przed wiekami posypywano dno królewskiej trumny. Zbierając go wraz z asystentką rękami, znalazł w nim Kozieł nieco kości palców króla.

– Nagle coś zaiskrzyło w świetle lampy – opowiada. – Był to złoty pierścień z zielonym oczkiem turkusu o nerkowatym kształcie. Bez namysłu włożyłem go na palec. Gdy przyglądałem się pierścieniowi, nagle zaszedł mnie od tyłu ksiądz Walancik i zapytał: „Skąd masz tak piękny pierścień, Stanisławie?". „Od Kazimierza Jagiellończyka" – odpowiedziałem. I obaj parsknęliśmy śmiechem.

Kim były pierwsze ofiary „klątwy Jagiellończyka"?

Lista zmarłych, których łączyć można ze sprawą otwartego grobu królewskiego, jest niestety dość długa, daleko dłuższa niż ta z obiegowej wawelskiej plotki – jak przyjdzie się Czytelnikowi dobitnie o tym przekonać.

Czarną serię otworzył, jak już wiemy, Feliks Dańczak. Urodzony 7 maja 1924 roku we Lwowie, od wczesnego dzieciństwa pasjonował się modelarstwem. Już grubo przed drugą wojną światową każdy, kto oglądać mógł modele młodziutkiego Feliksa, wróżył mu udaną przyszłość. Zwłaszcza w jego miniaturowych modelikach (na przykład karet) była zapowiedź wielkiej precyzji. „Terminował" w pracowni inżyniera Janusza Witwickiego w rodzinnym mieście i wspólnie ze swym mecenasem tworzył wspaniałą modelową panoramę Lwowa. W 1945 roku Danuta i Feliks Dańczakowie przybyli do Krakowa, właśnie na Wawel. W budynkach wawelskich znalazły się bezpośrednio po wojnie pomieszczenia politechniczne Akademii Górniczej, na której Wydziale Architektury obydwoje studiowali. Niebawem w dawnej „kuchni Franka" (Wawel podczas okupacji hitlerowskiej był rezydencją generalnego gubernatora Hansa Franka) powstała „Dańczakówka", czyli pracownia modelarska państwa Dańczaków, z czasem przeniesiona w pobliże baszty Senatorskiej. W owej „Dańczakówce", jak ją wawelczycy określali, przez kilkanaście lat, od świtu do późnego wieczora, a nawet nocy, powstawały cuda – arcydzieła modelarskie: zarówno miniatury obiektów wawelskich (w tym wiele rekonstrukcji historycznych

nieistniejących od wieków budowli), modele pojedynczych zamków, jak i plastyczne panoramy z różnych czasów, po modele gotyckich i renesansowych pieców wawelskich. Wiele dzieł Dańczaka, wykonywanych wspólnie z żoną, każdy turysta zobaczyć może na wspaniałej stałej ekspozycji *Wawel zaginiony*.

Dańczakowie działali bezetatowo na zasadzie umów-zleceń na poszczególne dzieła. Była to więc nie tylko praca, ale przede wszystkim pasja. Arcydzieła, wynikające zarówno z niebywałych talentów manualnych, jak i głębokiej znajomości historii architektury i całych epok – powstawały „z miłości, ze złości, a przede wszystkim – cierpliwości", jak to trafnie określili znawcy przedmiotu. Precyzja ręki pana Feliksa była wręcz nieprawdopodobna – zdjęcie modelu nie różniło się od fotografii obiektu. [...]

Marzeniem życia – Feliks Dańczak nie zdążył już go spełnić – było stworzenie modelowej panoramy Krakowa. Chciał w ten sposób spiąć swoistą klamrą dwa miasta, które ukochał. Nawet złożył już w Miejskim Biurze Projektów „Miastoprojekt" szczegółowy plan...

Po śmierci pana Feliksa „Dańczakówkę" na Wawelu zlikwidowano. Szkoda, przecież pani Danuta mogła kontynuować pracę. Nie słyszałem, żeby ktokolwiek po Dańczaku podjął próbę stworzenia plastycznej panoramy Krakowa, miasta królewsko-papieskiego...

Podobnie jak Dańczak, doktor inżynier Stefan Walczy prawie całe dojrzałe życie i emocje zawodowe związał z Wawelem. Zanim jeszcze ukończył studia na Wydziale Architektury Politechniki Krakowskiej, już w 1948 roku rozpoczął kontynuowaną aż do przedwczesnej śmierci pracę w Kierownictwie Odnowienia Zamku Królewskiego na Wawelu, zajmując kolejno stanowiska: kreślarza, projektanta i starszego projektanta, kierownika zespołu, szefa pracowni studialnej, a wreszcie głównego specjalisty do spraw konserwacji Wawelu. W konkursie Stowarzyszenia Architektów Rzeczpospolitej na otoczenie Wawelu (1952) uzyskał w zespole wyróżnienie pierwszego stopnia. W latach 1952–1958 prowadził głębokie studia nad topografią i sylwetką oraz rekonstrukcją zabudowy wzgórza wawelskiego z końca XVIII wieku. Na przełomie lat 1962 i 1963 opracował do *Katalogu zabytków sztuki w Polsce* (*Miasto Kraków*, część I: *Wawel*) fazy rozwojowe wzgórza wawelskiego z okresu romańskiego oraz z wieków XV i XVIII. Cztery lata później już był gotów z naukową i rysunkową dokumentacją otoczenia pierwszej wawelskiej katedry romańskiej oraz rotundy. [...]

Teraz patrzę na pożółkłą fotografię z rodzinnego albumu: interesująca twarz badacza humanisty. Pochylony nad czaszką króla Kazimierza, wpatrzony w jakiś szczegół. Pamiętam dobrze, jak przed laty dystyngowanym

krokiem, z szarmanckimi ukłonami przemierzał okolice zamku i katedry wawelskiej... Zabrała go nagła śmierć, gdy miał niespełna pięćdziesiąt trzy lata. Mało publikował, wielką wiedzę o Wawelu zabrał ze sobą do grobu. Zostały po nim – oprócz dobrej pamięci przyjaciół i współpracowników – zapełnione kartony, pakiety rysunków.

Ze starej fotografii patrzy uśmiechnięty inżynier Kazimierz Hurlak. Był zaledwie o rok starszy od Stefana Walczego. Też krakowianin z urodzenia i wyboru. W tym samym co i Walczy 1952 roku uzyskał dyplom inżyniera architekta i magistra nauk technicznych Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. W roku 1948 stali się kolegami, wspólnie zaczynając pracę w Kierownictwie Odnowienia Zamku Królewskiego na Wawelu; ich wspólnym szefem od początku aż do końca był profesor Alfred Majewski. Powiedzieć, że byli tylko kolegami, to stanowczo za mało: byli bliskimi, niezazdroszczącymi sobie wzajemnie sukcesów przyjaciółmi. Szli równolegle, pierś w pierś. Kazimierz Hurlak jeszcze podczas studiów (podobnie jak i Stefan Walczy) pracował przy odnawianiu Wawelu jako kreślarz, następnie był projektantem, potem starszym projektantem i wreszcie kierownikiem pracowni architektonicznej. Przygotowując dokumentację architektoniczną, wykonał zdjęcia pomiarowe oraz opracował detale zachodniego skrzydła Zamku Królewskiego na Wawelu, przygotował dokumentację rysunkową zabudowy wzgórza wawelskiego do modelu z końca XVIII wieku (przypomnę, że ten nieukończony model szczególnie całą trójkę pasjonował w ostatnich latach życia), podkład architektoniczny do inwentaryzacji plastycznej wnętrza kaplicy Zygmuntowskiej. Dzięki zabiegom inżyniera Hurlaka usprawniono ruch turystyczny w słynnej z wielkiego dzwonu wieży Zygmuntowskiej.

Był Hurlak entuzjastą najnowocześniejszej z metod inwentaryzacyjnych, mianowicie fotogrametrycznej. Posługiwał się nią zarówno podczas prac wawelskich, jak i przy odnawianiu zamków małopolskich, które były przecież jakby dziećmi Wawelu. [...]

Kazimierz Hurlak bardzo przeżył śmierć bliskiego mu człowieka. Żeby oderwać się od smutnych refleksji, sam nie czując się zbyt dobrze, wyjechał z rodziną na Wybrzeże. Tam właśnie, w Kołobrzegu, 6 sierpnia 1974 roku przyszła gwałtowna śmierć. Miesiąc później miał obchodzić pięćdziesiąte czwarte urodziny...

Gdy przyszła tragiczna wiadomość znad morza, na wielu wawelskich pracowników, którzy uczestniczyli w otwieraniu i badaniu królewskich szczątków bądź byli świadkami tych prac – padł zabobonny strach. Kto będzie następny

w tej upiornej kolejce? Już głośniej szeptano o „klątwie Jagiellończyka". Mówiąc językiem tych, którzy w nią uwierzyli, w czarnej serii musiał być ktoś następny. I niestety – był. Wybór padł na pięćdziesięciojednoletniego Jana Myrlaka.

Inżynier Jan Myrlak urodził się 17 września 1923 roku w Nowym Sączu, ale całe dorosłe życie związał z Krakowem. Najpierw przez trzy lata studiował architekturę – zawsze wspaniale rysował – ale przerwał te studia i dopiero w 1954 roku systemem wieczorowym ukończył Wyższą Szkołę Inżynierską, uzyskując tytuł inżyniera budownictwa. Najpierw, już od roku 1947, pracował w różnych przedsiębiorstwach budowlanych na kierowniczych stanowiskach. W latach 1961–1964 był zatrudniony w krakowskich Pracowniach Konserwacji Zabytków i jako kierownik zespołu budów odznaczył się szczególnie przy ratowaniu pięknych zabytków starego Krakowa: Szarej Kamienicy, attyki Bonerowskiej, kaplicy Myszkowskich, Collegium Maius i wieży Ratuszowej. Od 1964 roku był stałym pracownikiem Kierownictwa Odnowienia Zamku Królewskiego na Wawelu. Przez jedenaście lat nadzorował brygady, które wykonywały misterne roboty konserwatorskie zarówno w zamku, jak i katedrze (przy przedromańskiej rotundzie Świętych Feliksa i Adaukta), zabezpieczał Smoczą Jamę. [...]

Dyrektor Alfred Majewski zlecił mu nadzór techniczny nad robotami w kaplicy Świętokrzyskiej. Myrlak nie ograniczył się jednak do prac, które nakazywał mu jego etat; pasjonował się oczywiście badaniami nad tym wszystkim, co znaleziono we wnętrzach grobów Kazimierza Jagiellończyka i Elżbiety Rakuskiej, zwanej też Austriaczką. Przebywał tam wespół z kolegami wiele godzin, wiele dni. Jak podaje wawelska zabobonna plotka o klątwie, tę naturalną ciekawość przypłacił życiem.

Zmarł nagle, gwałtownie – 17 maja 1975 roku.

Co mówią wdowy?

Nie były to rozmowy łatwe. Muszę przyznać – a Czytelnik to chyba zrozumie – że gdy miałem zapukać do drzwi, ogarniała mnie trema. Niezwykłość każdej z tych śmierci *a priori* komplikowała rozmowy. Na dodatek, mimo upływu wielu lat od pogrzebów, wszystkim paniom trudno było wracać myślą do szczegółów tragicznych dla nich dni. Nic dziwnego, że dominują nadal emocje smutku i żalu, którym czas nie dał rady; wszak z bardzo dobrych związków małżeńskich gwałtownie – w aurze pełnej domniemań i niedomówień, znaków zapytania i refleksji prawie ponadzmysłowych, nie do ogarnięcia rozumem – ubyli tak wartościowi ludzie.

– Nie wiedział, że ma nadciśnienie, prawie trzysta na sto osiemdziesiąt – powie mi pani Danuta Dańczakowa. – Odkryliśmy to w roku 1970, gdy Feliks znalazł się w szpitalu. Wcześniej był człowiekiem zdrowym. Jako chłopak grał w piłkę nożną, w wieku średnim zastąpił tę przyjemność stateczniejszą grą w siatkówkę, a do końca życia lubił pływanie. Praca jego i nasza wspólna zarazem, aczkolwiek wykonywana z pasją, była robotą żmudną, wymagającą odosobnienia, samotności. Mąż z rzadka bywał w domu, pracował w „Dańczakówce" zwykle do późnego wieczoru. Bywał duszą towarzystwa, jak to się powiada, był „chodzącym dowcipem", ale ja już wiem najlepiej, iż w gruncie rzeczy był jednym kłębkiem nerwów. Podczas częstych bezsennych nocy wiecznie snuł nowe projekty, które potem przenosił na papier. Pyta pan o jakieś jego dobre zdjęcie, takie nielegitymacyjne, najlepiej wykonane przy modelu? Feliks nie znosił fotografowania. Nie wiem, czy uda się znaleźć choćby dwa, trzy zdjęcia z całego jego życia. Przeminął jak meteor.

Widzę jedno z tych nielicznych na domowej biblioteczce. Sympatyczna twarz dobrego, wyrozumiałego człowieka, który żył po to właśnie, aby przedłużyć życie ważnym zabytkowym budowlom. Bądź je wskrzeszać. Dańczakowi należy się wskrzeszenie jego pamięci, bo Wawel jakby o nim zapomniał. Oto wdzięczność świata – myślę sobie, patrząc na twarz Dańczaka, którego nie ma już od dawna.

– Po odkryciu tego nadciśnienia nie ustawał w pracy – kontynuuje zwierzenia pani Danuta Dańczakowa. – Szczególnie niepokoiła mnie plama na jego oku, która była objawem nadciśnieniowym, a jednocześnie bardzo przeszkadzała mu w pracy, wymagającej właśnie precyzji. Z córką Anną byli na wspólnych wakacjach w Toruniu i jeszcze latem 1973 roku Feliks popisywał się skokami do wody. Był wesoły, jak zwykle, robił wrażenie odprężonego. Gwałtowne pogorszenie nastąpiło w listopadzie tegoż roku, gdy po raz drugi znalazł się w szpitalu. Nastąpiło dziwne przyspieszenie choroby nadciśnieniowej, lekarze ostrzegali, że musi się oszczędzać, gdyż stan jest bardzo groźny. Ograniczyli mu godziny pracy. Rzeczywiście, w pierwszym kwartale 1974 roku rzadziej bywał w naszej wawelskiej pracowni i bardzo nad tym ubolewał, bo był to przecież okres przygotowań przyszłych eksponatów do stałej ekspozycji *Wawel zaginiony*. Sama nie mogłam uwierzyć, że z Feliksem jest aż tak źle, dzieci też nie wierzyły. Najgorsze przyszło w Wielki Piątek 12 kwietnia 1974 roku. Feliks zmarł nagle o szóstej trzydzieści rano, wylew wewnętrzny krwi. Miał zaledwie czterdzieści dziewięć lat.

– Mój mąż cały czas asystował pracom w podziemiach kaplicy – powie mi pani Zofia Walczy, starszy kustosz, kierowniczka Oddziału Klasyfikacji

i Katalogów Rzeczowych Biblioteki Jagiellońskiej. – Nie tylko asystował, czynnie współdziałał, pomagając głównemu wawelskiemu archeologowi Stanisławowi Kozielowi. Przypominam sobie dokładnie: któregoś dnia Stefan przyszedł szczególnie podniecony, mówiąc: „Zosiu, jesteśmy tuż-tuż obok komory grobowej, najprawdopodobniej króla Kazimierza Jagiellończyka. Trzeba tylko zrobić wiercenie". Następnego dnia przez otwór włożyli żarówkę na pręcie i wtedy przybiegł do domu, mówiąc: „Pod samym sarkofagiem jest trumna Jagiellończyka". Niebawem okazało się, że rysa, którą tak bardzo niepokoił się ksiądz prałat doktor Kazimierz Figlewicz, w marmurowej płycie, na której stoi sarkofag królewski, nie jest aż tak groźna. Nie zagraża w każdym razie posadzce kaplicy. Powstał więc problem: skoro jesteśmy tak blisko – otwierać czy nie otwierać? Skoro nikt nigdy tam nie zaglądał, pokusa była wielka, żeby wykorzystać ten moment dla przeprowadzenia różnorakich badań. Wymagało to zgody i decyzji ówczesnego gospodarza katedry kardynała Karola Wojtyły. Zdania były podzielone; pamiętam dobrze, iż mój mąż przez dłuższy czas był przeciwny otwieraniu. Uważał bowiem, że skoro król tam był pochowany i nic nie zagraża królewskiemu spokojowi, niech nadal spoczywa w ciszy i nieingerowaniu. Mówił nawet żartem do kolegów: „Lepiej króla nie ruszajmy, bo może się na nas zemścić i potem nas straszyć". Ksiądz prałat Figlewicz uparcie dążył do uporządkowania szczątków pary królewskiej, zwłaszcza po tym, co przyniósł pierwszy zwiad badaczy, mówiący o wielkim rozgardiaszu w grobowcu, uczynionym przez czas. Zapadła decyzja kardynała Karola Wojtyły, że dla dobra nauki – a okazja była przecież jedyna w swoim rodzaju – trzeba otworzyć! Mąż był niesłychanie przejęty. Razem z murarzami działał własnoręcznie, wszystkiego dotykał. A pamiętajmy, że król Kazimierz Jagiellończyk zmarł w Grodnie na schorzenia gastryczne. Mawiano nawet, że został otruty, ale to nieprawda. Bano się także, iż mógł umrzeć w wyniku jakiejś zarazy, więc przed blisko pięcioma wiekami ze szczególną ostrożnością go chowano, uszczelniając trumnę, i teraz ze zdwojoną czujnością ją otwierano. Przecież zmarły król z Grodna wieziony był końmi, po drodze trumnę wystawiano, podróż trwała długo, a latem były upały...

Z kolejnych oględzin – kontynuuje relację pani Zofia Walczy – Stefan przychodził wyraźnie wzruszony. Uczestniczył w poszczególnych fazach różnorakich badań, z pietyzmem dotykał szczątków i pozostałości żałobnego stroju. Wszystkiego, co w tym grobie znaleziono. Co prawda, może to kogoś dziwić, bo przecież zadaniem męża było przygotowanie architektonicznej dokumentacji kaplicy Świętokrzyskiej, ale te badania, tak przecież interesujące, wciągnęły,

ba – pochłonęły go całkowicie. Proszę, ma pan tu wiele zdjęć z oględzin, prac zespołów badawczych różnych dyscyplin nauki – prawie wszędzie i zawsze Stefan był obecny. [...] A pół roku później Stefan nagle odszedł. Na zawsze.

Przez chwilę wzruszenie nie pozwala pani Zofii Walczy kontynuować tematu. Oczy jej zaszły łzami, głos drży. Nie może się opanować.

– Pyta pan – mówi po chwili – czy mąż wcześniej chorował. Raczej nie, zapracowanie nie pozwalało mu na to. Gdy czuł się niekiedy źle, jego lekarz zapewniał: nic groźnego, to tylko nerwica. 27 czerwca, w przededniu śmierci, Stefan spotkał na ulicy Karmelickiej swego przyjaciela – polonistę profesora Romana Kaletę, wykładającego we Wrocławiu. Zaprosił go na następny dzień do nas. Gdy 28 czerwca po południu wrócił do domu, ożywiony, jak zwykle po pracy, którą tak kochał – wszedł do łazienki. Po chwili syn usłyszał jakieś dziwne stamtąd odgłosy, jakby rzężenie. Ślusarz otworzył drzwi, wybili dodatkowo szybę, żeby do łazienki się dostać. Zastali straszny widok: Stefan leżał wciśnięty między wannę i pralkę. Mnie akurat nie było w domu, byłam na dyżurze w Bibliotece Jagiellońskiej. Pogotowie zabrało go na ostry dyżur do szpitala imienia Żeromskiego w Nowej Hucie. Lekarz stwierdził rozległy wylew krwi. Pocieszał mnie: pacjent reaguje na światło, nie jest tak źle. Potem oznajmiono jednak brutalnie, że stan jest poważny. Podawano tlen. Tego samego wieczora nadeszły jeszcze dwa wylewy – krwotoki z ust i nosa. Sekcja wykazała, że był to ogólny wylew z ciężkimi perforacjami. Był dopiero w średnim wieku. Tekstu o kaplicy Świętokrzyskiej już nie zdążył napisać, zostawił rysunki, które opublikowano. Zdążył wykonać opracowanie naukowe do badań o średniowiecznym Wawelu, rysunki z kolei miał zrobić jego przyjaciel – inżynier Kazimierz Hurlak. Ale pan przecież wie dobrze, jakie fatum nad tym wszystkim zaciążyło...

– Kazimierz po prostu żył Wawelem, do przesady kochał tę pracę, nawet lubił zanudzać zbytnimi szczegółami – mówi pani Albina Hurlakowa, magister historii, zatrudniona również w Kierownictwie Odnowienia Zamku Królewskiego na Wawelu. – Kazio kierował drugą pracownią, do której obowiązków należało zajmowanie się skrzydłem zachodnim zamku wawelskiego i zamkami południowo-wschodniej Polski. Roboty miał moc, więc po zwyczajowych godzinach pracy zostawał w biurze-pracowni, wreszcie miał ciszę i spokój od telefonów. Zadziwiała mnie zawsze jego szalona cierpliwość do rysunku – był bardzo drobiazgowy, często robił korekty, a nawet przeróbki. Na kilka lat przed śmiercią miał poważny wypadek przy pracy w Niedzicy. Wpadł do dołu archeologicznego, a upadając, chwycił się krzaków, desek i...

szkła. Rozciął poważnie dłoń szybą. Dwa palce u prawej dłoni miał usztywnione, wręcz groziło wyłączenie całej prawicy. Wie pan dobrze, co to oznacza dla architekta-rysownika. Cierpiał, ale nie narzekał. Wspólnie z doktorem Stefanem Walczym asystował ekipom, które otwierały groby Kazimierza Jagiellończyka i jego żony Elżbiety. Przebywali tam godzinami, pasjonowali się tym. Trudno się dziwić, skoro cały Wawel żył tą sprawą, a oni mogli mieć bezpośredni dostęp. Inni uważali ich za szczęśliwców, którzy patrzą z bliska w oczy średniowieczu... [...]

Na dwa tygodnie przed śmiercią – dodaje Albina Hurlakowa – w lipcu owego feralnego roku 1974 Kazio czuł się źle, bardzo źle. Naiwnie myślałam, że szybki wyjazd dobrze mu zrobi. Wyjechaliśmy nad morze, do Kołobrzegu. Kazio ukrywał przede mną wysokość ciśnienia krwi. Zaledwie w trzecim dniu pobytu [...] Kazimierz obudził się nad ranem, poszedł do łazienki, ja zdenerwowana za nim, jakby coś złego przeczuwając... Wrócił, usiadł na łóżku, bez sił. Wyszeptał tylko imię córki: „Halinko...". Leżał, nic nie mówiąc. Zauważyłam, że drży. Jeszcze przytomnie i ciepło spojrzał na mnie. Nie wiedziałam, że to po raz ostatni. Był to poranek po niezwykłej nocy: szalała wichura i burza sztormowa. Gdy przyjechał lekarz, Kazio już nie żył. Stało się to dokładnie w trzydziestą rocznicę nazbyt pamiętnej „czarnej niedzieli" okupacyjnej w Krakowie – 6 sierpnia[1]. Przeżyłam to wszystko okropnie. Ta relacja jest nieskładna i niepełna, ale emocje, przepraszam, nadal biorą górę. Po kilku dniach przysłali trumnę z Krakowa. Kazio na zawsze powrócił pod ukochany Wawel.

– Ja będę następny – powiedział inżynier Jan Myrlak do swej żony Krystyny na wieść o śmierci Kazimierza Hurlaka.

Przyznam się, że ciarki mi przeszły po plecach, gdy wiadomość o tych przeczuciach, niestety spełnionych, usłyszałem od wdowy po Janie Myrlaku.

– Mąż stracił oko podczas wypadku na zamku w Baranowie Sandomierskim – mówi mi pani Krystyna Myrlakowa. – Wszystkich nas zdumiewała niezwykła sprawność i łatwość, z jaką Janek wykonywał rysunki dokumentacyjne. Dosłownie robił to na kolanie. Od wczesnych lat wspaniale rysował. Mimo iż parał się głównie konstrukcjami, sprawnie kierując oddanymi sobie w opiekę zespołami budowlanych, pasjonował się portretowaniem pięknych obiektów zabytkowych. Uprawiał swoisty kult detalu architektonicznego. Proszę spojrzeć: wszędzie wokół na ścianach wiele rysunków Janka. Chyba słusznie zrobiłam, oprawiając je?... Proszę pana, są świadkowie, wielu ich było i dreszcz ich przenikał, jak mi się potem zwierzali, kiedy Janek, siląc się na żart, uparcie powtarzał: „Kochani, ja jestem następny w tej kolejce!". Zdumiewające

[1] „Czarna niedziela" – największa łapanka, do jakiej doszło podczas okupacji niemieckiej na terenie Polski, zorganizowana w związku z wybuchem powstania warszawskiego, by uniemożliwić Armii Krajowej wywołanie powstania w Krakowie.

w tym wszystkim, że mąż był najzdrowszy ze zdrowych. Szczupły, uprawiał wszystkie możliwe sporty, lekarze podczas okresowych badań pytali nawet: „Czy pan był lotnikiem, a może spadochroniarzem? Ma pan końskie zdrowie". Nie uznawał tramwajów, wszędzie chodził pieszo. Podkreślał, że Kraków jest tak piękny, iż nie sposób obok zabytków przejeżdżać. Trzeba je „kontemplować", a nie tylko mijać. Pamiętam jednak doskonale, że w czasie prac nad otwartym grobem często uskarżał się na dokuczliwe bóle głowy. Pracował w wykonawstwie, czyli bez przerwy miał kontakt z otwartym grobem królewskim. Na dodatek, gdy wszyscy pletli o tej klątwie, i to na długo przed pierwszą ze śmierci w tym kręgu osób, a robotnicy bali się pracować przy samym grobie – Janek dawał swoiste popisy odwagi. Wielogodzinne popisy. Pamiętam dobrze, jak opowiadał nam ze śmiechem w domu, że esteta Stefan Walczy nawet po każdym naciśnięciu klamki w drzwiach mył ręce. Ale całe życie tak czynił... Doktor Walczy oszczędzał serce, chodził powoli, trochę majestatycznie. Janek odwrotnie, był jego w tej mierze zaprzeczeniem. Janek Walczego bardzo cenił. On zapewne Janka także – w końcu wszyscy wiedzieli, że sam kardynał Karol Wojtyła chwalił Janka za prace przy prywatnej kaplicy obecnego papieża, zaprojektowanej przez inżyniera Józefa Dutkiewicza. A na dodatek bezinteresownie wykonał projekt ogrzewania katedry wawelskiej. Ale gdy po Walczym umarł nagle Hurlak, wszyscy zaczęli się już bać. Żeby móc odejść od natrętnych myśli, wspominaliśmy beztroskie ubiegłoroczne wakacje w Hiszpanii. Mąż przez całą Europę – tam i z powrotem – prowadził samochód. Przywiózł mnóstwo rysunków z tamtej podróży. Tym tematem odrywaliśmy się od smutków lata 1974 roku. Ale cały czas – panu pierwszemu się zwierzam teraz, po latach – miałam straszliwy niepokój wewnętrzny. Córka mnie pocieszała, a nawet śmiała się ze mnie. Tym bardziej denerwowało mnie, gdy Janek – choć od zamurowania grobów królewskich minęło już blisko półtora roku – co jakiś czas powtarzał: „Zobaczysz, Krysiu, ja będę następny. Przeczuwam to". 17 maja 1975 roku o szóstej rano umarł mi na rękach, w przedpokoju. Miał niespełna pięćdziesiąt dwa lata. Przyczyną zgonu było pęknięcie tętniaka.

Proszę pana – zniża głos pani Krystyna Myrlakowa – a może to nie żadna klątwa? Może to po prostu coś z tego grobu? Czy ktoś kiedyś spróbuje to wyjaśnić?

Zbigniew Święch, *Klątwy, mikroby i uczeni. Opowieść wawelska*, Warszawa: Iskry, 1989, s. 11–30

1983

Ewa Owsiany (ur. 1940)

Przejmować się nie sobą

> Dobry reportaż powstaje ze zdziwienia. Albo z oczarowania jakimś człowiekiem czy splotem zdarzeń. Może być, że z protestu. Czyli dlatego, że dziennikarz potrafi przejmować się, i to nie tylko sobą.

To najpopularniejszy cytat z eseju o reportażu, który Ewa Owsiany napisała do podręcznika *Abecadło dziennikarza* (1996).

Przejąć się – to klucz do twórczości tej reporterki. Prawie wszystkie jej reportaże powstają z przejęcia się czyimś losem. Najczęściej losem, który nagle zaczyna znęcać się nad człowiekiem. Tak jak w reportażu *Portret chłopca z głową psa* (to dla mnie jeden z najbardziej frapujących tytułów w naszej literaturze reportażowej):

> Wieczorem zadzwonił telefon.
>
> W słuchawce pulsował nieznajomy głos kobiecy, klucząc po tematach i nawracając z rozlicznych dygresji do podstawowej frazy. Dziecko jest t a m. Nikt by tam nie dał dobrowolnie swego dziecka. A ona to zrobiła z poczucia bezradności. Tak. Jeśli ma prawo kogokolwiek oskarżać, to oskarża społeczeństwo, że nigdy nie bywa oparciem dla takich matek jak ona...
>
> Początkowo nie mogłam zrozumieć, o co chodzi. Głos, nieustannie spięty świadomością swego zmieszania i splątania, przepraszał za wtargnięcie w mój dom i naglił do pomocy. Czy nie znam kogoś – pytała kobieta – kto poszedłby z nią do szpitala w dniu wizyty? Sprawy mają się tak, że ona boi się przewidzianych na jutro odwiedzin u syna. Owszem, bardzo pragnie zobaczyć chłopca, ale nie może zostać sam na sam z lekarzem. Przed jego argumentami trzeba umieć się bronić, a ona nie potrafi. Każde jej słowo, każdy szczegół zachowania wykorzystują przeciwko niej...
>
> Wyczuła moją nieufność. Opowiedziała historię o zegarkach. Wczoraj miała na ręce dwa (zgoda, jeden szedł do naprawy), a oni dziwili się temu z wyrozumiałym uśmiechem. Mają taki styl rozmowy, że wypuszczają na zwierzenia, są mili, otwarci, a za chwilę okazuje się, że wszystko na to było, by udowodnić matce, że i ona nie jest w porządku. [...] A najgorsze są niedziele, kiedy on czeka. Inne dzieci częściej widzą swoich rodziców, on nie. Kiedyś powiedział: „Mamo, to nie szpital, tylko fabryka automatów, zobaczysz, zwrócą ci manekina..." [...].

Reporterka zdradza nam: odpowiedziała dzwoniącej kobiecie coś ogólnikowo i na odczepnego. Jednak telefon pozostawił trwały niepokój. W ciągu następnych dni dowiedziała się, że kobieta sama wychowuje syna, nie radzi sobie, kiedy ten podpala łóżko, rozgniata w pościeli pomidory albo maluje na ścianie swój portret z głową psa. Nie mają krewnych ani przyjaciół. Z bezradności kobieta załatwiła dziecku pobyt w szpitalu psychiatrycznym, lecz teraz zaczęła mieć wyrzuty sumienia, które całkowicie odebrały jej rozsądek. Chce go stamtąd wyrwać, ale lekarze zaczęli traktować ją niepoważnie, zbywają jak lekko chorą psychicznie. Potem są zmuszeni „usuwać ją z gabinetu". Ludzie, do których zwraca się o pomoc, mówią: „Telefony tej pani są takie nużące…".

Sama autorka w pewnym momencie przyznaje: „Osiągnęliśmy górny poziom znużenia sprawą".

Jednak znużenie Ewy Owsiany nie usuwa w cień jej przejęcia. Inny reportaż z książki *Linia pod napięciem* (1983), za którą w 1984 roku dostała Nagrodę „Życia Literackiego", to też efekt przejęcia się sprawą. Zaowocowało dogłębnym zbadaniem przyczyn czyjegoś złego losu:

> Wpada energiczna, bojowa, wali prosto z mostu:
>
> – Pracuję w zieleni miejskiej. Kiedyś obiło mi się o uszy, że do naszego parku przychodzi taka jedna matka i zostawia dziecko. Samo? Na cały czas pracy? Nie chciałam wierzyć. W lipcu dużo lało. Rany, jakie miał te sandałki mokre czasami […].

Właściwie można stwierdzić, że Ewa Owsiany to społecznica, która ludzkie problemy ubiera w liryczne opowieści. „Buduje nastroje przez uczucie" – pisano. Jej książka *Zioła na tęsknotę* (2004) „dostarcza czytelnikom pokrzepienia"; *Nic straconego* (1997) „jest jak kojący dotyk przyjaznej ręki"; *Krótki południowy cień* (1978) – „Cień. Jednak cień. Ale południowy!".

As polskiego reportażu Stefan Kozicki (patrz t. 1, s. 779) w ocenie tekstów „Owsianki" (jak nazywają ją niektórzy koledzy) zestawił nawet niepasujące do siebie pojęcia – stwierdził, że Owsiany pisze ciepło o piekle:

> A przecież trudno jest o to ciepło, kiedy pisze się tak jak ona – o piekle. O piekle domów rodzinnych, napędzanych nienawiścią czy odrzuconą miłością. […] Zdawałoby się, że nie ma dwóch bardziej przeciwstawnych pojęć niż reportaż i dyskrecja. Przysłowiowy reporter to ten, co wyrzucony drzwiami, wraca oknem. […] A jednak ostatnia książka Ewy Owsiany *Linia pod napięciem* jest dowodem, że uprawianie reporterki z dyskrecją daje się pogodzić.

Liryzm Ewy Owsiany jest dla jednych dyskusyjny: „Teraz drży nad każdym nowym dniem" (o matce chłopca z głową psa) albo „W godzinę później, a może dwie, pogoda zniecierpliwiła się nieco". Dla innych jest cenny, bo nikt poza nią w ten sposób nie pisze.

Andrzej Pawlik, publicysta krakowskiego „Dziennika Polskiego", w 1979 roku zebrał całą listę „liryzmów" Ewy Owsiany: „wzgórze kościelne plisowane w schodki", „hamulce osiodłały nas w biegu", „pan fotograf uchwycił to na sztuczną wieczność", „droczenie się potoku z kamieniami" i tym podobnie.

> Tylko dlaczego, w imię jakich praw odbierać reporterowi szansę estetyzowania tekstów – pyta Pawlik. – [...] Ewa Owsiany sięga do środków rzekomo zastrzeżonych dla literatury pięknej, jakby literatura faktu też nie mogła być ładna.

Może swoje zamiłowanie do literatury odziedziczyła po ojcu – doktorze filozofii i filologu klasycznym, absolwencie Uniwersytetu Karola w Pradze? Sama skończyła polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim, pracę magisterską pisała o radości w wierszach Tuwima. W latach 1964–1985 (z przerwą na stan wojenny) pracowała w redakcji „Gazety Krakowskiej". Po roku 1985 związała się z redakcją „Przeglądu Tygodniowego" i „Wieści". Współpracowała także z nowojorskim „Nowym Dziennikiem". Wykładała reportaż na Uniwersytecie Jagiellońskim i Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

Ją i Jego, bohaterów reportażu, który zamieszczamy w antologii, reporterka znalazła przez personel szpitala.

> To pielęgniarki szpitala, do którego moja bohaterka trafiła po próbie samobójczej, wysłały alarm na moje nazwisko. Nie chwaląc się, byłam w redakcji głównym adresatem tragicznych listów. I od tego alarmu się zaczęło: wizyta w szpitalu, gdzie leżała Ona, dyrektor zakładu, w którym pracował On, rozmowa ze sprawcą dramatu, no i symboliczna mgła osłaniająca na chwilę ich wewnętrzne piekło.

Dziesięć procent śmierci

On

– Uważam, że nie sięgam świadomością tam, gdzie jest prawda, panie dyrektorze. Ograniczenie władzy? Dlaczego również żonie? Jakiej winy w niej się dopatrzono? Nie miałem wglądu do akt. Wiem tylko, czemu pan mnie wezwał. To prawda, moja żona, dobita pierwszym wyrokiem, nie wytrzymała nerwowo tego, co ją jeszcze miało spotkać, i uczyniła desperacki krok. Na ogół narzeka na serce, więc kiedy zadzwoniła matka, myślałem... Nie, nie sądziłem, że ona zażyła te środki. Uratowano? Tak.

O sobie mogę tylko powiedzieć, że nie żyję z żoną i wiem, że to jest minus dla mnie, coś, co mnie obciąża.

Owszem, panie dyrektorze, faktem jest, że żona wniosła pozew o rozwód. Ona zachowuje się tak, jakby rozwód ją urządzał! Dziwne, że te jej koleżanki z pracy, co ją zagrzewają do walki, nie zastanawiają się, co potem będzie z kobietą? Dokąd pójdzie, gdzie zamieszka? Przecież mnie i mojej matce wszystko zawdzięcza!

Ale nie. Tym paniom nie o nią chodzi, tylko aby mnie dać do więzienia. Już raz byłem skazany za tak zwane znęcanie się, panie dyrektorze. Teraz znów uważają, że będzie dobrze, jeśli przeciw mnie zmobilizują opinię publiczną. Przy najdrobniejszym sporze żona podnosi krzyk i leci na milicję. Skarży, że ją biję, maltretuję, wyzywam. Bądźmy poważni – ten zarzut wracania w nocy? Chwyt sądowy! O coś w końcu trzeba tego męża oskarżyć: nie hula, nie pije, wszystko w domu robi, gotuje, pierze, chodzi na wywiadówki. Do szpitala przychodzi codziennie, bo uważa za swój obowiązek interesować się żoną. A żona mu za to od trzynastu lat funduje aferę kryminalną.

Tak jest, panie dyrektorze, od trzynastu lat, ale nigdy nie finalizowało się tak ostro jak teraz. Zawsze była między nami rezerwa, dystans psychologiczny, ale teraz drobiazgi spiętrzyły się, zbudowały mur. Także i w sensie ekonomiki rodzinnej wyizolowałem się i czy to się żonie podobało, czy nie – ja we wszystkim decydowałem sam.

Tak jest, nie konsultowałem się z żoną w sprawach życia. Powiem nawet, że w sensie ekonomicznym ona lepiej na tym wyszła.

Pan dyrektor mówi, że mnie zna od lat jako zdolnego, obowiązkowego pracownika, męża zaufania i działacza, troskliwego syna chorej matki i przykładnego ojca. Teraz pewnie zachodzi pan w głowę: czy my przypadkiem nie

mamy do czynienia z człowiekiem o dwu twarzach? Pan mnie ostrzega, że stracę wszystko w pańskich oczach, bo podniosłem rękę na kobietę! Ależ, szefie, żonie wcale nie chodzi o bicie, tylko że mam przyjaciółkę!

Pan mi zaraz zada męskie pytanie, skąd się wzięła ta pani, i zauważy, że przecież całe moje życie zawodowe nie zdawało się wskazywać na taką niespodziankę.

A jednak! Ludzka rzecz! To spotkanie było wydarzeniem losu.

Ale proszę nie myśleć, że to jakaś gratka dla mnie, druga młodość itp. Ja idę tam do niej, żeby jej pomóc. Wymalowałem jej mieszkanie, wykazałem się ciężką pracą. U niej mogę pokazać, na co mnie stać, co normalnie we mnie istnieje: chęć czynienia dobrze, bycia użytecznym, chęć obrony słabszych. Tam są przecież małe dzieci!

Tam jest także i kobieta – pan się uśmiecha, panie dyrektorze, i przytacza anegdotkę o mężu, który zdradzał żonę z wyższych pobudek: „Nie bądź taka egoistka – mawiał – tym bidusiom też się coś od życia należy!".

Chce pan przez to powiedzieć, że ja niby taki sam altruista! Więc dobrze! Powiem! Ale nie róbcie ze mnie Casanovy!

Jest kobieta. Ale taka, która umie być wdzięczna. Umie docenić serce. A ja muszę mieć czyjąś przyjaźń, a nie wroga w czterech ścianach, wroga, który swoim postępowaniem wszystko stracił w moich oczach. Całą kobiecość. Cierpki i podejrzliwy atakuje nawet wtedy, kiedy wracam nocą... z pracy. Było, że nie wiedziałem, o co się właściwie gniewa. Po parę dni nie dawała się przeprosić. Owszem, nie przeczę, zdarzały się i takie czasy, że robiła dla mnie, co mogła, i godziliśmy się bez ceremoniału. A nawet sobie pomagaliśmy w trudnych chwilach.

Proszę mi wierzyć, na wczasach była najidealniejszą, najatrakcyjniejszą kobietą, ta kultura, ten uśmiech, dzieci przed nami, my pod rękę...

Dopóki nie przypomniała sobie o zazdrości. Bo ona nie chce tego zrozumieć ani przyjąć, że mam inną.

Ale tu nobliwie, solidnie i ciemnawo. Co ja tu robię w tym gabinecie? Siedzę w fotelu z teczką u nogi i słucham, jak mi pan dyrektor wykłada, że dąsy nie przystoją mężczyźnie, a słońce nie powinno zachodzić nad gniewem. Ciekawe, kiedy u nas zaszło ostatni raz?

Pan dyrektor pamięta? Po ślubie zaprosiliśmy pana na oblewanie garsoniery, a pański zastępca był zachwycony: „Ależ on ma fajną, wysoką babkę. I jaka przyjemna!".

To było o mojej żonie. Nie, później już nie chodziliśmy razem do kina ani na zabawy. Wyrównujemy sobie krzywdy.

Kiedy ona karci dziecko – nie solidaryzuję się nigdy. „Tobie zawiniło – mówię – ty ukarz". Chce chłopaka uderzyć (a bardzo jest nerwowa) – to ja staję w obronie i jestem przygotowany na wszystko, niech mnie nawet w kajdankach wyprowadzą! Pan mówi, że psycholog sądowy ma już wyrobione zdanie na mój temat? Być może, nie zaglądałem do akt. Można przeczytać?

„Obywatel X skłonny jest do ukrywania własnych cech osobowości, w sytuacjach trudnych ucieka się do wykrętów, bezkrytycznie ocenia własną postawę, nawet dla sytuacji, które stawiają go w złym świetle, znajduje usprawiedliwienie..." No, no. A co napisano o synu?

„U starszego syna na skutek nieprawidłowej atmosfery wychowawczej kształtuje się niekorzystny społecznie model zachowania oparty na zasadach dominacji siły, odrzucania uczuciowości w kontaktach z ludźmi – co w przyszłości może się odbić negatywnie na dorosłym życiu. Czuje się przez ojca akceptowany, ojciec imponuje mu wiedzą, inteligencją i posiadaniem pieniędzy. Młodszy syn odbiera dom jako smutny. Kłótnie, awantury – o właśnie! – są dla niego problemem, z którym nie może się uporać. Stąd lęki i nerwica. Obaj synowie rosną w przekonaniu, że jedynie ojciec jest osobą wartościową w domu, a on, chcąc ich sobie pozyskać, celowo wydaje odmienne niż matka polecenia..."

Pan powiada, panie dyrektorze, że trudno walczyć żonie o męża, gdyż mąż jest cyniczny? Powiedzmy, to są moje minusy, dyrektorze...

Nie chciałbym o niej opowiadać banalnych świństewek. Mam nerwicę i poważniejsze sprawy na głowie. Ale muszę się poskarżyć: żona niszczy pamiątki, listy poszły w piec. Z albumu wydarła zdjęcia rodzinne. Syn zauważył: „Tato, zobacz, nie wzięła albumu z szafy?". „Zobacz ty" – powiedziałem. No i faktycznie! Załataliśmy puste ramki widokówkami.

Podobnie było z obrączką. Raz, zbuntowana i rozjątrzona kłótnią, rzuciła ją w kąt. Pamiętam, jak złoty krążek toczył się w kierunku okna. Podniosłem obrączkę z podłogi i zdjąłem z palca swoją. Wkrótce obie były sprzedane. Za obrączki, które na ręku miały świecić po wieczność, kupiłem synowi skafander. Nawet niezły skafander. Niech ma. Dokument mojej zemsty.

No i czemu tak cicho?

Już wiem, co myślicie.

Że ta forsa to srebrniki zdrady.

Próbujecie mi wmówić, że kobieta przeżywa niewyobrażalnie ciężko odrzucenie i że ten gest z obrączką obliczyła na zupełnie inną reakcję. Może chciała – tłumaczycie – sprowokować protesty męża, jego przeprosiny i zaklęcia, że już wszystko będzie dobrze, byle przyjęła z powrotem znak wierności i wszystko, co za nim stoi.

Trudno, przeliczyła się.

Jeszcze jedno. Na samym początku, o ile dobrze pamiętam, padło pytanie, jak ja mogę świadczyć w sądzie za przyjaciółką, a przeciw własnej żonie. No, jak to, przecież koronnym świadkiem zajścia między nimi a stroną najbardziej zainteresowaną w sprawie jestem ja!

Ale podkreślam: nie chcę się rozwodzić. Moje dzieci są przedłużeniem mojego życia, dlatego zostanę przy domu, to mój obowiązek. Zresztą rozwód nie jest mi na rękę ze względów gospodarczych i mieszkaniowych.

Będę więc za ugodą i mam nadzieję, że sąd mnie poprze, bo sąd na to jest, aby utrzymać rodzinę.

Chociaż koledzy namawiali: „A dałbyś już ten rozwód i poszedł w diabły, po co się męczyć…".

Czy pan tak samo uważa, panie dyrektorze? Nie? Pan mówi, żeby zrezygnować z tych pseudoanimozji męskich, bo człowiek rozżalony to człowiek, który przejaskrawia każdą sprawę. I żeby nie słuchać kolegów, bo dolewają oliwy do ognia. Pyta pan, dokąd brnę, i radzi się opamiętać. Wiem, wiem, pan zupełnie jak ojciec, mówili u nas w brygadzie, że pan godził już niejedno małżeństwo w myśl zasady, że sprawy prywatne nie są sprawami tylko prywatnymi. Tam zwłaszcza, gdzie są dzieci. Albo tam, gdzie skądinąd ceniony pracownik przestaje się nagle zgłaszać na nocne wezwania szefa do awarii. A może… stąd ta rozmowa?

Pan każe mi zrobić rozsądny rozrachunek ze samym sobą i pomyśleć, czy można żyć spokojnie, mając na sumieniu choć dziesięć procent czyjejś śmierci. Ale ja wcale spokojnie nie żyję! Tylko od tej wojny ustawicznej jedyną moją ripostą stał się cynizm.

Pan chce mi pomóc. Dziękuję, ale po co ten kłopot. Przecież jak sam pan mówi, można tak żyć, bardziej po wierzchu, zamknąć się w sprawach zawodowych tylko, nawet zdrowszym się jest, jeśli się nie wnika w pewne sytuacje.

Ona

– To była niedziela. Pracowałam na pierwszą zmianę. Kiedy wróciłam do domu, męża nie było, a ja jeszcze nie myślałam o niczym.

Wcześniej zjedliśmy z synkiem kolację, żeby potem nie odrywać się od filmu. Zakręciłam włosy, bo w poniedziałek znów miałam iść do sądu.

Ta kobieta… i ten wyrok w sprawie dzieci. Przecież dla nich robiłam wszystko. Za co ograniczono mi prawa rodzicielskie? Pani tłumaczy, że to tylko formalność potrzebna dla ustanowienia kuratora. Ja wiem, że w naszej rodzinie źle się dzieje, ale żeby mnie, matkę, aż tak potraktować? Za co, pytam, za co?

Poszłam spać. Nie spałam. Kiedy się nie śpi, przychodzą największe chmury na człowieka.

Było późno. Bałam się nocy i myślałam o nowej rozprawie. Dlaczego nikt mi nie uwierzy? Nie warto być uczciwym, człowiek się nie liczy, człowiek jest bez znaczenia, takiego jak ja wyśmieją, tylko ludzie z tupetem wychodzą na swoje.

Wstałam i zażyłam jeden lek, drugi, i jeszcze nie zasnęłam, wtedy zażyłam wszystkie. Ogarnęła mnie straszna rozpacz, że w razie choroby czy nieszczęścia już nie mam nikogo.

Zażywając, myślałam jeszcze, żeby mąż sobie ułożył życie, skoro nie jestem potrzebna. Już nie patrzyłam, czy on przyszedł, czy nie, tylko patrzyłam, żeby się otruć, że to jest najlepsze wyjście.

Kiedy ocknęłam się w szpitalu, pomyślałam: „Po co się ludzie ubiegają o moje życie? Czym jest żona, jak mąż ma kochankę?".

Teraz mi żal, to niedozwolone, co zrobiłam. To było z krzywdą dla dzieci. Ale on mi raz obiecywał: „I tak skończysz w Kobierzynie albo w Wiśle. Ty jesteś dobra, ale głupia, za głupia, żebyś mi cokolwiek zrobiła, bo ja jestem członek partii i partia takich jak ja broni".

Kobieta postać ma bujną, wysokie czoło, podniesione jeszcze uczesaniem twardych i już siwiejących włosów, oczy mocno podkrążone, a ręce masywne i miękkie zaciska i rozplata na zmianę. Rozmowa toczy się w izolatce. Ten niewielki pokój na najwyższym piętrze gmachu płynie jak kajuta przez gęstą mgłę.

– Kiedyś umiał mówić: „jedyna", „kochana". – Kobieta z wysiłkiem przywołuje uśmiech. – Był przedsiębiorczy, umiał wszystko obskoczyć, wierzyłam, że całe życie będzie mnie nosił na rękach. Kiedy jednak znaleźliśmy się w domu teściowej i kiedy ona po śmierci swego męża przerzuciła całą miłość na syna...

Dałam się zepchnąć w cień.

Bolało, że miłość mnie należna dostawała się matce. Nie mogłam ścierpieć, kiedy mówiła: „Zeniu, bab możesz mieć dziesięć, a matkę tylko jedną".

Cokolwiek kupił, szli razem do pokoju, ugadali, uśmieli się, potem pokazywała gościom: „Zenio sobie kupił to, Zenio tamto...". Nigdy nie mówiło się, że my dwoje. A zresztą cokolwiek przyniosłam, było kiepskie, wiejskie i ordynarne...

Nie chodziliśmy ani do kina, ani na zabawy. Siedziałam w kuchni. Z tej roboty to nawet włosów nie chciało mi się wieczorem zakręcić. Typowy błąd – pani mówi? I że miłość małżeńska nie jest przyszpilonym motylem. Czy to znaczy, że trzeba go strzec, aby nie odleciał? Jak?

Mój motyl szedł z dziećmi na spacer. Nigdy nie dostrzegał, że elegancko posprzątam czy ugotuję, zawsze podkreślał przy dzieciach, że on jest alfą i omegą, a matka – co umie? Tylko ziemniaki obierać!

Goście też nie byli ślepi. Ile razy ktoś przychodził, powtarzała się taka sama scena: „Jest Zenek?". „Nie ma". „A jest babcia?" „Nie ma". „No to my już idziemy".

Żegnali się w progu, nie wchodząc, a mnie to bolało.

Jak tyle innych rzeczy...

Ma pani rację, trzeba było zagadnąć o zdrowie, kawą skusić, ciekawym opowiadaniem. Może by weszli. Już dawno trzeba było się odgiąć, a ja wszystko w sobie dręczyłam, starałam się mieć żal w sercu i uciec z nim w mysią dziurę, skąd by mnie nie było widać. To ja sama wypychałam męża na wywiadówki: „Idź, boś ty więcej biegły ode mnie". No i tak się utarło.

Mgła wciąż jest bardzo gęsta, zarysy drzew ledwie majaczą w dole, niskie, krzaczaste, ale realne, co potęguje jeszcze wrażenie podróży nieco ponad światem w bezpiecznej, dobrze izolowanej przestrzeni. Kręgi zagrożeń: zdrada, bezsenność, pogarda tkwią sobie tam w dole jak miny na czas jakiś rozbrojone z mocy rażenia.

– Praca była dla mnie odpoczynkiem. Tylko tam lubili mnie i szanowali. A kiedy poznałam chłopca na ludowej zabawie, matkowali mi nawet... I pomyśleć, że ten sam człowiek w kilkanaście lat później potrafił polecieć ze skargą na komisariat, że jako członek partii nie może patrzeć obojętnie, jak ja ze stołówki zabieram służbową zupę do słoika, żeby tym dzieciom dać, zanim coś w domu skojarzę do jedzenia.

Kiedyś oświadczył mi tak: „Tyś jest szkapa i debil, a ja mam teraz czterdzieści lat i potrzebuję mieć swoje życie".

Nie pytałam, co ma na myśli, sam wyjaśnił: „Ty mi przez trzynaście lat nie dałaś tyle miłości, ile tamta przez jedną noc".

Potem usłyszałam jeszcze: „Mania to siedzi na kolanach i łzy wdzięczności roni, a ty? Wulgarność i pretensje! Coś takiego ci zrobię, żeby ludzie widzieli, żeś wariatka. Popatrz, leżysz i gnijesz w domu, a ja z moją królewną byłem w teatrze!".

I szast mi bilety pod nos, w trosce, żeby nie być gołosłownym.

Jaki mi się wtedy wydał energiczny, jaki wielkopański! I jak tu jeszcze mieć nadzieję, że go pozyskam?

Tamtej robił pranie, tamtej podlewał kwiatki, jej dzieciom wynosił od nas zabawki, jej dzieci odwoził do rodziców, kiedy chorowała. W sądzie zeznał, że

przyjaciółka udziela się społecznie. Pytam, czy z tego powodu moje chłopaki mają wpisywać się do pamiętnika jej najstarszej córki? Powiedziałam: „Jeśliś ty jest w to wciągnięty, toś jest, ale ja nie pozwolę, żeby dzieci". „Nie bój się, Darek – zrobił oko do chłopca – my i tak mamę wykołujemy".

Miękkie, masywne ręce usiłują uchwycić sobie tylko wiadome kształty powietrza. Nasza izolatka chwieje się jak balon.

– Prosiłam syna: „Porozmawiaj z tatusiem, przecież jesteś prawie dorosły". „Jak chcesz, żebym z nim rozmawiał – syn mi na to – tom dorosły, a jak mnie gnasz od telewizora, to tłumaczysz, żem dziecko. O co ci chodzi? Przecież jak tatuś ma inną panią, to ty nie musisz z nami być! Mieszkanie jest babci, a meble tatusia". „Maciek, coś ty – wołam – przecież ja was kocham, ja wam gotuję, piorę...".

Tak. Nasz dom jest teraz odarty ze wszystkiego. Z uczuć, z dobrego słowa...

Co one z tego domu wyniosą? Nawet święta były straszne. Mąż zamknął się w łazience, młodszy syn chodził smutny, mówił, że go głowa boli, a ja cały czas myślałam, żeby się nie rozpłakać. Już kilka lat nie łamiemy się opłatkiem. Więc jak teściowa do mnie podeszła, wyrwało mi się: „Mamusiu, lepiej nic mi nie życz, najlepsze życzenia są na co dzień".

Boże! Jak on skoczył! „Mamo, odejdź od niej, nie słyszysz, co ona mówi?"

I poszedł do tamtej.

Chodziłam, tłumaczyłam jej, że rozbija rodzinę. To mnie oskarżono o pobicie, a pani adwokat napisała, że działam bez żadnego powodu. I że wnioskiem o rozwód sama niszczę własną rodzinę.

A przecież to ja walczyłam o niego, to ja byłam na tyle natrętna, że kiedy kupił dwa bilety na zakładową wycieczkę, dowiedziałam się, kiedy jadą, i poszłam tam nieproszona. Co było dalej? „Jestem żoną" – podeszłam do niej. „A mnie to nie przeszkadza" – ona do mnie. Wtedy mąż wziął ją pod rękę i wprowadził do autokaru. Odjechali, a ja zostałam na placu.

Nareszcie trochę słońca. W jego świetle palce kobiety mną doszczętnie mokrą chusteczkę. Wychodzą z tego na kocu zabawne harce zajączków. Taki sobie niewielki teatrzyk cieni.

– Może ja sobie wmówiłam, że miłość minęła – zastanawia się postać na łóżku. – Ale nie, to na pewno jeszcze we mnie tkwi. Jeśli ja potrafiłam brać go na zazdrość, zakręcać włosy i lecieć w miasto, nóg nie czułam, tak schodziłam sklepy, w kościołach wysiadywałam, żeby więcej czasu zbiegło, i wracałam,

udając zadowolenie… No, czy nie warte śmiechu? Sama śmieję się z tego – wbrew zapowiedzi głos pobrzmiewa klęską. – A on nawet nie zapytał, gdzie byłam i z kim, tylko: „Ile zarobiłaś pod tym dworcem?”.

Kobieta próbuje się opanować resztkami sił, ale mgła już opadła i w dole widać ziemię w całej nagości, a to odbiera odwagę. Jutro trzeba będzie wstać i zejść między swoich.

– Powiedziano mi, że coś ważnego zgubiłam po drodze. Możliwe. Ale ja już nie chcę szukać. Wiem, że jestem niczym, zerem, dnem, człowiekiem bezwartościowym. Chcę spokoju, chcę odejść, nie chcę nic, prócz dzieci, choć może jeszcze go kocham.

Ewa Owsiany, *Linia pod napięciem*, Warszawa: Iskry, 1983, s. 120–131

1983

Ryszard Wójcik (ur. 1937)

Być piewcą i zbawcą

Reporterów dzielę na ukrywających się i celebrantów. Ukrywający się tkwią zawsze cichutko za swoim bohaterem, to on gra w tekście pierwsze skrzypce, a oni pojawiają się tylko wtedy, kiedy muszą, i to najczęściej w dwóch, trzech słowach, wypowiadanych przez rozmówcę. Zaznaczają siebie w tekście jednym czy dwoma pociągnięciami piórka. Bohater mówi: „Powiem pani, że…" lub „Sam pan widzi…", a potem ważna już jest jego historia. Reporterzy ukrywający się są dyskretni, nigdy nie zdradzą, ile wysiłku włożyli w napisanie tekstu. Celebranci za to czczą siebie i swoją pracę, opowiadają o przeróżnych jej aspektach. Takim celebrantem jest Ryszard Wójcik. Swój głośny reportaż o malarce naiwnej Irenie Trzaskowskiej *Bożewilna* w książce *Odmieńcy* (1974) zaczął tak:

> Dręczący „nadmiar" materiału. Dwa pełne stukartkowe bruliony, teka wypełniona listami (przeliczyłem: jest ich pięćdziesiąt cztery), w drugiej teczce – pelurowe odbitki moich wysłanych listów (ponad sześćdziesiąt), kserografy pierwszych na ten temat publikacji, kilkadziesiąt rozproszonych w bezmiarze półwiecza fotografii, no i… film. Kilkaset metrów telewizyjnego reportażu. A także obrazy. Jeszcze pachnące lnianym olejem i farbami, rozwieszone gęsto na ścianach mego pokoju, rozłożone teraz (to zagęszcza atmosferę), z braku miejsca, na podłodze. Jeszcze – pamięć…

Przyznam, że kiedy byłem młody, ujawnianie przez reportera tajników warsztatu bardzo mnie ekscytowało. Kiedy jakiś autor pisał: „sięgam do kieszeni po notes", też marzyłem o tym, że będę sięgał. Było w sięganiu coś magicznego, dowód na to, że reporter jest kimś innym od całej reszty, która tego notesu nie ma. Pamiętam, jak podziałało na mnie wyznanie Ryszarda Wójcika w książce *Reporterów sposób na życie* Marka Millera:

> Jestem ekstrawertykiem niesłychanie egocentrycznym. […] Widzę, że ludzie chcą mówić o swoich sprawach mnie. Odtrącili wiele innych szans, a zwrócili się do mnie właśnie. […] Wiem, że wypełniam tę funkcję społeczną bez żadnej przesady, bez picu. I mnie się wydaje, że jestem w ogóle jednak, cholera, potrzebny!

Reporter był w tamtych czasach Postacią, od której czytelnicy wiele oczekiwali. W opisywaniu rzeczywistości PRL-u był swego rodzaju magiem. Łapał

czas, analizował tu i teraz. To w latach siedemdziesiątych pojawiła się omawiana chyba we wszystkich pismach literackich maksyma, że reportaż powinien wyprzedzać beletrystykę. Reporter był też tym, który może napisać tekst interwencyjny i zmienić kawałek świata. (Władza po lekturze reportażu nierzadko ten kawałek zmieniała, oczywiście nie zmieniając całości). Dlatego też Wójcik uważał, że w tym zawodzie jest się piewcą i zbawcą. „Funkcję zbawiciela pełni reportaż interwencyjny" – oznajmił kolegom na seminarium dla młodych reporterów w Podkowie Leśnej w 1979 roku.

Ryszard Wójcik był równocześnie reporterem telewizyjnym. Jego materiały interwencyjne dla telewizji – w cyklu „Bez apelacji" – często miały odpowiedniki prasowe: w „Sztandarze Młodych", gdzie debiutował w 1957 roku po ukończeniu filologii rosyjskiej na Uniwersytecie Łomonosowa w Moskwie, w „Zarzewiu", „Kulturze", „Perspektywach", „Widnokręgach". Potem tworzył z tych materiałów książki reporterskie, na przykład *Pietę na szkle* (1972).

Jego skupienie się na sobie i swojej roli (czasem nieznośne, kiedy na przykład dodawał w reportażu: „Był to czas, gdym uczepiony kamery telewizyjnej huśtał raz na miesiąc, dwa widownią liczącą już wtedy dobre parę milionów") równoważył talentem. Pisał bowiem świetnie, chwytliwie, z jakąś rozsadzającą teksty energią.

W 1976 roku miesięcznik „Kontrasty" rozpoczął debatę, która ciągnęła się przez kilka numerów – *Czy Wójcik zabija?* Zaczęła się od dwóch tekstów reportera pod wspólnym (niepozbawionym egocentryzmu) tytułem *Dlaczego zabijam?* Opowiedział w nich o dwóch przypadkach śmierci po jego reportażach.

Pierwszy – gdy pokazał w telewizji zdarzenia z fabryki „Gumolit" w Olsztynie. Doszło tam do wybuchu benzyny w magazynie, do którego nielegalnie dostała się pracownica zakładu. Chciała wyczyścić benzyną bieliznę. Metalowe bańki z paliwem stały na cementowej podłodze. Prawdopodobnie potarcie metalu o beton wywołało iskrę. Ciasnota pomieszczeń produkcyjnych była zastraszająca, pracownicy dusili się w oparach chemicznych, bez wentylacji. Dyrektor napadł na ekipę Wójcika, że poluje na przypadki, które zdarzać się muszą, i „dąży do ośmieszenia administracji, kierownictwa zakładu i wybielenia załogi każdym kosztem, nawet kosztem zaniżenia produkcji!". Do programu Wójcika w telewizji wysłał behapowca, który, owszem, nie był bez winy, jednak nie ponosił odpowiedzialności sam. Po audycji do redakcji nadszedł list z informacją od mieszkańca Olsztyna, który widział, jak behapowiec wysiadał na dworcu po powrocie z nagrania. Upadł, dostał zawału na peronie.

W jednej chwili potknął się na śliskiej kostce i upadł. Teczka wypadła mu z ręki i papiery rozleciały się wkoło. Ludzie zaczęli podnosić papiery i jego. Przyjechała karetka... Dopiero teraz dowiaduję się, że to ten behapowiec z „Gumolitu", co występował w „Bez apelacji". Ludzie mówią, że on umarł z powodu tej audycji. Jeśli to jest prawda, to ja się domagam podania tego do publicznej wiadomości, bo do czego to dochodzi, żeby zakrytykować człowieka na śmierć.

Druga historia ze śmiertelnym finałem dotyczy negatywnego bohatera reportażu, który został dyrektorem Instytutu Konstrukcji Dachowych, a nie miał nawet matury, co ukrył. Dwa dni po ukazaniu się tekstu Wójcika w druku opisywany człowiek zmarł na zawał. Do redakcji zaczęły napływać listy od całych grup społecznych oburzonych postępowaniem reportera, który przyczynił się do śmierci człowieka. Żona zmarłego dzwoniła do domu Wójcików przez wiele lat z inwektywami, zwłaszcza w święta, co reporter skrzętnie dokumentował.

„Kiedy reporter twierdzi, że zabija, trzeba mieć się na baczności, bo może słowa te dyktuje mu rozpacz" – napisała redakcja „Kontrastów", otwierając debatę. Wzięło w niej udział kilkanaście osób.

Na przykład sędzia Michał Kulczycki – w dyskusji uniewinniał Wójcika, bo jego zdaniem reporter „mimo swego talentu nie miał możliwości przewidzenia, że wskutek jego działalności obu panów zaatakuje śmiertelny zawał serca". Nie miał też obowiązku wcześniejszego sprawdzania, czy opisywane przez niego osoby są zagrożone zawałem.

Dziekan Wydziału Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego Bronisław Gołębiowski pisał, że należy pamiętać: reporter jest pisarzem „frontowym", już zbierając materiał, narusza układ społeczny i wprowadza weń element niepokoju i ryzyka.

Profesor Akademii Medycznej w Białymstoku Andrzej Kaliciński napisał ostrzej: nie Wójcik zabija, ale „mściwy, bezwzględny mechanizm władzy, opartej na fałszu".

Krytyk literacki Aleksander J. Wieczorkowski podkreślał, że to fikcyjny problem moralny, a Wójcik nie powinien mieć żadnych wyrzutów sumienia – czy miał nie powiedzieć, że „król jest nagi, skoro królewscy krawcy mają słabe serca"?

Z reporterów wypowiedział się m.in. Krzysztof Kąkolewski, który pisał, że w postawie Wójcika widzi radość z sukcesu dziennikarskiego: piszę z taką siłą, że zabijam. Reporter nie może odgrywać wielkiej roli, nie zaznawszy cierpień. Uważa jednak, że Wójcik należy do grupy reporterów fałszywie rozumiejących

funkcję reportażu. Sukcesem jest dla nich „załatwienie sprawy". Widzą siebie jako demiurgów, a nie opisywaczy. Tymczasem od załatwiania spraw są urzędy.

> Służbą społeczną reportażu jest zaś budzenie emocji, wzruszanie czytelników, skłonienie ich do myślenia nad sobą.

Ryszard Wójcik był także autorem telewizyjnego cyklu *Po bitwie* (1988), który zaowocował przeprowadzeniem udanych akcji wydobycia z bagien i rzek wraków transporterów z drugiej wojny światowej, czołgów i samolotów dziś eksponowanych w muzeach i kolekcjach. Wciąż uparcie szuka świadków zdarzeń, gromadzi świadectwa. Jego książki: *Potwory wychodzą z ukrycia* (1996), *Łowcy potworów* (2003) i *Potwory atakują* (2009) mają swoją grupę wielbicieli. Obecnie Jerzy Wójcik pracuje nad książką wspomnieniową *Spowiednik wiatru*. Jak mówi – o sprawach, które przyniósł mu wiatr historii, a które w swoim czasie nie mogły wybrzmieć, ani w telewizji, ani w reportażu.

Jego tekst zza kulis telewizji, który prezentujemy w antologii, pomysłem przypomina film. Symultaniczne opowieści: o człowieku, który podczas okupacji wpadł na nietuzinkowy i odważny jak na tamte czasy pomysł, oraz o reporterze, który chce jego historię zaprezentować w telewizji początku lat osiemdziesiątych. Polecam Państwa uwadze, w jak szczególny sposób druga wojna światowa splata się tu ze stanem wojennym.

Zatrzymane w kadrze. Notatki ze Studia 2[1]

Wszyscy się dziwili: osiemdziesiąt lat już przekroczył? I nie pojechał windą na czwarte piętro, tylko poszedł schodami, jakby nawet tego nie zauważając. I dużą kawą wypił, doprawiając z piersiówki koniaczkiem. Śmieje się, pieprznie dowcipkuje, srebrne włosy zaczesuje à la Maurice Chevalier, z niedzisiejszą elegancją, zaglądając przy tym do lusterka, bez żenady, jednym słowem – *bon vivant*. Połowa redakcji słyszała, jak kierowniczka produkcji Renia K. wydzwania na jego numer w Krakowie i płonie przy tym jak róża – takie tam różne przaśności prawi na koszt telewizji Tadeusz F., umawiając się nie tyle na udział w moim programie, ile na randkę z fertyczną Renatą K.

Wszystko szło więc jak po maśle i mój błogostan trwał aż do chwili, gdy przed południem w pierwszym dniu lutego (1983), witając się z Tadeuszem F. wysiadającym z krakowskiego pociągu, chwyciłem kurtuazyjnie jego walizkę, a raczej neseserek, który od razu wydał mi się zbyt lekki...

– Panie Tadziu, a nie zapomniał pan aby w wagonie pakuneczku z najważniejszym?

Pan Tadzio stanął jak wryty na peronie, spojrzał na mnie krągłym osłupiałym okiem i zbił z czoła kapelusz dłonią. Czoło zalśniło potem:

– Taż on leży na stole!

– Na stole... w Krakowie? – upewniłem się dla większego hiperrealizmu. – Jakże my bez tego do studia...

– A ono, studio, kiedy? – jutro! – szmat czasu, mój panie. Latają pociągi wte i wewte, siądziemy i przywieziemy. Chyba że telewizja kosztów nie pokryje? – zaniepokoił się raptem i zerknął na mnie trzeźwo. – No i co się pan martwisz, głupstwo wyszło, moja wina to i ja naprawię...

Odjęło mi mowę. Sypał się mój program w diabły. Na jutrzejsze nagranie miałem d z i s i a j zamówiony stół montażowy szesnastkę, z asystentką, i to ledwie, przez znajomość, na godzinę; wieczorem umówiłem brata Andrzeja do mnie do domu z pożyczonym przez niego projektorem 2×8 mm i na tę okazję pożyczyłem od Mirka specjalny ekran perełkowy, a Maja zrealizowała kartkę na mięso z kością... Pal licho! Jakże ja się jutro z tym wszystkim połapię, skoro filmu jeszcze nie oglądałem, taśma celuloidowa n i e t y k a l n a, zupełnie dziewiczy dokument, żarówką projektora nieprześwietlany od lat ilu? Kruchy i nienadający się do szybkiego przewijania...

[1] Studio 2 – cykliczna audycja nadawana w latach 1974–1983, był to pierwszy w Polsce wielogodzinny blok programowy nadawany początkowo w telewizyjnej dwójce, potem – w jedynce. Prowadzony bardzo nowocześnie, przyciągał ogromną publiczność. Popularne były zwłaszcza nowatorskie wówczas audycje na żywo, teleturnieje, programy rozrywkowe i publicystyczne, zagraniczne filmy i seriale.

Człowiek, który stał teraz przede mną, ten elegancki przedwojenny pan, znowu beztrosko uśmiechnięty i nieświadom mej rozpaczy, był dla mnie czymś w rodzaju niematerialnej zjawy: to właśnie on nakręcił ukrytą kamerą jedyne zachowane do dziś filmowe sceny z okupowanego miasta z postaciami umundurowanych hitlerowców w kadrze. Tylko on jeden w całej Polsce może się pochwalić posiadaniem własnego reportażu filmowego kręconego w leśnej partyzanckiej enklawie... Pomyśleć tylko! Za okupacji sprzedawano kamery szesnastki w niemieckich sklepach, można je było nabywać przez podstawione osoby razem z taśmą; kamer ósemek już przed wojną mieli hobbyści amatorzy jeśli nie na tysiące, to na setki, a przecież historycy dokumentu filmowego zgodni są co do kwestii, że nie przechował się do naszych dni filmowy zapis codziennego życia w okupowanym kraju, choć kamerę można było ukryć równie przemyślnie w koszyku, pod płaszczem, w oknie czy szczelinie muru, jak chowano, ryzykując życie, pistolet, granat, bibułę... I nie mógł stanowić przeszkody koszt pieniężny taśmy, bo jeszcze droższa była amunicja, drukarska czcionka i podrobiona pieczęć. Raz jeszcze objawiło swą siłę prawo wysłowione trafnie przez Iwana Pawłowa: W głowie nie ma idei – oczy nie widzą faktów. Bo nie mieli tej idei „w głowach" szeregowi bojownicy podziemia i ich dowódcy, skoro... nie filmowano. Jeno legenda głosi, że raz i drugi taką próbę podjęto, ale taśma przepadła... Hokus-pokus! Czy nie rozpłynie się w lutowej mgle i ten oto dopóki co – realny – Tadeusz F.? Nigdy dotąd na szklanym ekranie nie pokazano wszystkich jego filmów, nie miał i on sam okazji opowiedzieć, jak to właściwie było: skąd ten pomysł filmowania na oczach Niemców, jakie przy tym przygody, a wreszcie, u licha – dlaczego tak późno objawia się ta cała historia?

Pomyślałem: żeby tylko jakiś pech nie wszedł nam w drogę... Skoro udało mi się pana Tadeusza F. zwabić do studia, namówić do pokazania dziewiczego oryginału pamiętającego lata wojny – nagle oto głupi psikus pamięci stawia całą sprawę pod znakiem zapytania...

– Nic się pan nie martw – odgadł chyba moje myśli – pociągiem wieczornym skoczę do Krakowa, a tym porannym, o widzi pan, wrócę jutro. Przedwojenne lwowskie słowo honoru!

Jest się przesądnym czy się nim nieraz bywa? Irracjonalnie niepokoił zapamiętany szczegół: będąc pierwszy raz na dokumentacji u pana F., rozgorączkowany ziszczeniem się tego naszego spotkania – bo uwierzyłem pewnemu krakowskiemu informatorowi, że Tadeusz F. dawno już w zaświatach... – wsłuchany w jego rzeźką, skrzącą dowcipem gawędę, włączyłem po cichu pod stołem mój magnetofon, który... nie wystartował! Pękła sprężyna sprzęgła.

Kontrolne światełko wskazywało normalną pracę silnika... Dopiero gdy minęła godzina i ten najsmaczniejszy kęs opowieści miałem już, rzekomo, na taśmie – zajrzałem ukradkiem pod pokrywę uhera[2] i ujrzałem nieruchomy krążek szpuli. No tak, piszącemu do gazet koledze wyda się ten epizod śmieszną błahostką – wielkie mi zmartwienie, że nie ma tej gadaniny w pudełku, skoro najważniejsze fakty i tak zarejestrowała moja pamięć, a reszta, tło, szczególiki, te tam intonacje, podbarwienia i emocje to dla reportażu zbędna „literatura"... Ja jednak już od dawna szukam ludzi i tematów nie tyle do opisania, ile do wysłuchania i obejrzenia, a głos ludzki – w szczególności właśnie głos – utrwalony, zapisany na taśmie lub płycie czy na ścieżce filmowej, jest nieprześcignionym środkiem przekazu osobowości, kluczem do jej wnętrza, wytrychem do jej najgłębszych tajemnic. Słuchając czyjegoś głosu, zapisanego na taśmie, widzę wyraziściej tego człowieka, niżbym go oglądał, patrząc na fotografię, czy patrzył na żywego, gdy milczy. Głos podpowiada mi więcej.

– Panie Tadziu, do pociągu powrotnego mamy jeszcze pół dnia, chodźmy zatem do mnie, coś tam przekąsimy, a przy okazji nagramy sobie na rozgrzewkę to i owo na taśmę...

Chętnie się zgodził. Poszliśmy do mnie na „magnetofonowy" obiad.

Z taśmy studyjnego nagrania:

– ...Pamiętam jak dziś. Było to 30 września 1939 roku. Szedłem sobie ulicą Basztową w stronę dworca kolejowego. Spojrzałem jak zwykle na pomnik Grunwaldzki... Co to? Ogrodzili go niskim, byle jakim parkanem i – widzę – rozbierają! Stoją dwaj uzbrojeni Niemcy i pilnują cywilów, którzy już z kilofami i łomami krzątają się tam od dłuższego czasu. Zaraz przyszła mi myśl: dobrze byłoby sfilmować to barbarzyństwo niemieckie. Odezwała się żyłka filmowca. Niech to diabli!... Kamery ze sobą nie miałem, nie miałem też taśmy. Mocno tego żałowałem. Ale pomysł już się we mnie zalągł. Nie dawała mi ta myśl spokoju. Postanowiłem przygotować się na przyszłość, miałem własną kamerę filmową 8 mm, przed wojną nakręciłem kilkanaście prywatnych scenek filmowych na domowy użytek, znałem możliwości tego skromnego aparaciku, ale – dobre byłoby i to: gdy się wojna skończy, będzie można pokazać ludziom, jak Szwaby w Krakowie gospodarzyli. Już oni sami starali się o to, żeby mi tematów nastręczyć... Minął może miesiąc, może dwa – słychać, że wywalają z Wawelu pomnik Kościuszki, gubernatorowi Frankowi mocno przeszkadzał... Jeszcze nie zdążyłem się w taśmę zaopatrzyć – już było po pomniku. Dopiero w pierwszym półroczu 1940 roku zdobyłem kilka rolek marki Agua i czekałem na kolejną okazję. W drugiej połowie sierpnia 1940 roku dobrali się do

[2] Patrz s. 322, przyp. 1.

pomnika Adama Mickiewicza na Rynku krakowskim – Rynek przechrzcili już na Adolf Hitler Platz. Dowiedziawszy się o tym, poszedłem z „ósemką" na Rynek i widząc, że pomnik lada chwila runie, zacząłem kręcić się po placu, szukając miejsca, z którego mógłbym bezpiecznie filmować... Było to ryzykowne, bo oprócz uzbrojonych żandarmów wśród przechodniów musieli być tajniacy, a moje zabiegi dostrzeżono by niezwłocznie... Ale obok jest kościół Mariacki! Pobiegłem do proboszcza i zacząłem go prosić, żeby mnie wpuścił na wieżę, ale on się mocno wystraszył i nie pozwolił mi tam wejść. Plułem sobie w brodę, że do niego poszedłem, powinienem był pójść do kościelnego i on by mnie z pewnością przepuścił, zresztą... w tym czasie Polacy byli na ogół ostrożniejsi i mniej skłonni do ryzyka. Może dlatego, że każdy pamiętał tę straszną klęskę wrześniową, wróg wydawał się taki potężny – sam nie wiem...

– Więc tego tematu pan nie nakręcił?

– Nie dało się. Ale ktoś był cwańszy ode mnie i – pstryknął zdjęcie akurat w chwili, gdy pomnik się walił... Widziałem po wojnie te fotografie w prasie. Aparat fotograficzny to co innego, można się z tym skryć, zrobić przez otwór w jakiejś torbie albo przez dziurę w płaszczu. Co innego kamera: trzeba najpierw nakręcić sprężynę, odpowiednio wycelować, wysunąć, trudniej to utrzymać w odpowiedniej pozycji...

– Fotografować pan nie próbował?

– Nie. Gdybym miał rozkaz tajnej organizacji, tobym pewnie jakoś zaczął, a tak byłem najpierw długo „cywilem", przez cały rok 1940 i 1941 szukałem kontaktu z naszym podziemiem, o którym już wiele słyszałem, ale sam jakoś nie miałem szczęścia trafić na właściwego człowieka. W końcu spotkałem znajomego sprzed wojny, buchaltera Towarzystwa Górniczo-Przemysłowego „Saturn" w Czeladzi – Przewoźniczka. On mnie znał jako inżyniera górnika, miał o mnie swoje zdanie. Ja się go nie pytałem, co to za organizacja, ważne było, że ona walczy z okupantem... W ten sposób wstąpiłem do AK. Przysięgę złożyłem 1 grudnia 1942 roku przed moim dowódcą Tadeuszem Kotem – „Korabem" i w obecności Zofii Kupiec, po mężu Rosiak – pseudonim „Teresa". Działo się to w Krakowie, w moim mieszkaniu przy ulicy Brackiej 13.

Przydzielono mnie do KIP-u, czyli do Kierownictwa Informacji i Propagandy. Przyjąłem pseudonim „Jagoda". Miałem duży niekrępujący pokój, mieszkanie sąsiadowało z Komendą Schutzpolizei przy Franciszkańskiej – jakieś trzydzieści, czterdzieści kroków, nie więcej... Wedle zasady, że „najciemniej pod latarnią" – dowództwo uznało mój lokal za bardzo bezpieczny. Tu odbywały się zebrania, szkolenia z zakresu władania bronią, łączności konspiracyjnej, redagowania i kolportowania pism konspiracyjnych. Z mojego mieszkania

roznoszono prasę konspiracyjną na cały okręg… Codziennie o piętnastej przychodziły łączniczki: „Krystyna" (Irena Porzycka), „Teresa" (Zofia Kupiec), „Ninka" (Rena Bojanowska), „Szarotka" – z zawodu nauczycielka o nazwisku do dziś mi nieznanym, i inne. Razem rozdzielaliśmy prasę według rozdzielnika, który Komenda Okręgu powierzyła w moje ręce. Do siedemnastej już było po robocie. Dla łączniczek zaczynała się najbardziej niebezpieczna część zadania. Wychodziły ode mnie z pakietami „bibuły" i udawały się na ustalone punkty, tam zostawiały „towar" w skrytkach albo oddawały znajomym łączniczkom. Obowiązywała żelazna punktualność, nie wolno się było spóźnić więcej niż dwie minuty. W każdą sobotę łączniczki rozwoziły prasę poza Kraków, do Bochni, Kalwarii Lanckorońskiej, do Krzeszowic, do klasztoru w Czernej na punkt przerzutowy na Śląsk…

– Pracując w samym sercu ośrodka podziemnej propagandy nie pomyślał pan o stworzeniu osobnej komórki filmu dokumentalnego?… Miał pan przecież taki odruch w pierwszych miesiącach okupacji…

– Ba! To był „odruch cywila"… Myślałem wtedy o użytku, jaki z tej dokrętki można będzie zrobić po wojnie. Z chwilą gdy zaczęła się dla mnie prawdziwa robota podziemna, kiedy miałem w ręku pachnącą farbą drukarską „bibułę", która już jutro dotrze do ludzi, niosąc najświeższe komunikaty, instrukcje, poglądy dowództwa, ta sprawa „dokumentu na potem – po wojnie" – stawała się czymś mniej ważnym. Myśmy przecież nie mieli własnej sieci podziemnych kin, do których za biletami można by zwoływać publiczność…

– Dziś jednak każdy metr takiej podziemnej kroniki, kręconej – gdyby była kręcona! – w okupowanym Krakowie, byłby na wagę złota… Do pożółkłych pisemek z lat okupacji sięgają teraz tylko historycy, specjaliści, a pańskie taśmy filmowe i za sto lat mówić będą językiem uniwersalnym z ekranu…

– To jest rozumowanie *ex post*… Zwyczajny błąd „ulepszonej głowy": chce pan, bym myślał w roku 1942 tak, jak myślę dziś? Widocznie nie ja jeden tak myślałem, skoro filmów się nie kręciło… Zresztą – dochodziła jeszcze do tego obawa, że to jest zbyt „luksusowe ryzyko" na wypadek wsypy: swoich filmować w akcji nie należało, bo każda klatka byłaby wyrokiem śmierci dla osoby sfilmowanej czy sfotografowanej, a filmować to, co się działo na ulicach?… Każdy i tak zapamięta, kto przeżyje…

– A jednak!… Któregoś dnia bez rozkazu dowództwa wyszedł pan z kamerą na ulice Krakowa i zaryzykował…

– I pan by zrobił to samo… Ten widok Szwabów, po pięciu latach ich panowania, gdy odstępując przed Armią Czerwoną, wloką się ulicami Krakowa „na z góry upatrzone pozycje" – w tym lipcowym upale czterdziestego czwartego…

I nastał dzień następny. Scena jak w powielonej raz jeszcze filmowej retrospekcji: stoimy obaj na tym samym peronie Dworca Centralnego, ja wyciągam rękę po walizeczkę, ważę przez chwilę wyczuwalny ciężar, śmiechem pokrywam zdenerwowanie i ulgę, zapalam silnik skody, ruszamy – tym razem naprawdę do studia.

Stół montażowy zamówiony na wczoraj – przepadł, Renata K. czaruje Kasię M., montażystkę, by oddała kawałek swego stołu choć na pół godzinki, wiadomo, że pół godzinki nie starczy, ale na to jest sposób: teraz Renia funduje Kasi kawę (na swój koszt), potem wpisze jej „usługę" do kosztorysu, jakieś dwieście złotych, może S. ten kosztorys zatwierdzi. Gorzej z delegacją dla Tadeusza F., bo jak tu uzasadnić jego dwukrotną podróż z Krakowa do Warszawy? Zapomniał? Kogo to obchodzi. Film absolutnie unikalny, a bohater ma już po osiemdziesiątce... *Ganz egal!* Zakwestionują. Wypiszemy świstek na Mirka. Fotoreporter. Miał prawo jechać. Stały współpracownik. *Okay*. Może jemu rozliczą. Idziemy wreszcie do montażowni. Żeby tylko zobaczyć materiał. Co tam jest na tych taśmach, zwłaszcza na tej wąskiej ósemce, której po wojnie poza Tadeuszem F. ludzkie oko nie widziało... Sprężynę w kamerze nakręcił, wyniósł aparacik na balkon i tam spokojnie ułożył na płask; prosto przed tym leżącym obiektywem przez placyk oblany słońcem ruszyła niemiecka kolumna wojska: wehrmachtowcy na transporterach, motocykliści, ciężkie armaty i czołgi... Jakiś rikszarz stanął w poprzek tego pochodu, zawrócił, ludzie niepewni przystanęli na chwilę na chodnikach, ktoś wyjrzał przez okno naprzeciw i skrył się za firankę... To zapisałem wczoraj na taśmę głosem Tadeusza F. I mam w mojej kieszeni tę taśmę jak w banku. Ale... gdzie jest nasza Renata K.? Zmaga się właśnie z redaktorem S., który nie chce słyszeć o podpisaniu „podwójnej" delegacji, czy też biegnie po kolejną kawę dla mechanika z działu wypożyczeń sprzętu, bo tam znów kolejna siurpryza: nie mają kamery ósemki, a więc nie da się wyświetlić tego filmu kręconego „na płask" z balkonu... W złą chwilę pomyślałem o tym, bo właśnie zjawia się w długim na kilometr korytarzu nasz anioł stróż z niedobrą nowiną: w całej telewizji jest jeden rozpieprzony projektor na wąską taśmę, ale „chwilowo" bez bębna przewijającego ósemkę... słowo „rozpieprzony" doleciało niestety do ucha Tadeusza F. który spojrzeniem zamglonym pieści Renatę K., ale uchem profesjonalnym pochwycił groźny sygnał:

– Znaczy się... jak „rozpieprzony"! Ja filmu haratać nie dam! Gdzie on jest ten mechanik i za co on pieniądze bierze?

Zdumienie Tadeusza F. jest przeogromne. Tu miasto stołeczne, tu telewizja na całą Polskę i żeby... brakowało głupiego projektora? On, Tadeusz F., ma

znajomych w Krakowie bez liku, on by pożyczył w try miga dziesięć projektorów i tu stan wojenny nie ma nic do rzeczy.

Patrzę na zegarek – do nagrania w studio zostało jeszcze cztery godziny; muszę więc jechać na miasto i wypożyczyć od kogoś odpowiedni bęben do tego projektora, ale oto zjawia się montażystka Kasia M. i z miłym uśmiechem oznajmia, iż właśnie otwarła drzwi montażowni i dobrze będzie, jeśli wejdziemy tam niepostrzeżenie z naszymi skarbami i nie narobimy hałasu... Ten reżyser, który dzisiaj z nią montuje (mrugnięcie oczkiem), „nie musi wiedzieć, że tam jesteśmy", bo właśnie dzwonił do dysponentki i usłyszał, że „stół chwilowo w remoncie"... Oto uprzejmość: jeden zyska – drugi traci.

– Nie macie stołów rezerwowych? – pyta naiwnie pan Tadeusz F. Z kolei ja mrugam do Renaty: niech odwróci uwagę naszego bezcennego gościa od tego fatalnego bębna! – Gadaj, Reniu, o stole!...

– A może my z panem robimy jakąś nielegalną robotę?... – odciągnąwszy mnie za rękaw, pyta już mniej krotochwilnie bohater mego programu. – Wszyscy tu mają „chody", a pan coś nie bardzo...

Stoimy jeszcze w korytarzu na trzecim piętrze, gdzie ruch największy – ja w ciągłej rozterce, czy mam „skakać" na miasto w poszukiwaniu bębna, czy zabrać się wreszcie do przeglądania filmów na szesnastce, tych samych, które nadal trzyma pod pachą w pudełku mój gość. Ja ich jeszcze nie widziałem! Ta krótka chwila niepewności... Ręka, która żelaznym chwytem ucapiła mnie za ramię, należy do redaktora C. odpowiedzialnego za najbliższy blok programowy. Zdyszany sapie, odciąga mnie na bok i obwieszcza, że „znów coś jest nie tak"... – Co ma na myśli?

– Gdzie ten pański scenariusz? I w ogóle są zastrzeżenia...

– Jakie zastrzeżenia? – Scenariusz w czterech egzemplarzach złożyłem w sekretariacie tydzień temu, a jeśli „mają zastrzeżenia", to znaczy – czytali!...

– To nie jest gadka na korytarz! – strofuje mnie spojrzeniem odpowiedzialny C. i gestem wskazuje drzwi swojego pokoju.

Nie ma rady. Proszę, by Renata zakonspirowała się z Tadeuszem F. w montażowni, i niech zacznie ten przegląd filmów beze mnie... Za chwilę wrócę.

Odpowiedzialny C. najpierw siada za biurkiem, a potem wali wprost:

– Pan nie będzie nagrywał.

– Dlaczego?

– Pan robi z tego wielką sensację, a „Czołówka"[3] ma już te filmy u siebie od dawna... I w Krakowie coś o tym kręcą...

– Kręcą! Właśnie: „kręcą", a nie mówią prawdy... Czy powiedzieli panu, ile ten człowiek ma lat? Jak długo jeszcze chcą tak „kręcić" i odwlekać!...

[3] Wytwórnia Filmowa „Czołówka" – jedno z najstarszych polskich studiów produkcji filmowych.

– Bez gorączki, spokojnie… pan zbyt narwany… Możemy ostatecznie nagrać na półkę, poleży, kiedyś się to puści…

– Ja chcę teraz! Tadeusz F. nie ma czasu na „kiedyś”… Czy pan się orientuje, co to za materiał w tych jego pudełkach? W całej Europie nikt pod okupacją nie kręcił ukrytą kamerą tak bezczelnie na oczach wroga… Czy pan wie, że tam jest scena łapanki w Krakowie filmowana z odległości paru metrów, widać gestapowców w kadrze, widać, jak zapędzają na auta swe ofiary… Takie filmy należałoby pokazywać na festiwalach za granicą, wszędzie… Powinien pan mi podziękować, że napędzam taki temat do pańskiego bloku, a nie – przeszkadzać!

Odpowiedzialny wstał z kamienną twarzą i podał mi karteczkę…

– Tu jest numer do „Czołówki”, musi pan z nimi wyjaśnić…

Ta rozmowa. Ja przy telefonie, a obok Tadeusz F., którego poprosiłem, by mi towarzyszył. (To wszystko jeszcze p r z e d „rozebraniem” przeze mnie filmu na stole montażowym – na trzy godziny przed nagraniem w studio!) Tadeusz F. wielce skonfundowany: nie wspomniał mi dotąd ani słówkiem, że p r z e d o ś m i u l a t y (!) przywiózł do Warszawy swój rewelacyjny dokument i za cenę wykonania jednej kopii pozwolił dokumentalistom „Czołówki” na zrobienie wiernej repliki z całego materiału… Jedynie małą rolkę „ósemki”, właśnie ów kręcony z balkonu epizod przemarszu Niemców przez Kraków (około siedmiu minut projekcji), pozostawił w domowym archiwum nietknięty.

– Jaż myślał, że oni się zainteresują, zrobią jaki film, pożytek z tego będzie i Polska się dowie… – tłumaczy teraz zmieszany i zerka na mnie niepewnie. – Jakiś kłopot z tego będzie?

– Halo! Czy rozmawiam z redaktorem Z.?… Czy widzi pan jakiś problem w wykorzystaniu przeze mnie filmów Tadeusza F. dla mego programu *Zatrzymane w kadrze*?

Słuchawka wypełnia się komplementami pod adresem mej audycji, padają wyrazy uznania dla „zapobiegliwości, inicjatywy i nosa pana redaktora, który z igły zrobi widły, a między plewami znajduje perły”: tak, owszem, dokumenty okupacyjne Tadeusza F. znajdują się w drodze do realizacji osobnego filmu i byłoby poniekąd niewskazane, aby tak głośna audycja eksploatowała dziewiczy materiał, może nieco przedwcześnie…

– Jak dawno „znajduje się w drodze” na ekrany ów szykowany przez pana film? – mówiąc to widzę, jak Tadeusz F. rozpościera swą prawą dłoń, wszystkie pięć palców i dodaje do nich jeszcze trzy palce z lewej… – Chyba dość dawno: osiem lat to okres, w którym powstawał i schodził z ekranów chyba najdłuższy serial telewizyjny świata…

– To nie ma nic do rzeczy! – parska gniewnie do słuchawki mój rozmówca, redaktor Z.

– Owszem, ma – i to aż nadto wiele... „To" ma swoje osiemdziesiąt lat!

W słuchawce po tamtej stronie na dłuższą chwilę zalega cisza – bezceremonialność mego upomnienia rozgrzeszyła najwidoczniej redaktora Z. – już nie parska z urazą, a grzmi mentorsko z bezpiecznej wysokości zajmowanego stołka:

– Radzę mnie nie szantażować tą demagogią!... Ma pan, zdaje się, jakichś zwierzchników nad sobą, nie?... A może liczy się tylko pańskie widzimisię, co? Jeśli się nie mylę, to w waszym studiu pełni obowiązki komisarza wojskowego pułkownik K.?

– Mam przyjemność znać pułkownika K. i za chwilę poinformuję go o naszej rozmowie... – rąbię bezzwłocznie.

– Radzę się pofatygować już w tej chwili... Myślę, że to pana wytrzeźwi... – nieomal z tryumfem „doradza" mi znowu redaktor Z.

Do wyciągniętej dłoni Tadeusza F. pakuję słuchawkę, w której jeszcze bulgoce, mnożąc pogróżki, „ustosunkowany" mój rozmówca. Żałuję wielce, że nie jest to wideotelefon: byłby niebywały seans pantomimiczny... Tadeusz F. z wyrazem kompletnego osłupienia na twarzy wysłuchuje przez chwilę bulgotania, ale prędko kamienieje i gubi resztki jowialnej pogody.

– Taż stój pan!... Coś taki mocny i pewny swego?... Do kogo ta mowa? Ja niebojący taki. Jak trzeba będzie, to do generała też drogę znajdę, list od niego mam w kieszeni... Jak to – kto ja taki!... Jaż sam do telefonu gadam – inżynier Tadeusz F. dobrze panu znany... I nie ma co przepraszać. Cały czas słucham, stojący obok, co się tu wyrabia... I faktycznie żarty pan sobie robi z osiemdziesięcioletniego człowieka! Ja, panie, n i e m a m c z a s u c z e k a ć!... Co to ja panu duszę razem z tym filmem sprzedał? Za to w rączkę mnie pocałować trzeba, że taki dokument ja wam pokazał, a że wy go z a p u d e ł k o w a l i, Bóg raczy wiedzieć czemu, to mnie przeprosić by wypadało, a nie androny prawić...

Zostawiłem Tadeusza F. całego w lilach i pąsach z żyłą nabrzmiałą groźnie (niestety) pośrodku czoła, uczepionego słuchawki niby rozsierdzony brytan przy odbieranej mu kości – i wybiegłem do pokoju komisarza K. Ten kwadrans zadecyduje o moim programie. Szczęśliwy traf... Właśnie otwarły się drzwi i stanęli w nich obaj – komisarz K. i redaktor odpowiedzialny C. Ten ostatni na mój widok jakby się nieco zmieszał i właściwie znikł w jednej chwili, pułkownik natomiast z lekka rubasznie pchnął mnie do swego gabinetu; nim usiadł przy stoliku – już wiedziałem wszystko: podobno robię „ryzykowną audycję" (wyrażenie redaktora odpowiedzialnego), co wynika z mego, o tutaj,

scenariusza (ach, więc scenariusz istnieje!) – zaznaczone w nim są te „poślizgi", które w aktualnej sytuacji „mogą zabrzmieć dwuznacznie"... Co to za „poślizg"? Ano, takie niby niuanse, ale po co się tak egzaltować tą konspiracją, tym podpatrywaniem zza węgła i filmowaniem z ukrycia... To się może wielu ludziom źle kojarzyć, może nasuwać pewne pomysły i domysły...

– Pan mówi to od siebie, panie pułkowniku?

– Cytuję cały czas pańskiego skądinąd kolegę C.

– Jego zdanie, a raczej – zwykły brak własnego zdania – są mi dobrze znane. Interesuje mnie, co pan o tym sądzi! Proszę mi wierzyć, ale dzisiaj gramy o najwyższą stawkę... Może się bowiem zdarzyć, że już nigdy nie zobaczymy tych filmów przywiezionych z Krakowa przez Tadeusza F., a jeśli do tego dojdzie, to ja...

– W gorącej wodzie pan kąpany! Za to właśnie lubię pańskie programy, że pan się w nich cały pali... Widać, że lubi pan swoją robotę, ot co! Ja nie cierpię wymoczonych śledzi...

Komisarz, wielkie masywne chłopisko o twardej, ciosanej grubo twarzy, szturchnął mnie żartobliwie łokciem w bok.

– Głowa do góry! Przesadzają z ostrożnością ci pańscy koledzy – zwierzchnicy... Z igły robią widły, a faktycznie trzęsą się o swoje posadki. Gdyby tak spojrzeć ich okiem na naszą historię, to wszędzie jakaś aluzja się nasuwa... Chodźmy z panem pod pomnik pułkownika Kilińskiego i wyjmijmy mu z ręki tę szabelkę, wyrwijmy co drugą kartkę z podręcznika historii, bo ktoś tam w jakiejś sprawie za śmiało sobie poczynał... Ja coś panu powiem: obserwuję tę kuchnię dziennikarską z bliska i widzę, że najgorsza cenzura to siedzi – o, tu! – w każdym z was! Co?... myślę, że mi pan nie zaprzeczy...

Zapamiętane:

Mój pierwszy program z cyklu *Zatrzymane w kadrze*. Nagranie studyjne w dniu 3 lipca 1978 roku.

W studio – jedynie prowadzący Ryszard Wójcik. Stoi przed dużą nastawką, będącą kolażem fotokopii ze starych fotografii. Na fotografiach sceny miejskie z pierwszych dziesięcioleci xx wieku, typy charakterystyczne, architektura Warszawy lat dwudziestych, sceny malownicze itd. Na wielkim stole nowoczesny sprzęt fonograficzny: adapter, magnetofon, kasety i płyty, albumy fotograficzne, luźne pocztówki... W tle: archaiczny gramofon z wielką tubą, staroświecki aparat fotograficzny na trójnogu – rekwizyty tak przemieszane, iż przypominają bardziej kramik osobliwości mistrza Lepianko[4].

Prowadzący mówi do kamery:

[4] Gracjan Lepianko – znany warszawski konserwator dzieł sztuki.

– Proszę państwa! Znowu jak przed laty wybrałem się do sklepów z płytami, do księgarń pod ten sam adres: warszawski Nowy Świat, Marszałkowska, Aleje, Stare Miasto... To samo banalne, rzucone za ladę pytanie: czy znajdę, proszę pani (pana), jakąś choćby jedną płytę z nagranym głosem polskiego pisarza, poety, męża stanu, uczonego, filozofa, podróżnika?... Wyjaśniam pospiesznie: nie chodzi mi o „montaż słowno-muzyczny", melodeklamację, śpiewogrę czy inscenizację! – interesuje mnie wyłącznie surowy autentyk dokumentalny, zapis dźwiękowy zdarzenia lub wypowiedzi...

(Następuje moja relacja o dziwacznej rozmowie ze sprzedawcami w księgarni, opis absurdalnego dialogu, z którego wynika, że płyt takich i kaset nie zdarza się widzieć, były dawno jakieś płyty, chyba z Gałczyńskim, ale czy były na pewno? W końcu gdzieś z kąta magazynu pojawia się wydobyta mała płyta z głosem... samego Przybosia!)

Prowadzący pokazuje z tryumfem tę niebywałą zdobycz i delikatnie niby relikwię kładzie na swój adapter i gestem nakazuje słuchanie: z głośnika dobywa się wibrujący emocją, wspaniale modulowany głos poety, recytującego poemat *Równanie serca*...

(Inspicjentka bezszelestnie stawia przed drugą kamerą fotoportrety Przybosia... Cudowna właściwość kamery telewizyjnej sprawia, że elektroniczny wizerunek martwego zdjęcia traci naturalistyczną płaskość, nabywa poetyckiej nieostrości i jakby... ożywa!)

Prowadzący wycisza płytę na słowach: „Żywy idę miastem będącym, a już tylko byłym. Kim jestem? Wygnańcem ptaków..." – mówi o swoim reporterskim „hobby", jakim jest zbieranie autentyków fonograficznych, „żywych głosów Historii". O ubóstwie polskiego rynku płytowego i szczególnie zatwardziałej niechęci Polskich Nagrań, Wifonu i Tonpresu do wydawania płytowych i kasetowych dokumentów tego właśnie rodzaju... „Nie umiem podać przykładu innego kraju w Europie, w którym ta domena byłaby tak zaniedbana jak u nas..." Szczęśliwy traf, że prowadzący zna język rosyjski jak swój własny, może więc swobodnie korzystać z dostępnych nagrań radzieckich. Oto pierwszy z brzegu przykład: płytowa seria „Głosy pisarzy" (*Goworiat pisatieli*) wydawana od lat na równi z serią „Ludzie epoki" (*Goworiat sownarkomy*[5]).

Obraz do kamery: barwne winiety okładki tych płyt z fotografiami poetów, pisarzy, komisarzy ludowych itd. Gdy prowadzący operuje płytą trzymaną w ręce – kamera w zbliżeniu pokazuje te przedmioty. Niezwykły rarytas: płyta z nagraniem głosu... Lwa Tołstoja z 1908 roku. Prowadzący nastawia płytę i jednocześnie objaśnia, iż „usłyszymy za chwilę list dźwiękowy nagrany na tak zwanym wałku woskowym – wygłoszony przez Tołstoja do tuby fonografu

[5] *Goworiat sownarkomy* (ros.) – dosł. „Mówią rady komisarzy [ludowych]", w domyśle zapewne ich przewodniczący: Lenin, Stalin, Rykow, Mołotow.

Edisona, który to aparat podarował pisarzowi sam wynalazca… Adresatką listu była Tatiana Kuźmińska, będąca ponoć prototypem postaci Nataszy Rostowej z *Wojny i pokoju*"…

Gdy milknie chrapliwy, ale wyrazisty głos Wielkiego Starca, a z monitora znika jego patriarchalna, brodata twarz – prowadzący rozkłada przed kamerą ręce:

– Nie mamy ani jednego tak dawnego polskiego zapisu i w naszych zbiorach archiwaliów fonicznych nie uświadczysz płyty – choćby jednej! – z głosem Polaka datowanym wcześniej niźli po pierwszej wojnie światowej. Milczą niezapisani ani na wałkach, ani na płytach polscy pisarze ówczesnej doby, milczy ciszą mechaniczną cała, jak to nazwał Wańkowicz – „Międzyepoka"… Czyżby więc nie utrwalił się w żadnym „nośniku dźwięku" żaden ślad po owych postaciach wielkich i głośnych, a zostały nam w spadku jedynie arie operowe, fokstroty i operetki, trele kabarecików?

Rzuciwszy to pytanie do kamery, prowadzący zawiesza dramatyczną pauzę… Potem po raz pierwszy wypowiada słowa, które niejeden raz powtórzy z tego miejsca, „kując swoje żelazo" w ciągu pięciu lat bez mała: „nie było w głowach tej idei, więc i oczy nie znajdowały narzędzi…".

– Zamożne polskie rodziny posiadały fonografy także i w owych latach, gdy Tołstoj gadał do swej tuby, i naokoło Henryka Sienkiewicza, Bolesława Prusa i Elizy Orzeszkowej nie brakło entuzjastów techniki, którzy bawili się „gadającą maszynką", a przecież… nie wiemy, jakim głosem mówił Sienkiewicz, Prus i Orzeszkowa!… To nie brak środków zawinił, lecz sprawił to brak myśli, brak idei „uwiecznienia"…

Prowadzący stawia teraz przed kamerą osobliwą księgę-album: jest to wydany w Moskwie (wydawnictwo – *Zwukowaja kniga o Leninie*) zbiór „dokumentów dźwiękowych", nagranych na płyty miękkie i wstawionych w „kieszenie" licznych kart albumu w taki przemyślny sposób, że bogate ilustracje, fotografie, grafika, faksymile – dopełniają obrazem i komentują historyczną „anegdotą" treść odtwarzanego z płyty dokumentalnego nagrania… Epoka rewolucji październikowej przemawia – tym razem: dosłownie! – do czytelnika i słuchacza tej niezwykłej księgi, zaiste, „żywymi słowami Historii".

Prowadzący odwraca do kamery kolejne karty albumu, wyjmuje kolorowe krążki cienkich jak papier płyt, wymienia nazwiska wielkich „świadków Epoki", którzy nie wzgardzili „gadającą maszynką" i rzucili swój głos ponad głowy idących pokoleń: Maksym Górki, Włodzimierz Majakowski, Aleksander Błok, Łunaczarski, Nadieżda Krupska, Henri Barbusse, Romain Rolland, Béla Kun, Włodzimierz Lenin…

Prowadzący jeszcze nie wie, nie domyśla się, że za chwilę jego egzaltowany galop pomiędzy kartkami dźwiękowej księgi zostanie przerwany... Czujne ucho Drugiego Szefa (dyżurnego zastępcy), obecnego w reżyserce na nagraniu, niby radarowa antena ostrzegawcza uruchomiło właśnie alarm minicenzorskiego pogotowia: na prywatnej tablicy ostrzegawczej zapalił się właśnie żółty sygnał:

– ...Rewolucyjna głowa Lenina potrafiła spożytkować w sposób nowatorski dla dzieła rewolucji nawet taką salonową, drobnomieszczańską zabawkę, jaką był dotąd poczciwy gramofon... O, tutaj, proszę państwa, widzimy na tej fotografii ulicę rewolucyjnego Pitra wypełnioną tłumem: ci ludzie stoją przed trybuną, na której widać trąbę gramofonu!

Podpis pod zdjęciem głosi, że obywatele słuchają... Lenina. Wygłasza on z płyty swoje słynne trzyminutowe przemówienie „Czym jest władza radziecka" – *Czto takoje sowietskaja własť*... Przemówienie – powtarzam – tylko trzyminutowe: tyle tylko mogło trwać nagranie na jednej stronie płyty. Proszę się nad tym zastanowić: wielki wódz zwycięskiej rewolucji spaceruje przed fonografem z zegarkiem w ręku i wykreśla z rękopisu słowa, ze swego kardynalnego politycznego przemówienia... Rozumie, że ta płyta oddziaływać będzie na słuchaczy silniej niźli gazetowa czcionka, nachyla się ku jarmarcznej zabawce i czyni zeń bojową trybunę... Proszę państwa! Inżynier Małkin, pracownik Fabryki Aprelewskiej pod Moskwą – tej fabryki, która na rozkaz Lenina wytłoczyła w roku 1919 aż czterdzieści przemówień wybitnych przywódców rewolucji – podaje ciekawy fakt: otóż po raz pierwszy Lenin zrozumiał i docenił potęgę „nowego środka przekazu", będąc jeszcze na emigracji w Szwajcarii, w roku 1905... Wedle słów naocznych świadków pasjonowało Lenina wysłuchiwanie płyt gramofonowych, na których w Ameryce utrwalali swe przedwyborcze przemówienia kandydaci na prezydenta... Cóż za scena: komiwojażerowie jeżdżący po prerii Teksasu z gramofonami do kowbojów i pośród porykiwań bydła odtwarzający mowę swego kandydata!...

Z głośnika w studio bulgocący głos Drugiego Szefa:

– Nagranie stop!...

Prowadzący w skrajnym napięciu:

– Co się stało?

Głos Drugiego:

– Nic się nie stało. Musimy porozmawiać...

Ta rozmowa:

– Te amerykańskie wybory może sobie pan darować, redaktorze...

– Nie rozumiem: Lenin marzył o „gazecie bez papieru, o radiu bez drutu", chciał, by cała Rosja, w której było pół miliona gramofonów, słyszała „słowa wypowiadane w Moskwie i Petersburgu"...

– Dobra, dobra... My sobie możemy dyskutować, ale oni mają to tu! – Drugi wskazał wymowne miejsce, gdzie „oni" mają „to".

– Skąd pan z góry już wie, że „oni" się do „tego" przyczepią... Powiedziałem chyba wyraźnie: „salonową, drobnomieszczańską zabawkę" w trybunę rewolucyjną mógł przekształcić tylko umysł genialny...

– I na tym trzeba było skończyć! Po diabła te amerykańskie wybory, ci kowboje w Teksasie...

– To nie ja, to inżynier Małkin wspomina... A w końcu, do licha! – Józef Piłsudski też w tym czasie co i Lenin zajmował się „bibułą", pisał instrukcje dla podziemnej prasy, podróżował z ramienia swej organizacji na Zachód i jakoś nie potrafił dostrzec w gramofonie nic osobliwego... Wręcz lekceważył tę jarmarczną sztuczkę, bo tylko raz jeden pozwolił się nagrać i rzekł nawet wtedy coś z przekąsem o „cudacznej trąbie"... Bo nie był rewolucjonistą i nie potrafił spożytkować w sposób nowatorski technicznych narzędzi...

Drugi zdjął okulary, przetarł szkła, mrugając bezradnie, rozbrajająco.

– Lenina pan wyświęca... Piłsudskim! Może to i zabawne, ale oni się na tych żartach nie znają...

Mówiąc to, Drugi wzniósł oczy do sufitu, jakby już stamtąd dolatywało go spodziewane możnowładcze tupnięcie nogi. On naprzód, superczujnie, uprzedzająco i na wszelki wypadek wiedział, jak się zachowują i co powiedzą „Oni" i – co należy wyciąć, wyretuszować, zamazać, wyokrąglić i zamglić, by tam, „na górze", panowało błogie, boskie milczenie.

Jeszcze jeden kwadrans upłynął. Ale „to" już mam z głowy: nagrywam. Zostało tylko dwie i pół godziny. Zdążę? Muszę. Renata K. nie marnowała czasu, złota, wspaniała Renatka... Gdyby kierownictwo produkcji spoczywało w innych rękach – nie robiłbym programu. To jedyna osoba, jaką spotykam w tym długim kilometrowym korytarzu, która przejmuje się naprawdę swoją robotą. Kiedyś, widziałem – płakała i biła pięściami w stół: dziennikarz, rozmamłany realizator, w ostatnim dniu przed nagraniem „zmienił koncepcję" – machnął lekką ręką na stos blaszanych pudeł z filmami, które ona, Renata – od dwóch miesięcy wygrzebywała z zakamarków archiwów (jak zwykle: „tego nie wydamy, bo jest interwencja", „w tamtym pudełku uszkodzona taśma, ktoś wyciął sobie kilka sekwencji, musimy sporządzić protokół..." itd.) – sposobem, podchodem, fortelikiem, umizgiem, uśmiechem, symbolicznym prezencikiem, „na twarz"

i „na łezkę", fornalskim krzykiem, błagalnym szeptem – *todo modo*[6] – uskładała te rolki, które miały być „mięsem" programu; pod migotanie tych obrazków dających karmę leniwemu oku telewidza pan realizator może wciskać dowolny „kit", może wystawiać byle jaką „gadającą głowę", założyć choćby i pół godziny ciężkiego „trucia"... I oto – w diabły cała robota! Nawet jednego słowa „przepraszam", zdawkowego „dziękuję"... Widzę teraz, jak biegnie do mnie rozpromieniona, woła coś tam z drugiego końca korytarza, fiknie jeszcze kozła na tej śliskiej wykładzinie, zaraz zobaczę jej bursztynowe patrzałki, rozjarzone, radosne, od razu jakoś lżej mi tam w środku.

– Dostałam... bęben!... – Wymachuje ręką i tuż przed moim nosem rozwiera dłoń: mały metalowy cylinderek z ząbkami na obwodzie, ów właśnie brakujący bębenek chwytający taśmę ósemki – jest! – Zadzwoniłam do starego na Myśliwiecką, akurat skończyli nagranie, wsiadł (mąż) w pudło i pojechał na miasto, pożyczył od znajomego w Fotooptyce – do jutra... Co się tak na mnie gapisz, łap, bo ci odbiorę!...

Ściskam, całuję. Brak słów. Znacznie prościej okazać agresję, złość, niżli wdzięczność. W przelewaniu światła na innych jesteśmy skąpi „nad wyraz" (stosowne słowo)... W tym koślawym mechanizmie telewizyjnego młyna – to jedno metalowe kółeczko, ten cylinderek, obróci się, zakręci, przesunie dziś jeszcze ramki kadrów sprzed lat czterdziestu – dzięki „napędowi" czyjegoś... serca. Ckliwa metafora zwierciadłem nagiej prawdy.

...Jaskrawo oświetlony słońcem placyk widziany z góry, ściśnięty stromymi murami krakowskich kamieniczek... Lipcowe słońce 1944 roku. Tamto powietrze!... I tamci ludzie, cywile, przechodnie, niby żywe owady zanurzone w przejrzystej żywicy czasu... Właśnie na ich oczach bezgłośnie przesuwa się teraz środkiem jezdni wielki jaszczur hitlerowskiej armaty, toczą się ciężko, kołysząc burtami, gąsienice transportera, na jego plamistym ochronnie malowanym grzbiecie – grenadierzy, rzędami, wśród nastroszonych luf... Czy w tym upale lipcowym mają zawinięte rękawy, czy – śpiewają może „*Deutschland, Deutschland über alles*"?... Śmieszna moja ciekawość. Z góry, z tego balkoniku, na którym leży kamera na płask – nie widać, choć jest chwila taka... Jest! Oni, ci Niemcy, zakręcają w lewo, wtedy właśnie ich twarze spod miękkich czapek wyłaniają się na moment... Aż zaciskam pięści tak chciałbym – no właśnie! – niemożliwego: by ten obiektyw o sztywnej ogniskowej „sam" przybliżył mi teraz w pełny kadr, aż do widoku tych zbójeckich oczu, warg, szczęk, zarostu na twarzy – oblicze wroga. Gdyby wtedy ktoś jednak pragnął, tak jak ja teraz, utrwalić na taśmie filmowej spojrzeniem kamery z ukrycia twarze hitlerowców widziane z bliska – mógł to uczynić! Bredzę niedorzecznie?

[6] *Todo modo* (hiszp.) – na każdy sposób.

No pewnie. Nie znalazł się przecież nikt, kto by w jakiejś szczelinie muru, w zamaskowanym okienku, pod jakąkolwiek sprytną osłoną umieścił kamerę z teleobiektywem, na przykład przed sklepem delikatesowym Juliusa Meinla... Miałby przed sobą samą doborową klientelę, gestapowców, volksdeutschów, oficerów, ich panienki... Zobaczyć dziś te twarze! Zobaczyć je widzeniem tamtym – przeniesione na filmie przez wierzchołki wielu dziesięcioleci – ku naszej źrenicy...

Technik obsługujący projektorek ósemki wlepił oczy w migotliwy prostokąt na ścianie, wessany całkowicie w tamtą przestrzeń placyku zalanego słońcem w Krakowie – zapomniał o swej powinności, a może... boi się? Ta chwila ma smak ulotny, jedyny. Stoimy wszyscy. Tadeusz F., Renia, asystentka montażu i ja. Okrzyk jednogłośny – co wyrażający? – wyrywa się nam mimowolnie: gdy jakiś rikszarz ze swym wózkiem wkracza na jezdnię, a potem cofa się przed cielskiem czołgu; to jest mgnienie, w którym spadamy z tego balkonu wprost na bruk, między tych krakowskich przechodniów, w to zatrute powietrze wojny. Tego odczucia nie da się wyrazić słowami. Trzeba być w kadrze własną źrenicą. I mieć w sobie ten lęk: wszystko się jeszcze może zdarzyć! Rikszarz padnie ścięty serią szmajsera, czołg stanie w płomieniach benzyny, gdy wylecą z balkonu butelki, i – kto wie! – cały ten placyk słoneczny wypełni się nagle grzmotem wystrzałów i zasnuje go czarny dym pożaru...

Wszyscy przekrzywiliśmy głowy, obraz na ścianie płynie bokiem, w pozycji, jaką zajęła na balkonie kamera Tadeusza F. On sam w tej chwili uniósł rękę do projektora i – zastygł jak figura woskowa. Niech tamta chwila trwa jak najdłużej, niech trwa!... Ale już terkoce głośniej projektorek, bęben przerzuca ku światłu ostatnie klatki z blednącym coraz bardziej widokiem placu, na który właśnie wjeżdża oficerski opel i... Tylko pusta ściana przed nami!

Z pamiętnika „Jagody":

> Pewnego lipcowego dnia 1944 roku (było to chyba piętnastego) zauważyłem, że dawną Starowiślną, obecnie Obrońców Stalingradu, koło Poczty Głównej i następnie ulicami Potockiego (obecnie Westerplatte), Basztową jadą niemieckie wojska – działa, jaszcze[7] amunicyjne, ciężarówki wyładowane sprzętem wojskowym i żołnierzami. W pobliżu głównego dworca kolejowego ten wąż pojazdów skręcał w ulicę Basztową i dalej Karmelicką ciągnął na zachód. Zrozumiałem, że oglądam pierwszą fazę ucieczki Niemców z Krakowa.
>
> Jakże inny był to widok niż prawie 5 lat temu, gdy butnie i z radością wkraczali 6 września do Krakowa.

[7] Jaszcz – wóz z okutą skrzynią służący do przewożenia amunicji artyleryjskiej.

Wtedy na ulicach Krakowa nie widziało się prawie żadnego polskiego mieszkańca, Polacy byli smutni, jakby w żałobie. Dziś weseli, dumni, oglądają z radością pospieszny odwrót „Herrenvolku"...

Tę pierwszą fazę ich odwrotu postanowiłem uwiecznić na taśmie filmowej. Miałem aparat filmowy z założoną 8 mm taśmą. Udałem się na ulicę Potockiego nr 1, do mieszkania pani Hanki z Wahnerów Rowińskiej, mieszkającej na pierwszym piętrze. Mieszkanie to miało balkon i okna wychodzące na ulicę. Była stąd dobra widoczność na skrzyżowanie ulic i na cały łuk zakręcającej w tym miejscu kolumny wojskowej.

Najpierw próbowałem filmować, schowawszy pod marynarkę kamerę, ale nie byłem pewny, czy obiektyw obejmie cały zakręt. Wobec tego spróbowałem inaczej. Położyłem kamerę na płask na balkonie. Ustawiłem ją w ten sposób, że obejmowała ulicę wypełnioną wojskiem. Co parę minut nakręcałem sprężynę, która w kamerze przesuwa film. Ale ponieważ aparat na balkonie leżał, obraz był o 90 stopni obrócony...

Wykonałem więc pierwszy reportaż filmowy, mniej może udany, bo na taśmie o szerokości 8 mm, a nie na taśmie 16 mm. Są teraz duże trudności z jego powiększeniem, mimo to technicznie jest on dość dobry, a poszczególne ujęcia charakterystyczne, bardzo wiernie oddające to, co się wówczas działo. Tu muszę dodać, że kamerę filmową, na taśmie szer. 16 mm. marki Bell Howell wraz z taśmą było trudno dostać, zdobyłem ją w 10 dni później.

Po tym pierwszym udanym reportażu szukałem tematów do sfilmowania. Można by powiedzieć, że było ich wiele, ale nie były dość ciekawe i godne – jak wówczas sądziłem – sfilmowania, zwłaszcza że musiałem oszczędzać taśmę filmową na tematy naprawdę ciekawe i charakterystyczne, na zdarzenia, jakie na nas czekały w nadchodzących miesiącach.

I rzeczywiście, doczekałem się odpowiedniego momentu. W dniu 1 sierpnia wybuchło Powstanie Warszawskie. Niemcy obawiali się, aby podobne nie wybuchło w Krakowie. W związku z tym dokonali w dniu 6 sierpnia 1944 roku gigantycznej obławy. Aresztowali wówczas około 8 tysięcy osób. Zabrali wszystkich napotkanych mężczyzn. Aresztowali ich na ulicach, w domach, w sklepach, wyciągali ludzi z tramwajów. Zatrzymanych odsyłali do punktów zbornych, jakimi przeważnie były komendy Schutzpolizei. Tam ładowano uwięzionych do samochodów ciężarowych i transportowano do więzienia na Montelupich lub prosto do obozu koncentracyjnego w Płaszowie.

Jednym z punktów – dokąd doprowadzano zatrzymanych – była Komenda Schutzpolizei przy ulicy Franciszkańskiej, naprzeciw kościoła oo. franciszkanów. Obecnie mieści się tam Czytelnia Publiczna.

Sceny tej właśnie łapanki „czarnej niedzieli" utrwaliłem na taśmie filmowej 16 mm szer. Przy tej okazji zatrudnionych było 100 esesmanów i wielu żandarmów, którzy bacznie obserwowali przyległy teren. Filmowałem kamerą ukrytą pod płaszczem prochowcem, przez dziurkę od guzika z odległości 5–10 m od budynku Schutzpolizei. Były momenty kiedy esesmani byli ode mnie oddaleni o ok. 2–3 m. Wówczas kamerę wyłączałem, gdyż dawała ona szmery. Osłaniało mnie dwu żołnierzy Wehrmachtu. Byli to właściwie Polacy ze wschodnich rubieży Polski, ich ojciec podpisał „Volkslistę". Z tego powodu wcielono ich do niemieckiego wojska. Przez czas jakiś udawali „głupków" i jakoś im szło. W 1944 roku znaleźli się w obozie wojskowym w Cichym Kąciku[8]. Wiedząc, że mieszkam w Krakowie, odnaleźli mnie i prosili o ubrania cywilne, chcąc uciec z wojska. Odpowiedziałem, że owszem, otrzymają te ubrania, ale dopiero wtedy, kiedy Niemcy będą się wycofywać. W zamian muszą mi pomóc w akcjach prowadzonych przeciw Niemcom. Zgodzili się na to. I rzeczywiście, przybyli dnia 6 sierpnia 1944 do mego mieszkania około godziny 13. Zastali mnie. Po krótkich przygotowaniach ustaliliśmy, co będziemy robili i co mówili, rzecz jasna w języku niemieckim. Wyszliśmy z mieszkania i udaliśmy się na miejsce łapanki przy Franciszkańskiej.

Nakręciłem tam ujęcia: budynku policji niemieckiej, auta ciężarowego, esesmanów doprowadzających zatrzymanych ludzi do samochodów, zatrzymywane tramwaje, z których brutalnie wyciągano ludzi. Kiedy filmowanie z ulicy i zbyt długie wystawanie tam mogło zwrócić uwagę Niemców, pożegnałem obu wehrmachtowców i wszedłem do kościoła franciszkanów, chcąc zrobić jeszcze parę ujęć. Wykonałem je, ale złe warunki techniczne, większa odległość i słabe oświetlenie nie dały pozytywnych rezultatów.

Obaj wehrmachtowcy otrzymali ode mnie cywilne ubranie w dwa miesiące później, kiedy ich kompanie dostały rozkaz wyjścia z Krakowa. Ukrywałem ich kilka dni, potem skierowałem w stronę Tarnowa na wieś, licząc się z tym, że Kraków będzie broniony i niebezpiecznie byłoby w nim zostać. Co się z nimi stało – nie wiem. Nigdy ich więcej nie widziałem.

Zostało jeszcze sto minut. […] O, reżyser Fabian to superman Studia, on sobie da radę. Wejdzie na plan kwadrans przed nagraniem, rzuci okiem na stertę moich papierzysk, poprosi asystenta, stażystę, by „powąchał ten burdel",

[8] Cichy Kącik – osiedle na krakowskiej Krowodrzy.

asystent ułoży ze mną ponumerowane zdjęcia dla kamery jedynki dwójki, trójki – które pójdą z ręki, podtykane do obiektywu przez Renatę, które fajtać będą do swych kamer pozostali macherzy, i odejdzie na swe wyżyny do reżyserki, pytając stamtąd przez głośnik tonem znudzonym i niedbałym: „Mamy jakie telekino, panie Ryszardzie? Co jest na pierwszym obrazku, niech pan powie krótko... Dobra. A co jest na drugim? Pan sprawdzał, czy plastry na filmie założono prawidłowo? *Okay*... No to za pięć minut jedziemy!"

Po czterech latach – która to dziś audycja? Pięćdziesiąta czwarta, gdyby się kto pytał. Ale nikt nie pyta, nikogo to nie obchodzi. Decydenci przywykli, że program leci na wariata, Siwobrody raz jeszcze pospaceruje na linie, wypuści królika z kapelusza, zaświeci w oczy świstkiem wyjętym z makulatury, odkurzy jakiś filmik, powzdycha, po swojemu zrobi malownicze oczko do kamery... I już pół godzinki w szpiglu[9] mamy z główki. A o czym to jest?... Niech brodacz napisze zapowiedź, dwa słowa dla tych, co będą na żywca prowadzić blok, bo czasem wychodzi małpi cyrk – dopiero co leciały w jego programie jakieś wojenne okropieństwa, kogoś wieszali, szły kobiety do gazu w Oświęcimiu, a tu w kolejności był zaraz bloczek z estradą, na ekranie sama roztańczona golizna i taki rock, że zęby bolą... Telewidz się denerwuje, pisze listy „o braku szacunku", o „deptaniu żywych ran" itd. – jakby ci ludzie wciąż zapominali, że telewizja to nie żaden wenecki Most Westchnień, ale relaks, to czas, rodzaj tapety w wesołe wzorki, dla zaśpienia mózgu, a mówiąc językiem Szefa Drugiej Generacji – to „upudrowany nos Wszechświata". [...] Reżyser Fabian, na jego szczęście, nie jest przypisany na stałe do tej akurat audycji, on tylko spolegliwie, jakby dla świętego spokoju, bierze zlecony mu blok i tam, w środku tego bloku jak w bochenku chleba, zdarza się – na miesiąc dwa razy – ten zakalcowaty, manieryczny, cholernie wzniosły program Siwobrodego. To już wypada połknąć z resztą ciasta, w końcu za to też płacą.

Sto minut przed wejściem do studia. Sto minut Tadeusza F. i moje sto minut. Różnica. Siedzi sobie teraz pan Tadzio w kawiarni Kaprys Prezesa, pije z niesmakiem ekspresową maczaną herbatę (kawy dziś nie podają, zabrakło) i patrzy wilgotnym okiem na Renatkę, która aż do końca, do ostatniej minuty w tym gmachu będzie niańczyć drogiego gościa... Czy wesoła, nakrapiana piegami buzia z białozębnym uśmiechem przypomina mu tamtą – łączniczkę Jolę – w chwili, gdy przywarli do siebie w uścisku niby para rozognionych kochanków, wprost przed bramą obozu w Płaszowie, pod nogami esesów na wieżyczkach wartowniczych? Wiatr trzepotał jego płaszczem i – na miłość boską, trzymaj mnie Jola, całuj! – odsłonił być może kamerę szesnastkę,

[9] Szpigiel – tu: ramowy program telewizyjny.

której obiektyw skierowany wprost na druty czekał, aż wejdą w pole widzenia więźniowie w pasiakach idący gęsiego wzdłuż płotów, ale jak na złość nagle przepadli z oczu, zagłębili się w jakimś rowie czy co, już terkocze sprężyna i grejfer[10] rzuca klateczki, dwadzieścia cztery na sekundę, cenne klateczki biegnące w sztafecie prawdy ku przyszłym, nieznającym wojny pokoleniom. Esesman na wieży nad nimi zapala papierosa, szczęśliwie odwrócony plecami, ale na tej drugiej wieży postać w hełmie wychyla się poza barierkę – chodź, idźmy trochę dalej, gadaj do mnie, szczebiocz, ja ci oddam tego całusa, no, nie przyciskaj za mocno, zasłonisz obiektyw – „zatrzymywanie się grozi śmiercią, strzela się bez uprzedzenia"... – dobra! Mamy tablicę z tym napisem i bramę, a tam – uważaj – są więźniowie!...

Piętnaście minut temu na stole montażowym zamigotał tamten pejzaż obozowy z bliskimi drutami w poprzek kadru, wieżą wartowniczą na wprost obiektywu i – przez krótką chwilę – załopotał w prawym rogu klatki ten płaszcz łączniczki Joli, gdy przyciskała się w pocałunku do Tadeusza F. Wyszczerzył się na krótko ostrzegawczy napis tablicy, a potem... Tak! Wynurzyli się, łańcuchem pochylonych głów, więźniowie kroczący ku swemu przeznaczeniu... J e d y n a m i n u t a f i l m u d o k u m e n t a l n e g o, który przeniósł do naszych czasów tę scenę czasu pogardy, widzianą z z e w n ą t r z, obiektywem amatorskiej kamery...

Gdy na moim zegarku wycyka się wreszcie setna minuta – na ekranach monitorów studyjnych odnowi się ta chwila i pobiegnie elektronicznym ściegiem po szkle, obraz wietrznego, słonecznego dnia u stóp wartowniczych wież obozu śmierci w Płaszowie, a znudzony reżyser Fabian G. widząc „brud" w kadrze – ów łopoczący płaszcz łączniczki Joli – ziewnie po swojemu w reżyserce i rzuci do mikrofonu z robionym „zachwytem":

– Dużo mamy na dzisiaj takich „rewelacji", panie Ryszardzie? Ja rozumiem, że d l a p a n a te nieostrości mają swój smaczek, ale nie prze-sa-aa-d z a j-m y! [...]

Renata podaje mi klucz.

– Twój bohater chciałby się zdrzemnąć... Wiesz – dodaje z winowajczym uśmiechem – mogłabym pożyczyć kawy od Iśki, ale ten twój Tadzio mówi, że jak teraz wypije, to za godzinę mu znów ciśnienie spadnie i będzie flak, więc wolałby się teraz ociupinkę przespać...

– Renatko, zostało ledwie osiemdziesiąt minut, a ty mi tu mówisz o spaniu...

– Wiem, co mówię, popatrz ty na niego sam...

Przez oszklone drzwi Kaprysu Prezesa widzę – rzeczywiście – Tadeusza F., jak wsparty na łokciu kiwa się sennie nad niedopitą szklanką ekspresowej

[10] Grejfer lub grajfer – chwytak, element mechanizmu kamery odpowiedzialny za ruch taśmy.

herbaty; do niespodzianek dzisiejszego maratonu przybyła jeszcze i ta: trzeba w y s p a ć bohatera. Niespotykany w mej praktyce problem. Żywy rozmówca rzadko jawi się w mym programie, a jeśli już – to nabuzowany emocjami do granic apopleksji; na tę okoliczność mam w kieszeni fiolkę z tabletkami validolu i – Renatkę... Już ona potrafi odwlec uwagę gościa jak najdalej od studyjnej sali tortur, umiejętnie, z kokieteryjnym wdziękiem sprowadza rozmowę na temat, który pociągnie nawet takiego nadwrażliwca: „Wie pan, widziałam dzisiaj na korytarzu Irenę Dziedzic...", „Ach, co też pani mówi, to ona jeszcze tu pracuje?...", albo: „Wiesz, Ryszard, zapisałam się na kąpiele do tego »basenu młodości«, który nam został po Krwawym Maciusiu[11]..." – i tu następuje nieodmienna reakcja: „Więc jednak prawda, że takie luksusy tu budowali?...". Psychoterapeutyczny skutek takiej konwersacji, zwłaszcza przed samym wejściem do studia, jest pewny: gdy zapalą się światła na planie i nawet w chwili, gdy gościowi każemy powiedzieć coś na próbę do mikrofonu – będzie on wodził zafascynowanym spojrzeniem po całym studiu.

Trzymam ten kluczyk od aktorskiej garderoby, spoglądam raz jeszcze na zegarek i myślę z wisielczą rezygnacją: pal sześć; ja też się prześpię!...

W ostatniej chwili, gdy już z Tadeuszem F. wchodzimy do separatki – wykręcam numer domowy i proszę Majkę, by przywiozła jednak ten termos z mocną kawą, bo, czuję, nie obudzimy się obaj po tym skisłym leżakowaniu. Bagatela! Ten mój pomysł skazuje żonę na podróż taksówką na dystansie ośmiu kilometrów, ale ona bywała w takich opresjach, więc tylko pyta:

– O której zaczynacie?

– Za siedemdziesiąt minut. Dobranoc, kochanie... – próbuję żartować.

Jeszcze nie wiem: ten kluczyk od separatki i termos z kawą, wyłożone na stole w studio kilka minut przed nagraniem, rumiana, rześka twarz Tadeusza F. (który jednak zasnął natychmiast snem sprawiedliwego!) – to będzie *corpus delicti*, którym jeszcze tego wieczora potrząśnie z satysfakcją redaktor odpowiedzialny C., gdy wpadnie po moim nagraniu do szefa S. z raportem tej oto szlachetnej treści:

– ...To przechodzi wszelkie pojęcie!... Kamery włączone, wszyscy ludzie na stanowiskach, a ci dwaj – zalewają się koniaczkiem z termosu, ten Tadeusz F. już dobrze zaprawiony, czerwony na gębie, bełkoce, a pan redaktor wskazuje coś swemu nadwornemu fotografowi, którego bez przepustki przeszwarcował do studia... K-aa-a-pitalny materiał – spieprzony! Szmelc.

I taki raport o moim nagraniu pójdzie „po linii" w górę.

Wynotowane z pamiętnika „Jagody":

[11] Krwawy Maciuś – środowiskowe przezwisko Macieja Szczepańskiego, w latach 1972–1980 prezesa Radiokomitetu. Na polecenie Edwarda Gierka znacznie unowocześnił polską telewizję, przeprowadził „czystki" personalne (zwolnił około 450 osób), wprowadził wzorowane na zachodnich programy rozrywkowe i przekształcił telewizję w tubę propagandy sukcesu. Wśród pracowników krążyły plotki o jego wystawnym stylu życia.

...Letnie miesiące 1944 roku były dla mnie bardzo gorące. Po aresztowaniu prawie wszystkich najbliższych moich współpracowników musiałem zniknąć z Krakowa. Skierowano mnie do Zgrupowania Partyzanckiego „Kamiennik" na Łysinie. Byłem tam od 24 lipca do 10 września 1944 roku z małą kilkudniową przerwą w pierwszych dniach sierpnia tegoż roku. Wówczas to – przez zupełny przypadek – trafiłem 6 sierpnia 1944 roku na opisaną już przeze mnie „czarną niedzielą", którą udało mi się sfilmować... Jak wspomniałem wcześniej, miałem już teraz do dyspozycji dobrą kamerą 16 mm typu Bell Howell i – po raz pierwszy – Dowództwo Okręgu rozkazało mi wykonywanie zadań wojennego operatora filmowego. Poprzednie moje próby były samorzutnymi akcjami amatora. Z taśmą nie było najlepiej, ale udało mi się zdobyć cztery rolki po 30 m każda – razem 120 m. [...]

Kilka słów o samym zgrupowaniu „Kamiennik".

Powstało ono w miesiącach wiosennych 1944 roku z wcześniej już zorganizowanych i działających oddziałów partyzanckich AK w rozległym rejonie myślenickim. Były to oddziały: „Pościg", „Prąd", „Odwet", „Żółw", „Śmiały", „Policyjny", „Szkoleniowy", „Potok", „Dąb", „Szczerbiec", „Kompania Ciężkich Karabinów Maszynowych" i „Terenówka" – razem około 600 ludzi. Rozlokowane były one między innymi na wzgórzach Łysiny, Kamiennika i w innych wsiach gmin Wiśniowej, Raciechowickiej oraz części Myślenickiej, a stanowiły wszystkie część czwartej dywizji piechoty AK znajdującej się pod komendą płk. dypl. Wojciecha Wajdy, ps. „Odwet". ...Od pierwszego dnia mego pobytu w zgrupowaniu mogłem obserwować życie codzienne tych „leśnych ludzi" odbywające się w taki sposób, jakby to już była wolna Polska, teren niepodległy. [...] Obserwowałem budowanie szałasów, a nawet baraków dla wojska, pracę kuchni, działalność grup aprowizacyjnych i brałem udział w patrolach. Taśmę „wykręcałem" nader ostrożnie, licząc się z tym, że już bliskie tygodnie, a nawet dni mogą przynieść nadmiar tematów, choć szczerze mówiąc, było bardzo trudno powściągnąć chętkę filmowania, bo to wszystko, na co patrzyłem, było tak niepodobne do okupowanego, sterroryzowanego Krakowa! Chodziłem po wolnej ziemi i widziałem nasze prawdziwe leśne wojsko... Nie przypuszczałem wtedy, że na ten teren w połowie września po krwawych walkach wkroczą esesmańskie ekspedycje karne i zamienią w perzynę wiele okolicznych wiosek, paląc żywcem mieszkańców wraz z budynkami i całym dobytkiem, nie oszczędzając ni starców, ni dzieci...

Na razie nasze akcje bojowe kończyły się przeważnie powodzeniem. Po udanym ataku na Dobczyce, w czasie którego został odbity partyzant

„Prawdzic" – Andrzej Woźniakowski – Niemcy wycofali się z miasteczka i zlikwidowali swe posterunki w Dobczycach i Raciechowicach. [...]

...Na pierwszą rolkę udało mi się uchwycić takie oto ujęcia: 1. – ogólny widok Łysiny i Kamiennika widziany z Glichowa, 2. – dwóch chłopców 6- i 8-letni, uzbrojonych w łuki na podwórku swoich rodziców (chcieli walczyć z okupantem), 3. – ćwiczenia oddziału partyzanckiego, 4. – sceny obozowe, jak np. strzyżenie włosów, czyszczenie broni itd.

Drugą porcję 30 m filmu zużyłem na sfilmowanie: 1. – scen obiadu, 2. – kaplicy polowej, 3. – kąpieli partyzantów przy źródle. 4. – ćwiczeń z bronią na stoku Łysiny, 5. – pracy radiostacji, 6. – patroli, wart, wystawiania posterunków.

Trzecia rolka zawiera: 1. – raport na Łysej Polanie u stóp Łysiny, gdzie ustawiono ołtarz z widokiem na zgrupowane oddziały, 2. – przegląd poszczególnych jednostek, 3. – plany ogólne w trakcie nabożeństwa, 4. – poświęcenie sztandaru zgrupowania „Kamiennik", 5. – wręczenie sztandaru oddziałom, 6. – przemarsz pocztu sztandarowego.

Ostatnia, czwarta rolka: 1. – sceny z biwaku, 2. – zjawia się goniec z bojowym meldunkiem, 3. – fragment narady sztabowej, 4. – zbiórka oddziału przed wymarszem na akcję i raport, 5. – wysłanie patrolu ubezpieczającego, 6. – cały oddział udaje się na pole walki, 7. – dowódca „Kościesza" odjeżdża autem na linią ognia. [...]

...Filmując partyzanckie obozowisko, nie przypuszczałem nawet, że ten mój skromny „reportaż wojenny" okaże się po zakończeniu wojny jedynym właściwie ocalałym dokumentem filmowym z życia leśnego wojska polskiego na całe sześć lat okupacji i walki zbrojnej z hitlerowskim najeźdźcą (...) Niewiele osób interesowało się dotąd tym moim reportażem.

Godzina zero.

Dokładnie o siedemnastej wchodzimy do studia. Kierownik planu oznajmia słodką nowinę: mamy tylko godzinę nagrania zamiast ustalonych i zatwierdzonych dwóch. Dlaczego? Bo ci z „rozrywki" źle nagrali plejbeki, będą poprawiać. Co mnie to obchodzi? Ich – też nie wzrusza. Dla nich pracuje Fabian G., więc mój pies zdechł. Ubaw, szopa, zgrywa, to jest *emploi* pana Fabiana G., o tym właśnie jego dusza śpiewa, moje natomiast starocie i cały ten lamus pożółkłych papierków i fotografii, z którym teraz rozkładam się w studio – zwyczajnie: drętwy kit. Spokój, trzymać twarz, nie dać się wrobić w awanturę. Nie pierwszy to raz i nie ostatni. Słodki naiwny uśmiech numer cztery do tej gęby, co tam siedzi za szkłem reżyserki – jakoś to przeżyjemy.

Dlaczego jednak na tym stole... woda? Jakaś ziemia z rozbitej doniczki z kwiatami i – nie wiedzieć czemu – nie moja zastawka[12] za plecami... Gdzie fotel dla Tadeusza F.? To nie jego kłopot. Rozmawia teraz z kamerzystą i wścibia oko do wizjera... Mój Boże, chciałbym mieć w sobie taką ciekawość dziecka w tym wieku... Co robi Fabian G.? Powinien tu być na dole. Choćby dla pozoru. Niechby już spytał: ile mam zdjęć, jaki materiał na taśmie telekina, czy gramy z podkładem dźwiękowym z konsolety studyjnej, czy też dzisiaj ja sam uruchamiam na planie swój magnetofon – to szczegóły, bez których nie można siadać w reżyserce, jeśli się ich ze sobą nie uzgodni. Zwykle mam w kieszeni scenopis z wyliczeniem tego, co będę pokazywał z ręki, a co pokaże się ze stojaków, jakie są wstawki filmowe, czy sam komentuję na żywo, czy jest jakiś lektor... Cholernie dużo tych drobiazgów. By to wszystko dogadać – potrzebna godzina, zwłaszcza jeśli potem cały program, bite pół godziny, gramy na żywo, bez jednej przerwy, ciągiem, na taśmę magnetowidu. Ci z „rozrywki" mają po dwie – trzy godziny prób i grają kawałkami, a ja, durny, przyzwyczaiłem panów reżyserów do grania longiem. Bez poprawek, bez montażu! Gorliwą szkapę – batem! Dobrze mi tak. A jednak... Fabian G. powinien już tu być. Czyżby coś się tam stało na górze?... Renia by wiedziała pierwsza, ale... ona też pomyka dziwnie bokiem. Coś szepce na ucho Fredziowi, drugiemu kamerzyście, teraz pędzi na górę do reżyserki...

– Halo, panie Fabianie, pan mnie słyszy? – ściągam ku sobie mikrofon wiszący nad stołem.

Nie czuję rezonansu, wyłączony. W studio ciągle trwa bieganina, wnoszenie dekoracji, wynoszenie, nikt nie zwraca na mnie uwagi. Monitor, który stoi tam w kącie, pokazuje zupełnie inny fragment studia, jakby tu mieli nagrywać kogo innego.

Ten bałagan, myślę, to normalka, najważniejsze, by tam, w telekinie, nie pokręcili z filmami Tadeusza F. Z początku, na samym wstępie, pokażemy kawałek czterominutowy tego filmu kręconego w okupowanej Warszawie przez ekipę Ludwika Zaturskiego z Socjalistycznej Organizacji Bojowej – scena malowania kotwic na murach, wieszanie kukły Hitlera na Żoliborzu – zaledwie epizod, potrzebny dla przypomnienia, że te scenki małego sabotażu sfilmowane przez Zatorskiego to przecież autentyk, kręcony na taśmie nieomal na oczach Niemców, w biały dzień – jedyny tego rodzaju dokument zrealizowany w okupowanej Europie... To powiem sam, ze studia, a potem kamera pokaże nas obu siedzących naprzeciw siebie – Tadeusza F. i mnie.

– Proszę państwa! Kamera Zaturskiego nie sfilmowała jednak Niemców, żywych hitlerowców, obecnych wszędzie na ulicach miasta... Jaka szkoda! Był

[12] Zastawka – tu: tło dekoracyjne.

jednak w okupowanym Krakowie ktoś, kto równie „bezczelnie" na oczach wroga, ale oko w oko z gestapo filmował ukrytą kamerą i – s f i l m o w a ł scenę, która mrozi krew w żyłach...

Fabian G. powinien wiedzieć, do diabła, że w tym akurat momencie pokazujemy scenę łapanki, ten epizod akurat, gdy gestapowiec kręci się przed obiektywem, widać budę, do której kolbami zapędzają młodą kobietę w jasnej sukni...

– Taż wesoło się tu żyje! – przysiada się do brudnego, mokrego stolika niefrasobliwy Tadeusz F.

Nie widać po nim żadnej nerwacji, najmniejszego napięcia. Beztroski i rumiany robi oczko do mego termosu. Majka właśnie przed chwilą postawiła przed nami apetyczne dwie kanapki i kubek.

– Sama kawusia czy ze „wzmacniaczem"? – swawoli mój bohater. Skąd on może wiedzieć, co mi teraz w duszy gra...

Zjawia się Mirek S., mój przyjaciel, fotoreporter. Trzaska tym swoim canonem, nie domyślając się, że to proceder nielegalny, bo na wniesienie sprzętu fotograficznego obowiązuje akurat w tym sezonie – przepustka. Papierek otrzymuje się bez trudu, ale tym razem wyleciało mi z pamięci... Zatrzymać tę chwilę, choćby na zdjęciu: i tak któregoś dnia redaktor S. albo C., albo choćby jaki stażysta, dostanie do łapy nagraną taśmę z Tadeuszem F. – tę, którą za chwilę nagramy – i... skasuje ją bez pytania o moją zgodę, rejestrując na niej jakiś koncert gitarzystów... Jedyne świadectwo, że był taki program, w którym ta dziewczyna w jasnej sukience wdrapywała się, popychana kolbą, na platformę budy, a gruby esesman kręcił się w prawym rogu kadru – to będzie ta fotografia Mirka S., na której widać sprawcę tego cudu dokumentalnego, Tadeusza F. i mnie na tle absurdalnej zastawki z napisem „Studio 2". Swoisty mój benefis, kradziony...

– Kamery włączone, panie Ryszardzie, gramy!

Ostro, niespodziewanie, z blaszanym łoskotem głośników wali się nagle spod sufitu stentorowy rozkaz Fabiana G. Mrużę zbaraniałe oczy w powodzi świateł: włączono do przesady całą baterię. Widzę w monitorze, jak moja ręka przecina cały ekran i z kubkiem kawy (widzi to na swoim podglądzie również czujny redaktor C.) wędruje ku twarzy Tadeusza F. Zmięta gazeta, w którą Majka owijała kanapki – w pełnym kadrze na drugim monitorze. Rubinowe światełko pierwszej kamery pali się na wprost: takie sobie żarciki stroi Fabian G. Opięty słuchawkami kamerzysta Fredzio z miną najzupełniej poważną macha ku mnie ponaglająco ręką: Gramy! ...Dopiero w tej chwili dostrzegam Renatę, która stoi w cieniu zastawki cała purpurowa, z zaciśniętymi pięściami.

...Gdy na moment nasze spojrzenia spotykają się – jej pięść z wyrazistym knajackim gestem podnosi się ku reżyserce.

– Panie Fabianie, nie rozumiem... – ślinię się w debilnym półuśmieszku (i widzę to w monitorze). – My tu, niegotowi...

– Trudno!... Nie mamy czasu na wyjaśnienia tej pańskiej niedyspozycji, gramy, panie Ryszardzie. Kamera poszła!

To postać tutejszego chamstwa jeszcze mi nieznana. Obraża się tu ludzi i depce bez szczególnej furii, gnuśnie, ospale, nikt z „decydentów", od szefa produkcji do szefa redakcji, nie sili się na teatr gestu, na inscenizację publicznego upokorzenia: nisko ustawione, dostępne koryto z forsą przygina karki ku ziemi jednych, a drugich mamidło ekranu, blask własnej gęby ukazywanej na szkiełku – rozgrzesza: lżących i lżonych; pospolitość obelgi dewaluuje chamskie gesty, a ponad wszystkim unosi się to ogólne przekonanie, że nie ma niezastąpionych, że tu każdy, kto macza łeb w korycie, bez względu na format i treść wewnętrzną, bez względu na zasługi przeszłe i obecne – wywiany być może jak suchy liść z tego gmachu przy byle przeciągu.

Skąd ta wyjątkowa szczodrość inscenizacji? Te rozstawione bezładnie kamery, nieuprzątnięte śmieci z poprzedniego nagrania, zagadkowa nieobecność reżysera na planie (Fabian G. nawet nie zerknął do mego konspektu), skrócenie czasu nagrania o połowę i to nagle, bez uprzedzenia rozpoczęcie rejestracji... Może to po to, bym się odpowiednio i wyraziście „znalazł" w tej sytuacji: rąbnął pięścią w stół przed nosem Tadeusza F., plunął do kamer stekiem wyzwisk (byłby więc dowód na taśmie), bym pobiegł na górę okładać pięściami Fabiana G.?

– Robią z ciebie wariata, a ty milczysz!? – Renia wbiegła na plan i przesłoniła kamerę. W jej oczach błyskawice i pioruny.

– Pozwalasz, żeby ten gnojek skakał ci po łbie?

– Panie Tadziku, tu ma pan cukier... – mówię słodkim głosem sprzedajnej panienki i podaję panu F. papierek z cukrem. Wymieniam z Renią obłąkane spojrzenie i jak najszybciej chowam się w maskę nawiedzonego głuptasa: byle mój gość nie złapał tego swądu, którym gwałtownie wypełnia się studio... – Sam pan widzi, jaki tu u nas artystyczny bałagan...

– Ta co tam! Mnie nie spieszno, ja się już w życiu naspieszył, o mnie się pan nie martw. Jak przyjdzie pora, to daj pan znak, zagadaj pan do mnie, tak jak my ze sobą uzgodnili, i gadka pójdzie...

Udaje? Czy rzeczywiście nie widzi, co się tu dzieje? Pod powiekami pojawia się twarz odpowiedzialnego C., który pewnie rozkoszuje się widowiskiem, może wymienia znaczące spojrzenia z S., ten sznuruje wargi w skisłym

uśmieszku i obaj kiwają z politowaniem głowami... Obaj nie wiedzą: wrogowie zawsze dodawali mi sił. Rzeźwiące uderzenie ich rózeg!

Minęło dopiero siedem minut. Jednym ruchem zgarniam na podłogę okruchy, chowam termos i łapię za książkę profesora Jewsiewickiego, tę o polskich filmowcach na frontach drugiej wojny światowej; mam w niej zaznaczone miejsce, gdzie fotografia młodego Tadeusza F. filmującego akowski oddział w leśnym obozowisku... Znam to opracowanie, jak i każdy szpargał leżący tu na stole z pozoru bezładnie – lepiej niż własną kieszeń... Mylą się ci, tam na górze, że dam się wrobić w awanturę i beznadziejnie, głupio zmarnuję może ostatnią okazję nagrania... Nie, moi mili, nie ze mną ten numer. Zupełnie jasno mam przed oczami, jedynie jakiś chłodny ucisk na skroniach, bez udawania i wysiłku, z uczuciem radosnego wzburzenia, jakie towarzyszy rozpinaniu żagla, w słońcu nad spienioną falą – uśmiecham się do kamery jedynki, która już na ostro, wolnym podjazdem przechodzi z mej twarzy na szarą fotografię w rozwartej książce: zdaje mi się, że to nie ja, lecz ktoś inny mówi za mnie, z lekka zacinając się i z nierównym napięciem akcentując:

– ...To już tyle lat, proszę państwa, a Polska jeszcze nie widziała tych rewelacyjnych materiałów... I jakże to się stało? I kto temu winien?...

W trzydziestej minucie nagrania, kiedy już padły ostatnie słowa i znikła w przenikaniu twarz Tadeusza F., Renata K. spełnia swą ostatnią na planie powinność – ustawia do kamery planszę z nazwiskiem reżysera programu. Za kilka dni, jeśli wszystko dobrze pójdzie, z miliona szklanych ekranów rozbłyśnie w pełnej krasie nazwisko pupila Studia 2, reżysera Fabiana G.

„Ekspres Reporterów", t. 10, Warszawa: Krajowa Agencja Wydawnicza, 1984, s. 3–46

1984

Wojciech Pielecki (ur. 1948)

Dogrzebać się drugiego dna

„Ta książka powstała z chodzenia tropem ludzi i ich myśli" – napisał w pierwszym zdaniu *Polskiego łącznika* (1986). Ale mogłoby ono otwierać też każdą z sześciu pozostałych książek reporterskich Pieleckiego. Mógł napisać, że chodził „tropem ludzi i ich czynów", wtedy to zdanie pasowałoby do książek wszystkich reporterów świata. Wojciech Pielecki napisał jednak o myślach.

Isaac Bashevis Singer powiedział, że prawdziwa literatura koncentruje się na zdarzeniach i sytuacjach. W gazecie nigdy nie znajdzie się opisu tego, co ktoś myślał, tylko tego, co zrobił („Dlatego ludzie czytają gazety z większą ochotą niż książki"). Kiedy czytamy Biblię, także nie dowiadujemy się, co człowiek myślał. Zawsze jest mowa o tym, co zrobił. Wnikanie w myślenie człowieka noblista Singer uważał dla pisarza za bezpłodne. Nie wziął jednak pod uwagę sytuacji szczególnych, kiedy człowiek co innego myśli i co innego robi albo robi coś wbrew temu, co myśli. Istnieje przecież rzeczywistość, w której nie można sądzić człowieka tylko po czynach. I taką niejednoznaczną rzeczywistość wziął na warsztat reporter Pielecki. *Polski łącznik* jest szczególny. Zaczyna się bowiem od autoreportażu:

> Na początku będzie o mnie... Kiedy to piszę, mam trzydzieści pięć lat. Urodziłem się trzy lata po wojnie. Pierwszy obraz, jaki utrwaliłem w pamięci, to ojciec w mundurze oficera WP i ja w wózku [...].

Mieszkali w wysokim i długim domu w alei Niepodległości w Warszawie, niedaleko Pola Mokotowskiego. Zaraz po wojnie zakwaterowano tam rodziny wojskowych, spełniał funkcję hotelu. Pielecki miał pięć lat, wkładał na głowę czapkę listonosza i dzwonił po kolei do wszystkich drzwi, niosąc nieistniejące listy. Dorośli udawali, że je czytają i przejmują się ich treścią. Na końcu korytarza mieszkał porucznik Bolek z młodą żoną Jadzią. Do chłopca listonosza mówił zawsze „Czołem, kapitanie!". Pewnego dnia Bolka nie było, chociaż w planie miał wolne. Rano, kiedy chłopiec się obudził, usłyszał na klatce schodowej głosy i słowo „informacja".

> To słowo słyszałem i u siebie w domu. Ojciec szedł do „informacji" i wracał przybity. Kładł się zaraz spać. Matka nawet nie wypytywała go specjalnie. Czasem wypijał przed snem kieliszek wódki, czasem więcej. Na słowo

„informacja" rozmowy stawały się cichsze, twarze tężały. To słowo w oficerskim środowisku mojego ojca budziło respekt. Odczuwałem to bardzo dokładnie. Nie wiedziałem, co znaczy, ale i we mnie budziło lęk. Kiedy usłyszałem je u pani Jadzi, wybiegłem szybko na korytarz [...].

Pisze, że to był pierwszy dramat jego życia. Bolek zniknął. Wtedy chłopiec przekonał się, że świat każdego z nas nie jest raz na zawsze zamknięty, że ludzie z niego wychodzą i znikają.

Następny zniknął kuzyn matki z podwarszawskiej wsi – Tadzik. Uciekł. Z tym zniknięciem wiązały się już inne słowa: zaciąg pionierski, ZMP, kopalnia... Po dziesięciu latach napisał do rodziny list z Katowic, ale nie podał swojego adresu.

Zdałem na studia – pisze Pielecki – a w połowie 1969 roku dostałem pierwszą pracę – w redakcji tygodnika „Zarzewie". Miałem legitymację służbową, możliwość wyjazdu w teren i pomysł: odnajdę tych dwóch, opiszę... Dokąd doszli? Kim są? Swe dorosłe życie zaczęli przecież tak różnie... Wiedziałem wówczas tylko tyle, że Bolek zniknął w sposób, w który ludzie nie znikają z własnej woli.

Tak narodził się reporter Pielecki. Odnalazł obu mężczyzn ze swojego dzieciństwa. W *Polskim łączniku* zamieścił ich historie.

Po „Zarzewiu" pracował w „Świecie Młodych", „Razem", „Na przełaj" (gdzie do stanu wojennego był redaktorem naczelnym), w „Motywach", aż w 1983 roku został redaktorem naczelnym Polskiej Agencji „Interpress". W 1985 roku za swoje reportaże otrzymał sześć nagród. Za *Polskiego łącznika* i *Pogodę dla biedaków* – pierwszą Nagrodę imienia Ksawerego Pruszyńskiego, przyznawaną przez Stowarzyszenie Dziennikarzy PRL (powołane w stanie wojennym w miejsce zdelegalizowanego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich; przystąpiła do niego połowa członków SDP).

W 1985 roku nieregularnie, a w 1987 regularnie, co miesiąc, agencja „Interpress" zaczęła wydawać miesięcznik „Reporter", którego naczelnym został Pielecki. W piśmie pojawiło się mnóstwo nowych nazwisk (starzy i uznani reporterzy, którzy odrzucili pracę dziennikarską w Polsce stanu wojennego, wydawali w podziemiu albo przestali pisać i wykonywali inne zawody; Ryszard Kapuściński, który dostał propozycję zostania urzędnikiem ZUS-u, skupił się na pisaniu poezji. Z asów reportażu w pierwszych numerach „Reportera" pojawili się Ryszard Wójcik i Janusz Rolicki).

Reportaż wraca do czytelnika – napisał naczelny w pierwszym numerze z listopada 1985 roku. – Wraca, bo czytelnik go oczekuje i czyta najchętniej. Wraca, bo życie przywołuje nawet tych reporterów, którzy się odeń odwrócili. Wraca, bo po latach emocji przychodzi znów czas na chłodną obserwację.

Kiedy „Reporter" stał się już miesięcznikiem, Pielecki dodał:

Tak się stało, że miejsce tych, którzy odeszli, zapełniają już powoli inni, młodsi... Może nie mają jeszcze takich umiejętności jak sławni nieobecni, ale pożyjemy, zobaczymy... Krajowy Klub Reportażu Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL, pełen młodych ludzi, na ostatnich obradach w Starej Wsi pod Węgrowem wyraził dość jasno swój stosunek do współczesności: BYĆ! Za wszelką cenę być! Dokumentować, opisywać.

Nazwiska z pierwszego numeru w 1987 roku zgodnie ze spisem treści: Anna Wawrzycka, Ewa Czerwińska, Janusz Kochanowski, Bożena Wawrzewska, Leopold Dzikowski (fotoreporter), Aldona Łukomska, Janusz Atlas, Krzysztof Strzelecki, Jerzy Ambroziewicz, Karol Szyndzielorz, Małgorzata Terlecka-Reksnis. Pierwszy numer regularnego miesięcznika niemal w całości poświęcony był tematowi „Polak się rodzi" (w wymowie bliskiemu akcji „Gazety Wyborczej" z lat dziewięćdziesiątych „Rodzić po ludzku").

W roku 1988 na fali strajków w Gdańsku „Reporter" – jak mówi Wojciech Pielecki – stał się cichym współautorem koncepcji Okrągłego Stołu. Dwóch reporterów przeprowadziło pierwszy od 1981 roku wywiad z Lechem Wałęsą. (Więcej – patrz s. 517–518). Pismo przestało wychodzić w 1991 roku, Pielecki założył wówczas prywatną oficynę wydawniczą Reporter, która wydała m.in. głośną książkę Ireny Dziedzic *Teraz ja... 99 pytań do mistrzyni telewizyjnego wywiadu* oraz Jerzego Nasierowskiego *Nasierowski, ty pedale, ty Żydzie*. Był redaktorem naczelnym pierwszego kolorowego pisma o życiu wyższych sfer „Halo" (1994–1996), a także „Trybuny" (2001–2002). W 2010 został prezesem spółki Pro Media wydającej gazety lokalne.

Na próbę to mój ulubiony krajowy reportaż Wojciecha Pieleckiego. Ma nowoczesny temat w tradycyjnej dekoracji.

Rzecz dzieje się w stronach mojej dalekiej rodziny – opowiada reporter – którą czasem odwiedzałem. I jak to często u mnie bywało, w czasie jakiejś z biesiad usłyszałem tę historię – o dziewczynie z miasta, która zbulwersowała wieś chęcią zostania rolniczką, życiem na kocią łapę ze starym miejscowym kawalerem i niechęcią do Kościoła. Opowieść usłyszana przy

zastawionym stole była tak barwna i tyle było w niej podskórnych dramatów, że należało ją zweryfikować. Dogrzebać się do tych „drugich den", za którymi zawsze goniłem. I się dogrzebałem, jak sadzę... Tak, to jeden z moich najlepszych reportaży.

Na próbę

Ten dzień zaczął się fatalnie. Poprzedniego pokłócili się ze Stachem, nie doszli do porozumienia i rano problem kościoła stanął na nowo w całej swojej krasie. Trzy dni temu ktoś wrzucił im przez okno kamień owinięty papierem: „Burdel Hacha". Ten „burdel" odnosił się do nich dwojga. Wtedy Stach powiedział:

– Może byś przynajmniej do kościoła poszła?

– Nie!

– Dlaczego?

– Bo nie wierzę...

– Co ci szkodzi? Raz... Tylko raz!

Odpowiedziała mu znowu „nie". Wiedział przecież – tłumaczyła – na jakich warunkach tu przyszła. Sprawdza się. Oboje się sprawdzają. Jak im się ten sprawdzian powiedzie, to zostaną na zawsze. Ale ona nie będzie rezygnować do końca z siebie samej. Kompromis ma pewne granice, nawet jeśli celem ma być wyjście z samotności. Ona nie wierzy... On wierzy... Uszanujmy to w sobie nawzajem.

– Sprawdzamy się, to prawda – tłumaczył jej Stach. – Ale nie tylko względem siebie. Sprawdzamy się także w tej konkretnej wsi, wśród ludzi tych, a nie innych. Czy ona tego nie rozumie? Czy nie widzi, że jeśli się nie sprawdzą również w Harchutowie, to nie uda im się w ogóle razem wyżyć? Zastraszą, zaszczują...

– Możemy się przenieść – ona na to.

– Gdzie?

– Do innej wsi.

– Do innej wsi... A czy to w innych wsiach jest inaczej?

I stanęło na niczym. Poszli spać, jedno wściekłe na drugie; i na siebie też. Bo ani on nie jest taki wierzący, ani ona taka ateistka. Ale wtedy była pewna, że jeśli odejdzie od siebie jeszcze krok dalej, załamie się, sama wpędzi się w narożnik, z którego będzie mogła tylko uciec lub pozostać. Niby wybór duży, ale każdy zły. Ucieczka – to cztery ściany w mieście i dawna pustka. Wieczne uleganie tutaj – to w konsekwencji przygnębienie i nerwowa choroba.

Rano jednak nie wytrzymała. Przełamała się pierwsza. Wiedziała, że Stach nie zacznie. Był tak samo zacięty jak jego ojciec. On też nie chciał przekraczać

swoich granic. Zrobił to już dwa razy – kiedy dał ogłoszenie, a później – kiedy zgodził się na tę próbę. Trzeciego razu może nie być.

Przełamała się. Powiedziała:

– Pójdę, ale ten jeden jedyny raz.

Kościół w Harchutowie jest bogaty. Harchutowo żywią bowiem Stany Zjednoczone i miejscowy przemysł. „Stany" – to słowo oznacza tu dobrobyt, mekkę, ocean szczęścia. Każda prawie z rodzin ma tam kogoś bliskiego, czasem nawet dwie albo trzy osoby. Najlepiej wychodzą na tym młode dziewczyny. Mogą w Stanach złapać męża. Wtedy zostają na stałe, ale zaraz ściągają kogoś następnego, najlepiej też pannę. A chłopcy? Wyjadą czy nie – wyzbywają się ziemi. Pracują w przemyśle. W Dębicy, na przykład, w Tarnowie, w Sędziszowie. W Rzeszowie i Krakowie również. I w Mielcu. W Mielcu może nawet najwięcej. Tyle że dalej mieszkają tutaj, bo taniej, bo swojski dach nad głową.

Rolników na sto procent jest więc coraz mniej. Na dwieście prawie numerów jest ich jeszcze piętnastu; połowa starych, reszta w średnim wieku. I tylko Staszek między nimi jak nie z tej planety.

Kościół w Harchutowie jest bogaty. Na tacę spadają co niedziela „zielone" i „koperniki"[1]. Przed sumą przykościelny parking przypomina najwytworniejszy salon samochodowy. Lśni lakier, błyszczy złoto na palcach i szyjach, świecą wyglansowane do połysku kamasze.

Przed kościołem wymienia się ostatnie informacje z Chicago, Milwaukee i Mielca. Ktoś przyjechał, ktoś wyjechał...

– Proszę, list do was! Wczoraj Ziutek przywiózł ze Stanów. Tak, tak... jeszcze wróci. Ciężko jest, ale na razie się trzyma. Nie, Zosia szuka pracy, tak, wyrzucili. Ale już jej coś tam adwokat załatwi. Musi wizę przedłużyć, tak, ciężko z tym teraz...

– Ty, wiesz coś, czy Hach ma zamiar z tą miastową się żenić?

O, to jest właśnie ten temat, który nas interesuje... Ten Hach i miastowa... Bezbożnica... Bez sakramentu. Niby wielki świat, a jednak sprawa Hacha i jego miastowej przytłumia tu ostatnio najciekawsze nawet wiadomości ze Stanów.

Tuż przed sumą przed kościołem pojawił się Hach. Przyszli z Gośką na piechotę. Chałupa blisko, dzień upalny. On ją trzymał pod rękę, wokół prawie nie patrzył.

Kiedy weszli do środka, parking zafalował i zaczął wyciekać za nimi. Nic się jeszcze nie stało, ale właściwie czuło się, że w powietrzu coś wisi... Hach przyprowadził miastową do kościoła!

Staszek ma dwadzieścia siedem lat, dziesięć hektarów i rodziców na utrzymaniu. Ma też silną wolę i mocne postanowienie, że przetrzyma. Kiedy myśli

[1] Kopernik – tu: potoczna nazwa banknotu tysiączłotowego.

o swoim życiu, przychodzi mu do głowy kilka wspomnień. Pierwsze sięga daleko wstecz. Miał wówczas jedenaście lat. Jechał z ojcem furą. Wracali z miasta, dokąd odstawili lekarza, który wcześniej przyjechał do matki. Dźwignęła coś w ósmym miesiącu ciąży i dostała bóli. Poroniła. Lekarz powiedział, że to był syn i że matka już więcej rodzić nie będzie. Z miasta wracali w milczeniu. To wspomnienie rysuje się Stachowi jak scena z wiejskiego melodramatu. Kiedy bowiem zajechali na podwórze, zasępiony ojciec położył mu rękę na głowie i powiedział coś mniej więcej takiego:

– Teraz, Stasiu, to jużeś pewien. To wszystko będzie twoje.

Staszek nie bardzo wówczas pojął, o co chodzi; bardziej myślał o tym, żeby jak najszybciej znaleźć się na łące, gdzie koledzy grali w piłkę.

Nie chciał zostać rolnikiem. Wokół coraz głośniej było o kolejnych fabrykach, coraz więcej chłopaków szło tam właśnie za chlebem, zostawiając ziemię państwu albo rodzicom, którzy dożywali na niej ostatnich dni. Opowieści wiejskich robotników rozpalały mu wyobraźnię. Parę razy był w mieście razem z teatrem amatorskim, w którym grał główne role. Rozogniała go miejska atmosfera – ruch, tłum, samochody, sklepy. I pociągała go scena – emocje występu, emocje kulis, brawa publiczności. Zawsze dostawał ich najwięcej. Był spośród rówieśników najsilniejszy, głos modulował odpowiednio do roli, nie klepał tekstu.

– Ty wspaniale grasz, Stachu – mówiła mu kierowniczka klubu i on na tym budował swoje nadzieje: liceum, matura, potem studia. Może aktorskie?

I dlatego nie rozumiał ojcowskiego starania, aby zostać we wsi pierwszym rolnikiem, ani jego namiętności do ziemi przejętej od dziadka, ani sensu harówki, w którą wkładał tyle serca. Dziś, gdy o tym myśli, nie jest już taki pewien, ile w tej ojcowskiej zapiekłości było prawdy, a ile musu. Ile własnej chęci, a ile determinacji, która nie pozwalała nigdy przyznać się nawet przed sobą do swych prawdziwych marzeń.

Staszek przypomina sobie scenę sprzed wielu lat. Ojciec był jeszcze młody. Żył dziadek. Któregoś dnia zaczęli się o coś kłócić. Na początku ich nie słuchał. Potem, gdy wymiana zdań stała się głośniejsza, podszedł do uchylonych drzwi.

– Póki ja żyję – gniewnie unosił się dziadek – nikt za mnie decydować nie będzie. Umrę, zrobisz, co zechcesz. Teraz nie. Rozumiesz?

Ojciec czuł respekt przed dziadkiem. I coś być musiało między nimi, co nigdy poza nich dwóch nie wyszło, bo kiedy dziadek umierał, kazał ojcu przysięgać na krzyż, że gospodarki nie sprzeda. I ojciec przysięgał.

Potem była ta rozmowa:

– Gdzie chcesz zdawać do szkoły?

– Do liceum...

– Nie pozwalam.

– Nie chcę być na gospodarce...

– Będziesz!

Staszek nie mówił nic o szkole aktorskiej, o tym, że papiery do liceum już złożył. Ojciec zresztą o nic więcej nie pytał. Następnego dnia wyjechał nagle gdzieś wcześnie rano. Wrócił pod wieczór. Zawołał Staszka do pokoju i położył przed nim papiery wycofane z liceum.

– Wybieraj: zasadnicza albo technikum. Rolnicze, rozumiesz?

Znał dobrze to „rozumiesz". Odkrył w nim tak wielkie podobieństwo i tak przemożny wpływ na siebie, że odpowiedział tylko: „Jak chcesz...". Nie było buntu, płaczu, nie miał też ochoty uciec z domu. Sam nie rozumie do dzisiaj magii sytuacji. Stało się coś takiego... jak by to powiedzieć... ważnego. Podniosłego. W tym krótkim momencie przypomniał sobie dziadka, ich wczesne ranne wstawanie, kłótnie ojca przy komasacji, sądowe procesy z braćmi o spłatę, radość z udanych żniw, zawiść sąsiadów i te wszystkie słowa, którymi tak niezdarnie, z lękiem ojciec przyuczał go do roli. Widział wszak Staszkowe teatralne zapędy, mydlane oczy w mieście... Nie wie, co się wówczas stało. Po prostu nie można było odpowiedzieć inaczej. Nie bał się awantury, bicia... To nie w ojca stylu. Nie chciał tylko sprawić mu przykrości, wielkiego życiowego zawodu... Tak, to jest najbliższe prawdy, ale brzmi banalnie. Po prostu oczekiwanie ojca było wówczas ważniejsze od niego samego, od tych teatralnych planów, które stały się w oka mgnieniu takie małe wobec ojcowskiej determinacji. Potem zresztą nie było odwrotu: u nich w rodzinie mężczyźni byli konsekwentni.

Za dwa tygodnie było już po egzaminach do technikum. Staszek zdał je pomyślnie. Ojciec pierwszy raz postawił przed nim wódkę. Tak bowiem u Hachów bywało, gdy ojciec syna uznawał za partnera.

Pięć lat technikum przeleciało szybko. Przynosząc świadectwo maturalne, usłyszał od ojca:

– Teraz trzeba ci się szybko żenić. Zdobędziesz babę, prędzej gospodarzem zostaniesz. Ja się za późno ożeniłem. Trzydzieści pięć lat to starość. Dzieci trzeba robić za młodu, kiedy baba silna i chłopu się chce. Rozumiesz?

„Rozumiesz?" – parę razy powtórzył to sobie pod nosem. A ojciec przekonywał dalej:

– Co tam miłość, synu. Grunt, żeby baba robotna była, nieszpetna i z tobą chciała żyć. Miłość sama przyjdzie...

Właściwie nawet nie zdążył odpowiedzieć, co o tym wszystkim myśli; ojciec już oznajmiał, że ma kandydatkę i trzeba w poseliny[2] iść. Nic jednak z tych poselin nie wyszło, choć nawet znajomego księdza wzięli ze sobą. Dziewczyna słyszeć nie chciała. Toż ona Staszka prawie wcale nie zna. No tak, chłopak przystojny, uczony, ale dzisiaj przecież nie tak się sprawy załatwia. Miłość musi być.

Ubodło to Staszka, dziewczyna mu się podobała. Ubodło bardziej pewnie niż ojca, który z niedoszłym teściem spił się, narzekając na dzieci i to nowe wychowanie. Ubodło, bo jeszcze nigdy nie odczuł, co to miłość znaczy, a męska smarkata duma urażona została po raz pierwszy.

Podpity lekko przyparł Zośkę w sieni.

– Co? Za dobra jesteś dla mnie?

– Głupiś. Mam chłopaka, do miasta idę...

„Mam chłopaka, do miasta idę..." – prawie jak refren powtarzało się to w kolejnych Staszkowych podejściach. Nie, w poseliny już nie jeździł, choć go ojciec do tego namawiał. Upokorzeń było aż nadto. Krzyknął wtedy po raz pierwszy na starego:

– Już mnie raz ojciec złamał, wystarczy. Niech mi ojciec żony nie wybiera. Sam znajdę, bez pośmiewiska. Inaczej odejdę!

I po raz pierwszy zobaczył, że ta nagła eksplozja gniewu wyciszyła starego. Groźba odejścia była chyba silniejsza od chęci urządzenia życia synowi.

Ale Staszek się przejął i szukał. Tyle że bez skutku. Ich wieś przestawała być chłopska. Panny wyjeżdżały do miasta, do szkół, rzadko potem wracały. Inne, wprost po szkole, dostawały zaproszenie do Stanów...

Stach jeszcze rok temu miał oczy wilka. Polował. Przeciągał każdą dziewczynę długo wzrokiem. Kły ostrzył, zbliżał się. I pac! Policzek albo kosz. Nie pomagały argumenty: dziesięć hektarów, hodowla, nowoczesny tucz, własne pasze, w przyszłości nowy dom. Ten nowy dom to jeszcze był element przetargowy, ale to wszystko wcześniej... Nawet Jolka, którą przecież w końcu kochał (kochał?), powiedziała mu to po trzech miesiącach:

– Stasiu, jedźmy do Stanów. Wrócimy, postawimy dom, kupimy samochód, pójdziesz pracować do Dębicy do Igloopolu.

Zastanawiał się nawet chwilę. Może by tak rzeczywiście pojechać, wrócić z dolarami i dopiero wtedy zacząć gospodarkę? Ale ojciec powiedział:

– Ja, Stasiu, sam nie dam rady. Kiedy wrócisz, mnie już może nie być.

Jolka pojechała więc sama. Minęły cztery lata, nie wróciła. A Stachowi lata szły, ziemia paliła się pod nogami. Chodził z początku z chłopakami ze wsi na

[2] Poseliny – inaczej zmówiny, wizyta ojca z kumem lub samym kawalerem u rodziny panny młodej.

baciarkę[3], ale oni tam ciągle o jednym – o Stanach, o mieście i o dziewczynach. A o ziemi ani słowa. Rola przestawała istnieć w ich świadomości. Odchodziła do lamusa wraz z ich dzieciństwem i latami rodziców... W końcu przyjaciel mu poradził:

– Daj ogłoszenie do prasy.

„Rolnik, 27 lat, 10 hektarów, szuka żony, wytrwałej, lubiącej wieś i pracę na roli".

Dał. Dostał cztery odpowiedzi. Dwie pierwsze kandydatki interesowały się tylko tym, czy ma nowy dom i samochód. Pracą na roli – raczej nie. Trzecia myślała, że jest badylarzem. Powiedziała: „Szkoda!". Czwarta... Czwartą odłożył na sam koniec. Mieszkała w Warszawie.

Małgorzata ma już pierwszą młodość za sobą, to widać. Brzydka nie jest, ale rysy twarzy ma wyostrzone. Jest starą panną. Życie nie ułożyło się po jej myśli. Chciała zostać archeologiem; w szkole pasjonowała się historią, założyła nawet kółko archeologiczne, miała kontakty z uniwersytetem. Razem z drużyną harcerską wyjeżdżała na obozy naukowe. Pod okiem zawodowców wygrzebywali coś tam z ziemi. To była wielka przygoda jej życia. Ale skończyła się niespodziewanie.

Nagle zmarł ojciec. Była wtedy rok przed maturą. Zawinął się bardzo szybko. Nikt nie przypuszczał, że może mieć chore serce. Kiedy dostał zawału, miał czterdzieści lat i jeszcze całe życie przed sobą...

Zaraz po tej śmierci matka jakby przestała istnieć. Całymi dniami potrafiła nie zamienić ani słowa. Tuż przed maturą Małgorzaty nie wróciła wieczorem do domu. Córka myślała przez chwilę, że może znalazła wreszcie kogoś, kto pomoże jej się pozbierać. Ale nadeszła północ, potem zaczęło świtać... Czekała. Była zaniepokojona. Tak, tak... Myślała, że może została na noc u jakiegoś mężczyzny, ale babskie przeczucie mówiło co innego. Około piątej nad ranem zadzwonił telefon. Dzwonili ze szpitala. Matkę znaleziono na cmentarzu, na grobie ojca. Była przemarznięta, wtulona w lastriko pomnika, nieprzytomna. Teraz śpi naszpikowana lekarstwami. Proszą, żeby córka przyjechała.

Pamięta ten dzień bardzo wyraźnie. Kiedy weszła do szpitalnej sali, nie poznała jej. Blond włosy były siwe, twarz nagle pobrużdżona. Czterdziestoletnia kobieta w ciągu jednej nocy zrobiła się stara. Zapłakała. Płakała też później. Od tamtego dnia nie miały już ze sobą żadnego kontaktu. Małgorzata nie wie, co się stało. Znalazł ją przy pomniku stróż, który szedł z grabarzami kopać grób na ranny pogrzeb. Musiała tam być od wielu godzin. Palce miała wciśnięte między płyty nagrobka – zimne, skostniałe.

[3] Baciarka – zabawa, głównie kawalerska.

Coś się stało. Ale co? Nigdy się tego nie dowiedziała. Z archeologii pozostało tylko niespełnione marzenie. Po maturze poszła do pracy. Renta matki była niewielka. Poza tym ktoś musiał się nią opiekować. Pozostawało oczywiście inne rozwiązanie: dom starców. Ale to nie mieściło się jej w głowie. Więc pracowała w biurze jako sekretarka, potem robiła zakupy, potem biegła do domu, żeby ugotować sobie i matce, potem... najczęściej już nic. Szkolne przyjaźnie zostały zerwane, biurowe wymagały czasu. A czasu nie starczało. Miała jeszcze wieczory, ale wieczorami była taka skonana...

Poznała jednak dwóch chłopaków. Pierwszy nie mógł zrozumieć, dlaczego nie ulokuje matki w jakimś przytułku. Drugi – dlaczego zaraz po pracy biegnie do domu. Kiedy zrozumiał, odechciało mu się matrymonialnych planów. Odszedł. Nie wyobrażał sobie życia we troje. I Małgorzata przestała próbować. W rezultacie wpadła w utartą koleinę (praca – dom – matka) i prawdę powiedziawszy, zaczęła się w tym nawet czuć jako tako. Ale umarła i matka.

Nim się obejrzała, w tym domowym kieracie minęły już najlepsze lata. Poczuła się nagle sama, przegrana i stara. Nie, samobójczych myśli nie miała. Nie stać jej jednak było, by wyjść ze swego domowego ukrycia. Oduczyła się już życia towarzyskiego, przestała o siebie dbać. Sama nie wie, co ją skłoniło do tego, by po przeczytaniu Staszkowego ogłoszenia napisać: „Mam trzydzieści sześć lat. Nigdy nic nie miałam wspólnego z rolnictwem. Jestem jednak sama, nigdy nie byłam mężatką. Chciałabym jeszcze uzyskać coś od życia. Nie boję się żadnej pracy. Jestem przygotowana na wszystko. Proszę o odpowiedź".

Nie napisałaby tego może, gdyby nie chwila słabości i to, że w egzemplarzu gazety, którą kupiła, była jakaś usterka techniczna. Wiek Staszka niewyraźnie odbity. Wyglądało to na trzydzieści siedem. Od razu więc zobaczyła swą pomyłkę, gdy tylko wszedł do jej mieszkania na Żoliborzu. Przestraszyła się, zaczęła przepraszać, ale Staszek złudzeń nie miał. Wiedział, do kogo jedzie. Wydała mu się nawet młodsza niż na zdjęciu. Został. Rozmawiali przez dwie godziny. Potem on pojechał z powrotem. Miała do niego przyjechać za tydzień, rozejrzeć się.

Przyjechała. Oprowadził ją po obejściu. Rodzice nic nie mówili. Nie przedstawiał jej jako narzeczonej. Ot, koleżanka z Warszawy. Ojciec jednak domyślał się. Gdzieś w ciągu dnia zasyczał mu do ucha:

– Starszawa, ale może być. Widać silna... – oceniał raczej jak klacz, a nie jak kobietę.

Staszek nie odpowiedział. Kiedy siedzieli przy obiedzie, ojciec spytał:

– No to kiedy dać na zapowiedzi?

– Żadnych zapowiedzi nie będzie, tato.

Ona nisko schyliła głowę. Ta wpadka z wiekiem trochę ją ostudziła. Myśl o małżeństwie odeszła daleko, traktowała więc nową sytuację jako drobną odmianę w życiu. Myślała, że Staszkowi przejdzie. Jestem przecież za stara dla niego – tak sobie mówiła. Ale on był już zdeterminowany.

– Chcesz zostać moją żoną?

– Jeszcze nie wiem. Jestem starsza...

– Daj spokój! – warknął – To bez znaczenia.

– Słyszałeś coś o miłości? Jesteś młody, zakochasz się. Odejdziesz. Znów zostanę sama.

– Nie martw się, moje słowo coś znaczy.

– To zacznijmy na próbę. Przyjadę tu, będziemy mieszkać razem. Potem się zobaczy... Może ja się dla ciebie nie nadaję? Może nie nadaję się na wieś?

Staszek się zgodził. Zaczęli na próbę. Tyle że matka pobiegła natychmiast do księdza, ojciec wziął się do wyzwisk: on bezbożnik, ona dziwka, to świństwo przyprowadzać babę pod dach bez świętego sakramentu.

– To mus, ojciec, to mus! – powiedział przez zaciśnięte zęby Staszek. – I niech ojciec nie zapomina, że ja tu teraz rządzę. Rozumiesz, ojciec?

I ojciec zrozumiał.

Małgorzata też: że wieś to nie miasto, a wiejska droga to nie Marszałkowska.

Zapłonęły światła w kościele. Zabrzęczało złoto na rękach przy żegnaniu się krzyżem. Zadźwięczały dzwonki. Ksiądz proboszcz patrzył od ołtarza. W drugiej ławce siedział Hach z miastową. Patrzyli mu prosto w oczy, wzroku nie spuszczając. Sprowokować musiał ten wzrok kapłana, bo kiedy na ambonę wyszedł, takim tekstem kazania uraczył zebranych:

– Życie w grzechu oddala nas od Boga... Grzech oddala nas od ludzi, od tej społeczności, w której żyć nam przychodzi. Życie w pohańbieniu rzuca cień na dom, na obejście, na sąsiadów wokół. Mamy takie czarne owce w naszej gminie...

Palec księdza wylatywał w powietrze raz po raz, a wzrok utkwił w drugiej ławce przy ambonie. A kiedy powiedział: „jedno przyjście do kościoła nie oszuka Boga, jedna mała skrucha nie zamydli mu oczu", Małgorzata wstała, ksiądz umilkł, cisza się zrobiła. Stach odwrócił się nagle w jej stronę, a ona szła od ołtarza, nie klękając, wśród ciszy, szybko, na boki nie patrząc, choć to dla niego wieki trwało. Myśli tyle skłębiło się w głowie – zostać? pójść? – w końcu

zerwał się i pobiegł za nią, a w tym czasie szmer się zrobił w kościele, śmiech gruchnął, a ksiądz dokończył kazania:

– I tak Pan Bóg nie dopuścił, aby grzech w świątyni doznawał spełnienia.

Kiedy przyjeżdżała do Harchutowa, wiedziała, że lekko nie będzie. Nie przejmowała się więc szeptami w sklepie, chichotem kobiet, plotkami, które okrężną drogą docierały do niej. Wieś ją nie obchodziła. W domu było poprawnie. Ojciec nie wtrącał się do nich, w ogóle mało się odzywał, znikał gdzieś na całe dnie. Matka siedziała w kościele, modląc się raczej o to, aby nic z tego nie wyszło, bo kto widział, żeby chłop brał sobie babę o dziesięć lat starszą i do tego taką „wychuchanicę" z miasta. Więc właściwie cały dzień byli tylko we dwoje. Pracowali. Stach objaśniał jej wszystkie roboty po kolei. Krzyż bolał, ręce odpadały, zmęczenie przytłaczało ogromne. Ale zawzięła się. Dzień za dniem mijał, krzyż przestawał boleć. Stach zaczął do niej mówić coraz częściej „maleńka", a ona do niego „Staśku".

Coraz częściej oglądała się za nim, coraz częściej spotykali się oczami... Jak w filmie, jak w jakimś romansie.

Boże – myślała sobie – to chyba cud jakiś, to niemożliwe!

Cudów na ziemi jednak nie ma. Są za to sąsiedzi. Ksiądz Stacha zaczepił, do rozumu chciał przemówić. Potem potępieniem bożym postraszył.

– Co tam ksiądz wie! – odpowiedział Stach na to. – Trzeba by księdzu tak samemu spróbować na ziemi.

I ksiądz się obraził.

Obraził się też kościelny. Dostał takiego łupnia, że do końca życia nie zapomni. Przyłapał go Staszek, jak ten kamień przez okno wrzucał.

Nie mógł tego zrozumieć, co im się stało nagle. Co ich tak dbałość o jego sakrament wzrusza? Nigdy tu przecież takich szopek nie było. Ale zapomniał, że od dawna żaden młody nie złamał miejscowego stereotypu: ogłoszenie w gazecie, jakaś próba przedmałżeńska, baba z miasta, ateistka... A choć na co dzień, po uczynkach sądząc, trudno byłoby w Harchutowie z tuzin katolików zebrać, to gdy o odwieczny porządek rzeczy chodzi, każdy się tu zaangażuje.

W trzy dni po skandalu w kościele umarła stara Hachowa. Lekarz orzekł, że ze starości, ojciec, że ze zgryzoty, a wieś miała jedną diagnozę: Pan Hachów pokarał. Za miastową.

W najbliższą niedzielę parking przed kościołem falował żywiej niż normalnie. Każdy zajmował stanowisko w sprawie. Ludzie w świecie bywali, porównywać mogą.

Kamiński, trzydzieści dwa lata, trzy lata w Stanach: – Ja bym z domu wyrzucił! To widać, że nieszczęście ściąga.

Piegrza, pięćdziesiąt cztery lata, dwa razy po dwa lata w Stanach: – Wstyd dla chłopa taką miastową zdzirę brać.

Kamińska, trzydzieści lat, gospodyni księdza: – Proboszcz mówił, że to się tak skończy...

Skórowa, dwadzieścia dziewięć lat, cztery lata w Stanach: – Ona ich na pewno truje. Wykończyć chce i zabrać wszystko. Stacha też załatwi. W Chicago widziałam film...

Chłapowa, czterdzieści pięć lat, klubowa: – Taka miastowa niby, a do klubu nie zajrzy, gazet nie czyta. Tylko za nim lata, oczami przewraca.

Jętek, trzydzieści pięć lat, siedemnaście lat w Mielcu: – Ja bym taką kurwę...

Skórowa: – Ludzi lekceważy, „dzień dobry" nie mówi.

Piegrza: – Ona tę starą biła. Kościelny mówił, że słyszał krzyki.

Skórowa: – A stary?

Piegrza: – Stacha się boi.

Kamińska: – To Hachowa od tego bicia pewnie...

Skórowa: – Albo od trucizny.

Kamińska: – Od tego i od tego...

Jętek: – Ja bym taką kurwę...

Znam Kamińskiego, Piegrzę, Skórową. Znam ich wszystkich. Chodziłem po tym parkingu w tę niedzielę i wiedziałem, że mówią serio. Miastowa została potępiona. Pachniało wielkoświatowym linczem.

Następnego dnia wyszturchały ją baby z kolejki. Ktoś psem poszczuł, przybiegła do domu ledwie żywa. Nie mówiła nic Stachowi. Miał większe zmartwienie. Zaczęła tylko coraz częściej nad przyszłością w Harchutowie myśleć. Odejść? Zostać? Szczęście zdawało się umykać. I Stach może nie wytrzymać...

Do kościoła nie weszła. Czekała przy bramie cmentarza, aż się nabożeństwo skończy i wyprowadzą zwłoki. Kiedy kondukt zbliżył się do bramy, dołączyła od tyłu. Stach podszedł do niej, chciał zaprowadzić na czoło, ale się nie dała.

Stojąc wraz z innymi nad grobem, myślała o sobie. Nie usłyszała nawet w pierwszej chwili tych słów skierowanych do niej:

– Na kolana!

Ktoś mówił to już po raz drugi. Rozejrzała się. Patrzyli na nią. Nie pamięta dokładnie, co zaszło, tak była w swoich myślach pogrążona. Raptem podeszła do niej jakaś płaczka, potem druga. Nim zrozumiała, o co chodzi, przydusiły ją do ziemi. Broniła się, chciała się podnieść. Wszystko to z tyłu się działo,

w ciszy prawie, ksiądz nad grobem swoje odprawiał, Stach niczego z początku nie zauważył, ona nie krzyczała, tylko broniła się przed kułakami, aż wreszcie, kiedy padła ostatecznie, nie wytrzymała, wiedziała, że się nie wyrwie, że nie da rady, że rozwścieczone płaczki mogą ją za chwilę w ziemię wdeptać, czuła już krew w ustach, ból w krzyżu, buty w nerkach, krzyknęła:

– Stachu!

I już nic nie pamięta.

Staszek runął w jej stronę od trumny, roztrącił baby, pierzchły jak pierze z worka, trumna zatrzymała się w połowie drogi do grobu, ksiądz zaniemówił, a on podniósłszy ją z ziemi, lecącą przez ręce, nieżywą prawie, wykrzyczał im swą obietnicę:

– Ktoś jeszcze tknie, zabiję!

Nikt nie tknął.

Co tu dużo gadać. Gośka leżała trzy dni nieprzytomna: wstrząs mózgu, rozległe porażenie nerek, liczne uszkodzenia ciała. Stach był nie mniej nieprzytomny. Że wyżyje, to było raczej pewne. Ale czy zostanie?

Gryzł się. Czekał jak pies przy łóżku, patrząc z napięciem na zamknięte wciąż oczy. Bał się jej odpowiedzi. I bał się zapytać wprost.

Wreszcie obudziła się. Trzeciego dnia przyniósł do szpitala zgłoszenie na kurs rolniczy.

– Wypełnić za ciebie? – spytał.

Te dwie czy trzy sekundy ciszy trwały prawie wieczność. I prawie z oddali dotarła do niego odpowiedź:

– Tak.

Potem spytał co napisać w rubryce „stan cywilny". Panna? Może by już go zmienić?

– Stachu, jak skończę kurs, będę wiedziała. R o z u m i e s z?

Jakżeby nie... „rozumiesz" – to w jego rodzinie specjalność.

Następnego dnia przyniósł jej pierścionek. Powiedziała mu wtedy:

– Ale zostanę przy swoim nazwisku, przyzwyczaiłam się.

Stach skinął głową.

Wojciech Pielecki, *Pogoda dla biedaków*, Lublin: Krajowa Agencja Wydawnicza, 1985, s. 69–79

1984

Piotr Gabryel (ur. 1961)

Pogłębić kamuflaż, odjąć jezioro

Jego reporterskie książki z lat osiemdziesiątych mają tytuły, które zaliczam do grupy „boskich": *Zaproszenie do czyśćca* (1987) i *Kciuk Pana Boga* (1989). (W „boskich" znajdują się też takie tytuły polskiego reportażu jak: *Anioły Warszawy*, *Bezdomność Boga*, *Bóg zapłać*, *Co dzień bliżej nieba*, *Czyściec mężczyzn*, *Eli, Eli*, *Obiad u Boga Ojca*, *Pieta na szkle*, *Sąsiedzi Pana Boga*, *Sezon w czyśćcu*, *Szukam raju*, *Wszyscy święci na urlopie*, *Zdążyć przed Panem Bogiem*, *Zrób sobie raj* czy *Gottland*. To gotowy temat na pracę magisterską: „Nadanie metafizycznego znaczenia życiu bohaterów reportażu poprzez tytuł książki").

Piotr Gabryel, były zastępca naczelnego „Rzeczpospolitej", „Uważam Rze", a obecnie „Do Rzeczy", absolwent Wydziału Nauk Społecznych na Uniwersytecie imienia Adama Mickiewicza w Poznaniu o specjalności dziennikarskiej, w latach osiemdziesiątych drukował we „Wproście", „Polityce" i „Reporterze". Swój zawód traktował poważnie – w 1989 roku na pytanie Jacka Szmidta w „Na przełaj", kto to jest reporter, dwudziestoośmioletni Piotr Gabryel odparł: „To jest człowiek, który jak policjant cały czas jest w pracy". Poważne traktowanie widać także w tym, że młody Gabryel poszukiwał dla swoich reportaży nowych form. Tekst *Zamawiam teczkę dla obywatela M.* z 1984 roku, który zamieszczamy w antologii, ma formę donosu – jak najbardziej adekwatną do swojego czasu. W 1985 roku reporter opisał z kolei upadek naczelnika powiatowej rady narodowej w małym mieście i nadał reportażowi formę narady między reporterem a eksnaczelnikiem:

> Reporter: – Wystąpię w roli spowiednika. Od czego zaczniemy? Od niesławnego końca Byłego Prominenta Miejsko-Gminnego?
>
> Eksnaczelnik: – Może lepiej od zamazania – dla pogłębienia kamuflażu – realiów i rysów mojej postaci?
>
> Reporter: – Niech będzie. Proponuję. Odejmijmy Miasteczku Jezioro, dołóżmy Rzekę; zabierzmy Zajazd, domalujmy Hotel w Centrum, Spółdzielnię Rolniczą zastąpmy Pegeerem, a największy w Miasteczku zakład – Wytwórnię Wód Gazowanych – zamieńmy na Zakład Bieżnikowania Opon Wszelakich. Gees – jak wszędzie, Szkoła – jak wszędzie, Zlewnia – jak wszędzie, Poczta – w budowie. Pana zróbmy starannie ogolonym, pięćdziesięcioletnim blondynem. Wystarczy?

Eksnaczelnik: – Teoretycznie powinno, choć – znając nasze, Polaków, skłonności do lekceważenia racji przy jednoczesnej zapalczywości w demaskowaniu osób, które te racje prezentują – obawiam się, że i tym razem maskarada okaże się nazbyt kusa. Ale niech tam. Raz naczelnikowi śmierć.

Reporter: – Pan sam nie jest wolny od przywar, które pan postponuje.

W 1990 roku Piotr Gabryel odszedł z „Reportera" i ponownie podjął pracę w tygodniku „Wprost". Wymyślił Nagrodę Kisiela i wspólnie ze Stefanem Kisielewskim doprowadził do jej powstania. Zorganizował pierwsze polskie prawybory we Wrześni. Był pomysłodawcą i jednym z pierwszych autorów rankingu „Stu najbogatszych Polaków".

Jego książka *Kciuk Pana Boga* składa się z dwóch części. Pierwsza, *Klub multimilionerów*, to opowieść o dziesięciu najbogatszych Polakach 1985 roku – reporterskie portrety, które tworzył dla „Polityki". Żeby dotrzeć do krezusów PRL-u, najpierw odwiedził Ministerstwo Finansów, ale tam go wyśmiano, potem Izbę Skarbową, lecz usłyszał, że nawet gdyby wiedzieli, kto jest najbogatszy w Polsce, nie zdradziliby tego dziennikarzowi, wreszcie ci, których nazwiska udało mu się ustalić, zaprzeczali, że są bogaci, i wypraszali go z domu.

Jego reporterską galerię bogaczy zamyka portret milionera pośrednika. Podpowiadał firmom, w co zainwestować, żeby zaoszczędzić. Zapytany, jakie nauki płyną z jego doświadczeń, powiedział coś, co było świetną pointą reportażu o najbogatszych w socjalistycznej Polsce:

Fiata 128 już dawno zamieniłem na szarego, nierzucającego się w oczy 125p. Dla świętego spokoju zainwestowałem za to w sprzęt wędkarski, którego nikt na co dzień nie ogląda – więc i nie zazdrości.

Druga część *Kciuka Pana Boga* to opowieści o najbiedniejszych – mieszkańcach dworca Poznań Główny. Bohaterami jest kilkoro bezdomnych. Pytany przez Szmidta, skąd wziął się ten temat, Gabryel odparł: „Pisałem po to, żeby tygodnik »Wprost«, który leżał w kioskach, zaczął się sprzedawać [...]".

W tym samym roku co *Kciuk* ukazała się jego książka *Katyń w pół drogi* – o ludziach, o których jeszcze rok wcześniej nie można było pisać. Takich jak generał lotnictwa Stanisław Skalski czy wybitny chemik podporucznik Tadeusz Tucholski, który zginął w Katyniu, a którego żona nie umie przyjąć tego do wiadomości.

W 1988 roku o Piotrze Gabryelu i Karolu Jackowskim, dziennikarzach miesięcznika „Reporter", zrobiło się głośno, gdy przeprowadzili wywiad z Lechem Wałęsą, najbardziej znaną „prywatną osobą" w Polsce. Pierwszy w oficjalnej prasie od wprowadzenia stanu wojennego. W sierpniu 1988 roku, gdy znów

strajkowała stocznia, rząd postanowił rozmawiać z Wałęsą, zaproszono go do Warszawy. Jackowski z Gabryelem ścigali go po całym mieście, ale wciąż otrzymywali mylne informacje co do miejsca jego pobytu. Dwa dni później pojechali do jego domu w Gdańsku, stanęli pod furtką i zaproponowali rozmowę. To był prosty pomysł, który nikomu innemu nie przyszedł do głowy.

Naczelny miesięcznika „Reporter" Wojciech Pielecki (patrz s. 499) opowiadał mi o tym tak:

> W roku 1988, w roku fali wiadomych strajków, „Reporter" stał się cichym współautorem koncepcji Okrągłego Stołu. Nikogo nie pytając o zgodę, wysłałem do Gdańska do Lecha Wałęsy dwóch młodych reporterów: Piotra Gabryela i Karola Jackowskiego, żeby przeprowadzili z nim wywiad pod umownym hasłem „I co dalej?". W tym wywiadzie, którego udzielał moim młodszym kolegom, Wałęsa był tak precyzyjny w ocenach sytuacji i w propozycjach na przyszłość (padła w nim między innymi, moim zdaniem po raz pierwszy oficjalnie, idea Okrągłego Stołu), że... stoczyliśmy tygodniową batalię w KC PZPR, u Rakowskiego, Czyrka i Jaruzelskiego, żeby cenzura tekst puściła. I wywiad poszedł – z Lechem Wałęsą, osobą wówczas jeszcze zakazaną. A Bardzo Ważny Człowiek z KC prosił tylko o jedną zmianę: żebyśmy słowa „reżim komunistyczny" w wypowiedzi Wałęsy zmienili na „porządek socjalistyczny". I chyba jednak nie zmieniliśmy. Ale tego już dokładnie nie pamiętam. A potem nagle wybuchła idea Okrągłego Stołu pobłogosławiona przez najwyższe autorytety z jednej i z drugiej strony.

Gotowy wywiad miał być odebrany „Reporterowi" i wydrukowany w miesięczniku „Konfrontacje". Mocodawcy prasowi z KC PZPR uznali, że rozmowa może się ukazać, lecz w innym piśmie – powołanym w styczniu 1988 roku pod egidą reżimowego Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego, aby konfrontować poglądy oficjalne z opozycyjnymi. „Konfrontacje" uchodziły za tytuł, któremu wolno było więcej. Na przykład zaznaczały w druku ingerencje cenzorskie. Naczelny „Reportera" doprowadził jednak do opublikowania wywiadu z Wałęsą także w swoim miesięczniku i tekst ukazał się we wrześniu 1988 roku równocześnie w obu tytułach.

Piotr Gabryel mówi, że była to jedna z jego najpiękniejszych przygód reporterskich.

Zamawiam taczkę dla obywatela M.

W całej tej sprawie – nie ukrywam – najbardziej rozsierdzili mnie ob. ob. Agnieszka M. i Krzysztof M. Bezczelne to i nieokrzesane. On – absolwent gorzowskiej filii Akademii Wychowania Fizycznego, ona – absolwentka Studium Wychowania Przedszkolnego oraz Studium Przedmiotowo-Metodycznego, a przemądrzałe, jakby Oksford pokończyły. Wróciły na wieś, bo z niej pochodzą, do szkolnictwa, pouczyły parę lat (ona pięć, on trzy) i zaraz myślą, że im się mieszkanie należy, i to, proszę zauważyć, wbrew woli dyrekcji. No, kto to widział, hę? Ja widziałem! Specjalnie wybrałem się pod Z., do wsi gminnej T., żeby sprawę prześwietlić, diagnozę postawić i winnych do odpowiedzialności pociągnąć. W związku z powyższym

uprzejmie donoszę,

że ob. Krzysztof M. ma lat dwadzieścia sześć, a jego żona – ob. Agnieszka M., dwadzieścia pięć. Poznali się, co, pragnę nadmienić, nastąpiło zupełnie przypadkowo, w szkole podstawowej w T. jesienią 1981 roku. Ob. M. rozpoczął tam wówczas pracę, a jego przyszła żona, z domu B., pracowała już, zamieszkując wspólnie z rodzicami w T.

Wspomniani obywatele mieli się ku sobie od samego początku. W sierpniu 1982 roku temperatura łączącego ich uczucia sięgnęła zenitu, dlatego też zapragnęli się pobrać. Po ślubie ob. Krzysztof M. spakował walizki i przeniósł się od mieszkających w sąsiednim Z. rodziców do teściów. W T. zamieszkał wraz z żoną u jej rodziców, w pokoiku na poddaszu. Pokoik ten gruntownie przebadałem, w związku z czym

uprzejmie donoszę,

że nie warto dawać wiary skargom ob. Krzysztofa M. na panującą w nim ciasnotę. Dwanaście metrów kwadratowych, w tym trzy pod mansardowym sufitem, to dla bezdzietnego małżeństwa luksus, a przecież jest faktem powszechnie znanym, że ob. Krzysztof M. nie wykonał do tej pory ob. Agnieszce M. dziecka. Przy rozpatrywaniu problemów mieszkaniowych wyżej wymienionych słusznie też dyrekcja szkoły oraz odnośna komisja nie brały pod uwagę, że w budynku gnieżdżą się nadto rodzice ob. Agnieszki M. i czwórka jej rodzeństwa. W końcu to nie dyrekcji czy komisji wina.

Dla porządku jednak

uprzejmie donoszę
o wszystkim po kolei. Otóż szkoła podstawowa w T., a właściwie (od października 1982 roku, kiedy to w T. przywrócono gminę) Zbiorcza Szkoła Gminna, ma nie najgorszą sytuację mieszkaniową. Oprócz pokoi wynajmowanych u miejscowych rolników i kiepskich pomieszczeń w budynku szkoły posiada ponadto czteromieszkaniowy dom nauczyciela.

W grudniu 1982 roku Kuratorium Oświaty i Wychowania w Pile, wychodząc naprzeciw oraz idąc na rękę, zakupiło od ob. ob. G. nową trzypokojową willę w T. Krótko potem demokratycznie powołana komisja pod kierownictwem dyrekcji szkoły w osobie ob. Janiny J. w sposób całkowicie demokratyczny przyznała willę ob. Janinie J. Dyrekcja wspólnie z mężem i dziećmi zamieszkiwała do tego czasu we wspomnianym domu nauczyciela, powstał więc problem, co począć ze zwalniającym się lokalem. Demokratycznie powołana komisja postanowiła mieszkanie po ob. J. przekazać mieszkającej po sąsiedzku ob. C., bo większe, a lokal po ob. C. – nowożeńcom M. Na tym też stanęło. Ustalenia komisji zatwierdziła na swym posiedzeniu rada pedagogiczna i zaczęto je realizować, to znaczy ekipa remontowa zajęła się willą dyrekcji. Przeróbek przewidywano huk, więc robota ślimaczyła się do lata.

W tak zwanym międzyczasie jednak, o czym
uprzejmie donoszę,
odbyła się w szkole wywiadówka podsumowująca zimowy okres nauki. Rodzice uczniów klasy ósmej, których wychowawcą był ob. Krzysztof M., uderzyli podczas jej trwania na alarm, że ich dzieci często nie mają lekcji języka polskiego. Lekcje te prowadziła wtedy dyrekcja, a więc uwagi rodziców musiały być bezpodstawne, ba, wręcz kłamliwe i tendencyjne, a mimo to niedoświadczony nauczyciel wiejski M. przyznał rodzicom rację, zezwalając nawet zerknąć do dziennika. Był to czyn tak haniebny, że doprawdy nie wiem, skąd bierze się u ob. M. zdziwienie, iż dyrekcja pozbawiła go wychowawstwa klasy ósmej, powierzając je innemu, bardziej doświadczonemu nauczycielowi wiejskiemu. Równie niezrozumiałym wydaje mi się zdumienie ob. M. w momencie, gdy dyrekcja nie poinformowała go o tej decyzji osobiście, a dowiedział się o niej dopiero od dzieci, które rzekomo przyszły do niego z bekiem. To ob. M. nie wie, że dyrekcja jest dyrekcją, a nie informacją? Dyrekcja podejmuje ważkie dla życia podstawowej komórki oświatowej decyzje, decyzje nabierają urzędowej mocy i rozpoczynają swe własne życie. A że żyją w tym samym środowisku co ob. M., to i tak, prędzej czy później, decyzja z ob. M. zejść się musi. No i zeszła się, i nie wiem, skąd ten raban.

W dalszym ciągu

uprzejmie donoszę,
że dyrekcja twierdzi, iż między karygodnym postępkiem ob. M. a tym wszystkim, co później nastąpiło, nie ma i nie może być związku. Ale ja pytam, czego dyrekcja się boi. Dlaczego dyrekcja nie walnie ob. M. śmiało i wprost między oczy, że związek, i to prosty związek wynikania, był, bo być musiał. Bo dyrekcja to jest dyrekcja, a młody nauczyciel, nawet taki po studiach, ba, nawet taki, co to z wielkiej łachy pcha się między wiejskie opłotki, to jest przy dyrekcji mniej niż zero. Aby jednak nie uprzedzać zdarzeń,
uprzejmie donoszę,
że wkrótce po przeprowadzce dyrekcji do willi do mieszkania po niej wprowadziła się sąsiadka, ob. C. z rodziną. Mieszkanie po ob. C. zostało we wrześniu 1983 roku opróżnione, a klucze przekazano ob. ob. M. Ob. Krzysztof M., nie okazując ani cienia skruchy, ani odrobiny pokory wobec skrzywdzonej i urażonej dyrekcji, zabrał się do roboty. Najpierw jednak dyrekcja, wykazując maksimum cierpliwości, zawiadomiła ob. Agnieszkę M. o wizycie malarzy i poprosiła, by ta poszła wybrać kolor farb, jakimi miało zostać pomalowane mieszkanie. Ob. M. poszła, a jej mąż nadal nie przychodził do dyrekcji z przeprosinami. Przeciwnie. Coraz żwawiej za to kręcił się po mieszkaniu. Razem z żoną posprzątał po malarzach, na własny rachunek wymienił spłuczkę, przesunął zlewozmywak, założył tapety w kuchni i łazience, zamocował żyrandole oraz szyny do firanek i zasłon, zamocował szafki w kuchni, zakupił komplet odpowiednio wysokich (ponad trzy metry) mebli do pokoju oraz szafę przedpokojową dla poprzednich lokatorów, w zamian za pozostawienie starej. Remontując, zakładając i kupując, na śmierć zapomniał o dyrekcji i swoim niecnym występku. Nawet kiedy w październiku 1983 roku na wniosek dyrekcji szkoły Zakład Energetyczny w Wałczu spisał protokół ze stanu licznika w celu wydania ob. M. książeczki rozliczeń za energię, nie poczuł się on w obowiązku pojawić się w odnowionej willi z wiernopoddańczą deklaracją.

W tym czasie cierpliwość dyrekcji wyczerpała się, i chwała jej za to. Dyrekcja, jak wspomniałem, zaniechała działania wprost, zauważając słusznie, że jeśli zechce uderzyć ob. M., to kij się zawsze znajdzie. I rozumna dyrekcja znalazła. Znalazła kij w pobliskim Z., w mieszkaniu rodziców ob. Krzysztofa M. Okazało się bowiem, że ojciec ob. M., zasłużony, emerytowany nauczyciel, inwalida pierwszej grupy, zajmował wraz z rodziną dwa mieszkania: dwupokojowe i kawalerkę. Nie to jednak było najważniejsze. Dużo wyższą wartość przedstawiało pismo, w którym kurator oświaty i wychowania w Pile ob. Zbigniew S. zapowiedział w 1982 roku, że kawalerka może być w przyszłości przekazana ob. M.-juniorowi. Dyrekcja słusznie, o czym

uprzejmie donoszę,
wywnioskowała z tego zapewnienia, że kawalerka już należy do ob. M.-juniora, słusznie też pominęła fakt, że kurator S. zastosował tu zwykły wybieg, aby zasłużonemu nauczycielowi, inwalidzie pierwszej grupy, nie odbierać tego, co się kiedyś dało, choć obecnie obowiązujące przepisy zabraniają zajmowania dwóch mieszkań.

Nie chciał przyjść Mahomet do góry, góra wezwała Mahometa do siebie i obwieściła mu, że jest kłamcą, dwulicowcem i – co gorsza – także dwumieszkaniowcem, że tak dłużej być nie może, bo inni czekają. Dyrekcja działała już dalej z żelazną konsekwencją, za nic sobie mając rozgoryczonych ob. ob. M., zbuntowanych rodziców i jakieś komisje nasyłane uparcie z województwa. Dyrekcja działała jak na dyrekcję przystało, nie cofając się przed żadnymi środkami. Nie wstrzymało jej pisemne zrzeknięcie się przez ob. M.-juniora kawalerki, której faktycznie nie posiadał, nie wstrzymało zrzeknięcie się i opuszczenie kawalerki przez ob. M.-seniora, który ją faktycznie użytkował. Wstrzymać mogła jedynie pokora ob. Krzysztofa M., ale ten uczył się nazbyt opornie.

2 listopada 1983 roku dyrekcja wezwała ob. Krzysztofa M. przed oblicze swoje, wicedyrekcji ob. Aleksandry R., sekretarza szkolnej Podstawowej Organizacji Partyjnej Krystyny C. i szefa związku zawodowego ob. H. Dyrekcja wzmocniona czynnikiem społecznym zażądała od ob. Krzysztofa M. zwrotu wydanych kluczy. Ob. M. jednak wzbraniał się, a późnym wieczorem tego dnia, w odruchu desperacji, zaczął razem z żoną okupację mieszkania. Okupacja trwała krótko. Następnego dnia rano ob. M. poszedł do pracy, a po południu do naczelnika gminy T. w celu zameldowania siebie i żony w domu nauczyciela.
Uprzejmie donoszę,
że władza, choć młoda, bo ob. Jerzy T. objął urząd naczelnika zaledwie kilka tygodni wcześniej, wprowadzona już była w temat przez dyrekcję i zachowała się, jak na władzę przystało, to znaczy odmówiła zameldowania ob. ob. M. oraz zagroziła im eksmisją, proponując równocześnie dobrowolne złożenie kluczy w naczelnikowym depozycie. Ob. M., zgodnie z przewidywaniem władzy, zląkł się eksmisji. Zdał grzecznie klucze i odebrał pokwitowanie. I w tym momencie stracił wszystkie szanse, a górę wzięła góra, czyli połączone siły dyrekcji oraz władzy gminnej.

4 listopada 1983 ob. M. zdał klucz, 15 listopada otrzymał od dyrekcji pismo, że mieszkania po ob. C. nie dostanie, a 23 listopada naczelnik T. przekazał oddane mu w depozyt klucze dyrekcji. Dyrekcja, będąc już absolutnym panem sytuacji, przyznała w tym czasie sporne mieszkanie ob. Januszowi

P., kierownikowi administracyjnemu Zbiorczej Szkoły Gminnej w T., i jego żonie, ob. Annie Ł.-P., od dwóch lat nauczycielce w tej szkole. Ob. ob. P. mają dziś ponadroczne dziecko, dyrekcja rozegrała zatem partię po mistrzowsku. Bo w szczegóły, a to takie szczegóły, że ob. ob. P. mieli dotychczas niezłe warunki mieszkaniowe, zaś ob. Janusz P. szykował jeszcze lepsze, remontując na koszt firmy mieszkanie w budynku szkolnym w sąsiedniej S., nikt wnikać nie powinien. W końcu słowo dyrekcji rzecz święta.

Ob. M. jednak, o czym

uprzejmie donoszę,

nie złożył broni. Rzucał się jak ryba w dyrektorskiej sieci. To do Piły, to do Z. smagnął, w kuratorium brać na łzy młodego wiejskiego nauczyciela, to pismo skrobnął tu i tam. Od decyzji dyrekcji też się nieopatrznie odwołał. A kuratorium zachowywało się jak wygłupione. Czyżby oni tam, zachodzę w głowę, dali się nabrać młokosowi M.? Zdarzały się bowiem kuratorium pociągnięcia na wskroś niesłuszne, podrywające latami, z mozołem budowany autorytet dyrekcji. I tak na przykład 1 grudnia 1983 roku kurator uchylił decyzję dyrekcji z 15 listopada 1983. No, do czego to podobne? To szarpanie dyrekcji zdrowia, rozbój w biały dzień, ograniczanie samodzielności i samorządności podstawowej komórki oświatowej, jaką jest dyrekcja. W końcu jeśli dyrekcja będzie chciała, to z pomocą demokratycznie powołanej komisji przyzna ob. ob. M. mieszkanie, a nie będzie chciała, to nie przyzna i żaden kurator jej w tym nie przeszkodzi, choćby nie wiem do kogo się odwoływał i co uchylał. A dyrekcja mieszkania ob. ob. M. przyznać nie chce, czy to jest jasne?

5 grudnia, po otrzymaniu kuratorskiego uchylenia w całości, dyrekcja wydała zarządzenie, by nauczyciele składali podania o przydział mieszkania po ob. C. Wniosków wpłynęło kilka, a mieszkanie i tak przyznano ob. ob. P. Ob. ob. M. natomiast demokratycznie powołana komisja przyznała na otarcie łez mieszkanie na piętrze w domu nauczyciela, zajmowane na razie przez wicedyrekcję Aleksandrę R. Wkrótce bowiem wicedyrekcja miała przenieść się z rodziną do pobliskiej P., do odnawianego na koszt firmy mieszkania, więc lokal byłby wolny. Ob. Krzysztof M., zamiast przyczołgać się i cmoknąć dyrekcję w dłoń za tak łaskawe potraktowanie, szumiał jednak dalej. Jak zdołałem ustalić, o czym

uprzejmie donoszę,

szumiał i szumi dla jakiejś zasady. Szumi – jak powiada – aby sprawiedliwości stało się zadość. Jakiej sprawiedliwości, ja w tym miejscu pytam? Komu ma ta sprawiedliwość służyć i kto ma za nią stać? Jeżeli ob. M., to ja wysiadam i pozostałym to samo radzę. Jeśli dyrekcja, przyklasnę ze wszystkich sił,

w imię jedności oraz zwartości kolektywu podstawowej komórki oświatowej w T. Chyba zresztą ob. M. słyszał, co powiedział mu podczas spotkania pierwszy sekretarz Komitetu Gminnego partii w T., ob. Grzegorz N. Bo ob. N. powiedział, że póki on tu jest sekretarzem, ob. Janina J. będzie dyrektorem. I słusznie. Czasy anarchii mamy już na szczęście za sobą i nikt dla widzimisię ob. M. nie powiezie ob. Janiny J. na taczce. Co najwyżej możemy taką taczkę zorganizować dla ob. M.!

Demokratycznie powołana komisja porozdawała mieszkania po ob. C. i ob. R. 19 grudnia. Tegoż dnia po południu udali się ze skargą do kuratorium ob. M. oraz delegacja komitetu rodzicielskiego, a wieczorem, po otrzymaniu kluczy od dyrekcji, ob. ob. P. wprowadzili się do opieczętowanego przez Urząd Gminy mieszkania. Kompletnie urządzoną kuchnię ob. ob. M. zaplombowano, wnosząc do niej uprzednio sprzęty ob. ob. M. z pozostałych pomieszczeń. Ob. ob. P. zaimprowizowali kuchnię w przedpokoju. I dobrze, i tak być powinno. To nie było żadne tam włamanie do zasiedlonego mieszkania, jak niosła wieść gminna, lecz praworządne wyegzekwowanie decyzji demokratycznie powołanej komisji.

Kuratorium nie stanęło niestety na wysokości zadania, o czym z nieukrywaną przykrością

uprzejmie donoszę,

i przysłało nazajutrz specjalną komisję. Komisja sprawę zbadała, ale działając w zaślepieniu, zreferowała jej przebieg kuratorowi dokładnie odwrotnie, to znaczy na korzyść ob. ob. M. A kurator zawierzył specjalnej komisji i 22 grudnia przysłał pismo uchylające decyzję demokratycznie powołanej komisji, podważając na samym wstępie, co jest już niesłychane, samą jej demokratyczność!! Kuratorowi nie spodobało się mianowicie, że na czele komisji stała dyrekcja w osobie ob. Janiny J., tak jakby kurator miał zastrzeżenia do nieskazitelności oblicza ob. J. Nadto kurator w jawnie złośliwy sposób wytknął dyrekcji nieznajomość prawa lokalowego, przytaczając kilka błędnie użytych przez nią paragrafów. A przecież dyrekcja też ma prawo do chwil słabości, w których to chwilach staje się zwyczajnym człowiekiem, a znów zwyczajny człowiek, wiadomo, jest istotą omylną.

Kurator zażądał też, by ob. ob. P. opuścili mieszkanie po ob. C. Dyrekcja oczywiście nie zastosowała się do błędnego posunięcia i kpiąc w żywe oczy z kuratorskiej niemocy, trwa przy swoim. Ob. M. też trwa, tyle że na straconej pozycji, i żołądkuje się przy lada okazji. Podobnie zachowuje się tak zwana milcząca większość (wsi), która nie wiedzieć czemu przestała milczeć i gardłuje na całego.

Uprzejmie donoszę,
że badając „sprawę M.", która naturalnie żadną „sprawą" nie jest, spotkałem się również z reprezentacją tej rozgorączkowanej większości w osobach członkiń Komitetu Rodzicielskiego Zbiorczej Szkoły Gminnej w T. – ob. ob. Janiną W. i Jadwigą G. W sabacie wzięła też udział ob. Lucyna K., sekretarz organizacyjny Komitetu Gminnego partii w T. Wszystkie trzy uznały, że reprezentowana przez nie większość ma rację, jakby zapominając, że już dużo wcześniej zauważono, iż racja nie zawsze znajduje się po stronie większości. Przeciwnie. Często to właśnie świadoma mniejszość ma monopol na prawdę, rację i sprawiedliwość. Nie inaczej jest w T. Ale obywatelki nie dały się przekonać. Zarzucały, że mieszkanie powinni dostać ob. ob. M., że poziom nauki w szkole się obniża, a dyscyplina pracy wśród nauczycieli spada. Jedna z obywatelek przypomniała nawet jakieś wyssane zapewne z palca zdarzenie, w którym to miała rzekomo przez kilkanaście minut prowadzić lekcję za nauczycielkę, która się spóźniła, bo akurat do sklepu rzucili towar. I wszystkiemu winna jest dyrekcja, dlatego powinna być zmieniona. To anarchistyczne wręcz żądanie dołów puściłem mimo uszu.

Dużo przyjemniej, o czym
uprzejmie donoszę,
rozmawiało mi się z naczelnikiem gminy ob. Jerzym T. Ob. T. trochę mnie wprawdzie zaskoczył i zasmucił, a to głównie wyrażonym przez siebie zdziwieniem dla totalnej jedności poglądów między organizacją partyjną, związkową a dyrekcją, jaka panuje w szkole, ale pozwalam to sobie złożyć na karb małego doświadczenia zawodowego ob. T. Niepotrzebnie też naczelnik konfidencjonalnym tonem powtarza plotki, jakoby w willi zamieszkiwanej przez dyrekcję utopiono w czasie remontu osiemset sześćdziesiąt tysięcy złotych ze społecznych pieniędzy, niepotrzebnie wiąże nazwisko ob. Janusza P. – kierownika administracyjnego szkoły, odpowiedzialnego za remont, z dyrekcją. Równie niepotrzebnie zląkł się naczelnik podczas zebrania wiejskiego w połowie grudnia 1983 roku, na którym powiedział, że klękać nie będzie, ale „sprawa M." pozostanie dla niego nauczką. Po co klękać, jaka „sprawa", jaką nauczką? Ob. T., głowa do góry! Klucz wydaliście? – wydaliście. M. zameldowaliście? – nie zameldowaliście. P. zameldowaliście? – zameldowaliście! Ob. T., powtarzam, głowa do góry, stoicie po słusznej stronie. Winni są ob. ob. M. i to oni muszą beknąć. Inaczej u nas nie ma! Ob. Krzysztof M. przyszedł nieproszony, jakby na wsi nauczycieli brakowało, narozrabiał, to niech teraz chlapnie piwko, którego nawarzył, a wy, ob. T., trzymajcie się.

W związku ze wszystkim, co wyżej z całym obiektywizmem przedstawiłem, wnioskuję, aby ob. ob. Krzysztofa M. i Agnieszkę M. skazać na banicję poprzez wywiezienie na taczkach, naczelnika ob. Jerzego T. pouczyć w kwestii konieczności kontynuowania pracy na rzecz integracji lokalnej władzy, zaś dyrekcję w osobie ob. Janiny J. (ewentualnie po wzmocnieniu czynnikiem społecznym) proponuję uhonorować wpisaniem jej imienia do księgi pamiątkowej przy okazji zbliżającej się uroczystości wręczenia szkole sztandaru ufundowanego przez społeczeństwo. Gdyby rozkrzyczana większość utrudniała uroczyste wręczenie – zakneblować usta.

Kreślę się z wyrazami szacunku i pozostaję w operacyjnej gotowości.

Piotr Gabryel, *Zaproszenie do czyśćca*, Poznań: Krajowa Agencja Wydawnicza, 1987, s. 19–28

1989

Anna Ostrzycka (ur. 1949)
Marek Rymuszko (ur. 1948)

Fakt, tyle że paranormalny

„Na taki tekst trzeba czekać latami" – napisał reporter Edmund Żurek o reportażu Marka Rymuszki *Ulica Polska*.

Ja, kiedy go czytałem w 1987 roku w miesięczniku „Reporter", zazdrościłem autorowi tematu, ponieważ w styczniu tego roku – jako dorabiający na poczcie student dziennikarstwa – byłem na Polskiej przez trzy dni listonoszem. Lecz nie przyszło mi do głowy, że to ulica symboliczna. Polska była (i jest) najbardziej peryferyjną ulicą Warszawy, mimo że leży blisko centrum i Łazienek Królewskich. Schowana w chaszczach nad Wisłą, prowadzi aż do elektrociepłowni Siekierki. Przez to sąsiedztwo zawsze spadał na Polską czarny śnieg. Na rok przed upadkiem komunizmu reportaż Rymuszki był czymś więcej niż tylko opisem ulicy i jej mieszkańców:

> Ulica Polska, nieopodal Wschodnia. [...]
>
> Na Polskiej jak sięgnąć pamięcią były zawsze dziury i koleiny. Asfalt położono dopiero w latach sześćdziesiątych, gdy puścili tędy autobus do elektrociepłowni. Najgorzej, że mieszkańcom nie pozwala się niczego budować ani remontować, bo nadal brakuje szczegółowego planu zagospodarowania przestrzennego terenu. [...]
>
> Geografia ulicy Polskiej. Z jednej strony rozdroże, do którego doprowadza wyboisty Gościniec. Z drugiej kolejne rozstaje dróg, gdzie wabi swoim egzotycznym szyldem ulica Ananasowa. Ananasowa wiedzie w prawo; autobus, który łączy Polską z zatruwającym otoczenie kolosem, skręca w lewo [...].

Za *Ulicę Polską* Marek Rymuszko zdobył w 1987 roku trzecią nagrodę w konkursie miesięcznika „Reporter" na reportaż współczesny. W czasach, kiedy kochaliśmy aluzje, Polska między Wschodnią a Ananasową była według mnie warta każdej nagrody. Rok wcześniej autor za całokształt dorobku został uhonorowany Nagrodą imienia Ksawerego Pruszyńskiego.

Rymuszko dostawał świetne recenzje – o jego zbiorach reportaży *Paralaksa* (1984) czy *Schody* (1988) pisano, że nie są to składanki reportaży, ale świetnie przemyślane całości. Sporo w nich tekstów zaczynających się w sądzie, najczęściej o ludziach, którzy stali się ofiarami prawa, bo – jak napisała Krystyna Goldbergowa – „Rymuszko dyskutuje z sądami i podważa wyroki". Miał swoje

zdanie, ponieważ oprócz Wydziału Dziennikarstwa ukończył Wydział Prawa na Uniwersytecie Warszawskim i pracował jako reporter, a potem szef działu w „Prawie i Życiu".

Tomik *Schody* otwiera tytułowy reportaż o trzydziestotrzyletnim sędzim, który właśnie ma wydać wyrok na młodych ludzi – niewiele młodszych od siebie – oskarżonych o drukowanie antypaństwowych ulotek i rozrzucanie ich w czasie obowiązywania stanu wojennego. To opowieść o tym, jak młody sędzia rozumie swoją niezawisłość. Nie wstąpił ani do PZPR-u, ani do Solidarności, co dla innych było dbałością, by „sobie nie zapaskudzić kariery", a dla niego jedyną drogą do budowania pozycji w młodym wieku. Reportaż zdobył pierwszą nagrodę w konkursie miesięcznika „Kontrasty" w 1983 roku. A cały tomik – Nagrodę „Życia Literackiego" za najlepszą książkę reporterską 1988 roku.

Kiedy tygodnik „Argumenty" wiosną 1981 roku poprosił Rymuszkę o odpowiedź na hasło „Mój wybrany bohater", reporter napisał o bohaterze tekstu *Paralaksa*:

> Jan Skomorowski z Grabowa, człowiek dotkliwie doświadczony przez życie, który cały swój czas poświęca pisaniu o pustce Kosmosu i rządzących nią prawach. Kiedy czytam jego listy, w których prowadzi mnie przez odległe mgławice i galaktyki, wiem, czuję to, że obcuję z czymś nieskończenie tajemnym, a zarazem wspaniałym i że moja wielka reporterska przygoda – jaką było spotkanie z wiejskim amatorem astronomem, trwa do dziś [...].

To wyznanie traktuję jako zapowiedź nowej drogi Marka Rymuszki, na którą wszedł na początku lat osiemdziesiątych. Zaczął interesować się zjawiskami paranormalnymi i fenomenami parapsychicznymi. Zaowocowało to bestsellerem 1989 roku – *Nieuchwytna siła*, który napisał w duecie z Anną Ostrzycką (prywatnie – żoną). Książka poświęcona jest dziewczynce z Sosnowca – Joannie Gajewskiej, która przez kilka lat przejawiała zdolności psychokinetyczne: w jej obecności metalowe przedmioty zmieniały kształt, a inne drobne rzeczy, choćby szklanki, same się przemieszczały, często podczas lotu raniąc dziecko.

Autorzy wrócili do tematu w następnej książce – *Powrót nieuchwytnej siły* (1994). Tym razem był to reportaż o bezprecedensowych wydarzeniach w szpitalu na ulicy Stępińskiej w Warszawie, gdzie przez trzy noce gwałtownie przemieszczały się pincety, strzykawki, kieliszki, noże i probówki. Przeloty trwały po kilkanaście godzin. Świadkami tego byli nie tylko lekarze, pielęgniarki, niektórzy pacjenci czy kapelan szpitala, ale także Rymuszko i Ostrzycka.

Anna Ostrzycka była reporterką „Kuriera Polskiego", jest absolwentką Wyższego Studium Języków Obcych oraz Instytutu Lingwistyki Stosowanej

Uniwersytetu Warszawskiego. W ostatnich dwudziestu latach stała się jedną z największych znawczyń niekonwencjonalnych technik terapii, zagadek natury i fenomenów ludzkiego organizmu, którym poświęca swoje publikacje, głównie w piśmie „Nieznany Świat". Jak mówi Marek, „u Ani indywidualna sensytywność niewątpliwie ma swoje źródło w tradycji rodzinnej".

> Odkąd sięgam pamięcią – mówi Anna Ostrzycka – zjawiska paranormalne zawsze towarzyszyły mi w życiu. Będąc dzieckiem, bardzo chorowałam – po utracie przytomności czasem opuszczałam ciało. Mama niekiedy nie była pewna, czy jeszcze żyję. Tak że to, co opisują ludzie relacjonujący przeżycia w stanie śmierci klinicznej w książce Marka *Polskie życie po życiu*, nie jest mi obce, choć w niej nie znalazły się moje doznania poza ciałem. Przeżyłam dzięki nieustannej opiece mojej niezwykłej babci Aleksandry. Miała cudowne, niosące ukojenie dłonie, wspaniałe serce i duszę kochającą ludzi. Łączyła mnie z nią silna więź, w tym także korelacje telepatyczne, bo odbierałyśmy nasze myśli i odczucia. Dla mnie – wówczas czteroletniej dziewczynki – było to oczywiste i normalne. Babcia nie wyśmiewała mnie, kiedy opowiadałam, jak zmienia się energia wokół roślin, sygnalizując załamanie pogody. Wspierała, gdy prześladowała mnie pewna „zjawa". Zresztą przed wojną jej siostra Julia prowadziła przez pewien czas tak modne wówczas spotkania spirytystyczne – do czasu, gdy sytuacja wymknęła się spod kontroli...

Razem z Markiem Rymuszką założyli w 1990 roku czasopismo i wydawnictwo „Nieznany Świat". Z pismem współpracuje około stu dziennikarzy z wielu krajów.

Marek Rymuszko mówi, że jego przyjaciele reporterzy (od 1990 roku jest szefem reporterskiego stowarzyszenia Krajowy Klub Reportażu) często pytali, jak to możliwe, by ceniony reporter zaczął zajmować się sprawami tak „niepoważnymi".

Odpowiedź daje w swojej książce *Przypadki metafizyczne* (2002):

> Otóż po pierwsze, uważam, że obowiązkiem reportera jest rejestrowanie wszystkiego, co ciekawe [...]. Mój stosunek do zjawisk ze sfery parapsychologii oraz dziedzin pokrewnych określiłbym jako chłodny (w tym sensie, że pozbawiony emocji i niezdrowej ekscytacji), jednocześnie jednak rzeczowy i otwarty. Takiego podejścia nie zmienia fakt, iż wyniki niektórych eksperymentów z udziałem ludzi wykazujących zdolności paranormalne, jakie miałem możność inicjować lub w nich uczestniczyć, okazały

się dalekie od oczekiwań, a nawet zniechęcające. [...] Co najważniejsze zaś, na podstawie mojego dziennikarskiego doświadczenia mam prawo stwierdzić, że oprócz licznych tego typu doświadczeń, które okazywały się rozczarowujące, było także wiele udanych, co doprowadziło mnie do wniosku, iż fenomeny parapsychiczne stanowią realny fakt. [...] Sądzę po prostu, że w każdym przypadku w ostatecznym rozrachunku powinny decydować fakty – i tylko one.

Nieuchwytna siła

Sny magii mogą pewnego dnia stać się
rzeczywistością i jawą nauki.
prof. James George Frazer

Zapamiętajmy tę datę: noc z 4 na 5 kwietnia 1983 roku. Właśnie wtedy bowiem nastąpił początek wydarzeń, które trwają do dziś.

Mógł to być humbug, typowa dziennikarska kaczka. Nie należało również wykluczać świadomej mistyfikacji. Jadąc po raz pierwszy do Sosnowca, liczyliśmy się zwłaszcza z tą drugą ewentualnością. Już jednak wstępna dokumentacja, którą sporządziliśmy, w szczególności zaś zapoznanie się z relacjami naocznych świadków incydentów w mieszkaniu przy ulicy Plonów 5 w pierwszych dniach kwietnia, pozwoliły przyjąć hipotezę, że zjawiska, o których pierwszy doniósł katowicki „Wieczór", są autentyczne. Zagadką pozostawała natomiast ich siła sprawcza oraz mechanizm.

Sosnowiecka ulica Plonów nie wyróżnia się niczym szczególnym. Dużo tam starych domów, w większości zbudowanych jeszcze przed wojną, a zamieszkujące tę okolicę rodziny najczęściej są tam zasiedziałe od paru dziesiątków lat.

Państwo Ewa i Andrzej Gajewscy wraz z trzynastoletnią Joanną zajmowali jednopokojowe mieszkanie na parterze budynku przy ulicy Plonów 5. Dziewczynka uczęszczała do szóstej klasy Szkoły Podstawowej numer 1 w Sosnowcu. Jej matka była telefonistką w jednym z miejscowych urzędów, a ojciec – hydraulikiem, pracownikiem Sosnowieckich Odlewni Staliwa. W sumie stanowili przeciętną rodzinę, jakich na Śląsku wiele.

28 czerwca 1982 roku zmarła Maria Tomecka, babka dziewczynki ze strony matki. Wydarzenie to odnotowujemy między innymi dlatego, że z testów psychologicznych, którym później poddano Joasię, wynikało, iż z babką łączył ją silny związek uczuciowy, a śmierć bliskiej osoby pozostawiła w psychice trzynastolatki trwały ślad. Zgon babki nastąpił w czasie wzmożonych przemian hormonalnych w organizmie dziewczynki, związanych z okresem biologicznego dojrzewania.

Dla egzegezy zjawisk zapoczątkowanych „eksplozją" psychokinetyczną w nocy z 4 na 5 kwietnia 1983 roku nie bez znaczenia jest w miarę precyzyjne ustalenie niektórych okoliczności poprzedzających owo wydarzenie. Niestety nie zawsze okazało się to możliwe. Trudno zwłaszcza wykluczyć, że to, co nastąpiło później, zdominowało opcję zainteresowanych w takim stopniu,

iż byli oni skłonni przywiązywać nadmierną wagę do rozmaitych epizodów z przeszłości, w istocie zwykłych w swoim codziennym wymiarze.

Pamiętając o tym, nie sposób pominąć przynajmniej dwóch faktów. I tak w relacjach rodziców dziewczynki oraz innych osób, które stykały się z nią w okresie kilku tygodni przed nagłym wystąpieniem zjawisk paranormalnych, powtarza się stwierdzenie, iż Joasia od pewnego czasu „strzelała". Przypominało to pstrykanie paznokciami czy też suche trzaski (przytaczamy tu określenia użyte przez rozmówców), ogniskujące się wokół osoby nastolatki. Po raz pierwszy wystąpiły one w połowie stycznia 1983 roku (jedna wersja), ewentualnie na początku lutego (wersja druga). Nie zwrócono jednak wtedy na ten fakt większej uwagi, przypisując go po prostu nadmiernej elektryzacji, spowodowanej ciągłym obcowaniem z tworzywami sztucznymi, noszeniem ubrań z wełny itp. Żartowano jedynie, że witając się z Joasią, trzeba uważać, bo mała ostatnio często „kopie".

Druga okoliczność, która może, choć nie musi, mieć znaczenie dla rejestracji początkowego stadium fenomenu, dotyczy choroby Joasi. Od początku marca 1983 roku dziewczynka cierpiała na przewlekłą grypę. Utrzymywał się kaszel oraz temperatura wykazująca dziwne skoki. Potrafiła ona na przykład nagle, bez żadnej racjonalnej przyczyny, podnieść się do czterdziestu stopni (takie były przynajmniej wskazania termometru), by wkrótce potem opaść i utrzymywać się na poziomie zbliżonym do normalnego. Co ciekawsze, konfrontacja odczytu słupka rtęci z bezpośrednim dotykiem ciała zdawała się wykluczać, by chorą trawiła tak wysoka gorączka. Lekarze, którzy wówczas badali Joasię, uważali przebieg grypy za nietypowy; niektórzy podejrzewali chorobę zakaźną. Nie mogli jednak znaleźć żadnych jej uchwytnych objawów. Pewną rutynowość działań medycznych, jakie w tym przypadku zastosowano, oraz wieńczących je konkluzji można wytłumaczyć tym, iż w Sosnowcu, podobnie jak na całym Śląsku, dzieci stosunkowo często zapadają na zapalenie oskrzeli i dróg oddechowych, co stanowi konsekwencję koegzystencji z wielkim przemysłem powodującym znacznie większe niż przeciętne zanieczyszczenia powietrza.

4 kwietnia 1983 roku był drugim dniem obchodzonych tradycyjnie w całej Polsce Świąt Wielkanocnych. W domu państwa Gajewskich upłynął on spokojnie, jeśli nie liczyć tego, że Joasia czuła się od rana jakby gorzej, narzekając między innymi na uporczywe bóle głowy. Po rodzinnej kolacji Andrzej Gajewski udał się na nocną zmianę do Sosnowieckich Odlewni Staliwa, natomiast dziewczynka wraz z matką oraz dziadkiem Marianem Tomeckim oglądali telewizję.

Ponieważ zrobiło się późno, Marian Tomecki postanowił zanocować w mieszkaniu przy ulicy Plonów i wrócić do domu dopiero następnego dnia. Cała trójka położyła się około północy, przy czym matka spała na leżance w kuchni, zaś dziadek wspólnie z wnuczką na wersalce w pokoju.

Wszystko zaczęło się około trzeciej nad ranem. Właśnie wtedy na głowę Mariana Tomeckiego spadła słomiana mata. Po przebudzeniu próbował ją umocować na ścianie, ale, jak twierdził, mata „wyrywała mu się z rąk, falowała, tańczyła". W pierwszej chwili pomyślał, że to Joasia płata figle. Okazało się jednak, że mała śpi.

W chwilę później zaś w mieszkaniu rozpętało się piekło.

Według zgodnej relacji wszystkich trzech osób, które wówczas przebywały w domu, w powietrzu nagle zaczęły unosić się różne przedmioty, przede wszystkim talerze oraz szklanki. Niektóre z nich, przelatując z ogromną szybkością przez mieszkanie, z hukiem rozbijały się o ścianę oraz kredens. Rozpryskiwało się szkło, drżały szyby i meble. Fruwały również zapalone niewidzialną ręką zapałki, co – jeśli przyjąć tę obserwację za prawdziwą – jest najtrudniejsze do wytłumaczenia. Bojąc się pożaru, dziadek gonił je po pokoju i rozdeptywał. Natychmiastowe włączenie światła nie położyło kresu dewastacji. Co gorsza, odłamki szkła z rozbitych naczyń, jak gdyby ściągane niewytłumaczalną siłą, zaczęły lecieć w kierunku dziewczynki, kalecząc ją. Koc, którym była przykryta, okazał się tak naelektryzowany, że sypały się z niego iskry.

Zjawisko potęgowało się z każdą chwilą. W tej sytuacji przerażeni domownicy uciekli do mieszkających piętro wyżej sąsiadów – Jana i Gertrudy Jachów, których dobiegające z parteru odgłosy zdążyły już postawić na nogi. Właśnie Jan Jach, u którego dziewczynka z matką oraz dziadkiem znalazły schronienie, był pierwszą postronną osobą mającą możność bezpośredniej obserwacji efektów psychokinetycznych. Jego relację przekazujemy na podstawie zapisu z taśmy magnetofonowej, sporządzonego w grudniu 1983 roku podczas kręcenia materiału filmowego przez ekipę telewizji japońskiej, której towarzyszyliśmy w pracy.

– Czy może pan powiedzieć, jak to wyglądało?

– Obudziliśmy się z żoną, bo z dołu dochodził straszny łomot, jakby naczynia rozbijały się o podłogę albo ktoś walił czymś ciężkim o ścianę. Pomyślałem, że może sąsiad trochę wypił i jest tam awantura rodzinna, co było o tyle dziwne, że Gajewscy należeli do ludzi spokojnych i takie rzeczy u nich się nie zdarzały. Ledwo zdążyłem powiedzieć o tym żonie, gdy pani Gajewska przybiegła do nas z córką i swoim ojcem. Byli bardzo wystraszeni; twierdzili,

że w mieszkaniu latają różne przedmioty i jest koniec świata. Prosili, żeby mogli u nas trochę pobyć, bali się do siebie wrócić.

– Jak pan na to zareagował?

– Sądziłem, że to jakieś głupie żarty, i zszedłem z nimi na parter. Po otworzeniu drzwi zobaczyłem, że wszystko w mieszkaniu jest potrzaskane, wszędzie pełno szkła, na ścianach odpryski, słowem pełna ruina.

– Czy wtedy, jak pan tam zszedł, coś latało?

– Wtedy nie. Staliśmy dłuższą chwilę, ale nic się nie działo.

– W takim razie czy widział pan tylko skutki wydarzenia, czy coś więcej?

– To było dopiero za drugim razem.

– Proszę nam o tym opowiedzieć bardziej szczegółowo.

– Kiedy na dole znowu zaczęło trzaskać, poszedłem tam jeszcze raz i wtedy zobaczyłem rozbijające się o ścianę szklanki, garnki, talerze i kupę innych przedmiotów. Był przy tym potworny huk.

– Czy widział pan przedmioty w locie?

– Nie, w locie nie; dopiero gdy uderzały o ścianę. Z tym że w pokoju nikogo nie było; Gajewska i jej córka stały razem ze mną w progu. Te naczynia musiały lecieć z bardzo dużą prędkością, bo w ogóle ich nie było widać, dopóki nie spadły.

– Co pan wówczas zrobił?

– No, jak by to powiedzieć... miałem stracha. Nie wiedziałem, co o tym myśleć, i szybko wróciłem z Gajewskimi na górę.

– Czy podczas pobytu dziewczynki i jej matki w pana mieszkaniu również doszło do samoczynnego przemieszczania się przedmiotów?

– Początkowo nie, dopiero potem.

– Potem, to znaczy kiedy?

– Chyba gdzieś po paru minutach. Żona zrobiła herbatę i zaraz zaczęło „rzucać". Najpierw „cisnęło" książką, która spadła pod kredens. Joasia Gajewska podniosła ją i położyła na biurku, ale po chwili książka znowu poleciała pod kredens. Nikt nie mógł nią rzucić, bo wszyscy siedzieliśmy w tym momencie parę metrów dalej.

– Co pan jeszcze zapamiętał?

– Dziewczynka wyglądała na chorą, skarżyła się na ból głowy. Jej matka mówiła, że chyba ma gorączkę. Była mierzona temperatura i na termometrze wyskoczyło czterdzieści i pół stopnia. Potem mała zasnęła i wszystko się uspokoiło. (Koniec zapisu).

Zaalarmowany telefonem żony Andrzej Gajewski dotarł do domu około czwartej nad ranem. Początkowo nie bardzo miał na to ochotę, ponieważ

zwolnić się z dyżuru w zakładzie nie jest łatwo, a poza tym przypuszczał, że małżonce coś się przywidziało. Już jednak w progu mieszkania przekonał się, że obcuje ze zjawiskiem realnym. Gdy wrócił z rodziną od Jachów i otworzył drzwi, zobaczył w ułamku sekundy przelatujący z kuchni do pokoju kamionkowy garnek, który uderzył w szybę kredensu, tłukąc ją w drobny mak, a następnie sam roztrzaskał się o podłogę.

Kolejne dni nie tylko nie przynoszą uspokojenia, ale świadczą o nasileniu się zjawiska. Niemal nieustannie trzeba zbierać z podłogi szkło – pozostałość po przelotach słoików, szklanek, talerzy, kubków i butelek. Kołaczący o pomoc w lokalnych urzędach Gajewscy traktowani są w dwojaki sposób: jako osoby niezrównoważone psychicznie lub oszuści. Lekarz z pogotowia, który przyjeżdża do gorączkującej Joasi, pyta krótko, kto w rodzinie był chory psychicznie, po czym odjeżdża, pozostawiając dziewczynkę nieprzytomną. Jej rodzice na każdym kroku spotykają się z niedowierzaniem i wrogością. Z powodu powtarzającej się raz po raz kanonady w mieszkaniu mają do nich również pretensję sąsiedzi, którzy nie mogą spać.

Przełomowym momentem okazuje się przybycie funkcjonariuszy milicji z pobliskiego komisariatu, którzy po długich namowach Andrzeja Gajewskiego decydują się w końcu pojechać z nim do mieszkania (jak później powiedzą, oni również sądzili, że w grę wchodzi mistyfikacja).

Pierwszy wieczór upływa spokojnie; nic się nie dzieje. Nad Gajewskimi gromadzą się chmury. Na szczęście dzielnicowy, starszy sierżant Tadeusz Słowik, daje się przebłagać i następnego dnia przychodzi ponownie. Tym razem na efekty, których świadkiem jest również jeden z sąsiadów, nie muszą długo czekać. Kilka minut po powrocie Joasi od lekarza rozpętuje się piekło. Zaczynają latać szklanki, śruby i inne detale. Ich trajektorie są przy tym sprzeczne z elementarnymi prawami fizyki. Przedmioty wylatują na przykład z kuchni, w której nikogo nie ma, a następnie wykonują w powietrzu gwałtowny skręt, lądując w pokoju lub waląc w przeciwległą ścianę. Niektóre przeloty, w odróżnieniu do poprzednich, są dobrze widoczne.

Raport milicji, stwierdzający ponad wszelką wątpliwość, że w mieszkaniu przy ulicy Plonów 5 dochodzi do niewytłumaczalnych zjawisk fizycznych związanych z samoczynnym przemieszczaniem się przedmiotów, sprawia, iż władze miasta decydują się wreszcie potraktować całą sprawę poważnie. W domu Gajewskich zjawia się naczelny architekt Sosnowca Lech Fulbiszewski, któremu towarzyszą pracownicy wydziału urbanistyki. Inżynier Fulbiszewski początkowo sądzi, że przyczyną przesuwania się przedmiotów w mieszkaniu jest osiadanie ścian budynku. W rejonie, gdzie pod ziemią

biegną dziesiątki górniczych chodników, taka hipoteza wydaje się w pełni uzasadniona. Oznacza to, że przebywającym tam ludziom zagraża niebezpieczeństwo.

Z oględzin domu wynika, że alarm był fałszywy. Konstrukcja liczącego kilkadziesiąt lat budynku jest prawidłowa; nie widać również najmniejszych oznak zarysowania ścian. Jednocześnie obecni w mieszkaniu urzędnicy są naocznymi świadkami zjawisk, które dotychczas znali jedynie ze słyszenia. Architekt Lech Fulbiszewski wraz z towarzyszącymi mu osobami obserwują między innymi przelot butelki oraz słoika z musztardą z kuchni do pokoju, gdzie rozbijają się one o ścianę. Widzą również, jak rozmaite przedmioty wykonują po mieszkaniu kilkumetrowe skoki, a ręce dziewczynki ściągają odłamki szkła, i to ze znacznej odległości.

W tej sytuacji architekt powiadamia władze miasta o konieczności natychmiastowego przydzielenia rodzinie Gajewskich innego lokalu. Decyzja zostaje podjęta osobiście przez wiceprezydenta Sosnowca magistra Józefa Stankiewicza, który, uzasadniając ją, powie w wywiadzie prasowym: „Oczywiście niecodziennej informacji nie przyjęliśmy bezkrytycznie. Całodobowy dyżur w mieszkaniu państwa Gajewskich pełnił funkcjonariusz milicji i pracownicy urzędu miasta. Przekonaliśmy się naocznie, że niczego nie zmyślono. Przedmioty, szczególnie szklane, rzeczywiście przemieszczały się w kierunku dziecka lokatorów. Już zatem choćby ze względu na samopoczucie i zdrowie dziewczynki, która silnie przeżyła całą historię, byliśmy zobowiązani zrobić wszystko, co w naszej mocy, aby pomóc tym ludziom".

Wiceprezydent zaznaczył również, że załatwienie od ręki nowego mieszkania należy traktować jako „rutynowe działanie", gdyż Andrzej Gajewski był od wielu lat członkiem spółdzielni lokatorskiej i rzecz polegała tylko na przyspieszeniu przydziału.

Publiczne wyjaśnienie przez wiceprezydenta miasta motywów podjętej i zrealizowanej w ciągu kilku dni decyzji, co w naszych realiach trzeba uznać za istny ewenement, ma swoje określone powody. W „Trybunie Robotniczej" pojawiła się bowiem notatka, której autor niedwuznacznie zasugerował, że Gajewscy są sprytnymi oszustami, którzy zaaranżowali całą historię wyłącznie w celu wyłudzenia nowego mieszkania. Dla umęczonych do granic wytrzymałości ludzi stanowiło to przysłowiowy gwóźdź do trumny. Kundlizm wspomnianej publikacji był szczególnego rodzaju, jeśli zważyć, że krótko przed wypadkami w nocy z 4 na 5 kwietnia 1983 roku Gajewscy zdecydowali się na gruntowny remont mieszkania przy ulicy Plonów 5, zajmowanego przez nich od kilkunastu lat. Polegał on między innymi na doprowadzeniu wody do

lokalu (stało się to możliwe dzięki skanalizowaniu ulicy) oraz urządzeniu łazienki, toalety i kuchni, nie mówiąc o malowaniu ścian i zakładaniu boazerii. Wszystkie te kosztowne roboty – po zaciągnięciu na nie pożyczek – Gajewscy przeprowadzili w przekonaniu, że będą musieli przy ulicy Plonów mieszkać jeszcze ładnych parę lat, nim doczekają się przydziału nowego mieszkania. Publiczne posądzenie ich o starannie zaplanowane oszustwo odczuli więc jako ogromną krzywdę, zwłaszcza że skutki tej publikacji długo jeszcze odczuwali na własnej skórze. Kiedy po przeprowadzce do nowego mieszkania składali podanie o telefon (było już wówczas oczywiste, że niezwykłe efekty nie są związane z określonym miejscem, lecz z osobą trzynastoletniej córki, wymagającej tym samym stałej, bieżącej opieki lekarskiej), zostali po raz kolejny potraktowani jak hochsztaplerzy. Przyjmująca ich wniosek urzędniczka znała po prostu treść notatki w lokalnym dzienniku.

Zupełnie odrębną sprawą był brak dyskrecji autorów niektórych publikacji relacjonujących wydarzenia w sosnowieckim mieszkaniu. Dotyczyło to zwłaszcza reportażu telewizyjnego, w którym bez skrupułów ujawniono dokładny adres rodziny Gajewskich. Na skutki nie trzeba było długo czekać. Pod domem przy ulicy Plonów 5 zaczęły gromadzić się tłumy żądnych sensacji gapiów, którzy na przemian dzwonili do drzwi i walili w okna, domagając się wpuszczenia ich do mieszkania. Do Sosnowca ściągnęli również natychmiast ze wszystkich stron kraju ezoterycy, usiłujący nawiązać kontakt z duchami, rozmaici egzorcyści oraz przedstawiciele podejrzanych sekt. Gajewscy, którzy są katolikami, nigdy zresztą niemanifestującymi przesadnie swojej wiary (w obu mieszkaniach, zarówno w poprzednim, jak i obecnym, nie sposób doszukać się jakichkolwiek rekwizytów świadczących na przykład o religijnym mistycyzmie), zdecydowali się jedynie przyjąć księdza Jana Smoka z miejscowej parafii. Na prośbę rodziny odprawił on w „nawiedzonym" domu modły, co zresztą w niczym nie zmieniło sytuacji (nadal „latało"). Nie przeszkodziło to jednemu z dziennikarzy podać do wiadomości (przy czym owa plotka była uporczywie kolportowana przez kolejnych „przepisywaczy"), że podczas wizyty kapłana w mieszkaniu Gajewskich tajemnicza siła wytrąciła mu z rąk kropidło. Podobnie jak wiele innych utrzymanych w sensacyjnym tonie doniesień, były to wierutne brednie.

Oficjalne potwierdzenie przez władze miasta, że niezwykłe zjawiska fizyczne zachodzące w mieszkaniu przy ulicy Plonów 5 są autentyczne, sprawiło, iż zaczęto się zastanawiać nad ich mechanizmem oraz przyczynami. Po wykluczeniu hipotezy osiadania ścian budynku odwołano się do pomocy radiestetów. Przedstawicielka Stowarzyszenia Radiestetów w Gliwicach

magister Jadwiga Zborowska orzekła, że zaobserwowane efekty wiążą się prawdopodobnie „...z bardzo silnym napromieniowaniem mieszkania przez ciek wodny, który biegnie [...] wzdłuż ściany, stanowiącej główny cel latających przedmiotów". Jednocześnie wyraziła przypuszczenie, że swoistym generatorem potęgującym siłę promieniowania może być trzynastoletnia Joasia Gajewska.

Werdykt radiestetów – z braku innego wytłumaczenia – przyjęto z ulgą, która okazała się jednak przedwczesna. Kiedy bowiem rodzina Gajewskich przeprowadziła się do nowego, przydzielonego im mieszkania w podsosnowieckiej Czeladzi, zjawiska... przeniosły się w ślad za nią, zawsze występując w obecności Joasi. To, co było dotychczas jedynie podejrzeniem, stało się więc pewnikiem. Okazało się, że żyły wodne nie mają żadnego wpływu na efekty kinetyczne związane z osobą dziewczynki. Wniosek ten potwierdziło również ustanie zjawisk w mieszkaniu przy ulicy Plonów 5 po wyprowadzeniu się stamtąd rodziny Gajewskich (lokal stał przez dłuższy czas pusty, obecnie zaś mieszkają w nim inni lokatorzy). Natomiast już po kilku dniach pobytu w nowym mieszkaniu wszystko zaczęło się od nowa: potłuczone naczynia, „wprasowane" w ścianę setki drobin szkła (pozostałość po przelotach), wibracja mebli, samoczynne odkręcanie się kranów. Wówczas to właśnie – bodaj po raz pierwszy – w obiegu pojawił się termin „psychokineza", który zresztą sam przez się niewiele jeszcze wyjaśniał.

Podjęliśmy wtedy próbę sporządzenia w miarę uporządkowanego zapisu niezwykłych efektów fizycznych, co, jak sądziliśmy, stworzyłoby szansę uchwycenia towarzyszących im prawidłowości. Okazało się to trudne, jeśli nie niemożliwe, i na dobrą sprawę konkluzja ta zachowuje swoją aktualność do dziś.

Po pierwsze, nie udało się stwierdzić jakichkolwiek korelacji pomiędzy określoną porą dnia czy nocy a samoczynnym przemieszczaniem przedmiotów. Dochodziło do niego zarówno w dzień, jak i w nocy; podczas snu dziewczynki i w toku zwykłych, normalnych zajęć. Nigdy też, przynajmniej w początkowej fazie, efekty kinetyczne nie były poprzedzone wyraźnym sygnałem, zapowiadającym możliwość ich rychłego wystąpienia. Niekiedy, ale tylko niekiedy, słyszano wcześniej trzaski przypominające pstrykanie paznokciami, o których już pisaliśmy. Było przy tym pewne, że Joasia nie ma żadnego wpływu na to, co się wokół niej dzieje. Mówiąc innymi słowy, manifestacje kinetyczne występowały bez zamysłu czy też woli dziewczynki.

Nie powiodła się również próba znalezienia odpowiedzi na pytanie, czy istnieje współzależność między rodzajem materiału, z jakiego sporządzony

jest przedmiot, a jego zdolnością do samoczynnego przemieszczania się. Zgodnie z relacjami świadków w mieszkaniu latało wszystko – od naczyń i sztućców poczynając, poprzez metalowe śruby, a na butach i szczotce do włosów kończąc.

Ze szczotką wiąże się zresztą pewien zabawny epizod, który jest jednym z nielicznych śladów mogących sugerować związek między procesami, jakie zachodzą w mózgu dziewczynki, a efektami kinetycznymi. Zdarzyło się mianowicie, że podczas snu Joasi leżąca na stoliku szczotka poszybowała do przedpokoju, gdzie po uderzeniu w ścianę upadła na podłogę. Badana później przez psychologa nastolatka twierdziła, że tamtej nocy śniło jej się, iż poszła do fryzjera, który jednak źle obciął jej grzywkę, czym była bardzo zmartwiona.

Do żadnych uogólniających wniosków nie prowadziła także analiza samych przelotów. Zazwyczaj następowały one bardzo szybko – tak szybko, że nikt nie widział momentu startu przedmiotu ani jego szybowania. Co najwyżej dostrzegano w ułamku sekundy błyskawicznie poruszający się zamazany kształt, nieomal smugę. Rejestracja wzrokowa okazywała się możliwa dopiero w momencie uderzenia obiektu o przeszkodę. Jednocześnie towarzyszący temu efekt dźwiękowy był nieproporcjonalnie głośny w stosunku do masy poruszającego się przedmiotu, jego ciężaru oraz materiału, z jakiego został zrobiony.

Istotę tego spostrzeżenia najlepiej bodaj oddaje porównanie użyte przez jednego ze świadków. Według jego relacji szklanka, która rozbiła się o ścianę (i która musiała przylecieć z kuchni, gdyż w pokoju, gdzie siedział wspólnie z rodziną Gajewskich, nie było w tym momencie żadnych przedmiotów ze szkła), rozprysła się z takim hukiem, że w pierwszej chwili pomyślał, iż nastąpiła implozja kineskopu w telewizorze.

Równocześnie jednak zdarzały się wolne, doskonale widoczne przeloty. Tak było na przykład z pozostawioną w kuchni szklanką zawierającą niedopitą herbatę. Najpierw poszybowała ona wolno do sypialni Joasi, znacząc za sobą ślad w postaci smugi rozlanego na podłodze płynu, a następnie, odepchnięta niewidzialną siłą, zawróciła w stronę dużego pokoju.

Jakby i tego było mało, w opisach niektórych zjawisk pojawiły się elementy stawiające pod znakiem zapytania wszelkie rzeczowe próby ich analizy. Do takich przypadków zaliczyliśmy samoczynne odkręcanie się kranów, kilkakrotne przewracanie się i obracanie w kółko ciężkiej maszyny do szycia oraz „falowanie" na podłodze węża nieczynnego odkurzacza. Relacje te, podobnie jak pozostałe, postanowiliśmy włączyć do dokumentacji, odnosząc się do nich jednak ze zrozumiałym sceptycyzmem).

Kolejne rutynowe badania lekarskie, którym poddano trzynastoletnią Joasię na przełomie kwietnia i maja 1983 roku, nie przyniosły rezultatów. Mimo iż dziewczynka uskarżała się na złe samopoczucie, a zwłaszcza bóle głowy, nie znaleziono ich żadnej uchwytnej przyczyny. Nadal przy tym powtarzały się nieuzasadnione skoki temperatury (w trakcie jednego z jej pomiarów trzeba było na przykład zastosować termometr kąpielowy, gdyż na zwykłym lekarskim zabrakło skali), a podczas badania EKG ni stąd, ni zowąd pękła szyba pulpitu w aparacie.

Niestety większość lekarzy, do których w tym okresie trafiła Joasia, traktowała ją jako osobę niezrównoważoną psychicznie lub oszustkę. Tak było między innymi w szpitalu pediatrycznym, gdzie po przeprowadzeniu badań nastolatce oraz jej rodzicom zarzucono urojenia.

Sprawa zaczęła przypominać klasyczny pat. [...]

Dotychczas poświęciliśmy stosunkowo mało uwagi samej Joasi, środowisku, w jakim żyje i na co dzień przebywa, reakcjom jej otoczenia, zwłaszcza grona rówieśników, a także osobistemu stosunkowi dziewczynki do zjawisk, z którymi stanęła nagle oko w oko. Refleksje i spostrzeżenia, którymi chcemy się podzielić z czytelnikiem, stanowią efekt naszych kilkuletnich obserwacji i niezliczonych rozmów z Joasią. Wyprzedzają one niejako w czasie pewne istotne fakty, modelujące dalszy bieg zdarzeń, ale pominięcie tego, co składa się na obraz psychologiczny i środowiskowy całej historii, nieuchronnie zubożyłoby reporterski zapis, utrudniając zrozumienie niektórych jego ważnych elementów.

Zacznijmy od tego, że Joasia (metr sześćdziesiąt cztery wzrostu, dokładna data urodzenia: 25 marca 1970 roku) wbrew potocznemu mniemaniu, z jakim się nieraz mieliśmy okazję spotkać, nie ma w sobie niczego demonicznego. Jest przeciętną (w sensie warunków, w jakich się wychowała i dojrzewała) dziewczynką o pogodnym usposobieniu i miłej powierzchowności. W momencie, kiedy zetknęliśmy się z nią po raz pierwszy, sprawiała wrażenie zakłopotanej i zaskoczonej sytuacją, w jakiej się znalazła. Z czasem oswoiła się z nią na tyle, że zaczęła traktować zjawiska zachodzące w jej obecności jako nieodłączny i do pewnego stopnia zabawny rekwizyt codzienności.

Taka postawa niewątpliwie ułatwiła adaptację do życia w niezwykłych, bądź co bądź, warunkach, ale też powodowała nieraz ze strony najbliższych wyrzuty czy posądzenia o celowe figle. Skutki zjawisk psychokinetycznych nierzadko godziły bezpośrednio w samą dziewczynkę. Tak było w przypadkach, gdy lecące w kierunku Joasi odłamki szkła dotkliwie ją kaleczyły. Często jednak – a słowa tego używamy nie bez powodu – doświadczali ich na własnej

skórze inni. Siłą rzeczy nasuwało to podejrzenie świadomego działania ze strony nastolatki, mimo iż nigdy takie nie było.

Przykładów tego typu incydentów można przytoczyć wiele. Dziadka Joasi Mariana Tomeckiego wielokrotnie na przykład uderzały w głowę lecące buty (nieznana siła, wprawiająca w ruch przedmioty w otoczeniu Joasi, na równi z naczyniami i sztućcami upodobała sobie właśnie obuwie domowników). Innym razem kolega z pracy Andrzeja Gajewskiego, montując z nim w pokoju regał, został ugodzony sporej wielkości śrubą. Również koleżankę Joasi, siedemnastoletnią Dorotę Sowę, która w czerwcu 1983 roku odwiedziła mieszkanie państwa Gajewskich, startujący gdzieś z parapetu garnek omal nie trafił w głowę. Przed skutkami dalszego „bombardowania" uchroniło dziewczynę schowanie się za szafę. Kiedy nam później o tym opowiadała, mimo iż od incydentu upłynęło już kilka miesięcy, nadal sprawiała wrażenie wystraszonej. Odtąd też znacznie rzadziej przychodziła do Joasi, co zresztą – uprzedźmy od razu fakty – nie miało o tyle znaczenia, że efekty kinetyczne, początkowo zachodzące głównie w mieszkaniu rodziny Gajewskich, z czasem zaczęły występować również w innych pomieszczeniach (między innymi w szkole, kinie oraz sanatorium), przenosząc się niejako w ślad za Joanną. Warto wreszcie wspomnieć o zdarzeniu, którego pechowym uczestnikiem był doktor Eustachiusz Gadula. Podczas jednej z wizyt lekarza w domu dziewczynki szybujący z ogromną szybkością kałamarz z atramentem ochlapał od góry do dołu jego nowy garnitur.

Mieszkanie państwa Gajewskich w Czeladzi przypomina pobojowisko. Liczne odpryski i zacieki na ścianach (zwłaszcza w przedpokoju, gdzie efekty kinetyczne występują ze szczególną siłą), zniszczone, podziurawione drzwi do łazienki, wbite w mur dziesiątki odłamków szkła i zdemolowane meble skutecznie zniechęcają do ponownego remontu i uporządkowania otoczenia. Ponownego, bowiem ojciec Joasi w 1985 roku remont taki przeprowadził. Była to jednak w całym tego słowa znaczeniu syzyfowa praca, ponieważ już wkrótce przedpokój został doszczętnie zdewastowany.

Wszystko to powodowało – i powoduje do dziś – poważne straty materialne, rujnując rodzinny budżet. Gajewscy nie należą do ludzi zamożnych. Pani Ewa jako telefonistka zarabia niewiele. Jej mąż, pracujący obecnie w przedsiębiorstwie gospodarki komunalnej – nieco więcej, w sumie jednak nie tyle, by nadążyć z uzupełnianiem niszczonej ciągle zastawy stołowej oraz innych sprzętów. Wywołuje to zrozumiałą gorycz domowników, zwłaszcza zaś matki, która jest chodzącym kłębkiem nerwów. „Trzęsienia ziemi", do jakich raz po raz dochodzi w mieszkaniu, przeżywa bardzo ciężko. Przez pierwsze tygodnie

płakała, posądzając córkę, że robi jej na złość. Kiedy później przekonała się, że Joanna nie ma wpływu na to, co się dzieje, z wolna pogodziła się z nową sytuacją, ale ilekroć coś w mieszkaniu leci, dominującym uczuciem jest lęk i obawa.

Do tego dochodzą kłopoty z garderobą. Specjaliści orzekli, że nastolatka powinna bezwzględnie unikać materiałów łatwo elektryzujących się, i zalecili przede wszystkim noszenie bawełny. Problemem jest również kupno odpowiedniego obuwia, które redukowałoby do minimum gromadzenie się ładunków elektrostatycznych.

Joasia – rzecz godna odnotowania – na przekór wszystkiemu pragnie żyć normalnie, jak jej rówieśnicy. Wymaga to niemałej dozy odporności psychicznej oraz narzucenia sobie pewnych ograniczeń.

Dziewczynka na przykład bardzo lubi zwierzęta, które jednak w jej otoczeniu czują się źle. Nie w tym sensie, by nie odwzajemniały sympatii, jaką są obdarzane, ale silniej niż ludzie reagują na przepływ ładunków kumulujących się w otoczeniu nastolatki. Pierwszy pies Joasi, jej ulubiony pudel, w kilka tygodni po wystąpieniu pierwszych objawów efektów kinetycznych zaczął chorować, aż wreszcie zdechł. Zaobserwowano przy tym pewną prawidłowość: mianowicie na krótko przed przemieszczaniem się przedmiotów czworonóg krył się w bezpieczne miejsce, jak gdyby wyczuwając to, co ma nastąpić. „Nie przyjął się" również następny szczeniak, którego Joasia przyniosła do domu. Kolejny pies – odpukać – przystosował się do niecodziennych warunków i jak na razie wszystko jest w porządku. Trudno jednak przewidzieć dalszy rozwój wypadków.

Sama Joasia sprawia wrażenie, jakby zupełnie nie interesowały jej próby wyjaśnienia tego, co się wokół niej dzieje. Podarowane książki z dziedziny psychotroniki po pobieżnym przejrzeniu (jak odnieśliśmy zresztą wrażenie, bardziej z uprzejmości wobec ofiarodawców niż wewnętrznej potrzeby) schowała gdzieś na dnie szuflady.

– Joasia – twierdzi doktor Gadula – po prostu pewnych rzeczy nie przyjmuje do wiadomości i uważa zagłębianie się w nie za stratę czasu.

Kiedy Gajewscy mieszkali jeszcze przy ulicy Plonów, wydarzenia, do jakich tam doszło, powodowały nie zawsze przyjazne reakcje wobec dziewczynki. Niektóre dzieci (a niestety także i dorośli) potrafiły wołać za nią „czarownica" lub „elektrownia", co już było nieco przyjemniejszym epitetem. Nie ulegało przy tym wątpliwości, że w zgromadzonym pod oknami tłumie gawiedzi byli i tacy, którzy – gdyby cała rzecz wydarzyła się parę wieków wcześniej – zgłosiliby się na ochotnika do podpalenia stosu.

W czasie gdy wystąpiły pierwsze zjawiska kinetyczne, Joasia uczęszczała do Szkoły Podstawowej numer 1 w Sosnowcu przy alei Niepodległości 11. Fakt ten możemy ujawnić, ponieważ obecnie Joanna jest już uczennicą liceum i jej byłym pedagogom nie grozi inwazja podobna do tej, której widownią było mieszkanie państwa Gajewskich.

Wiosną 1983 roku trwająca kilka tygodni choroba Joasi spowodowała znaczne zaległości w nauce, to zaś, co nastąpiło w kwietniu, skomplikowało sytuację w dwójnasób. Był nawet moment, że promocja do siódmej klasy stanęła pod znakiem zapytania. I nie wiadomo, jak potoczyłyby się szkolne losy nietypowej uczennicy, gdyby nie fakt, iż miała ona szczęście natrafić na wysokiej klasy pedagogów; ludzi, którzy – po przekonaniu się, iż niezwykłe doświadczenia, jakie stały się udziałem dziecka, nie są urojeniami – umieli wczuć się w jego sytuację i pomogli przetrwać pierwszy, najtrudniejszy okres.

Cała rzecz nie sprowadziła się przy tym jedynie do indywidualnego potraktowania dziewczynki w procesie dydaktycznym. Równie ważne było wytworzenie wokół niej w szkole atmosfery wolnej od sensacji, a zarazem eliminującej przejawy niewłaściwego stosunku ze strony rówieśników.

Szkołę, w której uczyła się Joasia, odwiedzaliśmy wielokrotnie, zawsze wynosząc stamtąd jak najlepsze wrażenie. Dotyczyło to zwłaszcza dyrektorki Anny Wudzke i wychowawczyni Joasi Janiny Ostrowskiej. Obie otoczyły dziewczynkę troskliwą opieką, pozostając w stałym kontakcie z rodzicami oraz lekarzem. Nic więc dziwnego, że mimo przeprowadzki do Czeladzi Joanna zdecydowała się kontynuować naukę w dotychczasowej szkole, co wiązało się odtąd z długimi i uciążliwymi dojazdami.

Kiedy po raz pierwszy zetknęliśmy się z Janiną Ostrowską (z wykształcenia polonistka), najbardziej interesował nas problem, w jaki sposób poradziła sobie z unormowaniem w szkole sytuacji, w której znalazła się dziewczynka.

– Oczywiście nie było to łatwe – usłyszeliśmy. – Miałam jednak pełną świadomość, że przemilczenie problemu niczego nie załatwi. Dlatego po powrocie Joasi do klasy postanowiłam poświęcić jej specjalną lekcję. Chodziło mi przede wszystkim o zdjęcie z całej sprawy aury niezdrowej sensacji. Napisałam na tablicy zdanie, które potraktowałam jako myśl przewodnią. Brzmiało ono: „Nasza koleżanka jest taka sama jak my, choć trochę inna". Wytłumaczyłam, że to, co dzieje się wokół Joasi, jakkolwiek niezwykłe, nie ma nic wspólnego z duchami, a nauka wcześniej czy później wyjaśni mechanizm tych zjawisk. To był bardzo ważny, powiedziałabym nawet przełomowy moment, gdyż, o ile wiem, Joasia od tamtej pory nie spotykała się z szykanami lub złośliwościami ze strony rówieśników. Co więcej, oni później tak bardzo

się z nią identyfikowali, że kiedy przyjeżdżali do nas na przykład zagraniczni dziennikarze, klasa manifestowała na każdym kroku swoją dumę z faktu, iż to właśnie ktoś z najbliższego koleżeńskiego grona jest obiektem publicznego zainteresowania.

W sensacyjnych doniesieniach prasowych, towarzyszących pierwszej fazie fenomenu, pojawiły się między innymi informacje, jakoby trzynastolatka płatała również rozmaite psikusy w szkole, wytrącając na przykład kredę z ręki prowadzącemu lekcję nauczycielowi. Była to nieprawda, podobnie jak historia z księdzem i kropidłem. Efekty kinetyczne podczas pobytu Joasi w szkole podstawowej zdarzały się niezwykle rzadko i na dobrą sprawę, poza jednym bodaj wyjątkiem, ich stopień wiarygodności nie wydaje się znaczny. W przypadku, o którym mowa, Joasia spóźniła się na lekcję, a ponieważ obawiała się reprymendy ze strony nauczycielki, stała przez pewien czas pod drzwiami, nie wiedząc, co ma zrobić. Kiedy zaś wreszcie nacisnęła klamkę, w tym samym momencie z jednej z półek spadła – bez żadnej uzasadnionej przyczyny – doniczka z kwiatkiem. Było to jesienią 1983 roku (dokładnej daty tego incydentu, przewijającego się w relacjach wielu osób, nie udało się niestety ustalić).

Wychowawczyni potwierdziła natomiast w rozmowach z nami zdolności telepatyczne dziewczynki. Jak utrzymywała, zdarzało się niejednokrotnie, że Joasia wywołana do odpowiedzi nie bardzo radziła sobie z materiałem. Dotyczyło to w szczególności pytań z zakresu gramatyki.

– Starałam się wówczas – opowiadała Janina Ostrowska – pomóc Joasi w taki sposób, że w myślach formułowałam prawidłową odpowiedź. Nie zawsze stanowiło to zresztą rezultat jakiegoś skonkretyzowanego zamysłu. Ja po prostu bardzo tę dziewczynę lubiłam i podświadomie zależało mi, żeby wypadła jak najlepiej. Zaobserwowałam, że Joanna zaraz po tym udzielała poprawnej odpowiedzi na zadane pytanie, co jeszcze samo w sobie nie byłoby takie dziwne, gdyby nie fakt, że wypowiadane przez nią zdanie pod względem konstrukcji i stylu często było bardzo zbliżone do tego, jakie układałam w myślach. Na podstawie wielu doświadczeń mam prawo sądzić, że jest mało prawdopodobne, aby w grę wchodził wyłącznie przypadek.

Spostrzeżenie Janiny Ostrowskiej pośrednio potwierdza wydarzenie na lekcji matematyki. Nauczycielka poleciła Joasi rozwiązać zadanie na tablicy. Dziewczynka najpierw nie mogła sobie z nim poradzić, a w chwilę potem – jak gdyby kierując się nagłym impulsem – szybko napisała jego wynik. Był on całkowicie błędny, chciałoby się rzec – ni z gruszki, ni z pietruszki, i Joasia dostała dwóję. Bliższa analiza tego przypadku wykazała jednak zdumiewającą

okoliczność, co matematyczka uświadomiła sobie dopiero po jakimś czasie. Okazało się, że w momencie gdy dziewczynka męczyła się przy tablicy z pechowym dla niej równaniem, nauczycielka w myślach rozwiązywała już następne zadanie, które zamierzała podyktować. Jego wynik był dokładnie taki, jaki uczennica napisała na tablicy.

W późniejszej rozmowie z nami Joasia przyznała, że w krytycznym momencie w ogóle nie zastanawiała się, jak prawidłowo rozwiązać równanie. Myślała jedynie o tym, by zadowolić matematyczkę, której się bała. Ponieważ wiedziała, że nauczycielka zna rozwiązanie, skoncentrowała się na niej i, jak mówi, „coś" podpowiedziało jej wynik.

Gwoli uzupełnienia trzeba jeszcze odnotować, że podczas zaimprowizowanych na lekcjach doświadczeń (klasa prosiła Joasię, by pokazała, co potrafi) co najmniej dwukrotnie wystąpiły interesujące efekty fizyczne. W pierwszym przypadku dziewczynka, zbliżając rękę do baterii (odległość wynosiła kilka centymetrów), zgasiła podłączoną do niej żaróweczkę, w drugim – przesuwając dłoń wzdłuż kolby laboratoryjnej, spowodowała wyraźne odchylenie się w wodzie strużki nadmanganianu potasu (sztuka ta nikomu innemu się nie powiodła). Nie znając dokładnie warunków, w jakich przeprowadzone były oba doświadczenia, trudno ocenić w pełni wiarygodność osiągniętych rezultatów. Biorąc jednak pod uwagę fakt, iż relacja pochodzi od nauczyciela, celowe wydaje się ich odnotowanie. Od siebie możemy dodać, że podobne eksperymenty, przeprowadzone przez nas w kilka miesięcy później z udziałem kamery, nie powiodły się. [...]

Podczas naszego ostatniego – przed złożeniem maszynopisu w wydawnictwie – pobytu w Czeladzi (jesień 1986 roku) nagraliśmy rozmowy z kolejnymi naocznymi świadkami efektów kinetycznych. W przeważającej liczbie przypadków zjawiska widziały jednocześnie co najmniej dwie osoby, nierzadko zaś było ich więcej. [...]

Agnieszka Grygiel – uczennica Liceum Medycznego:

– Przed kilkoma tygodniami, dokładnej daty sobie nie przypominam, byłam świadkiem w mieszkaniu Joanny Gajewskiej przelotu szklanki oraz kubka. Szklanka ta uderzyła w głowę naszą koleżankę Joannę Potępę.

Joanna Potępa, uczennica Liceum Medycznego:

– Wielokrotnie widziałam przeloty różnych przedmiotów w obecności Joasi. Między innymi podczas niedawnej wizyty w mieszkaniu naszej koleżanki Renaty Bęben doszło do nagłego przemieszczenia się szklanki, która uderzyła mnie w głowę. Innym razem, gdy wychodziłyśmy od Joasi z domu, ugodził mnie w plecy nóż.

Szymon Siedlecki, uczeń Liceum Ogólnokształcącego w Będzinie:

– Byłem u Joanny wspólnie z naszym kolegą Wojciechem Dudałą. Widzieliśmy wówczas między innymi przelot butelki, która uderzyła w kant ściany. Natomiast kiedy opuszczaliśmy razem z Joasią mieszkanie, wyleciała za nią na klatkę schodową buteleczka z kroplami nasercowymi. Podobny wypadek zdarzył się w szpitalu, gdzie Joasia w ramach zajęć szkolnych odbywała prace społeczne, a ja do niej wstąpiłem. Przechodząc korytarzem, usłyszeliśmy głośny brzęk. Po rozejrzeniu się zobaczyliśmy słoik, który uderzył o parapet i stłukł się. Sprzątaczka miała o to do nas pretensje, gdyż sądziła, że urządzamy jej kawały. W tym samym czasie za Joasią wyleciało jakieś lekarstwo w buteleczce, która upadła na podłogę. Natychmiast ją odnieśliśmy do gabinetu zabiegowego, ale pielęgniarka nie zgodziła się przyjąć lekarstwa. [...]

Pytanie do Szymona Siedleckiego:

– Czy możesz opisać charakter zjawisk, które zaobserwowałeś w mieszkaniu Joasi Gajewskiej 17 lutego 1986 roku?

Odpowiedź:

– Latało normalnie, trywialnie można powiedzieć, jak zawsze. Pamiętam tylko, że oprócz tego powyginało wtedy krany w kuchni i łazience. [...]

Joasia w nowej szkole cieszy się dobrą opinią. Kiedy po zdaniu egzaminu wstępnego została przyjęta do Liceum Medycznego, nikt z pedagogów nie kojarzył jej osoby z prasowymi relacjami sprzed dwóch i pół roku, o których już zdążono zapomnieć. Trudno się temu dziwić, gdyż nazwisko „Gajewski" jest dość popularne, zaś rodzice woleli na wszelki wypadek nie obnosić się z fenomenem córki. [...] W przyszłości zgodnie z wybranym przez siebie kierunkiem nauki Joasia chce zostać pielęgniarką.

Czy fenomen Joanny Gajewskiej ze Śląska będzie trwał jeszcze długo? Nie ma dziś człowieka potrafiącego odpowiedzieć na to pytanie. Jeśli – jak chcą niektórzy – „sprawcą" efektów kinetycznych miałyby być istotnie gwałtowne przemiany zachodzące w organizmie, trudno wykluczyć, że wraz z zakończeniem okresu dojrzewania niezwykłe zjawiska zanikną. [...] To, co stanie się jutro, pozostaje wielką niewiadomą. [...]

Od redakcji antologii: Tak też się stało, zjawiska zanikły wraz z osiągnięciem dojrzałości przez bohaterkę reportażu.

Anna Ostrzycka, Marek Rymuszko, *Nieuchwytna siła*, Warszawa: Oficyna Literatów Rój, 1989, s. 25–38, 53–60, 233–240

1989

Wojciech Giełżyński (ur. 1930)

Nie mistyfikować samego siebie

Zadebiutował jako piętnastolatek w „Kurierze Codziennym". Leżał w domu (nie swoim, tylko użyczonym ojcu przez znajomego w spalonej Warszawie) chory na grypę. Przez okno zobaczył, jak nagle wali się dom przy Wilczej 29. Natychmiast pobiegł do redakcji „Kuriera", poprosił o maszynę do pisania i wystukał kilka zdań o katastrofie. Ukazały się w druku. Bardzo szybko, już jako szesnastolatek, zaczął pisać na tematy międzynarodowe do „Gazety Ludowej", organu mikołajczykowskiego PSL-u, której szefował jego ojciec Witold. (Przed wojną – znany redaktor, w latach trzydziestych – wiceprezes Syndykatu Dziennikarzy. W 1948 roku, po ucieczce Mikołajczyka z kraju, stracił pracę i miał zablokowaną karierę).

Syn wydał sześćdziesiąt osiem książek, najpierw z Polski, potem już ze świata.

Pamiętam, jakie wrażenie zrobiła na mnie jako trzynastolatku książka z najlepszymi zagranicznymi reportażami Wojciecha Giełżyńskiego z lat 1956–1978: *Jeśli nawet umrzesz, pozostań* (1979). Usiłowałem kilka razy policzyć, ile opisał w niej krajów, i było ich tak dużo, że nigdy nie mogłem się dorachować.

Pamiętam, jakie wrażenie zrobiło na mnie, że skłamał na temat swojego ojca, aby na Kubie wkupić się w łaski rozmówców. *Gorące dni kubańskie* to reporterski dziennik z sześćdziesięciu jeden dni spędzonych na Kubie w 1960 roku, kilka miesięcy po zwycięstwie rewolucji Fidela Castro. Drugiego dnia reporter słuchał siedmiogodzinnego przemówienia *El Comandante*, które trwało do czwartej rano, a pięćdziesiątego dnia w komunistycznej Hawanie poszukiwał siedziby loży masońskiej.

> Wielka Rada czeka i zaprasza.
>
> W gabinecie siedziało dwóch normalnych ludzi: jeden z nich, ów właśnie Wielki Sekretarz, mason 32. stopnia, któremu przysługuje tytuł Księcia Sklepienia Królewskiego, nie nosił nawet marynarki, a rozpięty kołnierzyk koszuli odsłaniał owłosiony tors. Sam Wielki Mistrz i Wielki Suwerenny Inspektor Generalny (stopień 33.) miał więcej dostojeństwa w postaci. [...] spytał uprzejmie, czy jestem bratem.
>
> – No tak – odparłem zażenowany i ugryzłem się w język. Wszak Wielkiego Mistrza nie interesowało zapewne me rodzeństwo. Szybko więc

poprawiłem: – Ściślej mówiąc, ja sam nie jestem bratem, bo w Polsce nie istnieje wolnomularstwo, ale mój ojciec był bratem, i to wysokiego stopnia.

– Którego?

– Osiemnastego – skłamałem bez zająknienia.

– Bardzo nam miło powitać syna naszego brata. Bolejemy nad tym, że w Polsce nie ma dziś masonów.

Giełżyński mówi im, że słyszał sporo o poparciu kubańskiej masonerii dla Castro. Chciałby wiedzieć, jak masoni oceniają rewolucję. Słyszy od nich, że pierwszy rewolucyjny czyn Castro – atak na koszary Moncada – był przygotowany w loży Evolución. Kubańskie loże masońskie poparły reformę rolną, występowały przeciwko rządom tyranii.

Kilkadziesiąt lat po reportażu z Kuby Wojciech Giełżyński został masonem, a nawet założył w Warszawie Lożę Kultura. W swojej barwnej autobiografii *Pół świata moje* (2012), pisze, że w Polsce masonów są może dwie setki, na Kubie zaś pięćdziesiąt lat temu były ich... trzydzieści cztery tysiące. Jego ojciec faktycznie był członkiem loży wolnomularskiej, a nawet filarem tak zwanego Wielkiego Wschodu.

Wojciech Giełżyński jest absolwentem Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie. Po studiach był reporterem działu sportowego tygodnika „Dookoła świata" (w młodości dwukrotnie został mistrzem Polski w wioślarstwie). Zajmował się problematyką zagraniczną, głównie krajów Azji, w pismach „Panorama", „Kontynenty" i „Polityka". Po wprowadzeniu stanu wojennego zaangażował się w prasę podziemną („Vacat" i „Przegląd Wiadomości Agencyjnych"). Od 1989 do 1992 roku pracował w „Tygodniku Solidarność" i była to ostatnia jego redakcja. W latach 1995–2006 był rektorem Wyższej Szkoły Komunikowania i Mediów Społecznych imienia Jerzego Giedroycia w Warszawie. Jego najbardziej znane książki to *Medytacje o Świecie Trzecim* (1972), *Rewolucja w imię Allacha* (1979), *Byłem gościem Chomeiniego* (1981), *Budowanie Niepodległej* (1985), *Edward Abramowski, zwiastun „Solidarności"* (1986), *Prywatna historia xx wieku* (2005).

W 2006 roku oznajmił publicznie, że w latach 1957–1964 jako młody reporter współpracował z Służbą Bezpieczeństwa, co było warunkiem jego wyjazdu najpierw do Moskwy, a później na Zachód. Przywoził stamtąd nie tylko reportaże, ale i raporty. Rzadko się zdarza tak rozsądny stosunek byłego tajnego współpracownika do przeszłości – w swojej autobiografii opisał, na czym polegała ta współpraca, a rozdział o tym zatytułował *Mój błąd. Mój wstyd*.

Wojciech Jagielski (patrz s. 913) chciał kiedyś na studiach napisać artykuł o Iranie. Wziął do ręki dwie książki reporterskie na ten temat: *Szachinszacha*

Ryszarda Kapuścińskiego i *Rewolucję w imię Allacha* Wojciecha Giełżyńskiego. Był przekonany, że to książka Kapuścińskiego będzie jego podstawowym źródłem informacji, a druga – uzupełnieniem.

Kiedy zaczął je czytać, podkreślał ołówkiem istotne informacje, daty i nazwiska. Nagle okazało się, że książka Giełżyńskiego została zakreślona niemal od pierwszej do ostatniej strony. Z *Szachinszacha* nie wziął nic. Wtedy uświadomił sobie, że twórczość Kapuścińskiego daje syntezę wydarzeń, które odmieniły świat, i dąży do wielkiej metafory. U Giełżyńskiego są zaś fakty.

> Giełżyński – pisała Krystyna Goldbergowa – unika wszelkiej, nawet najmniejszej beletryzacji (na seminarium w Podkowie Leśnej określił ją nawet jako obrzydliwą, która nie przystoi reportażowi). Interesują go przede wszystkim sprawy, konflikty, takie czy inne wydarzenia, mniej zaś jednostkowy los człowieka; służy mu on tylko jako ilustracja problemu [...].

Ideę reportażu Wojciecha Giełżyńskiego widać najlepiej w eseju o Ryszardzie Kapuścińskim, który napisał w 1976 roku dla „Ekspresu Reporterów" i któremu nadał formę rozmowy.

> – Wojna w Angoli była jednym z bardziej dramatycznych momentów najnowszej historii. Chodziło w niej o wzniosłe cele i podejrzane interesy, były tam konflikty ideologiczne i personalne, jakieś bitwy, konferencje, gra rozmaitych sił, nienawiść międzyplemienna, intrygi, spiski, zdrady, co tylko chcesz. Czy reporter może to wszystko potraktować od niechcenia i zajmować się obserwacją stanów duszy? – pytał Giełżyński.
>
> – Może – odpowiadał Kapuściński.
>
> – To są cechy literatury, a nie dziennikarstwa.

Wojciech Giełżyński znany był z tego, że zapisuje wszystko: stan pogody, nagłówki z gazet, zasłyszane rozmowy na ulicy itp. „To, jak określa się moje pisanie, zupełnie mnie nie interesuje" – mówił mu Kapuściński, który niczego nie notował, chyba że wieczorem, to, co najważniejsze. Istotne rzeczy pamięta się długo – uważał. Giełżyński był innego zdania:

> Jednakże upływ czasu zaciera prawdę przeżyć. Kiedy siadasz nad kartką papieru, po kilku miesiącach jesteś już inny niż w momencie, gdy do ciebie strzelano i ty naciskałeś spust. Mistyfikujesz sam siebie. Czas zmienia ponadto i własny sposób wartościowania.

Cały ten szkic Wojciecha Giełżyńskiego (*Czterokrotnie rozstrzelany*) jest chyba najlepszą w polskiej prasie wykładnią dwóch najważniejszych szkół w literaturze *non-fiction*.

W czerwcu 1989 roku Wojciech Giełżyński pojechał do Chin.

Jako reporter rodzącej się dopiero „Gazety Wyborczej" dobrnąłem – czując, co się tam święci – do Pekinu – pisze w *Pół świata moje*. – Formalnie jako mąż zaufania Solidarności w komitecie wyborczym na terenie ambasady PRL, gdyż dziennikarzom ambasada chRL wiz odmawiała. [...]

Ambasador PRL w Pekinie Marian Woźniak przyjął mnie ze zrozumiałą odrazą i pouczył na wstępie, abym nie wywieszał żadnych plakatów solidarnościowych w podległej mu ambasadzie, bo to jest prawnie zabronione.

– To czemu wiszą plakaty PZPR?

– Partie polityczne mogą agitować wyborców, natomiast organizacje społeczne nie mogą.

– Trudno. To ja wywieszę kilka swych plakatów na parkanie ambasady od ulicy, gdyż tam pańska władza nie sięga.

Ambasador zbaraniał. Ależ to będzie sensacja międzynarodowa, gdy na ulicach buntującego się Pekinu pokażą się jeszcze plakaty zbuntowanej Solidarności.

– A niech pan wiesza, gdzie pan chce. I tak przegracie – mruknął.

Udałem się na miasto, które wrzało.

Jak wrzało, przeczytają Państwo we fragmencie książki *Mord na placu Tiananmen*.

Mord na placu Tiananmen

Dnie, które wstrząsnęły światem

Wtorek, 30 maja, godzina 23.30

Przed dwiema godzinami przyleciałem z Polski, z przedwyborczego młyna, tutaj – na plac Tiananmen, którego nazwa od półtora miesiąca ekscytuje świat.

Stoję niemy, bo chińszczyzny nie znam, i zbaraniały, bo tutejszy młyn nie przypomina niczego, co widziałem w swym reporterskim żywocie. A widziałem niejedną rewolucję i niejedno przerastanie rewolucji w terror, potem terroru w tyranię; taka jest gorzka prawidłowość rewolucji, choć – póki trwają – budzą tyle nadziei. Ale to, co widzę tutaj, jest większe: to nagła erupcja uśpionego wulkanu, przebudzenie się miliarda, jakim są Chiny, pączkowanie demokracji w narodzie, który nigdy demokracji nie zaznał.

Plac Niebiańskiego Spokoju[1] jest czymś monstrualnym, nawet gdyby się na nim nic nie działo. To jest wyolbrzymienie socrealizmu, skrzyżowanego ze starożytnością, tworzące przestrzeń, przy której Największy Plac Europy (jak zwano nasze podwóreczko warszawskie przed Domami Centrum) jest jak chrabąszcz przy Smoku.

Wypadałoby choć w paru zdaniach opisać architektoniczne kontury kolosa, ale mnie nie obchodzi ani prastare Zakazane Miasto, w którym żyli Niebiańscy Cesarze Państwa Środka, ani Mauzoleum Przewodniczącego Mao, bo całą uwagę przykuwa kipiel rowerzystów i piechurów – jednych ze sto i drugich ze sto tysięcy – która oblewa szałasowo-namiotowe miasto w mieście, jakby ogromny tabor cygański pomieszany z harcerskim *jamboree* – albo raczej jakby obóz uchodźców – w którym koczuje od wielu tygodni kilka czy kilkanaście tysięcy studentów. Niskie przenośne płotki, zwykle służące do segregacji ruchu ulicznego na pasma samochodowe, rowerowe i piesze, przegradzają to koczowisko na jakieś sektory o nieodgadnionym przeznaczeniu. Studenci najpierw głodowali tutaj, a teraz wiecują, piszą i czytają gazetki wielkich i małych znaków[2], jedzą, śpią, dyskutują między sobą i z asystującym tłumem.

Furkoczą kolorowe flagi i transparenty; na nich hasła i slogany, informujące, o co chodzi studentom, czego chcą dla Chin – a każdy transparent podpisany przez którąś z pekińskich uczelni.

Pierwsze hasło, które tłumaczy mi Joanna, sinolożka, dobrze już zakotwiczona w studenckim nurcie protestu, brzmi: „Nie zaśniemy, póki się Li Peng[3] nie powiesi".

[1] Ściślej: plac Bramy Niebiańskiego Spokoju, ale przyjmuję tłumaczenie potoczne [przyp. aut.].

[2] Gazetka wielkich znaków (*dazibao*) to ręcznie kaligrafowany protest, tekst propagandowy lub innego rodzaju informacje (często spoza oficjalnego obiegu), wywieszane zwykle na murze, ścianie lub w gablocie w miejscu publicznym. Gazetki małych znaków to drukowane ulotki, odezwy, biuletyny.

[3] Li Peng (ur. 1928) – od 1985 roku członek Biura Politycznego KC KPCh, w latach 1987–1998 premier Chińskiej Republiki Ludowej.

No i nie śpią, za wczesna pora. Teraz, o północy, najlepiej się agituje, bo stygnie betonowa patelnia, dniem straszliwie rozżarzona – i złazi się całe miasto – no, część miasta, bo całe to jedenaście milionów. Na obrzeżach rozstawiają się budy z lemoniadą oraz garkuchnie na kółkach, w których pitrasi się omlety i pierożki – improwizowany kiermasz wokół politycznej demonstracji.

Z frontonu Zakazanego Miasta *vel* Pałacu Zimowego, zamkniętego na cztery spusty, patrzy na to z olbrzymiego portretu surowy Mao Tse-tung. Jest to nowiutki portret.

Poprzedni, który wisiał i był czczony od lat, został kilka dni temu splugawiony przez trzech śmiałków, a może prowokatorów: rzucili w Przewodniczącego skorupkami jaj ze wstrzykniętą farbą. Wszyscy trzej pochodzą z wioski, w której On się urodził, więc tym większe oburzenie władzy i cicha radość studentów, którzy już nie kochają Mao, choć akurat tego nie śmią jeszcze objawić publicznie – przeto odcięli się od profanacji.

Ale ośmielili się na inny gest symboliczny, który sprawia niezwykłą radość mieszkańcom Pekinu. Wczoraj studenci Akademii Sztuk Pięknych ustawili na wprost portretu Mao dziewięciometrowy posąg ze styropianu i gipsu, imitację – nieco zmienioną – nowojorskiej Statui Wolności. Świeci ona prowokacyjnie pochodnią w przymrużone oczy Przewodniczącego. Symbol demokracji przeciw temu, który wepchnął Chiny w tyranię komunizmu. Dlatego dziś znowu zwielokrotniały tłumy na placu, takiej sensacji nie można przeoczyć. Miliony ludzi obejrzały już wyzywający pojedynek, dokładnie rozumiejąc, że studenci tym śmiałym gestem obalają mit Wielkiego Nauczyciela, negują jego kult, wysuwają przeciw niemu ideał Wolności.

I ludzie cieszą się, znoszą studentom jedzenie, życzą im powodzenia w walce o lepszą przyszłość Chin.

Ale władze jeszcze lepiej zrozumiały wyzwanie. Oficjalna prasa nie posiada się z oburzenia, że „nielegalny posąg" bezcześci świętość czcigodnego miejsca, uważanego za samo serce Chin, obraża pamięć Przewodniczącego, stanowi ideologiczny zamach przeciwko partii komunistycznej.

Niewykluczone, że ten zuchwały żart przesądził o decyzji, żeby się ostro rozprawić ze studentami; lecz tego wieczoru, we wtorek, nikomu do głowy nie przychodzi, by taka decyzja mogła zapaść. Nastrój na Tiananmen swobodny, rozluźniony, chociaż z potężnych kolumn nagłaśniających, mimo późnej pory, stale rzucane są podniecające hasła:

„Precz z korupcją!"

„Zahamować inflację!"

„Chcemy wolności słowa!"
„Prawo i demokracja"
„Reformy w całym kraju"

Haseł śmielszych, atakujących reżim wprost, nie ma. Oni jeszcze wierzą w naprawę systemu – jak Polacy w 1956 roku. Jedynie studenci Instytutu Języków Obcych (ale u siebie, nie na Tiananmen) odważyli się wywiesić transparent światoburczy: „Nie chcemy komunizmu ani partii komunistycznej".

Dzisiejszy „Dziennik Ludowy" („Renmin Ribao" – oficjalny organ Komunistycznej Partii Chin) strofuje: „Fundamentalnym interesem narodu chińskiego jest dziś realizacja programu czterech modernizacji i ożywienie narodu. Ażeby ten cel osiągnąć, rozwój ekonomiczny musi mieć najwyższy priorytet. Ale obecne zaburzenia mają dla gospodarki efekt odwrotny".

Jakie zaburzenia? Na placu Niebiańskiego Spokoju – spokój. Wszystko przebiega zgodnie z Konstytucją Chińskiej Republiki Ludowej, z chińską powściągliwością, bez cienia agresji czy podniecenia. Nie ma ani jednego munduru, policja zbędna, porządek utrzymują sami. Tylko na skrzyżowaniach kilku regulujących ruch funkcjonariuszy; jak automaty wyrzucają ręce w lewo i w prawo, nawet gdy nie ma żadnego pojazdu w zasięgu wzroku. Tłum mimo determinacji w proteście jest idealnie zdyscyplinowany. Posłuszni są nawet (nie wszyscy, na szczęście) surowemu zakazowi rozmawiania z cudzoziemcami, który jest jednym z rygorów wprowadzonego od 19 maja stanu wyjątkowego w „niektórych dzielnicach Pekinu". Kiedy wnikam w tłum, napotykam zaciekawione spojrzenia, lecz ani gestu odrazy czy niechęci – tak częstych w krajach azjatyckich. Pozorowana obojętność i dyskretna życzliwość. Czują, że ktokolwiek tu przychodzi, jest po ich stronie, jest z nimi.

Kiedy jednak próbuję przeleźć przez barierkę ku środkowym kręgom mityngu giganta, zatrzymują bez złości ostrzegawczym ruchem dłoni. Dalej wstępu nie ma. Tam studenckie sztaby.

Ale nie wszyscy są spokojni i ufni. Kiedy odchodzimy z placu, jakiś stary Chińczyk łamaną angielszczyzną i gestykulacją próbuje nam przekazać, że tam, za murami Pałacu Zimowego, jest skryte wojsko. Dużo wojska. Jest ono także w kolosalnym gmachu Ogólnochińskiego Zgromadzenia Ludowego oraz w tunelach kolei podziemnej. Tak nam mówi.

Nie bardzo wierzymy. I z Chińczyków mało kto wierzy w tę pogłoskę, choć wielu ją z uporem powtarza.

Środa, 31 maja

Od samego rana staram się nadrobić swą niewiedzę o Chinach. Dobrym elementarzem jest dziennik „China Daily", jeśli się czyta, czego nie wydrukowano.

W dniu, kiedy cały świat patrzy na Chiny, oficjalna gazeta informuje na pierwszej stronie:

– o szkodliwości palenia i picia;

– o ogłoszeniu po raz pierwszy sowieckiego budżetu wojskowego;

– o stanie wojennym, w odpowiedzi na zamieszki głodowe, w Argentynie;

– o kompozytorze Pan Zhenshanie, który ułożył ponad pięćset piosenek dla chińskich dzieci;

– o tym, że wyrok na Imre Nagya był nielegalny;

– o programie zelektryfikowania do 2000 roku prawie jednej trzeciej chińskich okręgów;

– o tajfunie, który zabił osiemdziesięciu czterech ludzi z prowincji Guangdong.

Na stronie ostatniej zaś jest obszerna wiadomość o ułaskawieniu przez polski Sejm wszystkich solidarnościowo-opozycyjnych przestępców, którzy brali udział w strajkach i protestach ulicznych, wydawali tajne gazetki oraz zbierali pieniądze na zakazane organizacje.

Cierpliwie wertując szpalty, odkryłem jednak tekst aktualny, o owej prześmiewczej Statui Wolności, która „stanowi obrazę dla uroczystego miejsca ceremonii narodowych i państwowych". Radio i telewizja domagają się – czytam – usunięcia jej „z miejsca zarezerwowanego dla portretu doktora Sun Yat-sena[4]", albowiem wywrze ona „bardzo złe wrażenie na dzieciach", które jutro, z okazji Dnia Dziecka, zechcą złożyć hołd pomnikowi Bohaterów Ludowych[5], zdobiącemu Tiananmen. W zakończeniu tejże notatki dwie dodatkowe informacje: że dziennikarze mają stosować się do reguł stanu wojennego (do tego przywykłem, ale jak tu coś opublikować podziemnie, skoro nie znam hieroglifów?) oraz o powrocie do domów dwustu tysięcy studentów z prowincji, którzy przyjechali do Pekinu wspierać strajkujących kolegów.

Jeżeli się wszystko tak normalizuje w oficjalnej propagandzie, a rzeczowe informacje są kamuflowane i dozowane po aptekarsku, to znaczy, że sytuacja nadal jest napięta.

Dziennik telewizyjny, który udało mi się obejrzeć w towarzystwie rodaków znających chiński, potwierdził to przekonanie. Wypełniły go przede wszystkim informacje o entuzjastycznym poparciu całego kraju dla partii i rządu: znamy to i z Polski, gdy trwają strajki. Szczególnie gorąco Chińczycy

[4] Sun Yat-sen (1866–1925) – twórca Kuomintangu, teoretyk chińskiego socjalizmu.

[5] Pełna nazwa: pomnik Chińskich Ludowych Bohaterów Rewolucji [przyp. aut.].

wyrażają poparcie dla premiera Li Penga – tu obraz karnych szeregów w rozmaitych mundurach, z policjantami na czele. Ponadto apel ośmiu wybitnych profesorów pekińskich, aby studenci powrócili do nauki; nad rzeką Jangcy jak nad Wisłą.

Ale najciekawszym punktem dziennika była długa sekwencja z pekińskiego lotniska: wylądował na nim Wan Li, przewodniczący Stałego Komitetu Ogólnochińskiego Zgromadzenia Ludowego, i długo ściskał dłonie ze swym zastępcą Peng Chongiem oraz wicepremierem Wu Xueqianem. Komentator dopowiedział: „Przebywał on w Szanghaju od ostatniego czwartku w celu zabiegów leczniczych, po skróceniu wizyty w Ameryce Północnej".

Komentator zapomniał dodać, że była to bardzo szczególna choroba. Wan Li, chiński „marszałek Sejmu", popełnił w Kanadzie nieostrożność, która nie przystoi wysokiemu członkowi nomenklatury: wyraził się krytycznie o zaprowadzeniu stanu wyjątkowego. Dlatego, zamiast do stolicy, samolot zawiózł go najpierw do „szpitala w Szanghaju". Tam poddano go kuracji szybkiej i skutecznej – bo natychmiast zmienił niefortunne zdanie i poparł stan wojenny, wyraził natomiast krytycyzm wobec sekretarza generalnego partii Zhao Ziyanga[6]. Studentów pouczył, że najwyższy czas, by skończyli demonstracje na placu i wrócili do swych kampusów. Tak więc można już Wan Li odfajkować na liście członków Biura Politycznego jako jednostkę pozytywną, uleczoną ideologicznie – w przeciwieństwie do Zhao Ziyanga, który należy (to już wszystkim wiadomo, choć nazwisko jego nie jest wymieniane) do „grupy antypartyjnej". Liczebność jej co dzień się zmniejsza. Przedwczoraj mówiono o „bandzie siedmiorga", wczoraj – o „bandzie pięciorga", dziś już zostało tylko czterech niepoprawnych; reedukacja czyni postępy.

Środowe przedpołudnie strawiłem w Ambasadzie PRL, formalizując swoje podwójne istnienie: jako reportera „Gazety Wyborczej" oraz męża zaufania Komitetu Obywatelskiego Solidarności na wybory. Przyjęto mnie uprzejmie, jak na czasy postokrągłostołowe przystało, acz wywołałem popłoch, jak w twierdzach Grenady skażony dżumą Almanzor.

Pouczono mnie z dyplomatyczną kurtuazją, że w ramach stanu wojennego obowiązuje zakaz: 1) poruszania się dziennikarzy po centralnych dzielnicach Pekinu, 2) rozmawiania z Chińczykami, 3) zbierania jakichkolwiek informacji oprócz oficjalnych, 4) nadawania ich, o ile nie ma się formalnej akredytacji przy chińskim MSZ, która mnie przyznana być nie może z uwagi na istniejącą sytuację polityczną. Zostałem też uprzedzony, że w lokalu ambasady nie wolno mi prowadzić kampanii wyborczej Solidarności, gdyż jest to placówka państwowa, której personel nie może należeć do związków zawodowych.

[6] Zhao Ziyang (1919–2005) – w latach 1980–1987 premier, od roku 1987 sekretarz generalny KC KPCh; w 1989 roku usunięty za zbytni liberalizm wobec demonstrantów.

Wyraziłem podziękowanie za życzliwe ostrzeżenie o istniejących ograniczeniach, dodając, że nie mam zamiaru się do nich stosować. W szczególności zaś, skoro strona koalicyjnorządowa reklamuje swoich kandydatów na tablicy PZPR, to to samo prawo przysługuje stronie opozycyjno-solidarnościowej. Otóż nie – wyjaśniono mi z troską o praworządność – albowiem PZPR, w przeciwieństwie do Solidarności, jest organizacją polityczną, do której pracownicy ambasady należeć mogą. Przysługuje jej również tablica informacyjna w hallu.

– Nie szkodzi – odparłem. – Mam z sobą rulon plakatów, a także taśmę samoprzylepną, przeto rozmieszczę materiały agitacyjne Solidarności na ogrodzeniu ambasady, od strony ulicy.

Powiało międzypaństwową awanturą. Taki akt mógłby być odczytany jako bezpośrednia ingerencja PRL w wewnętrzne sprawy ChRL... Jako wyraz poparcia dla demonstracji studentów, którzy i tak polubili słowo „*tuancie*" (czyli: „solidarność", choć inni tłumaczą: „jedność")... Jako odpowiedź na wołanie pekińskich robotników: „Gdzie jest chiński Wałęsa?"...

Od razu znalazło się wyjście kompromisowe. Materiały propagandowe Solidarności w wymiarze skromnym (ale, jak się później okazało, całkowicie wystarczającym) zostały rozmieszczone w przestronnym hallu ambasady.

A ja mogłem powrócić do czynności reporterskich. Indagowanie personelu kierowniczego ambasady przyniosło plon umiarkowany: tylko potwierdzenie informacji, które i tak znałem już ze światowej prasy oraz przypadkowych rozmów: że władzę całkowicie przejęli partyjni konserwatyści, którzy podporządkowali sobie wojsko, że umiarkowana frakcja Zhao Ziyanga przegrała, a los jego samego jest nieznany (chociaż może jeszcze powrócić na scenę w aureoli liberała jak kiedyś Gomułka), że spodziewana jest czystka w partii, która obejmie setki tysięcy, że zaczęła się nagonka na „obce siły", z wyraźnym wskazaniem Amerykanów, od wczoraj zaś trwają aresztowania intelektualistów – i demonstracje w ich obronie...

– Czy znane są nazwiska aresztowanych?

– Oficjalnie nic nam nie wiadomo.

Udałem się zatem do innego źródła. Po pałacowych wnętrzach Ambasady PRL – siedziba wielkiej amerykańskiej agencji prasowej UPI sprawia przytulne wrażenie; jakby zaniedbane mieszkanko cioci emerytki. Jeszcze trochę, a Stany Zjednoczone poproszą nas chyba o ulgi i kredyty? Przyjęto mnie jak to u Amerykanów, którzy nie lubią długich wstępów: „*Solidarity press? Okay!* Chodź, pojedziemy rozejrzeć się po Pekinie".

Na oko nie dzieje się nic szczególnego, ulicami normalnie toczą się rowerowe rzeki, wokół Tiananmen gąszcz zmalał, jak zwykle o tej porze dnia.

Ale szofer Chińczyk wie, gdzie podjechać: pod gmach bez szyldu, którego przeznaczenia łatwo się domyślić, bo przy bramie silny posterunek. Dookoła ze dwie setki młodzieży: na drzewach przybijają gazetki małych znaków, próbują słownej agitacji wobec strażników, od czasu do czasu podnoszą krzyk: „Wypuśćcie ich!". Szofer podszedł, żeby zasięgnąć języka. Po chwili, jak dziennikarski nowicjusz, idę za nim – błąd! Zaraz zza bramy wysuwa się czterech mundurowych, każą się rozejść; pokrzykiwać wolno, gadać z cudzoziemcami – zabronione. Zmarnowałem okazję, ale już wiedziałem najistotniejsze: rzeczywiście trwają aresztowania i demonstracje przeciwko nim, a reakcja wobec protestujących jest powściągliwa, jakby milicja czuła się stropiona.

Pogłoski, że nie wszystkie zbrojne formacje udzielają poparcia twardej linii Li Penga, nie są, być może, bezpodstawne.

Czwartek, 1 czerwca

Dziś w „China Daily" też tylko jedna wiadomość polityczna: że dzieci chińskie są smutne, albowiem nie będą mogły w Dniu Dziecka spełnić swego najskrytszego marzenia: obejrzeć podniesienia Czerwonej Flagi przed portretem Przewodniczącego Mao na placu Niebiańskiego Spokoju. Tamże nie odbędą się planowane koncerty, zabawy, konkursy rysunków ani konsultacje dla rodziców, jak wychowywać dzieci. Niestety: „wydaje się jasne, że mimo próśb studenci nie zechcą stamtąd odejść". Daremnie uczniowie ze Szkoły Średniej nr 5 w Fengtai apelowali do nich o „zwrot placu" dla Młodych Pionierów, pragnących posłuchać na Tiananmen opowieści o tradycjach rewolucyjnych.

Źli studenci są nieczuli na głos dziecięcych mas.

I dlatego, dowiaduję się z „China Daily", urzędnik Centralnego Pałacu Ludu Pracującego, zgodnie z poleceniem premiera Li Penga, nakazał zamknięcie wszystkich budynków i parków wokół Tiananmen, a w szczególności: Wielkiej Sali Ludowej, Mauzoleum Pamięci Przewodniczącego Mao, Muzeum Chińskiej Rewolucji i Muzeum Chińskiej Historii, Zakazanego Miasta oraz parku Zhongshan (koło którego mieszczą się siedziby najwyższych władz).

Wygląda na to, że dla dobra dzieci władza da łupnia ich starszym braciom. Więcej na ten temat można wywnioskować z dziennika „South China Morning Post", który wychodzi w Hongkongu i nie musi niczego owijać w watę. Wedle dyplomatów PRL jest to gazeta plotkarska, goniąca za sensacjami, niezbyt wiarygodna – co im nie przeszkadza doniesieniami z tej właśnie gazety szpikować raporty do warszawskiej centrali MSZ.

I ja dowiaduję się niemało.

Premier Li Peng oznajmił: „Za społecznymi zaburzeniami kryje się rozłam w partii; istnieją w partii czarne ręce".

Po Pekinie krąży „pismo okólne" do członków partii, coś w rodzaju sławnego „poufnego listu" Rakowskiego z czasów, gdy już czuło się wiatr przemian, a on szykował się do fotela premiera[7]: „Społeczne zamieszki wybuchły z powodu rozszerzania się burżuazyjnej liberalizacji przez wiele lat. Oto rezultat wstrzykiwania zachodnich idei o demokracji i wolności".

Pewnie lada moment rozpocznie się polowanie na czarownice.

Następny fragment jest nieco tajemniczy: „Są trzy rodzaje złych ludzi: ci, co działają w pierwszej linii, ci, co się ukrywają za sceną, oraz c z a r n e r ę c e".

Znowu te ręce! Kim są ci paskudnicy? Kontrrewolucyjnymi wichrzycielami czy agentami imperializmu?

Ot, zagadka. Natomiast wroga z pierwszej linii już wykryto, a uczynił to Li Xiannian, do niedawna prezydent Chin, który wyłożył kawę na ławę: „Według potocznych wyobrażeń Zhao Ziyang jest liderem frakcji reformatorskiej. W rzeczywistości jest nim towarzysz Deng Xiaoping[8]".

A dalej już wszystko jasne: Zhao Ziyang „miał złe wystąpienia 3 i 4 maja" oraz „popełnił wiele błędów". To on, generalny sekretarz partii, kieruje „kliką kontrrewolucyjną". Nic dziwnego, że czujny Deng zapowiada „szeroko zakrojoną czystkę w KPCh", która wyeliminuje z partii elementy burżuazyjno-liberalne oraz skorumpowane kadry.

Logicznie biorąc, Deng powinien zacząć od samego siebie. Wszak to on dziesięć lat temu zainicjował reformy, za które komplementował go cały świat: reprywatyzację ziemi, dopuszczenie obcych kapitałów, wezwanie, by się bogacić. Z tego przecież wynikła masowa korupcja chińskiej nomenklatury, która liczy dwadzieścia dwa miliony. Ale Deng pozostał czysty jak kryształ. Co innego Zhao Ziyang – były już doniesienia, że jego dwóch synów macza palce w nieczystych interesach, ba! on sam zapowiedział, iż zajmie się nimi kontrola partyjna!

Właściwie czystka trwa już od wielu miesięcy. Tysiące prominentów, którzy łączyli funkcje partyjne z intratnymi posadami w firmach zagranicznych, w lipnych spółkach oraz filiach przedsiębiorstw z Hongkongu (które odgrywają tu rolę jakby firm polonijnych) zostało postawionych przed wyborem: albo partia – albo biznes. Większość wybrała biznes. [...]

Tak się zagłębiłem w studiowanie chińskiej rzeczywistości, że minęła dziewiąta i straciłem szansę na śniadanie. Mój hotel Ritan należy do średniej kategorii, ale śniadania są pyszne. W restauracji ogromny stół, a na nim co dusza zapragnie: gorące kiełbaski, opiekana rąbanka z kurcząt, zupa ryżowa,

[7] Chodzi o opracowanie *Uwagi dotyczące niektórych aspektów politycznej i gospodarczej sytuacji w PRL w drugiej połowie lat osiemdziesiątych*, które Mieczysław Rakowski przedłożył Wojciechowi Jaruzelskiemu 25 czerwca 1987 roku. Tekst ten szybko stał się przedmiotem powszechnego zainteresowania i debat.

[8] Deng Xiaoping (1904–1997) – od lat pięćdziesiątych we władzach KPCh, od 1978 roku czołowy polityk ChRL, inicjator reform gospodarczych.

soki owocowe, frytki, szynka, trzy gatunki wędlin na zimno, jogurt, makaron z rozmaitościami, sosy, pieczywo białe i ciemne, bułeczki (także słodkie), ciasta i kruche ciasteczka, sałatka z pomidorów, z ogórka, z kiełków soi, herbata zielona i czarna, kawa neska. Ale ta orgia gastronomiczna – bierzesz, co chcesz i ile chcesz, za stałą cenę niespełna trzech dolarów – trwa tylko półtorej godziny i kończy się definitywnie o dziewiątej. Potem, choćbyś z głodu umierał, restauracja zamyka się aż do południa na cztery spusty, bo teraz najeść się musi personel (rekrutowany wyłącznie z rodzin nomenklatury średniego szczebla), a resztę zapakować i wynieść do domu. I nie ma mowy, abyś w całej okolicy zjadł cokolwiek innego niż banany ze straganu (kiść – dwa dolary).

Rozżalony utratą wyżerki powlokłem się do UPI. Marco, zwalisty wnuk imigrantów ze słonecznej Italii, ocucił mnie zieloną herbatą i przedstawił gustowną stażystkę:

– To jest Lucy. Bierzcie samochód i jedźcie na Tiananmen. Ona zna studentów, pomoże ci dotrzeć do sztabu.

Rano ludzi o wiele mniej, na oko ledwie kilkanaście tysięcy. W studenckim mrowisku krzątanina. Biegają z jakimiś papierkami, znoszą skrzynki z wodą sodową (dzień w dzień kilkudziesięciu mdleje z upału i wycieńczenia), podmiatają śmieci, prowadzą agitację wśród gapiów, nadają przez swój radiowęzeł optymistyczne, podniosłe komunikaty, pisane *ad hoc* wiersze oraz pogadanki z najnowszej historii. Uśmiech, dyscyplina, porządek, dobry nastrój – całkiem niezwykłe jak na „grupki kontrrewolucyjnych zbirów i warchołów", jakimi są wedle oficjalnej już terminologii propagandowej.

Ale dyskretne rygory ostrożności jednak stosują. Przy kilku kolejnych kordonach Lucy coś im perswaduje po chińsku, a ja muszę wymawiać: „*tuancie*", pokazywać plakietkę Solidarności i robić, co tutaj też w modzie, „V" (uwaga: zawsze wewnętrzną stroną dłoni do przodu, bo zewnętrzna znaczy „precz"). Resztę konwersacji załatwia moja nie mniej zemocjonowana przewodniczka. Po trzeciej barierze docieram do obszerniejszego szałasu sztabu. Skonstruowano go z wielkiego parasola ogrodowego, ze szmat i płatów plastiku, przedłużających jego skrzydła, z ośmiu żelaznych łóżek, zestawionych w prostokąt (pod nimi stosy bibuły i piramidy butelek z wodą sodową), a także z wiatraczka, który daremnie próbuje rozproszyć żar, oraz z ogromnej kolumny nagłaśniającej, zasilanej baterią akumulatorów; słychać ją w promieniu kilkuset metrów.

Ciasno, że nie ma gdzie stóp postawić. Zwija się tutaj kilkudziesięciu chłopaków i tyleż dziewczyn; non stop coś piszą (niestety – chińszczyzna) i zaraz

nadają to w kierunku pulsującego tłumu. Ani trochę nerwowości, choć w każdej godzinie może przyjść uderzenie „sił ładu i porządku". Nie ma czasu na czarne myśli: oni robią rewolucję i mają jeden cel – wytrwać.

Muszę chwilę poczekać, szefowa zajęta. Tymczasem oni się pchają do mnie, wypytują o Wałęsę, o Okrągły Stół – i kto wygra wybory? Jakiś Anglik z Reutera, czując osobliwość tej sytuacji, każde nasze słowo nagrywa; będzie miał kłopot z tłumaczeniem na angielski tej polsko-chińskiej angielszczyzny wiecowej.

Zrobił to dobrze; dowiedziałem się później od przestraszonych dyplomatów peerelowskich, że wiele rozgłośni zachodnich nadało reportaż... z pierwszego spotkania „*Solidarity*" ze studentami Pekinu, wraz z przekazanymi im moimi pozdrowieniami.

Nie ma dziś głównego przywódcy, Wuer Kaixiego, bo organizuje dalsze demonstracje protestu przeciw aresztowaniom pod komisariatami. Jest jego zastępczyni, właśnie kończy nadawanie jakiegoś apelu przez mikrofon. Ładna dziewczyna, lat dwadzieścia jeden, absolwentka Pekińskiego Uniwersytetu Pedagogicznego, który ma reputację wylęgarni radykałów. Bez wahania podaje swoje imię, ale postanawiam je utajnić. Niech się nazywa Hua, czyli „kwiat" – to popularne imię dziewczęce.

– Jak się do waszej akcji odnoszą mieszkańcy Pekinu?

– Stale spotykamy się z poparciem materialnym i wyrazami sympatii. Czujemy za sobą poparcie miliarda ludzi, całych Chin. Dawniej tego nigdy nie było, studenci protestowali w osamotnieniu. Teraz przychodzili do nas wysocy dygnitarze partyjni i rządowi, nawet wojskowi.

– To znaczy, że już nie przychodzą?

– Oni już nie – wtrąca jakiś chłopak. – Ale ich braku nie żałujemy. Cieszymy się, że składa nam odwiedziny coraz więcej ludzi z prowincji.

– Czy dążycie do zmiany ustroju komunistycznego, czy też do jego naprawy?

– Naród pragnie praw demokratycznych i wolności słowa – rzecze Hua, starannie wystrzegając się określeń, które mogłyby uzasadniać oskarżenia o „kontrrewolucyjność".

– Chcemy wraz z ludem usunąć wszystko, co złe w sposobie rządzenia. Ale premier Li Peng i niektórzy inni muszą odejść, bo mają nieludzki stosunek do narodu. Chcemy jednak, aby wszystko odbyło się zgodnie z prawem. Dlatego dotrwamy tu do 20 czerwca, kiedy zbierze się Ogólnochińskie Zgromadzenie Przedstawicieli Ludowych. Ono może zmienić rząd, i wierzymy, że zmieni.

– Nazywają was „kontrrewolucjonistami" oraz „małą garstką krzykaczy".

– To, co robimy, jest słuszne, jest to zgodna z konstytucją forma presji na władze. Konstytucja daje nam prawo zgromadzeń, wieców, zrzeszania się, i tylko to robimy.

– Czy znacie doświadczenia Solidarności?

– Znamy je doskonale. Wiemy, że walczyliście osiem lat o swoje cele, żeby wasz związek mógł znowu istnieć. Teraz my się staramy, żeby to samo zrobić sprawniej i szybciej.

Kiedy się żegnaliśmy, wyła karetka pogotowia. Następny student zemdlał z upału. Ocucą go – jutro wróci.

Telewizja powtarza na okrągło, że kraj popiera premiera Li Penga oraz rygory stanu wyjątkowego.

Pokazuje także paradę licznych jednostek wojskowych i policyjnych. [...]

Sobota, 3 czerwca

Dziś to już prawie piknik na placu. Władze stanu wojennego znowu się ośmieszyły. Szły nocą ku centrum długie kolumny piechoty 38. armii bez broni palnej – na postrach czy do prawdziwej operacji oczyszczania? Byli to przeważnie młodzi poborowi, z dalekich prowincji, bo mówili dialektem niezrozumiałym dla mieszkańców Pekinu. Wyraźnie nie mieli ochoty wdawać się w bijatykę z zastępującymi im drogę ogromnymi tłumami asekurującej studentów ludności. Póki byli na przedmieściach – witano ich, agitowano, częstowano jedzeniem i napojami, ale tutaj, w pobliżu Tiananmen, zagrodziła im drogę ściana piersi; zamiast przyjaźni – wrogość, obelgi, wyzwiska. Niektórych opluto. Przed barykadami zatrzymali się, ale nadciągały dalsze szeregi, napierając na tych, co stanowili czoło kolumny. Żołnierze wpadli w panikę, zaczęli się cofać w bezładnych kupach, oficerowie stracili głowę, odwrót zamienił się w chaotyczną rejteradę, ogłupiali wojacy z ulgą wrócili do prowizorycznych baz na przedmieściach. Ulżyło wszystkim, zwłaszcza oficerom, z których wielu miało siostry albo narzeczone wśród studentek, a wśród studentów – przyjaciół z ćwiczebnych obozów letnich. [...]

I oto sensacja! Na ekranie telewizji, po raz pierwszy od tygodnia, ukazuje się Li Peng! Mówi, mówi z emfazą – ja nic nie rozumiem, podziwiam tylko pasję oratora – a pan Bajer aż kraśnieje i nie może wysiedzieć na miejscu. O czym to mówi? Jaki jest dzisiaj najważniejszy problem Chin? Otóż Li mówi płomiennie o zagrożeniu środowiska naturalnego, o tym, żeby chronić przed zagładą ptaszki!

Czy to znaczy, bądź tu mądry, że nic groźnego nie nastąpi, czy też – że kości rzucone i chodzi tylko o uśpienie czujności?

Potem prezenter wygłasza tyradę o absolutnym poparciu całego społeczeństwa dla stanu wojennego. Jak u nas. „Tylko gromadki chuliganów i łotrów lżą, znieważają, nawet opluwają żołnierzy". Całą parą idzie obróbka psychologiczna; jeszcze spiker dodaje, że odkąd zaczęły się demonstracje studenckie, „rośnie liczba rabunków i gwałtów" (tutejsze staruszki też pewnie przerażone), choć wiadomo z wiarygodnych źródeł, że jest akurat odwrotnie – przestępczość zmalała. Studenckie protesty są wzorowo zdyscyplinowane.

Ale oto główny szlagier dzisiejszego wieczoru; pokazuje się minister obrony Qin Jiwei! Jeszcze parę dni temu łączono go jednoznacznie z „grupą antypartyjną" – a więc został nawrócony na słuszną drogę. Generał jest na luzie, uśmiechnięty, ściska ręce żołnierzykom jakiejś kwaterującej pod namiotami jednostki; oni też rozanieleni. Armia z partią, partia z ludem!

19.55. Spiker informuje, że niepoprawne elementy chuligańskie wdarły się gdzieś do komitetu partyjnego i lżyły dobrych towarzyszy.

Niby nic dramatycznego, ale wyczuwam pismo nosem: identyczna jak przed 13 grudnia eskalacja ostrzeżeń adresowanych do partyjnego ciemnogrodu.

Jednak Polacy, Amerykanie – także Chińczycy w dzielnicach rezydencjalnych – wyglądają na zrelaksowanych; skoro wojsko weszło – i wyszło – nie ma się czym przejmować. Ono już jest psychicznie rozłożone.

Nie wiemy, że właśnie koło mostu Muxidi padły pierwsze trupy. Wojsko już strzela. Czołgi i transportery opancerzone już przełamują, gniotą ludzkie zapory. Kierunek – centrum miasta! Wiedzą o tym tylko nieliczni, już późna noc!

Otrzymuję wiadomość, że na jutro przewidziane są milionowe demonstracje, że nadciąga nowa fala entuzjazmu, a czterech intelektualistów podjęło wśród studentów strajk głodowy.

To trochę uspokaja. Wszystko normalnie, jak do tej pory. Tylko że na czarnym niebie wyjątkowo dziś dużo światełek helikopterów.

Niedziela, 4 czerwca

Z ósmego piętra hotelu Ritan widzę przez okno duży szmat nieba. Jeszcze po północy obserwowałem zielone i czerwone robaczki, światła pozycyjne śmigłowców patrolujących – co dwie minuty – wzdłuż osi wschód–zachód, a więc w stronę Tiananmen.

Zasnąć nie mogłem, ledwie zdrzemnąłem się na parę kwadransów. Czuwałem, żeby nie przespać czwartej rano, bo punktualnie o piątej dwadzieścia miałem stawić się na zbiórkę komisji wyborczej w Ambasadzie PRL, by dokonać ostatnich formalności i zalakować urnę. Szósty zmysł reporterski, który sygnalizuje, gdy coś ma się zdarzyć, nakazał mi wyłączyć szumiący klimatyzator i uchylić okna. Około trzeciej, wisząc na parapecie, wyłapałem jakieś niepokojące szumy i tłumione oddaleniem echa detonacje. Ale były to odgłosy ledwo słyszalne – może złudzenie, nerwowa imaginacja?

Ogoliłem się, ubrałem nieco uroczyściej, jak na męża zaufania przystało, i grubo przed wyznaczonym terminem wyszedłem z hotelu. Jeszcze była szarówka. Na ulicy – dziwne o tej porze – stały grupki ludzi nasłuchujących czegoś, zaniepokojonych.

Tuż za pierwszą przecznicą doszły mnie odgłosy dalekiej kanonady. Teraz nie miałem wątpliwości. Palbę broni ręcznej i terkot karabinów maszynowych punktowały głośniejsze eksplozje. Przyspieszyłem kroku, w kilka minut dotarłem do ambasady. Była już garstka pracowników. Ktoś nadmienił, że nocą stacjonowała tuż obok kolumna czołgów i transporterów opancerzonych – że były walki wokół Tiananmen. Dodałem, że strzelanina jest i teraz słychać ją na dziedzińcu.

– Pan histeryzuje – uspokoili mnie znawcy. – Chińczycy bardzo lubią puszczać petardy.

– Wyraźnie słyszałem, to ogień z broni maszynowej.

– Oni mają takie taśmowe fajerwerki, które terkoczą jak kulomiot.

Ledwie zapieczętowano urnę, rzuciłem swój głos i zaraz po szóstej naruszyłem obowiązki męża zaufania. Wraz z dwoma pracownikami ambasady (obaj znają chiński) wybiegłem na ulicę, boczną od alei Changan. Teraz już nie było wątpliwości: trzysta metrów od nas, w stronę Tiananmen, mknęły czołgi, aż snopy iskier, krzesane z betonu, sypały się spod gąsienic...

Pognaliśmy za nimi, mieszając się w gromady cywilów, pędzących pieszo i na rowerach z absurdalnym, instynktownym zamiarem: pomóc studentom! Zrobić coś, żeby... żeby... Ale co można by zrobić gołymi rękami, skoro tam kolumny pancerne i pułki wojska pod bronią? W takich chwilach jednak nie myśli się logicznie. Pchało nas, wszystkich razem, ku placowi, ku bitewnym odgłosom. Już dogasającym...

Changan wyglądała, jakby przeszedł tajfun. Rozrzucone liche barykadki z ławek, kiosków, śmietników, kłęby zgniecionych prętów i drutów – tak wygląda rower, gdy przetoczy się po nim czołg – tlące się autobusy, swąd spalenizny, pogubione damskie trzewiki. Cała jezdnia, szeroka jak cztery

Marszałkowskie, zasłana zmielonym ceglanym pyłem i gruzem. Cegły z sąsiednich budów były jedyną amunicją cywilów, bombardowali nimi pancerne pojazdy w beznadziejnym geście oporu. Niejeden za gest zapłacił życiem.

Stąd jakieś cztery kilometry do Tiananmen. Dymy w oddali widać, strzały słychać – ale słabo. Biegnijmy!

Partyjny dyplomata pierwszy, ja za nim; wyprzedzam go – przecież nie wypada mi być w tyle; ten trzeci (nie wiem, kto taki) nie odstaje o krok, też ambitny. W tym momencie nie dzielą nas żadne różnice polityczne, łączy nas identyczne wzburzenie – i nienawiść do oprawców.

Na wiadukcie, pod którym biegnie obwodnica, dużo wojska i pojazdów w barwach ochronnych. Ta jednostka nie strzela, ale broń ma w gotowości. Nie puszczają. Okrążamy ich dołem, pod filarami. Tam jakiś Anglik z obłędem w oczach: „Wracajcie! Dalej zabijają, strzelają do wszystkich!".

Chińskie kobiety także dają nam znaki podniesioną dłonią: nie idźcie! Kiedy mijamy je, skłaniają głowy gestem aprobaty.

Im bliżej – tym straszniej. Płonie żywym ogniem kilka pojazdów, dymy zasnuwają głębię alei. Tuż za ekstrawagancko nowoczesnym hotelem Beijing International, z którego wyglądają przelęknieni cudzoziemcy, pierwsza kałuża krwi, już zaskrzepła, sprzed paru godzin. Dookoła setka ludzi. Pieczołowicie odgradzają cegłami czerwoną, rozciągniętą plamę, by nikt nie deptał po świętym miejscu. Kładą gałązki zieleni ułamanej z krzewów.

Druga kałuża o kilkanaście metrów, też zamieniona w kapliczkę.

Nieco dalej trzecia – świeża. Maczają dłonie we krwi, malują na tłącym się jeszcze autobusie *dazibao* – wielkie znaki. Dyplomata odczytuje: „Krew za krew". Następny: „Pomścimy studentów".

Sto metrów i kolejna ogromna plama na asfalcie. W kwiatek wetknięte legitymacyjne zdjęcie młodziutkiej dziewczyny. Chińczyk coś do mnie mówi gorączkowo, pokazuje fotografię, daje mi łuskę. Tym pociskiem zabita... Zapłakane kobiety, bluzgający gniewem mężczyźni, zaciśnięte pięści, rozpłomienione oczy. Dwudziestu naraz krzyczy histerycznie – moi współtowarzysze tłumaczą na wyrywki – znowu ręce we krwi – odciskają znaki na murach. Nakazują nam głosem i mimiką: „Patrzcie na to... Zapamiętajcie, co oni z nami robią... Opowiedzcie o tym w swoim kraju... Patrzcie się, patrzcie, przekażcie światu... Nie zapomnijcie...".

Kolejny napis krwią: „Śmierć Li Pengowi".

A potem, znów na wraku autobusu, sławny cytat z Mao: „Władza rodzi się na lufie karabinu".

I jeszcze: „Faszyzm nie przejdzie!".

Piszą na ścianach, na kioskach ulicznych, ogrodzeniach, pojazdach. Jak w Termopilach ów bezimienny żołnierz Leonidasa, który przekazał krwią wszystkim pokoleniom: „Przechodniu, idź i powiedz Sparcie, że tu spoczywają wierni jej prawom".

Tak rodzi się nowa chińska mitologia. Mitologia jest siłą, która może zmienić bieg dziejów.

Zdyszani mijamy masyw hotelu Pekin. Wszystkie jego bramy zawarte, w oknach nikogo; stąd już bardzo blisko do Tiananmen i wojsko strzelało po oknach, by przegonić świadków zbrodni. Siódma kałuża krwi. Ósma. Już przestaję liczyć, nie mam czasu niczego notować, trzymam przy ustach mały magnetofon i nieskładnie rejestruję, co widzę. Biegniemy dalej, odruchowo przykurczeni, ku strzałom, potrącani przez mknących w obie strony rowerzystów, przez dwa strumienie ludzi: tych, co chcą zobaczyć, i tych, co już widzieli. Znowu nas powstrzymują i wyrażają podziękowanie oczami, gdy nie reagujemy na ostrzeżenia. Mija nas, ze strasznym krzykiem, grupka młodych, popychających platformę rowerową, z której zwisa krwawiące ciało. Chyba trup.

Już widać plac. Tam dojść się nie da. Zagradza go zwarta kolumna czołgów; przed nimi falanga żołnierzy – jedni siedzą, inni klęczą, dalsze szeregi stoją – broń gotowa do strzału. Chronimy się za krzakami, za szpalerem drzew – cienkich niestety, za plecami kilkuset Chińczyków (są wśród nich kobiety, są małe dzieci), którzy wygrażają żołnierzom, rzucają bezsilne obelgi: „Precz z Pekinu! Wróćcie tam, skądeście przybyli! Zbrodniarze!".

Między rozżartym tłumem a kordonem wojska stumetrowy pas ziemi niczyjej – strefa śmierci. Jej granicę wytyczają niskie przenośne płotki, normalnie służące do rozdzielania pasm ruchu. Kto przeskoczy płotek – pada. Strzelają krótkimi seriami, celnie. Z takiej odległości nie można spudłować. Dwóch na ziemi, ludzie porywają ich na ręce, wloką na tyły. Znowu strzały. Cofamy się na pobocze, jakby tam kule były mniej groźne.

Zza parkanu, z bram i bocznic wypada następna krzycząca falanga, biegnie ku szykowi wojska, złorzecząc mordercom. I znowu terkot karabinów szturmowych. Kilku pada, podnosi się, potyka, ucieka. Więcej krwi na asfalcie. Ci oberwali po nogach.

Pytali mnie później, czy słyszałem gwizd kul. Nie, nie słyszałem. Po prostu nagle padali ludzie.

Godzinę wcześniej był w tym samym miejscu Jerzy Bajer. Nadał do „Przeglądu Tygodniowego":

I wtedy padły strzały: biednie wyglądający człowiek z rowerem, stojący ode mnie może o metr, może o półtora, krzyknął do żołnierzy: „*Nimen zou*

ba!" – wynoście się, i zaraz został trafiony jednym z dwóch pojedynczych strzałów. Wydawało mi się, że wojsko strzela ślepymi nabojami w powietrze. Ale ów Chińczyk zgiął się nienaturalnie i powoli zaczął opadać na leżący już rower. Prawy bok zabarwił się na czerwono. To nie był ślepy nabój.

A w kilka godzin później była tam, albo w pobliżu, korespondentka „Trybuny Ludu" Krystyna Szelestowska. Tuż przy niej – opowiadała – kula dosięgła sześcioletniej dziewczynki. [...]

Teraz przechodzę do tego, czego na własne oczy nie widziałem – do rekonstrukcji zdarzeń z kilku poprzednich godzin. Opieram ją na relacjach kilkunastu Chińczyków, naocznych świadków, którym udało się wynieść życie z placu Niebiańskiego Spokoju. Także na sprawozdaniach wielu zachodnich reporterów [...] oraz agencji prasowych i sieci telewizyjnych, które mają „oczy i uszy" wśród Chińczyków – również tych, co należą do kręgów władzy.

Najpierw kilka zdań nadanych później z podziemia:

Dziś jest 8 czerwca, czwarta po południu. Nazywam się Chai Ling, byłam szefem sztabu podczas głodówki na placu Tiananmen. Wciąż żyję...

Punktualnie o dwudziestej drugiej na placu zadeklarowano powstanie Uniwersytetu Demokratycznego i wszyscy świętowali tę uroczystość. Kierownictwo studenckie otrzymywało wciąż wiele sygnałów ostrzegawczych i sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. [...] Przyszło do nas wielu studentów, robotników i zwykłych obywateli, mówiąc, że teraz czas na to, by chwycić za broń, ale powiedzieliśmy im: „Demonstrujemy pokojowo, a najważniejszą zasadą pokoju jest gotowość do poświęcenia życia".

Trzymając się za ręce, ramię w ramię obok siebie, śpiewając *Międzynarodówkę*, wyszliśmy po kolei z namiotów. Wciąż trzymając się za ręce, siedliśmy na zachodniej, północnej i południowej stronie Statui Wolności, z pogodnymi twarzami, czekając na bezlitosnych morderców.

W tym czasie głośniki wokół namiotu kierownictwa studenckiego grały pieśń *Potomkowie smoka*. My też śpiewaliśmy, ze łzami w oczach. Obejmowaliśmy się i ściskaliśmy sobie ręce – wiedzieliśmy, że nadeszła chwila, by oddać nasze życie za naród...

O drugiej w nocy przez aleję Changan, od zachodu, przejechał pierwszy rzut 27. armii – grupa czołgów i transporterów opancerzonych; za nimi konwój pięćdziesięciu ciężarówek wyładowanych piechotą. W pobliżu budynków radia i telewizji zagrodziła im drogę ciżba ludzi; tym razem daremnie. Rozpędzona kolumna zmiażdżyła barykady, przejechała po tych, co nie zdążyli rozprysnąć się na boki, siekła ogniem broni maszynowej. Od razu kilkadziesiąt ofiar.

Na placu pozostało tej nocy niespełna tysiąc studentów. Wielotygodniowy strajk wygasał. Znużenie brało górę nad determinacją, większość szła na nocleg do domu, w szałasach i pod namiotami zostawali najwytrwalsi. Stale asystowało im parę setek ciekawskich, snujących się wokół, dyskutujących, a na przyległych ulicach czuwało jeszcze kilka tysięcy ludzi, głównie młodych robotników, którzy parę razy powstrzymali ataki wojska – nieskoordynowane i prowadzone bez zapału.

Tamte poprzednie formacje należały do garnizonu pekińskiego; do akcji szły bez broni i cofały się, ilekroć trafiły na zwartą masę ludzi. Były to głównie jednostki 38. armii, która – ponieważ nie strzelała – zyskała sobie reputację „przyjaznej".

Ci, co tej nocy wjechali w bojowej furii, byli z 27. armii [...], którą dowodzi Yang Jianhua, bratanek prezydenta Yang Shangkuna. Stacjonuje ona na styku prowincji Hebei i Shanxi; ta ostatnia uchodzi w Chinach za „półbarbarzyńską". Rekrutowani z jej wiosek żołnierze nigdy nie widzieli wielkiego miasta, gubili się w Pekinie. Oni nie byli wrażliwi na „zmiękczanie" przez ludność. Wiele dni indoktrynowano ich, że „w stolicy kontrrewolucja", dyrygowana przez imperialistów – białych diabłów; byli przekonani, że idą przeciw „wrogom ludu", aby zaś nie ochłonęli w obliczu pokojowej demonstracji, pierwszy rzut oszołomiono środkami pobudzającymi. „Mieli straszne, obłąkane oczy" – opowiadali Chińczycy, którym udało się ocaleć.

Czołgi i transportery bojowe osaczyły studenckie koczowisko. Z ciężarówek wysypywała się piechota. I nagle wojsko pojawiło się wszędzie: wybiegało zza murów Zakazanego Miasta, z gmachu Zgromadzenia Ludowego, z Mauzoleum Mao. Podniósł się straszny krzyk, głuszony wystrzałami. Chwilowo głównie na postrach...

Plac jest ogromny, nikt nie mógł ogarnąć całości okropieństw dziejących się w ciemności. Część studentów wycofuje się między szpalerami wojska, w stronę wschodnią i południową, wynosząc ze sobą transparenty i szturmówki, część skupia się przy pomniku Bohaterów Rewolucji, tworzy łańcuch, splata się rękami. Na rozkaz z głośników: „Rozejść się natychmiast! Opuścić plac!" – niektórzy wyrywają do tyłu, inni wołają: „Oni się nie ośmielą"...

Wojsko zacieśnia krąg. „Nie strzelajcie! Nie chcemy z wami walczyć!" – krzyczą desperaci do tyraliery, która celuje w nich ze szturmowych karabinów AK-47.

Oficer wypalił w głowę jednemu z przywódców, próbującemu pertraktować. I natychmiast huragan ognia zmiótł pierwszy szereg „łotrów i kontrrewolucjonistów", i drugi, złożony z samych dziewcząt, błagających o litość.

Od południa, od bramy Qianmen, rozlega się także straszliwa kanonada: do tych, którzy nie zdążyli uciec. Tutaj zdesperowany tłum broni się, rzuca kamienie i koktajle Mołotowa. Po paru sekundach ognia – nikt nie zostaje na nogach, walą się ranni i zabici.

Bohaterscy riksiarze zbierają rannych, próbują wywieźć ich z piekła. Do nich też strzelają. Oni też giną.

I tych dosięgły kule, co próbowali schronić się na tarasy Zakazanego Miasta. Łatwiej było uciec ku części „wschodniej" alei Changan, w kierunku gigantycznego hotelu Pekin, bo pancerne kolumny przebiły się tutaj z dwugodzinnym opóźnieniem.

Najstraszniejsza rzeź odbyła się w centrum Tiananmen, wokół pomnika Bohaterów Rewolucji. Za jego masyw próbowali chronić się studenci, którzy ocaleli od pierwszych salw, i ci, co odnieśli tylko lekkie rany. Rzucili się w pościg rozgorączkowani żądzą mordu żołdacy, kłując bagnetami w plecy, w nerki, strzelając w tył głowy, dobijając rannych. Ruszyły czołgi. Zwaliły posąg Bogini Demokracji, przetoczyły się przez namioty, przez budy i szałasy – przez ciała tych, co leżeli chorzy lub szukali tam daremnej osłony. Zostali zgnieceni na miazgę, którą żołnierzom trudno było potem zeskrobać z betonu.

Zbliża się dziewiąta; już ponad dwie godziny jesteśmy w strefie walki. Mam dość. Wracamy skokami, za osłoną samochodów, przeważnie spalonych lub zdruzgotanych przez czołgi. Chińczycy trwają na swoim straceńczym posterunku, w desperacji i furii; czyżby nadal mieli nadzieję, że zmiękczą rezunów z Shanxi? Trwają – bo inni padli, bo trzeba, trzeba trwać.

Nikt nigdy nie dowie się, ilu zginęło.

Rzecznik dowództwa stanu wojennego ogłosił najpierw... że ofiar wśród cywilów nie było, a wojsko wcale nie użyło ani broni, ani czołgów.

Później Yuan Mu, rzecznik rządowy, ustalił na trzysta liczbę ofiar, wśród nich... dwadzieścioro troje studentów.

Ze szpitali od razu doniesiono o „licznych" ofiarach i setkach, a nawet tysiącach rannych. Brakowało środków opatrunkowych i leków, więc wielu umierało przez następne godziny i dni.

Szpitalne kostnice przestały przyjmować zwłoki, układano je w sterty na parkingach rowerowych.

Jugosłowiańska agencja Tanjug informowała o dwóch tysiącach sześciuset ofiarach śmiertelnych i dane te potwierdził Chiński Czerwony Krzyż.

Na samym tylko Tiananmen w pierwszym uderzeniu zabito ponad trzystu. Ale strzelanina trwała nadal wokół placu i w innych punktach

Pekinu – tego dnia i następnego, i jeszcze później. Także w innych miastach ginęli ludzie.

Wielu po prostu przepadało bez śladu. Zwłoki palono, grzebano nocą; był człowiek – nie ma człowieka. Jak to ująć w bilansie?

Późniejsze obliczenia (w tym zachodnich wywiadów) mówiły o siedmiu, nawet piętnastu tysiącach ofiar, ale to chyba dane wyolbrzymione. Najbliższa prawdy wydaje się liczba czterech, pięciu tysięcy poległych, zmarłych z ran i definitywnie zaginionych.

Organ Chińskiej Armii Ludowej – „Dziennik Wyzwolenia" – już w niedzielę ogłosił wielkie zwycięstwo nad kontrrewolucyjną rebelią.

Po południu wróciłem do obowiązków męża zaufania. Uznałem za słuszną decyzję ambasadora Woźniaka, żeby o osiemnastej zamknąć lokal wyborczy. Studenci z dalekich peryferii Pekinu niech lepiej siedzą w domu, niech nie ryzykują wieczornych wypraw przez masakrowane miasto.

Tutaj też wygraliśmy wybory: dziewięćdziesiąt sześć głosów za Łapickim, sześćdziesiąt za Urbanem, a wszyscy nasi kandydaci na senatorów na czele listy. Ale czy to miało znaczenie tego dnia w tym mieście ogarniętym apokalipsą? W Pekinie oszołomionym i rozjuszonym, w Pekinie okrytym hańbą, bo to miasto nie spłynęło krwią nawet wtedy, gdy zajmowali je Japończycy, nawet gdy armie Mao wypierały kuomintangowców. Tym cięższy był szok tej niedzieli.

Kiedyś, owszem, zdobywali Pekin barbarzyńscy Mongołowie i Mandżurowie, a podczas drugiej wojny opiumowej[9], w 1856 roku, splądrował go i spalił korpus angielsko-francuski, więc także barbarzyński – wedle chińskich pojęć.

Ale żeby Chińczycy w samym sercu Chin zabijali Chińczyków?

I to nie pierwszych lepszych Chińczyków.

Studenci Pekinu – to dzieci nomenklatury, i to nie byle szaraczków partyjnych; to elita elit chińskiej młodzieży, synowie i córki tych, co rządzą krajem.

Czemu rozjechali własne dzieci?

Przeciw komu Deng kazał je rozjechać? [...]

Poniedziałek, 5 czerwca

Nowy element w pejzażu miasta to spalone transportery i ciężarówki wojskowe. Kilka wraków nawet na centralnym wiadukcie, mimo że stacjonuje tam duża grupa wojska. W bocznicach tu dwa poczerniałe kadłuby, strawione ogniem – tam jeden – ówdzie trzy. Gdziekolwiek tłum dopada pojedynczy pojazd – jest bezlitosny; przebija opony, wygania żołnierzy (nie wszystkim udaje się ujść z życiem), potem wytacza paliwo z baku i podkłada ogień.

[9] Wojna opiumowa – zbrojna interwencja kolonialna Wielkiej Brytanii i Francji mająca na celu wymuszenie na Chinach koncesji handlowych i terytorialnych.

Przy hotelu Le You tej nocy spłonęła cała kolumna, około trzydziestu ciężarówek z wojskowym zaopatrzeniem; nikt ich nie rabował – chodziło tylko o zemstę; cała ulica stała w płomieniach. W tym przypadku (a nie był on wyjątkowy) wojsko po prostu opuściło samochody i odmaszerowało, żegnane brawami. Z pewnością nie była to jednostka 27. armii, lecz którejś z dywizji okręgu pekińskiego.

„Rzeźnicy" – inaczej się nie mówi o 27. armii – skupili się, jakby w warownym obozie, na Tiananmen. Łączność i zaopatrzenie zapewniają im helikoptery. Telewizja pokazała ich przy „uprzątaniu nieporządków po studentach": skrobali podest pomnika Bohaterów Rewolucji. Ludzie komentowali, pewnie nie bez racji, że czyszczą plamy krwi i wydłubują strzępy ciał zmiażdżonych studentów.

Od czasu do czasu przez Changan i pobliskie ulice przetacza się kilka wozów pancernych, ostrzeliwując domy. Kilka pocisków sięgnęło mieszkania amerykańskiego dyplomaty, szkło obsypało chińską niańkę, która osłoniła dzieci. Nadal padają trupy, jeden leży tuż przy wjeździe na wiadukt. Może nie tylko jeden. O 13.20 zbliżyłem się do tego skrzyżowania – i znów znalazłem się w strzelaninie, gromady ludzi rozpierzchły się na wszystkie strony jak spłoszone ptaki, musiałem przykucnąć za jakimś murkiem i nie widziałem, czy ktoś padł.

Pół kilometra od tamtego miejsca, przy wielkim magazynie dla cudzoziemców (zamkniętym), ludzie nadal, z maniakalnym uporem stawiają swoją barykadkę, już tyle razy rozjechaną przez czołgi. Mają nowe tworzywo: wypalone samochody. Pchać się nie dadzą, bo opony spłonęły, więc koziołkują je – grzechot przeraźliwy – mają satysfakcję ze swej zapory; aż do następnego zagonu pancernego. Przy innej barykadzie nowy pomysł samoobronny: jej przedpole zasypano piaskiem przyniesionym z pobliskiej budowy. Zamysł jest taki, że hamujące przed barykadą pojazdy gąsienicowe wpadną na piasku w poślizg i porozbijają się jeden o drugi.

Jeden Chińczyk bardziej uwierzył w siłę moralną. Około południa na Changan zdarzył się przypadek, który został sfotografowany – i zdjęcie to obiegło dosłownie cały świat: samotny człowiek na pustej ulicy zatrzymał kolumnę czterech potężnych czołgów. Kiedy tankiści otworzyli klapy, chcąc go usunąć na bok, krzyknął:

– Żołnierze Armii Ludowej, coście zrobili ludowi! Chińczycy, patrzcie na swych zamordowanych braci!

Nazwano tego anonimowego bohatera „postacią szekspirowską". Został aresztowany i podobno rozstrzelany.

Konfucjusz powiedział: „Można porwać naczelnego wodza spośród jego armii, ale nie można przełamać postanowienia prostego człowieka".

Wojsko z Tiananmen zaczyna się „rozgęszczać". Obsadza pobliskie skrzyżowania i punkty strategiczne, poszerza swą enklawę w centrum Pekinu, wypychając ku peryferiom gromady ludzi, którzy z pogardą dla śmierci nadal ściągają ku cmentarzowi na placu Niebiańskiego Spokoju, nadal miotają wyzwiska i wygrażają pięściami żołdactwu. Gorze tym, co odłączą się od zwartych oddziałów! Nieopodal Dworca Głównego dynda jeden – w hełmie, ale odarty z munduru, innego rozdeptano na miazgę, kolejnych spalono.

Wszyscy się boją o studentów obwarowanych na uczelniach i w kampusach; podobno zdobyli trochę broni, rozbrajając żołnierzy (nie atakują milicjantów, bo nie uczestniczyli w masakrze), i szykują się do oporu. Na szczęście wojsko jak dotąd nie przystąpiło do blokady budynków uniwersyteckich – może dlatego że znajdują się z reguły na obrzeżach miasta, gdzie nie sięga przemoc zbirów z 27. armii.

Ale placówki dyplomatyczne wszystkich państw (nawet polska – choć z opóźnieniem i niemrawo) prowadzą ewakuację swoich studentów na eksterytorialny obszar ambasad. Nasi dyplomaci jak struci; martwią się, gdzie ich pomieszczą – może w namiotach? – i czym wykarmią, skoro nawet dla własnych rodzin chleba nie mogą dostać.

Krąży po Pekinie pogłoska, zapewne celowo sfabrykowana, że 27. armia – to n i e są Chińczycy, bo przecież Chińczyk nie strzelałby do Chińczyka. To są Ujgurzy, a może Mongołowie lub Tybetańczycy... W każdym razie któraś z mniejszości narodowych. Stary trik, w Polsce też znany: „winni są Żydzi i cykliści". Niech się ku o b c y m obróci nienawiść, niech odium nie sięga szczytów władzy – ludzi, którzy nakazali wojsku rozprawić się ze studentami. Dziennikarze z UPI, którzy mają dobre kontakty, prostują: w całej chińskiej armii nie ma jednostki złożonej z mniejszości etnicznych.

O Deng Xiaopingu i Li Pengu nic nie słychać. Utajnili się. Czekają na koniec pacyfikacji. Może jeszcze nie są pewni, czy się całkowicie powiodła.

Z relacji Colina Nickersona, reportera „Boston Sunday Globe":

Zapada noc, płomienie wszędzie w centrum miasta. Dwóch innych amerykańskich dziennikarzy i ja szukamy drogi powrotu bocznymi ulicami, wreszcie osiągamy sanktuarium hotelu Jianguo, gdzie kwateruje większość prasy zagranicznej. W hallu zespół filipiński gra muzykę hiszpańską. Kiedy karabiny maszynowe grzmią niedaleko, audytorium pada na podłogę. Filipińczycy grają dalej.

Z odległego o dwadzieścia kilometrów lotniska nadchodzą informacje, że lądują dalsze samoloty z wojskiem. Ale czyje to wojsko? W jakim celu nadal wokół Pekinu zagęszcza się pierścień pancerny, obserwowany godzina po godzinie przez amerykański wywiad satelitarny?

Wtorek, 6 czerwca

I znów zmiana scenerii na tamtym wiadukcie, który pełni funkcję politycznego barometru. Zniknęła rozlazła jednostka, która fraternizowała się z ludem i dała sobie spalić własne transportery, chociaż – gdy napór tłumu był nazbyt wielki – tężała czasem, nakładała hełmy i oddawała salwę.

Wymiotło ludzi spod wiaduktu, okrążają go dalekim łukiem. Stoi na nim siedem czołgów T-54, rozmieszczonych obronnie, częściowo osłoniętych załomkami murków i balustradą. Inne wozy bojowe, w nieznanej liczbie, skryto w dole, przy filarach. Czujki w pełnym rynsztunku, z bronią pod pachami. Piechota wtopiła się w teren, najwyraźniej gotując się do odparcia jakiegoś przeciwnika; od czasu do czasu strzałami ostrzega gapiów, żeby się nie kręcili po przedpolu.

Lufy dział czołgowych wycelowane na wschód, wzdłuż osi Changan.

Kogo się boją?

Dostęp do Tiananmen całkowicie zamknięty, w promieniu paru kilometrów od placu rozmieszczone są posterunki i gniazda bojowe. Paru Polakom udało się jednak dotrzeć okrężnymi drogami z tamtej, zachodniej strony miasta. Mówią, że identyczne przygotowania obronne poczyniono na przeciwległej trasie wylotowej, szczególnie przy gmachach radia i telewizji oraz wokół kompleksu Zhongnanhai, gdzie skupione są najwyższe urzędy i rezydencje elity władzy. Tak samo wyglądają inne punkty strategiczne w obrębie dzielnic centralnych.

Przeciw komu wystawiono te czołgi? Dziś nikt o niczym innym nie mówi, tylko o ruchach wojsk.

Dziennikarze i dyplomaci, handlowcy i nieliczni turyści pogrążają się w rozważaniach operacyjnych – a wśród pekińskiego ludu zwyżkuje nadzieja na odsiecz. Skoro 27. armia przygotowała się do okrężnej obrony, to znaczy, że owe wojska, które od wielu dni osaczają Pekin – ich liczebność ocenia się według zdjęć satelitarnych na dwieście do trzystu pięćdziesięciu tysięcy – słuchają rozkazów kogoś, kto się wyłamał z frakcji Deng–Yang–Li, tej betonowej trójcy. Co do tego, że rozdźwięki w kierownictwie istnieją, nie ma wątpliwości. [...]

Nadzieja ludzi wiąże się też z numerami 28, 29, 39, 65... Każda z armii (korpusów armijnych) oznaczonych tymi liczbami jest wymieniana wśród

tych, co rzekomo sprzyjają reformatorom. Niektórzy dodają numery 16, 63, 64 i 66. Od czasów wojny z Wietnamem nie było w Chinach takich ruchów wojsk.

Ale która armia za kim stoi?

O 65. armii, a także 15. dywizji desantowej i 6. pancernej, amerykańskie źródła wywiadowcze mówią, że wspierały 27. armię w masakrze.

Stale mówi się jedynie to, że z odsieczą idzie 38. armia, a od zachodu wspiera ją 28. Skoro doniesienia te są tak liczne i jednoznaczne, to można je przyjąć za wiarygodne. Zwłaszcza że 38. armia należy z pewnością do okręgu pekińskiego i garnizony jej stale mają kontakty ze studentami, więc są zainfekowane duchem przemian demokratycznych.

We wtorek i ja wierzę w 38. Już podobno jest na przedmieściach. Niektórzy przysięgają, że doszło do wymiany ognia artyleryjskiego z 27., że toczą się regularne walki. [...]

Ze szpitala Fuxing doniesienia o dantejskich scenach. Na korytarzach zwały trupów – ludzie przewracają je, szukają swoich. Jakaś matka znalazła. Szloch – i nagle zimne oczy. Podchodzi do fotoreportera: „Pokaż światu tego dobrego chłopca, on zginął za Chiny".

Lekarz pokazuje innego, ze związanymi z tyłu rękami. Tego zabili z zimną krwią.

Popołudniowa wyprawa w miasto przynosi wrażenia wieloznaczne. Nerwowość ludzi wzrosła jeszcze bardziej, atmosfera jest tak napięta, że to się czuje przez skórę. Ale zarazem otwarto trochę sklepów i wcale nie wygląda, by miało dojść do strajku generalnego; tego jeszcze Chińczycy nie przećwiczyli. Była natomiast ostra strzelanina koło gmachów radia i telewizji – wojsko najpierw waliło na postrach, potem wprost do tłumu; dużo ofiar. Chińska współpracowniczka UPI przynosi zapisane na kartce nazwiska trzech dziennikarzy telewizyjnych i radiowych, których dosięgły kule snajperów rozmieszczonych gdzieś na wysokich piętrach. Jednego trupa widziała: dostał w plecy, a miał ogromną dziurę w piersiach. Tak działają kule dum-dum[10]. Już wcześniej były doniesienia, ale nikt nie wierzył, że 27. armia została wyposażona w ten rodzaj amunicji.

W ambasadzie – początki histerii. Wszyscy gromadzą zapasy, ale skąd je brać, gdy w sklepach pustki? Podobno dziś ma odlecieć ostatni rejsowy samolot LOT-u, a do ewentualnej ewakuacji trzystu pięćdziesięciu Polaków potrzeba dwóch maszyn. Ambasador Woźniak uspokaja: ma zapewnienie, iż w razie czego przylecą. A on, jak kapitan tonącego statku, zejdzie z posterunku ostatni! Tymczasem jednak brakuje miejsc dla trzydziestki studentów, już

[10] Kula dum-dum – pocisk strzelecki z tak zdeformowaną częścią wierzchołkową (ściętą lub wydrążoną), aby po uderzeniu w cel odkształcał się. Powoduje rany większe od średnicy pocisku; zakazany na mocy konwencji haskiej z 1899 roku.

ściągniętych do ambasady; biuro LOT-u sprzedało te miejsca za dewizy jakimś Skandynawom i Murzynom – bo już zaczął się masowy exodus z Pekinu.

Nie wychodzą gazety. Strajk dziennikarzy, nawet w partyjnym „Renmin Ribao"; a może nie strajk, lecz czystka?

Ruch autobusowy zamiera, tylko na peryferiach działa kilka linii.

Potwierdzenie: podczas walk pod radiem ludzie spalili czołg.

Przez Changan nie puszczają nawet pieszych i rowerzystów. Na innych ulicach wojsko pogania ich, każe pedałować prędko, opieszałym grozi bronią.

Rewidowane są taksówki. Jeśli znajdą Europejczyka, żołnierze wrzeszczą i trzymają go na muszkach odbezpieczonych AK-47.

Ewakuują się różne zachodnie firmy. Chińska tłumaczka przynosi wieści z okolic Tiananmen: 27. armia strzela do ludzi jak do kaczek, przy niej zabito dwóch chłopców. W szpitalu Fuxing zmarło wczoraj stu rannych z niedzieli, wielu – na korytarzach pięćdziesięciu szpitali pekińskich. A jeszcze wiadomość szczególnie makabryczna: niemal wszyscy żołnierze zmasakrowani przez tłum byli z 38. i 28. armii, bo oni n i e s t r z e l a l i do ludzi, nie poszli w ślady „rzeźników". Zemsta jest ślepa.

Agencja informacyjna Xinhua nie przekazuje żadnych informacji.

Plotki szaleją: Deng ciężko chory! Deng zmarł! Władzę przejął Yang Shangkun! Zamach na Li Penga!

O tym zamachu trąbią wszyscy, nawet gazety z Hongkongu. Miał do niego strzelać oficer ochrony gmachu parlamentu, ale tylko jedna z czterech kul drasnęła udo premiera. Zamachowca ubito na miejscu, aresztowano całą jego rodzinę, rozbrojono stu siedemdziesięciu policjantów strzegących gmachu. Ale nie wiadomo, czy to prawda.

Wieczorem o dwudziestej na dziedzińcu ambasady formuje się konwój samochodowy – osiem samochodów i mikrobusów. Lekkie zdenerwowanie – do lotniska szmat drogi, czy nie wpadniemy gdzieś w wir walki? Jedziemy wpierw na południe, potem na obwodnicę, przez jakieś rozległe, puste arterie. Wojska ani śladu, ludzie też się pochowali. Miasto przyczajone? Gdzieniegdzie opuszczony autobus lub wrak transportera. Tylko na jednym skrzyżowaniu barykada z rozmaitych pojazdów, przy niej spora gromada ludzi – na coś czekają; musimy wymijać przeszkody, slalomując po chodniku. Dalej trasa prosta jak strzelił – wymarła.

Dopiero gdzieś na piętnastym kilometrze, przy rozległym kompleksie budynków, wyglądających na miasteczko studenckie – wielka kolumna około dwustu ciężarówek wojskowych, wypełnionych żołnierzami, i kilka

samochodów pancernych. Skrajem szosy maszeruje kilka oddziałów w hełmach, z pełnym rynsztunkiem – idą w stronę miasta, spoceni, zakurzeni. Wszyscy mają na dłoniach b i a ł e r ę k a w i c z k i! Wita ich z wylewną serdecznością setka cywilów, inni kręcą się przy pojazdach, rozmawiają z żołnierzami, podają im napoje. Więc jednak odsiecz idzie? Czy to ta legendarna 38.? Czy białe rękawiczki sygnalizują, że mają pokojowe intencje?

I już lotnisko. Przerażona, rozdygotana ciżba wielonarodowa miota się przy stoiskach odpraw, przepycha, faluje – nagle wszyscy rzucają się hurmem do jednego z wyjść, skaczą przez poręcze, depczą po bagażach, roztrącają celników i pograniczników, tratują, co po drodze; poszła wieść, że zaraz odlatuje samolot do Hongkongu i biorą na pokład kto się tylko zmieści, nawet bez biletów i wiz.

Nasz LOT-owski samolot zapełnia się w porządku. Nawet część studentów odleci. Długo, ponad pół godziny, czekamy na pasie startowym. Zakrada się niepokój – może nie odleci?

Wreszcie ruszamy. Westchnienie ulgi. Odpływają strachy.

Czuję się jak dezerter. [...]

Fabrykowanie historii

Żeby panować nad ludem, trzeba pozbawić go pamięci. Orwellowską zasadę Chińczycy znają od niepamiętnych czasów. Tak postępowali dworscy kronikarze, żeby pognębić cesarzy obalonych i dynastie wypędzone; tak robił Mao, ażeby ludzie nienawidzili Czang Kaj-szeka i samych siebie z lat czangkajszekowskich; tak samo postąpiono z legendą Mao (choć nie do końca, tę legendę przezwycięża się na raty). A teraz Deng zaciera masakrę na Tiananmen.

Początkowo obowiązywała teza, że takowej nie było.

Agencja Xinhua, chińska wyrocznia, oznajmiła przecież, że śmierć poniosło trzech żołnierzy, a tysiąc odniosło rany; z cywilów nie zginął nikt.

To samo podał „Dziennik Armii Wyzwoleńczej", dodatkowo oskarżając demonstrantów o bicie i porywanie żołnierzy, kradzież broni i amunicji, atakowanie obiektów wojskowych i parlamentu oraz wiele zbrodni pospolitych, jak rabunek i podpalanie sklepów.

Co prawda, nieświadomy lub szaleńczo odważny spiker radia Pekin podał w audycji anglojęzycznej, że żołnierze zabili tysiące niewinnych osób – ale on natychmiast zniknął, a propaganda z tym większą energią czyściła pamięć.

15 czerwca po raz pierwszy pozwolono wejść na Tiananmen grupie zachodnich korespondentów. Towarzyszył im generał Li Zhiyung, przedstawiciel

grupy operacyjnej stanu wojennego. Powiedział dziennikarzom, z których wielu widziało mord na własne oczy: „Nie zabiliśmy na tym miejscu żadnego studenta czy innego młodego człowieka. Nie przejechaliśmy także nikogo na placu. Nie było niczego takiego jak krwawa łaźnia na Tiananmen. Nie wykryliśmy takich incydentów jak kierowanie przez żołnierzy broni do tłumów ludzi, coś takiego nigdy się nie wydarzyło w Pekinie".

A więc i to, na co ja patrzyłem, nigdy się nie wydarzyło; opowiadając – kłamałem, kłamałem, kłamałem...

Właśnie taką piętrową strukturę manipulacji propagandowej zastosowała telewizja chińska. Najpierw – fragment zeznań jakiegoś rozdygotanego człowieka przed kamerami amerykańskiej ABC:

– Czołgi i transportery przetoczyły się po studentach, gniotąc ich na miazgę... Żołnierze strzelali... używali także bagnetów... straszne, straszne okrucieństwo...

Potem spiker chiński ogłasza, że za oszczercą trwa pościg.

Potem oznajmia z triumfem, że został ujęty, zidentyfikowany jako Xiao Bin, czterdziestodwuletni robotnik.

Potem tenże człowiek przed kamerami telewizyjnymi, ale już chińskimi:

– Ja nic nie widziałem – mówi ze spuszczoną głową. – Ja przepraszam za to, że uczyniłem wielką krzywdę partii i krajowi...

ABC złożyła wyrazy najwyższego ubolewania z powodu przechwycenia fragmentu jej audycji z przekazu satelitarnego i wykorzystania go do celów politycznych.

W Szanghaju na wielu murach i witrynach sklepowych ludzie wywiesili wycinki z prasy Hongkongu ze zdjęciami masakry na Tiananmen. Szybko zostały zdarte przez policję. Niektórych winnych „rozsiewania fałszywych informacji" aresztowano.

Taktyka kłamstwa totalnego ostała się jednak nie na długo, bo świat za dużo widział i wiedział. Zastąpiła ją przeto taktyka stopniowego zbliżania się do ćwierćprawdy. Rzecznik rządu Yuan Mu podał (notabene na trzy dni przed rewelacjami generała), że było trzystu zabitych, głównie żołnierzy.

Potem ustalono „precyzyjnie", że zabito, niestety, dwadzieścioro czworo studentów. Liczba zabitych żołnierzy oscylowała zaś – zależnie od zmiennych potrzeb propagandowych – od trzech do kilkuset.

Dopiero w pierwszych dniach lipca Li Peng powiedział, co następuje: „Wojsko strzelało do studentów ostrą amunicją, bo nie miało gumowych kul, gaz łzawiący nie skutkował, a w okolicach placu Tiananmen ciśnienie w hydrantach było niewystarczające do użycia armatek wodnych. Co więcej, nie

mamy – jak inne państwa – specjalnych formacji milicji, służących do uśmierzania rozruchów".

Przedtem wojsko w ogóle nie strzelało, ależ skąd! – doniesienia o tym były tylko perfidnymi kłamstwami zagranicznych oszczerców.

Skoro jednak troszkę strzelało, najłagodniej, jak mogło, to dlatego że nie miało wyjścia.

Radio Pekin wyjaśniło miliardowi obywateli, że studenci grozili zabiciem wszystkich – co do jednego – partyjnych czterdziestu siedmiu milionów najlepszych Chińczyków.

Zamazywaniu faktów towarzyszy operacja jakby żywcem wzorowana na refrenie „Czy te oczy mogą kłamać?". Chodzi o takie pokazanie wojska – i jego wzajemnej miłości z narodem – aby nikomu z Chińczyków poza Pekinem nawet przez sekundę nie powstała w głowie myśl, że wojsko mogło strzelać do ludzi. Coś, co jest tak tkliwe jak chińska armia, niczego złego uczynić nie mogło. Godzina po godzinie, dzień po dniu przewijali się przez ekran żołnierze, którzy pielęgnowali zieleń, pogłębiali kanały, zamiatali ulice, sadzili ryż, osłuchiwali płuca pacjentów, opiekowali się staruszkami, wprost na ulicy, gratisowo, strzygli przechodniów, oszczędzając im wizyty u fryzjera, bili brawo uczniom przychodzącym grzecznie na Tiananmen, aby bić brawo dzielnym żołnierzykom – i *da capo al fine*. Ludność odpłacała się nie tylko czułą miłością, ale także owocami, miseczkami ryżu, napojami chłodzącymi i wszelkimi frykasami, podawanymi wojakom wprost do buzi. Tym wstrętniejsi (słusznie zakładali propagandyści) będą się jawić Chińczykom owi zabójcy, którzy żołnierzy znieważali, pluli na nich, a siedmiu nawet (bo liczba ofiar ciągle się zmieniała) zgładzili w strasznych torturach. Owa siódemka – dodajmy – została pośmiertnie przyjęta do partii, co wszystkich pragnących tego honoru bardzo wzruszyło, a rodziny trzech odwiedził premier, mianując poległych Bohaterami Ludowymi.

„Wyszło na to – nadał korespondent PAP Jerzy Bajer – iż żołnierze szli jak niewiniątka na rzeź, mając do dyspozycji pistolety i karabiny maszynowe, transportery opancerzone, a nawet artylerię".

W jednej z audycji pokazano także wzruszającą scenę, jak tłum rozjuszonych wyrostków oblegał siedemdziesięciu trzech żołnierzy dobrze uzbrojonych, którzy byliby pewnie rozszarpani na strzępy, gdyby z sąsiedniego szpitala nie pobiegł im w sukurs personel, a nawet obłożnie chorzy, rozpędzając łotrów.

Jeśli ktokolwiek by jeszcze wątpił o najlepszych intencjach kochanej armii, to i on by się musiał nawrócić, słuchając gratulacji, jakie złożyli wojsku

ostatni żywi marszałkowie: Xu Xiangqian (lat osiemdziesiąt osiem) oraz Nie Rongzhen (lat dziewięćdziesiąt). Zwycięstwo na placu Tiananmen – powiedzieli – to kontynuacja pełnej chwały tradycji Chińskiej Armii Czerwonej.

Duży rozgłos nadano dezinformacji, jakoby zamieszki w Pekinie wybuchły, z a n i m wkroczyło wojsko, a ono przyszło tylko z misją ratunkową. To, że w Pekinie nie było nawet najmniejszych incydentów – co zdziwiło wszystkich obserwatorów tak olbrzymich demonstracji – uznano za nierzeczywistość; a to, czego absolutnie nikt nie widział – za najszczerszą prawdę. Fabrykowanie historii wedle ostatnich wytycznych partii jest doprawdy dyscypliną, w której Chińczycy osiągnęli arcymistrzostwo.

I w jaki sposób studenci mogliby odeprzeć agresję propagandową, skoro ich gazetki małych liter mają szansę dotrzeć najwyżej do tysięcy, a nie do setek milionów? Owszem, były i są próby uruchomienia tajnych drukarni, ale jedną czy dwie odkryto i pokazano w telewizji jako dowód szczególnej perfidii wrogów ludu.

Kolejnym środkiem propagandowym, też doprowadzonym do perfekcji, jest pogarda dla pokonanych. Ci łajdacy zasypani wszelkimi epitetami, jakie można by sobie wymyślić, których wizualnie zohydzono tak, by każdemu Chińczykowi zbierało się na mdłości, nie zasługują nawet na cień, nawet na krzynkę litości. Chodzi nie tylko o wpojenie masom wizerunku idealnej kanalii, którą w dodatku może zostać każdy, kto narazi się władzy. Chodzi także o zademonstrowanie światu, że władze Chin – dziedzicząc przywilej nieomylności, jaki przysługiwał Synom Nieba – nie ustąpią ani na włos przed naciskami zagranicznymi, apelami, prośbami o łaskę i litość dla skazanych; a jeśli te naciski i apele będą się mnożyć – tym gorzej dla branych w opiekę opinii światowej. Wielu Chińczyków, rozumiejąc istotę filozofii władz, prosiło Zachód, aby się za nich nie wstawiał, bo to znacznie pogorszy sytuację, odbierze im resztę nadziei na wybaczenie niepopełnionych grzechów.

W tej postaci dało o sobie znać prastare przekonanie, zakodowane w chińskiej świadomości, że Państwo Środka jest superarbitrem w kwestii, co jest Dobrem, a co Złem, i ma nie tylko prawo, ale obowiązek uczyć ludy barbarzyńskie – czyli wszystkie poza Chińczykami – jak mają się zachowywać, by zasłużyć na pochwałę władzy, urzędującej w Centrum Świata – w Pekinie. Zasady, jakie ktokolwiek inny w świecie wyznaje, czy to Bush, czy Gorbaczow, czy papież, tylko wtedy zasługują na pochwałę, gdy są idealnie zgodne z zasadami, którymi się kieruje Najwyższe Kierownictwo.

Nawet to, że nagle runęła mozolnie od lat budowana wizja Chin jako kraju liberalizującego się i modernizującego – którą świetnie udało się światu

wpoić – przestało mieć na jakiś czas znaczenie. Póki się zabezpiecza władzę – nie mają znaczenia sprawy tak przyziemne, jak obce kapitały czy inwestycje. Co innego, gdy władza już się obwaruje, a wróg rozbity doszczętnie; wtedy należy przekonać świat, że właściwie nic się nie stało. Rozbijano tylko małą, całkiem maleńką garsteczkę niepoprawnych kanalii, których zresztą potraktowano wielkodusznie i zgodnie z prawem.

Czy zatem już jest w Chinach dobrze? No nie, jeszcze nie. W propagandzie pojawia się nowy ton: niestety, jeszcze nie wszyscy obywatele ujednolicili swe poglądy!

I właśnie dlatego historię nadal trzeba ociosywać i wygładzać, aż stanie się Monumentem Chwały Denga.

Wojciech Giełżyński, *Mord na placu Tiananmen*,
Warszawa: Wyd. Wojciech Pogonowski, 1990,
s. 7–54, 156–161

1990

Andrzej Bartosz (ur. 1948)

Prawda z nieprawdy

MIESZKANIEC I: – Kiedyś u nas ludzie żyli perfekt, panie! Jak anioły! A obecnie wszystkich odmieniło. [...]

AKTYWISTA: – Zaczęło się to dokładnie na wiosnę. Zachodzę akurat do biura, gdzie sekretarka podaje mi telefon, że zgłosiła się telewizja w celu naświetlań naszej gminy. [...] Dobrze, mówię, i poszły natychmiast rozporządzenia. Zebraliśmy aktyw i uzgodniliśmy, że musimy miasteczko przygotować w jak najlepszym stanie do przyjazdu telewizji [...]. Wytypowaliśmy od razu wzorowego rolnika do programu. [...] Z zakładów pracy wybraliśmy POM [Państwowy Ośrodek Maszynowy]. O tyle było nam to niewygodne, że były dyrektor POM-u właśnie odchodził z pracy i musieliśmy powołać nowego dyrektora, który nie był jeszcze dokładnie zorientowany w sprawach produkcyjnych zakładu. Mimo to zatrzymaliśmy starego dyrektora na stanowisku, który bardzo dobrze i sprawnie wczuł się w swoją rolę, i kiedy zawiadomiliśmy go, że będzie telewizja, przygotował POM w należytym stanie. Od razu sprawy BHP doprowadził do perfekcji, chociaż kiedyś tego nie umiał. [...] Drugim wytypowanym przez nas zakładem była spółdzielnia. I tu w ramach racjonalizacji wprowadziliśmy nowy typ szczotki-zmiotki. Ulepszona została przede wszystkim rękojeść. Poprzednia uwierała właścicielom w kciuki. Nowy rodzaj rękojeści pozwala trzymać pełną dłonią, bo ujęcia są wykonane z tworzywa sztucznego, co nam daje w sumie lepszą obsługę tej szczotki [...]. Piekarnię jako następny zakład zaktywizowaliśmy.

PIEKARZ: – Nuu... ja do tej pory piek bułki i chlep... nuu... ale jak miała być telewizja, to oni mnie wzieli i wyprawili do miasta na kurs, żep piec ciasto tortowe, tam, jakie tam so piece! [...]

ROLNIK: – Wracam ja kiedyś do domu i patrzę, że do sąsiada telewizja przyjechała nakręcić, jak on wzorowo zbiera kartofle. Ale on już miał je pozbierane. Nic to! Biorą worki z podwórza z powrotem i każą mu kartofle wieźć znów na pole! Rozsypują. I dawaj na nowo każą zbierać do worków, te kartofle. [...] A telewizja kręciła, kręciła, kręciła, aż nareszcie przestała. Zebrali te swoje aparaty i pojechali. A sąsiad na polu pozostał, bo myślał, że jeszcze będą kręcić. Aż wreszcie przyszła noc i kartofli na polu niezebrane, na polu się zostali. A w nocy zamiast telewizji przyszedł mróz i kartofli szlag trafił z miejsca.

To fragment *Krajobrazu po naświetleniu*, którego akcja dzieje się w małym miasteczku w północno-wschodniej Polsce. Autorami tekstu są Andrzej Bartosz i Wiesław Janicki (1935–2013) z Polskiego Radia Białystok. Każdy z nich ma na koncie kilkaset reportaży radiowych.

W latach siedemdziesiątych – jak wspominali – kiedy zaczynała się nasilać propaganda sukcesu, niemal nie sposób było wykonywać dziennikarskich powinności. Nie można było szczerze poruszać istotnych tematów. Miały bowiem jedną, zastrzeżoną przez władzę, „optymistyczną" interpretację. Obaj autorzy znaleźli z tego wyjście. Stworzyli *Teatr Naturalny* – cykl słuchowisk radiowych, które udawały, że są prawdziwymi reportażami.

Wyjeżdżali do miejsca, gdzie zdarzyło się coś ważnego. Zbierali materiał, przeprowadzali wywiady, ale nie montowali reportażu. Na podstawie tego, co usłyszeli i zobaczyli, pisali słuchowisko. Powstawała inscenizacja, ale dyskretna – taka, żeby nie znikło wrażenie autentyczności. Nie podjęli współpracy z zawodowymi aktorami, lecz zaangażowali mieszkańców miejscowości Goniądz: pracownicę domu kultury, zegarmistrza, strażaka, posterunkowego MO, pracownika urzędu gminy itp. „Udział tych osób stanowił o kolorycie lokalnym programu" – napisał Waldemar Smaszcz w posłowiu do książkowego zbioru słuchowisk *Teatr Naturalny* (1988). Już wtedy, po kilku latach od początków *Teatru*, uznał, że choć autorzy są dziennikarzami, przezwyciężyli doraźność i dzięki temu ich teksty są ponadczasowe. Dwadzieścia lat później także mogę się z tym zgodzić. Teksty *Teatru Naturalnego*, które przez lata po Radiu Białystok nadawała Radiowa Trójka, wcale się nie zestarzały.

Można więc powiedzieć, że na podstawie prawdy powstawało coś nieprawdziwego, co było prawdziwsze od prawdy. Wszyscy udawali, że te audycje to tylko literacka groteska, satyra na rzeczywistość.

Andrzej Bartosz jest absolwentem Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Wrocławskiego. Przez trzydzieści lat był związany z białostockim radiem. Razem z Andrzejem Mularczykiem (patrz s. 351) jest współautorem scenariusza powieści radiowej *W Jezioranach*. Wielokrotnie nagradzano go za reportaże radiowe. Najlepsze zostały przysposobione do druku i ukazały się w książce *Obrazki prowincjonalne. Reportaże z anteny* (1983).

Bartosz zajmował się także reportażem prasowym, najczęściej drukował w miesięcznikach „Ekspres Reporterów" i „Kontrasty". Właśnie w konkursie „Kontrastów" na reportaż jego tekst zamieszczony w naszej antologii zdobył w 1990 roku trzecią nagrodę.

Król graniasty

Z pamiętnego, inaugurującego nowe rządy, przemówienia Tadeusza Mazowieckiego w Sejmie czterdziestopięcioletni Benedykt Wołopejko, były sekretarz Komitetu Rejonowego PZPR, nie pamięta prawie nic. Jak przez mgłę przypomina sobie tylko, że „sala klaskała wtedy jak najęta", jemu coraz bardziej ciemniało w oczach, a w skroniach huczało głośniej niż w olbrzymim kole młyńskim, którego tak „bał się straszliwie w dzieciństwie". Kiedy więc zerwał się sprzed swojego domowego telewizora Elektron i kiedy w rodzącym się obłędzie ruszył w Polskę, nie może dziś powiedzieć ani słowa. Tak samo jak nikt z jego najbliższych. Nikt też nie wie, jak przebył ruchliwe ulice trzystutysięcznego miasta, gdzie i kiedy wsiadł do pociągu, jak przejechał pół Polski i jak znalazł się w leśnych ostępach nad Notecią. W tym czasie świadomość jego odeszła bowiem w głębokie zaświaty, a on niczym bezbronne dziecko, albo raczej wolny, nieskrępowany niczym ptak, szybował w nowe życie, które dopiero się rodziło. [...]

Benedykt Wołopejko, pilny doktorant Akademii Nauk Społecznych przy KC PZPR, przez całe swoje życie dorosłe bardziej cenił sobie dzieła Marksa, Lenina czy ostatnio Gorbaczowa niż misterne rozważania psychologów czy psychiatrów nad najdelikatniejszą tkanką istoty ludzkiej – mózgiem. Stąd też zapewne często lubił powtarzać, że „od myślenia, królu graniasty, są rozumiecie, inni – my, towarzysze, mamy tylko konkretną partyjną robotę do wykonania". I to nieoryginalne raczej credo wystarczało mu właściwie na całe jego dotychczasowe życie zawodowe typowego agitatora. Pierwsze życie! Bo to drugie miało dopiero nadejść poprzez kilkutygodniową amnezję, po której nastąpiło...

Niespodziewane przebudzenie

Owo przebudzenie nie było jednak dla Benedykta Wołopejki jakieś niezwykle przykre czy bolesne. Co prawda odnajdywał siebie nagle w jakimś nieznanym mu leśnym ostępie, w popękanych z pragnienia ustach czuł niesmak, do pleców kleiło mu się brudne ubranie, a przez ciało przechodziły dreszcze od porannego chłodu – to nie odczuwał w sobie normalnego w takim stanie ludzkiego strachu czy przerażenia. Przeciwnie. W jego mózgu panował nastrój błogiego raczej spokoju i pełnej zgody na swój parszywy, jak by nie patrzeć,

stan i niepewny los. I dopiero ostry gwizd lokomotywy wyrwał go z tej dziwnej apatii i pobudził jego mózg do ponownego myślenia.

Wówczas to Benedykt Wołopejko uświadomił sobie, że znajduje się w jakimś opuszczonym przez harcerzy czy leśników szałasie z liści, a niedaleko przebiega linia kolejowa. Z ciężką głową, przypominającą stan ostrego kaca, pozbierał się zatem z prowizorycznego legowiska i ruszył w stronę pierwszego natarczywego dźwięku naszej cywilizacji, który po kilkunastu dniach jego letargicznej wędrówki przez Polskę pobudził do aktywności jego mocno jeszcze uśpioną świadomość. Rozprostował więc kości, przeciągnął się, ziewając szeroko, i po kilkunastu minutach był już na szerokotorowej linii kolejowej prowadzącej do... Ano właśnie! Dokąd?... Nic więc dziwnego, że Benedykt Wołopejko mocniej potrząsnął głową, chcąc przyspieszyć swe oprzytomnienie:

– Co to za linia, królu graniasty?... I dokąd leci? – zadał sobie w końcu pytanie półgłosem, ale nie usłyszawszy żadnej odpowiedzi, ruszył przed siebie torami, na które powoli opadała poranna wrześniowa mgła.

Ile wtedy przeszedł kilometrów, trudno dzisiaj odpowiedzieć. Może z kilometr, może dwa, albo nawet i trzy, nie wie, bo nie pamięta. Nikt też dzisiaj tego sprawdzić nie może, bo nasz bohater tego poranka wracał do życia tak powoli, jak powoli człapał na rozkraczonych nogach. Jego stan fizyczny odpowiadał bowiem stanowi psychicznemu. A jego mózg budził się dopiero z odrętwienia jak po długiej i wyczerpującej operacji. Z czasem coraz bardziej odczuwał jednak na twarzy świeży i ożywczy powiew ciepłego wrześniowego zefirku, a w żołądku skurcze zwiastujące ogromny głód. Było to jednak niczym w porównaniu ze strachem nasilającym się przy każdym kolejnym kroku tego torowego marszu. I im bardziej do Wołopejki powracała świadomość, tym bardziej las mu gęstniał, olbrzymiał i otaczał go ciasnym pierścieniem, a tory wydawały mu się „drogą wprost do piekła". [...]

I była to droga normalna i niesamowita zarazem. Jej normalność polegała bowiem na tym, że przed oczyma byłego aparatczyka toczył się jakby ogromny ekran na żelaznych kołach lokomotywy, na którym przez cały czas szedł jeden wielki panoramiczny film z jego czterdziestopięcioletniego życia. Benedykt widział więc na nim swoje dzieciństwo spędzone w starym młynie dziadka Winicjusza i drewnianą malutką szkołę podstawową na skraju swej rodzinnej wsi, swoją „ciężką" pracę w Ochotniczym Hufcu Pracy[1] w Bieszczadach i swoje skierowanie stamtąd na Wieczorowy Uniwersytet Marksizmu i Leninizmu, a także (po skończeniu edukacji) swoją pracę partyjną. Najpierw widział się więc w szeregach ZMS-u[2] jako działacz, a głównie klakier na pochodach

[1] Ochotnicze Hufce Pracy organizowały naukę zawodu połączoną z pracą zawodową oraz pracę sezonową dla uczniów i studentów.

[2] ZMS – Związek Młodzieży Socjalistycznej.

pierwszomajowych w Ł., gdzie wraz z grupą wybrańców w czerwonych krawatach wrzeszczał: „Niech żyje towarzysz Gomułka!", „Niech żyje Związek Radziecki – niezawodny sojusznik i brat!", „Niech żyje Polska Zjednoczona Partia Robotnicza – przewodnia siła narodu!". Widział też swoje późniejsze dyrektorowanie w Państwowym Ośrodku Maszynowym, swoje oddelegowanie stamtąd do szkoły partyjnej do Moskwy i swoje „studia" tamże. A w obrazie z tych lat najdobitniej widział „drogiego towarzysza sekretarza Michaiła Susłowa", z rąk którego odbierał „zaszczytny dyplom metodyka wychowania komunistycznego" jako „polski prymus". Widział w końcu też twarz swej ciągle zasmuconej matki, która wielokrotnie próbowała różańcem odegnać od niego komunistyczne zło, ale jej się to nie udawało. Pokazywała mu się na tym filmie także twarz stale zapitego i zaszczutego przez UB ojca, gdyż się w porę nie ujawnił z przynależności do AK. Najczęściej jednak miał towarzysz Benedykt przed sobą nalaną i zaciętą twarz Pierwszego Wojewódzkiego, z którym po powrocie z ZSRR na dobre i złe związał swe życie i pracę zawodowo-polityczną na zapyziałych kresach Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej... Słowem: widział teraz wszystko to, co dotychczas przeżywał najmocniej, chociaż twarze i postacie przesuwające się przed jego oczyma były tak odrealnione, iż bardziej przypominały jakieś zjawy pozaziemskie czy kosmiczne niż konkretne osoby. I to była owa „nienormalność", rozumiana w potocznym znaczeniu, bo nauka psychiatrii i tu znalazłaby na pewno swoje własne i bardziej precyzyjne określenia na zdefiniowanie tego stanu ludzkiej świadomości.

Skąd ten stan obłąkania wziął się nagle u zdrowego dotychczas i silnego fizycznie jak tur czterdziestolatka, próbuję zbadać poprzez kolejne swoje rozmowy przeprowadzone z Benedyktem Wołopejką potajemnie. Opiekująca się bowiem nim kobieta (Krystyna Tekla Balińska), uważana przez mego bohatera za żonę, nie znosi bowiem ani polityków, ani dziennikarzy i goni ich ze swego domu chyba bardziej niż złodziejaszków. W pełnej więc konspiracji odbywa się nasza...

Rozmowa pierwsza

Głos mego bohatera jest prawie histeryczny:

– Myśmy te wybory w czerwcu osiemdziesiątego dziewiątego mogli wygrać jak dzieci, królu graniasty, i zapomnieć dzisiaj już o tym, co to jest Solidarność czy kapitalizm. A nawet jakakolwiek opozycja. Tak, tak, królu graniasty, nie patrz pan tak na mnie, bo ja nie wariat i wiem, co mówię...

– Myśli pan o wygraniu wyborów przez PZPR?... Tak? – chcę się jeszcze upewnić, czy nie śnię.

– A co?... Nie było to może możliwe, królu graniasty? – Wołopejko jest tego dnia agresywny i zaczepny. – No, mów pan. Ale otwarcie!...

– Nie jestem i nie byłem politykiem, mogę się więc mylić – bąkam niewyraźnie, nie chcąc spłoszyć mojego rozmówcy. – Po prostu nie wiem.

– Ale ja wiem! Wiem, bo byłem do tych wyborów przygotowany jak mało kto w Polsce, królu graniasty. Jak to się mówi, na blachę! Nie tak jak te pętaki z komitetów...

– Obywatelskich?...

– Jakich obywatelskich, królu graniasty? Mnie się rozchodzi o komitety partyjne. I tych pętaków mam na myśli, swoich, królu graniasty. Swoich, bo dla mnie osobiście żadne obywatelskie nie istniały według prawa! I to była co najwyżej zbieranina w ostatniej chwili, że pożal się Boże, królu graniasty. Wystarczyło tylko zebrać tych facecików na komendzie albo gdzieś, dajmy na to, w jakiejś świetlicy, wyjąć ich akta personalne, królu graniasty, i każdemu wyczytać co i jak. Przypomnieć, co oni zapomnieli już, a myśmy dobrze wiedzieli, i nie byłoby prawie żadnego komitetu obywatelskiego, królu graniasty. Żadnego! W żadnym razie w moim rejonie to na pewno!... No, ale w tym temacie to myśmy, królu graniasty, zostali zdradzeni przez Służbę Bezpieczeństwa i to ona, ona wygrała. Komitetom obywatelskim wybory, a nam zawaliła na całej linii. Bo to SB nas zdradziła, nikt, tylko SB, królu graniasty. Te magisterki w krawatach i garniturkach, te nieroby, co to się do bezpieki napchały tylko dla forsy. Ich forsa tylko interesowała i nic innego, królu graniasty, a jak poczuli, że mogą kiedyś brać w zielonych za swoją robotę, to nas, komunistów, sprzedali... Tak... A było ich ponad sto tysięcy, tych nierobów z SB, ponad sto tysięcy...

– Wcześniej był chyba Okrągły Stół, jeśli się nie mylę, i pamięta pan chyba jego ustalenia, i co do przyszłych zmian, i co do wyborów – próbuję ostrożnie wciągnąć mego bohatera w nowy temat.

– A gówno tam, Okrągły Stół, królu graniasty!!! – były aparatczyk rozsierdza się jeszcze bardziej. – To, nie powiem, mogła być nawet jak na początek niezła pułapka, ten Okrągły Stół, królu graniasty, tylko że jak się już tę pułapkę robi, to trzeba coś z niej mieć, a nie tak, jak to było. Robi się pułapkę, a nikt w nią nie wpada, królu graniasty! I znów ta SB się nam popisała tu... Wylazło to całe robactwo z podziemia, zjechało się do Warszawy, to trza ich było jak kiedyś Okulickiego[3], czy tam te inne gnidy AK-owskie zwinąć po cichu i... no, wywozić na Sybir to może nie wypada teraz, ale do jakichś robót w Bieszczadach, królu graniasty, to ja bym nie miał nic przeciwko temu. I byłby teraz spokój, jak po grudniu osiemdziesiątego pierwszego, a tak co?... [...] Ten cały

[3] Leopold Okulicki (1898–1946) – generał Wojska Polskiego, współorganizator Służby Zwycięstwa Polski, Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej, w 1945 roku skazany w procesie szesnastu w Moskwie, zmarł w więzieniu.

Kiszczak to musi Żyd, kiedy on tak. A *jopsz jewo mat'* z takim ministrem! Tasz kużden jeden generał byłby musi lepszy niż łun. Nu, kużden jeden, królu graniasty!!! – im bardziej rosną emocje Wołopejki, tym bardziej język jego zbliża się do wschodniego chłopskiego żargonu. – Łun musi jak ni Żyd, to jakiś bajaja abo mason pieruński, królu graniasty... [...]

Stopień psychicznego zemocjonowania

Ów stopień psychicznego zemocjonowania był u Benedykta Wołopejki zapewne nie mniejszy owego wrześniowego poranka 1989 roku, kiedy to były działacz partyjny po kilkutygodniowej amnezji wracał powoli do świata świadomości, ogarnięty na kolejowych torach w lesie niesamowitymi zmorami, przypominającymi najważniejsze momenty z jego ponadczterdziestopięcioletniego życia. I tak dziadek Winicjusz straszył go pokrytą strupami i bliznami twarzą, wypominając mu porzucenie starego młyna. Z kolei ojciec Bernard z fioletowym nosem w kształcie butelki wywijał mu nad głową pistoletem i przeklinał, że syn zdradził AK-owskie tradycje rodzinne, wstępując do PZPR-u. Broniła syna przed dziadkiem i ojcem zafrasowana matka Irena, starając się go uwolnić z łańcucha przykutego do wielkiego koła napędowego młyna starego Winicjusza. Mocno w tym uwolnieniu Wołopejki przeszkadzał jej jednak wychowawca z OHP w Bieszczadach, niejaki Boroniec, wyrywając matce różaniec i wpychając jej w rękę czerwoną legitymację partyjną. Chichotał przy tym niesamowicie, że Benek „będzie skończony do końca życia", bo nie pojedzie do szkoły partyjnej w Moskwie, o co z kolei prosił Wołopejkę sam sekretarz Michaił Susłow, ukazujący się w pobliżu starego młyna w towarzystwie Madonny. Najbardziej dokuczliwą zmorą był jednak Pierwszy Wojewódzki, który kazał swojemu podopiecznemu klękać i przysięgać, że nigdy nie uwierzy ani w pieriestrojkę, ani w Gorbaczowa, bo to „czysta zdrada idei". Stroił przy tym niesamowite miny i dziko wrzeszczał, że za przegrane wybory do Sejmu ześle teraz towarzysza Wołopejkę do pracy w propagandzie albo najwyżej w kulturze czy nauce...

Nic więc dziwnego, że osaczony takimi niesamowitymi zjawami Benedykt Wołopejko kulił się coraz bardziej ze strachu, wlokąc się torami krok po kroku, a nawet niejednokrotnie klękając na szynach czy podkładach. W końcu całkowicie wyczerpany fizycznie i załamany psychicznie usiadł na torach zdezorientowany. Nie wiedział już bowiem nie tylko tego, gdzie się znajduje, ale czy jest jeszcze na ziemi, czy już może w zaświatach. [...]

– Jak nic jestem w piekle, królu graniasty, więc co mi tam! – westchnął nie bez żalu w pewnym momencie Benedykt Wołopejko i jakby od dawna z tym

faktem pogodzony, zaczął spokojnie układać się na torach niczym we własnym łóżku. – Co ma być, i tak będzie, królu graniasty! – dodał sobie półgłosem odwagi i przymknął oczy; pragnąc tylko jednego: aby mu nie przeszkadzano...

I wówczas posłyszał z daleka ostry gwizd lokomotywy. Potem drugi, trzeci... a w uszach tępy stukot rozpędzonych kół pociągu o szyny. A ponieważ ten denerwujący go dźwięk wyraźnie narastał i drażnił go mocno, nie pozwalając zasnąć, zniecierpliwiony Wołopejko uniósł w końcu ciężką głowę z szyn i machinalnie przesunął ją tam, gdzie stukotu nie było już tak dobrze słychać. Oprzytomniał właściwie dopiero wtedy, kiedy posłyszał straszliwy huk pędzącego z ogromną prędkością pociągu towarowego, a jego powiew odrzucił Benedykta pod małą brzózkę, rosnącą na nasypie kolejowym. Wtedy też uświadomił sobie chyba do końca, że był to krok od przejechania, i zapewne wtedy odezwał się w nim jakiś podświadomy, instynktowny zew życia, który wyzwala się u każdego człowieka w chwilach ekstremalnych. Wołopejko potrząsnął zatem głową kilkakrotnie, przetarł oczy, machinalnie otrzepał z siebie mech i liście i uważniej rozejrzał się dookoła siebie. Wkrótce ze zdziwieniem stwierdził, że nieopodal niego leży na poboczu kolejowym niewielka skórzana raportówka oficerska. Niezdecydowanie podszedł więc do niej, podniósł ją, obejrzał ze wszystkich stron i otworzył, zaciekawiony, co może kryć jej wnętrze. Zaciekawienie szybko jednak minęło. Wewnątrz raportówki była bowiem kanapka z salcesonem brunszwickim, dwieście tysięcy złotych w banknotach dwudziestotysięcznych i dowód osobisty na nazwisko: Antoliusz Kazberuk, cieśla okrętowy...

– Hm... Dobrze, że dowodu mi nie rozjechał, królu graniasty – mruknął półgłosem Benedykt Wołopejko i spokojnie schował znaleziony dowód do kieszeni, a torbę zarzucił przez ramię.

Przez chwilę zastanawiał się, w którą stronę ma iść, ale doszedłszy do wniosku, że właściwie jest mu wszystko jedno, jak pójdzie, ruszył ochoczo przed siebie, pogwizdując nawet. I takim go zauważyła na torach pięćdziesięciopięcioletnia Krystyna Tekla Balińska, samotna rencistka, w momencie kiedy zbierała przy nasypie „borowika na susz" dla polonijnej firmy Zenpol, w której dorabiała dorywczo sprzątaniem i zbieraniem runa leśnego.

Jak go właściwie zatrzymała, jak się dogadali wtedy i dlaczego Benedykt Wołopejko zdecydował się pójść za nią, a w konsekwencji tego spotkania zamieszkać z nią wspólnie w małej ongiś osadzie robotników leśnych Roztoki, nie dowiemy się już chyba nigdy. Po pierwsze dlatego, że cała ta osada to dzisiaj wymarła już ruina dawnej wsi puszczańskiej, gdzie jedyną mieszkanką jest właśnie Tekla (tak się ją powszechnie w okolicy nazywa), a po

drugie: iż Benedykt twierdzi, że „jest u siebie" i „u swojej żony", a Balińska z kolei unika mnie niczym zarazy. I jako reporter muszę uznać za fakt, że w Roztokach spotykam się nie z Benedyktem Wołopejką, byłym aparatczykiem, ale Antoliuszem Kazberukiem, dawnym cieślą okrętowym, a obecnie robotnikiem leśnym. [...]

Tekla Balińska potraktowała znalezienie Wołopejki jako prawdziwy cud, a jednocześnie jako swoiste wyzwanie postawione jej kobiecości. Jako stara już, nieco zdziczała i niejednokrotnie obśmiana przez ludzi panna, nigdy chyba nie liczyła na to, że prawie pod koniec swego parszywego w sumie żywota jej beznadziejne właściwie życie tak nagle się zmieni i znormalizuje. Ten odnaleziony w lesie mężczyzna (dla niej bezdyskusyjnie Antoliusz Kazberuk) dawał jej bowiem nie tylko poczucie bezpieczeństwa czy wspólnoty, ale przede wszystkim nowy impuls do życia i walki o ich wspólną teraz egzystencję leśnych robotników. I widać to było wokoło gołym okiem, ponieważ pomiędzy moją pierwszą a drugą rozmową z bohaterem chata została pobielona, jej dach wyremontowany, a podwórze ogrodzone nowym, pachnącym jeszcze żywicą, płotem. Słowem: czuło się dookoła nowe, odrodzone życie tych obojga ludzi.

I była to sytuacja jakby odwrotna od tej, która wytworzyła się w tym czasie w pierwszym domu Benedykta Wołopejki *vel* Antoliusza Kazberuka w miejscowości Z. Tamże bowiem można było mówić jedynie o zupełnym rozpadzie rodziny Wołopejków i swoistej ich tragedii. Tej „podstawowej komórki społecznej", jak ją sam nazywał kiedyś ni to poważnie, ni to żartobliwie „tatuś Benek". I było to tym bardziej przykre, że jego prawowita żona Walentyna od samego początku prowadziła za swym nagle zaginionym mężem intensywne poszukiwania, choć była w tym wszystkim...

Bardzo osamotniona

Sama Walentyna Wołopejko była z natury kobietą ambitną i energiczną. Pochodziła z ubogiej rodziny wiejskiej na wschodnich kresach Białostocczyzny. I jako dziewczyna wychowywana w spartańskich warunkach w samym środku Puszczy Knyszyńskiej nie bała się specjalnie ani ciężkiej roboty, ani ryzyka czy też odpowiedzialności. Od dziecka, zahartowana do pracy w małym, niskodochodowym gospodarstwie ojca, kiedy już trochę podrosła, marzyła właściwie tylko o jednym: złapać jakiegoś chłopca i uciec z nim jak najszybciej do miasta, bo ono zawsze wydawało się Walentynie czymś pięknym i przyjemnym. Toteż kiedy na zabawie wiejskiej w N. zobaczyła dwadzieścia sześć lat temu w miarę przystojnego junaka z Ochotniczych Hufców Pracy, który stał w kącie i rozglądał się dookoła, jakby nie wiedział, co ma ze sobą

zrobić – przełamała swe naturalne wówczas panieńskie zawstydzenie i podeszła do Benedykta. Czy mu się wówczas „ukłoniła pierwsza" – nie pamięta. Wie tylko, że potem tańcowali ze sobą całą noc. A nad ranem, kiedy Benedykt z koleżankami z OHP wracał do leśniczówki (gdzie przybyli na odsiecz nadleśniczemu w „nasadzaniu lasu"), pociągnęła go w głąb zagajnika. I tu, nad małym, szemrzącym strumyczkiem, jak wspomina teraz z westchnieniem: „oddawałam mu się na całego". I czy była to miłość od pierwszego wejrzenia, trudno to dzisiaj czterdziestodwuletniej, mocno posiwiałej ze zmartwienia nauczycielce języka rosyjskiego powiedzieć. Bo że była to miłość nadzwyczaj skuteczna i zachłanna, to nie ulega wątpliwości. A najlepszym tego dowodem jest ich dwudziestopięcioletnia dzisiaj córka Bernadetta, zwana przez matkę pieszczotliwie Bernatką, urodzona w dziewięć miesięcy po owej szampańskiej zabawie w N.

Owo dziecię, czy też raczej owoc szalonej miłości Walentyny i Benedykta, choć było dorodne i ładne, to także od samego początku nie mniej nieznośne. Nie chciało się uczyć, nie chciało chodzić do szkół, nie chciało pracować ani też słuchać swych rodziców. Chciało za to żyć bogato, beztrosko, wesoło i bez żadnych skrępowań czy też zobowiązań wobec rodziców czy społeczeństwa. Dlatego też Bernatka częściej zmieniała szkoły niż swe wypłowiałe mocno dżinsowe spodnie. Szybko też trafiła do środowiska narkomanów. I było to na tyle groźne, że Benedykt Wołopejko, chcąc ją ratować przed zgubą, załatwił jej po znajomości w Zarządzie Krajowym Związku Młodzieży Wiejskiej wyjazd na OHP do Danii w połowie lat osiemdziesiątych, by przerwać jej tym samym wszelkie powiązania ze środowiskami zagrożonymi w kraju. I tu kochana córeczka wywinęła rodzicom niezłego orła. Kiedy tylko dotknęła duńskiej ziemi, od razu poprosiła o azyl polityczny, tłumacząc się tym, że jest przez „czerwonego ojca maltretowana i zmuszana do wstępowania do partii". A ponieważ Polska była wówczas jeszcze pod wpływem stanu wojennego, Bernadetka azyl szybko otrzymała, a nawet parę razy wystąpiła w telewizji duńskiej jako „ofiara reżimu". Strasznie jej się zresztą te występy na szklanym ekranie spodobały, co nie było bez znaczenia w jej dalszej karierze na zachodzie Europy. Tymczasem tu, w kraju, jej rodzice przeżyli szok i sporo nieprzyjemności z tego powodu, a „towarzyszowi Benkowi" groziła nawet tak zwana odstawka. W końcu jednak „dzięki wstawiennictwu Pierwszego Wojewódzkiego na SB" Wołopejko wyszedł z tej opresji ideologicznej cało, chociaż ich obawy o przyszłość córki ciągle narastały. I nie były one bezpodstawne, albowiem dziewczyna przepadła w Danii niczym przysłowiowy kamień w studni. I chociaż nic do domu nie pisała, nie telefonowała, to, co gorsze, z czasem zaczęły do

jej rodziców napływać informacje coraz bardziej niepokojące. Rozliczni znajomi państwa Wołopejków powracający z Zachodu przywozili im bowiem wieści wręcz bulwersujące. Ktoś widział Bernadetkę już w RFN, jak występowała we Flensburgu w pokazowej walce bokserskiej kobiet, ktoś inny oglądał jej nagą fotografię reklamującą jeden z duńskich porno shopów; pewna znajoma zaklinała się, że dziewczyna występuje stale w filmach pornograficznych duńsko-holenderskiej spółki, a pewien mężczyzna gotów był nawet przysiąc, że latorośl Wołopejków zabawiała się z nim ostro w jednym z hamburskich burdeli portowych, i to za niewielką sumkę jak na tamtejsze warunki.

– Ale był to zawsze wielki świnia nie chłop i mąż mu od razu, przy pomocy znajomego kapitana milicji, wybił to z głowy, że facet musiał potem wszystko odszczekać. – Na wspomnienie owych rewelacji o Bernatce pani Walentyna nawet dzisiaj drży cała z wściekłości i nerwowo obgryza paznokcie:

– I ja, proszę pana, nigdy w te brednie nie wierzyłam! Nigdy! No, bo czy pan wierzyłby w takie mowy? Chyba nie?... – podłamana przeżyciami ostatnich miesięcy Walentyna Wołopejko zaczyna niespodziewanie łkać. – Bo to ludzie z nienawiści do nas takie rzeczy po mieście rozpowiadali. Z nienawiści do męża, do mnie, do komuny. Bo oni nas winili za to, że myśmy Polskę sprzedali Stalinowi i Sowietom po wojnie... I stąd my zawsze byliśmy najgorsi ludzie i nasze dzieci, a już najwięcej Bernadetka...

– A mąż jak to wszystko przyjmował? – pytam po chwili, chcąc nieco zmienić temat, by się za bardzo nie rozpłakała.

– Wściekał się! I ciskał kurwami, wie pan... – kobieta nieco mityguje się. – Nooo... on... on po prostu mówił, że to polska durna zazdrość. To przez nią, mówił, przez nią, Wala! Zazdroszczą nam, że wyrwaliśmy się z gnoju, że wyszliśmy na ludzi, że każdy jeden człowiek ma w socjalizmie te same prawa do wszystkiego i mniej więcej to samo... Mieszkanie, pracę, jakieś tam telewizor czy samochód... tak. Benek mówił... Ale jak go wnerwili, to aż go zatykało czasami, bo wie pan, Benek miał zawsze jakoś taką astmę, choć nigdy nie chodził z tym do lekarzy. I ja mu wierzyłam, bo sama z tej nędzy wylazłam i w szkole nieraz czułam, jak mi moje koleżanki wszystkiego zazdroszczą. Tego, że mogłam jeździć na wczasy czy do sanatorium co roku albo na bezpłatne kursy dokształcające do Moskwy albo Leningradu czy w ramach koła Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej na bezpłatne wycieczki do Buchary czy Samarkandy na przykład... [...]

– Dajmy już temu spokój, pani Walu – kończę szybko ten temat, widząc, że nauczycielka rozkleja się coraz bardziej, ale kobieta nie rezygnuje z możliwości wyżalenia się:

– Albo weźmy dzisiaj te wszystkie draństwa, co mi stale robią na lekcjach. Przychodzę na przykład po Bożym Narodzeniu do szkoły, a tam na tablicy nabazgrano kredą: „Wala, wycofaj się z armią radziecką póki czas! Frakcja Rewolucyjna KPN[4] Szkoła Podstawowa Nr 3"... Czy pan na takie coś mógłby spokojnie patrzeć albo lekcje prowadzić? Chyba nie! A ja muszę! Tak! Muszę im i stopnie stawiać, i klasówki robić, i odpytywać ich ciągle... Raz postawiłam dwójkę jednemu takiemu bałwanowi, co to się nigdy niczego nie uczył i był najgorszy w klasie, a on ci mi wstaje i bezczelnie gada: „Ty Sowietko! Chcesz mnie na ruska przerobić? A nigdy!", i plunął mi prawie w twarz, wie pan? A mnie aż zatkało. Więc nie wytrzymałam i zdzieliłam go dziennikiem przez łeb! Boże, ile ja się potem musiałam tłumaczyć... [...] A przecież to była wyraźna prowokacja! Bo przecież w żadnej szkole na świecie uczeń nie ma prawa takie coś swemu nauczycielowi powiedzieć! Jak pan myśli?

– Ano nie ma! – zgadzam się w całej rozciągłości i chcąc zmienić nieprzyjemny temat, pytam: – Macie też państwo drugie dziecko, słyszałem?...

– Mikołaj... Aaa, niech pan lepiej i nie wspomina nawet – podenerwowana kobieta wcale się nie uspokaja, a wręcz przeciwnie: jeszcze mocniej zaczyna obgryzać paznokcie. – Właśnie byłam w niedzielę u niego w zakładzie, bo osiemnastego miał właśnie dwudziestą rocznicę urodzin, ale jak go zobaczyłam, wie pan, to aż się popłakałam już od samej bramy. Siedział w piaskownicy zasikany cały i pobrudzony błotem i obgryzał jakiś kawałek jabłka jak jakiś najgorszy zwierz. Jak śmieć, a nie człowiek, bo bez żadnej opieki personelu. Złapałam więc potem ordynatora i mówię mu: „Panie doktorze, tak nie może być! Moje dziecko nie ma w zakładzie odpowiedniej opieki!". A on mi mówi, że personel mu ucieka teraz na potęgę, bo wszyscy się boją AIDS – w zakładzie. A wśród psychicznych, wie pan, różni się zdarzają... różni... – kobieta gwałtownie milknie i zapada w głęboką zadumę.

Ja też dyskretnie milczę i zbieram myśli. Ta szczera rozmowa przekonuje mnie bowiem, że los nie obszedł się z rodziną Wołopejków zbyt łaskawie, a życie wbrew pozorom nie przyniosło im tyle uciechy i radości, jak sądziliby inni ludzie, znający byłego sekretarza tylko z działalności publicznej. Śmiem nawet twierdzić, że od paru lat jego jedyną podporą życiową była żona Walentyna, a potem może dopiero jego „ukochana partia komunistyczna", jak ją sam Benedykt Wołopejko ni to żartobliwie, ni to poważnie nazywał. Dlaczego właśnie żona? Ano dlatego, że inna kobieta, bardziej wyrachowana i mniej zaangażowana uczuciowo zniknięcie Benedykta Wołopejki przyjęłaby w tej chwili jako prawdziwy cud boży, uwalniający ją od kolejnego życiowego koszmaru...

[4] KPN – Konfederacja Polski Niepodległej, partia polityczna o charakterze antykomunistycznym założona w 1979 roku przez Leszka Moczulskiego.

Od chwili rozpoczęcia Okrągłego Stołu jej mąż wpadł bowiem w swoisty rodzaj psychozy politycznej objawiającej się także ogromnym zacietrzewieniem i nerwicą. Nie tylko, że klął coraz bardziej siarczyście, ale dodatkowo jeszcze: przewidywał, wyrokował, przestrzegał i zalecał ostrożność „w tym temacie". Walczył więc i poddawał się. Zrywał do kontrataków i pasował... Słowem: cały okres polityczny, w jakim znalazła się Polska od Nowego Roku do sierpnia 1989 roku, przyjmował niezwykle emocjonalnie i jako swoje zawodowe być albo nie być! I to nawet dosłownie:

– Czy pan może zrozumieć, że on w tym czasie oprócz dzieł Marksa, Lenina, Jaruzelskiego czy Gorbaczowa zaczął czytać dramaty Szekspira? – Pani Walentyna wspomina tamten okres niezbyt przyjemnie. – A raz, proszę pana, to o mały włos karetka go nie zabrała, kiedy dostał ataku serca po tym, jak znalazł w swojej skrzynce pocztowej taki wierszyk:

Ty komunistyczna gnido
Nie wiesz, jakie czasy ido?

...I wtedy, wie pan, mąż chyba zrozumiał wreszcie, że te przegrane wybory w czerwcu to nie był przypadek... tak... – wzdycha ciężko pani Wala – bo kiedy pognał do komitetu z tym wierszykiem, pokazał Pierwszemu kartkę i zażądał, aby SB zaczęła natychmiast śledztwo, to Pierwszy, proszę pana, obśmiał go i powiedział mu, żeby mu „dupy detalami nie zawracał"... Tak! Tak dosłownie powiedział Pierwszy! I kazał mu się lepiej za jakąś dobrą spółką rozglądać, żeby mąż miał gdzie przeskoczyć w razie czego... I wtedy, wie pan, po raz pierwszy pokłócili się w komitecie! A mąż zrozumiał, że Pierwszy Wojewódzki to nie żaden komunista, a zwyczajny cwaniak i karierowicz, co to wlazł do PZPR-u tylko dla zaszczytów i pieniędzy. O! Taki był i jest mój Benek. On jak w coś uwierzył, to już do samego końca, wie pan... aż w łeb w końcu dostanie. Jak ten muł! Jak ten muł... [...]

Po zniknięciu męża

Początkowo Walentyna Wołopejko myślała, że to jakiś służbowy wyjazd wypadł akurat mężowi i stąd jego dłuższa nieobecność w domu. W drugiej połowie sierpnia 1989 roku, kiedy to najpierw ważyły się losy generała Kiszczaka jako premiera, a potem Tadeusza Mazowieckiego – Benedykt Wołopejko wypadał bowiem z domu znienacka i co jakiś czas „gnał, a to do Łodzi, a to do Warszawy, a to do Gdańska", nie opowiadając się żonie „ani słowem, do kogo i po co jedzie" ani kiedy wróci. Dlatego też Walentyna specjalnie się tym nie niepokoiła. Potem jednak, kiedy wyjazdy się nasiliły, pomyślała sobie „przez

moment, że to może jakaś kochanka jest na boku", ale szybko się uspokoiła, że to tylko polityka tak wciąga jej męża „coraz głębiej". Po każdym bowiem jego powrocie schodzili się do nich „starzy towarzysze", a i trochę „lewicowej młodzieży, wie pan" i na tych spotkaniach coraz częściej dyskutowano w ich domu o szybkiej konieczności stworzenia w Polsce „nowoczesnej, dynamicznej i walczącej partii komunistycznej, bo stara została już rozbita i sprzedana przez Jaruzelskiego i Rakowskiego masonerii zachodnioeuropejskiej". [...]

– A po mojemu, proszę pana, to on już wtedy dostawał jakiejś szajby – najbliższa sąsiadka Wołopejków, emerytowana nauczycielka języka polskiego, jest nieco innego zdania. – Bo ta cała polityka, proszę pana, to niech ją jedna mogiła pochłonie, jak mnie moja emerytura starcza skromnie na dwa tygodnie przeżycia... Ja to zawsze mówiłam i pani Wali, i panu Benkowi, że ta ich komuna to też nikomu niczego dobrego nie dała, bo sama to na starość doświadczyłam, jak przeszłam po trzydziestu latach uczenia na emeryturę... A mój mąż nie wrócił z Katynia... Ale Wołopejko nawet tego słuchać nie chciał, proszę pana, on... on tylko ideologią komunistyczną żył i niczym więcej! Etiopia go interesowała, Kamerun, Namibia jakaś, no wszystko, proszę pana, tylko nie własny kraj i naród. I żeby taki młody, zdrowy i przystojny człowiek, jak ten pan Benedykt był, nie mógł sobie jakiejś konkretnej i porządnej roboty znaleźć, to mnie strasznie dziwiło, bo on był naprawdę ludzki człowiek, uczynny jako sąsiad i ukłonił się każdemu... A więc nie jakiś tam gbur czy prawdziwy komunista! Tylko po co mu się trzeba było pchać do tej polityki?... Pewnie tylko dla zguby i dla własnego nieszczęścia, bo ile się ta biedna pani Wala przez tą jego politykę nacierpiała i przez te ich nieudane dzieci, to chyba tylko ja jedna to wiem i Pan Bóg w niebie, proszę pana – sąsiadka Krukowska wznosi oczy do góry i ścisza głos jako osoba najbardziej poinformowana o życiu domowym Wołopejków, by szybko dodać: – Ja tam nigdy nic przeciwko Wołopejkom nie miałam, ale... no, ale coś w tym chyba musi być, że tych komunistycznych antychrystów Bóg tak karze. Bo chyba bez powodu ich by takim nieszczęściem jednym po drugim nie dotknął, nie?... I to chyba cała rzecz w sumieniu człowieka jest. W sumieniu, proszę pana. Masz go czyste – Bóg cię uchroni nawet i od złego; masz sumienie brudne, dosięgnie cię sprawiedliwość boska! Wcześniej czy później, dosięgnie na pewno!...

W tym momencie, bardziej od stanu sumienia Wołopejków, interesuje mnie jednak pierwszy etap poszukiwań towarzysza Benedykta. Próbuję zatem sąsiadkę Krukowską przepytać trochę i na ten temat.

– To było tak, proszę pana – sąsiadka jest chętna do rozmowy. – Jak pan Benek nie wracał parę dni do domu i nikt tu ani w komitecie nic o nim nie

wiedział, to pani Wala zwątpiła mocno, proszę pana, i zwierzyła mi się, że jej mąż chyba do Ameryki uciekł, wraz ze swoją kochanką...

– To miał jednak kochankę?... – ożywiam się nieco. – Tak?...

– A skąd! W życiu! Jego jedyną kochanką to była tylko ta głupia polityka i nic więcej!

– To skąd się wzięły te przypuszczenia o kochance? – nacieram znowu.

– A stąd, proszę pana, że sam pan Benek nam kiedyś, znaczy się mnie i pani Wali, opowiadał tę historię, jak jego taki jeden kolega partyjny uciekł do Ameryki ze swoją kochanką... [...]

Wersję sąsiadki pani Walentyna potwierdza niechętnie. Owszem, brała pod uwagę taką możliwość, jak ucieczka męża do Ameryki, ale zaraz zapewnia, że nie wierzyła w nią „ani moment". Bardziej bała się jakiegoś pobicia, albo nawet porwania, gdyż „w ostatnich dniach było u nas w domu mnóstwo nieprzyjemnych głuchych telefonów". Do tego byli już jednak z mężem przyzwyczajeni, bo choć mieli tak zwany ukryty telefon, to w momentach „trudnych dla partii" wydzwaniano do nich bez słowa komentarza, „aby Benka nastraszyć albo zmusić do myślenia"... Wołopejkowa nie zaprzecza też, że zadzwoniła najpierw do komitetu, a potem na milicję, bo chciała się upewnić, czy jej mąż naprawdę nie wyjechał w sprawach służbowych. W Komitecie Wojewódzkim odpowiedzieli jej jednak, że „nie mają pojęcia, co się dzieje, ani czasu, by się sprawą zająć". Wtedy dopiero zawiadomiła milicję, ale tam z kolei odpowiedziano jej, że mieli tej nocy dużo włamań i „nie mają kogo wysłać". Toteż nic dziwnego, że dopiero kilkanaście godzin po zawiadomieniu komendy zjawił się w domu Wołopejków młody podporucznik. Najpierw pocieszył panią Walę, by się nie martwiła, bo to może być przypadek, potem wypił kawkę, spisał „okoliczności sprawy" i obiecał, że zadzwoni, jak tylko „coś się dowie w temacie i na okoliczność zniknięcia towarzysza Wołopejko". I choć był miły – nie zadzwonił już nigdy. I nie wiadomo, czy dlatego, że nic się konkretnego dowiedzieć nie mógł, czy też może dlatego, że zrozpaczona pani Walentyna sama wydzwaniała do komendy, a potem na komisariat (gdzie sprawę oddano do wyjaśnienia) kilka razy dziennie. I pomimo jej stałego zainteresowania poszukiwania milicyjne nie przynosiły spodziewanych rezultatów, a interwencje żony w komitecie partyjnym, by przyspieszyć jakoś śledztwo, też nic nie dawały, oprócz rozczarowań obojętnością dawnych towarzyszy wobec nieszczęścia ich niedawnego kolegi. Stąd też Benedykt Wołopejko został wpisany do rejestru osób zaginionych i na tym właściwie sprawę dochodzenia zakończono, jako że takich osób jest w kraju czasami kilkaset dziennie. Nie dawała za wygraną tylko Walentyna, która

zorientowawszy się, że w tej sprawie może liczyć wyłącznie na siebie, sama rozpoczęła poszukiwania męża. [...]

W tym celu na początku grudnia 1989 roku zdecydowała się odwiedzić jedną z najlepszych w Polsce wróżek. [...]

Następnego dnia przed wieczorem była już na wschodnich kresach Rzeczypospolitej Polskiej, a godzinę później siedziała mocno wystraszona przed jedną z najsłynniejszych w Polsce znachorek-szeptuch, Olgą O. I właśnie ta kobieta, znana nie tylko z tajemniczego, pokątnego lecznictwa, ale też z praktyk okultystycznych, otworzyła przed Walentyną swą supertajemną duszę na tyle, że Wołopejkowa opowiedziała jej wszystko „jak na jakiejś największej przedśmiertelnej spowiedzi", aby połączyć się z szeptuchą we wspólnej duchowej wędrówce „po rzeczywistości i zaświatach". Jak właściwie wyglądało to praktycznie, pani Walentyna nie chce i nie może mi dzisiaj powiedzieć. Wie tylko jedno: ich wspólna wędrówka duchowa była skuteczna. Szeptucha bowiem nie tylko, że potwierdziła wszystkie przypuszczenia Wołopejkowej, że mąż żyje, ale jeszcze na dodatek powiedziała jej, gdzie go szukać: „u dobrej kobiety w głębokiej niewoli". Krótko mówiąc, taka sentencja dodawała pani Walentynie otuchy, choć jednocześnie przygotowywała ją na długie i cierpliwe poszukiwania. W zakończeniu wyrokowania była bowiem jeszcze dość praktyczna wskazówka: „Najlepiej w dalekiej leśnej głuszy szukaj go, kochanieńka...". I to, szczerze mówiąc, Walentynie wystarczyło. [...]

Poszukiwania metodyczne

Zanim jednak po przyjeździe do domu poszukiwania takie Walentyna rozpoczęła, wpierw uklękła znowu przed obrazem Przenajświętszej Panienki. I znowu jej się wyspowiadała, choć tym razem ze swej wizyty u szeptuchy. Musiała to zrobić, bo batiuszka niezbyt był przekonany o potrzebie odwiedzania znachorki i poddawania się jej praktykom. Mocno zatem wierząca Wołopejkowa wolała sama te sprawy z Panienką i Bogiem załatwić. Podziękowała więc za szczęśliwą drogę, pomyślne wieści i psychiczne wsparcie, by w końcu poprosić Stwórcę o pomoc w poszukiwaniach zaginionego męża. „Leśnej głuszy" mamy bowiem w Polsce jeszcze sporo i znaleźć w niej konkretnego człowieka nie jest wcale tak łatwo, jak by się to mogło wydawać. I w czasie tej żarliwej modlitwy, o czym jest dzisiaj święcie przekonana, usłyszała Walentyna ponownie „głos Panienki Przenajświętszej", który tym razem nakazywał jej zwrócić się „do Dymitra Pulnaciuka, naszego najbliższego sąsiada z rodzinnej wsi, który całe życie przepracował w lasach państwowych, choć od paru ładnych lat siedział już na emeryturze". Okazuje się jednak, że Wołopejkowej nie tyle chodziło

o starego leśnika, ile o jego syna Piotra, który w Warszawie „wysoko kiedyś wylądował w Ministerstwie Leśnictwa i Rolnictwa i miał zawsze wielkie chody na górze, bo i mąż nieraz z tego korzystał”...

– Pietka Pulnaciuk mógł nam pomóc jak mało który człowiek na świecie – wspomina pani Walentyna z przekonaniem, że dokonała słusznego wyboru – takem, wie pan, od razu do Warszawy z jego ojcem zajechała. Nie pojechaliśmy oczywiście z pustymi rękami, bo wzięłam i trochę dziczyzny, i samogonki. I te dwie butelki najwięcej się przydały, wie pan... bo jak Pietka nas zobaczył, to od razu powiedział, że ta samogonka to nam wszystkie gabinety w Warszawie pootwiera...

– I co? Pootwierała? – staram się nieco skrócić finał tego opowiadania, widząc, że zanosi się na dłuższą historię odwiedzin.

– Owszem! Pootwierała. Bo w niecały miesiąc potem miałam już wszystkie wykazy nowych pracowników, którzy się zatrudnili w lasach. I z tym papierem zaczęłam poszukiwania. Nadleśnictwo po nadleśnictwie. Brałam pieniądze, wsiadałam w pociąg każdego piątku, bo miałam aż do wtorku wolne w szkole, i jechałam w Polskę. Aż znalazłam! Znalazłam!!! – kobieta wrzeszczy, jakby to się stało przed chwilą, a ja czekam spokojnie, kiedy opadną z niej emocje.

Wyczuwam bowiem, że dalsze eksponowanie tego tematu poszukiwań może kosztować ją zbyt dużo nerwów. I nie mylę się. Po chwili już spokojnie dowiaduję się, że pani Walentyna Wołopejko 8 marca 1990 roku trafiła do niewielkiej miejscowości R. „na Ziemiach Odzyskanych”, gdzie od starszego siwego nadleśniczego Parkoły dowiedziała się, że „właśnie miesiąc temu zatrudnił on nowego robotnika leśnego o nazwisku Antoliusz Kazberuk”...

– Jak? – w pierwszej chwili Walentyna Wołopejko aż podskoczyła na krześle.

– Antoliusz Kazberuk, syn Zacharyja i Galiny, były cieśla okrętowy... – zdziwiony nadleśniczy Parkoła uniósł głowę znad listy pracowników i spojrzał na kobietę uważniej.

– Niemożliwe... Nie, nie... To niemożliwe chyba... Na pewno! Bo może Galina z domu Muszkiewicz? – Walentyna zatrzepała rękami i szybko się trzy razy przeżegnała.

– Tak. Z domu Muszkiewicz – potwierdził urzędnik i zapytał: – A co? Nie wierzy mi pani?... To niech pani ze mną jedzie na wyrąb i sama się przekona...

– Nie, nie! To zbyteczne! Jakoś sobie sama poradzę! – Wołopejkowa szybko się pożegnała i opuściła budynek nadleśnictwa mocno oszołomiona.

Jej ówczesny stan był bowiem taki, że nie wie dziś nawet, czy jej rozmowa z leśniczym faktycznie przebiegała tak, jak starałem się ją powyżej odtworzyć. Wie natomiast dobrze, bo to zapamiętała, że długo się nie mogła po wyjściu

z nadleśnictwa pozbierać. W głowie jej szumiało, tchu brakowało, a nogi były jak z ołowiu.

– I nie dziwota, wie pan, nie dziwota – pani Walentyna jest teraz znacznie spokojniejsza, choć jej głos nie jest pozbawiony emocji. – Przecież Antoliusz Kazberuk, syn Zacharyja i Galiny z domu Muszkiewicz, to jest mój cioteczny brat marynarz, który w stanie wojennym zszedł ze statku w Bostonie, a teraz mieszka na stałe w Kanadzie. Ale to było jeszcze w 1983 roku! Rozumie więc pan, co ja wtedy przeżyłam?...

– Rozumiem... – też jestem zaskoczony, bo nie spodziewałem się takiego obrotu sprawy. – Czyli że Antoliusz Kazberuk, co?... Kłamał?... A może jest dwóch ludzi o takich nazwiskach i imionach... – domyślam się na oślep, ale pani Walentyna szybko mnie wyprowadza z niepewności:

– Nie! Antoliusz Kazberuk jest jeden. I pochodzi z tej samej wsi co ja!

– To ja już nic nie rozumiem – poddaję się szybko.

– Ja wtedy też nic nie rozumiałam, wie pan, i dlatego musiałam szybko opuścić biuro nadleśniczego, żeby nie palnąć jakiegoś głupstwa. Bo pomyślałam sobie tak: Boże! Czyżby ja, szukając męża, znalazłam nagle mego cioteczne brata z Kanady?... Jak to możliwe?... – Wołopejkowa stara się być logiczna. [...]

– A może się pani wtedy w leśniczówce przesłyszała? Myślała pani akurat o swym bracie Kazberuku z Kanady, kiedy nadleśniczy podawał nazwisko robotnika. To taka autosugestia, rozumie pani... – staram się drążyć temat z nieco innej strony. – Człowiek ma kogoś lub coś na myśli, jest tym całkowicie zaabsorbowany i wtedy sobie wszystko pod tą główną myśl podkłada...

– Tak, rozumiem... I ja też sobie tak pomyślałam, jak wyszłam wtedy z leśniczówki, wie pan, i ogarnęło mnie zimne powietrze – zgadza się Walentyna i szybko uzupełnia: – Ale zaraz ogarnął mnie strach, bo co będzie, jak to faktycznie Antol?... Tak pochodziłam trochę wokół tej leśniczówki, pochodziłam i myślę sobie, że chyba pójdę jeszcze raz do tego leśniczego i sprawdzę jeszcze raz. Aa! W końcu raz trzeba to wyjaśnić do końca. I zdecydowałam się zobaczyć na własne oczy, z kim mam faktycznie do czynienia...

Owo zdecydowanie nie musiało jednak trwać zbyt długo, skoro nadleśniczy Parkoła zdążył zaledwie wyprowadzić swego terenowego łazika z garażu. Walentyna Wołopejko, widząc go nadjeżdżającego, wyciągnęła rękę. Nadleśniczy przyhamował. A po niecałej godzinie jazdy, podczas której kobieta szczerze wyznała mu cel swej wizyty, nie zdradzając się jednak o bracie z Kanady, zatrzymał swe auto nieopodal dużego zrębu, gdzie trwała akurat intensywna zrywka drzewa. Jako człowiek z natury uczynny i życzliwy chciał bowiem

uniknąć niepotrzebnej przy tego rodzaju spotkaniach sensacji. Wiedział też, że takie małżeńskie spotkania najlepiej odbyć na osobności. Pozostawił więc Wołopejkową w aucie, a sam poszedł na zrąb, odwołać Antoliusza Kazberuka, niczego mu wcześniej nie zdradzając. Nie wiadomo bowiem było, jak mógł on zareagować. Za to Walentyna, ukryta w łaziku, obgryzała swoje paznokcie prawie do krwi, zanim zauważyła wyłaniającego się zza krzaków rosłego mężczyznę. Wtedy nie wytrzymała i wyskoczyła z auta...

O parę kroków od niej stał bowiem żywy i cały jej zaginiony przed siedmioma miesiącami mąż, były pracownik KW PZPR Benedykt Wołopejko, i uśmiechał się ni to zażenowany, ni to zaskoczony. I choć był ubrany w mocno przybrudzoną fufajkę, a na głowie miał typową leśną uszankę, żona nie miała żadnych wątpliwości. Podbiegła więc do niego i rzuciła mu się na szyję.

– Benuś! Żyjesz! Żyjesz! Jak się cieszę... cieszę – zawyła z radości.

– Panie leśniczy! Co to za baba?... Wariatka jakaś czy co?... – Obcałowywany mężczyzna odsunął Walentynę na bok i spojrzał na nią złowrogo. – Co ona się mnie czepia, królu graniasty?...

– Jak to?... Benuś?... Ty mnie nie rozpoznajesz, kochany? – Zszokowana kobieta wbiła w niego spragniony wzrok. – Benuuuśś?... Beneczku, kochany... To ja! Twoja Wala!... Walentyna!

– Właśnie, Kazberuk! Co wy? Żony swej nie rozpoznajecie czy jak? – widząc rozpacz Walentyny, nadleśniczy usiłował jej pomóc: – Przecież to wasza faktyczna żona, Kazberuk... Walentyna Wołopejko!

– Jaka żona, królu graniasty?... Ta baba?... Taż ja mam musi Teklę, nie, królu graniasty? – Kazberuk trwał twardo przy swoim. – Teklę mam! [...] Czy pan nadleśniczy mnie za kołowatego jakiegoś uważa czy jak? Taż ja musi mam dowód osobisty, królu graniasty, i musi szef wie, kogo tu zatrudniał... I czego ja, królu graniasty, miałby być jakiś tam Jołopejko? – wściekał się coraz bardziej zniecierpliwiony robotnik leśny.

– Nie Jołopejko, a Wołopejko! Benedykt Wołopejko jesteś, ty łobuzie! Myślisz, że cię nie poznaję i tego twojego „królu graniasty"? Więc po co kłamiesz, Benuś?... Po co kłamiesz? – Walentyna znowu uderzyła w płaczliwy ton. – Lepiej zbieraj się i wracamy do domu! Wiesz, że możesz wrócić... Wiesz, Benuś...

– To jakaś wariatka, panie nadleśniczy! I o czym una plecie, królu graniasty?... Że ja to nie ja?... A kto niby, jak nie ja, królu graniasty? – robotnik znowu przybrał ostry ton. – Kto, jak nie Kazberuk?... Aa?...

– Właśnie! Skąd pani wie, że to na pewno nie Kazberuk, proszę pani? – nadleśniczy Parkoła nie mógł też sprawy rozstrzygnąć. – Przecież ludzie mogą być do siebie podobni. I są! Są takie obowtóry, nie?...

– I wtedy, wie pan, ja zupełnie chyba zdurniałam – odtwarza dzisiaj ze łzami w oczach tamtą dramatyczną pyskówkę pani Walentyna. – Bo nie tylko, że nie przyznałam się, że osobiście znam Antoliusza Kazberuka, to nawet tego durnego „królu graniasty" się nie uczepiłam. Przecież tylko Benek tak gadał! On! I nieraz śmieli się przecież z niego... Tak mogłam go jeszcze przyduszać, mogłam...

– Ale co wtedy pani zrobiła? – pytam, ciekawy bardziej końca tego spotkania.

– Ano nic! Nic faktycznie nie zrobiłam, wie pan... – wzdycha kobieta. – Wydarłam się tylko na niego jak wściekła, bo wie pan, w pewnym momencie już nie wytrzymałam – zaczyna szlochać. – Bo jak to jest, pomyślałam sobie, to ja go szukam, po nocach nie śpię, ostatni grosz wydaję, żeby go znaleźć, a on mi tak? Nie poznaje mnie, idiotką mnie nazywa?... Ach, ty łobuzie!, wydarłam się, to ty mnie tak?... I wie pan, złapałam takiego sękatego kija, który tam na drodze leżał, i byłabym go w łeb chyba zdzieliła, żeby nie ten nadleśniczy Parkoła. [...]

I staram się ją zrozumieć, wiem bowiem z wiarygodnych analiz lekarskich, że Benedykt Wołopejko *vel* Antoliusz Kazberuk mógł naprawdę nie rozpoznać swej żony, z którą przeżył wspólnie dwadzieścia pięć lat pod jednym dachem. Jego rozdwojenie jaźni może bowiem być takie, a luki w pamięci tak duże, że czasami mógłby nie dokonać najprostszych skojarzeń, chociaż na pierwszy rzut oka wygląda na silnego jak tur mężczyznę w średnim wieku. Potwierdza to zresztą także moja z nim...

Rozmowa trzecia

[...] – Ja wiem, co gadam, królu graniasty. I mnie wystarczy telewizję na moment włączyć, żeby w takim Sejmie, dajmy na to, albo w Senacie od razu wiedzieć, kto jest kto i kto koło kogo tańcuje, królu graniasty, jak, dajmy na to, Wujec koło Geremka skacze jak jakieś jojo na gumce. Hyc, hyc, hyc, hyc, królu graniasty... I tak nasza Polska znowu tonie, bo odrywają nas od Rosji i od Słowiaństwa i pchają, królu graniasty, w ręce obcego kapitału, aby zrobić z nas naród drugiej kategorii... Gojów i niewolników kapitału najpierw żydowskiego, a potem, jak już Polskę rozgrabią do końca, to i niemieckiego, królu graniasty... I służyć będziemy innym, nie sobie...

– A słyszał pan coś o ksenofobii?... Na przykład żydowskiej czy niemieckiej? – pytam w końcu, wykorzystując chwilową zadumę mego bohatera nad losem naszego kraju.

– Ksenoco?... Jak tyś powiedział, królu graniasty?... – dziwi się Wołopejko. – Jak?...

– Mówię o ksenofobii! To taka choroba społeczna, z której cywilizowane narody już się wyleczyły, a poprzez to rozwijają się dynamicznie, bo nie mają żadnych uprzedzeń do innych narodów...

– Ksenofobia, królu graniasty?... Tak?... Czyli że co?... Że my, Polacy, niby chorzy jesteśmy, tak? Bo chyba ci o to chodzi z tom całom ksenofobio czy jakimś takim gadaniem?... Powiedz, królu graniasty! – Były aparatczyk spojrzał na mnie uważniej, zamilkł, oczekując jednoznacznej odpowiedzi; nie zdążyłem jednak otworzyć nawet ust, gdy do pokoju wpadł zwalisty mężczyzna, który rzucił ostro od drzwi:

– Ty! Graniasty! Ty przestań człowiekowi pieprzyć jak zwykle o polityce, a zbieraj się szybko do roboty. Podstawili wagony i trza zaraz dłużyce załadować. Inaczej premia nam poleci! Hajda!

– Już, już, panie gajowy. Idę. Tylko się przebiorę w łachy! Królu graniasty... – Mój bohater zerwał się pospiesznie z krzesła i ulotnił się do komórki, aby się przebrać.

– No! – mruknął zadowolony gajowy i wyszedł szybko z mieszkania. Wiedząc, że to już koniec mojej rozmowy z Kazberukiem, podążyłem za gajowym. [...]

– Przygarnęliśmy tego Króla Graniastego właściwie, nie wiem, czy pan to wyczuwasz, ale z dobrego serca. Bo choć on zdrowo pieprznięty, to zawsze człowiek, nie?... Jeść i spać gdzieś też potrzebuje... I chociaż początkowo miał jakby dwie lewe ręce do roboty, to teraz nie powiem: pracuje nawet uczciwie, bo i ta jego kobitka go krótko trzyma, ta Tekla... A te jego stałe gadki o Żydach, masonach i polityce to sam pan chyba rozumie, nie?... – Gajowy uśmiecha się dwuznacznie. – Świr to zawsze świr. Ale tu, w lesie, to niech se gada. Co to tu komu szkodzi? Drzewom albo zwierzakom?... A chłopaki z bazy to go nawet Król Graniasty nazwali, niby przez to, że Kazberuk wróci kiedyś na tron, jak hiszpański po Franco albo ten rumuński, co to się stara wrócić, jak Ceauşescu zastrzelili... [...]

Résumé

Moje pierwsze reporterskie podsumowanie nie wypada jednak zbyt imponująco. Nadal bowiem nie wiem, jak to jest możliwe, że ten niewątpliwie chory człowiek tkwi tu sobie spokojnie pośród leśnej głuszy, tworząc w swym umyśle nową historię polityczną świata xx wieku, niczym prawdziwy Napoleon robił to dwieście lat wcześniej w realnej rzeczywistości europejskiej... Postanawiam zatem raz jeszcze przycisnąć obie kobiety, uważające Króla Graniastego za swego mężczyznę.

Tekla Balińska pozostaje jednak do końca nieuchwytna. Ilekroć bowiem zjawiam się pod jej domem, nie otwiera mi nawet drzwi, udając, że jej nie ma. Próbuję zatem rozpytać się o ich współżyciu najbliższych sąsiadów mieszkających w pobliżu zapomnianej kolonii leśnej Roztoki. Ale i w najbliższej okolicy dowiaduję się w sumie niewiele:

– Szanowny panie. Ja przeżył na świecie już wszystko. I dwie wojny, i narodziny komuny, i jej upadek. Stalina, Hitlera i każdą inną swołocz, i ja panu powiem tylko jedno – tłumaczy mi sugestywnie stuletni dziadek, którego wszyscy w okolicy poważają za mądrość. – Ten Król Graniasty to dla Tekli wszystko. Życie i śmierć. Wiosna i zima. Piekło i niebo! I żeby nie on, to ona by już chyba nigdy normalnego życia nie zaznała, a tak... tak żyjo ze sobą jak najprzykładniejsza para. Ona, jak to kobieta, pierze mu, gotuje, ubiera, a on pracuje w lesie. I nikt tu w całej okolicy złego słowa o nich panu nie powie, bo nikt nie słyszał, żeby oni się pokłócili czy pobili. A tej jego polityki całej to nikt nie słucha. Bo kto tu, panie szanowny, ma głowę do polityki, jak tu prawie same stare ludzie się ostali na gospodarstwie? Tak samo o Żydach nam nikt nic nowego nie powie, bo każdy prawie na własne oczy ich tu widział; co oni przeżyli od Niemców w czasie ostatniej wojny... Bo tego cierpienia to było, oj było, panie szanowny, nikt tego nie zaprzeczy...

– Ja tam też nic złego ani o Tekli, ani o Kazberuku, ani o Żydach czy komunistach powiedzieć nie mogę, bo co tam ja?... Stara baba! Co ci dadzą, to najwyżej „dziękuję" mogę powiedzieć – żwawa nadzwyczaj staruszka, którą spotykam przed likwidowanym właśnie sklepem wiejskim, jest gadatliwa: – Lepiej by tu ktoś przyjechał z redakcji i spytał się naszego prezesa GS-u, dlaczego nam tu jedyny sklep likwiduje, jak my do gminy mamy prawie dwadzieścia kilometrów. Przed wojną, jak tu byli Żydzi, to takich sklepików w okolicy to było może z pięć, a teraz mówią nam nagle, że im się jeden nie opłaca... Jak? [...]

Właściciel wzorowego w okolicy gospodarstwa jest nieco zdziwiony moimi odwiedzinami.

– Przychodzą tu na zarobek, owszem... Jak wielu innych. I tak jak wielu innych pracują uczciwie. Bo ja, proszę pana, za obijanie boków to ludziom nie płacę pięćdziesiąt tysięcy dniówki, a za robotę konkretną. I u mnie w robocie nie ma ani picia, ani politykowania... to po robocie najwyżej... A Kazberuk?... No, cóż! Musiał chyba w życiu zdrowo kiedyś oberwać, że tak węszy tą masonerię... Tak mi się w każdym razie wydaje... No bo jak by inaczej?...

Tyle mówią o Antoliuszu Kazberuku i jego opiekunce ludzie w okolicy. Natomiast jego prawowita żona Walentyna przy kolejnej mej wizycie milknie

jakoś, jakby uważała, że i tak za dużo mi już o swym nieszczęściu powiedziała. Widzę, że jest wyraźnie zmęczona tą sprawą, staram się przeto dowiedzieć chociaż jednego: dlaczego godzi się na istnienie swego męża pod dwoma nazwiskami? Co się za tym kryje? [...]

– Są dwie ważne sprawy, wie pan – wzdycha ciężko. – Pierwsza to dowód osobisty, który posiada obecnie mój mąż Benedykt...

– Chodzi o dowód na nazwisko Antoliusz Kazberuk, tak?

– Tak! Wyjaśniłam w końcu w rodzinie, wie pan, że ten dowód mego brata Antola to mój mąż chyba ukradł kiedyś wcześniej czy może znalazł go, bo to był podwójny jakby dowód i do tego nieważny... Tak! Bo mój cioteczny brat Kazberuk tą swoją ucieczkę to już zaplanował sobie dawno, a ponieważ kiedyś z paszportami były kłopoty, to on postanowił zgubić niby dowód osobisty, żeby mieć ich potem w razie czego dwa... Tak na wszelki wypadek, wie pan, jakby mu na przykład paszportu w Gdańsku nie dali, to mógł na ten sam podwójny dowód w Szczecinie na przykład próbować. Tak się kiedyś ponoć robiło... Ale jak Antol po wstąpieniu do marynarki dostał paszport służbowy, to ten niby zgubiony i zgłoszony już milicji dowód zostawił u swojej matki na wsi, a mojej cioci... I Benek go jakoś stamtąd zwinął razem ze skórzaną raportówką mego wujka, który przed wojną był nadterminowym w wojsku w Grodnie...

– No i co? Teraz można to zgłosić i wyjaśnić, że mąż jest chory... Bo że jest chory, to chyba nie ma wątpliwości...

– No niby i można, tak – zgadza się bez entuzjazmu pani Walentyna – tak, można, ale... Tu ci akurat Antol z Kanady napisał, że przyjeżdża w lecie do Polski i że może jakiś interes zechce tu rodzinie rozkręcić, bo on teraz, wie pan, zamożny człowiek się zrobił tam w tej Kanadzie, więc co?... Mamy teraz w tą całą sprawę jego dowodów milicję mieszać? Zaczną się wyjaśnienia, pisanina. I wszystko przez Benka. Co by rodzina na to powiedziała? Przecież oni wszyscy czekają na Antola jak na jakieś zbawienie. Nie, nie! To nie taka prosta sprawa, wie pan...

– No dobrze. To pierwsza sprawa, a druga? – nalegam, niecierpliwiąc się wyraźnie, gdyż chcę szybko poznać motywy, jakie mogą nią kierować przy skrywaniu prawdy.

– Drugą sprawą, wie pan, jest stan zdrowia mego Benka – kobieta waha się przez moment, jakby się zastanawiała, czy ma mi powiedzieć całą prawdę. – Ja byłam już u znajomych lekarzy, rozmawiałam z nimi, radziłam się i dużo o tym myślałam. I wie pan, do jakiego doszłam wniosku? Że jak ja znam nasze zakłady psychiatryczne, wielkie przepełnienie tam, bo przecież mam

tam już syna, to, no, przestraszyłam się, wie pan. Tak! Przestraszyłam się… Bo co będzie, jak Benka zabiorę od tamtej kobiety, a jemu się pogorszy?… A tak żyje tam sobie spokojnie, ma co jeść, gdzie spać, co robić… I co najważniejsze, jest wolny! Nie tak jak nasz syn… Tak, wie pan, boję się, boję… Bo jak ich obu będę miała razem, to nie wytrzymam chyba, nie wytrzymam! I kto się wtedy zaopiekuje naszym chorym dzieckiem? No kto? Chyba nie Benek, bo jak? – kobieta zrezygnowana opuszcza głowę i milczy wyraźnie zawstydzona swym wyznaniem. […]

Z takim szczerym ludzkim wyznaniem już dawno się nie zetknąłem, chociaż przyszło mi przepracować w „reporterce" przeszło dwadzieścia lat. Dlatego jadę do zaprzyjaźnionego lekarza psychiatry, znanego z wieloletniej praktyki, aby wyraził tu swoje zdanie fachowca.

– No cóż… Cóż ja tu mogę na odległość powiedzieć? – doktor bezradnie rozkłada ręce. – Raczej niewiele. Mogę tylko powtórzyć dwie powszechnie znane prawdy. Pierwszą, która głosi, że człowiek ma zawsze możliwość dokonania wyboru, i drugą, że psyche jest najdelikatniejszą tkanką ludzkiej materii… I jak się owa tkanka ostatecznie w życiu ludzkim ułoży, nikt nie jest w stanie przewidzieć ani tym bardziej zaproponować do ułożenia… […]

„Kontrasty" 1990, nr 5 i 6

1991

Barbara Seidler (ur. 1930)

Powściągliwie o zbrodni

Zasłynęła reportażami obyczajowymi i sądowymi. Jej książki: *Dziś na wokandzie…* (1966), *Skłóceni z prawem* (1972) czy *Ludzie i paragrafy* (1988) czytane dzisiaj, są czymś więcej niż tylko zapisami barwnych spraw sądowych i opowieściami o ciemnych stronach człowieka.

W 1969 roku w fabryce Wedla po pracy starszy majster zamordował młodszego robotnika. Zawsze go wyróżniał, zostawał z nim w łaźni, a jak przełożeni przenieśli młodego, żeby majster nie miał już z nim kontaktu, to „ciągle tam do niego na ten inny dział, na czekoladernię, biegał". „No naprawdę wprost majster za nim przepadał". Obaj mieli żony i rodziny, obie rodziny się przyjaźniły, majster był chrzestnym ojcem dziecka robotnika. Motyw zbrodni nieznany. Pod salą sądową załoga Wedla krzyczała: „Ohydny pedzio!". Ale majster powiedział sędziemu: „Jeżeli mi udowodnią, że ja z Teguskim żyłem jak mężczyzna z kobietą, to niech mnie skażą na śmierć".

> Homoseksualizm jest dla niego większą zbrodnią niż zamordowanie człowieka – pisze Barbara Seidler. – W fabryce Wedla, w Karczewie, w Halinowie (bo tam mieszkają pracownicy) te rzeczy uważa się widać za większe zło niż chwytanie za młotek i zadawanie ciosów bez opamiętania. I tego mu nie udowodniono. To oskarżony rozumie. Ze spokojem przyjmuje więc wyrok.

„No przecież zabił. Dobrze, że teraz wszyscy wiedzą, że tych świństw nie robił…" – z ulgą mówi reporterce żona mordercy. Tytuł reportażu: *Niech mnie skażą na śmierć, jeśli…*

Barbara Seidler tylko z pozoru relacjonowała procesy. Tak naprawdę jej reportaże to fascynujący zapis PRL-owskiej obyczajowości, mentalności i przekonań. Dziś to reportaże historyczne. Do tego tak plastyczne, że kiedy tylko zaczynam któryś czytać, włącza mi się w głowie telewizor i wyświetla dobry film kryminalny. Jednak w przeciwieństwie do amerykańskich kryminałów dzięki Barbarze Seidler zawsze mam jakiś powód, żeby myśleć o Polsce.

Chociaż sama twierdziła we wstępie do swojej książki *Schody do raju czy rozpacz?* (1977), że nie można społeczeństwa oceniać, patrząc na nie przez pryzmat spraw sądowych. Wokanda jest bowiem krzywym zwierciadłem.

Janusz Termer, recenzując tę książkę na łamach „Kontrastów", podkreślał, że Seidler pisze o zbrodniach niezwykle taktownie, powściągliwie, wręcz

ascetycznie, zwłaszcza jeśli chodzi o podawanie tak zwanych mrożących krew w żyłach szczegółów.

> Autorkę interesują motywy ludzkich działań, reportaż sprawozdawczy przechodzi w literaturę o ambicjach psychologicznych.

Barbara Seidler urodziła się w Warszawie, w wieku dwunastu lat działała już w Szarych Szeregach, w powstaniu warszawskim była sanitariuszką. Po wojnie skończyła prawo na Uniwersytecie Warszawskim. Od 1950 roku pracowała jako dziennikarka. Pisała w „Życiu Warszawy", „Po prostu", „Nowej Kulturze" i „Życiu Literackim". Jest autorką scenariuszy filmowych, a także tekstów do kultowych komiksów *Legendy polskie*, które w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych rysował Grzegorz Rosiński. Dziś są klasyką; miały pomagać w nauce języka polskiego dzieciom polskich emigrantów w USA i dlatego zawierały dymki w językach polskim i angielskim. Pomysł został przyjęty z tak wielkim uznaniem, że bliźniacze wersje stworzono w językach francuskim, niemieckim i rosyjskim. Kolejne wydania w ogromnych nakładach ukazywały się przez następne kilkanaście lat.

Najważniejszym dziełem Barbary Seidler nie są jednak ani reportaże sądowe, ani komiksy.

Na początku 1971 roku przygotowała do druku w „Życiu Literackim" tekst *Gdańsk-Gdynia-grudzień-luty* o wypadkach grudniowych roku 1970. Bunt robotników stoczniowych, rozgoryczonych wprowadzoną przez ekipę Gierka drastyczną podwyżką cen podstawowych artykułów, został wówczas brutalnie stłumiony przez milicję i wojsko. Zabito czterdzieści pięć osób, raniono – tysiąc sto sześćdziesiąt pięć.

> Mojego reportażu stale nie puszczali – wspominała. – W domu miałam już trzy kolejne maszynopisy z uwagami Olszowskiego [członka Biura Politycznego KC PZPR] i Beka [kierownika Biura Prasy KC PZPR], jedne zrobione piórem, inne ołówkiem, i gdy w pierwszych dniach stycznia 1971 roku po raz czwarty wzięłam w „Białym Domu" przepustkę do Biura Prasy, by wreszcie powiedzieć z goryczą: „No to już chyba wszystko powyrzucałam" – niski człowiek w okularach uniósł się z fotela za biurkiem, usiadł przy małym stoliku, który zdążyłam już znienawidzić, i znów zagłębił się w tekst. Tym razem czerwony ołówek zawisł nad nazwiskami i adresami poległych stoczniowców. Wisiał chwilę, a później opadł na taki akapit: „Matelski Jerzy, Misiewicz Stefan, Wójcik Marian, Pawłowski Jerzy, Godlewski Zbigniew... Grottgera 102, Konwaliowa 20, Oksywska 3, Sieroca 1...".

Jęknęłam.

– Towarzyszu (tak się w tym gmachu mówiło i ja tam używałam tego zwrotu, mimo że do partii nigdy nie należałam), przecież to z oficjalnego komunikatu. I towarzysz Olszowski zostawił ten akapit... [...]

– Ale może towarzysz sekretarz nieuważnie czytał, a wiecie, ja jestem inteligentny, i to ma zły wydźwięk, to za dobrze brzmi, to nie może zostać.

I nie zostało.

Okrojony reportaż ukazał się dopiero pod koniec lutego, bo „nie wypada, abyście wydrukowali coś takiego, nim się na ten temat wypowie plenum KC".

Bo widzi pani – tłumaczył inny towarzysz – dziś rano dzwonił do mnie jeden z towarzyszy, któremu ktoś opowiadał, co się na Wybrzeżu działo, i on się bardzo zdenerwował. Więc po co ludzi denerwować i przypominać, już przecież jest spokój...

Barbara Seidler nie zadowoliła się pokiereszowanym reportażem i zaczęła zbierać materiał na książkę o Grudniu. Zaprzyjaźniła się z rodzinami poległych stoczniowców, weszła w łaski wysokich funkcjonariuszy, którzy udostępnili jej wiele nieznanych dotąd szerzej dokumentów. Zenon Kliszko, członek Biura Politycznego KC PZPR i bliski współpracownik Władysława Gomułki, przekazał jej fragmenty swojego niepublikowanego pamiętnika z tego czasu.

Praca nad książką trwała kilkanaście lat. *Kto kazał strzelać. Grudzień '70* ukazać mogła się dopiero w 1991 roku. Drugie wydanie, bogato ilustrowane oryginalnymi zdjęciami z opisanych wydarzeń, wydano czterdzieści lat po pamiętnych zajściach. W antologii prezentujemy jeden grudniowy dzień zrekonstruowany przez reporterkę.

Kto kazał strzelać. Grudzień ’70

Kilka minut po północy dyrektor Instytutu Chirurgicznego Gdańskiej Akademii Medycznej poinformował, że w jego klinice udzielono pomocy dziewiętnastu osobom, a szesnastu poszkodowanych trzeba było zatrzymać w szpitalu, choć nie ma przypadków ciężkich.

Komenda Milicji zawiadomiła, że zatrzymano szesnaście osób, które dopuściły się dewastacji sklepów i kradzieży. Ale przecież zamknęli nie tylko złodziei, bo Henryk Jagielski, pracownik Stoczni Lenina, odtwarzając w pamięci tamte dni, powiedział w czerwcu 1971 roku: „Pamiętam, jak wróciłem tego pierwszego dnia do stoczni, do biura dyrektora. Zastałem tam już kilku kolegów, między innymi Nowickiego, Lenarciaka, Wałęsę, Kobylińskiego, Jacewicza. Dosyć dużo. Około trzydzieści osób… Na tym zebraniu u dyrektora ustaliliśmy, co następnego dnia będziemy robić. Padło hasło, że musimy uwolnić tych, co zostali zamknięci. No, tych kolegów z radiowozu. Milicjanci rzucili im do środka granat łzawiący i oni wyszli. Zostali zamknięci”.

W nocy w portach był strajk. Nie pracowały rejony I, II i III, tylko na nabrzeżu przeładunkowym węgla i rudy jeszcze coś robili. Robotnicy zbierali się w świetlicach, uchwalili, że od siódmej rano przystępują do strajku generalnego. O czwartej dwadzieścia stanął cały port. Znieruchomiały dźwigi przeładunkowe. Z nabrzeży odeszli dokerzy. Obsiedli wolne krzesła, pozdejmowali gumiaki i kufajki, wyciągnęli z zatłuszczonych papierów kanapki, termosy z gorącą herbatą wędrowały z rąk do rąk. Niektórzy drzemali. Tak zastał ich wtorkowy świt.

We wtorek piętnastego na szóstą przyszła do wszystkich stoczni pierwsza zmiana. Ale nikt nie brał się do pracy. Nie tylko zresztą w stoczniach tak było. Podobnie zachowali się portowcy, robotnicy Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego i innych fabryk. Nastroje były burzliwe. Na dodatek przyszły wiadomości o aresztowanych. Tych na ulicy i tych powyciąganych w nocy z łóżek. Wezwanie do strajku generalnego chwyciło. Ludzie nie chcą pracować w Blaszance, Hydrosterze i w fabryce mebli. To nie jest żadna uliczna rozróba, to jest bunt klasy robotniczej. Wszędzie odbywają się wiece.

Między szóstą a siódmą jest taka sytuacja:

Przez bramę ZNTK[1] na Przeróbce wychodzi tysiąc robotników. Formują pochód, w pierwszych szeregach – uczniowie fabrycznej szkoły zawodowej. Idą w kierunku Stoczni Gdańskiej. A tam, przed budynkiem dyrekcji, gęstnieje tłum. W ciągu godziny rośnie do trzech tysięcy. Wychodzi do nich sekretarz komitetu zakładowego Pieńkowski, ale nikt go nie chce słuchać. Już nie chodzi o żadne dyskusje. Teraz rośnie gniew. Podobnie jest w Stoczni Remontowej. Załoga gromadzi się przed budynkiem administracji. Próbuje do niej przemówić dyrektor Gryglewski. Ale nie potrafi uspokoić wzburzonych robotników.

W fabryce mebli we Wrzeszczu stoi na dziedzińcu pięciuset pracowników. Chcą wyjść na ulicę i pójść pod budynek Komitetu Wojewódzkiego. Z zakładów futrzarskich przy Łękowej już wyszli. Idą. Z Hydrosteru i Blaszanki też wychodzą. Kierunek jest jeden. W Gdyni też strajkują. Stoczniowcy Komuny Paryskiej z wydziału K-3 i obrabiarkowego wiecują przed ślusarnią. W ciągu dwudziestu minut dołączają do nich robotnicy z innych wydziałów. Jest ich już dwa i pół tysiąca. Większość wychodzi w pochodzie na miasto.

A w Stoczni Lenina? Wszyscy powkładali hełmy, poprzebierali się w robocze kombinezony. Żeby nie było wątpliwości, że to nie żadna chuliganeria, która rozbija sklepy, tylko pracownicy największego zakładu produkcyjnego w Gdańsku. W budynku dyrekcji, w oknie jednego z pokoi, ustawiono mikrofon. Do zebranego pod budynkiem tłumu mówił coś inżynier Hajduga z dyrekcji. Ale jego słowa zagłuszał warkot krążącego nad stocznią wojskowego helikoptera. Robotnicy wkładali biało-czerwone opaski, organizowali własną straż, żeby w stoczni nie było sabotażu, żeby nic nie zostało uszkodzone i aby na pochylniach bezpieczne były kadłuby powleczone rdzawą minią. Z wydziałów wyprowadzono tylko wózki akumulatorowe. Formujący się przed bramą numer 2 pochód chciał je zabrać ze sobą – na wszelki wypadek. Kilka minut po siódmej wyszli ze stoczni. Przed bramą w zwartym szeregu stała milicja, a gdy czoło pochodu zbliżyło się do niej, na stoczniowców poleciały petardy. Ale oni uskoczyli i natarli na milicjantów. Tych ostatnich było niewielu, rzucili się więc do ucieczki. A pochód szedł pod Komendę Miejską MO, rozpraszając po drodze rzadką milicyjną tyralierę. Ludzie byli zdeterminowani. Nikt – z władz miejskich i wojewódzkich – nie rozmawiał z nimi w ciągu całego wczorajszego dnia, postulaty ekonomiczne, które wysunęli, zawisły w powietrzu, jedyną odpowiedzią na ich bunt były aresztowania. Więc rosła w nich wściekłość i nienawiść. Poczuli siłę w swojej masie, w tym, że ludzie na ulicy dołączali do nich, że miasto było po ich stronie. Milicjanci bali się tego tłumu. Prącego naprzód, groźnego. Cofali się w głąb ulic, a szeroko, po jezdniach rozlewał się pochód demonstrantów. Szli przez

[1] ZNTK – Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego.

Nowe Ogrody – Świerczewskiego i Kartuską, wpędzili grupę milicjantów w zaułek Strzeleckiej. Za mostem, tym nad torami, przy 3 Maja, jest gmach Miejskiej Rady Narodowej, obok sąd i Komenda Miejska MO. Na parterze komendy jest drogówka. Demonstranci opanowują parter, potem podwórze, stąd już jest pięćdziesiąt metrów do muru otaczającego więzienie. Robotnicy skandują: „Wypuśćcie stoczniowców! Zwolnić aresztowanych!". Milicjanci są w wyraźnym odwrocie. Ale od Kartuskiej i 3 Maja idą zwarte oddziały milicji. Demonstranci mają łomy, śruby i palące się szmaty, umoczone w benzynie spuszczanej z okolicznych samochodów. A milicja rzuca petardy, wszędzie pełno dymu, swędu spalenizny. Krzyki i tumult. Milicjanci biją pałami. Gdzie popadnie, najczęściej w głowę i kark. Robotnicy wyrywają kamienie z bruku. Te kamienie lecą na milicjantów. Milicjanci uciekają więc do komendy. Jeden z nich, oficer, nie zdążył. Zastąpił mu drogę spawacz ze stoczni. Milicjant wyjął pistolet z kabury i strzelił. W szyję tego spawacza. Trysnęła krew. Stoczniowiec upadł, a tłum rzucił się na tego, który strzelił.

Rwali na nim mundur, linczowali go. To był odwet. Za postrzelonego.

Milicji udało się odeprzeć tłum za most – na Hucisko i Kalinowskiego. Teraz demonstrujący wpadają na pomysł: zatrzymują ciężarówki i tramwaje, każą wysiadać pasażerom, rozpędzają pojazdy, wyskakują i puszczają je na milicyjne tyraliery. Ulice wyglądają jak po wielkiej bitwie. Ale jeszcze nieskończonej. Bo wszędzie – naokoło – toczy się walka.

Z mostu na Błędniku widać palące się samochody milicyjne i wojskowe, wszędzie pełno gazu łzawiącego, słychać wybuchy petard i strzały z broni palnej. Helikoptery krążące nad ulicami też zrzucają petardy. Padają na ziemię ranni od wybuchów. Pojawia się zmotoryzowana milicja w gazikach, na których umieszczone są wyrzutnie petard i gazów łzawiących. Milicja strzela w tłum, ludzie zalewają się krwią i padają.

Między siódmą i ósmą, gdy toczyły się walki pod Komendą Miejską, ewakuowano wszystkich z gmachu Komitetu Wojewódzkiego, pozostawiając kilku pracowników politycznych, wojsko i ORMO i wprowadzając dodatkowo kompanię MO ze szkoły w Słupsku. Gdy wygasły walki w okolicach dworca i pod Komendą Miejską, całe ludzkie mrowie – tłum liczący już około dwudziestu tysięcy osób – przemieścił się pod budynek KW. Było w tym tłumie bardzo dużo młodzieży. Co krok widać też było stoczniowe hełmy, na których właściciele zamalowali białą farbą numery identyfikacyjne. Demonstranci chcieli podpalić budynek KW. Wiedzieli, że nie ma tam sekretarzy, nikt przecież nie wyszedł i nie próbował z nimi rozmawiać; w oknach, za firankami widzieli milicyjne kaski. Zaczęli od zwalenia mosiężnej tablicy z napisem „Komitet

Wojewódzki PZPR". Ktoś postawił na krawędzi chodnika skrzynkę z winem. Ludzie wylewali wino pod nogi, a butelki napełniali benzyną w pobliskiej stacji CPN albo gumowymi rurkami odciągali z baków samochodowych. Potem z rąk do rąk podawali sobie te butelki, a gdy docierały pod gmach – ci z pierwszych szeregów rzucali je w kierunku okien. Benzyna ciekła do piwnic, butelek było coraz więcej, ktoś w tłumie krzyczał: „Uważajcie na kościół!". Stoi zaraz za budynkiem NOT[2] sąsiadującym z Komitetem. Więc uważali. Mieli butelki z denaturatem i rozpuszczalnikiem, pudełka z pastą do podłóg – w pobliżu, przy Elżbietańskiej, był sklep mydlarski. Brali stamtąd.

O dziewiątej pięćdziesiąt udało im się podpalić KW. Wbiegli do środka i przez okna wyrzucali jakieś papiery, portrety. Ludzie byli rozwścieczeni, bo niedaleko tego gmachu, który teraz atakowali, milicjant pałką pobił chłopca z tornistrem na plecach; był to uczeń, stał samotnie na brzegu chodnika, patrzył. Chłopiec przewrócił się, leżał na plecach, twarzą ku górze, a milicjant buciorem stanął mu na szyi. Wtedy rozległy się krzyki kobiet: „O Boże, dziecko, za co dziecko?". I ludzie ruszyli na tego milicjanta, przewrócili go na ziemię, darli na nim mundur, bili go i kopali, za tego chłopca z tornistrem, którego teraz ktoś z tłumu niósł na rękach, a z rozpiętego tornistra wylatywały zeszyty, wiatr przewracał kartki, padały pod nogi. Gdy zawyła karetka pogotowia, tłum się rozstąpił. Lekarz wyskoczył, wyciągnęli nosze – najpierw chłopiec znalazł się we wnętrzu ambulansu, potem lekarz schylił się nad tą bestią, na którą teraz ludzie pluli, bronili człowiekowi w białym fartuchu dostępu. „To morderca" – krzyczeli. Ale doktor wziął i jego na nosze i wsadził do tej samej karetki. Wołał w tłum: „Jestem lekarzem, muszę każdego ratować!". Potem znów zawyła syrena, ludzie się rozstąpili i biały ambulans z czerwonym krzyżem odjechał. I wtedy tłum z upartą zaciętością, milczący i wstrząśnięty, naparł znów na KW. Ktoś zaintonował: „Jeszcze Polska..." i gdy doszli do słów „Marsz, marsz, Dąbrowski...", zabrzmiało to jak komenda. Nad dachem budynku, niziutko nad tłumem, latał wojskowy helikopter. Zrzucał petardy i gaz łzawiący. Ludzie łapali te petardy w locie i rzucali nimi w okna Komitetu.

W tym czasie w Gdyni, w stoczni, odbywał się wiec. Pierwsi wyszli ci z kadłubowni, za nimi ruszyli inni. Zebrali się najpierw w hali G08 przy wydziale K-3, potem poszli pod budynek dyrekcji. Dyrektor obiecał narady i uwzględnienie postulatów. Ale mimo tych obietnic na dziedzińcu, przed zamkniętą bramą formował się pochód. Odsunęli na bok przerażonego strażnika. Siłą swoich ciał wyłamali bramę. Gdy trolejbus numer 23 skręcał w ulicę Czechosłowacką w kierunku portu, ulicą Polską szedł już szesnastkami środkiem jezdni

[2] NOT – Naczelna Organizacja Techniczna, patrz s. 246, przyp. 1.

robotniczy pochód. Stoczniowcy byli w kombinezonach, w hełmach, w rękach mieli ślusarskie klucze. Szli jak wojsko, w ciszy. Biła od nich siła, potęga i godność. Dochodziła dziewiąta.

Wcześnie rano, 15 grudnia, Korczyński dzwonił do Cyrankiewicza. Zameldował, że 14 grudnia do akcji ratowniczej użył 7. Łużyckiej Dywizji Desantowej, bo w budynku KW odcięci zostali ludzie, tłum napierał i były próby podpalenia. Żołnierze oddali strzały ostrzegawcze do góry, nabojami ćwiczebnymi. Ale i tak nie udało się opanować sytuacji. Meldował też, że konieczne było wprowadzenie transporterów opancerzonych. Mówił, że sytuacja jest poważna i że jej opanowanie nie wydaje się możliwe bez użycia ostrej amunicji. Cyrankiewicz odpowiedział rozmówcy, że sam nie może takiej decyzji podjąć i że zadzwoni do Korczyńskiego tak prędko, jak tylko to będzie możliwe.

O dziewiątej u pierwszego sekretarza partii odbyło się zebranie. Oprócz Gomułki obecni byli: premier Cyrankiewicz, przewodniczący Rady Państwa Spychalski, sekretarze KC: Jaszczuk, Moczar i Strzelecki oraz wezwani określeni ludzie – Kania, kierownik wydziału administracyjnego KC, któremu podlegały między innymi dwa resorty: MON i MSW, minister obrony narodowej – Jaruzelski, minister spraw wewnętrznych – Świtała i komendant główny MO – Pietrzak.

Wobec informacji, jakie napływały od kilkudziesięciu godzin z Gdańska, łatwo się było domyśleć, dlaczego akurat taki zestaw ludzi znalazł się w tym dniu i o tej godzinie w pokoju sekretarza.

Gomułka w liście nadesłanym do VIII Plenum napisał, że decyzje zostały podjęte kolegialnie. Wszyscy obecni wówczas w gabinecie wyjaśniali przed powołaną później Komisją Biura Politycznego „dla zbadania niektórych kwestii 1970 roku", zwaną potocznie komisją Kruczka, że decyzję o użyciu broni podjął jednoosobowo pierwszy sekretarz, a oni byli przy tym tylko obecni, zaś szefowie resortów MON i MSW zostali wezwani wyłącznie po to, by decyzję tę przyjąć do wiadomości i przekazać do wykonania. Ale faktem jest, że nikt z obecnych wówczas w gabinecie na pierwszym piętrze „Białego Domu" nie powiedział, że się z taką decyzją nie zgadza, nikt nie zażądał spokojnego przeanalizowania wydarzeń na Wybrzeżu, nie wysunął innej propozycji rozwiązania poważnego konfliktu, nikt nie powiedział, że to wyszła na ulice zdeterminowana ciężkimi warunkami egzystencji klasa robotnicza, sprzeciwiająca się kolejnej podwyżce cen żywności, nikt nie krzyknął, nie powiedział: „Beze mnie!", nikt nie wyszedł, trzasnąwszy drzwiami. A przecież w obecności aż dziewięciu ludzi Gomułka, wyzłościwszy się najpierw na ślamazarne

działania milicji, wśród pytań o instrukcje, które miałyby precyzować możliwość użycia broni palnej, podjął decyzję, o której mówiono później, że była to decyzja polityczna.

Gomułka postanowił wówczas, że musi być wydany rozkaz dla MO i wojska pozwalający na użycie broni w przypadku podpalenia lub niszczenia obiektów, atakowania MO, zagrożenia życia ludzkiego. Pierwszy sekretarz, który zawsze był konkretny i lubił rozstrzygać sprawy w szczegółach, podyktował jeszcze, jak ma być użyta broń palna: pierwsze strzały miały być oddane w górę, po pięciu, dziesięciu sekundach – salwa w nogi. Uważał też, że należy działać oddziałami zwartymi. Polecił ogłosić na Wybrzeżu przez megafony, że wojsko i milicja otrzymały prawo użycia broni wobec napastników od dwunastej 15 grudnia 1970 roku; zawiadomić dowódców MO i dowódców wojskowych o zezwoleniu na użycie broni i o sposobie jej użycia wobec agresorów; zarządzić godzinę milicyjną w Gdańsku od osiemnastej do szóstej rano; natychmiast ściągnąć jednostki pancerne wojska, umieścić w określonych punktach miasta celem blokowania dojść; wydać ulotkę o zniszczeniach, liczbie rannych funkcjonariuszy MO i zawiadomić stocznie o ostrzeżeniach; zabezpieczyć elektrownię; jak najszybciej pokazać w telewizji rozmiar zniszczeń.

Premier dodał wówczas, że należy wydać zarządzenie o stanie wyjątkowym w Gdańsku, co też zostało zaakceptowane.

W czasie tego spotkania Cyrankiewicz kilkakrotnie podchodził do telefonu, a po kilkudziesięciu minutach tej brzemiennej w skutki godziny, dokładnie o dziewiątej pięćdziesiąt, przez telefon przekazał Korczyńskiemu decyzję podjętą u Gomułki. Pięć minut później, to jest o dziewiątej pięćdziesiąt pięć, sztab MSW przekazał sztabowi KW MO tę samą decyzję.

O dziewiątej pięćdziesiąt – dokładnie o tej godzinie, w której po telefonicznym drucie biegło pozwolenie na użycie broni – demonstrującym robotnikom udało się podpalić budynek KW. Dziesięć minut później nadjeżdża pododdział wojska i próbuje rozproszyć manifestantów. Strzelają. Nie ma jeszcze dwunastej, więc potem w „kalendarium wydarzeń" zaprotokołowane zostaje to jako „strzały w powietrze". Od Wrzeszcza jadą transportery opancerzone, mają odblokować wyjście dla tych, którzy są uwięzieni w palącym się budynku. O jedenastej wojsko opuszcza KW. Z wojskiem wychodzi kilku pracowników instancji. Wojskowi są w maskach, karabiny trzymają nad głową. Kapitan idący na ich czele prosi tłum o przepuszczenie żołnierzy. Obiecuje, że wojsko nie dopuści do rzezi. Żołnierze oddają ludziom maski, zostawiają sobie tylko torby. Ale wiadomo było, że w płonącym budynku jest jeszcze milicja. Nad dachem

latał helikopter, zrzucano z niego gaz łzawiący, a potem opuszczono linę, i ta lina chybotała się nad dachem, wiatr ją unosił, raz w lewo, raz w prawo, ludzie podnieśli głowy do góry, patrzyli, ktoś w tłumie się zaśmiał, ktoś gwizdnął, chichot przeleciał jak dreszcz, a było to akurat wtedy, gdy kilku milicjantów wyszło na balkon, niektórzy z nich mieli oczy przewiązane jakimiś szmatami, bo żarł ich dym i gaz, niektórzy skakali z pierwszego piętra na dywany, które przedtem wyrzucili, inni zjeżdżali po chodniku, czerwonym, kokosowym.

Na boku stały unieruchomione dwa wojskowe transportery, wojsko nie chciało wjechać w tłum, jednemu zgasł silnik, drugi wykierował na płonące samochody milicyjne, uderzył w słup, znieruchomiał. Wykorzystali to robotnicy. Wyrwane słupy przystankowe wepchnęli w gąsienice.

Obok, niedaleko, w starciu ulicznym stanęli oko w oko naprzeciw siebie dwaj bracia, jeden był w stoczniowym kasku, drugi w milicyjnym mundurze. Milicjant razem ze swoim pododdziałem nagle znalazł się w mniejszości. Obok stała wywrotka. Ludzie załadowali milicjantów i wywieźli do stoczni. Gdy dyrektor w swoim gabinecie rozmawiał z aktywem stoczni, z tymi, co zostali na wydziałach i zabezpieczali urządzenia, tworząc własną policję, nagle otworzyły się drzwi i stoczniowcy w hełmach wprowadzili kilku milicjantów. „Mamy zakładników – powiedzieli – wymienimy ich na naszych, aresztowanych wczoraj i w nocy". Zrobiło się zamieszanie, w końcu zdecydowano, że przebierze się ich w kombinezony i wypuści do miasta. W mundurach wyjść nie mogli, bo ludzie by ich rozszarpali.

Komitet płonął. W mieście trwały regularne bitwy. Przeciw ludziom, którzy domagali się godziwej egzystencji, traktowania ich jak partnerów do rozmów, którzy nie chcieli już więcej arogancji władzy, bezkarności milicji i tego wszystkiego, co odbierało im godność – władza uważająca się za robotniczą i ludową wyprowadziła czołgi i transportery, kazała strzelać w obronie swoich symboli – budynków, na których wisiały tablice ze znienawidzonymi napisami.

Dach domu, w którym mieścił się Komitet Wojewódzki, był dwuspadowy, kryty dachówką, zwieńczony czymś na kształt masztu-wieżyczki. Najpierw zaczęły odpryskiwać dachówki, potem ogień lizał wieżyczkę, aż wreszcie o wpół do trzeciej zwalił się maszt. Ktoś w tłumie zawołał: „No to już!". Ale nie było to prawdą. To wcale nie było „już". Jeszcze jechały od strony Pruszcza transportery Topaz, jeszcze trwały uliczne walki, padali na bruk ludzie, wyły karetki pogotowia, jeszcze zmierzch rozświetlały reflektory omiatające niebo, a do hali dworcowej robotnicy nieśli na ramionach mężczyznę rozjechanego przez transporter wojskowy. Na dworcu był kiosk z kwiatami. Położyli

mężczyznę na kamiennej posadzce, obrzucili różami. Róże miały ten sam kolor co cieniutka strużka krwi cieknąca po szarej terakocie dworcowej hali. Nie był to pierwszy człowiek, który padł tego dnia w Gdańsku.

Rano, gdy w Gdańsku trwały krwawe walki, w Gdyni manifestacja stoczniowców z Komuny Paryskiej – ów pochód karny i milczący – dotarła do Prezydium MRN[3]. Przewodniczący Mariański wyszedł na balkon. Podniósł tubę do ust i zaproponował, by delegacja robotników weszła do budynku na rozmowy. Weszło ich najpierw siedmiu, ale później dołączyli następni, których wyłoniły nadciągające pod MRN manifestujące załogi Dalmoru, Unimoru i innych zakładów. Delegaci stoczniowców mają petycje, nazwane później „protokołem uzgodnień". Proszą Mariańskiego, by przedstawił te żądania Kociołkowi[4]. Mariański przy nich telefonuje do Bejma[5], a ten obiecuje poparcie u wicepremiera. Przewodniczący Miejskiej Rady tłumaczy delegatom, że on sam nie może podejmować żadnych wiążących decyzji, ale chętnie będzie służył jako życzliwy pośrednik. Delegaci rozumieją to, więc Mariański prosi ich jeszcze, aby rozeszli się teraz do domów albo wrócili do zakładów pracy. Gdy tłum manifestantów rozchodzi się, pododdziały Marynarki Wojennej obsadzają budynek Komitetu Miejskiego, komendy MO, Rady Narodowej, sądu, aresztu śledczego, prokuratury i poczty. Mariański przekazuje postulaty Bejmowi, a zorganizowani w komitet delegaci gdyńskich zakładów pracy zwracają się do Zarządu Portu Gdynia, aby pozwolił im korzystać z domu kultury przy ulicy Polskiej.

15 grudnia o trzynastej trzydzieści w „Białym Domu" u Gomułki odbyło się drugie spotkanie. Obecni byli: Cyrankiewicz, Spychalski, Strzelecki, Jaszczuk, Moczar, Starewicz oraz Jaruzelski, Świtała, Pietrzak i Chocha. Gomułka miał znów pretensje do organów porządkowych, że nie mogą dać sobie rady i przywrócić spokoju, dlatego też powołał w Gdańsku – niezależnie od przebywających tam Kliszki i Logi-Sowińskiego – sztab lokalny w składzie: Korczyński jako dowódca oraz Słabczyk, Kolczyński, Karkoszka i Kociołek. Wniósł też o skierowanie do Gdańska Chochy – szefa Sztabu Generalnego WP „dla udzielenia pomocy planistyczno-sztabowej" generałowi Korczyńskiemu. W czasie tego spotkania znów nikt się nie odezwał, nie próbował przeciwstawić się decyzjom. Tylko Świtała chciał coś powiedzieć. Co? – nie bardzo wiadomo, bo Gomułka zaraz mu przerwał: „Ja wiem, o co mu chodzi, ma być tak, jak zadecydowałem".

O czternastej wyleciał do Gdańska Szlachcic[6] „w celu zorganizowania zapasowego stanowiska dowodzenia".

[3] MRN – Miejska Rada Narodowa, od 1952 roku terenowy organ władzy państwowej z przedstawicielstwami w gminach, miastach, dzielnicach większych miast, powiatach i województwach.

[4] Stanisław Kociołek (ur. 1933) – w latach 1968–1971 członek Biura Politycznego KC PZPR.

[5] Tadeusz Bejm (1929–1988) – w latach 1969–1971 przewodniczący Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Gdańsku.

[6] Franciszek Szlachcic (1920–1990) – członek KC, w latach 1962–1971 podsekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

A w gazetach centralnych tego dnia ukazały się uchwały VI Plenum, wydrukowano przemówienia Gomułki i Jaszczuka oraz kilka głosów w dyskusji. Tylko tyle. Jakby się nic nie stało.

Po południu w Gdańsku, w Stoczni Lenina, w sali BHP zebrali się robotnicy i dyskutowali nad postulatami. Już wiadomo było, że nie wyjdą ze stoczni, że strajk okupacyjny został ogłoszony. Tworzyły się wydziałowe komitety strajkowe. Dyrektor Hajduga obiecał, że będzie rozmawiał z Kliszką[7].

Zjednoczenie Przemysłu Okrętowego zwróciło się do dowództwa Marynarki Wojennej o przysłanie do portu dwóch holowników, aby wyprowadzić w morze budujące się statki. Ale stoczniowcy sami wyprowadzili na redę statki znajdujące się w końcowej fazie wyposażenia, zabezpieczyli dokumentację.

O siedemnastej trzydzieści przylatuje do Gdańska szef Sztabu Generalnego WP z grupą operacyjną „celem opracowania planu użycia wojska". Powołane zostaje dowództwo w składzie: dowódca – generał Korczyński; zastępca dowódcy – generał Czyżewski, szef Wojsk Obrony Wewnętrznej; drugi zastępca – generał Dębicki, szef Wojsk Ochrony Pogranicza, i trzeci – pułkownik Korzeniecki; dalej – generałowie Kolasa i Antos i pułkownicy – Antoszkiewicz, Rawik, Wawrzkiewicz, Skowron, Dziubek i Witko oraz komandor Malina.

Byli to, jak ranga wskazuje, wyżsi oficerowie różnych wojskowych specjalności. Kilku z zarządu 1. Sztabu Generalnego, z wojsk czołgowych, kwatermistrzostwa, łączności, szpitalnictwa.

Od osiemnastej w Gdańsku obowiązuje godzina milicyjna.

O dziewiętnastej trzydzieści w Gdyni: Mariański udaje się do portowego domu kultury. Do dwudziestej drugiej rozmawia tam z delegatami gdyńskich zakładów pracy. Delegatów jest trzydziestu jeden. Prawie wszyscy młodzi. Od dwudziestu do trzydziestu lat.

Gdy Mariański z nimi rozmawia, w specjalnym programie telewizji występuje Kociołek i wygłasza przemówienie. Można je będzie przeczytać w całości dnia następnego w „Głosie Wybrzeża". Mówi:

> Gdańszczanie!
>
> Stało się tak, że w Gdańsku spalone zostały obiekty o publicznym przeznaczeniu, że zniszczono i splądrowano dziesiątki sklepów, spalono wiele samochodów, głęboko zakłócono normalne funkcjonowanie miasta, że na ulicach był rozbój i były napaści. Poranieni zostali – niektórzy ciężko i są w beznadziejnym stanie – funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej,

[7] Zenon Kliszko (1908–1989) – członek Biura Politycznego KC PZPR w latach 1959–1970, jeden z najbliższych współpracowników Władysława Gomułki.

ormowcy, żołnierze i oficerowie Wojska Polskiego. Są trzydzieści trzy ciężkie obrażenia, jest pięć zgonów.

Bandy – bo inne określenie jest tu za słabe – agresywnie i napastliwie przeciwstawiały się działaniom tak ludzkim i powszechnie zrozumiałym, jak gaszenie pożarów, ratowanie ludzi, którym groziła śmierć w ogniu, udzielanie pomocy poranionym. Uczynili to osobnicy szczególnego pokroju, przestępczego, zbrodniczego. I tylko tacy są wśród zatrzymanych, tacy odpowiedzą przed prawem.

Z chwilą gdy doszło do wystąpień niszczycielskich, do grabieży, podpaleń i prób mordu, władze musiały zastosować wszystkie stojące do ich dyspozycji środki. Wprowadzone zostały siły milicyjne i Wojska Polskiego. Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej wprowadziło godzinę milicyjną od osiemnastej do piątej rano aż do odwołania. Każdy rozumny człowiek pojmuje, że uczyniono to w imię społeczeństwa, jego normalnego życia, pracy i rozwoju. Nie ma żadnego innego wyboru – anarchia i rozbój to zaprzepaszczenie tego, co nasze wspólne, to rujnowanie dorobku materialnego, społecznego i osobistego, to rujnowanie społecznych norm życia, dobrych obyczajów, to kopanie przepaści trudnej do zasypania.

W wielu zakładach, fabrykach przerwana została praca. Wysuwane są rozmaite wnioski i postulaty, czasami w ultymatywnej formie. Chciałem powiedzieć z całą otwartością: są to w większości postulaty niemożliwe do spełnienia, tak jak niemożliwe jest odwrócenie podjętych decyzji. Chcemy o tym rozmawiać, także o tym, co w odpowiedniej perspektywie czasu może być realne. Ale nie mogę, nie wolno mi – w poczuciu odpowiedzialności za słowo – składać w tej chwili nierealnych zapewnień. Gdybym tak uczynił, nie wystawiłbym sobie dobrego świadectwa. W najtrudniejszych chwilach musimy wszyscy zachować trzeźwość i rzetelność, uczciwość w rozmowie, niemożliwego – nie możemy uczynić możliwym.

Ale przede wszystkim sprawą najwyższej wagi jest przywrócenie normalnego toku pracy. Wy, którzy produkujecie, robotnicy – wiecie, co i ile tracimy, tracimy bezpowrotnie, zubożamy się, pomniejszamy nasze zasoby, zawsze przecież za małe.

Ale powrót do normalnej pracy ma jeszcze jeden sens, niezmiernie ważny, a może dziś najważniejszy: jest to jedyna droga odcięcia, wyizolowania mętów i chuliganów, podpalaczy i zabójców, zduszenia bandyckich napaści i grabieży.

Wiemy, że ogromna, przytłaczająca większość spośród Was tego nie chciała, o tym nie pomyślała, że to potępiacie. Ale pozwólcie otwarcie

powiedzieć: ci, co przerwali pracę, obiektywnie stworzyli warunki dla zajść ulicznych. Za Wami jak za parawanem skryli się ci, z którymi nie macie nic wspólnego. Dziś nadal w tym sensie te zajścia osłanialiście. Powtarzam, jestem przekonany, że nie chcieliście tego.

Odpowiedź na pytanie: co uczynić? – jest tylko jedna: powrócić do normalnej pracy, od jutra, od zaraz. Każdego z nas musi dręczyć pytanie: komu służy to, co się stało? Kto i co na tym zyskał? Czemu służy przedłużanie się napiętej sytuacji w Trójmieście, przedłużanie zniszczeń i rabunków?

Każdego z nas musi dręczyć pytanie o nasz Gdańsk. Uczyniliśmy tutaj to, co wydawało się niemożliwe. Z bólem serca patrzyłem dziś na pożary, na zniszczenia, na ślady grabieży i wandalizmu. Chyliłem głowę przed zniszczonym dobrem, przez nas wszystkich, przez te wszystkie lata, stwarzanym. Były to najcięższe chwile i myśli, jakie dane bywa przeżyć człowiekowi. Zastanawiałem się, dlaczego tego strasznego nieszczęścia nie pojmują do końca ci, od których przerwanie tego najbardziej zależy – ludzie pracy, robotnicy. Widziałem poranionych i ich cierpienia.

Każdego z nas musi dręczyć pytanie, czy to, co się dzieje, dobrze służy Polsce, jej sprawie. Dokonaliśmy niemało dla pomyślnego zakończenia tych narodowych spraw, które nie zostały do końca załatwione w wyniku drugiej wojny światowej. Dokonaliśmy tak wiele, by nasza Ojczyzna przestała być słaba, zależna i uboga, by cieszyła się szacunkiem i autorytetem. I musi boleć najgłębiej, gdy dostrzega się niepowetowane szkody, wyrządzane tej najświętszej sprawie.

Porządek i panowanie prawa na ulicach naszego miasta muszą być i będą zapewnione. Jestem przekonany, że po czasie wstrząsu i dezorientacji przyjdzie czas rozwagi, że władze państwowe, działając z całą energią i zdecydowaniem, uzyskają od Was poparcie. Czynimy wszystkie starania, by życie miasta i służby miejskie funkcjonowały normalnie, by normalnie szła praca i nauka, by powrócił spokój na ulicy, w miejscu pracy, w domu. By nikt z Was nie drżał o los najbliższych. Przywrócimy to wszystko, im skuteczniej i szybciej nam pomożecie. O tę pomoc apeluję do Was w imieniu władz, w imieniu własnym.

Przytaczam to przemówienie w całości, bo wszystkie przemówienia, które Kociołek wygłosił w Gdańsku, wydają mi się ważne, gdyż pozwalają ocenić, jak daleko posunął się w kłamstwie.

Prosto ze studia Kociołek pojechał na posiedzenie egzekutywy KW w Gdańsku. Zaczynało się ono o tej godzinie, o której Mariański kończył rozmowę

z gdyńskim komitetem strajkowym. W posiedzeniu egzekutywy wzięli udział: Karkoszka, Stażewski, Jundziłł, Krupa-Wojciechowska, Hajer, Celichowski, Malinowski, Bejm, Nikołajew, Bereśniewicz, Tkaczyk, Pieńkawa, ze strony Stoczni Lenina byli Pieńkowski i Hajduga. Obecny był minister przemysłu – Kaim, trzech członków Biura Politycznego: Kliszko, Loga-Sowiński i Kociołek, a także sekretarz Centralnej Rady Związków Zawodowych – poseł Pośpieszyński.

Kliszko oceniał sytuację, miał pretensje do partii, że „nie sprawdziła się". Mówił o konieczności zaprowadzenia porządku, o kontrrewolucji.

Na tym posiedzeniu postanowiono między innymi aresztować międzyzakładowy komitet strajkowy w Gdyni. Kociołek się nie sprzeciwił. Pytał tylko o nazwiska członków komitetu strajkowego.

Dokonać aresztowania było bardzo łatwo. Wszyscy siedzieli w udostępnionej im sali domu kultury. Milicyjne ciężarówki podjechały o dwunastej w nocy. Stoczniowcy właśnie dyktowali maszynistce odezwę do mieszkańców Gdyni: „Żeby protest odbył się spokojnie, żeby nie niszczyć, nie palić". Dokładnie wtedy wpadli ci z ciężarówek – milicjanci z nienawiścią w oczach, bili pałami gdzie popadło, rozrzucali papiery, bili też, gdy w szpalerze przeprowadzali ich do samochodów. Zrobili takie wąskie przejście między drzwiami domu kultury, które rozwalili, a drzwiczkami samochodów. Popychali między sobą tym przejściem chłopaków i okładali ich, ile wlezie. Byli w białych rękawiczkach drogówki. A potem samochody ruszyły. Wieźli ich do więzienia w Wejherowie. Aresztowano wszystkich. Byli bardzo młodzi. Chyba postarzeli się wtedy znacznie więcej niż o jedną noc.

Tej samej nocy z piętnastego na szesnastego do Gdańska wkraczają następne oddziały wojska.

Czołgi, transportery opancerzone. Cztery okręty marynarki wojennej podpływają pod redę, blokując wejście do Nowego Portu.

Stoczniowcy z Lenina zebrani w sali BHP widzieli, jak czołgi obstawiają ich stocznię, jak zamykają ją szczelnym pierścieniem. Gdy zaczynało świtać, przed piątą, dyrektor wszedł na salę i powiedział, że Kociołek przemawiał wieczorem i że wojsko ma rozkaz strzelania.

Tak dogorywał ten umęczony dzień, przechodząc w ponurą noc.

Barbara Seidler, *Kto kazał strzelać. Grudzień '70*,
Gdańsk: słowo/obraz terytoria, 2010, s. 46–88

1991/1992

Agnieszka Ostrowska-Metelska (ur. 1948)

Być tragarzem (codzienności)

W 1992 roku napisała dla „Przeglądu Tygodniowego" reportaż o dziennikarzach w nowej Polsce, tytuł: *Tragarze codzienności*.

Rozmawiała z wieloma przedstawicielami naszego zawodu. Opowiadali, że uczą się teraz pokory: twój tekst spadł, bo weszło ogłoszenie. Skracają teksty, dając pierwszeństwo reklamie, bo przecież ona ożywi pismo. Stracili poczucie bezpieczeństwa, kontraktowy system umów pozwala redakcji zwolnić dziennikarza, jeśli ten nie wywiązuje się ze swoich obowiązków. Stwierdzenie, że ten zawód wybierają ci, którzy nie lubią wstawać rano, straciło sens. Dziennikarze „Wprostu", „Gazety Wyborczej" czy „Rzeczpospolitej" mówią Metelskiej, że w dzień i w nocy są gotowi do wykonywania poleceń. W nowej rzeczywistości jednym z kryteriów oceny dziennikarza stał się jego stosunek do stanu wojennego. Widać wyraźnie, mówi Michał Mońko, reporter „Polityki" i „Kultury", że obowiązuje tylko pamięć ostatnich dziesięciu lat. Naczelny reporterskiego miesięcznika „Kontrasty" po 1989 roku znalazł się poza obiegiem intelektualnym – choć wcześniej drukował wiele niepokornych reportaży – bo naraził się wrednym artykułem o internowanych. „Tygodnik Solidarność", którego przywrócenie zostało wynegocjowane przy Okrągłym Stole, ma kilkanaście tysięcy nakładu i zalega w kioskach, a triumfy święci apologizujące znienawidzony komunizm „Nie" Urbana. „Wkurzamy każdą władzę" – mówił Marek Rymuszko (patrz s. 527), przewodniczący Krajowego Klubu Reportażu.

> Upadły wszystkie pisma kulturalne, z którymi byłem związany – opowiada Metelskiej jeden z bezrobotnych dziennikarzy, od roku bez pracy. – Nie ma „Miesięcznika Literackiego", „Kultury", „Tygodnika Kulturalnego", „Życia Literackiego". Jestem autorem wielu książek. A czuję się tak, jakby mnie nie było.

Podczas mojej pracy nad tą antologią Agnieszka Ostrowska-Metelska przysłała mi wiadomość:

> Otóż po wydrukowaniu przez „Przegląd" reportażu o dziennikarzach napisał do mnie list dwudziestopięcioletni pan Mariusz Szczygieł, bardzo kulturalnie dziękując za ten tekst. Spotkaliśmy się na kawie i wspólnie zastanawialiśmy się nad tym, co będzie dalej. Co z reportażem? Może się to

> wszystko zawali i będą rządzić kolorowe okładki? Na wszelki wypadek Pan miał scenariusz numer dwa. „Zostanę marszandem" – planował Pan w 1992 roku. Najlepiej malarstwa ze Wschodu Europy. Ja nie miałam planu B. I jak to zwykle bywa, los i tym razem pokazał swoją nieprzewidywalność. Pan jest nadal reporterem, a ja, wtedy u szczytu reporterskiej formy, zostawiłam za sobą swój życiorys i wyciągnęłam z szafy plan B.

Jest absolwentką Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego i Podyplomowego Studium Dziennikarskiego. W czasach studenckich związana z grupą literacką Stajnia i teatrem studenckim w Hybrydach. W latach siedemdziesiątych – reporterka tygodnika społeczno-ekonomicznego „Fundamenty", w latach osiemdziesiątych – „Kobiety i Życia", w latach dziewięćdziesiątych – „Przeglądu Tygodniowego" i „Twojego Stylu" (w tym miesięczniku była też zastępczynią redaktor naczelnej). Autorka zbiorów wywiadów: *Szukanie puenty życia* (1991), *Gdzie diabeł nie może* (wspólnie w Ewą Nowakowską, 1992) oraz tomiku poezji *Pamięć* (2008).

Razem z Teresą Torańską wydrukowała w 1980 roku w „Ekspresie Reporterów" reportaż *Czym oddychać w M-3?* Wywołał burzę. W Białymstoku materiały izolacyjne w domach mieszkalnych nasycano środkiem wywołującym choroby nowotworowe.

Na początku lat dziewięćdziesiątych w „Przeglądzie Tygodniowym" zamieściła też reportaż *Przeplatanka* o inteligentach, którzy zamartwiają się, czy inflacja „nie odbija", i ledwo wiążą koniec z końcem w pierwszym roku reformy Balcerowicza, a także *Na swoim* – o handlowych ambicjach Polaków w początkach wolnego rynku. Teksty te złożyły się na książkę *Pokuta po polsku* (1996). Pokuta za nie swoje grzechy, uważa autorka, stała się motywem przewodnim reportaży z tego tomu.

> Chichot historii słychać wyraźnie. Marzyliście o wolności? To ją macie. A teraz bezradnie rozbijajcie się o jej mur.

Tytułowy reportaż opowiada historię sowieckiego kolaboranta, ubeka i kata z Augustowa. Jego grób co noc był równany z ziemią. Robili to bliscy tych, których skazał na śmierć. Po październiku 1956 wyrzucono go z pracy i z partii. Zaczął wtedy rzeźbić w drewnie. Został sławnym w Polsce i na świecie artystą ludowym. Pamięć zbrodni, przez lata tłumiona, jednak wybuchła – podpalono mu pracownię. Umarł na zawał. Pogrzeb odbywał się w asyście milicji. W Augustowie nie obowiązuje „gruba kreska" („Niech trup nie zazna spokoju"). Grzech ojca spada na syna – przeznaczony na następcę Szostaka młody rzeźbiarz

popełnia samobójstwo. Wnuka Agnieszka Metelska spotyka w dniu, gdy po raz pierwszy włożył sutannę. Młody ksiądz uchyla się od oceny swojego dziadka. A w kawiarni Ptyś nie ma już rzeźb Szostaka.

– Interesują panią? – pyta kelnerka. – Stoją w magazynie. Zmieniamy wystrój.

Wracając do planu B Agnieszki Metelskiej:

Kurczył się rynek reportażu. To wtedy, już jako dziennikarka „Twojego Stylu", podpisałam umowę na dużą reporterską książkę. Ale zebranie do niej materiałów wymagało odejścia od codziennego pisania. Nie mogłam znaleźć sponsora. Wtedy wyjęłam z szuflad podręczniki prawa. Przez pół roku uczyłam się jak szalona. I w 1994 roku zdałam na aplikację adwokacką, z trzecią lokatą, pięć osób na jedno miejsce [...]. Na długo stałam się ulubionym tematem dziennikarzy jako żywe udowodnienie tezy, że wszystko jest możliwe. Zyskałam inny obszar wolności i możliwość porządkowania cudzego życia. Ale przecież tak samo jak kiedyś wsłuchuję się w cudze życiorysy.

Dziś Agnieszka Ostrowska-Metelska prowadzi indywidualną kancelarię adwokacką; była rzecznikiem prasowym Naczelnej Rady Adwokackiej. Wydała książkę o procesach politycznych *Adwokatura warszawska w latach nadziei i przełomu* (*1956–2009*).

Pokuta po polsku

Przeplatanka

– Zarabiamy ponad milion i żyjemy od pierwszego do pierwszego – mówią o sobie w pierwszym roku przechodzenia z gospodarki planowej na rynkową. – Jest nam dużo trudniej niż w 1989 roku.

W mieszkaniu państwa M. na dalekim Natolinie pijemy mieszankę breakfast tea, 3840 złotych paczka, z earl greyem – 3200 złotych opakowanie. Małżonkowie M. przyznają się do jedynego uzależnienia w czasach reformy Balcerowicza – dobrej herbaty. Zużywają sześć paczek miesięcznie, pod koniec miesiąca dla oszczędności po dwa, a nawet trzy razy zalewają wrzątkiem herbaciane listki. Dzisiaj pani Anna M. sporządziła napar numer jeden. Pan Michał M., pokrzepiony aromatem earl greya, godzi się jeszcze przez chwilę posiedzieć z nami i opowiadać o codzienności w kryzysie.

Pan Michał, technik elektronik z wykształcenia, ma czerwone z niewyspania oczy. Jutro wstanie o wpół do szóstej i pojedzie autobusem do mennicy, aby obsługiwać maszyny bijące monety.

– Jazda naszym małym fiatem kosztuje pięciokrotnie drożej – wtrąca pani Anna.

Pan Michał nie ukrywa, że przekształcenia w gospodarce go zdegradowały. Pełen wiary w mocne podstawy kompromisu zawartego przy Okrągłym Stole otworzył własną firmę. Odszedł z politechniki, gdzie pracował nad prototypami, do ciemnego lokalu w oficynie brudnego podwórka, aby produkować płytki do obwodów scalonych.

– Zapożyczyłem się u znajomych, zlikwidowałem konto dolarowe założone za kilkumiesięczną pracę za granicą. Wszystkie pieniądze wydałem na maszyny.

Pierwsze zamówienia, pierwsi odbiorcy, pierwsze zyski. Pani Anna, nauczycielka szkoły podstawowej, zaczęła kupować polędwicę i pomarańcze dla synka. Z większych zakupów – telewizor i wideo. Późna jesień ubiegłego roku obdarzyła energicznego pracownika prywatnego sektora zawiadomieniem ze spółdzielni, że czynsz za lokal wzrasta siedmiokrotnie.

– Przeliczyłem i zwinąłem interes. Maszyny spoczęły w obszernej piwnicy u teściowej, a ja zacząłem szukać pracy.

– Przez trzy miesiące chodził po wydziałach zatrudnienia i przedsiębiorstwach. Jedni nie chcieli jego, innych on – opowiada pani Anna, wspominając czas, gdy żyli z jej zarobków.

Tak jak i mąż czuje się oszukana. Zgodnie z ubiegłorocznymi ustaleniami Ministerstwa Pracy i Spraw Socjalnych średnie wynagrodzenie nauczycielskie nie może być niższe od dziewięćdziesięciu siedmiu procent płacy pracownika zatrudnionego w sferze produkcji materialnej. Pani Anna po jedenastu latach pracy powinna otrzymywać co miesiąc 540 tysięcy złotych. Odbiera 391 tysięcy. Razem ze wszystkimi dodatkami, zasiłkiem rodzinnym na dziecko odchodzi z kasy z pięciuset tysiącami w kieszeni i obietnicą, że wyrównanie będzie wypłacane wstecz, od 1 stycznia.

– Przez trzy miesiące, gdyż mąż szukał pracy, pożyczaliśmy pieniądze od rodziny. Gdy Michał został robotnikiem w mennicy, odetchnęłam. Zarabia około siedmiuset tysięcy złotych miesięcznie.

Pan Michał zasypia. Pani Anna przyznaje, że praca w szkole daje poczucie bezpieczeństwa. Szkoły nikt nie zamknie. Chociaż zapełnia się ona coraz bardziej dziennikarkami, które straciły pracę w zlikwidowanych tytułach. Jakie są? Nerwowe i agresywne.

Kiedyś kwitło życie towarzyskie. Martini bianco z mazowszanką i lodem było jedną z potrzeb intelektu. Teraz, gdy zabrakło pieniędzy, zniknęła fantazja i ochota do nocnych rozmów. Bolesław i Barbara S. z dwójką dzieci są sąsiadami państwa M. Zresztą, jak tu rozmawiać z panem Michałem, który o dziewiątej wieczorem wali się z nóg?

Gdy patrzy się w czerwone z niewyspania oczy pana Michała i pełną napięcia twarz pana Bolesława, widać, że mężczyźni fatalnie znoszą kryzys. Pan Bolesław S., operator filmów dokumentalnych najwyższej kategorii, przeszedł na „gotowość". Oznacza to w praktyce trzysta sześćdziesiąt tysięcy złotych miesięcznie i czekanie przy telefonie na propozycję kręcenia filmu. Wymuszone przez ekonomię rozstanie z ambicjami boli. Powinienem tam być – myśli pan Bolesław, oglądając wydarzenia w Wilnie[1]. Chciałbym tam być – myśli, patrząc na walki Rumunów z Węgrami[2]. Żywiołem dokumentalisty jest ruch i utrwalanie historii. Trudno codziennie tłumaczyć sobie, że brakuje kamer, taśmy i sponsorów, a Ministerstwo Kultury i Sztuki zupełnie nie promuje filmów dokumentalnych.

– Kiedyś szło się z filmu na film, nie było źle – wspomina pan Bolesław.

Ponieważ nie było źle, pan S. odkładał pieniądze na książeczkę. Właśnie wydał ostatnie 738 tysięcy złotych na dwie opony do ośmioletniego dużego fiata.

[1] 13 stycznia 1991 roku Armia Radziecka w odpowiedzi na ogłoszenie przez Litwę niepodległości zaatakowała stołeczną wieżę telewizyjną ochranianą przez ludność cywilną. W wyniku brutalnego ataku zginęło 15 osób, a ponad 700 zostało rannych.

[2] Między 19 a 21 marca 1990 roku w Târgu Mureș w Siedmiogrodzie wybuchły zamieszki, wskutek których zginęło 5 osób, a ponad 270 zostało rannych. Węgrzy domagali się uznania swoich praw po rewolucji, m.in. organizacji sieci szkół z wykładowym językiem węgierskim i prawa do jego używania w życiu publicznym.

– Nie było źle, jest kiepsko – podsumowuje pan Bolesław, który jest operatorem unikalnego filmu dokumentalnego. Udało mu się dotrzeć z kamerą do miejsc, których do tej pory nie oglądali cudzoziemcy. Gułag, Workuta, Kołyma, Magadan. Z taśmy filmu o obozach w Związku Radzieckim mówią Polacy, którzy je przeżyli. – Za taki pełnometrażowy film nakręcony dla Zachodu mógłbym spokojnie żyć przez dwa lata. W Polsce umowa między operatorem a wytwórnią filmów dokumentalnych opiewała na milion czterysta tysięcy złotych plus sześćset tysięcy za ocenę artystyczną i ekonomiczną. Pieniądze spływały w ratach.

– Dokładaliśmy je do codziennego życia – mówi pani Barbara.

Gdy pan Bolesław odkurza, froteruje i wietrzy mieszkanie, czekając na dzwonek telefonu – a nuż propozycję pracy – jego żona staje się pracownikiem absolutnie dyspozycyjnym. Jest redaktorem programowo-technicznym w Polskim Radiu i widzi, jak narasta konkurencja.

– Powrócili niezweryfikowani dziennikarze, trwa reorganizacja. Przyjmują każdą propozycję.

Pani Barbara co drugi dzień wstaje o piątej rano i wraca około północy. Pełna dyspozycyjność przynosi jej siedemset do ośmiuset tysięcy miesięcznie.

Pan Bolesław kontynuuje: prawa autorskie do jego filmów ma wytwórnia. Jeżeli nawet korzystnie je sprzeda, operator nie otrzyma żadnych tantiem. Pan Bolesław pyta:

– Czy zdjęcia z wydarzeń w Szczecinie w 1970 roku, film o stoczniowcach z 1980 roku, dokumentalne ujęcia Warszawy z 13 grudnia 1981 roku (akurat kamera była w domu), kupno telewizora, położenie drewnianej podłogi i założenie telefonu mają być moimi jedynymi życiowymi dokonaniami?

– Nie narzekaj – przerywa żona.

Kobiety przyjmują rzeczywistość z rzeczowym spokojem. Przypominają „dzielne, szczawiowe, barchanowe żony" z wiersza Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Najpierw żyć, potem filozofować – uważają i wymyślają swoje własne sposoby na codzienność.

– Po pierwsze, trzeba umieć liczyć – mówi pani Anna M.

W tej trzyosobowej rodzinie przypada czterysta tysięcy złotych na osobę miesięcznie. Suma zmniejsza się po opłaceniu światła i czynszu za mieszkanie – sto tysięcy złotych, telefonu na szczęście nie ma, ale jest radio i telewizor – trzymiesięczny abonament właśnie wzrósł. Pani Anna wyliczyła – wydawanie dziesięciu tysięcy złotych dziennie na żywność pozwoliłoby na kupno pary porządnych butów dziecku, ale oznacza biały ser na

śniadanie i placki ziemniaczane na obiad. Dwadzieścia tysięcy złotych dziennie umożliwia zbliżenie się do kurczaka w drugim gatunku – 8300 kilogram, nie mylić z nogami kurzymi, za które trzeba już zapłacić 11 200, i parówek – 17 500 na dzisiaj. Trzydzieści tysięcy złotych dziennie to rozpusta: może być dwa kilo jabłek – 6000 złotych, majonez za 2100, a nawet dwadzieścia pięć deko szynki – za 10 075 złotych. Pani Anna stosuje przeplatankę – raz dziesięć tysięcy złotych, innym razem dwadzieścia tysięcy, trzydzieści tysięcy dziennie wydaje tylko raz w miesiącu, gdy jest bardzo szczęśliwa albo bardzo załamana.

Nauczyła się sama piec chleb.

– Sypiesz mąkę, dodajesz drożdże, wlewasz wodę, robisz rozczyn – uczyła pani Anna sąsiadkę.

Pani Barbara nie ma siły na robienie rozczynu, gdy wraca do domu po szesnastu godzinach pracy.

– Odkąd skończyły się nam zapasy na książeczce oszczędnościowej, mam w głowie komputer. Ocaleje ten, kto wie, gdzie można kupić taniej – mówi i informuje, że ten sam napój jabłkowy Hortexu kosztuje 3600 złotych w sklepie warzywno-owocowym, a już 5000 złotych w spożywczym. Wołowe z kością, które można kupić na ulicy od zaprzyjaźnionego sprzedawcy gwarantującego, że mięso jest badane, kosztuje tylko 12 000 złotych za kilogram. O kilka tysięcy mniej niż w sklepie. Z tego wołowego pani Barbara poleca mielone przyprawione pieprzem ziołowym po 745 złotych paczka i choćby jedną kulką ziela angielskiego – 4000 złotych opakowanie, niestety, nigdzie taniej.

Pani Barbara omija żółty ser Żuławski za 10 900 złotych kilogram, szukając Kortowskiego za 9500. Oczywiście należy wystrzegać się masła po 2000 złotych w sklepie, skoro przed sklepem można kupić to samo masło za 1600. Nie należy też kupować mleka po południu, bo warzy się i mamy wyrzucone 1400 złotych. Pani Barbara wyliczyła, że dużo ekonomiczniejsze jest używanie mleka w proszku – paczka 5330 złotych, które jej trzyosobowej rodzinie wystarcza na dwa tygodnie, jeżeli używa się trzy łyżeczki na szklankę wody.

Wciąż liczy, krążąc po sklepach, i nie czuje takiego zmęczenia jak w ubiegłych latach. W sklepach jest cudownie pusto. Nie ma kolejek.

Rezygnują z dobrych kosmetyków. Pani Anna zużyła niedawno ostatnie mydełko Palmolive pachnące igliwiem i wspomnieniem dobrych czasów. Kupują polskie proszki do prania – drogie, ale chyba lepsze jakościowo niż kiedyś.

Pod domami stoją samochody.

– Nie wyrejestrowałem – mówi pan Michał, ale nie jeżdżę.

Pan Bolesław jeszcze czasami siada za kółkiem. Rodzinnym marzeniem jest wyprawa choćby do lasu. Restrykcje objęły i inne drobne radości wspólnego życia. Pani Anna uwielbia niedzielne ciasta. Zapach ciasta to zapach domu. Piecze bardzo rzadko, rodzynki zastępując wiśniami z działki rodziców, a skórkę pomarańczy – marchewką.

Potwierdzają to, o czym donoszą pierwsze badania domowych budżetów – przestali kupować książki i prasę, chociaż kiedyś nie wyobrażali sobie życia bez słowa drukowanego. Państwo S. aż zamarli nad ceną *Nocy generała* Mérétika – trzynaście tysięcy złotych!

– Nie wypadało się wycofać. Kupiliśmy.

Pani Barbara pozostała jedynie przy „Kobiecie i Życiu".

– Jestem tak przywiązana do tego pisma, że godzę się na wydawanie na nie pieniędzy.

Ale pani Anny nie stać na prenumeratę „Życia Szkoły", „Nauczania Początkowego", „Głosu Nauczycielskiego".

– Czytuję je w bibliotece szkolnej, pospiesznie i nieregularnie. – Ambicje doskonalenia swoich umiejętności odłożyła na inne czasy. – Ponieważ baza oświatowa jest skromna, sama kupowałam klocki magnetyczne i układanki obrazkowe dla dzieciaków z pierwszych klas. Teraz przestałam je kupować, a szkoły nadal na nie nie stać.

Plany zahamowane, marzenia nieziszczone. Pani Anna nie urodzi drugiego dziecka. Pytania syna o siostrzyczkę budzą popłoch. Nie chce, aby docierała do niego cała prawda o biedzie ich życia. Nie widzi szans na utrzymanie drugiego dziecka. Jej znajoma, która właśnie urodziła trzecie, jest tak załamana sytuacją finansową swojego domu, że zupełnie nie potrafi cieszyć się niemowlęciem. Zafascynowana jest jedynie oszczędzaniem i budzi jej zaufanie fakt, że pijąc herbatę, produkuje najdroższe mleko świata.

Natomiast państwo S. wpadają w konflikty ze swoją jedyną, dorastającą córką. Usiłują ją przekonać, że trzeba gasić światło, wychodząc z pokoju, nie przesiadać się z jednego autobusu na drugi, ale jednym, nawet wolniej, dojechać do celu. Córka patrzy z niechęcią.

– Marudzicie – stwierdza.

– Wierzymy, że przyjdzie czas, gdy kompetencje i inicjatywa zostaną opłacone i docenione – mówi pani Anna.

Czekają, śledząc informacje w dzienniku telewizyjnym, bo nie czytują gazet. Zachodni eksperci chwalą Balcerowicza. Pan Michał konserwuje

maszyny w piwnicy teściowej, wierząc, że kiedyś je wyciągnie. To są posunięcia niezbędne do zahamowania inflacji – uczą ekonomiści. Pan Bolesław jeszcze cierpliwie trwa w bezruchu. Pilnie obserwują rynek. Pani Anna z niepokojem odnotowała, że pierniczki alpejskie, które w poprzednich miesiącach leżały po kilkanaście dni w sklepach, ostatnio zniknęły w ciągu paru godzin.

– Czy powraca fala pieniędzy? – pyta pani Anna. – Mięso drożeje. Czy odbija inflacja?

Trzeba dać szansę gospodarce, pocieszają się. Musi minąć czas, aż sytuacja się ustabilizuje, dodają. Czas mija, powtarzają. I czują, że oni mijają razem z nim. [...]

Na swoim

[...] Wkrótce po handlu państwowym nie zostanie nawet ślad. Zapomnimy zgrzebne bluzeczki spółdzielni „Lipcowy Zryw" zwisające z wieszaków w pomieszczeniach sklepów szumnie zwanych salonami. W przeszłość odejdą znudzone panienki za ladą, które brudnymi palcami obmacywały plasterki krojonego sera.

Właściciele ekskluzywnego butiku ze sprzętem sportowym i ubraniami przy ulicy Chmielnej w Warszawie zmienili dwadzieścia ekspedientek, które trafiły do nich po praktyce „na państwowym", zanim nauczyły się sztuki handlu. Do handlu trzeba mieć dryg, mówią znawcy, wymagać od siebie i innych. A to najlepiej potrafi właściciel.

Centrum Warszawy w ciągu kilku miesięcy zmieniło wygląd. Frontem do klienta – ulubione hasło uspołecznionego handlu dopiero w prywatnych rękach nabiera kolorów. Na ulicy Chmielnej, porównywanej przez niektórych z budapeszteńską Váci, u stóp olśniewająco białego futra leżą lilie ponad śnieg bielsze. Manekin z butiku Alex aż wyszedł na ulicę, żeby swoją czarną skórą i suknią z rdzawego jedwabiu wabić do wnętrza sklepu. Dorothy Shop zaprasza w podwórko, w Golden Box złoto leży w brązowych kasetkach pod wielkim beżowo-brązowym gobelinem. Nowo otwarty sklep z francuskimi kosmetykami firmy Yves Rocher jest przejrzysty i zielony jak akwarium. Widać, że handlowcy prześcigają się w pomysłach, żeby zainteresować przechodnia. Ekstrawagancja chce wyprzedzić prostotę, obronną ręką wychodzi poczciwa niższa cena.

Władze Śródmieścia postanowiły, że nie będzie przetargów. Niech wygrywa logika potrzeb, a nie pieniądze. Trwa konkurs ofert. Przeciwnicy tej metody zarzucają, że jest powrotem do ręcznego sterowania. Władze bronią swoich racji, twierdząc, że przy konkursie ofert wiadomo, kto jaką branżę

chce prowadzić. W ten sposób można zapanować nad handlową mapą Śródmieścia i zagwarantować ludziom, że w tej części miasta będą i sklepy spożywcze, i bary mleczne, a nie tylko luksusowe butiki i drogie restauracje. Pierwszeństwo mają ci, którzy chcą utrzymać dotychczasową branżę.

Tymczasem w Pasażu Śródmiejskim miejsce przetworów garmażeryjnych zajęły importowane wina francuskie poukładane gustownie w drewnianych stojakach. Bardziej potrzebne niż kaszanka i pierogi z kapustą? Może uznano, że należy je zlikwidować, bo sąsiedni sklep rybny „rozszerzył asortyment". Są tu nie tylko tusze z halibuta, ale i wiejskie mleko, gęsta śmietana, islandzki dressing, szynka, salami, dziesiątki przypraw. Tuż obok zamiast tanich ubrań szytych przez chałupniczki z Apisu można kupić kolorowe plastiki do gospodarstwa domowego. Widocznie przeważyły głosy, że na Chmielnej strojów w bród. Dalej pozostał ogromny sklep spożywczy zapełniony już na początku reformy Balcerowicza wszelkim dobrem. Tuż za nim zakłady mięsne ze Stanisławowa oferują swoje wyroby w szerokim wyborze.

Warszawa się zmienia i nie zmienia. Pozostaje droga. W województwie katowickim firma zachodnioniemiecka Future 2 weszła w spółkę z domami towarowymi. Organizuje na dużą skalę handel artykułami detalicznymi codziennego zakupu. Efekt? Ceny niższe od dwudziestu do trzydziestu procent niż w innych miastach.

[...] Oferty piętrzą się na biurkach. Ewa Gralewska – naczelnik Wydziału Handlu, Drobnej Wytwórczości i Usług Warszawa-Śródmieście – mówi, że napływają ciągle nowe prośby od chętnych do przejęcia lokali, pomimo że śródmieście stolicy jest miejscem najdroższych czynszów w kraju – ponad dwieście tysięcy złotych za metr kwadratowy w 1992 roku.

– Mamy w tej chwili dwadzieścia tysięcy ofert. Jeszcze pół roku temu było ich cztery tysiące. Zainteresowanie handlem rośnie, a dysponujemy tylko czterema tysiącami lokali. Dopiero musimy zbudować swój majątek.

Przedsiębiorstwa Gospodarki Mieszkaniowej przepatrują na prośbę władz dzielnicy puste piwnice, zaniedbane sutereny. Wybite okna i pleśń na ścianach nie odstraszają amatorów transakcji kupna-sprzedaży. Zdecydowani inwestować widzą oczami wyobraźni w wyremontowanych piwnicach magazyny na towary, które zamienią w pliki banknotów.

– Aby mówić o postępie w polskim handlu – mówi dyrektor Lewiński z Ministerstwa Rynku Wewnętrznego – trzeba trzykrotnie zwiększyć powierzchnię przeznaczoną na tę działalność. W Europie Zachodniej przypada siedemset metrów na dziesięć tysięcy mieszkańców. W Polsce zaledwie dwieście trzydzieści metrów na taką samą liczbę osób.

Dyrektor, owładnięty ideą ucywilizowania nas, odbywa spacery między ulicą Kopernika a placem Powstańców, na którym znajduje się jego macierzyste ministerstwo. Przenikając wzrokiem ściany, wpatrując się w okna, oglądając wielkie biura, wyliczył, że tylko na tym krótkim odcinku można znaleźć aż tysiąc pięćset pomieszczeń do handlowania i gastronomii. Dyrektor gotów jest nawet stołówkę Ministerstwa Rynku przeistoczyć w przytulną knajpkę. Po co kurczącemu się ministerstwu stołówka? Nie będzie miał kto w niej jadać.

Przed listą wywieszoną w urzędzie dzielnicy gromadzą się zainteresowani i ciekawi. Władze, aby uniknąć plotek i nieprawdziwych oskarżeń, podają do publicznej wiadomości, kto i za ile otrzymał lokal. Radosna euforia szczęśliwców często trwa krótko. Są już pierwsze bankructwa niedawnych zwycięzców przetargów. Ci, których upór i hazard brały górę nad zdrowym rozsądkiem, padają szybko. [...]

Do ministra rynku, władz komunalnych napływają błagalne podania o obniżenie czynszów. Są już nawet propozycje, aby nadmiernie wysokie czynsze opodatkować, traktując je jako specyficzny rodzaj działalności gospodarczej.

Samorządy patrzą z niechęcią na takie pomysły, broniąc swoich zarobków i nie zamierzając ustępować.

Są także pierwsze wota nieufności. Na warszawskiej Woli organizacje kupieckie i towarzystwa prywatyzacyjne zaczęły zbierać podpisy pod wotum nieufności dla Rady Dzielnicy. Zarzucano, że zamiast uczciwych przetargów burmistrze albo ich pełnomocnicy do spraw własnościowych decydowali, komu przyznać lokal. U burmistrzów podobno największe szanse mają firmy z zagranicznym kapitałem. Oni też potrafią przymykać oczy na zmianę branży sklepu – z potrzebnego ludziom spożywczego na mniej przydatny butik.

Demokracja nie przemienia ludzi w aniołów. Tam, gdzie są duże pieniądze, tam są i nadużycia.

Prywatyzacja jest dla bogatych, a nie nędzarzy – powiedział jeden z wysoko postawionych urzędników zajmujący się przekształceniami własnościowymi w Polsce. Dyrektor Lewiński jest innego zdania. Ma w pamięci salę Stołecznego Przedsiębiorstwa Handlu Wewnętrznego w Lublinie, gdzie rozmawiał pół roku temu z władzami miasta o przemianach w handlu. Nagle wszedł tłum kobiet zagrożonych utratą pracy. Miały przerażone twarze, stały z tyłu i czekały na wynik rozmowy.

– Wtedy zrozumiałem, że jestem z nimi.

W Warszawie połowę sprywatyzowanych sklepów otrzymały załogi. One przejęły wiele komisów, księgarń, sklepów optycznych. Czy dadzą sobie radę w nowej sytuacji ludzie latami demoralizowani przez komunizm? Nie nauczyli

się pracować ani handlować. Ale kto z nas w minionych latach pracował dobrze? – pytają obrońcy załóg. Jeżeli nie poradzą sobie, będą musiały odejść. Trzeba dać im szansę.

Zamiast szansy mamy pierwsze precedensowe procesy sądowe o prawo do prowadzenia działalności handlowej w spornym handlu. W Warszawie sądy podejmą decyzje o sklepach na Woli, przy Nowolipkach i ulicy Żytniej. Ale i w Śródmieściu nie wszystko idzie tak gładko, jak by to zapowiadały zharmonizowane kolory witryn.

– Pan Bóg nam zesłał panią redaktor – mówią panie ze sklepu z jedwabiem milanowskim przy ulicy Chmielnej. Wśród miękkich tkanin dramat.

– O mało nie padłam, jak zobaczyłam na liście w urzędzie, że nasz sklep otrzymała spółka Multico, właściciel luksusowych butików w Warszawie – mówi Janina Charczuk, od czternastu lat pracująca w sklepie z jedwabiem.

Panie opowiadają, jak to założyły spółkę pracowniczą, SPHW przekazało im lokal przy udziale Przedsiębiorstwa Gospodarki Mieszkaniowej i wszystko zdawało się proste. Tym bardziej że prezydent Warszawy zapewnił pierwszeństwo w przyznawaniu sklepów właśnie pracującym w nich załogom.

Panie zadłużyły się, wyłożyły wszystkie swoje i pożyczone u dobrych ludzi pieniądze, aby zakupić towar. Pełne nadziei planowały wzięcie kredytu z banku, aby zacząć remont sklepu. Teraz drżą przed każdym kolejnym pismem z PGM-u zapowiadającym wyłączenie światła, odcięcie wody, zaplombowanie zamków, ponieważ bezprawnie zajmują lokal.

– Handel jest jak narkotyk, jeśli pozwala mnożyć pieniądze – mówią do mnie w znakomicie zaopatrzonym sklepie z kurtkami, bluzami, dżersejowymi kompletami. Kierownik prosi o anonimowość, podając, że obroty w ciągu pięciu dni wyniosły tyle samo, co na trzykrotnie większej powierzchni uspołecznionego sklepu w ciągu dwóch miesięcy.

Nowa sytuacja wyzwala w ludziach niespotykaną dotąd energię. Jeżdżą, szukają dostawców, zachwalają, przeceniają, byle sprzedać i zarobić. Nowi szefowie zaczynają pracę o wpół do piątej rano, a kończą o wpół do dziesiątej wieczorem.

Wiktor Brzozowski ze sklepu przy ulicy Żurawiej w Warszawie od czerwca, gdy załoga przejęła sklep, nie kładzie się wcześniej niż przed trzecią w nocy. Wypełnia księgi przychodów i rozchodów dla urzędu skarbowego. Aby być w porządku, należy je prowadzić na bieżąco i wpisać każdą pozycję pod koniec dnia, nie później jednak niż przed rozpoczęciem następnego dnia pracy.

Teraz, gdy zakup towaru jest związany z bezpośrednim ryzykiem finansowym zatrudnionych w sklepie ludzi, są pełni poświęceń. Pracownicy sklepu

przy Żurawiej, zanim założono kraty za pierwsze zarobione pieniądze, czuwali na zmianę nocami, pilnując dobytku. Pan Brzozowski na targach w Poznaniu przestał cały dzień w kolejce, aby podpisać nowe umowy. Teraz obawia się, czy będą miały zbyt angielskie pralki Hoovera i wełniane bułgarskie dywany sprowadzone „w celu poszerzenia oferty".

Tylko klient jeszcze nie dorósł do nowego rynku. Przychodzi, ogląda. Mówi, że nie ma pieniędzy. [...]

Agnieszka Ostrowska-Metelska, *Pokuta po polsku*, Warszawa: Sic!, 1996, s. 107–112 i 133–139

1991

Witold Pasek (ur. 1967)

Polityka opisać jak wyborcę

Choć młode pokolenie może nie zdawać sobie z tego sprawy, reportaż ten jest znakiem czasu. Otóż po dziesięcioleciach sprawowania władzy przez ludzi nieosiągalnych dla dziennikarzy (a jeśli już, to przemawiających nowomową zgodną z ideologiczną linią partii) zaczął się czas normalności. Czas władzy, która przymuszona okolicznościami 8 czerwca 1989 roku musiała się stać bezpośrednia i komunikatywna.

Byliśmy młodą grupą reporterów „Gazety Wyborczej" (Wojciech Górecki, Grzegorz Górny, Irena Morawska, Lidia Ostałowska, Witold Pasek, Paweł Smoleński, Wojciech Tochman i ja), która od 1989 roku zaczęła konsekwentnie korzystać z tego, że władza jest teraz na miarę człowieka, a nie na miarę państwa. Ślaliśmy do władzy pytania, podszczypywaliśmy ją, kiedy nie chciała odpowiedzieć, domagaliśmy się swego. Opisywaliśmy też władzę z ludzkiej strony. Wydawnictwo BGW, pierwsze, które w kapitalistycznej Polsce wypuściło bestsellery nowego typu (na przykład wywiad rzekę z Edwardem Gierkiem), zaproponowało trzem reporterom „Gazety": Górnemu, Paskowi i Tochmanowi, opisanie ludzi z wyżyn społecznych. Takich, którzy zmieniają współczesną Polskę. Powstała z tego książka *Sprawcy* (1991). Na okładce zdjęcia: Balcerowicza, Cimoszewicza, Jankowskiego (Macieja, przewodniczącego Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność"), Łętowskiej, Skubiszewskiego. „Polityka polska jest w stanie średnim, by nie powiedzieć kiepskim, jednak obwinianie polityków do niczego nie prowadzi" – napisał we wstępie Marcin Król. Politycy, podsumował, są tacy jak ich wyborcy.

Reporterem, który opisał w tej książce ministra tak, jakby opisywał zwyczajnego wyborcę, był Witold Pasek (wtedy student dziennikarstwa na Uniwersytecie Warszawskim). Spotkał się z Aleksandrem Paszyńskim, ministrem gospodarki przestrzennej i budownictwa w rządzie Tadeusza Mazowieckiego. Zamiast jednak przeprowadzić typowy wywiad, napisał monolog ministra opowiadającego o tym, jak mieszka, po co mu balkon i duży stół. Przy tej okazji minister zdradza, jak zdobyć własne mieszkanie. Pasek kończy tekst zaskakującą pointą (bo w dobrym reportażu nic nie powinno być oczywiste).

A jak przyszło mu do głowy, żeby pytać ministra i senatora o jego warunki mieszkaniowe?

> Umówiliśmy się w budynku senatu – opowiada. – Żadnego „politycznego" zadęcia. Byliśmy umówieni na dwie godziny, ale przegadaliśmy chyba

z sześć. Miałem gigantyczną ilość... cholernie nudnego materiału. Wszystko niby ważne rzeczy: pomysły, plany, programy, cyferki... ale ogólnie: zero. Obaj byliśmy mocno zmęczeni, więc mój rozmówca zaproponował spacer. Usiedliśmy na ławce przy domkach osiedla Jazdów. Paszyński zaczął opowiadać o jego historii, konstrukcji budynków, ich wznoszeniu, eksploatacji... Było to x razy ciekawsze niż jego opowieści o polityce budowlanej rządu Mazowieckiego. Pomyślałem, że to interesujące, jak człowiek zarządzający „architektonicznym krajobrazem Polski" urządził swoją własną, prywatną przestrzeń. Zapytałem o „wymarzone mieszkanie" – okazało się, że Paszyński mieszka w takim „wymarzonym", że jedyne, co by zmienił, to przeniósł je, „wyciął" z bloku i postawił wśród zieleni. Zapytałem o meble: odparł, że ich nie znosi. Zaczęło mi się wydawać, że trochę go rozumiem: czysta, niezagracona przestrzeń. Chyba przez dwie godziny opisywał mi, jak mieszka, a ja coraz lepiej rysowałem sobie jego obraz jako człowieka i polityka. Spisałem to, wplatając w jego opis swoje uwagi – jak ja to rozumiem, jak przekładam to na jego działalność polityczną... Ale coś było nie tak. Przeczytałem jeszcze raz tekst; doszedłem do zdania, że Paszyński nie lubi mebli i... wykreśliłem siebie z tego tekstu. To były właśnie takie niepotrzebne meble, czy – jak się mawiało za moich czasów – dobijanie pointy deską.

Dziś Witold Pasek nie jest już dziennikarzem, ostatni tekst dziennikarski napisał w 1995 roku. Zajmuje się marketingiem i zarządzaniem. Karierę reportera zaczynał we Wrocławiu w dwutygodniku „Iglica". Potem w maju 1989 roku jako student został zaproszony do współpracy przez Ernesta Skalskiego, ówczesnego zastępcę naczelnego „Wyborczej".

Ale nadal siedzi w nim reporter:

Jeden temat ciągnie się za mną od 1991 roku. Opublikowałem wtedy w „Gazecie Świątecznej" reportaż historyczny *Życie zuchwałe* – taka sylwetka bohatera podziemia opisywana przez jego syna. Wysłuchałem, zweryfikowałem (na ile się dało) i opublikowałem. Ale coś mnie męczyło – czułem, że w tej historii jest drugie dno. Dogrzebywałem się do tego drugiego dna piętnaście lat. Nie dziennikarsko czy reportersko, ale z własnej potrzeby poznania tej historii do końca. Jeździłem do archiwów w Rosji i w Anglii, docierałem do świadków, spisywałem, nagrywałem. Aby uporządkować materiał, napisałem o moim bohaterze doktorat, ale dalej nie byłem pewny, że jestem już gotowy, aby ponownie zmierzyć się z tą historią jako reporter. Siedzi gdzieś we mnie głęboko i czeka. Może kiedyś będzie z tego reportaż... Nie o samym bohaterze, ale o jego poszukiwaniu.

Przestrzeń życia (Aleksander Paszyński)

Mieszkam w dość typowym „socjalistycznym" domu. Jest to klasyczny „mrówkowiec", zuniformizowany blok spółdzielczy, wybudowany w najgorszym dla budownictwa okresie – pod koniec lat sześćdziesiątych, a więc w fazie tak zwanego taniego budownictwa gomułkowskiego.

Udało mi się – a jak na tamte czasy był to spory sukces – uzyskać mieszkanie typu M-6, a więc największe według ówcześnie obowiązujących norm. Liczy ono jednak zaledwie sześćdziesiąt siedem metrów kwadratowych, a więc niewiele więcej niż przeciętne dzisiejsze M-4.

W chwili, gdy się do niego wprowadzałem, mieszkanie miało cztery pokoje. Trudno je zresztą nazwać pokojami, klitki raczej...

W owym czasie zajmowaliśmy je z żoną i dwojgiem dzieci, przez pewien czas mieszkała też z nami teściowa.

Właściwie wszystkie moje działania zmierzały, i zmierzają nadal, do tego, by dostosować to mieszkanie do jego stale zmieniających się funkcji: ostatnio na przykład rozbiłem ścianę między dwoma pokojami, uzyskując w ten sposób coś w rodzaju salonu.

Dzieci już się wyprowadziły „na swoje", a ja prowadzę dość aktywne życie towarzysko-zawodowe, wobec czego potrzebuję takiego właśnie miejsca, gdzie mogę przyjmować gości, porozmawiać w spokoju i gdzie do stołu może zasiąść jednocześnie sześć, osiem osób.

Drugi pokój służy mi do pracy, a trzeci zajmuje żona...

Mam też balkon, który przy moim trybie życia odgrywa bardzo ważną rolę, nie stać mnie – nie ze względów finansowych, ale z powodu braku czasu – na posiadanie daczy za miastem, a w moim wieku tęskni się już coraz częściej do powietrza, wiatru...

Wybrałem sobie mieszkanie na ostatnim piętrze szesnastopiętrowego domu, daje to wspaniały widok na całą Warszawę i pozwala traktować tę lodżię jako miniaturowy ogródek.

Wymurowałem tam coś w rodzaju sporej donicy, posadziłem rośliny...

Kiedy jest ciepło, to mogę się tu nawet opalać nago...

Nie wyobrażam sobie niedzieli bez tej odrobiny komfortu, jaką daje mi świadomość, że przynajmniej na moim własnym balkonie mogę nieogolony i nieubrany wylegiwać się na leżaku z ciekawą książką.

Tak oto typowe mieszkanie w bloku stało się względnie wygodne i odpowiada charakterowi naszego życia.

Myślę już o kolejnych przeróbkach: chcę na przykład kosztem jednego z pokoi powiększyć kuchnię i stworzyć coś w rodzaju aneksu kuchennego.

Może kiedyś rozbiję jeszcze jakąś ścianę i zamiast czterech będę miał tylko dwa pokoje...

Zyskam wtedy więcej przestrzeni, więcej swobody...

Nie lubię mebli. Nie odnoszę się do nich z nabożeństwem, nie czerpię satysfakcji z ich przestawiania czy polerowania... Zawsze wolałem – jeżeli tylko miałem jakieś nadwyżki finansowe – jechać na ciekawą wycieczkę zagraniczną niż kupować meble...

Teraz jednak – wiek sprawia przecież, że coraz więcej czasu spędzam w domu – mieszkanie moje przybiera powoli nieco mieszczański wygląd, obrasta sprzętami...

Dom moich marzeń?

Chciałbym, aby możliwe było wycięcie mojego mieszkania z tego „mrówkowca" i postawienie go na ziemi gdzieś za miastem, wśród zieleni.

Domek jednorodzinny nie musi być wcale dużo większy niż to moje mieszkanie w bloku, uważam, że dziewięćdziesiąt, dziewięćdziesiąt pięć metrów dla dwóch, trzech, a nawet jeszcze czterech osób powinno w zupełności wystarczyć.

Domek taki musi być próbą – w wersji najskromniejszej – połączenia zalet wolnej przestrzeni i typowego mieszkania z bloku...

Parterowy, niepodpiwniczony, bryłą przypominający leżącą literę „L"..., z podziałem funkcji: w jednej części salon, pokoje „dzienne", słowem: reprezentacja, przyjmowanie gości, a w drugiej sypialnie, gabinet, kuchnia... Dużo szkła... Wyjście do ogrodu musi łączyć harmonijnie wnętrze domu z jego otoczeniem...

Kiedyś zrezygnowałem świadomie z myśli o domku jednorodzinnym, bo to oznaczałoby wyjście poza centrum miasta, konieczność ograniczenia aktywności zawodowej i towarzyskiej...

Miałem przez pewien czas letni domek za miastem – oryginalną drewnianą chatę kurpiowską. Jednak jej utrzymanie wymagało poświęcenia zbyt dużej ilości czasu, na co wówczas nie mogłem się zdecydować...

Co zrobiłbym dzisiaj, gdybym nie miał mieszkania?

Przede wszystkim zerwałbym ze złudzeniami, że za rok czy za pięć lat państwo „coś wymyśli". Nie sądzę zresztą, aby najgenialniejszy nawet rząd czy parlament mógł czynić cuda...

Skończyła się bezpowrotnie era „tanich mieszkań". Nie będzie już ich „dawania" czy „przydzielania"...

Bierne oczekiwanie na własne M – na zasadzie, że skoro mam swój numer na liście oczekujących, to w końcu „oni" muszą mi jakieś mieszkanie zapewnić – nie ma przyszłości.

„Skazani jesteśmy na niewiadomą, na łaskę budżetu i ministra budownictwa..." – im szybciej odrzucimy taką filozofię, tym dla nas wszystkich lepiej.

Złudzenia oczekujących na mieszkania wynikają z nadziei powrotu do starych zasad: jak będziemy manifestować pod Belwederem, to wymusimy ustępstwa na rządzie, to państwo się jakoś zbierze, wyskrobie z budżetu ostatnie rezerwy i minister budownictwa znów będzie dawał mieszkania albo przynajmniej tanie kredyty...

Ta nadzieja jest całkowicie irracjonalna. Klęska naszej polityki mieszkaniowej polega właśnie na jej podsycaniu...

Trzeba dokonać weryfikacji całego sposobu myślenia wykształconego przez te ostatnie czterdzieści kilka lat.

Dzisiaj o budownictwie decydują wyłącznie pieniądze.

Z punktu widzenia tych, którzy czekają na mieszkania, to, co teraz mówię, wydawać się może makabrycznym żartem: aby wyobrazić sobie względnie przyzwoite mieszkanie w granicach sześćdziesięciu metrów kwadratowych, trzeba – przy minimalnym koszcie dwóch milionów za metr – około... Nie będę tego nawet mnożył, gdyż są to kwoty wykraczające poza granicę wyobraźni przeciętnego człowieka.

Tkwi tu podstawowy błąd myślowy: mamy do czynienia z rynkiem mieszkaniowym – powtórzę: rynkiem – a więc i nasze zachowania powinny być zachowaniami rynkowymi.

Jak zdobyć mieszkanie?

Odpowiem krótko: zbudować sobie.

Punktem wyjścia musi być założenie: macham ręką na kolejkę w spółdzielni. Nikt nie da mi mieszkania.

Oczywiście zbudowanie własnego mieszkania nie jest sprawą prostą i dlatego jeżeli nie dysponujemy nadmiarem środków – a w takiej sytuacji właśnie znajduje się większość młodych Polaków – nie należy porywać się na to zadanie samodzielnie... Najlepiej stworzyć grupę około dziesięciu ludzi, których łączyć powinno mocne postanowienie, że „już wkrótce we własnym domu...".

Zespół taki powinien być możliwie autarkiczny, to znaczy mieć kogoś, kto się zna na budownictwie, kogoś od „papierowej roboty" i wreszcie kogoś, kto ma smykałkę do biznesu, rasowego menedżera...

Wyobraźmy sobie więc, że mamy grupę, powiedzmy, dziesięciu młodych ludzi... Ludzi, którzy są w tragicznej sytuacji mieszkaniowej, którzy nie mogą już dłużej czekać na własne mieszkanie...

Do rozpoczęcia budowy niezbędne są dwie rzeczy: teren i pieniądze... Albo raczej, by zachować właściwą kolejność: pieniądze i teren.

Pytanie zasadnicze: skąd wziąć pieniądze?

Gdybym był w takiej grupie, to zebrałbym pozostałych i zapytał: „Czy mamy szansę kupienia – powtarzam: kupienia – od kogokolwiek jakiegoś terenu budowlanego?". Terenu, na którym można by postawić nie tylko te dziesięć mieszkań dla nas, ale i drugie dziesięć budowanych z intencją sprzedania ich na wolnym rynku.

Jeśli potrafiłbym – a nie jest to takie skomplikowane, jak by się wydawało na pierwszy rzut oka – zbudować te dwadzieścia mieszkań w ciągu roku, to nie przejmowałbym się wcale kwestią braku pieniędzy...

Zaciągnąłbym kredyt, nawet na najgorszych warunkach, jakie dzisiaj oferują banki, bo przy obecnych cenach mieszkań nie tylko spłaciłbym bez problemu odsetki, ale jeszcze bym na tym interesie zarobił na urządzenie własnego mieszkania.

To jest jedna z możliwości. W innym wariancie może to wyglądać na przykład tak: biorę kredyt, stawiam budynek pięciokondygnacyjny, w którym mieszkania są na górze, a parter i pierwsze piętro przeznaczam na biura i lokale handlowe, wszystko to z intencją sprzedaży bądź wynajęcia ich tym, którzy zapłacą najwięcej...

Są też inne sposoby: widok warszawskich ulic zastawionych straganami może podpowiedzieć właściwe rozwiązanie...

Każda duża spółdzielnia mieszkaniowa ma na swoim obrzeżu tereny, które nie są, czy wręcz nie mogą być wykorzystane na klasyczne budownictwo mieszkaniowe...

Jeśli przyjrzeć się dokładnie naszym osiedlom, zauważymy, że to właśnie obrzeże obstawione jest jakimiś budami, straganami, garażami blaszanymi...

Otóż można dogadać się ze spółdzielnią, że na tym właśnie terenie wybudujemy... mały dom towarowy. Brzmi to trochę abstrakcyjnie, choć wcale abstrakcją być nie musi.

Wybudujemy go po to, by „zapracował" na dalsze nasze działania... Teraz problem drugi: jak zdobyć teren pod budowę? Ktoś powie tak: „Dobrze, można zbudować mieszkania w ciągu roku, ale przecież jest jeszcze cała procedura biurokratyczna, te wszystkie zgody, ustalenia, pozwolenia, opinie... Samo uzyskanie terenu...".

Istnieje przecież wiele terenów prywatnych, które nie zawsze przeznaczone są w planach zagospodarowania pod zabudowę. Często są to tereny rolne o niskiej kwalifikacji ziemi, które można dość łatwo – choć „łatwo" nie zawsze oznacza „tanio" – „przerobić" na tereny budowlane...

Oczywiście, są to tereny dość drogie, ale nie ma korzystniejszej inwestycji – nawet przy obecnych cenach – niż kupno ziemi rolniczej, przekwalifikowanie jej na teren budowlany i... odsprzedanie z zyskiem.

Gdybym reprezentował ową dziesiątkę, to szukałbym także – to już inny pomysł na to, jak uzyskać chociaż skrawek uzbrojonego terenu – z władzami lokalnymi następującego porozumienia: jeżeli sprzedacie mi taniej jakieś grunty, to ja jestem w stanie wybudować na nich dwadzieścia mieszkań, z których dziesięć będzie dla nas, pięć sprzedamy, by pokryć koszty budowy, a pięć oddamy do dyspozycji gminy dla ludzi, którzy z jakichś powodów zasługują na preferencje...

Mamy już teren: możemy więc zaczynać budowę.

Teraz stajemy przed niezwykle ważnym problemem: pożyczyłem z banku pieniądze i muszę zdecydować, komu je powierzyć: czy spółdzielni mieszkaniowej, czy może lepiej poszukać na rynku innego inwestora oferującego najlepsze warunki?

Pojawia się coraz więcej firm – na razie drogich – które powiadają: „Proszę się o nic nie martwić, my wybudujemy dom za pana, będzie to kosztować tyle a tyle... Nawet lokalizację załatwimy...".

Ja jednak namawiałbym wszystkich do samodzielnego zbudowania, a przede wszystkim samodzielnego rozplanowania swego przyszłego domu.

Zerwałbym przede wszystkim z tradycyjną filozofią budowlaną, że chciałbym mieć jak najszybciej docelowe rozwiązanie, a więc cztery, pięć albo i więcej pokoi... Szukałbym projektu, który pozwoliłby etapować powstanie mojego domu.

Byłby to dom o takiej konstrukcji – najlepiej drewniany, szkieletowy – która pozwoliłaby w przyszłości na rozbudowę.

Muszę powiedzieć sobie: „Trudno, w pierwszym etapie stać mnie na jeden pokój i na część kuchenno-sanitarną, ale kiedyś dobuduję drugi, trzeci, czwarty pokój... Kiedyś stać mnie będzie na saunę...".

Zbrodnią nieomal jest oszczędzanie na etapie myślenia o mieszkaniu.

Mieszkanie to nie garnitur, który zmienia się co pewien czas...

Mieszkanie musi być indywidualnie zaprojektowane w zależności i od typu rodziny, i od przyzwyczajeń ludzi, od wyobrażeń o życiu...

Trzeba zerwać nareszcie z ideą tak zwanych projektów typowych, według których się w Polsce budowało i buduje nadal.

Typowy projekt jest jak ten garnitur konfekcyjny: dla wszystkich i dla nikogo.

Jestem ogromnie przywiązany do tradycji Muratora, pierwszej firmy doradczej, którą udało się nam założyć w roku 1982, a więc głęboko w stanie wojennym.

Otóż my właśnie oferowaliśmy w Muratorze na przykład dziesięć godzin rozmowy z architektem, który wyjaśniał, jak przy zachowaniu bez zmian podstawowych parametrów projektu (na przykład ceny, powierzchni mieszkania) można uzyskać zupełnie inne mieszkanie odpowiadające indywidualnym potrzebom i oczekiwaniom.

To samo tyczy mieszkania w „mrówkowcach".

Narzekamy na mieszkania w blokach, że są drogie, a przecież około dwudziestu procent kosztów wybudowania takiego typowego mieszkania to... piwnice.

Warto postawić sobie pytanie: a po co są dzisiaj piwnice? Piwnica jest elementem, który jeszcze na przykład dwadzieścia, trzydzieści lat temu, kiedy kupowało się węgiel i zapasy na zimę, był potrzebny, ale dzisiaj?

Gdybym ja miał decydować, to powiedziałbym sobie: a ja wolę mieć przy kuchni spiżarkę zamiast piwnicy. Jest to znacznie tańsze i znacznie bardziej funkcjonalne.

Krótko mówiąc: mieszkanie musi być podporządkowane koncepcji życia, wizji rodziny...

Przyzwyczajeni jesteśmy do tego, że dotychczasowa oferta mieszkaniowa była jak tradycyjny kelnerski „Kotlet raz!".

Czasem przedpokój był trochę szerszy, raz trochę węższy, ale poza tym wszystko było takie same... I ten standardowy sposób myślenia przenieśliśmy także na dom jednorodzinny...

Zupełnie inaczej wygląda przecież sytuacja kogoś, kto myśli o pracy w domu – dla niego gabinet będzie najważniejszym pomieszczeniem, a inaczej kogoś, kto hołduje tradycyjnemu modelowi rodziny – dla niego tę rolę będzie odgrywał pokój dziecinny...

Ideałem byłoby, gdyby sześćdziesiąt, siedemdziesiąt procent budownictwa to były domy typu indywidualnego, nieblokowego. Duże zespoły domów jednorodzinnych; ze względu na brak terenu powinna to być zabudowa szeregowa.

Natomiast około dwudziestu procent to powinny być mieszkania typu apartamentowego: dla osób, dla których – tak jak dla mnie – mieszkanie w centrum miasta jest pewnym stylem życia.

Przede wszystkim trzeba jednak zerwać z myśleniem o domu jako o czymś wiecznotrwałym, trzeba odejść od koncepcji bunkra z żelazobetonu... Teraz już możemy rozpocząć budowę...

Nie, jeszcze jedna sprawa: musimy się także oderwać od tego wszystkiego, co jest jakby zapleczem myślowym każdego inwestora: że on musi mieć ciepło z elektrociepłowni, wodociąg miejski itd.

Otóż między piecem węglowym a elektrociepłownią jest po drodze bardzo wiele rozwiązań pośrednich... Ogrzewanie elektryczne... Gazowe... Siłownie wiatrowe... Słoneczne...

Najważniejsze jest przełamanie tego straszliwego przeświadczenia, że nic się zrobić nie da, że można tylko czekać, aż „sytuacja się polepszy...". Trzeba zmienić sposób myślenia!

Można podać wiele przykładów na to, że „stare", tradycyjne myślenie nie pozwala na jakąkolwiek radykalną poprawę sytuacji mieszkaniowej w naszym kraju...

Przykład pierwszy: w Warszawie mieszkaniami o najgorszym standardzie, jaki można sobie wyobrazić, są domy na osiedlu Za Żelazną Bramą.

Z drugiej jednak strony jest to jeden z najlepszych punktów w mieście... I pojawiła się firma zagraniczna, która zaproponowała spółdzielni, że wykupi te domy i albo je zburzy – bo i do tego trzeba się powoli przyzwyczajać – albo zmodernizuje...

Koncepcja była taka: wybudować w innym miejscu przyzwoite mieszkania „na wymianę" i powoli przejmować te walące się rudery, by jak najszybciej wyburzyć je i postawić na tym miejscu biurowce.

I oczywiście rozpoczął się natychmiast „ruch oporu" mieszkańców, którzy zrozumieli tylko, że ktoś chce zabrać ich mieszkania.

W ogóle nie chcieli słuchać tego, co im mówiono: że dostaną nowe mieszkania o dużo większym metrażu i wyższym standardzie, że wypłaci się im pieniądze na przeprowadzkę i urządzenie się...

Drugi przykład: ogrody działkowe w centrach wielkich miast...

Oczywiście, na terenach w pełni uzbrojonych. Kwiatki i kapusta zamiast mieszkań.

A wystarczyłoby tylko dogadać się z działkowcami: dobrze, dajemy wam tereny gdzie indziej... Nawet dużo więcej... Dopłacimy jeszcze...

Nie chcą słuchać. Natychmiast podnosi się krzyk, że biednym emerytom odbiera się od ust ostatni pęczek działkowej pietruszki.

I przykład trzeci: mamy w Warszawie kombinat ogrodniczy Mysiadło i pegeer Bródno... Ja bym je rozparcelował, bo to jest klasyczny rozwojowy teren budowlany – dziesiątki hektarów, na których można wybudować mieszkania dla przynajmniej stu tysięcy ludzi...

To wszystko pokazuje, jak głębokich zmian w sposobie myślenia musimy dokonać, by do czegokolwiek w tym kraju dojść...

Tego wszystkiego nie udało mi się jako ministrowi budownictwa i gospodarki przestrzennej „przeskoczyć”...

Wracając jednak do naszej dziesiątki młodych ludzi: kiedy mamy już teren i pieniądze, to tak jakbyśmy mieli gotowy dom. Teraz, kiedy nie trzeba już „zdobywać” materiałów budowlanych, „organizować” transportu i „podkupywać” fachowców, budowanie jest dziecinnie proste. Istnieją setki hurtowni, których przedstawiciele będą się nieomal bili o to, która z nich ma nam dostarczyć cegły... Jest kilkaset firm spedycyjnych, które przewiozą je na plac budowy... A kiedy murarz się upije, to można go po prostu zwolnić – zaraz na jego miejsce przyjdzie inny...

Trzeba oczywiście myśleć także i o pewnych rozwiązaniach systemowych dla tych, którzy nigdy nie zbudują sami własnego domu. Nie można skazywać kogoś na mieszkanie pod mostem dlatego tylko, że jest niezaradny...

Myśleć trzeba o nowym systemie kredytowania budownictwa... Przede wszystkim chodzi tu o tak zwaną zasadę podwójnej indeksacji kredytu... Myśleć trzeba o kredycie hipotecznym... O systemie własności terenów...

Otwarty zostaje jeszcze problem tego, co nazwać można marginesem – chociaż w naszych warunkach margines ten może być bardzo szeroki – czyli ludzi, których nigdy nie będzie stać na kupienie mieszkania...

Nie ma innego wyjścia niż budownictwo typu komunalnego, domy czynszowe o niskim standardzie, budowane albo przez gminy, albo przez rozmaite instytucje typu charytatywnego.

Myślę, że jeżeli w kampanii wyborczej będzie się w ogóle mówić o budownictwie, to dobrze byłoby, gdyby nie było to tylko lamentowanie, że kredyty są takie, jakie są, że spółdzielnie są takie, jakie są, że...

Powinniśmy myśleć o rozwiązaniach, które dadzą pole do działania dla tych, którzy nie chcą tylko biernie czekać na to, aż im państwo da mieszkanie...

Musimy – powtórzę to jeszcze raz – nauczyć się kształtować wedle własnych upodobań i przyzwyczajeń wnętrza naszych mieszkań, bo to one właśnie stanowią właściwą przestrzeń naszego życia...

Musimy także zmienić nasz sposób myślenia, by się w ogóle tej „własnej przestrzeni” doczekać.

– Czy zdecyduje się pan może jeszcze na to, by rozpocząć budowę PRAWDZIWEGO DOMU?

– Obawiam się, że już nie...

Grzegorz Górny, Witold Pasek, Wojciech Tochman, *Sprawcy*, Warszawa: Polska Oficyna Wydawnicza „BGW”, b.r., s. 122–129

1992

Jerzy Morawski (ur. 1949)

Podać swoje imię w obcym języku

Obecnie znany jest raczej jako dokumentalista filmowy niż reporter. *Bułeczkarz z Przemyśla* (2000), *Imperium ojca Rydzyka* (2002), *Żelazo* (2005–2006), *Zestrzelony nad Czechosłowacją* (2010) – to kilka dokumentów, które reżyserował sam.

Z żoną Ireną Morawską są twórcami wspólnych dzieł – seriali dokumentalnych, uznanych przez krytykę za najwybitniejsze w swoim gatunku. Zaczęli *Sercem z węgla* (2001) – o tym, jak urządzają sobie życie górnicy, zwolnieni z likwidowanych kopalń. Otrzymali za niego Nagrodę imienia Dariusza Fikusa. „Są tak blisko swoich bohaterów, że to aż boli" – pisałem po ich sukcesie. Wiele kontrowersji wzbudził następny ich głośny serial *Ballada o lekkim zabarwieniu erotycznym* (2003) o atrakcyjnych dziewczynach z prowincji, które chcą się przebić do tak zwanego wielkiego świata. Upokorzenia, które młode kobiety muszą znieść, aby „załapać się na luksus", także ich otwartość w opowiadaniu o prywatnym życiu były przedmiotem wielu medialnych dyskusji. Ostatnim wspólnym głośnym filmem Morawskich był – nagrodzony na dwóch festiwalach – *Czekając na sobotę* (2010). Młodzi ludzie ze wsi żyją tylko jednym: oczekiwaniem na sobotnią dyskotekę. Dyskoteka jednych syci duchowo, inni przeżywają na niej jedyne swoje uniesienia erotyczne, jeszcze innym daje zarobić.

Musi być w postawie Morawskich coś, co bardzo ośmiela ich bohaterów. Może dlatego ich filmy powstają długo i zawsze są wydarzeniem.

Jerzy Morawski próbował też swoich sił jako scenarzysta filmów fabularnych dla Krzysztofa Krauzego, najpierw *Gier ulicznych* (1996), a potem hitu *Dług* (1999). *Dług* powstał z inspiracji prawdziwą historią, którą najpierw Morawski opisał we wstrząsającym reportażu *Zemsta za wymyślone długi* dla „Życia" w 1998 roku.

Jerzy Morawski urodził się w Grudziądzu, studiował w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, po studiach w 1972 roku trafił do tygodnika „Nowa Wieś".

Jak został reporterem?

W akademiku mieszkał ze mną w pokoju siostrzeniec redaktora naczelnego „Nowej Wsi". Razem z grupą studentów dostałem akurat propozycję wyjazdu na miesięczne stypendium do Irkucka. Kolega z pokoju

powiedział: „Wujek chce cię poznać". I tak zostałem namówiony przez wujka na pierwszy reportaż dla „Nowej Wsi" z podróży na Syberię. Stypendium polegało na tym, że przez miesiąc budowaliśmy jakiś garaż. Byłem wtedy pod wrażeniem tekstów Hanny Krall, postanowiliśmy więc z kolegami, że dostaniemy się do Wierszyny, bo o Polakach stamtąd pisała Krall w swojej książce *Na wschód od Arbatu*. I nam się udało. Potem w „Nowej Wsi" zacząłem pisać głównie o starej wsi, to znaczy o wsi, która była w tym czasie bardzo cywilizacyjnie zaniedbana. Zwłaszcza o pegeerach.

„Jak tu wygrzebać się z tego opuszczenia?" – zastanawia się bohater reportażu Morawskiego *Nieważkość* z 1984 roku. Henryk Podlaski, kierownik pegeeru Pniewy. (*Nieważkość* to także tytuł pierwszej książki reportera z 1989 roku). Ludzie w Pniewach mieszkali w starych poniemieckich domach, po kilka rodzin na kupie, w mieszkaniach załamywały się podłogi.

– Potrzeba nam – uważa kierownik – zdecydowanego koła ratunkowego. Inaczej w tej beznadziei utoniemy.

Już raz Pniewy tonęły. Dyrekcja Zjednoczenia Kętrzyńskiego, której rządy sięgały aż tutaj, uszczęśliwiła gospodarstwo importowanym z Jugosławii jałownikiem na dwa tysiące sztuk. Obiekt stanął w szczerym polu, a przypominał lotnicze hangary. Na jego otwarcie przyjechali wszyscy święci, po czym nikt tu więcej nie zaglądał [...]. Pniewy zostały same z jałownikiem. Jest on płytki, co oznacza, że odchody zwierzęce trzeba stale usuwać. Kierownik Podlaski zorganizował więc brygadę, która całą dobę zajmowała się czyszczeniem jałownika. Spychami wyrzucano na przyczepy rzadkie gówno, które wywożono na pola. Ale odchodów było tak wiele, że ziemia ich nie przerabiała. Więc wożono coraz dalej. Doszło do tego, że cała okolica zalana była rzadkim gównem. Masy śmierdzącej cieczy spływały do jezior, w powietrzu unosił się zaduch nie do wytrzymania. Dyrekcja w Kętrzynie nie pozwalała zmniejszyć hodowli w jałowniku i wszyscy w Pniewach myśleli, że takie już ich ugnojone życie do końca. Ale wiatr odnowy wywiał dyrekcję z Kętrzyna i rozpędził smrody nad Pniewami. [...]

O ile historia wyciągnęła Pniewy z rzadkiego gówna, o tyle po sąsiednim zakładzie Tarławki przetoczyła się twardym kołem.

Najczęściej kiedy reporter przyjeżdżał do gminy, słyszał od miejscowego sekretarza partii: „W świniach stoimy nieźle, towarzyszu redaktorze". Potem sięgali po statystykę i czytali dalej, w czym jeszcze i jak stoją. „W tym stylu działania człowiek nie ma żadnego miejsca, jest tylko uciążliwy" – mówił

Morawski w 1988 roku. I takiemu uciążliwemu i niepotrzebnemu człowiekowi poświęcona jest jego reporterska twórczość lat osiemdziesiątych. W „Nowej Wsi", jak opowiadał, można było się schować, nie ingerowano specjalnie w teksty.

> Zdarzało się, że instruktor od prasy z KC PZPR wpadał do redakcji z krzykiem „Komu to służy?!", ale zasadniczo unikałem polityki. W latach osiemdziesiątych funkcjonowanie jako reżimowy dziennikarz pozwalało mi pisywać do prasy podziemnej, bo miałem legitymację, mogłem jeździć, rozmawiać, notować i nikt się nie czepiał – opowiadał reporter Robertowi Mazurkowi w „Dzienniku".

Po 1989 roku zajął się historią najnowszą. Pracował w „Przeglądzie Tygodniowym", tygodniku „Spotkania", „Rzeczpospolitej" i „Życiu". Duże uznanie przyniósł mu cykl *Powroty* o powojennych losach żołnierzy AK i reportaż *Mroczne stany* o pogromie kieleckim. Wielkie uznanie czytelników przyniosła książka *Ślad kuli* (1992), o której Jerzy Giedroyc napisał, że to wstrząsająca relacja.

Jest to spisany na gorąco reportaż z ekshumacji grobów polskich oficerów zamordowanych przez Rosjan pod Charkowem. Historia tak ściśle przeplata się w nim ze współczesnością, że czasami nie wiadomo, czy oficerowie NKWD, którzy występują w roli opiekunów polskich ekspertów, prokuratorów i dziennikarzy, nie stali się już ich strażnikami.

> Polscy prokuratorzy przyjeżdżają na miejsce autokarem, aby kontrolować ekshumację, a tam już pozamiatane – opowiada Jerzy Morawski. – Stoi pomnik, nie wiadomo jednak, kto tam leży, kto jest ofiarą, a kto sprawcą. A gospodarze nam mówią: „Po co na nowo w tym się grzebać?". Miesiąc Polacy ślęczeli przy tych grobach, a ja szwendałem się po okolicy. Podsłuchałem rozmowę dwóch umundurowanych, że enkawudzista, który rozstrzeliwał Polaków, żyje i nazywa się Mitrofan Syromiatnikow. Wiedziałem, chyba z czytanek na lekcjach rosyjskiego, że w Związku Radzieckim są biura, które pomagają w odszukaniu zagubionych przyjaciół. Ale nie mogłem go znaleźć. Cudem znalazłem książkę telefoniczną, bo to był w ZSRR rarytas. Syromiatnikowów było w niej kilku. Ale spytałem dyrektorkę muzeum o tego, który mieszkał najbliżej. I to był właśnie on! Pukam, on pyta: „Kto tam?". Mówię: „Jurij", bo przecież jestem Jerzy. On myślał, że to jego kumpel z NKWD, też Jurij. Otworzył mi. Wszedłem i miałem reportaż! Takimi sposobami powstawała książka *Ślad kuli*.

Ślad kuli

Zacieranie śladów

Starzy mieszkańcy Piatichatek, miejscowości odległej o kilometr od cmentarza, od dawna wiedzieli to, co teraz ujawnia las. Niewielu dziś emerytów można odnaleźć w miejscowości, którą prawie w całości zabudowano blokami. Tylko kilku parterowych domków, jak z innego świata, nie zalano betonem. Babinka uchylająca furtę przy ujadaniu wszystkich psów z okolicy zasłania się brakiem pamięci. Chatki otoczone są wysokimi parkanami, widać tylko dachy. Mieszkańcy odcięli się od otoczenia, nie chcą nic widzieć i słyszeć. [...]

Paweł Hajmowicz, wnuk carskiego generała Siergieja Lebiediewa, który przeszedł na stronę Armii Czerwonej, mieszka w daczy dziadka w Piatichatkach. Na początku lat siedemdziesiątych chłopcy z miejscowej drużyny pionierskiej kolekcjonowali polskie pieniądze i odznaki wojskowe. Znajdowali je, przekopując las. Milicja po pewnym czasie zabroniła im tam chodzić. Później „moskiewscy żołnierze" – jak mówi Hajmowicz – rozbili na skraju tak zwanej czarnej drogi namioty. Przebywali w nich przez rok, prowadzili jakieś prace w lesie. Miejsce ogrodzono wysokim płotem. Po latach zastąpiono drewniany parkan stalowym ogrodzeniem.

Na początku 1990 roku Paweł Hajmowicz – działacz Memoriału[1] – zebrał wśród mieszkańców Piatichatek polskie monety, odznaczenia, medale i medaliki. Zrobił zdjęcia, które przekazał odwiedzającym go polskim studentom.

– Oni zanieśli zdjęcia do prokuratury w Polsce – mówi Paweł Hajmowicz. – Major Jorszyk z KGB miał pretensje, że się do tego przyczyniłem. „Gdyby fotografie nie wywędrowały z Piatichatek – wypominał major – nikt by się nie upomniał o charkowski las".

Po ogłoszeniu w miejscowej prasie, że Memoriał poszukuje świadków wydarzeń w leśnym parku, zgłosiło się dwanaście osób. Wszystkie chciały zachować anonimowość.

Galina Gurina z Memoriału na podstawie relacji ludzi, którzy mówili, gdzie widzieli zakopywanie ciał i odnajdywali polskie pieniądze i medale, wędrowała kilka dni po lesie. Odnalazła czarną drogę, nazywaną też przez okolicznych mieszkańców drogą śmierci. Wykonała szkic sytuacyjny. [...]

Prokurator Stefan Śnieżko, zaniepokojony poszukiwaniami po omacku i nikłymi rezultatami, namówił radzieckich prokuratorów wojskowych, aby jeszcze raz przesłuchali jedynego żyjącego strażnika NKWD, który należał do

[1] Stowarzyszenie Memoriał – międzynarodowa organizacja zajmująca się badaniami historycznymi, powołana w celu upamiętnienia ofiar terroru stalinowskiego i pogłębienia wiedzy o sowieckim systemie komunistycznym.

grupy zajmującej się polskimi oficerami. Wyszperał go podobno major Jorszyk. Nie ujawnia nikomu jego miejsca zamieszkania, a to, że zgodził się zawieźć do strażnika polskiego prokuratora, dla wszystkich jest niezrozumiałe. Znowu ktoś musiał pociągnąć za sznurki, bo oficer Jorszyk ze swej strony kieruje się – jak mówi – „względami humanitarnymi". Chroni strażnika, nie przemęcza przesłuchaniami. Jest to człowiek stary, niedołężny i niewidomy. Poczucie misji opiekuńczej nie pozwala majorowi wyjawić nawet miejscowości, gdzie mieszka ten świadek na wagę złota. Nazwiska enkawudzisty nie da się utajnić, gdyż figuruje ono w dokumentach centrali NKWD opublikowanych w prasie.

Prokurator Śnieżko wraca po przesłuchaniu Mitrofana Syromiatnikowa z informacją, że w lesoparku brygada NKWD wykopała dla Polaków potężny dół. Samochody z ciałami oficerów wjeżdżały do wykopu tyłem. Zabitych zrzucano i układano w trzech warstwach. Wcześniej przesypywano proszkiem, którego nazwy Syromiatnikow nie pamięta. Na końcu sypano ziemię.

NKWD, a później KGB – według słów strażnika – pamiętały stale o cmentarzysku w podcharkowskim lesie. Z czasem w miejscu mogił osiadał grunt, widoczne były zagłębienia i nisze. Wyrównywano teren, dosypywano piasku i sadzono drzewa. Mimo maskowania ziemia sama wydawała straszną tajemnicę: na wiosnę nadmiar wody z zimowych roztopów wypłukiwał ze skarpy ludzkie kości.

Postanowiono zatrzeć ślady zbrodni. W latach siedemdziesiątych, gdy po rozgrzebaniu grobów przez cmentarne hieny unosił się w okolicy nieprzyjemny zaduch – przyjechały samochody ze zbiornikami. Kopano doły i wstrzykiwano ług potasowy i sodowy – przypuszczają nasi eksperci (próbki ziemi zabrano do analizy w kraju). Miało to rozłożyć substancje organiczne zalegające w glebie, między innymi kości. Ale te „zastrzyki", mające zbrodnię uczynić doskonałą, wsiąkły tylko w wierzchnią, podmokłą warstwę. Pod darnią utworzyła się maź utrudniająca teraz ekshumację. [...]

Odsłanianie prawdy

Następnego dnia po spotkaniu polskich prokuratorów z Memoriałem dochodzi do incydentu w leśnym parku. Prokurator Śnieżko zaprosił Galinę Gurinę na teren prac, aby osoba, która tak wiele zrobiła dla odnalezienia mogił polskich jeńców, zobaczyła, jak przebiega ekshumacja. Zapewne prokurator liczył, że przedstawicielce Memoriału na cmentarzu przypomną się fakty, które bezwiednie zbagatelizowała, rozmawiając ze świadkami. Strażnicy przy wejściu przepuszczają Galinę na teren ogrodzonej parceli. Zauważa ją jednak pułkownik Murzin. Podchodzi, bierze za rękę jak aresztanta i wyprowadza

z cmentarza. Ostrzega ją przed udzielaniem wywiadów polskim dziennikarzom.

– *Mołczi*[2] – mówi głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Prokurator Śnieżko zaalarmowany, że KGB wyprasza mu gościa – interweniuje. Pułkownik Murzin nie widzi powodu, by zmienić decyzję. Ustępuje dopiero, gdy słyszy od pułkownika Tritieckiego z wojskowej prokuratury w Moskwie:

– Co ty, kobiety się boisz?

Galina otrzymała przepustkę. Pułkownik Murzin nie mógł pogodzić się z przegraną. Podszedł do Guriny i powiedział:

– Gdyby to od nas zależało, ciebie by tu nie było.

Przedziwna sprawa: stale przy dołach stoi Nina Łabczyńska, często też przybywa Christian Rakowski. Ich obecność nie wywołuje nerwowych reakcji oficerów KGB. Zresztą tworzą oni często jeden krąg obserwatorów, wspólnie komentują wydarzenia. Dlaczego jednym członkom Memoriału współpraca z funkcjonariuszami układa się świetnie, a w innych – jak w przypadku Galiny Guriny – KGB widzi intruza, wręcz przestępcę? Można się tylko domyślać istnienia pewnych układów, w jakie policja polityczna wchodzi z opozycją.

Grę, i to zręczną, prowadzi również prokurator Śnieżko negocjujący z gospodarzami – twierdzą nasi biegli. Co wieczór polska ekipa spotyka się i omawia miniony dzień, planuje, co należy zrobić dalej. Przekonanie do takiej czy innej koncepcji gospodarzy wymaga dyplomatycznych i dość sprytnych zabiegów, gdyż najpierw na wszystkie propozycje odpowiadają słowem „*niet*". Negocjacji zawsze podejmuje się prokurator Śnieżko i uzyskuje sobie wiadomymi sposobami to, co wcześniej uzgodniono w polskiej grupie.

– Jest cierpliwy i uparty. Zażegnał wiele konfliktów i sporów, dzięki niemu poszukiwania w leśnym parku trwają nadal – mówi jeden z ekspertów.

Prokurator Śnieżko nie uważa jednak, by prowadził grę z gospodarzami, a tym bardziej wyszukaną.

– To za dużo powiedziane. Wzajemnie robimy pewne podchody, to fakt – przyznaje. – Przecież wyjaśnia się zbrodnię, której dopuściły się władze sowieckie. Decyzja o ekshumacji nie przyszła im łatwo, choćby z obawy, że odsłonięcie prawdy o charkowskim lesie może zostać wykorzystane przeciwko nim. Oni są nieufni, niepewni, czy to nie uderzy w ich interesy.

Boje prokuratora na ogół kończą się powodzeniem. Gospodarze, jak do tej pory, kategorycznie odmawiają zgody na podjęcie poszukiwań poza obrębem wyznaczonym przez KGB. Nacisk polskiej strony w tej sprawie, początkowo silny, zelżał. Ogrodzona parcela zaczyna „mówić".

[2] *Mołczi* (ros.) – Milcz.

Profesor Młodziejowski z nowego wykopu oznaczonego numerem 22 wyciąga „polskie" czaszki (wcześniej znaleziono przedmioty, które nie pozostawiają wątpliwości, kto w tym miejscu został pogrzebany).

Sowiecki żołnierz za chwilę wygrzebuje zegarek z łatwo dającym się odczytać, pomimo pół wieku przebywania w ziemi, wygrawerowanym po polsku napisem: „Za wytrwałość i dyplom – matka" i datą 28 maja 1934 roku. Jeśli w kraju żyje rodzina i pamięta o podarunku z taką dedykacją, można będzie zidentyfikować zaginionego. Profesor wręcza banknot jednodolarowy żołnierzowi, który znalazł zegarek. Chłopak w czarnym kombinezonie nie ukrywa radości.

– Niech ci młodzi ludzie wiedzą, że za dobrą pracę coś od nas otrzymają. Przecież kopią ponad siły w ciężkiej mazi, mogą się zniechęcić i robić to opieszale – wyjaśnia biegły.

Już skompletowano kości trzech osób. Na to czekała cała ekipa. Dół numer 22 jest inny niż dotychczas odkryte: tuż pod darnią nie ma tym razem resztek umundurowania czy tak zwanych mobiliów, a głębiej – wymieszanych kości. Kolejność i układ szczątków w nowym wykopie oddają moment po wrzuceniu martwych ciał z samochodów do rowu. Biegli określają ten stan jako porządek anatomiczny. Zdziwienie budzi tylko duża liczba łusek leżących ze szczątkami. To są łuski po strzałach z rewolweru nagan o kalibrze 7,62 milimetra. Skąd się one wzięły? Przecież rozstrzeliwano w piwnicy, w siedzibie NKWD przy skrzyżowaniu Dzierżynskiego i Czernyszewskiego, kilkanaście kilometrów stąd. Enkawudziści przecież nie musieli ukrywać łusek, mogli wyrzucić je do najbliższego śmietnika. Łuska jest tylko anonimowym śladem morderstwa, niewiele przynosi informacji. Zresztą ten kraj usiany jest łuskami. A może oficerów stracono tutaj, nad dołami?

– Nie jestem Pytia – odpowiada biegły.

W wykopie numer 5, jednym z pierwszych, żołnierze poszerzyli boki, pogłębiono dno. W różnych warstwach natrafiono na wiele polskich mobiliów i wiele kości. Wszystko wymieszane. Wyciągnięto z kłębowiska znak identyfikacyjny (eksperci starają się odczytać dane), fragment pagonu z oficerską gwiazdką i – aby nikt nie miał złudzeń – czaszkę z otworem wylotowym po kuli. Jak pocisk uderzył w człowieka, nie można powiedzieć, gdyż, jak mówią eksperci, są ubytki kostne. Radzieccy specjaliści podejrzewają, że precyzyjny zabójca trafił w sam otwór potyliczny i dlatego kula przeleciała przez czaszkę, jakby była znikąd. Docent Mądro taką wersję uważa za kuriozalną: ofiara musiałaby pochylić głowę, tak jakby sama prosiła o śmierć. Człowiek podejrzewający, że zaraz zostanie zabity, jest spięty, prawie sparaliżowany.

– Idziemy w przewidywanym tempie – komentuje postęp prac ekshumacyjnych docent Mądro. – Zderzenia z radzieckimi ekspertami trwają, bo są różnice poglądów. Staraliśmy się gospodarzom powiedzieć, że nie mamy zamiaru się z nimi kłócić, tylko przedstawiamy swój punkt widzenia i argumenty, na podstawie których do takich, a nie innych wniosków dochodzimy.

Radzieccy biegli w sposób otwarty nie przyznali gościom racji, ale wysłuchali tego, co do nich mówiono. To już postęp, nie wyrywa im się na początku dyskusji słowo *„niet”*. Nie są jednak skłonni zmienić swego stanowiska – dodaje biegły. Może po upływie czasu zrozumieją konieczność zachowania kolejności postępowania w wypadku takiego śledztwa. Mówiąc językiem dochodzenia: najpierw trzeba zdobyć dowód osobowy, a jego potwierdzeniem jest dopiero dowód materialny. Chodzi o to, by z ziemi wydobyć szczątki jeńców w ilości pozwalającej uznać, że w obrębie lasu otoczonego stalowym parkanem znajdują się masowe groby oficerów z całej grupy blisko czterech tysięcy jeńców więzionych w Starobielsku. A nie, jak proponują gospodarze, poprzestać na dotychczasowych mizernych odkryciach i ogłosić, że tu jest cmentarz polskich jeńców.

Zmurszały portfel skórzany wygrzebany z ziemi ułożony zostaje na drewnianym stole. Jeden z biegłych delikatnie rozchyla szczypcami rozlatujące się przegródki. Wyciąga złożony papier i rozchyla. To dowód nadania telegramu ze Starobielska 20 lutego 1940 roku o godzinie 20.52. Nadawca to Czesław Solka, syn Stanisława. Pierwszy zindentyfikowany oficer pogrzebany w podcharkowskim lesie. W portfelu w kolejnej przegródce – list do niego od bliskiej mu osoby. „Jestem niespokojna” – tylko te słowa napisane przez kobietę, która miała złe przeczucia, dają się odczytać. Wśród szczątków odnalezionych już jedenastu oficerów są odznaki pułkowe, Krzyż Walecznych i lusterko z zachowanym na odwrocie (bo pod szybką) zdjęciem Jana Kiepury. Czaszki w większości nie noszą śladów kul. Tych oficerów rozstrzelano w sposób „konwencjonalny”, ale gdzie, może tu, w lesie? Niewyświetlony przebieg ostatnich chwil gmatwa się jeszcze bardziej.

Przyjechał radziecki Czerwony Krzyż z kanapkami i napojami dla uczestników śledztwa, wszystkie panie wydające jedzenie w przepisowych białych fartuchach. Gazeta „Krasnaja Znamia” w krótkiej notatce wyjaśnia czytelnikom, że nie wolno wchodzić na teren „wykopków”, bo grozi zaraza. Tak się odstrasza ludzi, którzy chcieliby tu przyjść i może powiedzieć, co wiedzą o tej zbrodni – podejrzewa ktoś. Radziecki epidemiolog wyłącza „owocny” wykop pod pretekstem zbadania, czy nie ma w nim niebezpiecznych zarazków. Krok do przodu, krok do tyłu albo komenda „stój”.

Ponownie wysyp polskich przedmiotów: odznaki pułkowe, szkoły oficerskiej saperów, oficerów rezerwy, a także odznaka instytutu wojskowego, Krzyż Walecznych, koalicyjki i pęknięte okulary, różaniec z krzyżykiem, ołówek i szczoteczka do zębów. Tyle zostało z bohaterów.

Podcharkowski las wydaje w końcu straszną tajemnicę. Teren wydzielony przez KGB zamienia się w niesamowite laboratorium: na drewnianych stołach zalegają dziesiątki czaszek. Brezent rozciągnięty na małych polanach między drzewami przypomina jakieś dziwne muzeum ludzkich kości: posegregowane szczątki ramion, podudzia, stos żeber. A dalej „kolekcja" rozlatujących się butów wojska, które zaszło do tego lasu. I jeszcze sterta fragmentów sczezłych mundurów. Oto ślad pewnej armii.

Również kupa żelastwa, które nieśli na sobie: orzełki, metalowe sprzączki, a nawet ostrogi. Nad tym wszystkim pochylają się eksperci polscy i radzieccy ubrani w białe fartuchy, na rękach mają gumowe rękawice. Chłodni, małomówni, opanowani. Pod maską rutyny starają się ukryć emocje. Oto słowa docenta Mądry, który opisuje przestrzeloną czaszkę ofiary i zachowanie kata:

– Trzy strzały uderzyły w czaszkę. Pierwsza kula nie była śmiertelna, chybiła, uderzyła w usta. Enkawudzista nic nie miał w sobie z Robin Hooda. Poprawił, pocisk wyszedł przez kość ciemieniową, ale również nie pozbawił życia. Oddał strzał po raz trzeci i dobił.

Docent Mądro traci opanowanie, gdy obok kolejnej ofiary wyjmuje z ziemi rozpadającą się portmonetkę. Coś w niej błysnęło, biegły pomyślał, że zawieruszył się tam ząb. Wbrew zaleceniom prokuratora rozchylił przegródki. Przez chwilę zastanawiał się, do czego może pasować za duży ząb. Przetarł ściereczką, błysnął biały słonik. Na obrzeżu portmonetki powstał odcisk słonika.

– A miał przynieść szczęście – dodał cicho.

Biegli, którzy warstwa po warstwie odsłaniają leśną tragedię, mówią o tych osobach sprzed pół wieku per „ty", per „oni". Jakby coś ich zbliżyło, może połączyło metafizyczną nicią i pozwalało posługiwać się bezpośrednim językiem, jakim niekiedy mówią do pacjentów starzy lekarze. „On otrzymał postrzał w głowę, to pozbawiło go życia, należy przemyć jego kości". Machinalne zatarcie się granicy między życiem a śmiercią, tym, co już prawie niematerialne i bez ducha, a obserwacją specjalisty – to nie przypadek. Pozorny brak szacunku i drażniące „oni" pomaga opanować emocje.

– Gdzie położyć tych biedaków? – zastanawia się profesor Młodziejowski, gdy na stole zabrakło miejsca dla kolejnych czaszek.

Docent Mądro, wybierając się do Charkowa, na kartkach brystolu czarnym flamastrem naszkicował wiele czaszek. Przewidywał, co będzie. Teraz

przydają się do zaznaczania wlotów i wylotów kul. W czaszkach są niekiedy nawet nakładające się na siebie, podwójne przeloty kul. To tak jakby raz po raz trafić w tę samą monetę. Strzelający bezwzględnie wykonywali rozkaz, zabijali bez litości, a nawet jakby popisywali się swoim kunsztem. Przed kim? Może ktoś ich kontrolował, wizytował w trakcie wykonywania egzekucji i oceniał, jakimi są zabójcami?

Studium na kartach brystolu, mogące nosić tytuł „kula i człowiek", zamknięte w tekturowych teczkach wędruje na noc do jednego z namiotów rozbitych na cmentarzu. Docent Mądro nie może się jednak połapać rano w swoich rysunkach. Teczki ze szkicami są podarte, kartki brystolu z przelotami kul zostały porysowane czerwonym flamastrem. Czy komuś puściły nerwy, gdy zobaczył, czego dotyczy dokumentacja? A może żołnierz z nocnej warty tak odganiał sen? To raczej sygnał, że mimo wszystko sprawowany jest nadzór. Przekonano się o tym dobitnie.

Biegli dalej próbują zgadnąć, kim byli za życia kolejni nieszczęśnicy wydobywani z coraz głębszych warstw wykopów. „Wiek około czterdziestu lat, wysoki; pięćdziesiąt lat, niski. A ten był lotnikiem, bo przetrwała skórzana kurtka".

Pułkownik Murzin przynosi zawinięte w „Prawdę" zdjęcia z pierwszego dnia ekshumacji.

– Pełny serwis – żartuje.

Całą noc siąpił deszcz, a za dnia co pewien czas mży. Wszystko umazane w błocie. Na dnie dołów najgorzej, żołnierze z łopatami ledwo radzą sobie z mazią. Z wykopu numer 22 jak z taśmy wypływają kolejne szczątki. Postrzelony but i czaszka, w którą uderzyły cztery kule.

Sowieccy eksperci jakby zrezygnowali z czuwania nad całością – skupili się na dole „rosyjskim". Żołnierze z Azji i innych prowincji imperium nie zdradzają ochoty do wnikliwszych poszukiwań w ziemi. Zapewne nie orientują się, o co tu chodzi; są znużeni siąpiącym deszczem, widokiem kości i innych szczątków ludzi. W końcu ile dni można przebywać w scenerii rozgrzebanego cmentarza i mocować się z czymś ostatecznym?

W dole numer 5 docent Mądro i prokurator Mielecki zachowują się jak ludzie w transie, w uniesieniu. Stale odsłaniają kolejne szczątki, nawet wyrywają je z gliniastego gruntu, byle szybciej. Dyktują notującym położenie każdego znaleziska, określają, na jakiej głębokości leżało. Od dna tego dołu do wierzchniej krawędzi jest już ponad dwa metry, a stale „wyrastają" ludzkie kości. Biegłych też już poraża ten straszny las, zatracają proporcje, poczucie dystansu i świadomość, że po świecie chodzą jednak żywi ludzie. Docent

Mądro w wolnej chwili mówi, że właściwie ten las go jeszcze nie dopadł, nie śni mu się po nocach. Jeszcze rejestruje jak profesjonalista, ale ma świadomość, że prawda miejsca w końcu przebije się przez zawodową rutynę. Może stać się to za miesiąc, dwa, a może później. Obawia się przypływu chłodnej refleksji. [...]

Grupa szesnastu osób (wydobyte na razie szczątki wskazują na taką liczbę) została – w sposób nie mniej bezwzględny niż to się odbywało w gmachu NKWD w centrum miasta – rozstrzelana nad dołem oznaczonym teraz numerem 22. Nie znaleziono przy nich jednak rzeczy osobistych. Można podejrzewać, że tych jeńców przywieziono bezpośrednio ze stacji i dokładnie zrewidowano. Krawędź mogiły numer 22, to widać po rozkopaniu, opiera się o wyłożoną ceglastym gruzem drogę. Nawierzchnię stanowił żużel, co teraz, po upływie tylu lat jest niezauważalne. Po czarnej drodze – to jej fragment – jeździły samochody z ciałami. Zatrzymywały się i zawartość wrzucano do wykopanych wzdłuż drogi rowów. Taka jest jedna z wersji grzebania jeńców. W tym wypadku się potwierdziła.

Nasi biegli mają już tyle „eksponatów", że kilka osób musi zrezygnować z udziału w bezpośrednich poszukiwaniach, a zająć się tylko opisywaniem i przemywaniem znalezisk, na przykład kości. Pozostali poszerzają ściany wykopów, bo stale pojawiają się ludzkie szczątki. Dokumentacja w tym wypadku przypomina archeologiczne ustalanie wszystkich szczegółów. Tak to wygląda:

– Portfel ze skóry, koloru zielonego, dziewięć na czternaście centymetrów, w środku wytłoczony napis: OLEJE I SMARY POLMIN, dalej nie sposób odczytać. Trzeba to jednak odcyfrować i opisać, ale już za pomocą metod laboratoryjnych. [...]

Przed kilkoma dniami prokurator Śnieżko zwrócił się do dziennikarzy o pomoc: jeśli ktoś dotarł na własną rękę do świadka wydarzeń, niech przekaże adres. Każdego nowego świadka przesłuchają polscy prokuratorzy. Wahałem się, ale dałem prokuratorowi trzy adresy. Dla dobra sprawy, tak ważnej dla wszystkich. Teraz dowiaduję się, że jedną z osób zamiast naszych prokuratorów odwiedzili funkcjonariusze KGB. Trudno w tym kraju uwierzyć w przypadek, że oto tak sobie policja polityczna wpadała do kogoś na pogawędkę. Dowiedzieli się o moim informatorze – od kogo? Czy prokurator uwierzył w dobrą wolę KGB i przekazał im otrzymane ode mnie nazwiska informatorów? Jeden z biegłych, orientujący się w sytuacji i mający od wielu lat profesjonalny kontakt z prokuraturą, przestrzega mnie:

– Niech pan adresy zachowa dla siebie, nic nie ujawnia nawet nam.

Znowu ten obłędny krąg podejrzeń obejmujący nawet osoby godne najwyższego zaufania. Nikt nie wierzy nikomu, wszyscy są czujni i spięci. [...]

Profesor Młodziejowski wydobywa kolejną czaszkę. Są w niej ślady po wlocie pocisku. Nie dostrzega wylotu. Kula tkwiła w głowie pół wieku i musiała wypaść w trakcie odkopywania. Znowu lusterko z adresem, a na odwrotnej stronie reklama: Ubiory dziecięce i panien szkolnych, Warszawa, Świętojerska 34, tel. 11-85-73. Z jednego z portfeli biegły wyjmuje szczypcami miniaturowy posążek Buddy z kości słoniowej. Obudowa mydła do golenia Puls.

Pułkownik Komarski, który nadzoruje pracę maszyny do kopania transzei, też ma „swój" dół – numer 39. Manierka, okulary i szczątki człowieka. Inne fragmenty zalewa woda, która nagle wybiła w rozkopie.

– Za moment wszystko przykryje, pomóżcie znaleziska zabezpieczyć – prosi pułkownik.

Ale nikt nie może zrezygnować ze swoich zajęć, bo cały las przypomina już olbrzymie prosektorium. Wydaje wreszcie to, co ponad pół wieku ukrywał.

Doktor Baran uważa, że nastał przełomowy moment charkowskiego śledztwa. Licząc po kościach czaszek, odnaleziono już szczątki ponad pięćdziesięciu polskich oficerów. [...]

Czas jeszcze moskiewski

Zaczyna się i polski taniec. Wraz z ekipami telewizyjnymi z kraju, które powodują zamieszanie, trzaskając w pół dnia „wszystko", przybywają przedstawiciele władz i organizacji martyrologicznych. Stefan Melak z Rodzin Katyńskich, zasłużony jak mało kto dla sprawy, prosi prokuratora Śnieżkę o jedną z odnalezionych czaszek. Obiecał księdzu z kościoła Świętej Anny w Warszawie, że z Charkowa przywiezie coś jako relikwię. Prokurator naradza się z biegłymi, co począć. Odmówić Melakowi, to przekreślić całe jego oddanie i poświęcenie, zrazić do siebie Rodziny. Ale przekazać mu czaszkę któregoś z oficerów – tego nie można zrobić. Pomijając już względy moralne, prokurator nie ma prawa ofiarowywać komuś szczątków człowieka. Profesor Młodziejowski wręcza panu Melakowi fragment kości skroniowej. Widać, że wysłannika to nie satysfakcjonuje, zbyt mało to wymowne na relikwię.

Ulga ogarnia wszystkich, gdy nareszcie wyjeżdża. Ktoś jednak zauważa, że kręcił się z dużą torbą po lesoparku. Biegli patrzą nieprzytomnym wzrokiem na stoły pokryte rzędami czaszek. Jedna więcej, jedna mniej, nikt tego nie zauważy. [...]

Na prokuratorze Śnieżce skupiają się komplikacje powodowane przez „niedoróbki", niedociągnięcia, a czasem głupstwa, do których dochodzi w kraju przy okazji przygotowań do uroczystości. MSZ przystąpił do załatwiania szczegółów ceremonii z władzami Ukrainy, zapominając, że

jeszcze istnieje Związek Radziecki. Na przykład na lądowanie w Charkowie czterech samolotów z gośćmi z Polski potrzebna jest zgoda ZSRR, a nie Ukrainy. Moskwa się obraża. Pułkownik Szumiejko ze sztabu generalnego dowiaduje się od polskiej ekipy, kto ma przybyć z władz Rzeczypospolitej. Kompania honorowa, która ma przylecieć z kraju, podobno w powrotnej drodze zamierza się udać na Litwę. W związku z tym władze radzieckie wymagają od każdego z członków kompanii paszportu, a nie tak zwanej odprawy na zbiorową listę.

Okazuje się, że w kraju wykonano już marmurową tablicę (waży około trzystu kilogramów), która ma zostać umieszczona na symbolicznej mogile w lesoparku. Wykuto na niej napis niezbyt fortunnej treści. Nie zgadza się nawet liczba zabitych oficerów. Na tablicy – ponad trzy tysiące dwieście osób, faktycznie poległo około czterech tysięcy jeńców. Czy starczy czasu, aby do uroczystości mającej się odbyć za kilka dni naprawić wszystkie błędy?

Wielka inwentaryzacja zadanej śmierci trwa. Czas (pół wieku) zatarł ślad. Na powietrzu fragmenty zapisanego papieru wydobyte z głębokości ponad dwóch metrów utleniają się w oczach i rozlatują w kawałki. Niewiele daje się odczytać. Kości natomiast kruszą się, gdy wyjmuje się je zaraz po odkopaniu. Biegli zwlekają, gdyż kości krzepną, utwardzają się w kontakcie z powietrzem. Niestety na tym „materiale" zapisały się tylko anonimowe kule. Nieliczne personalia ustalili eksperci głównie dzięki odnalezionym „nieśmiertelnikom". Poza Czesławem Jakubem Solką i Wilhelmem Kazimierzem Matuszkiem są to: Stefan Kluska, Karol Świątek, Stefan Plewa, Tadeusz J. Ramza i Stanisław Maszewski.

Dwaj żołnierze w czarnych drelichach przecinają niektóre czaszki na pół za pomocą ręcznej piłki ogrodniczej. Nie można na to patrzeć; jakby jeszcze mało było! Ale to tylko eksperci szukają kul, które utknęły wewnątrz kości. Doktor Baran znajduje to, czego szukał: pocisk w czaszce, który wleciał i utkwił w kości. Mały kaliber kuli, 7,62 mm – oceniają fachowcy grudkę ołowiu lekko zdeformowaną w zderzeniu z człowiekiem.

Znowu kolejna porcja przedmiotów należących do oficerów: szczoteczka do zębów, mały ryngraf, ostroga, papierośnica, futerał lornetki, okulary, portfelik z lusterkiem, pióro Pelikan, proteza, pędzelek do golenia, spinka z trzema złotymi gwiazdkami, odznaka szkoły podchorążych rezerwy piechoty. Poza wyjątkami nic tu nie ma pierwotnych kształtów: przetrwały jakieś fragmenty i ułamki pozwalające się jednak domyśleć, czego były częścią. Taki ulotny znak po ulotnych właścicielach.

Biegli sowieccy i polscy analizują wloty i wyloty kul, mówią sucho i beznamiętnie. Muszą się przekonać, która była ostateczna, jak mówi ekspert gospodarzy – *kasatielnaja*.

– Ta – wskazuje ślad Stanisław Derij z charkowskiego biura medycyny sądowej – tylko *tronuła*[3] czaszkę i poszybowała dalej.

Docent Mądro przyznaje mu rację, ustalenia można zapisać w protokole. Jakże inne są już te rozmowy od tamtych w pierwszych dniach pobytu w leśnym parku, pełnych podejrzeń i nieufności.

Pułkownik Tritiecki zwołuje wszystkich biorących udział w poszukiwaniach do wspólnej fotografii. Ustawiają się na przemian kagiebiści, wojskowi prokuratorzy, nasi biegli i specjaliści gospodarzy oraz tłum w mundurach różnych formacji. Trzaskają aparaty, jedno, drugie, trzecie zdjęcie. Pułkownik Tritiecki wykorzystując zgromadzenie, ogłasza, że dziś, 7 sierpnia 1991 roku, o godzinie 13.27 czasu moskiewskiego zakończyło się śledztwo numer 159 w sprawie polskich oficerów.

– *Eto wsio* – takimi słowami kończy.

Polska strona stoi jak zamurowana. Jeszcze dwa dni miały trwać poszukiwania, od początku taki był plan. Nikt nie mówi ani słowa, gospodarze zagrali przez zaskoczenie, w starym stylu. Profesor Młodziejowski przypuszcza, że zaszła jakaś pomyłka, chociaż oficjalne odtrąbienie nagrano na wideo. Ekshumacja nie kończy się wraz z wydobyciem ostatnich szczątków, ale dopiero wtedy, gdy wszystko zostanie zarejestrowane, opisane i złożone ponownie do grobu. Może oni inaczej to pojmują, podejrzewa.

Jakby nigdy nic nasi godzinę później wydobywają z jamy numer 30, spod jakichś spopielonych fragmentów szczątki kolejnego oficera. Czaszka typowa, po „katyniaku".

Wstępny bilans to buchalteria śmierci, zadawania jej i tego, co po pół wieku zostało z człowieka. Na stanowisku numer 5 odnaleziono osiemdziesięciu siedmiu oficerów, w dole numer 22 – siedemdziesiąt cztery osoby (dwie ofiary to kobiety). Dwadzieścia pięć osób (w tym jedna kobieta) z dołu numer 22 odniosły obrażenia postrzałowe głowy. Na sześciu żebrach i pojedynczych kościach piszczelowej i biodrowej natrafiono na miejsca świadczące o uderzeniu pocisku.

Grób numer 22 miał pierwotnie kształt litery „U". W ramionach wykopu leżały osoby z przestrzelonymi czaszkami, natomiast w podstawie oficerowie o obrażeniach klatki piersiowej. Potwierdza to wcześniejsze przypuszczenia, że jeden transport jeńców został rozstrzelany w leśnym parku. Między stacją kolejową w Dergaczach a szóstym kwartałem, gdzie jest cmentarz, przebiega

[3] *Tronut'* (ros.) – dotknąć.

polna droga, która pozwala na ominięcie okolicznych osad i szybkie dotarcie na miejsce. Można podejrzewać, że leśna przesieka była ostatnią drogą dla niektórych grup oficerów. Byli oni przed śmiercią dokładnie przeszukani. W wykopie numer 22 znaleziono dwa zegarki (jeden złoty) i jeden „nieśmiertelnik". Nic poza tym z rzeczy osobistych.

W jamie numer 30 zebrano rozgrzebane przez hieny cmentarne z Piatichatek pasy, mundury, buty i jeszcze raz zakopano. Tam odnaleziono również mnóstwo kawałków szkła stopionego przez ogień. Prawdopodobnie oddział KGB, który maskował teren na początku lat siedemdziesiątych, rozpalił tu wielkie ognisko z walających się resztek mundurów i sprzętu.

Wykop numer 5 został wcześniej przynajmniej dwa razy spenetrowany. Zachowały się nienaruszone najgłębsze warstwy, na poziomie stu siedemdziesięciu, dwustu trzydziestu centymetrów. Sowieccy eksperci, o dziwo, naliczyli tu dziewięćdziesięciu pięciu oficerów, a nasi osiemdziesięciu jeden. Krakowskim targiem ustalono, że odnaleziono w tym grobie szczątki osiemdziesięciu siedmiu mężczyzn. W tym wypadku to biegli gospodarzy lepiej policzyli i byli bliżsi prawdy. Okazało się, że mają bogatsze doświadczenie w ustalaniu liczby anonimowo pogrzebanych. Musieli gdzieś zdobyć te umiejętności. Stanisław Derij, medyk sądowy z Charkowa, wspominał, że dokonywał już licznych ekshumacji wojennych, na przykład związanych z likwidacją getta w Drohobyczu.

– Daliśmy się podpuścić – twierdzi profesor Młodziejowski – bo przyjechaliśmy tylko kontrolować przebieg prac śledczych, a nie przeprowadzać ekshumacje. Drugiego dnia prac przejęliśmy całą inicjatywę, a strona radziecka tylko obserwowała i biernie poddawała się polskim pomysłom.

Dla profesora dobrym partnerem okazał się właśnie Stanisław Derij, który po kilku początkowych nieporozumieniach szybko poduczył się rozpoznawania znalezionych kości. Doszło do tego, że bardzo mocno pokłócił się z pułkownikiem Lwem Bielawskim, głównym ekspertem. Derij machał co pewien czas ręką i mówił do swojego szefa:

– *Czort z toboj*[4].

Inna sprawa – gdyby polscy biegli nie przejęli inicjatywy, to rezultaty poszukiwań w leśnym parku byłyby mizerne.

Las usiany kośćmi, mogiły rosyjskie przeplatają się z polskimi. Cmentarzysko zaczyna się na lewo od krzyża brzozowego, w kierunku Moskwy, i na wprost sanatorium KGB. Ta strona leśnego parku przyjęła martwych ludzi.

Ostatnie dni będą bardzo denerwujące. Z Kijowa przylecą służby sanitarne i celne, aby przeprowadzić w lesie odprawę „materiałów" (czaszek, kości,

[4] *Czort z toboj* (ros.) – Idź do diabła.

części mundurów, mobiliów itd.), które ekipa chce na dalsze badania zabrać do kraju.

Drewniane skrzynie na szczątki, które mają zostać pochowane, podobno już się robią i nadejdą w przeddzień uroczystości. Krzyż ma przywieźć oficjalna delegacja. W trzy radzieckie skrzynie amunicyjne już zapakowano trzydzieści czaszek (wybrano czaszki, które noszą ślady „katyniaków" i z tak zwanymi cechami indywidualnymi dającymi szansę na identyfikację metodą superprojekcji). Skrzynie zostaną przewiezione do kraju. Na razie stoją w namiocie postawionym na cmentarzu. W nocy pilnuje ich osobiście pułkownik Tritiecki, który nocuje na cmentarzu. Człowiek nadzwyczajny – mówią polscy biegli. Pułkownik – ktoś twierdzi – zdaje sobie do głębi sprawę z tego, że jest spadkobiercą katów, nie mając krwi na rękach. Ta jego pokora na każdym kroku, chęć wyjaśnienia wszystkiego bierze się z poczucia winy, które mimo wszystko nosi w sobie.

Z kraju już docierają niepokojące wieści. Ekipa prokuratora Śnieżki odsądzana jest od czci i wiary. Za mało ekshumowała – to podstawowy zarzut. Powinna była spod ziemi wyciągnąć szczątki wszystkich oficerów.

Gdyby skorzystać z tych sił, które są w Charkowie (sprzęt ciężki, żołnierze, eksperci radzieccy), to trzeba by w leśnym parku pracować nieprzerwanie przez półtora roku, by natrafić na wszystkich pochowanych Polaków. Trudno przy tym oczekiwać, że gospodarze dalej pokrywaliby koszty.

Nikt z tych, którzy zgłaszają pretensje o prawie narodową zdradę, nie ma przy tym najmniejszego pojęcia, co działo się w lesoparku przez kilkanaście dni tego lata. Kawałek ostatecznego losu naszych oficerów został odgrzebany w pięknym lesie. Zniszczeni bezwzględnie i bez śladu wrócili – czy wzbudzą pokorę w wielkim kraju mogił?

Biegli starają się zaznaczyć jak najwięcej miejsc na cmentarzu, w których znajdują się szczątki polskich oficerów. Chodzi o to, by następna ekipa poszukiwaczy, może już pod szyldem Polskiego lub Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, wkroczyła na rozpoznany teren. Na własną rękę, bez uzgodnienia z gospodarzami nasi biegli kopią więc przez dwa dni rowy sondażowe, już po oficjalnym zakończeniu śledztwa. Prokuratorzy sowieccy udają, że tego nie widzą. Czujni kagiebiści budzą się: co się dzieje, już po ekshumacji, a Polacy kopią dalej na całego przy pomocy sowieckich żołnierzy? Zrodziło się podejrzenie, że goście zamierzają przedłużyć prace śledcze.

Jeszcze jeden ostry zakręt, na którym może się rozlecieć wspólne śledztwo: podpisanie przez obie strony protokołu z rezultatami poszukiwań w leśnym parku. Czy wszyscy z czystym sumieniem się pod nim podpiszą? Jeśli któryś

z biegłych, raczej polskich, inaczej oceni wyniki, ma prawo zgłosić *votum separatum*. Przedstawi swoje zastrzeżenia i pod nimi się podpisze. Jeśli gospodarze będą próbowali zminimalizować to, co odnaleziono, albo tak rozdąć osiągnięcia, że sprawę zamknęłoby to raz na zawsze, będą protesty.

Jeden z biegłych przeczuwa, że za to, co zrobiono w lesoparku, poniesie w kraju konsekwencje. Doszło do ekshumacji – to zasługa prokuratora Śnieżki, jego znajomości sprawy. To uparty wilnianin posługujący się metodą małych kroczków. I dzięki temu prace w Charkowie dobiegają końca. Gdyby postępował inaczej, jak napuszony patriota, traktował gospodarzy z góry i wyniośle, nie wbilibyśmy w tym lesie nawet łopaty – uważa ekspert. Ale czy to za miesiąc, za dwa będzie się jeszcze liczyło tam, ponad tysiąc kilometrów na zachód?

Polska ekipa co wieczór ma w hotelu KGB spotkania, omawia znaleziska i ustala, jak dalej prowadzić poszukiwania. Biegli po całodziennym napięciu nie są w stanie zapanować nad emocjami. Docent poprawia prokuratora Śnieżkę, żeby się nie przejęzyczał i nie mówił do niego per „doktorze". Na to wstaje profesor i zaznacza, że jest profesorem nadzwyczajnym, ale jeszcze nie zwyczajnym. Prokurator znosi te fanaberie naukowców ze stoickim spokojem.

Azjatyccy żołnierze w leśnym parku wycinają samosiejki, grabią liście i zbierają gałęzie. Pracownicy Energopolu pracujący w Charkowie przygotowują miejsce tuż obok wykopu numer 5, gdzie stanie kilkumetrowy dębowy krzyż. A docent Mądro stara się rozwikłać kolejną zagadkę. Pod popiołami odkryto szczątki dwóch osób, zapewne obywateli radzieckich. Mogli to być dwaj strażnicy, którzy grzebali oficerów.

– Niewygodnych świadków po robocie mogli rozwalić – mówi biegły.

W dole numer 22 na osiemdziesiąt siedem odnalezionych czaszek w trzydziestu pięciu są ślady postrzałów. Na podstawie wlotów i wylotów kul docent Mądro ocenia, że przyjęty sposób zabijania był wyuczony. Jakiś pocisk uderzył w łuskę kości czołowej i nie przebił jej, odbił się, pozostawiając ślad. Inny – wyorał bruzdę w kości ciemieniowej i w niej się zatrzymał. Docent Mądro stara się określić wiek ofiar w momencie rozstrzeliwania, co po pięćdziesięciu latach ustalić jest trudno i zapewne obarczone musi być sporym błędem. Dwóch lub trzech ludzi było bardzo młodych, nie przekroczyło dwudziestego czwartego roku życia. Wyrzynały im się zęby mądrości. Na podstawie szwów kostnych ocenia innych – sporo osób w wieku bardzo dojrzałym. Na dwadzieścia dwie osoby jedna przebyła wcześniej trepanację czaszki, a inna uraz mózgoczaszki, może to była kontuzja z poprzedniej wojny.

Biegły nie przypuszcza, aby ci, którym nie strzelono w głowę, nie zginęli od kul. Oni tylko schylili nagle głowę albo ręka kata drgnęła. Nie sztuka zabić, strzelając w kark – wyjaśnia.

– Zastanawiałem się, o co tu chodziło – mówi docent Mądro. – Jedna kula, jeden człowiek – tak założyli sobie enkawudziści. Ekonomiczne zabijanie. Śmierć następuje natychmiast, jeśli brać pod uwagę „humanitarność" wykonania wyroku. Znienacka strzelić w kark – to zasada.

Docent Mądro obawia się „odbicia" psychicznego. To wróci do mnie, ten las – jest przekonany. Po upływie pewnego czasu podobne „obrazy" już nawiedzały biegłego. Jako medyk sądowy najpierw rejestruje fakty, porządkuje i spycha do podświadomości. A one tam dojrzewają i wracają.

– Bez aprobaty gospodarzy „pierwsza odsłona" w podcharkowskim lesie nie byłaby możliwa – zaznacza biegły. Nie wolno ich głaskać, ale należy oddać sprawiedliwość – dodaje. Jeśli coś nie wychodzi, to nie powód by zaraz ich, ekspertów, kopać w kostkę. Nauczyli się inaczej postępować, według innych schematów. Może są mniej elastyczni, większe trudności mają z dopasowaniem się do sytuacji. Mimo tego nie wolno iść z nimi na udry.

Docent Mądro obserwował, jak biegli radzieccy szybko uczyli się jego metod pracy. W ekipie prokuratorów z Moskwy (są tu też inne ekipy) nie ma nikogo, kto przejawiałby złą wolę. Młodzi żołnierze zmęczyli się kopaniem dołów, znużyło ich kilkutygodniowe wydobywanie ludzkich szczątków. Ile czasu można na to patrzeć? Las i w nich pozostawił swój obraz.

Sami radzieccy prokuratorzy nie ukrywają zaszokowania zbrodnią.

– Precyzyjna maszyna śmierci – mówi jeden z prokuratorów.

Pułkownik Tritiecki, człowiek do zadań specjalnych, wysyłany tam, gdzie źle się dzieje, który widział niejedno, jest do głębi poruszony. Generał Frołow o kremlowskiej cerze bierze podarowane mu przez księdza kapelana kolorowe zdjęcia papieża, nie kryje się z tym.

Nieczuły na wszystko jest szef charkowskiego KGB generał Nikołaj Gibadułow. Rzadko zaglądał zresztą do leśnego parku, ale zapewne raporty otrzymywał kilka razy dziennie: ustne i na piśmie. Dość chętnie i z kurtuazją podejmuje u siebie polskie delegacje. Mówi o sobie, że do niedawna nie miał nic wspólnego z instytucją, którą teraz kieruje. Trzy lata temu nałożono na niego generalski mundur kagiebisty i tak z cywila stał się czekistą. Natury nie zmienił, maniery Europejczyka, rozluźniony, nic z drylu wtopionego w te mury. Twarz mu jednak nagle tężeje, gdy ktoś wspomina o urządzeniu polskiego cmentarza wojskowego w lesoparku. Pojawia się gniewny wzrok kagiebisty: to niemożliwe.

– Jak oddzielić polskie kości od rosyjskich? – pyta.

Końcowy protokół śledztwa prokuratorzy polscy i radzieccy podpisali w siedzibie KGB przy ulicy Dzierżyńskiego. W tym trzyskrzydłowym gmachu pięćdziesiąt jeden lat temu specjalny oddział NKWD zajął się polskimi oficerami. Po pół wieku odnaleziono w lesie ślady tej „roboty", szczątki stu sześćdziesięciu siedmiu osób, bez wątpienia naszych oficerów. Pięćdziesiąt dziewięć czaszek nosiło ślady kul, ślady kunsztu enkawudzistów. Na frontonie budynku KGB, gdzie ustalano ostateczną liczbę zgładzonych jeńców, pod płaskorzeźbą przedstawiającą oblicze Feliksa Dzierżyńskiego położono wiązkę świeżych irysów.

Dzień później kilka drewnianych skrzyń, zbitych z nieheblowanych, surowych desek, spuszczono do dołu numer 5. Do skrzyń złożono odnalezione szczątki polskich oficerów. Odbył się uroczysty pogrzeb, jakaś przerwana nitka polskiego losu została zawiązana. W trakcie mszy świętej zerwała się wichura i nadeszła nad las burza z piorunami. Zaczął padać rzęsisty deszcz. W momencie podniesienia, gdy wszystkie żywioły rozszalały się nad skrywanym do tej pory cmentarzem, na głowę generała Nikołaja Gibadułowa, szefa charkowskiego KGB, spadła pokaźna gałąź. Pod generałem ugięły się nogi.

– A mówili, że Boga nie ma – wyszeptała stojąca obok Ukrainka.

Jerzy Morawski, *Ślad kuli*, Warszawa–Londyn: Unicorn, 1992, s. 53–58, 67–81, 140–149

1992

Barbara Stanisławczyk (ur. 1962)
Dariusz Wilczak (ur. 1961)

Rozmawiać między starym a nowym

Opowiadają o powstaniu *Pajęczyny*:

> Był rok 1990. O służbach specjalnych, oprócz tego, że wzbudzają strach, nie wiedzieliśmy nic. Nikt z wyjątkiem wtajemniczonych nie wiedział. Esbecy, którzy są rozmówcami w tej książce, odkrywali przed nami nieznany ląd. Wydawali się szczerzy. Ich opowieści spójne. Ale kiedy słyszeliśmy historie, jak ta o żonie Pawła Jasienicy, która była TW i przez lata donosiła na męża, mieliśmy obawy, czy nas nie wmanewrowują. Wtedy takie historie wydawały się niemożliwe, nie mieściły się w głowie. Wiedzieliśmy, że system był straszny, że ludzie byli źli, ale żeby aż tak upodleni? Na następne spotkanie esbek przyniósł notes; stary, gęsto zapisany, z podartymi rogami. Otworzył na stronie, na której było zanotowane: TW „Ewa" – taki pseudonim miała żona Jasienicy – i numer akt. Wtedy ujawniając tę historię, mogliśmy być zapudłowani na wiele lat. Nikt nie wiedział, czy teczki będą kiedykolwiek dostępne. W 1990 roku nic na to nie wskazywało. Zaryzykowaliśmy.
>
> Esbecy także twierdzili, że ryzykują. Bali się kolegów, mówili, że służby są dobrze zakonspirowane. Nie chcieli się ujawnić. Pytali, czy mogą nam zaufać, a my pytaliśmy, czy to słowo jeszcze coś dla nich znaczy.
>
> Po latach, kiedy odkryto archiwa, okazało się, że wszystko, co mówili, było prawdą. Dziś już wiemy, że był to najlepszy czas na rozmowy, kiedy stary system się kończył, a nowy jeszcze się nie zaczął. Kiedy wszystko, łącznie z emocjami, było rozchwiane. Wtedy, czując lęk przed ujawnieniem tajemnic, jednocześnie mieli potrzebę podzielenia się przeżyciami. Może była w tym próba samooczyszczenia? Trwała bardzo krótko. To była szansa chwili i my ją wykorzystaliśmy.

Barbara Stanisławczyk jest absolwentką Politechniki Warszawskiej oraz Podyplomowego Studium Dziennikarstwa na Uniwersytecie Warszawskim. Była stypendystką Agencji Reutera. Autorka książek reporterskich i biografii: *Matka Hłaski* (1992), *Kąkolewski bez litości* (*dla siebie?*) (1994) – rozmowy z Krzysztofem Kąkolewskim, *Czterdzieści twardych* (1997) o Polakach ratujących Żydów w czasie drugiej wojny światowej, za którą Polskie Towarzystwo Sprawiedliwych wśród Narodów Świata przyznało jej jubileuszowy medal i wręczyło legitymację honorowego członka, *Miłosne gry Marka Hłaski* (1998), *Dziewczyny* (2006) o prostytutkach. Napisała także powieść *Od jutra* (2004). Była

redaktor naczelną magazynów „Pani" i „Sukces", a także dyrektor wydawniczą wydawnictwa „Przekrój". Wykłada na Wydziale Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego. Od 2009 roku współprowadzi program telewizyjny *Mała Czarna*.

Jej najnowsza książka reporterska *Ostatni krzyk. Od Katynia do Smoleńska. Historie dramatów i miłości* (2011) to próba pokazania – jak mówi sama autorka – koła historii, które zatoczyło się w ciągu siedemdziesięciu lat i domknęło właśnie w Smoleńsku. Jedenaście spośród dziewięćdziesięciu sześciu osób wsiadło na pokład TU-154, zmierzając w miejsce mordu swoich bliskich. Zginęli „na ich grobach". Stanisławczyk podkreśla, że stara się pisać literaturę faktu z naciskiem na oba te słowa. Nie opisuje samej katastrofy lotniczej i nie spekuluje na temat jej przyczyn, bo to jest temat dla specjalistów. Pokazuję tragiczną pętlę losów, a w tle historię Polski.

Dariusz Wilczak jest absolwentem Uniwersytetu Łódzkiego (etnologia) i Uniwersytetu Warszawskiego (dziennikarstwo). Był stypendystą Agencji Informacyjnej Stanów Zjednoczonych na Uniwersytecie Stanowym Kansas. Od 1987 roku pracował m.in. w „Dzienniku Ludowym", „Tygodniku Kulturalnym", „Kurierze Polskim", „Cashu" i „Newsweeku". Był redaktorem naczelnym, „Codziennego Expressu Zachodniego" (1994–1995) i zastępcą redaktora naczelnego miesięcznika „Gentleman" (2001–2012). Jest współtwórcą Kongresu Regionów w Świdnicy – dorocznego spotkania samorządowców, polityków, przedsiębiorców i animatorów kultury. Autor książek: *Mucha za szybą. Niedokończona rewolucja* (1997), *On Kwaśniewski. Kulisy władzy* (razem z Grzegorzem Indulskim, 2005), *Ponad stan. Solidarność, historie podziemne* (2006).

Generalissimus (2011) – ostatnie dokonanie Dariusza Wilczaka w dziedzinie literatury faktu – zostało nominowane do Nagrody imienia Józefa Mackiewicza. Jest to opowieść sługi – adiutanta generała Wojciecha Jaruzelskiego. Wierny mu od lat, komentuje życie przełożonego, a jego monolog przywodzi na myśl *Cesarza* Ryszarda Kapuścińskiego. Recenzenci chwalili, że Wilczak nie stworzył ani hagiografii generała, ani pamfletu.

O ich *Pajęczynie* Jacek Żakowski pisał:

> Nieczęsto bywa, żeby tytuł książki tak idealnie odpowiadał uczuciom ogarniającym czytelnika, gdy dobiega ostatniej kropki. Kto w ciemnym lesie nieoczekiwanie rozerwał twarzą pajęczynę i potem próbował zebrać ją palcami, dokładnie rozumie, jakie emocje przyniesie lektura tego tomiku. *Pajęczyna* to krótka, prosta, lecz z sadystyczną perfekcją napisana książeczka [...].

Pajęczyna

Działaliśmy po omacku. Żeby wejść w środowisko byłych pracowników SB, trzeba być wprowadzonym. Wprowadzić mógł nas tylko jeden z nich.

Najpierw poznaliśmy Kazimierza M. Zanim zgodził się z nami współpracować, dokładnie sprawdził, kim jesteśmy. Bał się prowokacji. Po sprawdzeniu obiecał skontaktować z kolegami. Z czternastu osób, które mieliśmy na liście, tylko siedem zgodziło się rozmawiać. Reszta odmówiła, tłumacząc się tajemnicą służbową. Wszyscy byli oficerami aparatu bezpieczeństwa, ale nigdy nie pełnili kierowniczych funkcji. Właśnie o takich ludzi nam chodziło, tych, którzy sami nie czując się winni, z czystym sumieniem zrzucali winę na przełożonych i na system, który stworzyło kierownictwo.

Prosili o nieujawnianie ich nazwisk. Potwierdzali, że wprawdzie system się zmienił, ale metody musiały pozostać te same. Jeśli zdradzimy nazwiska, wydamy na nich wyrok. Nie bali się UOP[1]. Bali się dawnych pracowników SB zakonspirowanych w podziemnych strukturach, oczekujących na powrót starego porządku.

Spotykaliśmy się w różnych miejscach: w kawiarni i w mieszkaniach, na schodach Pałacu Kultury i na spacerze w parku. Rozmawialiśmy, jadąc tramwajem i idąc ulicą. W nocy budziły nas telefony. Czasem dzwonili tylko po to, żeby powiedzieć o swoich kłopotach z zaśnięciem, a czasem kazali brać pół litra, wsiadać w taksówkę i przyjeżdżać do nich.

Byli do siebie podobni. Jednakowo nie umieli słuchać. Bronili się przed pytaniami. Woleli mówić sami. Kilka razy bez ważnego powodu zawieszali nasze rozmowy. Potem sami zwiększali częstotliwość spotkań.

Uczestniczyliśmy w grze, do której oni pisali scenariusze. Przyjęliśmy zasady tej gry. Pozwoliliśmy im mówić.

*

Jerzy K.:

F. zawinął się w dywan, żeby nie było słychać strzału. On zawsze wyglądał jak dziki. Przekrwione, rozbiegane oczy, wiecznie spocone dłonie. Zanim się przywitał, wycierał ręce w spodnie. Jego sprawa jest do dziś niewyjaśniona. Jako naczelnik dochodzeniówki w Komendzie Stołecznej prowadził sprawę upadku samolotu w Lesie Kabackim[2]. Wtedy zginęło z samolotu

[1] UOP – Urząd Ochrony Państwa, powołany w 1990 roku w miejsce Służby Bezpieczeństwa do ochrony bezpieczeństwa państwa i jego ustroju.

[2] Rozbił się wtedy samolot pasażerski Tadeusz Kościuszko Polskich Linii Lotniczych LOT, kursujący na trasie Warszawa–Nowy Jork–Warszawa. Do wypadku doszło 9 maja 1987 roku w trakcie podchodzenia do lądowania. Zginęły sto osiemdziesiąt trzy osoby – wszyscy pasażerowie znajdujący się na pokładzie.

jedenaście tysięcy dolarów. Podejrzewano F. Ale on tego nie zrobił. On całe życie walczył o czystość, miał usta pełne wielkich słów. To podejrzenie było dla niego ciosem. F. lubił mówić o służbie i o tym, że trzeba wytrwale pracować. A jak mówił, to oczy mu się robiły takie niesamowite, krzyczał, przenosił się wtedy w zupełnie inną rzeczywistość. Do lekarzy nie chodził, bo nie miał czasu.

Jak były urodziny, imieniny, to w komendzie pito przez dwa, trzy dni. F. nie pił, dlatego uważano go za donosiciela. Znów niesłusznie, bo on chciał być naprawdę w porządku. Ale nie mógł ścierpieć, gdy robiono z niego wariata. Kiedyś jego podwładni urządzili sobie bibkę w pokoju. F. chciał wejść. Drzwi zamknięte. Pukał. Nikt nie otworzył. Jeszcze przez drzwi posłali mu wiązankę. Wtedy pierwszy raz w życiu F. napisał raport na swoich kolegów do dyrektora. Następnego dnia nie mógł otworzyć drzwi do swojego gabinetu. Ktoś włożył spinacze w zamek. F. się za bardzo przejmował. Gryzł się, aż się zagryzł.

Jeśli się chciało traktować tę służbę poważnie, to efekty były takie jak u F. Wszystkich nas trzymano w napięciu. Czujność w stosunku do opozycji, system potrzebuje czujności. Człowiek nawet prywatnie nie odpoczywał.

W nocy śniły się udane albo nieudane akcje. Śnili się ludzie, a raczej twarze. W pewnym momencie człowiek przestawał je rozpoznawać. Wrogowie mieszali się z kolegami. Powstawała piorunująca mieszanka. Dla wielu kończyło się to chorobą numer trzysta – nerwicą i sanatorium w Barcinku. Barcinek był wewnętrznym ośrodkiem ministerstwa. Lekarze kierowali tam na wypoczynek. Zwykle trzymiesięczny. Każdy objaw niezrównoważenia traktowano bardzo poważnie i w sposób poufny. Nawet jak ktoś jechał do Barcinka, to starano się nie nadawać sprawie rozgłosu. Oprócz ośrodka mieliśmy mocno rozbudowane poradnie zdrowia psychicznego. Lekarze szli pacjentom na rękę. Dawali zwolnienia, jak tylko któryś się poskarżył, jak powiedział, że coś z nim nie w porządku. Lekarze psychiatrzy mieli dużo pracy. Najbardziej bali się samobójstw, bo potem ich rozliczano.

Mirosław B.:

Myśmy byli funkcjonariuszami przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Cywilne życie towarzyskie sprowadzało się do minimum. Trzeba było uważać, żeby czegoś nie wypaplać przy wódce. Nie rozmawiało się o konkretach. Nawet z kolegami. O nikim nie mogłem powiedzieć, że jest moim przyjacielem. Nie chciałem mieć przyjaciół. Taki przyjaciel mógł się okazać niebezpieczniejszy niż wróg. W SB każdy z nas był sam. [...]

Jerzy K.:
Obejmowałem tylko odcinek. Maleńką odległość od zdarzenia do zdarzenia. Wykonywałem rozkazy. Nierealność mojego świata brała się stąd, że często nie wiedziałem, po co to wszystko robię, po co idę za człowiekiem, kim jest ten człowiek, kim właściwie jestem ja, który idę.

Nad nami był ktoś, kto obejmował, i dla niego prawdopodobnie miało to sens. Nam sensu nie zdradzano. Na dole żyliśmy w systemie nonsensu, tak nauczeni, żeby się nad tym nie zastanawiać. Ten system był w całości spójny. Poszczególne elementy nielogiczne układały się w logiczny bezsens. [...]

Adam G.:
Będąc w tej służbie, oddawałem się słusznej sprawie państwowej. W każdym kraju jest taka służba. W SB dojrzałem politycznie, intelektualnie i moralnie. Tak, moralnie. Nigdy nie uczyniłem nikomu krzywdy. Podchodziłem do swoich zadań jak do krzyżówek, które miałem rozwiązać. Kiedy byłem w środku tej machiny, nie widziałem skurwysyństwa, tylko nadgorliwość. Skurwysyństwo zobaczyłem, jak załatwili mnie. Po zabójstwie księdza Popiełuszki przystąpiłem do spowiedzi. Wyznałem, że chcę zabić jakiegoś esbeka. Śmierć za śmierć. Ksiądz mnie spytał: „Synu, czy ty nie potrzebujesz pomocy psychiatrycznej?". [...]

Mirosław B.:
Pracowaliśmy na materiale ludzkim, a materiał ludzki jest różny. Wymaga indywidualnej obróbki. Na jednego działa groźba, na drugiego dobre słowo. Każdy materiał ludzki jest podatny na obróbkę. Od tej reguły nie ma wyjątków.

Nie da się rozpoznać człowieka w czasie krótszym niż rok. Pośpiech wymaga drastycznych metod. A te stosowałem tylko wtedy, gdy było to konieczne. W przeciwnym razie działałem delikatnie. Pierwsza rozmowa była o wszystkim i o niczym, ogólna, niemal towarzyska. Pretekst rozmowy nie miał nic wspólnego z jej celem. Zwykle występowałem oficjalnie, ale w związku z inną sprawą. Na przykład udawałem, że chodzi mi o to, co pan X robił w Australii. Starałem się rozwlekać rozmowę, krążyć wokół tematu i bardzo subtelnie robić wrażenie, że wiem więcej, niż się wydaje. Zawsze byłem merytorycznie przygotowany. Jeśli spotykałem się z artystą, czytałem literaturę, oglądałem albumy itp. Ta praca zmuszała do permanentnego uczenia się.

Kazimierz M.:
O kandydacie na TW mówiło się „agent perspektywiczny" (AP). Upatrywało się odpowiednią osobę i szukało na nią haka. Mógł nią być na przykład dobrze zapowiadający się dziennikarz. Piął się taki do góry, wszystko mu dobrze szło, aż tu nagle stop, jakby dotknął go jakiś pech. Nie wiedział, że to my pociągaliśmy za sznurki. Za odblokowanie kariery zrobił dla nas dużo, zbyt posmakował w sukcesie, aby z niego zrezygnować.

Albo pozorowało się wypadek samochodowy, wskazując na AP jako na winnego. Czasem musiały być ofiary śmiertelne, jeśli AP był bardzo cenny, a trudny do pozyskania. Miał wtedy do wyboru: albo kawał życia za kratkami, albo współpraca. Prawie każdy kandydat wybierał to drugie.

Kazimierz M.:
Dbaliśmy o psychikę naszych informatorów. Nie mówiło się ani nie pisało słowa „donos", bo to mogłoby działać deprymująco na donosiciela. Pisało się: „Doniesienie. Źródło TW..." i tu wymieniało się pseudonim agenta. KP i KO[3] nie pisali doniesień. Oni tylko opowiadali, a pracownik sporządzał notatkę z rozmowy. [...]

Adam G.:
Przejmowałem literatów i bałem się wielkości zadania. Miałem się zmierzyć z ludźmi, których nazwiska znałem z lektur szkolnych, a twarze z telewizji. Miałem z nimi rozmawiać, rozpracowywać, pozyskiwać. Obawiałem się, że ta rola mnie przerasta. Literaturę poznawałem od tyłu: kto z kim, kiedy, gdzie, dlaczego. Odruch czytania wyrobiłem sobie później. To jest zasługą pracy w SB, że teraz sięgam po gazetę, książkę. [...]

Józef Z.:
Dla nas nie było takich słów jak „moralność" czy „etyka". My tych słów nie używaliśmy. One dla nas nie miały sensu, bo służba wykorzystywała niemoralność, a z moralnością walczyła. Im bardziej niemoralne zachowanie, tym lepiej dla nas, tym łatwiej zbliżyć się do człowieka, przeniknąć go. Ci, którzy mieli coś na sumieniu, byli dla nas najważniejsi, stanowili najlepszy materiał agenturalny.

Byliśmy czujni. Proszę sobie wyobrazić taką sytuację. W kawiarni przy osobnych stolikach siedzą dwaj pracownicy SB. Nie wiedzą o sobie. Przypadkiem znaleźli się niedaleko siebie. Nie podejrzewają się nawzajem o pracę w resorcie. I teraz mamy trzeciego człowieka, który, dajmy na to, stoi przy

[3] TW – tajny współpracownik, KP – kontakt poufny, KO – kontakt operacyjny.

barze. Jest lekko podpity. W pewnym momencie zaczyna mówić. Szkaluje pewne osoby, obraża władzę, wymieniając ją z nazwiska. Słucha tych słów cała sala. Zapada cisza. Sala reaguje ciszą wtedy, gdy się czegoś boi, a teraz boi się odpowiedzialności za to, że w ogóle słyszy. Najchętniej by nie słyszała. Podpity po serii wyzwisk przestaje krzyczeć. Wraca do kieliszka. Co się dzieje z naszymi pracownikami? Jeden z nich, który w kawiarni znalazł się przypadkiem, od razu pisze notatkę ze zdarzenia i zanosi do właściwego wydziału. Drugi, który miał pod sobą tę kawiarnię, zwleka, bo uważa, że zdąży napisać. Dopija spokojnie kawę i idzie do domu. W domu pisze notatkę, ale zanim notatka następnego dnia dotrze na biurko naczelnika, naczelnik go wezwie do siebie i powie: „No, towarzyszu K., mam tu notatkę służbową z wczorajszego wydarzenia w kawiarni. Ale to nie jest wasza notatka". I już nie wiem, jak by się w tej sytuacji tłumaczył, to niczego się nie osiągnie. Bo żeby osiągnąć, trzeba być pierwszym, trzeba uprzedzać uderzenie. Trzeba być w każdej chwili czujnym. Nawet jeśli to kolega. Kolegów nie ma w służbie. Konflikt lojalności nie występuje. Masz być lojalny wobec przełożonego, dalej wobec służby, jeszcze dalej wobec ojczyzny. Gdybyś jeszcze chciał być lojalny wobec Boga i spełniać te wszystkie dziwne przykazania, zachowywać się etycznie, to możesz być pewien, że zwariujesz. Zamkną cię w Tworkach albo wyślą do Barcinka. Nawet jeśli nie zwariujesz naprawdę, to tak trochę zwariujesz, żeby było przykrycie na to, co możesz ewentualnie mówić jako nie-wariat. A już ze szpitala możesz wyjść jako wariat rzeczywisty, klasyczny przykład schizofrenika. Już ktoś się o to postara. Wiesz o tym. I dlatego z dziesięciu przykazań wybierasz sobie jedno, dwa, no nie, dwa to już zbyt wiele. Powiedzmy: nie zabijaj. Czy to nie jest prawo moralne? Więcej – prawo ludzkie? Kierujesz się prawem ludzkim, więc jesteś człowiekiem, wmawiasz w siebie człowieczeństwo, aż w końcu uwierzysz, bo niby dlaczego miałbyś nie uwierzyć. Nie robisz przecież niczego, czego musiałbyś się wstydzić. Jesteś do pewnego stopnia dumny z siebie. Tylko czasem nie jesteś dumny, kiedy słyszysz, co o tobie mówią. Nawet jeśli niedokładnie o tobie, to też o tobie. Trudno, taki zawód. Ale zaraz przychodzi świadomość, że ty stanowisz władzę. Nie jakiś tam sekretarz, nie minister czy premier. Właśnie ty, chociaż jesteś anonimowy, właśnie dlatego że jesteś anonimowy, jest ci łatwiej sprawować władzę. Nikt cię nie zna, możesz robić wszystko, bo nie masz nazwiska. Czy to jest zrozumiałe? Za ciebie odpowiada system. System cię broni. A ty bronisz systemu. Sprzężenie zwrotne, błędne koło, babranie w gównie, kloaczny zapach i smród, który się zabiera do grobu. [...]

Kazimierz M.:
Raz mnie męczyło sumienie. Przyniosłem do pracy drewnianą pałkę z Hufców Pracy. Kawał ciężkiego kija, można by takim zabić. Przyniosłem dla żartów, a ktoś ją zaniósł do Wydziału Śledczego. Oni z niej korzystali. Kiedyś widziałem to na własne oczy. W poczekalni śledczego oczekiwało ze trzydzieści osób. Co jakiś czas wychodził oficer, wymachując moją pałką, i wskazywał na któregoś z oczekujących: „Ty". Celowo krzesła były ustawione po obu stronach sali, tak by ludzie siedzący naprzeciwko siebie widzieli w oczach drugich strach. Na ich własny strach nakładał się strach tych z naprzeciwka. Następowało wzmocnienie, niekiedy do granic histerii. Tak się kruszyło odważnych. [...]

Adam G.:
Od kiedy zacząłem pracować w SB, przestałem pisać listy i pamiętnik, który prowadziłem wcześniej przez dziesięć lat. Wiedziałem, że listy i pamiętnik będą przeczytane tak, że ja się o tym nawet nie dowiem.

Marian A.:
Nie, sam nie pisałem listów. Ja wiem, że to nie jest normalne. Przez całe życie ani jednego listu. Kiedy byłem dzieckiem, nie miałem do kogo, a gdybym nawet miał, to nie miałbym na znaczek ani na kopertę czy papier. Potem, gdy zacząłem pracować w milicji, to też nie miałem do kogo pisać. Bo rodzina była zawsze ze mną, a przyjaciół nie miałem. Jak przeszedłem do Wydziału W[4], to chyba jasne, że człowiek tracił ochotę do pisania, widząc, że wszystko, co napisze, może być przeczytane.

Niektórzy się podniecali, czytając listy erotyczne. Nieraz przerzucali całe stosy, żeby trafić na taki list. Przypominam sobie kilka takich opisów, że w najbardziej pornograficznych książkach czy gazetach nie czytałem ciekawszych. Prawdę mówiąc, mnie to nie interesowało, tylko tak, jak koledzy pokazali, to się przeczytało albo zobaczyło jakieś zdjęcia. Zdjęcia były lepsze, ale to młodzież niech się zachwyca. Mnie to już nie bawiło, chyba że naprawdę coś ciekawego.

Styl i forma listu określały człowieka. Teraz, gdy czytam listy drukowane w różnych gazetach, to mogę z dużym prawdopodobieństwem określić charakter osoby piszącej, zawód w przybliżeniu, ale raczej celnie, nie mówiąc już o wieku piszącego z dokładnością do pięciu, dziesięciu lat. Jeśli widzę charakter pisma, to jeszcze łatwiej jest powiedzieć coś o człowieku. W swoim życiu przeczytałem dwieście, może trzysta tysięcy cudzych listów. To był kawał roboty. [...]

[4] Wydział W – w Służbie Bezpieczeństwa pion kontroli korespondencji.

Adam G.:
Zgnoić przeciwnika było lepiej, niż go zabić. Zamordowany mógł się stać męczennikiem. Zgnojony był już nieszkodliwy. Jak się nie udawało zgnoić – wtedy się zabijało. [...]

Józef W.:
Przy Departamencie I[5] istniała zupełnie szczególna służba. Nazywaliśmy ją grupą likwidacyjną. Byli to w wyjątkowo konspiracyjny sposób szkoleni ludzie, wykonujący zadania specjalne. Przeważnie likwidowali niewygodnych świadków, agentów, co do których mieliśmy pewność, że poszli na współpracę z obcym wywiadem, wreszcie zwykłych szpiegów, których dla dobra interesów PRL należało zlikwidować. Nikt poza kierownictwem resortu nie wiedział, ilu członków liczy grupa likwidacyjna. Nie wiadomo było, kto do niej należy. Mógł to być każdy z nas, pracujący na swoim, przydzielonym odcinku, a tylko w razie konieczności oddelegowany do wykonania rozkazu likwidacyjnego.

O grupie nie mówiło się głośno. Jak ktoś powiedział za głośno, wylatywał z pracy. Grupa likwidacyjna była tematem tabu. W ministerstwie nie było nic bardziej tajnego. Chociaż była jeszcze jedna supertajna komórka: grupa likwidacyjna dla członków grupy likwidacyjnej. Jak w mafii: zabiłeś, znaczy wiesz zbyt dużo. Do dziś nie wyjaśniono wielu zagadkowych śmierci pracowników Departamentu I [...].

Adam G.:
Znajdowałem się na samym dnie drabiny społecznej. Było wiele takich momentów, że musiałem uciekać się do różnych sposobów, aby utrzymać się na jakimś poziomie. Nie chodziło tylko o stronę materialną. Garnąłem się do wszystkiego, byle sobie pomóc, nie dać się utrącić.

Było nas dziewięcioro dzieci. Ja byłem ten środkowy. Ojciec miał piętnaście hektarów. Kilka odziedziczył po dziadku, resztę dostał z reformy. Był jedynym piśmiennym w naszej wsi we wschodniej Polsce. Zatrudnili go do przeprowadzenia reformy rolnej. Jak przyszła kolej na niego, to tu sobie wziął więcej, to tam, i tak się uzbierało. Potem za to dostawał w dupę, bo go mieli za kułaka.

Moja rodzina nie nadawała się do roli. Byli rozgarnięci, ale gospodarstwem nie umieli pokierować. Poza tym ojciec nie chciał zapisać się do partii. Gospodarka kulała. W czterdziestym szóstym ojciec wpadł na pomysł, który miał naszej rodzinie zapewnić spokojną przyszłość. Kiedy się urodził brat, dał mu na imię Bolesław. Potem napisał do Bieruta, by ten został ojcem chrzestnym dziecka. I został. Bieruta na chrzcie reprezentował wójt.

[5] Departament I – komórka MSW zajmująca się wywiadem.

Tylko jeden raz ojciec skorzystał z pomocy Bieruta. Wtedy, jak groziło mu więzienie, bo nie oddał obowiązkowej dostawy. Pojechał do Warszawy. Bierut go przyjął na dwie minuty. Ojciec złożył podanie o umorzenie, a Bierut obiecał, że sprawie nada bieg. Słowa dotrzymał.

Po śmierci Bieruta przyjechała do nas jakaś urzędniczka z jego kancelarii. Powiedziała, że jest założona książeczka PKO w Warszawie na mojego brata, brat ani rodzice nigdy tej książeczki nie wykorzystali.

Szkołę podstawową kończyłem jako syn kułaka. Chociaż byłem bardzo dobrym uczniem, nie zostałem przyjęty do liceum. Wtedy zgłosiłem się do rozbiórki cerkwi. To była akcja mszczenia symboli ukraińskich. Ludzie ze wsi nie chcieli, bo cerkiew to jednak rzecz święta. Mimo iż od czasu wojny na naszym terenie [Zamojszczyzna] panowała nienawiść ukraińsko-polska. Po gruzach ukraińskiej świątyni dostałem się średniej szkoły.

Być może to, że byłem synem kułaka i bratem chrześniaka Bieruta, tak mnie dziwnie nastawiło do świata. Od początku czułem jakieś rozdarcie, wiedziałem, że coś się dzieje ważnego w kraju, ale nie wiedziałem do końca, czy to jest dla mnie dobre, czy nie. [...]

Gdybym się urodził w innych czasach albo w innej rodzinie, pewnie byłbym dobrym naukowcem, matematykiem. A może polonistą. Może pisałbym książki. Byłem jednakowo uzdolniony do przedmiotów humanistycznych i ścisłych. Moja inteligencja stała się moim przekleństwem. Była zbyt surowa, nieociosana, żeby zajść wyżej, ale wystarczała do tego, żeby sobie radzić w życiu. Byłem za mądry, żeby zostać na wsi, orać ziemię i biedować jak ojciec, a za głupi na wejście w ten inny, lepszy świat otwartą furtką. Gdyby nie SB, pewnie do dziś gniłbym w Łapach albo gdzieś w tamtych okolicach. A ja chciałem żyć.

Kilka razy musiałem walczyć, żeby się utrzymać na pewnym poziomie. Nie w sensie materialnym. Na pieniądzach nigdy mi bardzo nie zależało. Musiałem walczyć, aby nie dać się strącić w dołek, poniżej tego, co już osiągnąłem. Taka wspinaczka jak po kruchej drabinie. Szczebel się złamie i spadasz. Albo jak ktoś ją kopnie i drabina się chwieje, a ty razem z nią.

Imponowało mi, że dla rodziny stałem się autorytetem, że mnie pytają o zdanie. Czułem się wyróżniony, z drugiej strony coraz bardziej oddalałem się od rodziny. Widziałem, jak ojciec się gnie pod naporem urzędniczych nakazów i kościelnych przykazań. W końcu zrezygnował, zasklepił się. Tak jakoś się zmniejszył, skurczył. Nie mógł mi imponować, wzbudzał raczej litość. Cała ta moja kariera była na zasadzie: ja wam pokażę. Chciałem pokazać, że stać mnie na to, by być kimś ważnym. Mogłem załatwić wszystko. Nie mogłem chcieć więcej. [...]

Jerzy K.:
Hilary Ch. był moim naczelnikiem w obserwacji. Przed wojną wybierał piasek z Wisły. Do UB wstąpił w czterdziestym piątym. Typ ideowca, którego partia przesunęła z nizin społecznych na szczyt. Przeszedł wszystkie szczeble kariery. Od zwykłego funkcjonariusza do wysokiego rangą oficera. Ch. szczególnie upodobał sobie hotele. Zlecał obserwację nawet wtedy, gdy nie było zagrożenia, żadnej zrozumiałej potrzeby. Pod koniec lat siedemdziesiątych lekarze zalecili mu półroczny odpoczynek w Barcinku. Nie chciał iść. Zmuszono go. Jak wrócił, to z jeszcze większą energią zaczął obserwować. Pisał notatki. Przesyłał je do dyrektora biura. W osiemdziesiątym czwartym przeszedł na rentę inwalidzką. W lipcu 1990 spotkałem go pod Grand Hotelem. Siedział przy stoliku przed kawiarnią. Pił kawę i zapisywał numery rejestracyjne samochodów zatrzymujących się w pobliżu hotelu. Spytał, czy chcę z nim współpracować. Przedstawił plan działania. Każdy hotel w Warszawie obserwuje przez dwa miesiące. Wnioski chciał przedstawić kierownictwu resortu. Spytałem, czy chodzi o stare, czy nowe kierownictwo. Powiedział, że to nie ma znaczenia. Ja na to: „Towarzyszu pułkowniku, już nie te czasy, dzisiaj nikt nas nie potrzebuje". Widziałem, jak zapisuje to, co do niego mówię. Potem wstał i wyszedł bez słowa. Więcej go nie spotkałem. [...]

Kazimierz M.:
Nie przestaję obserwować. Zawsze wiem, kto siedzi przy stoliku obok, kto za mną idzie. Siadam tak, żebym mógł jak najwięcej widzieć. Na przykład zawsze przodem do drzwi. Widzę wtedy, kto wchodzi, kto wychodzi. Jak zawsze nawiązuję kontakty i podtrzymuję je. Nigdy nie wiadomo, kto kiedy może się przydać. Wszystko potrafiłem załatwić, nawet błogosławieństwo papieża Jana Pawła II dla chorej matki. Mama miała osiemdziesiąt trzy lata, kiedy musiała przejść ciężką operację. Nie wierzyłem w uzdrawiającą moc błogosławieństwa, ale załatwiłem je dla podtrzymania nadziei. Bo mama wierzyła. Nie wiem, czy pomogło, czy nie, ale operacja się udała. Zdobycie błogosławieństwa było zresztą bardzo łatwe. Kościół potrzebował dużo dywanów, których, jak wiadomo, wówczas w normalnej sprzedaży prawie nie było. A dla mnie zdobycie kilkudziesięciu czy kilkuset metrów wełnianego chodnika to był drobiazg. Krótko mówiąc, przeprowadziłem transakcję wiązaną. Ksiądz nie musiał wiedzieć, jaką instytucję reprezentuję. Dla niego byłem zaopatrzeniowcem. [...]

Kazimierz M.:
Niedawno w sklepie podszedł do mnie mężczyzna. Stanął ze mną twarzą w twarz i zapytał cicho, żeby inni nie słyszeli:

– Poznaje mnie pan?

Przyjrzałem mu się i poznałem od razu, ale zrobiłem taką minę, jakbym nie wiedział, o co chodzi.

– No, niech się pan przyjrzy dokładnie. Ja pana pamiętam. Jak mnie pan wezwał do siebie, to pracowałem w redakcji „Kuriera". Kazał mi pan podpisać zobowiązanie i ja się nie zgodziłem. Potem mi pan zablokował paszport.

Uśmiechał się tak trochę zaczepnie. Powiedział, żebyśmy poszli na kawę. Rozmawialiśmy wszystkiego dziesięć minut. Okazało się, że nie byłem pierwszy i ostatni, który mu proponował współpracę. Za każdym razem się nie zgadzał. W dziennikarstwie nie zrobił wielkiej kariery, chociaż wtedy mówili o nim „młody zdolny".

Chciał, żebym mu powiedział, kto z „Kuriera" był tajnym współpracownikiem. Zaczął wymieniać nazwiska i patrzył na mnie uważnie. Dopiłem kawę i wyszedłem. Co, miałem mu powiedzieć, że prawie wszyscy?

[...] Kiedyś zgłosiłem się do człowieka, który był agentem UB przed pięćdziesiątym szóstym rokiem. Potem dali mu spokój, a ja chciałem kontakt odświeżyć. Powiedział, że są inne czasy i on już skończył współpracę. „Ale teczki są wciąż te same – odpowiedziałem. – Taka teczka może wpaść w niepowołane ręce". Zmiękł od razu, bo przecież kiedyś własnoręcznie podpisał zobowiązanie, a zobowiązanie jest jak cyrograf. Obowiązuje do końca życia, a nawet po śmierci, bo wszystko zostaje w aktach. Człowiek, który raz coś takiego podpisał, jest skazany na całe życie. Można mu zlecić wszystko. Chyba że zdecyduje się na ujawnienie własnej osoby jako agenta. Ale ja nie słyszałem jeszcze o takim przypadku.

Ja na agentów nie wywierałem zbyt dużej presji. Nasze kontakty opierałem na spotkaniach towarzyskich. To byli ludzie inteligentni. Dziennikarze, naczelni redaktorzy ważnych pism. Ale każdy przeżywał rodzaj strachu, niepewności. Na zbytnie spoufalenie nie mogłem sobie pozwolić.

Wśród tajnych współpracowników było wielu takich z dewiacją. Przynosili bzdury, byle dużo. To była choroba. Lubili swoją pracę, byli nachalni, gadatliwi. Z takimi wolałem albo zerwać kontakt, albo ograniczyć do minimum. Jednego takiego przejąłem od kolegi. W czasie wojny wydawał Żydów, po wojnie współpracował z żydowską bezpieką i wydawał polskich patriotów, najczęściej akowców, a w 1968 pracował dla Moczara i znowu kapował na Żydów. Brzydziłem się nim, ale go wykorzystywałem, bo dzięki niemu zdobywałem

punkty w SB. Donosicielstwo leży w charakterze ludzi. Najpierw jest plotka, potem donos. Wielu moich informatorów, nie wiedząc o sobie nawzajem, nie przypuszczając nawet, że ich koledzy też współpracują, donosiło na siebie. Czasem tylko po to, żeby zająć ich miejsce, uniemożliwić zagraniczny wyjazd. Zazdrość była moim najlepszym pomocnikiem. Nieraz celowo wywoływałem intrygę. Wtedy gadali jeden na drugiego największe świństwa. Kolega na kolegę. Wśród dziennikarzy to trzeba było szukać czystego, takiego, który już z kimś nie współpracuje. Jak się już taki znalazł, to się moi koledzy bili, który ma go przejąć, pozyskać. Ale jednak o niektórych wiedzieliśmy, że za żadną cenę nie zgodzą się informować. Przed takimi zamykaliśmy drogę kariery. Sam talent często nie wystarczał. Tacy stawali się często działaczami opozycyjnymi. [...]

Adam G.:
Niektórzy nie wiedzą teraz, co mają ze sobą robić. Na przykład taki G. K. Przyszedł do SB z jakiejś wioski spod ruskiej granicy. Analfabeta. Ponoć tam używał przyjemności ze zwierzętami, bo dziewczyny go nie chciały. Jak sprowadzili go do Warszawy, dali pracę, mieszkanie, ładne ubranie, to i dziewczyna się znalazła. A on zaczął wierzyć w partię i SB jak w Boga. I teraz nie wie, jak ma żyć. Nie wiem, czy nie zwariował. Kiedy go widziałem kilka miesięcy temu, był na najlepszej drodze. Mówił, że system go zdradził, ale on się zemści.

Józef Z.:
Spotykamy się raz na miesiąc w naszym Klubie Emerytów I Departamentu. Jest mała wódeczka, kawa. Tylko ludzi coraz mniej. Każde spotkanie zaczynamy od minuty ciszy za „poległych". Tak o nich mówimy. Chociaż nikt nie ginie. Umierają. Tak po prostu. Na raka, zawał, ze starości. Niektórzy jeszcze czekają, że coś się stanie. Że wrócą tam, skąd wyszli. Kiedyś było się kimś. Teraz jest się nikim. Nikt nie lubi być nikim.

Barbara Stanisławczyk, Dariusz Wilczak,
Pajęczyna, wyd. 2 rozsz., Poznań: Rebis, 2010,
fragmenty

1994

Paweł Smoleński (ur. 1959)

Nie zgadzać się

Lekcja wyniesiona z teczek powstała tak – opowiada Paweł Smoleński – że Helena Łuczywo i Adam Michnik pojechali do RPA na konferencję o wychodzeniu z dyktatur, którą organizował Nelson Mandela. Tam poznali pastora Joachima Gaucka, dziś prezydenta Niemiec, a wtedy szefa urzędu do spraw akt Stasi. I się z nim strasznie pokłócili. Tak to przynajmniej pamiętam. Adam ze swoim znanym poglądem – zalać to wszystko betonem raz na zawsze, a Gauck ze swoim, że w archiwach esbeckich grzebać, bo tylko prawda nas wyzwoli. Niemcy mają wszystko poukładane jak trzeba, w archiwach jest porządek i Gauck wyszedł z propozycją, że da Michnikowi w prezencie kopie wszystkich teczek, jakie Stasi na niego zbierała przez lata. Da mu wszystko, co jest, ale – uwaga! – weźcie pusty wagon po te teczki, bo tyle ich jest. To był powód, dla którego pojechałem do Berlina: odebrać kopie tych dokumentów.

W Berlinie pastor powiedział, że wydał już polecenie wyszukania materiałów na Michnika i kazał dzwonić do siebie za kilka dni. Mieszkałem u korespondentki „Gazety" Weroniki Kostyrko, dzwoniłem co kilka dni, rozmawiałem z Gauckiem, ale ciągle nie był gotowy żaden dokument. Po dwóch tygodniach czekania poszedłem do jego urzędu z jedną pustą torbą na ewentualne materiały. Była godzina do odjazdu pociągu. I okazało się, że szef urzędu akt Stasi podał mi jedną kartkę formatu A4. Na niej było nazwisko Michnika i jego adres w Warszawie. To wszystko, co miała Stasi. Trzeba było widzieć jego minę zbolałego psa. On nie umiał tego wytłumaczyć, przecież oni, Niemcy, mają taki porządek... W archiwach nie może być chaosu... Przez te dwa tygodnie rozmawialiśmy kilkakrotnie i jego ton był bardzo wyższościowy. Musimy ujawniać zawartość teczek, my to robimy dobrze, my wiemy, co robimy, i tym podobnie. A teraz nie miał nic i nie wiedział, czy to manipulacja, czy prowokacja, czy bajzel.

Czas w Berlinie wykorzystałem na rozmowy z ludźmi, którzy mieli do czynienia ze Stasi, i dzięki temu powstał ten reportaż.

Paweł Smoleński trafił do „Gazety Wyborczej" w 1989 roku. Wcześniej drukował w podziemnym „Wolnym Piśmie Most" oraz w wydawanej przez michalitów „Powściągliwości i Pracy". W sierpniu 1986 roku, kiedy miał dwadzieścia

siedem lat i skończone studia dziennikarskie na Uniwersytecie Warszawskim, zaczął wysyłać swoje teksty do Maisons-Laffitte, siedziby paryskiej „Kultury". Redaktor Jerzy Giedroyc drukował je z poczuciem, że dzięki Smoleńskiemu zapisany i zdiagnozowany zostaje stan pokolenia, które otrzymuje właśnie dowód osobisty. Korespondencje reportera dla „Kultury" były opowieściami o pokoleniu bez przyszłości. Podpisywał je pseudonimem Tomasz Jerz (nie umie powiedzieć, jak mu przyszedł do głowy). W 1989 roku powstała z tych materiałów książka *Pokolenie kryzysu*, wydana przez Instytut Literacki w Paryżu, którą Paweł Smoleński podpisał już własnym nazwiskiem. Poświęcił ją nielegalnym ruchom młodzieżowym (anarchistom z Trójmiasta, narodowcom z kościoła na Zagórnej w Warszawie, Pomarańczowej Alternatywie z Wrocławia), ale i tym, o których mówiło się, że są na państwowej licencji, a tylko udają spontan.

Jak to się stało, że Smoleński nie zaczął pisać do oficjalnej prasy? Jako młody reporter mógł drukować choćby w „Razem", „Walce Młodych" czy też miesięczniku „Reporter", który zaczął regularnie wychodzić w 1987 roku.

> W ogóle nie brałem tego pod uwagę – mówi. – Z liceum imienia Prusa na Saskiej Kępie trafiłem na dziennikarstwo, zupełnie przez przypadek, bo dwóch moich starszych kolegów tam szło, ale dziś tylko ja jestem dziennikarzem. Jak tylko znalazłem się na wydziale, to spytałem, gdzie bibułę się robi. I nikt nie wiedział, ale naprzeciwko była filozofia i oni tam byli antykomuniści, więc już trafiłem na swoich.

Smoleński od początku pracy w „Gazecie" miał temperament dziennikarza, który trzyma rękę na pulsie wydarzeń. W latach dziewięćdziesiątych jako reporter był tam, gdzie wybuchały konflikty, opisywał kontrowersyjne postacie polskiej sceny politycznej. Wiele z tych reportaży znalazło się w zapomnianej już dziś książce *Salon patriotów* (1994). Przysłoniły ją jego bestsellery z XXI wieku: *Pochówek dla rezuna* (2001), *Irak. Piekło w raju* (2004), *Izrael już nie frunie* (2006).

Tom kończy portret generała Stanisława Skalskiego, szlachcica z Kresów, najlepszego pilota drugiej wojny światowej, wykładowcy Amerykańskiej Akademii Wojennej, więźnia stalinowskiego. Paweł Smoleński odwiedza go w 1993 roku. Siedemdziesięcioletni generał patriota pokazuje na ścianach obrazy Fałata, Kossaka i Malczewskiego i oznajmia, że wszystkie zapisał ojczyźnie.

> Mocny uścisk dłoni, krótkie słowa, brzmiące jak wojskowe komendy:
>
> – Cześć. Proszę wejść, siadać. Kawa, herbata, piwo? Musi pan przyzwyczaić się, że ja strasznie klnę.

– Panie generale...

– Zna pan moje wypowiedzi dla prasy? Tak. To wie pan, że można mnie pytać o wszystko.

– Generale, chciałbym...

– ...Wie pan, co myślę o żydokomunie? Co myślę o żydowskiej prasie i telewizji? O politykach, którzy powinni być w Knesecie, nie w Sejmie?

– Generale...

– Ale pan mi na obrzezanego nie wygląda? Nazwisko też normalne. Zresztą, co mnie to obchodzi? Nie jestem antysemitą.

– Generale...

– Ja tak cały czas o was, a pan przyszedł pytać o mnie. Co pan chce wiedzieć?

– Chciałbym pana zrozumieć.

– Ale żeś pan sobie sprawę zadał? – generał klnie. – Przecież nawet ja siebie nie rozumiem.

Ten świetny reportaż o wojennym herosie ma wymowny i subtelny tytuł *Bohaterowie są zmęczeni*. Generał Skalski był moim tematem, ale z przyjemnością oddałem go Pawłowi. Już umówiłem się ze starszym panem na wizytę, jednak przeraził mnie przez telefon. Zaproponowałem więc Pawłowi, żeby go odwiedził. Niestety, generał przez cały czas był przekonany, że rozmawia z jakimś Szczygłem. Kiedy wyszło na jaw, że przyszedł Smoleński, był to nowy kamyczek do jego spiskowej teorii dziejów. Miałem rację, pozbywając się tego tematu, bo tylko Paweł Smoleński na *dictum* bohatera, że polscy politycy to „gracze czczeni w Izraelu", którzy „walczą o panowanie Żydów nad światem", był w stanie odpowiedzieć:

– To jakieś brednie, generale.

– Pan mówi, że brednie, a ja wiem, że to prawda.

– Generale, jest pan lotnikiem, a prowadzenie samolotu wymaga precyzji, jasności...

Paweł Smoleński był zawsze typem zadziornym, wchodził w spięcia ze swoimi rozmówcami. Krążyła anegdota, że są różne metody zbierania materiału: Hugo-Bader wkłada nogę między drzwi, Szczygieł zgadza się ze wszystkim, co słyszy, Smoleński zaś siada przed swoim rozmówcą i nie mówi nic. Ma odwagę siedzieć i milczeć. Ewentualnie stuka palcami w blat stołu. Po piętnastu minutach takiej ciszy stropiony człowiek oznajmia: „No, dobrze, to ja już powiem wszystko".

Smoleński uważa, że warto nie zgadzać się ze swoimi bohaterami. W *Izrael już nie frunie* pisze o profesorze Żydzie, który sam się do niego zgłosił, żeby opowiedzieć o swojej wizji światowego antysemityzmu. Bo tak jak niektórzy mają wizję wszechobecnych Żydów, tak niektórzy Żydzi mają wizję powszechnej antysemickiej nienawiści.

– Chciał przekazać swoje spojrzenie na Izrael i opowiedzieć, jak świat nie rozumie, dlaczego Izrael taki właśnie jest – twardy, niezłomny, walczący o każdy guzik – mówił Smoleński Agnieszce Wójcińskiej. – Najśmieszniejsze jest to, że myślałem, że pan Lindenbaum obrazi się na mnie po tym reportażu. Gadaliśmy parę godzin, a mnie resztki włosów stawały na głowie, tak przerażające było dla mnie to, o czym opowiadał. Mówiłem mu, że kompletnie się z nim nie zgadzam, że to herezje. A on argumentował, że ma rację, i potem był zachwycony tekstem. Wreszcie trafił mu się facet, który jego słowami opowiedział to, co on myśli o świecie. Nie dodałem mu ani słowa, nie przekłamałem nic z tego, co mówił. Zresztą myślę, że to uniwersalna metoda, która sprawdza się także w Polsce. Dowolna brednia, jaką pani zacytuje, pod warunkiem że będzie zacytowana dosłownie lub w sposób oddający myślenie danego delikwenta, sprawi, że będzie on zadowolony.

– Nie obawiał się pan mówić mu, że myśli zupełnie inaczej? Mam wrażenie, że to coś, czego początkujący dziennikarze boją się jak ognia.

– Zawsze tak robię, jeśli nie zgadzam się z tym, co mówi bohater. [...] Wydaje mi się, że jeśli pani mówi swemu rozmówcy bez agresji, że się myli, to reakcją nie jest zrzucenie ze schodów, tylko przytoczenie argumentów na poparcie własnej racji. Moim zdaniem Pan Bóg cieszy się, gdy ludzie rozmawiają. A prawdziwa rozmowa nawiązuje się właśnie w ten sposób. Fakt, że kwestionuję czyjeś zdanie, oznacza tylko tyle, że się z nim nie zgadzam. Nie oznacza, że on jest durniem, bo ja się nie stawiam w pozycji mędrca. [...]

– W Polsce też się pan nie boi rozmawiać w ten sposób z ludźmi, którzy są głęboko przekonani o swojej racji?

– Jak byłem dużo, dużo młodszy, to myślałem, że gdy ktoś mówi rzeczy, z którymi się nie zgadzam, to to jest idiotyzm. Próbowałem tych ludzi, którzy w moim przekonaniu mówili idiotyzmy, przedstawić jako idiotów. Teraz myślę, że warto pokazać, że oni są po prostu innym kolorem. [...] Można zrobić z kogoś osła, ale to znaczy, że się go nie chce zrozumieć. A jak pani go nie chce zrozumieć, to siłą rzeczy ogranicza sobie możliwość percepcji tego, co na zewnątrz, poza pani widzeniem świata, wrażliwością. To może lepiej nie rozmawiać.

Lekcja wyniesiona z teczek

współpraca Weronika Kostyrko

Świadectwa

Akta Stasi leżą w teczkach z pomarańczowego kartonu. Są w nich charakterystyki agentów i ich ofiar, koperty ze zdjęciami, przepisane na maszynie donosy, odręczne zobowiązania do współpracy, formularze z tabelkami, kwity za pobrane pieniądze. Gdyby teczki zdjąć z półek, połączyłyby pomarańczowym pasem Warszawę z Kielcami.

Ustawa mówi: każdy może obejrzeć swoje akta i z uzyskanej wiedzy zrobić dowolny użytek. Pierwszeństwo w dostępie do teczek mają byli więźniowie polityczni i ludzie stojący nad grobem. Ustawa regulująca dostęp do akt przyjęta została przez demokratycznie wybraną Izbę Ludową w 1990 roku, ostatnim roku istnienia NRD, później zatwierdził ją Bundestag.

Jeśli czytający był ofiarą, ma prawo zobaczyć wszystkie swoje teczki, może kopiować dokumenty i domagać się od państwa odszkodowania. Jeśli był agentem – wolno mu obejrzeć akta obejmujące obserwację przed werbunkiem, sposób zwerbowania i oświadczenie o współpracy. Treść własnych donosów jest przed nim zamknięta. Gdy uważa, że akta go krzywdzą, może odwołać się do sądu.

Ustawę realizuje Joachim Gauck i jego urząd – Gauck-Behörde, zatrudniający trzy tysiące pracowników. Oceniają, że dokumenty Stasi są wiarygodne niemal w stu procentach.

– To prawda, że wielu agentów zmyślało, koloryzowało, podnosiło rangę swoich dokonań – mówi Hanna Labrenz-Weiss, pracownik wydziału studiów Gauck-Behörde. – Tyle że Stasi na własny użytek przygotowywała ocenę raportów.

– Jak można było przesiać taką ilość informacji?

– Jakoś potrafili. Na berlińskim Uniwersytecie Humboldta zlustrowano siedmiuset osiemdziesięcioro pracowników. Sto pięćdziesięcioro pięcioro miało kontakty lub aktywnie współpracowało ze Stasi. Ich wyjaśnienia potwierdziły prawdziwość akt w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach.

Formalnie archiwa otwarto w styczniu 1992 roku. Do Gauck-Behörde nadeszły miliony podań od ludzi zainteresowanych teczkami.

Do zaakceptowania przez wszystkich

Joachim Gauck, lat pięćdziesiąt cztery, były pastor z Rostocku. W archiwach Stasi określony jako wróg państwa: podsłuch telefoniczny, kontrola korespondencji, czternastu agentów do rozpracowywania jego osoby. Wybrany na szefa urzędu sprawującego pieczę nad aktami przez demokratyczną Izbę Ludową NRD[1], zatwierdzony przez Bundestag.

Heiko Lietz, były pastor z Güstrow, małego miasteczka w Meklemburgii, poznał Gaucka jeszcze w szkole średniej. Razem studiowali teologię, grali w jednej drużynie piłki ręcznej. Rozstali się po studiach: Gauck został pastorem w miasteczku Lüssow. Pozostali w przyjaźni do dziś.

– Ja należałem do radykalnych teologów, Gauck się nie wychylał. W latach osiemdziesiątych nie angażował się w niezależny ruch pokojowy – mówi Lietz. – Był pastorem młodzieży, lecz unikał konfliktów z państwem. Joachim jest z natury człowiekiem ostrożnym i powściągliwym.

– Czy to znaczy, że Gauck akceptował komunizm?

– Nie był ideologicznym antykomunistą, lecz zawsze trzymał dystans. Gdy jego synowie chcieli wyjechać na Zachód, uszanował ich decyzję, wiedział, że w NRD nie mają perspektyw. Miał z tego powodu nieprzyjemności, raczej niewielkie, bo pastorom było wolno więcej niż zwykłym ludziom. Ale decyzja synów nie była dla niego przełomem, punktem wyjścia do krytyki systemu. Polityka była dla niego zbyt gorąca, stała poza horyzontem jego zainteresowań. Wolał pracę w Kościele.

Christoph Stier, dziś biskup ewangelicki Meklemburgii, był od roku 1970 pastorem nowego osiedla w Rostocku. Obok wyrastały kolejne blokowiska. Do jednego z nich ściągnięto Gaucka.

– Zaczynał pracę od podstaw – opowiada biskup. – Zdobył szacunek jako dobry mówca i dobry pasterz.

W roku 1988 Gauck współorganizował meklemburski sejmik Kościoła. Razem ze Stierem prowadzili rozmowy z władzami. Wysłali zaproszenie do kanclerza RFN Helmuta Schmidta. Władze powiedziały: nie. Gauck jednak potwierdził zaproszenie. Schmidt przyjechał.

– Joachim miał kazanie kończące sejmik. Znalazł odpowiednie słowa – wspomina biskup Stier. – Nie krytykował władz NRD bezpośrednio, ale i tak wszyscy wiedzieli, o czym mówi.

W czasie jesiennej rewolucji 1989 roku, nazywanej w Niemczech Przełomem, Joachim Gauck wzorem pastorów z Lipska prowadził nabożeństwa pokojowe. Lecz jeszcze w listopadzie 1989 roku miał wątpliwości, czy wstąpić do opozycyjnego Nowego Forum[2]. Heiko Lietz namawiał przyjaciela:

[1] Izba Ludowa – Volkskammer, izba niższa (1949–1958), a następnie jednoizbowy parlament Niemieckiej Republiki Demokratycznej (1958–1990).

[2] Nowe Forum – Neues Forum, pierwszy antykomunistyczny lewicowy ruch społeczny w NRD.

– Nic nie osiągniesz, jeśli nie włączysz się w politykę.

Pastor Gauck został posłem do demokratycznej Izby Ludowej. Na początku dyskusji o aktach Stasi – twierdzi Lietz – nie zajmował jasnego stanowiska. W Izbie ścierały się trzy opinie: akta należy zamknąć (komuniści), otworzyć (wywodzące się z enerdowskiej opozycji Nowe Forum), przewieźć do archiwum federalnego w Koblencji (naciski z Bonn). Gdy stanął do wyborów na przewodniczącego komisji badającej dokumenty Stasi, był jednoznacznie za otwarciem.

– Jak to się stało, że pastor Gauck wygrał wybory?

– Był do zaakceptowania przez wszystkich.

„Wolność dla akt"

Kiedy jesienią 1989 roku ginęła NRD, zbuntowana ulica nie szturmowała komitetów partyjnych, redakcji komunistycznych gazet, gmachów rządowych. Ludzie poszli zajmować budynki Stasi.

– Zaczęło się 3–4 grudnia 1989 roku – opowiada doktor Klaus-Dietmar Henke, szef wydziału studiów Gauck-Behörde. – Na prowincji zauważono, że Stasi niszczy teczki. Na murach pojawiły się hasła „Wolność dla moich akt". Ludzie zajęli piętnaście central regionalnych.

Łatwo to sobie wyobrazić. Nie ma twardogłowego szefa wschodnioniemieckich komunistów Honeckera, upadł mur berliński, ulica upaja się wolnością na wielotysięcznych wiecach. Ktoś woła: „Idziemy na Stasi!", ktoś to podchwyci, za chwilę o pójściu na Stasi marzy cały tłum. Więc idą, stają przed oficerami, żądają kluczy, wchodzą do środka, myszkują w archiwach, po policyjnych gmachach wala się zapisany papier. Okupują budynki w Jenie, Dreźnie, Lipsku, w całej NRD.

Tylko Berlin czeka. Budynki przy Normannenstrasse, skąd wydawał rozkazy szef Stasi Erich Mielke, zajęto 15 stycznia 1990 roku. Weszło do nich pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Znajdują mięso i sok pomarańczowy, zrywają ze ścian portrety Honeckera, niszczą biurka i krzesła. Z okien lecą na ulicę pomarańczowe teczki i luźne kartki papieru.

Stasi dobrowolnie oddaje archiwa, nie broni się, nie strzela. Dlaczego? Nad tą zagadką do dziś głowi się urząd Joachima Gaucka.

Od razu pojawiają się spekulacje, że zajęcie gmachów Stasi sprowokowali oficerowie i agenci. Że wskazywali tłumom mało znaczące budynki, wynosili dokumenty, potęgowali zamieszanie. W Berlinie generał Stasi Hans Engelhardt wypuścił tłum na budynki, w których urzędował Mielke, podczas gdy właściwe archiwum mieściło się gdzie indziej; nikt nie wie, gdzie przepadły ukryte tam akta.

W czasie okupowania prawdziwych i domniemanych archiwów prawdopodobnie przepadły teczki najważniejszych agentów. Ci wielcy mają tylko fiszki: X był szpiclem, lecz brak zobowiązań o współpracy, raportów, donosów, pokwitowań. Pracownicy Gauck-Behörde uważają, że fiszki są prawdziwe, a po nitkach z różnych teczek dojdą do kłębka.

– Wiemy, że w zajmowaniu budynków uczestniczyli agenci i oficerowie; szturm na jedną z centrali regionalnych prowadził kadrowy pracownik Stasi – opowiada doktor Henke. – Próbowali kierować tłumem, odwracać jego uwagę. Jednak zdobycie akt to bezsporny sukces ruchu wolnościowego.

Państwo w państwie

Stasi to nie było zwyczajne ministerstwo spraw wewnętrznych. To nie była tylko tajna policja.

Stasi szpiegowała, podglądała, podsłuchiwała, śledziła, zbierała próbki zapachowe podejrzanych osób, otwierała listy, rozwiązywała języki, łamała charaktery, zamykała do więzień, wywoziła za granicę, biła, dręczyła, zabijała, wskazywała ofiary, wybierała oprawców.

Pilnowała bumelantów spod budki z piwem. Sprawdzała dyrektorów, którzy biorąc łapówki, narażali wykonanie planu. Tropiła niegospodarność. Rozstrzygała, czy wypadek przy maszynie to nieszczęście, czy może sabotaż. Bez Stasi – twierdzą zachodni eksperci – ekonomia NRD znacznie szybciej odkryłaby swoje dno.

Stasi określała, kto jest dobry, kto średni, a kto zły. Kto jest wierny, kto knuje, a kto dopiero zamierza knuć. Sprzedawała do Republiki Federalnej całe rodziny. Ukrytymi kamerami podpatrywała siusiających w publicznych toaletach. Zamkniętym w więzieniach urządzała seanse tortur w celach wybitych czarnym kauczukiem. Wybierała pograniczników strzegących berlińskiego muru. Dobierała najbliższy personel kanclerzom Republiki Federalnej. Ukrywała lewackich terrorystów Frakcji Czerwonej Armii.

Stasi pisała wiersze poetom, rockmanom wymyślała teksty zbuntowanych songów, wydawała zakazane książki na powielaczach i szmuglowała je do zachodnich ambasad. Kładła farbę na obrazy awangardzistów i na socrealistyczne freski. Mówiła lekarzom, jakie trzeba przepisać lekarstwa, a prostytutkom – z kim mają iść do łóżka. Decydowała o kształcie fryzury, sposobie malowania oczu, kolorze bielizny.

Gdy wschodnioniemieccy piłkarze grali na mistrzostwach świata w 1974 roku mecz z reprezentacją RFN, Stasi wskazała moment (w zamian za ułatwienia w łączeniu rozdzielonych rodzin), kiedy zachodni piłkarz miał się potknąć, żeby socjalistyczna drużyna mogła strzelić zwycięską bramkę.

W Stasi nie można było zatrudnić się samemu. To Stasi wybierała ludzi: wśród rodzin oficerów, spośród najzdolniejszych studentów i wybijających się uczniów. Zbieranie informacji o kandydacie na oficera (poglądy polityczne, wykształcenie, rodzina, przyjaciele, hobby, upodobania seksualne, przyzwyczajenia) trwało czasem kilka lat.

Stasi – to nie było państwo w państwie, lecz państwo samo w sobie. Berlińska centrala przy Normannenstrasse liczyła czterdzieści jeden budynków. Stasi miała sto tysięcy funkcjonariuszy (największy po armii pracodawca w NRD, większy niż hitlerowskie gestapo), niepoliczalne rzesze tajnych współpracowników. Akta sześciu milionów ludzi. Kilkanaście centrali rozrzuconych po całym NRD, prawie dwadzieścia tysięcy zakonspirowanych lokali. Budżet – cztery miliardy wschodnich marek.

Miała wyższe uczelnie niezarejestrowane w spisach wschodnioniemieckich uniwersytetów, kliniki, gdzie więźniom politycznym wycinano zdrowe organy, a wszczepiano chore, więzienia, których lokalizacji daremnie szukać na planach miast.

Trzydzieści dziewięć departamentów: XX – rozpracowywanie opozycji, XX/4 – rozpracowywanie Kościoła, XX/8 – szkolnictwo wyższe, XX/6 – zdrowie, XX/7 – kultura, XX/3 – sport, XX/2 – szkoły podstawowe itd. Wywiad, kontrwywiad, szpiegowanie własnych funkcjonariuszy.

Język Stasi był językiem nauki. Precyzyjny, chłodny, bez emocji mogących zakłócić tok myślenia i proces realizacji rozkazów.

Podstawowe pojęcie zaczerpnięte zresztą z fizyki jądrowej: *Zersetzung – Liquidierung von feindlich-negativen Personen*, czyli „rozbicie" – likwidowanie osób wrogo i negatywnie nastawionych. Jak rozbicie atomu w reaktorze jądrowym.

Co zrobić z wrogiem?

Oto jak wyglądało „rozbicie" Wolfa Biermanna, zachodnioniemieckiego komunisty, który na ojczyznę wybrał NRD, by później stać się poetą i śpiewakiem opozycji.

W NRD – zakaz publikowania utworów, kradzieże rękopisów, niszczenie kaset z nagraniami i magnetofonów, ale tak, by nie pozostawić żadnych śladów. Rozpowszechnianie podrobionych tekstów mogących skompromitować autora. Zastraszanie zwolenników, fikcyjny werbunek przyjaciół, wcielanie znajomych do wojska. Stwarzanie wrażenia, że Biermann sam jest agentem. Zakłócanie rozmów telefonicznych. Prowokowanie konfliktów ze środowiskiem. Stworzenie warunków do działań kryminalnych (na przykład nakłanianie do jazdy po pijanemu). Aresztowania.

W RFN, gdzie w 1976 roku przyjechał na koncerty i musiał zostać, bo odebrano mu obywatelstwo NRD – znalezienie dziennikarzy piszących agresywne recenzje i szkalujące komentarze, celowo zniekształcających wypowiedzi. Prowokowanie konfliktów między artystą a wydawcami. Zastraszanie środowiska poety i jego rodziny. Fikcyjne werbowanie. Zakaz wjazdu do NRD.

Zawsze i wszędzie: Anonimowe telefony. Skłanianie do picia. Stwarzanie okazji do wykroczeń seksualnych (na przykład z nieletnimi). Niszczenie związków uczuciowych. Zmuszanie lekarzy do stosowania niewłaściwych terapii.

Pracowało nad tym siedemdziesięciu agentów.

Zersetzung Jürgena Fuchsa, wykupionego przez RFN działacza opozycji i pisarza: nieustanne głuche telefony, zwłaszcza w nocy, i czasowa blokada telefonu. Zamawianie w jego imieniu gazet, czasopism, prospektów, gadżetów, w tym kompromitujących. Wielokrotne, przede wszystkim w nocy, wzywanie taksówek, pogotowia hydraulicznego, ślusarskiego, holowniczego. Zamawianie usług wnętrzarskich i tapicerskich, firm czyszczących wyścielane meble, sprzątających mieszkanie, myjących okna, wywożących meble i holujących wraki samochodów. Wynajmowanie auta z kierowcą, specjalistów od dezynsekcji, doradztwa ubezpieczeniowego, masażystów, usług biur podróży. Dostarczanie do domu posiłków z restauracji.

(Fuchs nie oszalał, bo sądził, że tak wygląda życie na Zachodzie, że tak właśnie zabiega się o klienta).

Przystosowanie

Pastor Joachim Gauck podkreśla: ustawa o ujawnieniu akt Stasi to decyzja obywateli byłej NRD. Nikt obcy jej nie wymyślił, nie narzuciło jej zjednoczenie. Ossi, Niemcy ze Wschodu, sami ustanowili prawo emancypujące naród; każdemu wolno wiedzieć, co na jego temat wpięto do teczek. Byli enerdowcy posiedli wiedzę dawnych władców. To zwycięstwo państwa, którego już nie ma.

– Różnimy się od innych krajów postkomunistycznych tym, że w sprawie akt mieliśmy wspólne zdanie. Izba Ludowa postanowiła: musimy uwolnić się od przeszłości. Nie chcieliśmy powtórzyć błędu denazyfikacji, która nie rozliczyła Niemiec i Niemców z hitlerowską przeszłością.

– Wessi, Niemcy z Zachodu, użalają się nad nami: „Wy biedni, przecież u was wszyscy musieli to robić". Albo piszą: „Ossi, naród zdrajców". Albo: „Zostawcie akta w spokoju". A ja znam liczby: może jeden, może dwa procent kolaborowało ze Stasi. Donoszenie nie było normą w NRD.

– A co nią było?

– Przystosowanie. My, Niemcy, mamy wielki szacunek do władzy i autorytetów. Przystosowanie różni się od donoszenia choćby ze względu na ofiary.

Niezgoda na szpiclowanie nie wynikała z antykomunizmu czy działalności opozycyjnej. Tego wymagała przyzwoitość.

– Stworzyliście prawo, które ocenia, kto był przyzwoity, a kto nie.

– Przede wszystkim mamy ustawę pozwalającą zbadać przeszłość NRD, zrehabilitować ofiary, wyrównać krzywdy. Dzięki archiwom poznajemy mechanizm dyktatury. W służbach publicznych RFN nie ma już agentów i oficerów Stasi. Skrzywdzeni mogą występować o odszkodowania. Archiwa służą ludziom, którzy od przejęcia władzy przez Hitlera nie mieli do państwa zaufania.

Gdy pastor Gauck czytał własne akta, był rozbawiony banalnością jednych donosów, przerażony szczegółowością innych, smutny, że zawiódł się na kilku ludziach. Lecz przede wszystkim poczuł szacunek dla tych, którzy powiedzieli Stasi „nie". Jak jego parafianin, szesnastoletni chłopak, który wyznał: „Pastorze, kazali mi na ciebie donosić".

– Odpowiedziałem: „Idź do nich i powiedz, że się przyznałeś". Czułem się wtedy bardzo radosny. Tak samo jak dziś, gdy natykam się w aktach na ludzi, którzy odmówili systemowi. To wspaniałe uczucie: wiedzieć, jak wielu z nas powiedziało „nie".

– A kiedy czyta pan o kanaliach?

– W Stasi byli zdrajcy i tacy, którzy tylko trzymali kontakt. Ja nie dzielę ludzi na dobrych i złych, nie wymierzam im kary, oddzielam lustrację od oceny moralnej. Tylko udzielam informacji: byłeś agentem lub nie byłeś, pracowałeś w Stasi lub nie.

– W Stasi pracowały również sprzątaczki, gońcy, kierowcy. Jaka jest różnica między sprzątaczką z KC a z gmachów przy Normannenstrasse?

– Prawodawcy zauważyli, że w NRD ludzie związani ze Stasi mieli przywileje. Teraz są w gorszej sytuacji, nastąpiło wyrównanie rachunków. Zgadzam się, że sprawa sprzątaczek jest kontrowersyjna. Lecz ukarani mają takie same prawa jak reszta; nie mogą tylko pracować w sektorze publicznym. Zresztą problem nie polega na zapisie ustawy. To inni nie chcą z nimi pracować.

Joachim Gauck widzi różnicę między drobnym agentem, który nie może znaleźć pracy, i bossem enerdowskiej partii komunistycznej, który nie był w Stasi, ale żyje w luksusie. Wie, że więcej krzywdy mógł zrobić komunistyczny dziennikarz lokalnej gazety (wykupione przez wielkie koncerny z reguły nie zmieniały składu redakcji) niż fryzjer, który donosił o plotkach klientów. Powtarza:

– Prawo nie zaprowadzi Królestwa Bożego – by zaraz dodać: – ale przynajmniej pozwala rozpoznawać problem.

– Gdy człowiek spotykał na swojej drodze funkcjonariusza partii, mógł kłamać, ukrywać swoje poglądy, kluczyć – tłumaczy Gauck. – Gdy otwierał duszę przed przyjacielem będącym agentem Stasi, był kompletnie bezbronny. Szpiclowanie jest szczególną odmianą podłości.

Joachim Gauck ufa, że niemiecka ustawa o archiwach Stasi jest najlepszą tego typu na świecie.

Nie bać się prawdy

Wolfgang Templin, bodaj najważniejsza postać enerdowskiej opozycji lat osiemdziesiątych, pracuje w Stowarzyszeniu 13 Sierpnia, nazwanym tak od daty powstania muru w 1961 roku. Stowarzyszenie mieści się w Muzeum Muru przy Checkpoint Charlie, najsłynniejszym przejściu granicznym ze wschodniego do zachodniego Berlina. Kiedy istniała NRD, stowarzyszenie pomagało uchodźcom, kopało tunele pod murem, kradło automaty samostrzelające, dokumentowało udane i nieudane ucieczki, wspierało opozycję z Europy Wschodniej. Założyciel 13 Sierpnia, niemal osiemdziesięcioletni Rainer Hildebrandt, uczestnik spisku przygotowującego zamach na Hitlera, został aresztowany przez policję RFN za prezentację automatu w muzeum. Władze NRD nazywały członków 13 Sierpnia kryminalistami i agentami CIA. Dla wielu Wessi stowarzyszenie było orędownikiem zimnej wojny.

Stowarzyszenie przetrwało mur berliński. Dziś zajmuje się prawami człowieka w byłej Jugosławii.

Wolfgang był za otworzeniem akt Stasi, bo czuje się odpowiedzialny za przeszłość.

– Z naszą historią, najpierw hitlerowską, potem enerdowską, musimy pokazać prawdę – mówi. – Ja może nie mam ochoty grzebać w aktach, ale historia to nie tylko moja sprawa, nie wolno mi o niej decydować.

Templin podziwia Polskę z jej tradycją oporu wobec komunizmu, z KOR-em, Solidarnością, komunistami, którzy czując nacisk społeczny, spacyfikowali się sami. W jego ojczyźnie było inaczej: opozycja demokratyczna – słaba i nieakceptowana, za to partia – zwarta, silna, do końca dogmatyczna, wspierana autorytetem czołowych intelektualistów. Dlatego uważa, że bez prawdy zawartej w archiwach Stasi nie będzie narodowego samooczyszczenia.

– Musimy do końca przejrzeć struktury, relacje między partią a bezpieką, partią a prawem, partią a prokuraturą. Gdy to poznamy, będziemy wiedzieli, czym jest PDS, spadkobierczyni Honeckerowskiej SED[3]. Nie odmawiam nikomu prawa głosu na PDS, ale najpierw chcę pokazać, czy aby naprawdę oni są za demokratycznym socjalizmem.

[3] SED – Socjalistyczna Partia Jedności Niemiec, w latach 1971–1989 jej sekretarzem generalnym był Erich Honecker. 8 grudnia 1989 roku SED przekształciła się w Partię Demokratycznego Socjalizmu (PDS).

Prawda o PDS powinna być również na rękę Wessi, a jednak akta Stasi niewiele ich obchodzą.

Gdy byliśmy w opozycji, Republika Federalna odwracała się od nas; raziliśmy ich radykalizmem. Teraz bagatelizują akta, uważają, że dla Ossi to zabawka z dawnych lat, bo co innego zostało nam po NRD? Nie chcą się przyznać, że NRD istniała również dzięki nim. Mówili: „My i wy jesteśmy jednym narodem", a popierali dyktaturę Honeckera. Tak samo, jak przyjmowali teraz w Bonn mordercę z Chin Li Penga[4].

– Lecz „badacze akt" zajmują się głównie ludźmi, nie problemami.

– Masz rację z jednym zastrzeżeniem. Historia nie dzieje się bezosobowo.

Jürgen Fuchs, pisarz i opozycjonista, szukał w aktach Stasi prawdy o ludziach. Lektura dała mu wiarę; papiery pokazały, że ludzi dobrych jest więcej niż złych.

– W moim najbliższym otoczeniu nikt nie donosił – mówi – choć próbowali werbować ponad siedemdziesiąt procent. To wielka radość, że mam takich przyjaciół.

Jeden z kolegów Jürgena został wyrzucony z uniwersytetu, bo mówił, że podoba mu się ruch opozycyjny w Europie Wschodniej. Nic więcej się nie stało, nigdy nie poszedł siedzieć. Ale w lokalnej gazecie wydrukowano, niby przypadkiem, jego zdjęcie: zadrzewiona ulica, człowiek, o którym wszyscy wiedzieli, że jest w Stasi, i on. Podpis bez znaczenia, bodaj, że przyszła wiosna.

– Gdy siedziałem, pokazali mi kartki zapisane jego pismem – wspomina Jürgen. – Oficer namawiał mnie: „Mów, przecież on i tak mówi nam wszystko". Gdy wyszedłem, zapytałem, skąd Stasi ma jego pismo. Odrzekł, że nigdy nie miał z nimi kontaktu. Przestaliśmy mu wierzyć.

Szperając w aktach, Jürgen Fuchs odkrył, że pismo przyjaciela, które pokazano mu w więzieniu, było wypracowaniem ze szkoły.

– Gdy kolega to zobaczył, płakał ze szczęścia. My wszyscy poczuliśmy ogromną ulgę. Takich zdarzeń przeżyłem więcej niż rozczarowań.

– A gdyby prawda była odwrotna?

– Prawdy nie należy się bać. Lęk przed nią jest lękiem przed skutkami.

– A gdyby...

– Podobałaby mi się postawa: zacznijmy od nowa, teczki są nieważne. Lecz akta Stasi pokazują, jak można przejść od komunizmu do Żyrinowskiego[5], od działalności w SED do podpalania domów dla azylantów, jak społeczeństwu narzucić władzę totalitarną, z człowieka zrobić przedmiot. Od narodu, który rozpoczął dwie wojny, żył, akceptując dwie dyktatury, świat wymaga prawdy.

[4] Patrz s. 554, przyp. 3.

[5] Władimir Żyrinowski (ur. 1946) – założyciel i przewodniczący nacjonalistycznej Liberalno-Demokratycznej Partii Rosji. Znany z radykalnych poglądów i kontrowersyjnych wypowiedzi. Wyrażał podziw dla Saddama Husajna, przekonywał, że należy siłą odzyskać Alaskę, deklarował chęć użycia broni jądrowej przeciwko Japonii oraz nałożenia blokady morskiej w celu zagłodzenia jej mieszkańców.

Policyjny pornos

Jak to się stało, że Günter Y. zwątpił w socjalizm? On, marksistowski filozof z marksistowskiego uniwersytetu? Właściwie nigdy nie zwątpił, chciał go uczłowieczyć, jak Alexander Dubček podczas praskiej wiosny. Stracił posadę wykładowcy, przez kilka lat nie mógł znaleźć żadnej innej. Wyjechał na Zachód, po Przełomie wrócił.

W roku 1992 rzucił się na swoje akta. Przejrzał pierwszą teczkę, przejrzał następną, przysiągł, że już nigdy więcej nie wróci do Gauck-Behörde. Ale jak to zostawić? Czytał całymi dniami, obejrzał kilogramy akt.

– Jakaś siła pchała mnie, by przewracać kartki – mówi. – Czułem się, jakbym pytał czarownicę o przyszłość, a kolejne wróżby okazywały się złe. Tyle że czytałem o przeszłości, której nie mogę zmienić. To nie była ciekawość. Ale co? Nie wiem.

Minęło prawie pół roku, nim Günter się pozbierał. Po następnych kilku miesiącach szukał rozmowy z donoszącymi na niego agentami.

– Nie wiedziałem, o co pytać, w takiej sytuacji każde pytanie jest głupie i banalne. Wewnątrz nienawiść, ale przecież rozmawiam z człowiekiem, więc nie powinienem nienawidzić, muszę udawać. Irytowały mnie ich słowa, sposób trzymania szklanki, płomyk z zapalniczki.

– Czy chcieli mówić?

– Twierdzili, że nie opowiadali Stasi nic ważnego. Nie chcieli mówić prawdy, ale żądali rozgrzeszenia. Czułem się tak, jakby wybrali mnie na psychoterapeutę.

Czytając akta, Günter natknął się na raporty z własnej sypialni; podsłuchiwali go i podglądali.

– Czytałem, choć czułem się coraz mocniej poniżony. Zabrali mi prywatność, nawet moje łóżko stało się własnością państwa. Myślę o tym człowieku, który mnie podglądał. Czy pocił się z podniecenia, a może pisał jak automat? Czy mogę być normalny, skoro przez lata byłem aktorem w policyjnym pornosie?

– O to też pytałeś szpicli?

– Jeden powiedział, że nie donosił o moich poglądach, a w sypialni przecież wszyscy robią to samo.

Zakończyć wrogą działalność

Jürgen Fuchs mówi, że nie zależało mu na znalezieniu w aktach swego portretu (jego teczki zniszczono). Szukał motywów samobójstwa młodego chłopca i starszej kobiety.

– Znałem ich oboje – opowiada. – Ich bliscy prosili: „Odszukaj prawdę, bo wszyscy wokół kłamią". Chłopiec kolportował moje pismo „Dialog", pojednawcze, pisane w duchu Havla, Michnika. Za dialog, którego nigdy w NRD nie było, oddał życie. Kobiety nie wypuszczano na Zachód do chorej córki. Musiałem odkryć prawdę. Chciałem być z nimi w ostatnich godzinach ich życia.

Matthias Domaschk miał niewiele ponad dwadzieścia lat, kiedy powiesił się w celi na własnej koszuli. Chłopak z długimi włosami, taki kowboj, który potrafił jeździć na motorze przez zieloną granicę do Czechosłowacji, by zobaczyć czeskich opozycjonistów. *Zersetzung* zaczął się w 1976 roku: naciskali, straszyli, próbowali złamać. Ojciec, funkcjonariusz partyjny, wyrzekł się syna.

Stasi zamknęła Matthiasa w roku 1981, gdy pomagał przyjaciołom uciec przez Bałtyk do Szwecji. Specjalne komando przesłuchiwało go przez trzy dni. Podpisał współpracę.

– Opowiedziałem to jego dziewczynie – mówi Fuchs. – Odrzekła, że Matthias nie chciał żyć z piętnem szpicla. Byłem u jego ojca. Powiedział mi, że syn się powiesił, bo wpadł w złe towarzystwo. Stasi jest niewinne, nie wykorzystujcie jego śmierci do celów politycznych.

Przypadek drugi: starsza pani, rencistka, wróciła z Berlina Zachodniego od chorej córki. Wezwała ją Stasi: „Pani córka jest wrogiem NRD, proszę zdać raport". Rencistka odmówiła, oficer powiedział: „Pani już nigdy jej nie zobaczy".

Kobieta wróciła do domu, zadzwoniła do córki: „Oni mi grożą". Przyszła Stasi: „Pani złamała nakaz milczenia, pani jest wrogiem państwa, wyciągniemy konsekwencje". Oficer wyszedł, rencistka odkręciła gaz.

Była teściową Jürgena Fuchsa.

– Po Przełomie pytałem oficerów Stasi, czy *Zersetzung* oznaczało również likwidację fizyczną – mówi Fuchs. – Odpowiadali: „Naszym zadaniem było zakończenie wrogiej działalności. Opozycja musiała liczyć się z ryzykiem, że psychicznie i fizycznie tego nie przeżyje".

Pojęcia *Zersetzung* nie było w enerdowskim prawie. Żeby oficera Stasi postawić przed sądem, trzeba znaleźć inny, często błahy powód, na przykład nieumyślne uszkodzenie ciała. Wyrok, jeśli zapadnie, też jest błahy, z reguły z zawieszeniem.

Zobaczyć własne życie

Wolfgang Templin otworzył akta również po to, żeby zobaczyć własne życie: partyjny marksista, który przez dwa lata kontaktował się ze Stasi, potem marksista opozycjonista, rewizjonista ratujący ludzką twarz socjalizmu, wreszcie antytotalitarny demokrata, zmuszony do wyjazdu na Zachód w 1988 roku.

– To wiedziałeś bez zaglądania w akta – powiedziałem.

– Chciałem się dowiedzieć, co o mnie myśleli. Kiedy stałem się wrogiem państwa, do kiedy byłem tylko człowiekiem niepewnym? Dowiedziałem się, jaką rolę grał sekretarz partii w moim instytucie, jaką dyrektor, a jaką sąsiedzi. Kto rozwijał się jako szpieg, jak Stasi zmieniała strategię. To bardzo ważne dla poznania naszej przeszłości; widziałem anatomię i fizjologię komunizmu.

– Zawiodłeś się na ludziach?

– Gdy zdecydowaliśmy się działać publicznie, było jasne, że obstawią nas agentami. Na przyjaciołach się nie zawiodłem. Dla mnie to nie jest obojętne, czy donosili, czy nie.

W środowisku Templina był człowiek dotknięty psychozą. Chodził do różnych psychiatrów, wreszcie znalazł takiego, któremu zaufał. Lekarz powiedział: albo będziesz mówić, albo cię zostawię.

– Był uzależniony od lekarza jak narkoman od heroiny – opowiada Templin. – Chodził do niego jeszcze w 1991 roku, kiedy było jasne, że psychiatra to eksoficer Stasi.

Jak to jest z agentem?

Vera Wollenberger na spotkanie ze mną przyszła z synem. Filip, kilkunastoletni młokos z rudą czupryną, siedział na krześle obok matki, patrzył to w ziemię, to przed siebie, bezradnie wyłamując palce. Vera, działaczka niezależnego ruchu pokojowego, dziś posłanka do Bundestagu z Forum 90, formacji skupiającej dawnych opozycjonistów, to szczególna ofiara Stasi; przez jedenaście lat donosił na nią własny mąż. Zabrała na spotkanie jedynego mężczyznę, na którym się nie zawiodła.

– Nie zrobiłabym nic, żeby zajrzeć do akt – wspomina. – Doszły mnie plotki, mówiłam mężowi: „Proszę, powiedz prawdę, bo i tak się dowiem". Kłamał, przysięgał na życie naszych dzieci; był pewien, że oficer prowadzący zniszczył dokumenty.

Były mąż Very (nie wymawia jego imienia, mówi „mąż", jakby to był jeden ze stopni oficerskich w Stasi) donosił na nią od dnia ślubu. Był synem przedwojennych komunistów, naukowcem, który porzucił uniwersytet dla hodowli pszczół. Urodził się w Danii w żydowskiej rodzinie, miał podwójne obywatelstwo, jeździł po całym świecie. Był agentem, zanim się pobrali; na rozkaz Stasi zamiast za granicą zaczął szpiegować w kraju.

– Nigdy się tego nie spodziewałam. Nie myślałam... Gdy w początku 1988 roku szłam na opozycyjną demonstrację, po której zostałam aresztowana, on prosił: „Nie idź, nie narażaj się". Już wiedziałam na pewno, że to

on (wróciłam z Gauck-Behörde), próbowałam rozmawiać. Nie było w nim odrobiny żalu. Powiedział tylko: „Lepiej, żebyśmy się rozstali".

Teść Very nigdy jej nie zaakceptował: nie była komunistką ani Żydówką. Gdy mąż ją porzucił, ucieszył się. Potem przypadek Very opisała prasa. Stary, osiemdziesięciopięcioletni człowiek, który nie zmienił poglądów nawet wtedy, gdy padał mur berliński, przyszedł do byłej synowej. Powiedział: „Wyrzekam się jego i wyrzekam się komunizmu".

– Ja nie rozumiem – mówi Vera Wollenberger. – Mąż bronił moich poglądów przed teściem.

– Co donosił?

– Byli tacy, którzy pisali nieszkodliwe raporty, i tacy, którzy pisali raporty podłe, nawet proponowali *Zersetzung*. Za informacje przekazywane przez mojego męża mogłabym dostać dziesięć lat więzienia.

Vera Wollenberger miała wybór: więzienie albo wyjazd na Zachód. Wyjechała do Anglii.

– Dlaczego donosił?

– Nie wiem; w jego teczkach były tylko rachunki za benzynę, żadnych pokwitowań za wynagrodzenie.

– Nienawidził Niemców i Niemiec – dodaje rudzielec. – Szpiegował dla komunizmu. Całe szczęście, że to nie mój ojciec.

Vera wyrosła w rodzinie oficera Stasi. W domu pierwszego męża – ojca rudzielca – spotykała Niemców więzionych przez enerdowski reżim po powstaniu berlińskim 1953 roku[6]. Oboje byli zbyt młodzi, by pielęgnować związek; rozwiedli się po roku.

W drugim małżeństwie znalazła miłość. Wierzyła w to jedenaście lat.

– Zyskałam, znając prawdę – mówi. – Bardzo bolało, lecz nie mogłabym żyć z tym człowiekiem.

Na Verę Wollenberger donosiło czterdziestu dziewięciu agentów. Pierwszym był jej mąż. Nazwisk czterdziestu ośmiu nie chciała rozszyfrować.

– Dalej wierzę ludziom, nie mam obsesji, że ktoś mnie szpieguje – zapewnia. – Nienawidziłam tylko raz. Miałam lecieć z synem na wycieczkę do ZSRR; marzył, żeby zobaczyć azjatyckie pustynie. W biurze paszportowym przysięgali, że nie będę miała żadnych kłopotów. On przeszedł kontrolę graniczną, mnie zatrzymali. Nie poleciał. To było straszne, patrzeć, jak stara się nie płakać przy tych łajdakach. Byłego męża nie widuję. Ciągle mieszka w naszym mieszkaniu w Prenzlauer Berg. Słyszałam od znajomych, że kiedy pojechał do Weimaru, został rozpoznany i pobity. Nie, chyba nie czuje się wyrzutkiem, spotyka kolegów ze Stasi, mają nawet swoją knajpę. Kiedyś podszedł do mnie

[6] Powstanie berlińskie – antykomunistyczna rewolta mieszkańców stolicy NRD. Bezpośrednią przyczyną walk rozpoczętych 17 czerwca 1953 roku była decyzja o podniesieniu norm pracy. Zamieszki objęły niemal wszystkie wielkie miasta NRD. W starciach z Armią Czerwoną pacyfikującą demonstracje zginęło 267 protestujących cywilów, 92 osoby zostały rozstrzelane.

na ulicy i powiedział: „Mam teraz wiele kobiet dużo młodszych niż ty. Chcą spróbować, jak to jest z agentem".

Świadectwa część II

Pastor przywołuje przypadek Ekharta Urlicha, internisty z Halle (Friedrich Schorlemmer[7] napisał posłowie do wydanego ostatnio tomiku jego wierszy). Urlich popełnił samobójstwo, gdy powiedziano o nim *Mitarbeiter* – współpracownik. W rzeczywistości nie był agentem. Schorlemmer mówi, że ludzie odpowiedzialni za śmierć lekarza nie chcą go zrehabilitować. Nad takimi przypadkami wschodnioniemiecka publiczność przechodzi do porządku dziennego.

– Martwią mnie ukryte pokłady nienawiści – ciągnie. – Nie zgadzam się na zamykanie przeszłości, nie rozumiem, czemu po Przełomie nikt się nie przyznał, że szpiclował. Chcę wiedzieć, ilu ludzi dalej kuli się przed szefami, ilu dziennikarzy woli pieniądze od prawdy, ilu nauczycieli kłamie wbrew sobie. Moich przeciwników proszę o jedno: niech uznają, że nie ma dobrych rozwiązań, otwarcie akt też jest złem.

Jednak Schorlemmer był za tym, żeby zlustrować pastorów w jego diecezji. W jednym wypadku nakazano sprawcy kontakt z ofiarami. Nazwiska nie podano do publicznej wiadomości. Dwóch pastorów zawieszono.

– A to nie było piętnowanie?

– Kościół to nie szkoła ani urząd.

Moje raporty nie były ważne

Wolfgang Templin, zmuszony do wyjazdu na Zachód w 1988 roku, wystąpił niedawno w programie telewizyjnym razem z jednym ze śledzących go agentów Lotharem Pawliczkiem, kolegą z pracy i opozycji. Templin powiedział przed kamerami, że w młodości przez dwa lata sam miał kontakty ze Stasi. Pawliczek, jeden z niewielu agentów, którzy odważyli się wystąpić publicznie, usprawiedliwiał się:

– Nie jestem rewolucjonistą, lecz reformistą. Byłem między opozycją a Stasi. Nie chciałem skrzywdzić przyjaciela, moje raporty nie były ważne.

– Nie, Lothar – powiedział Templin. – Byłeś jednym z najlepszych, najważniejszych informatorów Stasi.

Inni agenci nazywali Templina fanatykiem, Pawliczek był konkretny i bardzo serio. Program miał być okazją do pojednania.

[7] Friedrich Schorlemmer (ur. 1944) – teolog protestancki i opozycjonista zaangażowany w ruchu na rzecz pokoju w NRD.

Przebaczenie

W styczniu 1992 roku do pastora Gaucka przyszedł przyjaciel z dawnych lat. Powiedział:

– Joachimie, znasz mnie ze swoich akt. Przebacz.

– Spytałem – opowiada Gauck – czemu donosił? Płakał, mówił, że się bał. Objąłem go, ale pomyślałem: „Czemu tak łatwo?". Przecież nie usłyszałem żadnego rozsądnego argumentu. Ale widziałem jego przemianę. Gdyby mówił: „Donosili wszyscy", nie miałbym dla niego czasu.

Gauck mówi, że zna byłych szpicli, z którymi poszedłby na kolację. Nie czuje nad nimi przewagi moralnej.

– Sam mógłbym przeglądać wszystkie akta, ale nie robię tego. Cieszy mnie każda teczka, której nie znam.

Pastor Heiko Lietz, były opozycjonista, przyjaciel Gaucka, nie wie, ilu agentów było w czterdziestotysięcznym Güstrow, miasteczku, gdzie przez lata sprawował posługę. Może stu, może czterystu – jeszcze nie wszyscy zajrzeli do swoich akt. Ci, których zdemaskowano, noszą piętno Kaina; przecież w Güstrow wszyscy się znają.

Lietz – dwa metry bieżące akt – rozmawiał z jednym ze swych prześladowców. Razem poszli do komunii; Bóg przebaczył grzesznikowi, przebaczył i pastor. Ale on jest wyjątkiem. Większość mówi o byłych agentach: „Oni dla mnie umarli". Pastor uważa, że to jest złe. Jednak gdyby przyszło mu wybierać jeszcze raz, byłby za otwarciem akt.

– To jedyna szansa dla sprawców – dodaje. – Mogą skończyć ze schizofrenią, w której żyli. Żałuję tylko, że nie ma w nas woli przebaczenia.

Ofiary bez teczek

W wywiadzie dla tygodnika „Wochenpost" Gauck powiedział, że siedemdziesiąt pięć procent obywateli NRD było przekonanych, że Stasi ich śledzi, choć często było to przekonanie wyssane z palca. Połowa składających wnioski odchodzi z kwitkiem; Stasi nie prowadziła ich teczek.

Dziennikarz zapytał o powiązania Gaucka ze Stasi (mogło chodzić o wyjazd jego synów za granicę albo – że Gauck jako pierwszy i w samotności oglądał swoją teczkę, albo o coś, o czym wiedział tylko pytający). Pastor odrzekł, że był ofiarą.

Dziennikarz zapytał, co Gauck sądzi o samobójstwach wśród byłych agentów. Pastor przypomniał, że był obywatelem NRD, kraju, w którym samobójstw było tak dużo, że władze utajniały ich liczbę. Dodał, że smuci go każde

targnięcie się na życie. Zaznaczył, że problem nie leży w otwartych aktach, ale w nieumiejętności mówienia prawdy.

Problem mediów

Niedawno brukowiec „Bild" zamieścił na pierwszej stronie artykuł o szesnastoletniej pływaczce Franzisce van Almsick. Tytuł głosił: *Biedna Franzi. Jej matka była agentką Stasi*. Zapytałem pastora Gaucka, co sądzi o takiej informacji.

– Prasa pisała o wrzodach Brandta, o pożyciu małżeńskim księżnej Diany. To problem mediów.

– A może także problem odpowiedzialności za udzielane informacje?

– Nie jestem cenzorem, nie mogę rozgraniczać prasy na niepoważną i godną informowania.

– Przecież o tej kobiecie napisano tylko dlatego, że ma sławne dziecko.

– Prawo do pisania o wielkich agentach daje prawo do pisania o małych. Gdzie byśmy byli, gdybyśmy nie mogli mówić o takich rzeczach. Po Przełomie Ibrahim Böhme, działacz wschodnioniemieckiej SPD, chciał zostać naszym premierem. Gdyby nie otwarte archiwa, mógłby nami rządzić. Nie jestem odpowiedzialny za biografie agentów i cudzą przyzwoitość. Matka pomagała Franzi w karierze, a teraz przeprosiła pastora, na którego donosiła – dobro przeważyło nad złem. Ja podaję teczki i mogę tylko prosić o *fair play*.

Świadectwa część III

Zapytałem Fuchsa o Franzi.

– To straszne, że najwięksi zbrodniarze też mają niewinne rodziny.

– Czy ktoś z was, z dawnej wschodnioniemieckiej opozycji, napisał do „Bildu": „Odczepcie się od Franzi"?

– Nie.

Zapytałem Wolfganga Templina, czy miałby odwagę powiedzieć publicznie: „Akta mówią, że X był agentem, lecz ja znam tego człowieka i ręczę za niego, stawiam swoje słowo i biografię przeciwko papierom".

– Nie wiem. Enerdowska dyktatura psuła ludzi bardziej niż polska.

Dziennikarz z zachodnich Niemiec, zaangażowany w otwarcie akt, powiedział mi o sprawie Franziski van Almsick:

– Tacy jesteśmy, my, Niemcy. Jeśli mordujemy, to totalnie, jeśli się rozliczamy, to również totalnie.

Wszyscy jesteśmy ofiarami

Jürgen Fuchs opowiadał mi o Chriście Wolf, członkini ostatniego Komitetu Centralnego SED, najwybitniejszej pisarce wschodnioniemieckiej, która w latach pięćdziesiątych miała kontakty ze Stasi. Została napiętnowana i zniszczona przez Marcela Reicha-Ranickiego, papieża niemieckiej krytyki literackiej, który okazał się byłym oficerem polskiego UB.

– Znam ją od początku lat siedemdziesiątych, pomagała mi, gdy siedziałem w więzieniu, pisała listy do KC, by mnie zwolnili. W jej aktach jest wiele dokumentów świadczących, że postępowała *fair*.

– Skoro była *fair*, dlaczego wypomina jej się błędy sprzed lat?

– W jej książkach jest wiele fragmentów autobiograficznych dotyczących czasów Hitlera. Jeśli wyjaśnia się odległą historię, trzeba wyjaśnić i teraźniejszość. Mówiłem jej o tym, a w odpowiedzi słyszałem: „Młody człowieku, czy pan zapomniał, że żyjemy w dyktaturze? Trzeba być sprytnym jak Brecht, umieć się przystosować". Mówiłem: „Musimy pisać o Stasi, bo inaczej stajemy się współwinni". Odpowiadała: „Boję się, nie mogę wam pomóc".

– Ale przecież się przyznała.

– Ja nie mam do niej pretensji, ale żal, że stało się to tak późno, po ujawnieniu jej akt.

Fuchs uważa, że twórczość Christy Wolf przetrwa. Ale skaza zostanie.

– Nie uważasz, że Christa albo Franziska van Almsick to ofiary historii?

– Wszyscy jesteśmy jej ofiarami.

Nie ma ceny za prawdę

– Niemcy zdecydowały się na wielki społeczny eksperyment – mówi doktor Klaus-Dietmar Henke, szef wydziału studiów Urzędu Gaucka. – Upublicznienie akt Stasi jest nieodwracalne politycznie i praktycznie. Wydaliśmy miliony kopii dokumentów mediom i ofiarom. Tu już nigdy nie będzie tak, jak było.

Doktor Henke, nim zaczął pracować w Gauck-Behörde, zajmował się denazyfikacją. Denazyfikacja, wymuszona przez obcych, poniosła fiasko. Urząd Gaucka, kierowany przez pastora ze Wschodu, jest motorem i symbolem rozliczeń. Jego pracownicy uważają, że nie ma ceny, której nie warto zapłacić za prawdę, że należy wiedzieć, co było, i wyciągnąć wnioski.

– A Manfred Stolpe? – pytam Hankego. – Mówicie, że był agentem, a on jest najpopularniejszym politykiem wschodnich landów.

– Część społeczeństwa jest zmęczona aktami. Ale w Gauck-Behörde leżą tysiące podań o prawo wglądu do teczek, na odczytach o Stasi sale pękają

w szwach, w gazetach regionalnych akta są nadal głównym tematem. To prawda, wielu nas nie lubi. Gdyby nas kochali sprawcy i ofiary, znaczyłoby to, że robimy coś źle.

– Doświadczenie denazyfikacji – dodaje po chwili – uczy, że uchylanie się od prawdy jest normalne dla generacji sprawców. Potem przychodzą ich dzieci i zadają trudne pytania. Prawda eksploduje i dopiero wtedy może stać się niebezpieczna. To z pytań o przeszłość narodził się w RFN terroryzm.

Dysydenci musieli przegrać

– Nie dziwię się, że dawna enerdowska opozycja niemal w całości poparła ujawnienie akt – opowiada mi zachodnioeuropejski historyk i dziennikarz. – Tam historia była brutalniejsza niż w Polsce, a wyjście z totalizmu stało się klęską dysydentów. Naród ich odrzucał. Przełom 1989 roku to było ich polityczne pięć minut. Potem przyszła Republika Federalna; z pieniędzmi, lepszymi samochodami, sex shopami, kolorowymi sklepami, ze stabilnym systemem politycznym, w którym nie było miejsca na nowe elity. Dysydenci musieli przegrać. Choćby dlatego, że cały czas mówili: „Jesteśmy jednym narodem, lecz jesteśmy inni, na zjednoczenie przyjdzie jeszcze czas". Wschodni Niemcy nie chcieli być sobą, woleli z dnia na dzień stać się Zachodem. A Zachód traktuje Wschód po trosze jak kolonię: kierowca autobusu, który urodził się po enerdowskiej stronie muru zarabia o kilkadziesiąt procent mniej niż jego zmiennik ze strony zachodniej. Gdy Wessi dostaje pracę w byłej NRD, wypłaca mu się specjalny dodatek. Nazywają to dodatkiem za pracę w buszu. Kiedy przychodzę na przyjęcie do wschodniego Berlina, nie ma tam nikogo z Zachodu.

Eksdysydenci muszą być za lustracją, bo tylko ona ich identyfikuje; na palcach jednej ręki można policzyć tych, którzy odnaleźli się w RFN – ciągnie dziennikarz. – Zachód, na ich żądanie, dał im zabawkę, uważnie patrząc, by z otwieranych akt nie wyszło coś, co poważnie zakłóci spokój. Zobacz, kto pracuje w Gauck-Behörde: szefem jest Ossi, na samym dole Ossi, lecz wyższy i średni personel to Wessi, którzy nie mogą pojąć byłej NRD.

Zważ na skutki otwarcia akt – dodaje. – Niedługo będą wybory, a żaden z polityków liczących się w RFN nawet nie wspomniał o teczkach.

Z powodu przeszłości

Wolfgang Templin startował w wyborach do Bundestagu. Przepadł.

Pastor Heiko Lietz chciał być posłem w lokalnym parlamencie w Meklemburgii. Dostał za mało głosów.

Vera Wollenberger posłuje w Bonn z Sojuszu 90/Zieloni. Zachodnioniemiecka część Sojuszu chce porozumienia z PDS. Głos Very nie ma znaczenia, znalazła się w znikomej mniejszości.

Jürgen Fuchs pisze.

Franziska van Almsick pływa.

Joachim Gauck za dwa lata kończy kadencję szefa Gauck-Behörde.

Matthias Domasck, przyjaciel Jürgena Fuchsa, który przez zieloną granicę jeździł do Czechosłowacji – nie żyje, powiesił się w więzieniu Stasi.

Nie żyje Ekhart Urlich, lekarz niesłusznie posądzony o donoszenie.

Zdemaskowanym agentom już nikt nie płaci za udzielanie wywiadów.

„Magazyn", dodatek do „Gazety Wyborczej",
nr 192, 19.08.1994

1993

Beata Pawlak (1957–2002)

W terroryście widzieć człowieka

„Jak się pracuje w dziale reportażu?" – spytała mnie znienacka w stołówce redakcji „Gazety Wyborczej" w 1991 roku. Okazało się, że już trzy miesiące pracuje w dziale zagranicznym, a chciałaby pisać reportaże. Miała tylko jeden problem: „Wasze reportaże w ogóle nie przypominają tekstów z francuskiej prasy".

Właśnie wróciła z Paryża, gdzie spędziła siedem lat. Urodziła się w Puszczy Kozienickiej, skończyła polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim, w stanie wojennym założyła własne pismo podziemne, w 1984 roku wyjechała na wakacje do Francji i została. Pracowała tam w osiemnastu zawodach w dwudziestu jeden miejscach; najkrócej – dwa dni – jako cenzor obyczajowy w minitelu (przodek internetu). Publikowała w emigracyjnym paryskim „Kontakcie".

„Tekst z francuskiej prasy", którego była zwolenniczką – według tego, co nam opowiadała – składał się z jednostkowego typowego przykładu, czyli krótkiej opowieści o tym, co się przydarzyło jakiemuś człowiekowi, i z publicystyczno-dziennikarskiej analizy uzupełnionej wypowiedziami specjalistów na temat, którego jednostkowa historia była egzemplifikacją. Gdy zorientowała się, jakiego typu tekstów „Gazeta" oczekuje od swoich reporterów, gdy poznała bliżej naszą grupę, zakochała się w reportażu. Kiedy w 1993 roku pisałem notki o reporterach do pierwszej naszej antologii *Kraj raj. Piszą reporterzy „Gazety"*, Beata w punkcie „Zainteresowania" podała: „Izrael i fundamentalizm muzułmański", chociaż jeszcze nie pisała na ten temat. Zajmowała się jak my wszyscy tematami krajowymi, ponieważ na opisanie czekała nowa Polska. A w Polsce dziwiło ją wszystko: „Mariuszu, dlaczego tramwaje w Warszawie są w różnych kolorach?", „Jak sądzisz, czemu każde drzwi w moim bloku są w innym kolorze?", „Dlaczego dozorczyni się obraziła, kiedy jej powiedziałam, że nie może mnie budzić o siódmej rano stukaniem do drzwi?".

Czasem nas śmieszyło, a czasem trochę denerwowało, że Beata wciąż jest cudzoziemką.

W 1992 roku Małgorzata Szejnert zorganizowała w naszym dziale spotkanie z Ryszardem Kapuścińskim, który uchylił się od oceny naszych reportaży, ale powiedział, że nie możemy być prowincjonalną gazetą, nie możemy pisać prowincjonalnych reportaży. Co znaczyło: nie możecie zajmować się tylko Polską. Na Beacie zrobiło to ogromne wrażenie. Rwała się do świata. Reportaż z Kalkuty,

który zamieszczamy w antologii, jest jednym z jej pierwszych większych tekstów zagranicznych. Beata pojechała tam, żeby pracować dla biednych u boku Matki Teresy.

Mieliśmy wrażenie, że wszystkie swoje reportaże z Polski napisała, bo musiała, choć wiele z nich było docenionych i nagrodzonych. W 1999 roku na przykład aż dwa jej krajowe reportaże zostały wybrane przez czytelników i słuchaczy radiowej Trójki na reportaże miesiąca – w lutym *Uniosło nas w powietrze* (w dwadzieścia lat po wybuchu w warszawskiej Rotundzie PKO), w kwietniu *117 dni Klaudii. Zapis walki* (o wcześniaku nieważącym nawet pół kilograma, którego ratował zespół lekarzy). Ten drugi napisała wspólnie ze Sławomirem Zagórskim, dziennikarzem działu nauki. Ukazał się w antologii *Nietykalni* (2000), a w notkach biograficznych napisano, że gdy Beata ze Sławkiem spotykają się na schodach redakcji, oboje wzdychają do Algierii. On uważa ten kraj za swoją drugą ojczyznę, ona napisała o Algierii czterdzieści tekstów, w tym korespondencje z wojny domowej.

Dokumentacja, zbieranie wycinków z prasy zagranicznej, sprowadzanie książek trwało miesiącami. Potrzebowała wnikliwej wiedzy, żeby móc jechać i opowiadać o zwykłych ludziach. Była pilna i pracowita. Jej reportaże o świecie islamu: z Algierii, Francji, Bośni, Gazy, Izraela, Libanu, Iraku, Kurdystanu, Egiptu, Turcji zostały po jej śmierci zebrane w tomie *Piekło jest gdzie indziej* (2003).

Beata pisała o islamie i o terroryzmie, ale nigdy między tymi słowami nie postawiła znaku równości.

> Pisała reportaże o tym, w co ludzie wierzą, jak myślą, czego pragną, czego i kogo nienawidzą. Opowiadała o tych, którzy z Bogiem na ustach zabijają innych. [...] Stroniła od łatwych wniosków, burzyła się przeciw stereotypom. Dociekliwa, uparta. I w terroryście widziała człowieka. Zginęła z rąk tych, których próbowała zrozumieć

– napisał Wojciech Tochman (patrz s. 801), który w 2002 roku poszukiwał Beaty po zamachu 12 października 2002 roku na indonezyjskiej wyspie Bali. (Potem zainspirowany jej losem napisał książkę *Córeńka*, 2005).

Razem z Beatą na Bali zginęło dwieście osób. Zamachu na nocny klub w turystycznym miasteczku Kuta dokonali islamscy fundamentaliści. Beata znała Bali, była tam wcześniej.

> To ostatni raj na ziemi – pisała – wyspa bogów, tak mówią. Wiecznie zielona, bo ziemia tu wulkaniczna, żyzna. Palmy. Bananowce. Tarasy ryżu. Sielskość.

Umieralnia życia

Posępny sikh budzi mnie głośnym waleniem w drzwi. 4 maja, piąta rano. Hotel Astoria przy Sudder Street. Kalkuta.

Sudder Street, rankiem

Uliczka ma sto metrów długości, nie więcej. Rząd sklepów, kramy, herbaciarnie uliczne. Pod ścianami gnijące odpadki. Banalna kalkucka ulica, którą znają wszyscy rykszarze w mieście.

Tutaj za dolara można się przespać w którymś z kilku małych hoteli: wieloosobowy pokój, zimny prysznic na korytarzu, ściany zżarte wilgocią, w materacach – pluskwy. Za dolara można zjeść obiad i wypić bananowe *lassi* (jogurt) w dziurze o nazwie Błękitne Niebo.

W hotelach przy Sudder Street zatrzymują się wolontariusze Matki Teresy. Przyjechali tu na miesiąc, na pół roku, czasem na jeden dzień. Sami płacą za hotel i utrzymanie. Pracują w którymś z dziesięciu domów Matki Teresy rozrzuconych po całej Kalkucie.

Monika, dwudziestopięcioletnia Niemka, opiekowała się starcami w Poczdamie.

Potężny Szwed, informatyk, spędzał wakacje w Indiach, gdy ktoś powiedział mu o umieralni Matki Teresy.

Z Francji przyjechała grupa pielęgniarek.

Z Izraela – sześćdziesięcioletnia Włoszka, scenograf teatralny.

– Chciałam pracować z ludźmi, nie z dekoracjami.

Z Polski w maju byłam tylko ja.

W drodze do Domu-Matki

Idę ulicą przecinającą dzielnicę muzułmańską. Wpół do szóstej. O tej porze ludzie wstają ze swoich prycz ułożonych na chodnikach, z metalowych łóżek, z worków rozciągniętych pod ścianami.

Przy pompie polewają się wodą śniadzi mężczyźni. Jeden z nich szoruje palcem zęby. Inny, siedząc w kucki, siusia do rynsztoka.

(Poranne dźwięki Kalkuty: parskanie, chrząkanie, plucie, charczenie, głośne smarkanie).

Dom-Matka

Dom przy Bose Road zwany Domem-Matką (*Mother House*), główne kalkuckie centrum misjonarek miłości. Obszerny dziedziniec. Na parterze przy drzwiach zostawiamy buty, boso idziemy do kościoła. Na półpiętrze napis kredą na tablicy:

Głodny miłości
Patrzy na ciebie
Spragniony dobroci
Żebrze u ciebie
Odarty ze wsparcia
W tobie ma nadzieję
Dawaj,
Aż do bólu

Podpisane: Matka

Matka Teresa wyjechała właśnie do Rzymu, ale jej obecność odczuwa się na każdym kroku.

Kościół – duża pusta sala. Tu siada się wprost na podłodze: z lewej – siostry w białych sari z niebieską obwódką i nowicjuszki (w sari bez obwódki), z prawej wolontariusze. Tu oddaje się Bogu cześć, składając ręce na wysokości czoła w hinduskim pozdrowieniu. Słowa mówionego po angielsku kazania (angielski jest wspólnym językiem wszystkich misjonarek) mieszają się z jazgotem ulicy.

Matka Teresa nakazała, żeby w czasie nabożeństwa okna kościoła były zawsze otwarte: misjonarki miłości nie powinny kryć się ze swoją modlitwą w ciszy.

Po mszy śniadanie w niewielkiej sali na parterze. Herbata z mlekiem i banany. Na podwórzu, w ostrych promieniach słońca nowicjuszki piorą w wiadrach białe sari.

– Wstajemy za dwadzieścia piąta. Od piątej do siódmej jest modlitwa. Potem śniadanie. Po ósmej każda z nas idzie do swojego ośrodka – opowiada siostra Fryderyka z Malty, prawa ręka Matki Teresy.

Żyją jak ubodzy. Mają po dwa sari, trzecie na szczególną okoliczność, śpią w wieloosobowych salach, na podłodze. Zanim złożą śluby wieczyste, w zgromadzeniu muszą spędzić dziesięć lat.

Większość sióstr to Induski. Kilka przyjechało z zagranicy. Jak Catherine z wyspy Mauritius.

– Zawsze lubiłam pomagać ubogim. Ale nigdy nie myślałam, że wstąpię do zakonu. Pracowałam w biurze, trochę w marketingu. Potem przyjechałam do Kalkuty i zostałam wolontariuszką. Postanowiłam zrobić coś więcej.

Autobusem do Nirmal Hriday

Pokracznym, odrapanym autobusem jadę z innymi wolontariuszami do Kalighat – dzielnicy, w której leży Nirmal Hriday – przytułek dla umierających. Miasto żyje już dniem codziennym.

Kalkuta. Moloch. Nazywana miastem szalonym, przeklętym. Tłum cię pcha, potrąca, zaczepia, ścieli się pod nogami. Samochody pędzą wprost na przechodnia. Odchody w rynsztokach. Smród odpadków. Gorąca wilgoć oblepia ciało.

Kalectwo na sprzedaż. Na niebieskiej ceracie leży człowiek bez rąk i bębni metalowymi talerzami, które zręcznie uchwycił palcami stóp. Pyzaty mężczyzna bez nóg szybko przesuwa kadłub ciała na desce z kółkami. Na skraju chodnika siedzi na piętach naga, może dwunastoletnia dziewczynka z wysoko wzniesionymi kolanami, obojętna na wszystko, nieruchoma jak ptak.

Kalkuta. Mówią, że mieszka tu trzynaście, a może piętnaście milionów ludzi.

Dwa miliony osób wypluwają codziennie dwa kolejowe dworce kalkuckie. Każdego dnia dwa tysiące ludzi przybywa tu na stałe. Z pobliskiego Bangladeszu uciekają do Kalkuty przed muzułmanami hindusi, ale również, przed nędzą, muzułmanie. Ciągną tu wieśniacy, gdy słońce spali plony i opóźni się monsun.

Oblicza się, że na ulicach Kalkuty koczuje milion ludzi, pięć milionów żyje w slumsach.

– Pod moim domem mieszka rodzina – opowiada wolontariusz z Francji. – Dzieci codziennie idą do szkoły. Po szkole mówią: „Idziemy do domu". A ich dom to skrawek chodnika.

– Na dworcu w Howrah ludzie mieszkają kilka, nawet kilkanaście lat. Niektórzy nawet tu się żenią – mówi Michael, Indus pracujący charytatywnie na stacji.

Kalkuta. Ostatnie miasto na świecie, w którym ludzie zaprzęgają się jak zwierzęta między dyszle ryksz. Wszyscy rykszarze wyglądają podobnie. Są żylaści, bosonodzy. Niektórzy plują krwią. Zwykle nie przeżywają czterdziestego roku życia. Biegną truchtem, wioząc jakiegoś tłustego urzędnika czy uczniów w granatowych spodenkach – zwykle ciągną ponad dwieście kilogramów. Być rykszarzem w Kalkucie – marzenie indyjskich chłopów.

Bezdomni handlują na ulicy herbatą i gazetami albo sprzedają girlandy z jaśminu, którymi upiększa się posągi hinduskich bogów. Kobiety z niemowlętami w ramionach żebrzą. Dzieci wygrzebują ze śmieci zbutwiałe warzywa.

Ci, którzy lepiej się urządzili, śpią w przylepionych do ścian budkach z tektury. Jak ta rodzina – on ma sto dwa lata, ona osiemdziesiąt. W swojej budzie mieszkają od trzydziestu lat, od kiedy on stracił pracę w hotelu. Zarabiają, sprzedając na wpół spalone bryłki węgla, które wygrzebują ze śmietnisk.

Kalkuta. Gdy pada deszcz, ulice przemieniają się w potoki.

Świątynia Kali

Świątynia bogini Kali nieopodal Nirmal Hriday. Na niewielkim dziedzińcu stoi wychudzony kozioł przywiązany postronkiem do kraty. Drżą mu nogi, beczy, pewnie ze strachu. Wokół placu tłum gapiów. Bije bęben.

Nadchodzi pora ofiary. Mężczyzna bierze kozła w ramiona, modli się do wizerunku bogini. Potem chwyta zwierzę, sprawnie wykręca przednie nogi na grzbiet, fachowym gestem napręża tylne nogi, układa głowę kozła na podpórce, unosi nóż o półmetrowym ostrzu, tnie. Odcięta głowa jeszcze beczy, turlając się po ziemi.

To w pewnej mierze dzięki kapłanowi ze świątyni Kali umieralnia Nirmal Hriday Matki Teresy istnieje.

Zaczęło się pewnego dnia w 1952 roku. Matka Teresa, która właśnie założyła własne zgromadzenie, natknęła się na ulicy na umierającą kobietę. Zaniosła ją do najbliższego szpitala. Kobieta była w tak złym stanie, że nie chcieli jej przyjąć. Zanim Matka Teresa dotarła do następnego szpitala, kobieta umarła jej na rękach. W tamtej chwili Matka Teresa postanowiła założyć dom dla najuboższych umierających na ulicach Kalkuty.

Władze miasta oddały jej dawne schronisko pielgrzymów przy świątyni Kali. Hindusi jednak protestowali przeciwko obecności katolickich zakonnic w dzielnicy. Aż do dnia, gdy zachorował sam kapłan świątynny i żaden szpital nie chciał go przyjąć. Zajęła się nim Matka Teresa. Kapłan wyzdrowiał i od tej pory Hindusi pogodzili się z obecnością sióstr i umieralni.

Nirmal Hriday, umieralnia

W środku wielkiego bazaru żółtawy budynek z dwiema kopułami – Nirmal Hriday (co znaczy: „czyste serce"). Matka Boska za szkłem. Przy wejściu tablica. Dziś leży tu czterdziestu czterech mężczyzn i trzydzieści siedem kobiet. Dwie osoby zmarły w nocy. Nikogo nowego nie przyjęto. W ciągu czterdziestu lat było tu czterdzieści pięć tysięcy osób, połowa umarła, połowa wróciła do zdrowia.

– Siostro, chcę tu pracować – zaczepiam postawną kobietę w sari.

Nie zadaje mi żadnych pytań. Woła wolontariuszkę, która pracuje w Nirmal Hriday od sześciu miesięcy.

– Ona ci wszystko pokaże.

Są dwie sale – dla mężczyzn i dla kobiet. Łóżka ustawione w trzech rzędach. W akwarium rybki. Papugi w klatce.

Po gwarze ulicy – spokój. Tylko wentylatory szumią w górze.

Kobiety w biało-zielonych koszulach nocnych leżą skulone na łóżkach albo przysiadły na podłodze z wysoko uniesionymi kolanami. Tylko trzy czy cztery są młode. Wszystkie są niemiłosiernie wychudzone.

– Przywożą je do nas nieznajomi, wolontariusze albo same znajdujemy je na ulicy. Przywożą je też miejskie karetki pogotowia, szpitale często odmawiają przyjęcia umierających – opowiada siostra Ludmilla, Włoszka. – Są zawsze brudne, w podartych ubraniach, często zawszone. Myjemy je, przebieramy, potem badamy. Jeśli potrzebna jest pomoc lekarska, wzywamy doktora.

Pierwsze zadanie: mam podać lekarstwa kobiecie, która leży na łóżku numer czterdzieści dwa. Ogolona głowa. Wielkie, czarne, cierpiące oczy w czaszce. Cienkie kości obciągnięte skórą z ciemnymi plamami leżą nieruchomo wzdłuż ciała. Długie palce zesztywniały w jakimś geście. Skrawek materiału narzucony na piersi prawie się nie unosi.

Na widok lekarstw kobieta krzywi się. Gładzę ją po ramieniu, mówię: *Acza, acza*, „Dobrze, dobrze", aż wreszcie rozchyla wargi, wsuwam tabletkę między wysadzone zęby. Połknęła.

Zmieniam pościel. Z Moniką, sąsiadką z Sudder Street, prowadzimy kobiety do łazienki. Podaję baseny. Zatrzymuję się chwilę przy Sylvie, pielęgniarce z Francji. Pochyla się nad nogą młodej dziewczyny. Dziewczyna miała wypadek, w szpitalu zaniedbali ranę. Teraz jej stopa to krwawe mięso, jakby ktoś odciął podeszwę nożem. Sylvie ostrożnie obcina nożyczkami martwą skórę na obrzeżach.

Nirmal Hriday, obiad

Wszystkie kobiety są niedożywione. Większość choruje na gruźlicę. Niektóre przywieziono po wypadkach. Jedna z nich nie ma nogi, ale sprawnie porusza się przy pomocy rąk. Sporo jest wpół sparaliżowanych. Jak ta kobieta o wygolonej głowie, po Heinego-Medina, którą z łatwością mogę wziąć na ręce – ma trzydzieści osiem lat, w ośrodkach Matki Teresy przebywa od jedenastego roku życia.

Podajemy wczesny obiad. Karmię kobietę z łóżka numer czterdzieści dwa.

Wymiotuje ryżem. Proponuję jej słodki deser. Kręci głową. Pokazuję jej liczi, śliwkę chińską. Uśmiecha się. Obieram owoc, dzielę na kawałki, wsuwam do ust.

Kobieta z końca sali przywołuje mnie ręką. Siadam obok. Opowiada mi o czymś. Nieważne, że nie rozumiem słów. Głaszczę jej pomarszczoną skórę na rękach, pod którą nie wyczuwam mięśni. Dotyka mnie czołem, śmieje się. Tyle szczęścia w tym uśmiechu. Wczoraj pewna żebraczka z Sudder Street zapytała mnie: „Czy jesteś szczęśliwa?". Dziś myślę, że ta stara kobieta umierająca w hospicjum Matki Teresy jeszcze może mnie uczyć radości życia.

– Początkowo nie podobało mi się tutaj – zwierzy mi się później Monika. – Widziałam ludzi na wpół sparaliżowanych, którzy w Niemczech mieliby lepszą opiekę lekarską. A później zrozumiałam, że to Matka Teresa ma rację. Tu twoja obecność liczy się bardziej niż lekarstwa. W Niemczech w domach spokojnej starości pacjenci są ciągle niezadowoleni. Tutaj jeden twój uśmiech sprawia, że ci ludzie czują się szczęśliwi. Im przede wszystkim potrzebna jest miłość.

Nirmal Hriday, koncert

Przed południem na salę wchodzą dziewczyny w granatowych spódniczkach i chłopcy w białych koszulach. To studenci przyszli śpiewać pacjentom Matki Teresy. Cóż za dziwaczny pomysł – myślę, gdy w korytarzu rozkładają instrumenty.

Podchodzi studentka.

– Ta *lady* – wskazuje na staruszkę o siwych włosach – pyta, czy może iść posłuchać muzyki.

Przywołuje mnie kobieta bez nogi. Przygładza swoją koszulkę, o coś pyta, chyba o to, czy ładnie wygląda. Poprawiam jej rękaw.

– W porządku. Możesz iść.

Dziewczyna z krwawą miazgą zamiast stopy też chce słuchać muzyki.

Na korytarz idzie żona trędowatego, wesoła dziewczyna – jeszcze miesiąc temu umierała na ulicy.

Monika zanosi na rękach wpół sparaliżowaną kobietę po Heinego-Medina. Na środku korytarza przy dźwiękach głośnej muzyki samotnie tańczy drobny mężczyzna w piżamie.

– Myślę, że my, Europejczycy, wciąż żyjemy albo przeszłością, albo marzeniami – mówi Karine, dwudziestosiedmioletnia wysmukła Szwajcarka, wolontariuszka, która przed przyjazdem do Indii przeczytała wszystkie książki o Matce Teresie. – Robię tu bardzo proste rzeczy. Podaję jedzenie, myję kobiety, karmię. I w tych prostych rzeczach jest szczęście. Oni nas tutaj uczą żyć.

Karine mówi, że Matka Teresa nauczyła ją dwóch rzeczy.

– Przede wszystkim, by w każdy gest wkładać miłość.

I jeszcze – że Kalkuta zaczyna się na progu twojego domu.

Bo źle jest, jeśli potrafisz okazać uczucie starej, brzydkiej Indusce, a nie potrafisz tego zrobić we własnej rodzinie.

Błękitne Niebo, rozmowa z Philippe'em

Po południu idziemy z Philippe'em na obiad do Błękitnego Nieba. Philippe jest informatykiem. Ma trzydzieści lat. Pracuje w wielkiej firmie ubezpieczeniowej w La Défense pod Paryżem. Od trzech lat spędza każde wakacje, pracując w umieralni Matki Teresy.

– Tak naprawdę my, wolontariusze, nie przyjeżdżamy tu dla nich. Przyjeżdżamy dla siebie samych. Żeby wyleczyć się z własnego cierpienia.

My mówimy, że ludzie w Kalkucie są nieszczęśliwi. Przykładamy własne wartości do nie naszego świata. Znam tu rodzinę uchodźców z Bangladeszu, bez pracy, bez domu, która wzięła na wychowanie porzucone niemowlę. Czy myślisz, że oni są bardziej nieszczęśliwi niż mężczyzna, który ma mieszkanie, dwa samochody, żonę, konkubinę i wciąż czegoś szuka? Tak naprawdę wszyscy cierpimy, bo nie jesteśmy kochani. Przyjeżdżamy tutaj, żeby się wyciszyć. To schronisko to szkoła akceptowania życia, jakim jest. Również śmierci. W Europie śmierć jest zawsze porażką. Tutaj jest częścią życia.

Jest u nas na sali mężczyzna chory na raka. Ma zupełnie zniekształconą twarz. Ja się go brzydzę. Ale zadaję sobie pytanie: czego tak naprawdę się boję? Jego zniekształconej twarzy czy własnej starości? Śmierci?

Trzy lata temu myślałem: co ja robię w tym obozie koncentracyjnym! Dla białego kolesia, który przyjeżdża z Paryża, umieralnia to wstrząs. Wcale nie miałem ochoty tam chodzić. Swoją pracę traktowałem trochę jak posłanie. Teraz wstaję o siódmej rano i cieszę się, że tam idę. Daję innym coś z siebie, ale w zamian dostaję o wiele więcej. Siostry od Matki Teresy świetnie poradziłyby sobie bez nas. To nie my pomagamy Matce Teresie. To ona robi nam wielki prezent, że pozwala nam być tutaj.

Ośrodek za rzeką Hugli

9 maja. Niedziela. Dzień, w którym wolontariusze jadą za rzekę Hugli (odnoga Gangesu) do jednego z ośrodków Matki Teresy, gdzie raz w tygodniu zaprasza się bezdomne dzieci.

Siadam w cieniu z igłą w ręce. Przy pompie wolontariusze szorują dzieci. Pielęgniarki opatrują skaleczenia.

Co chwila podbiegają do mnie malcy z rozdartymi ubrankami – sprane do ostatniej nitki, pozszywane wszystkimi kolorami, dziury jak pięści, materiał pęka w palcach.

– Anti, tutaj – rozczochrany malec odwraca się, wypina pupę, żebym lepiej zobaczyła rozdarcie na spodenkach.

Kalkuckie bezdomne dzieci mają jedną parę spodenek, czasem koszulkę, przeważnie nie mają butów. Koczują na ulicach, pod mostem. Tylko na peronach dworca Howrah żyje tysiąc dzieci, trzy tysiące innych przychodzi tu co rano zarobić – sprzątają, żebrzą. Są śmiałe, bez kompleksów. Nie umieją czytać, ale umieją liczyć.

W innej dzielnicy misjonarki miłości otworzyły szkołę. Rano dzieci ulicy uczą się w niej hindi i bengalskiego, po południu angielskiego. Niekiedy przychodzą tu dzieci dawnych uczniów szkoły.

– Chcemy im dać miłość poprzez działanie, poprzez to, że je umyjemy, nakarmimy, nauczymy. Nasza miłość to podarunek dla najbiedniejszych z biednych – mówi siostra Francesca, Induska. Jak wszystkie siostry od Matki Teresy – wesoło uśmiechnięta.

Titagarth, dom dla trędowatych

Matka Teresa prowadzi w Kalkucie kilka innych domów: sierociniec, dom dla osób opóźnionych umysłowo, dla sparaliżowanych. W Titagarth pod Kalkutą – dom dla trędowatych.

Jadę tam któregoś dnia pociągiem. Chorzy leżą w baraku. Wyleczeni mieszkają w lepiankach, pracują w warsztatach, gdzie tkają sari i bandaże. Sami robią sobie protezy.

– Chcemy ich adaptować do normalnego życia – mówi jeden z braci misjonarzy miłości zajmujących się trędowatymi.

W leprozorium mieszkają całe rodziny. Dzieci chodzą do szkoły do miasteczka. Córki wydaje się za sąsiada.

Sześćdziesięciopięcioletni człowiek bez palców u rąk i nóg mieszka w ośrodku od szesnastu lat. Na wsi zostawił syna, cztery córki i żonę. Gdy zapadł na trąd, wyrzucono go z domu. Od szesnastu lat nie widział nikogo ze swoich bliskich.

Zaczepia mnie inny trędowaty. Chce, żebym mu zrobiła zdjęcie. Wyjmuję aparat. Mężczyzna pozuje. Poprawia włosy. Kieruje wprost w obiektyw twarz ze zniekształconym nosem i oczami na wpół pokrytymi bielmem i mówi:

– Nie zapomnij przysłać zdjęcia!

Nie tylko Matka Teresa

Gdy ponad czterdzieści lat temu Matka Teresa zaczynała swoją misję w Kalkucie, pracowała w pustce. Dziś sporo innych osób zajmuje się pracą charytatywną. Jest doktor Jack, Anglik, i jego uliczne kliniki: daszek z zielonego płótna na palach montowany co rano, składany co wieczór, na chodniku pod daszkiem lekarze i pielęgniarki. I kolejka pacjentów, którzy często przyjeżdżają tu z odległych wsi.

Jest Michael, trzydziestoletni Anglo-Indus, który rzucił pracę w banku i na dworcu w Howrah założył punkt pomocy medycznej dla bezdomnych dzieci. Jego pogotowie medyczne to rozłożony na peronie kawałek plastiku i kilka karafek z lekarstwami.

Siostra Fryderyka, główna asystentka Matki Teresy, podkreśla jednak, że praca misjonarek miłości jest nie tylko pracą charytatywną.

– Ja nie myślę: „Chcę pracować dla ludzi". Kocham Boga, dlatego to robię. Nasza praca to dzieło wiary i miłości.

Sudder Street, nocą

Ulicę przemierza kudłaty masażysta z taboretem pod pachą. Za trzydzieści centów kupuję dziesięciominutowy masaż: na środku ulicy pałeczkami z dzwonkami bije mnie po głowie, wciera w skórę olejek kokosowy, wreszcie wyciąga palce ze stawów. Swoje usługi proponuje przemywacz oczu.

Młody Indus podaje haszysz.

– Nie? To może heroinę?

Na ławkę z prostej deski wdrapuje się mężczyzna bez nóg.

– Szukał cię wczoraj twój *friend*, ten kulawy – mówi.

Na Sudder Street szybko stajesz się tutejszym.

Noc. W hospicjum Matki Teresy pewnie znów ktoś umrze. Jeśli chrześcijanin albo muzułmanin, umyją go i zakopią w ziemi. Jeśli hindus, zawiną go w białe płótno i ambulans sióstr powiezie go do krematorium nad kanałem, gdzie pali się ubogich.

Wracam do hotelu. Na parapetach, chodniku, skrzyniach, oponach, na workach, na drewnianych łóżkach, pod ciężarówką śpią ludzie. Trzeba uważać, żeby nie nastąpić na zdechłego szczura, nie przeciąć drogi karalucha wielkiego jak pięść, nie nadepnąć na psa śpiącego na środku chodnika, nie pomylić człowieka z kupą odpadków.

„Gazeta Wyborcza", 29.05.1993

1995

Jacek Hugo-Bader (ur. 1957)

Czasem noga musi się omsknąć

Po ukończeniu w 1981 roku studiów pedagogicznych o specjalności rewalidacja umysłowo upośledzonych pracował jako: nauczyciel historii (wyrzucony po pół roku), nauczyciel w szkole specjalnej, ładowacz na kolei, pedagog szkolny, socjoterapeuta w poradni małżeńskiej, wagowy w skupie trzody chlewnej, właściciel firmy kolportażowej, sprzedawca w sklepie spożywczym.

Do „Gazety Wyborczej" trafił z konkursu w 1991 roku. Poszukująca dziennikarzy redakcja zastrzegła, że do eliminacji mogą stanąć tylko młodzi ludzie bez wykształcenia dziennikarskiego. Jacek Hugo-Bader, który w „Gazecie" zajmował się wtedy kolportażem, został jednym z dziesięciu laureatów i jako jedyny trafił do działu reportażu.

Każdy jego tekst to przygoda, w którą zabiera czytelnika. Styl pełen kolokwializmów zawsze kojarzył mi się z żywotnością Melchiora Wańkowicza lub Egona Erwina Kischa: pogodny mężczyzna napalony na życie, który chce przekazać swoją wizję świata.

> Jestem reporterem trotuarowym. Nie salonowym. Opisuję świat z perspektywy trotuaru. Idę po trotuarze, czasami mi się noga omsknie, wpadnę do rynsztoka, wstanę, otrzepię się i idę dalej. Mnie interesują doły, niziny społeczne. Nie interesuje mnie polityka, chyba że jest to folklor polityczny. Mnie bardziej interesują odrzuceni niż wybrani
>
> – mówił Bartoszowi Marcowi.
> Jak buduje relację z bohaterem?
>
> Chcę być jak najbliżej niego. Krótko, ale intensywnie. Idealna sytuacja jest wtedy, kiedy mieszkam u bohaterów. Nie robię z nimi wywiadu, tylko rozmawiamy sobie przy jedzeniu, przy oglądaniu telewizji. Przy obieraniu cebuli można taką rozmowę przeprowadzić, że z butów wyskakujesz. U Chińczyków tak nie mogłem. Oni nie chcieli, bo byłem obcy
>
> – opowiadał Agnieszce Wójcińskiej.

Znam Jacka od ponad dwudziestu lat i wydaje mi się, że jak żaden reporter pasuje do typów ludzkich, które opisuje. Szuka podobnych sobie: ludzi z przeszłością i namiętnościami, którzy dla urody życia zrobią wszystko.

Bardzo szybko stał się jednym z najbardziej rozpoznawalnych reporterów lat dziewięćdziesiątych. Pierwszą manifestacją jego stylu – kiedy się okazało, że trzydziestoczteroletni reporter nie tylko opowiada o życiu swoich bohaterów, ale stawia na wspólne z nimi przeżycia – był reportaż *Zdjęcie na tle krat* (1991). O Rosjaninie Simonie Juzbaszewie i jego przyjaciołach.

> Simon to taki przestępca, jakich grywał Alain Delon. Od sympatii dla niego nie można się uwolnić. Nosił broń, ale z tej broni do nikogo nie strzelano. Siedzi w więzieniu, ale nikomu nie wyrządził żadnej krzywdy. Simona wraz z towarzyszami aresztowano w czasie wizyty papieża – byli podejrzani o przygotowanie zamachu na Jana Pawła II.

Jacek Hugo-Bader czeka pod więzieniem w Grudziądzu na jedną z dziewcząt z grupy Simona.

> Olga [...] jest niewiarygodnie piękna, przy tym kokieteryjna, prowokująca i świadoma swoich wdzięków. [...] Wiedziałem, że będą ją zwalniali, więc czekałem pod bramą kobiecego więzienia. Odwiozłem ją do Warszawy.
>
> Po drodze zatrzymywaliśmy się wiele razy. W motelu, bo głodna, koło zamku w Dobrzyniu, bo chciała go obejrzeć. Koło jakiegoś sadu przesadziła ogrodzenie jak akrobatka i przyniosła w garściach i zębach zielone jabłka – ja też dostałem jedno, to nadgryzione. Pod Ostródą zażądała, żebym się zatrzymał, bo chciała wykąpać się w jeziorze. Nim zdążyłem stanąć, była przebrana w czarny kostium kąpielowy. Oczywiście świetnie pływała.
>
> Była doskonała w każdym szczególe, nawet w środku!

To zdanie rozpaliło wyobraźnię redakcyjnych kolegów, którzy dopytywali się, co znaczy. Znaczyło, że zaczynający w zawodzie Hugo-Bader nie będzie reporterem, który przeprowadza wywiady przy kawiarnianym stoliku. Następne jego przeżycia były już spektakularne, wymagały poświęcenia i pracowitości. Duży rozgłos przyniósł mu reportaż, w którym udawał bezdomnego (*Charlie w Warszawie*, 1993). Uznanie zdobyły jego długie poszukiwania dwudziestu czterech członków plutonu ZOMO, który w 1981 roku otworzył ogień do górników w kopalni „Wujek" (*Pluton*, 1993). Wielki podziw czytelników wzbudził, kiedy wypowiedział wojnę osiedlowym bandytom, którzy terroryzowali jego syna (*Chłopcy z motylkami*, 2003), za co otrzymał nagrodę Grand Press, czyli polskiego Pulitzera.

Oprócz Polski drugim krajem reporterskich penetracji Hugo-Badera jest Rosja, o której napisał trzy książki (*W rajskiej dolinie wśród zielska*, 2002; *Biała gorączka*, 2009; *Dzienniki kołymskie*, 2011). Polskiego Pulitzera 1999 zdobył za

reportaż z Semipałatyńska w Kazachstanie, gdzie na poligonie w ciągu czterdziestu lat przeprowadzono 469 wybuchów jądrowych, napromieniowując ponad milion osób.

> To, jak Hugo-Bader potrafi dotrzeć do tematu, wbija w fotel – uważa Witold Bereś. – Jego opisy przejdą do najlepszych opisów Rosji na przełomie wieków.

Na koniec dodam coś o pewnym zadziwiającym zachowaniu Jacka Hugo-Badera, które obserwujemy w redakcji już od dwudziestu lat. Otóż jest uparty, ale upiera się przy imponderabiliach. Ma na przykład pewną fiksację, której sensowności nigdy nie umiał nam wyjaśnić, lecz trzyma się jej kurczowo. W wielu jego reportażach pojawia się to samo zdanie z *Armii Konnej* Izaaka Babla: „...i oplata mnie jedwabnymi rzemykami przydymionych swoich spojrzeń...".

Najpierw Jacek pisał tak o Żydach, których spotkał w Rosji, potem oplatało go rzemykami spojrzeń wielu rozmówców, występujących w różnych Jackowych książkach w xx i xxi wieku. Skąd zamiłowanie do tego zdania? Nie wiadomo, a autor nie kwapi się, żeby to wyjaśnić. Ewentualnie odpowiada niezmiennie: „Bo mam taką fantazję!".

Reportaż *Cały dom bym wziął*, wybrany do antologii, jest jego zapomnianym tekstem sprzed prawie dwudziestu lat, ale ma ponadczasowy temat i coś, co Hanna Krall nazywa nadwyżką.

Cały dom bym wziął

Niemal nikomu z mieszkańców bloku przy alei Wojska Polskiego 39 w Gdańsku nie udało się uratować tego, na czym mu naprawdę zależało.

Ludzie brali to, co nawinęło się pod rękę, na przykład pierzynę.

– To taki odruch – dowodzi pani Maryla. – Jak człowiek ucieka, musi mieć ze sobą pierzynę. We wrześniu trzydziestego dziewiątego też braliśmy pierzyny, chociaż było gorąco.

Wróble pana Eugeniusza

– Ja budowałem ten dom. – Eugeniusz Morawski przez dwadzieścia siedem lat był kierownikiem budowy. – Tylko we Wrzeszczu postawiłem dwie szkoły, pięć przedszkoli i sześć budynków mieszkalnych, nie licząc pawilonów handlowych. Mój zakład za Gierka był w pierwszej piątce przedsiębiorstw budowlanych z całej Polski. Teraz ja jestem na rencie, rozumie pan, zawał, a przedsiębiorstwo rozwiązali. – Pan Eugeniusz zapala papierosa.

– Co pan ze sobą zabrał?

– Nic. Jak wybuchło, zapaliłem papierosa.

– To czego pan najbardziej żałuje?

– Dom, cały dom bym wziął. Przez okno las widziałem, góry. Dom bym wziął z tamtymi ludźmi, z tamtymi układami, chociaż miałem takich sąsiadów, z którymi nie gadałem... Jak żona umarła, to ja zacząłem ptaszki karmić, polubiłem je, a one mnie. Oswoiły się, z ręki jadły, a sąsiadka z dołu z pyskiem, że ptaki srają na balkon. To ja do niej: „A wiesz ty, kobito, co to jest reinkarnacja?". Ja wierzę, że moja żona jest teraz wróblem. Dobrze, że teraz wiosna, to ptaki sobie znajdą jedzenie.

Kocur pani Ewy

O kocie pani Ewy Smulewskiej sąsiedzi mówią, że domator, bo nigdy nie wychodził z domu.

– Córka była u babci w Toruniu – mówi pani Ewa – więc o Kocurze nikt nie pomyślał. Ona by go zabrała, a tak uciekłam tylko z młodszą córką. Potem cały czas o nim myślałam, ale nie miałam odwagi wrócić.

Kot pani Ewy ma na imię Kocur. Ratownicy wygrzebali go z gruzów w środę. Jest już ze swoją właścicielką. Do pokoju pani Ewy w domu

nauczyciela, gdzie mieszka większość lokatorów zawalonego domu, co chwila ktoś puka.

– Jak kotek? – Gruby jegomość wsadza głowę w uchylone drzwi. – Załatwił się?

– Jeszcze nie – odpowiada z troską pani Ewa. – On załatwiał się tylko na swoim.

Jest czwartkowe popołudnie.

– Jestem dość sentymentalna – przyznaje się pani Ewa. – Ale gdybym miała czas pomyśleć, to przede wszystkim brałabym pieniądze. Tak się złożyło, że miałam w domu sporo gotówki. Sama wychowuję dziewczynki, jakoś sobie radzę, chyba nawet nieźle. Ale ciężko pracuję.

W Wielki Piątek za osiem i pół miliona starych złotych pani Ewa kupiła pralkę automatyczną. Dwa prania zrobiła.

– Była taka świetna, cicho chodziła. Gracja się nazywała. Tak, najbardziej szkoda mi pieniędzy.

Skrzypce pana Bronisława

Bronisław Rocławski jest docentem na Wydziale Logopedii w Wyższej Szkole Pedagogiki Specjalnej w Warszawie.

– A ja zajmuję się glottodydaktyką – mówi Izabela, żona pana Bronisława. – Od *glotta* – „język", czyli wychowaniem językowym. Kiedy już ocaleliśmy, moja córka powiedziała: „Mama, to niemożliwe, żeby w Polsce umarła glottodydaktyka".

– Czy w kraju tylko państwo zajmują się tą dziedziną?

– Tak. Realizujemy oryginalny program naukowy wymyślony przez męża.

Pan Bronisław uratował z katastrofy prace dyplomowe swoich studentów. Zabrał też dokumenty: prawo jazdy, dowód osobisty, dowód rejestracyjny samochodu.

– Źle zrobiłem. To wszystko jest do odtworzenia. Powinienem wziąć coś z archiwum rodzinnego. Tych rzeczy dotykaliśmy z wielkim nabożeństwem. Z czasem nabierało to ogromnej wartości. Żałuję, że nie wziąłem na przykład nagrań z mową naszych dzieci. Mieliśmy utrwalony cały rozwój ich mowy od urodzenia, pierwsze gruchania, gaworzenie, aż do wieku dorosłego.

Niedawno, podczas długiej podróży samochodem pan Bronisław odtworzył rodzinie jedno z nagrań.

– To było pierwsze gadanie Małgosi. Nie słuchaliśmy tego dwadzieścia pięć lat. Jakie to było wzruszające. Prawie płakaliśmy. Małgosia od razu zabrała

kasetę i zawiozła na Uniwersytet Gdański, bo akurat przerabiała ze studentami pedolingwistykę.

Pan Bronisław wziąłby także ze sobą siedemnastowieczne skrzypce Francesco Ruggieri i kuchenny nóż, który służył mu jeszcze w czasach kawalerskich.

– Jest już tak wyostrzony, że nie ma prawie części metalowej. Używałem go jeszcze w akademiku, potem, kiedy byliśmy na dorobku, to nim robiłem dzieciakom kanapki. Życie człowieka to jest jego biografia związana z tysiącem różnych takich dupereli, które zapełniają dom. Teraz wszystko to straciliśmy i chodzimy w cudzych swetrach ofiarowanych przez obcych ludzi.

– Jesteśmy w miejscu zerowym – dodaje pani Izabela. – Kasia 26 kwietnia wychodzi za mąż. Wyprowadza się. Zabierze ze sobą tylko dobre wychowanie.

Wazon pani Anny

Pani Anna Barska jest ranna w nogę. Chodzi o kulach. Ma założonych kilkanaście szwów. Pokaleczyła się, uciekając na bosaka z rozwalonego domu.

– Co pani ze sobą wzięła? – pytam.

– Dzieci.

– Co jeszcze?

– Wazon, ale...

– Nie mów, głupia – karci córkę matka pani Anny.

– Mama da spokój. – Pani Anna urywa zwisającą z bandaża nitkę. – Nie wiem, po co wzięłam ten wazon. Ani pamiątka, ani ładny. Zwykły wazon, tyle że ogromny. Jak strażak nas wyciągał przez okno, nie pozwolił nic brać. Ale ja się uparłam, więc dał spokój. Same zjechałyśmy w tym koszu: ja, dwie córki i ten ogromny wazon. Dla strażaka nie starczyło już miejsca, a mąż w tym czasie ratował sąsiadów. Strażak strasznie ryzykował, mówił, że dom w każdej chwili może się rozwalić.

Pani Anna ma dwadzieścia dziewięć lat, jej mąż trzydzieści cztery. Są jedenaście lat po ślubie, ale długo nie mogli mieć dzieci. Sześć lat czekali.

– Najbardziej żal mi dziecięcych rzeczy. Na wszystkim oszczędzaliśmy, ale nie na dzieciach. Wszystko im kupowaliśmy: zabawki, ciuszki. Teraz na Wielkanoc dziewczynki dostały gadające zajączki i kurczaki na baterie. Wzięłabym cały pokój dziecięcy, ozdoby choinkowe, takie piękne śpiewające mikołaje. Cztery lata to wszystko zbieraliśmy, odkąd urodziła się Kasia.

– A wazon?

– Jest u mamy. Mnie on na co?

Pudel pana Ryszarda

Ryszard Walery chodzi w seledynowym dresie.

– Z darów, lekko używany – zaznacza pan Ryszard.

Pan Ryszard jest na rencie. Przed zawałem był operatorem spychacza i przewodniczącym komitetu blokowego, aż do momentu kiedy ludzie z jego domu założyli własną spółdzielnię mieszkaniową „Nasz Dom". Teraz jest tylko członkiem komisji rozjemczej.

– Mieliśmy najniższy czynsz w całym województwie. Odpadła administracja. Wszyscy pracowali społecznie: zarząd, rada nadzorcza, tylko sprzątaczce płaciliśmy. Założyliśmy liczniki na wodę i c.o. i wie pan, co się okazało? Jedna osoba zużywa w ciągu miesiąca trzy i pół metra sześciennego wody, a miasto liczyło nam siedem. Tylko z tego powodu czynsz obniżył się o sto tysięcy. Teraz wszystko przepadło. I moje okulary, co do czytania miałem, też.

Pan Ryszard wyniósł z domu psa. Arys jest pudlem królewskim. Ma dziewięć lat. Żona kupiła go panu Ryszardowi na imieniny. Znajomi wyjeżdżali do Kanady, a bilet dla psa kosztował pięćset dolarów, więc tanio oddali.

– Dlatego wziął pan akurat psa? Przecież państwo mieliście także trzy koty.

– Bo ja zawsze o tej porze wychodziłem z Arysem na spacer. A koty? One nigdy nie wychodziły. Najbardziej żal mi Sońki. Mieliśmy też jej córkę Majkę i znajdę z działki Punię. Ale Sońka była najbardziej kochana. Jak się kładłem po obiedzie, to ona przychodziła, rozciągała mi się na piersiach i razem tak spaliśmy.

Żona pana Ryszarda zdołała zabrać torbę z kosztownościami.

– Ale nie wzięła posłania Arysa. My go kupiliśmy osiem lat temu z tym posłaniem. To była poduszka z gąbki. Bardzo jej Aryskowi brakuje. Oddałem mu swój jedyny uratowany podkoszulek, żeby zwierzę miało posłanie z zapachem, który lubi.

Zęby pana Mieczysława

Państwo Jakubowscy mieszkali na czwartym piętrze. Pytam, co udało im się uratować.

– To może ja powiem – tłumaczy pani Genowefa – bo Miecio zęby stracił i niewyraźnie mówi. Ja w nocnej koszuli zostałam, bez pończoch nawet i bez bielizny. Uciekliśmy szybko, bo ludzie krzyczeli, że gaz. Wszyscy krzyczeli, Miecio też, ale nie wiem co, bo zębów nie włożył. Nic nam nie zostało. Dorobek czterdziestu lat przepadł. Nasze życie to była zawsze praca i oszczędzanie. W przemyśle okrętowym pracowaliśmy. Zawsze chcieliśmy coś mieć, czegoś się dorobić. Kupiliśmy nowe meble, dywany z myślą, że to już ostatni raz,

że musi nam starczyć do śmierci. Ale my byśmy to wszystko oddali, żeby ci ludzie żyli. My tu wszyscy razem dwadzieścia lat...

– Dwadzieścia trzy – prostuje pan Mieczysław.

– Mieciulku, nie przerywaj mi. Jacy to wspaniali ludzie byli. Marysia Warmińska, Małgosia Borzym, Irena Henszke, tacy zgrani, w zarządzie spółdzielni pracowali, czynsz zbierali, a Marysia placki jeszcze piekła i na posiedzenia rady przynosiła. Albo doktor Pstrokońska. Ona uratowała syna, kiedy w szpitalu na nowotwór leżał. Była naszą ostoją. Przychodziła pocieszać. A krzyży, Mieciu, ci nie żal? Też w domu zostały.

– A tak, krzyże...

– Kawalerski Miecio miał, złoty i srebrny. „Zasłużony dla Ziemi Gdańskiej" też.

– Gdzie pan pracował? – zwracam się do męża pani Genowefy.

– To już ja odpowiem, bo mąż nie ma zębów. On od początku, od czterdziestego ósmego w stoczni pracował. Od wodowania Sołdka. Najpierw w stoczni Lenina, potem w gdańskiej remontowej, gdyńskiej remontowej i na koniec od sześćdziesiątego piątego roku w Zjednoczeniu.

Wymiary pani Izy

Pani Iza Machulska jest dość tęga. Jest przewodniczącą rady nadzorczej spółdzielni „Nasz Dom". Rozmawiamy w domu nauczyciela.

– Wzięłam dokumenty i trochę ciuchów, bo mam obsesję, że nie będę miała w co się ubrać. Mam trochę nietypowe rozmiary.

W holu na cały regulator ryczy magnetofon Osaka. To pani Elżbieta z Gdańskiej Akademii Życia puszcza relaksacyjne nagrania.

– Chodzi o to, żeby koło tych ludzi przeleciały dobre emocje. To są specjalne słowa, dobre, pozytywne, dzięki którym stres metafizycznie uchodzi. Sączymy w nich słowa i muzykę. Pierwszego dnia byli w takim szoku, że w ogóle nie rozmawiali, tylko rękoma machali.

Z magnetofonu sączy się muzyka Kitaro.

– Czego pani najbardziej żal z rzeczy pozostawionych w domu?

– Niczego. Cieszę się, że żyję.

– Tak jest! – triumfuje pani Elżbieta z Akademii Życia.

„Jesteś mądry, dobry, dzielny. Wszystko potrafisz, wszystko możesz – trzeszczy mężczyzna z magnetofonu. – Nie musisz cierpieć, aby otrzymać szczęście".

„Gazeta Wyborcza", 22.04.1995

1996

Lidia Ostałowska (ur. 1954)

Tylko bez płaczu

> Za komunistów niebo różniło się znacznie od piekła, czerń odbijała od bieli. Świat dawał się opisać. Dziś przypomina rozsypane puzzle. Łamigłówkę

– pisała w jednym z pierwszych reportaży dla „Gazety Wyborczej".

W swoich tekstach zawsze imponowała małomównością. To nie znaczy, że były za krótkie, że nie zebrała dość materiału i miała mało do powiedzenia. Lidia Ostałowska ma w swoim dorobku reportaże długie, ale nieprzegadane. Gęste, pełne krótkich zdań i równoważników. Żadnych szlaczków i koronek. Tam, gdzie mogłoby być „i", u niej jest przecinek. Jedno słowo u Ostałowskiej ma wartość zdania u innego reportera.

Kiedy opisywała Bałuty, spauperyzowaną robotniczą dzielnicę Łodzi, nie używała słowa „bieda". Napisała:

> Co krok lombard. Mnóstwo zakładów fryzjerskich ze świeżym afiszem: solarium. Zamiast wakacji – kabiny opalające.

„Łamigłówka" z pierwszego cytatu to słowo klucz do jej pisania. Lidia Ostałowska zajmuje się bowiem łamigłówkami, z którymi mają kłopoty rządy, politycy i media. Jej tematy to: kobiety, mieszkańcy popegeerowskich wsi, młodzież z blokowisk, Romowie. Na okładce jednej z jej książek ładnie to podsumowano: „Ostałowska pisze o tych, którym trudniej". „O niewidocznych" – dodał jakiś recenzent. Ona ich słucha.

Spytałem ją kiedyś, dlaczego w swoich reportażach coraz częściej oddaje narrację bohaterom. W wielu jej tekstach – zwłaszcza o młodych – mówią głównie oni. Ona zaś rezygnuje z własnych wrażeń i prawa do opisu. Powiedziała, że chce im dać głos, nie chce go zagłuszać swoim. Chce, by czytelnik usłyszał rozmówcę nieprzetworzonego przez jej doświadczenie, przeszłość, pozycję, miejsce, z którego przyjechała, płeć i oczekiwania. (A oczekiwania reportera potrafią bardzo zdeformować prawdę).

Właśnie jeden z jej najsłynniejszych tekstów o młodych ludziach skupionych wokół zespołu Paktofonika – *Teraz go zarymuję* (2001) – był impulsem do stworzenia filmu fabularnego *Jesteś Bogiem* (2012) w reżyserii Leszka Dawida.

Głośny cykl reportaży Ostałowskiej o Romach dla „Magazynu", dodatku do „Gazety Wyborczej", pisany w latach 1995–2000 zaowocował książką *Cygan*

to Cygan (2000). Razem z fotografem Piotrem Wójcikiem w Rumunii szukała żebraków spod warszawskiego mostu, w Anglii śledziła losy uciekinierów z Czech i Słowacji, na Węgrzech penetrowała romskie getta, w Bułgarii poznała Cyganów z więziennego karceru.

Kiedy odwiedza „cygańską celę", udaje jej się nawiązać kontakt z osadzonymi, bo proponuje im pomoc, na jaką dotąd nie mogli liczyć. Przez reporterkę mogą przekazać parę słów swoim bliskim. Ona pojedzie do Sliwien, skąd pochodzi większość skazanych, i powtórzy. Każdy mówi krótko, żeby spamiętała. I tak powstaje najzwięźlejszy opis życia, pragnień i lęków romskich więźniów.

> Na dziewiętnastu mężczyzn – czternaście łóżek. Niektórzy śpią po dwóch. Najgorzej tym od ściany, która graniczy z umywalnią. Krany nie mają kurków, więc zimna woda leje się tam dzień i noc. W niedawno odmalowanej celi farba odpadła, rośnie grzyb. Mężczyźni ze Sliwien przekazują wieści do cygańskiego kwartału.
>
> Pierwszy: – Jak się słuchamy, to jest dobrze. Jak nie, to źle. Ale się nie martw.
>
> Drugi: – Zimno tu. Szyby nie my wytłukliśmy. Jakby Cygan zabił szybę, Cygana by zbili. Przyślij koc.
>
> Trzeci: – Kaloryfery grzeją godzinę dziennie. Potrzebny mi sweter.
>
> Czwarty: – Wszyscy tu chorujemy. Lekarz daje tylko aspirynę. Potrzebuję na lekarstwa.
>
> Piąty: – Dzięki za cebulę z domu.
>
> Szósty: – Przyślij na papierosy.
>
> Siódmy: – Prowadź się dobrze. Rozmyślam, kto dla ciebie teraz kradnie.
>
> Ósmy: – Jak tam nasza mahała? Co u Rumena, u Deko, u Giro?
>
> Dziewiąty: – Ty nie płacz, tylko pilnuj dzieci.

Ostatnie zdanie było pointą reportażu *Karcer*.

Książka *Cygan to Cygan* zachwyciła Kapuścińskiego i Giedroycia. A także znawcę Romów pisarza Jerzego Ficowskiego. Jedna z blogerek po przeczytaniu *Cygana* napisała, że czytelnik musi wykonać przy tej książce szczególną pracę, bo wynika z niej, że nie ma jednej prawdy o Romach, a do tego nie zawsze wiemy, po czyjej stronie stoi reporterka.

Sądzę, że łatwo to odkryć, jeśli na przykład uświadomimy sobie, że przecież to od reporterki zależało, który z więźniów wypowie się w jej tekście jako ostatni. Mogła końcowe zdanie oddać Siódmemu. A wtedy reportaż miałby inne zakończenie i pewnie z innym wrażeniem czytelnik zamykałby książkę.

Reporter to nie tylko sprawozdawca – przyznaje sama. – Kompozycja i język tekstu pozwalają przekazać czytelnikowi własny punkt widzenia. Reportaż stanowi interwencję w rzeczywistość, jest interpretacją. I w porządku, byle fakty się zgadzały.

Lidia Ostałowska urodziła się w podwarszawskiej Radości. Pierwsze reportaże wydrukowała w „Przyjaciółce", w roku 1981 pracowała w studenckim tygodniku „ITD". Krótko, bo wybuchł stan wojenny i nie chciała już być dziennikarką. Została na kilka lat nauczycielką polskiego (skończyła polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim). Pracę w „Gazecie Wyborczej" zaczęła niemal od pierwszego numeru.

Dziś jest postrzegana jako reporterka zajmująca się „dziennikarstwem równościowym". Oddaje głos kobietom, które tkwią w „świecie z przewagą mężczyzn". Prawo kobiet do aborcji czy godziwej pensji to jej główne tematy, choć przez lata była też autorką świetnych reporterskich portretów intelektualistów (na przykład Leszka Kołakowskiego czy Jerzego Ficowskiego). W 2012 roku wydała książkę *Farby wodne* (nominowaną do Nagrody Literackiej Nike), w której pisze m.in. o Holokauście Romów i różnych sposobach pamiętania o przeszłości.

Wracając do jej twórczości „równościowej":

Płacz kobiet mnie boli – przyznaje w rozmowie z Magdaleną Kicińską. – Wiele razy przy mnie kobiety płakały, a czasem płakałyśmy razem. Ale te łzy muszą być strasznie ważne, żebym o tym napisała, świadczyć o czymś więcej niż o bólu albo skłonnościach emocjonalnych. Bo kiedy czytelnik dowiaduje się, że ona – bohaterka – płacze, to już nie myśli o niczym innym. W tym celują zresztą programy tak zwane społeczne, także interwencyjne. Na przykład *Prosto z Polski* w TVN24, gdzie bardzo często poruszane są problemy kobiet zmagających się z różnymi trudnościami – chorymi dziećmi, biedą, wypadkami, całym złem świata. Najczęściej od razu wyłączam. Nie jestem w stanie ścierpieć, nie umiem tego nazwać dobrze, używania tych kobiet. Niby się im pomaga, ale jednocześnie pokazując ich drżące ręce, łzy, ich totalne udupienie, robi im się kolejną krzywdę. Żeruje się na nich, a to niczego nie zmienia. W tekstach to widać we frazesach typu „powiedziała matka, ocierając łzy". Niby nie ma w tym nic złego, a jednak idziemy w ten banał, opisujemy po raz kolejny kobietę stereotypowo, nie wnosimy nic ponad tą jednostkową opowieść [...].

To mnie wkurza także dlatego, że każda z nas była albo może być w podobnej sytuacji. Też kiedyś miałam swoje kłopoty, gorszy okres

i potencjalnie, gdyby przyjrzał mi się wtedy ktoś z zewnątrz, wszedł do mojego życia i domu z kamerą, to też mógłby nakręcić taki interwencyjny materiał – że w domu bałagan, bo dużo pracowałam i zwyczajnie nie miałam czasu tego ogarnąć, że chore dziecko śpi na podłodze, bo akurat złamało się pod nim łóżko i nie znalazłam chwili czy nie miałam aktualnie pieniędzy, żeby sprawić nowe. Ktoś mógłby wykorzystać tamtą moją słabość i zrobić z tego materiał o wyrodnej matce. Na podstawie takich definiowanych stereotypowo win zabiera się dzieci z rodzin i umieszcza w domach dziecka, o czym dowiadujemy się z mediów.

Temat reportażu, który zamieszczamy w antologii – bezdomne dzieci w Petersburgu – Ostałowska zaproponowała zastępcy redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej" Juliuszowi Rawiczowi. Nie wiedziała, czy uda się coś napisać, ale razem z Piotrem Wójcikiem chcieli tam jechać. Rawicz powiedział: „Ja wam w ogóle nie wierzę, to jest niemożliwe, żeby dzieci były bezdomne. Kiedy jedziecie i ile pieniędzy wam potrzeba?".

Reportaż stał się potem punktem wyjścia do filmu dokumentalnego *Bezprizorni* w reżyserii Natalii Korynckiej-Gruz, którego Lidia Ostałowska była współscenarzystką. „Napisała o tych dzieciach reportaż, który zrobił na mnie ogromne wrażenie" – wyznała reżyserka. Pojechały tam razem, reporterka poprowadziła ekipę śladami swojego tekstu.

Polecam reportaż z miasta, które – jak pisze Ostałowska – próbuje zapomnieć, że było Leningradem.

Bezprizorni

W Petersburgu dzieci ulicy mają swoją pocztę pantoflową. Pewnego razu prasa i radio podały, że władze miejskie dnia tego i tego, tu i tu otwierają garkuchnię. Dzieciaki się zbiegły, a milicja je spisała. Zupy nie dali. Od tej pory bezdomni wierzą tylko własnym, potwierdzonym doświadczeniem informacjom.

Wiadomość, że nowa noclegownia w dzielnicy Strona Piotrogrodzka jest w porządku, dzieci przekazywały sobie z ust do ust.

Latem zeszłego roku założyli ją Anglicy z instytucji dobroczynnej Red Kids, co znaczy „czerwone dzieci". Drzwi odrapane, za nimi zdarte linoleum. Pot i lizol. Kiedyś była tu stołówka robotnicza, ale fabryka przestała wydawać obiady. Został po niej smród łoju wżartego w ściany.

Red Kids – jedyny w całym Petersburgu otwarty przytułek, który dzieciakom nie stawia wymagań. Mogą całymi dniami włóczyć się po mieście. Mogą się nie uczyć. Mogą palić.

Ulica męczy, zwłaszcza gdy cisną buty, z których się wyrosło, boli ząb, zabłocone spodnie sztywnieją od mrozu. Więc bezprizorni wpadają tu na miesiąc albo na noc.

Teraz przyjechała nowa – Santa. Najpierw prowadzą ją do gabinetu lekarskiego. Trzeba sprawdzić, czy ma wszy i świerzb. Odwszenie jest kosztowne. Jak włosy się ruszają, taniej ciąć niż leczyć. Większość dzieci w Red Kids zgolono na zero.

Santa sama się obcięła i zostawiła modny kosmyk. Ściąga bluzę, pokazuje plecy, skórę pod pachami i nadgarstki. Jej dłonie są w kolorze zamrożonej wołowiny. Pani doktor zadaje pytania. Imię? Santana. Nazwisko? Sidorow. Rok urodzenia? 1982. Rodzina? Matka umarła, ojciec się ożenił drugi raz. Co robi ojciec? Jest ochroniarzem na bazarze. Rodzeństwo? Czterech braci, najstarszy w więzieniu. Siostra przyrodnia. Gdzie mieszkają? Mają pokój w komunałce, psa, kota, szczura i papugę. Czemu od nich uciekłaś? Nie uciekłam. Jak miałam siedem lat, to się zgubiłam na rowerze. Dzieci z ulicy nauczyły mnie, gdzie spać i jak zdobywać jedzenie. Potem milicja mnie złapała i przez dwa lata byłam w szkole z internatem. Potem odwieźli mnie do domu. Ale już mi się nie podoba takie życie.

Za chwilę Santa okrywa się kocem na koślawej polówce. Nie zdjęła nawet kurtki. Z przyzwyczajenia albo dlatego że w przytułku kradną. Butów pod łóżkiem też nie widać.

Po raz pierwszy od dawna śpi nad ziemią.

Za ścianą

Sypia tutaj na ogół siedemdziesiąt osób.

Lena Panina, kierowniczka Red Kids, mówi, że żaden z wychowawców nie wie, co się w przytułku dzieje w nocy. Nasłuchują zza drzwi zamkniętych na klucz. Kroki. Krzyk. Płacz. Jęki. Westchnienia. Seks.

Koło ósmej dzieci wstają, idą do ubikacji.

Dwa cieknące krany z zimną wodą, dwie kabiny bez drzwi z dziurami w podłodze, chudych dziewczyn gromada. Ściągają majtki, kucają, żadna głowy nie odwraca.

Za ścianą, która nie sięga sufitu, toaleta męska. Chłopcy wchodzą sobie na barana i patrzą, jak dziewczyny sikają. Im to nie przeszkadza. Chłopcy udają, że pierdzą. Taki żart.

Słanie łóżek. Niektórzy mają jakąś pościel, inni brudną narzutę albo koc. Składają je niemrawo. Gruba wychowawczyni Łarisa:

– Póki wszyscy nie skończą, nie będzie śniadania.

Jedzenie: chleb i kasza manna. Trzeba ją wlać do wszystkich metalowych misek i szybko roznieść tace, bo inaczej dzieci się pobiją.

Najmłodsi biją się i tak. Wsadzają łyżki w cudze miski, manna leje się po stołach. Teraz jogurt. Z darów. Wybieranie brudnymi palcami resztek z dna.

Przy wyjściu rewizja. Gruba Łarisa maca z góry na dół. Szuka jogurtów. Kto przemycił, musi oddać kubek albo wracać. Dzieciaki rzucają śmieci byle gdzie, a sprzątają za forsę. Nic nie zrobią za darmo, więc kierowniczka płaci. Pieniądze ma z Red Kids i Rady Europy.

Po śniadaniu stołówkę zamiatają Nela i Marina, lat dwanaście. Nie chce im się machać szczotką, wolą berka. Złapana Marina:

– Ty kurwo! Ty suko pierdolona!

Biją się na niby. Jak psy, które udają, że na siebie warczą.

Życie w stadzie.

Tak jest bezpieczniej. Sześć dziewczynek w wieku od siedmiu do dwunastu lat przetrwało rok w śmietniku. Na samotnego ośmiolatka obcy mężczyzna rzucił się na ulicy z siekierą.

Tutaj, w przytułku, grupa się rozpada. Starsi rządzą młodszymi, zabierają im papierosy i pieniądze. Słabi odchodzą, chociaż w noclegowni jest wygodnie. Żarcie, a na dobranoc bajki na wideo. Potem kasety przyniesione z miasta: pierdolenie.

Spadek

W Rosji co rok sto pięćdziesiąt tysięcy dzieci ucieka z domu (to tylko przypadki zgłoszone).

Co rok trafia na ulicę dwadzieścia tysięcy dzieci z sierocińców i internatów.

W ciągu trzech lat od opuszczenia państwowego ośrodka czterdzieści procent wychowanków dokonuje przestępstw, trzydzieści procent wpada w alkoholizm, samobójstwo popełnia dziesięć procent.

Od roku 1991 wolno wyrzucać ze szkół, prawie zawieszono obowiązek szkolny. Milion dzieci nie uczy się i nie pracuje. Wiele nie czyta, nie pisze.

By zostać bezrobotnym, trzeba skończyć lat szesnaście. Pracować można od czternastego roku życia.

Czternastolatka można wsadzić do więzienia.

W Rosji zarejestrowano czterysta dwadzieścia tysięcy bezdomnych dzieci – bezprizornych.

W Petersburgu jest ich trzydzieści tysięcy.

To dane MSW i Prokuratury Generalnej.

Socjolog, profesor Eugeniusz Słucki:

– Według moich danych w Pitrze jest sto tysięcy bezprizornych. Każdy rosyjski dzieciak wie, że Petersburg i Moskwa to dzisiaj miasta dobre dla włóczęgów. Kaukaz, Estonia, Krym, Naddniestrze są mało gościnne dla Rosjan. Związek Radziecki nie istnieje. Gdy pięć lat temu dyskutowano o zniesieniu kierowniczej roli partii, mówiło się, że w spadku po nim dostaliśmy bezprizornych. Komuniści krzyczą: „Jest ich milion", faszyści: „Cztery miliony". Obarczają winą demokratów. Pytają: „Co zrobiliście z dziećmi Rosji?". A demokraci się ich boją, wolą, żeby o bezprizornych było cicho. Dla polityków liczby mogą okazać się za małe lub za duże. Nikt nie chce prawdy.

Pod ziemią

Na Starym Newskim ich nie widać.

Ani na Polach Marsowych. To słynny Sankt Petersburg. Miasto, które próbuje zapomnieć, że niedawno było Leningradem. Tu jest sobór Izaaka i Pałac Zimowy, Ermitaż, uliczki, po których chodził Dostojewski. Tu są drogie hotele, sklepy i kawiarnie czynne do świtu. Tu greckie kolumny odbijają się w zimnych nurtach rzek i zatok. Tu najnowszymi modelami volvo mkną przez aleje wolnorynkowi nuworysze. Tu nawet, jak w Europie, odśnieża się czasem ulice.

Stąd milicja spycha bezprizornych.

Do kanałów. Pełno ich w dużych osiedlach, doprowadzają ciepło i wodę do bloków. Wystarczy zsunąć betonowy krąg, spuścić się na dół. Stawać trzeba ostrożnie, na dnie są czasem głębokie kałuże. Ciemno. Warto mieć ze sobą zapalniczkę. Ale i w błysku zapałki widać zarys ciepłych, wielkich rur. Można się na nich położyć. Jak kapią – nabrać wody w ręce.

Tutaj śpią.

Milicja zamyka włazy. Bezprizorni kryją się do piwnic, do węzłów cieplnych. Czasem z najlepszych kryjówek każe im się wynosić dorosły bezdomny albo rodzina, która straciła dach nad głową. Szukają następnej betonowej dziury.

Żyją w metrze.

Gdzie mieszkasz? Na Bolszewików. Na Pionierskiej. Na Łomonosowa. To nazwy stacji. Dzieci idą tam, jak już wygrzebią się ze swoich nor. W metrze ciepło, a na górze styczeń. Nie kupują żetonów. „Ciociu, mogę wejść?" – pytają kobiet na bramkach.

I śpią w wagonach pod naskórkiem miasta, poniżej fundamentów cerkwi i soborów, pod pomnikami Lenina, Dzierżyńskiego, carów, pod brukiem ulic, którymi chodził Dostojewski. Ludzie się odsuwają, bo cuchną moczem i kanałem.

Żebranina w metrze najlepiej idzie maluchom. Dziennie mogą wyciągnąć nawet trzydzieści tysięcy, chleb kosztuje trzy. Grupa wysyła na żebry najchudszych, najbrudniejszych.

Albo inaczej, metodą z lat dwudziestych. Sześciolatek – czapka z radziecką gwiazdą, ale bez rękawiczek, bez szalika – wyciąga przemarznięte ręce do modnej pani. Czasem pada na kolana. Jej ściska się serce, wyciąga portfel. Wtedy podbiegają inne biedne dzieci, też chcą coś dostać. Robi się zamieszanie, portfel ginie.

Łatwo wyrwać torbę ostatniej wchodzącej do wagonu pasażerce, bo drzwi się zamykają.

Ćpanie to już ryzyko, milicja robi łapanki.

Wieczorne życie towarzyskie w metrze nazywa się „tusowka". Słowo slangowe, w wolnym tłumaczeniu: spęd.

Stacja Stary Newski, siódma wieczór. Spęd pod filarem w dobrze ogrzewanym przejściu, o którym bezprizorni mówią „ciepła rura". Maluchów nie ma, same nastolatki. Niektórzy naprawdę bezdomni. Bezdomnego rozpoznaje się po butach. Te, co dużo przeszły, są podrapane, koślawe i szare. A między nimi lśniące, czarne glany punków. Kolorowe czuby, skóra. Dzieci gławdyrektorów,

sekretarzy sierot po Związku Radzieckim. Piją z bezprizornymi wino Agdan, jabłkowe. Na noc wracają do łóżek.

A bezprizorni do kanałów. Albo na czubek miasta, do maszynowni nad szybami wind. By się tam dostać, trzeba skoczyć nad przepaścią schodów. Łatwo spaść.

Petersburg to prawie pięć milionów ludzi. Co rok umiera tu od dwóch do pięciu tysięcy bezdomnych. Wśród nich są dzieci. Milicjanci pakują trupy w worki.

Szukają zwłok pod ziemią i pod niebem.

Ciało

Liszaje, świerzb, żółtaczka, gruźlica, syfilis, zapalenie dróg moczowych, zapalenie narządów rodnych, chroniczny bronchit, wrzody żołądka, złamania, zranienia – choroby dzieci ulicy.

Źle jedzą, więc są niższe. Wiele dziewcząt zgwałcono.

Obcy

Wasilij Michajłowicz Siereda – lekarz. Zna go wielu petersburskich bezprizornych, wszyscy o nim słyszeli. Czterdziestolatek urodzony w Żytomierzu. Zrośnięte czarne brwi, twarz kwadratowa. Dzieci nazywają go Michajłycz.

Lisa Gerdin z Helsinek – pedagog. Córka fińskiego komunisty, działaczka Wspólnoty Biblijnej. Przewoziła do Petersburga Pismo Święte. Czuła, bystra, roztrzepana. Dwóch synów, mąż Szwed.

Trzy lata temu Wspólnota Biblijna zaczęła pomagać rosyjskim więźniom. Szukała ich dzieci. Okazało się, że znikają na ulicach.

Lisa i jej mąż po raz pierwszy zobaczyli bezprizornych w metrze. Poczuli wstyd, strach. Kupili w kiosku hamburgery.

Słyszeli od znajomych, że jest lekarz, który co wieczór dokarmia bezdomnych. Wreszcie spotkali Michajłycza. Rozdawał dzieciom kiełbasę i chleb, kiedy przyszli do metra ze swoimi fast foodami.

Kiełbasa była niemiecka: ewangelicy z organizacji Psalm 23 rozwozili jedzenie po mieście. Teraz Rada Europy dała im pieniądze na stołówkę. Wydają tysiąc siedemset obiadów.

Michajłycz odszedł z Psalmu, bo chciał być bliżej bezprizornych. Razem z Lisą powołali stowarzyszenie do ich obrony, finansowo wspierane przez Wspólnotę Biblijną. Założyli mały sierociniec dla pięciu chłopców – przypomina dom. Znaleźli rodziny gotowe przyjąć dzieci na noc. Zatrudnili pracowników socjalnych, którzy się opiekują bezdomnymi – także w sądzie. Mają

dwie furgonetki, wieczorem ruszają na patrole. Jadą na peryferie, między blokowiska. Stają na tyłach bazarów.

Tam pośród śmieci tli się ogień. Bezdomni dorzucają skrzynki i tekturę, pojemniki na jajka, zdeptane gazety, torby z plastiku. Lecą iskry, ognisko bucha żółtym światłem. Nagle widać: ten grzeje ręce, ten siadł na starej huśtawce, ci się całują. I płomień gaśnie, obraz znika. Ciemnieją nawet plecy budek.

Klakson.

Dzieci pędzą przez zamarznięte wertepy.

– Michajłycz! Michajłycz! Ciocia Lisa!

Lisa okłada chleb fińską mielonką, leje herbatę, Michajłycz gada z dzieciakami. Kto zdrowy, kto chory. Gdzie ten chory? Zaprowadź mnie do jego piwnicy. Kurtkę masz? A co z Loszą, przywiozłem mu sweter. Podobno Tania wróciła do domu. Dima, chuchnij. Szykujcie się na jutro, jedziemy do łaźni.

Bezprizorni są w Petersburgu od pięciu lat. Władze miasta długo udawały, że ich nie ma.

Lisa Gerdin: – W fińskiej prasie ukazał się tekst z fotoreportażem o bezdomnych. Merostwo powiedziało: to inscenizacja. Zarzucili nam, że poprzebieraliśmy dzieci. Więc ściągnęliśmy z Moskwy telewizję i bezprizornych zobaczyła cała Rosja. Dopiero wtedy się poddali.

Na sto tysięcy bezprizornych opieką otoczono dwustu. Miasto założyło cztery dziesięcioosobowe przytułki, zachodnie organizacje dobroczynne – osiem.

Wasilij Siereda:

– To Niemcy, Szwedzi, Anglicy, Finowie troszczą się o dzieci Rosji.

Merostwo mieści się w Smolnym. W połowie stycznia do Smolnego zaproszono petersburskich dziennikarzy na ogłoszenie wyroku. Wszystkie społeczne przytułki będą zlikwidowane. Cudzoziemcy przestaną karmić bezdomnych w darmowych stołówkach, na ulicach.

Urzędnik krzyczał:

– Zabronię! To wstyd! Po obcy chleb przychodzą nie tylko bezprizorni, oni dają każdemu. Do czego to podobne, żeby jakaś Finka zajmowała się naszymi dziećmi.

Zamknięto Niebieską Wronę – pierwszy przytułek, jaki powstał w Petersburgu. Stąd się wywodzą ludzie najbardziej doświadczeni w pomocy dzieciom ulicy.

Zlikwidowano podmiejskie Ozierki. Dziewiętnaścioro dzieci miało przejść do domu wychowawczego Astrid. Są tam świetne warunki i reżim.

Rosyjskie sierocińce, internaty, poprawczaki nie wyzwoliły się jeszcze z systemu totalitarnego. Bezprizorni uciekli, do Astrid udało się sprowadzić tylko czwórkę.

Niedawno urzędniczki z merostwa wpadły do Jeffimii – przytułku dla bezdomnych dziewcząt w ciąży. Krzycząc, kazały im się wynosić. Szefowa Jeffimii wezwała milicję: „Proszę wyrzucić te panie". Urzędniczki zamachały legitymacjami: „Zamykamy ten lokal. Tu jest burdel". Milicjanci zgłupieli. Komendant zapowiedział, że nie wtrąci się w kolejne awantury między miastem a przytułkami.

Bezprizornym dziewczynom z Jeffimii brakuje mleka w proszku, chleba. Tony darów, które dostały z UNICEF-u, leżą w piwnicach Smolnego, merostwo nie chce ich wydać.

Redakcja petersburskiego dziennika „Czas Pik" policzyła zarejestrowane w mieście organizacje dobroczynne. Jest ich trzy tysiące, a tylko kilkanaście zajmuje się pomocą innym. Reszta nie robi nic, choć mają biura, konta, ulgi podatkowe i sponsorów. Prezesem fundacji Złoty Pelikan jest urzędnik z merostwa, ten, który zamyka przytułki.

Eugeniusz Słucki, socjolog:

– Ludzie bogaci, gotowi przekazać coś na cele społeczne, myślą: zależę od władzy, więc dam organizacji związanej z władzą. To prowadzi do nadużyć. Pomoc humanitarna jest rozkradana. Miasto nie dostaje grosza ze społecznych przytułków. Chce je zamknąć, tak jak żłobki, kluby, sale sportowe. Lokale skupuje mafia.

Słowa, zdjęcia

Pracownica wydziału paszportowego w dzielnicy Krasnogwardiejskiej zbierała dane o samotnych starcach z ładnym mieszkaniem. Mordował ich wynajęty hydraulik, brał sto tysięcy rubli – dwadzieścia dolarów – od głowy. Urzędniczka sprzedawała sfałszowane testamenty. Wpadli za trzecim razem. To ostatnia głośna sprawa.

W Petersburgu niemal połowę mieszkań sprywatyzowano. Ludzie dostali je na własność, prawie za darmo, teraz sprzedają. Są dwie ceny: oficjalna i czarnorynkowa. Powstały agencje obrotu nieruchomościami. Dla jednej z tych agencji pracował wynajęty hydraulik.

Agencje docierają do alkoholików, kupują od nich pokój w komunałce za pół litra.

Zamiast płacić, straszą nożem.

Płacą tylko cenę oficjalną – grosze, choć umowa była inna.

Sprzedają mieszkania zajęte, domy, których nie ma. Rosjanie nie rozumieją, co to własność, nie handlowali mieszkaniami. Niczego nie sprawdzają, wierzą w słowa albo zdjęcia.

Czasem agencje składają lokatorom jednoznaczną propozycję: albo się stąd wynosicie, albo...

Oszukani nigdy się nie skarżą, a tym bardziej ich dzieci – bezprizorni. Boją się.

Agencje to mafia.

Władza zastanawiała się, jak chronić nieletnich przed mafią. Próbowała odbierać skradzione mieszkania, ale to się nie powiodło: wszystko było w zgodzie z przepisami. Wtedy uznała, że wina leży po stronie rodziców. Ograniczyła ich prawa. Teraz na sprzedaż mieszkania muszą mieć zgodę wydziałów oświaty.

Dla mafii to jeszcze jeden papierek.

Wenecja

Wyspa Wasiljewska – jedna z najstarszych dzielnic Petersburga. Układem ulic naśladuje słoneczną Wenecję, leży nad Zatoką Fińską. Kiedyś mieszkali tu kupcy, później ich domy zamieniono w komunałki. Poszły w ruinę. Gdy nawala centralne, ludzie palą w starych żeliwnych piecach, ale kominy są zatkane i wybuchają pożary.

Tu się urodziła Katia, lat szesnaście.

– Czworo nas było: ja, Staś, Pasza i najmłodszy Pietia. Matka piła. Raz owinęła sobie sznur wokół ręki. Powiedziała, że idzie do sąsiadów, a poszła na strych się wieszać. Trzeba było ją odcinać. Potem często się wieszała, bo jest hi, hi – cha, cha. Psychiczna. Leczyła się w wariatkowie. Dlatego wzięli mnie do domu dziecka, ale jak miałam osiem lat, to wróciłam. Matka ciągle była uwalona. Chciała spuścić mnie z piątego piętra, dźgnęła nożem w brzuch, aż mi robili operację. Jak się schodzili jej kolesie, to uciekałam z braćmi z domu.

Na Wyspie Katia odkryła kilka świetnych miejsc.

Piekarnię.

– Za załadunek dawali herbatę i bułki.

Kioski przy stacji.

– Tu zbierałam butelki i makulaturę.

Szaszłykarnię.

– Płacili za rąbanie drzewa.

Wszędzie spotykała dzieci. Z rozwrzeszczanych, śmierdzących kapuśniakiem komunałek wyganiała je przemoc, nędza, wódka.

Matka przepiła mieszkanie, rodzina wyjechała na wieś do chałupki z dachem jak rzeszoto.

– Uciekłam, bo złapała widły, chciała mnie przedziurawić. Do Pskowa dojechałam na rowerze, rąbnęli mi go pod sklepem. Wtedy poznałam taką Olę, też zwiała do Leningradu. Trzy dni szłyśmy pieszo, na głodniaka. Ja mogę nie jeść tydzień, ale ona już nie miała siły iść. To zatrzymała ciężarówkę, dogadała się z kierowcą. Czekałam w rowie, jak ją rżnął. Dowiózł nas za to do miasta.

Rozstały się. Ola poszła na stację metra Primorska, Katia wróciła na Wyspę.

Była sama.

Jeszcze nie znała każdego podwórka na tyłach śmiesznych ulic z numerami zamiast nazw, nie uciekała grubym milicjantom, nie jadła słodkich kradzionych arbuzów, nie obrabiała w sylwestra pijanych. Jeszcze nie miała przyjaciół: Nataszy, Igora i Iry. Nie dzieliła się ostatnią kromką, jabłkiem. Jeszcze nie wiedziała, jak to pięknie: wspólne ogniska nad jeziorem, pieczenie ropuch, kąpiele wśród gwiazd – to było przed nią.

Stadion Lenina. Sen na trawie.

Swoi

W Petersburgu ludzie idą do pracy po ciemku, brną przez śnieg w stronę alei Bolszewików, na przystanek. W świetle latarni widać, jak krąg nad włazem kanału odsuwa się, bezdomne dzieci wychodzą.

Odwracanie głów, milczenie.

Płonące Pole – tu przed rewolucją wywożono całe szambo Petersburga. Góry gówna fermentowały pod zamarzniętą skorupą, następował samozapłon. Włóczędzy wykopywali jamy, grzali się w ciepłych odchodach. Opisał to poeta Wielimir Chlebnikow, a po nim Anna Achmatowa.

Z myślą o Płonącym Polu Cesarsko-Imperatorskie Towarzystwo Charytatywne wydało w 1900 roku sześćdziesiąt trzy tysiące bezpłatnych obiadów. Utrzymywało dziewiętnaście przytułków dla dzieci, po pięć przytułków dla starców i kalek, dwie przychodnie. Zdjęcia w sepii z tych miejsc umieszczono w albumie *Sankt Petersburg. Rosja, której nie ma.*

Ale to nie byli bezprizorni.

Młodocianych włóczęgów stworzyła rewolucja i wojna domowa. Było ich w Rosji dwa miliony. Żyli w bandach. Przemieszczali się koleją, terroryzowali miasteczka i wsie, przepadali w lasach.

W połowie lat dwudziestych partia postanowiła zwalczyć plagę bezdomności i prostytucji dziecięcej. Obarczyła tym Czerezwyczajkę i Feliksa

Dzierżyńskiego. Jego popiersie nadal stoi w milicyjnych wydziałach do spraw nieletnich.

Przemiana okrutnego młodego bandyty w człowieka socjalizmu dokonywała się w koloniach karnych. Nad tym eksperymentem czuwał czekista Anton Makarenko. Jego *Poemat pedagogiczny* czyta z zainteresowaniem Lena Panina, kierowniczka Red Kids.

Zanim Rosja zdołała uporać się z bezprizornymi, ogłoszono kolektywizację. Tłum oszalałych z głodu chłopów ruszył do miasta na żebry. Schwytani budowali Magnitogorsk. Obóz pracy był w każdym wielkim mieście. Dorośli znikali w gułagach, sieroty zostawały na ulicach.

W grudniu 1932 roku władza wydała ukaz o paszportyzacji. Każdy musiał mieć dowód osobisty. Chłopi nie dostawali swoich dowodów do ręki, leżały w rejonowej komendzie milicji. Wprowadzono przymus meldunkowy dla tych, którzy na dłużej niż dobę opuszczali miejsce zamieszkania. Samowolne oddalenie groziło łagrem, a po wybuchu wojny ojczyźnianej – śmiercią. Wyroki wykonywano nawet na czternastolatkach. Paszportyzację zniesiono za Breżniewa.

Za Chruszczowa degeneratów, wariatów, notorycznych włóczęgów wysiedlano poza sto piąty kilometr od miasta. Zmienił to Gorbaczow.

Jeszcze w jego czasach był w Rosji przymus pracy. Za naruszenie zasad meldunkowych groził rok więzienia, za włóczęgostwo lub żebractwo – do dwóch lat.

Władza nigdy nie żądała, by obywatel troszczył się o bezprizornych. Czekała na donos.

Kieszenie

Stacja Pionierska, peryferie. Z metra wylewa się tłum, idzie na bazar. A właściwie to bazar podchodzi do metra, zagarnia je, oblewa, ściska gromadą ulicznych handlarzy. Śrubki, zegarki, nici, grzyby, czosnek na gazetach, na szyjach, na pudełkach. Pomiędzy tym bogactwem cinkciarze, wariaci, baptyści z ulotkami, świadkowie Jehowy, babcie na grubych nogach, panie w lisach.

Ze schodów stacji widać czapki. Potok czapek ze sztucznego futra mknie do straganów, kiosków, budek, tam się rozdziela, opływa alejki, pokonuje przeszkody, tworzy wiry.

Nad tym akwenem piosenka o nieszczęśliwej miłości. To Ałła Pugaczowa śpiewa kupującym i sprzedawcom.

Tu musi trafić każdy bezprizorny.

Bazar jest miejscem pracy.

Dziećmi ulicy opiekują się kryminaliści. W zamian za sweter i łóżko trzeba kraść. Albo nosić paserom fanty zrabowane w mieście. Albo handlować marihuaną i amfetaminą.

Przy narkotykach pracują najmłodsi. Łatwo się orientują, kto ich szuka, mają stałych klientów. Zgarniają forsę za niewielką działkę, potem niosą ją do szefa, biorą od niego towar i wracają. Gang chroni i odpala procent.

Na bazarze można się zająć tanią prostytucją. Robią to dziewczęta i chłopcy. Zysk marny. W hotelach, w pedalskim kiblu na Newskim róg Marata, przy Szosie Pułkowskiej da się wyciągnąć więcej – pięćdziesiąt tysięcy za ciągnięcie druta, okrągłą stówkę za numer. W tej branży lepiej mieć opiekę. Głupi dziesięciolatek da dupy za nocleg na strychu. Ustawionego znajdą, umyją, przebiorą, potem uczciwie zapłacą.

Ustawiona siedemnastolatka może zostać uliczną burdelmamą. Czasem jej się trafi pornografia.

Czasem gang kontroluje myjnie samochodowe albo roznoszenie gazet. Wtedy tam się pracuje i to też jest dobre.

Ale tu – na bazarze – najłatwiej strzelić kogoś na pieniądze. Cinkciarze, kaznodzieje, mięso, nici, kieszenie, plecy, nogi, ścisk.

Dzieciaki są zmęczone. Więc wieczorem po robocie w znajomym kiosku kupują foliową torbę i klej. Kiedy wąchają, ludzki potok odpływa ku stacji Pionierska.

W halucynacjach kobiety mają wąsy, a mężczyźni rogi.

Nienawiść

Lisa Gerdin i Wasilij Siereda noszą broń, jak wielu społeczników. Przeżyli zamachy. Mafia ostrzegła: nie damy wam bezprizornych, pracują za papierosa albo tubkę kleju. Profesor Słucki, socjolog:

– W ostatnich latach przestępczość dziecięca wzrosła w Rosji czterokrotnie. Dzieci popełniają więcej przestępstw niż dorośli. Stanowią trzecią część gangów. Co będzie z Rosją w początku następnego tysiąclecia? Wejdziemy w ten czas z pokoleniem bezprizornych żyjących poza społeczeństwem. Do socjalizmu nie wrócą, w kapitalizmie sobie nie poradzą. Trzeba im szybko pomóc, znów jak w latach dwudziestych zakładać noclegownie, rozdawać chleb i karmić dzieci kaszą na ulicach. A w dalszej kolejności tworzyć opiekę społeczną, zmieniać wychowanie w szkołach, wspomagać rodzinę. Potrzebny jest program państwowy. Jeśli tego nie będzie, bezprizorni mogą wzniecić bunt socjalny albo rządzić w dzielnicach. Nie wykluczam pogromów, bo starsi ich znienawidzą.

Jula

Dziewięcioletnią Julę przywiózł do Red Kids Michajłycz. Mieszka tutaj z bratem. Ojciec siedzi, a mama musi wykarmić dwójkę młodszego rodzeństwa. Starsi odeszli, żeby mamie było lżej. Rok żyli na ulicy. Tak opowiada Jula. Kłamie, sama się potem przyznaje. Matka pije. Odkąd umarła babka, nie było co jeść.

Jula śpi na zapadniętym łóżku pod ścianą. Nad głową ma graffiti – smoki zionące ogniem, kaczory, kutasy, a pod poduszką różowego misia.

Marzy o nożu.

Chce jechać do Ameryki.

Jula zbiera niedopałki. Dużo pali. Papieros piecze, więc potem płucze buzię wodą.

Niedawno Kola znalazł na bazarze smoczek i podarował Juli. Zawsze ma go w kieszeni.

Przedtem ssała palec albo troki od kaptura.

Musi ssać.

„Magazyn", dodatek do „Gazety Wyborczej",
nr 70, 22.03.1996

1997

Irena Morawska (ur. 1954)

Jeśli słyszeć, to absolutnie

„Ostatnio Henryka Dziczek poczuła się jak zbędny kredens" – takim zdaniem zaczyna się książka Ireny Morawskiej *Było piekło, teraz będzie niebo* (1999). To zbiór reportaży z lat 1993–1999, kiedy każdy tekst Ireny Morawskiej był w naszym dziale „Gazety Wyborczej" wydarzeniem. Powtarzaliśmy na głos jej zdania, w których tragizm mieszał się z komizmem.

W marcu 1992 roku napisała reportaż *Diabeł spacerował po niebie* o skutkach huraganu, który nawiedził wieś Rakowo Stare i który nazywano tam „trąbą". W plastyczny sposób opisała efekty kataklizmu, skupiła się na jego wpływie na psychikę mieszkańców i stosunki sąsiedzkie:

> U Sęków zabiło kurę, krowie Załęskich złamało róg, a Chaberkowi urwało nogę. Po chwili nastała dźwięcząca cisza. [...]
>
> Sąsiedzi zarzucają Sękom konszachty z Bogiem. Z kilku gospodarstw za strumykiem trąba nie dotknęła jedynie Sęków. Ledwie poruszyła dach stodoły, przewróciła kilka prymulek w doniczkach na oknie w pokoju i rzuciła o ścianę żelazkiem z nawilżaczem, stojącym na parapecie. Żelazko, niestety, nie jest uszkodzone, co bije na niekorzyść Sęków. [...]
>
> Najgorętsze dyskusje wywołuje jednak noga Alfreda Chaberka. Jedni twierdzą, że lekarz z Kolna powinien był nogę przyszyć („Kto za Chaberka pójdzie w pole?"). Inni popierają decyzję lekarza. I tu rodzą się następne dyskusje. Czy noga Chaberka powinna była pójść na spalenie, czy do grobu. Większość twierdzi, że do grobu, bo to przecież kawałek człowieka. Chylińska mówi, że gdyby urządzono nodze pogrzeb, to zaraz całe ciało by do niej ciągnęło. A Chaberka szkoda, dobry człowiek. Tylko do matki Chaberka to nie przemawia.
>
> – Włożyłoby się ją do skrzynki i zakopało przy mężu – płacze cichutko.

Po ukazaniu się reportażu jeden z posłów PSL-u na posiedzeniu Sejmu potępił publicznie tekst i żądał wyciągnięcia konsekwencji wobec redakcji. Uważał, że reporterka kpi z tragedii i napisała swoją relację bez należytej powagi, niezbędnej, gdy pisze się o nieszczęściu. Był to pierwszy przypadek w III RP, gdy tekst dziennikarski został skrytykowany z mównicy parlamentarnej. Poseł zarzucał reporterce, że tekst nie był „obiektywny".

Irena Morawska, absolwentka Akademii Wychowania Fizycznego, a po studiach nauczycielka WF-u, w latach 1985–1990 była reporterką „Nowej Wsi", gdzie pisała jako Agnieszka Neyk. Od 1990 do 1999 roku pracowała w „Gazecie Wyborczej". Specjalizowała się tam w tekstach społeczno-obyczajowych o polskiej prowincji. Niekiedy pisała reportaże ze swojego ulubionego kraju – z Włoch. Na przykład o tym, jak filmy Felliniego wpłynęły na ludzi w jego rodzinnym mieście. Jednak upadek fabryki w małym mieście czy kataklizm we wsi to były zdarzenia, które natychmiast pobudzały jej zmysły. Nie bez powodu piszę „zmysły".

> Reportaże Ireny Morawskiej zaświadczają o tym, że ma ona słuch absolutny. Rzadko się zdarza, by reporter tak wyraźnie przenosił nas w świat opisywany. Reporter o słuchu absolutnym dzieli się nim z nami. Czytelnicy jego tekstów, przynajmniej przez jakiś czas, lepiej słyszą i widzą – napisała Małgorzata Szejnert w przedmowie do książki *Było piekło, teraz będzie niebo*.

Mnie i moich kolegów z „Gazety Wyborczej" fascynowało zawsze, co Morawska nowego usłyszała „w terenie". Jedno było pewne, mówiliśmy, Irena ma takie reporterskie szczęście, że księgowa oskarżona o manko w upadającym pegeerze zawsze będzie się nazywała u niej Zofia Strata, a chłop, który znalazł milion na drodze – Marian Radosny.

20 czerwca 1997 roku „Magazyn", dodatek do „Gazety Wyborczej", zamieścił pierwszą część głośnego reportażu Ireny Morawskiej *Jak Emilię z Kalabrii od złej pani wykradłam*. W plebiscycie organizowanym przez „Gazetę" i radiową Trójkę na reportaż roku i reportaż miesiąca tekst ten w czerwcu czterokrotnie większą liczbą głosów wyprzedził inne reportaże. Zdaniem wielu czytelników, którzy dawali temu wyraz w listach, był to jeden z najlepszych i najgłośniejszych reportaży w historii „Gazety Wyborczej".

> Reportaż jest niesamowity, gratuluję Autorce świetnego pióra i tematu. Z bijącym sercem czekam na zakończenie reportażu

– pisał na przykład po ukazaniu się pierwszej części Henryk Rajski z Olkusza.

Małgorzata Szejnert, pisząc na temat tego tekstu, po raz pierwszy użyła sformułowania „reportaż totalny":

> W reportażu nie ma ucieczki przed cierpieniem. […]
>
> Ale bywa tak, że zajmując się cierpieniem, reporter może być szczęśliwy. Ja w każdym razie na miejscu Ireny Morawskiej byłabym szczęśliwa. Zrobiła

ona bowiem rzecz niezmiernie rzadką – reportaż totalny. Taki, o jakim marzy każdy reporter.

Temat zrodził się z listów, które trafiły do naszej redakcji. Pochodziły od młodej kobiety, która wyjechała z Polski do Włoch zarabiać służbą u bogatej pani – Reginy. Budziły obawę, że Emilia, która je wysyłała do kochającej matki i siostry, znalazła się w jakiejś opresji, ale nie chciała o niej jasno pisać.

Irena Morawska postanowiła wyjaśnić tę sprawę. Na naszych oczach, jak w teatrze, rozgrywa się niesamowita intryga. Następują kolejne akty i odsłony, niezwykłe zwroty akcji i retrospekcje. Pojawiają się sceny i postaci z komedii bulwarowej, karabinierzy, konsul, mąż truty przez żonę.

Z akapitu na akapit wdzieramy się za Ireną Morawską coraz głębiej w życie głównych bohaterek – pani i służącej. [...] Reporterka sprawia, że odraza do złej pani zamienia się we współczucie, a więc reportaż nie tylko rozwija się fabularnie, ale i emocjonalnie.

To jednak nie wszystko. Reportaż nie byłby totalny, gdyby reporterka sama nie brała udziału w wydarzeniach. Jedzie do Serra San Domenico [...], by wstrząsnąć Emilią i osiągnąć zamierzony na początku skutek. Chodzi bowiem o uratowanie Emilii. Przekonanie, że może wyzwolić się od złej pani, i zabranie do rodziny, która rozpacza, bo uważa ją już za straconą, Irena Morawska to osiąga dzięki determinacji, sprytowi – i jak to się dziś mówi – doskonałej logistyce całego przedsięwzięcia.

Reporter, który dokonał czegoś takiego, wie, po co żyje.

Emilia nie była prawdopodobnie jedyną osobą uratowaną przez reporterkę. Z listów i telefonów do redakcji wiadomo, że tekst odegrał rolę ostrzegawczą. Także innym kobietom, terroryzowanym przez „złe panie", od których udało im się uciec, lektura reportażu pozwoliła przełamać strach i zacząć mówić o swojej udręce.

Ratowanie jest w pewnym sensie przywiązane do reportażu, jak i do każdej roboty dziennikarskiej, jeśli się ją wykonuje uczciwie

– dodała Szejnert.

Od roku 2000 Irena Morawska nie zajmuje się pisaniem reportaży, tylko razem z mężem Jerzym Morawskim (patrz s. 651) tworzy filmy i seriale dokumentalne.

Jak Emilię z Kalabrii od złej pani wykradłam

Do redakcji „Gazety" zadzwoniła Jolanta G. Jej brat Roman G. wysłał do pracy we Włoszech sąsiadkę Emilię. Listy od Emilii są dziwne, coraz bardziej obce. Rodzina podejrzewa, że Emilia trafiła do sekty albo jest maltretowana psychicznie przez pracodawczynię.

Drzazga dziękuje, lamentuje i obiecuje

Spotkałam się z Jolantą. Opowiedziała, że pracodawczynią Emilii jest Regina Drzazga, od lat mieszkająca we Włoszech. Jakiś czas temu Drzazga napisała list do matki Jolanty. Wspominała w nim, że kiedy w dzieciństwie ciężko zachorowała, lekarzem, który jej pomógł, był nieżyjący już ojciec Jolanty. Teraz Drzazga prosi wdowę o inną pomoc. Potrzebuje odpowiedniej osoby, nadającej się do niej i do jej smutnej sytuacji życiowej. „Taka osoba ma możliwość usystematyzowania się przy mnie, dzięki mnie, na resztę życia. Błagam o łaskawe wyszukanie odpowiedniej osoby".

Drzazga daje w liście do zrozumienia, że prosząc o taką pomoc, rewanżuje się równocześnie za opiekę, jakiej doznała od doktora G., z którym, jak dodała, „jest bardzo podobna charakterialnie". „Odpowiednia osoba" wiele u niej zyska.

Jolanta G. jest przekonana, że włoska historia Emilii będzie ciekawa dla reportera. Proponuje: rodzeństwo G. daje ten temat „Gazecie", „Gazeta" zaś płaci za detektywa, który pojedzie do Włoch, wydobędzie Emilię z opresji i przywiezie do Polski.

Zastanawiam się. Nie odpowiadam na propozycję. Na razie będę szukać informacji w Polsce.

Truskawkowy domek

Emilia urodziła się jako drugie dziecko Ireny K. Wówczas mieszkała w P. na Pomorzu. W tym samym miesiącu i roku jej „Pani" – Regina Drzazga – poślubiła Antonio P., bogatego Włocha z Kalabrii.

Był wrzesień dwadzieścia sześć lat temu.

Ojca nie wzruszyły narodziny Emilki. Pił jak co dzień. Kilka lat później odszedł. Irena procesowała się o alimenty. Dzieci – Andrzej, Emilka i Asia – nawlekały tytoń i doglądały, czy dobrze się suszy.

Pojawił się ojczym. Bił matkę. Andrzej uciekł do ojca (który za kobietą osiadł w innym województwie), Emilia i Joanna płakały i pielęgnowały przyrodniego brata Adasia. Gdy podrosły, przepędziły ojczyma. Pozostały po nim rozwalone siekierą drzwi i przekraczające wyobraźnię długi. Trzeba było sprzedać ciągnik i dom.

Wynajęły mieszkanie w innym województwie, w W. Irena sprzątała w szkole. Córki posłała do internatu: Joanna wybrała technikum ekonomiczne, Emilia – rolnicze. Planowała studia na SGGW, ale do studiowania są potrzebne pieniądze.

Na wakacjach Emilia i Joanna zbierały w Niemczech truskawki.

Rok temu za truskawkowe pieniądze kupiły kawałek ziemi, a na niej sypiący się domek z trzema izbami i wychodkiem pod niebem. Starczyło jeszcze na kolorowy telewizor z pilotem i sukienkę dla Ireny, bo rzadko kiedy sama sobie coś kupiła.

Joanna i Emilia zostały kierowniczkami pobliskich sklepów. Zarabiały po sześćset złotych. Większość wchłaniał zakupiony dom.

Emilka łapie okazję życia, nie bacząc na punkty

List Reginy D. był kuszący. Osoba, która miała się przy niej „usystematyzować", korzystałaby z doskonałych warunków. „Mieszkanie jest duże, trzysta pięćdziesiąt metrów, bardzo czyste i przyjemne. Praca byłaby przyjemna i bieżąca: dla osoby szczerze zainteresowanej, chętnej i pracowitej nie byłaby ta praca żadnym problemem. [...] To jest okazja życia!"

Regina gwarantowała pokój z łazienką i sto dolarów tygodniowo. Do listu załączyła „punkty" – spisane na dwóch kartkach maszynopisu obowiązki „osoby".

„Punkty" Reginy D. mówiły o tym, jak „osoba" ma wyglądać: zaczesane do tyłu włosy, krótko obcięte, niemalowane paznokcie, „osoba" czysta, schludna, skromna. „Osobie" nie wolno się malować, chodzić w szlafroku ani wygłaszać własnych opinii. „Osobie" nie wolno też mieć związków emocjonalnych z rodziną.

Roman G. uznał, że idealna „osoba" znajdzie się w rodzinie jego sąsiadki Ireny.

Irena zwołała naradę z córkami. W podnieceniu przeliczały przyszłe dolary na złotówki. Wychodziło bardzo dużo. Do tego wyżywienie, dach nad głową. Zadecydowały: do Włoch pojedzie Emilka.

Chciała rzucić okiem na „punkty", z którymi miała zapoznać się przed podjęciem decyzji o wyjeździe. Gdy upomniała się o nie, Roman G. powiedział: „Jesteś dorosła, jedziesz na własne ryzyko".

Będziesz moim kawałkiem ojczyzny – pisze Regina

Po pierwszej rozmowie telefonicznej z Emilią Regina napisała: „Jestem szczęśliwa z poznania i usłyszenia Ciebie. Jesteś już, mimo iż Cię jeszcze osobiście nie znam, bliska mojemu sercu, tym bliższa, że pochodzisz z moich stron: z Pomorza. Jestem pewna, że będzie nam dobrze razem i że przy Tobie znajdę wreszcie tę pogodę i spokój ducha, którego tak mi brakuje. Będziesz moją rodziną i moim kawałkiem Ojczyzny"...

Emilia zaciągnęła pożyczki w banku i u przyjaciół (pracodawczyni nie pokrywała kosztów podróży). Kupiła prezenty dla pracodawczyni. Na konto włoskiego zarobku założyły w domu centralne, bo zimno i wilgoć nie dawały żyć.

Emilia współczuła przyszłej pracodawczyni, którą (jak się dowiedziała) „opuścił okrutny mąż". Chciała wesprzeć cierpiącą.

Rozwiązała umowę z właścicielem sklepu, zapakowała trochę rzeczy, książeczkę do nabożeństwa, różaniec i wsiadła do pociągu. Rodzina pomachała jej i powierzyła opiece Matki Bożej Licheńskiej.

Emilia posłusznie unika wścibskich spojrzeń

„Kawałek Ojczyzny" jechał do Kalabrii blisko czterdzieści godzin. Regina Drzazga odebrała go 7 października 1996 roku na stacji Lamezia Terme. Samochodem panda powiozła Emilię do Serra San Domenico, miasteczka położonego wysoko w górach. („Drogi są tu tak kręte, że żołądek latał mi w brzuchu, jakby był na karuzeli. Coś okropnego" – pisała potem Emilia). Przed wjazdem do miasta Regina kazała Emilii położyć się na tylnym siedzeniu. Tłumaczyła, że nie ma jeszcze pozwolenia na pracę i lepiej uniknąć wścibskich spojrzeń.

Regina jest mądra, inteligentna i czuła

Po kilku dniach Irena, Joanna i Adaś stłoczyli się nad pierwszym listem od Emilii. „Moi kochani! Minęły trzy dni, gdy jestem pod jednym dachem z p. Reginą. Jestem wciąż w szoku po przebytej drodze. Musiałam dopłacać do każdego biletu tzw. suplemento. Całe szczęście miałam te 50 000 lirów".

Opisała dom Drzazgi: „Mieszka w kamienicy trzypiętrowej i zajmuje mieszkanie na ostatnim piętrze. Jest ogromne i jeszcze teraz w nim błądzę. Są cztery łazienki i multum pokoi, które trzeba każdego dnia sprzątać. Za sprzątanie zabieram się o godz. 8.00, kończę ok. 18.00. Do tego dochodzi palenie całą zimę w kominku. Wszystko musi być zrobione pedantycznie, gdyż p. Regina jest osobą pedantyczną pod każdym względem...".

I opisała pracodawczynię: „Wyższa ode mnie, blond włosy, chodzi w dżinsach i bluzie sportowej. Jest bardzo spokojna, mądra, inteligentna i czuła".

Emilia pisze, że brak jej wolności

Emilia powiadomiła, że pieniądze za pracę wyśle dopiero w listopadzie, bo Regina będzie płacić jej co miesiąc, a nie co tydzień. Przeprosiła za to i skomentowała, że jej pracodawczyni nie rozumie, co to są długi i pożyczki. Martwiła się: „Jak będziecie żyć? Musicie sobie jakoś poradzić. Później regularnie wysyłane przeze mnie pieniądze będą dla Was pomocą...". I dodała, że brak jej wolności. „Ale do tego można się przyzwyczaić, zwłaszcza że mam dużo pracy, która pozwala zapomnieć o wszystkim".

Pytała: „Co słychać w domu? Jak nasz nowy piec w kuchni, czy zdaje egzamin? Czy w domu jest ciepło? Jak zapłaciliście za centralne? Jak nasz Adaś się uczy? Co w Polsce? Co w pracy? Czy oddałaś pieniądze i książkę p. Jadzi? Czy Beata urodziła?".

Widocznie Regina D. zakazała Emilii przyjmowania listów od koleżanek, bo Emilia pisała: „Powiedz dziewczynom, aby do mnie nie pisały. P. Regina jest fajna, ale muszę stosować się do jej zasad. Trudno, żyje się dalej".

Matka Emilii wzdycha:

– „Brakuje mi wolności", co to znaczy?

Zapytała o to w liście.

Emilia wyjaśniła, że nie wychodzi z domu, bo nie ma pozwolenia na pracę i pracodawczyni mówi, że „jak złapie ją policja, to wsadzi do więzienia". Emilia „słońce ogląda tylko przez szybę", sprząta i czeka na listy, bo „one są najważniejsze".

Kolejny list z Kalabrii, pisany pośpiesznie, trochę chaotycznie, niemal w całości poświęcony jest trosce o rodzinę: „Jak mamusia? Czy jest zdrowa? Co z rentą? Niech mamusia się oszczędza i mniej pracuje! Później wszystko się ułoży. Ubezpiecz dom! Nie, nie krzycz na Adasia! Adaś, słuchaj się Asi i mamusi i ucz się, bo wówczas coś w życiu osiągniesz.

Cieszy mnie, że mam Was i zawsze mogę na Was liczyć. To mnie podnosi na duchu. Ufam, że Bóg czuwa nad nami wszystkimi...".

Następny list Emilii odkrywa szczegóły pobytu: „...wszystko musi być złożone w kostkę tak jak w wojsku. Łóżko musi być posłane w taki sposób, że nie mieściłoby się to Wam w głowie.

Okazało się, że moja poprzedniczka zachowywała się źle i później zniknęła, tak że p. Regina ma złe doświadczenia. Mam nadzieję, że Wasze listy nie będą namawiały mnie do powrotu, gdyż moja poprzedniczka ciągle otrzymywała listy, w których matka była zawsze umierająca, i ta dziewczyna strasznie rozpaczała, a potem zniknęła...".

W listach Emilii widać coraz większe przerażenie i poczucie winy, że nie

wysyła pieniędzy. „Nie mogę przez to spać. Teraz Wszystkich Świętych, znowu wydatek. Tak mi ciężko, że jestem taka bezradna.

Wie mamusia, że zawdzięczam mamusi bardzo, bardzo dużo. Tego po prostu nie da się opisać, dlatego musi mamusia o siebie dbać, żebyśmy mogły jeszcze porozmawiać.

Asia, szanuj mamusię i nie krzycz tyle. Życie jest jedno i trzeba je przeżyć w spokoju".

Mimochodem pisze: „Pani Regina patrzy na listy i myśli, że ja (jak poprzedniczka) opisuję ją w złym świetle...".

Upragnione pieniądze nie przychodzą

Rodzina nie rozumiała tych listów. Co znaczy, że Regina patrzy na listy?

Kolejne wiadomości od Emilii przyszły dopiero w połowie grudnia. Napisała, że pieniędzy nie przyśle, bo pracodawczyni płaci co kilka miesięcy.

„Pierwszy miesiąc był dla mnie bardzo trudny. Musiałam dużo rzeczy się nauczyć u Pani Reginy, która jest jedyna w swoim rodzaju. Jest dla mnie bardzo dobra i wyrozumiała, ale żyjemy pod jednym dachem jak rodzina i jej kłopoty są moimi i odwrotnie. Na początku bardzo trudno było mi to zrozumieć. Byłam zapatrzona tylko w siebie, ale teraz jest inaczej".

Dalej Emilia pisze: „Zdrowie i spokój są najważniejsze. To, co zdążycie zrobić przy domu, to dobrze, a co nie – mówi się trudno. Nie musicie szaleć z tynkowaniem i zmianami. Ważne, że macie własny kąt i dach nad głową. Odpocznijcie sobie. Trzeba żyć życiem codziennym, bo inaczej można dostać kota. Każdy z nas niesie krzyż, który otrzymał od Pana Boga. Wy tam, ja tu. Jak mi Roman opowiadał o p. Reginie, to wszystko wyglądało inaczej. Gdybym przeczytała list, który przysłała p. Regina, to na pewno bym się nad tym wyjazdem głęboko zastanowiła. List ten zawierał »punkty«, które powinnam była osobiście przeczytać, a oni mi powiedzieli to, co chcieli.

Adam, pamiętaj, nauka jest potęgą. Twoja wiedza otworzy ci wszystkie drzwi: i pracę znajdziesz lepszą, i ludzie będą cię cenić. Dla mnie jest to szkoła życia, która jest twarda jak beton".

Pani jest osobą silną charakterialnie

Irena podupadła na zdrowiu. Joannie przyśniła się Emilia: „Jest mi tu dobrze" – mówiła przez łzy.

Joanna wstała mokra od łez i potu o trzeciej rano. Chodziła wte i wewte po pokoju. I zobaczyła, że w kuchni tak samo chodzi Irena.

Na Gwiazdkę Emilia napisała: „Chcę, żebyście zrozumieli, że pomyliliśmy

się co do tego wyjazdu i do Pani Reginy. Pani jest osobą bardzo silną charakterialnie, wymagającą wobec siebie i innych. Jest, jeśli można tak powiedzieć – generałem, który wie, czego chce. Z Panią nie ma żartów. Pani jest tutaj osobą bardzo znaną, szanowaną i podziwianą. Ma bardzo duże znajomości na policji, w sądach i u adwokatów, dlatego Pani wie, z jakimi zamiarami ja tutaj przyjechałam. Na początku zachowywałam się bardzo źle, listy, które do Was pisałam, to same pierdoły. Teraz zrozumiałam, jakie błędy popełniłam, i chcę je naprawić, i odzyskać w oczach Pani zaufanie.

Nadepnąć Pani na odcisk to znaczy mieć będziemy przez nas boleści, możemy wszystko stracić. Pracę, dom i całe nasze życie.

Pani powiadomiła policję, że ja przebywam u niej, i cokolwiek by się stało, to ja odpowiadam za wszystko.

Listów nie będę do Was pisała, bo nie mam chęci ani czasu, bo plotkujecie na temat Pani, co jest niewybaczalne. Jeszcze nie urodził się taki, kto zrobiłby Pani krzywdę.

Nie liczcie na pieniądze, które kiedyś tutaj otrzymam. Wy żyjecie swoim życiem, a ja swoim, które chcę ułożyć przy Pani, jeżeli Pani mi pozwoli…".

Irena stanęła przed Romanem G.

– Gdzieżeście posłali moją córkę?!

N. pamięta Reginę

Kim jest Regina D.? Dowiedziałam się, że w N. mieszka jej dawna koleżanka, pięćdziesięcioześcioletnia rencistka Bożena Witkowska.

N. – niewielkie miasteczko nieopodal Bydgoszczy. Starsi mieszkańcy pamiętają rodzinę D.: Reginę, jej matkę Irenę i ciotkę Cecylię, które samotnie wychowywały Reginę.

Wiele osób nie chce o Reginie rozmawiać. Starsza kobieta:

– Ta gestapówa panią na nas nasłała? Pewnie i Włochy mają jej dość! Ona chce tu wrócić i bada, co o niej sądzimy?

Bożena Witkowska radzi, bym ostrożnie zbierała materiał o Reginie, bo ktoś może ją o tym powiadomić. Wówczas Emilia będzie miała jeszcze większe kłopoty.

I nie z przyjaźni ją zawiadomią, ale żeby jej dołożyć. Regina jest w N. znienawidzona.

Fragment listu Reginy D. sprzed lat do Bożeny W.: „…Dostałam wiadomość, że moja Ciotka miała wylew do mózgu i jest sparaliżowana. Możesz sobie wyobrazić, jak to przeżyłam! Dziś okazało się, że to nieprawda! Ktoś napisał, żeby zrobić mi »niespodziankę«! Tacy są dziś ludzie! Taki świat!…".

Bożena i Regina poznały się w N. w końcu lat sześćdziesiątych. Regina była tam farmaceutką, Bożena, ówczesna urzędniczka w Centrali Produktów Naftowych, wpadła po jakiś lek. Pogadały sobie.

Poza tym, że Regina jako jedyna w mieście miała wówczas dżinsy, Bożena niewiele o niej wiedziała. Ledwie sprowadziła się do N. za mężem. Regina skarżyła się „na ten motłoch i hołotę w N.", opowiadała o fantastycznych wojażach zagranicznych. Nigdy nie zdradzała, dlaczego tak łatwo dostawała paszport.

– Nauczyła mnie, że jeśli sama o czymś nie mówi, lepiej nie pytać.

Bożena zbiera siły, by opowiedzieć o swoim pobycie „w piekle", czyli u Drzazgi. Nie może postawić kawy na stole. Tak drżą jej ręce.

– Gdyby pani spotkała diabła, zapomniałaby pani o tym?

Regina łączy się z Bożeną w cierpieniu

Gdy Bożena wróciła od Reginy z Włoch, miała tak stargane nerwy, że spadła z krzesła, gdy kukułka wyskoczyła z zegara.

W połowie lat osiemdziesiątych Bożena miała wypadek samochodowy. Córka przyjaciół, którą wiozła, zginęła. Ona ledwie przeżyła. Gdy w szpitalach składano ją przez kilka miesięcy, porzucił ją mąż. Regina D. pisała wtedy z Włoch: „Los Cię tak samo prześladuje jak mnie! Jakże jesteś mi bliska! Jest mi smutno, bardzo smutno, bo wiem, co znaczy być w potrzebie i nie mieć nikogo przy boku. Samotność jest najgorszą rzeczą, jaka może przytrafić się człowiekowi! Poznałam to na własnej skórze, bo zawsze byłam sama…".

I namawiała Bożenę na przyjazd: „Byłoby nam dobrze razem, bo obydwie jesteśmy pobite przez życie i ludzi, dlatego znamy cierpienie. Gdybyś mogła i zechciała przyjechać do mnie na cztery lata? Potrzebuję Twojej serdeczności, Twego uśmiechu, Twego optymizmu w życiu. Jesteś mi bardzo potrzebna, bo jestem na dnie".

Bożena nie chciała tam jechać. W jej listach Regina wyczuła wahanie. Napisała: „Miałabyś okazję dorobić się u mnie przez te lata, odłożyć sporo i byłoby ci spokojnie i dostatnio po powrocie do Kraju. Osoba, którą wspólnie znamy, pomogłaby ci wyrobić paszport…".

Bożenę, która nagle znalazła się na łasce skromnej renty, skusiła taką zachętą.

Pojawia się argument o wyspie skazańców

– Przywitała mnie różami, ale bez uśmiechu – wspomina Witkowska. – Ona nigdy się nie uśmiechała. Idąc przez dworzec Stazione Termini w Rzymie, powiedziała: „Jedną dziwkę zostawiłam na tym dworcu w upał, bez paszportu, bez pieniędzy i bez podpasek. A bardzo by się jej wtedy przydały".

Bożena pamiętała, że Regina nie lubi zbędnych pytań, więc nie będzie pytać, czym podpadła „ta dziwka".

– Gdy tylko wzięła ode mnie paszport, zaczął się koszmar – wspomina. – Krzyknęła: „Wpadłaś w paszczę lwa!".

Zaczęły się pretensje o źle położoną łyżeczkę, nie tak wyprasowaną poszwę. Gdy Bożena upominała się o wypłatę, dawna koleżanka szydziła: „Ciesz się, że masz mnie i dach nad głową".

Syn Reginy Massimiliano (wówczas piętnastolatek) nic nie mówił, nie uśmiechał się, nie płakał.

– Maska! – tak go określa Bożena. – Żal mi było tego chłopca. Miał przykazane traktować nas jak powietrze.

Drzazga lubiła otaczać się kilkoma Polkami jednocześnie. Razem z Bożeną przebywały u niej dwie inne kobiety.

– Miałyśmy zakaz rozmawiania ze sobą – wspomina. – Regina śledziła nas. Napuszczała na siebie i mawiała: „I tak wiem, o czym rozmawiacie, bo w domu są podsłuchy". Podsuwała nam donosy do podpisania, a gdy nie chciałyśmy tego zrobić – głodziła nas i wyzywała dodatkowo.

Donosiła między innymi na kobiety, które kiedyś zatrudniała, że handlują dolarami, źle się prowadzą, nielegalnie przebywają we Włoszech, pracują na czarno. Wysyłała je do polskiego MSZ, do ambasady.

Szantażowała, że jeśli nie będą uległe, czeka je to samo. Podczas jednego ze sporów z sąsiadem Regina zapytała Bożenę, kto miał rację: ona czy sąsiad. Bożena odpowiedziała, że sąsiad.

– Tak mnie palnęła w twarz, że jedynkę mi wybiła – wspomina Witkowska. – A potem mówiła: „Ciesz się, że nie wracasz do tej chamskiej Polski w worku foliowym".

– Żądała, byśmy mówiły, że jest piękniejsza od księżnej Diany. Jak mówiłam coś nie po jej myśli, straszyła: „Poślę cię na wyspę skazańców, jak jedną dziwkę!".

Regina urządza Bożenie Wigilię

Kiedy Bożena po raz kolejny upomniała się o paszport, Regina oddała go, zapłaciła za pracę i powiedziała: „Na Boże Narodzenie jedziemy do Serra San Domenico, wspólnie spędzimy Wigilię, a potem sobie wyjedziesz".

– Tam zaprowadziła mnie do opuszczonego domku na terenie tartaku (własności jej męża) i kazała mi się rozebrać do naga.

Było to krótko po tym, jak Drzazga postraszyła Witkowską, że „pośle ją do kraju w foliowym worku".

– Tak strasznie się jej wtedy bałam. Stałam tam jak sparaliżowana. Krew ze mnie odpłynęła. Byłam przekonana, że ona mnie zabije. Więc się rozebrałam. A ona zabrała moje rzeczy, torebkę z dokumentami, pieniądze, notes i zamknęła na święta. Bruna Zaffino, która przyszła sprzątać po świętach, znalazła mnie wycieńczoną z głodu i zimna.

Bożena płacze.

– Takiego upokorzenia nigdy nie doznałam.

Po wizycie u Drzazgi Bożena W. leczy się u kilku specjalistów. Łyka leki na uspokojenie.

Szukam kobiet, które były u Reginy we Włoszech

Bożena wylicza nazwiska kobiet, o których wie, że były u Drzazgi: Teresa O. z Poznania, Barbara K. z Łodzi, Janina O. z Lądka Zdroju, Barbara W. z Kalisza, Eleonora Sz. z N., Maryla B. z N., Zofia O. z okolic Warszawy.

Próbuję odszukać pokrzywdzone przez Drzazgę osoby. U Teresy O. z Poznania nigdy nie odpowiada telefon. Barbara K. z Łodzi zmarła w marcu tego roku. Kilka lat temu pojechał po nią do Drzazgi mąż, Mirosław. Mówi:

– Jeśli istnieje piekło, to żona przeżyła je u Drzazgi.

Adresu i telefonu Janiny O. z Lądka Zdroju nie udaje mi się ustalić. Barbara W. z Kalisza – po wyjściu za mąż we Włoszech zamieszkała w Niemczech.

Eleonora Sz., kobieta zostawiona przez Drzazgę na rzymskim dworcu bez pieniędzy, paszportu i podpasek, wyjechała za ocean.

Marylę B. Drzazga wyrzuciła na ulicę, gdy dowiedziała się, że zachorowała na płuca. Przygarnął ją zakon sióstr antoninek w Rzymie. Potem zamieszkała w Rzymie.

Zofia O. spod Warszawy niechętnie wraca do „horroru sprzed lat".

Z Drzazgą wytrzymała dwa dni.

– Gdy przyjechałam do jej mieszkania w Rzymie, były u niej dwie Polki – wspomina. – Porozumiewały się między sobą jakimiś dziwnymi gestami i spojrzeniami. Pomyślałam: „Boże, co się tu dzieje?".

Któraś z kobiet zdołała wyjaśnić Zofii, że w tym domu Polkom nie wolno ze sobą rozmawiać.

Jedna z nich skorzystała z tego, że do domu przybył jeden żołądek, i zjadła śledzia. Drzazga wykryła ten brak i wpadła w furię. Przy okazji pobiła Zofię parasolką. Zofia uciekła.

Detektyw M. planuje akcję „porwanie"

Na drugie spotkanie w „sprawie uprowadzenia Emilii" Jolanta G. przyprowadziła detektywa Wiesława M. wynajętego przez Romana G., brata Jolanty, do przeprowadzenia „akcji" – wyrwania Emilii z Serra San Domenico w Kalabrii. Detektyw przyszedł z teczką dyplomatką i telefonem komórkowym.

– Lecimy do Mediolanu, a tam chłopaki czekają z samochodami. I mkniemy do tej Kalabrii.

– Po co do Mediolanu? – zapytałam. Z Rzymu jest znacznie bliżej.

– No to skoczy się do Rzymu.

– A jak pan sobie wyobraża porwanie?

– Trzeba się liczyć z tym, że ta Regina D. ma konszachty z policją. Zmienimy tablice rejestracyjne i nas nie namierzą.

Jolanta G. pyta mnie o pieniądze. Nic nie obiecuję.

Regina pomija imię ojca

Drzazga skończyła farmację w Poznaniu w połowie lat sześćdziesiątych. Znalazła pracę w bydgoskiej aptece.

Była wówczas wysoką blondynką. Włosy ścięte na zapałkę. Nosiła spodnie, drewniaki. Ręce w kieszeniach. Prowadziła pamiętnik. Notowała w nim zachowanie i wypowiedzi pracowników.

– Cierpiała, gdy ludzie wokół niej żyli zgodnie. Wyobrażała sobie, że knują spisek przeciw niej – mówi Jadwiga C., farmaceutka z N. – Intrygi to jej żywioł.

Po pół roku tak skłóciła personel, że interweniowała Centrala Farmaceutyczna. Żadna apteka w Bydgoszczy nie chciała kłótliwej, apodyktycznej pracownicy. Cefarm skierował ją do N., do apteki, którą kierowała Eleonora Chojnacka.

– W środowisku szumiało o sposobie, w jaki Drzazga skończyła studia: gdy jej nie szło, zjawiali się faceci w garniturach i mawiali do profesorów: „Ta pani musi zdać". I „ta pani" miała wkrótce u mnie pracować. Pot mnie oblał – wspomina Eleonora Chojnacka.

Postanowiono „kupić" Chojnacką. Ambicją każdej apteki jest robienie leków na recepty.

– I dobiliśmy targu: Cefarm dał mi zezwolenie na robienie leków, ja zatrudniłam Drzazgę jako zastępczynię.

Pierwszy zgrzyt zaistniał już przy przyjęciu do pracy. Regina niedokładnie wypełniła kwestionariusz osobowy. Brakowało w nim imienia ojca. Gdy kadrowa naciskała, Regina krzyknęła: „No, niech pani pisze! Imię ojca: Brunon".

Przychodziła do pracy, kiedy miała ochotę. Czasem przysyłała matkę albo ciotkę. Mówiły: „Pani magister zachorowała".

Regina postanowiła wygryźć kierowniczkę.

– Leki, które powinny stać w cieniu, wystawiała na słońce. Potem słała anonimy, że Chojnacka się nie nadaje, bo leki są zepsute.

Przed świętami każda farmaceutka miała wolny dzień, tak zwane babkowe. W tym dniu kolejno się zastępowały.

– Regina wzięła „babkowe", ale na zastępstwo nie przyszła. Tak skłóciła personel, że wszystkie przez nią płakałyśmy.

Dwóch panów ustawia kierowniczkę apteki

Kierowniczka napisała do wojewódzkiej centrali, że nie chce dłużej pracować z Drzazgą. Dyrektor zbladł nad podaniem: „Czy pani wie, co pani robi?! Przecież ona panią wykończy!".

– Ale ja i tak byłam prawie nieżywa, a personel na tabletkach uspokajających. Powiedziałam to.

Kilka dni po złożeniu pisma w dyrekcji do apteki zadzwoniła milicja.

– Nogi się pode mną ugięły – wspomina Eleonora Chojnacka. – Narkotyki jakieś czy co?

Milicja wezwała kierowniczkę na posterunek.

– Wprowadzono mnie do jakiegoś pokoju, a tam dwóch facetów w garniturach, krawatach i z legitymacjami MSW (do dziś żałuję, że nie spisałam tych nazwisk). „Jak się pani pracuje?" Odpowiedziałam, że źle z Drzazgą, bo się nie nadaje. A jeden z nich, ten bardziej chamowaty, z krzykiem: „A czy ona zawsze musi mówić: »tak jest«?". Nogi znów mi się ugięły, ale odpaliłam odważnie. „Tak! Póki ja za wszystko odpowiadam materialnie". Na to ten chamowaty: „Zachowuje się pani, jakby była na własnym zagonie!".

Eleonora Chojnacka się popłakała.

– Ten drugi próbował mnie uspokoić. Powiedział: „Niech pani wycofa to pismo, ona jest nam potrzebna". Nie miałam wątpliwości, że to kablówka.

Kierowniczka pismo wycofała.

Wkrótce zdjęto kierownika miejscowego sanepidu. Jego miejsce zajęła Regina D.

Roman G. pomija oficjalne drogi

Jolanta G. powiadomiła mnie, że jej brat Roman G. chce się ze mną spotkać. Przyniesie kasetę z rozmowami: z Emilią i Reginą. Rozmowy nagrano 16 i 18 stycznia tego roku, wieczorem.

Roman G. ponawia propozycję – czy „Gazeta" wyłoży dwadzieścia tysięcy złotych na „akcję"?

– Dlaczego nie spróbuje pan walczyć o Emilię oficjalną drogą? Z pomocą ambasady, policji?

– To jest niemożliwe. A jeśli nawet, to trwałoby bardzo długo.

Roman G. udostępnia mi kasetę.

Emilia prosi, by do niej nie dzwonić

Pierwsza rozmowa. Po dwóch sygnałach w słuchawce odzywa się niski, szorstki głos:

– *Pronto!*

– Dzień dobry, pani Regino, Roman G. się kłania.

– Aaa, dobry wieczór.

– Dzwonię, żeby dowiedzieć się, co tam u Emilki słychać? Bo pisaliśmy, a nie mamy informacji...

– Nie rozumiem.

– Jak się sprawuje?

– Dobrze, dobrze...

– Jest pani zadowolona?

– Tak, powiedziałabym, że tak.

– A jak ona się miewa?

– Eee, dobrze. Czuje się dobrze.

– Mogę z nią porozmawiać? Jest może gdzieś w pobliżu?

– Tak, oczywiście.

Emilia zimno:

– Halo.

– Cześć, Emilia. Jak sobie dajesz radę?

– Dobrze.

– Zadowolona jesteś?

– Tak. Bardzo. Pani, u której pracuję, okazała się bardzo, bardzo dla mnie wyrozumiała. Bardzo dobra, bardzo... no naprawdę, pod każdym względem.

– No to świetnie, cieszę się. Pani cię słyszy, jak mówisz?

– Tak.

– I to, co ja mówię, też słyszy?

– Tak. Posłuchaj, Roman, ja mam do ciebie prośbę: powiedz w moim domu, żeby oni tu więcej nie dzwonili ani wy. Ja nie chcę tu przyjmować żadnych telefonów. Ja tu przyjechałam do pracy, nie mogę wisieć na telefonie.

– Jasne, jasne...

– Posłuchaj, Roman! Pani chce mieć spokojne życie. Wasze telefony czy mojej siostry, czy od was... wprowadzają mnie w stan... Ja tu chcę nowe życie rozpocząć, mi tu jest bardzo, bardzo dobrze. Ja do Polski nie chcę wracać. A jeżeli te telefony będą i będą listy z mojego domu, które mnie denerwują... Powiedz w domu moim, że ja napisałam trzy listy i każdy z nich zawiera prawdę: ja chcę tu zostać, chcę rozpocząć nowe życie. Tu jest w ogóle, w ogóle inaczej niż w Polsce. Ja nie chcę mieć kontaktów z Polską! Rozumiesz?!

– Emilka, pamiętasz, gdzie się urodziłaś?

– Hm... no pewnie. (Śmiech).

– No to powiedz, gdzie się urodziłaś?

– Dlaczego wy ciągle mnie sprawdzacie?! Ja nie wiem... co wy myślicie... tu jest tak porządny dom, tak porządna osoba, że ja przy tej pani to wiesz co? Nawet nie mogłabym jej butów czyścić, rozumiesz?

Regina nie życzy sobie *intruzii*

Druga rozmowa.

– Dobry wieczór, pani Regino, Roman G. się kłania ponownie.

– Słucham.

– Dzwonię w delikatnej sprawie: otóż była tu przed chwilą mama Emilii u nas, no i ma obawy, że Emilia nie przysyła do domu pieniędzy na spłacenie długu, który zaciągnęła w banku. I to jest wbrew umowie zawartej między Emilią a panią...

– Proszę pana, ja panu mogę powiedzieć tylko jedno: ja zostałam bardzo oszukana. Bo przyjechała tu osoba, która okazała się zupełnie inna, niż mi było powiedziane...

– No, ale...

Regina nie dopuszcza Romana do głosu.

– Ja te sprawy załatwiam bezpośrednio z zainteresowaną, która u mnie pracuje, która u mnie jest. I to jest kwestia między nią i mną. Nie ma absolutnie żadnych... *intruzii* z zewnątrz. Nie zgadzam się absolutnie, bo w tych „punktach" sławnych, o których się tak źle wyrażono, było wyraźnie napisane, że nie ma żadnych *intruzii* z zewnątrz: żadnych spraw rodzinnych, żadnego wtrącania się, nikogo. Nie mam nic więcej do dodania na ten temat.

Odłożyła słuchawkę.

Emilia i Regina mówią jak siostry

Uderzyło mnie podobieństwo głosu obu kobiet – szorstki, chropowaty, stanowczy.

Następnego dnia pojechałam do domu Emilii. Padał deszcz, Irena piekła ciasto drożdżowe. Opowiadała i płakała.

– Niech pani nas tak nie zostawi – szepnęła.

Krystyna G. opowiada o Wioletcie

Odnajduję Krystynę G. spod N., szkolną koleżankę Reginy Drzazgi. Kiedy zmarł mąż Krystyny, rodzina znalazła się w kłopotach. Córka Krystyny Wiola zdała maturę, syn jeszcze się uczył. Drzazga skądś się o tym dowiedziała. Zaproponowała Wioletcie pracę.

Regina Drzazga i jej mąż mieli we Włoszech trzy mieszkania. Jedno z nich w Rzymie. Wioletta G. przeszła przez każdy z trzech domów. Umówiły się, że Krystyna będzie do niej dzwoniła w każdy ostatni poniedziałek miesiąca.

– Ale telefony podnosiła Regina – wspomina Krystyna. – Wychwalała córkę pod niebiosa. Za każdym razem córka „gdzieś wyszła". Z listów nic złego nie wynikało. Czułam jednak, że coś tam jest nie w porządku. Ale uspokajałam się: jak będzie źle, to po prostu wróci.

Ale Krystyna nie wiedziała, że Regina zabiera pracownicom paszporty. A gdy się upominają, straszy policją. Nie wyobrażała sobie, że jej dorosła córka, silna i samodzielna, pozwala się bić.

Regina pisała donosy na ojca Hejmę z zakonu sióstr antoninek w Rzymie, który przygarnął kilka jej ofiar. Wiozła tam Wiolettę albo inną ze swych służących i – pod groźbą – kazała oddać anonim w sekretariacie. Potem rewidowała, czy dziewczyna nie ukryła w ubraniu kartki z donosem.

U Drzazgi Wioletta pracowała z dwiema Polkami. Regina zabierała im listy, a te do domu – dyktowała. Kiedyś Wioletta nie chciała oddać Reginie listu od matki i zjadła go na oczach pracodawczyni. Wspomina Krystyna:

– Drzazga złapała córkę za włosy, biła ją i wrzeszczała: „Kim ty jesteś!? Polską kurwą! A ja mam pochodzenie! Jestem córką niemieckiego oficera! Nikt jeszcze ze mną nie wygrał!".

Wioletta i dwie pozostałe dziewczyny (Bogusia i Krysia) postanowiły uciec. Przygotowywały się do tego parę miesięcy. Któraś podpatrzyła, że Drzazga trzyma paszporty w torebce. Bogusia wykradła klucz od drzwi (bo ciągle były zamykane), a Wiolka paszporty. I tak jak stały – uciekły.

Krystyna nie wie, co stało się z koleżankami Wioletty. Jej córka została w Rzymie. Krystyna do niej przyjechała.

– To już nie było moje dziecko – wspomina. – Ręce jej się trzęsły, niespokojnie wodziła oczami.

W Rzymie Wiolka związała się z Polakiem. Zostawił ją z dzieckiem.

– Może nie mógł z nią wytrzymać? – zastanawia się Krystyna.

Kilka miesięcy po ucieczce Wioletty od Drzazgi zmarł syn Krystyny, brat Wioletty. Lekarze źle zoperowali wyrostek. Krystyna pojechała z pielgrzymką do papieża. W Rzymie spotkała się z córką. Potem z wycieczką pojechały na Monte Cassino.

Pod Monte Cassino na Krystynę czekał list. Ktoś chciałby się spotkać, porozmawiać. Poniżej podpis „Włoszka" i numer telefonu. Wioletta wpadła w histerię. To był numer Reginy D.

Krystyna list zignorowała.

Po powrocie do kraju co tydzień przychodziły do niej anonimy. Krystyna wiedziała, kto jest nadawcą. Nadawczyni pisała, że syn Krystyny zmarł, bo „ta polska dziwka" uciekła od niej i zostawiła ją w potrzebie, że ona widzi w szklanej kuli, że córka zginie, a Krystyna na starość oślepnie.

Odwiedzam biuro detektywa M.

Ponownie zadzwoniła do mnie Jolanta G. Zawiadomiła, że następnego dnia u detektywa jest „zebranie w sprawie wydobycia Emilii". Napomknęła, że detektyw Wiesław M. rezygnuje szlachetnie z honorarium, ale „jego ludzie" zażądali po dwadzieścia pięć dolarów za godzinę.

Dodała, że Roman G. zapalił się do zrobienia filmu o „tej sprawie". Jest już kamera i „wejście" do jednej ze stacji telewizyjnych. Ale *copyright* należy do Romka – zawiadomiła.

Był początek kwietnia. Ja już wiedziałam, że pojadę do Kalabrii, ale trzymałam to w tajemnicy przed rodzeństwem G. Nie miałam wątpliwości, że do Emilii trzeba pojechać jak najszybciej.

Miałam swój plan na uratowanie Emilii. Ale na spotkanie poszłam z ciekawości. Biuro detektywa M. (na tabliczce napis: „dr nauk prawnych") mieści się na parterze jednego z wieżowców Warszawy. M. przyjął mnie w niebiesko-żółtym dresie i adidasach. Roman G. już był: elegancki, w garniturze. Detektyw podał nam sok, rozłożył mapę, wyjął lupę. I rzucił znad Kalabrii:

– Czegoś się pani dowiedziała?

– Tego i owego. Baba jest dość niebezpieczna. Trzeba uważać.

Detektyw: – Chcemy wyruszyć 14 kwietnia.

Ja: – Mogłabym pojechać wcześniej na rekonesans.

– A jak się spotkamy?

– Na miejscu. W jakimś barze.

– A skąd pani wie, że tam jest bar?

– Bo wiem. Pan też już to powinien wiedzieć.

– A jak się spotkamy?

– Podam panu numer telefonu komórkowego, który będę miała we Włoszech.

Roman G.: – Rozejrzała się pani za pieniędzmi?

– Mam nadzieję, że dla siebie uda mi się zdobyć.

– Hmmm... Potrzebne są. I kamera też.

Detektyw odkłada lupę.

– Mam znajomego posła z dojściem do telewizji. Pomógłby zdobyć pieniądze na film, pan Romek by napisał scenariusz.

Pan Romek spojrzał w sufit: – Chybabym nie umiał...

Detektyw: – No to pani pomoże. Pomoże pani?

Poznaję dramat pochodzenia Reginy D.

Ci w N., którzy nie boją się rozmawiać o Reginie D., opowiadają, że w czasie wojny matka Reginy, Irena D., miała romans z niemieckim oficerem. Gdy brzuch Ireny zrobił się widoczny, mieszkająca z nią siostra Cecylia zamykała ją w komórce.

– Każdy wiedział, że w tym brzuchu jest szwabski bachor – opowiada osiemdziesięciotrzyletnia Henryka K.

W 1942 roku urodziła się Regina.

„Skażonej Niemcem" Ireny nikt już nie chciał. W N. uważano, że splamiła honor miasta.

Dwie siostry – Irena, pracownica fizyczna w drukarni, i Cecylia, księgowa – samotnie wychowywały Reginę. Dominująca w rodzinie Cecylia trzymała obie w srogiej dyscyplinie.

I w nienawiści.

Ireny nie znosiła za to, że hańbą okryła rodzinę. Biła ją, targała za włosy. Reginy nienawidziła za to, że to „znajda".

– Gdy Reńka ryczała w wózku na ulicy, Cecylia robiła nad nią gesty poduszką, tak jakby chciała ją udusić – wspomina Henryka K.

Gdy Regina była mała, Cecylia kupiła jej buciki, lakierki. Najpiękniejsze lakierki w N. Ale Reginie nie wolno było w nich chodzić. Cecylia skryła je w kredensie i powiedziała, że Renia dostanie je, gdy zasłuży.

Po latach Regina pisała do Bożeny Witkowskiej: „Ciotka ma pretensję do całego świata, że ja dla niej straciłam serce! Jak mogę jeszcze je mieć po tym, co przeszłam jako dziecko?".

Ciotka Cecylia z jednej strony karciła Renię na każdym kroku, z drugiej – kazała jej być najlepszą.

Żeby przykryć hańbę Ireny.

Jej wojenny romans zżerał te trzy kobiety. Nie umiały sobie z tym poradzić. Raniły wszystkich wokół. Tak, jakby uważały, że cudzy ból złagodzi ich własny.

Dzieci wołały za Renią: „ge-sta-pó-wa!", „es-es-man-ka!". Ktoś na ścianie kamienicy, w której mieszkały, wykaligrafował: „ss".

Regina gardziła miastem, które tyle o niej wiedziało, i matką. Gardziła rodziną, która po wojnie odwróciła się od jej matki i ciotki (młodsza siostra i brat Ireny zerwali z nimi kontakt i zamieszkali w innych miastach).

Pojawia się Włoch z bukietem bzu

Na początku 1971 roku N. obiegła wieść, że „jędza z sanepidu złowiła makaroniarza".

– Wokół śnieg, a Włoch przysyłał jej bzy – wspomina farmaceutka z N.

W środku komunizmu i zimy miasto gadało o bzie, Włochu i niezasłużonym szczęściu Reńki.

Ciotka i matka zaczęły biegać do mięsnego i od drzwi, bez kolejki, wołały: „Pół kilo szynki dla pani magister, proszę". I szynka lądowała na ladzie, kolejka się oblizywała, a Regina coraz wyżej nosiła głowę.

Ślub wzięła we wrześniu 1971 roku w warszawskim Pałacu Ślubów. Bożena pożyczyła jej różową sukienkę.

Detektyw nie uprowadzi Emilii

Znając już Reginę D. z opowiadań, byłam pewna, że zabroni mi rozmawiać z Emilią. Mogłam mieć tylko nadzieję, że uda mi się dopiąć przynajmniej tego, że Emilia mnie zobaczy. Wymyśliłam, że ubiorę się w jej sukienkę. Żeby bez słów wiedziała, że przychodzę od bliskich i może oczekiwać pomocy.

Czy Regina zechce ze mną rozmawiać? Czy wpuści mnie do mieszkania? Zamierzałam wykorzystać jej słabość do komplementów (choć wiedziałam już, że jest przebiegła). Powiem, że zbieram materiał do reportażu o Polakach, którzy osiedlili się we Włoszech i odnieśli sukces.

Miałam też w zanadrzu drugą wersję. Emilia pisała, że w soboty odwiedzają przydrożną figurkę Matki Boskiej. Pomyślałam, że w jej ubraniu w sobotnie popołudnie pojawię się u stóp Madonny. Coś z tego musi wyniknąć.

Wiedziałam już, że w podróży do Kalabrii mogę liczyć na pomoc moich włoskich przyjaciół (samochód, telefon komórkowy, ochronę).

Na dwa dni przed wyjazdem do Włoch zadzwonił Roman G. Powiadomił

mnie, że zrezygnował z detektywów, bo nie udało się zebrać pieniędzy. Nie powiedziałam, że mam już bilet na samolot.

Biorę do torby sukienkę Emilii

Następnego dnia ponownie odwiedziłam matkę i siostrę Emilii. Poprosiłam o jakieś ubranie Emilki. Joanna wyciągnęła barwną bluzkę i długą do kostek spódnicę, kostium szczególnie bliski Emilii: kiedyś przez miesiąc oglądała kolorowy materiał na wystawie sklepowej i żałowała, że nie stać jej na to. Po jakimś czasie kupiła jednak to marzenie z witryny i sama uszyła ubranie.

Kiedy je pakowałam, Irena w skupieniu pochyliła się nad kawałkiem kartki w kratkę. Pisała coś do Emilki. Joanna przyniosła święty obrazek. Poprosiła, bym go dała albo przynajmniej pokazała Emilii.

W czwartek 10 kwietnia poleciałam do Włoch. Za dwa dni planowałam spotkanie z Reginą i Emilią. Być może pod przydrożną figurką Madonny.

We Włoszech pierwsze kroki skierowałam do konsulatu przy ambasadzie polskiej w Rzymie. Przyjęła mnie konsul Maria Olszańska. Podzieliłam się z nią wiedzą o Reginie D., pracodawczyni Emilii. Opowiedziałam historię Emilii i innych kobiet.

Pani konsul na pół godziny utknęła w archiwum ambasady. Wróciła z pożółkłą teczką Reginy Drzazgi. Było w niej pismo z połowy lat siedemdziesiątych, w którym Regina skarży się na męża i jego rodzinę, że utrudnia jej między innymi nostryfikację dyplomu. W związku z niemożnością podjęcia pracy Regina D. prosi polskie władze o przywrócenie jej polskiego obywatelstwa, gdyż „...Ojczyzno, jesteś jak zdrowie, ten tylko się dowie, kto cię stracił". Tak pisała.

W teczce Drzazgi leżało też pismo od rzymskiej policji z września 1988 roku. Sabina I., mieszkanka Łodzi, poskarżyła się policji, że D. ukradła jej paszport, pieniądze i bagaż. Odnotowano, że po interwencji ambasady D. zwróciła rzeczy. (Po powrocie do kraju odwiedziłam Sabinę I. Ta emerytowana urzędniczka pobyt u Drzazgi wspomina jako najgorsze życiowe doświadczenie. Do dziś pozostaje pod opieką psychiatry. Za utratę zdrowia i naruszenie praw osobistych Sabina I. zamierzała podać Reginę D. do sądu. Sprawa zadośćuczynienia skończyła się jednak na etapie rozmów adwokatów. Były mąż Drzazgi dał Reginie dla Sabiny I. kilka tysięcy dolarów, ale Sabina nigdy tych pieniędzy nie otrzymała).

Szukam figurki Madonny i Copernicusa

Konsul Maria Olszańska wystawiła mi zaświadczenie, że jestem polską dziennikarką, która zbiera materiał do reportażu o Polakach mieszkających we Włoszech. Skserowano mi też paszport, żeby w razie czego nie stracić oryginału. Wyruszyłam samochodem do Kalabrii.

Serra San Domenico leży wysoko w Apeninach Kalabryjskich, około pięćdziesięciu kilometrów od morza. Aby tam dojechać, trzeba pokonać mnóstwo serpentyn. Po obu stronach drogi co kilka kilometrów stoją figurki Madonny ze sztucznymi kwiatami.

Usiłowałam wyczytać z listów Emilki, którą to Madonnę odwiedza z Reginą w sobotnie popołudnia (wówczas jeszcze nie wiedziałam, że „za karę" Regina przestała ją tam wozić). Pod tą figurką zamierzałam się pojawić w barwnej bluzce i długiej spódnicy Emilii.

Gdy wydawało się, że podróż serpentynami między pomnikami, figurkami i przepaściami będzie trwała wiecznie, pojawiło się drzemiące w lasach Serra San Domenico. Przy wjeździe do miasta jest tartak Antonia P., właściciela tysiąca pięciuset hektarów lasu, byłego męża Reginy Drzazgi.

Miasteczko liczy kilka tysięcy mieszkańców. Ma pięć kościołów i ulicę Copernicus, przy której mieszka Regina D. Większość osób w mieście nie wie o istnieniu takiej ulicy. Z listów Emilii wnioskowałam, że z okna widzi góry. Szukałam więc ulicy na obrzeżach: samochodem, pieszo. Ludzie zaczęli mi się przyglądać. Pytali o osobę, której poszukuję, ale nie chciałam zdradzić jej nazwiska. Bałam się, że ktoś może uprzedzić Reginę, o której Emilia pisała: „...Pani jest tutaj osobą bardzo znaną, szanowaną i podziwianą. Ma bardzo duże znajomości w policji, sądach i u adwokatów...". Miałam telefon Reginy. Ale do takich osób się nie dzwoni, tylko stuka do drzwi.

Po godzinie znalazłam.

Pomaga mi kobieta w zielonych spodniach

Ulica Kopernika jest krótka, bez tabliczki z nazwą. Kamienica, w której mieszka Regina, nie ma numeru. Uliczka zamarła w bezruchu. Przyglądałam się trzecim piętrom, może dostrzegę Emilię. Znam ją już z fotografii.

Nagle z jednego z bloków wynurza się kobieta w zielonych spodniach, podbiegam, pytam, czy zna Reginę. Kobieta konspiracyjnie:

– W tym bloku, ostatnie piętro. Jest w domu. Ale może pani nie otworzyć. Jest dziwna.

– Co to znaczy? – udaję.

Kobieta uśmiecha się.

– Ludzi nie lubi.

Słysząc odgłosy dochodzące z głębi bloku, nieznajoma daje susa w uliczkę. Pojawia się znowu, gdy wracam do samochodu po torbę.

– Właśnie wychodzą z garażu – szepcze. – Jak się pani pośpieszy, to ją pani złapie.

Regina podnosi palec, Emilia znika

Potem się dowiedziałam, że w tym dniu, w sobotę 12 kwietnia, Regina była wyjątkowo spięta. Mąż, z którym jest w separacji i który (zgodnie z zawartą między nimi umową) pokrywa między innymi jej wydatki medyczne, zalegał z wysłaniem czeku za wizytę kontrolną u stomatologa (około pięćdziesięciu tysięcy lirów).

Regina wypatrywała czeku, ale nie nadchodził. Zadzwoniła więc do syna w USA (koszty telefonu też pokrywa Antonio), aby ponaglił ojca. Syn oddzwonił, że ojciec zostawił czek w garażu. Regina wzięła ze sobą Emilię i zeszły do garażu. Czeku nie znalazły.

Podbiegam do drzwi bloku. Szczęśliwie kobieta w zielonych spodniach nie zamknęła ich, inaczej miałabym kłopot, większość lokatorów mieszka tu tylko latem, a przy domofonie nie ma nazwiska Drzazgi. Wpadam na niewielkie podwórko. Na schodach przy garażu spotykam dwie kobiety: wyższa, blondynka, ma włosy gładko zaczesane do tyłu i czymś ozdobnym spięte w kucyk, w uszach ciężkie złote kolczyki, na szyi gruby złoty łańcuch, na przegubach dłoni – po kilka złotych bransoletek. Brązowa bluzka i czarne leggingsy ciasno opinają ciało. To Regina.

Obok niej drobna dziewczyna z wypiekami na twarzy. Ciemnoblond włosy opadają z tyłu na kołnierzyk niebieskiej bluzki. Jasny fartuszek.

Rzuciła okiem na moją (swoją) spódnicę i spłoszona uciekła wzrokiem.

Czy to możliwe, że spódnica była szyta na miarę? Dziś Emilia by w niej utonęła. Przypominam sobie fragment jej listu: „U Pani jest mi dobrze, przytyłam jak bomba".

Pytam tę wyższą, czy jest Reginą D. Potwierdza. Przedstawiam się po polsku. Mówię, że robię reportaż o Polakach we Włoszech. Regina patrzy na Emilię i podnosi palec do góry. Emilia bez słowa znika na schodach. Wszystko trwa sekundy.

Regina wyrzuca mnie z garażu

Regina otwiera garaż (potem dowiem się, że rozmawiała ze mną, bo myślała, iż jestem wysłanniczką jej męża, z czekiem na dentystę).

Wokół pięknie ułożone w sterty drwa do kominka. Pośrodku – biały samochód.

Regina stoi naprzeciw mnie: wyniosła, zimna. Więc tak wygląda „ten postrach": brzydka, surowa, jej lodowate spojrzenie to jeszcze pogłębia.

Wtedy zrozumiałam słowa Bożeny W., że w spojrzeniu Reginy jest „coś, co może rozwalić mury".

Zapytałam: – Tak będziemy rozmawiać? Na stojąco?

Regina wzdrygnęła się.

– Kim pani jest?! Kto tu panią nasłał?!

– Nikt mnie nie nasłał. Już się przedstawiłam...

– A skąd pani o mnie wie?!

– Ludzie mówią, że tu mieszka Polka.

– Którzy?! Moje życie to nie pani sprawa! – Wychodzi z garażu. Ja za nią.

Zgadzam się potulnie, ale nalegam:

– Skoro pani nie chce o sobie, to może porozmawiamy o dziewczynie, którą pani zatrudnia?

– Kto panią nasłał?! – krzyczy Drzazga na schodach. – Jakim prawem mnie pani nachodzi?! Wezwę karabinierów!

Zatrzaskuje mi przed nosem drzwi do mieszkania.

Pojawiają się karabinierzy

Zeszłam na dół. Nie wiedziałam, co robić.

Zastanawiałam się. Wreszcie postanowiłam wrócić pod drzwi Drzazgi.

Zadzwoniłam. Cisza. Ponownie przydusiłam dzwonek, trzy razy pod rząd. Zza drzwi odezwał się twardy głos. Pytał po włosku, kto tam i czego sobie życzy.

Powiedziałam, że chcę usłyszeć odpowiedź na jedno tylko pytanie:

– Dlaczego straszy mnie pani karabinierami?

Głos odpowiedział wściekle:

– Bo pani mnie molestuje, narusza moje prawo do prywatności.

A ja na to:

– Chcę pani powiedzieć, że nie musi pani wzywać karabinierów. To ja do nich pójdę, bo w przeciwieństwie do pani mam powód.

Głos już się nie odezwał.

Przechodząc przez podwórko, spojrzałam w górę. W oknie na trzecim piętrze mignęła twarz Emilii. Potem drugi raz i trzeci. Przypomniałam sobie wtedy jej matkę Irenę, kiedy mówiła: „Niech nas pani tak nie zostawia". Zachowanie Reginy utwierdziło mnie w tym, że nie wolno mi tego zrobić.

Pod blok podjechali karabinierzy. Przypadek czy też Regina ich wezwała? Wysiadło ich dwóch z wozu. Ucieszyłam się. A ich to zdziwiło. Poprosili o paszport. Dałam jego kserokopię i pismo z ambasady. Spisali, co trzeba. Poprosiłam ich o nazwiska. Odmówili. Opowiedziałam, co się zdarzyło. Dodałam, że Regina przypuszczalnie więzi Emilię. I dobrze by było, gdyby to zbadali. Jeden z funkcjonariuszy poszedł do mieszkania Drzazgi. Wrócił po czterdziestu minutach. Powiedział, że z zeznań właścicielki mieszkania wynika, że naruszyłam jej prawo do prywatności.

Mundurowy zadecydował, że konfrontacja z Reginą D. odbędzie się na posterunku.

Ale nie on sam tak zadecydował.

Pod blok nadjeżdżał kolejny radiowóz. W towarzystwie dwóch radiowozów jechałam na posterunek, odległy najwyżej o trzysta metrów. Za nami, za radiowozami, szła Regina.

Karabinierzy konfrontują mnie z Reginą

Zanim Regina dotarła na komisariat, zadzwoniłam z telefonu komórkowego do konsul Marii Olszańskiej.

Powiedziała, że trzyma za mnie kciuki i żebym po wyjściu się odezwała.

Posadzono mnie na wprost szefa w kolorowym sweterku. Nad jego potężnym biurkiem wisiał krzyż, zdjęcie prezydenta Scalfaro i włoska flaga.

Zdziwił się, że podróżuję bez paszportu. Wyjaśniłam, że dla bezpieczeństwa zdeponowałam go w konsulacie.

Obejrzał moją legitymację dziennikarską. Zwróciłam mu uwagę na słowa: „Wszystkie instytucje oraz osoby prywatne proszone są o udzielenie okazicielowi niniejszej legitymacji pomocy w wykonywaniu obowiązków zawodowych". Powiedziałam, że pani D. ma prawo odmówić mi rozmowy, ale nie ma prawa zabronić mi kontaktu z pracującą u niej Polką (podałam jej imię i nazwisko). Karabinierzy zgodzili się: nie ma takiego prawa.

Weszła Regina.

Siadła obok mnie i zapowiedziała:

– Nie życzę sobie używać języka polskiego.

Szef poprosił mnie o zrelacjonowanie wydarzenia. Regina przerywała co chwila: wyrzucała z siebie potoki niezrozumiałych nawet dla nich słów. Zrobiło mi się jej żal. Powiedziałam po polsku:

– Dlaczego pani jest taka trudna? Chciałam spróbować panią zrozumieć. Dać pani sposobność obrony.

Regina odrzekła z pogardą:

– Ja nie potrzebuję żadnego *appoggio* (podpory, wsparcia).

Regina musi się mitygować

Opowiedziałam, że powinna jednak o tym pomyśleć, bo właśnie obnażę jej tajemnicę: zaprasza do siebie Polki i znęca się nad nimi. W tej chwili przebywa u niej Polka, która pracuje u niej za darmo i którą ona maltretuje psychicznie.

– To mój gość! – krzyknęła Regina.

Z torby wyjęłam plik materiałów. Wśród nich były listy Emilii i Reginy, w których pisze o „punktach", warunkach pracy itd. Powtórzyła, że zmyślam. Znalazłam jej podpis w jednym z listów.

– Czy to pani?

– A co, pisać nie wolno?

Wymieniłam nazwisko Sabiny I., Bożeny Witkowskiej i wielu innych. Regina znów krzyczała, że zmyślam.

Karabinierzy patrzyli po sobie w milczeniu. Nie zainteresowały ich ani moje materiały, ani to, że zarzucam Reginie wykorzystanie co najmniej dwudziestu kobiet.

Spostrzegłam, że Regina patrzy na szefa. A on macha pismem, które wystawiła mi ambasada (że zbieram materiał do reportażu o Polakach), i mówi:

– Nic nie możemy zrobić.

Udałam, że nie słyszę, ale gest szefa upewnił mnie, że Regina ma pomoc karabinierów i że Emilia nie może na nich liczyć. Upomniałam się więc znowu o spotkanie z nią. I napomknęłam, że chciałabym Emilii przekazać list od matki. Szef dyskretnie powiedział Reginie, że nie ma prawa zabronić mi rozmowy z Emilią. Odpowiedziała grzecznie:

– Ależ oczywiście, zapraszam panią do siebie do domu, rozgości się pani i porozmawia, jak długo zechce.

Zapytałam:

– To dlaczego nasłała pani na mnie karabinierów?

– Bo myślałam, że jest pani jedną z tych, co biegają z kolorowym sprayem i pryskają w twarz.

Emilia chce zostać u dobrej pani

Wyskoczyła z posterunku. Ja za nią.

– I po co to wszystko było? – zapytałam po polsku.

Przystanęła i syknęła:

– Nie życzę sobie rozmawiać po polsku! Nienawidzę! Zapomniałam!

Ruszyła przed siebie.

– Może pójdziemy razem? – zdążyłam zaproponować.

– Za mną! – syknęła przez ramię. I pomknęła szybkim krokiem.

Gdy dotarłam pod kamienicę, drzwi wejściowe były zamknięte. Dwanaście przycisków przy domofonie. Kilka pustych. Który z nich należy do Reginy? Jeśli przycisnę nie ten, co trzeba, i znów zostanę posądzona o molestowanie? Doznałam olśnienia: w kieszeni miałam telefon komórkowy. Wybrałam numer Reginy. Nie spodziewała się, że to ja, podniosła słuchawkę. Jęknęła, gdy usłyszała:

– Zapomniała pani o mnie.

Domofon zaskrzeczał dopiero po długiej chwili.

Niemal równolegle z dzwonkiem drzwi od mieszkania Reginy otworzyły się. Wypadła z nich Emilia i Regina z kluczami w ręku. Nerwowym ruchem przekręciła je w drzwiach.

Ponagliła Emilię:

– No! – I ustawiła się za nią z kluczami w ręku.

Emilia bez fartuszka wyglądała jeszcze drobniej. Jej oczy i policzki płonęły. Stanęła przede mną na baczność i wydeklamowała:

– Nie rozumiem, o co pani chodzi? Robi pani tyle zamieszania. Mnie jest u pani bardzo dobrze. Chcę z panią zostać i nie chcę wracać do Polski.

Ta reakcja nie zaskoczyła mnie, ale zmartwiła. Z Emilią było gorzej, niż się spodziewałam. Myślałam: pozna swoją sukienkę, przynajmniej mrugnie, ale jej błyszczące oczy mówiły tylko, że powinnam być ostrożna. Powiedziałam, że mam dla niej coś od mamy. Bez reakcji. Zaczęłam szukać w torbie świętego obrazka, który dała dla niej Joanna. Odwinęłam z chusteczki i powoli jej podałam.

Przyjęła drżącą ręką.

– To wszystko? – zapytała. – Muszę już wracać.

– Tak, to wszystko – skłamałam. A ona odpowiedziała: „dziękuję". I zniknęły za drzwiami.

Nie dałam jej karteczki od mamy. Pomyślałam, że Drzazga i tak ją odbierze. Była sobota wieczór. Nic już i tak bym nie wskórała. Posiadanie liściku dawało mi o jedno podejście więcej.

Zadzwoniłam do Polski, do Joanny, siostry Emilii. Opowiedziałam, co się wydarzyło. Poprosiłam, żeby oszczędziła mamę. Zadzwonię w poniedziałek po południu. Joanna płakała.

Spotykam Chopina, Kaśkę i uzyskuję bezcenną wiadomość

Zadzwoniłam do byłego męża Reginy. W biurze piszczał faks. Domowy numer był zastrzeżony, a brama domu zamknięta. Pomyślałam, że weekend spędza w Copanello. Pojechałam tam następnego dnia, ale letniskowe miasteczko

było puste i głuche. W jedynej czynnej restauracji nikt nie znał nazwiska Antonia P.

W jednym z nadmorskich barów zobaczyłam na ścianie wizerunek Chopina. Przypominał Chopina z butelki z wódką. Zapytałam właściciela baru, skąd ten polski akcent. W odpowiedzi przyprowadził Annę.

Anna mieszka we Włoszech od kilku lat. Zdążyła się rozwieść, ale obywatelstwo zostało. Wspólnie z kolegą prowadzi bar.

Mieszkała kiedyś w Serra San Domenico. Wie o istnieniu Drzazgi. „Jak o istnieniu upiora". Podała mi kontakt do Polek, które dobrze znają Reginę.

W niedzielę po południu znów pokonywaliśmy serpentyny do Serra San Domenico. Na rogatkach jest tawerna, w której pracuje Kaśka.

W ubiegłym roku Regina D. pojawiła się tam. Stanęła przed Kaśką. Powiedziała, że jest bogata, pochodzi z rodu Sopliców i poszukuje Polki do pracy.

„Idź, jeśli chcesz poznać smak więzienia" – ironizował właściciel tawerny. Kaśka, jak większość mieszkańców Serra San Domenico i okolic, wiedziała, że D. wykorzystuje zapraszane Polki. Propozycję „hrabianki" odrzuciła.

Ale od Kaśki usłyszałam bezcenną wiadomość: w sobotę wieczorem, po mojej wizycie, karabinierzy przesłuchali Emilię. Kaśka była tłumaczką.

Przed karabinierami Emilia zeznała, że jest przyjaciółką Reginy, że poznały się w Polsce i Regina ją zaprosiła na wypoczynek, a nie do pracy.

– Wiedziałam, że ona nie mówi prawdy – opowiada Kaśka. – Mówię jej: wiem, jaka jest Drzazga. Wiem, że się boisz. Ale już nie musisz. Oczy jej błyszczą, omal nie wypłyną, a ona w kółko, że niczego się nie boi, że nie pracuje. Nie wierzyłam w to i powiedziałam karabinierom, że ona ukrywa prawdę.

Potem dowiedziałam się, że po tych zeznaniach Emilii Regina powiedziała jej, że jest najlepszą Polką, jaką spotkała, że „odkupiła wszystkie grzechy". Następnego dnia Regina kupiła jej ciastko i powiedziała: „Widzisz, jak jestem dobra? Powtórz, że jestem dobra".

(Tego wieczora w N. u Bożeny Witkowskiej zadzwonił telefon. W słuchawce słyszała tylko odległy głos kobiety: „*Pronto! Pronto!*").

Serra San Domenico mówi o Reginie

Miasteczko Serra San Domenico nie lubi Polki, która przybyła tu za mężem ponad ćwierć wieku temu. Podobnie jak w N. ludzie nie chcą o niej rozmawiać. Niektórzy mówią:

– Lepiej siedzieć cicho. Kto ma pieniądze, ten rządzi.

A Bruna Zaffino (która znalazła nagą Bożenę Witkowską) dodaje:

– Byłoby co opowiadać, ale pani wyjedzie, opisze, a ja tu zostanę.

Niejedna osoba w miasteczku straciła pracę przez Reginę D. Do podpisywania lub podkładania donosów często wykorzystywała pracujące u niej Polki. Ludzie znajdują kartki, że ktoś ma kochankę, kochanka albo źle się wyraża o pracodawcy. Pewną Afrykankę, która u niej pracowała i uciekła, oskarżyła o kradzież. Policja wydaliła ją z Włoch z wpisem do paszportu.

Gdy Drzazga pojawia się w sklepie, ekspedientki znikają. Żadna nie chce jej obsługiwać, bo Regina zawsze znajdzie coś, co jej się nie podoba.

Ekspedientki w miasteczku nazywają ją *signora mezzetto* („pani połóweczka") lub „pięćdziesiąt gramów". Nigdy nie kupuje więcej niż pięć deka.

– Gdy jest pięć i pół albo sześć (a ona dopatrzy się tego w domu), zwraca zakupy, awanturuje się i straszy karabinierami – opowiada Antonella, sklepowa.

– Ona działa z ukrycia – charakteryzuje Reginę Franco, mechanik samochodowy. – Jak duch. Ich też nie widać, a każdy się boi. Nikt nie wie, kiedy i czym jej podpadł. A potem przychodzi do niego urząd skarbowy albo policja. Dlatego każdy się przed nią trzęsie.

Franco mówi, że rzadko ją widać na mieście.

– Gardzi biedotą, czyli nami. A kiedy już się pojawi, straszy swoją zaciętą twarzą. Przez ćwierć wieku zacięta twarz. Mówimy na nią *vipera*.

Antonio opowiada o swojej pomyłce

Były mąż Drzazgi Antonio P., najbogatszy człowiek w Serra San Domenico, niechętnie wraca do wspomnień o „piekle z Reginą".

– Wymazałem z pamięci. Inaczej bym zwariował.

Mieszkańcy mówią o nim: „dusza nie człowiek". Ma około sześćdziesięciu lat. Wysoki, przystojny, twarz o łagodnych rysach.

Reginę poznał w Rzymie ponad ćwierć wieku temu. Podobno spóźniła się na samolot do Polski i znajomi przyprowadzili ją do jego mieszkania. Opowiadała, że pochodzi z hrabiowskiej rodziny (Bożenie W. wtedy szeptała: „Chcesz coś osiągnąć, musisz dorobić życiorys").

– Potem przyjechała znowu, później ja do niej. I zakochałem się, o Boże. Miłość! To przecież takie irracjonalne uczucie.

– Czy wtedy potrafiła się uśmiechać?

– Nie. Na palcach jednej ręki mogę policzyć jej uśmiechy. Prosiłem: „Rób to częściej, jesteś wtedy taka piękna". A ona wkładała tę swoją twardą twarz i mówiła, że nikt jej nie będzie dyktował, co ma robić.

Ślub odbył się we wrześniu, Regina przyjechała do męża dopiero w lutym następnego roku. Tłumaczyła, że wcześniej nie może.

– Zdziwiło mnie to, bo paszport miała wystawiony w grudniu. Odpowiedziała, że to nie moja sprawa.

Nostryfikowała dyplom. Aby podjąć pracę, musiała zdać kilka egzaminów. Tłumaczyła, że nie ma z czego się uczyć. Antonio sprowadził jej stertę książek.

– Przez trzy lata stały tak, jak przyszły. Zapakowane – wspomina Antonio. – Szybko się zorientowałem, że ślub z nią to jakaś absurdalna pomyłka.

Urodził się Massimiliano. Antonio wierzył, że syn odmieni Reginę.

– A ona coraz bardziej zapadała się w sobie. Zamykała się przede mną, przed ludźmi. Swój wewnętrzny niepokój i gniew przerzucała na nasze życie. Wciąż się kłóciła, prowokowała.

Potem Regina zaczęła kolekcjonować głosy.

– Nagrywała nasze kłótnie i nosiła do prokuratury. Do domu nie wpuszczała przyjaciół, całą moją rodzinę rozpędziła.

Ożywiała się podczas zakupów: futra, perfumy, eleganckie suknie.

– Rano kupowała, po południu odnosiła – wspomina Antonio. – We Włoszech już ją znali. Ale gdy do amerykańskiego salonu mody po raz kolejny przyniosła zakupione rano rzeczy, ekspedientka się zbuntowała. Wynikła awantura. Regina jak zwykle wezwała policję.

Antonio myślał, że jego polska żona może tęskni do matki. Sprowadził ją.

– To był biedny, zastraszony człowiek – ocenia. – Zorientowałem się, że gdy mnie nie było, Regina ją terroryzowała. Zacząłem się bać żony.

Unikał jej, częste wyjazdy zasłaniał pracą. Domyślał się, że żona znęca się nad Polkami, które ściąga do pracy. Wiedział, że zabiera im paszporty.

– „Oddaj", mówiłem. „Chce wrócić do kraju, niech jedzie, kupię jej bilet". A ona na to, że to nie moja sprawa. – (Jestem dumna ze swego twardego charakteru, który odziedziczyłam po ojcu, Niemcu – opowiadała Regina Bożenie W.).

W jakimś momencie Antonio zorientował się, że Polki były jej potrzebne, bo chciała je upokarzać.

– Nie potrafi dawać uczuć dobrych, bo ich nie ma. Obdarowuje tym, co ma: nienawiścią.

Antonio P. mówi, że bronił małżeństwa ze względu na syna.

– Dałem jej wszystko, co chciała. Nawet ulicę Kopernika.

W miasteczku mówią, że Regina pewnie go czymś szantażowała, dlatego tak długo z nią był. Antonio smutno się uśmiecha.

– Ona wciąż mnie szantażuje, całe życie. Nigdy nie wiem, co wymyśli, aby wsadzić mnie do więzienia albo wpakować do grobu.

Kilka lat temu, zanim rozstał się z Reginą, zapadł na tajemniczą chorobę. Zaatakowała mu system nerwowy. Antonio kuleje. Choroba nie pozwala mu stać dłużej niż kilka minut. Nie chce o tym mówić.

Antonio przyznaje:

– Chciałem ją udusić.

Regina złożyła w prokuraturze plik donosów na męża.

– Wezwali mnie i robią dochodzenie – wspomina Antonio. – Ja mówię tej prokurator: „Niech będzie, że zabiłem trzy osoby, że jestem szefem mafii i co tam jeszcze ona chce, ale najpierw ją zbadajcie".

(Jak twierdzi Antonio P., jego była żona jest od trzech lat pod stałą opieką rzymskiego psychiatry).

Kiedyś w Ameryce zgłosiła policji, że mąż chciał ją udusić i wyrzucić przez okno.

– Zmyśliła, jak zwykle? – pytam.

– Nie. To była prawda – wzdycha Antonio.

Wrócili akurat z męczących zakupów. Antonio padł skonany w fotelu. Regina mówiła i mówiła, on usiłował się zdrzemnąć. Nagle rzuciła mu w twarz pudełeczkiem. Antonio wyciąga z kieszeni plastikowy pojemnik na lekarstwa.

– Tej wielkości, tylko z metalu. Wpadłem w furię. Chwyciłem ją za gardło, ścisnąłem i mówię: „Uduszę cię".

Wszystko to działo się przy oknie na czternastym piętrze hotelu Marriott.

– Zagroziłem: „Popatrz w dół! Mógłbym cię tam zrzucić!". Ona jest mistrzynią prowokacji. Szczęśliwie udało mi się opanować.

Spisali umowę: ona wycofa wszystkie donosy, on będzie pokrywał koszty jej utrzymania na dotychczasowym, wysokim poziomie.

Antonio niewiele wie o pochodzeniu Reginy.

– Wspominała, że jej ojciec był Niemcem, że chciałaby go odnaleźć.

– Czy o Reginie naprawdę nie da się powiedzieć nic dobrego?

– Dała mi coś najwspanialszego na świecie: syna – odpowiada Antonio bez wahania.

– Przejął po niej jakieś cechy?

– Tylko determinację. Ale z tą różnicą, że ona determinację wkłada w zło, a on w dobro. Ich stosunki zawsze były złe. Nie umiała go kochać. Ona w ogóle nie potrafi kochać.

Massimiliano studiuje w Ameryce informatykę. Antonio komentuje:

– Wyjechał, by być od niej jak najdalej.

Komisarz Pappalardo wkracza do akcji

Poszłam na policję w Serra San Domenico, żeby się dowiedzieć, czy wpłynęły tam skargi od Polek wykorzystywanych przez Drzazgę. Zapytałam, czy rzymska policja nie powiadomiła policji w Serra San Domenico o Reginie D. w związku ze zgłoszeniem Sabiny I. w 1988 roku. Odpowiedziano, że wówczas w miasteczku nie było jeszcze policji.

Komisarz Pappalardo z zainteresowaniem słuchała o Reginie.

– Dochodzą do nas informacje, że tam coś złego się dzieje – powiedziała. – Wiemy, na przykład, że w ubiegłym roku uciekła od niej jakaś Polka, *bionda bassa* (niewysoka blondynka). W mieście było o tym głośno, brat po nią przyjechał, ale zabrakło odważnego, który by złożył o tym oficjalne oświadczenie. Dopóki nie mamy na piśmie, dopóty nie możemy nic zrobić.

Opowiedziałam o Emilii, o Bożenie Witkowskiej i innych kobietach. Kilku policjantów otoczyło mnie wianuszkiem i słuchało, kiwając głowami. Co jakiś czas powtarzali: „Słyszeliśmy", „Tak mówią".

Złożyłam oficjalne oświadczenie, podpisałam. Na wtorkowy poranek komisarz Pappalardo wyznaczyła przesłuchanie obu: Reginy i Emilii. Jeden z policjantów ma żonę z Polski, Joannę. Postanowiono, że Joanna, niedoszła lekarka (po trzech latach medycyny), będzie tłumaczyć rozmowę Emilii z policją. Komisarz Pappalardo zgodziła się, choć niechętnie, bym spotkała się z Emilią po przesłuchaniu w komisariacie.

Aby uniknąć powtórki z sobotniego przesłuchania u karabinierów (o którym ja wiedziałam, a policja nie), uprzedziłam policjantów, że zastraszona przez Drzazgę Emilia jest przekonana, że jej pracodawczyni ma powiązania z policją. Regina mówiła jej nieraz (co Emilia pisała w listach do domu), że ma kontakty z adwokatami i ministrami i że może wsadzić ją do więzienia.

Myślałam ze strachem: co będzie, jeśli Emilia znowu powie, że u Reginy jest jej dobrze i że chce zostać?

Emilia nareszcie jest sobą

Wtorek, 15 kwietnia, godzina jedenasta, drugie piętro komisariatu policji w Serra San Domenico. Za drzwiami z tabliczką „Uwaga, zły pies" – przesłuchanie Reginy D. Po przeciwnej stronie niewielkiego korytarza – pokój, w którym zeznaje Emilia.

W pokoju dwóch policjantów (znamy się z poprzedniego dnia) i Joanna, tłumaczka. Uśmiechają się. Z ich reakcji wnioskuję, że Emilia powiedziała prawdę. Siedzi zapłakana. Mój widok jednak ją przeraża.

– Niech ona stąd wyjdzie! Tyle zamieszania narobiła! – krzyczy, machając papierosem.

– Gdyby nie to zamieszanie, tobyś tam zgniła – odpalam jej.

Emilia podnosi się, ściska moją dłoń, przeprasza, płacze.

– Chciałam napisać do Ojca Świętego i zapytać: „Gdzie jest Bóg?". Ale nawet do domu nie mogłam.

Nagle, jakby dopiero mnie dostrzegła.

– Dlaczego jeszcze nie wyjechałaś?

– Coś tu jeszcze miałam do załatwienia.

I wyciągnęłam kartkę, którą jej mama napisała do niej. Emilia czyta: „Kochana Emilko, zaufaj tej Pani. Jest z nami, a także i z Tobą. Wracaj jak najszybciej i nic się nie zastanawiaj. Czekamy na Ciebie wszyscy: Asia, Adam, Andrzej z rodziną, no i ja. Polecam Cię tej Pani i Matce Licheńskiej. Ty dobrze wiesz. Mama".

Emilia pada na biurko i płacze.

– Kocham mamusię! Chcę do Polski! Jak się wstydzę! Takie rzeczy im pisałam. Dlaczego mi tego w sobotę nie dałaś?

Wzruszyłam ramionami. Cieszyłam się z jej smutnej radości.

– Ona by mi to zabrała i znów by z nas szydziła. I znów by kpiła z mojego Boga – Emilia płacze i śmieje się na przemian.

Policjanci patrzą w milczeniu. Emilia jest rozgorączkowana.

– Jak cię zobaczyłam w moim ubraniu... Boże... Wiedziałam, że jesteś tym ratunkiem, o który się tyle modliłam. Ale nie mogłam nic zrobić. Bałam się, że ona każe ciebie aresztować. Zniszczy ciebie i moją rodzinę. I sen mi się przypomniał.

Z piątku na sobotę Emilia śniła, że ktoś po nią przyjechał.

– A ja nerwowo zgarniałam moje rzeczy do białej reklamówki. Tak strasznie drżałam, że ona znów zamknie drzwi na klucz i nie wyjdziemy. I słyszałam głos mamy: „Nie bój się, wyciągniemy cię z tego piekła". I się obudziłam. A potem ty na schodach, w moim ubraniu...

Emilia pyta:

– Co ona ze mną zrobiła?

Emilia milknie, pociąga papierosa. Mówi do siebie zrezygnowana:

– Miałam pracę za sześć milionów! Byłam kierowniczką! Po co tu przyjechałam?! Po upokorzenie! Bóg mi chyba rozum odebrał!

Wyciera nos podaną przez policjanta chusteczką. Poprawia włosy.

– Jak ja wyglądam?! Te włosy, worki pod oczami... Co ona ze mnie zrobiła? Pewnie wsadzą mnie do więzienia.

– Za co? – pytam i wyciągam kilkanaście fotografii Emilii. Kładę je przed nią na biurku.

– Za sprzeczne zeznania! Za te bzdury, co powiedziałam karabinierom.

Przerzuca zdjęcia, ożywia się.

– Skąd je masz? O! Tak wyglądałam – pokazuje policjantom.

Wyraźnie wstydzi się obecnego wyglądu. Uśmiechnięta dziewczyna z fotografii rzeczywiście nie przypomina spłoszonej, wystraszonej Emilii.

Komisarz ocenia, że zakończyłam misję

Do pokoju wchodzi komisarz Pappalardo.

– Jedziemy po rzeczy – mówi do Emilii, a ona drży: – Ja tam nie wejdę! Nie chcę tej baby więcej widzieć!

Komisarz ośmiela.

– My z panią pójdziemy. Nic pani nie grozi.

Emilia prosi:

– To idźcie sami, moje rzeczy są w pokoju dla służby.

Komisarz nalega:

– Nie pójdziemy sami, bo ona może posądzić nas o kradzież.

Nagle Emilia zmienia temat:

– Zabierzesz mnie do Polski?

Pytam komisarz Pappalardo, co dalej z Emilią. Czy będzie jeszcze przesłuchiwana?

Komisarz odpowiada:

– Pani dziennikarce z Polski dziękujemy. Już pani u nas skończyła pracę, do widzenia.

Tłumaczę na włoski to, o co zapytała mnie Emilia. Komisarz odpowiada surowo:

– *Ragazza*[1] jest pełnoletnia. Dziś wyślemy ją do Polski.

Zapytałam, czy „dziś" jest połączenie z Polską. Odpowiedziała, że to ich problem, i wskazała policjanta, by odprowadził mnie na dół do drzwi.

Emilia nocuje w klasztorze

Zadzwoniłam do konsul Marii Olszańskiej w Rzymie. Opowiedziałam o uwolnieniu Emilii. Uznajemy, że pewnie lada moment kalabryjska policja przyśle oficjalną notę w sprawie Emilii. Rzeczywiście, dzień później przychodzi faks z informacją, że w sprawie Reginy Drzazgi wszczęto postępowanie wyjaśniające. (Pismo tej samej treści policja skierowała do włoskiego ministerstwa spraw wewnętrznych).

[1] *Ragazza* (wł.) – dziewczyna.

Zatelefonowałam do Polski, do Joanny, że jej siostra Emilia wkrótce zjawi się w domu. Joanna znów się popłakała.

Tego samego dnia Emilia policyjnym wozem pojechała na przesłuchanie do komendy rejonowej w V. V. Przesłuchanie miało się odbyć następnego dnia. Emilia nie miała gdzie nocować, umieszczono ją więc w nadmorskim klasztorze.

Do Polski Emilia wróciła dwa tygodnie później. O pobycie u Reginy opowiadała mi niemal bez przerwy przez kilkanaście godzin.

– Muszę to z siebie wyrzucić – powtarzała. – A chcę oszczędzić mamusię. I tak już swoje przeżyła.

Emilia opowiada o pierwszych dniach z Reginą

Regina D. od razu odsłoniła karty.

Gdy Emilia po blisko czterdziestogodzinnej podróży pociągiem z Polski i męczącej jeździe serpentynami siadła na kanapie w salonie, Regina wpadła w furię. Krzyczała, że Emilia jest tylko służącą i nie powinna „rozwalać się jak krowa". „Przepraszam, pani Regino" – pokornie dygnęła Emilia. „Co za »pani Regino«?! Służba ma zwracać się do mnie »proszę pani«".

Następnego dnia Regina zabrała Emilii buty, ponieważ „nie przyjechała tu na pokaz mody. Do garażu z nimi!". Skórzaną kurtkę skrytykowała: „Zapomniałaś, że przyjechałaś do pracy, a nie na spacery". Zabroniła wyciągnąć z torby spódnicę: „Komu chcesz te krzywe nogi pokazywać? Ja chodzę w spodniach i nikt się tu nie będzie wyróżniał".

Potem była godzina zakazów:

– zakaz czytania w łóżku, bo pościel od druku się brudzi,

– zakaz kremowania twarzy – w pościel wsiąknie i się nie dopierze,

– zakaz chodzenia spać przed Reginą. Przed snem należy podać pani wodę do popicia „pastylki przeciwlękowej",

– zakaz mycia się rano przed panią, bo służąca zużyje ciepłą wodę, „co jest niedopuszczalne",

– zakaz wychodzenia z domu i wyglądania przez okno,

– zakaz ruszania żaluzji. Miały być cały dzień nisko opuszczone. Inaczej było podejrzenie, że Emilia jest z kimś w zmowie i „daje znaki".

I seria drobniejszych zakazów: żucia gumy, podśpiewywania, uśmiechania się („A z czego?"), jedzenia z panią przy jednym stole, siedzenia podczas rozmowy z panią, chodzenia w kapciach po wykładzinie. I tak dalej.

Jeszcze pierwszego wieczora Regina uczyła Emilię, jak ściągać swojej pani dżinsy i jak je składać (nie mogło być ani jednej fałdki). Jak ściągnąć skarpetki:

oskubać z farfocli, które mogły się przyczepić z kapci, a potem rozłożyć na brzegu fotela („Muszą się wywietrzyć, ty tępoto!").

Kiedy Emilia demonstruje mi składanie spodni i skarpetek, jej twarz staje się skupiona i napięta.

– Robiłam to każdego wieczora przez sześć miesięcy i jeden tydzień.

Pierwszego ranka Emilia dowiedziała się, że pochodzi z kraju chamów, kurew i prymitywów.

Usłyszała też, że Reginę zmarnowało małżeństwo. „Gdybym nie wyszła za mojego męża, w cudzysłowie, mieszkałabym w innym kraju. A w każdym innym kraju byłabym ministrem. Taką Albright albo Thatcher, które są do mnie podobne charakterialnie: silne, zdecydowane, twarde".

„Czekam na śmierć męża, która, mam nadzieję, nastąpi lada moment, i ty masz mnie w tym wspierać" – mówiła, a Emilia była przekonana, że męczy ją zły sen (do rodziny pisała: „Wciąż jestem w szoku po podróży").

Po trzech dniach Emilia dała Reginie pierwszy list do wysłania. Pracodawczyni zarzuciła ją gradem pytań o treść. Z pytań wynikało, że zna list na pamięć. Mówiła: „Pochodzisz z chamskiej rodziny. Przy mnie masz szansę zostać kimś".

– Każdego ranka wstawała z nową pretensją do świata – wspomina Emilia. – W duchu nazywałam to „tematami dnia". Ulubionym „tematem dnia" była śmierć męża. Wyliczyła, że cierpi na trzynaście chorób i jest nadzieja, że któraś z nich go powali. I zapewniała Emilię, że jeśli będzie wierna jak pies, to po śmierci „męża w cudzysłowie" ustawi ją na resztę życia.

Po tygodniu Emilia zemdlała. Nie wie, jak długo leżała, ale ocknął ją twardy krzyk Reginy: „Emilia! Wstawaj! Przestań wreszcie udawać! Znam te polskie sztuczki!". I zagroziła: „Jeszcze raz upadniesz, to będę po tobie chodzić. Zadepczę cię!". Emilia poczuła nieznany jej dotychczas strach. Bała się Reginy i przerażał ją własny lęk.

Regina każe Emilii wyrzucić rodzinę z pamięci

Listy Emilii były pożywką dla Reginy. Każdą wiadomość o niej i jej rodzinie wykorzystywała przeciw niej.

O domu: „W Polsce żyjesz jak bestia, jak świnia! Człowiek ma łazienkę w domu, tylko świnia szczy na polu".

Kiedy siostra przysłała Emilii zdjęcia z urodzin, Regina oceniła:

brat (Adaś) – „wygląd debila; będzie chlał i znęcał się nad rodziną"; siostra (Joanna) – „nałogowa pijaczka" (na zdjęciu stoi przed nią kieliszek); matka (Irena) – „dziwka, bo miała dwóch mężów"; Emilia – „wyglądasz staro, co najmniej trzydzieści lat".

Rozkazała spalić zdjęcia, a rodzinę wyrzucić z pamięci, bo nie jest tego warta.

Emilia szpieguje

Poranek pani zaczynał się o ósmej. Emilka odsuwała (lekko) żaluzje, nalewała pani wodę do szklanki. Pani wypijała litr. Kiedy się myła, Emilia robiła jej kanapki. Jedzenie było wydzielone. „To jest moje" – mawiała Regina.

Przed śniadaniem Emilia naciągała na „swoją panią" obcisłe dżinsy. Mówiła, że jest piękna, zgrabna i młoda.

Potem zabierała się do sprzątania. Przed wyjściem Regina wyrywała z głowy włos i potajemnie kładła na półce, by po powrocie sprawdzić, czy kurz był wytarty.

Wychodząc z domu, dzwoniła do centrali telefonicznej i sprawdzała stan licznika. W ten sposób trzymała Emilię z dala od telefonu. Dodatkowo wzmacniała jej poczucie zagrożenia: „Jeśli cokolwiek się wydarzy, trafisz do więzienia".

Gdy ktoś zadzwonił (co było sporadyczne), Emilia razem z „panią" musiała odsłuchać zarejestrowanego na kasecie głosu (Regina nagrywała wszystkie rozmowy) i opowiedzieć, „co o nim sądzi". Nieznajomość języka była atutem. Emilia miała powiedzieć, czy głos jest podstępny, jaki podtekst może mieć chrząknięcie rozmówcy? Jeśli nie trafiła (zazwyczaj tak było), Regina wyzywała ją od tępych, debilek, egoistek i darmozjadów.

I wymuszała na Emilii, by stojąc na baczność przed nią, powtarzała za „panią": „Pochodzę z chamskiej rodziny, z prymitywu, hołoty! W Polsce żyję jak świnia. Wszyscy moją rodzinę wytykają palcami. Przy pani zostanę lepszym człowiekiem. Dziękuję pani za wyrozumiałość, dobroć, wielkie serce".

Reginę uspokajał dopiero płacz Emilii.

Wówczas wychodziła na „spacer" w okolice Santa M., gdzie jest tartak jej byłego męża.

W porze obiadowej zabierała Emilię ze sobą.

– Kładłam się na tylnym siedzeniu samochodu i jechałyśmy pod pracę jej męża.

Zadaniem Emilii było liczenie ludzi na terenie (do anonimu dla urzędu skarbowego) i uczenie się na pamięć rejestracji samochodów.

– Byłam tak zdenerwowana, że nie zapamiętywałam tych numerów. Wyzywała mnie wtedy od kretynów i kłamców, bo „taka tępota nie mogła być przecież kierowniczką".

Emilia musiała uważać, żeby nikt jej nie dostrzegł. Gdy zobaczyła Antonia (z daleka, niewyraźnie), Regina pytała: „Ile jeszcze pociągnie?".

Regina ocenia, na co choruje Emilia

Głód tak dokuczał Emilii, że ledwie Regina wychodziła z domu, „wykradała" kostkę białego cukru. Albo gryzła kawałek „swojego" chleba.

– W jakimś momencie zauważyłam, że moje potrzeby ograniczają się tylko do jedzenia. To było okropne, musiałam mieć przy sobie kęs chleba.

Ten kawałek chleba upokarzał ją, ale dawał dziwne poczucie bezpieczeństwa. Dziwne, bo wiedziała, że w każdej chwili Regina może przecież to odkryć.

Potajemnie nie mogła jeść, bo po pierwsze – wyjadałaby to, co Regina kupiła jej na kilka dni (w rzeczywistości były to i tak porcje jednodaniowe – głównie małe serki), po drugie: Regina zawsze sprawdzała śmieci w koszu.

Gdy Emilia upominała się o wypłatę, Regina uświadamiała jej, że mieszka jak w luksusowym hotelu, do tego ma wyżywienie. Wychodziło na to, że to Emilia powinna jeszcze dopłacić.

Regina kupowała Emilii pastę do zębów i podpaski. Podpaski przestały być jej potrzebne po pierwszym miesiącu. Po kilku takich miesiącach Emilię rozbolał brzuch. Tak bardzo, że nie mogła pracować i słuchać zwierzeń Reginy. Regina wyzwała ją od egoistek: „Myślisz tylko o sobie, a mój ból cię nie interesuje!".

– Ona gadała i gadała, a ja jęczałam, taki mnie ból rozdzierał – wspomina Emilia. Wreszcie Regina zaprowadziła ją do lekarza. – Z tego, co mówił, zrozumiałam tylko jedno słowo: „stres".

Regina wyniosła od lekarza trzy diagnozy choroby Emilii. Używała ich w zależności od humoru.

Diagnoza pierwsza: „Masz niedorozwój jajników i macicy. Nie będziesz miała dzieci. Ale nie przejmuj się, dzieci to potwory. Sama żałuję, że nie poddałam się sterylizacji i urodziłam syna. (Gdy umarła ciotka w N., w mojej włoskiej łazience spadły kafelki. Wtedy jej dusza weszła do mojego syna i dlatego on jest taki zły)".

Diagnoza druga: „Jajniki i macicę masz jak siedemdziesięcioletnia kobieta. Nie dość, że jesteś brzydka i tępa, to jeszcze nieprzydatna".

Trzecia diagnoza: „Masz raka".

– I dodała, że Bóg mnie ukarał, bo się jej nie słucham.

Najtrudniej było, kiedy do Emilii przychodził list. Po każdym Regina nurzała w błocie rodzinę Emilii. Nie mogła znieść miłości, którą obdarzono Emilię.

Emilia modliła się, żeby przestali pisać.

– Dlatego pisałam o piekle mamusi.

Kilka listów Regina podyktowała, w końcu zabroniła Emilii pisać.

– Prosiłam: wyślę tylko kartkę na urodziny, na święta. A ona: „Świnie urodzin nie obchodzą".

Przy każdym liście Regina stawiała Emilię przed sobą i głośno kazała wypierać się matki, siostry, braci.

– Tak strasznie się jej bałam! Bałam się, że pójdzie do karabinierów i powie, że przyjechałam ją zabić, bo zazdroszczę jej dobrobytu.

Płakała na baczność i bluźniła. Ale zawsze mówiła „mamusia".

To słowo doprowadzało Reginę do białej gorączki: „Polacy wszystko zdrabniają. Mój syn nigdy by tak do mnie nie powiedział, choć życie mu poświęciłam".

Regina kupuje Emilii ciastko

Do kościoła Regina jeździła do sąsiedniego miasteczka. Emilia nie zna jego nazwy, bo zawsze leżała na tylnym siedzeniu. Gdy pojechały pierwszy raz, stały obok siebie. Po mszy jakaś kobieta zapytała: „Czy ta młoda osóbka jest z panią?". „Jaka młoda osóbka!? – warknęła Regina. – Ja tu nikogo nie widzę!" Regina nazwała ją szpiegiem, a Emilia od tamtej pory musiała stawać sama na końcu kościoła.

Regina chodziła do komunii. Dziwiła się, że bogobojna Emilia tego nie robi. Emilia odpowiedziała, że nie przyjmuje komunii bez spowiedzi. Regina zaniepokoiła się. Jakie Emilia może mieć grzechy? „Znaczy, że masz złe zamiary? – spytała podejrzliwie i dodała: – Wiem! Chcesz mnie zabić! Przyznaj się! Rozpracowałam cię! Przyjechałaś mnie zabić, a potem swoją rodzinę, tę hołotę, zaprosisz do mojego mieszkania i pokażesz im, jak wygląda życie w luksusie".

Emilia zaprzeczała. Ale zaprzeczać Reginie – to znaczy nie mieć sekundy spokoju. Płakała z niemocy. Regina zagroziła: „Jeśli między kościołem a domem nie powiesz tego na głos, trafisz do więzienia".

Emilia formułkę wyklepała.

Następnej niedzieli, żeby udowodnić, że nie przyjechała zabić „swojej dobrej i wyrozumiałej pani", musiała pójść do komunii. „W nagrodę" Regina kupiła jej ciastko.

Po komunii Drzazga grę zaczynała od nowa. Emilia płakała, że to się kłóci z jej sumieniem i wiarą. Regina zaczęła szydzić z wiary Emilii (często to robiła).

Mawiała: „Twoja wiara jest głupia, a Bóg ośli. Modlisz się, a i tak nic z tego nie masz, bo twój ośli Bóg nie ma żadnej mocy".

– Chciałam uciec, ale jak? Zabrała mi paszport, nie miałam pieniędzy, nie znałam języka. Myślałam, że ona ma wszystkich na usługach: karabinierów, policję, sędziów. Codziennie to powtarzała. Do kogo miałam się zwrócić?

Emilia szuka czegoś, co wytrzyma jej ciężar

Gdy Emilia zorientowała się, że ucieczka odpada, zaczęła rozglądać się po garażu. Szukała czegoś w ścianie czy w suficie, co wytrzymałoby ciężar czterdziestu ośmiu kilogramów. Tyle waży.

– Ale bałam się. Bałam się takiego życia i bałam się śmierci. I tego, że ona potem zniszczy moją rodzinę. Przypominała mi to codziennie: na dom naśle komornika, siostrę pośle do więzienia, brata do domu wariatów, a mamę wykończy.

Emilia odnajduje swoje drugie ja

Po obiedzie (najczęściej spaghetti z sosem pomidorowym) Regina zasiadała przed telewizorem.

W domu rzadko dzwonił telefon. Nigdy nikt nie przychodził. Nie było kwiatów ani długopisów. Było trzynaście zegarów, tyle samo, ile chorób Regina naliczyła u byłego męża.

Wieczorem przychodził najszczęśliwszy moment Emilii – noszenie drewna do kominka. Było to jedno z cięższych fizycznie zajęć: dwanaście razy wejść na trzecie piętro z wiadrami drewna.

– Ale wtedy nie musiałam słuchać jej gadania i odpowiadać. I nie musiałam widzieć jej spojrzenia.

Wtedy powtarzałam sobie: ludzie przeżyli zsyłki na Syberię, obozy koncentracyjne. A moja mamusia urodziła się w obozie pracy. Z czasem wyrobiłam w sobie drugą Emilię, która żyła w zgodzie z sobą, inaczej niż ta pierwsza, uległa. Żebym nie zwariowała.

W mieszkaniu D. nie padały żadne imiona ani nazwiska. Regina operowała przezwiskami: „czarownica", „farbowany", „gruźliczka", „sowa", „szczotka". Emilia była „dodatkową miotłą do zamiatania".

Emilia deklamuje, że chce zabić panią

Każdego wieczora po dziewiątej Regina zapalała świeczkę w łazience i siadała na wannie, a Emilia ściągała jej spodnie, potem skarpetki. Regina spinała włosy i pogłębiała „temat dnia". Ten wieczorny seans łazienkowy Emilia w duchu nazywała „modlitwą". Trwał około godziny.

Często właśnie wtedy, stojąc na baczność przed panią, Emilia musiała powtarzać formułkę: „Przyjechałam, żeby panią zabić". Powtarzała ją tak długo, aż Reginie odpowiadał ton i wyraz oczu Emilii. Ciekawe, czy Regina to też nagrywała?

Przed snem Emilia podawała pani wodę do popicia „tabletki przeciwlękowej", potem stawała w drzwiach sypialni i recytowała do leżącej w łóżku

Reginy: „Drzwi zamknięte, kominek wygaszony, telewizor wyłączony, żaluzje zasłonięte, gaz sprawdzony".

Kiedy Emilia mi to powtarza, przymyka oczy, a jej głos staje się niski i ostry.

– Potem szłam spać, ale nie wiem, czy spałam – mówi.

Kiedy Emilia przyszła z policją po rzeczy, Regina zapytała ze smutkiem: „Jak mogłaś mi to zrobić? Byłam dla ciebie taka dobra i wyrozumiała".

Emilii żal Pani

Emilia pakowała rzeczy i znów drżała, by „sen się nie skończył". Myślała, że żal jej „tej jędzy". Myślała o dzieciństwie Reginy, o jej nienawiści do matki i ciotki. „Pluję na ich groby!" – powtarzała w kółko Regina.

Regina opowiadała Emilii o swojej samotności. Od dziecka nie miała koleżanek. Ciotka zakazała jej przyjaźni „ze slamsem". Dzieciaki krzyczały za nią: „ge-sta-pó-wa!" albo „es-es-man-ka!". (Te przezwiska Regina pomijała w swych opowieściach. O nich pamięta miasteczko N.).

Emilii skarżyła się, jak tuż po wojnie do jej domu w N. przyjechała niemiecka rodzina z dzieckiem i ciotka położyła chłopca w jej łóżeczku. Renia tupała i płakała, ale Cecylia wyciągnęła ją i na jej poduszce ułożyła jasną główkę małego Niemca. Wtedy Renia zacięła się na długie dni. Po pięćdziesięciu latach wspominała: „Nigdy nie wybaczyłam ciotce tego hitlerowskiego bękarta w moim łóżeczku".

W zimowe niedziele ciotka wkładała kapelusz, ubierała siostrzenicę w ulubione paltko obszyte futerkiem, brała za rękę i defilowały do kościoła. Po drodze miasteczko kłaniało się Cecylii. Regina nie mogła tego znieść. Po każdym „dzień dobry" zostawała krok z tyłu i pokazywała język. Gdy ciotka to odkryła – odebrała jej ulubione paltko.

Wieść gminna martwi się o Antonia

W Serra San Domenico mówią, że we krwi Antonia P. lekarze wykryli arszenik. I że to trucizna jest przyczyną jego tajemniczej choroby. Antonio macha ręką. Nie chce tego komentować.

– Ja sobie poradzę, gorzej, jeśli to prawda, co mówią w mieście: że u niej jest nowa Polka.

Imiona i nazwiska głównych bohaterek reportażu oraz nazwa miejscowości we Włoszech zostały zmienione.

„Magazyn", dodatek do „Gazety Wyborczej",
nr 142, 20.06.1997 i nr 148, 27.06.1997

1998

Michał Matys (ur. 1966)

Trzeba patrzeć na ręce

Król powietrza to reportaż o odkurzaczu, który umie zbawić ludzkość.

Dla Michała Matysa jest to opowieść o tym, jak groteskowy był w latach dziewięćdziesiątych kapitalizm i jak atakował Polaka. „A ja lubię groteskę i tego rodzaju poczucie humoru" – mówi autor. Reportaż ten był odskocznią od tego, czym Matys zajmuje się na co dzień, a więc od biografii najbogatszych Polaków. O tych, którzy liczyli się w latach dziewięćdziesiątych, wydał książkę *Towarzystwo* (2003).

Adam Michnik napisał, że Matys znakomicie patrzy klasie biznesmenów na ręce.

Kiedy czyta się jego reportaże o najbogatszych, imponuje pracowitość reportera, dokładność, rozległość zebranego przez niego materiału i sumienność w prezentowaniu posunięć bohaterów. Ale przy całej swojej staranności i profesjonalizmie nie ma w Matysie żadnej uniżoności wobec milionerów, opisuje ich bez kompleksów. Oto Janusz Michał Szlanta: „Mówi okrągłymi zdaniami, trudno z nich wycisnąć treść. Zza wielkich okularów świdruje wzrokiem"; Jan Kulczyk: „Krzaczaste brwi, bródka i długie, starannie przyczesane włosy nadają mu lekko demoniczny wygląd"; Zygmunt Solorz: „Gdybym spotkał go na ulicy, nawet nie pomyślałbym, że to jeden z najbogatszych ludzi w Polsce"; Ryszard Krauze: „Wygląda bardziej na komandosa niż biznesmana, w czasie rozmowy nie drgnie mu żaden mięsień na twarzy". Reportaż o tym ostatnim i jego mało wtedy znanej firmie Prokom – *Prokom. Wielki szlem* z 1999 roku – wywołał największą awanturę w karierze Matysa.

> Firma ta – opowiada – wygrała przetarg i zaczęła komputeryzować ZUS. Dzięki temu Ryszard Krauze stał się sławny i bogaty. Komputeryzacja kosztowała około miliarda złotych, ale szła opornie. W reportażu ją skrytykowałem. Na włosku zawisła reforma emerytalna, którą wprowadzał rząd Jerzego Buzka. Wkrótce potem redakcja „Gazety Wyborczej" wysłała mnie na konferencję prasową, na której milioner zapewniał, że system informatyczny ZUS działa bez zarzutu. Zapytałem go, czy kłamią członkowie rządu, którzy mówili o kłopotach. „To pan kłamie, panie Matys!" – zaczął krzyczeć Krauze. Pisałem o nim potem kilkakrotnie, ale do dziś unika mnie jak ognia. W 2007 roku Krauze sprzedał Prokom. Ogarnęła go gorączka ropy naftowej, której do dziś szuka w Kazachstanie.

Na pytanie, co jest najtrudniejsze w pisaniu reportaży o tuzach biznesu, Michał Matys odpowiada:

> Z milionerami naprawdę trzeba się namęczyć. Trudno ich skłonić, aby powiedzieli coś interesującego i autentycznego. Reporter jest ostatnią osobą, której milioner zamierza się zwierzyć. Każdy próbuje zachować dla siebie sposób, w jaki doszedł do wielkich pieniędzy. Dlatego reporter jest skazany na zbieranie setek informacji od innych ludzi. Jak z puzzli musi ułożyć z nich prawdziwą historię milionera. To zajmuje mnóstwo czasu i energii. Przypomina pracę detektywa lub jeszcze bardziej analityka.

Może dlatego z taką przyjemnością napisał zamieszczony w tej antologii reportaż o odkurzaczu – nie wymagał długiej detektywistycznej pracy.

Michał Matys był w latach 1991–2004 reporterem „Gazety Wyborczej". Pochodzi z Łodzi, skończył tam archeologię. Do lokalnego oddziału „Gazety Wyborczej" przyszedł z ogłoszenia. Uznano, że jako archeolog idealnie nada się do opisywania łódzkich zakładów włókienniczych, w których w czasach PRL-u nic się nie zmieniło od XIX wieku. W 1993 roku otrzymał nagrodę Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich za reportaże o odradzającym się w Łodzi kapitalizmie: *Kto szyje, wyżyje* (o szwaczkach masowo pracujących na czarno) oraz *Targowisko namiętności* (o wielkich bazarach odzieżowych, które powstały pod Łodzią). Do dzisiaj często pisze o Łodzi. Poświęcił jej książkę *Łódzka fabryka marzeń* (2011), opisującą historię miasta i ludzi, które je tworzyli, od XIX wieku po czasy współczesne.

W latach 2007–2009 współpracował z Telewizją Polską, zrealizował dziewięcioodcinkowy serial dokumentalny *Zagadki tamtych lat* o absurdalnej rzeczywistości PRL-u. Odcinek *Kto pokazał tyłek Jaroszewiczowi?* otrzymał nagrodę Grand Press za najlepszy reportaż telewizyjny 2009 roku, a *Co się stało z polskim Billem Gatesem?* (wyreżyserowany przez Piotra Lipińskiego, patrz s. 855) dostał w tym samym roku nagrodę prezesa Stowarzyszenia Filmowców Polskich.

Od 2013 roku Matys znów pisze o wielkich biznesmenach do „Gazety Wyborczej".

Król powietrza

– Mamy do czynienia z niebiańskim urządzeniem, które robi dla nas wszystko, a lada chwila przemówi. Pochodzi prosto ze snu Polaków o Ameryce – mówi doktor Bogusław Kwarciak, psycholog.

Ukryła go wśród ubrań. Wiedziała, że mąż jej nie wybaczy. Postanowiła wyznać mu ten grzech w dogodnym momencie. Po tygodniu mąż zajrzał do szafy.

– Wyrzuć go, bo nie mam gdzie wstawić butów – powiedział.

Marta B. wpadła w panikę. Skłamała, że odkurzacz pożyczyła od siostry. Dopiero po pół roku przyznała się, że kupiła go od akwizytora za sześć tysięcy złotych.

Odkurzacze Rainbow (z angielskiego „tęcza") produkuje amerykańska firma Rexair („król powietrza") z Michigan. Sprzedają je domokrążcy na całym świecie. W Polsce osiągnęli jeden z największych sukcesów w Europie.

Rozmasuje ci plecy

Odkurzacz Marty B. podzielił rodzinę. Mąż go nienawidzi. Kosztował połowę tego, co auto. Raty za „malucha" już spłacili, odkurzacz będą spłacać jeszcze dwa lata.

Marta wierzy w to, co powiedział akwizytor.

– To nie jest zwykły odkurzacz. Ta maszyna pomaga ludziom w życiu. Pracowali nad nią inżynierowie z amerykańskiej agencji kosmicznej NASA. Ma tyle zastosowań, ile tęcza barw.

Odkurzacz przypomina małego robota z *Gwiezdnych wojen* Lucasa. Gdy pracuje, buczy tak głośno, że nie da się rozmawiać. Ma cztery kółka, zbiornik na wodę, dwie szczotki z własnym napędem: wielką do trzepania dywanów i małą do czyszczenia foteli.

– Akwizytor nazywał je „murzyn" i „murzynka". Zapewniał, że wykonają za mnie wszystkie prace – opowiada Marta B. – Założył „murzynkę" i zaczął mi nią jeździć po plecach. Przekonywał, że nadaje się do masażu.

Do zbiornika z wodą można wlać kilka kropelek olejku eukaliptusowego. Odkurzacz zamienia się wtedy w inhalator i usuwa katar.

Latem wrzucamy do wody kostki lodu – mamy klimatyzator. Zimą nalewamy wrzątku – mamy grzejnik.

Marta B. boi się panicznie, że mąż sprzeda odkurzacz bez jej wiedzy.

Pokona bestię z tapczanu

Do mnie też przyjechał akwizytor. Młody, w garniturze, z dwoma pudłami. Na początek pokazał mi obrazek. Był na nim wielki, ohydny pajęczak z włochatymi nogami. Jego gęba szczerzyła kły.

Był to roztocz.

– Ma pan ich w domu miliony. Wczepiają się w fotele, dywan, nawet w pościel – wyjaśnił.

Zerknąłem na swój tapczan.

– One nie gryzą – uspokoił mnie akwizytor. – Ale robią kupy. Naukowcy policzyli, że jeden gram kurzu zawiera ćwierć miliona ich kup. Większość ludzi jest na nie uczulona. Niektórzy zapadają na astmę, inni mają złe samopoczucie. O tym się nie mówi. A to są fakty!

Wyjął z pudła lampę i zaczął walić ręką w mój tapczan.

– Proszę patrzeć pod światło. W kurzu fruwają odchody roztoczy. A jak tam z pańskim zdrowiem? Nie kaszle pan, a może kicha? – zainteresował się. – Domowe powietrze z odchodami roztoczy może być bardziej niebezpieczne od spalin na dworze. Odkrył to w Ameryce wybitny alergolog doktor Alfred Zamm! Zwykle zaczyna się niewinnie od bólu głowy, potem ma pan mdłości, a kończy się...

Zawiesił głos i obwieścił:

– Ale Amerykanie to mądry naród. Wymyślili rainbow. To urządzenie łapie roztocze i usuwa ich kupy.

Zacząłem się poważnie zastanawiać nad zakupem.

Dokona zabójstwa

Antoni G. jest przekonany, że rainbow „uratował mu życie". Trzydziestoletni dyrektor firmy reklamowej cały dzień spędzał w biurze.

– Gdy wracałem do domu, padałem na łóżko i chorowałem – opowiada. – Bolała mnie głowa. Nie nadawałem się do niczego. Lekarze nie potrafili mi pomóc.

Pewnego dnia lekarka z przychodni zaproponowała mu wizytę akwizytora firmy Rexair. Antoni odkrył wtedy przyczynę dolegliwości.

Akwizytor „zdemaskował" stary odkurzacz państwa G.

– Nazwał go zakurzaczem – mówi z przejęciem Antoni. – Kazał go włączyć i podświetlił lampą. Zobaczyliśmy, jak kurz wylatuje z tylnego otworu naszego odkurzacza, unosi się w górę i rozprasza po pokoju.

– Fachowo mówimy na to „zabijanie starego odkurzacza" – wyjaśnia mój znajomy akwizytor.

Antoni G. wyrzucił stary odkurzacz i kupił rainbowa. Twierdzi, że po powrocie z pracy do domu jest w doskonałej formie.

Wyssie kluczyki i upije gości

Pani Ewa Z. mówi o swoim odkurzaczu „mój najlepszy przyjaciel".

– Przepycha mi zlew, zbiera rozlaną wodę, nadmuchuje materac i wysysa powietrze z poduszek, aby zajmowały mniej miejsca w szafie. Gdy tylko go zobaczyłam, poczułam, że muszę go mieć. – Na wspomnienie wizyty akwizytora lekko się rumieni.

Ewa Z. jest biologiem na emeryturze. Czystość jest dla niej sprawą honoru, a akwizytor udowodnił, że wersalka w salonie była brudna. Woda w zbiorniku odkurzacza zamieniła się w błoto z czarną pianą.

– Pomyślałam sobie: „Co tam! Najwyżej nie pojadę na wczasy na Majorkę" – mówi pani Ewa.

Akwizytor przekonywał, że odkurzacz może przydać się także mężczyźnie. Opowiedział, jak kluczyki do auta wpadły mu do studzienki kanalizacyjnej. Pobiegł po rainbowa, a ten natychmiast je wyssał.

Odkurzaczem można nawet upić gości. Wystarczy wlać setkę do zbiornika, włączyć silnik i poczekać pięć minut, aż nawdychają się oparów alkoholu.

– Ta maszyna za głośno warczy – krzywi się mąż pani Ewy.

– Za to ma złotą śrubkę w wirniku – przerywa mu pani Ewa.

Stworzy łańcuszek szczęścia

Roman Sacha, szef biura Rainbow, które sprzedaje najwięcej odkurzaczy w Warszawie, przypomina pastora: czarny strój, przenikliwy wzrok, łagodny głos. Odmawia rozmowy.

– Nie zabiegamy o reklamę w mediach. Ludzie sami zapraszają nas do domów.

Ci, którzy kupili odkurzacze, zwykle namawiają znajomych do spotkania z akwizytorem. Jeśli zorganizują takie spotkania, dostaną w prezencie dodatkowe wyposażenie.

Antoni G. dostał szczotkę do prania dywanów (podobno jest warta kilkaset złotych). Była nagrodą za to, że namówił na spotkanie cztery rodziny, a dwie z nich kupiły odkurzacze.

Marta B. wysłała sprzedawcę odkurzaczy do sąsiadów w bloku. Zgodzili się go przyjąć, ale wyrzucili za drzwi, gdy po godzinie zdradził cenę.

Ewa Z. zaklina się:

– Naprawdę się starałam. Ale nie znalazłam nikogo wśród znajomych, kto poświęciłby się dla mnie. Nikt nie chciał zobaczyć odkurzacza.

Wyśle do Rio

Na rozmowę ze mną godzi się akwizytor, który niedawno zmienił pracę. Mimo to prosi o anonimowość.

– Proszę nie nazywać nas akwizytorami! Jesteśmy prezenterami – oburza się. – Akwizytor to ktoś, kto puka od drzwi do drzwi, a my przychodzimy tylko do wybranych.

Przed pięciu laty rzucił dla odkurzaczy państwową posadę.

– Sprzedaż bezpośrednia w domu klienta to wyzwanie naszych czasów. Moda na nią przyszła z Ameryki. Ludzie w Polsce mają pieniądze! Gdyby pan widział, kto kupuje odkurzacze. Pamiętam dom, który nie różnił się od stodoły, i faceta w gumiakach, który wyciągnął gotówkę z kieszeni – opowiada.

W końcu 1995 roku sprzedawano w Polsce ponad cztery tysiące odkurzaczy Rainbow miesięcznie. Przeglądam wewnętrzną gazetkę Rainbow. Czytam, że prezenterzy odkurzaczy to jedna wielka rodzina. Zwraca się do nich Elżbieta Granowska, szefowa firmy w Polsce: „W Rainbow nie ma rzeczy niemożliwych. Na stronach tej gazety są wyłącznie ludzie sukcesu, którzy realizują swoje marzenia".

Dalej zdjęcia nagrodzonych za największą sprzedaż. Podpisy: „Pan X zażywa kąpieli słonecznej na Wyspach Kanaryjskich", „Pan Y z żoną w Rio de Janeiro", „Pan Z dostał Złotą Lampę (trzyma tylko pozłacaną rączkę) do demaskowania starych odkurzaczy".

Uwiedzie lekarza

Zapytałem lekarzy, czy przepisaliby alergikom rainbow na receptę.

– Wino lub piwo także przepisuje się chorym. Dlaczego nie odkurzacz? Można potraktować go jako urządzenie do zwalczania roztoczy i sprzedawać w sklepie medycznym – pokpiwa Piotr Rapiejko, kierownik Ośrodka Badania Alergenów Środowiskowych w Warszawie.

Według niego żaden odkurzacz nie da gwarancji całkowitego usunięcia roztoczy z materiału. Zabija je pranie w temperaturze sześćdziesięciu stopni Celsjusza lub zamrożenie poniżej minus dwudziestu stopni.

– Rainbow zyskał sławę, bo to pierwszy odkurzacz na naszym rynku o dużej sile ciągu. Ale wydaje mi się, że wiele innych jest równie skutecznych. Znajomym polecam odkurzacze Zelmera. Najdroższy z nich, Wodnik, jest kilkakrotnie tańszy od odkurzacza Rainbow – dodaje Piotr Rapiejko.

Inny lekarz mówi:

– Zamiast odkurzacza za sześć czy siedem tysięcy złotych wolałbym zatrudnić sprzątaczkę na dwa lata. Ale pod nazwiskiem tego nie powiem. Nie chcę się narażać kolegom, którzy polecają rainbow.

– W samej Ameryce różnie pisze się o rainbow. Czytałem w magazynie konsumenckim „Consumer Reports" z 1993 roku, że nie łapie jakichś pyłków – mówi z satysfakcją Grzegorz Darłak, szef marketingu w rzeszowskim Zelmerze. – Nasze odkurzacze są najlepsze, bo mają podwójne filtry. Zatrzymują nawet wirusy. Może nie wszystkie, ale te większe – zapewnia.

Dla potwierdzenia przysyła faksem opinię Politechniki Rzeszowskiej, że użyte przez Zelmera filtry „usuwają wirusy ospy, grypy i prawdopodobnie część większych cząstek wirusów pryszczycy bydła".

– Wszystko polega na sztuce sprzedaży – uważa szef marketingu rzeszowskiego Zelmera.

Zrobi cię bogaczem

Psycholog doktor Bogusław Kwarciak z Uniwersytetu Jagiellońskiego, który specjalizuje się w oddziaływaniu reklamy na ludzi, zetknął się z odkurzaczem Rainbow w czasie pobytu w Stanach Zjednoczonych. Za wycieraczką samochodu znalazł ulotkę z obietnicą prezentu: pięciu kilogramów szynki lub kompletu noży kuchennych za spotkanie ze sprzedawcą.

– Nie zdajemy sobie sprawy z tego, jaką siłę ma sprzedaż bezpośrednia.

Według niego Polacy pamiętają ekspedientki sprzed dziesięciu lat, które z pogardą patrzyły zza lady na klientów. Dlatego akwizytorzy odnoszą u nas sukcesy.

– Rainbow to szczyt osiągnięć amerykańskiego wzornictwa lat pięćdziesiątych, epoki robotów kuchennych. Przeznaczony dla klasy średniej. Mnie przypomina skrzyżowanie typowego amerykańskiego produktu z nocnikiem. Ale jest elementem snu Polaków o zasobnej Ameryce, w którym spełniają się marzenia – twierdzi Bogusław Kwarciak.

Doktor Kwarciak uważa, że sprzedawcy celowo tworzą całą „mitologię" wokół odkurzacza. Ktoś, kto go kupuje, wchodzi do elitarnego klubu posiadaczy.

– W Polsce pojawił się nowy styl życia. Ludzie się dorabiają. Ale człowiek nie czuje się bogaty, póki nie kupi tego, co według niego kupiłaby osoba bogata. Z czasem przedmiot, na który wydaliśmy dużo pieniędzy, nabiera dla nas cech magicznych. Sami będziemy przekonywać siebie o tym, że wprowadził rewolucję w naszym życiu. Tu mamy do czynienia z niebiańskim urządzeniem Tęcza, które robi dla nas wszystko, a lada chwila przemówi.

Ale narazi cię na opory moralne

Prezenterzy odkurzacza Rainbow spotykają się co jakiś czas na ogólnokrajowych mityngach.

– Można dobrze zjeść i posłuchać, jak inni przekonują klientów. Słyszałem, jak ktoś opowiadał, że amerykańscy astronauci używali węża od rainbow jako przewodu tlenowego. Podobno to chwyciło – wspomina były prezenter.

Zrezygnował jednak ze sprzedawania odkurzaczy, bo „zaczął mieć opory moralne".

– Rainbow to naprawdę bezkonkurencyjne urządzenie. Ale stało się zbyt drogie. Cena wzrosła do siedmiu tysięcy złotych. Trzeba stanąć na głowie, aby pokonać opór klienta! – mówi.

Pozostał prezenterem, ale przerzucił się na inne odkurzacze. Też amerykańskie, ale tańsze.

„Magazyn", dodatek do „Gazety Wyborczej",
nr 207, 4.09.1998

1998

Wojciech Tochman (ur. 1969)

Nie ma reportażu bez wyobraźni

Przeczytałem niedawno zdanie: „Nim Wojciech Tochman zaczął pisać o świecie (Bałkany, Rwanda, Filipiny), był reporterem krajowym". Nie mogę się z tym zgodzić. Słowo „krajowy" sugeruje, że zajmował się problemami transformacji ustrojowej czy polską prowincją. A on w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych pisał najwyższej jakości reportaże o ludziach w sytuacjach najtrudniejszych. Uniwersalne, ponadczasowe opowieści, które w ówczesnym polskim reportażu nie miały konkurencji. Nie jest istotne, że działy się w Polsce. Istotne, że wywoływały w czytelniku silne emocje. Pamiętam, jak w samolocie do Włoch czytałem reportaż *Przez pragnienie* o chłopcu, który urodził się, by być świętym, i zginął w trzęsieniu ziemi pod freskami Giotta w Asyżu, nim świętym został. Tekst ukazał się najpierw w „Magazynie", dodatku do „Gazety Wyborczej", dla którego Tochman napisał wszystkie swoje najlepsze reportaże, a potem w jego debiutanckiej książce *Schodów się nie pali* (2000). Czytając, pomyślałem, że ten reportaż jest tak piękny, iż nadawałby się na ostatni tekst mojego życia, gdyby samolot właśnie spadł.

Myślę, że dwadzieścia lat wcześniej podobne emocje wywoływał swoimi reporterskimi opowieściami Andrzej Mularczyk (patrz s. 351). Z tym że w przeciwieństwie do Mularczyka Tochman używa mniej słów. Nazwałem to kiedyś „pisaniem żyletką".

„Są w tych historiach jakieś zdumiewające tajemnice, które autor stara się odkryć" – zauważył Ryszard Kapuściński, omawiając *Schodów się nie pali*, z której pochodzi także prezentowany tutaj reportaż *Czekam pod adresem: Berlin*. Powstał w ramach międzynarodowych warsztatów Ryszarda Kapuścińskiego, organizowanych przez Open Society Institute. Tochman był jedynym Polakiem wśród stypendystów. Wszyscy mieli pół roku na pracę i stypendium na pokrycie kosztów.

Schodów się nie pali była pierwszą książką reporterską, która znalazła się w finale Nagrody Literackiej Nike, w jej piątej edycji w roku 2001.

To, że ktoś inny zajmował się wcześniej jego tematem, nigdy Tochmana nie onieśmielało. W *Schodach* napisał o matce Wandy Rutkiewicz, ponieważ obejrzał o niej film, który go nie zadowolił; o zdeformowanym chorobą chłopcu z tytułowego reportażu dowiedział się z wywiadu, którego udzieliła w telewizji jego przybrana matka, ale jego zdeformowanej twarzy telewizja już nie

pokazała, bała się zszokowania widzów; o sprawie Grzegorza Przemyka czytał różne teksty innych autorów; o śmierci dziennikarza Tomasza Beksińskiego pisały wszystkie czasopisma muzyczne.

> Podjąłem się wielu tematów, które były już głośne, ale nie widziałem w tym zagrożenia – tłumaczył. – Wiem, że opowiem je po swojemu. W filmie o Wandzie Rutkiewicz czegoś mi zabrakło i ten brak spowodował, że nabrałem chęci, aby go ustalić i uzupełnić obraz. Często okazuje się, że dziennikarze, którzy pisali wcześniej na te tematy, nie sprawdzili podstawowych faktów, byli mało wnikliwi czy też nie zauważyli jakiejś szczególnej aury otaczającej temat. Bo reporter nie może tylko przyjść i s i ę d o w i e d z i e ć, reporter musi też chłonąć. Tylko że na to nikt dzisiaj nie ma czasu. Ale ja go mam.

Zadebiutował jako licealista reportażem ze szkolnej szatni w tygodniku „Na przełaj" w roku 1987. Nim skończył studia dziennikarskie na Uniwersytecie Warszawskim, już pracował w redakcji. Mieliśmy identyczny start, z „Na przełaj" przeszliśmy w 1990 roku do „Gazety Wyborczej", gdzie najpierw terminowaliśmy u Hanny Krall, a potem przez lata u Małgorzaty Szejnert. Dość szybko Tochman przestał pisać jak szeregowy reporter. Pisał reportaże, ale w sposób natchniony. Tworzył je jak pisarz, nie jak dziennikarz.

Reportaż *Czekam pod adresem: Berlin* o kobietach porwanych z Europy Wschodniej i zmuszanych do prostytucji zaczyna się od konkretnej informacji:

> Kamienica stoi w środku miasta. Kobieta (dziecko raczej), która wchodzi teraz w bramę, nie wie, co to za dom, bo nie wie, co to za miasto. Przyjaciele, z którymi tu przyjechała, zapomnieli jej o tym powiedzieć. Z pewnością jest duże, może nawet metropolia: suną tłumy, migocą barwne światła, szumią pociągi, wyją ambulanse. Ale na jasnej, niedawno chyba odnowionej klatce schodowej panuje spokój i zapach smażonych kotletów.

Zastosowanie czasu teraźniejszego – a nawet dodanie słowa „teraz" przez reportera, który nie obserwował tej sytuacji – nadało reportażowi dynamizm, a nawet pewną filmowość. Czytelnik może mieć wrażenie, że uczestniczy w opisywanej sytuacji, że dzięki zastosowaniu czasu teraźniejszego „tekst ma nerw". W dalszej części reportażu Tochman przytacza wiele szczegółów z mieszkania, do którego weszła bohaterka o imieniu Birute: jest czyste, pomalowane na seledynowo; w pokoju dwa tapczany ustawione przy przeciwległych ścianach; w kuchni zlew z metalowym ociekaczem po prawej stronie, na nim czajnik, kilka szklanek, kubeczek, łyżeczki, w torebkach lipton tea. I tak dalej.

Potem następuje precyzyjny opis widoku z okna, łącznie z kolorami stalowych żurawi, które obserwuje uwięziona bohaterka.

Autor reportażu, jak sam przyznaje, w tym mieszkaniu nie był (czternaście lat temu bardzo dużo o tym tekście przegadaliśmy i zanotowałem naszą rozmowę).

– Ale opis z *Czekam...* sugeruje, jakby reporter szedł z bohaterką po schodach i dokładnie obejrzał kuchnię – mówiłem.

– Nie mogłem być przecież w tym mieszkaniu. Więziono tam kobietę, ofiarę handlu, którą bito i gwałcono. Gdyby był tam reporter, musiałby na to zareagować. Bronić jej, wołać policję. W tym mieszkaniu był narrator. Narrator nie musiał zareagować, aby w tekście z czystym sumieniem opowiedzieć nam, co tam widział. Narrator wie, reporter wszystkiego dowiedział się od bohaterki. Ona wszystko mu opowiedziała. Reporter uporządkował szczegóły i zastosował czas teraźniejszy, ale jest to kwestia formy, a nie prawdy. Dokładnie wypytałem rozmówczynię o drobiazgi. Oczywiście takiej dokładności nie uzyskuje się jedną rozmową. Spotykałem się z nią wiele razy.

– A jeśli pod wpływem tragicznych wydarzeń coś wyparła z pamięci albo pomyliła się w szczegółach?

– W znaczących szczegółach się nie pomyliła. To zweryfikowałem. A reszta? Jakie to ma znaczenie, czy kubek na stole był żółty, czy czerwony?

– Niemniej czytelnik może myśleć, że reporter widział ten pokój.

– Mogłem napisać, że ta kobieta mi to wszystko opowiada, mogłem dodawać do każdego zdania: „opowiada Birute" lub „mówi Birute" albo „dodaje Birute" czy też „kontynuuje Birute", ale czy taka relacja byłaby prawdziwsza? Byłaby z pewnością bardziej nudna, wlokłaby się. Użyłem tylko narzędzi literackich, aby sprawniej opowiedzieć o tym, co się wydarzyło. Niczego nie wymyśliłem, reportaż nie toleruje zmyślenia.

Sporo też dyskutowaliśmy o tym z Beatą Pawlak.

Reporter pisze reportaże, a narrator zamieszkuje w powieści – mówiła pewna swego. – Jeżeli autor wprowadza czytelnika w błąd i ten myśli, że autor był w pokoju, to nie jest to w porządku. Lepiej jest dać czytelnikowi do zrozumienia, że nie było się w tym pokoju, a szczegóły zna się tylko z opowiadania. A jeżeli taki zabieg służy tylko temu, aby w reportażu było ładnie i efektownie, nie aprobuję go.

„Nie można wymagać od reportera, by był tylko dyktafonem, który nagrywa i odtwarza" – odpowiadał Tochman.

Jego poglądy o dopuszczalności kreacji dawno zostały „uprawomocnione". Taka dyskusja odbyła się w Polsce już w latach siedemdziesiątych. Nie chodzi o to, by streszczać fakty, to za mało, żeby być reporterem. Lesław Bajer na łamach „Kontrastów", analizując reportaże Andrzeja Mularczyka, stwierdził, że reporterski zapis zdarzenia zawsze pobudza fantazję kreacyjną. Nie chodzi o zmyślanie. „Pozwala na to, co nazwałbym dookreśleniem gołego schematu zdarzeniowego". Sam Mularczyk, pisząc o dramaturgii reportażu i form scenicznych, nie widział między nimi zbyt wielu różnic. Umieć opowiadać – to stworzyć fabułę. Rekonstruujemy zdarzenia, ale musimy wykreować plastyczne sytuacje, żeby opowiadanie miało siłę. Bohater opowiada, a reporter musi to sobie wyobrazić.

W ten sposób dochodzimy do cechy, którą powinien mieć reporter: wyobraźni. Pisał o niej Czesław Niedzielski w haśle „Reportaż" w *Słowniku literatury polskiej xix wieku*:

> Mimo pozornej zależności reportera od faktów nie może on podchodzić do nich biernie jako do zastanych [...]. Niezbędność wyobraźni jest podobna jak w literaturze beletrystycznej. Zdarzenie należy sobie wyobrazić, wymyślić je niejako w jego prawdopodobnym zarysie, by móc je odtworzyć.

Jedno jest pewne: bez wyobraźni Tochmana prawdziwe fakty z życia dziewcząt uwięzionych w berlińskim mieszkaniu by nie zaistniały.

Czekam pod adresem: Berlin

1

Kamienica stoi w środku miasta. Kobieta (dziecko raczej), która wchodzi teraz w bramę, nie wie, co to za dom, bo nie wie, co to za miasto. Przyjaciele, z którymi tu przyjechała, zapomnieli jej o tym powiedzieć. Z pewnością jest duże, może nawet metropolia: suną tłumy, migocą barwne światła, szumią pociągi, wyją ambulanse. Ale na jasnej, niedawno chyba odnowionej klatce schodowej panuje spokój i zapach smażonych kotletów. Kobieta, która teraz jest na pierwszym piętrze, nie wie, dokąd idzie. Nie wie też, kim jest mężczyzna obok: ma około trzydziestki, twarz bez wyrazu, może metr siedemdziesiąt wzrostu, ciemne włosy i jeszcze ciemniejsze oczy. Nie rozmawia z nią. On wie, dokąd wspólnie idą. Na trzecie piętro: drzwi po prawej stronie, numer 12.

Mężczyzna otwiera najpierw dolny, potem górny zamek. Wewnątrz jednopokojowego mieszkania: inna młoda kobieta. Chyba niczym niezajęta, niczym poza czekaniem. Ale nie uśmiecha się na powitanie. Teraz okazuje się, że mężczyzna mówi łamanym rosyjskim, a raczej wtrąca rosyjskie słowa w niemieckie zdania.

– Jak żyjesz? – pyta młodą kobietę, która dotychczas czekała w zamknięciu.

– Żyję.

– To dobrze. Jest nowa koleżanka. Jak masz na imię? – zwraca się teraz do tej, z którą przyszedł.

– Birute.

– Nie, teraz twoje imię Sabina. Ja – Mesut. To – Steffi.

– Z Litwy jesteś? – Steffi pyta po rosyjsku.

– Tak, z Kłajpedy.

– Ja spod Mińska.

To jedyna informacja, jaką Birute (od dziś Sabina) usłyszała od Steffi. Nigdy nie dowiedziała się, jak brzmi jej prawdziwe imię (nazwiska w tym świecie nie istnieją). Ani kiedy, dlaczego i jak tutaj przyjechała. Nie dowiedziała się, bo najpierw do drzwi zapukało dwóch mężczyzn, potem Mesut wziął ją za rękę i wyszli na schody. Steffi została z tamtymi, zamknęli się na niecałą godzinę. Mesut milczał. Spacerował wzdłuż piętra, czasem przykładał ucho do drzwi, częściej przyglądał się Birute: jej drobnej figurze, jasnej cerze, niewielkim

piersiom ukrytym pod skromną bluzką bordo z długimi rękawami, wąskim spodniom opinającym pośladki. I jej rozgadanym ustom:

– Słuchaj, to jakaś pomyłka. Nie rozumiem, dlaczego moi kumple kazali mi z tobą iść. Co tu się dzieje? Dlaczego mówisz na mnie Sabina? Co ci faceci robią za tymi drzwiami? Powiedz coś! Kiedy pojadę do tych państwa, u których miałam sprzątać? Jak masz na imię, zapomniałam.

– Mesut.

– Mesut, słuchaj, jestem zmęczona. Gdzie są moi kumple? Przejechałam tyle kilometrów, chciałabym się gdzieś położyć, a nie sterczeć pod drzwiami.

Drzwi się otwierają. Tamci dwaj odchodzą, Birute szuka wzrokiem Steffi. Słyszy: najpierw górny, potem dolny zamek. Steffi wychodzi z łazienki.

– Powiedz mi – prosi Birute – co tu jest grane? Gdzie on poszedł? Dlaczego nas zamknął?

– Śpij, Sabina. To jest twoje łóżko.

Birute budzi się następnego dnia, tuż przed południem. Najpierw potrzebuje chwili, żeby zorientować się, gdzie jest. Potem następnej chwili, by zrozumieć, że siedzi tu sama. Kolejnej – że jest zamknięta. Następnej, by poczuć niepokój. Wielu miesięcy, by rozmyślać o Steffi: kim była i gdzie zniknęła. I o kumplach z Litwy: skurwysyny!

Ale na razie Birute jest głodna. Rozgląda się po mieszkaniu. Jest czyste, pomalowane na seledynowo. W pokoju dwa tapczany ustawione przy przeciwległych ścianach (ten, na którym spała, jest niewygodny, ma góry i doliny). Na środku dwa podniszczone fotele, jeden inny niż drugi. Tyle. I w kuchni nie za ciasno: zlew z metalowym ociekaczem po prawej stronie. Na nim czajnik, kilka szklanek, kubeczek, łyżeczki, w torebkach lipton tea. Obok zlewu – taboret. Ot, cały wystrój. Przez okno pokoju i okno kuchni (żaluzje między szybami) widać to samo: ślepą ścianę sąsiedniej kamienicy. Nad jej dachem – na tle nieba – las wysokich dźwigów. Jakiś gigantyczny plac budowy w samym centrum dużego miasta. Ale Birute widzi tylko ramiona stalowych żurawi. Jedno, drugie, dziesiąte. Niebieskie, zielone, pomarańczowe. Każde zwrócone w inną stronę, każde porusza się swoim tempem i rytmem. Ale żadne się nie spieszy. Są ślamazarne, nudne – zauważa Birute i po kilku godzinach odchodzi od okna. Ciągle czuje ssanie w żołądku (z niepokoju? z głodu?), pije dziesiątą herbatę.

Dopiero wieczorem usłyszy klucz najpierw w dolnym, potem w górnym zamku.

2

Kamienica w środku Wilna. Na drugim piętrze w wynajętym wąskim i długim pokoju siedzą trzy kobiety – wszystkie około sześćdziesiątki. Każda ze swoją historią. Córka Jeleny Z. – Vida (lat dwadzieścia osiem, studentka historii) – cztery lata temu wyjechała w polskie Tatry. Wiadomo, że przekroczyła granicę litewsko-polską i dojechała do Zakopanego. Była tam widziana. I była widziana na górskim szlaku. Jednak wiele wskazuje, że nie zaginęła w górach. Tak przynajmniej wydaje się Jelenie Z., która pierwsza zrozumiała, że nikt tu na Litwie nie pomoże jej w poszukiwaniach dziecka.

Niedługo potem zrozumiała to Krystyna R., której córka – Edyta (lat dwadzieścia, krawcowa) – wyszła do sklepu i przepadła bez śladu. Tylko dzięki uporowi Krystyny R. jej dziecko po kilku miesiącach wróciło do domu.

Jelena Z. (smutna, szara) i Krystyna R. (smutna, ale ze szminką na ustach) często wypowiadały się w wileńskich mediach. Pokazywały zdjęcia swoich córek i innych młodych kobiet. Opowiadały, że założyły Centrum Wspierania Rodzin Osób Zaginionych. Ostrzegały młode kobiety przed podróżą w nieznane. Mówiły, że od kilku lat, po otwarciu granic, litewskie dziewczyny są sprzedawane, zniewalane i zmuszane do prostytucji.

Do Centrum zaczęły zgłaszać się rodziny zaginionych dziewcząt. Jelena Z. i Krystyna R. radziły szybkie rozwiezienie zdjęć po wszystkich posterunkach granicznych. I tak robią do dzisiaj, bo litewska policja wciąż nie ma możliwości, by błyskawicznie rozesłać fotografie (potwierdza to komisarz Ignoris Ksendzovas z Departamentu Policji MSW odpowiedzialny za szukanie zaginionych). Kobiety z Centrum Wspierania (dotowanego przez rząd Litwy oraz różne fundacje) same dzwonią na policję, do Interpolu, do litewskich konsulatów w Niemczech, Holandii, Polsce, Izraelu. Pytają o: Tatianę A., Vilmę B., Janinę F., Aushrę G., Ilvę B., Jelenę G., Dżulietę B., Valentinę B., Birute I., Mariję J., Galinę I., Alinę J., Inetę K., Sigitę K., Vidę K., Daivę K., Monikę M., Ingridę L., Oksanę P., Sneżanę O., Birute R., Rutę S., Galinę V. itd.

O Centrum Wspierania usłyszała Marta C., wdowa od osiemnastu lat, której jedyna córka przed kilkoma miesiącami zmarła na białaczkę. Marta C., z zawodu fizyk, była przeświadczona, że zaginione dziewczyny znikają, bo same tego chcą.

– Boga się nie boją – tak mówiła.

Ale Marta C. nie lubiła swego opustoszałego mieszkania, więc poszukała Jeleny Z. Opowiedziała jej o chorobie i śmierci córki. Jelena Z. przytuliła ją.

– Przyjdź do nas, zobaczysz, że nie ty jedna cierpisz. Twój ból razem z naszym na coś może się przydać.

Kobieta w żałobie postanowiła spotkać się także z Krystyną R. Ta opowiedziała jej o tych strasznych rzeczach, które przeszła jej córka, zanim wróciła do domu.

Krystynę R. poznała cała Litwa: pulchna ekonomistka na emeryturze, zawsze umalowana, w kapeluszu, mężatka, matka dwudziestoletniej Edyty i młodszego syna. W gazetach i w telewizji wielokrotnie prosiła o oddanie córki. Płakała przed kamerami, w światłach reflektorów nieraz rozmazał się jej makijaż. Ale nikt się nie ulitował, żadnych sygnałów, tropów, informacji.

Edyta, według tego, co myśli matka, nie uciekła z domu dobrowolnie. Za tchórzliwa jest na to, za powolna. Przez całe życie pojmowała wszystko wolniej niż jej rówieśnicy. Jest łatwowierna, wiele można jej wmówić. No i ładna, wysoka, zgrabna, rudowłosa.

Krystyna R. często odwiedzała policję.

– Szukamy – odpowiadali. Za każdym razem: – Szukamy.

W końcu zrozumiała, że nie może liczyć na policję. Ani na swojego męża.

– Z tej niemocy – mówi – on się tak skulił, zamknął, ścichł. Silny człowiek, a bezradny. Potem nawet pracować nie mógł, i ubrać się, i zjeść. Dlatego – twierdzi Krystyna R. – w Centrum Wspierania pracują kobiety. Mężczyzna prędzej dostanie zawału, niż znajdzie swoją córkę. Prędzej się zgodzi na jej powrót w trumnie niż na tę dręczącą niewiadomą. I na pytania bez odpowiedzi: czy i jak cierpi? czy jeszcze wie, kim jest? czy nie głodna? czy ubrana? gdzie? w czyich rękach? przez kogo dręczona? dlaczego? czy pohańbiona?

Jeśli wierzyć Krystynie R., kobieta zniesie wszystko, żeby doczekać powrotu żywego dziecka. Choć i jej złe myśli przewalają się po głowie: jaka trumna? jaka bluzka? jaka spódnica? jakie buty?

Krystyna R. mogła liczyć na swoją starą matkę, od wielu lat przykutą do łóżka. Najpierw ukrywała przed nią zaginięcie wnuczki, bała się łez matki.

– Bo kiedy matka płacze – mówi Krystyna R. – nie ma już żadnej nadziei, tylko żałość.

Ale sparaliżowana kobieta zaczęła się dopytywać:

– Gdzie Edyta?

– Wyjechała – odpowiadała Krystyna R. i szybko szła do kuchni.

– Ja wiem, że ona zginęła – usłyszała po kilku tygodniach.

– Mamo...

– Nie przerywaj mi. Ja wiem, że ona zginęła. Ale ty jesteś dobra dla ludzi, a Bóg sprawiedliwy. Krzywdy ci nie zrobi.

Żadnej łzy.

Za kilka dni Krystyna R. odbierze ważny telefon.

3

Wieczór. Birute słyszy klucz w zamku dolnym, potem w górnym. Wierzy, że to te skurwysyny z Litwy.

– Witaj, Sabina – mówi mężczyzna, który wczoraj ją tu zamknął. – To moi koledzy. Zrób nam herbatę.

– Słuchaj... jak ty masz na imię, znowu zapomniałam.

– Mesut.

– Słuchaj, Mesut! Ja nie żartuję. Wychodzę!

Birute idzie w stronę drzwi. On łapie ją za bluzkę (tę samą: bordo, z długimi rękawami, w której przyjechała z Litwy), przewraca na podłogę, strzęp bluzki zostaje mu w rękach. Bije w twarz.

– Herbata!

Birute idzie do kuchni (pierwsze ustępstwo, tak właśnie ma być). Płacze i nalewa wodę do elektrycznego czajnika. Za nią staje jeden z kolegów Mesuta. Mówi coś pieszczotliwie, ona nic nie rozumie. Dotyka ją. Najpierw buzi. Ze współczuciem, jakby się zmartwił mocnym ciosem Mesuta. I mocno ściska jej pierś.

Nie zdążyła zrobić herbaty, już jest w pokoju, już się musi rozbierać przed trójką czarnowłosych mężczyzn.

– Nie tak – drwi Mesut. – Najpierw góra.

– O tak! Będziesz dobra w striptizie – mówi ten, który do tej pory się nie odzywał. Ale dziewczyna i tak go nie rozumie, tylko płacze.

To, co dzieje się później, ma swoją nazwę: ujeżdżanie. Pierwszy, który ujeżdża, dziwi się, że z Birute leci krew.

Błysk flesza. Drugi uczy ją, co to francuz. Flesz. Mężczyzna niecierpliwi się:

– Nie tak!

Teraz Mesut. Najbardziej okrutny, nie przeszkadza mu krew. Flesz. Birute krzyczy, szamocze się, wije. Mesut bije po twarzy. Zdejmuje buty, teraz czarne błyszczące skarpetki. Jedną wkłada jej w usta, drugą w pochwę.

– Chyba jesteś głodna. – Śmieje się i wyjmuje z torby paczkowane bułki i kawałek sera. – Zjedz, to będzie ciężka praca.

Teraz Mesut sięga po klucze.

– Będziesz hałasować, to sprzedam cię jednemu Arabowi – ostrzega. – On ci pokaże, co to seks. Wstawi cię na Stuttgarter Platz. Zarżną cię tam na śmierć.

Mężczyźni wychodzą. Zamek dolny, zamek górny (niestety, nie da się ich otworzyć spinką do włosów, o czym Birute przekona się, gdy z trudem wstanie). Mężczyźni wrócą jeszcze jutro i pojutrze. Po to samo. Dziewczyna po każdym razie będzie stała pod prysznicem, aż woda z ukropu dawno zrobi się

zimna jak lód (to dobre na okaleczenia – myśli Birute). Stoi najpierw godzinę, potem pół, na trzeci dzień kilka minut. Już nie płacze non stop.
Czwartego dnia nikt nie przychodzi. Piątego też. Nocą Birute źle śpi, poci się, nasłuchuje. Dniem obserwuje wierzchołki ślamazarnych dźwigów, zjada ostatni kawałek czerstwego chleba. Jedyną zmianę bielizny pierze resztkami mydła w płynie. Podartą bordo bluzką ściera podłogę w łazience. Chodzi w podkoszulku – tylko to, oprócz mydła, zostało po Steffi spod Mińska. Ale Birute nie myśli teraz o Steffi, raczej o mamie, która musi to wszystko widzieć.

Mama odeszła wiosną, pięć lat temu. Rak piersi, przerzuty. Wtedy Birute chodziła do czwartej klasy podstawówki. Ojciec – robotnik – kochał mamę, więc upił się jeszcze przed pogrzebem. Po pogrzebie najpierw pił raz na tydzień, potem dwa razy, potem bez przerwy. Starsza siostra rok po śmierci mamy uciekła od tego: wyszła za mąż za człowieka z małym mieszkaniem. Birute przychodziła do niej codziennie zjeść obiad. Noce spędzała sama, bo ojciec rzadko bywał w domu. A jak przychodził, to bił (nic nowego: bił jeszcze przed śmiercią mamy). Birute opuszczała pojedyncze lekcje, potem całe dnie i tygodnie. W piętnaste urodziny po raz pierwszy od kilku lat nie przyszła do siostry na obiad, nie wróciła do domu. Wsiadła w samochód z dwoma starszymi kolegami z podwórka. Koledzy załatwili jej robotę: pomoc domowa w Polsce, gdzieś pod granicą niemiecką. I fałszywy paszport z wizą (własnego nie miała) z fałszywym nazwiskiem (ani na chwilę nie dali go jej do ręki). Była szczęśliwa: zapomni o tym, co zostawia, zarobi dobre pieniądze, może tam wyjdzie za mąż. Pomoże siostrze.

Koledzy obudzili ją na kolorowej stacji benzynowej. Gdzieś zadzwonili. Podjechał stary mercedes.

– Wsiadaj – powiedzieli. – Zaraz do was dojedziemy.

Samochodem obcego czarnowłosego mężczyzny (Mesuta) przyjechali do mieszkania, w którym tkwi od sześciu dni.

Czy mama to wszystko widzi? Straszny wstyd – myśli Birute. – Ale to moja mama. Jak mam w to wszystko uwierzyć?

– Zrób coś, pozwól mi stąd zniknąć – szepcze do ścian.

Szóstego dnia znów klucze w zamkach. To Mesut, sam. Przynosi dużo jedzenia, kawę i słodycze. Jest miły. Nie chce seksu. Dobrze, bo ją wciąż boli. Birute przygląda mu się: to nawet całkiem sympatyczny facet. Musi i chce tak myśleć. Mesut bywa okrutny, ale tylko na niego Birute może liczyć, nie ma wyboru. Zresztą potrafi być dobry. Więc i ona postanawia się uśmiechnąć.

– Mesut – mówi pogodnie – powiedz mi wreszcie, gdzie ja jestem?

– Tutaj.

– Ale co to za miasto?

– Berlin.

– Berlin?! Spałam, gdy przyjechaliśmy. Jak ja tu się znalazłam? Gdzie moi koledzy, wiesz, ci z Litwy?

– Będzie dobrze – mówi Mesut i głaszcze ją po włosach. – Jutro sklepy.

– Mesut, proszę, ja mam piętnaście lat. Ja nie chcę, ja nie mogę.

– Będzie dobrze, Sabina, jutro sklepy. A wieczorem bar.

4

Popołudnie w Wilnie. Krystyna R. właśnie wróciła z Ostrej Bramy. Teraz gotuje obiad dla matki, syna i męża, który i tak prawie nic nie je. Telefon.

– To ja.

– O Jezus!

– Mamo, spotkałam mężczyznę, dobrze mi, odpoczywamy.

– Edyta, gdzie ty jesteś? Skąd dzwonisz?

– Z Połągi – córka powtarza to, co męski głos podpowiada jej z boku.

– Edyta, ty na pewno jesteś w nieszczęściu. Wracaj do nas, uciekaj.

Teraz rozmowa się urywa. Roztrzęsiona Krystyna R. wkłada płaszcz i biegnie na policję.

– No i co? – mówi śledczy. – Dziewczyna poszła, ma dwadzieścia lat, zadzwoniła, że odpoczywa. Czego wy od niej chcecie?

Krystyna R. zaczyna krzyczeć, płakać i błagać:

– Zróbcie coś!

Śledczy obiecuje sprawdzić, skąd Edyta dzwoniła, i po tygodniu obietnicę spełnia: z poczty w Kownie, z dzielnicy Viliampoles. Krystyna R. wsiada w autobus. Przez kilka dni odwiedza dziesiątki domów i mieszkań, zostawia setki zdjęć.

Do Wilna wraca z niczym. Jej sparaliżowana matka prosi o księdza. Spowiada się półtorej godziny.

– Tak długo się spowiadać? – dziwi się Krystyna R., gdy ksiądz już wyszedł. – Jakie grzechy mama w tym łóżku popełnia? A może na mnie mama narzekała, bo ja nie mam czasu dla mamy.

– Skarżyć się na dzieci to śmiertelny grzech – słyszy. – Cokolwiek zrobią złego, za własne dzieci trzeba się tylko modlić.

Krystyna R. nie myśli nad tym, bo biegnie do telefonu.

– Szkoda mi pani – mówi nieznajoma kobieta. – Widzę, jak pani szuka córki. Trzeba się spieszyć. Ona z Kowna pojedzie do Rygi. Stamtąd poleci do Izraela.

Krystyna R. znowu biegnie na policję. Śledczy rozkłada ręce.

– Taka informacja to żadna informacja.

Krystyna R. wraca do domu. Dzwoni do litewskich linii lotniczych, które nie potrafią odpowiedzieć, kiedy będzie najbliższy samolot z Rygi do Tel Awiwu. Więc Krystyna R. dzwoni na Łotwę. Jutro rano startuje czarter. Jest dziewiąta wieczorem. Krystyna R. puka do sąsiada – właściciela starej łady. Dwadzieścia minut później razem wyjeżdżają z Wilna.

Ranek w Rydze. Policja łotewska, choć nie zna sprawy, na błagania matki wysyła na lotnisko wywiadowców. Pasażerowie dźwigają walizy. Edyty nie widać. Po starcie samolotu matka zostawia tam kolejną setkę zdjęć: tym, którzy przyjmują bagaże, pogranicznikom, kobietom za barkiem i sprzedawczyniom w *duty free*.

Wraca z niczym. Tak sądzi. Ale kilka dni później, w poniedziałek, dzwoni telefon. Inspektor z Rygi:

– Dzisiaj znowu był czarter do Izraela. Mamy waszą córkę. Musimy ją wypuścić, jest dorosła.

– Poczekajcie na mnie – Krystyna R. znowu prosi.

Znowu puka do właściciela starej łady, znowu jest w Rydze.

Późny wieczór. Edyta w kolorowych ciuchach z bazaru, jej rude włosy niedbale pokryte czarną farbą. Wygląda staro, to pierwsze spostrzeżenie matki. Odnaleziona nic nie mówi, ani nie płacze, ani się nie uśmiecha. Nie ma żadnego bagażu. Człowiek, który miał z nią lecieć – obywatel Izraela mówiący po rosyjsku – wyjaśnił policji, że dziewczynę poznał w pociągu. Dogadali się, że lecą tym samym samolotem, więc razem przyszli na lotnisko. Policja przyjęła wyjaśnienie i pozwoliła mu odlecieć.

– To był handlarz – mówi Krystyna R.

Niewiele dowiaduje się od córki. Tamtego dnia szła ulicą Giedymina, podjechał samochód, trzech mężczyzn wciągnęło ją do środka. (Komisarz Ignoris Ksendzovas z Departamentu Policji przyznaje, że w Wilnie zdarzają się takie sytuacje, choć są rzadkie. Pamięta historię dwóch dziewcząt ze wsi, które wybrały się na wileński bazar. Zatrzymały samochód, kierowca z kolegą obiecali je podrzucić na sam targ. Zamiast skręcić do Wilna, samochód ruszył na Kowno. Ale zwykle – zdaniem komisarza – kobiety są werbowane inaczej. Przez ogłoszenia w prasie albo przez znajomych znajomych. Często oszustwem: świetna praca za dobre pieniądze. Będziesz zmywała gary w knajpie albo sprzątała u bogatych ludzi. Jednak większość dziewcząt – kończy komisarz – wie, po co jedzie, po kurewstwo).

Tamtego dnia mężczyźni zawieźli Edytę do Kowna, do pustego mieszkania.

Zawsze ktoś jej pilnował. Była bita, gwałcona. Po tygodniu zaprowadzili ją do kawiarni i zostawili, jakby bez opieki. Na to podszedł inny mężczyzna, poprosił ją do tańca. Edycie zdawało się, że to ratunek.

– Wiem, że w biedę popadłaś – mówił po rosyjsku. – Żywa od nich nie wyjdziesz. Ale ja ci pomogę.

Zamieszkała u niego. Mężczyzna wytłumaczył, że trzeba uciekać. Najlepiej do Izraela, gdzie ma krewnych.

– Twoja rodzina wszystko wie i uważa, że to najlepsze wyjście – zapewniał. – Skombinuję ci paszport.

– Nazywał ją Natalie – Krystyna R. mówi o tym spokojnie. – Z czasem zaczęli seks, bez przymusu.

Opiekun czytał gazety. W jednej Edyta zobaczyła swoje zdjęcie i apel mamy. Wrzeszczała:

– Okłamujesz mnie, muszę zadzwonić!

Razem wyszli na pocztę. Matka krzyknęła w słuchawkę:

– Uciekaj.

Tyle Krystyna R. dowiaduje się od córki. Rozmowy są trudne. Edyta często milknie na długie godziny. Siedzi, jakby spała z otwartymi oczami. Wstaje, wybiega z domu. Krzyczy:

– Ja Natalie, ja Natalie.

Lekarze w szpitalu psychiatrycznym stawiają diagnozę: depresja. Po tygodniu dodają:

– Osobowość wieloraka. To znaczy, że osobowość pani dziecka jest w kawałkach. Teraz ma pani dwie córki. Edytę i Natalie.

Krystyna R. wybiega ze szpitala. Rozmyśla o tym, co usłyszała. Chyba nie całkiem pojmuje. Ale teraz jedzie na lotnisko. Centrum Wspierania Rodzin Osób Zaginionych dostało informację, że w samolocie Lufthansy, który za chwilę ląduje w Wilnie, leci dziewczyna deportowana z Niemiec. Ma na imię Marina. Sierota, trzeba jej pomóc.

5

To, o czym wie Marina (samolot właśnie ląduje), Birute (ciągle zamknięta przez Mesuta) dopiero poznaje i może nigdy nie pozna tak dobrze. Marina miała aż rok, by przyjrzeć się tamtemu światu: Europie w Europie, państwu w państwie, miastu w mieście; z własną historią, językiem i topografią; z systemem ekonomii, edukacji, ale i represji; z bezpieką i jej konfidentami; z wymiarem sprawiedliwości (który zwykle karze); ze służbą zdrowia, z własnymi ofiarami, wrogami i przyjaciółmi. Ale tylko to miasto w mieście

(Berlin w Berlinie) nie ma granic. Tu prostytucję można uprawiać wszędzie. W innych niemieckich miastach (na przykład w Hamburgu, Frankfurcie, Monachium) władze ogłaszają, w jakich dzielnicach prostytucja jest zakazana, a w jakich dozwolona.

Marina pracowała w jednym z prawie siedmiuset punktów, gdzie w Berlinie można kupić miłość: w samym centrum zachodniej części miasta, w klubie przy Lietzenburger Strasse. Jest ich tu kilka: Blue Lady, Orchidea, Mazurka, La Mirage, Live Show Tag und Nacht.

Marina była jedną z około ośmiu tysięcy prostytutek w tym mieście. Zanim otwarto granicę na Odrze, dziewczyny przywożono tu z południowo-wschodniej Azji. Była to pierwsza fala – lata siedemdziesiąte i początek osiemdziesiątych. Druga fala – z Afryki, głównie z Ghany, Nigerii i Zairu. Trzecia – z Ameryki Łacińskiej, najczęściej z Dominikany. I od początku lat dziewięćdziesiątych czwarta fala: z Europy Wschodniej. Najpierw z Polski, potem z Czech i Słowacji, wreszcie z krajów byłego imperium sowieckiego. Dziś ponad połowa prostytutek pracujących w Berlinie pochodzi z Europy Wschodniej. W 1997 roku policja berlińska zanotowała sto siedemnaście przypadków handlu kobietami; w 1996 – blisko setkę; w 1995 – blisko sto pięćdziesiąt. Z pewnością takich przypadków jest wielokrotnie więcej.

Bo Berlin to nie tylko stacja docelowa. Także przeładunkowa: w głąb Republiki Federalnej i całej zachodniej Europy (berlińczycy, którzy z urzędu zajmują się zwalczaniem handlu kobietami, mówią o swoim mieście: Umschlagplatz).

Mapa – wydana przez Global Survival Network – pokazuje, że kobiety z Europy Wschodniej eksportuje się nie tylko do Niemiec albo przez Niemcy. Dziewczyny jadą różnymi szlakami i środkami lokomocji do Szwajcarii, Belgii, Wielkiej Brytanii, Hiszpanii, Grecji, Stanów Zjednoczonych, Kanady, RPA, Egiptu, Turcji, Izraela, Jordanii, Arabii Saudyjskiej, Kataru, Indii, Australii. Handel kobietami z Europy Środkowej i Wschodniej osiągnął rozmiary epidemii – pisze Radhika Coomaraswamy, specjalna sprawozdawczyni Komisji Praw Człowieka ONZ.

Ale import i eksport kobiet istnieje na wszystkich kontynentach. I istniał, zanim powstały Niemcy, zanim powstało jakiekolwiek państwo. Trwa tak długo, jak trwa prostytucja. Kobieta była pieniądzem już między prymitywnymi plemionami. Przez wieki handel ludźmi nie naruszał niczyjego sumienia, cieszył się przyzwoleniem władz i społeczeństw. Aż do XIX stulecia, do wojny secesyjnej w Ameryce. Dziś nigdzie na świecie nie akceptuje się niewolnictwa. Handlu ludźmi zabraniają międzynarodowe konwencje. Mimo to przez cały

XX wiek trwa eksport kobiet. Choćby pomiędzy światowymi wojnami, gdy statki pełne podkarpackich dziewek płynęły do Argentyny.

O tym wszystkim Marina nie wie. Z trudem skończyła szkołę fryzjerską. Cztery lata temu wyszła z domu dziecka. Dla pełnoletnich nie ma tam miejsca. Waletowała w akademiku, nie miała pieniędzy na wynajęcie mieszkania. Chciała wyjechać gdzieś w świat, wrócić z dużymi pieniędzmi, wstawić do kuchni zmywarkę, założyć rodzinę. Zanim zdecydowała się na Niemcy, czytała w gazetach o Centrum Wspierania Rodzin Osób Zaginionych. Widziała w telewizji Jelenę Z. i Krystynę R., które ostrzegały przed propozycjami pracy na Zachodzie.

Więc kiedy kolega namawiał ją na posadę kelnerki, przerwała mu:

– Nie kłam, będę kurwą. Dobrze, spróbuję.

(Inspektor Andreas Reinhardt z berlińskiej policji kryminalnej, podobnie jak komisarz Ksendzovas z Wilna, sądzi, że ponad połowa dziewcząt jeszcze przed wyjazdem z domu wie, czym się będzie zajmować w Niemczech. Ale chyba żadna nie ma pojęcia, na czym ta robota polega).

Marina z akademika wiedziała, co to seks: rzecz przyjemna.

W Niemczech mieszkają przystojni, pachnący faceci z dużą forsą. Kolega mówił, że za numer można wziąć dwieście marek. Dwa numery dziennie z miłymi chłopakami razy dwadzieścia dni w miesiącu razy dwanaście miesięcy – to sporo kasy. A poza tym zawsze można zrezygnować. Tak myślała Marina, gdy na swoim paszporcie razem z kolegami przekraczała polską granicę. Niemiecką – już na polskim (obywatele litewscy potrzebują wizy do krajów UE, więc łatwiej wyrobić fałszywe dokumenty).

– Pojedziesz z nim – kolega wskazał Polaka, który czekał na nich w motelu, gdzieś w środku Polski.

Polak dał Litwinowi zwitek banknotów („Za benzynę", tłumaczył Marinie) i zawiózł ją do Berlina. W Berlinie poznała Dragana. Był uprzejmy i zaprosił do baru przy Lietzenburger Strasse.

Noc w tym barze wygląda tak: na dużym ekranie – w ciemniejszej części sali – z kilku penisów strumienie spermy lecą na twarz zachwyconej kurwy. Nie słychać jej, bo nie ma dźwięku, obraz się rwie, śnieży, gubi kolory. Ten sam film na małym monitorze w drugiej części sali, na barze. Przy barze – dziewczyny. W słabym czerwonym świetle rozmawiają o ciuchach. Po rosyjsku, choć słychać zdania polskie, słowackie, ukraińskie. Wchodzi klient, która sprytniejsza, ta go łapie. Mimo że pierwszego wieczoru Marina nie zna reguł, i tak ma klientów. Aż sześciu. Wiadomo: świeży towar.

Wcześniej Dragan trochę jej wyjaśnił: nie trzeba iść od razu na zaplecze, do małego pokoju, gdzie mieści się tylko podwójne metalowe łóżko. Najpierw

musi zaprosić klienta do ciemniejszej części sali na kanapę. Jedną od drugiej dzielą ciężkie kotary, wszystkie mają widok na duży ekran i na małą scenę.

Dragan wychodzi, ma inne zajęcia. Ekran zgaszony, teraz *live show*.

Klient zamawia drinka, także dla tej, z którą siedzi. Ona zwykle prosi piccolo, które kosztuje minimum pięćdziesiąt marek (w sklepie: osiem). Piccolo wymieszane z wodą (o czym gość nie wie) można zamawiać jedno za drugim plus kilka razy whisky dla klienta – na tym polega interes. Klient musi się czuć przyjemnie. Bo albo wyjdzie, albo zechce seksu. Seks (bez ekstrażyczeń) kosztuje sto pięćdziesiąt marek za pół godziny. Za pół godziny z dwiema dziewczynami albo za godzinę z jedną – trzysta (nie wiadomo, dlaczego tak drogo; *call girl* przyjeżdża do domu albo hotelu i za godzinę bierze sto sześćdziesiąt).

W klubie przy Lietzenburger Strasse pieniądze inkasuje barmanka, starsza od tutejszych dziewcząt z pewnością o drugie tyle.

Pierwsi klienci Mariny (od dzisiaj Dominic): nieprzystojni, niepachnący, nie najmłodsi. Serb, Turek, Polak, Niemiec, Czech, Rosjanin.

Dominic wymiotuje. Z głową w sedesie mnoży marki razy sześć. Wychodzi z toalety, prosi o pieniądze.

– Ja nie mam – odpowiada barmanka. – Ma szef.

– Zwariowałaś – szef ryczy śmiechem. – Ja za ciebie płacę Draganowi. Z nim gadaj.

Więc Dragan to sutener Dominic. Ma sześć dziewcząt (dwie Polki, dwie Ukrainki, Rosjankę i Dominic). Cztery wstawia do tego baru, dwie do innego. Pochodzi z Bośni. Szczyci się – powiedział to Marinie w pierwszych chwilach znajomości – że jest bohaterem wojennym. Marina prędko dojdzie do wniosku, że on żaden bohater, a raczej oprawca z obozu.

Drugi wniosek – Marina chyba nigdy tak tego nie nazwie, ale z pewnością poczuje – burdel ma wiele z łagru. Każda kobieta chce przetrwać, jak potrafi. Bywają dziewczyny, które chowają małe ciasteczka pod poduszki kanap. Inne, za cenę dobrego traktowania, donoszą sutenerowi. Dziewczyny kapo. Za kilka tygodni Marina zobaczy katowanie Słowaczki: chciała uciec, namawiała rodaczkę, by zrobiła to samo. Rodaczka zakapowała, niedoszła uciekinierka straciła wszystkie zęby. Sutener pożyczył jej na nowe.

Ale na razie szef baru dzwoni do Dragana:

– Przyjedź tu, ta twoja nowa Dominic cała się zarzygała. Nikt już dzisiaj nie będzie jej posuwał.

Teraz Dominic myśli o sobie: jestem mięsem.

Ciemnieje jej w oczach, najpierw osuwa się na bar, jeszcze prosi o wodę, odlatuje: wysoko i daleko poza Lietzenburger Strasse. Nie ma nad tym kontroli,

leci wprost nad małą wiejską zagrodę (dozwolone czterdzieści arów), gdzieś na Litwie kowieńskiej. To obejście jej babci pełne kwitnących bzów. Ona zajęła się Mariną, gdy mama poszła w świat (ojciec? nawet babcia nie wiedziała, kim był). Teraz razem z wnuczką łapie kurę na rosół (chyba jest niedziela). Biała kura już leży na pniu, siwa kobieta bierze siekierę, przymierza się, uderza perfekcyjnie. Kura nie ma głowy, ale się szamocze.

– Puść ją, puść! – krzyczy dziewczynka z warkoczykami.

Babcia się waha, ale puszcza ptaka. Kura, niczym balonik, z którego błyskawicznie uchodzi powietrze, odbija się od pnia, od wiadra, od psiej budy, od szopy, od płotu. Broczy krwią, frunie, gubi pióra, opada, pędzi, jeszcze raz – już niżej – unosi się w górę, spada.

Wreszcie – tuż przy stopach dziewczynki – koniec kurzych konwulsji: ostatnie drżenie pazurów. Dziewczynka jest zawiedziona, że widowisko trwa tak krótko.

– Głupi pomysł – krzywi się babcia. – Będzie rosół z piachem.

– No, Dominic! – To ostry głos Dragana.

– Daj mi pieniądze za tych sześciu facetów – Marina szybko wraca na Lietzenburger Strasse.

– Kretynko! Zapłaciłem za ciebie kupę szmalu. A paszport? A transport? A te błyszczące majtki? Jesteś mi winna dwadzieścia tysięcy marek, ty zarzygana kurwo! Spiesz się, bo dług rośnie. Nikt tu za darmo nie będzie cię karmił ani nocował.

Dominic chce uciekać. Ale dokąd? Dragan ma jej paszporty – ten prawdziwy i ten fałszywy. Odwozi ją do mieszkania, gdzie nocuje sześć dziewczyn. Nie są zamknięte. Straż trzymają dwie z nich – zaufane Dragana. One rano robią zakupy. Dominic nie zna niemieckiego ani nie zna Berlina. Nigdy w życiu nie była nigdzie poza Wilnem. Wielkie miasto przeraża ją: ulice są siecią głośnych, kolorowych labiryntów bez wyjścia.

– Nie próbuj lecieć na policję – Dragan czyta w jej myślach. – Oni są nasi. Znajdę cię na końcu świata i zapakuję w czarny plastikowy worek.

Nazajutrz (a może pojutrze) Dominic poprosi swojego właściciela o dzień przerwy.

– Wykluczone – warknie Dragan.

Więc w ciągu następnych siedmiu dni będzie leżała pod osiemdziesięcioma facetami (nie licząc tych kilku, którzy zadowolą się masażem ręcznym na kanapie za kotarą).

6

Marta C., która wciąż nosi żałobę po córce zmarłej na białaczkę, zaprzyjaźniła się z kobietami, których córki zaginęły. Dzisiaj już nie myśli, że te wszystkie dziewczyny Boga się nie boją. Zmieniła zdanie długo przed powrotem Dominic.

– Żadna kobieta nie rodzi się prostytutką – mówi.

I nie z prostytucją trzeba walczyć, to bez sensu. Ona istniała i istnieć będzie. Trzeba walczyć z niewolnictwem i pytać, dlaczego litewskie dziewczyny dają się tak łatwo pojmać.

Zdaniem Marty C. nieszczęście dosięga je z dwóch kierunków i dwóch powodów. Pierwszy powód: zło i zepsucie – idzie z Zachodu, przez telewizję, gazety. Drugi: bieda – stąd. Z litewskich wsi, z rozpadniętych kołchozów; z małych miasteczek bez pracy; z Wilna, Szawli i Kłajpedy, gdzie kolorowe reklamy kuszą, a i tu pusto w kieszeniach. (Międzynarodowa Organizacja do spraw Migracji stwierdza, że ofiary handlu kobietami pochodzą głównie z małych miasteczek i wsi najmocniej dotkniętych bezrobociem).

Kobiety z Centrum Wspierania czasem odwiedzają dom na podwileńskiej wsi. Nie ma tu szyb w oknach, tylko folia i dykta. Nie ma podłogi z desek, jest surowa ziemia. Nie ma pieca, jest gliniane palenisko. Starzy schorowani ludzie, szczególnie ona: z jaskrą, z gośćcem. Mieli trzy córki. Pierwsza siedzi w kryminale, bo zabiła męża pijaka (miał w domu czterysta litrów zacieru). Następna wyszła trzy lata temu za mąż aż na Białorusi, przestała się odzywać. Najmłodszej nie ma już dwie wiosny, zaginęła. Komisarz Ksendzovas twierdzi, że była widziana w Niemczech.

– No i co? – pytają kobiety w Centrum Wspierania. – Do czego ona wróci? Tam przynajmniej ma pościel.

Giną nie tylko dziewczyny z domów bez szyb w oknach. Do Marty C. przyjeżdża czasem dobrze ubrana matka z Poniewieża. Gryzie paznokcie i ociera oczy: jej osiemnastoletnia córka uczyła się nieźle i pięknie grała na skrzypcach. W domu była cicha, zamknięta. A w szkole rozmowna i głośna.

– Czy nie miała do nas zaufania? – pyta Martę C. – Kochaliśmy ją. Gdzie ona szła, tam i my. Gdy chciała na imprezę do koleżanki, odwoziłam ją pod drzwi i spod drzwi odbierałam. Gdy szła na ognisko – czekaliśmy z mężem w samochodzie.

Może właśnie dlatego (choć Marta C. nie mówi tego matce) przed Bożym Narodzeniem na kuchennym stole zastali list: „Rodzina dla mnie nic nie znaczy. Rezygnuję ze wszystkiego. Może robię błąd, ale coś mnie ciągnie do pełni życia. Może przyjdzie mi za to zapłacić".

Zabrała maskotkę, paszport i granatowy kostium, w którym grała na koncertach.

– Żadnej ciepłej kurtki – mówi matka.

– Przecież było zimno – martwi się Marta C. – Tak, tego grudnia były straszne mrozy.

Od koleżanek matka dowiedziała się o czterdziestoletnim mężczyźnie, który często zabierał córkę spod szkoły. Byli razem widywani w kawiarniach. Podobno zajmował się handlem samochodami. Przywoził wraki z Niemiec. Kim jest?

Marta C. nie potrafi odpowiedzieć kobiecie z Poniewieża.

7

Czy ktoś przyjeżdżał pod szkołę Agnieszki? Nawet tego państwo W. nie wiedzą. Mieszkają w miasteczku O. (sześć tysięcy mieszkańców) na zachodzie Polski, tuż przy granicy z Niemcami. Agnieszka ma siedemnaście lat, zaginęła w marcu 1997.

Zdjęcie zaginionej rodzice odbijają na ksero i oblepiają nim całą okolicę: wszyscy przyglądają się uśmiechniętej szczupłej twarzy w drucianych okularach.

Jan W., inżynier dróg i mostów, odwiedza liceum i pyta klasę Agnieszki:

– Czy ktoś coś wie, coś widział? Kto mi pomoże?

Słyszy ciszę, potem pojedyncze śmiechy, nic więcej. Dwadzieścia par oczu patrzy w okna albo w podłogę. Jan W. wychodzi i spogląda na plakat, który na szklanych drzwiach szkoły powiesił kilkanaście minut temu. Obok nazwiska córki – czarnym mazakiem: KURWA! Na jej twarzy – swastyka.

Swastyka: na spożywczym, na kiosku, ogrodniczym, obuwniczym, poczcie, aptece, kantorze, piekarni, kościele, stacji benzynowej i stacji kolejowej. Jan W. biegnie przez miasteczko O., po kolei zrywa zdjęcia i myśli: nie myśl, tylko nic nie myśl.

Pół roku później Jan W. pojawi się w Berlinie. W areszcie deportacyjnym odwiedzi Marinę, pewną miłą Litwinkę.

8

Ale Marina nie tak prędko wróci do swego imienia. Na razie wołają na nią Dominic (czasami: zarzygana Dominic). Na razie jest oddana w pracy, konkuruje z koleżankami. Lgną do niej starsi klienci, bo tylko ona potrafi sprawić, że są zadowoleni. Chce jak najszybciej spłacić dług swemu właścicielowi (Draganowi). Potem się odkuje. Jak automat obsługuje do dwudziestu klientów

dziennie. Na specjalne życzenie potrafi związać, uderzyć albo oddać mocz wprost w usta klienta. Klienci lubią Dominic: ma długie włosy i prędko uczy się języka.

Po każdym facecie, szybko, ale dokładnie mydłem myje krocze. Smaruje kremem Nivea, bo ją tam piecze. Koleżanki w klubie nie są solidarne: żadna nie poleciła jej żelu poślizgowego, może by mniej piekło.

O żelu mówią jej streetworkerki z Urzędu Zdrowia dzielnicy Charlottenburg. Pewnego wieczoru odwiedzają klub z tłumaczką władającą rosyjskim i polskim. Szef najwyraźniej je zna, każe podać im sok. I dziewczyny je znają.

– Nasze doktorki, dobry wieczór! – krzyczą.

Kobiety zamieniają z każdą po kilka zdań (jeśli akurat dziewczyna nie jest zajęta). Zapraszają do poradni przy Wilmersdorfer Strasse (takich poradni jest w Berlinie sześć). Tłumaczą, że tam można się zbadać bezpłatnie i anonimowo. Jeśli będzie trzeba – także wyleczyć, a nawet dostać zwolnienie lekarskie (podobno niektórzy sutenerzy je respektują). Kobiety z poradni zapewniają, że choć są z instytucji państwowej, nie współpracują z policją. Obiecują, że udzielą kobiecie każdej pomocy w każdej sytuacji (to znaczy: ochronią ją, gdy zechce coś donieść na policję, skierują do adwokata). Dominic przez chwilę się waha, czy prosić je o ratunek. Ale nie prosi. Kobiety z poradni rozdają prezerwatywy i broszurki: „na Twojem jazykie, ve Tvem jazyce, na Twoja rodien jezik, w Twoim języku". Akurat nie przyniosły niczego po litewsku. Dominic czyta więc po rosyjsku:

- zawsze używaj prezerwatyw, chronią przed chorobami wenerycznymi i AIDS;
- kiedy nakładasz mu kondom, nie zapomnij o wcześniejszym wyciśnięciu powietrza ze zbiorniczka na spermę w ten sposób, że kciukiem i palcem wskazującym jednej ręki ściskasz ten zbiorniczek, a drugą ręką rozwijasz kondom;
- przy użyciu środków wspomagających kondom lepiej się ślizga. Należy używać tylko preparatów rozpuszczalnych w wodzie. W żadnym wypadku nie używaj masła, oleju, kremu Nivea, bo te środki uszkadzają kondom. Stosując żel poślizgowy, będziesz zawsze wystarczająco wilgotna;
- lizanie przez klienta jest teoretycznie bezpieczne. Ale lepiej położyć sobie rozcięty kondom;
- seks z biustem jest bezpieczną praktyką, klient może wtedy pryskać ci na szyję;

- praca podczas okresu jest dla niektórych kobiet nieprzyjemna. Jeśli jednak chcesz pracować, to możesz kupić w aptece małą gąbkę z tworzyw naturalnych i wprowadzić ją do pochwy. Także wtedy nie zapominaj o kondomie;
- nigdy nie rób płukania pochwy przy użyciu mydła. Roztwór mydła wytwarza środowisko zasadowe w pochwie. Zdrowa pochwa ma środowisko kwaśne – czyli dokładne przeciwieństwo środowiska zasadowego. Poprzez swój naturalny kwaśny wyciek pochwa oczyszcza się sama.

Dominic czyta o kile, rzeżączce, rzęsistku, kłykcinach kończystych, zapaleniu żołędzi prącia, opryszczce, białawym grzybie pleśniawkowym, zapaleniu wątroby typu A, B, C. Wreszcie o wszach łonowych.

I słowniczek (Dominic wiele z tych słów już zna):

guten Abend – dobry wieczór
Ich heisse – nazywam się
bitte – proszę
Geld – pieniądze
halbe Stunde – pół godziny
Stunde – godzina
Ich mache – robię
Das mache ich nicht – tego nie robię
Ich mag das nicht – tego nie lubię
sich waschen – myć się
Seife – mydło
Dessous – bielizna ozdobna
Gummi – guma
Ich küsse nicht – nie całuję
lecken – lizać
blasen – mineta
Anal – odbytniczo
ficken – pieprzyć się
Tittenfick – pieprzenie cycków
Sadomasochismus – sadomasochizm
Du bist geil – jesteś podniecony

Dominic nie rozumie, dlaczego koleżanka z Polski naśmiewa się z Czeszki Sabriny: *Ich bin geil – Jsem vyrajcovana!* Tak jest w słowniczku niemiecko-czeskim. (Od tego czasu Czeszkę tak właśnie dziewczyny przezywają: Vyrajcovana).

I dalej słowniczek:

Schwanz – członek
Eier – jaja
Möse – cipa
Dreier – trójkąt
stöhnen – stękać
Ich komme – szczytuję
abspritzen – opryskiwać
Taschentuch – chusteczka do nosa
Tschüs – cześć
Bis bald! – do zobaczenia wkrótce
gesund – zdrowy
krank – chory
Ich möchte einen Anwalt anrufen – chcę porozumieć się z adwokatem
Ich mache keine Aussage – nie składam zeznań

To ostatnie zdanie Dominic będzie wkrótce musiała powiedzieć. Jako Marina – obywatelka Litwy.

9

Mesut otwiera zamki. Sam, co Birute trochę uspokaja. Ale emocje i tak się szamoczą: fajnie, wreszcie z kimś porozmawiam; wreszcie stąd wyjdę na obiecane zakupy. Tylko co potem? Ten kutas mówił coś wczoraj o barze. Jakim barze?

– To mój bar – mówi Mesut. – Nie pójdziesz tam.

– A sklepy?

– Jakie sklepy?

– Mieliśmy jechać na zakupy, wyjść na powietrze. Ja nie mam w co się ubrać.

– Innym razem, Sabina.

– Dlaczego?

– Masz piętnaście lat, tak? Myślałem o tym. W moim barze są starsze. Mają po siedemnaście, dwadzieścia. Wiesz, co one tam robią?

– No?

– To kurwy. Ty nie musisz. Możesz być tylko dla mnie.

– Jak to? – dziewczyna pyta delikatnie, bo obawia się pięści Mesuta.

– Dałem za ciebie cztery tysiące marek.

– Za kogo dałeś? – Birute wciąż nie rozumie dokładnie tego, co mówi Mesut.

– Za ciebie.

– Zapłaciłeś za mnie?! – denerwuje się. – Tym skurwysynom?!

– Spokój, Sabina. Będziesz mieszkała ze mną. Będę tu nocował. Postawimy jakieś szafki, kupię stół.

– Mesut. – Dziewczyna się krzywi.

– Nie chcesz?! – Dopiero teraz podnosi głos. – Masz wybór, Sabina. No, wstawaj! Ubierzemy cię w sklepach! Będziesz dzisiaj pierwszą kurwą przy barze!

– Nie, nie. – Sabina zasłania twarz dłońmi. Wcale nie przed ciosem, nikt jej nie bije, raczej przed tym, co słyszy. – Kup stół, Mesut.

Jest zachwycony, całuje kark Sabiny, dłońmi chwyta jej pupę, podnosi. Ona nie czuje ani jego dotyku, ani cebulowo-popielniczkowego smrodu z jego ust. Na to, co się dzieje, patrzy z boku. Widzi, jak falują jakieś dwie pionowe sylwetki wsparte na dwóch nogach. Rozważa: jakoś ucieknę. Dokąd? Na policję. Co tam powiem? Po jakiemu? Że skąd się tu wzięłam? Może wsadzą mnie do więzienia, może ten kutas wyśle do domu tamte straszne zdjęcia. Sabina ich nie zna, ale teraz nagle zdaje sobie sprawę, co na nich widać. Jest ich z pewnością wiele, tamtego wieczoru flesz błyskał bez przerwy. Dziewczyna spina się, szamocze, odpycha Mesuta.

– Co?! – Jest zaskoczony, zmienia mu się twarz, tężeje. – Źle ci?!

– Dobrze, jest mi dobrze.

– Pokaż to! – Jest coraz gwałtowniejszy, szybszy. – Pokaż!

Teraz Sabina uczy się grać: wzdychać, jęczeć na zawołanie, udawać orgazm równocześnie z jego (dalszy ciąg nauki, czyli ujeżdżania).

Idzie do łazienki. Myje się tyle czasu, ile woda w czajniku potrzebuje, by zawrzeć. Uprzejmy Mesut robi herbatę i dla niej. Z reklamówki wyjmuje jedzenie.

– Kupię ci małą lodówkę.

Teraz ciepłym głosem tłumaczy, jak świetnie trafiła. Będzie jej tu wygodnie, z czasem wyjdzie na powietrze, nabierze rumieńców.

– Bo strasznie blada jesteś – zauważa, a Sabina w myślach docenia jego troskę.

Teraz Mesut mówi o sobie. Miał piętnaście lat, gdy z rodzicami i licznym rodzeństwem z Turcji przybył do Berlina Zachodniego. Wspomina ciężkie dzieciństwo: surowy ojciec, bieda, od najmłodszych lat robota w knajpie na Kreutzbergu.

Zasypia.

10

Prostytucja w Niemczech jest dozwolona. Ale żeby tu legalnie zarabiać – trzeba mieć pozwolenie na pracę. Nie ma go ani Dominic, ani żadna dziewczyna w tym barze (i chyba wszystkich innych przy Lietzenburger Strasse). Większość koleżanek wjechała do Niemiec nielegalnie i nielegalnie tutaj przebywa.

Kiedy do baru wchodzi policja – wszyscy są legitymowani. Ci, którzy mają dobre papiery – mogą wyjść. A więc głównie klienci (spisuje się jednak ich adresy – może będą proszeni o zeznania).

Ale nie z każdego baru policja wygarnia dziewczyny. Niektóre miejsca są nietykalne: to dobre źródło informacji. Pracują w nich ludzie na usługach policji (kurwy? barmanki? sutenerzy?). Seksbary są miejscem spotkań handlarzy narkotyków, samochodów, broni i materiałów radioaktywnych. W barach zażywa uciech i robi interesy świat przestępczości zorganizowanej – największy wróg wszystkich policji na świecie.

Ale chyba nic takiego się nie dzieje w barze, gdzie pracuje Dominic. A jeśli nawet, to z pewnością nie ma tu policyjnych szpicli.

Bo pewnego wieczoru policja wkracza.

Szef ma szczęście: akurat nie ma ruchu i nic się nie dzieje w pokojach na zapleczu. Nikt nie czerpie korzyści z cudzego nierządu (co jest karane). Dziewczyny tylko podają drinki i bawią gości.

Są aresztowane, bo pracują nielegalnie i żadna nie ma dokumentów. Dominic jest wściekła: odpracowała już dług, od tygodnia dostaje dziesięć procent od każdego klienta. Chciała kupić w Wilnie ładne mieszkanie, wstawić do kuchni zmywarkę i założyć rodzinę. A teraz może tylko złożyć zeznania obciążające Dragana i właściciela baru. Zmuszali ją do seksu (bardziej, niż tego chciała), ograniczyli jej wolność (przecież dawno by uciekła), zarabiali na tym kupę forsy.

Dominic chciałaby pognębić Dragana, ale strach przed nim chwyta ją za gardło, za żołądek. A może i siebie tymi zeznaniami wpakowałaby do więzienia? Więc lepiej nie. Teraz wmawia młodemu, przystojnemu policjantowi, że wpadła do baru tylko na chwilę, na kawę do koleżanki. Ale nie potrafi wyjaśnić, skąd się wzięła w Niemczech i gdzie mieszka.

Od dzisiejszej nocy mieszka w areszcie deportacyjnym. Jest dobrze karmiona, ogląda gazety i telewizję. Dostaje pocztę z urzędu: „Pani wydalenie z kraju powinno odstraszyć innych obcokrajowców przed uprawianiem prostytucji w Republice Federalnej. Zwracamy pani uwagę, że jeżeli nie posiada pani ważnego paszportu, ma pani pilny obowiązek załatwienia go sobie w przedstawicielstwie dyplomatycznym swojego kraju”.

Konsulat litewski jutro wyda Marinie dokument podróży. Za tydzień samolotem Lufthansy dziewczyna wyląduje na lotnisku w Wilnie. Spotka tam Krystynę R., która przyjedzie prosto ze szpitala, gdzie leży jej córka z osobowością wieloraką.

Wcześniej – jeszcze w areszcie – Marinę odwiedzi Jan W. z polskiego miasteczka O.

11

Jan W. nie wspomina żonie o swastykach ani słowem. W ich małżeństwie – odwrotnie niż w Wilnie u Krystyny R. – to matka popadła w bezradność. Od dnia zaginięcia Agnieszki nie śpi, nie je, nie sprząta, nie gotuje, nie rozmawia. Swastyki na twarzy jej dziecka – tego by już nie zniosła.

Fakty według relacji ojca (w skrócie): 15 marca 1997. Rano Agnieszka wychodzi do szkoły. Jest pilną uczennicą trzeciej klasy liceum, nigdy się nie spóźnia na lekcje, do domu zwykle wraca z celującymi ocenami. Ma własny pokój, nowy tapczan i miniwieżę stereo, na którą Jan W. wziął kredyt. Tamtego popołudnia ani wieczora Agnieszka nie wraca. Rodzice przeglądają jej szafki. Rano – zamiast książek i zeszytów – do szkolnej torby Agnieszka spakowała pamiętnik, trzy albumy ze zdjęciami, szczoteczkę do zębów, paszport.

– Żadnej ciepłej kurtki – Jan W. powtarza zdanie wypowiedziane już kiedyś na Litwie przez nieznajomą matkę strapioną jak on.

Ojciec powiadamia policję, daje ogłoszenia do gazet, wiesza plakaty na szybach, drzwiach i murach. Zrywa je. Wreszcie – po trzech tygodniach – przyjaciółka Agnieszki (mieszka w klatce obok) odbiera kopertę adresowaną do rąk własnych:

> Hej, Ryba!
>
> Z pewnością jesteś zdziwiona tym listem. Mam nadzieję, że nikomu o nim nie powiesz. To jest bardzo ważne dla mnie. Teraz mieszkam w Berlinie, na razie w jednym domu ze studentami z Afryki. Ja mam swój pokój i oni mają swoje. Kiedy przyjechałam tutaj, nikt z Niemców nie chciał mi pomóc, dopiero oni to zrobili. Dali mi mieszkanie i jedzenie. Teraz szukają dla mnie pracy, a ja chodzę do szkoły i uczę się niemieckiego, który mi jest bardzo potrzebny.
>
> Jednak czuję się tutaj samotnie. Nie mam z kim porozmawiać. Są tutaj Polacy, ale głównie pracują w agencjach towarzyskich, a mnie takie znajomości nie interesują. Chcę zarobić forsę, później skończę tu jakąś

szkołę, może nawet pójdę na studia. Jeśli chcesz tutaj przyjechać na ferie, to wszystko Ci załatwię. Nie będziesz musiała za nic płacić.

Berlin nie jest wcale taki piękny, jak myślałam. W dodatku wszędzie tu kręci się policja. Czuję się, jakbym była na wojnie. Jeśli mnie znajdą, natychmiast deportują mnie do Polski.

Czekam na Twój list pod adresem:
Sandra – Agnieszka. Abdul R.
Ansbacherstrasse 103
Berlin

PS Możesz powiedzieć, że korespondujesz z jakąś dziewczyną z Berlina, której ogłoszenie znalazłaś w gazecie.

PS 2 Jeśli będziesz chciała przyjechać tylko na sobotę i niedzielę, to nie jest żaden problem dla mnie. Mój przyjaciel ma bardzo fajnego kumpla, który powiedział mi, że jeśli nie masz kasy, to on Ci kupi bilet. To jest bogaty i superfajny facet. Możesz do mnie zadzwonić. Jeśli nie masz forsy, to żaden problem. Wystarczy, że zadzwonisz za jedną minutę, a ja oddzwonię, bo mam kartę telefoniczną. Numer komórkowy 0 173 121 212. Pytaj po angielsku.

Trzymaj się. Sandra Cię pozdrawia.

Dziewczyna z klatki obok, po dwóch dniach wahania, pokazuje list ojcu Agnieszki. Jan W. robi błąd – dzwoni pod podany numer telefonu i pyta o córkę. Mężczyzna odkłada słuchawkę. Za kilka tygodni policja niemiecka (na prośbę Interpolu z Warszawy) sprawdzi podany w liście adres i telefon. „Nie zastaliśmy tam Agnieszki W." – nadejdzie krótka konkretna odpowiedź.

Jan W. razem z życzliwym inspektorem komendy wojewódzkiej analizuje list od Agnieszki. Inspektor stawia pytania, czyta w podtekstach, sugeruje, interpretuje. Dlaczego Agnieszka podpisuje się Sandra? Ma ksywę. Czy takich imion używa się w sektach? Raczej nie.

Za co zaginiona ma pokój, jedzenie i szkołę niemieckiego? Na pewno nie za darmo. A pisze, że nie pracuje. Dlaczego siedemnastoletnia dziewczyna z przyzwoitego domu wspomina o agencjach towarzyskich? Skąd jej przyszło do głowy, że Polacy głównie tak właśnie pracują? To nieprawda, zwykle zajmują się drobnym handlem.

Dlaczego zaginiona obawia się policji? Przecież ma własny polski paszport, więc nie potrzebuje wizy. W Niemczech przebywa legalnie. Dlaczego wspomina o zagrożeniu deportacją? Bo pracuje i nie ma na to pozwolenia. Co robi?

Co znaczy imię Abdul w adresie, który podała?

Dlaczego natarczywie namawia swą najbliższą przyjaciółkę do przyjazdu? Czy w chwili pisania listu nie zdawała sobie sprawy, w czym tkwi? A może wszystko pisała pod przymusem tego superfajnego faceta, który obcej dziewczynie z polskiego miasteczka O. lekką ręką chce opłacić podróż i całe ferie?

– Ja też jestem ojcem nastolatki. – Inspektor patrzy na Jana W. ze współczuciem. – Ale bądźmy mężczyznami i powiedzmy sobie prawdę. Chyba ma pan córkę w burdelu.

– Jak mam w to uwierzyć? – Janowi W. mokną oczy, inspektor wyjmuje chusteczkę. – Jest mi tak głupio. Trzeba było zajrzeć do szuflady, skontrolować, przeczytać pamiętnik. Ja jej ufałem. Nigdy nawet nie uderzyłem.

Do rąk własnych przyjaciółki z klatki obok nadchodzi kolejna koperta:

Hej, Ryba!

Niestety, nie mogę dłużej czekać na Twoją odpowiedź, ponieważ za wcześnie dałam Ci adres i w dodatku zły. Telefon chyba też był fałszywy.

Na szczęście spotkałam jedną rodzinę z Włoch. Oni są z Afryki, ale na stałe mieszkają w Italii. Będę się zajmowała ich dzieckiem. To jest mój ostatni list z Berlina. We Włoszech będzie dla mnie bezpieczniej, bo tu jest zbyt dużo policji. Stamtąd napiszę.

Sandra

Od tamtej pory (maj 1997) Agnieszka nie daje znaku życia. Jan W. uznaje, że informacja o wyjeździe do Włoch to mylenie tropów. Jedzie więc do Berlina. Na prośbę żony nie przekracza progu żadnego seksbaru. Zresztą odradzili mu to policjanci – w taki sposób tylko można córce zaszkodzić. Sutenerzy szybko zorientują się, że jest szukana, i sprzedadzą gdzie indziej.

Dlatego Jan W. (wraz z kolegą, który mówi po niemiecku) odwiedza wszystkie poradnie, gdzie bywają prostytutki cudzoziemki. Zaczepia dziewczyny, które przychodzą do lekarza. Pokazuje im zdjęcie córki. Rozmawia ze streetworkerkami. Ktoś mówi mu o areszcie deportacyjnym – tam siedzi mnóstwo cudzoziemek, które pracowały w prostytucji. Może któraś z nich spotkała kiedyś Agnieszkę.

Nie wszystkie aresztowane zgadzają się na widzenie z obcym facetem z Polski. Zgadza się Marina, miła dziewczyna z Litwy.

– Była u nas może ze dwa tygodnie. – Marina wpatruje się fotografię Agnieszki. – Jakieś trzy miesiące temu postawili ją przy barze. Nie chciała pracować. Co wieczór ją stawiali i co rano gdzieś odwozili. I tak nie dała się przekonać. Każdego wieczoru odganiała zdziwionych klientów. Źle wyglądała, miała martwą buzię, wie pan, bez żadnej miny. Chyba jej nie karmili

i pewnie nieraz dostała. Widziałam na szyi ślady po petowaniu. A potem już jej nie przywieźli. Zniknęła. Jedne dziewczyny plotkowały, że sprzedana dalej. Inne, że spiła swojego właściciela i uciekła. A może się powiesiła? Kto ją tam wie.

– Czy miała na imię Sandra? – Jan W. dopytuje się gorliwie.

– Nie, tamtą wołali chyba Marlena albo Milena.

– Miała niebieskie oczy?

– W takim świetle oczu nie widać, zresztą i tak bym nie pamiętała.

– A wzrost?

– To pamiętam – mówi Marina. – Nienormalnie wysoka. Długa na metr osiemdziesiąt, nogi jak tyczki.

Jan W. dziękuje Marinie za spotkanie. Jego Agnieszka ma niecałe metr sześćdziesiąt wzrostu.

12

Marina jeszcze z Berlina dzwoniła do koleżanki: prosiła ją, by po nią wyszła na lotnisko. Zamiast niej czeka kolega. Ten, który rok temu w motelu przekazał ją Polakowi.

– Jestem tu, żeby ci pomóc. Wszyscy wiemy, co robiłaś w Niemczech. Ale nie bój się. Za miesiąc będziesz w Izraelu.

– Odczep się. – Marina rozgląda się za koleżanką. – Ty mnie sprzedałeś.

– Słuchaj, jestem tu z kumplami, chodź.

– Nigdzie nie idzie! – to głos Krystyny R. Marina myśli, że nieznajoma to mama koleżanki. Przyszła zamiast niej.

– Zjeżdżaj, babciu – mówi mężczyzna.

– Policja! – krzyczy Krystyna R. On odchodzi, a Marina płacze.

– Będzie dobrze, dziecino. – Krystyna R. głaszcze ją po włosach. – Jestem z Centrum Wspierania Rodzin Osób Zaginionych. Masz gdzie mieszkać?

– Nie.

– Tak przypuszczałam. Teraz wpadniemy tutaj na policję, żeby spokojnie nas wywieźli z lotniska. Potem zobaczymy. Nie płacz, dziecino.

Marina najpierw nocuje u Krystyny R. Po tygodniu musi się przeprowadzić, bo ze szpitala wraca Edyta w depresji. (Sparaliżowana babcia Edyty będzie z nią rozmawiała: – Bóg jest miłością, Bóg ci pomoże się uspokoić, trzeba mu wierzyć, modlić się i czekać).

Marinę przyjmuje inna matka zaginionej dziewczyny, daleko poza Wilnem. Załatwia jej pracę fryzjerki.

Marinę wzywa policja w Wilnie.

– Co pani tam robiła?
– Pracowałam.
– W prostytucji?
– Nie, myłam naczynia w restauracji.

Tak według komisarza Ignorisa Ksendzovasa z Departamentu Policji litewskiego MSW zwykle zeznają deportowane dziewczyny. Rzadko która się przyzna, że została sprzedana. Jest im wstyd. I boją się zemsty.

Policja litewska poszukuje blisko pięciuset zaginionych: dwadzieściorga dzieci, trzystu mężczyzn, ponad setki kobiet. Ale nie wszystkie sprzedane dziewczyny są poszukiwane. Często rodzina nie zgłasza zaginięcia, bo jest przeświadczona, że ich bliska spokojnie pracuje na Zachodzie (na przykład nikt nie szukał Mariny. Babcia – z którą łapała kurę na rosół – zmarła, gdy dziewczynka miała jedenaście lat).

W ciągu roku na Litwę zostaje deportowanych dwieście, trzysta kobiet. W 1997 roku trzy wróciły w trumnach. Tak informuje Irena Katilienė, która piastuje specjalny urząd do walki z handlem ludźmi (stanowisko to – z początkiem tego roku – powołał rząd pod naciskiem matek z Centrum Wspierania). Co jeszcze wie pani Katilienė? Niewiele. Ile na Litwie było procesów stręczycieli i sutenerów? Nie wie, ale na pewno mało. Ile wyroków? Nie wie, ale na pewno mało, bo trudno to udowodnić. Kiedy dziewczyna jedzie z handlarzem przez granicę i pogranicznik wykryje jej fałszywy paszport, handlarz twierdzi, że jej nie zna: ona się do mnie dosiadła tuż przed granicą. Dziewczyna wysiada, on jedzie dalej. Czy słusznie sądy litewskie potem je za to karzą? Bywają takie wypadki, choć nie zawsze. Tak, za fałszywe dokumenty powinny być sądzone. Jaka jest kara za stręczycielstwo, za handel? Pani Katilienė nie jest pewna, ale chyba do trzech lat. Czy to prawda, że w handel zamieszani są tutejsi policjanci i służby graniczne? Może się tak zdarzyć, bo korupcja jest wszędzie na świecie. Nie ma co tego ukrywać. Pani Katilienė wiadomo, że na lotnisku w Wilnie pracuje pogranicznik, który przepuszcza sprzedane dziewczyny. Ale policja nie potrafi go namierzyć. Ani sutenerów, którzy grasują po lotnisku i odzyskują deportowane dziewczyny.

To wszystko Irena Katilienė chce zmienić.

13

Mesut jeszcze nie kupił ani szafek, ani stołu, ani lodówki. Ale przytaszczył wielki stary telewizor, chyba ze śmietnika. Postawił go na podłodze. Przyniósł też kilka sukienek i swetrów, za dużych na Birute, chyba używanych. I dba, by

nie była głodna. Birute wciąż śledzi ślamazarne ruchy dźwigów widocznych nad ślepą ścianą kamienicy (ostatnio znieruchomiały aż na dwa dni; były jakieś święta?). Teraz ściemnia się wcześniej niż wtedy, gdy przyjechała do Berlina. Jeśli Mesuta akurat nie ma, dziewczyna włącza telewizor i próbuje zrozumieć, o czym mowa.

Mesut tu nie mieszka, jak obiecał. Musi doglądać interesu, więc wpada co dwa, trzy dni. Zwykle wczesnym popołudniem. Zawsze chce seksu: ma duży temperament i nie używa prezerwatyw.

– Dość, Mesut! – Któregoś popołudnia Birute próbuje buntu. Już nie pamięta bicia. Wierzy, że uda się z nim dogadać. – Przecież kiedyś będziesz musiał mnie stąd wypuścić. Pójdę na policję i wsadzą cię do więzienia.

Za takie słowa musi być kara. Znowu bicie, znowu obcy mężczyźni: jeden, drugi, piąty. Jeszcze dzisiaj, także jutro i pojutrze. Gdy ona pracuje, Mesut wychodzi i spaceruje wzdłuż piętra. Po godzinie przy niej inkasuje pieniądze.

– Nie będę już więcej pieprzyła o policji – obiecuje Birute po seksie z łysym wytatuowanym czterdziestolatkiem.

– Zobaczymy.

Mesut zamyka zamki i znika na kilka dni. Birute znowu nie ma co jeść. Ale wreszcie Mesut przychodzi sam, ma jedzenie i jak dawniej chce od niej seksu tylko dla siebie. Dźwigów za oknem ubywa, znad ślepej ściany kamienicy wyrastają szkielety wieżowców, prószy śnieg. Mesut przynosi kilka nowych, używanych sukienek. Dwa swetry i za duże spodnie. Dźwigi są już tylko dwa, szkielety wieżowców obrastają lustrzanym szkłem, śnieg stopniał, znowu sypie.

– Będzie przeprowadzka – Mesut krzyczy od drzwi.

– Dokąd?

– Musiałem sprzedać bar. Ale będzie następny.

Wreszcie Birute schodzi po schodach. Krótko rozgląda się po zabieganej ulicy, wsiada do starego mercedesa. Jadą kilka, może kilkanaście kilometrów, chyba opuszczają centrum. Bar jest malutki, odmalowany na czerwono: wysokie czarne stoliki, kilka stołków. Na zapleczu dwa pokoje.

– Podoba ci się? – pyta Mesut.

Obok baru (przejście przez bramę) trzypokojowe mieszkanie zdecydowanie lepiej wyposażone niż tamto z widokiem na dźwigi.

– Tu będziesz mieszkała – oznajmia Mesut. – W najmniejszym pokoju. Do tych dwóch będą przychodziły dziewczyny z baru.

– Z klientami?

– Albo same, albo nie, zależy od ruchu.

– A ja?

– Będziesz stała za barem.

– Mesut.

– Ciebie żaden klient nie dotknie, ty będziesz od szykowania drinków. Dziewczyny zaniosą je klientowi. – Birute nie wierzy, ale i tak się cieszy, bo wreszcie popatrzy na innych ludzi, porozmawia.

– Dobrze – mówi.

– I będziesz brała od dziewczyn pieniądze za każdego klienta. Zanim pójdą do pokoju albo do mieszkania. Nad ranem wszystko mi oddasz. Ja będę się tam kręcił, ale nie zawsze. W razie czego przed drzwiami są Emir i Semdin. Na nich możesz liczyć.

Emir i Semdin to ci dwaj, którzy na początku gwałcili ją razem z Mesutem.

– Rozumiem. – Birute kiwa głową.

Pracuje w barze tylko tydzień. Nie dotyka jej żaden klient (w ogóle jest ich niewielu), ale i dziewczyny rozmawiają z nią ostrożnie. Jest kobietą Mesuta – ich kontrolerem, gdy go nie ma. Dziewcząt jest pięć, żadnej z Litwy: trzy Bułgarki, Ukrainka i Polka.

Wszystkie są aresztowane, gdy wkracza policja. Także Birute (jest wystraszona, chce uciekać, ale jak). Mesut ma dobre papiery, więc zostaje. Jego kumple także. Z daleka jeden puszcza jej całusa na pożegnanie. Drugi dłonią robi gest podrzynania gardła.

W areszcie deportacyjnym Birute jest proszona na widzenie z pewną panią.

– Jestem z organizacji, która pomaga dziewczynom w takiej sytuacji jak twoja – kobieta mówi po rosyjsku, choć słychać niemiecki akcent. – Chcesz opowiedzieć mi swoją historię?

Birute wierzy jej. Przez dwie godziny cedzi słowa: starsi koledzy z podwórka w Kłajpedzie, stacja benzynowa, Mesut, kamienica, zbiorowy gwałt, dźwigi za oknem, seks z Mesutem, seks z klientami, przeprowadzka, aresztowanie.

– Możesz złożyć zeznania – mówi kobieta. – Wtedy postaram się załatwić ci *Duldung*.

Duldung to tak zwany pobyt tolerowany. Birute go dostanie, gdy zgodzi się zeznawać. Najpierw na dwa miesiące, a gdy policja stwierdzi, że jest świadkiem koniecznym do procesu – wtedy *Duldung* zostanie przedłużony. Pani z organizacji (w Berlinie jest takich organizacji kilka) załatwi jej miejsce w domu dla kobiet (w tych domach zwykle mieszkają kobiety bite przez mężów). W ramach *Duldung* Birute otrzyma miesięcznie niecałe czterysta marek, czyli niewiele. W tym czasie nie będzie mogła ani się uczyć, ani pracować. Będzie siedzieć bezczynnie.

Jeśli będzie, bo czasami urząd do spraw cudzoziemców nie przyznaje *Duldung* (choć dziewczyna chce zeznawać) i deportuje w tydzień od aresztowania. Bo ważne jest to, że przebywała i pracowała nielegalnie, a nie że może jest ofiarą.

– Taka schizofrenia prawa – mówi kobieta z organizacji.

(Dane z 1996 roku dotyczące Berlina: blisko czterdzieści procent aresztowanych dziewczyn deportowano natychmiast; trzydzieści procent dostało *Duldung*; z resztą nie wiadomo, co się stało). Bywa tak w Berlinie, że jedna władza wyrzuca kobietę z kraju, a inna – sąd – rok, dwa lata później woła ją na świadka i dziwi się, że jej nie ma.

– Chcesz sypać? – pyta kobieta z organizacji. – Załatwię ci adwokatkę.

– Chcę. – Birute dumnie podnosi głowę i patrzy w oczy pani z organizacji. Choć jej spojrzenie jest ciepłe, Birute zaraz opuszcza głowę. Chowa twarz w dłonie, tak jej wstyd. Do oczu cisną się łzy, najpierw powoli i cicho. Potem głośniej. Jej szloch jest spazmatyczny.

Duldung już załatwiony, więc z aresztu Birute jedzie do domu kobiet. Jego adresu nie zna żaden mężczyzna. Takie są zasady. Bywało, że rozwścieczeni mężowie odnajdywali w takich domach swe zmaltretowane żony. Strzelali im w głowę.

Taki dom (według relacji Birute) to gniazdo wszelkiej dyskryminacji. Kobiety z zachodnich Niemiec dyskryminują te ze wschodnich. Niemieckie gospodynie dyskryminują cudzoziemki. Białe dyskryminują czarne i skośnookie. Pobite przez mężów nie chcą jeść przy wspólnym stole z dziwkami itd.

Stamtąd Birute dwukrotnie jedzie na przesłuchanie. Mówi, jak było, choć policjanci chyba jej nie wierzą. Wraca do domu kobiet. Razem z innymi sprząta i pierze. Pewna Niemka jest miła i rozumie Litwinkę.

– Nie będę zeznawała na procesie, uciekam – mówi Birute.

Niemka dzwoni do swych znajomych, którzy obiecują, że znajdą dla niej mieszkanie i pracę w pizzerii.

Kobieta z organizacji, która Birute załatwiła *Duldung*, nie dziwi się jej ucieczce. Wiele dziewczyn ucieka. Obawiają się procesów nie tylko dlatego, że staną oko w oko z sutenerami. Boją się, co powiedzą ich adwokaci. Obrona zwykle próbuje wmówić sądowi, że kobieta już w swojej ojczyźnie zajmowała się prostytucją. Sąd zadaje dziewczynie brutalne pytania. Nawet jeśli skaże sutenera, co zdarza się rzadko (najwyższy znany wyrok to cztery lata, choć niemieckie prawo przewiduje dziesięć), dziewczyna nie ma nic oprócz satysfakcji. Gdyby chciała odszkodowania, musiałaby założyć proces cywilny, ale nikt w Berlinie nie słyszał o takim przypadku.

Więc Birute myje gary w pizzerii, wynajmuje pokój u starszej pani. Na szczęście Niemka nie wypytuje: skąd? kiedy? po co? Tylko prosi, by utrzymywała czystość i nie kąpała się po dziewiątej wieczorem.

Birute dzwoni do Kłajpedy.

– To ja.

– Birute! – krzyczy siostra.

– Przepraszam, bardzo cię przepraszam.

– Szukam cię. Gdzie jesteś? Byłam na policji i w Wilnie. Gdzie jesteś?

– W Berlinie, na razie nie mogę wrócić.

– Jesteś więziona?

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– W Wilnie rozmawiałam z takimi starszymi paniami, które szukają zaginionych. Powiedziały mi, że wiele dziewczyn jest wywożonych, więzionych i...

– I co?

– Nic. Były tu jakieś telefony, ktoś pytał o ciebie.

– Kiedy?

– Jakieś dwa, może trzy miesiące temu. Ale i w zeszłą niedzielę też.

– Dobrze ci powiedziały.

– Co?

– Dobrze ci powiedziały te kobiety w Wilnie. Ale ja już uciekłam. Powiedz, jak ojciec?

– Mieszka z jakąś babą, chwała Bogu u niej. Mieszkanie stoi puste. Przeprowadzamy się tam, bo mam już córeczkę.

– Naprawdę? Jak ma na imię? Kończy mi się karta, zadzwonię niedługo, nie martw się.

W pizzerii Birute pracuje dwa miesiące. Jest zadowolona, wreszcie dostaje jakieś pieniądze. Ale nie ma szczęścia. W metrze – codziennie jeździ dwie stacje – kontrola biletów. Choć ma bilet, kontroler orientuje się, że sprawdza cudzoziemkę. Prosi o dokumenty, ma takie prawo. Dziewczyna szuka paszportu, choć wie, że nie znajdzie go w żadnej kieszeni. Na najbliższej stacji musi wysiąść razem z kontrolerem.

W areszcie deportacyjnym przychodzi do niej pani z organizacji.

– Przepadł *Duldung*, bo uciekłaś, pewnie pracowałaś. Teraz mogę ci tylko pomóc w litewskim konsulacie załatwić dokument podróży.

Tydzień później Birute ląduje na lotnisku w Wilnie. Podchodzi do niej starsza kobieta w żałobie.

– Mam na imię Marta i jestem tu po to, by ci pomóc.

– Nie rozumiem.

– Twoja siostra wie, że przyleciałaś. Odradziłam jej wyjście na lotnisko. Może jest śledzona.

– Nie rozumiem. Kim pani jest?

– Jestem z Centrum Wspierania Rodzin Osób Zaginionych. Chodź, załatwiłam ci dobre miejsce niedaleko od Wilna. Pobędziesz tam trochę.

– Dlaczego?

– Na razie nie powinnaś wracać do Kłajpedy. Ktoś cię tam szuka.

– Kto?

– Jakiś męski głos, różne męskie głosy dzwonią.

Marta C. – za zgodą kurii – załatwiła miejsce w klasztorze, sześćdziesiąt kilometrów od Wilna. Kobiety z Centrum Wspierania chciałyby w przyszłości mieć dom (albo chociaż mieszkanie) dla powracających dziewczyn, ale na razie brakuje im na to pieniędzy.

W klasztorze Birute dowiaduje się od Marty C., że Mesut siedział kilka dni. Po tym, co zeznała na policji. Miał dobrego adwokata, który skorzystał z tego, że Birute zwiała z domu dla kobiet.

Teraz czekają ją przesłuchania na litewskiej policji. I badania lekarskie, których Birute najbardziej się obawia: Mesut nigdy nie używał prezerwatyw, zresztą nie on jeden.

– Chcę do Kłajpedy – Birute mówi do Marty C. – Tu jest nudno. Boję się tych świętych obrazów.

– Mam taką matkę, która szuka córki. Mieszka w Poniewieżu, ona cię przyjmie.

– Ale...

– Nawet jak się zamkniesz na dwa zamki, i tak któregoś dnia wyjdziesz. Choćby po chleb. A ci koledzy przecież byli z podwórka.

Wojciech Tochman, *Schodów się nie pali*,
Kraków: Społeczny Instytut Wydawniczy Znak,
2006, s. 73–112

1999

Włodzimierz Nowak (ur. 1958)

Reportaż to nie wymiana uprzejmości

Reporterem został tak:

> Jest koniec maja 1989 roku. Wystawiłem stolik na rynek w Pszczewie. To wieś na ziemiach zachodnich, gdzie się wyniosłem z Poznania w ramach „emigracji wewnętrznej" (tak się wtedy mówiło) i prowadzę muzeum regionalne. [...]
>
> Zakładamy w Pszczewie Komitet Obywatelski Solidarność. Zostaję szefem. Siedziba: barakowóz w ogrodzie za muzeum.
>
> Ludzie się zorientowali, że powstaje jakaś nowa władza.
>
> Przychodzi pani S., że sąsiedzi korytarza nie myją.
>
> Pan L. drepcze do barakowozu ze skargą, że mu R. bezprawnie opłotował część podwórka.
>
> Pani W., żeby synowi załatwić pracę w urzędzie.
>
> Wkurzam się, bo ludzie mnie mylą z pierwszym sekretarzem. Jak tłumaczę, że najpierw musimy wybrać władzę samorządową, to oni się wkurzają, że nic nie potrafię załatwić. „A sekretarz to wystarczyło, że chwycił za telefon i nagadał". [...]
>
> Jakiś facet goni mnie w Pszczewie na rynku, chyba podpity, wymachuje pięścią: „Ty, kurwa, Solidarność!...".
>
> Wskakuję na rower.
>
> Rządzi AWS, w telewizji codziennie Krzaklewski.
>
> Na dobre zostawiam gminną politykę i biorę się poważnie do reporterki.

Syn nauczycieli, absolwent kulturoznawstwa, marzył o tym, by zajmować się „mitami codzienności". Najpierw zaczął w prasie lokalnej i obywatelskiej, a od 1993 roku był reporterem „Gazety Wyborczej", jeszcze kilka lat mieszkając w Pszczewie. Potem przeprowadził się do Poznania. Jeździł po kraju i opisywał „Polskę niewarszawską".

Do Opola przyjechał między śmiercią a pogrzebem; kobieta skoczyła z okna razem z synem, który chorował na zanik mięśni; nikomu się nie żaliła, tylko raz przy koleżankach z pracy jej się wyrwało: „Do cholery z takim życiem". Beatę K., lat 29, poznał przy bocznej furcie kościoła bernardynów, jak stała dziewiąta w kolejce samotnych matek po ryż z Unii Europejskiej, mąkę i pomarszczone papryki. „Każdy żyje, proszę pana, jak umie" – zdradziła mu, a on zrobił z tego pierwsze zdanie reportażu.

Czasem jego pierwsze zdanie jest jak pocisk: „Słubice to kurewskie i złodziejskie miasto". To początek reportażu, który wybraliśmy do tej antologii: Nowak tydzień mieszkał w niewykończonym siedemnastopokojowym domu Adama, który przy granicy polsko-niemieckiej budował burdel. „Patrzę, jak granica może zepsuć życie" – mówił reporter.

Włodzimierz Nowak za Kozickim, Bijakiem i Strońską, a więc za najlepszymi, powtarza, że jest reporterem prowincjonalnym. Zwykle na początku pracy zderza się z „warszawskim obrazem Polski niewarszawskiej". Tym bardziej że zwykle przed reportażem pojawia się news o sprawie. A news czasem kłamie albo tak rzecz upraszcza, że graniczy z nieprawdą. („I to kłamstwo idzie przodem, przed reporterem" – mówi). Reporter nie musi aż tak boleśnie upraszczać świata, bo ma trochę więcej czasu.

„Czym ten warszawski obraz świata różni się od twojego?" – spytałem go w 2008 roku.

> Parę lat temu, kiedy bezrobocie u nas szalało, byłem w Człuchowie, czarnej dziurze popegeerowskiej biedy. W takim warszawskim wyobrażeniu bieda jest skromna, ale szlachetna i chociaż króliki hoduje, a nie siedzi i nic nie robi. A ja wiem, że bieda jest brudna i niechlujna, bo się biedzie nic nie chce, przecież bieda też ma prawo do ciężkiej depresji, i to nieleczonej. Więc siedziałem w takiej ciemnej i zimnej chałupie, stał przede mną były traktorzysta i mówił całkiem serio, że on dużo czyta i wie, że ludzi na świecie jest za dużo i że jest taki plan, żeby część ludzi wyginęła, a że Polska wchodzi teraz do Europy, musi część tego planu wykonać. I padło właśnie na nich, na byłych pegeerowców. Tego dnia wróciłem do Poznania i rodzina wyciągnęła mnie do rozświetlonego centrum handlowego, wtedy to jeszcze robiło wrażenie. Otworzyłem moją torbę i wyleciał z niej smród tamtej chałupy. Pomyślałem sobie, że gdyby ci ludzie teraz wyskoczyli z mojej torby, toby im serce pękło. Torbę szybko zamknąłem. I nie wiedziałem, jak to wszystko opowiedzieć. Jak to przetłumaczyć. Jak zawracać głowę tym, którzy pchają pełne wózki, tamtymi spod Człuchowa.

Prowincję, która żyje, jak umie, portretuje jego książka *Serce narodu koło przystanku* (2009), zaś wcześniejszy *Obwód głowy* (2007) jest zapisem relacji polsko-niemieckich i niemiecko-polskich, które – jak napisał austriacki pisarz i tłumacz Martin Pollack – sześćdziesiąt lat po wojnie wydają się wciąż wielkim polem minowym. Pollack nie zna w Niemczech innej książki, która opisywałaby je tak bezlitośnie szczerze, a jednocześnie tak po ludzku.

Główną bohaterką tytułowego *Obwodu głowy* jest Alodia Witaszek, Polka odebrana rodzicom i przeznaczona do zniemczenia, która mówi, że do dziś

nie może zaznać spokoju. „Bo wszyscy pytają i pan pyta... Gdyby tak przestali pytać" – irytuje się. A jednak reporter pyta, choć ona przez to cierpi. „Czy coś twoje pytania usprawiedliwia?" – dociekałem.

> Reportaż – przekonywał – to nie letnia rozmowa i wymiana uprzejmości. Niepokoisz swojego bohatera, bo szukasz prawdy. Reportaż boli bohatera i mnie. Czasem widzę, że ktoś nosi w sobie piękną i mądrą opowieść, tylko że zupełnie nie zdaje sobie sprawy, czym jest reportaż, więc uprzedzam lojalnie: „Przepraszam, ale to może boleć". Wracając do niepokoju Alodii Witaszek. Chciałem pokazać, że nasza rozmowa ciągle się zacina. Że po tylu latach to wszystko w tej kobiecie jeszcze żyje. Zaraz potem zapytam przecież: „Jak długo była pani u t e j N i e m k i?", i pani Alodia się zdenerwuje, a ja będę skołowany. Bo moja polska głowa nie spodziewała się, że ktoś porwany matce przez nazistów i podarowany bezdzietnej Niemce może potem tę Niemkę szanować, a nawet kochać. Że Alodia będzie kochać i swoją prawdziwą Matkę, i Mutti. Że obie matki się zaprzyjaźnią. Świat jest zbyt bogaty, żeby go upraszczać.

Włodzimierz Nowak, mimo otrzymanych nagród i splendorów, które na niego spłynęły (*Obwód głowy* znalazł się w finale Nagrody Literackiej Nike 2008, *Mój warszawski szał* napisany z Angeliką Kuźniak otrzymał Grand Press 2004, a cykl tekstów o Białorusi, który Nowak napisał do „Dużego Formatu" pod pseudonimem Zdzisław Wolniarowicz – Nagrodę Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich imienia Kazimierza Dziewanowskiego), nie uległ pokusie, żeby w reportażu mówić o sobie. U wielu reporterów „ja" jest przecież widoczne, właściwie czytamy ich reportaże, bo chcemy wziąć udział w ich przygodzie.

> Może to zaczęło się od jakiejś niepewności czy niewiary w siebie – tłumaczył. – Dziś to mój wybór. Nowak to taki everyman, mówi prostą, potoczną frazą. Potrafi narazić się na śmieszność. Bo Nowak tak się sobą nie przejmuje. Zwykle trzymam go głęboko w tekście. Wiem, że gdybym go zupełnie spuścił ze smyczy tekstu, tobym mędrkował, a ja właściwie nie lubię czytać reporterów, którzy zaczynają filozofować. Nie lubię głównie z szacunku dla filozofii.

Adam z Ewką żyli w raju

Słubice to kurewskie i złodziejskie miasto. Ja tego nie wymyśliłem. Sympatyczna pani z biura promocji też oczywiście tak nie powiedziała. Chwaliła miasto. Dała foldery: nadgraniczna metropolia, Collegium Polonicum, Uniwersytet Europejski Viadrina, ponad pięćset miejsc hotelowych czeka, wspaniałe warunki do inwestowania, siedemnaście tysięcy mieszkańców i dwadzieścia milionów podróżnych...

Przygraniczny raj – pomyślałem.

O kurewskim mieście powiedziała Czarna, o piątej nad ranem, kiedy wracaliśmy z dyskoteki Lubusz. Ulice puste. Czasami przemknie jakiś złodziej rozklekotanym polonezem na obcych tablicach. Krążyły policyjne radiowozy. Granatowy autobus z napisem „Holidays" rozwoził gości z innej dyskoteki. Przedszkole o tej porze? Z trudem zbierałem myśli, kiedy z „Holidaysa" wysypała się gromadka dziewczynek – dwanaście, trzynaście, czternaście lat. Skakały po chodniku jak małe żaby.

Czarna jest niewiele starsza, piętnaście lat. Długie, rozpuszczone, czarne włosy, dżinsowa minisukienka na gołe ciało, zamek błyskawiczny od dekoltu po uda. Królowa dyskoteki. Zdjęła buty na koturnach i szła boso, przeklinając każdy kamyk.

Nie była pijana, tylko wściekła na starsze dziewczyny.

– Ta kurwa Agniecha chciała mi dojebać. Bo ja miałam branie u facetów, a one nie. Jebać stare baby! I policję! – syczała, kiedy mijał nas radiowóz.

W połowie drogi ściągnęła rajstopy, bo przetarły się na dużym palcu. Szła wolno, paliła papierosy i pluła przed siebie.

Dom już się obudził

Obudziłem się o dziesiątej w narożnym pokoju na drugim piętrze. Dwie wersalki, szafa oklejona niemieckimi piłkarzami, w szufladach formularze celne i plik Monitorów Polskich (wszystkie szczegółowe przepisy celne podkreślone długopisem, gdzieniegdzie wielkie wykrzykniki). Przede mną przez trzy lata mieszkał tu Andrzej z Kętrzyna. Rzucił studia na Wojskowej Akademii Technicznej i przyjechał do Słubic szmuglować papierosy. Potem przeszedł na handel samochodami. Dorobił się i teraz inwestuje w legalne interesy – agent drugiego filaru, otwarty fundusz emerytalny.

Wyjrzałem przez okno. Dom już się obudził. Czarna siedziała w słońcu na tarasie, jak zwykle w dzień, cicha i zamknięta w sobie. Obok Adam, jej ojciec, miotał się na wózku inwalidzkim. – Jak szczury, kurwa, się przemykają – przechylał się niezgrabnie przez balustradę i próbował zobaczyć, kto wychodzi z domu. (W nocy, kiedy Adam kładzie się w swojej „sralni, spalni i jadalni", dom zaczyna żyć własnym życiem. Pojawiają się nocni goście. Jedni wchodzą, inni wychodzą, drzwi otwarte).

Adam ma pięćdziesiąt lat. Stary słubicki kozak. Mistrz województwa w motokrosie (na przerobionej wuesce). W mocowaniu na rękę nikt w Słubicach nie dawał mu rady. Na święcie piwa we Frankfurcie też nie miał sobie równych. Kiedyś ponad sto kilo wagi, teraz, razem z wózkiem inwalidzkim, niecałe osiemdziesiąt.

Taryfiarz, przemytnik i kierowca wielkiego stara.

Od sześciu lat – z przerwą na nieudany skok do wody – Adam buduje burdel.

To miała być taka inwestycja szczęśliwej rodziny. Raj po słubicku. Stała praca dla niego, konkubiny i córeczek. Pomogą trochę w kuchni, a jak dorosną, przejmą interes.

Raj ma trzy piętra i siedemnaście pokoi, nie jest jeszcze skończony. Może tu mieszkać każdy, za piątaka (pięć marek za noc). Nikt nie pyta o nazwisko, skąd przychodzisz i po co, chociaż mniej więcej wiadomo – żeby coś zamataczyć na granicy.

W każdym pokoju ktoś inny.

Piotrek Wystawka

Pod ósemką na piętrze mieszka Piotrek. Dwadzieścia parę lat, hiszpańska uroda, ostry, czarny wąsik. Przyjechał spod Wałbrzycha. Uczył się na górnika, ale obiecał sobie, że jebać pod ziemią nie będzie. W Słubicach od sześciu lat. Wstaje, włącza telewizor, ogląda jak leci, przy „Domowym przedszkolu" się wzrusza. Po południu wsiada na niemiecką damkę z żółtymi kołami (zwykły góral by nie wytrzymał takiej roboty) i jedzie przez most do Frankfurtu. Żyje z wystawek. Codziennie ta sama trasa: sześćdziesiąt kilometrów ulicami, na których Niemcy wystawiają niepotrzebne sprzęty. Telewizory, wieże hi-fi, komputery. Wszystko przewozi damką, nawet pralki i meble kuchenne. Zdarzają się nówki, jak ostatnio dwa nierozpakowane monitory.

– Nieraz z jednej strony firma wnosi nowy kredens, a drugimi schodami chłopaki z Polski go wynoszą. Bo się frau kolor nie spodobał. A Niemiec taki jest, że nie odda do sklepu. Za dumny.

Cztery lata temu Piotrek się zakochał.

– Wtedy byłem niezły gigol. Codziennie dwadzieścia mrów nosiło dla mnie papierosy przez most.

Zobaczył Mychę na bazarze. Minus dwadzieścia, a ona zębami dzwoni. Sprzedawała u jednego warszawiaka dżinsowe spodnie.

Dzisiaj ich synek ma dwa lata. Nie pobrali się, nie było czasu, dyskoteki, robota. Poświęcał się dla rodziny: rano sprzątał śmieci w słubickiej komunałce, a po godzinach przemycał papierosy. Spłacał mieszkanie przepite przez teścia. Jak spłacił, wyrzucili go, syn został z matką. Mycha wróciła na bazar, sprzedaje warzywa.

– Teraz robię już tylko na siebie. Może chcesz radio samochodowe? Blaupunkt, tanio, pięćdziesiąt marek.

Adam robił w koralikach

Kiedy w czerwcu 1972 roku na słubickim moście Gierek dał internacjonalistycznego buziaka Honeckerowi, pieczętując przyjaźń polsko-enerdowską i otwarcie granicy dla ruchu bezwizowego, Adam – fenicjanin ze Słubic – przecierał handlowe szlaki.

– Byliśmy z kumplami pierwsi, potem dopiero ruszyli ci z kryształami, wikliną, papierosami. My zarzuciliśmy NRD lizakami i koralikami. Robiłem w koralikach. Wie pan, takie malutkie, szklane gówna w różnych kolorach. Darłem dużym fiatem do znajomego przemytnika w Ustrzykach Dolnych, który szmuglował te koraliki z Czechosłowacji. Od niego prosto do Warszawy, tam wynajęte baby nawlekały te paciorki na żyłkę i wracałem z towarem do Słubic. Jak założyłeś to wszystko na szyję, ledwie szedłeś. Ale na granicy jeszcze wtedy nie sprawdzali. Stawałeś koło zoo albo w podziemnym przejściu i od razu kolejka dedeerowców. Osiem marasów za sznur. Potem szybko do Arabów po grube sztabki złota. Opychałem je na bazarze Różyckiego albo gdzieś po drodze. To była forsa!

Pokazuje dwa duże sygnety na bezwładnych palcach, bransoletkę i łańcuszek z dużym krzyżem, wszystko z arabskiego złota.

Mirka z Mazur i gruba Wieśka

Pokój numer trzy koło schodów zajmuje od niedawna pani Mirka – mała, korpulentna, z dyskretnym tatuażem nad łopatką. Opalała się dziś na dachu garażu, miał być lekki brąz, ale zasnęła i jest czerwona. Z zawodu ekspedientka, przyjechała sześć lat temu z Mazur za siostrą.

Pracuje w burdelu na osiedlu. Tydzień dniówki, tydzień nocki i tydzień wolnego.

– Ale nie to, co pan myśli – uśmiecha się. – Od tamtych rzeczy są dziewczyny. Piorę pościel i sprzątam pokoje pracownicze. Bo u nas w firmie (to „u nas" mówi z dumą) dziewczyny mają osobne pokoje do spania i do pracy. Agencja z klasą. Nie to, co u sąsiadów – różowy biustonosz jednej Ukrainki od roku wisi na sznurze, zero ruchu.

Mirka chwali szefa, polskiego Niemca z Berlina. Trzydzieści dziewczyn – z Ukrainy, Białorusi, Rosji, kilka Polek z odległych województw. Obsługują po pięciu, sześciu klientów na dobę.

Mirka nie płaci Adamowi za pokój, pomaga za to prowadzić dom, posprząta, opierze, zrobi kolację, weźmie opłatę od pokerzystów albo uciszy lokatorów na poddaszu (Adam na wózku tam się nie wgramoli). Towarzyszka, gospodyni i opiekunka.

Czasami śnią się Adamowi grube uda Mirki.

– Ja już się do seksu nie nadaję, ale czucie jakieś mam i parę razy, jak partnerka miała wprawę, to nawet coś z tego wyszło.

Przedtem mieszkała pod trójką gruba Wiesia z wielodzietnej rodziny spod Ośna. Młoda, osiemnaście lat, opowiadała, że ojciec ją gwałcił od dziecka, więc jak tylko dostała dowód, uciekła do Słubic. Wiesia też opiekowała się Adamem i czekała, aż jej Zenek wyjdzie z więzienia. Trochę się martwiła, co powie na piękne białe futro z lamy, które kupił jej Adam. Ale Zenek o futro nie pytał, przenocował parę razy i pojechał w nieznane.

Adam Wieśkę źle wspomina.

– Podkradała mi pieniądze, lokatorom też. Wróciła chyba na wieś.

– A futro z lamy?

– Oddała, pasowało jej jak tłustej świni suknia.

Adam i Ewa (z Cielętnika)

W maju 1980 roku Adam wylał fundamenty pod swój pierwszy dom. Był już wtedy rozwodnikiem („Z moją ślubną żyliśmy tylko półtora roku, na stancji, nie ma o czym gadać"). Rozszedł się też z pierwszą konkubiną Iwonką („Moja wina, przyłapała mnie w hotelu z jakąś babką, weszła rano przez taras, a ja w objęciach tamtej. Dumna była, ja też, i się skończyło. Szkoda, bo kochałem ją naprawdę").

Zimą nocował w swoich siedmiu garażach (budował je i sprzedawał, taki interes).

Wiosną przeniósł się do barakowozu w starym sadzie (sad kupił jeszcze za koraliki). Cały miesiąc bez przerwy pił z żalu za Iwonką. Aż spojrzał kiedyś w lustro: „Adaś, kurwa, trzeba żyć. Zbuduj dom".

Przywiązywał stare śliwy i jabłonie do stara – miał wtedy własną firmę transportową – i wyrywał z korzeniami. Wykarczował cały sad. Wylał fundamenty. Brakowało kobiety. Poszedł na podryw do Cielętnika. Wszyscy tam chodzili – damski hotel robotniczy Komesu, wtedy wielkiej fabryki odzieżowej na półtora tysiąca szwaczek. W Cielętniku poderwał rudą Ewkę, młodziutką szwaczkę ze wsi pod Gorzowem. Razem zbudowali dom, typowy peerelowski klocek z płaskim dachem.

Borys, Igor i Belg

Gramy w tysiąca dla zabicia czasu. Igor ze Lwowa, Borys z Lidy i drobny Belg bez przednich zębów. Siedzą u Adama trzeci dzień. Zajmują pokoje na trzecim piętrze, Belg śpi na waleta. To u nich pierwszej nocy piszczały pijane Rosjanki.

Czekają na jakieś samochody z Zachodu. Rano na podwórku kupowali od Niemca opla omegę. Odjechał już na wschód, plując ropą.

W Lidzie Borys gra na basie w zespole rockowym LSD. Wszystkie piosenki po angielsku. Czasami gra do kotleta na Zachodzie. Nosi czarną koszulkę z trzema szóstkami i znakiem zakazu.

– *Satanizm niet, ty poniał?*

Belg w granatowych spodniach od garnituru (marynarkę zgubił) jest ciągle pijany. Sam już chyba nie pamięta, co robi na polskiej granicy. Bełkocze coś o samochodach i ogląda się za każdą dziewczyną. Podobno chce założyć u siebie mały, przytulny burdelik z pięknościami ze Wschodu.

Igor naprawia samochody, blacharz lakiernik. Szeroki uśmiech, złoty ząb. W Słubicach radzi kolegom, co kupić i jak przewieźć.

– Mafia to nic, płacisz dolary i jedziesz. Oni mieć telefon, goworiat, czto ty już płacił. Jedziesz spokojnie. Gorsze pojedyncze bandity, biją, zabierają auto.

Igor rozlewa wódkę i opowiada o Lwowie („To piękne miasto, ty znajesz"). O córkach, które pięknie grają na fortepianie. Polskiego nauczył się z telewizji, odbiera u siebie Polsat, Jedynkę, Dwójkę.

– Wołodia, ty żurnalist, a pytasz jak tajniak. – Igor błyska groźnie złotym zębem.

– A ty masz uśmiech płatnego mordercy – odparowałem.

Chyba przesadziłem. Karta już jakoś nie szła, wódka przestała smakować. Zamknąłem się w pokoju, na klucz.

I było jak w raju

Adam i Ewka (z Cielętnika) nie pobrali się. Jakoś tak wyszło. Ale się im powodziło. Najpierw urodziła się Ruda, potem Czarna. Adam mówi, że byli szczęśliwi, mieli swój raj. Pieniądze, wakacje w Dziwnowie, wypady do Berlina, nowy dom z dziewięcioma pokojami, dwa samochody (on mercedesa, ona opla).

Hodowali kaczki, kury, świnie. Ewka co wieczór stawiała w bramie raju przyczepę kempingową i sprzedawała papierosy całymi sztangami i kartonami. On w tygodniu woził starem materiały budowlane. Wszyscy się wtedy budowali: bazarowcy, przemytnicy, cinkciarz, który zainwestował w kantory. Potem stawiali domy ci, którym tamci dali pracę. Rosły pierwsze hoteliki, powstawały agencje towarzyskie, dyskoteki.

W soboty i niedziele Adam przesiadał się na taksówkę. Robota była prosta, pięćset taksówek jeździło tą samą trasą. Klientów starczyło dla każdego. Kurs od granicznego mostu, gdzie stała kolejka Niemców, do bazaru (niecały kilometr) kosztował pięć marek. Z powrotem – druga piątka. Do piętnastej – dwieście pięćdziesiąt marek. Co jakiś czas Adam z Ewką przerzucali na niemiecką stronę papierosy.

Marki płynęły do raju szerokim strumieniem, a oni zastanawiali się, gdzie tę forsę ulokować.

– Burdel to złoty interes – zapalił się Adam.

Zaczęli przerabiać swój klocek z płaskim dachem na wielki, trzypiętrowy dom. Miało być tak: w starej części, na parterze i piętrze – agencja, wyżej – dom Adama i Ewki (na drugim dwa duże salony z kominkami, a na poddaszu sypialnie i pokoje dziewczynek). Na każdej kondygnacji kuchnia i łazienka.

Adam wziął się do roboty. Kiedy tamtej lipcowej niedzieli jechał z córkami nad jezioro, nowy dom był prawie skończony.

Staszek Warszawa i łodziaki

Bazarowcy mieszkają na parterze. Staszek Warszawa z synem i dwóch łodziaków (stragany z serami). W ostatnią sobotę wieczorem przyjechali z jakimś obcym z Konina. Wchodzili osobno. Dziesięć nowych talii kart, cztery czarne teczki, w każdej kilka tysięcy marek. Co dwa tygodnie grają u Adama ostrego pokera w kuchni na drugim piętrze.

Nieraz na kuchennym stole leży kilkanaście tysięcy marek, a talie fruwają za oknem – jak któremuś karta nie idzie, oskarża kumpli, że go oszukują i znaczonymi grają.

Życiorysy mają zwykłe, bazarowe, rodziny w centralnej Polsce, robota pięćset kilometrów od domu – na straganie w Słubicach. W tygodniu pilnują

interesu, w niedziele wpadają do domu. Wracają przez Tuszyn albo Stadion Dziesięciolecia, gdzie kupują towar.

Zaczynali zaraz po otwarciu granicy, kiedy przez Słubice nie było można przejść: wszędzie łóżka, składane stoliki, tłum Niemców. Teraz narzekają, że bazary się skończyły.

– Stąd tylu pijaków na ulicy – Adam wierci się na wózku – chleją te mózgojeby tanie wina, bo interesu już nie ma.

W lutym Ciapek, bazarowiec z Łodzi, i Rowerzysta, słubicki tynkarz, wypili we dwóch osiemnaście win. Absolutny rekord raju. Chlali pod szóstką, w pokoju Ciapka. Łodziak nie wytrzymał, dwa dni później zmarł. Pokój stoi pusty.

Adam żegna się ze światem

To było pięć lat temu, lipcowej niedzieli. Adam pojechał z córkami nad jezioro. Ewa została, chciała pohandlować papierosami. W niedzielę wieczorem, kiedy bazar jest zamknięty, Niemcy – w drodze po tani seks i benzynę – dobrze płacą za papierosy.

Adam wszystko dokładnie pamięta, nawet jak wkładał do bagażnika puste kartony po papierosach (wracając, chcieli na dzikiej plantacji narwać porzeczek na zaprawy).

Sunął mercedesem, pozdrawiał kumpli. Jak zwykle zerknął na nowy kościół Świętego Ducha. Uśmiechnął się, pomagał go budować, woził księdzu belki, żwir i piasek.

Potem myślał o nowym mercedesie (za kilka dni miał go odebrać). Nie zauważył nawet, kiedy dziewczynki przestały śpiewać i zaczęły się kłócić. Lubił, jak szczebiotały.

Kąpali się w leśnym jeziorku. Przyjechali bracia z rodzinami. Deska była przybita do trzech ściętych olch, dwa, trzy metry nad wodą.

– Adaś nie skakaj, bo płytko – ostrzegał starszy brat.

Co tam, on, słubicki kozak, nie skoczy?! Odbije się i poleci dalej, gdzie woda głęboka. Jeszcze pamięta myśl: „Woda mi z gatek kapie na deskę, ślisko!".

Nogi się rozjechały.

Leżał bezwładnie na dnie z szeroko otwartymi oczami: „Koniec. Ale przyjebałem!". Kiedy go wyciągnęli, żegnał się z córkami, bratem, drzewami, niebem, światem. Szybko dyktował ostatnią wolę. Dzielił swój raj między dzieci i Ewę.

Potem to odlatywał, to wracał. Wysoka gorączka, strzępy rozmów, szpitalne sufity, pochylone głowy.

Głos lekarza:

– Ma pan złamane pięć kręgów, na wysokości piątego C uszkodzony rdzeń, bezwład od ramion w dół.

Lądowanie szpitalnej awionetki pod Gorzowem. Straszny tuman kurzu.

– Palimy się? – wystękał przerażony do sanitariusza.

– Spokojnie, chłopie, to tylko kretowiska.

Dwa razy umierał. Ale lekarz potężnymi uderzeniami w mostek kazał mu żyć.

– Wie pan, jaki to kurewski ból, kiedy krew rusza. Jakby wszędzie, na całym ciele rosły ci zęby i ktoś je wyrywał.

Pamięta wypiętą pupę Ewy, kiedy w Wielki Piątek wrócił do domu. Sanitariusze wepchnęli wózek na korytarz i pojechali, a ona myła okno w kuchni. Nawet się nie odwróciła.

– A ty, stary chuju, tu na co. Twoje miejsce w domu starców.

Jadalnia, sralnia i sypialnia

Adam wjeżdża na taras windą własnej konstrukcji (balustrada ze starych metalowych łóżek, żeby wózek nie wypadł, trochę złomu po budowie i gruba stalowa linka od koparki. Pospawał kolega pijaczek).

Zajmuje największy pokój, dawniej, przed skokiem, pokój telewizyjny, sypialnia Adama i Ewki, teraz: „Jadalnia, sralnia, sypialnia, sikalnia, umywalnia, wszystko w jednym" – wścieka się Adam, zły, że miasto nie dało inwalidzie ani złotówki na przebudowę łazienki.

Nad szpitalnym łóżkiem z ciężarkami i przesuwanym klozetem wielka makatka z jeleniami przy wodopoju, na ścianach myśliwskie trofea gospodarza, głowa dzika, rogi, ptaki.

Codziennie rano przychodzi pani Kazia z opieki społecznej, myje Adama. Potem piją kawę.

– Panie redaktorze, jaka to metropolia – wzdycha pani Kazia. – Teraz w Słubicach bieda. Wszystkie zakłady poupadały, w marcu zlikwidowali Komes. Bazar się skończył, pracy nie ma.

– Ale burdeli sporo.

– O, chyba z dziesięć albo więcej, ale przecież nie każdy ma pieniądze, żeby agencję towarzyską otwierać. A ci nasi enerdowcy też groszem nie śmierdzą. Nieraz widziałam na osiedlu, jak pod blokiem Niemiec otwierał kanister, taki przerobiony, i upychał do środka papierosy. Zakleił taśmą, siknął sprejem. Przecież bogaty by sobie tyle trudu nie zadawał dla paru papierosów. Albo ten, co przychodzi do sklepu. Sąsiadki, sępy, jak go widzą, to z daleka lecą

z siatami. Kupuje cztery ariele i przed sklepem przesypuje proszek babom do foliówek. A do ariela ładuje papierosy.

Pani Kazia boi się o syna, żeby się z kimś nie zadał, bo teraz ci młodzi jak wilki. Po piwnicach ganiają, na balkony włażą. Kradną, w biały dzień napadają. Porwą auto, poszaleją na starym czołgowisku, potrzaskają i zostawią.

Ewka już tu nie mieszka

– „A ty, stary chuju, tu na co". Tak mi powiedziała! Zaczęło się piekło. – Adam jeździ w kółko po pokoju. – Leżę całymi dniami jak kłoda, nawet muchy z nosa nie mogę zgonić, i słyszę, jak ta kurwa Ewka harcuje ze swoim kochankiem po pokojach, w jednym, drugim, dziesiątym. Jakiegoś żonatego zapoznała. Podzieliłem marki z sejfu, kazałem bratu sprzedać mercedesa.

Wymeldował konkubinę z raju. Zmienił testament, żeby nie czekała na jego śmierć.

– Wtedy córki zaczęła buntować. Starsza spała w moim pokoju, przekręcała mnie w nocy, ale matka jej gadała: „zostaw starego trupa". Dziewuchy zaczęły wychodzić, kiedy chciały, ulica je chowała. Do szkoły nie chodziły. Jak spadłem z łóżka, to leżałem cały dzień na podłodze.

Zaczął się ich bać, skarżył się policjantom i sędzinie, że próbowały go otruć, wlały rtęć do mięty, którą stawia sobie na noc koło łóżka. Że nim poniewierają, sprowadzają młode dziwki i złodziei. Że wszystko rozkradły.

Potem, kiedy policja złapała Rudą i Czarną w Gryficach po kilkudniowej ucieczce i wylądowały w pogotowiu opiekuńczym, gruba Wieśka, sprzątając ich pokój, znalazła w poduszce krótki list. Czarna żegnała się z życiem.

– Pewnie wtedy chciała ze sobą skończyć. Ja wiem – wzdycha Adam – też mają ciężko.

Czarna i Ruda

Czarna i Ruda mają mały pokój przy „sralni, spalni, jadalni".

– Pamiętasz, jak nasikałaś mu do szklanki?

– Chyba cię popierdoliło, to ty sikałaś ojcu do butelek – chichoczą.

Są w raju na wakacjach. Resztę roku spędzają w młodzieżowym ośrodku wychowawczym daleko od Słubic.

Ruda ma siedemnaście lat, w brwiach i nosie kolczyki. Wysoka, o smutnym uśmiechu i obfitym trądziku. Kiedy wychodzi na balety, przysypuje go grubo pudrem. Obie w tym roku przeszły dopiero do ósmej klasy. Siódmą klasę Ruda powtarzała cztery razy, Czarna raz. W ośrodku zdobędą zawód – kucharka.

Czarna nie jest rozmowna.

– Płaczesz czasami?

– Pewnie, jak mnie chłopak nie kocha.

– Ale czy płaczesz nad sobą?

– Nie obchodzi mnie moje życie.

– Kochałaś się już z mężczyzną?

– Tak, pierwszy raz rok temu.

– Miałaś czternaście lat.

– ...

– Często to robisz?

– Nie jestem kurwą – wybucha Czarna i recytuje „trzy zasady małolata", które obowiązują w jej światku: „pierdolić policję, czystość i higiena, tępić kurewstwo".

Pożyczyły mi do pokoju gruby zeszyt w kratkę. Ruda wpisuje tam wszystkie mądrości, i te słubickie, i te z ośrodka wychowawczego. Ładnie rysuje: kraty, Królik Bugs i Duszek Kacper, znowu kraty i więzienne łańcuchy, wzory tatuaży.

Z „Dziesięciu przykazań szczęśliwego człowieka" wszystkie są podobne.

Pierwsze: „Człowiek rodzi się zmęczony i żyje, aby odpocząć". Szóste: „Co masz zrobić dzisiaj, zrób pojutrze. Będziesz miał dwa dni wolnego". Dziewiąte: „Jeżeli ogarnia cię ochota do pracy, usiądź, poczekaj, aż ci przejdzie".

Rymowanki z pamiętnika: „Zamiast pracy spróbuj drzemki, od wolności dwie siódemki. Każda dziewczyna ma ochotę ze złodziejem stracić cnotę. Gdy złodzieje idą kupą, to panienki kręcą dupą".

Wpisywanka: „Powiedziałeś kiedyś, że chuj myśli. Tak jest, bratku, tylko w twoim przypadku. Więc na koniec radę ci tą wpisuję: rusz czasami głową, a nie tylko chujem".

Złota myśl: „Jeśli nie masz po co żyć, żyj na złość innym".

Jaki tam raj. Sto kur i kaczek

Czarna z Rudą wygrzewają się na tarasie.

– Po ojcu tak klniemy. Jak przyjeżdżał z roboty, najpierw szedł do kur, potem do kaczek i psa. Sprawdzał, czy mają wodę. Jak gdzieś zabrakło, to zaraz było słychać: „wy skurwysyny". Bił nas i matkę.

Obie są teraz za matką. Ojciec kłamca. To nie ona ukradła mu marki, tylko on jej.

– Jaki tam raj! Zapierdalałyśmy na polu, przy świniach. Sto kur i kaczek.

Czarna: – Matka mi powiedziała, że jak była ze mną w ósmym miesiącu, to orała pole, aż sąsiadka na ojca nawrzeszczała.

Ruda: – Zgubił mnie, jak miałam dwa latka. Zabrał do kumpli, pił i zapomniał, dopiero w domu się zorientował. Nie mogli mnie znaleźć. A ja sobie szłam polami, łąkami – Ruda się uśmiecha – aż na poligon pod Kunowicami. Bo lubiłam biegać za motylkami, robaczkami.

Teraz żyją za kratami, pobudka o szóstej, szkoła – kraty, obiad – kraty, pokój – kraty. Czarna już pięć razy była w izolatce za próby ucieczki.

Adam kręci się na wózku.

– To one kłamią, matka je nauczyła. Jak nie przestaną, to je policyjną suką z powrotem do ośrodka odeślę, niech siedzą.

Student oliwi ostro

W dawnym pokoiku myśliwskim Adama mieszka student, młody germanista aż spod litewskiej granicy (zna też świetnie litewski i estoński). Kawaler, okulary na wielkim nosie. Jest tłumaczem w terminalu w Świecku.

Kiedy przed dwoma laty trafił do raju, wszystkie pokoje zajmowali przemytnicy papierosów. Myśleli, że też przemyca.

Raz jeden z nich wybierał się do domu i zaproponował:

– Ty, rzuć za mnie sześćdziesiąt sztang, potem się rozliczymy.

Zrobiło się nerwowo, ale Adam wszystko załagodził:

– Student jest w porządku.

Student tęskni za swoimi stronami.

– Tam jest prawdziwe pogranicze, ludzie zakorzenieni, z tradycjami, nie jak tu, wszyscy z przypadku, przyjezdni i mieszańcy: ojciec Podolak, matka z Białorusi...

– Do tego duże i szybkie pieniądze.

– Właśnie, oni się tutaj pogubili. Brakuje czystych, prostych relacji między ludźmi. Wszędzie – między kobietę i mężczyznę, między sąsiadów i przyjaciół – wchodzi mara z dużym przebiciem.

– To graniczne szczęście zjada im duszę.

– Chyba tak.

– Ma student łeb, co? Miło pogadać – Adam wtacza się na taras. – Ale student też się zmienił. He, he, he. Jak przyjechał, to po pracy tylko książka, gazetka, a teraz oliwi ostro. Codziennie napity wraca. Mówię panu, Słubice to kurewski rejon, znieczulica, wszystko się tu psuje. Posiedziałbyś pan dłużej i też by z pana jakieś złe wylazło. Nie, student? He, he, he.

Nie ma świętości, nawet kalekę rewidują

Na tarasie Adam przy piwie radzi, jak przemycać papierosy. Czasami szmugluje je swoim inwalidzkim oplem. Bierze kogoś do pomocy. Papierosy chowa w bagażniku pod złożonym wózkiem. Raz go Niemcy złapali. („Nie ma już świętości, cholera, nawet kalekę rewidują"). Stracił trzy tysiące marek.

– Wiechu, posłuchaj starszego. Ja bym tam się nie pierdolił z pontonami, pompowanie, sranie, po co? Fajki w trzy, cztery mocne wory i do Odry. Siadam na tym i płynę po skosie. Dobijam akurat przy ogródkach na końcu Frankfurtu.

Wiechu kiwa głową, uśmiecha się. Przyjechał z Łukowa, młody przemytnik, nos złamany kilka razy, jak u boksera. Wpadł, żeby zapłacić za poprzedni pobyt dwieście marek.

– Panie Adamie, sorry, wtedy nie zdążyłem, bo psy miałem na karku. Znali adres. Musiałem uciekać. Moi chłopcy też panu zapłacą za pokoje. Na pewno teraz przyjadą, bo im się kasa skończyła, więc muszą zrobić jakiś przerzut.

Cygan, duży czarny wilczur Adama, łagodny jak owca, ociera się o koło wózka inwalidzkiego. Dwa razy przejechał go samochód. Znajomy weterynarz zapisał mu jakieś niemieckie zastrzyki, żeby kości się szybciej zrastały.

– Nie takie zdechlaki wyciągałem spod kół i się wylizały – zachwalał specyfik. – A ty, Adaś, co bierzesz? – i zapisał Adamowi to samo, na receptę dla Cygana.

Adam wziął już trzydzieści psich zastrzyków.

– Wie pan, ten weterynarz zaraz potem zmarł. Ale wszystko mi dokładnie wytłumaczył, co i jak brać do końca kuracji. Jakby coś przeczuwał. I jeszcze coś panu powiem. Tamtego dnia co skoczyłem, zdradziłem Ewce sekret. Dwanaście lat żyliśmy ze sobą, żadnych tajemnic, wspólne łóżko, gar, interesy, razem przemycaliśmy. Wiedziała, gdzie mam sejf, gdzie marki. Ale tego, gdzie zakopałem czarny marmur z niemieckiego cmentarza, nikt nie wiedział. Rano gadaliśmy, że zmarł znajomy taksówkarz. „Jakby co, to dla mnie marmur na pomnik masz, zakopany koło garażu" – tak jej powiedziałem. Jakieś przeczucie czy co? Coś w tym, kurwa, musi być.

– A Bóg?

– Jasne, że jest. Nieraz sobie myślę, czy ten wózek to nie za karę. – Adam siedzi chwilę z opuszczoną głową. – Ale nie, to za duża kara. Bo co by zostało dla morderców i gwałcicieli?

Monika z długimi nogami

Mieszka pod dwunastką. Przyjechała spod Lublina.

– Małe miasteczko bez perspektyw, jak ktoś, za przeproszeniem, pierdnie na jednym końcu, słychać na drugim.

Ładna, zgrabna jak modelka. Po maturze, bez zawodu. W Słubicach zahaczyła się w sklepie odzieżowym, ale właściciel raz płacił, raz nie. Nie wie, co z sobą zrobić, szuka pracy i miłości. Na chwilę przylgnęła do Piotrka spod ósemki, ale wczoraj przyciągnęła na noc dwóch olsztyniaków w fordzie na białych tablicach.

Codziennie przenosi przez most kilka papierosowych sztang, żeby mieć na życie, zasypia pijana.

Złoty interes

Raj jest nielegalny, oficjalnie nikt tu nie mieszka. Tylko Adam z Cyganem.

– Ale z czego mam żyć, zapasy marek topnieją, zresztą teraz mara co dzień tańsza. Renciny czterysta pięćdziesiąt złotych. A tak chociaż się koszty opału zwrócą i jest do kogo zagadać. Ile razy tak było, podjeżdżam pod próg, podrywam przednie kółka, tak jak nas uczyli w szpitalu, hops, za mocno i leżę na plecach, pół dnia, aż nie wróci jakiś lokator i nie podniesie.

Dwa lata temu Adam znów zaczął myśleć o burdelu.

– Na selekcjonera się jeszcze nadaję – śmieje się. – Te kurwy ze słubickich agencji widzę prawie codziennie, nic szczególnego, brzydkie, nogi krzywe, że tylko po pijaku albo naiwny Niemiec, ale sto marek za godzinę kasują. A jakie wyuczone, trzy dni klienta zwodzą, dyskoteka, spacer, Niemiec zachwycony, w oczy im patrzy, cały czas stówki lecą, potem bar – tam też ceny ekstra – i szampan do łóżka, dziesięć razy droższy. Dopiero wtedy dają się pieprzyć. A jeszcze ekstra wanna z bąbelkami na cztery osoby, trzysta pięćdziesiąt marek na godzinę. Złoty interes!

Teraz Adam szuka wspólnika. Sam na wózku inwalidzkim nie otworzy agencji. Muszą być ochroniarze, na początek wystarczy dwóch, sprzątaczka albo dwie. Córki pomogą w kuchni. Barmanka może być jednocześnie burdelmamą. No i kurwy z klasą do roboty, najmniej dziesięć.

A jak nie znajdzie wspólnika, to sprzeda wszystko i niech ten raj diabli wezmą.

PS Imię właściciela raju i jego lokatorów zmieniłem. Przepraszam za brzydkie słowa, ale bez nich raj Adama i Ewki (z Cielętnika) byłby nieprawdziwy.

„Magazyn”, dodatek do „Gazety Wyborczej”,
nr 210, 9.09.1999

1999

Piotr Lipiński (ur. 1967)

Krążenie ciągnie się tygodniami

„Interesuje mnie każdy news, pod warunkiem że zdarzył się pół wieku temu" – to błyskotliwe zdanie Piotr Lipiński, reporter historyczny, swego czasu powtarzał dość często; otwiera też ono jego stronę internetową. „Niewiele mnie obchodzą perypetie aktualnie rządzącej koalicji, ale głęboko przeżywam IV Plenum KC PZPR w 1950 roku" – dodaje.

Witold Bereś napisał w 2000 roku, że Lipiński jest pierwszym reporterem historycznym III RP, bo sięga po tematy dla opinii publicznej najtrudniejsze, dociera do najmniej znanych dokumentów i świadków historii.

W 1993 roku w „Gazecie Wyborczej" ukazał się jego reportaż *Powrót Adama Humera*. Adam Humer – pierwszy i wtedy jedyny człowiek w III RP aresztowany za przestępstwa stalinowskie – prowadził słynne śledztwa polityczne, przesłuchiwał między innymi premiera Stanisława Mikołajczyka i biskupa Czesława Kaczmarka. Lipiński był jedynym dziennikarzem, z którym niedostępny Humer zgodził się dłużej porozmawiać, co było sukcesem i dwudziestosześcioletniego wówczas reportera, i „Gazety Wyborczej". Ich spotkania odbywały się regularnie, Lipiński przez ponad dwa lata relacjonował proces Humera. Efektem tej pracy była późniejsza książka *Humer i inni* (1997).

Pytany o pomysły na tematy, opowiadał, że jeden wziął się z dowcipu. Kiedy napisał reportaż o byłym premierze Józefie Cyrankiewiczu, a potem o marszałku Roli-Żymierskim, przypomniał sobie dowcip, który charakteryzował kariery trzech wybitnych polityków PRL:

> Cyrankiewicz – od frajera do premiera, Żymierski – od gazowej maski do marszałkowskiej laski, Bierut – od konfidenta do prezydenta.

Uświadomił sobie, że do opisania została mu jeszcze jedna postać. Postanowił więc zbadać, czy to prawda, że prezydent Bierut był współpracownikiem NKWD. Tak powstał pomysł na tekst, który pod koniec lat dziewięćdziesiątych stał się jednym z najdłuższych i najciekawszych cyklów reporterskich „Gazety" i zaowocował książką *Bolesław Niejasny. Opowieść o Forreście Gumpie polskiej polityki* (2001).

W przeciwieństwie do wielu dziennikarzy historycznych Piotr Lipiński pisze o swoich bohaterach błyskotliwie, często z sarkazmem. Nie nudzi. No i jest reporterem. Nie opiera się wyłącznie na tym, co w przeszłości napisano o danej

sprawie (w dokumentach, książkach, prasie), ale sam dociera do świadków zdarzeń.

Swoje reportaże w „Gazecie Wyborczej" zaczął drukować w 1990 roku, były to teksty obyczajowe – rejestrował w nich szaleństwo, w które wprawiała ludzi transformacja ustrojowa. Wyczulony był na historie nietypowe. Nasycał je vonnegutowską frazą, humorem, ironią. Pierwszy akapit reportażu *Strzeż się szaraka* (1992) zaczął na przykład tak:

> Andrzeja Dobrowolskiego nawiedzili kosmici. To nic nadzwyczajnego – wielu ludzi spotykają kłopoty.

Kolejną po *Bolesławie Niejasnym* książkę *Towarzysze Niejasnego* (2003) otwiera zdanie: „To opowieść o ludziach, którzy ulegli czarowi Bolesława Bieruta". Każdy z rozdziałów rozpoczyna się intrygująco. Na przykład tak:

> – Przeczuwał śmierć, obawiał się jej – opowiada kobieta, z którą generał Karol Świerczewski po wojnie miał nieślubnego syna. – Ostatni raz zadzwonił do mnie z Sanoka. Powiedział: „Wycałuj ode mnie synka milion razy, żeby mu starczyło na całe życie".

Biografie postaci, które stały się częścią polskiego stalinizmu, są napisane i rzetelnie, i błyskotliwie. Stanisław Podemski widzi w Lipińskim kontynuatora Jerzego Łojka, ja – kontynuatora Mariana Brandysa, ale z większą dyscypliną słowa.

Gdyby Piotr Lipiński był typowym publicystą historycznym czy popularyzatorem historii (zwłaszcza w Polsce), zmierzałby tylko w jednym kierunku: opisać fakty i przedstawić ich interpretację, forma nie miałaby znaczenia. Tymczasem może to krótkie akapity, może żywy, potoczny język, może chęć zaskoczenia raz po raz czytelnika, a może korzystanie ze źródeł, które profesjonalny historyk bez namysłu by odrzucił, sprawiają, że styl *Towarzyszy Niejasnego* jest niezwykle pociągający.

> Kiedy zbierałem materiał do reportażu o Bolesławie Bierucie – pisał Lipiński – sądziłem, że związane z nim dokumenty przejrzę w dwa, trzy dni. Przecież przede mną zaglądało do nich już wielu historyków. Siedziałem w archiwum trzy miesiące. Reporter bowiem czyta, widzi inaczej niż historyk. Czytałem te same teczki, które przeglądali wcześniej historycy, i ze zdumieniem odkrywałem, że jest w nich mnóstwo informacji, których nikt nie wykorzystał. Jak można było pominąć, że Bierut w młodości marzył o zdobyciu Świętego Graala? Albo że jako nastolatek uczestniczył

w starosłowiańskiej wigilii, podczas której ucztowano wokół stołu przybranemu kłosami żyta, układającymi się w swastykę?

W jednym z reportaży w *Towarzyszach Niejasnego* przeplatają się losy dwóch mężczyzn. Pierwszy to sędzia Jerzy M., który skazywał ludzi z podziemia, przewodniczył rozprawom, do których sąd nie dopuszczał nawet adwokata (ze względu na tajemnicę państwową). Drugi to Bogusław Huzarski, skazany za kolportaż ulotek „Precz ze Stalinem, gnębicielem narodów! Niech żyje USA!". Lipiński przedstawia ich życiorysy symultanicznie, jak w filmie fabularnym:

Ojciec skazanego był przed wojną policjantem we Lwowie. Ojciec sędziego robił tam to samo.

Skazanego i jego rodzinę wywieziono na Syberię. Sędziego i jego rodzinę wywieziono do Kazachstanu.

Skazany cierpiał od pluskiew i ciężkiej pracy. Sędzia przez całą wojnę pasł krowy i owce, dokuczały mu głód i chłód.

Obaj wrócili do Polski w 1946 roku. Obaj tutaj zaczęli naukę.

I tak dalej...

Kiedy Lipiński zbierał materiały do tego szkicu, skazany już nie żył, ale sędzia zgodził się na rozmowę. Reporter spytał go, czy był w jego życiu taki moment, że zamiast do sądu mógł tak jak skazany trafić do podziemia i rozlepiać antystalinowskie ulotki. „Nie znalazł się taki, co by mnie wciągnął..." – wyjaśnia sędzia z rozbrajającą szczerością.

Do takich odkryć raczej nie dojdzie historyk ani dziennikarz historyczny, ale może dojść reporter.

Dobra najwyższego pożądania w PRL-u – kiełbasa i mięso – ale też namiętności i tragedie ludzi, którzy mieli dostęp do tych dóbr, to temat wielkiego reportażu Piotra Lipińskiego *Mięso, a w środku rzeźnik*. O słynnym procesie sądowym w aferze mięsnej pisała w 1964 roku Barbara Seidler (patrz s. 609). Jej reportaż *Mięso i inne sprawy* ukazał się w jej książce *Skłóceni z prawem* (1972).

Kiedy o sprawie pisała Barbara Seidler – mówi Piotr Lipiński – można było przedstawić tylko część prawdy, ponieważ trwał PRL. Wówczas nie dało się przedstawić „podskórnej" warstwy całej tej historii. Czyli politycznego tła, przekonania Władysława Gomułki, że malwersantów trzeba na przyszłość postraszyć jakimś wyrokiem śmierci. Pisanie wtedy o aferze mięsnej przypominało recenzję książki na podstawie okładki.

Największy problem przy reportażu historycznym nie polega na nakłonieniu ludzi do zwierzeń o sprawach często dla nich drażliwych.

Najtrudniejsze jest fizyczne odszukanie tych osób – mówi Lipiński. – Odwiedzenie wszystkich podanych w starych aktach adresów domowych, wypytywanie, czy ktoś pamięta lokatora sprzed dziesiątek lat. Krążenie ciągnie się tygodniami. Internet tu nic nie pomoże – pomijając fakt, że w czasach, gdy pisałem *Mięso...* z internetu w Polsce korzystali tylko maniacy komputerowi.

Uważam, że ten reportaż jest tylko z pozoru historyczny. Na świecie wciąż są kraje, w który za przestępstwa gospodarcze wymierzana jest kara śmierci.

Mięso, a w środku rzeźnik

W epoce Gomułki dwóch pijaczków krzyczy na ulicy:
– Mięsa nie ma, schabu nie ma i kiełbasy brak!
Zgarnia ich milicja, a na posterunku komendant uświadamia:
– Za Stalina dostalibyście kulę w łeb!
Kiedy ich puszczają, pijaczkowie, zataczając się, znów krzyczą na ulicy:
– Nic już nie ma, nawet kuli.

1. Egzekucja

– Wawrzecki osiwiał w mgnieniu oka – mówi Barbara Seidler, reporterka sądowa. – Tak opowiadał siedzący z nim w celi śmierci prosty chłop, skazany za morderstwo, potem uniewinniony.

Myślał, że człowiek siwieje z wiekiem, po jednym włosku, dzień po dniu. Nie wiedział, że można osiwieć nagle z przerażenia.

Kiedy o świcie przyszli strażnicy i zawołali: „Wawrzecki, zabieraj rzeczy!", zrozumiał, że idzie na egzekucję. Chociaż przecież cały czas wierzył, że nadejdzie ułaskawienie.

Więźniowie już walili łyżkami o kraty. Poprosił o papierosa. Nigdy wcześniej nie palił. Wyciągnął dłoń i ta wyprostowana ręka zesztywniała, nie mógł jej już cofnąć. Musieli mu włożyć papierosa do ust i przypalić.

Według reporterki Barbary Seidler było więc tak: świt, Wawrzeckiego wywlekają z celi osiwiałego, z odrętwiałą ręką.

Terminarz prokuratora, księdza, kata

Stanisław Wawrzecki, dyrektor warszawskiego Miejskiego Handlu Mięsem, został skazany na śmierć w 1965 roku za udział w tak zwanej aferze mięsnej. Po 1956 roku był to w PRL jedyny wykonany wyrok śmierci za przestępstwo gospodarcze.

Według profesora Andrzeja Rzeplińskiego, prawnika z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, powieszono go jednak nie o świcie, ale po południu:

– Po 1956 roku kary śmierci wykonywano w Polsce około godziny siedemnastej, osiemnastej. Nie, jak wieść gminna niesie, o świcie. Żaden prokurator nie wstanie o czwartej rano na egzekucję. Po południu, między obiadem a kolacją, był lepszy czas na wieszanie.

Zwykle między decyzją Rady Państwa a egzekucją upływały dwa, cztery tygodnie. Uzgadniano wówczas terminarz prokuratora, księdza, no i kata.

Anonimowy współwięzień z Rakowieckiej zapewnia:

– Wawrzecki do końca był przekonany, że z Rady Państwa nadejdzie ułaskawienie. To była pewność absolutna. Może kogoś chronił, nie wyjawił pewnych nazwisk w sądzie i oczekiwał w zamian lojalności. Ktoś ważny musiał mu obiecać, że nie zawiśnie.

Mecenas Jacek Wasilewski, obrońca jednego z kierowników sklepów w aferze mięsnej:

– W piątek wieczorem dowiedziałem się, że Rada Państwa odrzuciła prośbę Wawrzeckiego o łaskę. Mieli go wieszać w poniedziałek wieczorem. W sobotę rano poszedłem odwiedzić jakiegoś klienta w więzieniu i niespodziewanie natknąłem się na Wawrzeckiego. Prowadzili go strażnicy, a on zatrzymał mnie i ze zwierzęcym strachem w oczach pytał: „Panie mecenasie, co ze mną będzie?". A ja dziesięć godzin temu usłyszałem przypadkiem, że umrze, że jego los jest już przesądzony. Co miałem mu powiedzieć? Skłamałem: „Panie Wawrzecki, niech pan będzie spokojny, ułaskawią pana". Zobaczyłem w jego oczach olbrzymią ulgę. Pomyślałem – dobrze, że skłamałem.

Przyczyna zgonu – powieszenie

Od odrzucenia prośby o łaskę do wykonania wyroku nie mogło minąć kilka tygodni – jak wyliczył profesor Rzepliński. Wyrok wykonano natychmiast.

Rada Państwa odrzuciła prośbę 18 marca.

Dzień później na Rakowieckiej sporządzono dokument: „Wymieniony(a) na odwrocie więzień zmarł w więzieniu dnia 19 marca 1965 r. Przyczyna zgonu – wykonanie wyroku przez powieszenie".

Mecenas Wasilewski musiał się pomylić. Nie mógł w sobotę rano pocieszać kłamstwem Wawrzeckiego.

Prośbę odrzucono 18 marca – to był czwartek. W piątek wykonano wyrok. W sobotę Wawrzecki już nie żył.

II. Proces

> Czym się różni przedwojenny sklep mięsny od powojennego?
> Przed wojną na sklepie było napisane: rzeźnik, a w środku było mięso.
> Teraz nad sklepem wisi szyld: mięso, a w środku jest tylko rzeźnik.

– Zamiast powiesić szynkę w sklepie, powiesili w więzieniu Wawrzeckiego – uważa profesor Andrzej Rzepliński. – Gomułka na swój sposób pojmował gospodarkę. Uważał, że należy po prostu zwalczyć złodziei, malwersantów,

łapowników, bo oni są winni wszelkim brakom. Jak zwalczyć? Strachem. Powieszono Wawrzeckiego.

To był mord sądowy. Sędzia wiedział, że wyrok wydano już wcześniej. Sędzia był tylko końcem pióra.

Jakby się worek z mąką rozsypał

Dowcipy o mięsie towarzyszyły PRL-owi przez całą jego historię.

> Mniej Ochabów, więcej schabów.
> Nie ma szynki, nie ma gnata,
> Hermaszewski w kosmos lata.
> Nie ma mięska, nie ma serka,
> jak tu lubić wujka Gierka.
> Gdy zabierze i pasztecik,
> podpalimy komitecik.

Paweł Wawrzecki, aktor znany ostatnio z seriali *Złotopolscy*, *Matki, żony i kochanki*. Garderoba teatru Kwadrat.

Niechętnie dziś mówi o ojcu Stanisławie. Wiele razy już opowiadał. Dla filmu, kolorowych czasopism, zwierzał się nawet Krzysztofowi Ibiszowi.

Ojca stracono, kiedy on miał piętnaście lat.

– Byłem na ostatnim słowie taty w sądzie – wspomina. – Stracił przytomność. Bronił się, prosił o zrozumienie, że odpracuje. Nie chcę dziś o tym mówić. Słowa, słowa, jakby się worek z mąką rozsypał. I co z tego? Nic.

W filmie Leszka Ciechońskiego i Piotra Pytlakowskiego *Śmierć w majestacie prawa* Paweł Wawrzecki opowiadał o ostatnim spotkaniu, kiedy jeszcze nie wiedział, że ojca wkrótce aresztują:

– Ja się w dziwny, specyficzny sposób, po męsku, pożegnałem z ojcem. Wychodziłem rano do szkoły, ojciec się przygotowywał, przed południem miał odlatywać samolotem. Wszedłem do pokoju stołowego i powiedziałem: „No to cześć tato, widzimy się za tydzień". Nie pocałowałem go, tylko mu podałem rękę. Bo takim byłem mężczyzną, niedługo kończyłem szkołę podstawową. Czułem się dorosły. Właściwie zawsze tego żałuję, że nie pożegnałem się z nim jak należy.

Paweł Wawrzecki wierzy, że ojca wszyscy lubili. Dziś nawet spotkał kogoś, kto powiedział: „To był gość w porządku".

Wierzy, że ojca uwikłano. Że kogoś krył, ktoś mu obiecał wyrównać przysługę. Dlatego w trakcie procesu stawał się coraz spokojniejszy.

Wierzy, że potem zacierano ślady. Dziś nie można nawet przeczytać akt sprawy, bo spłonęły w tajemniczym pożarze w sądzie.

Rzadkie ryżawe włosy

> Mężczyzna, widząc ogonek pod mięsnym, zamawia sobie miejsce:
> – Polecę tylko do KC nakopać Gomułce.
> Szybko wrócił, kolejkowicze pytają dlaczego.
> – Ludzie, tam jest kolejka trzy razy dłuższa.

W roku 1964, kiedy rozpoczęły się aresztowania wśród pracowników „mięsa", zmarła Wanda Wasilewska, Mieczysław Moczar został prezesem ZBOWiD-u i ministrem spraw wewnętrznych, a intelektualiści (wśród nich Maria Dąbrowska, Stefan Kisielewski, Władysław Tatarkiewicz) podpisali List 34: „Ograniczenie papieru na druk książek i czasopism oraz zaostrzenie cenzury prasowej zagrażają rozwojowi kultury narodowej".

20 listopada 1964 roku rozpoczął się proces.

Barbara Seidler w reportażu *Mięso i inne sprawy*: Już wprowadzają oskarżonych. Między twarzami milicjantów podpiętych służbiście paskami – twarze tych dziesięciu: zmarszczka nad nosem, w poprzek czoła, dalej ziemista cera i czupryna kędzierzawa, teatralny, zły gest osłaniający twarz przed kamerą, czyjaś szyja purpurowa nad rozchylonym kołnierzykiem i rzadkie ryżawe włosy sczesane na łysiejące skronie.

Stanisław Wawrzecki był jednym z dyrektorów w Miejskim Handlu Mięsem, nadzorującym warszawskie sklepy. Oprócz niego na ławie oskarżonych zasiadło czterech innych dyrektorów uspołecznionego handlu, czterech kierowników państwowych sklepów, a tylko jeden właściciel prywatnej masarni. Ale Zygmunt Szeliga w „Polityce" przekonywał: „Wszyscy bodaj kierownicy sklepów mięsnych, objęci śledztwem, są albo byłymi właścicielami dawnych prywatnych sklepów mięsnych, albo pracownikami tych sklepów lub też wywodzą się z rodzin prywatnych masarzy".

Akt oskarżenia stwierdzał, że zgodnie z wytycznymi i wskazaniami kierownictwa partii, Rady Państwa i rządu (w takiej właśnie kolejności) organy ścigania podjęły energiczne wysiłki, aby wzmocnić walkę z przestępczością gospodarczą i zapewnić ochronę mienia społecznego przed grabieżą i nadużyciami. „Czyny te bowiem wyrządzają ogromne szkody materialne oraz powodują zakłócenia w planowym zaopatrywaniu ludzi pracy w artykuły pierwszej potrzeby, a także opóźniają stałe podnoszenie stopy życiowej ludności".

Był pożar?

> Podobno aresztowano Trubadurów. Przed mięsnym śpiewali *Znamy się tylko z widzenia.*

Akta sprawy wciąż jednak leżą zmagazynowane w piwnicach warszawskiego sądu. Przewodniczący wydziału podpisuje mi zgodę na wgląd, a ja myślę, że Paweł Wawrzecki, jak na artystę przystało, buduje własną rzeczywistość. Nikt przecież nie wzniecił pożaru, aby zatrzeć ślady zbrodni na jego ojcu.

Przeglądam akt oskarżenia, pełnomocnictwa adwokatów. Szukam pierwszych przesłuchań sądowych. Powinny być w trzecim tomie.

Ale ich nie ma.

Szukam przemówień obrońców – brak. Mowy prokuratorskie – też nie znajduję.

Przyglądam się dokładniej aktom – pięć tomów. Kartki ponumerowane dokładnie, po kolei, żadnej nie brakuje. Ale w pięciu tomach jest tylko akt oskarżenia, wyrok, wezwania świadków, adwokatów. Brakuje najważniejszego – zapisu rozprawy.

Czytam w jednym z dokumentów, że sądowe akta tej sprawy powinny liczyć około pięćdziesięciu tomów. Co się z nimi stało? Tego dziś w sądzie nikt nie może wyjaśnić:

– Te pięć tomów to wszystko, co mamy.

A co z pożarem? Tego też nikt nie wie.

Za szybko, aby nadążyć

> Góral zasnął na pogadance partyjnej. Prelegent go budzi i pyta, co mu się śniło.
>
> – Góra mięsa, a na szczycie siedział Pan Bóg – opowiada góral.
>
> – Co wy, nie wiecie, że Boga nie ma? – dziwi się prelegent.
>
> – A mięso to jest? – pyta góral.

W roku 1959 przy komendach wojewódzkich Milicji Obywatelskiej powołano inspektoraty mięsne, a Władysław Gomułka na III Plenum KC PZPR zastanawiał się, dlaczego ludzie pragną coraz więcej mięsa. Wymyślił trzy powody:

Pierwszą i naczelną przyczyną jest stale i szybko rozwijający się wzrost siły nabywczej ludności wiejskiej i miejskiej.

Przyczyną drugą jest wysoki przyrost naturalny ludności.

Przyczyna trzecia tkwi w niewłaściwej relacji cen mięsa do cen innych artykułów żywnościowych.

Kilka lat wcześniej zdawał na polonistykę Michał Głowiński, dziś profesor, historyk literatury.

– W ramach zagadnień życia współczesnego jakiś asystent zapytał mnie, dlaczego w Polsce nie ma mięsa – opowiada. – Trochę się zacukałem. Śmiesznie byłoby powiedzieć: jak to nie ma mięsa? Przecież już nawet „Trybuna Ludu" napomykała, że bywają trudności. Stwierdzić zaś, że to immanentna cecha socjalizmu, oczywiście też nie mogłem. I nagle przypomniałem sobie przemówienie wicepremiera Hilarego Minca o chorobie wzrostu. Dialektycznie tłumaczył, że wzrost gospodarczy jest tak wielki i szybki, że czasami czegoś brakuje.

Zesłany sędzia

> Gierek przejeżdża obok wielkiej kolejki za mięsem. Wysiada i mówi:
> – Pomogliście mi, to i ja wam pomogę.
> Godzinę później pod sklep podjeżdża ciężarówka. Wyładowują krzesła.

Profesor Andrzej Rzepliński w latach siedemdziesiątych zbierał materiały do doktoratu o rodzinach więźniów długoterminowych. Przebadał ich stu trzydziestu. Wówczas spotkał skazanych za aferę mięsną, którym tymczasem – po wprowadzeniu nowego prawa karnego – wyroki dożywocia zamieniono na dwadzieścia pięć lat więzienia.

Ale o sprawie usłyszał wcześniej, kiedy jeszcze aplikował w prokuraturze. Opowiadano wówczas, jak wyznaczano sędziów do spraw gospodarczych. Który sędzia był uległy wobec władzy, a który potrafił zachować niezawisłość.

– Wśród młodych aplikantów niekłamanym autorytetem cieszył się sędzia Michał Kulczycki – wspomina profesor Andrzej Rzepliński. – Dziś pewnie też jest taka giełda, młodzi prawnicy wiedzą, kto uczciwie pracuje, a kto bierze łapówki. W systemie komunistycznym sędzia również mógł wykazać swoją klasę, i z tego właśnie słynął Kulczycki.

Sędzia Kulczycki nie zgodził się wydać wyroku śmierci w sądzonej przez siebie aferze skórzanej. Najwyższy wyrok, jaki orzekł, to dożywocie. W sądzonej przez kogo innego drugiej sprawie skórzanej orzeczono śmierć – Rada Państwa jednak skorzystała z prawa łaski.

Za nieposłuszeństwo usunięto Kulczyckiego ze stanowiska przewodniczącego warszawskiego Sądu Wojewódzkiego. Zesłano go jako zwykłego sędziego do Siedlec. Do Warszawy wrócił dopiero na początku lat osiemdziesiątych.

Poprowadził wówczas sprawę przeciwko Maciejowi Szczepańskiemu, prezesowi telewizji – pamięta Andrzej Rzepliński.

Do sądzenia afery mięsnej wyznaczono więc specjalny skład. Chociaż sprawa toczyła się przed Sądem Wojewódzkim, do orzekania wyznaczono nawet sędziego Sądu Najwyższego.

Zakaz kwiatów i piramid

> Co to jest: długie, pokręcone, odżywia się głównie nabiałem?
> Kolejka do mięsnego.

Partia już wiedziała o sprawie mielenia. Sprzedawcy malwersanci mielili podroby: płuca, śledziony i wymiona w cenie od czterech do ośmiu złotych za kilogram, a za mięso mielone żądali trzydzieści sześć, czterdzieści złotych.

Ministerstwo Handlu Wewnętrznego przygotowało się do batalii.

Wydano specjalne przepisy, stanowiące, że mielenie jest „bezpłatną usługą na rzecz konsumenta". Kategorycznie zakazano mielenia na zapas. Co z tego, skoro przepis nagminnie łamano.

Wówczas wydrukowano specjalne plakaty informujące klientów o prawnych zasadach mielenia. W tysiącach egzemplarzy rozesłano do wszystkich sklepów w kraju.

Niestety, plakaty „zostały bądź celowo zniszczone, bądź zdjęto je lub umieszczono w miejscach niewidocznych dla konsumenta".

O przegranej bitwie o mielenie przeczytałem w szarej teczce, która przeleżała ćwierć wieku w archiwum Komitetu Centralnego PZPR. Kiedy partię rozwiązano, teczkę przeniesiono do Archiwum Akt Nowych. Nosi tytuł: „Afera mięsna w Warszawie" i zawiera dwieście siedem stron dokumentów podsumowujących prace specjalnej komisji pod kierownictwem Alojzego Karkoszki, przewodniczącego Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Opisuje działanie Stanisława Wawrzeckiego i podległych mu kierowników sklepów. Komisja wyśledziła typowe przykłady nadużyć:

> Przy schabie (cena 44 zł za kg) pozostawia się zbyt długie żeberka (cena 26 zł za kg) lub część biodrówek (30 zł), karkówkę (36 zł), a ponadto nie usuwa się tłuszczu zewnętrznego (24 zł).

Albo:

> Kiełbasę krakowską (40 zł) sprzedaje się jako szynkową (56 zł), kiełbasę zwyczajną (36 zł) sprzedaje się jako rzeszowską (48 zł).
>
> Waży się według wagi brutto. Zaokrągla ceny w górę.

Pracownicy sklepów żywią się bezpłatnie na zapleczu.
Kierownicy sklepów wręczają łapówki dyrektorom Miejskiego Handlu Mięsem, którzy w zamian zapewniają większe dostawy.

Prace komisji partyjnej zaowocowały wnioskami:

Należy usilnie dążyć do wprowadzenia automatycznych wag samopiszących;

Rozważyć możliwość powołania w większych zakładach mięsnych instytucji sądów robotniczych;

W celu ograniczenia marnotrawstwa przy bezpośrednim, samowolnym konsumowaniu mięsa i przetworów mięsnych w zakładach pracy, rozważyć możliwość uruchomienia stołówek pracowniczych wydających nieodpłatnie względnie częściowo odpłatnie posiłki dla robotników;

Usunąć z lad, stołów sprzedażowych wszelkie dekoracje i przedmioty (kwiaty, piramidy z puszek konserwowych, bloków smalcu itp.), które zasłaniają widoczność towaru wyłożonego lub przygotowywanego do sprzedaży.

„Kryżuje" ludzi

> Czym się różni świnia od sklepu mięsnego?
> Świnia ma dużo mięsa i krótki ogonek, a sklep odwrotnie.

Kiedy do orzekania w aferze mięsnej wyznaczono skład sędziowski, adwokaci oględnie zaprotestowali:

> Obrońcy mają głęboki szacunek oraz zaufanie do wyznaczonych sędziów i przypisują wyłącznie trudnościom technicznym fakt, że w składzie Sądu nie zasiadł ani jeden z sędziów IV wydziału karnego, właściwego normalnie do rozpoznania tej sprawy.

Do składu skierowano sędziów wojewódzkich: Faustyna Wołka i Kazimierza Gerczaka. Przewodniczyć rozprawie miał Roman Kryże, wydelegowany z Sądu Najwyższego. W latach stalinowskich orzekał kary śmierci wobec żołnierzy AK. Mówiono o nim jako o sędzim, który ma prywatny cmentarz. Mecenas Siła-Nowicki mówił o nim, że „kryżuje" ludzi.

Dziś już nie żyje żaden z sędziów. Nie żyją też oskarżający prokuratorzy – Eugeniusz Wojnar i Alfred Policha.

Czy wolno zapytać dzieci o ojców?

Zadzwoniłem do synów dwóch osób. Może coś wiedzą o kulisach wyroku?

Może słyszeli o naciskach politycznych, aby wydano wyrok śmierci? Może słyszeli o roli, jaką w tej sprawie mógł odegrać Władysław Gomułka? Może do tej pory milczeli nie dlatego, że chcą ojców zachować w dobrej pamięci, ale dlatego że nikt ich dotąd o nic nie pytał?

Obaj byli wówczas nastolatkami. Nie chcą mówić publicznie o swych ojcach.

Czas afer

> Na zjazd PZPR zaproszono Indirę Gandhi, aby nauczyła Polaków żywić się bez wołowiny, i Goldę Meir, aby opowiedziała, jak odżywiać się bez wieprzowiny.

– Mięso w PRL? Przedmiot pożądania – kojarzy profesor Oktawia Górniok, profesor prawa Uniwersytetu Śląskiego, specjalistka od przestępczości gospodarczej. – Każde województwo miało wówczas własną aferę mięsną. Mimo nawoływań: „łapmy złodziei, malwersantów", efekty były marne, bo funkcjonowało coś, co dziś nazwalibyśmy przestępczością zorganizowaną.

Profesor Oktawia Górniok najbardziej zapamiętała aferę z pończochami. W zakładzie, który wytwarzał surowiec do produkcji pończoch, powstała „oficjalna" grupa przestępcza – z dyrektorem, sekretarzem, księgowym, czyli elita. Wygospodarowany materiał wywozili przy okazji legalnych transportów. Ale one wyjeżdżały co kilka dni, więc nadwyżki należało magazynować. Kilku robotników podpatrzyło, gdzie dyrektorzy chowają swoje łupy, i sami zaczęli stamtąd podbierać. Powstała oddolna grupa złodziei. Obie grupy, „elitarno-oficjalna" i „oddolno-robotnicza", wiedziały o sobie, musiały się wzajemnie tolerować.

To był czas afer.

Eugeniusz Górski w przeznaczonej do użytku wewnętrznego MSW publikacji *Ekonomiczne problemy przestępczości w gospodarce mięsnej* wyliczył, że łódzka afera węglowa trwała osiemnaście lat, warszawska afera mięsna – dwanaście lat, a piotrkowska afera mięsna – siedemnaście lat.

Kiedy oskarżano Stanisława Wawrzeckiego, zebrano już dowody – jak wyliczył Jerzy Jagiełło w artykule *Przestępczość w przemyśle i handlu mięsem* – przeciwko tysiąc trzystu dwóm osobom. Już wówczas przedstawiono zarzuty czterystu trzydziestu siedmiu pracownikom i aresztowano spośród nich trzystu trzydziestu jeden.

Ale walka o mięso dopiero się zaczynała. W 1964 roku wniesiono zaledwie jedenaście aktów oskarżenia w sprawach mięsnych. W 1965 roku – już

siedemdziesiąt dziewięć. W latach 1966–1968 do sądów trafiało od czterdziestu ośmiu do pięćdziesięciu dziewięciu spraw rocznie.

Walka osłabła pod koniec lat sześćdziesiątych. W 1969 roku aktów oskarżenia było już tylko trzydzieści jeden, a rok później – osiemnaście.

Razem, od 1964 do 1973 roku, w sprawach mięsnych sporządzono czterysta pięćdziesiąt dwa akty oskarżenia.

Anonimowy prokurator, który prowadził kilka spraw aferalnych (wełna, len), opowiada:

– Wiedzieliśmy w prokuraturze, że aferami interesują się najwyższe władze. Ale do mnie nigdy nie dotarły żadne naciski. Władza rozmawiała z szefami prokuratur. Śledztwa przebiegały zgodnie z normalnymi regułami zbierania dowodów. Afera wychodziła na jaw, gdy kilka osób przyznało się do winy. Ważna więc była praca z podejrzanym, którą w większości wykonywała milicja. Nigdy nie spotkałem się z przypadkami bicia czy torturowania zatrzymanych w sprawach gospodarczych. Ale milicja czasami mówiła: przyznasz się, dostaniesz paczkę, zgodę na widzenie.

Dziewczynka na wysokich obcasach

> Najdroższa woda – w polskiej kiełbasie.
> Najtańsza – w polskiej prasie.

Dziennikarze siedzieli wówczas w ławie na prawo od składu sądzącego. W miejscu, w którym dziś zasiada prokurator.

Zanim jeszcze zapadł wyrok, Maria Osiadacz pytała retorycznie w „Prawie i Życiu": „Czy był wśród oskarżonych choć jeden człowiek, który opierał się mafii, nie inicjował sam złodziejskiego procederu i nie odpowiadał na inicjatywę innych?".

– Na ile mógł sobie pozwolić dziennikarz opisujący tę sprawę? – pytam Barbarę Seidler, ostatnią z żyjących dziennikarzy relacjonujących aferę mięsną.

Barbara Seidler miała kłopoty z cenzurą. Chciała wyraźnie napisać, że jest przeciwniczką kary śmierci. To było jednak dla władzy absolutnie nie do przyjęcia, wszystko wykreślała cenzura.

– Ale i tak byłam zadowolona, przemyciłam moje poglądy – wspomina. – Cytując przemówienie mecenasa Bieńkowskiego, obrońcy Wawrzeckiego, przedstawiłam argumenty przeciwników kary śmierci: „Jakie mamy prawo skazywać na śmierć jednych, aby nastraszyć lub poprawić innych? I czy szalę ludzkiego życia mogą przechylić najcięższe nawet miliony?".

Po chwili Barbara Seidler przypomina sobie dziewczynkę, która przychodziła na rozprawy. Proces odbywał się w największej sali w warszawskich sądach, która nosiła wówczas numer 17, dziś 252. Milicjanci przedzielili korytarz ławkami, wpuszczali tylko dziennikarzy i osoby z przepustkami.

– Na salę nie miały wstępu dzieci – mówi Barbara Seidler. – Zapamiętałam dziewczynkę, mogła mieć dwanaście lat. Była córką któregoś z oskarżonych. Uciekała ze szkoły. Szła w sądzie do ustępu, malowała się, zmieniała sukienkę i wkładała buty na obcasach. Czekała, aż zbierze się trochę ludzi, i przemykała w tłumie do sali rozpraw. Kiedy to zauważyłam, specjalnie szłam do toalety, brałam ją, lekko popychałam przed sobą i zagadywałam milicjantów.

Rewolucje od podwyżek

> Klient zdejmuje w sklepie czapkę i palto, kładzie na ladzie.
> – Co pan robi? – wola sprzedawca. – To sklep mięsny.
> – O przepraszam – tłumaczy się gość. – Myślałem, że szatnia.

Historyk Andrzej Friszke mówi:

– Mięso w PRL było jednym z podstawowych artykułów spożywczych, trudno sobie wyobrazić ówczesną dietę bez mięsa. Jadano tłusto, taka była tradycyjna kuchnia wiejska. Było bardzo mało nabiału: mleko, masło, paskudny serek topiony, jeden ser biały, trzy gatunki żółtego. Jogurty pojawiły się dopiero za Gierka.

Mięso było artykułem strategicznym i decydowało o losach kolejnych ekip kierowniczych państwa. Władza, kiedy już nie radziła sobie z brakami, podnosiła ceny. I wówczas zaczynały się rewolucje. Mięso obaliło Gomułkę. Wydarzenia grudnia 1970 roku zaczęły się od podwyżek cen. Kolejna podwyżka w 1976 roku doprowadziła do słynnego wybuchu protestów w Radomiu i Ursusie. Potem wprowadzono sklepy komercyjne, w których można było dostać mięso częściej i lepsze, ale po wyższych cenach. W lipcu 1980 roku ceny komercyjne na niektóre towary wprowadzono w bufetach zakładowych. Wybuchła Solidarność.

Miłość zakwitła między kontrolami

> Polskę podzielono na czterdzieści dziewięć województw, żeby w totolotku losować, do którego rzucić mięso.

Po wyroku Bożena Wawrzecka przefarbowała włosy z ciemnych na blond.

– Żeby mnie ludzie nie poznawali – opowiada. Prowadziła kolekturę totolotka w Hali Mirowskiej.

Pracowała na antresoli, a wokół kręcili się tajniacy.

– Jak się im nudziło, zaglądali do komisu obok – wspomina – a ja żartowałam, żeby sobie przynosili krzesełka i buty na zmianę. Pewnie sprawdzali, z kim się kontaktuję, przecież nie z zakochania przychodzili.

Stanisława Wawrzeckiego poznała w restauracji. Ona była kierowniczką w gastronomii, a on przychodził z wydziału handlu na kontrole, czy w kotletach zgadza się gramatura. Wiosną między kontrolami zakwitła miłość.

– Poprzednia żona zostawiła go z dwoma synami i odjechała z rajdowcem – opowiada Bożena Wawrzecka. – Trochę miałam zastrzeżeń ze względu na te dwoje gotowych dzieci.

Wawrzecki okazał się dobrym mężem. Kochał synów, w soboty i niedziele sam gotował obiad.

– Nieco go tylko ciągnęło do innych babek – wspomina wdowa – ale który chłop tak nie ma?

Stanisław Wawrzecki pochodził spod Mławy, ojciec był chłopem. Kiedy Stanisław trafił do Warszawy, został konwojentem w domu towarowym, nosił klientom dywany. Ale szybko zapisał się do partii, awansował społecznie do wydziału handlu i dostał służbową warszawę.

Aresztowano go, gdy wysiadał z samolotu.

– To była wycieczka dyrektorów i księgowych do Rumunii, Węgier, Czechosłowacji – wspomina wdowa.

Trzy dni po aresztowaniu przyznał się, że przyjął łapówki od stu dwudziestu kierowników sklepów. Uzbierać się z tego miała suma trzech i pół miliona złotych (kilogram zwyczajnej – co wiadomo z ustaleń komisji partyjnej – kosztował wówczas trzydzieści sześć złotych).

– Mąż w sądzie do wszystkiego się przyznał, myślał, że mu na korzyść policzą – opowiada Bożena Wawrzecka. – Wyznawał w szczegółach, chociaż nawet nie wszystko wiedział, gdzie było ukryte, bo to już ja pochowałam. Wiedziałam o tych łapówkach. Wiedziałam, ale co ja, kochany, mogłam? Mieli prawo jakiś procent w sklepach odliczyć na ubytki, coś wycieknie, coś zeschnie. Nie zawsze, wie pan, te ubytki były w rzeczywistości, ale oni zawsze sobie je odliczali. Takie życie. Mąż innym też woził. Komuś na milicję, gdzieś tam jeszcze, a najważniejszy był ten Hilarek Minc. Mąż mu normalnie pieniądze w teczce woził. Zapamiętałam, bo minister, na świeczniku.

Sprawdziłem – kiedy Stanisław Wawrzecki trafił do MHM w roku 1959, Hilary Minc już od dwóch lat był na emeryturze.

Jedzcie szpinak

> Liczba mnoga od „człowiek”? Kolejka.
> Co to jest kolejka? Socjalistyczne podejście do sklepu.

Profesor Michał Głowiński opowiada:

– Miałem koleżankę, habilitowaną profesor, w stylu przedwojennej damy. Ugadała sobie ekspedientkę, która zostawiała jej lepsze mięso, a pani profesor odwdzięczała się czekoladkami. Przychodzi trzeci, czwarty raz do sklepu i nagle ta młodsza od niej o czterdzieści lat dziewczyna zaczyna mówić do niej per „ty”. A że nie znała jej imienia ani nazwiska, zwracała się per Niunia. Pani profesor trochę się zacukała, ale zależało jej na mięsie, przystała na taką formę. Ujawnił się taki mechanizm, że ekspedientka, bez posądzenia o przekupstwo, mogła sprzedawać lepsze kąski albo rodzinie, albo bliskim znajomym. Musiała więc oswoić panią profesor.

Kazimierz Brandys pisał, że w Polsce Ludowej mięso stało się symbolem. Konsumowanie szynki stało się swojego rodzaju aktem wolności. Świadczyło o posiadaniu czegoś, co stało się w reżimie niedostępne. I nie za sprawą ceny, ale przez jego fizyczny brak.

PRL wykształcił język związany z rynkiem żywności. Mięso trzeba było wystać. Mówiło się: „zdobyć mięso”. Mówiono „rzucić mięsem” w znaczeniu przekląć, ale też „rzucono mięso do sklepów”. Kiedy wprowadzono kartki, urzędowo nazwano je bonami towarowymi, aby uniknąć wojennych skojarzeń.

Gomułka od pewnego czasu zarzucał Polakom, że jedzą za dużo mięsa. Ale, co dziwne, nie było propagandy wegetariańskiej. A przecież kiedy brakowało masła, zachwalano margarynę. Totalitarna propaganda miała nieograniczone możliwości. Władza mogła nagle powiedzieć: jedzcie szpinak. Ale wegetarianizm chyba kojarzył się z ideologią, z przekonaniami religijnymi. Mógłby zostać przyjęty jako obcy marksizmowi, socjalizmowi. Propaganda wegetariańska byłaby przyznaniem się, że mięsa brak.

Barokowe przemówienie

> Dlaczego nie ma mięsa? Świnie przy korytach, krowy w Lidze Kobiet,
> a woły pracują.

– To był, proszę pana, proces, w którym występowali znakomici obrońcy. Ja byłem ze stajni mecenasa Bieńkowskiego i Maślanki, najznamienitszych wówczas. Złożyłem w sądzie moje pismo: adwokat Jacek Wasilewski, ustanowiony w sprawie. Broniłem Adama Stokłosińskiego, kierownika sklepu mięsnego przy ulicy Hożej.

Do dziś pamiętam słowa mecenasa Bieńkowskiego, obrońcy Wawrzeckiego: „A jeśli, panowie sędziowie, sięgniecie po najwyższy wymiar kary, pamiętajcie, że ja byłem przeciw, przeciw, przeciw".

Mecenas Mirski, który też już nie żyje, wygłosił barokowe przemówienie: „Zabraniam wam orzec karę długoletniego więzienia, ale jeśli ją wymierzycie, ja moją lutnię adwokacką strzaskam".

Mecenas Zofia Wajdowa, żona dziekana rady adwokackiej, poruszyła problem, jaką wartość dowodową mają zeznania wymuszone przez MO. Wyemigrowała do Izraela.

Do czasu najwięcej szczęścia sprzyjało mecenasowi Stanisławowi Dryjskiemu. Wstał i powiedział: „Mój klient nigdy nie był kierownikiem sklepu na ulicy Solnej, wymienionej w akcie oskarżenia". Już szło na uniewinnienie, już się mecenas i oskarżony cieszyli. Ale prokurator dostarczył zaświadczenie, że sklep był narożny, w dwóch instytucjach przypisany do różnych ulic.

Nigdy więcej nie spotkałem się z przypadkiem, żeby do sprawy w sądzie wojewódzkim przysłano kogoś z Sądu Najwyższego. Sędzia Roman Kryże był doskonałym prawnikiem, bardzo wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną. Oskarżonych traktował elegancko: „Panie Wawrzecki, pan się źle poczuł, może zarządzić przerwę? Może podać wodę?". Tacy młodzi i niezbyt doświadczeni prawnicy, jak ja wówczas, dali się nabrać na tę grzeczność.

Za przyzwoitego uchodził drugi sędzia Faustyn Wołek. Wszyscy byli przekonani, że kto jak kto, ale on wyroku śmierci nie podpisze. Podpisał.

Trzeci sędzia Kazimierz Gercza, miał wówczas pięćdziesiąt trzy lata. Przeszedł na emeryturę w 1977 roku.

Afera mięsna była okrutną sprawą. Na ławie oskarżonych zasiedli ludzie, którzy dokonali dużej liczby drobnych przestępstw. Ale skazano ich za co innego. Wawrzeckiego – za przywłaszczenie mienia społecznego. A w gruncie rzeczy cała jego działalność polegała tylko na wymuszaniu haraczu od kierowników sklepów. Ponieważ był prostym człowiekiem, wpadał do jakiegoś sklepu, brał na bok kierownika: słuchaj Wojtku, Zenku, idę po południu z kumplami do restauracji, potrzebuję parę złotych. Kierownik wyciągał pieniądze i dawał dyrektorowi. Co to miało wspólnego z zagarnięciem mienia społecznego? Poważny prawnik zakwalifikowałby to jako tak zwane przestępstwo czynnego łapownictwa. Tylko że za łapówki prawo nie przewidywało śmierci.

Mojego klienta w aferze mięsnej skazano na osiem lat więzienia. Nie odsiedział. Umarł w więzieniu wkrótce po wyroku.

Dziś wolą łososia

Gomułka podczas urlopu poszedł do sklepu po mięso. Wraca wściekły:
– Kilka dni człowiek nie urzęduje i już niczego nie ma.

Gdzie się właściwie podziewało mięso w PRL?

Jeden z ówczesnych działaczy PZPR opowiada:

– Mięso było czymś szczególnym w PRL, w czym uwidoczniała się najostrzej gospodarka niedoboru. Za pomocą cen zrównoważono rynek warzyw i owoców krajowych. Na Węgrzech i w Czechosłowacji zrównoważono również rynek mięsa. W Polsce władza nigdy w pełni się na to nie zdecydowała. Dlaczego?

Polacy chyba byli bardziej wyczuleni na stałość cen niż na równowagę rynkową. Zagrała też psychologia. Kiedy ma się nudną pracę, miło urwać się i postać w kolejce. Ludzie umawiali się: dziś ja wychodzę wcześniej do mięsnego, jutro pani, pani Krysiu.

Profesor Wojciech Roszkowski, historyk gospodarki, mówi:

– Mięsa wciąż brakowało, bo rolnictwo w rzeczywistości nie było prywatne. Chociaż chłopi mieli własną ziemię, państwo decydowało o cenach skupu, kontyngentach. Wieś miała mięso, miasto musiało je zdobywać. O czym decydował chłop? Tylko: sprzedać czy zjeść samemu.

Mięso było w PRL przejawem bogactwa, dostatku. Zwłaszcza na wsi, gdzie przed wojną jadano go niewiele. Władza utożsamiała wzrost spożycia mięsa ze wzrostem dobrobytu. A jakim symbolem może być dziś mięso? Jak ktoś się chce pokazać, stawia na stole łososia.

Profesor Janusz Kaliński, także historyk gospodarki, przedstawia powojenną historię mięsa.

– Kolektywizacja załamała hodowlę – mówi. – Chłopi oddawali ziemię do spółdzielni, bo inaczej nie mogli, ale inwentarz wyrzynali.

Do 1949 roku w Polsce obowiązywały kartki. W tym roku władze ogłosiły akcję „H", czyli hodowlaną. Wspierano, poprawiano, przydzielano. Ale wkrótce przyszła wojna koreańska i potrzeba było pieniędzy na zbrojenia, a nie na rozwój hodowli. Na początku lat pięćdziesiątych państwo wprowadziło obowiązkowe dostawy – trwały aż do Gierka. Poprawiło się nieco po 1956 roku, za Gomułki, kiedy rozpadły się tysiące spółdzielni produkcyjnych, a z Zachodu sprowadzono pasze hodowlane.

– Pomysł był taki: importujemy paszę jako surowiec, a potem sprzedajemy przetworzony produkt, choćby budzącą pożądanie szynkę w puszkach – opowiada profesor Janusz Kaliński. – Szła głównie na rynek angielski

i amerykański, to nasza przedwojenna tradycja. Mięso eksportowano oczywiście również do Związku Radzieckiego i zaopatrywano stacjonujące w Polsce wojska radzieckie.

Wkrótce okazało się, że Polska za pasze płaci więcej, niż zarabia na eksporcie. Ograniczono import – co tylko jeszcze bardziej zmniejszyło hodowlę. Połowa lat sześćdziesiątych to był już szczyt problemu mięsnego. Jednocześnie brakowało wszelkich towarów przemysłowych, które mogłyby odebrać społeczeństwu nieco apetytu na mięso.

– Hasło: „rajstopy zamiast smalcu" nie mogło się przyjąć, bo brakowało rajstop – twierdzi profesor Janusz Kaliński. Aferę mięsną zapamiętał jako przykład socjalistycznej korupcji. Mówi: – Powszechnie stosowano talony: na samochody, telewizory. Trzeba było mieć kwit na węgiel, na cement, na cegłę. Kwit należało wychodzić u przewodniczącego rady narodowej, u sekretarza partii, w związkach zawodowych. To było silnie korupcjogenne. Dzisiaj ludzie uważają, że korupcja rozlewa się szeroką falą. Ale to inna korupcja. Teraz ktoś ma dużo pieniędzy i sprawę do załatwienia, z której będzie miał jeszcze większe pieniądze. A wtedy wszyscy maluczcy musieli dawać łapówki. Magazynierowi w geesie, ekspedientce w mięsnym, żeby przed komunią odłożyła chudszą szynkę. Kto dziś w sklepie wręczy łapówkę, żeby dostać lepszą glazurę?

Według „Trybuny"

– Pół kilo cwaniaka poproszę – mówi klient.
– Słucham? – pyta sprzedawca.
– O salceson mi chodzi – tłumaczy klient. – Nie dał się cwaniak wywieźć za granicę.

Kolejne dni procesu komentowała „Trybuna Ludu".

Opowiadali milicjanci konwojujący oskarżonych, że ci zwracali się do nich z wymówkami, kiedy po raz pierwszy zakładano im publicznie kajdanki: taki wstyd, panowie, jak można?

No cóż, uczucie wstydu także bywa spóźnione.

Od Wawrzeckiego prokurator chciał się dowiedzieć, skąd, jego zdaniem, kierownicy sklepów czerpali pieniądze dla niego. Okazało się, że jedna z kierowniczek miała... ogród, który przynosił jej dochody. Tymi dochodami dzieliła się z dobrego serca z oskarżonym. Inna otrzymała spadek...

Inny oskarżony, jak twierdzi, próbował uciekać od natrętów. Wiedząc, że kierownicy sklepów przynoszą pieniądze w poniedziałki, starał się w tym dniu wynaleźć sobie jakieś sprawy do załatwienia w mieście.

Nie musiało ich być wiele, skoro według własnych obliczeń samego oskarżonego uzbierało się ponad półtora miliona złotych.

Oskarżony dyrektor Gradowski szeroko rozwodził się nad swym brakiem kwalifikacji fachowych. Czyż niedokończony metalowiec, były robotnik kolejowy i były kierowca może znać się na produkcji i handlu mięsem?

Zapomniał tylko, że jest sądzony nie za niedopełnienie obowiązków służbowych.

Dożywocie wykonane w całości

Awantura na przystanku MZK.

– Pan nie wie, kim ja jestem! Jestem kierownikiem mięsnego!

Kobieta obok prostuje:

– Przemądrzały, ja go znam. To profesor na uniwersytecie.

Mecenas Czesław Łapiński rozważa:

– Kto miał w PRL władzę nad mięsem, zyskiwał mocną pozycję polityczną. Dyrektor w „mięsie" mógł innych przekupywać, korumpować. Dlatego zastanawia mnie, dlaczego tak mocno uderzono w Wawrzeckiego. Czy to była jakaś walka wewnątrzpartyjna, czy on może wyrósł zbyt wysoko? Musiał mieć przecież protektorów, którzy stchórzyli albo okazali się zbyt słabi.

Mecenas Łapiński bronił Mieczysława Fabisiaka, naczelnika wydziału w Państwowej Inspekcji Handlowej.

– Moi koledzy, broniąc swoich klientów, dowodzili, że ten nie przyjął jakichś pieniędzy, ten nie był na jakiejś naradzie. A ja uderzyłem wprost w nadużycie prawne: tryb doraźny. Oznaczał, że sprawa toczy się tylko przed jedną instancją, bez możliwości odwołania. Przewidywał karę śmierci. Uważałem, że zastosowano go bezprawnie. Przysiadłem fałdów nad przemówieniem, odwołałem się do największych wówczas autorytetów prawnych: teoretyków radzieckich. W przemówieniu przywołałem nawet Andrieja Wyszynskiego. To był paradoks – powoływanie się na radzieckich teoretyków, aby obalić koncepcję prawną zafałszowaną z powodów politycznych. Fabisiaka skazano na dożywocie. Wyrok, można rzec, wykonano w całości. Mój klient po dwóch latach zmarł w więzieniu.

Przewodniczący składu sędzia Roman Kryże uchodził za faceta z twardą ręką. Skłonnego do radykalizmu przy orzekaniu. Po latach przypadkowo usłyszałem, Kryże komuś się wygadał, że pewnego dnia włożył eleganckie rękawiczki, ciemny garnitur i poszedł na odprawę do KC, gdzie zapoznał się z poglądem partii na aferę mięsną.

Czesław Łapiński, który to wspomina, w czasie wojny służył w Armii Krajowej. Na półce ponad jego głową stoi książka o rotmistrzu Witoldzie Pileckim, który dobrowolnie zgodził się trafić do obozu w Oświęcimiu, aby tam zorganizować podziemie.

Po wojnie, w latach stalinizmu, Pileckiego skazano na karę śmierci. Wyrok w rozprawie rewizyjnej wydał sędzia Roman Kryże.

W pierwszej instancji oskarżał – wówczas jako prokurator wojskowy – Czesław Łapiński.

Władza nie była krwiożercza

> Jaś narysował świnię: ryj, uszy, racice, ogon. Pani w szkole pyta:
> – A gdzie reszta?
> Jaś tłumaczy:
> – To świnia krajowa, gdybym dorysował resztę, to byłaby eksportowa.

Jeden z ówczesnych działaczy PZPR zastanawia się:

– Wśród polityków sprawa mięsna była dość głośna nie z powodu samej afery, lecz przez drastyczny wyrok, który wydawał się nawrotem do stalinizmu.

Władza gomułkowska nie była przecież krwiożercza. Wystarczy spojrzeć w statystyki: za Gomułki wykonywano mniej więcej tyle wyroków śmierci, ile przed wojną. Prawo karne za Gomułki było rzeczywiście drakońskie, jednak wyrokami śmierci nie szafowano.

W połowie lat sześćdziesiątych załamały się jednak nastroje popaździernikowe. Gomułka czuł, że traci poparcie społeczne. Polityków jednak najczęściej zawodzi ocena – dlaczego. Rozpaczliwie szukają wytłumaczenia. Gomułce mogło się wydawać, że powodem są afery wynikające z nadmiernej liberalizacji gospodarki. Reprezentował ascetyczny typ polityka, z domu wyniósł skromne, ludowe wyobrażenia o tak zwanym życiu na przyzwoitym poziomie. Okazywał dezaprobatę wobec wszelkich objawów bogacenia się – potem ekipa Gierka była całkowicie od tego wolna. Gomułka sam nie próbował na państwie robić pieniędzy i nie tolerował takich postaw w swoim otoczeniu.

Przyjmowanie miodów

> Dlaczego w sklepach brakuje mięsa?
> Bo wszystkie świnie zapisały się do PZPR.

A partia, jak się okazało, nie spełniła oczekiwań Gomułki.

Komisja partyjna, która, aby walczyć z aferami, domagała się wag samopiszących i zdjęcia kwiatów z lad chłodniczych, zajęła się również partyjnymi problemami moralnymi. Okazało się bowiem, że wśród aresztowanych w „mięsie" jest aż trzydziestu siedmiu członków PZPR. A trzech spośród nich to nawet byli pracownicy aparatu partyjnego – Stanisław Wawrzecki, były instruktor KW PZPR, Zygmunt Woźniak, wcześniej kierownik wydziału handlu KW PZPR, i Włodzimierz Suprun, dawniej drugi sekretarz Komitetu Dzielnicowego Śródmieście.

Problem okazał się jeszcze większy. Komisja raportowała: „Jedną z przyczyn, że afera pozostała przez tak długi okres czasu nieujawniona, był niewątpliwie fakt bliskiego powiązania odpowiedzialnych działaczy partyjnych, a głównie b. sekretarza KW PZPR Harasimowskiego, b. pierwszego sekretarza KD Wola Maciejewskiego i b. zastępcy przewodniczącego Stołecznej Rady Narodowej Antasa z jednym z głównych oskarżonych – Gradowskim. Towarzysze ci nie zwracali żadnej uwagi na styl życia Gradowskiego, sami uczestniczyli w częstych przyjęciach, bywali u siebie, wyświadczali sobie wzajemnie usługi, swoimi kontaktami umacniali w kręgach aktywu i opinii społecznej autorytet i pozycję Gradowskiego".

Udział towarzyszy różnych szczebli w przyjęciach z okazji otwarcia sklepów „świadczy o dużym nasileniu tendencji do użycia i posiadania. Zjawiska te w postawach towarzyszy były traktowane jako normalne, jako niesprzeczne z wymogami etyki partyjnej, jako należne z tytułu spełnianych funkcji. Zakup i sprzedaż samochodu przez Harasimowskiego, dążenie do samochodu nowoczesnego poprzez kilkakrotną sprzedaż z zyskiem samochodu starego przez Maciejewskiego, przyjmowanie win i miodów, użytkowanie motocykli, magnetofonów, telewizorów itp. świadczą o tej tendencji".

Partia usunęła ze swego grona trzech wspomnianych towarzyszy, ale przy okazji uświadomiła sobie poważną demoralizację mas członkowskich.

W 1963 roku usunięto z PZPR dwustu dwudziestu trzech członków. Sześćdziesiąt dwa procent wykluczono za przestępstwa gospodarcze, szesnaście procent za „inne naruszenia moralne, głównie pijaństwo". Z warszawskiej Spółdzielni Pracy „Moto-Serwis" za nadużycia wydalono całą Podstawową Organizację Partyjną w liczbie pięciu osób. Sekretarza POP w MHD przyłapano

na granicy polsko-radzieckiej na przemycie. Komisja mięsna z przerażeniem odnotowała: „Wypowiadający się na zebraniu POP członkowie uznali, że »nie należy się czepiać człowieka, który i tak stracił finansowo«".

Odnotowano też, że „rzadko zdarza się, żeby administracja lub POP dochodziły, skąd członek partii lub bezpartyjny ma pieniądze na budowę domku czy kupno samochodu".

Oprócz problemu członka PZPR dostrzeżono również problem alkoholowy. Komisja badająca aferę mięsną odnotowała, że mimo zakazu „nagminne jest urządzanie przyjęć z wódką z różnego rodzaju okazji i dla podkreślenia ważnych wydarzeń w życiu zakładu". Większość funduszy reprezentacyjnych przeznaczano na alkohol. „Fabryce im. Świerczewskiego przyznano sztandar. Na tradycyjną lampkę wina zaproszono trzysta osób, wypito około sto litrów wódki, zakończyło się bijatyką".

Weryfikacja

> Dlaczego nie ma mięsa?
> Bo w drodze do socjalizmu nawet bydło nie nadąża.

W „mięsie" zarządzono weryfikację.

Partia postanowiła: objąć weryfikacją pracowników handlu i przetwórstwa mięsnego, a następnie gastronomię, handel warzywami i owocami, piekarnictwo i placówki skupu artykułów pochodzenia zagranicznego.

Na sześćdziesięciu pięciu kierowników, członków partii, zweryfikowano negatywnie prawie połowę.

Postanowiono: w celu umocnienia kontroli społecznej kontynuować powoływanie komitetów przy każdym sklepie. Do komitetów sklepowych włączyć aktyw Frontu Jedności Narodu[1], komitetów blokowych, rad narodowych.

Wypalić do korzeni

> Czym się różni droga do komunizmu od szlaku do Morskiego Oka?
> Niczym. Jedno i drugie prowadzi przez Głodówkę.

W 1965 roku rząd PRL potępiał „agresję amerykańską w Wietnamie". Biskupi polscy napisali do niemieckich: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie".

Zmarła Maria Dąbrowska. Niedługo przed śmiercią zanotowała w swoich *Dziennikach*:

> W pismach była wiadomość o wykonaniu wyroku na tym jakimś Wawrzeckim z afery mięsnej.

[1] Front Jedności Narodu – instytucja podporządkowana PZPR obejmująca partie polityczne i organizacje społeczne, działająca w latach 1952–1983. W czasie wyborów do Sejmu i rad narodowych przedstawiał program wyborczy i zgłaszał jedyne listy kandydatów.

Co za błąd! Czy ci „marksiści" wiedzą, że Marks był bezwarunkowo przeciwko karze śmierci? Czy kto z nich czytał kiedy nieocenzurowanego w Moskwie Marksa?

1 lutego 1965 roku sąd udał się na naradę nad wyrokiem.

Tryb doraźny wymagał, aby wyrok wydano zaraz po zamknięciu rozprawy. O godzinie 21.15 sędziowie zakomunikowali jednak, że ogłoszą go dopiero nazajutrz, po nocnej przerwie. Adwokaci, którzy uznali to za złamanie prawa, uzyskali odpowiedź wyższej instancji: „W danej sprawie Sąd nie odroczył wydania sentencji wyroku, a tylko przerwał naradę nad wyrokiem, co ze względu na spóźnioną porę i zmęczenie członków sądu leżało w interesie oskarżonych".

Sąd napisał w uzasadnieniu wyroku, że przydzielone ilości mięsa były zbyt małe, aby sklepy wykonywały plany. Sklepy mięsne handlowały więc również dżemami, konserwami, pieczywem.

Kierownikom zależało na jak największych przydziałach. Umożliwiały bowiem większe malwersacje, podmiany gatunków, oszukiwanie klientów. Za dodatkowe przydziały wręczali łapówki dyrektorom.

Wawrzecki żądał złotówki od każdego dodatkowego kilograma mięsa. Kiedy jeden z kierowników przyniósł mu pięćset złotych, Wawrzecki rzucił banknot ze słowami: „Dziadom więcej daję".

Sąd stwierdził, że „wobec grabieżców mienia społecznego sięgającego milionów złotych nie może być w Polsce Ludowej, która z ogromnym trudem i wysiłkiem całego społeczeństwa odbudowuje zgliszcza i ruiny pozostawione przez wojnę, żadnego pobłażania i że tego rodzaju wrzód na organizmie zdrowego społeczeństwa musi być wypalony do korzeni".

Prokurator żądał trzech kar śmierci. Sąd nakazał jedną. Czterech pozostałych dyrektorów skazał na dożywocie. Resztę – na więzienie od dziewięciu do dwunastu lat.

– Pamiętam nieludzki płacz, kiedy ogłaszano wyrok – wspomina reporterka sądowa Barbara Seidler. – Skowyt!

Bożena Wawrzecka wspomina:

– Rodziny oskarżonych zawsze siedziały z przodu, tym razem posadzili nas z tyłu, pierwsze ławki poobsadzali jakimiś tajniakami, żebyśmy byli dalej.

Paweł Wawrzecki zapamiętał ból syna, który nie może pomóc ojcu stojącemu kilka metrów od niego.

Odebrana kwatera

> Nowa metoda uboju – pod tucznika podkłada się ładunek wybuchowy. Połowa leci na zachód, połowa na wschód, a Polaków krew zalewa.

Bożena Wawrzecka:

– Potem oszukali nas z miejscem pochowania męża. Dostaliśmy pismo z fałszywą kwaterą na cmentarzu. Prawdziwe miejsce znaleźliśmy dzięki znajomym.

Po wyroku Wawrzeckim skonfiskowano mieszkanie.

– Za życia męża tylko to mieszkanie kupiliśmy – wspomina wdowa. – Poza tym nie mieliśmy na co wydawać pieniędzy. Auto było służbowe, a zagranicznych wycieczek, takich jak dziś, jeszcze nikt nie urządzał.

Prośba o łaskę

> – Czy są ryby? – pyta klient.
> – Nie, tu nie ma mięsa – odpowiada sprzedawca. – Ryb nie ma obok.

Jak Wawrzecki prosił o łaskę? Czy pisał o dzieciach? Czy czuł się winny? Czy obiecywał poprawę?

W biurze ułaskawień Kancelarii Prezydenta, która przejęła obowiązki po swoim odpowiedniku przy Radzie Państwa, wyjaśniają, że nigdy u nich nie pozostaje kopia prośby o łaskę. Razem z innymi opiniami wraca do akt sądowych.

Ale w sądzie, jak już wiem, prośby o łaskę nie znajdę. Nie zachowała się również w Sądzie Najwyższym. Rzecznik prasowy informuje, że zgodnie z prawem dokumenty zniszczono kilka lat temu.

Być może jakiś ślad znalazłby się w aktach penitencjarnych, znajdujących się w więzieniu na Rakowieckiej. Centralny Zarząd Zakładów Karnych nie widzi jednak możliwości, abym przejrzał te akta. Szczegóły wykonania kary śmierci pozostają tajne.

Jak Wawrzecki prosił o łaskę?

Oszukano sędziego

> O czym marzy polska świnia w drodze do rzeźni? Żeby choć jej serce pozostało w kraju.

Wśród prawników krąży opowieść, że kiedy opiniowano podanie o łaskę Wawrzeckiego, jeden z sędziów protestował przeciw utrzymaniu kary śmierci. Z powodów zasadniczych: nie ma kary śmierci dla złodzieja. Podobno

sędziemu jednak zasugerowano, że chodzi tylko o prewencyjny wydźwięk wyroku, a Rada Państwa na pewno skorzysta z prawa łaski. Sędzia miał ulec takiemu argumentowi. Oszukano go jednak.

– Może to plotka – mówi profesor Andrzej Rzepliński. – Ale opisuje ona sytuację ówczesnego wymiaru sprawiedliwości: władza zawsze może oszukać sędziego.

Anonimowy działacz PZPR:

– Podobno kiedy rozpatrywano prawo łaski wobec skazanego na śmierć w aferze skórzanej, Gomułka pokłócił się z Aleksandrem Zawadzkim, przewodniczącym Rady Państwa. Gomułka na posiedzeniu Biura Politycznego naciskał na wykonanie wyroku, a Zawadzki pod wpływem listów, sprzeciwów intelektualistów, zaprotestował. Powiedział: „Zrób siebie przewodniczącym Rady Państwa i będziesz wieszał, kogo chcesz". Gomułka zarządził przerwę, a po niej już do sprawy nie wracał.

To wydaje się prawdopodobne. Gomułka, kiedy nie mógł czegoś przeforsować, zamykał się w sobie, krążył po pokoju, palił papierosy. Czekał na następną okazję.

Tu, gdzie serce, tkwił nóż

Dialog w sklepie:
– Pół kilo zwyczajnej proszę.
– Nie ma.
– To pół kilo pasztetowej.
– Też nie ma. Jest tylko to, co widać.
– To pół orła poproszę.

Reporterka sądowa Barbara Seidler spotkała się znowu ze skazanym w aferze mięsnej dyrektorem Kazimierzem Witowskim – piętnaście lat po wyroku, kiedy został zwolniony przedterminowo z więzienia. „Nikt go nie chciał, nikt na niego nie czekał – pisała w reportażu *Nie mógł wrócić*. – Mieszkanie było ogołocone z mebli, sprawiało wrażenie niezamieszkanego. Ale oni mieli do Witowskiego pretensję. Że wrócił. Oni? Tak, oni – najbliżsi, którzy już dawno nie byli najbliższymi, przynajmniej nie mieli się za takich. Przed piętnastu laty i dawniej, gdy przynosił do domu pieniądze, coraz więcej pieniędzy, to był drogim mężem, kochanym tatusiem. Teraz wyszedł z więzienia stary, zniszczony człowiek. Cofnięty w siebie, nieśmiały, małomówny, lękliwie cofający się przed każdym".

Zatrudnił się w Zakładzie Oczyszczania Miasta.

Rodzina składała donosy: że się awanturuje, bije, krzyczy. Rodzina wolała, żeby wrócił do więzienia – niepotrzebnie zajął mieszkanie. Od kilkunastu lat to był już przecież obcy człowiek.

Pewnego dnia „wrócił jak zwykle do swojego »śmietniska«, jak czasem mówił – pisała Barbara Seidler – poszedł do kuchni odgrzać sobie wczorajszą zupę. W przedpokoju napadli na niego: żona, córka, zięć. Bili, wymyślali. Krzyczeli: »Wynoś się!«. Sąsiedzi słyszeli odgłosy awantury, rozróżniali nawet słowa. Najagresywniejszy był zięć. A on miał w ręku nóż. Długi, kuchenny. Pchnął. Zięć zawył, wybiegł na klatkę schodową".

Sąsiad potem zeznał, że kiedy na odgłos krzyków wpadł do mieszkania, „Witowski, to znaczy sprawca, leżał na środku podłogi, był w koszuli i spodniach, na jednej nodze miał ranny pantofel, druga była bosa. Tu, gdzie serce, tkwił nóż".

Zięcia pochowała rodzina.

Kazimierzowi Witowskiemu urządzono pogrzeb na koszt państwa.

III. Skazany

Rozglądam się po kawiarni, na chwilę zatrzymuję wzrok na dwóch kobietach przy sąsiednim stoliku. Wówczas starszy mężczyzna, który ze mną siedzi, pyta:

– Czy ktoś nas podsłuchuje?

Wiele razy spotykałem się z takim odruchem u starszych ludzi. Po więzieniu i kilkudziesięciu latach przeżytych w PRL-u nigdy już pewnie nie wyzbędą się podejrzliwości.

Szukałem kogoś takiego kilka tygodni. Najpierw z aktu oskarżenia wynotowałem adresy wszystkich oskarżonych. Ale to były adresy z roku 1964. Potem przeglądałem książki telefoniczne, sprawdzałem, czy jakieś dane jeszcze do siebie pasują. Kiedy dzwoniłem albo jeździłem pod wypisany adres, okazywało się, że ten, kogo szukam, już od dawna nie żyje, że kiedyś tu mieszkał, ale mu skonfiskowano dom, i nie wiadomo, co dalej, że tu już mieszka trzecia rodzina, może poprzednia coś by wiedziała, ale nikt nie wie, jak ją odnaleźć.

Pod jednym blokiem powiedziałem do domofonu:

– Tu kiedyś mieszkała rodzina oskarżonego w aferze mięsnej. Nie wie pani, co się z nią stało?

Wówczas starszy głos odpowiedział:

– Pan przyjdzie po południu. Wtedy będzie mąż. Najlepiej z nim rozmawiać. To jego skazano.

Jestem ostatni

Zgodził się na rozmowę, pod warunkiem że nie wymienię jego nazwiska. Jest ostatnim żyjącym spośród skazanych.

– Byłem wówczas dyrektorem – opowiada. – I jednego dnia, po aresztowaniu, z piedestału dyrektora spadłem do piwnicy komendy milicji.

Potem rozdmuchano naszą sprawę. Do sądu jeździliśmy w konwoju, pięć milicyjnych nysek z przodu, pięć z tyłu. Na każdym skrzyżowaniu stało dwóch milicjantów z karabinami. Traktowali nas jak największych bandytów, prasa sugerowała, że celowaliśmy w ustrój Polski Ludowej.

W moim wyroku napisali: „Wiedząc, że ubytki są za wysokie, nic nie zrobił, żeby je zmniejszyć, przez co pomógł do zaboru mienia". Absurd! Ja doprowadziłem do tego, że z roku na rok normy na ubytki były coraz mniejsze. Według mnie wtedy doszło do wojny wewnątrz partii. Niektórzy usiłowali wykazać, że Gomułka prowadzi błędną politykę gospodarczą. A Gomułka postanowił twardo udowodnić, że polityka jest dobra, tylko trzeba surowo karać. Walczyć z aferzystami! Powołano przecież specjalną komisję z Karkoszką, która nas rozpracowywała. Znaleźli mnóstwo nazwisk, ale o nich na procesie milczano. Jasno zakreślono krąg osób, które można publicznie wskazać, którym trzeba wytoczyć sprawę. Ja im bardzo pasowałem. Należałem do AK, miałem brata księdza.

Chciałem budować samy

Drugi raz spotykamy się w jego mieszkaniu. Jest wciąż skrupulatny. Na półkach w równych rzędach stoją teczki: „Zdrowie, badania, skierowania", „Sprawy kasowe koła AK", „Telewizja kablowa – opłaty". Za oknem niemiłosiernie hałasują setki samochodów.

– Kiedy tu się wprowadzałem, jeszcze nie było tej ruchliwej drogi. Ale teraz to żaden problem. Nawet śpię przy otwartym oknie. Używam aparatu słuchowego, wystarczy, że go wyjmę i już mi wozy nie przeszkadzają. Mam osiemdziesiąt dwa lata.

Przesłuchiwali mnie całymi nocami, już byłem wykończony. Przyznałem się do winy, bo mi na milicji obiecali lepsze warunki w areszcie.

Obiecali nawet, że będę odpowiadał z wolnej stopy. Z niczego się nie wywiązali. Jedni przyrzekali, a potem przyszła druga ekipa śledcza i powiedziała: „My o żadnych obietnicach nie wiemy".

Powinienem teraz mówić, że niczego nie wziąłem. Ale wszyscy przyjmowali, takie były czasy.

Za pierwszym razem było tak: przyszedł do mnie pracownik, rozmawialiśmy, zostawił na biurku kopertę i wyszedł. Zajrzałem do środka, a tam były

pieniądze. Wyskoczyłem na korytarz, ale już nie było po nim śladu. Szczerze chciałem mu oddać. Ale przyszły moje imieniny, trochę uszczknąłem. Później znowu była potrzeba i tak się powoli pieniądze rozpłynęły.

Potem znajdowałem koperty w kieszeni płaszcza, w gazecie.

A ja chciałem rozwijać handel samoobsługowy w Polsce. Wysłano mnie nawet na szkolenie do Francji. Potem przygotowywałem otwarcie pierwszego w Warszawie samu.

Chociaż, szczerze mówiąc, takie sklepy w Polsce były zbędne. Kiedy sklep ma zbyt wiele towaru i personel nie nadąża z wydawaniem go klientom, wówczas sam się sprawdza. Ale kiedy mało, trzeba jakoś dozować, niech przechodzi chociaż przez ręce sprzedawcy.

Nas trzeba zniszczyć

Szukałem kogoś ze skazanych nie tylko po to, żeby usłyszeć, czy brali łapówki i jak wyglądał proces. Chciałem się dowiedzieć, czy potrafią powiedzieć coś o roli Gomułki w tym procesie. Czy rzeczywiście szczególnie zależało mu na wyroku?

Ostatni skazany twierdzi:

– Gomułka powiedział, że nas trzeba zniszczyć. Publicznie domagał się wyroków śmierci.

– Skąd pan o tym wie? – pytam.

– Wszyscy wówczas wiedzieli. Gomułka to powiedział na zebraniu w fabryce na Żeraniu – wyjaśnia.

Czy to jednak możliwe, żeby pierwszy sekretarz zażądał konkretnego wyroku? Publicznie?

Ale już wcześniej kilka osób powtarzało mi: Gomułka podczas przemówienia domagał się kary śmierci.

Przejrzałem książkowy tom wystąpień Gomułki z roku 1964 i 1965. Niczego takiego nie znalazłem.

W dniu, kiedy wyrokował sąd, Gomułka przemawiał na naradzie przewodniczących rad narodowych. Mówił o czynach społecznych, o nadużyciach: „Do wartości czynów dolicza się kwoty przyznane poszczególnym radom narodowym jako dotacje na rzecz czynów społecznych".

Ówczesny działacz PZPR poradził, aby przejrzeć teczki z dawnego Komitetu Centralnego – nie wszystkie bowiem przemówienia Gomułki opublikowano. W teczkach z KC nie ma śladu pobytu Gomułki w FSO na Żeraniu od początku 1964 roku aż do wyroku. Pojawił się tam dopiero w maju 1965 roku – trzy miesiące po wyroku – na spotkaniu przedwyborczym z aktywem partyjnym.

Ślad zainteresowania Gomułki aferą mięsną znalazłem w „Trybunie Ludu",

która odnotowała jego wystąpienie na styczniowej konferencji partyjnej w roku 1965. Gomułka wówczas mówił:

> Ważnym zadaniem organizacji partyjnych w zakładach jest upowszechnienie świadomości, że dobro wspólne jest nienaruszalne. Brak takiej atmosfery sprzyjał wykolejeniu się ludzi i w ten sposób doszło m.in. w Warszawie do szeregu przestępstw gospodarczych. Gdyby reakcja otoczenia była wystarczająco szybka, do przestępstw tych nie doszłoby.

Ale „reakcja otoczenia wystarczająco szybka" to jeszcze nie żądanie kary śmierci. A może te oględne słowa w atmosferze tamtej epoki tak właśnie ostro i kategorycznie zabrzmiały?

Receptura zastępcza

> Na rynku pojawiły się dwa gatunki kiełbas: „robotniczo-chłopska", z rana czerwona, z wieczora zielona, i „chrześcijańsko-katolicka", bo sam Pan Bóg wie, co w niej jest, a ludzie podejrzewają, że papier toaletowy, którego też brakuje w sklepach.

W roku 1960, kiedy sprzedawcy w sklepach dokrajali tłuszczu do schabu, żeby oszukać klientów, władza wprowadziła tak zwane receptury zastępcze na wędliny „w celu właściwego zagospodarowania i wykorzystania surowców podrobowych, niższych klas mięsa i skórek, zalegających ówcześnie w magazynach przemysłu".

Skórki i wymiona okazały się bardzo ważne – trafiły do sprawozdania komisji partyjnej badającej aferę mięsną jako wzór gospodarności.

Do kiełbasy zwyczajnej, zamiast tłuszczu, dodawano skórki, wymiona i wargi. „Na podstawie oceny organoleptycznej nie można ustalić w wędlinach rozdrobnionych poszczególnych surowców, w tym i zastępczych" – ustaliła komisja.

Komisja stwierdziła, że surowce zastępcze w zasadzie nie umniejszają „wartości konsumpcyjno-odżywczej" wędlin, a nawet – przywołano na dowód opinię naukowców, profesorów Purackiego i Koepo – „zastępstwo mięsa wieprzowego mięsem wołowym zwiększa zawartość białka w poszczególnych wędlinach".

Potem wymyślono jeszcze nowsze receptury zastępcze. Do serdelowej, mortadeli, parówkowej i pasztetowej zamierzano dodawać soi.

Produkcja jednak nie ruszyła. Zabrakło soi.

Nietykalni. Reportaże roku 1999, red. A. Bikont i in., Warszawa: Prószyński i S-ka, 2000, s. 103–132

1999

Agnieszka Wróblewska (ur. 1933)

Pisać pozytywnie, ale z olśnienia

Dziennikarz zawsze stoi po stronie nieszczęścia i krzywdy. Pogląd ten potwierdzał Ryszard Kapuściński i jego zdanie na ten temat jest jednym z trzech cytatów patronujących tej antologii. Małgorzata Szejnert dodaje: „Niegodziwości są na ogół niestety ciekawsze niż cnoty – i dla samego reportera, i czytelników".

Kiedy wyszła pierwsza antologia reportaży „Gazety Wyborczej" *Kraj raj. Piszą reporterzy „Gazety"* (1993), recenzenci zauważali, że wylewa się z niej negatywny obraz przemian po 1989 roku. Wiesław Kot po lekturze książki napisał, że rejestr dogmatów współczesnego reportażu ułożył się następująco: interesujący bohaterowie muszą być nieszczęśliwi, przeciętny Polak jest sterowany z zewnątrz przez ciemne siły, których nie rozumie, typową reakcją na problemy życiowe jest płacz i poczucie bezradności.

Małgorzata Szejnert jako ówczesna szefowa działu reportażu miała świadomość, że brakuje tekstów o Polsce, która się udaje. Dała temu wyraz w jednym z artykułów wstępnych w „Magazynie", dodatku do „Gazety Wyborczej", w którym zapowiadała reportaż Agnieszki Wróblewskiej *Autobus zwany burmistrzem* (listopad 1996) o pozytywnych zmianach w miasteczku Niepołomice. Stwierdziła, że bohater pozytywny to dla reportera znajomość niezmiernie kłopotliwa.

> Reporter czuje się raczej powołany do tego, by wywlekać na wierzch niegodziwości i utrapienia, niż by zwracać uwagę na czyjąś gorliwość w dobrym.

Pozytywni bohaterowie reportaży nie kojarzą się niestety z pozytywizmem, ale z propagandą sukcesu i realizmem socjalistycznym. Jednakże wobec bohatera pozytywnego reporter nie może być obojętny, gdyż pisanie o nim „krzepi innych, stanowi dla nich wzór i oparcie".

I tu pojawia się problem reporterów po upadku komunizmu.

> Dzisiaj rzeczywistość bardziej niż kiedykolwiek bohaterom pozytywnym sprzyja, więc trudniej o dramat sprzeczności.

Agnieszka Wróblewska, ówczesna współpracowniczka działu – jak zauważa Małgorzata Szejnert – jest jednak tą reporterką, która z powodów pozytywistycznych upiera się przy reportażu pozytywnym. Fragment wspomnianego reportażu z Niepołomic brzmi tak:

KOMUNIKACJA

Niewidzialna ręka rynku zapełniła puste półki, ustawiła na chodnikach południowe owoce, rozpięła parasole przed kawiarnią.

W Niepołomicach ludzie uważają, że to burmistrz Kracik przerobił kopciuszka na królewnę. Rzeka Drwina ożyła, bo burmistrz odciął ścieki, które żywcem waliły do jej koryta. Poustawiał kontenery na śmieci, żeby odpadków nie wożono do puszczy. Burmistrz posadził kwiaty, burmistrz zbudował szkołę, burmistrz odmalował domy.

Kiedyś zadzwonił do pani Kracikowej przerażony przyjaciel domu, bo usłyszał, że traktor stuknął na drodze burmistrza. Ale burmistrzowa się nie przeraziła. Wiedziała, że burmistrzem nazwano pierwszy autobus gminny, który ruszył na trasę wkrótce po wyborach. [...]

USŁUGI DLA LUDNOŚCI

Józef Dziadoń – wspominając czasy, kiedy był w gminie naczelnikiem – powiedział, że dawniej się tak nie liczyło wszędzie pieniędzy, ważne było zrobić coś dla ludności.

Teraz gmina nie otwiera mleczarni dla ludności, tylko przedsiębiorca otwiera je dla zysku. A mleko dla ludności jest czystsze.

Czy dobro w reportażu musi być nieefektowne? – tak można nazwać jeden z problemów, na który natykają się reporterzy. Co musi zrobić reporter, żeby tekst o zjawiskach pozytywnych był ambitny, poruszający i nienaskórkowy? Szejnert pośrednio odpowiada na te pytania we wspomnianym artykule wstępnym:

> Aby jednak bohater, burmistrz Niepołomic, nie znużył nas zasługami, Agnieszka Wróblewska zmyliła pogonie, nadając reportażowi formę przewodnika po mieście z hasłami z minionej raczej epoki. Mamy więc pozytywnego bohatera kapitalistycznej Polski w socrealistycznych cudzysłowach. Tak to reporter musi kombinować, gdy o dobrym pisze.

Agnieszka Wróblewska skończyła Wydział Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego (1956), pracowała w „Walce Młodych", potem w „Sztandarze Młodych" i „Kobiecie i Życiu" (w dwu ostatnich redakcjach była szefową działu krajowego). Z „Kobiety i Życia" odeszła w stanie wojennym, związała się z „Przeglądem Technicznym". W nowej Polsce – z „Życiem Warszawy". Kiedy w 1995 roku przeszła na emeryturę, współpracowała z „Gazetą Wyborczą", pisząc reportaże na tematy, których nie doceniali młodsi reporterzy, upierający się przy ciemnych stronach kapitalizmu.

Była żoną reportera Andrzeja Krzysztofa Wróblewskiego (patrz s. 9) i napisała z nim cztery książki reporterskie. Nie zajmuję się tutaj prawie w ogóle życiem prywatnym reporterów, chyba że jest to niezbędne. Jednak przyznaję, że kiedy Andrzej Krzysztof Wróblewski odnalazł w 2007 roku w IPN-ie swoje dzienniki z młodości, zarekwirowane w 1969 roku przez Służbę Bezpieczeństwa, i podał je do druku (*Dzienniki zabrane przez bezpiekę*, 2008), czytając je, fascynowałem się wątkiem miłosnym Agnieszki i Andrzeja. Dzięki czemu wiem na przykład, dlaczego A. K. Wróblewski wydrukował tekst w „Walce Młodych", gdzie przecież nie pracował:

> 30.12.1956. Dwa dni wcześniej przyszedłem do niej rano, około dziesiątej [...]. Obudziłem ją stukaniem [...]. Powiedziałem, jak było naprawdę. Że starałem się jej unikać, że po urodzinach w ogóle nie zjawiłem się, że artykuł zaniosłem do „Po prostu" i w piątek wycofałem, żeby zawieźć do „Walki" tylko po to, żeby się z nią zobaczyć.

Ich ostatnią wspólną książką była *Zgoda na wyjazd* (1989). Pod tym urzędowym sformułowaniem kryje się dramat Mazurów i Warmiaków od zakończenia wojny represjonowanych i zmuszanych do wyjazdu z Polski. Wróblewscy – „spółka małżeńsko-reporterska" – jak ich nazywano, przez wiele lat mieli na Mazurach dom letni, znali tam wielu mieszkańców.

Jak mówił w Sejmie Edmund Osmańczyk (patrz t. 1, s. 577), z kilkunastu tysięcy Mazurów, którzy w 1946 roku udowodnili swoją polskość, zostało trzy procent.

> Zmuszono ich do wyjazdu – grzmiał w kwietniu 1984 roku Osmańczyk – bo ci panowie biurokraci nie mieli sobie gdzie dacz budować, a najprościej było mieć daczę najbliżej, na Mazurach, gdzie świeże powietrze, samochodem można dojechać.

Pozwolenia na wyjazdy do RFN dostawali w pierwszej kolejności ci, którzy mieli atrakcyjne domki nad jeziorem. Do 1976 roku, kiedy państwo zmieniło politykę i zaczęło chętnie dawać Mazurom paszporty, obowiązywała zasada: „Sprzedasz gminie dom, dostaniesz paszport. Nie sprzedasz, nie dostaniesz". Przed Mazurami i Warmiakami zamknięte były kierownicze stanowiska w administracji państwowej. W pegeerze Mojtyny autochtonom zamiast pensji (siedemnaście tysięcy złotych) dawano trochę zboża i pięć złotych na miesiąc. Po wojnie skutecznie likwidowano mazurską inteligencję. W 1956 roku tylko 12 (słownie: dwunastu) Mazurów miało wyższe wykształcenie, w tym czterech uzyskało dyplomy jeszcze przed wojną. Warmiakom i Mazurom, przed

1939 rokiem prześladowanym przez Niemców za trwanie przy polskości, po wojnie zmieniono wyzwiska. Z „polskich świń" na „niemieckie świnie".

Recenzenci byli książką Wróblewskich zachwyceni. Dwa lata imponującej pracy nad reporterskim zapisem unicestwiania społeczności. Chwalili rzecz jako napisaną bez ogródek i bolesną. „Najważniejsze w niej są fakty. Nacierają podczas lektury z wielką siłą" – napisał Michał Markowski w „Kulturze". Była to jedna z pierwszych w czasach przełomu (jesień 1989 roku) książek rozrachunkowych z PRL-em.

Agnieszka Wróblewska, spytana w latach dziewięćdziesiątych, dlaczego upiera się przy reportażu pozytywnym, odparła:

> Byłam i jestem tak olśniona faktem, że doczekaliśmy jakiejś kapitalistycznej normalności, że tylko chciałam ludziom wtłaczać do głowy, że przemiany są OK.

Oto, jak widziała przemianę warszawskiej Fabryki Samochodów Osobowych w koreański koncern.

Żerania pożycie z Koreą

Czarny piątek w Departamencie Rozwoju Zasobów Ludzkich zaznaczył się ciszą. Pan Ka Ka Lee, koordynator, polecił wyłączyć w pokojach muzykę.

– Uważa, że radio przeszkadza w pracy – mówi Mariusz Płoński, asystent kierownika. – Zawsze tak uważał, ale muzyka sobie grała. W piątek wydał wyraźne polecenie. Najpierw pomyślałem, że to żart, potem przypomniałem sobie, że właśnie minęły trzy lata od powołania spółki Daewoo-FSO, zatem skończył się okres ochronny dla załogi. Przez trzy lata Koreańczycy zobowiązali się nikogo nie zwalniać z pracy, teraz mogą pokazać rogi.

Im bliżej było połowy marca, tym więcej osób pytało codziennie Macieja Motelskiego, dyrektora produkcji: czy to prawda, że są już szykowane listy do zwolnienia?

– I co pan odpowiadał?

– Że jak ktoś po każdej wypłacie jest przez trzy dni chory albo za połowę urlopu przynosi zwolnienie, to okres ochronny się dla niego kończy. Ale po co mielibyśmy zwalniać fachowców?

Fabryka w ubiegłym roku sprzedała ponad sto sześćdziesiąt sześć tysięcy samochodów, w tym roku planuje sprzedaż dwustu trzydziestu pięciu tysięcy, zdolność produkcyjna sięgnie wkrótce pół miliona.

A jednak widmo strachu krąży po Żeraniu. Podobno spisują pracowników drugiej kategorii – w wieku przedemerytalnym, z długimi zwolnieniami chorobowymi oraz takich, którzy słabiej wypadają w rankingu. Ludzie wypełniają ankiety, z ankiet wyłania się stosunek do pracy punktowany w skali od jeden do cztery.

– Słabych widzę bliżej bramy – mówi Mariusz Płoński.

Mariusz chce odejść

Mariusz ma dwadzieścia jeden lat, w rankingach wypada fantastycznie. Po rankingu dostał awans i dwa razy większą pensję. W zeszłym roku brał udział w Europejskiej Olimpiadzie Umiejętności w Holandii i jako jedyny z fabrycznej reprezentacji przywiózł medal. Wprawdzie tylko brązowy, ale startował w konkurencji komputerowej. Komputerami jego pokolenie na Zachodzie bawiło się od przedszkola, a Mariusz, kiedy przyszedł do Daewoo-FSO, trzy lata temu po fabrycznym technikum, komputer potrafił włączyć.

Teraz robi samodzielnie programy komputerowe przeznaczone do szkolenia pracowników.

– Wszystko, co umiem, zawdzięczam firmie. Jeździłem z kursu na kurs, a firma płaciła.

Powinien firmę Daewoo-FSO kochać i tutaj budować karierę. A on firmy nie lubi i chciałby z niej odejść. Nie odchodzi, bo go nie stać. Dwa lata temu poszedł na studia, firma zobowiązała się płacić połowę czesnego. Podpisał cyrograf, że nie odejdzie przynajmniej przez dwa lata po dyplomie. Gdyby teraz odszedł, musiałby oddać dziewięć tysięcy.

Nie czuje się dłużnikiem.

– Harowałem przez trzy lata solidnie. O samych nocach tu spędzonych można pisać poematy.

Noce Mariusz zarywał, kiedy fabrykę miał odwiedzić ktoś ważny i potrzebna była prezentacja komputerowa firmy.

– Czas się zbierać do domu, a tu wchodzi Koreańczyk z górą papierów: „Mister Mariusz, czy może pan jeszcze to zrobić?".

Ale nie siedzenie po nocach jest dla Mariusza najgorsze. Wkurza go, że Koreańczyk potrafi w ciągu nocy parę razy zmieniać koncepcję tej prezentacji.

– A my słuchamy jak barany. Trzeba milczeć i wykonywać.

– To lepiej było nie wpuszczać tu Daewoo?

– Gdyby FSO nie zostało trzy lata temu sprzedane, do dziś nic by tu nie było – odpowiada Mariusz.

Wkład Stalina w polską motoryzację

Samochody osobowe stały się po wojnie niesłuszne ideologicznie. Centralny Urząd Planowania przestrzegał, że „prywatne auta mogą sprzyjać tworzeniu się elity, a to jest sprzeczne z pojęciem państwa socjalistycznego". Kiedy więc w roku 1948 rząd polski podpisał jednak umowę z koncernem z Turynu, w wytycznych partyjnych napisano: „Tylko pewne kategorie wozów zużytych lub nadwyżki produkcyjne mogą być nabywane przez określone grupy obywateli".

W Warszawie przystąpiono do budowy fabryki. Dokumentację, technologię, nadzór brali na siebie Włosi. Po trzech latach planowali produkcję dziesięciu tysięcy fiatów rocznie.

Nic z tego nie wyszło. W sprawę wkroczył ponoć sam Józef Stalin, który wytłumaczył polskim towarzyszom, że nie możemy się uzależniać od kapitalistów, tym bardziej że transport to także sprzęt bojowy. Półtora roku budowano fabrykę dla fiatów, po czym strona polska zerwała umowę, powołując się na klauzulę „wyższej konieczności", i podpisała w Moskwie

nową – na licencję pobiedy. Kopia forda z lat trzydziestych nad Wisłą została nazwana warszawą.

Pierwszy egzemplarz zjechał z taśmy montażowej w przeddzień trzydziestej czwartej rocznicy rewolucji październikowej.

Czarno-białe zdjęcie z prywatnego muzeum Leonarda Brzechowskiego, emeryta: warszawa w jasnym kolorze, u jej lewego boku członkowie Biura Politycznego, radzieccy specjaliści, kierownicy i przodownicy w ciemnych garniturach. Nad nimi na ścianie fabrycznej hali portret Feliksa Dzierżyńskiego z jakimś tekstem o szczęśliwej przyszłości.

– Z czterdziestu lat życia w Fabryce Samochodów Osobowych najlepiej pamiętam wzruszenie tamtego dnia – mówi pan Leonard.

Na długości pięciu przystanków tramwajowych wzdłuż ulicy Jagiellońskiej ciągną się dziś hale Daewoo-FSO, montownia Opla, instytuty, stacje obsługi, salony Fiata, Renault, Mercedesa.

Dziś jest tu polska „samochodowa dolina", a zaczęło się wszystko od tej daty wypisanej nad główną bramą Daewoo-FSO: 6 XI 51.

Numer ewidencyjny 258

Leonard Brzechowski ma numer ewidencyjny 258.

– Z „trzycyfrowych" nie zostało nas wielu.

Urodził się na warszawskiej Pelcowiznie, w miejscu jego urodzenia stanęła odlewnia. Nazwę „Pelcowizna" wyparła nazwa „Żerań". Jego szkołę powszechną zamieniono na biura fabryczne. Poszedł tam i się zaciągnął.

Mieszkanie pana Leonarda wygląda jak izba pamięci FSO: plakaty, medale, proporczyki, rzeźby, komunikaty o wykonaniu zobowiązań, rozkazy z okresu stanu wojennego, wycinki z gazet, fotografie. Wyciąga ze stosu wypłowiały „Przekrój" z 1950 roku: wozy konne na budowie, ludzie machają łopatami.

Przepustka fabryczna w zeszłym roku mu wygasła, więc już na Żerań nie chodzi. Lubił ośrodek wypoczynkowy w Augustowie, podobno są tam teraz luksusy. Dla emeryta za drogo, już nie jeździ.

– Wszystko minęło – mówi z rezygnacją.

Fiat zwany pożądaniem

W roku 1973 jeden z prezesów Banku PKO założył się o butelkę koniaku, że sprzeda na pniu całą produkcję fiatów na 1977 i 1978 rok i wygrał. Wszelkiego dobra w PRL-u brakowało, ale pożądanie samochodu miało smak szczególny.

Znajomy Amerykanin pytał mnie w tamtym czasie, czemu Polacy spotykają się po domach, żeby godzinami opowiadać sobie, jak skręcali w lewo, ile ich

samochód pali itp. Czy Amerykanin mógł zrozumieć, że własny wóz nie był dla nas zwyczajną maszyną do jeżdżenia? Wsiadasz do samochodu, jedziesz, gdzie chcesz, kiedy chcesz, czyli jesteś niezależny. Nabywając majątek trwały, stajesz się prywatnym posiadaczem, czyli nadgryzasz ustrojowe fundamenty.

Marzenie o samochodzie stało się narodową obsesją. Kto miał w Polsce władzę, opędzał się od nacisków na przydziały. Kto nie miał do władzy dojścia, stawał w kolejce do kasy, żeby wcisnąć PKO ratę na samochód.

Na giełdzie fiaty z kilkuletnim stażem bywały droższe od nowych. W PRL-u na przedpłaty, zwane też polskimi ratami (najpierw płacisz, potem czekasz), sprzedawano i samochody, i mieszkania. Ale w latach siedemdziesiątych na rachunku przedpłat samochodowych leżało więcej złotówek aniżeli na kontach oszczędzających na pierwsze mieszkanie.

Odwilż i po odwilży

Pewnego listopadowego ranka 1956 roku zjawił się w FSO Władysław Gomułka i w sekretariacie komitetu partii poprosił o ankietę. Kierownictwo PZPR zapisywało się na członków fabrycznych organizacji, żeby lepiej zrozumieć ludzi pracy. Miesiąc wcześniej krytykował Żerań za błędy i wypaczenia: „Powstał nowy zakład, który przy niewspółmiernie wysokich kosztach wypuszcza nikłe ilości samochodów starego typu". Teraz wyróżniał go za zasługi poniesione na rzecz polskiej odwilży.

W czerwcu 1956 roku ekipa fabryczna wróciła z Targów Poznańskich i przekazała załodze, że nie widziała tam żadnej „imperialistycznej prowokacji", jak gazety komentowały „wypadki poznańskie". Żerań stał się od tej chwili ośrodkiem informacyjnym o sytuacji w kraju.

– Przychodziły delegacje zakładów pracy, więc u nas zrobił się sztab – wspominał potem Lechosław Goździk, dwudziestoczteroletni ślusarz z narzędziowni, wybrany na fabrycznego sekretarza partii.

Styropianu jeszcze nie znano, ludzie podkładali pod plecy, co kto miał, ale do domu na noc nie wracali. Oddziały radzieckie zgrupowały się w rejonie Lasów Chotomowskich i w każdej chwili mogły wejść do Warszawy. Goździk polecił wydać robotnikom broń z magazynów straży przemysłowej, wystawić zapory z samochodów załadowanych piaskiem, a butelki napełnić benzyną. W gazetce zakładowej ukazał się na czołówce tytuł: *Żerań czuwa*.

Potem były w Warszawie wiece, na których Goździk studził emocje, i tłum nie ruszył pod ambasadę radziecką. I pierwsze rady robotnicze, które z FSO zaczęły promieniować na kraj. Rewolucja przebiegała pod hasłem umacniania socjalizmu, a nie walki z nim. Rady miały sprawić, że robotnicy poczują się

gospodarzami fabryk, będą nimi mądrze zarządzać, dzięki czemu wzrośnie produkcja, a wraz z nią dobrobyt.

Robotnicy mówili: robimy sześć tysięcy samochodów rocznie, a gdyby nam oddano władzę, robilibyśmy dwa razy tyle.

Gomułka najpierw popierał samorządowy zapał, ale kiedy rady zaczęły rosnąć w siłę, a w dodatku zażądały dla siebie tajnych i bezpośrednich wyborów, wybuchła awantura. W roku 1958 zamiast demokratycznych samorządów partia powołała kontrolowane przez siebie Konferencje Samorządu Robotniczego. Goździk powiedział publicznie, że jest to odejście od Października, i sam musiał odejść.

Bagażnik jak mandolina

Produkcyjnym zwiastunem odwilży na Żeraniu była syrena, która przyszła na świat rok przed Październikiem. Prace nad nią mogły się toczyć, bo w roku 1953 rząd zmiękł ideologicznie i podjął uchwałę o budowie samochodu popularnego. Miał to być „oszczędzający czas środek przewozu przy wykonywaniu czynności służbowych i wypoczynku, przeznaczony dla racjonalizatorów, przodowników pracy, aktywistów, naukowców i przodujących przedstawicieli inteligencji".

Pieniędzy na nowy „środek przewozu" nie było. Była za to wielka ochota kadry inżynierskiej, żeby stworzyć wreszcie coś własnego i z przeznaczeniem dla ludzi.

– Nikt nie wiedział, jak syrena ma wyglądać, więc najpierw lepiliśmy gipsową makietę – wspominał na łamach „Życia Warszawy" inżynier Władysław Kolasa, były pracownik biura konstrukcyjnego. – Klapę bagażnika robiliśmy takim sposobem jak stare mandoliny: z listewek cieniutkich, wyginanych, wyrzynanych, obłych.

Silnik dwusuwowy od sikawki strażackiej pochodził z fabryczki w Bielsku. Błotniki klepali ręcznie na workach z piaskiem. Pierwszej syrenie zrobiono latem 1955 roku malownicze zdjęcie na tle sosnowego lasu. Prototyp stał w fabryce, ale nikt nie miał odwagi tym jeździć.

Kiedy na fali popaździernikowej, w 1957 roku syrenę 100 oficjalnie dopuszczono do seryjnej produkcji, w instrukcji obsługi figurował kategoryczny zakaz dodawania gazu na zakręcie. Układ kierowniczy był trochę wadliwy i samochód lubił się przechylać. Przy dużych prędkościach otwierała się też maska. Poza tym wiało i kierowcy musieli zimą ubierać się jak na motocykl, w kożuchy i filcowe buty. Drzwi otwierały się inaczej niż zwykle w samochodzie, do przodu, dlatego o syrenach mówiono „łapacz kur".

Potem przyszły kolejne modele, usuwano wady, zbudowano nowy silnik, ale nigdy nie udało się przerobić syreny na poważny pojazd. Po czterdziestu latach od początku produkcji, w roku 1983, z taśmy zjechał ostatni egzemplarz z fabrycznym numerem 344 089.

Trzy lata życia w euforii

– Ludzie czekali na dobry i tani samochód, patrzyli na Żerań i pytali: „Co oni tam do cholery robią?". To było krzywdzące dla inżynierów z FSO – uważa Krzysztof Ładnowski.

Pracuje tu jako konstruktor od pięciu lat, nie pamięta czasów klepania błotnika na worku z piaskiem. Ale zna narzekania starszych kolegów.

– Pech prześladował tę fabrykę. Weźmy licencję na fiata 125. W latach sześćdziesiątych kupiono już przestarzały silnik, bo nowszy typ musiało dostać rosyjskie Żiguli. Latami robiono tu modele, które nie miały szans wejść do produkcji. Syrena 110 – podobno nowoczesna konstrukcja jak na lata sześćdziesiąte. Albo wars, który ledwo się urodził, poszedł do muzeum.

Zbigniew Szczepanik, obecnie dyrektor centrum badań i rozwoju, trzy lata spędzone nad warsem wspomina jak pasmo życia w euforii.

– Wcześniej rysowało się to i owo, takie ćwiczenia, żeby nie zardzewieć. Aż tu nagle znalazły się pieniądze na budowanie prawdziwego modelu. Myśleliśmy: tworzymy dzieło nowe i zupełnie własne. Gotowy wars, powielony w setkach tysięcy egzemplarzy, śmigał w naszej wyobraźni po szosach. Czy pani wie, jak ludzie przy tym samochodzie pracowali?

Żeby produkcja fiata nie stanęła, wały napędowe z zakładów w Szczecinie nieraz trzeba było dowozić na Żerań śmigłowcem. Do warsa nową kolumnę kierownicy ten sam Szczecin zrobił z wyprzedzeniem. Nikogo nie musieli poganiać. Co innego przecież tłuc nudne, powtarzalne zamówienia, a co innego przyłożyć rękę do marzeń.

Kiedy wszystko było gotowe, pięknie wypucowany model w wiśniowym kolorze stanął w kącie hali i jak panna w karnawale czekał na swoje przeznaczenie.

– Daremnie kołataliśmy o pieniądze w kraju i za granicą – mówi dyrektor Szczepanik. – To był dobry wóz, do dziś uważam, że nie ma się czego wstydzić.

Myśleli, że dobry model jest najważniejszy. Jak zrobią dobry egzemplarz, świat się zachwyci i wyda osiemset milionów dolarów na wdrożenia.

Tymczasem goście przychodzili, cmokali i pytali: „Po co to zrobiliście, jeśli nie można uruchomić produkcji?".

Były lata osiemdziesiąte, rząd polski nie miał na nic pieniędzy. Zachodnie koncerny nie padły na kolana przed wiśniowym modelem. Jeździły już po świecie podobnej klasy samochody niemieckie, włoskie czy japońskie. Tam inżynierowie byli w lepszej sytuacji – kiedy siadali do rysowania nowej konstrukcji, ich pracodawca zabierał się do marketingu.

Zapaleńcy z FSO przeżyli szok – kto z nich wtedy wiedział, że nie sztuka zbudować prototyp, że nawet produkowanie nie jest sztuką. Bo sztuką jest jedno: zrobić takie auto, które da się dobrze sprzedać.

Jak kontrakt diabli wzięli

Wars nie wypalił, fabryka zaczęła szukać po świecie jakiejś nowej licencji. Rozmowy wlekły się całe lata osiemdziesiąte, aż pod koniec Fiat przedstawił atrakcyjną ofertę: średniolitrażowy samochód z nowej rodziny Uno. Czterdzieści tysięcy sztuk rocznie będzie sprzedawał na Zachód, co zapewniało spłatę kredytu.

Kontrakt parafowano 1 grudnia 1988 roku, ale tego samego dnia po południu ówczesny minister przemysłu Mieczysław Wilczek go unieważnił. Miał inny pomysł na politykę motoryzacyjną, który FSO skazywał na dalszą wegetację.

Po latach okazało się, że model Uno, odrzucony w Warszawie, robiony we Włoszech, pobił rekordy sprzedaży koncernu Fiat.

– Dobrze pamiętam ten strach, kiedy trzy lata temu zachwiały się negocjacje między FSO a Daewoo – mówi Krzysztof Ładowski. – Myśleliśmy: „No tak, pecha ciąg dalszy, znowu diabli wezmą nadzieje, że ktoś z sensem pokieruje tą fabryką".

Na jesieni w poniedziałek

– Ma pani szczęście – cieszy się Maciej Motelski – proszę spojrzeć: dziś akurat pierwszy matiz zjechał próbnie z linii montażowej. W poniedziałek 18 października rusza ich polska masowa produkcja.

Zaczyna się wiosna, a oni wiedzą, w który poniedziałek na jesieni ruszy taśma z matizami.

– Czy 18 października to jakieś święto albo rocznica?

– Nie, dlaczego? Data wynikła z grafiku. Tyle czasu trzeba, aby uruchomić produkcję, zgrać dostawy, dystrybucję itp. Dwa tygodnie po małym matizie ruszy polska produkcja dużej nubiry.

Na rok 2000 szykują większą niespodziankę: zupełnie nowy średniolitrażowy samochód o nazwie, na razie roboczej, F-100.

– To będzie pierwszy prawdziwie polski samochód – informuje mnie Sun-Joo Lee, dyrektor planowania i koordynacji.

Czy tak samo myślą polscy konstruktorzy? Czy czują się jego twórcami? Krzysztof Ładnowski w zespole F-100 odpowiada za urządzenia elektroniczne. Polaków jest w tym zespole więcej, ale Koreańczycy też projektują, jeden z nich nawet dzieli z Ładnowskim biurko. Na Żeraniu powstaje wnętrze wozu. W Nysie podwozie. Nadwozie szykuje zespół w Anglii, coś tam robią zespoły w Korei i w Niemczech. Pomysł, nadzór, koordynacja głównie koreańskie.

– Raczej bym powiedział: powstaje samochód polsko-koreański. Ale co to ma za znaczenie? Tworzymy całkiem nowy wóz. Nie przeżywam tej euforii, jaka była udziałem mojego szefa, dyrektora Szczepanika, kiedy rysował warsa. Za to wiem, że moje rysunki nie pójdą na półkę.

Czy polonez był polski?

Krzysztof Lis, specjalista od zarządzania, w latach siedemdziesiątych praktykował w FSO jako asystent dyrektora: tu nigdy nie było prawdziwej fabryki samochodów, bo nie było możliwe samodzielne opracowanie nowego modelu. W krajach tak zwanych socjalistycznych tylko czeska škoda z przedwojennymi tradycjami zdolna była od czasu do czasu wypuścić w świat własną konstrukcję. Polskim dziełem była syrena. Wszystkie inne modele, także rosyjskie, zerżnięto z Zachodu.

Dla pokrzepienia mówiono, że polonez jest polski. Ale nasi inżynierowie zaprojektowali do niego tylko nadwozie, i to bez podłogi. Podłoga jest w nadwoziu najważniejsza, wzięto ją od fiata. Także silnik. Zresztą był za słaby do ciężkiej karoserii, przez co polonez zachowywał się jak atleta z sercem małej dziewczynki. Technologię i narzędzia też kupiliśmy od Włochów.

Starsi pracownicy FSO pamiętają, że rząd zabierał zyski i nie dawał pieniędzy na rozwój. Nie było rozwoju, to modele się starzały. Jak się starzały, eksport siadał i zyski słabły, więc znów rządowi nie starczało.

Teraz centrum badań i rozwoju przy Daewoo-FSO się rozrasta. Wkrótce ma zatrudniać tysiąc inżynierów. Za półtora roku skończy się montowanie wozów z obcych części. Koreańskie modele stają się polskimi, kiedy ponad sześćdziesiąt procent elementów produkowanych jest w kraju.

– Od kiedy zobaczyłem, że możemy w Polsce produkować lanosy, poczułem się bezpiecznie – powiedział mi Krzysztof Ładnowski.

Będzie co robić. Co dwa i pół roku każdy z produkowanych modeli przejdzie kosmetyczną kurację, co pięć lat wyjedzie z Żerania całkiem nowy samochód.

Stare hasła w nowej ramce

Na ścianie wydziału montażu wielki napis w trzech językach: po polsku, angielsku i koreańsku – „Marzenia zmieniają świat". Studiowałam dziennikarstwo w latach błędów i wypaczeń. Na pierwszych ćwiczeniach asystent podał nam receptę na reportaż: kiedy wejdziecie do zakładu pracy, najpierw powinniście spisać hasła ze ścian. Niemal pół wieku później chodzę po fabrykach kupionych przez kapitalistów i co widzę? Znajome hasła. Znów chodzi o to, aby człowiek bardziej przejmował się pracą. Komunistom się nie udało, ale to nie była wina haseł.

W gabinecie dyrektora Sun-Joo Lee wisi w ramkach sześć znaków w alfabecie koreańskim. Pytam, co znaczą. Pan Lee wręcza mi polskie tłumaczenie: „Kreatywność, wyzwanie, poświęcenie". I rozwinięcie tych pojęć. Kreatywność jest wolą myślenia i działania, nigdy niekończącym się pościgiem za czymś nowym i doskonałym. Wyzwanie jest to postawa odwagi i zmiany, która determinuje osiąganie stawianych celów. Poświęcenie odnosi się do bezinteresownej i odważnej postawy stawiającej dobro ogółu ponad indywidualnymi korzyściami.

Wyrażam wątpliwość, czy te słuszne skądinąd maksymy kogoś przekonają.

– Warto je powtarzać, nawet jeśli tylko jednego pracownika na dziesięć tysięcy uda się zmienić – odpowiada dyrektor Lee.

Dyrektor ze ścierką

– Nie zgadnie pani, od czego Koreańczycy rozpoczęli zarządzanie fabryką – mówiła mi podczas pierwszej wizyty Krystyna Danilczyk z wydziału informacji – od hektolitrów farby i ton środków czyszczących. Przez pierwsze tygodnie odbywało się tylko skrobanie z brudu i malowanie.

Plotka o FSO głosiła, że po zimie tłuczono na produkcji szyby, bo nie puszczały światła, a nikt ich nie mył.

Jak ludzie przyjęli te porządki? Najpierw wzruszali ramionami i pytali: „Na co to komu potrzebne?". Niektórych obrażało, że Koreańczyk schyla się człowiekowi przed nosem i podnosi papierki. Teraz, kiedy zdarzy im się odwiedzać jakąś „czarną fabrykę", pytają po powrocie: „Dlaczego ludzie godzą się w takich warunkach pracować?".

Idę przez spawalnię z dyrektorem Motelskim, a on mnie szturcha i pokazuje: młody człowiek pucuje ścierką jakiś całkiem czysty podajnik.

Dyrektor opowiada o systemie „moja maszyna". Wkrótce po przyjściu Koreańczyków każdy z dyrektorów w całej fabryce musiał sobie wybrać maszynę,

o którą będzie przez kilka tygodni specjalnie dbał. Raz na tydzień wziąć ścierkę, wiadro wody i ją umyć. Dobrze, jeśli maszyna była niewielka, jak na przykład zgrzewarka, którą wybrał sobie Jerzy Marczak, szef z zakładu nadwozi. Ale jak któremuś przypadła tłocznia na parę pięter wysoka i kilkanaście metrów długa? Dyrektor Motelski przyznaje, że głupio się czuł na początku, ale potem zobaczył prawdziwy sens tej akcji. Mył swoją maszynę tylko raz, bo w następnym tygodniu robotnicy powiedzieli: „Niech pan zostawi dyrektorze, zrobimy to sami".

Narzędzia psychologicznego rażenia

Koreańczycy wydali na Żeraniu miliard dolarów na technikę, boją się, że jeśli podejście człowieka do pracy za tym miliardem nie nadąży, inwestycja się nie zwróci. Badania wykazują podobno, że mimo całej rewolucji technicznej efekt pracy w dziewięćdziesięciu procentach zależy od pracownika.

Czystość to na Żeraniu ledwie pierwszy krok w dziele naprawy ludzkiej natury.

Narzędzia psychologicznego pobudzania inicjatywy wymyślili Japończycy, kiedy postanowili gonić Amerykę. Amerykanie je odwzorowali, kiedy ich zadziwiło japońskie tempo wzrostu wydajności. Na Żerań psychologiczne narzędzia przybyły z Korei.

Zaczęto od szkolenia. Półtora tysiąca pracowników Daewoo-FSO przeszło przez praktyki w koreańskich fabrykach, głównie w mieście Kunsan. Z instrukcji w przewodniku dla praktykantów z Polski wynika, jak pragnęliby nas odmienić. Na temat czystości jest wiele przykazań: sprzątać pokój w internacie, ubierać się schludnie, upewnić się, czy muszla klozetowa została dokładnie spłukana, niedopałki rzucać do popielniczki itp. Na temat dyscypliny: na stanowisku pracy należy się stawić dwadzieścia minut przed czasem, bez zezwolenia nie wolno stanowiska opuszczać, nie wolno działać ani wydawać własnych opinii bez pozwolenia lidera.

Picie i wnoszenie alkoholu na teren zakładu jest zabronione pod groźbą deportacji do kraju.

Czesław Mikusek przez pół roku pilotował grupy praktykantów i mówi, że opinia o nich była dwojaka: przy taśmie montażowej nadążali, w czasie wolnym się narażali.

Alkohol tam tani, w małych buteleczkach, a nasi mieli chandrę, więc wypijali dużo buteleczek. Kiedyś skończyło się tragicznie. Jeden z naszych wyszedł po pijaku na parapet wieżowca. Innym razem dla draki nauczyli kelnerkę w barze jednego zdania po polsku. Akurat przyjechał z kraju ktoś

ważny, dziewczyna, pięknie się kłaniając, pobiegła do gości i wyrecytowała: „Uciekajcie, bo wam przyp...".

– Oni są tacy układni, chcieliśmy ich zarazić odrobiną szaleństwa – tłumaczył autor dowcipu.

Szkolenia przechodzi też załoga na miejscu. Wszyscy się powinni szkolić, a najbardziej kadra kierownicza. Od mistrzów poczynając, przynajmniej raz w roku każdy ma się oderwać od warsztatu pracy, spokojnie przestudiować książeczkę pod tytułem *Postarajmy się lepiej zrozumieć system produkcji Daewoo-FSO*, obejrzeć filmy o dobrych i złych szefach. Jeden szef jest, powiedzmy, autokratą i nic nie osiąga, drugi ma podejście do ludzi i osiąga dużo.

– Dzielimy słuchaczy na zespoły, każdy w zespole może się wypowiedzieć, jakie cechy powinien mieć przełożony – opowiada Dariusz Radzikowski, szef wydziału realizacji szkoleń. Chodzi o to, żeby przestawić myślenie człowieka na inne tory.

Reflektor na lewą stronę

Przestawieniu na inne tory służy wiele innych narzędzi z koreańskiego arsenału.

Dyrektor Motelski opowiadał mi, że po wprowadzeniu programu „Sto dni dla jakości", liczba punktów karnych w polonezie zmalała czterokrotnie. A dzięki „szkołom innowacji" zatrudnienie na linii poloneza spadło o czterdzieści osób i produkcja wzrosła o dwadzieścia sztuk na dniówkę.

Szkolenia z innowacji objęły całą załogę. Pracownicy dobierali się w zespoły. Zespół składał się z pracowników umysłowych i fizycznych. Wybierali sobie odcinek do usprawnienia, powiedzmy fragment linii produkcyjnej. To nic, że urzędnik nie pracował bezpośrednio na tej linii, czasem to było nawet lepiej, bo umiał spojrzeć świeżym okiem. Ktoś na przykład zgłosił pomysł, żeby linię lepiej oznakować. Ktoś inny, żeby ją pomalować na nowo. Reflektor przy montażu jest podawany z prawej strony, a byłoby lepiej podawać go z lewej. Po jakimś czasie zespół robił prezentację: ile części zaoszczędzili, jak zmniejszyło się zatrudnienie, o ile skrócono czas operacji. Nagrodą było uściśnięcie dłoni.

– Czy dawniej nie można było tego reflektora przenieść na lewą stronę?

– Nie było jakoś bodźca, który zmusza do myślenia.

– Ludzie pamiętają jeszcze akcje racjonalizatorskie, czy nie pokpiwali sobie z tych pomysłów?

– Najpierw pytali, po co się wygłupiać itp. Ale kiedy zobaczyli, jak odcinek usprawniony różni się od nieusprawnionego, też chcieli mieć czyściej, porządniej.

Dariusz Wall, szef lakierni, uważa, że wielu ludzi ucieszył nawet fakt, że kapitalistyczny właściciel liczy na ich pomysły.

Po szkołach innowacji przyszły linie modelowe. Jest ich wiele, w każdej bierze udział dwudziestu, trzydziestu fachowców, którzy mają rozwiązać zadanie wyznaczone przez kierownictwo.

Tadeusz Rudnowski, dyrektor tłoczni i spawalni, opowiada, jak na przykład wykonali zadanie skrócenia czasu przy wymianie tłoczników. Tłoczniki to potężne elementy prasy do tłoczenia karoserii, trzeba je wymieniać co dwa, trzy dni. Usunęli z hali kilkadziesiąt mało przydatnych maszyn, dzięki czemu zrobiło się miejsce dla tłoczników, które można wcześniej ustawić w pobliżu.

Operacja przezbrojenia dawniej trwała pół dnia, skróciła się dzięki temu do trzydziestu minut.

Kadra kierownicza wszystkich szczebli nosi bladozielone bluzy firmowe, a na nich emblematy z literkami NKS: Nowa Koncepcja Samochodowa. Na ścianach wydziałów wiszą tablice NKS, w poniedziałki są narady NKS – każdy mówi, co mu przeszkadza w pracy, program szkoleniowy też jest NKS.

– A tablic przodowników pracy i wykresów przekraczania normy nie ma?

– Owszem, Koreańczycy chcieli wieszać portrety. Wytłumaczyliśmy, że to się źle kojarzy i twarze zaraz będą miały wykłute oczy – mówi dyrektor Motelski. – Odradziliśmy też, aby zaczynać dzień od gimnastyki. To u nas by się nie przyjęło.

Polonez ustawiony na oko

„Zrób dobrze za pierwszym razem" – wita nas hala nadwozi.

Czy była taka dyrekcja w FSO, która nie apelowała, żeby produkować bez braków? Jakość zawsze była w centrum uwagi partii i rządu. Organizowano kółka jakości, kluby racjonalizatorów, konkursy mistrzów w zawodzie. Były nagrody dla tych, co nie wypuszczali braków, i najlepsze miejsca na trybunie pierwszomajowej dla tych, co byli ofiarni.

Mimo to w FSO dwadzieścia tysięcy ludzi robiło sto tysięcy samochodów. W najlepszym roku – 1976: 122 790 sztuk. Sześć samochodów na zatrudnionego, podczas kiedy na Zachodzie produkowano już dziesięć razy więcej.

A jakość? W roku 1982 Fiat odmówił dalszego firmowania swoją nazwą modelu 125p – liczba usterek za bardzo kompromitowała firmę. Prawda, że stare tłoczniki nie chciały już kroić drzwi, które by pasowały do nadwozia, prawda, że z marnej stali robiono marne odlewy, ale i tak komisje badania jakości stwierdzały, że główną winę trzeba przypisać byle jakiej pracy.

– Pamiętam, że kiedy w końcu lat siedemdziesiątych przyszedłem tu po technikum, pierwszego dnia kazali mi ustawiać diagnostykę w polonezie. W dodatku „na oko", bo akurat urządzenie elektroniczne wysiadło – wspomina Franciszek Piotrowski, obecnie z komisji Solidarności.

Leonard Brzechowski był wtedy głównym dyspozytorem. Przy całej swojej miłości do starej firmy przyznaje, że pracowało się źle.

– Ludzi brakowało, więc dowożono nam do pomocy wojsko i więźniów. To się odbijało na jakości.

Póki nie wkroczył przymus konkurencji, żaden pomysł ratowania jakości produkcji nie chciał działać.

– Mamy nadzieję – powiedział mi dyrektor Lee – że nasze inicjatywy są inaczej odbierane niż te z okresu komunizmu.

Sto ciężarówek ze śmieciami

W kapitalizm FSO weszła z podobnym bólem głowy jak inne państwowe kolosy.

– Dopiero co ludzie zabijali się o asygnatę, a teraz stoi wszystko na placu i rdzewieje. Polacy masowo ściągali samochody z Zachodu. To nic, że głównie używane, za to znanych firm i tańsze niż fiaty czy polonezy o wątpliwej reputacji.

Długi fabryki rosły, Urząd Antymonopolowy zakazał podnosić ceny, wniosek o przekształcenie w spółkę odrzucono. Fabryka czuła się podle. W roku 1991 wybierano na dyrektora Andrzeja Tyszkiewicza, który zarządził wielką pierestrojkę. Na początek zadał kolegom lekturę obowiązkową – książkę Lee Iacocci, amerykańskiego menedżera, który uratował koncern Chryslera.

Potem – sto ciężarówek wywozi z fabryki śmieci, zmieniają organizację przedsiębiorstwa. Czterysta osób szkolą w USA, przyjmują filozofię TQM (*Total Quality Management*) i wraz z nią hasło: „Radykalnie zmieniamy sposób myślenia o jakości. Człowieku, dołącz do nas".

W polonezie poprawiają silnik, rozstaw kół, siedzenia, układ hamulcowy, kierowniczy, elektryczny, odporność na korozję. W roku 1994 polonez jest najczęściej kupowanym w Polsce nowym autem, fabryka zaczyna mieć zysk. Można stawiać warunki w rokowaniach z zagranicznymi partnerami.

W roku 1993 zawiązuje się spółka z General Motors. Zajmuje jedną halę na południowym skraju fabryki i zaczyna montować opla astrę. Ale GM nie ma ochoty przejmować FSO z dobrodziejstwem inwentarza.

– Chcieli tu zrobić tylko montownię, zostawić sześć tysięcy ludzi, a o pozostałych kilkanaście tysięcy niech rząd się zatroszczy – wspomina dyrektor

Maciej Motelski. – Szczęśliwie zainteresowało się już nami Daewoo i mogliśmy tę ofertę z radością odrzucić.

Jak FSO się żeniła

Daewoo było siedemnastym z kolei starającym się w historii FSO. Ze swatów przeważnie nic nie wychodziło, a i teraz niewiele brakowało, by konkurent nie doszedł do ołtarza.

Koreańczycy jako pierwsi decydowali się objąć programem naprawy całą fabrykę, razem z trzynastoma oddziałami w terenie, nawet z pegeerami, które kiedyś dostarczały wieprzowinę do stołówki. Inwestycje w Warszawie i Lublinie opiewały w sumie na prawie dwa miliardy dolarów. Montaż koreańskich modeli na początek, a z czasem masowa produkcja nowych samochodów, czyli nieziszczone do tej pory marzenie. Ponadto piętnaście procent darmowych akcji dla załogi i zawarcie paktu socjalnego ze związkami zawodowymi, tym samym powstrzymanie się od zwolnień przez trzy lata.

– To były trudne rozmowy – mówi Janusz Woźniak, wiceprezes spółki Daewoo-FSO, negocjator kontraktu w ówczesnym Ministerstwie Prywatyzacji. – Zatrudnienie rozdęte, układ zbiorowy korzystny dla załogi jak mało gdzie, to wszystko Daewoo miało przełknąć. Za wcześnie na szczegóły, być może kiedyś napisze się o tych rozmowach książkę.

Przed samym podpisaniem umowy rada pracownicza wystąpiła z innym pomysłem: załoga weźmie fabrykę w leasing. Mieli władzę, a po sprzedaniu fabryki obcym automatycznie ją tracili. Kto to lubi? Kilkuosobowe prezydium otrzymywało pensje dyrektorskie bez dyrektorskiej odpowiedzialności.

Z dyrektorem Tyszkiewiczem wojowali. Stawiali go przed frontem ludzi i pytali: jest pan z nami, czyli za uwłaszczeniem załogi, czy przeciw nam?

Ludzie nie palili się zbytnio do uwłaszczania. Po długiej agitacji niespełna połowa z dwudziestopięciotysięcznej załogi kupiła po jednej akcji za dziesięć złotych. Ale spółka powstała. Rada pracownicza wystąpiła o wyłączenie z majątku FSO niektórych obiektów i przyłączenia ich do tej spółki. Mieli szansę uwłaszczyć się na tyle, że nawet gdyby fabryka zbankrutowała, spółka by żyła.

Leasing to forma prywatyzacji przewidziana dla małych przedsiębiorstw. Księgowa wartość FSO opiewała na sto milionów dolarów. Żeby fabrykę przejąć, każdy pracownik musiałby wpłacić około tysiąca dolarów, a przeciętna płaca wynosiła tu dziewięćset złotych. A gdzie miliard dolarów, niezbędny, by FSO poradziła sobie z konkurencją? Czysta fikcja, mimo to rada pracownicza do ostatniej chwili nie traciła nadziei, że Koreańczycy się zniechęcą.

Był wrzesień 1995 roku. Wciąż upierali się przy leasingu, a Daewoo postawiło warunki – do końca października kontrakt musi być podpisany, bo ich rząd szykuje przepisy ograniczające wypływ kapitału za granicę.

O tym, jakich wybiegów użyto w ministerstwie, żeby jednak do umowy doszło, będzie może w książce, o której mówi prezes Janusz Woźniak.

Szatnia z wodotryskiem

Przerwa na lunch. W stołówce dwie kolejki do bufetu z tacami. W jednej głównie Koreańczycy, w drugiej Polacy. W pierwszej obiad koreański za dziesięć złotych. Gotuje pan Kim, był kucharzem w hotelu Hilton w Seulu. W drugiej polski obiad za siedem pięćdziesiąt.

Biorę koreański. Na przystawkę jest kim chi – liście kapusty w ostrej zalewie, potem dwie inne sałatki, zupa podobna do rosołu, mięso w sosie, ryż i owoce.

Stołówka jest właściwie restauracją. Prowadzi ją samodzielna spółka Baccar. Fabryka nie dopłaca do obiadów, każdy z ulicy może tu jeść. Sprzedają dziennie około stu pięćdziesięciu obiadów koreańskich i około dwustu polskich. Ponadto fabryka kupuje od nich trzy tysiące posiłków regeneracyjnych, zupa z mięsem i pieczywem, przysługująca za darmo pracownikom na określonych stanowiskach.

Spółka prowadzi też bufety na wydziałach. Tam jada więcej pracowników niż w restauracji, ale koreańskich dań się nie prowadzi.

– Bufety zaopatrujemy według gustów klientów – mówi szefowa spółki Ilona Szemik. – W jednych najlepiej schodzą antrykoty i bitki, gdzie indziej gołąbki i pierogi. Dużo idzie nabiału i sałatek.

Parę lat temu dawna stołówka zakładowa przeszła modernizację.

„Widać przepych na każdym kroku i czystość – opisywała gazeta Daewoo-FSO »Kalejdoskop«. – Obok centralnej szatni zadziwia wyszukaną formą wodotrysk. Szemrząca woda spływa kaskadą na tęczowe, przemyślnie ułożone muszle i kamienie".

Trzydzieści lat temu w „Polityce" pisano o stołówce FSO inaczej: „Nie ma obrusów, stoły brudne, talerze obtłuczone, podłoga naniesiona błotem. Brak magazynu na resztki, więc rozchodzą się przykre zapachy. Na półtora miesiąca raz była karkówka i raz żeberka".

Zarządzanie z ludzką twarzą

– Pozwoli pani, że będziemy nagrywać tę rozmowę? – przewodniczący komisji Solidarności, też Woźniak, ale Jerzy, mówi, że w razie czego wolą być kryci.

Jest szefem w związku od dziesięciu lat. W walce między radą pracowniczą a Tyszkiewiczem popierał tego ostatniego.

– Wiedzieliśmy, że przeżyjemy, tylko jeśli przyjdzie tu kapitał. Żeby była jasność – mówi – nie żałujemy, że wszedł koreański pracodawca. Technologia posunęła się o całą epokę, cieszy nas, że robimy dobre samochody. Podejście do pracy się zmieniło, a trzeba przyznać, że zachowania pewnych ludzi były nie do przyjęcia. Podłoga na halach dawniej kleiła się do butów z brudu. Nam chodzi tylko o jedno, żeby do tych pięknych samochodów doszło zarządzanie z ludzką twarzą.

Za dyrektora Tyszkiewicza mieli szansę obejrzeć zagraniczne koncerny. Uważają, że u Opla czy Forda jest inne podejście do pracy. Tam stosuje się inną filozofię, dopuszczają załogę do rządzenia.

Tylko że Opel nie chciał kupić ich fabryki z całą, liczną załogą, a Daewoo kupiło. Trzy lata temu byli szczęśliwi z tego powodu. Teraz uważają, że jeśli Koreańczycy weszli do kraju z tradycjami związkowymi, powinni piękne związkowe tradycje uszanować. Zresztą są pewni, że firma robiłaby jeszcze lepsze samochody, gdyby zarząd spółki bardziej liczył się z ich zdaniem.

– Słychać, że pracodawca szykuje jakieś listy na wydziałach, a my nie wiemy, czy chodzi o poprawę organizacji pracy, czy o zwolnienia. Bez naszej zgody wprowadzono obowiązkową przerwę na obiad, zmieniono wzór formularza dla przyjmowanych do pracy, nie uzgodniono zmian w premiach mistrzowskich. Tu jest zero demokracji.

– To prawda, że za poprzedniej dyrekcji wszystko się ze związkami zawodowymi uzgadniało – przyznaje prezes Janusz Woźniak. – Teraz jest inny styl zarządzania, rozumiem więc frustrację działaczy: stracili dawną pozycję.

Nie chodzi o pozycję materialną. W fabryce są cztery związki zawodowe, razem dwudziestu paru działaczy na etatach. Służbowe samochody, lokale, telefony komórkowe. Rocznie utrzymanie związków zawodowych kosztuje firmę pięć milionów złotych.

– Ale nie te pieniądze są ważne – mówi pospiesznie prezes. – Ważne, żebyśmy się dogadywali.

Uważa zresztą, że się dogadują.

– Gdybyśmy się nie dogadywali, czy dałoby się przeżyć te trzy lata bez jednego strajku?

Opozycja ma głos

Można patrzeć, jak krzywa rośnie, i pocieszać się, że żale związkowców biorą się z urażonej dumy, a załoga myśli całkiem inaczej. Jeśli jednak działacze związkowi, mając dobre posady, nie siedzą cicho, to może pracownicy Daewoo-FSO nie są tak zachwyceni, jak ich przedstawia kolorowy „Kalejdoskop" wydawany przez spółkę?

W komisji Solidarności mówiono mi, że rozpisali ankietę, w której spytali załogę, czy jej oczekiwania po trzech latach się spełniły, i że dziewięćdziesiąt procent odpowiedziało: nie. Znów można się pocieszać, że to nie była właściwa próbka socjologiczna, a oczekiwania zwykle rozmijają się z rzeczywistością. Jeśli jednak działacze związkowi decydują się demonstrować niezadowolenie, mają widać w załodze jakieś oparcie.

Wpadła mi w ręce opozycyjna gazetka tutejszej Solidarności – „Monter". Nie pokazano mi jej ani w komisji zakładowej, ani w dyrekcji. Wnoszę z tego, że żadna ze stron nie chce wystawiać na pokaz radykalnej twarzy konfliktu. W gazetce mowa o „wprzęganiu ludzi w tryby machiny, która sprawia, że ludzie boją się własnego cienia". I jest relacja z wiecu. Wiec odbył się, „żeby zamanifestować sprzeciw wobec przygotowywanych planów zwolnień z pracy i stosunku Koreańczyków do związków zawodowych". Przemawiał przewodniczący Solidarności:

– Nie buduje się szacunku i prestiżu, panie Suk, panie Lee, Panie Woźniak, poprzez pozbawianie pracowników możliwości godnej pracy i lekceważenie ich demokratycznie wybranego przedstawicielstwa.

Dlaczego mnie nie kochacie?

Kiedy spytać Polaków w Daewoo-FSO, jak im się układa współżycie z partnerami, mówią: nie jest źle, ale dzielą nas różnice mentalności.

– To znaczy co?

– Może chodzi o różnice w poczuciu humoru? – zastanawiają się ostrożnie. – Niech pani uważa na słowa, łatwo się obrażają.

Czasem wzajemne urazy mają pochodzenie językowe, trudno wyczuć niuanse, kiedy się porozumiewa przez trzeci język, czyli łamany angielski.

W jednym wszyscy są zgodni – podejście do pracy i do firmy mamy różne.

Mariusz Płoński objaśnia tak:

– Dla Koreańczyków nie ma w pracy rzeczy niemożliwych. Nie powiedzą: tego nie da rady zrobić, raczej woleliby skoczyć z okna.

Na przykład Ka Ka Lee na życzenie prezesa podjął się zdobyć jakieś zdjęcia do promocji. Zdobył je, ale drukarnia nie mogła pociąć mokrych odbitek. Co by

zrobił Polak? Poczekałby do jutra. A Ka Ka Lee najpierw klął po koreańsku i walił pięściami w ścianę, a potem całą noc ciął arkusze ręcznie, przy linijce.

Zbigniew Szczepanik:

– Mówimy czasem żartem Koreańczykom, żeby oszczędzali światło i nie ślęczeli do dziesiątej wieczorem. A oni, że muszą pracować przynajmniej godzinę dłużej od Japończyków, żeby ich przegonić. W 2005 roku chcą być światową potęgą samochodową.

Dogonić i przegonić – czy to jest nasz problem? Wszyscy mnie na Żeraniu zapewniali, że podejście do pracy zmieniło się tu zasadniczo po prywatyzacji, ale przecież nadal trafiają się obiboki. Nawet w centrum rozwoju, gdzie fachowców specjalnie dobierano, niektórzy używają komputera do oglądania „panienek" w internecie. Koreańczycy to widzą, bywa, że któryś nie wytrzyma, zaczyna krzyczeć. Taki krzyk jest źle przyjmowany. Nie mówi się: „Szef mnie ochrzanił". Mówi się: „Żółtek się czepia, pewnie chce mnie zwolnić". Parę osób opuściło firmę tylko dlatego, że nie chcieli słuchać uwag od obcego.

– Koreańczycy pracę stawiają przed rodziną i przed rozrywką. Trudno sobie wyobrazić, żeby koreański robotnik za dziesięć druga odszedł od warsztatu albo co godzina wychodził na papierosa.

Tak mówił Dariusz Wall. Dwadzieścia pięć lat stażu w fabryce, od kiedy pamięcią sięga, do domu wracał wieczorami. Kadra kierownicza zawsze tu harowała. Nawet bardziej w tamtych czasach, kiedy zamiast organizacji pracy walczyło się o plan.

Chciał, żeby do FSO wszedł kapitał. Po 1990 roku poszedł zaocznie na SGH, napisał pracę magisterską *Spółka z kapitałem zagranicznym jako podstawa rozwoju FSO*.

– Bałem się takiego końca: jadę Jagiellońską, a tam, gdzie robiliśmy samochody, jest supermarket albo magazyny.

W rodzinie Wallów osiem osób pracowało w FSO, wspólnie zaliczyli prawie sto dwadzieścia lat stażu. Związani są z fabryką, ale to nie znaczy, że firmę stawiają przed rodziną czy rozrywką. Państwo Wallowie mają letni dom, uciekają tam z dziećmi w weekendy, lubią teatr. Do głowy im też nie przyjdzie, aby zwykły szacunek do przełożonego nazywać miłością.

Franciszek Piotrowski z Solidarności opowiadał, jaka konsternacja zapanowała na spotkaniu działaczy związkowych z prezesem, bo raptem ich spytał: „Dlaczego mnie nie kochacie?".

Nasi ze zdumieniem patrzą, kiedy niższy rangą Koreańczyk rezygnuje ze śniadania, ponieważ jego przełożony woli swoją godzinę przerwy spędzić w pracy.

– Każdy powinien porządnie pracować – zgadza się przewodniczący Solidarności – co nie znaczy, że zysk Daewoo-FSO ma być dla każdego z nas celem życia. Właściciele chcą zdobywać rynki świata, pracownicy mają swoje priorytety.

Trudne słowo „sprawiedliwość"

Pytam dyrektora Sun-Joo Lee, co go zaskoczyło w ciągu minionych trzech lat. Milczy chwilę, idzie po dolewkę kawy.

– Spotkały się dwa różne narody – mówi ostrożnie. – Do tego dochodzi spuścizna poprzedniego ustroju.

W związkach zawodowych słyszałam, że człowiek czuje się tu dodatkiem do produkcji, a dyrektor Lee mówi teraz, że jest mu smutno, kiedy pracownicy nie chcą być częścią swojej firmy.

Trudno się nieraz porozumieć, ostatnio na przykład na temat podwyżek. Przez trzy lata zarząd spółki godził się na system podwyżek płac sprawiedliwy ze związkowego punktu widzenia: podwyżka należy się każdemu. Chcą od tego odejść, sprawiedliwość rozumieją inaczej: słaby pracownik w ogóle nie powinien dostać podwyżki.

– Gdzie jest powiedziane, że każdemu w Polsce trzeba wyrównać inflacyjną stratę? – pyta mnie prezes Woźniak.

Negocjacje trwają. Jeśli związki zawodowe zgodzą się na kapitalistyczną sprawiedliwość, podpiszą wyrok na część załogi. Wiadomo, że kto nie dostaje podwyżki, przewidziany jest do odstrzału.

– Działacze związkowi wiedzą, że przyszłość fabryki zależy od poziomu pracujących w niej ludzi. Walcząc o każdego pracownika, mamy zarazem obowiązek pamiętać, że fabryka musi być konkurencyjna – powiedział mi Jerzy Woźniak, przewodniczący Solidarności. – Sprzeciwiają się jednak selekcji kadr przynajmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, wiedzą, jak by ich zgodę przyjęli wyborcy. Po drugie, selekcja odbywa się poza nimi.

Kiedyś przedstawiciel związku zawodowego był obecny przy ocenie pracownika, miał wpływ na premie i podwyżki. Podejście obowiązywało ludzkie: Kazika wprawdzie złapano na bramie z promilami, ale pamiętajmy, że w zeszłym miesiącu został po godzinach i gonił plan.

Ten system nie wydaje się zarządowi sprawiedliwy. Oni człowieka punktują. Punkty zbiera się za pracę, zachowanie, inicjatywę, odpowiedzi w ankietach itp. Punktowanie nie wydaje się sprawiedliwe działaczom związkowym. Człowiek może podpaść nie wiadomo za co. Na jednym wydziale kobieta straciła punkty, bo poszła na urlop macierzyński. Zresztą punktami można

manipulować. Jeśli zarząd zechce jakiś procent załogi zwolnić, powiedzą, że źle wypadli w punktowaniu.

Coś najwyraźniej szwankuje w klimacie wzajemnego zaufania.

Siedemdziesiąt samochodów na głowę

Pytam dyrektora Lee o to zaufanie.

Mariusz Płoński chce odejść z firmy między innymi dlatego, że czuje się tu inwigilowany.

– Bo jak inaczej rozumieć – mówił – że przy polskich kierownikach stawia się koreańskich koordynatorów? Taki koordynator potrafi wejść do pokoju, przejść między biurkami i wyjść drugimi drzwiami, nie zamieniając z nikim słowa.

Dyrektor Lee zapewnia mnie, że obecność paru jego rodaków w kierownictwie oraz kilkudziesięciu stałych specjalistów koreańskich na wydziałach nie świadczy o braku zaufania, tylko o potrzebie pomocy. Przedsiębiorstwo weszło na wysokie obroty, potrzebne mu jest doświadczenie, którego nie miało. Celem koncernu jest jednak, aby na Żeraniu zarządzali Polacy, i tak kiedyś będzie.

Kiedy? Są czynniki wymierne, na przykład wydajność. Przez trzy lata zwiększyła się już dwa razy, ale ciągle jest trzy razy mniejsza niż w Korei. U nich na zatrudnionego przypada siedemdziesiąt samochodów rocznie, na Żeraniu dwadzieścia. Planują, że w 2003 roku wydajność zbliży się tu do koreańskiej, produkcja wzrośnie do pół miliona samochodów rocznie i połowę tej produkcji będzie można eksportować. Wtedy koreańscy koordynatorzy przestaną być na Żeraniu potrzebni.

Są też czynniki niewymierne – do nich należą różnice w mentalności. Tu, jak w każdym małżeństwie, albo te różnice stają się nieznośne dla dalszego współżycia, albo strony potrafią swoją odmienność polubić.

Optymistyczni inaczej

Teraz pytam dyrektora Lee, czy Polaków za coś podziwia.

Pociąga łyk kawy z kubka i odpowiada:

– Podziwiam, że jesteście tacy optymistyczni.

Jak to rozumieć? Raczej lubimy przecież narzekać na los, mało kto gotów przyznać, że jest zadowolony. Panu Lee chodzi o coś innego. Owszem, ludzie nie są zadowoleni z tego, co mają, ale jednocześnie nie przejmują się tym, co będzie.

Patrzę nieco speszona na mojego rozmówcę: to ma być komplement? Znaczy, że oni, Koreańczycy, zamartwiają się, czy zdążą, czy potrafią, i na wszelki

wypadek wolą pracować po nocach. A my beztrosko sobie mówimy: „Jeszcze nigdy tak nie było, żeby jakoś tam nie było" i wolimy pójść na piwo.

Mówię coś o naszej historii. Tyle razy nas doświadczała i żeby nie oszaleć, musieliśmy się ubrać w jakiś pancerz mniej przemakalny.

– Znam waszą historię – odpowiada pan Lee. – Wiele wycierpieliście. Ale teraz macie wreszcie szansę zbudować silną Polskę. Zachód się starzeje, Wschód słabnie, to najlepszy czas.

Tylko żeby w to uwierzyć, trzeba być optymistą inaczej.

„Magazyn", dodatek do „Gazety Wyborczej",
nr 110, 13.05.1999

2000

Wojciech Jagielski (ur. 1960)

Nie współczuć, dojść do prawdy

Dlaczego nigdy nie pisze o Polsce? Czy nie znajduje tu tematów?

Znajduję, ale bałbym się je podjąć, może ze względu na swoją nadwrażliwość, a może tchórzostwo. Bałbym się, że mogę zmienić życie bohaterów. Są za blisko. [...] Jestem odważny, pisząc korespondencje z wojen, a brakuje mi odwagi, a może pychy, żeby to samo napisać o sąsiadach.

Po co jeździ na wojny?

Nie miałem nigdy poczucia, że jadę na wojnę po cokolwiek innego, niż ją opisać. [...] Wojna wybucha i ludzie chcą wiedzieć, co się stało, z czego się wzięła. Od tego mają dziennikarzy. A dziennikarz porusza się po omacku, poddawany indoktrynacji wojujących stron. Nasze współczucie jest po stronie przegrywającego, a powinniśmy się tego wyzbyć. Nie przyjechaliśmy współczuć, tylko dojść prawdy. Tutaj nie ma niewinnych i winnych. Są sami winni.

Dlaczego nie czuje się niezręcznie, rozmawiając ze zbrodniarzami wojennymi?

Jadę tam jako dziennikarz, nie jako osoba prywatna. Moją rolą nie jest potępiać, resocjalizować, namawiać do dobrego albo do spowiedzi, chociażby dlatego, że nie mogę dać rozgrzeszenia, ale zrozumieć jego pobudki, to, kim jest, jak stał się zbrodniarzem. Zawsze dziwiło mnie podejście dziennikarzy, którzy nie chcą rozmawiać z tym albo tamtym. Kto im dał prawo, żeby o tym decydować. Jako czytelnik chcę dostać obraz świata z tym zbrodniarzem, który mi zagraża.

Jak z nimi rozmawia?

Normalnie. Pytam o wiele różnych rzeczy. I czekam na okazję, kiedy z rozmówcy wyjdzie prawdziwa twarz. Wielu ludzi, którzy prowadzą wywiady, ucieka się do agresji. Zapędzają rozmówcę w kozi róg, licząc na to, że osaczony, popełni jakiś błąd. Ja tak nie potrafię. Raczej kiedy widzę w czasie rozmowy, że z kogoś wychodzi jakaś skłonność i on chce o tym opowiedzieć, to mu pozwalam. Jeśli pogalopuje w tę stronę, wiele możemy się

> o nim dowiedzieć. Dam [...] przykład rozmowy, nie mojej, którą uważam za przegapioną pod tym względem. Wszystkich fascynuje demoniczna postać Władimira Putina. Nasz redaktor naczelny robił z nim wywiad na Kremlu. Rozmawiali o wojnie, komunizmie, papieżu. Aż w którymś momencie zeszło na literaturę i Putin powiedział, że jego ulubionym rosyjskim pisarzem jest Dostojewski. Nie wiem, jak bym się zachował, będąc na miejscu Adama Michnika. Ale jako czytelnik uznałem, że trzeba było zostawić inne tematy i zadać pytanie, który z bohaterów Dostojewskiego jest jego ulubionym i dlaczego. Może by wyszło to wszystko, czego wprost nigdy by nie powiedział.

Wojciech Jagielski – absolwent Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego – w 1986 roku trafił do Polskiej Agencji Prasowej. Potem od 1991 roku pracował w „Gazecie Wyborczej", najpierw jako dziennikarz działu zagranicznego, potem – korespondent relacjonujący wojny i konflikty. Reportaże, które drukował w „Gazecie", złożyły się na książki: o Kaukazie (*Dobre miejsce do umierania*, 1994), o Czeczenii (*Wieże z kamienia*, 2004, Międzynarodowa Nagroda „Literatura z frontu" przyznawana przez miasto Cassino we Włoszech), o Afganistanie (*Modlitwa o deszcz*, 2002, nominacja do Nagrody Literackiej Nike 2003, Nagroda imienia księdza Józefa Tischnera), o dzieciach żołnierzach w Ugandzie (*Nocni wędrowcy*, 2009, finał Nagrody Literackiej Nike 2010), o RPA (*Wypalanie traw*, 2012), a także o Nelsonie Mandeli (*Trębacz z Tembisy*, 2013). Należy do najczęściej przekładanych polskich reporterów. W 2012 roku odszedł z „Gazety", został komentatorem zagranicznym PAP-u i poświęcił się pisaniu książek. Kapuściński twierdził, że pisarstwo Jagielskiego to doskonałe rozwinięcie i wzbogacenie wszystkiego, co najlepsze w polskim i europejskim reportażu. O Jagielskim mówi się, że jest jednym z niewielu dziennikarzy, których teksty nie budzą irytacji wśród fachowców zajmujących się islamem i kulturą muzułmańską.

> Unika [...] łatwych uogólnień i nadmiernej egzaltacji. Pomimo tego, że opisuje tereny ogarnięte wojnami, stara się nie epatować krwawymi scenami i nie wysuwać na plan pierwszy wątków sensacyjnych – taki sposób pisania reportaży sam przyrównuje do pornografii – pisał Bartosz Marzec.

Afryka była jego miłością, Związek Radziecki – koniecznością. Kiedy studiował nauki polityczne, wprowadzono stan wojenny i obowiązek chodzenia na wszystkie zajęcia. Wybrał wtedy indywidualny tok studiów, żeby na zajęcia nie chodzić. Trafił na afrykanistykę. Kiedy znalazł się w PAP-ie, Afryka została tam jednak zepchnięta na margines. Jedynym miejscem, którym mógł się zajmować, było południe Związku Radzieckiego.

Julianna Jonek w nieopublikowanym szkicu *Ostatni reporter* pisze, że Jagielski jest ostatnim reporterem totalnym, a *Wieże z kamienia* są tego najlepszym dowodem.

> I jest to moim zdaniem ostatnia książka, przy której praca wyglądała tak, jak pracował Kapuściński – była to właśnie praca totalna. Nikt już tak nie będzie zbierać materiału. Nie ma już takiego dziennikarstwa. Jeśli ktokolwiek mógłby być nazywany „synem Kapuścińskiego" (a to określenie pojawia się przy różnych nazwiskach polskich reporterów), to tylko on. Jagielski mógłby być z dnia na dzień wysłany do kraju, w którym się specjalizuje, i od razu byłby przygotowany do pracy, wiedziałby, co dzieje się na miejscu, dokąd powinien pójść, z kim porozmawiać, czym się zająć. Nikt po Jagielskim już tak nie pracuje, nikt już tak nie będzie pracować. Inne czasy. Żeby mieć wiedzę, jaką miał o „swoich" krajach Kapuściński czy ma Jagielski, nie wystarczy przejrzeć kilku książek, porozmawiać z kilkoma specjalistami, pogooglać, przejrzeć internet. Trzeba siedzieć w tym temacie latami, kolekcjonować depesze (obaj mieli doświadczenie agencyjne), wycinki, czytać regularnie prasę lokalną, podtrzymywać kontakty. *Wypalanie traw*, przedostania książka Wojciecha Jagielskiego, nie powstałaby, gdyby nie śledził wydarzeń w RPA przez dwadzieścia lat. Pisanie totalne – to połączenie talentu, wiedzy, doświadczenia i cholernej cierpliwości. Również o tym są *Wieże z kamienia*, bo to wyjątkowa książka o warsztacie reporterskim. Poza tym, że jest wspaniale opowiedzianą historią Czeczenii, to jest przede wszystkim opowieścią o zawodzie reportera.
>
> Z tego, co mi wiadomo, Jagielski jest pierwszym, który pisze wprost o tym, co nazywam śliskością reportażu: o trudnych relacjach reportera z bohaterem, o tym, czy dziennikarz może rościć sobie prawo do życia innych ludzi, pisze o pokusie przemienienia się z reportera i widza w bohatera i uczestnika wydarzeń, który może wpływać na ich rozwój. [...] Chociaż podobne pytania i wątpliwości towarzyszą gatunkowi od dawna, to jednak teraz, w epoce Google'a i „fact checkingu" (*sic!*), ta śliskość wymusi przekształcenie się zawodu reportera, a nawet samego gatunku. Obserwujemy to już po reakcjach, jakie wywołują współczesne teksty, na przykład kiedy zakamuflowany bohater jest w ciągu kilku minut demaskowany w internecie przez czytelników, którzy ujawniają jego nazwisko, adres, twarz.

Reportaż Wojciecha Jagielskiego z Czeczenii, który zamyka niniejszą antologię, w pierwotnej wersji ukazał się w „Magazynie", dodatku do „Gazety

Wyborczej", jeszcze w xx wieku. Do książki *Wieże z kamienia* trafił w roku 2004. Reportera zainspirowała pewna inskrypcja:

> W miejscu, gdzie droga się rozszerzała, zakręcając ostro nad przepaścią, uwagę wędrowców przyciągał olbrzymi szary głaz z wyrytym napisem: „Nie będzie bohaterem ten, kto myśli o konsekwencjach".

Napisał więc o Maschadowie – polityku sparaliżowanym wyobrażeniami o następstwach swoich poczynań, i o Basajewie, który takimi sprawami w ogóle się nie przejmował.

Wieże wyszły w Stanach Zjednoczonych w 2009 roku. „The Economist" w obszernym artykule *Krwawy zakątek* podkreślił, że Jagielski unika stereotypów, a jego zaletą jest świetna znajomość świata, o którym pisze. Podczas gdy większość dziennikarzy w Czeczenii spędza zaledwie kilka chwil, on żył tam tygodniami. Dzielił los cywilów i wślizgiwał się na organizowane pod nosem rosyjskich oddziałów potajemne spotkania z przywódcami partyzantki.

Uważamy, że nie ma lepszego zakończenia antologii reportażu niż tekst autotematyczny, który jednocześnie nie jest narcystyczny, mimo że reporter jest jednym z bohaterów. Nie jest to jednak reportaż o Jagielskim. Jest o zawodzie: o profesjonalizmie, niebezpieczeństwie, o męce i nudzie czekania, o poświęceniu.

> A przede wszystkim – dodaje Julianna Jonek – o pasji, która pcha do przodu i jednocześnie zżera od środka. O opętaniu tematem.

Wieże z kamienia

Jesień

[...] Rosyjskie wojska bez uprzedzenia przekroczyły granicę Czeczenii i powoli suną na południe, w kierunku gór, zajmując kolejne stanice, drogi, mosty i wzgórza. Mówił o tym w telewizji sam premier Rosji Władimir Putin. „To oczywiste, że nasze wojska stoją w Czeczenii. A cóż w tym dziwnego? Są przecież u siebie. Nie ma znaczenia, czy nasi żołnierze są dziś kilometr bliżej, czy dalej. Czeczenia jest przecież częścią Rosji, nie dzielą nas żadne granice, które by trzeba przekraczać".

[...] Wielka wojna nadciągała jak ciemna burzowa chmura, a ja zdążyłem jeszcze przed pierwszymi kroplami. Przekroczyłem granicę, zanim wraz z wybuchem wojny została zamknięta na głucho.

Znalazłem się w dobrym miejscu, by wszystkiemu przyjrzeć się z bliska. Niemal na samej scenie. I w dobrym czasie – tuż-tuż przed rozpoczęciem dramatu. Miałem też przewodnika, tłumacza i opiekuna – Mansura i jego drużynę. Za ustaloną zawczasu opłatę podjęli się nie tylko strzec mnie, ale wszędzie i do każdego doprowadzić, wszystko ułatwiać, usuwać przeszkody.

[...] Zdawało się, że nic nie jest już w stanie przeszkodzić, bym stał się naocznym świadkiem historii, bym sam jej doświadczył, zamiast poznawać ją jedynie z cudzych relacji. A przez to moje świadectwo i moja opowieść będą prawdziwe. Prawdziwsze.

O to przecież szło. Być jak najbliżej, przekonać się, co jest za zakrętem, dotknąć samemu, sprawdzić, jak to jest naprawdę.

Nie po to, żeby coś przeżyć, z czymś się zmierzyć, ale żeby po prostu doświadczyć, wczuć się w rolę, cudzą rolę. A potem zdać z tego sprawę. Jak bowiem ukazać koszmar, samemu go nie przeżywając? A strach? Triumf? Jak opisać ślepy zaułek, jeśli nie oglądało się go nawet z daleka?

Drzwi, które ktoś pchnął gwałtownie, odbiły się od ściany z nieprzyjemnym trzaskiem. Wpadło ich do karczmy siedmiu, może ośmiu. Stanęli z lufami karabinów wycelowanymi w nasze talerze. Pojawili się tak nagle i tak niespodziewanie, że Mansur, Omar, Nuruddin i Musa nie zdążyli nawet sięgnąć po broń.

Zamarliśmy ze strachu, ściskając w dłoniach widelce z kawałkami baraniny ze stygnącego na stole pilawu.

Ale strzały nie padły. Barczysty brodacz, niewątpliwie dowódca, ze ściągniętą napięciem twarzą wpatrywał się w Mansura, jakby gorączkowo próbował odgrzebać go we wspomnieniach. Mansur powoli podniósł się z krzesła, stali teraz naprzeciw siebie, niepewni, nieufni, wciąż gotowi strzelać i zabijać.

Zza brudnych okien dobiegał gwar śródmiejskiej ulicy. Poza nami w knajpie nie było żadnych gości, jeśli nie liczyć ubranego na czarno młodzieńca z elegancko przystrzyżoną brodą, który przysiadł się, by wypić filiżankę kawy. Wypił ją duszkiem i wyszedł z sali, rozmawiając ściszonym głosem przez krótkofalówkę. Po chwili wrócił, znów zamówił kawę, ale tym razem wypił ją powoli, delektując się jej ciepłem i aromatem.

Milczenie przerwał Mansur.

– Ty jesteś Ahmed... Ahmed Abdullajew...

Dowódca opuścił karabin i krzyknął coś po czeczeńsku do swoich żołnierzy. Przez chwilę naradzali się z Mansurem, nerwowo wyglądając na ulicę.

– Wiedzą już o tobie na mieście – rzucił przez ramię Mansur. – Ahmed służy w gwardii prezydenckiej. Podsłuchali przez krótkofalówkę, jak o tobie mówili: że siedzisz w karczmie i że masz tylko kilku ludzi ochrony – powiedział Mansur. – Ahmed widział, jak wychodzisz od prezydenta, więc przybiegł, żeby cię ostrzec.

– Zabieramy się stąd! W tym kraju cudzoziemcy warci są niezłe pieniądze. Wasze życie się ceni, nasze nie ma już żadnej wartości.

Tego dnia przy kolacji Mansur zdecydowanym głosem oświadczył, że jeśli ma strzec mojego bezpieczeństwa, muszę zapłacić mu za to więcej. Dużo więcej.

– Albo jeszcze dziś odwiozę cię na granicę i do widzenia – zakomunikował Mansur, a siedzący z nami przy stole Musa i Omar, jakby zażenowani, odwrócili głowy. – Jeśli chcesz zostać, płać.

– Przecież ci płacę.

– Musisz zapłacić więcej.

– Co znaczy więcej?

– Więcej znaczy więcej.

Spodziewałem się tej rozmowy. Prędzej czy później zazwyczaj do niej dochodziło. Umowy dotyczące badawczych wypraw w świat koszmaru podlegają renegocjacjom. Zawierane po jednej stronie granicy, stają się nieaktualne, są też dowolnie zmieniane po tej drugiej, ciemnej. Wpisuje się to nawet w scenariusz wyprawy, jest jednym z obowiązkowych punktów programu, jedną z jego atrakcji.

Po mojej stronie ja dyktowałem warunki, stawiałem żądania, kręciłem nosem, sporządzałem listy życzeń, a od ich spełnienia uzależniałem zapłatę. Bezpiecznie przeprowadzony na drugą stronę, byłem zdany tylko na moich wynajętych opiekunów i przewodników, na ich przyzwoitość.

W naszych relacjach zawsze coś zgrzytało, zawsze coś uwierało, jakieś niezrozumienie, niedopowiedzenie, pretensje, wygórowane oczekiwania.

Mogłoby się wydawać, że samo ryzyko i trudy podróży do kraju zagrożonego najazdem potężniejszego wroga i wojną powinny być okolicznością zwalniającą z wszelkich dodatkowych opłat. Jako dobrowolni i wiarygodni świadkowie i kronikarze dokonujących się niesprawiedliwości my, dziennikarze, powinniśmy być gośćmi mile widzianymi, o których należy zabiegać. Oczywiście byliśmy gotowi płacić za jedzenie, dach nad głową, za wynajęty samochód i benzynę, za straż przyboczną, kierowcę, przewodników, tłumaczy. Oni jednak dodawali do tego jeszcze jedną dodatkową i najwyższą opłatę – za możliwość oglądania koszmaru i obcowania z makabrą. [...]

Spotkanie z Szamilem Basajewem przekładano z dnia na dzień. Już, już było umówione, był wyznaczony czas i miejsce. I za każdym razem gdy zbieraliśmy się w drogę, ktoś łomotał pięścią w żeliwną bramę Mansurowego obejścia, Mansur wychodził na piaszczystą drogę, rozmawiał chwilę z nieznajomym, po czym wracał, rozkładając ręce w przepraszającym geście niemocy.

Bałem się, że Basajew wyjedzie z miasta, zaszyje się gdzieś w górach, a tam go nie odnajdę, o nic nie zapytam. Ilekroć przejeżdżaliśmy przez miasto, prosiłem Mansura, byśmy sprawdzili, czy się nie wyprowadził, i przynajmniej zajrzeli na ulicę, przy której mieszkał Szamil. [...]

Mansur, który od początku krzywił się na przejażdżki wokół domu Szamila, w końcu odmówił wprost. Orzekł, że lepiej będzie, jeśli się tam nie będziemy kręcili bez potrzeby.

– Sam przyśle po ciebie, jak przyjdzie czas – powiedział.

[...] Szamil Basajew kazał mi przyjść w porze obiadu. Już od ulicy jego dom z czerwonej cegły przypominał bojową twierdzę. I był nią w istocie. Za głowę Szamila rosyjscy generałowie obiecywali milion dolarów nagrody. Potem podnosili tę sumę wielokrotnie.

Ogromne podwórze zastawione było terenowymi toyotami, wojskowymi dżipami, kuchniami polowymi. Pod murem, ułożone w sterty, leżały moździerze.

Wszędzie kręcili się brodaci partyzanci w wojskowych drelichach. Większość z nich uczestniczyła w wyprawie wojennej Szamila na Dagestan. Łatwo

można ich było rozpoznać. Wydawali się dorośleisi. Zdradzały to ich twarze, dziwnie spokojne, jakby trochę nieobecne, i gesty, powolniejsze, dostojne. Bardziej też trzymali się razem, związani braterstwem niedawnych doświadczeń, bliskością śmierci i strachu, a także świadomością, jak bardzo odróżnia ich to od kolegów. Mniej mówili, ciszej się śmiali, pytania o niedawną wojnę w Dagestanie zbywali żartami, nie potrafiąc słowami oddać tego, co przeżyli.

Szamil kazał kucharzom nakarmić nas pilawem i gotowaną, łykowatą wołowiną z polowej kuchni, świeżym chlebem i cebulą. Dopiero po posiłku jego adiutanci zaprowadzili nas wąskimi schodami na piętro.

Był niewysoki, ale mocno zbudowany, dziarski. Ubrany w polowy mundur, przywitał nas szybkim, mocnym uściskiem dłoni i usadowił się z podwiniętymi nogami na kanapie. Na lewym ramieniu miał pagon z muzułmańskim wyznaniem wiary: „Nie ma Boga nad Allaha, a Mahomet jest jego Prorokiem".

Odkąd przystał do muzułmańskich rewolucjonistów, zgodnie z ich modą nie golił już brody, która teraz, długa i czarna, spadała mu aż na piersi. Znalazł też rozwiązanie dla przedwczesnej łysiny – golił czaszkę, również zgodnie z rewolucyjnymi kanonami. Odnosiłem wrażenie, że ten nowy wizerunek szalenie mu się podobał.

– Jestem Szamil Basajew, osiemnastokrotnie zabity – rzucił na powitanie. [...]

Musa długo wpatrywał się przez lornetkę w porośnięty leszczynowymi zagajnikami brzeg po drugiej stronie rzeki. W milczeniu dał ręką znak Mansurowi, który podczołgał się na skraj okopu z bazooką. Musa palcem wskazał cel. Między drzewami pobłyskiwały w słońcu zgniłozielone pancerze czołgów, a może pancernych wozów. Mansur wystrzelił rakietę; wypluwając za sobą ogień, pofrunęła za rzekę. Nie zdążył załadować drugiego pocisku. Nie zdążył nawet sprawdzić, czy pierwszy trafił w cel. Na nasze pozycje spadł grad moździerzowych granatów. Wybuchały na stepowej równinie, ciskając w nas żelaznymi odłamkami, kamieniami i ziemią.

Trzy, przerwa, znów trzy i znów krótka przerwa. Za krótka, żeby wyskoczyć z okopu i przebiec te kilkaset metrów równej jak stół łąki, która dzieliła nas od zarośli przy drodze. Tam ukryliśmy o brzasku terenowy samochód. Wtedy, o świcie, gdy przekradaliśmy się nad rzekę, dróżka przez łąkę wydawała nam się bezpieczna.

I znów nowa salwa. Pociski wybuchały coraz bliżej i bliżej. Rosyjscy kanonierzy najwyraźniej wstrzeliwali się w cel. Trzy, przerwa, trzy, przerwa.

Pozostało nam tylko liczyć i mieć nadzieję, że żaden z granatów nie trafi prosto w okop, jamę wykopaną w nadrzecznym piachu. Metr na półtora, głęboka najwyżej na metr. Na tym wzniesieniu nad Terekiem było ich kilka. W każdej po trzech, czterech partyzantów z karabinami.

I znów granaty. Trzy, przerwa, trzy, przerwa. Na trzy można było nieco się wyprostować w okopie. Nowy wystrzał zza rzeki i wzmagający się świst wbijał nas w wilgotny piach, kuliliśmy się, chowając pod cudze ramiona i plecy, byle jak najdalej od odłamków.

Nie wiedziałem, co dzieje się z Musą i Mansurem w sąsiednim okopie, zaledwie kilka metrów przede mną. Wołaliśmy do siebie, ale nie słyszeliśmy nawet swoich głosów.

Słońce stało już wysoko, dochodziło południe.

Nagle usłyszałem nad sobą warkot samolotu. Był to mały samolocik zwiadowczy. Przelatywał nad okopami, zaglądając bezczelnie do środka i szydząc z czeczeńskich karabinów. Okopy milczały. Każdy strzał ściągnąłby ogień moździerzy.

Straż nad Terekiem polegała na biernym przetrzymywaniu artyleryjskich ostrzałów, z których każdy mógł się okazać dla obrońców ostatni. Gdyby Rosjanie próbowali przeprawiać się przez rzekę, Mansur z towarzyszami mogliby po prostu walczyć. A tak kulili się tylko w okopach przed niewidzialnym wrogiem.

Moździerzowa kanonada nagle umilkła. Może zwiadowczy samolocik uspokoił rosyjskich kanonierów za rzeką, którzy uznali, że nie warto marnować pocisków na garstkę partyzantów.

Musa z karabinem w dłoniach wypełzł na skraj okopu i skierował lufę w zarośla za rzeką. Po chwili odwrócił się i machnął ręką.

– Teraz!

Po dwóch co kilkanaście sekund wyskakiwaliśmy z okopu i chyłkiem, co tchu w piersiach, potykając się o kamienie i plącząc się w wysokiej trawie, biegliśmy przez łąkę ku zbawczym drzewom.

– Ot, tak z nami wojują, teraz już wiesz – wysapał Musa, spluwając kurzem i spoglądając przez leszczyny na linię okopów. – A mnie zaraz znowu każą tam wracać.

W oddali palił się zbiornik ropy naftowej, rosyjskie samoloty bombardowały nadtereckie wzgórza pod Dolińskim, a pasterze z Tołstoj-jurtu wypędzali na łąki swoje stada.

[...] Czasami odnosiłem wrażenie, że jestem jednym z nich, że z widza staję się uczestnikiem dramatu. Wszystkiego dowiadywałem się z pierwszej

ręki, od głównych bohaterów, rozmawiałem z nimi, wszędzie mogłem być, zobaczyć na własne oczy.

Byłem świadkiem przedstawienia, które rozgrywało się tuż-tuż, tak blisko, że z łatwością mogłem w nim uczestniczyć i rezygnować z udziału, zachowując nad wszystkim kontrolę. Jego realizm i bliskość stwarzały dodatkowo ułudę, że przeistaczając się wiele razy z widza w bohatera, mógłbym wpływać na dalsze wydarzenia, zmieniać ich bieg.

Ta bliskość odurzała jak opary haszyszu, zakłócała prawdziwy obraz, rodziła przekonanie, że jest się świadkiem – uczestnikiem czegoś naprawdę najważniejszego na świecie. To zaś umacniało poczucie własnej wyjątkowości. W głowie się nie mieściło, że poza nami i naszym przedstawieniem mogło jeszcze cokolwiek istnieć, cokolwiek się liczyć, przyciągać uwagę. Dlatego tak trudne bywają powroty do rzeczywistości, odkrywanie, że dramaty i wyjątkowe zdarzenia, które widzieliśmy, tak naprawdę nie zasługiwały czasem nawet na krótką wzmiankę, że nikt sobie nimi nie zaprzątał głowy. Ani nami.

Powroty oznaczały też bolesne przypomnienie, że choć może zbliżyłem się do tej ostatniej, niewidocznej, ale doskonale wyczuwalnej granicy, to jednak jej nie przekroczyłem, nie zobaczyłem, nie przekonałem się, jak to jest po drugiej stronie. Nie sprawdziłem, na ile wysłuchane opowieści i sporządzone szkice odpowiadają prawdzie. Ani choćby, czy warto, czy powinno się to sprawdzać. [...]

Wiosna

[...] Moje życie w podziemiu zaczęło się jeszcze w inguskim mieście Nazrań, zaraz za czeczeńską miedzą. Tam w umówionym miejscu czekał na mnie przewodnik, okazał się nim właśnie Isa. Przedstawił się jako człowiek, który może jeśli nie wszystko, to wiele. Obiecał nie tylko przerzucić mnie przez granicę, ale doprowadzić do ukrywających się gdzieś w górach Asłana Maschadowa lub Szamila Basajewa.

[...] Wszelkie wieści, jakie miały nadejść dla mnie z gór, musiały pojawić się przed zmierzchem. Posłańcy nie podróżowali nocami, bezpieczniej było kryć się wśród tysięcy wędrowców, którzy przemierzali kraj za dnia. Trzeba więc było czekać do rana. Przy obiedzie wszystko miało już być wiadome. Obiad rozstrzygał o wszystkim.

Wiadomości dla mnie wciąż nie było. Po obiedzie następował więc czas rozczarowania i nieznośnej bezsilności, który trwał aż do kolacji, wyznaczającej porę spoczynku i wyłączenia myśli. Rankiem cykl się powtarzał:

śniadanie – nadzieja, obiad – oczekiwanie i rozczarowanie, kolacja – odliczanie kolejnego dnia i odbudowywanie wiary.

Monotonia i początkowe niepowodzenia nie były nazbyt dokuczliwe, bo zadośćuczynieniem była wszak świadomość życia po drugiej stronie.

A więc byłem w samym środku! Dokładnie tak, jak zawsze chciałem.

[...] Zapadający zmierzch oznaczał bolesny wyrok – z gór znów nikt nie przyjechał. Kiedy robiło się ciemno, Isa zachodził do mojej izby i komunikował:

– Pora się przewietrzyć.

Trzymał w ręku skórzaną kurtkę Asłana i swój zielony „fez", niewielką stożkowatą czapeczkę, które miały ze mnie zrobić Czeczena. Już pierwszego dnia zabronił mi się golić. Kupił też na bazarze białe sportowe buty i workowate, za duże spodnie, musiałem je ściskać paskiem, by nie spadały. Isa nie tylko postanowił mnie przebrać, ale znalazł dla mnie czeczeński paszport (tak na wszelki wypadek – podkreślał) i przezwał Wahidem.

W ten sposób zwracał się do mnie, ilekroć wychodziliśmy z domu. Nauczył mnie także kilku czeczeńskich słów, abym mógł zbywać natrętów. Tubylcy istotnie zagadywali mnie w swojej mowie, a na moje burknięcia reagowali tak, jak się tego spodziewał Isa. Isa w ogóle był ogromnie zadowolony ze stworzonej przez siebie postaci, przechwalał się własnym dziełem przed zaufanymi znajomymi.

[...] Pewnego razu poznałem nad rzeką Sulejmana, partyzanta z oddziału Szamila Basajewa, czeczeńskiego sfinksa, nieodgadnionego, uwielbianego i przeklinanego zarazem.

[...] Zżerała mnie niecierpliwość. Chciałem wypytać Sulejmana o sto spraw, nie mogłem znieść, że ucinając sobie zdawkową pogawędkę, Isa kradnie mi tak cenny czas, a nie miałem go wszak wiele. Jako żołnierz Basajewa Sulejman wydawał mi się nieocenionym źródłem prawdziwych wieści o komendancie, którego los obrósł już tyloma legendami, że czynił go postacią prawie nierzeczywistą. [...]

W drodze powrotnej milczeliśmy zagniewani. Ja na Isę, że przerwał spotkanie z Sulejmanem, Isa na mnie, że usiłowałem coś robić na własną rękę, bez jego pomocy i przyzwolenia.

Dojeżdżaliśmy już do wsi, kiedy powiedział, że postara się, żebym znów mógł się zobaczyć z Sulejmanem i spokojnie z nim porozmawiać. Ale w wiosce, z dala od ludzkich oczu i uszu, nikogo nie wystawiając na niebezpieczeństwo.

– U siebie możesz robić, co chcesz, ale tu jest inaczej. Tu, jeśli chcesz do czegokolwiek dojść, musisz postępować po naszemu. Rozumiesz? – rzucił

ze złością, jak nauczyciel, który przekonuje się, że jego uczeń tak naprawdę niczego się nie nauczył, niczego nie umie.

Staliśmy przed odrapanym czteropiętrowym budynkiem, który w czasie wojny stał się jego wieżą z kamienia. Był wieżą z kamienia także dla mnie, odkąd wdarłem się w życie Isy, pragnąc przekonać się, jak to jest po drugiej stronie.

[...] – Jest! Wczoraj przysłali. Gdyby ten dureń Chalid pchnął kogoś do mnie, jeszcze wczoraj byśmy ją mieli. Ale co tam! Najważniejsze, że jest.

Nie ściągając płaszcza, usiadł ciężko w zapadającym się fotelu i wyciągnął papierosa.

– Zaraz Islam przyniesie magnetofon – rzucił, wypuszczając nosem dym.

Przez chwilę kaseta przewijała się z cichym szumem. Dopiero po dłuższej chwili odezwał się głos. Spokojny, chrapliwy, z lekka pokasłujący.

– To on, na sto procent on – szepnął Isa, pochylony nisko nad magnetofonem.

Dostarczono mi pańskie pytania, na które postaram się teraz odpowiedzieć. Przykro mi, ale w obecnych okolicznościach nasze spotkanie nie jest możliwe. Nie mam prawa narażać pana, a także samego siebie. Nie jako człowieka, lecz czeczeńskiego prezydenta. Jeśli jednak chce się pan ze mną spotkać osobiście, proszę uzbroić się w cierpliwość i czekać na wiadomość. Jak tylko zmieni się sytuacja, przekażę ją panu, tak jak tę kasetę, przez posłańca i zaufanych ludzi, których poznać miał pan już okazję.

Rozczarowanie i rozterki musiały być aż nadto widoczne na mojej twarzy, bo Isa podniósł się znad magnetofonu i sapnął.

– Nie przejmuj się, on tak zawsze. Straszny z niego kunktator. Poślemy mu przez Chalida list, że się upierasz przy spotkaniu i bierzesz wszystko na siebie, co? Zgodzi się. Musi się zgodzić, jeśli jest mężczyzną. A jak nie, to się wywiem, gdzie się ukrywa, i sam cię do niego zawiozę. Z fasonem, wołgą.

Gotowi jesteśmy w każdej chwili bez żadnych warunków przerwać wojnę i przystąpić do rozmów pokojowych. Problem w tym, że Rosja tego nie chce. Rosja bawi się z nami w kotka i myszkę. W zależności od potrzeb mówi, że utrzymuje z nami kontakty, że trwa proces pokojowy, to znowu ogłasza, że wszyscy jesteśmy bandytami i terrorystami i że w ogóle nie ma o czym z nami gadać. Jakże mógłbym powiedzieć moim rodakom, że z Rosjanami nie będę rozmawiał, tylko będę się bił? Czeczeni są już zmęczeni ciągłymi wojnami, gonią ostatkiem sił. Poza tym gdybym ogłosił dziś, że nie chcę rozmawiać, zostałoby to zrozumiane w ten sposób, że to ja wywołałem wojnę i że czerpię z niej jakieś

korzyści. Tak, gotowi jesteśmy do rozmów o pokoju, bo tej wojny nie potrzebowaliśmy i nie potrzebujemy. Ale nie zamierzam o nic Rosji błagać ani prosić o łaskę. Nie potrzebujemy łaski. To Rosja, nakazując nam prosić o amnestię i przebaczenie, chce nas wszystkich zrównać ze zwyczajnymi bandziorami. A ja wierzę, że przyjdzie jeszcze taki czas, gdy o amnestię i przebaczenie będą prosić, i to prosić na kolanach, ci kremlowscy przywódcy i generałowie, którzy tę wojnę zaczęli i którzy są rzeczywistymi zbrodniarzami wojennymi. My nie uczyniliśmy nic złego, by prosić o wybaczenie.

Maschadow miał zmęczony głos, ale starał się być rzeczowy. Odpowiadał na pytania po kolei, tak jak je zapisałem. Najpierw odczytywał je na głos. Mówił: odpowiadam na pytanie pierwsze, teraz pytanie drugie...

Co będzie, jeśli Rosja nie zechce rozmów? No cóż, będzie wojna. Ale po każdej wojnie, nawet stuletniej, przychodzi czas na pokój. Wszyscy rozsądni ludzie widzą, że ta wojskowa awantura w Czeczenii może zakończyć się dla Rosji wyłącznie źle. Mówię to nie tylko jako polityk, lecz przede wszystkim jako żołnierz. Nikt jeszcze nie wygrał z partyzantami, żadne mocarstwo, żaden reżim, żadna armia. Ani w Wietnamie, ani w Algierii, ani w Afganistanie. Nie będzie też zwycięstwa nad partyzantami w Czeczenii. Tragedia polega na tym, że sam rosyjski prezydent, Putin, nie chce się do tego przyznać. Boi się, woli odsuwać kłopoty, odkładać wszystko na jutro. Jeśli jednak Rosjanie nie zgodzą się na rozmowy o pokoju, to gotowi jesteśmy się z nimi bić aż do końca.

Zasłuchany w słowa Maschadowa Isa zdawał się już nie pamiętać o odmowie spotkania. Uśmiechał się znad magnetofonu pełen uznania, jakby chciał powiedzieć: no, no, jednak ci się udało, jednak dopiąłeś swego. Nic nie rozumiał? Może starał się podnieść mnie na duchu, a może sam cieszył się na myśl, że odpadnie mu obowiązek goszczenia kłopotliwego przybysza.

Mój dzień pracy... Cóż, ukrywam się przed wrogami, tak samo jak oni ukrywają się przede mną. Myślę też, że oni boją się mnie bardziej. Nigdy nie spędzam w jednym miejscu więcej niż dwa dni. Stale jestem w drodze. Już ósmy rok nie chodzę w innych ubraniach niż polowy mundur. Przenoszę się ciągle do innych okopów, bez przerwy zmieniam schrony. Czasami nocuję w kryjówkach oddalonych dosłownie dwieście, trzysta metrów od rosyjskich posterunków, a nawet sztabów. Czasami muszę się kryć przed bombami i pociskami z dział. Mam też na terytorium Czeczenii kilka kancelarii, koordynuję z nich działalność mojego rządu. Pozostaję w kontakcie z moimi przedstawicielami, którzy przebywają za granicą. Codziennie rozmawiamy przez telefon, naradzamy się, uzgadniamy, planujemy.

Isa nie darzył Maschadowa zbyt wielkim szacunkiem ani sympatią.

– Asłan to człowiek bardzo zagubiony – powtarzał, ale bez współczucia, lecz jakby z wymówką. – Nigdy tu nie pasował. To żołnierz, a nie dżygit[1]. Przeżył życie z regulaminem w kieszeni i z ręką nawykłą do oddawania honorów.

Nie jesteśmy terrorystami. Nie musimy uciekać się do terroryzmu, by walczyć z Rosją. To właśnie ona stara się ze wszystkich sił przekonać świat, że nasza walka o prawo do życia i terroryzm to jedno i to samo. Nasza wojna zaczęła się wcześniej, zanim świat usłyszał o Usamie Ibn Ladinie. Nie zgadzam się z metodami, jakie stosuje w walce Szamil Basajew. Nie ma tu między nami zgody, ale i on nie jest żadnym towarzyszem Usamy Ibn Ladina. Basajew jest wojownikiem, kimś, kto wywiera zemstę i uważa, że zasada oko za oko jest tu najodpowiedniejsza. Nie tędy droga. Gdyby udało się zmusić Basajewa do posłuchu i wykorzystać całą tę jego energię na walkę innymi, moimi metodami, zyskalibyśmy na tym znacznie więcej. Ja się nie zgadzam na zabijanie niewinnych cywilów. Jako wojskowy nie potrafiłbym posłać żołnierza z samobójczą misją. To wbrew mojej naturze. Ale nawet szukający śmierci i pragnący zadawać śmierć straceńcy powinni przestrzegać dyscypliny, słuchać rozkazów, atakować tylko te cele, które zostaną wskazane przez dowódców. Cele wyłącznie wojskowe.

Według Isy główny problem z Maschadowem polegał na tym, że coraz mniejszy był z niego pożytek. Wciąż pozostawał niewolnikiem wszystkiego, co stanowiło o jego życiu, brakowało mu odwagi, siły, a może także wyobraźni, by to brzemię zrzucić. Nie potrafił się uwolnić od własnego cienia, bez tego zaś nie był w stanie zacząć czegokolwiek od początku.

Dowiódł już niezłomności charakteru, męstwa i heroizmu. Tyle że ludziom od tego wcale nie było lżej. Przeciwnie, z każdym tygodniem wojny i okupacji rosła liczba rozczarowanych, zagubionych, którzy pozostając wierni wybranemu przez nich samych prezydentowi, oczekiwali od niego czegoś więcej poza heroizmem. Codzienne udręki, cierpienia, fizycznie odczuwana groźba zagłady i chęć przetrwania za wszelką cenę sprawiały, że bohaterstwo przestało być wartością najwyższą.

Ludzi nie ogarnęło jeszcze niezadowolenie. Inaczej już dawno odwróciliby się od Maschadowa i jego partyzantów. Pojawiło się albo zaczynało kiełkować zwątpienie, czy leśna i miejska partyzantka, podziemie i konspiracja są aby najskuteczniejszym sposobem walki o przeżycie.

I wciąż go prześladował, jak klątwa, zły duch Basajewa. Cokolwiek by Maschadow uczynił, Szamil i tak pozostawał uosobieniem bohaterskiego, szalonego dżygita, który nie wie, co to znaczy nie walczyć, i dla którego wojna jest żywiołem.

[1] Dżygit – kaukaski jeździec, góral, czasem wojownik lub rozbójnik, świetnie panujący nad koniem. Na Kaukazie określenie kogoś mianem dżygita jest wyrazem uznania dla jego sprawności, odwagi i męskości.

Trwając w heroizmie, Maschadow zniechęcał do siebie i swojej sprawy tych, co w Szamilu, jego miłości własnej i nieodpowiedzialności widzieli przyczyny wszystkich nieszczęść. Wyrzekając się jednak heroizmu, Maschadow przekreśliłby wszystko, co osiągnął, i naraził się na najstraszniejsze z oskarżeń – oskarżenie o zdradę.

Znowu to pytanie! Czy rządzę, czy dowodzę, czy ktokolwiek mnie słucha? Dlaczego wy, dziennikarze, wciąż pytacie, czy panuję nad sytuacją? Ciężko mi odpowiadać na takie pytania. Ciężko mi tego wysłuchiwać. Proszę Allaha, żeby dał mi siłę i cierpliwość, bym dotrwał do końca tej rozmowy. To samo było podczas poprzedniej wojny, to samo teraz... Jak to się więc dzieje, że nie kontrolując niczego, ten sam Maschadow przez dwa lata stawiał opór potężnej armii rosyjskiej w czasie pierwszej wojny, a w drugiej wciąż walczy?

Uradziliśmy z Isą, że nazajutrz o świcie pojedzie do Chalida ze Starych Atagów i przekaże mu informację, iż postanowiłem zostać i czekać.

Poprzedniego wieczora, porządkując zapiski, przepisałem do zeszytu z porwanej gazety, co o Maschadowie mówił wieczny rosyjski dysydent Siergiej Kowalow:

> Maschadow jest postacią tragiczną. To człowiek bardzo rozważny, roztropny, dość ostrożny, zamknięty w sobie. Nieufność cechuje większość Czeczenów, życie ich tego nauczyło. A w dodatku w Maschadowie mocno tkwi rosyjski pułkownik, wychowany w środowisku, w którym szczerość i otwartość były zjawiskiem obcym. To pragmatyk – nie wda się w awanturę czy kłótnię, by bronić swoich racji, zanim nie weźmie pod uwagę wszystkich okoliczności. Ale do wojny domowej nie dopuścił. Maschadow to człowiek aż nazbyt odpowiedzialny. Nazbyt, bo przywódcy nie wolno być jedynie biernym niewolnikiem okoliczności i sytuacji. A Maschadow w jakiejś mierze tak się właśnie zachowywał. Nieszczęście i wina Maschadowa, jeśli w ogóle można mówić o jakiejś winie, polegają właśnie na tym, że nigdy nie zdecydował się podjąć ryzyka. Mówi się, że był słabym prezydentem, że jego władza była fikcją. Fakt, najskuteczniejszy nie był. Ale dziś, kiedy toczy się wojna, jest dla Czeczenów ważniejszy niż podczas pokoju. I chyba tylko nasi głupcy na Kremlu nie rozumieją, że Maschadow jak nikt inny nadaje się do tego, by zasiąść przy stole rokowań. Cóż, nasza władza, jak zawsze, znów wybiera rozwiązania najgorsze z możliwych.
>
> Mnie Maschadow zawsze wydawał się człowiekiem rycerskim i smutnym.

Najpierw brałem to za powagę, w jaką, co zrozumiałe, przyobleka się twarz tego, kto został wyniesiony do wysokiej godności. Olśnienie nadeszło dopiero

potem. To nie była powaga, nie zaduma, lecz spokojny smutek, właściwy człowiekowi pogodzonemu z brakiem szczęścia, czerpiącemu pocieszenie z poczucia wzorowo spełnianego obowiązku. Obowiązku, który podjął tak dawno, że pobudki, jakimi się wtedy kierował, wydają się dziś niezrozumiałe i obce. Obowiązku, który stał się tożsamy z jego życiem i pozwala myśleć tylko o konsekwencjach. Z takiej twarzy nie da się wiele wyczytać. Pozostają tylko domysły, skojarzenia. To twarz człowieka samotnego, kogoś, komu poczucie obowiązku nie pozwoli nigdy i przed nikim przyznać się do cierpienia, rozterek i zwątpień. Gdyby je miał. Bo nie wolno mu narzekać, osiągnął w życiu tak wiele. Czy można mieć wszystko? Każdy o tym marzy i wierzy, że właśnie jemu, wybranemu, wyjątkowemu, przytrafi się to, o czym wie, że jest niemożliwe.

Marzył, by zostać żołnierzem. I został nim. Prawda, nie generałem, o czym śnił i co mu się należało jak nikomu innemu. Dochował się syna, który dowiódł męstwa w czasie wojny, a potem dał mu wspaniałego wnuka. Tyle że nie może się nimi nacieszyć, bo bojąc się o ich życie, wysłał rodzinę do zamorskiej Malezji. Śmiertelna groźba zawisła nad jego bliskimi, gdy spadł na niego największy z zaszczytów – naród wybrał go sobie na przywódcę i przewodnika. Miał rządzić w czasie najcięższej próby, w czasie wojny, i uchronić swój naród przed zagładą.

Niewątpliwie los obdarzył go hojnie. Poskąpił mu jednak tego daru szaleństwa, które zwalnia z wiecznego myślenia o konsekwencjach, jest lekiem na nieszczęście, bo pozwala nie pamiętać o cierpieniu innych. Szaleństwa, które sprawia, że człowiek wstaje radosny o poranku i nie może doczekać się zmierzchu, by znów doświadczyć tej niemal zmysłowej radości budzenia się do życia ponownie, znów i znów.

Tego szaleństwa w nim nie ma. Nie potrafiłby więc żyć inaczej, nawet jeśliby pragnął tego jak niczego innego na świecie. Aby obrać inną drogę, musiałby się zaprzeć samego siebie. Czy mógłby się czuć szczęśliwy, mając jednocześnie poczucie winy, że nie spełnił obowiązku? Czy można więc mówić, że się czegoś wyrzekł? Wie, że istnieje inne szczęście, ale wie też, że jest ono najwyraźniej nie dla niego.

Jest smutny, bo zdaje sobie sprawę, że obrana przez niego droga prowadzi donikąd. Poświęcając własne szczęście, czyni ze swego życia zbędną ofiarę – nie docenią jej ci, dla których to uczynił. Nieprawda, co mówią, że nadzieja umiera ostatnia. Ostatnie, tuż po nadziei, umierają marzenia. Pozostaje tylko myśl, dlaczego życie potoczyło się tak, a nie inaczej, pozostaje dające otuchę poczucie dobrze spełnionego obowiązku, czasem rezygnacja, a czasem smutna tęsknota za czymś nieznanym.

Tak samotny nie był jeszcze chyba nigdy. Znów zapędzony do górskich ziemianek i okopów, zmuszony do ciągłej wędrówki z miejsca na miejsce, by uniknąć zasadzek czy zdrady. Znów otaczali go brodaci komendanci, jego podwładni w poprzedniej wojnie. Znów zgodzili się pójść pod jego komendę, słuchać jego rozkazów. Ale czy mógł im wierzyć, skoro zdradzili go w czasie pokoju, który okazał się czasem największej próby? Zdradę można wybaczyć, zapomnieć już raczej się nie da. A pamięć o niej nie pozwala żyć po dawnemu. [...]

– Ja już wracam – powiedziałem znad talerza.

– Dokąd? – spytał Isa, podsuwając mi miseczkę z ząbkami czosnku. – Dosyp trochę do rosołu. Zobaczysz, jaki to przysmak. Zjesz jeden talerz dziennie i nie musisz się martwić o żołądek ani o wątrobę. Dokąd wracasz?

– No, po prostu, wracam.

Dopiero teraz spojrzał na mnie, wybałuszając oczy. Nie chciało mu się wierzyć, ale chyba zaczynał rozumieć, że mówię o wyjeździe.

– Jak to? Teraz chcesz wyjechać? Przecież zaraz ktoś przyjedzie z gór, wyznaczą ci spotkanie z Maschadowem. Dzień, najwyżej dwa. O to ci przecież chodziło. Co im powiem, jak cię nie będzie?

Przy stole nikt już nie jadł. Lejla, odwrócona plecami, zmywała naczynia. Asłan i Islam wpatrywali się w białą wazę, w której stygł rosół.

– Isa, wywieź mnie na drugą stronę.

Wojciech Jagielski, *Wieże z kamienia*, wyd. 2 rozsz., Warszawa: W.A.B., 2008, fragmenty

Podziękowania

Bardzo serdecznie dziękujemy za życzliwość wszystkim autorom i ich spadkobiercom.

Za pomoc przy tworzeniu antologii, zwłaszcza w docieraniu do tekstów, informacji, autorów oraz ich spadkobierców, dziękujemy: Annie Adamskiej, Bożenie Dudko, Pawłowi Duninowi-Wąsowiczowi, Krystynie Goldbergowej, Hannie Kirchner, prof. Jerzemu Kochanowskiemu, Iwonie Krysińskiej, Izabeli Kuś, Wojciechowi Łuczakowi, Wojciechowi Matusiakowi, Sebastianowi Mazurkiewiczowi, Marcie Olszewskiej, Annie Pełce, Dorocie Szymborskiej, Berenice Steinberg, Wiesławowi Uchańskiemu, Agnieszce Wróblewskiej, a także Zespołowi Biblioteki Domu Literatury w Warszawie.

Posłowie

Posłowie

Kazimierz Wolny-Zmorzyński

W stronę źródeł reportażu

Reportaż jako samodzielny gatunek wyodrębnił się z literatury. Elementy reportażowe występowały w literaturze polskiej już dość wcześnie w sprawozdaniach z podróży zagranicznych i krajowych, w tak zwanych itinerariach i diariuszach czy poematach podróżniczych, takich m.in. jak *Flis* Sebastiana Klonowica (1595), *Morska nawigacja do Lubeka* Marcina Borzymowskiego (1651), Jana Potockiego *Podróż do Turek i Egiptu* (1789), Juliana Ursyna Niemcewicza *Podróże po Ameryce 1797–1807*, Seweryna Goszczyńskiego *Dziennik podróży do Tatrów* (1853), Mieczysława Romanowskiego *Kilka dni w górach Pokucia* (1857), Józefa Ignacego Kraszewskiego *Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy* oraz *Obrazy z życia i podróży* (1839). To podróżopisarstwo oświeceniowe i romantyczne miało cechy literatury dokumentalnej, reportażowej, o ambicjach artystycznych, a nie tylko poznawczych, i wywarło olbrzymi wpływ na rozwój dziewiętnastowiecznego polskiego realizmu[1]. W okresie pozytywizmu wrażenia z podróży były relacjonowane i przesyłane w formie listów przez korespondentów prasy codziennej: m.in. Henryka Sienkiewicza w *Listach z podróży do Ameryki* (1876–1878) i *Listach z Afryki* (1891–1892) czy Adolfa Dygasińskiego w *Listach z Brazylii* (1891).

Autorem pierwszego w prasie polskiej reportażu – *Pracowni Suchodolskiego*, zamieszczonej w „Tygodniku Petersburskim" (1838, nr 94) – był Józef Ignacy Kraszewski, natomiast za pierwszy nowoczesny reportaż w polskim piśmiennictwie uznana została *Pielgrzymka do Jasnej Góry* (1895) Władysława Reymonta. Jako formy wyprzedzające reportaż krajowy wymieniane są *Szkice warszawskie* (1874–1875) Bolesława Prusa, obrazki więzienne i szpitalne Marii Konopnickiej: *Za kratą* (1886), *Obrazki więzienne* (1887–1888), *Ludzie i rzeczy* (1898). Cechy reportażowe nosi również nowela naturalistyczna Adolfa Dygasińskiego *Dzień letnika* (1892), przedstawiająca jarmark w Skale i jeden dzień spędzony w Ojcowie, oraz tegoż autora *Kopalnia w Borysławiu*, odtwarzająca pracę, życie codzienne i sytuację ekonomiczną tamtejszych górników[2].

Reportaż rozwijał się w Polsce w XIX wieku, choć wówczas wcale się tak nie nazywał, terminu tego nie znano zresztą także w Europie. Znany był w połowie XIX wieku wyłącznie termin „reporter". Wtedy słowo to było odpowiednikiem dzisiejszego „informatora". Dla form, które dziś uznalibyśmy za reportażowe, stosowano określenia „nowela", „obrazek", „szkic", także „sprawozdanie", częściej „list" czy „korespondencja"[3]. Największe zainteresowanie w Europie,

[1] Por. S. Burkot, *Podróż po stronach rodzinnych*, wstęp do: J. I. Kraszewski, *Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy*, Warszawa 1985, s. 6.

[2] Por. K. Wyka, *Władysław Stanisław Reymont* [w:] *Obraz literatury polskiej. Literatura okresu Młodej Polski*, t. 3, red. K. Wyka, A. Hutnikiewicz, M. Puchalska, Warszawa 1973; J. Ruraw-ski, *Władysław Reymont*, Warszawa 1977, s. 117; J. Sztachelska, *„Reporteryje" i reportaże. Dokumentarne tradycje polskiej prozy w 2 połowie XIX i na początku XX wieku*, Białystok 1997.

[3] Por. K. Wolny-Zmorzyński, *Reportaż – jak go napisać?*, Warszawa 2004; K. Wolny-Zmorzyński, A. Kaliszewski, W. Furman, *Gatunki dziennikarskie. Teoria, praktyka, język*, Warszawa 2010.

a nawet w świecie reportaż zyskał w okresie wojny krymskiej (1853–1856), gdy sprawozdania z walk i działań wojennych pojawiały się w prasie francuskiej i brytyjskiej (szczególnie dużo nadsyłał ich William Howard Russell), natomiast w latach siedemdziesiątych XIX wieku, gdy reporter „New York Herald" Henry Morton Stanley zasłynął korespondencjami z podróży po Afryce i książką *Jak odszukałem Livingstone'a* (1872)[4].

Literaci, którzy w tamtym okresie pracowali często także jako dziennikarze, pisali nowele, szkice, obrazki. W Stanach Zjednoczonych byli to m.in. Ambrose Gwinett Briece (1842–1913), James Oppenheim (1882–1932), we Francji Guy de Maupassant (1850–1893), Marcel Aymé (1902–1967), w Rosji Gleb Uspienski (1843–1902), Antoni Czechow (1860–1904), a w Polsce wspomniani wcześniej Dygasiński, Sienkiewicz, Prus, Reymont, którzy wczuwali się w prawdziwe historie swoich bohaterów relacjonowane im przez informatorów. Nie ulega wątpliwości, że sami także byli bacznymi obserwatorami otaczającej ich rzeczywistości i pisali po prostu nowele, a nowela – od francuskiego słowa *nouvelle*, „nowina" – była wówczas odpowiednikiem dzisiejszego reportażu. Dziennikarzy dawniej – nie bez kozery – nazywano również „nowinkarzami"[5].

Co to jest reportaż?

Według niemieckiego teoretyka reportażu Christiana Siegla, autora książki *Die Reportage* (1978), „reportaż jest odbiciem rzeczywistości skonstruowanym przez wcześniejsze istnienie"[6] (*sic!*). To znaczy, że tematy zawarte w tekście reportażu pochodzą z obserwacji i badań reportera zbierającego materiał w terenie. Materiał ten staje się dla niego źródłem twórczych inspiracji. Niemieccy teoretycy skupieni wokół Uniwersytetu Lipskiego uważają, że reportaż przedstawia aktualne sprawy różnych środowisk w plastycznym obrazie z życia, ujęte w sposób problemowy i oddający aktualną atmosferę wydarzeń[7].

W Rosji w ramach jednego gatunku dokumentalnego rozróżnia się reportaż i oczerk. Termin „reportaż" określa typowe dla gazet codziennych relacje reporterskie o jakimś aktualnym wydarzeniu, natomiast ta odmiana reportażu, w której dokumentalne sprawozdawstwo łączy się z literacką plastyką i publicystyczną refleksją, jest nazywane oczerkiem, czyli szkicem[8].

Także Francuzi Marc Raboy i André Roy[9] mówią o dwóch typach reportażu różniących pod względem formy: *reportage* i *grand reportage*. Pierwszy stawia wyłącznie na relacyjność przekazu, drugi dba o literackie ujęcia, plastykę, obrazowość. Autor *grand reportage* ma zwrócić uwagę raczej na to, j a k niż c o opowiedzieć, by zmierzać do końcowego rozstrzygnięcia, które zrobi na odbiorcy jak największe wrażenie.

[4] Por. J. Pacławski, *O reportażu i reportażystach*, Kielce 2005, s. 8.
[5] Por. H. Markiewicz, *Pozytywizm*, Warszawa 1978 (rozdział *Proza dokumentalna*, s. 357–363) oraz tegoż, *Literatura pozytywizmu*, Warszawa 1986, s. 128–132.
[6] Ch. Siegel, *Die Reportage*, Stuttgart 1978.
[7] P. Schulze, *Einführung in die journalistische Methodik*, Leipzig 1985.
[8] G. J. Sołganik, *Stil reportaża*, Moskwa 1970; por. także J. Morawiecki, *Mały człowiek. O współczesnym reportażu w Rosji*, Warszawa 2010.
[9] M. Raboy, A. Roy, *Les médias québécois*, Paris 1995.

W Stanach Zjednoczonych i w Wielkiej Brytanii nie istnieje pojęcie reportażu w takim znaczeniu jak u nas. Tam występuje *feature* lub *story*. *Feature* oznacza szkic, który prócz podstawowych faktów o rzeczywistości zawiera szczegóły uboczne tworzące niejako tło informacyjne wydarzeń. Autor wychwytuje z garści faktów najistotniejszy aspekt sprawy i na nim się skupia. Zgodnie z definicją *feature* ma on wskazywać na cechy wyróżniające jakieś zdarzenie, informować o czymś nowym (nowiny!), szkicować najważniejsze punkty czegoś[10]. A *story* rozumieć należy raczej jako naszą nowelę.

Według polskiego badacza Leona Cieślika reportaż jest gatunkiem dziennikarskim, będącym relacją o wydarzeniach, o faktach zaistniałych w rzeczywistości, o ludziach jako *dramatis personae* tej rzeczywistości. Reporter przekazuje relacje, używając artystycznych środków wyrazu, umiejętnie je wykorzystując. Relacjom tym najlepiej odpowiada jedna literacka konwencja: obraz[11].

Wybitny reportażysta i teoretyk reportażu Melchior Wańkowicz uważał, iż reportaż jest opisem rzeczywistości, a opis ten z kolei swoistą mozaiką, składającą się z bardzo wielu różnorodnych kamyków, które należy tak ułożyć, by oddały obraz pokazywanej historii. Kamykami są fakty z życia wzięte[12].

Ryszard Kapuściński – że reportaż jest opisem zdarzeń, przekazaniem ich nastroju i atmosfery przy użyciu literackich środków wyrazu[13].

Reportaż stoi więc wyraźnie na granicy literatury i dziennikarstwa: obrazowość i plastyka przekazu przechylają go w stronę literatury, a prezentowanie faktów, brak fikcji – w stronę dziennikarstwa.

Bliżej literatury

Kwalifikowanie reportażu do literatury łączy się z początkami noweli. W znaczeniu gatunku literackiego narodziła się ona we wczesnym włoskim renesansie, a w XVII wieku na zachodzie Europy pojęciem tym określano zbiory „historii nowych", jeszcze „niesłyszanych" bądź „niesłychanych". Czy reportaże to nie teksTy mówiące o niezwykłych, niesłychanych wydarzeniach?

Reportaż jest synem noweli i należy do tej samej rodziny co list, wspomnienie, pamiętnik. Już na początku XIX wieku Christoph Martin Wieland sprecyzował pojęcie noweli, wyjaśniając, że „nowelami są utwory odznaczające się prostotą planu, a losy bohaterów nowel toczą się w rzeczywistym świecie, a nie w żadnym idealnym czy utopijnym kraju"[14].

Podobnie uważał Goethe: „podstawą noweli jest opowiedzenie prawdy, czyli zdarzenia rzeczywistego"[15].

Miała więc nowela w początkach XIX wieku przedstawiać świat realny, a nie zmyślony. Z czasem literaci na miejsce faktów sprawdzalnych wprowadzili do

[10] *The Concise Oxford Dictionary of Current English*, Oxford 1964, s. 442.

[11] K. Wolny-Zmorzyński, *Reportaż – jak go napisać?*, dz. cyt.

[12] M. Wańkowicz, *O poszerzenie ram konwencji reportażu* [w:] tegoż, *Od Stołpców po Kair*, Kraków 1977, s. 5–34.

[13] R. Kapuściński, *Lapidarium*, Warszawa 1990, s. 101.

[14] Cyt. za: B. von Wiese, *Novelle*, Stuttgart 1967, s. 3 (podkr. K. W.-Z.); por. A. Kaliszewski, *„Słowo czynów cieniem". Polski reportaż wojenny i publicystyka wojenna autorów kręgu Legionów Polskich i Korpusów Polskich (1914–1920)*, Kraków 2013, s. 9.

[15] B. von Wiese, *Novelle*, dz. cyt., s. 7 (podkr. K. W.-Z.).

noweli fikcję, a ta stała się wyznacznikiem gatunku, ale już fabularnego. W literaturze dokumentalnej w jej miejscu pojawił się reportaż, uznawany, całkiem niesłusznie, za „gorszego brata literatury”[16], w którym na fikcję nie ma miejsca.

Reportaż jako gatunek dziennikarski, przez badaczy literatury zaliczany do literackich gatunków pogranicznych[17], pojawił się w terminologii prasowej tuż po pierwszej wojnie światowej pod wpływem twórczości Egona Erwina Kischa (1885–1948), Czecha piszącego po niemiecku. Podstawową funkcją reportażu było informowanie odbiorcy o tym, czego ten nie był świadkiem, mówienie – jak zakładała wcześniej teoria noweli – o autentycznych wydarzeniach[18].

To właśnie Egon Erwin Kisch, autor *Szalonego reportera* (1924), *Zapisz to, Kisch!* (1929), jako pierwszy nazywał świadomie i z przekonaniem swoje utwory reportażami. On zatem jest ojcem reportażu światowego. W Polsce twórcą nowoczesnego reportażu był Melchior Wańkowicz i podobnie jak Kisch określał tak swoje utwory.

Czy zatem reportaż można uznać za utwór literacki?

Znane jest pojęcie „reportaż literacki”, które podkreśla przynależność reportażu do sztuki słowa. W okresie międzywojennym literaci, wykorzystując cechy reportażu, tworzyli nawet programy i manifesty literackie. Dzięki wpływom reportażu naturalizm w Niemczech przyjął nazwę *Neue Sachlichkeit* (nowa rzeczywistość)[19], w Związku Radzieckim zaczęto używać terminu „literatura faktu”, w Stanach Zjednoczonych „*non-fiction*”, a w Polsce – „autentyzm” na określenie utworów, które powstały pod wpływem prawdziwych wydarzeń przedstawionych przez autora reportażu tak, jak przebiegały[20].

O literackości reportażu decyduje obrazowe prezentowanie zdarzeń i bohaterów. Dzięki plastyce przekazu i językowi artystycznemu (odmiennemu od języka potocznego) odbiorca potrafi wyobrazić sobie zdarzenia i bohaterów, wczuć się w ich przeżycia.

Zbigniew Żabicki przyznaje, że reportaż literacki musi posługiwać się środkami specyficznie literackimi, a więc stylem właściwym literaturze, kompozycją obliczoną nie tylko na dogłębne wyłożenie tezy, ale i na pewien efekt emocjonalny, z plastycznym portretem postaci, symbolem, skrótem sytuacyjnym, metaforą, aluzją, nawet groteską. Reporter według Żabickiego nie może jednak przekraczać granicy, poza którą gubi się konkret, fakt realny leżący u podstaw jego pracy. On pozostaje zasadniczą treścią reportażu. Źródłem n i e l i t e r a c k o ś c i reportaży według Żabickiego jest z kolei pedantyzm i drobiazgowość w przedstawianiu faktów. Punktem wyjścia reportażowym i literackim zarazem jest ukazanie „realnej i konkretnej osoby, postawionej w realnej i konkretnej sytuacji [...] »w poetyce portretu«, a ponadto określona konwencja narracyjna”[21].

[16] K. Iglicka-Goldbergowa, *Gorszy brat literatury?*, „Życie Literackie” 1964, nr 51.
[17] K. Kąkolewski, *Wokół estetyki faktu* [w:] *Genologia polska. Wybór tekstów*, red. E. Miodońska-Brookes, A. Kulawik, M. Tatara, Warszawa 1983.
[18] Por. A. Staniszewski, *Reportaż prasowy. Przemiany gatunku* [w:] *Dziennikarstwo i jego konteksty*, red. Z. Bauer, E. Chudziński, Kraków 1991, s. 83; K. Wolny-Zmorzyński, A. Kaliszewski, W. Furman, *Gatunki dziennikarskie...*, dz. cyt., s. 50–53.
[19] A. Hutnikiewicz, *Od czystej formy do literatury faktu. Główne teorie i programy literackie xx stulecia*, Warszawa 1988, s. 234.
[20] Tamże, s. 235–238. Por. także M. Woźniakiewicz-Dziadosz, *O literackości reportażu* [w:] *Reportaż w dwudziestoleciu międzywojennym*, red. K. Stępnik, M. Piechota, Lublin 2004, s. 96–97.
[21] A. Hutnikiewicz, *Od czystej formy do literatury faktu...*, dz. cyt., s. 21.

Według Jerzego Lovella – reportera, który wypowiadał się także o źródłach i cechach tego gatunku – literackość reportażu nie polega tylko na używaniu pięknego słowa, skrótu, metafory czy przemyślanej konstrukcji, ale na wkroczeniu przez reportera w obszar problemów należących do literatury[22].

Dla badacza Michała Szulczewskiego ten reportaż jest literacki, który posługuje się środkami artystycznej prozy literackiej i w którym materiał autentyczny będący podstawą reportażu jest formowany na wzór epickiej fabuły. Prowadzi to do lepszej percepcji reportażu, większej jego popularności, bo temat, nawet niepopularny, ale ciekawie przedstawiony, budzi zainteresowanie[23].

Krzysztof Kąkolewski, także wybitny reporter, uważa z kolei, że zdarzenia mają z n a t u r y strukturę literacką, którą należy jedynie uwyraźnić, opisując je. Fabuły w reportażu się nie wymyśla, lecz tylko ją o d k r y w a. Takie czynniki literackie jak fabuła, dramatyzm faktów, efektowne rozwiązanie napięcia, przeniesione do reportażu z rzeczywistości świadczą o literackości tego gatunku[24].

Maria Gołaszewska w świetle rozważań nad estetyzacją rzeczywistości próbuje uściślić i wyjaśnić, które reportaże można uznawać za literackie, a które nie. Według niej w reportażu będącym „relacją o realnej rzeczywistości, [...] intencją reportera jest oddanie w sposób możliwie sugestywny poznanych faktów, zdarzeń, zjawisk. Wiadomo jednak, iż w znacznej części reportaży, obok prostej relacji, pojawiają się, bogato nieraz rozbudowane, elementy fikcji literackiej. Gdy jakiś utwór nie zawiera relacji o realnych zdarzeniach, nie zaliczamy go w ogóle do literatury faktu – do reportaży. Można więc przyjąć, że reportaż »czysty« to taki, który nie zawiera fikcji literackiej, »literacki« zaś – to nasycony elementami owej fikcji".

W dalszych rozważaniach Maria Gołaszewska wychodzi z założenia, że „gdy reportaż przekracza zakreślone mu ramy prezentowania faktów ku literackiemu naddaniu (beletryzacja reportażu) lub uogólniającym komentarzom (reportaż socjologizujący, moralizujący itp.), wówczas grozi mu skrzywienie gatunkowe, dające efekt sztuczności, niekompetencji"[25].

W przedstawionych wyżej sądach krytyków i badaczy można więc wyodrębnić dwa stanowiska pojmowania literackości:

- literackość jako poetyka portretu i narracji przyjęta dla przedstawienia rzeczywistych faktów i oddania klimatu wydarzeń;
- literackość jako wprowadzenie fikcji dla uplastycznienia obrazu realnych zdarzeń.

Nikt jednak z przywołanych badaczy nie zwrócił uwagi na bardzo proste rozwiązanie: nie chodzi tylko o wprowadzenie fikcji czy plastykę opisu, ale

[22] Tamże.

[23] Tamże oraz por. M. Siembieda, *Reportaż po polsku*, Poznań 2003, s. 68–69.

[24] K. Wolny-Zmorzyński, *Reportaż – jak go napisać?*, dz. cyt., s. 22.

[25] Tamże oraz J. Snopkiewicz, *To ucho! Runda reporterów*, Warszawa 1980, s. 56.

także o stosowanie dwuznaczności w przekazie, drugie dno i ukryte przesłania kierowane do wyrobionego, zorientowanego w sytuacji społeczno-politycznej czytelnika. Czasami zdarza się przecież, że reporter nie może mówić wprost o aktualnych zdarzeniach, postaciach historycznych czy sprawach polityki (m.in. krajowe powojenne wydanie *Hubalczyków* Melchiora Wańkowicza, Barbary N. Łopieńskj *Łapa w łapę*, Joanny Siedleckiej *Bunt*[26]). Wtedy musi kamuflować fakty i wprowadzać opisy dwuznaczne, metafory, aluzje, co także zbliża reportaż do literatury (dwuznaczność, czy nawet wieloznaczność, jest jedną z jej cech).

Polska szkoła reportażu

Twórcą polskiej szkoły reportażu, jak wspomniano wcześniej, jest Melchior Wańkowicz, autor tekstów o tematyce wojennej, politycznej i gospodarczej, m.in. *Szpital w Cichiniczach* (1925), *W kościołach Meksyku* (1927), *Opierzona rewolucja* (1934), *Na tropach Smętka* (1936) czy *COP – ognisko siły* (1939). Z Wańkowiczem w latach międzywojennych rywalizował Ksawery Pruszyński, także piszący o wydarzeniach politycznych, m.in. *Sarajewo 1914, Szanghaj 1932, Gdańsk 193?* (1932), *Palestyna po raz trzeci* (1933), *W czerwonej Hiszpanii* (1937), *Podróż po Polsce* (1937), oraz Aleksander Janta-Połczyński, autor takich książek jak *Patrzę na Moskwę 1932* (1933), *Stolica srebrnej magii* (1935), *Odkrycia Ameryki* (1936). Wszyscy trzej podejmowali podobną tematykę, dużo podróżowali po świecie, interesowali się problemami społecznymi i politycznymi. Każdy miał jednak niepowtarzalną technikę. Wańkowicz kładł nacisk na gawędziarską formę przekazu, barwność opowieści, kolorystykę stylistyczną, Janta-Połczyński oraz Pruszyński byli zaś bliscy konstrukcji nowelistycznej, liczył się dla nich szczegół, który decydował o wydźwięku zdarzenia, ostra, wyraźna pointa. Dwaj ostatni publikowali często na łamach „Wiadomości Literackich", które od 1932 roku prowadziły specjalną rubrykę poświęconą nowemu gatunkowi *Z cyklu reportaży „Wiadomości Literackich"*. Tygodnik ten nie bał się umieszczania reportażowych tekstów kontrowersyjnych, sensacyjnych. Szczególnie reportaże krajowe zyskały sobie wśród czytelników miano „odważnych", co powodowało interwencję cenzury, a w konsekwencji ukazywanie się czasami szpalt z „białymi plamami"[27]. To tu publikowali najczęściej reportaże Irena Krzywicka, Helena Boguszewska, Antoni Słonimski, Maria Kuncewiczowa czy Zbigniew Uniłowski.

Reportaże ukazywały się także na łamach innych czasopism okresu dwudziestolecia międzywojennego, m.in. „Kuriera Warszawskiego", „Kultury", „Jutra", „Ilustrowanego Kuriera Codziennego", „Kuriera Porannego", „Czasu".

[26] Teksty te i wiele innych zinterpretowałem w książce *Reportaż – jak go napisać?*, dz. cyt.

[27] Por. A. Z. Makowiecki, *„Wiadomości Literackie"* [w:] *Słownik literatury polskiej xx wieku*, Wrocław–Warszawa–Kraków 1995, s. 1174.

Znajdujemy tu nazwiska wielu znakomitych reporterów, oprócz wymienionych wcześniej m.in. Kazimiery Alberti, Marceliny Górskiej, Wandy Melcer, Konrada Wrzosa, Ferdynanda Goetla.

Okres drugiej wojny światowej nie sprzyjał reportażowi. Jak uważa Jan Pacławski, idąc za sugestią Kazimierza Wyki, „reportaż wymaga między innymi jawności życia publicznego, a żadna wojna, szczególnie wojna światowa, tej jawności nie zapewniała”[28]. Nie powstawały reportaże prasowe, doraźne, tylko dłuższe, trwalsze formy, które miały zachować pamięć o zdarzeniach: Pruszyńskiego *Droga wiodła przez Narwik* (1941), Janusza Meissnera *Żądło Genowefy* (1943), Arkadego Fiedlera *Dywizjon 303* (1942), Wańkowicza *Bitwa o Monte Cassino* (1945–1947), *Dzieje rodziny Korzeniewskich* (1944). Reportaż w formie książkowej docierał do szerszego grona odbiorców, utrwalał i dokumentował okrucieństwa wojny, uświadamiał odbiorcom, że wojna, choć się zakończy, w świadomości trwać będzie jeszcze długo (ten wątek podjął i realizował w reportażach Krzysztof Kąkolewski w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych xx wieku). Przyczynić się miała także do tego sama forma przekazu o tragicznych wydarzeniach (realistyczna, plastyczna, pełna grozy).

W rozwoju polskiego powojennego reportażu można wyróżnić kilka okresów: **pierwszy (1945–1949)**, który dokumentuje zbrodnie hitlerowskie i ludobójstwa, zniszczenia wojenne, przemiany społeczno-polityczne na ziemiach polskich. Reporterzy sięgali po środki wyrazu oddające autentyzm przeżyć i losów Polaków zaraz po wojnie, m.in. Janiny Broniewskiej *Miasto naszych marzeń* (1945), Edmunda Osmańczyka *Na pobojowisku* (1945) oraz *Dokumenty pruskie* (1947), Poli Gojawiczyńskiej *Krata* (1945), Franciszka Gila *Chłopskie gimnazjum w hrabskim pałacu* (1946).

Drugi okres (1950–1956) opisuje klimat przeobrażeń społeczno-politycznych w kraju, zwłaszcza dotyczących reformy rolnej, upaństwowienia przemysłu, odbudowy gospodarki ze zniszczeń wojennych, atmosfery wielkiego budownictwa przemysłowego, produkcji i zaostrzającej się walki klasowej, a także prób przełamania stereotypów propagandowych, m.in. *Przy budowie* Tadeusza Konwickiego (1950), *Sprawa jednego konia* Józefa Kuśmierka (1951), *Most* Bronisława Wiernika (1954), *Wielki ocean* Stefana Kozickiego (1954), *To też jest prawda o Nowej Hucie* Ryszarda Kapuścińskiego (1955), Jerzego Janickiego *Kożuchy przychodzą się leczyć* (1956).

Trzeci okres (1957–1961) oddaje atmosferę przełomu październikowego z ówczesną krytyką socrealizmu, odczytaniem na nowo dorobku przeszłości historycznej, kulturalnej i literackiej Polski oraz odkrycie roli tradycji narodowej. Publikuje się wtedy reportaże z niedawnej przeszłości oraz opowiadające

[28] J. Pacławski, *O reportażu i reportażystach*, Kielce 2005, s. 10.

o przemianach w teraźniejszości, m.in. Melchiora Wańkowicza[29] *Ziele na kraterze* (I wyd. Nowy Jork 1950, wydanie krajowe 1957), polskie wydanie (skrócone) *Monte Cassino* (1958), *Westerplatte* (1959), Mariana Brandysa *O królach i kapuście* (1959), Stefana Bratkowskiego i Jerzego Zielińskiego *Kędzierzawy i inni* (1959).

Czwarty okres (1962–1971) dokumentuje życie ludzi z różnych środowisk społecznych i regionów kraju, rozwój ośrodków kulturalnych i naukowych oraz działalność wielkich uczonych, na przykład Kazimierza Dziewanowskiego *Reportaż o szkiełku i oku* (1963), reportaże interwencyjne w obronie poszkodowanych, m.in. Ryszarda Kapuścińskiego *Busz po polsku* (1962), Edwarda Redlińskiego *Ja w sprawie nerwowej* (1969), *Zgrzyt* (1971), a także penetrujące tematy wojny w świadomości Polaków, na przykład Krzysztofa Kąkolewskiego *3 złote za słowo* (1964), *22 historie, które napisało życie* (1967), oraz poszukiwania sensu życia, jak *Losy darowane* (1969) Jerzego Lovella czy *Procesy* (1970) Jerzego Ambroziewicza. Nadal powstają reportaże o tematyce historycznej (m.in. Mariana Brandysa *Kozietulski i inni*, 1967). Ponadto w tym okresie powstaje wiele reportaży zagranicznych o bardzo zróżnicowanej tematyce, m.in. Stefana Kozickiego *Sputnik na co dzień* (1961), Krzysztofa Baranowskiego *Hobo* (1965), Olgierda Budrewicza *Kryształowa gorączka* (1966), Ryszarda Kapuścińskiego *Kirgiz schodzi z konia* (1968), *Gdyby cała Afryka* (1969).

W **piątym okresie (1972–1980)** rozwija się nadal reportaż o tematyce zagranicznej, m.in. Barbary Wachowicz *Malwy na lewadach* (1972), Małgorzaty Szejnert *Borowiki przy ternpajku* (1972), Ryszarda Kapuścińskiego *Chrystus z karabinem na ramieniu* (1975), *Wojna futbolowa* (1978) oraz *Cesarz* (1978), ale rozkwita także reportaż historyczny, m.in. Mariana Brandysa *Koniec świata szwoleżerów* (1972–1979), Janusza Roszki *Pogański książę silny wielce* (1970). Reporterzy żywo reagują na tematy denazyfikacji, odradzające się ruchy narodowe i walczą o nieprzedawnienie zbrodni ludobójstwa, m.in. Krzysztof Kąkolewski w *Co u pana słychać?* (1975), *Baśniach udokumentowanych* (1976), Zbigniew Flisowski w *Pomorzu. Reportażu z pola bitwy* (1979). Wielu reporterów sprzeciwia się mitologizowaniu i idealizowaniu współczesnej rzeczywistości, m.in. Zygmunt Wójcik w *Suicie chłopskiej* (1979), Romuald Karaś w *Tabu* (1978), Janusz Roszko w *Romantyce małych portów* (1979), Barbara N. Łopieńska w *Łapa w łapę* (1980).

Szósty okres (1981–1989) to czas sporów społeczno-politycznych. Reportaże dokumentują trudne sprawy ludzkie, podejmowane interwencje, m.in. Ryszarda Niemca *Na śmierć i życie* (1982), Joanny Siedleckiej *Parszywa sytuacja* (1984). Rejestrują konflikty w wielkich zakładach przemysłowych, m.in.

[29] Aleksander Janta-Połczyński po drugiej wojnie światowej nie wrócił do kraju, pozostał za granicą, tam pisał i wydawał reportaże, wspomnienia, powieści. Ksawery Pruszyński drukował w Polsce m.in. w „Odrodzeniu" cykl reportaży *Podróż po nowej Polsce*, zginął jednak w 1950 roku w wypadku samochodowym, Wańkowicz natomiast wrócił z emigracji w 1958 roku i zamieszkał w Warszawie.

Dorota Terakowska w *Próbie generalnej* (1983), Małgorzata Szejnert i Tomasz Zalewski w *Grudzień–Sierpień–Grudzień* (1984).

Od połowy lat sześćdziesiątych xx wieku mówi się już o polskiej szkole reportażu, nie tak znanej w Europie czy na świecie, ale docenionej na gruncie rodzimym przez badaczy i krytyków literatury oraz dziennikarstwa (m.in. Kazimierza Wykę i Jacka Maziarskiego). Ogromną popularnością wśród czytelników cieszą się zwłaszcza reportaże Hanny Krall, Małgorzaty Szejnert, Barbary Wachowicz, Krzysztofa Kąkolewskiego, Ryszarda Kapuścińskiego, Jerzego Lovella, Romualda Karasia.

W 1980 roku Hiszpanie dostrzegają twórczość Ryszarda Kapuścińskiego i wydają jego *Cesarza*, następnie robią to Amerykanie i Anglicy (1983).

Okres siódmy – **od 1989 roku do dzisiaj** – podzielić należałoby jeszcze na dwie fazy wynikające z dynamiki wydarzeń społeczno-politycznych: w pierwszej następuje rozliczenie z błędami socjalizmu, przypomina się też teksty reportażowe autorów, których utwory były publikowane na emigracji (m.in. Jana Bielatowicza, Sergiusza Piaseckiego, Aleksandra Janty-Połczyńskiego, Wacława Solskiego, Juliusza Sakowskiego, Józefa Mackiewicza, Tadeusza Nowakowskiego, Józefa Czapskiego, Melchiora Wańkowicza w całości).

Teksty reportażowe z tego okresu, nareszcie uwolnione od cenzury, pokazują problemy ludzi lekceważonych przez urzędy państwowe, firmy prywatne, nieuczciwych bankierów, mówią także o ludziach chorych, zaniedbanych, nieumiejących odnaleźć się w warunkach transformacji ustrojowej.

Nie będzie z mojej strony nadużyciem ani przesadą, gdy stwierdzę, że oczy wszystkich dziennikarzy polskich gazet regionalnych i lokalnych były wtedy i są obecnie zwrócone w stronę reporterów „Gazety Wyborczej" (pierwsze wydanie 8 maja 1989 roku), która od początku istnienia nadaje ton polskiemu dziennikarstwu, szczególnie reportażowi. „Gazeta Wyborcza" postawiła na swobodę wypowiedzi reporterskiej oraz pozwoliła reporterom na realizowanie swoich pomysłów, szukanie tematów ważnych i kontrowersyjnych. Za twórczynię współczesnej, odświeżonej już polskiej szkoły reportażu uznaje się Małgorzatę Szejnert, która po powrocie z emigracji w 1989 roku skupiła wokół siebie najzdolniejszych reporterów: Jacka Hugo-Badera (autora m.in. *Białej gorączki*, 2009), Wojciecha Jagielskiego (*Dobre miejsce do umierania*, 1994), Lidię Ostałowską (*Cygan to Cygan*, 2000), Beatę Pawlak (*Piekło jest gdzie indziej*, 2003), Mariusza Szczygła (*Niedziela, która zdarzyła się w środę*, 1996), Wojciecha Tochmana (*Schodów się nie pali*, 2002). Od marca 1993 roku najpierw na łamach „Magazynu", potem „Dużego Formatu", dodatków do „Gazety Wyborczej", publikowane są także najlepsze teksty reportażowe nie tylko etatowych dziennikarzy tego tytułu.

Przełom wieków wyznacza wejście najnowszego reportażu w drugą fazę. Reporterzy publikujący w „Gazecie Wyborczej" przedstawiają obraz współczesności bez kamuflażu, piętnują nieprawidłowości życia społecznego i politycznego. Małgorzata Szejnert narzuciła formę i styl, których należy przestrzegać do dziś: stosowanie w tekście śródtytułów, by był on czytelny, pisanie o zdarzeniach i bohaterach plastycznie, by odbiorca nie tylko umiał sobie prezentowane historie wyobrazić, ale by je przeżywał z bohaterami, układanie faktów w taki sposób, by robiły wrażenie na czytelniku, konstruowanie wyraźnych point, pokazywanie przede wszystkim człowieka i jego problemów.

Reportaż obecnie nadal odzwierciedla rzeczywistość zastaną przez reportera i problemy bohaterów w sposób bliski literaturze. Te cechy charakteryzują także utwory samej mistrzyni (m.in. *Ulica z latarnią*, 1977, *Czarny ogród*, 2007, *Wyspa klucz*, 2009). Wychowani przez nią reporterzy stali się rozpoznawalni na świecie. Ich teksty są dzisiaj chętnie tłumaczone i bardzo dobrze przyjmowane przez odbiorców za granicą.

Zainteresowanie polskim reportażem wzrasta obecnie w świecie nie tylko ze względu na świetny warsztat, ale także dlatego, że polscy autorzy opowiadają interesująco o otaczającej ich rzeczywistości, umieją się podzielić informacjami z życia swego otoczenia, ich głos jest słyszalny i brany pod uwagę tak samo jak innych reporterów o światowej i europejskiej renomie (Stiga Dagermana, Bernta Engelmanna, Jeana Hatzfelda, Chloe Hooper, Riccardo Orizio, Martina Pollacka, Arturo Péreza-Revertego, Jeana Rolina czy Güntera Wallraffa), piszą o szczytach władzy, ubóstwie, bezrobotnych, o konfliktach w Afryce, obu Amerykach, konfliktach zbrojnych, trudnym sąsiedztwie, są spostrzegawczy, dojrzali, mają wyczucie szczegółu, który odbiorca zapamiętuje długo po zakończonej lekturze reportaży.

Polscy reporterzy równają do najlepszych, są w czołówce światowych twórców reportażu, nie kokietują, są odważni, wierni zasadom swego zawodu. Spełniają najwyższe wymagania stawiane temu gatunkowi, imponują układem faktów i ciekawym wywodem. Podpowiadają zagranicznym kolegom po fachu, że najlepsze efekty w reportażu osiąga się na sprawdzonych wzorach.

Dodatki

Literatura rzeczowa i źródła cytatów do tomu 2
Poprzedniczki naszej antologii
Rada programowa antologii

Literatura rzeczowa i źródła cytatów do tomu 2

Abecadło dziennikarza, red. Andrzej Niczyperowicz, Poznań 1996

Andrzej Mularczyk o sobie i swojej twórczości, audycja Barbary Syczewskiej, Polskie Radio, 25.04.1981

Antczak Jacek, *Reporterka. Rozmowy z Hanną Krall*, Warszawa 2007

Baraniak Krzysztof, *Konrad Turowski – dziennikarz z krwi i kości*, http://www.wiadomosci24.pl/artykul/konrad_turowski_dziennikarz_z_krwi_i_kosci_24914.html [dostęp: 31.10.2013]

Bartosz Andrzej, Janicki Wiesław, *Teatr Naturalny*, Warszawa 1988

Berberyusz Ewa, *Moja teczka*, Warszawa 2006

—, *Papież Polaków*, Kraków 1984

Biela Emil, *Reportaże ze zniczem serca*, „Wiadomości Kulturalne" 1997, nr 40

Bijak Jan, *Dziewczyna jego marzeń* [w:] tegoż, *Furą do Arkadii*, Warszawa 1973

—, *Piekłem nie postraszy*, Warszawa 1982

Boże, z kim ja pracowałam. Z Małgorzatą Szejnert rozmawia Lidia Ostałowska, „Duży Format", dodatek do „Gazety Wyborczej", 10.07.2006

Bratkowski Piotr, *„Nikiformy", Redliński, Edward*, „Gazeta Wyborcza", 19.01.2001

Bratkowski Stefan, *Józef Kuśmierek nie żyje*, „Gazeta Wyborcza", 28.03.1992

Burgin Richard, *Rozmowy z Isaakiem Bashevisem Singerem*, Warszawa 1992

Czy będziesz wiedział, co przeżyłeś? Z Natalią Koryncką-Gruz rozmawia Małgorzata Sadowska, „Kino" 1999, nr 5

Doliński Jerzy, *Wokół literatury faktu: „Wojna podwarszawska" i inne*, „Życie Literackie" 1982, nr 4

Dwie dusze chłopa. Z Jerzym Morawskim rozmawia Paweł Kwiatkowski, „Nowa Wieś" 1988, nr 49

Dziewanowski Kazimierz, *A jednak Diabeł przegrał...* [w:] Hanna Krall, *Trudności ze wstawaniem*, Warszawa 1988

Esencją „męskiego" reportażu jest pogardzane „kobiece" spojrzenie. Z Lidią Ostałowską rozmawia Magdalena Kicińska, http://www.feminoteka.pl/readarticle.php?article_id=1083 [dostęp: 31.10.2013]

Gabryel Piotr, *Katyń w pół drogi*, Warszawa 1989

—, *Klub multimilionerów* [w:] tegoż, *Kciuk Pana Boga*, Poznań 1989

Gabryel Piotr, Jackowski Karol, *W pogoni za wywiadem*, „Reporter" 1988, nr 10

Giełżyński Wojciech, *Czterokrotnie rozstrzelany*, „Ekspres Reporterów", t. 6, Warszawa: Krajowa Agencja Wydawnicza, 1978

—, *Gorące dni kubańskie* [w:] tegoż, *Jeśli nawet umrzesz, pozostań*, Warszawa 1979
Goldbergowa Krystyna, *Krzysztofa Kąkolewskiego historie, które napisało życie*, „Kontrasty" 1979, nr 7
—, *Medytacje Wojciecha Giełżyńskiego*, „Kontrasty" 1979, nr 10
—, *Mroczne polskie bajki*, „Prawo i Życie" 1991, nr 10
—, *Reportaż. Literatura faktu*, „Rocznik Literacki" 1980
—, *Stefana Kozickiego spotkania z prowincją*, „Kontrasty" 1978, nr 8
—, *Wyznania reporterów: piewcy, zbawcy, narzekańci*, „Kontrasty" 1979, nr 7
Gołębiowski Bronisław, *Rykoszety Wójcika*, „Kontrasty" 1976, nr 5
Historia Laboratorium Reportażu, http://www.reporter.edu.pl/?cat=16 [dostęp: 31.10.2013]
Hugo-Bader Jacek, *Zdjęcie na tle krat* [w:] *Kraj raj. Piszą reporterzy „Gazety"*, wybór Małgorzata Szejnert, Warszawa 1993
Jestem taki łach. Z Jackiem Hugo-Baderem rozmawia Renata Gluza, „Press" 2000, nr 3
Jonek Julianna, *Ostatni reporter*, tekst niepublikowany
K.K., *Czy Wójcik zabija?*, „Kontrasty" 1976, nr 4
Kaliciński Andrzej, *Podobnie jak lekarz*, „Kontrasty" 1976, nr 5
Kalicki Włodzimierz, *Pożegnanie Mazurów*, „Gazeta Wyborcza", 3–4.01.1990
Kantowicz Andrzej, *Posłowie* [w:] Jacek Snopkiewicz, *To ucho! Runda reporterów*, Warszawa 1980
Karwat Krzysztof, *Zapach PRL-u*, „Dziennik Zachodni", 8.08.1996
Katarzyna Siwiec, *Groby, mikroby, klątwy... Król wawelskiego marketingu*, „Gazeta Wyborcza Kraków", 9.02.2013
Kąkolewski Krzysztof, *3 złote za słowo. 22 historie, które napisało życie*, Warszawa 1984
—, *Co u pana słychać?*, Warszawa 1981
—, *Męczennicy na delegacjach*, „Kontrasty" 1976, nr 9
Kosowska Zofia, *Zakute w habit*, „Argumenty" 1970, nr 34
Kowal Paweł, *Koniec systemu władzy. Polityka ekipy generała Wojciecha Jaruzelskiego w latach 1986–1989*, Warszawa 2012
Kozicki Stefan, *Ciepło o piekle*, „Tu i teraz" 1984, nr 11
Krall Hanna, *Sublokatorka. Okna*, Warszawa 2008
Król Marcin, *Intelektualiści na uboczu*, „Fakt. Europa", 29.12.2004
—, *Ostrzeżenie* [w:] Grzegorz Górny, Witold Pasek, Wojciech Tochman, *Sprawcy*, Warszawa 1991
Krzysztof Tomasik, *Gejerel. Mniejszości seksualne w PRL*, Warszawa 2012

Kubik Mariusz, *Jan Józef Szczepański, czyli odwaga świadectwa*, „Gazeta Uniwersytecka uś" 2002, nr 7
Kulczycki Michał, *Uniewinniam Ryszarda Wójcika*, „Kontrasty" 1976, nr 5
Kumór Waldemar, *Moja teczka, Berberyusz, Ewa*, „Gazeta Wyborcza", 10.07.2006
Kurowicki Jan, *Jak być Lovellem*, „Kontrasty" 1976, nr 10
Leszkowicz Tomasz, *Dariusz Wilczak – „Generalissimus"*, http://histmag.org/Dariusz-Wilczak-Generalissimus-6390 [dostęp: 31.10.2013]
Lipiński Piotr, *Jak zostać dziwakiem*, „Press" 2000, nr 9
—, *Powrót żywych duchów*, „Gazeta Wyborcza", 14.08.2012
—, *Strzeż się szaraka* [w:] *Kraj raj. Piszą reporterzy „Gazety"*, wybór Małgorzata Szejnert, Warszawa 1993
—, *Towarzysze Niejasnego*, Warszawa 2003
Lovell Jerzy, *Dziewczyny i sex*, Warszawa 1970
—, *Piekło mężczyzn*, Warszawa 1977
—, *Węgierski dług* [w:] tegoż, *Jak ukradłem duszę*, Warszawa 1985
Łuka Wiesław, *Rozdwojenie wizji i fonii* [w:] Wiesław Łuka, Ewa Owsiany, Joanna Siedlecka, Małgorzata Szejnert, *Uleczyć życie*, Warszawa 1986
Majchrzak Grzegorz, *Nagroda za zwalczanie „Solidarności"*, „Rzeczpospolita", 2–3.01.2007
Markowski Michał, *Exodus*, „Kultura" 1989, nr 41
Marzec Bartosz, *Portret Wojciecha Jagielskiego. Na wyżynach reportażu*, http://culture.pl/pl/tworca/wojciech-jagielski [dostęp: 31.10.2013]
Matys Michał, *Towarzystwo*, Warszawa 2003
Meloch Katarzyna, *Co się komu śni. Opisanie Andrzeja Mularczyka*, „Kontrasty" 1978, nr 1
—, *Czy reportaż ma przyszłość? Opisanie Józefa Kuśmierka*, „Kontrasty" 1979, nr 11
—, *Póki jestem reporterem. Opisanie Janusza Roszki*, „Kontrasty" 1978, nr 10
—, *Reporter i pamiętnikarze. Opisanie Jana Bijaka*, „Kontrasty" 1979, nr 2
Mesjanizm jest mi obcy, z Piotrem Gabryelem rozmawia Jacek Szmidt, „Na przełaj" 1989, nr 25
Michał Ogórek. Z Michałem Ogórkiem rozmawiają Arkadiusz Bartosik i Łukasz Klinke, „Playboy" 2005, nr 7
Miller Marek, *Polifoniczna powieść reportażowa*, http://www.reporter.edu.pl/?p=671#more-671 [dostęp: 31.10.2013]
—, *Reporterów sposób na życie*, Warszawa 1982
Morawska Irena, *Było piekło, teraz będzie niebo*, Warszawa 1999
—, *Diabeł spacerował po niebie* [w:] *Kraj raj. Piszą reporterzy „Gazety"*, wybór Małgorzata Szejnert, Warszawa 1993

Morawski Jerzy, *Nieważkość*, Warszawa 1989
Mularczyk Andrzej, *Umieć opowiadać. O dramaturgii reportażu i form scenicznych*, „Kontrasty" 1979, nr 1
Nawrocki Grzegorz, *Polak z Polakiem*, Warszawa 1990
Nie jestem tym, który ma odkryć prawdę o SB. Z Jerzym Morawskim rozmawia Robert Mazurek, „Dziennik", 13.10.2007
Nie płacę za wojny. Z Wojciechem Jagielskim rozmawia Remigiusz Grzela, „Zwierciadło" 2012, nr 6
Niecikowski Jerzy, *Baśnie Kąkolewskiego*, „Kontrasty" 1976, nr 10
Niedzielski Czesław, *Reportaż* [w:] *Słownik literatury polskiej XIX wieku*, red. Józef Bachórz, Alina Kowalczyk, Wrocław–Kraków–Warszawa 1991
Nietykalni. Reportaże roku 1999, Warszawa 2000
Ogórek Michał, *Wydostać się spod Piły*, Warszawa 1985
Ostałowska Lidia, *Era Zenona D.* [w:] *Kraj raj. Piszą reporterzy „Gazety"*, wybór Małgorzata Szejnert, Warszawa 1993
—, *Karcer* [w:] tejże, *Cygan to Cygan*, Warszawa 2000
Ostatni krzyk. Od Katynia do Smoleńska. Z Barbarą Stanisławczyk rozmawia Magdalena Bożko, http://www.dziennikwschodni.pl/apps/pbcs.dll/article?AID=/20111016/MAGAZYN/438055574 [dostęp: 31.10.2013]
Ostrzycka Anna, Rymuszko Marek, *Powrót nieuchwytnej siły*, Warszawa 1994
Pawlik Andrzej, *Smutne ballady pani Ewy*, „Dziennik Polski", 28–29.07.1979
Pawluczuk Andrzej W., *Jak być reporterem. Posłuchanie Jerzego Lovella*, „Kontrasty" 1976, nr 10
—, *Reporter świętej prowincji. Opisanie Stefana Kozickiego*, „Kontrasty" 1979, nr 1
Pielecki Wojciech, *Od redaktora*, „Reporter" 1985, listopad, b.nr.
—, *Od redaktora*, „Reporter" 1987, nr 1
—, *Polski łącznik*, Lublin 1986
Pietkiewicz Barbara, *Kolejka po dywan*, „Polityka" 2006, nr 28
Radłowska Renata, *To był piękny, dobry świat. Jan Józef Szczepański 1919–2003*, „Gazeta Wyborcza", 28.02.2003
Redliński Edward, *Nikiformy*, Warszawa 1982
Rolicki Janusz, *Oczekiwane reportaże*, „Nowe Książki" 1976, nr 11
Roszko Janusz, *Bez korony*, Warszawa 1965
—, *Zawał*, Warszawa 1972
Rymuszko Marek, *Mój wybrany bohater*, „Argumenty" 1981, nr 15
—, *Przypadki metafizyczne*, Warszawa 2002
—, *Schody*, Warszawa 1988

Seidler Barbara, *Niech mnie skażą na śmierć, jeśli...* [w:] tejże, *Ludzie i paragrafy*, Kraków 1988
Sieciechowicz Marta, *Potwór z Saskiej Kępy*, Warszawa 2009
Skórzyński Jan, *Mazurska krzywda*, „Tygodnik Solidarność" 1989, nr 23
Smaszcz Waldemar, *Coś w tym chyba jednak jest...* [w:] Andrzej Bartosz, Wiesław Janicki, *Teatr Naturalny*, Warszawa 1988
Smoleński Paweł, *Pokolenie kryzysu*, Paryż 1989
—, *Salon patriotów*, Warszawa 1994
Snopkiewicz Jacek, *To ucho! Runda reporterów*, Warszawa 1980
Stanisław Stanuch, *Nie tylko reportażysta* (*o Januszu Roszce*), „Przegląd Tygodniowy" 2005, nr 11
Steinberg Berenika, rozmowa z Cecylią Nawrocką przeprowadzona w listopadzie 2013 roku, rękopis
Szczepański Jan Józef, *Czy Kuncewiczowa i Lem mieli rację*, „Gazeta Wyborcza", 6.08.1996
—, *Maskarada na Oxford Street* [w:] *Kosmopolityzm i sarmatyzm. Antologia powojennego eseju polskiego*, wybór i oprac. Dorota Heck, Wrocław–Warszawa–Kraków 2003
—, *Świat wielu czasów. Wrażenia z podróży do Ameryki Południowej*, Kraków 1969
—, *Zatoka Białych Niedźwiedzi*, Kraków 1960
Szczygieł Mariusz, *Dział reportażu „Gazety Wyborczej". Historia–twórcy–gatunek*, praca magisterska napisana pod kierownictwem dr. Wiesława Sonczyka, WDINP UW, 2000
—, *Jak okradałem Małgorzatę Szejnert* [w:] Małgorzata Szejnert, *My, właściciele Teksasu*, Kraków 2012
Szczypiorski Andrzej, *Koniec westernu?*, „Literatura" 1972, nr 6
Szejnert Małgorzata, artykuł wstępny do reportażu Agnieszki Wróblewskiej, *Autobus zwany burmistrzem*, „Magazyn", dodatek do „Gazety Wyborczej", nr 44, 8.11.1996
—, *Jak ptak, ale nie jak piórko* [w:] Barbara N. Łopieńska, *Łapa w łapę*, Warszawa 2004
—, *Reportaż totalny* [w:] *Reportaż roku*, broszura okolicznościowa „Gazety Wyborczej", Warszawa 1997
—, *Słuch absolutny* [w:] Irena Morawska, *Było piekło, teraz będzie niebo*, Warszawa 1999
—, *My, właściciele Teksasu*, Kraków 2012
Szleszyński Bartłomiej, *Wojciech Jagielski*, http://culture.pl/pl/tworca/wojciech-jagielski [dostęp: 31.10.2013]

Szopiński Zbigniew, *Ja w nerwowej sprawie*, „Tygodnik Kulturalny" 1969, nr 29
—, *Kargul i inni*, „Nowe Książki" 1975, nr 19
Święty Mikołaj na plaży. Z Lucjanem Wolanowskim rozmawia Elżbieta Stępkowska, „Veto" 1988, nr 51–52
Termer Janusz, *Ja w nerwowej sprawie,* „Nowe Książki" 1969, nr 21
—, *Schody do rzeczywistości*, „Kontrasty" 1977, nr 7
Tochman Wojciech, *Córeńka*, Kraków 2005
Twardochleb Andrzej, *Pogranicze*, „Głos Wybrzeża", 14–15.11.1970
Urban Jerzy, *Alfabet Urbana. Od UA do Z*, Warszawa 1990
—, *Reporterzy*, „Szpilki" 1979, nr 49
Waldemar Kaiser, *Jerzy Lovell – stan badań*, http://blogdziennikarski.pl/jerzy-lovell-stan-badan/ [dostęp: 31.10.2013]
Wieczorkowski Aleksander J., *Ryzyko podwójnej moralności*, „Kontrasty" 1976, nr 9
Wittels Małgorzata, *Lucjan Wolanowski*, „Podkowiński Magazyn Kulturalny" 2007, nr 52
Wokół reportażu podróżniczego. Lucjan Wolanowski (1920–2006). Studia – szkice – materiały, red. Dariusz Rott, Mariusz Kubik, Katowice 2009
Wolny-Zmorzyński Kazimierz, *Reportaż – jak go napisać?*, Rzeszów 1996
Wójcik Ryszard, *Dlaczego zabijam?*, „Kontrasty" 1976, nr 4
—, *Odmieńcy*, Warszawa 1974
—, *Reportaż paradoksalny*, „Kontrasty" 1977, nr 12
Wójcińska Agnieszka, *Reporterzy bez fikcji*, Wołowiec 2011
Wróblewscy Agnieszka i Andrzej Krzysztof, *Zgoda na wyjazd*, Warszawa 1989
Wróblewska Agnieszka, *Autobus zwany burmistrzem*, „Magazyn", dodatek do „Gazety Wyborczej", nr 44, 8.11.1996
Wróblewski Andrzej Krzysztof, *Dzienniki zabrane przez bezpiekę*, Warszawa 2008
—, *Na głębsze wody*, Warszawa 1975
—, *Trudno zmienić skórę*, Kraków 1978
—, *Tylko tak – PKO i FIAT*, „Polityka" 1973, nr 11
Wszyscy jesteśmy ze wsi. Z Andrzejem Mularczykiem rozmawia Donata Subbotko, „Gazeta Wyborcza", 2.04.2010
www.lucjanwolanowski.com
Wywiad: Wojciech Jagielski. Z Wojciechem Jagielskim rozmawia Paweł Średziński, http://afryka.org/afryka/wywiad--wojciech-jagielski,news/ [dostęp: 31.10.2013]
Zieliński Marek, *Charakter i skóra*, „Kontrasty" 1979, nr 4
Żurek Edmund, *Losy niełatwe*, „Kultura" 1988, nr 25

Poprzedniczki naszej antologii

20. Dwadzieścia lat nowej Polski w reportażach według Mariusza Szczygła, pomysł, układ i komentarze Mariusz Szczygieł, Wołowiec 2009

7599 dni Drugiej Rzeczypospolitej, wybór i oprac. Ewa Sabelanka, Kazimierz Koźniewski, Warszawa 1983

A to Polska właśnie. Wybór reportaży z lat 1944–1969, wybór i oprac. Stefan Kozicki, Kazimierz Koźniewski, Barbara Seidler, Czytelnik, Warszawa 1969

Anna z gabinetu bajek. Reportaże roku, red. Bożena Dudko, Karol Weber, Warszawa 1999

Antologia polskiego reportażu wojennego 1939–1945, wybór i oprac. Stanisław Nadzin, Warszawa 1962

Antologia reportażu Planet Doc Review 2008, red. Jan Majdecki, Warszawa 2008

Antologia reportażu Planet Doc Review 2009, red. Jarosław Wernik, Jan Majdecki, Warszawa 2009

Antologia reportażu polskiego w opracowaniu szkolnym, wybór, wstęp, objaśnienia i oprac. Krystyna Heska-Kwaśniewicz, Bogdan Zeler, Katowice 1998

Cała Polska trzaska. Reportaże „Gazety Wyborczej" 2001–2004, red. Bożena Dudko, Warszawa 2005

Klucze do zdarzeń. Wybór reportaży z Polski i o Polsce, wybór i oprac. Krystyna Goldbergowa, Zbigniew Stolarek, Warszawa 1976

Kraj raj. Piszą reporterzy „Gazety", wybór Małgorzata Szejnert, Warszawa 1993

Krajobraz ogni. Antologia reportaży o Nowej Hucie, wybór Stefan Kozicki i Zbigniew Stolarek, Iskry, Warszawa 1971

Losy nie wymyślone, wybór i oprac. Krystyna Goldbergowa, Warszawa 1980

Made in Poland. Antologia reporterów „Dużego Formatu", wybór i oprac. Włodzimierz Nowak, Mariusz Burchart, Warszawa 2013

Mistrzowie reportażu. Antologia, oprac. Kazimierz Wolny-Zmorzyński, Rzeszów 2001

Młodzi stąd. Reportaże 1950–1965, wybór Anna Pawłowska, Jerzy Feliksiak, Warszawa 1966

Mulat w pegeerze, red. Krzysztof Tomasik, Warszawa 2011

Nasza kamienica. Antologia reportażu krajowego, wybór i wstęp Andrzej Wasilewski, Warszawa 1972

Niegdyś i dziś. Antologia reportażu o Warmii i Mazurach z lat 1950–2000, wybór i oprac. Joanna Szydłowska, Olsztyn 2000

Niepiękne dzielnice. Reportaże o międzywojennej Warszawie, wybór i oprac. Jan Dąbrowski, Józef Koskowski, Warszawa 1964
Nietykalni. Reportaże roku 1999, red. Bożena Dudko, Warszawa 2000
Odejdźcie od nas wszystkie strachy, wybór i oprac. Klemens Krzyżagórski, Dionizy Sidorski, Olsztyn–Białystok 1978
Polskie drogi. Wybór reportaży z lat międzywojennych, wybór Jan Dąbrowski, Warszawa 1962
Spotkania z Polską. Zbiór opowiadań i reportaży, oprac. Stanisław Aleksandrzak, Marian Brandys, Warszawa 1970
Sprawa i po sprawie. Zbiór reportaży, red. Andrzej Błachowski, Warszawa 1979
To nie mój pies, ale moje łóżko. Reportaże roku 1997, oprac. Bożena Dudko, Jan Koźbiel, Warszawa 1998
Tu zaszła zmiana, wybór Krystyna Goldbergowa, Warszawa 1975
Wejście w kraj. Wybór reportaży z lat 1944–1964, wybór i oprac. Zbigniew Stolarek, Warszawa 1965
Wzdłuż dalekiego brzegu. Wybór reportaży z lat międzywojennych, wybór Jerzy Gembicki, Zbigniew Mitzner, Warszawa 1966
Zły dotyk. Reportaże roku 2000, red. Bożena Dudko, Warszawa 2001

Rada programowa antologii

Hanna Krall (ur. 1935)
Najbardziej znana za granicą polska reporterka. Absolwentka Wydziału Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego. Pracowała m.in. w „Życiu Warszawy", „Polityce" i „Gazecie Wyborczej". Po ogłoszeniu stanu wojennego odeszła z redakcji „Polityki", jej książki były publikowane przez wydawnictwa podziemne. Za granicą ukazało się pięćdziesiąt jeden jej książek w czternastu językach. Jest jurorką Würth-Preis für Europäische Literatur, jednej z najważniejszych niemieckich nagród literackich, i członkinią kapituły Konkursu Stypendialnego imienia Ryszarda Kapuścińskiego dla młodych reporterów.

Więcej o Hannie Krall – s. 301.

Elżbieta Sawicka (ur. 1952)
Dziennikarka. Absolwentka polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim. Siedemnaście lat (1990–2007) pracowała w „Rzeczpospolitej" jako szefowa działu kultury, redaktorka dodatków „Plus Minus" i „Rzecz o książkach". Współpracowała także z „Pulsem Biznesu", miesięcznikiem „Nowaja Polsza", „Zeszytami Literackimi" oraz Polskim Radiem. W latach 2009–2012 redaktorka naczelna portalu Culture.pl, prowadzonego przez Instytut Adama Mickiewicza. Opublikowała *Przystanek Europa. Rozmowy nie tylko o literaturze* (1996) oraz *Widok z wieży. Rozmowy z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim* (1997). Jest jedną z autorek pracy zbiorowej *Jan Lebenstein* (2004). Kilkanaście jej wywiadów weszło do książki *Czesław Miłosz. Rozmowy polskie 1979–1998* (2006), dziewięć – do tomu *Nasze histerie, nasze nadzieje. Spotkania z Tadeuszem Konwickim* (2013). W 2005 roku została odznaczona medalem Gloria Artis jako współtwórczyni i redaktorka dodatku „Plus Minus". Laureatka PIK-owego Lauru (2006), nagrody przyznawanej przez Polską Izbę Książki za najlepszą prezentację książek w mediach (w kategorii prasa). Obecnie współpracuje z Działem Rękopisów Biblioteki Narodowej i miesięcznikiem „Nowaja Polsza". Jest członkinią kapituły Konkursu Stypendialnego imienia Ryszarda Kapuścińskiego dla młodych reporterów oraz kapituły Nagrody imienia Ryszarda Kapuścińskiego za książkę reporterską. Należy do Towarzystwa Dziennikarskiego.

Małgorzata Szejnert (ur. 1936)
Reporterka. Absolwentka Uniwersytetu Warszawskiego. Pracowała m.in. w „Kurierze Polskim" i „Tygodniku Demokratycznym". W latach 1973–1981 była reporterką i kierowniczką działu reportażu w tygodniku „Literatura". Po ogłoszeniu stanu wojennego odmówiła pracy w mediach oficjalnych i straciła posadę w „Literaturze". Od 1990 roku przez piętnaście lat prowadziła dział reportażu „Gazety Wyborczej". Wychowała i wyszkoliła wielu młodych reporterów. Po przejściu na emeryturę wydała jak dotąd trzy książki reporterskie – wszystkie znalazły się w finale lub zdobyły główne nagrody w najważniejszych polskich konkursach literackich. Za książkę *Czarny ogród* otrzymała Literacką Nagrodę Mediów Publicznych „Cogito". Jest członkinią kapituły Konkursu Stypendialnego imienia Ryszarda Kapuścińskiego dla młodych reporterów oraz wieloletnią przewodniczącą jury Nagrody imienia Ryszarda Kapuścińskiego za książkę reporterską.

Więcej o Małgorzacie Szejnert – s. 139.

Prof. dr hab. Kazimierz Wolny-Zmorzyński (ur. 1957)
Medioznawca i literaturoznawca. Kierownik Katedry Genologii Dziennikarskiej i Komunikacji Wizualnej w Instytucie Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wiceprezes Towarzystwa Studiów Dziennikarskich. Ekspert Państwowej Komisji Akredytacyjnej. Absolwent filologii polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Tytuł doktora uzyskał w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, a doktora habilitowanego – na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego na podstawie książki *Wobec świata i mediów. Ryszarda Kapuścińskiego dylematy dziennikarskie, literackie, społeczno-polityczne* (1999). W latach 1990–1994 wykładał na Uniwersytecie w Budapeszcie. Pomysłodawca i organizator Piwnicy Medialnej w Piwnicy pod Baranami oraz Salonu Medialnego w Klubie Dziennikarza „Pod gruszką" w Krakowie. Dwukrotny laureat Nagrody Związku Literatów Polskich „Złote Pióro". Autor kilku powieści obyczajowych oraz książek naukowych, m.in.: *O poetyce współczesnego reportażu polskiego* (1991), *Sztuka reportażu wojennego Melchiora Wańkowicza* (1991), *Z teorii prozy narracyjnej i reportażu* (1992), *Reportaż – jak go napisać?* (1996), *O twórczości Ryszarda Kapuścińskiego. Próba interpretacji* (1998), *Gatunki dziennikarskie. Specyfika ich tworzenia i redagowania* (współaut.: A. Kaliszewski i W. Furman, 2000), *Fotograficzne gatunki dziennikarskie* (2007), *O wybranych problemach dziennikarstwa. Genologia i mistrzowie* (2009).

Mariusz Szczygieł (ur. 1966)
Reporter i felietonista związany z „Gazetą Wyborczą". Pracę reportera zaczął w wieku dziewiętnastu lat w tygodniku „Na przełaj". Jest autorem książek *Niedziela, która zdarzyła się w środę* (1996), *Gottland* (2006), *Kaprysik* (2010), *Zrób sobie raj* (2010), *Láska nebeská* (2012). Jego książki zostały przetłumaczone na czternaście języków. Na ich podstawie stworzono w Polsce i w Czechach pięć spektakli teatralnych i sześć filmów. *Gottland* i *Zrób sobie raj* wielokrotnie w różnych konkursach zdobyły tytuły książek roku. *Gottland* został także nagrodzony Nike Czytelników 2007; European Book Prize 2009 – nagrodą Unii Europejskiej za najlepszą europejską książkę roku; Prix Amphi 2009 – nagrodą literacką Uniwersytetu w Lille za najlepszą książkę obcojęzyczną wydaną we Francji. Za swój reportaż *Śliczny i posłuszny* (2013) otrzymał Nagrodę imienia Andrzeja Woyciechowskiego. Jest także popularyzatorem literatury reportażowej. Razem z Bożeną Dudko był pomysłodawcą koncepcji i redaktorem *Dzieł wybranych* Ryszarda Kapuścińskiego (2008). Jest autorem antologii *20. Dwadzieścia lat nowej Polski w reportażach według Mariusza Szczygła* (2009). Przygotował specjalny numer węgierskiego pisma „Nagyvilág" (2011, nr 12) z wyborem polskich reportaży, a także numer włoskiego pisma „Internazionale" (2013, nr 12) z wyborem polskich reportaży i opowiadań. Na zlecenie Narodowego Instytutu Kultury napisał scenariusz i poprowadził rozmowę telewizyjną z Hanną Krall w cyklu *Rozmowy poszczególne* (2013). Razem z Wojciechem Tochmanem i Pawłem Goźlińskim założył Fundację Instytut Reportażu, a w jej ramach księgarnię Wrzenie Świata, Faktyczny Dom Kultury i Polską Szkołę Reportażu.

Zakupiono w NEXTO: 1740951